# PRZEWODNIK

## NAUKOWY I LITERACKI

DODATEK MIESIĘCZNY DO „GAZETY LWOWSKIEJ“

Rocznik XXIX. — 1901.

Odpowiedzialny redaktor: ADAM KRECHOWIECKI.

---

LWÓW.
NAKŁADEM WYDAWNICTWA „GAZETY LWOWSKIEJ“
Z drukarni Władysława Łozińskiego. — Zarządca W. J. Weber.
1901.

05/701-5545

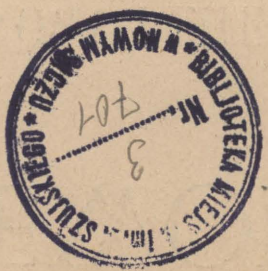
BIBLIOTEKA MIEJSKA
SZKOLNEGO
W MOWTNICY

# SPIS RZECZY

zawartych w dwudziestym dziewiątym roczniku 1901.

## I. Historya i archeologia.


Gustaw Manteuffel. Dyaryusz posłów inflanckich delegowanych we wrześniu 1561 r. do księcia Alberta pruskiego przez Zakon krzyżacko-inflancki, str. 34.

Dr. Tadeusz Troskolański. Andrzej Radwan Zebrzydowski, Biskup włocławski i krakowski (1496—1560), Monografia historyczna. Część trzecia (1553—1560), str. 257, 337, 427, 534, 618, 713, 806, 911, 998,

Ks. Jan Sygański. Dawne zabytki dziejowe Nowego Sącza, str. 412, 500, 591, 678, 750, 854, 946,

Fr. Rawita Gawroński. Wycieczki historyczno-archeologiczne po Ukrainie, (Wiszenki, Borowica, Czehryń, Subotów), str. 45, 131.

Fr. Bujak. Długosz jako geograf, str. 171.

Włodzimierz Lenkiewicz. Udział Rossyi w pokoju karłowickim, str. 902, 990, 1062.

Dr. M. Schorr. Starożytności biblijne w świetle archiwum egipskiego z XIV. w. przed Chrystusem, str. 351, 436.

Dr. Bronisław Łoziński. Z teki Maurycego Kraińskiego, str. 696, 780, 875.


## II. Literatura i sztuka.


Dyonizy Zaleski. Korespondencya Józefa Bohdana Zaleskiego. (Ciąg dalszy), str. 1. 97, 193, 281, 369, 457, 545, 629, 725, 821, 917, 1021.

Julian Bartoszewicz. Listy do Rodziców, str. 69, 162.

Piotr Chmielowski. Najnowsze prądy w poezyi naszej, str. 228, 312, 386, 474, 562, 647.

Fr. Rawita Gawroński. Nieznane młodzieńcze utwory Seweryna Goszczyńskiego. (Urywek z pamiętników Kaspra Pokrzywnickiego), str. 266.

Stanisław Zdziarski. Witwicki i Żukowski, str. 514.

III. Filozofia.

Wojciech Dzieduszycki. Rzecz o uczuciach ludzkich, str. 244, 329, 403, 491, 579, 665, 742, 837, 934, 1041.

IV. Prawo i nauki społeczne.

Dr. Stanisław Kutrzeba. Stanowisko prawne żydów w Polsce w XV. stuleciu, str. 1007, 1147.

V. Geografia i nauki przyrodnicze.

Dr. Eugeniusz Romer. Rola rzek w historyi i geografii narodów, str. 58, 149.

Dr. Wojciech Urbański. Postępy w Astronomii i Fizyce, str. 526, 608, 787, 883.

VI. Kronika literacka.

Dr. Zygmunt Gargas. Dr. Georg Adler. Die Zukunft der socialen Frage, str. 94.

*(m)* De simulacris barbarorum gentium apud Romanos. Corporis barbarorum prodromus, adiuvante Academia litterarum cracoviensi editus a Petro Bieńkowski, str. 185.

*(ab)*. Teka konserwatorska, str. 188.

*(ab)*. Dr. Aleksander Brückner. Tragedya Moskiewska, str. 89.

*(ab)*. Teka grona konserwatorów Galicyi zachodniej, str. 275.

*(ab)*. Kościół katedralny w Krakowie. Opisał Tadeusz Wojciechowski, str. 451, 538.

*(ab)*. Dr. Stanisław Tomkowicz, Tyniec, str. 624.

*(a)*. Szymon Askenazy, Sto lat zarządu w Królestwie Polskiem, str. 626.

— Almae Matri Jagellonicae, qui ab ipsa multa olim in litteris perceperant. quinque saecula feliciter peracta, hoc munusculo oblato gratulantur, str 627.

Dr. Z. Gargas. Dr. Maurycy Straszewski. Sprawa chińska w świetle filozofii dziejów i etyki, str. 721.
Tenże. Dr. Tadeusz Starzewski. W sprawie zadłużenia mniejszej własności, str. 815.
Dr. W. P.: Gołowin. *Russlands Finanzpolitik und die Aufgaben der Zukunft*, str. 1019.
— Lehmann und Parvus. *Das hungernde Russland. Reiseeindrücke, Beobachtungen, Untersuchungen*, str. 1019.

## VII. Bibliografia.

Dr. Wiktor Hahn. Bibliografia o Juliuszu Słowackim za rok 1899, str. 1, 9, 17, 27, 33.

## Spis abecadłowy autorów.

(Liczby umieszczone obok nazwisk oznaczają numer porządkowy).


**A.** B. D. 201.
Adamski S. J. Ks. 45.
Andgrogeos 164 a.
**b.** 174.
Baliński I. 29.
Bartoszewicz K. 184.
Bezimiennie: 11, 33, 62, 66, 70—4, 80, 82, 85—95, 98, 100—1, 106—8, 124/5, 129, 133, 142, 148, 151, 155—6, 164, 169, 171, 179, 186, 188—89, 192/3, 195—200, 209—10, 213, 216/7, 220/31, 233/9, 242/3, 248/51, 253, 257 a, 258, 260/8, 270/1, 273/5, 278.
B(ieńkowski) A. 201 a.
Brzozowski S. 46.
**Ch.** F. 30.
Chmielowski P. 1.
Chrzanowski I. 47.
Czapelski K. 185.
Czartoryski Z. ks. 202.
△ 175/6.
D. W. 3.
Da 152.
Danow C. 16.
Daszyńska-Golińska Z. 145.
Dembiński B. 203.
Dobrowolski A. 48.
Doliński G. 173.
**E**—k. 49, 109.
El 31.
Elmo 204.
Em 110.
Erzepki B. 111.
Estreicher K. 180.
Estreicher S. 165/6.
**F.** 205.
**G.** 206.
Garda M. 112.
Gasztowtt W. 50.
Gawalewicz M. 113, 207/8.
Gawroński-Rawita F. 114.
Górski A. 51—2, 134.
Gosławiec 23.
Grynbergowa-Strzetelska Z. 146.
Gubrynowicz B. 53.
**H.** C. 54.

Hahn W. 55, 147.
Hoesick F. 107, 115—9, 119 a, 135, 211, 272. (por. też 112).
J. K. 259.
Jabłonowski W. 57.
J(ankowski) C. 58.
Jastrzębiec J. L. 187.
Ja—w. N. 56.
Jellenta C. 59, 136.
Jes. 269.
K. 212.
K. C. 167.
Kasprowicz J. 60, 137.
Kazimierz ze Lwowa 154.
Kąsinowski B. 61.
Koneczny F. 168, 177.
Konopacki S. 132.
Korbut G. 63.
Koryzna W. 181.
Kościelski J. 32.
Kr. W. 276.
Krasiński Z. 71.
Krzymuska M. 64.
Kvapil F. 65.
Lack S. 157.
Lange A. 138.
Ludomir Z. 34.
m. 190.
M. 214.
M. G. 67.
M. H. S. 35.
M. Z. 158.
Małecki A. 139, 149.
Mały Światek. Dział IX.
Mar. Kor. 68.
Maryusz 215.
Matuszewski I. 140—1.
Mazur S. 69.
M(einhart) J. 4. 120. i dział IX.
Méyet L. 24, 26, 121/3.
Mianowski T. 191.
Miarka K. 2.
Miciński T. 36, 163.
Mickiewicz W. 27.
Monat H. 126.
Mordasiewicz K. 6, 254.
Mycielski J. 218.
Niemojewski A. 219.
Niewiadomska C. dział IX.
Nittmanowa W. 127.
Ob. K. 128.
Or—ot. (Oppman Artur) 37—8.
Ostrowski S. 39, 143.
Pawlikowski J. 144.
Pieńkowski K. 194.
Pilecki A. 75/6.
Pini T. 77.
Piotrowski K. 232.
Pług A. 78, 132.
Polak: dział IX.
Potocki A. 79.
Praca: dział IX.
Procajłowicz A. S. 255.
Pr(okesch) W. 170, 178.
Pruszkowski W. 257.
R. St. 159.
Rakowski K. 81.
Rebschlager J. 21.
Rodiani D. 152.
R(olle) M. 182.
Řř. 130.
Samson 277.
Sąsiad 240.
Siedlecki A. 83.
Sienkiewicz H. 241.
Sigma 84.
Skrzyński K. 172.
Słowacki J. 1—28, 256.
Smarzewski T. 96.
Spasowicz W. 244.
Starża 245.

Szczepański A. 160.
Szczęsna 97.
Śliwicki D. 40.
Śmigus 41.
Świerszcz 246.
Świętochawski A. 24 (rec.), 247.
Tarnowski S. 161.
Teresa J. 131.
Tetmajer K. 42, 162. (por. też nr. 270).
Trąmpczyński W. 132.
Tworkowska J. 99.
**W.** 3.
Walter E. 150.
Wanda 102.
Waszyński S. 103.
Weneda L. 104.
Włostowski K. 105.
W(ysłouchowa) M. 65.
**X.** 252.
**Y.** 106 a.
**Z.** L. S. 183.
Zawrat 43.
Zdziarski S. 153.
Żuławski J. 44.

# TREŚĆ


Str.

Słowo wstępne . . . . . 3—4

I. Dzieła Juliusza Słowackiego (nr. 1—21) . . . . . 5—7

II. Listy poety (nr. 22—28) . . . . . 8—9

III. Wiersze poświęcone Słowackiemu (nr. 29—44) . . . . 10—11

IV. Artykuły okolicznościowe (nr. 45—106 a) . . . . . 12—15

V. Przyczynki do życia poety (nr. 107—133) . . . . . 16—18

VI. Przyczynki do twórczości poety (nr. 134—183):

*a)* Charakterystyki ogólne (nr. 134—144) . . . . . 19—20

*b)* Studya o poszczególnych dziełach (nr. 145—183) . . 20—23

VII. Głosy w sprawie sprowadzenia zwłok poety do kraju (nr. 184—200) . . . . . 24—25

VIII. Odsłonięcie pomnika Juliusza Słowackiego w Miłosławiu dnia 16. września 1899 r. (nr. 201—253) . . . . . 26—28

IX. Czasopisma i wydawnictwa poświęcone poecie (pozycyi nieliczbowanych 6) . . . . . 29—30

X. Illustracye (nr. 254—257 a) . . . . . 31—32

XI. Obchody ku czci Słowackiego (nr. 258—278) . . . . 33—38

Spis abecadłowy autorów . . . . . 39—41

współczesnego; 4 własnoręczne rysunki poety: widok Genewy, według winiety na liście z 22/9 1833 r. (I. 208.), Veytoux, (I. 305.), grobowiec Nerona w Rzymie (II. 1.), z nad brzegów Nilu (II. 32.); autograf listu p. Bécu i Słowackiego z 24/6 1848 r.].

**R.** Ateneum 1899. II. 80—94. (KWłostawski); Dziennik polski 1898. nr. 342 (c.), Gazeta lwowska 1899. nr. 77. s. 3. (R.), Gazeta warszawska nr. 92. s. 2., Gazeta polska 1900. nr. 154—5. (I. T. Hodi.), Iris 1899. 244. (. . i.), Kraj 1899. nr. 10. s. 24. i nr. 15. s. 37—8. (E—k.), Kuryer codzienny 1899. nr. 12. (P. Ch(mielowski), w artykule: „Nowe wydanie listów Słowackiego" w fejletonie), Kuryer poznański 1898. nr. 287., Muzeum 1899. 286—8. (W. Hahn.), Nowa Reforma 1899. nr. 119. i 120. (F.), Prawda 152/3 (J. T.), Słowo polskie 1898. nr. 299. popoł. (x. i.), Słowo (Warszawa) nr. 204. i 205. (H. g.), Tydzień, dodatek Kuryera lwowskiego, 1898. nr. 50. str. 393—4, tamże w nr. 51. s. 402/3 powtórzono z przedmowy: „Aleksander Świętochowski o listach wielkich romantyków" i dwie illustracye z wydania Méyeta: Krzemieniec i grobowiec J. S—o.; Tygodnik illustrowany 1899. nr. 17.339. (M.),

**25.** Listy Juliusza Słowackiego do Alexandry Bécu. [11 listów z r. 1828—1830]. Księga pamiątkowa na uczczenie setnej rocznicy Adama Mickiewicza (1798—1898). Warszawa (1899). Nakład Bronisława Natansona. Druk W. L. Anczyca i Spółki. Tom I. s. 267—281.

**26.** Nieznane listy Juliusza Słowackiego, wydał **Leopold Méyet.** Przewodnik naukowy i literacki s. 385—403.

**R.** Kwartalnik historyczny 1900, s. 243—4. (W. Hahn).

**27.** Nieznany list Juliusza Słowackiego [do Ignacego Domeyki, z Genewy 15 10 1833 r.] wydał **Władysław Mickiewicz.** Iris (Lwów) s. 397—400.

**28.** Ostatni list Juliusza Słowackiego z 1849 r. [16—23/3] Bluszcz nr. 16. s. 122.

— Por. też nr. 52., 57., 79., 129.

## III.

## Wiersze poświęcone Słowackiemu.

29. **Baliński Ignacy:** W 50 rocznicę śmierci Słowackiego († 3. kwietnia 1849. roku w Paryżu). Kuryer codzienny (Warszawa) nr. 91. s. 1.; przedrukowany p. t.: „Juliuszowi Słowackiemu“ w Przeglądzie literackim (Kraków) nr. 1. s. 1. = Głos narodu nr. 76. s. 4.
30. **Ch. F.:** W przededniu sprowadzenia zwłok Słowackiego i Chopina. Teka. Lwów. Rocznik I. nr. 7. s. 192—3., przedrukowane w „Sztandarze“ amerykańskim z r. 1899. [por. Teka. II. nr. 1. s. 39.].
31. **El. (Laskowski K.)** Z notatnika. (Cieniom Słowackiego). Kuryer polski (warszawski) nr. 98. s. 2. i 3.
32. **Kościelski Józef:** Kantata ku czci Słowackiego. (Muzyka Z. Noskowskiego). Dziennik poznański nr. 213. s. 2. = Przegląd (lwowski) nr. 216.
33. Królu-Duchu nieśmiertelnej pieśni. (Wiersz). Teka. II. nr. 1. s. 3.
34. **Ludomir Z.:** Juliusz Słowacki. (Sonet na 50-letnią rocznicę zgonu). Dyabeł (Kraków) 1899. nr. 8. str. 3.
35. **M. H. S.** Poeta w obczyźnie. Juliuszowi Słowackiemu w pięćdziesiątą rocznicę śmierci poświęcone. Promień. (Lwów). s. 189—190.
36. **Miciński Tadeusz:** Resurrexit. Wiersz Tadeusza Micińskiego, poświęcony Słowackiemu. Czas. nr. 76. i odbitka: Kraków, Gebethner i Sp., druk. Czasu, 2. kwietnia 1899., w 8-ce małej, str. 6. — 20 cnt.

37. **Or—ot (Oppman Artur):** Słowacki. (Z powodu 90-tej rocznicy urodzin i 50-tej rocznicy śmierci). Józefa Ungra Kalendarz warszawski na r. 1899. s. 1.
38. — W pięćdziesięciolecie zgonu Juliusza Słowackiego († 3. kwietnia 1849 r.) „Hen, na dalekiej... na francuskiej ziemi...“ Kuryer warszawski nr. 91. s. 3., = Dziennik polski nr. 94. = Przegląd literacki nr. 1. s. 1—2. [Dwie pierwsze zwrotki przedrukowano w „Pracy“ poznańskiej nr. 17. s. 442.].
39. **Ostrowski Stanisław:** Na grób Juliusza Słowackiego. [Z portretem poety]. Tygodnik illustrowany nr. 15. s. 284.
40. **Śliwicki Daniel:** U mogiły Juliusza. Paryż, 23. czerwca 1899. Promień (Lwów) nr. 9. s. 188—9.
41. **Śmigus:** W pięćdziesiątą rocznicę. Śmigus nr. 8. str. 2.
42. **Tetmajer Kazimierz:** W pięćdziesiątą rocznicę śmierci Juliusza Słowackiego. Czas nr. 120.
43. **Zawrat:** Juliuszowi Słowackiemu. Promień (Lwów) s. 189.
44. **Żuławski Jerzy:** Trzeci. Słowackiemu... poezya prozą. Młodość. Kraków. s. 145—6.

## IV.

## Artykuły okolicznościowe.

45. **Adamski Stanisław Józef ks.:** O miłości ojczyzny. (Mowa Ks. J. S. A. T. J., miana w katedrze lwowskiej łacińskiej, w czasie żałobnego nabożeństwa za duszę ś. p. Juliusza Słowackiego w 50-letnią rocznicę jego zgonu 29. kwietnia 1899. r.). Ruch katolicki. Lwów, nr. 106—111.
46. **Brzozowski Stanisław:** Juliusz Słowacki. Teka. Lwów. Rok II. nr. 1. s. 6—12.
47. **Chrzanowski Ignacy:** Juliusz Słowacki. Słowo warszawskie nr. 77. i 78. fejl.
48. **Dobrowolski Adam:** Juliusz Słowacki. Kuryer poranny z 3/IV.
49. **E—k.:** Głosy o Słowackim. Kraj 1899. nr. 19. s. 1—3.
50. **Gasztowtt Venceslas:** Le cinquantenaire de la mort de Frédéric Chopin et de Jules Słowacki. Bulletin polonais 1899. Paris nr. 129. s. 89—90.
51. **Górski Artur:** Juliusz Słowacki. (Spowiedź poety). Przegląd tygodniowy 100—1.
52. — Spowiedź poety. Życie nr. 4. s. 63—64.
53. **G(ubrynowicz) Br(onisław):** W pięćdziesiątą rocznicę. Iris, s. 201/3. [Z portretem poety według portretu olejnego przez T. Byczkowskiego].
54. **H. C.** Pamięci Juliusza Słowackiego. Tygodnik mód i powieści nr. 16. 10(22)/IV.
55. **Hahn Wiktor dr.:** Juliusz Słowacki. (W 50-tą rocznicę śmierci). + 3/4 1849 — 3/4 1899. Słowo polskie nr. 79. poranny, s. 4. i nr. 84. poranny, s. 4.

56. **Ja—w. N.:** Juliusz Słowacki. St. Petersburskije Wiedomosti nr. 79. [Streszczenie w Słowie polskiem 7/4 nr. 82. popoł.]
57. **Jabłonowski Władysław:** Dusza poety. [Na podstawie listów J. S. por. nr. 24.]. Głos 1899. nr. 43—45, s. 878/80, 894/97 i 914—6.
58. **J(ankowski) Cz(esław):** Życie poety. Kraj nr. 14. s. 33—4.
59. **Jellenta Cezary:** Juliusz Słowacki dzisiaj. Głos 1899. s. 313/8, 345/7, 366/71, 410/6, 438/40, 484/8. 531/6.
60. **Kasprowicz Jan:** Słowacki. Tydzień. Dodatek literacki Kuryera lwowskiego nr. 15. i 16., s. 113/5 i 121/3. [Z portretem według Wł. Oleszczyńskiego].
61. **Kąsinowski Bronisław:** Nad grobem Juliusza. Dziennik poznański nr. 77. i odbitka: Poznań, druk. Dziennika pozn., w 8-ce małej, str. 14.
62. Konkurs redakcyi „Promienia“ (Lwów) na wiersz poświęcony Słowackiemu. Promień, s. 77. i 164. [Por. nr. 82.].
63. **Korbut G.:** Smutne ptaki. Głos, s. 318—21.
64. **Krzymuska M.:** Protest [przeciw artykułowi K. Włostowskiego, por. nr. 105]. Tygodnik illustrowany. II. nr. 32. s. 632.
65. **Kvapil Frantisek:** U hrobu Juliusa Slovackého. Vzpominka. Slovanský přehled. (Praga) nr. 8. s. 357—64 [z portretem poety]. [Streszczenie i wyjątki podała i przetłumaczyła **M(arya W(ysłouchowa)** w Tygodniu, dodatku literackim Kuryera lwowskiego nr. 21. s. 167—8.].
66. Ku czci Słowackiego. Echo muzyczne i teatralne s. 170—171.
67. **M. G.:** Słowacki i Szopen. Teka. (Lwów) II. nr. 4. s. 135/7.
68. **Mar. Kor.:** Słowacki. W czasopiśmie „Wołyń“ (Żytomierz). [Por. Kraj nr. 44. s. 255.].
69. **Mazur St.:** Juliusz Słowacki. Polak, nr. 5. s. 66—8.
70. Mickiewicz i Słowacki. Praca. (Poznań) nr. 17. s. 440.
71. Mickiewicz i Słowacki według **Krasińskiego.** [Wyjątki z ustępu p. t.: „O krytyce w ogólności“ i z listu do Romana Załuskiego o Juliuszu Słowackim]. Promień nr. 4. s. 81/2.
72. Pięćdziesiąta rocznica zgonu Słowackiego. Biblioteka warszawska. II. 179—80. [w Kronice miesięcznej].
73. Pięćdziesiąta rocznica zgonu Słowackiego. Głos narodu nr. 76. s. 4.
74. Pięćdziesiąta rocznica śmierci Juliusza Słowackiego w Paryżu. Kraj nr. 15. s. 16.

75. **Pilecki Antoni:** Juliusz Słowacki. Gazeta polska nr. 76. fejleton. = Przegląd literacki nr. 1. s. 2—4. = Głos narodu nr. 80. s. 2.
76. — Julius Słowacki. V pamět padesáté ročnice úmrtí básnikowa napsal... Literarni Listy. XX. (1899.) s. 311/2.
77. **Pini Tadeusz:** W pięćdziesiątą rocznicę. Przyjaciel młodzieży. Lwów, nr. 4. s. 49—52. [Z medalionem S. według Wł. Oleszczyńskiego i portretem J. Kurowskiego: „J. S. w r. 1841."].
78. **Pług Adam:** W półwiekową rocznicę zgonu Juliusza Słowackiego. Wędrowiec, nr. 14. str. 265—8. [Z illustracyami: 1) J. S., płaskorzeźba Antoniego Oleszczyńskiego s. 261., 2) Euzebiusz S., ojciec J., 3) J. S. w wieku dziecięcym pod postacią amorka, 4) Salomea z Januszewskich Słowacka, secundo voto Bécu, matka J—a, s. 265., 5) widok ogólny Krzemieńca (miejsce urodzenia S.), 6) J. S. według rysunku J. Kurowskiego, rysował J. Hoppwood, 7) grób J. S. w Paryżu, na cmentarzu w Montmartre s. 266.].
79. **Potocki Antoni:** Z listów poety. Kuryer warszawski, nr. 91. s. 4. i 96. s. 2—3.
80. Półwiekowa rocznica. Goniec wielkopolski nr. 76. 2/4. str. 2.
81. **Rakowski Kazimierz dr.:** Poglądy społeczne i polityczne Juliusza Słowackiego. Praca, nr. 17. s. 441/2.
82. Rozstrzygnięcie konkursu redakcyi „Promienia" na wiersz poświęcony Słowackiemu. Promień. Lwów, nr. 9. s. 187. [Por. nr. 62.; wiersze odznaczone por. pod nr. 35., 40., 43.].
83. **Siedlecki Adam:** O Słowackim i o nas. Młodość. Kraków, nr. 1. s. 2—5.
84. **Sigma:** Juliusz Słowacki. Gazeta warszawska, nr. 93. s. 2.
85. Słowacki i Chopin. Dziennik polski, nr. 81. [Por. też dział VII.].
86. Słowacki Juliusz. Dziennik polski, nr. 93.
87. — Echo muzyczne i teatralne, s. 162. [Z wizerunkiem grobu poety s. 163.].
88. — Gazeta lwowska, nr. 77.
89. — Gazeta polska (czerniowiecka) nr. 35.
90. — Głos pokucki (Kołomyja) nr. 4.
91. — Kuryer polski (Warszawa) nr. 93. s. 2.
92. — Nowa Reforma, nr. 77.
93. — Przegląd, nr. 78.

94. — Ziźń i isskustwo. Kijów. Kwiecień. [W dodatku illustrowanym, z portretem poety według Oleszczyńskiego].
95. Słowacki Juliusz. (W 50-letnią rocznicę zgonu). Promień. (Lwów) nr. 3. s. 53—4.
96. **Smarzewski Tadeusz:** Juliusz Słowacki w pięćdziesiątą rocznicę zgonu. Kraj, nr. 13. s. 1—2. [Z portretem S. według sztychu A. Oleszczyńskiego, druk. Ungera. Lwów 1868.].
97. **Szczęsna:** Juliusz Słowacki. W 50-tą rocznicę śmierci. Bluszcz, nr. 16. s. 121—2.
98. Testament Słowackiego. Dziennik polski, nr. 94.
99. **Tworkowska Józefa:** Słowacki i Chopin. Tarnowianin. Kalendarz na rok 1900. Tarnów 1900.
100. U grobu Słowackiego. Dziennik polski, nr. 185.
101. W półwiekową rocznicę zgonu Juliusza Słowackiego. Praca, nr. 17. s. 438. [Z portretami Euzebiusza S., ojca poety, Salomei z Januszewskich Słowackiej, secundo voto Bécu, matki J. i J. S., w wieku dziecięcym, pod postacią amora].
102. **Wanda:** Ideały romantycznej poezyi polskiej. Kuryer poznański, nr. 154—6., 158. i 160. fejleton i odbitka. Poznań. 1899.
R. Tygodnik illustrowany. II. 976. (y.)
103. **Waszyński Stefan dr.:** Juliusz Słowacki. Praca, nr. 17. s. 438/9.
104. **Weneda L.:** Słowacki i Chopin. Kuryer polski, nr. 96.
105. **Włostowski Kazimierz:** Zaniedbane dziedzictwo duchów. [Właściwie recenzya nr. 24.]. Ateneum. II. 80—94. [Por. nr. 64.].
106. Wyklęty za grobem. Kuryer lwowski, nr. 185.
106 a. **Y.** Juliusz Słowacki. (Z okazyi 50-tej rocznicy śmierci poety). Kalendarz Katolickiego Towarzystwa dobroczynności przy kościele św. Katarzyny w Petersburgu na rok pański 1900. s. 180—186.

V.

## Przyczynki do życia poety.

107. Boże narodzenie w życiu Juliusza Słowackiego. (Podług **F. Hoesicka**). Dziennik polski, nr. 356. s. 2.
108. Daty z życia Juliusza Słowackiego. Kraj, nr. 13. s. 2.
109. **E—k.:** Matka Juliusza Słowackiego. Kraj, nr. 13. s. 7—8. [Z portretem p. Bécu].
110. **Em.:** Ludwika Śniadecka. [Z portretem]. Kraj, nr. 14. s. 35.
111. **Erzepki Bolesław:** Dwie pamiątki po Juliuszu Słowackim w Poznaniu. Praca, nr. 17. s. 440.
112. **Garda M.:** Kąkole. [O biografii Słowackiego wydanej przez Hoesicka]. Słowo polskie, nr. 284. poranny, s. 2—3.
113. **Gawalewicz Maryan:** Z ostatnich chwil Juliusza Słowackiego. Kuryer warszawski, nr. 91. s. 3/4, przedrukowano w Dzienniku polskim nr. 94. i Gazecie narodowej nr. 94.
114. **Gawroński-Rawita Fr.:** Ludwika Śniadecka. Tygodnik polski, nr. 6. s. 117—8, nr. 7. s. 127/8 i nr. 8. s. 157.
115. **Hoesick Ferdynand:** Matejko i Słowacki. Szkice i opowiadania historyczno-literackie. Warszawa i Kraków. Gebethner i Wolff 1900. [wyszły 1899]. 8-vo, str. 351—363.
**R.** Przegląd polski. I. marzec. 529—539. Słowo polskie 1900. nr. 80. [F.: „Także uczony“ szp. 3—4]. Kwartalnik historyczny 1900. 482—90. (W. Hahn).
116. — Marya z Wodzińskich Orpiszewska. Tamże; s. 151—160.
117. — Rafael i Fornarina w życiu Słowackiego. Tamże. s. 161—173.
118. — Słowacki potomkiem... astrologów. Tamże. s. 123—8.

Przegląd lwowski, nr. 230. [w artykule: „Co i o czem piszą“. s. 1].

213. Listy i telegramy. Kraj, nr 38. s. 157.

214. **M.:** Pomnik Słowackiego i opinia. Tygodnik illustrowany, nr. 42. s. 820—1.

215. **Maryusz:** Pomnik S—o a prasa warszawska. Kuryer warszawski, nr. 271. s. 2. [w „Listach z Krakowskiego Przedmieścia“].

216. Maryusz w obronie Sulli. Głos (warszawski) nr. 40. s. 835.

217. Un monument a Slowacki. Bulletin polonais. s. 249—50.

218. **Mycielski Józef:** Legenda przypisana Józefowi Kościelskiemu na pamiątkę odsłonięcia pomnika Juliusza Słowackiego w Miłosławiu. Dziennik poznański, nr. 293. fejleton. = Kuryer lwowski, nr. 358. s. 1.

219. **Niemojewski Andrzej:** Odsłonięcie pierwszego pomnika Juliusza Słowackiego. Tygodnik illustrowany, II. s. 772—3.

220. Odsłonięcie pomnika J-a S-o w M-u. Dziennik poznański, nr. 213. s. 1.

221. — : Niedziela (Lwów) s. 630.

222. — : Przegląd wszechpolski, s. 560.

223. — : Tygodnik polski, nr. 39. s. 779. [z podobizną pomnika].

224. — : Wiek (Warszawa) nr. 219. s. 6., nr. 222. s. 3.

225. — : Głos narodu, nr. 211. s. 4.

226. Odsłonięcie pomnika S-o w M-u: Kraj, nr. 38. s. 153—7.

227. — : Kuryer lwowski, nr. 258. s. 5.

228. — : Kuryer polski (warszawski) nr. 257., 258.

229. — : Polak (Kraków) nr. 9. s. 144.

230. — : Słowo polskie, nr. 222. popoł.

231. — : Słowo warszawskie, nr. 214. s. 2.

232. **Piotrowski Korwin Kazimierz:** U stóp pomnika. Tygodnik polski, nr. 41. s. 828/9.

233. Pomnik J-a S-o: Echo muzyczne i teatralne, s. 441/2 [z reprodukcyą pomnika].

234. Pomnik J-a S-o w M-u. Józefa Ungra Kalendarz warszawski na r. 1900, s. 16. [z podobizną pomnika].

235. Pomnik S-o: Dziennik polski, nr. 260.
236. — : Gazeta lwowska, nr. 188.
237. — : Promień, nr. 10. s. 235.
238. — : Przegląd lwowski, nr. 215. i 216.
239. Pomnik S-o w M-u. Sprawozdanie z uroczystości odsłonięcia pomnika z ilustracyami według fotograficznych zdjęć migawkowych. Kraj, nr. 38, s. 145—8.
240. **Sąsiad:** U pomnika autora „Balladyny". Biesiada literacka. II. nr. 39. s. 245—8.
241. **Sienkiewicz Henryk:** Mowa H. S. przy odsłonięciu pomnika J-a S-o w parku miłosławskim, dnia 16. września 1899 roku. Gazeta polska, nr. 213. Głos narodu, nr. 212. s. 1. Kuryer codzienny, nr. 259. s. 1., Kuryer polski, nr. 258., Kuryer poznański, nr. 214., Kuryer warszawski, nr. 259. s. 2 nl., Niwa, s. 664. [W artykule: „Sienkiewicz Słowackiemu"]. Słowo polskie, nr. 224. popoł., fejl., Słowo warszawskie, nr. 214. s. 2., Tygodnik illustrowany, s. 780., Tygodnik polski, nr. 39. s. 778/9... Wiek (warszawski) nr. 214. s. 2.
242. Słowacki Juliusz w M-u. Kuryer poznański, nr. 213.
243. Słowacki w M-u. Dziennik poznański, nr. 214. s. 3., 215. s. 3., 216. s. 3., 217. s. 3., 218. s. 3.
244. **Spasowicz Włodzimierz:** Mowa wypowiedziana przez W. S. przy odsłonięciu pomnika w M-u. Dziennik poznański, nr. 212., Kraj, nr. 38. s. 146—8., Słowo polskie, nr. 222. i 223. popoł. (fejleton), Kuryer warszawski, nr. 258.
245. **Starża:** Pomnik S-o w M-u. Gazeta polska, nr. 212. s. 1
246. **Świerszcz:** Pomnik J-a S-o w M-u i słów kilka, dotyczących znaczenia twórczości poety dla chwili dzisiejszej. Słowo warszawskie, nr. 227. [Fejleton: „Głos z kąta"].
247. **Świętochowski Alexander:** Prywatny pomnik. Prawda. s. 450.
248. Uroczystość miłosławska. Kuryer lwowski, nr. 262.
249. Uroczystość odsłonięcia pomnika S-o w M-u 16. września. Gazeta lwowska, nr. 180.
250. W Miłosławiu: Dziennik poznański. nr. 212. s. 1.
251. — : Wiek młody, nr. 19. s. 149—50.
252. **X.:** Pamięci S-o. Głos, nr. 38. s. 801—2.
253. Z Miłosławia. Kronika rodzinna, s. 635.

**194. Pieńkowski Stanisław:** List otwarty do Komitetu sprowadzenia zwłok Słowackiego w Krakowie. Życie. Kraków, s. 357/8.

**195.** Słowacki i Chopin: Dziennik polski, nr. 90. [Odezwa Komitetu techników w sprawie sprowadzenia zwłok Słowackiego i Chopina]. Por. nadto Gazetę lwowską nr. 74, Przegląd (lwowski) nr. 74, Ruch katolicki nr. 74, Słowo polskie nr. 77, popoł.

**196.** Sprowadzenie zwłok Juliusza Słowackiego. Przegląd literacki, nr. 1. s. 4., przedrukowane w Nowej Reformie nr. 107.

**197.** Sprowadzenie zwłok Słowackiego do kraju. Promień, nr. 3. s. 68.

**198.** Sprowadzenie zwłok Słowackiego na ziemię ojczystą. Teka (Lwów) s. 38—40.

**199.** W sprawie przewiezienia zwłok Juliusza Słowackiego. Czas, nr. 175. = Przegląd lwowski, nr. 178. [Przeciw temu artykułowi, nie pochwalającemu myśli sprowadzenia zwłok poety do kraju wystąpiły: Słowo polskie, nr. 183. popoł., Nowa Reforma, nr. 176. (wstępny artykuł), Głos narodu, nr. 176. z $^{6}/_{8}$. (Audax: „Co życie niesie. — Uwagi"). Dziennik polski, nr. 223. (K. Bartoszewicz w Kronice niedzielnej].

**200.** W sprawie składek na sprowadzenie zwłok Słowackiego. Kuryer lwowski, nr. 128., Gazeta polska czerniowiecka, nr. 38.

## VIII.

## Odsłonięcie pomnika Juliusza Słowackiego w Miłosławiu dnia 16. września 1899 r.

201. **A. B. D.:** Pamięci Juliusza. Iris. s. 455/9.

201 a. **B(ieńkowski) A(dam):** Z wrażeń miłosławskich. Gazeta lwowska, nr. 222.

202. **Czartoryski Zdzisław ks.:** Mowa ks. Z. C., którą wygłosił w Miłosławiu przy odsłonięciu pomnika J—a S—o. Kuryer poznański, nr. 214.

203. **Dembiński Bronisław prof. dr.:** Mowa w Miłosławiu. Kuryer poznański, nr. 214. = Słowo polskie, nr. 224. popoł., fejleton.

204. **Elmo:** Po uroczystości. Kraj, nr. 38. s. 152—3.

205. **F.:** Odsłonięcie pomnika. Kuryer codzienny, nr. 258. s. 1. i 260. s. 1. [z podobizną pomnika w nr. 261].

206. **G.:** Odsłonięcie pomnika J. S. w M. Gazeta warszawska, nr. 250. s. 2—3.

207. **Gawalewicz Maryan:** Z Miłosławia. Kuryer warszawski, nr. 258. s. 1.

208. — : Z miłosławskich wrażeń. Kraj, nr. 38. s. 148—51.

209. Głosy czasopism. Kraj, nr. 38. s. 158.

210. Hołd poecie. Dziennik polski, nr. 262.

211. **Hösick Ferdynand:** Odsłonięcie pomnika S—o w Miłosławiu. Kraj, nr. 37. s. 142—3.

212. **K.:** Spostrzeżenia. [O artykułach prasy warszawskiej przeciwko Kościelskiemu]. Gazeta warszawska. nr. 257. s. 2. =

X.

# Illustracye.

Autografy:

Matki poety. Por. nr. 24.. 122.
Poety. Por. nr. 24.

Portrety poety:

— **Byczkowski Tytus:** por. nr. 24., 53.
— **Kurowski Jan:** por. nr. 77., 78. i w dziale IX. pozycyę „Polak".
254. **Mordasiewicz Kazimierz:** Juliusz Słowacki. Z bronzu własnej roboty rysował ... Tygodnik illustrowany, nr. 38. s. 737.
**Oleszczyński W.:** por. nr. 2., 39., 60., 65., 77., 78., 94.. 96., 128., 131., por. nadto w dziale IX. pozycye „Kalendarzyk", „Mały Światek", „Polak", „Praca".
255. **Procajłowicz A. S.:** Portret Słowackiego. Młodość, nr. 6. s. 145.
Słowacki w wieku dziecięcym pod postacią amorka, por. nr. 78., 101.

Portrety rodziny i znajomych poety:

Bécu-Słowacka Salomea, por. nr. 24., 78.. 101.. 109., 122. i w dziale IX. por. „Mały Światek".
Januszewska Hersylia, por. nr. 24.
Januszewski Teodor, dziadek poety, por. nr. 24.
„ Teofil, por. nr. 24.
Mianowski Józef, por. nr. 24.
Słowacki Euzebiusz. por. nr. 78.. 101.

Śniadecka Ludwika, por. nr. 110.
Wodzińska Marya, por. nr. 24.

Rysunki poety własnoręczne:

Grobowiec Nerona w Rzymie, por. nr. 24.

**256.** Z fotografii pamiątkowych. Rysunek Juliusza Słowackiego z lat jego dziecinnych. Własność pani Amilkarowej Roguskiej w Krakowie. [Na rysunku znajduje się podpis: „Psyche i Kupidyn idą do szlubu. Julius Słowacki"]. Kraj. nr. 15. s. 37.

— Veytoux, por. nr. 24.

— Widok Genewy, por. nr. 24.

— Z nad brzegów Nilu, por. nr. 24.

Rysunki do dzieł poety:

Balladyna. **257. Pruszkowski W.:** Goplana. Tygodnik polski, nr. 14.

Hymn o zachodzie słońca: **Mordasiewicz K.** Por. nr. 6.

Ojciec zadżumionych. Por. w dziale IX. pozycyę „Mały Światek".

Wizerunki miejscowości, pomników:

Dom w Paryżu na ulicy Pontieu, gdzie umarł poeta. Por. nr. 119.

Grób Januszewskich i Salomei Bécu w Krzemieńcu. Por. nr. 24.

Krzemieniec. Por. nr. 24. i w recenzyach: 78.

**257 a.** Pomnik J-a S-o na cmentarzu Montmartre w Paryżu. Kuryer codzienny, nr. 97. — Por. nadto pod nr. 24., 78., 87., 119., 135. i pozycyę „Mały Światek" w dziale IX.

Pomnik w Miłosławiu, por. nr. 205., 223., 233., 234.

Rysunki z uroczystości odsłonięcia pomnika w Miłosławiu, por. nr. 239.

## IX.

## Czasopisma i wydawnictwa poświęcone poecie[1]).

**Kalendarzyk kieszonkowy** na rok 1899 w pięćdziesiątą rocznicę śmierci Juliusza Słowackiego wydał Józef Meinhart. Lwów. H. Altenberg. Druk. K. Wiesnera we Lwowie. z portretem poety. [Treść rozpisana pod nr. 4. 120].

**Kraj.** Petersburg, nr. 13. [Treść rozpisana pod nr. 96., 108., 119].

**Mały Światek.** Czasopismo illustrowane dla dzieci i młodzieży. Lwów. Rok XII. nr. 12. str. 95—104. z $^{10}/_{4}$. W pięćdziesiątą rocznicę zgonu Juliusza Słowackiego * 23. sierpnia 1809. w Krzemieńcu † 3. kwietnia 1849. w Paryżu. [Z rycinami przedstawiającemi portret i grób poety, matkę poety i illustracyą do Ojca Zadżumionych: treść rozpisana pod nr. 6., 15., 20., 127., 133].

**Niewiadomska C.** Ku uczczeniu 50-letniej rocznicy śmierci Juliusza Słowackiego. Z pieśni naszych. Wybór poezyi. Zebrała i ułożyła C. Niewiadomska. Z przedmową **Ignacego Chrzanowskiego.** Warszawa 1900. (wyszło 1899). J. Lissowski. 8-vo. str. 8 nl. + 236 + VI. [Treść rozpisana pod nr. 6., 12., 14., 20].

**R.** Tygodnik illustrowany. 1900. I. nr. 16. s. 319. (y).

**Polak.** Pismo z obrazkami dla wszystkich. Kraków. Rok IV. nr. 5. [Z portretem poety według Oleszczyńskiego i Kurowskiego:

[1]) Wydawnictw objętych tym działem nie oznaczam osobnymi numerami, gdyż artykuły w nich pomieszczone są rozpisane w poprzednich działach i oznaczone właściwymi numerami.

objaśnienie rycin s. 75; treść rozpisana pod nr. 5., 6., 19., 69].

**Praca,** tygodnik illustrowany, ekonomiczno-społeczny i belletrystyczny. Poznań. Rok III. nr. 17., z 23. kwietnia 1899 r. [Treść rozpisana pod nr. 70., 81., 101., 103., 111., zawiera nadto dwa portrety poety, z wyjątkami z Ojca Zadżumionych i Poema Piasta Dantyszka o piekle: inne ryciny wymienione przy nr. 101].

## XI.

## Obchody ku czci Słowackiego.

Berlin.

**258.** Obchód jubileuszowy J. S. urządzony staraniem Towarzystwa naukowego Polaków w czerwcu. Kraj, nr. 25. s. 16. w Korespondencyi berlińskiej z $^{24}/_{6}$.

Bóbrka.

$^{22}/_{4}$ wieczór urządzony staraniem „Sokoła“, [**Pauli:** Słowo wstępne, deklamacya Ojca zadżumionych (Kaczorowski), por. Słowo polskie, nr. 98. z $^{26}/_{4}$].

Brzeżany.

W czerwcu: wieczór ku czci S. w Stowarzyszeniu „Przyjaźń“. [Odegranie wyjątku z „Kordyana“].

Gniezno.

$^{9}/_{4}$ wieczór S—o. [Por. Gazeta lwowska nr. 82. „Rocznica zgonu J—a S—o“].

Grzybów.

$^{2}/_{12}$ wieczór S - o.

Inowrocław.

$^{19}/_{11}$ wieczór staraniem Towarzystwa kupców i młodzieży kupieckiej. [**Galon:** odczyt o S., por. Dziennik poznański, nr. 266].

$^{3}/_{12}$ wieczór staraniem Towarzystwa śpiewu. [**Ulatowski J.:** odczyt o S. i Mickiewiczu; odśpiewanie kantaty ku czci S—o, por. Dziennik poznański, nr. 278].

Jasło.

$^{7}/_{5}$ żywy dziennik ku czci J—a S—o, urządzony przez grono młodzieży jasielskiej, por. Nowa Reforma, nr. 109., Gazeta lwowska, nr. 111. („Żywy dziennik“).

259. **J. K.** Uroczystość Słowackiego. Dziennik polski, nr. 135. w „Listach z kraju“.

Kijów.

$^{25}/_{11}$ wieczór Towarzystwa literacko-artystycznego. [**Ciechowski W.:** O poglądach i ideałach S—o; deklamacya „W Szwajcaryi“ (I. Ignatiew) i „Ojca zadżumionych“ (tłumacz Starycki)].

260. Obchód S—o w Kijowie. Tygodnik polski, nr. 52. s. 1150., por. nadto Gazetę lwowską, nr. 287., Czas, nr. 287., Kraj, nr. 49. s. 15.

Kołomyja.

$^{28}/_{6}$ wieczór S. Konopki. [Deklamacya: Wiersza z teki Litwina: „Juliusz Słowacki“, Kordyana III. 4., Mazepy IV., Grobu Agamemnona, Mego Testamentu].

Kraków.

W styczniu: dziennik ku czci S—o, por. Ruch katolicki, nr. 29.
$^{23}/_{4}$ uroczysty poranek ku czci S—o staraniem Kółka slawistów uniwersytetu krakowskiego w sali Collegii Novi. [**Stopka A.:** Odczyt o S., por. Słowo polskie, nr. 92].
W czerwcu: wieczorek w gimnazyum św. Jacka, por.:

261. Wieczorek ku uczczeniu S—o. Promień, s. 132.
$^{8}/_{7}$ „Niepoprawni“ w teatrze miejskim, por. wyżej nr. 164 a—172.
$^{23}/_{8}$ wieczór S. Konopki, por. Czas, nr. 188.
$^{26}/_{8}$, $^{27}/_{8}$, $^{30}/_{8}$ i częściej „Złota czaszka“ w teatrze miejskim, por. wyżej nr. 174—8.
$^{25}/_{11}$, $^{26}/_{11}$ i częściej: „Kordyan“ w teatrze miejskim, por. wyżej nr. 154—62.

Lwów.

W styczniu: **Gubrynowicz Bronisław:** Juliusz Słowacki, odczyty na kursach akademickich dla kobiet, por. Promień, nr. 1. s. 19.
$^{2}/_{2}$ i $^{3}/_{2}$ dwa wieczorki urządzone przez młodzież szkoły realnej. [Deklamacya z Maryi Stuart, Kordyana III. 4., por. Słowo Polskie, nr. 26].

**262.** Wieczór S—o. Promień, s. 45. n.

$^{5}/_{3}$ Wieczorek staraniem grona młodzieży polskiej w willi Müllera na Kastelówce, por. Słowo polskie, nr. 56.

$^{8}/_{4}$ Przedstawienie „Mazepy“ w teatrze hr. Skarbka z Chmielińskim w roli wojewody. [Gazeta lwowska, nr. 81. s. 4., 82. s. 3].

$^{29}/_{4}$ Nabożeństwo żałobne w kościele katedralnym obrz. rz kat. urządzone staraniem lwowskiego Koła literacko-artystycznego. [Kazanie ks. Adamskiego, por. nr. 45.; por. Słowo polskie nr. 95. z $^{22}/_{4}$ i 102. z $^{30}/_{4}$, Kuryer lwowski, nr. 111., 119., Gazetę narodową nr. 119., Gazetę lwowską nr. 98. s. 3].

$^{30}/_{4}$ Wieczór w „Czytelni kolejowej“ staraniem akademickiego Koła Towarzystwa Szkoły ludowej. [**Golczewski K.:** J. S. (odczyt), deklamacya: Kordyan III. 4.; por. Słowo polskie, nr. 102. popoł., 104. z $^{3}/_{5}$, Kuryer lwowski nr. 119.]

$^{11}/_{5}$ Deklamacya Jana Bieleckiego przez prof. szkoły dublańskiej Maryana Nowickiego w „Ognisku kobiet“. Por. Słowo polskie, nr. 111. z $^{11}/_{5}$ i 118. z $^{19}/_{5}$, Kuryer lwowski, nr. 144.

Cztery uroczyste wieczory ku czci S—o urządzone staraniem Związku naukowo-literackiego:

I. wieczór $^{18}/_{5}$ **dr. J. Pawlikowski:** „Ewolucyonizm mistyczny S—o“, por. wyżej nr. 142. i 144., nadto Słowo polskie, nr. 117. z $^{17}/_{5}$ i 119. z $^{20}/_{5}$, por. też:

**263.** O Słowackim. Kuryer lwowski, nr. 143.

II. wieczór muzyczno-deklamacyjny $^{25}/_{5}$. [**J. Kasprowicz:** Słowo wstępne o S., śpiew „Stokrótek“ S—o z muzyką H. Jareckiego, urywek poematu „W Szwajcaryi“ (kompozycyi E. Waltera), deklamacya z Lilli Wenedy I.. por. Słowo polskie, nr. 123. z $^{23}/_{5}$ i 124. z $^{26}/_{5}$, por. też:

**264.** Obchód Słowackiego. Kuryer lwowski, nr. 144.

III. wieczór $^{1}/_{6}$, por. Kuryer lwowski, nr. 151, s. 2.

IV. wieczór $^{8}/_{6}$, por. Gazetę lwowską, nr. 130., Przegląd 131., Czas 133., por. też:

**265.** Czem był Słowacki. [W korespondencyi ze Lwowa]. Kraj, nr. 23. s. 21.

**266.** O Słowackim. Kuryer lwowski, nr. 156., 158.

**267.** Walka o Słowackiego. Słowo polskie, nr. 137. popoł. z $^{11}/_{6}$.

$^{27}/_{5}$ wieczorek ku uczczeniu S—o w lokalu Zjednoczenia. (Słowo polskie, nr. 124. z $^{27}/_{5}$).

$^{27}/_{6}$ Występ B. Ładnowskiego w „Mazepie“. Dziennik polski nr. 177. (R. Poliński), Kuryer lwowski, nr. 177. [WDbr (Dąbrowski)], Przegląd, nr. 147., Gazeta lwowska, nr. 146.

$^{15}/_{7}$ wieczór Czytelni akademickiej. (Odczyt S. Brzozowskiego, por. nr. 46.; por. Kuryer lwowski, nr. 193. i sprawozdanie Czytelni akademickiej we Lwowie za r. 1898/9 s. 17.

$^{17}/_{9}$ poranek Stowarzyszenia „Siła“.

$^{3}/_{11}$ odczyt **dr. Feliksa Perla:** „Mickiewicz i S.“, urządzony staraniem uniwersytetu ludowego im. A. Mickiewicza, w sali stowarzyszenia „Ogniwo“.

$^{1}/_{12}$ zebranie w Kole literacko-artystycznem w sprawie sprowadzenia zwłok poety do kraju. Por. Kuryer lwowski, nr. 334. s. 1.

$^{2}/_{12}$ wieczór słuchaczów politechniki. Por. Gazetę lwowską, nr. 277. s. 3., Gazetę narodową, nr. 336., Przegląd, nr. 278., por. też:

**268.** Ku czci Słowackiego. Kuryer lwowski, nr. 335. s. 5.

$^{7}/_{12}$ odczyt Tetmajera o Kordyanie, por. Przegląd, nr. 283. s. 2., Gazetę narodową, nr. 341., por. też:

**269. Jcs.:** Kilka słów o odczycie Tetmajera. Ruch katolicki, nr. 282.

**270.** Tetmajer-Przerwa Kazimierz. Dziennik polski, nr. 341.

Miłosław.

$^{16}/_{9}$ Odsłonięcie pomnika J—a S—o, dłuta Marcinkowskiego, por. dział VIII.

Nowy Sącz.

$^{19}/_{4}$ Wieczór stowarzyszenia robotniczego „Siła“. [Odczyt **Fellera** o działalności J. S., deklamacye Dumy o Emirze Rzewuskim i Hymnu rewolucyjnego (przez Malischa i Skibickiego), por. Słowo polskie, nr. 92. popoł. i 96. popoł.

Podgórze.

$^{3}/_{6}$ Wieczorek gimnazyalny w Sokole. [**Mazanowski:** przemowa, deklamacya Ojca zadżumionych i Kordyana; por. Nową Reformę, nr. 127].

Poznań.

$^{23}/_{5}$ Wieczór urządzony staraniem katolickiego Towarzystwa terminatorów pod wezwaniem św. Alojzego w Poznaniu na sali Taubera. [Ks. mans. **Kościelski:** odczyt o S—im, ode-

granie jednego aktu „Księdza Marka“; por. Goniec wielkopolski, nr. 117., 124., Dziennik poznański, nr. 124].

$^{28}/_{6}$ Wieczór staraniem „Towarzystwa wykładów ludowych im. A. Mickiewicza“ i „Lutni“, por. Goniec Wielkopolski, nr. 137., Dziennik poznański, nr. 145.

Przemyśl.

$^{25}/_{3}$ Wieczór młodzieży akademickiej. [Kasprowicz: J. S. odczyt, por. Słowo polskie, nr. 74. popoł.].

Sambor.

$^{10}/_{12}$ 1898. wieczór urządzony staraniem uczniów gimnazyum w rocznicę 50-letniej śmierci S—o, por. Słowo polskie 1898. nr. 304. popoł.

Sokal.

Czerwiec: Deklamacya Jana Bieleckiego przez Nowickiego w sali „Sokoła“ (por. Słowo polskie. nr. 138).

Stanisławów.

$^{26}/_{3}$ Odczyt Stanisława Błotnickiego: „J. S.“, w Gwieździe, por. Słowo polskie, nr. 70. popoł. i 75. popoł.

Czerwiec: wieczór S—o [odczyt **Dębickiego** o S., por. Słowo polskie, nr. 138].

Śniatyn.

$^{10}/_{5}$ Wieczór staraniem „Sokoła“. [**Wagner:** odczyt o S., deklamacya Ojca zadżumionych i Lilli Wenedy (IV. V.)]; por. Słowo polskie, nr. 114. z $^{4}/_{5}$, Gazetę polską (czerniowiecką) nr. 39. (W.), Gazetę lwowską, nr. 111., por. też:

271. Obchód Słowackiego. Dziennik polski, nr. 135.

Tarnopol.

$^{15}/_{4}$ Wieczór staraniem Koła Towarzystwa Szkoły ludowej i Tow. muzycznego w sali Sokoła [**Promiński Kazimierz:** Słowo wstępne o S., apoteoza S—o; por. Słowo polskie, nr. 88. popoł. i 91. popoł.

Tarnów.

$^{25}/_{6}$ Wieczór staraniem „Kółka przyjaciół muzyki“. [**Habura F.:** Odczyt o S—im, deklamacya Ojca zadżumionych i Balladyny (I. II.), śpiewy Chóru harfiarzy z Lilli Wenedy (muz. Szurzyńskiego) i Hymnu do Boga Rodzicy (muz. Kozłowskiego),

Por. Ruch katolicki, nr. 148. w korespondencyi z Tarnowa. (Quis)].

Warszawa.

$^{10}/_{4}$ Nabożeństwo żałobne za duszę poety w kościele św. Krzyża.

272. **Hoesick Ferdynand:** Rocznica S—o. Obchód kościelny. (Korespondencya: Warszawa w kwietniu). Kraj, nr. 14. s. 17.

273. Nabożeństwo za S—o. Tygodnik illustrowany, nr. 16. s. 303.

274. Nabożeństwo żałobne za J. S. Słowo warszawskie, nr. 83. s. 2.

275. Nabożeństwo żałobne za duszę ś. p. S—o Biesiada literacka I. 293. Por. nadto wzmianki w Słowie polskiem, nr. 85. s. 5., Gazecie lwowskiej, nr. 82. s. 3., 83. s. 4., Ruchu katolickim, nr. 84., Wieku (warszawskim) nr. 81. s. 2., Gazecie polskiej, nr. 81. s. 2., Kuryerze polskim, nr. 96. i 98., Gazecie warszawskiej, nr. 92., 93., 94.

Wiedeń.

$^{27}/_{4}$ Wieczór urządzony staraniem akademickiego stowarzyszenia „Ognisko“. [**Twardowski Juliusz:** odczyt o S., deklamacya Maryi Kasznicowej: „Boga Rodzico dziewico“ i „Hymnu o zachodzie słońca na morzu“, por. Słowo polskie, nr. 92.

276. **Kr. W.:** Uroczystość S—o w Wiedniu. [Korespondencya z Wiednia $^{29}/_{4}$]. Słowo polskie, nr. 104.

277. **Samson:** Echa z Wiednia. Dziennik poznański, nr. 122.

278. Uroczystość S—o w Wiedniu. Dziennik polski, nr. 122.

Wieliczka.

$^{1}/_{10}$ Wieczór S—o. (Czas, nr. 227).

Wrocław.

$^{26}/_{11}$ wieczór Sokoła ku czci S—o i Chopina w wielkiej sali domu Wincentego Seminargasse nr. 15. [**Zaremba W. dr.:** przemowa, deklamacye Balladyny I. 2. i Kuligu; por. Dziennik poznański z $^{25}/_{11}$].

Zaleszczyki.

$^{7}/_{8}$ Odczyt **Jana Kasprowicza** o S. [Por. Nową Reformę, nr. 185].

# KORESPONDENCYA
# JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

### Do Pana Seweryna Goszczyńskiego w Paryżu, rue Grenelle St. Honoré 59.

*Passy, rue Basse 8.*
*Środa 6. grudnia 1848 r.*

Mój drogi Sewerynie, przyjdź jutro, we czwartek na obiad do nas, to pomówimy o twoim interesie. Ja w tych czasach nie zaopatruję się w książki, ale możebym znalazł na stronie gdzieś kupca. W każdym razie, radzić sobie będziemy po dawnemu, po bratersku. W poniedziałek, właśnie kiedy byłeś u mnie, wybierałem się takoż do ciebie, jak zaświadczyć może Karol Różycki, ale przeczułem, że cię nie zastanę w domu i spieszyłem bardzo za interesami.

Pozdrawiam i ściskam

Kochający Cię

*Bohdan.*

### Do Księdza Edwarda Duńskiego [1]).

*stycznia 1849.*

. . . . Widuję Karola Różyckiego i Goszczyńskiego. Przyznaję, że słucham ich zawsze z wielkiem zbudowaniem, nie spo-

[1]) Wyjątek ten z listu B. Z., przepisany przez księdza Duńskiego w liście do ks. Hubego z 17. stycznia 1849, drukowany był w 4 tomie Historyi Zgrom. Zmart. Pańskiego, str. 222.

strzegam w niczem ani cienia odstępstwa od Kościoła. Oby Towiański dotarł do Ojca św. co najrychlej i wyłuszczył całą naukę swoją i całą sprawę w świetle, w jakiem ją podają Karol i Seweryn. Skończyłby się raz opłakany rozbrat duchowy między nami. Że były ongi bałamuctwa i brednie prawili Adam i inni, niema najmniejszej wątpliwości. Ale wieża Babel, zdaje się, że powstała z pychy indywidualnej, usiłującej zrozumieć i uformować naukę mistrza w języku poetyckim. O wizyach i cudach dziś nie słychać już. Tem lepiej. Sądzę, że będziesz miał, kochany ojcze, sposobność wybadać do gruntu prawdę całą. Towiański zapewne zabawi czas jakiś w Marsylii, wątpię, ażeby w tych czasach mógł dotrzeć do Gaety, a nawet dotarłszy, aby mógł swobodnie rozmówić się z Ojcem św., zakłopotanym tylu naraz sprawami. Kardynałowie jeszcze mniej mają spokoju należytego do rozsądzenia ortodoksyi jakiejbądź nauki. Przeczucia mam jakieś mętne, smętne, ale co znaczą moje przeczucia?! . . . . . .

*Bohdan.*

## Do generała Józefa Szymanowskiego.

*Passy, près Paris, rue Basse 8.*
*20. marca 1849 roku.*

Pozdrawiam kochanego generała jak najuprzemiej, jak najczulej, łącząc zarazem życzenia od żony i od syna przy święcie św. Józefa. Spólny nasz patron przemożny w niebie i cudotworny na ziemi, to niech wyjedna kochanemu generałowi co potrzebne do umilenia zasłużonego żywota, a głównie niech wymodli co potrzebne chrześcianinowi do zbawienia duszy.

Sprawy tego świata w nierozdziergnionem, w gordyjskiem prawdziwie zaplątaniu. Na wschodzie i zachodzie Europy gotują się oto wojacy rozciąć je mieczem. Jednocześnie z tym listem odbierze zapewne generał wiadomości o stanowczych wypadkach w Lombardyi i na Węgrzech. Dziwna, że tu i tam piastunami miecza, arcyofiarnikami są rodacy nasi! Ku czemu przecież ma się ludzkość? Ma się niewątpliwie ku wolnej przemianie, ku nowemu przeobrażeniu porządku społecznego. Zło czy dobro zwycięży na razie? Owoż w tem tkwi tajemnica boża! Wiara i wolność są względem siebie solidarne, związane sojuszem wiecznym na Gol-

gocie. Wiara bez wolności, wolność bez wiary nie ostają się w chrześciaństwie. A przecież chodzą samopas, luźnie, owszem wyzywają się do bezbożnej walki. Oj, wielkieć grzechy i u Góry i u Dołu, że równoważą się doskonale przed Panem.

Narodowości, te kółka drobne w zegarze bożym, zamiast zazębiać się jedno o drugie przy osi swej, przy kościele Pańskim, latają jak szalone na prawo, to na lewo, skrzypią, burczą w rozstrojeniu! Spękane snać łańcuch i ogniwa. Straszne klęski grożą przecywilizowanej Europie. Z tem wszystkiem z krwi, co się przeleje, a głównie z krwi co wylał Chrystus Pan przed wieki, wykwitnie nowy ład dla świata. Wstanie słowo mocarz, nowy Napoleon, ale Napoleon chrześciański, co zwaśnione żywioły pojedna. Wtedy i Ojciec święty, najukochańszy nasz Pius, uwielbiony będzie jako stróż prawa powszechnego i powszechnej prawdy. Nie Neapolitańczycy, ani Hiszpanie, ale sam lud rzymski, wytrzeźwiony z szału, pokajany w łasce Pańskiej, poniesie Piusa IX. na stolicę Piotrową, co daj Boże jak najrychlej. Daj takoż Boże, aby inicyatorem ludzkości, wodzem nowego Izraela był ktoś z krwi polskiej. Nie darmo to, generale, wszędzie w narodach rej wiodą Polacy.

Od kochanej generałowej mieliśmy świeżo list. Dzięki Bogu zdrowiej w domu, odżywają jako kwatki ku wiośnie.

Jeszcze raz ściskam ręce z uszanowaniem

*Bohdan Zaleski.*

## Do Pana Jana Koźmiana.

*Paryż, Passy, 26. lipca 1849 r.*

Drogi Janie, nie mniej do mnie żalu, że tak długo milczałem. W przerwie naszej korespondencyi, jakaż bo straszna wichrzyca? Co zmian? Dawna przędza uczuć i myśli jako pajęczyna unosi się gdzieś na wiatrach. Odechciewa się prząść na nowo, póki mętno, smętno na świecie i w sercach. Hej, źle modliliśmy się, a gorzej wieszczyliśmy, kiedy zmory a upiory przechadzają się oto na jawie, i ani uciekają przed krzyżem Pańskim. Modliliśmy się i wieszczyliśmy w pysze, to nie umiemy dzisiaj zakląć fal, co wzbierają, a wzbierają nawet ponad głowy Adama i Zygmunta. Przedłuży się jeszcze nasza pokuta, przybędzie pracy co niemiara, obyż zstąpiła pokora do serc naszych i ściągnęła nam nowe łaski Pań-

skie, których już nie zmarnujemy. Miłosierdzie Syna na szlach sprawiedliwości Ojca przeważy, to Duch święty z ludźmi po wszystkie wieki. Zło przesili się i może rychlej niż się spodziewamy. O my patrzym na Dunaj i Cissę, na te tajemnicze wody słowiańskie. Nieszczęśliwi, łatwowierni są! Owoż, co Bóg zdarzy, doczekujemy cierpliwie, sercem przy sercu rozgrzewajmy się na słoty i chłody, co nadchodzą. Mój drogi Janie, potrzeba nam związać się ściślej niż dotąd, znosić się częściej i radzić społem o wszystkiem, jako co dzisiaj stoi i jako co waży.

Sprawa rzymska trapi nas niepomału i trapi nas rozprzężenie między księżami naszymi. Jeszcze raz, kochany Jasiu, nie miej do mnie żalu za moje milczenie. Pomimo tego, mało kto cię rozumie tak jak ja, mało kto tyle ceni, tyle kocha. Ty od dawna jesteś dla mnie zbudowaniem i pociechą. Myślcie tam o starcach naszych i młodzieży świeżo przybyłej, która literalnie mrze głodem. Iszczą się co do joty proroctwa świątobliwego księdza Skargi. Ksiądz Skarga, to wieszcz nad wieszczami, jedyny prorok Pański w Polsce naszej. Zygmunt chory. Poznałem Zygmuntową. Kochana i zacna Polka. Adama prawie nie widuję. Nie powiodło mu się w redaktorstwie, zerwał takoż z Towiańskim, ale zawsze rozjątrzony na świat a osobliwie na księży. Odżałować nie mogę straty kochanej, zacnej Pani Karoliny Mycielskiej, Montalembert po uszy w reakcyi, że ani przystapić do niego. Znienawidził Polaków, stał się legitymistą czystym, ze strachu socyalizmu. Szkoda tego niepospolitego człowieka. Boże, Boże, co się nie święci w tej Francyi!

Polecam cię Bogu i pozdrawiam i t. d.

*Bohdan Zaleski.*

## Do Pana Jana Koźmiana.

*Passy, près Paris, 8 rue Basse*
*26. lipca 1849 r.*

Kochany nasz bracie Janie! Twój list z dobrą dla zacnego Pana Leona nowiną posłałem mu w też tropy na wieś pod Nantes, gdzie od miesiąca zamieszkał. Poczciwieś zrobił, żeś się z tem doniesieniem pospieszył, bo prócz różnych dogryzków, które nas zewsząd szarpią, niemało także dokucza niedostatek. Jużeś dawno wyszedł z rutyny emigranckiej, to pewno nie wiesz, co się tu dzieje.

Od naszego letargicznego marszu przez Europę, nikt się prawie na miejscu nie ostał; kto miał jakie takie mienie, posady, stosunki, wszystko co było, rzuciliśmy pod nogi dla większych i szlachetniejszych celów; któżby był nie uwierzył, że braterstwo z takim entuzyazmem za godło odrodzenia społecznego przyjęte, nie wypleni między narodami nienawiści i krzywd, a nie zaszczepi sprawiedliwości? Tymczasem nie tak się stało. Najcudowniejsze pokrewieństwo, które nam Zbawiciel przekazał, zaplątane w politykę bez serca i Boga, rychło przelękło się samo siebie i zaparło własnego jestestwa. Nie złorzeczyć wszakże ludziom, ale płakać nad naturą naszą potrzeba, że taka lekkomyślna. Położenie nasze tutaj staje się coraz drażliwsze, walą się zewsząd na nas obwinienia o niepokój, nie bez winyśmy wprawdzie, ale skąd poszła nauka i przykład? Co się z nami dalej stanie, przewidzieć trudno, ale mam nadzieję w Bogu, że i z tej toni wyjdziemy na czysto.

Mamy tu między sobą do 200 młodszych braci bez języka i rzemiosła, na samym funduszu emigracyjnym, u pierwszego zbieranym. Ubodzy żywią ubogich, i stoły też nie sute a opatrzenie niewymyślne; żywność, mieszkanie i odzież opędzają dziewięciu susami na dzień. Ty, co znasz Paryż i oszczędności nasze, powiedz czy to za dużo? Dnia wczorajszego rząd tutejszy wyprawił stąd 60 czy 80 naszych, wszystko uczniów szkoły demokratycznej francuskiej. Przykładaj się tu do cudzych nauk. Wyprawieni mają we trzy dni Francyę opuścić. I względem reszty przebąkują dzienniki o różnych projektach, ale potrafimy za łaską Bożą kielich goryczy wypić aż do dna i odpłacimy kiedyś wszystkim miłością. Dziewiętnaście lat nie na próżno się przebolało. Jeżeli nie przed ludźmi, to przed Bogiem zostanie jakaś zasługa dla tej świętej sprawy, przy której staliśmy, i gdybyśmy się byli Bogu lepiej zasługiwali, jużby może dotąd było inaczej. Między nami, kochany Janie, powinna być solidarność chrześciańska w uczuciach, a zatem na kolana i polećmy siebie i to co kochamy Bogu.

Dyonizia [1]) z mężem jest w Odesie, u wód morskich. Podobno na siłach bardzo opadła. Szkoda tej pięknej duszy, która w swem ciele tak prędko więdnie, szkoda mi tego dziecka, któr· m na rękach z taką miłością wychuchał, wypieścił, a teraz na starość nie mogę się nawet niem pocieszyć. Pani Konstancya [2]) po wyjeździe z Berlina już drugi raz w ciąży. U nas w domu wszyscy zdrowi prócz

[1]) Poniatowska.
[2]) Rzewuska.

mnie, po trzydziestu oto pięciu latach otworzyła mi się rana, noga mnie boli, ale dotąd nie uważam na to i chodzę, nie wiem co będzie dalej.

Ściskam Cię serdecznie i t. d.

twój

*Józef Zaleski* [1]).

190 czy 200 naszym, których wieziono z Tryestu do Ameryki pofolgował kapitan, wszakże po bezskutecznem opłynieniu portów Marsylskiego i Tulońskiego, gdzie im wylądować nie dano, i po długiem wytrzymaniu w porcie Algierskim pozwolono im nakoniec tam wysiąść na ląd, z tem jednok zastrzeżeniem, że do dalszego rozporządzenia. Ze znajomych jest tam poczciwy nasz Gołyński i Mazurkiewicz, którego żona z dzieckiem gdzieś u was. Jest tam może znajomych i więcej, ale o nich nie wiemy. Nasi księża wszyscy się prawie rozjechali. X. Karol do wód na kuracyę, X. Piotr do Solesmes na wygotowanie teologicznej rozprawy, X. Aleksander dziś czy jutro jedzie do Dieppe, X. Edward zawsze piersiowy siedzi w Lyonie z pułkownikiem Karolem. Zbliżył się bardzo do Towiańszczyków, chce ich do Rzymu zaciągnąć, nie wiem czy mu się uda. X. Hippolit ma tu 1-go p. m. przyjechać; byliśmy o niego niespokojni, ale się z więzienia wydostał i jest w Spa. X. Hieronim jest w Szwajcaryi, X. Józef ma także z Rzymu przyjechać.

## Do hrabiego Oswalda Szymanowskiego w Berne.

*Paryż, 9. sierpnia 1849 r.*

Kochany Oswaldzie! Przeczuwaliśmy oddawna koniec Anusi [2]), a przecież oto śmierć jej uderzyła nas dotkliwie, jakby wcale niespodziewana. Spółczujem z wami i płaczem z wami. Jakiż tam smutek i jaka żałoba w domu waszym! Biedni wy wszyscy, a najbiedniejsza wasza Matka. Zbolała w duszy, zwątlona w ciele, toż tam teraz cierpi! Młodość w pełności życia, w świeżości uczuć swoich zaczerpnie potrzebną siłę do zniesienia ciosu, który wie że jest niezbędny, że jest prawem na tej ziemi. Ależ Matka? Dla matek nie ma perswazyi. Pod sercem nosiły nas, to bolą w sercu

[1]) Brat Bohdana.
[2]) Anna Szymanowska.

dłużej i dłużej duch ich na falach. Otoczcież Matkę waszą ustawicznym pokojem, otulcie ją rzewną miłością, aż uciszy się w sobie i napełni się łaską rezygnacyi w Panu. Na ciosy śmierci nie ma inszej rady. Czas i rezygnacya, to nie lekarstwo, ale jaka taka ulga. Tyś mężczyzna, Oswaldzie, to po męsku czuwaj i po synowsku radź w sercu swojem. Mów przedewszystkiem Matce o mnogich jej obowiązkach. Ona taka przykładna chrześcianka. Mój Boże, czemu to my nie z wami? Czemu nie możem żywym głosem i w uczynkach okazać wam gorącą miłość i przyjaźń naszą. Żonę moją druga oto śmierć poraża w ciągu dwóch miesięcy. Chciałem przez wzgląd na stan jej ukrywać tę nową stratę, ale było niepodobna. Lepiej że się wypłacze póki ma więcej sił. Zresztą hartują nas codzień klęski i nieszczęścia publiczne na wszelką boleść.

. . . . . Święć się wolo Boża! toć i wszystko. Chętnie dałbym wiersze na pomnik, ale myślę, że bez nich obejść się może. Skromny napis z wyrażeniem daty urodzenia i skonu, wymowniejszy będzie niż rymowana pochwała. Nie wymawiam się jednak, gotów jestem posłać wiersze, skoro mi doniesiesz, że tego sobie życzycie.

Nie chcę cię zaprzątać dłużej pospolitemi drobiazgami. Wiem, że masz co innego dzisiaj w sercu i w myślach.

Ściskam cię i t. d.

*B. Zaleski.*

## Do Pana Jana Koźmiana.

*Paryż, wrzesień 1849 r.*

Kochany Janie! Odsyłam list Seweryna [1]), który mi wczoraj doręczył z pozwoleniem czytania. Mogę zaświadczyć, że co pisze jest prawdą. Wiem, że żyje w nędzy wielkiej, widzę, że pomimo nędzy, pracuje zapamiętale. Nad czem pracuje? Nie wiem. Między nami trwa po dziś dzień spór o Towiańszczyznę, przeszkadzający do dawnej poufałości literackiej. Sądząc jednak po rozmowach, myślę, że praca Sewerynowa będzie w treści swej rozumna i budująca. Seweryn spobożniał bardzo i spoważniał do niepoznania. Ani śladu onych ultrademokratycznych i antykatolickich teoryek, o które z nim dawniej bojowałeś. Wytrzeźwiał w Towiańszczyźnie.

[1]) Goszczyński.

Owóż i Towiańszczyzna zmieniła dziś oblicze. Po usunięciu się Adama spokojniej patrzy i łagodniej gada. Z rzucającej się Sybilli słała się niemal prostą, pokorną mniszką. To pewna, że cele messyanizmu mistyczne i wszelkie fantasmagorye były z wymysłu Adama. Czytałem protestacyę Towiańskiego przeciw tym wszystkim dodatkom, protestacyę napisaną przed kilkoma laty. Słucham codzień uważnie Karola, X. Edwarda, Seweryna, czytam, co mi dają z pism Towiańskiego, i oprócz niewłaściwych gdzieniegdzie wyrazów i wyrażeń, nie widzę doprawdy, ażeby stawali w rokoszu przeciw Kościołowi. Owszem obstają jaknajgoręcej z nami za nauką katolicką i nawet za Papieżem. Świeżo, kiedy zagrożeni byli potępieniem przez sobor paryski, widziałem w nich gotowość wysłuchania wyroku zwierzchności duchowej. Do Ojca św. chce znowu jechać Towiański. W ogólności z tego, com dotąd czytał i słyszał od nich, wydają mi się jakoby bractwo ascetyczno-moralne, jakoby jakiś nowy Port-Royal. Wierzą w natchnienie i czystość Towiańskiego, ale już go nie nazywają mistrzem. Czem się dręczę o nich, czem także się dręczy X. Edward, to ową metampsychozą, o której Towiański jakoby miał objawienie. W tem głównie tkwi spór nieskończony między nami. Towiański chce to swoje objawienie przedstawić w całej pokorze Ojcu św. Mniemam, że będzie potępione. Owoż po tem potępieniu, jeśli się na seryo wyprą swego, przybędzie Kościołowi kilkunastu czy kilkudziesięciu gorliwych sług. Co daj Boże! Sądzę, jako widzisz, z trzech, a może co innego u innych i w gruncie nauki. Ci trzej zdają mi się najznamienitsi w kole; widzę że urzędują, ale póki naukę ich nie osądzi Kościół, nasze świeckie zdania nic nie ważą. Radbym z całej duszy, aby się usprawiedliwili przed Urzędem i zjednoczyli z nami, tacy bo serdeczni, prawi i znamienni Polacy. Nie wiem, co postanowisz o drukach pism Sewerynowych, sądzę, że bez skrupułu mógłbyś wydać poezye, tembardziej, że zdaje się pisał je przed wnijściem do Towiańskiego. W każdym razie zastrzeż sobie wolny sąd. Poezye te miał nabyć Milikowski we Lwowie, ale manuskrypt przyszedł w czasie oblężenia i wymówił się autorowi. Przywiózł je napowrót Nabielak. Cokolwiek postanowisz, a godziłoby się insynuować lidze, aby pamiętała o Sewerynie, bo biedny bardzo, o zarobku we Francyi ani myśleć. Zresztą zapytam go się czy chce, bo się lękam, abyśmy tym krokiem nie obrazili godności jego osobistej.

W tych dniach odumarł nas generał Mycielski. Szkoda nieodżałowana. Szlachetny to był mąż i dzielny wojak. Żyłem z nim ściśle. I on ku końcowi wytrzeźwiał był z mistycyzmu i somnam-

bulizmu. Wierzył poprostu i modlił się gorące. Bóg mu też pozwolił umrzeć po chrześciańsku i opatrzonemu SS. Sakramentami. Teraz kandydat na tamten świat Fr. Chopin. Ma się źle. Nogi i brzuch zaczynają puchnąć. Zaniedbany bardzo w religii, ale może Bóg da, że się opamięta. Prosi o modlitwy i słucha pobożnie litanii.

Emigracya cała chora. Rozprzęga się po widomu. Wielu wraca za amnestyą, wielu wyrusza do Ameryki, reszta trawi się w tęsknocie i zniechęceniu. Nędza, jakiej nigdy nie było. Nowym emigrantom Francuzi nie dają subsydyów, a i starym wielu odjęli. Wyraźnie radziby się nas pozbyć. Co gorsza, to że ta obojętność ku Polakom przesiąkła już i do warstw niższych społeczeństwa francuskiego. We wszystkich tu klasach i stanach jednaki upadek na duchu. Co z nimi i z nami się stanie, Bogu jeno wiadomo.

Norwid po staremu bajronizuje. Mętno mu i smętno w sercu. Opuścił ręce, a krnąbrny w duchu, że niczyich rad nie przyjmuje. A szkoda tyle niepospolitych talentów! Taka potężna inntelligencya i cóż po tem? Marnuje dary i łaski, manieruje w pismach, dziwaczy w życiu. Skądby mu zaczerpnąć ulgi? Czem obudzić energię? Marzy wciąż, a co smutniejsza, że w gruncie pobożny jest i miłujący Boga. Ufam, że go Bóg nie opuści, że go cudownie uzdrowi, odnowi na pożytecznego sługę swego. Widuję także Klaczkę. Spodobał mi się; bystry, pracowity, pisuje dziarsko, a czuje i myśli po polsku. Myślę z nim wejść w ściślejszą zażyłość.

Trybuna Adamowa dogorywa. Podobno że Branicki cofa swoją opiekę. Ks. Adam udaje się do Genui. Polityka tedy przecichnie na jakiś czas. Może wnikniem w siebie i uderzym w pokajanie. Oj czas i wielki czas!

U mnie w domu nowy gość z nieba. Bóg mi dał córkę. Matka i dziecię zdrowe. Z Ukrainy od dawna ni wieści ni słychu, to mnie zachmurza nieco. Rachuby ludzkie nie ważą w tym czasie. W niczyje już proroctwa nie wierzę, ani w swoje własne, ale ufam nieskończenie, ufam w rychłą pomoc Bożą! Księża nasi zjechali sią niemal wszyscy do Paryża; nie wiem, co uradzą i czy co uradzą. Umysły w rozterce, to i myśli niesklejne.

Dość, pozdrawiam i ściskam

*Bohdan Zaleski.*

## Do Pana Jana Koźmiana.

*Paryż, wrzesień 1849.*

Mój drogi, już mój Bohdan napisał wszystko, co się między nami i koło nas dzieje: jakby przesilenie nie już dnia z nocą, ale

nocy z dniem; jak się rozwidni, Bogu tylko wiadomo; ale ponieważ wszelkie rachuby ludzkie omyliły, a świat stoi i stać będzie, to pewno rachunku Bożego my ludzie nie rozumiemy; ale niechno raz podług Boga rachować wprawimy się, to pójdzie nam wszystko jak z płatka. Rozrzuceni po całym świecie nawołujem się sercami; może ci miło będzie dowiedzieć się, jak nasze sprawy europejskie widzi nasz Chilijski Żegota [1]): „Sądzę, pisze on. że przed zimą „rozwidni się nieco horyzont, wystąpią Moskale ze swoich ostę- „pów i poczną trzepać Niemcow, a śmiać się z naszych sprzymie- „rzeńców Prancuzów. Wtenczas nie dosiedzę na miejscu i pobiegnę „za wami. A tymczasem zapytacie mnie, co robię między Amery- „kanami. Ale, moi kochani, robię co mogę, co mi się nadarzy robić „z pożytkiem dla drugich. Chemia i geologia zabierają tylko część „mojego czasu; uczę. piszę, radzę, układam niekiedy nowe prawa „i urządzenia, a przedewszystkiem uczę się, a za wszystko dziękuję „Bogu, tak za dobre, jak za złe, które nas dociska, i unikam pró- „żnowania".

Pozdrawiam cię z całą rodziną, całem sercem i całą w Bogu miłością, wszystko mi się zdaje, żeśmy gdzieś stąd na wylocie; patrzą bo tu teraz na nas jak na ludzi, którzyśmy im ciężarem, albo wyrzutem sumienia. Ufanie w Bogu weźmiem sobie za przewodnika, jeżeli przyjdzie wędrować i wesoło się droga odbędzie, boć ten się nie wiele biedzi, kto się całkiem poddał woli Bożej.

Bądź zdrów mój kochany Janie i kochaj nas, a złóż nasze uszanowanie generałowi i pozdrów znajomych, Stanisława uściskaj.

Twój

*Józef.*

## Do Pana Jana Koźmiana.

*Paryż, Passy, 7. listopada 1849.*

Ściskam cię kochany Janie. Od żony i dziatwy pozdrowienia. Radbym z duszy posłać coś do Noworocznika Z. Prusinowskiego, ale nie mam nic, co się nazywa nie mam nic. Od dawna juz nie piszę wierszy. Mętno i smętno w sercu, to i jałowo w myśli. Karać to za ladajako zmarnowane dary i łaski Boże! Seweryn obiecał dać. Miał wczoraj przynieść do Michasia. ale nie przyszedł. Nie wiem co się znaczy. W starej tece mojej mam dużo ramot, ale nie rymujących zgoła z dzisiejszemi okolicznościami krajowemi,

[1]) Domeyko.

to nie warto posyłać. Może naprędce wytłómaczę jaki psalm lub coś podobnego. Józef przepisze wam kilka urywków Celińskiego, a moze tymczasem przyniesie swoje wiersze Seweryn. Za trzy tedy lub cztery dni poślemy Ci do Noworocznika, co się zbierze. Stefański pisał do Seweryna, oświadczając chęć nabycia manuskryptu. Seweryn nie wie, czy to z twej porady? Czcka na przyobiecany list, ale manuskrypt miał wręczyć Michasiowi. Szkoda, że twój ostatni bilecik zapóźno nam wręczono, bo oto niepotrzebna zwłoka. Co się u nas dzieje opowie Michał. Przy expedyowaniu wierszy napisz obszerniej. Celińskiego poezye godzi się wydać w Poznaniu. Ciężą mi na sumieniu i wyspowiadam się w przyszłym liście. Mój drogi Janie, zadłużyłem ci się bardzo, ale doprawdy wina w tem takoż czasów i okoliczności publicznych i prywatnych. Czy Bóg mi pozwoli naprawić złe? Z całego serca radbym, ale jestem w niemocy i rozstrojeniu.

Pozdrawiam i t. d.

*Bohdan.*

## Do Pana Jana Koźmiana.

*Paryż, Passy, 7. listopada 1849 r.*

Kochany Janie, przez twego przyjaciela, zacnego Michasia, któregośmy szczerze pokochali, pozdrawiam cię i całuję serdecznie. Od niego dowiedzieliśmy się, żeś już sobie obywatelstwo w Księstwie wyrobił, niechże Bóg teraz jeszcze więcej błogosławi pracom twoim obywatelskim. Budujesz też nas wciąż swoją gorliwością i dajesz świadectwo, że tej ziemi kochanej, do której ci Bóg wrócić pozwolił, służysz sercem i duszą. Z nami, kochany bracie Janie, dzieje się wcale inaczej, cudzy grunt wciąż się nam z pod stóp usuwa i żadna robota nie klei się; serce bo tęskne, bo i głowa nieswoja, rzekłbyś, że przed świtem mamy zwinąć manatki i dalej gdzieś z myślami w drogę. A przytem też wypadki dziwne dziwnie też dusze usposabiają; płakać nieraz chce się nad ludźmi, którzy jak gdyby nigdy prawa Chrystusowego nie czytali, tak się mordują.

Przetłómaczyłem tu niedawno książeczkę świętego Liguoregó o Miłości, czyby nie można to u was jej wydrukować? Możeby komu jaki pożytek przyniosła; mego w tej pracy nie ma nic prócz sumiennej chęci oddania najwierniej myśli świętego. Nie wiem, czym temu dobrze podołał, boć wiesz jaka to różnica między grzesznikiem a świętym? To ci tylko szczerze zaręczyć mogę, że starałem się jak najmocniej trzymać prostoty, którą pachnie cała książeczka.

W tułactwie naszem nie ma nic nowego, biedy i nędzy powyżej głowy; kto co miał, przejadł albo dojada. Z Szwajcaryi kilkunastu naszych starych emigrantów, których tam Austrya wypędziła, piszą i molestują o radę i wsparcie, a tu nie ma o co rąk zaczepić. Do stu podobno, a między nimi i kilkanaście rodzin, wyjechało do Ameryki — po co? Uciekają przed biedą, jakby na drugim brzegu obszernego morza szczęście na nich czekało! Kto nigdy nie doznał biedy, nawet nie rozumie tego uczucia, co biednego tak goni po świecie. I nie ma na to rady, jak w pełniejszem i całkowitem poddaniu się woli Bożej; ale my wszyscy, ile nas jest, jesteśmy do tego nieprzygotowani...

Przyciskam cię do serca i t. d.

*Józef* [1]).

## Do Pana Antoniego Witwickiego.

*Paryż, 6. grudnia 1849.*

Panie Antoni, panie Antoni, teraz to doprawdy jesteś bardzo nieszczęśliwy. Wzrusza mnie do głębi serca twój stan opłakany. hej sierocy, łazarzowy, a nadewszystko przeraża ta wisząca wciąż groźba kalectwa, o której mi piszesz. Bóg świadkiem, że radbym ci ulżyć w czem, przynieść jakąś pociechę. Ale cóż ja mogę? Co warta pociecha w słowach? Co warte wszelkie ludzkie rady, albo ubolewania zwłaszcza dla wygnańca zbolałego na ciele i na duszy, dla wygnańca z charakteru już skłonnego do mizantropii, któremu z dawna wstrętny świat, bo nawet najżyczliwsi podejrzani? Świętej pamięci nasz Stefan (Witwicki) cierpiał takoż dużo i bez przerwy w życiu, bolał niewypowiedzianie w ciele swem, ale miał osobne usposobienie, osobny dar Boży, że zwyciężał, że połykał w siebie i ból i udręczenia; a dla ludzi miał zawżdy uśmiech na licu i wyrozumienie i miłość, taką miłość, że promienił wciąż w mokrym wzroku jak święty albo anioł. Stefan jeno sam zdolen byłby cię pocieszać! Bo jak mu sprostać w doskonałości? Jam arcymaluczki w cnotach chrześciańskich, abym śmiał w imię Ukrzyżowanego Boga, ze Stefanową powagą i pewnością kazać do biedaka brata. Uciekam więc w niemocy własnej do Stefanowej pamięci . . . .

. . . . . .

*Bohdan.*

[1]) Brat Bohdana.

## Do Pana Seweryna Goszczyńskiego.

*Passy, 4. marca 1850.*

Mój drogi Sewerynie, mówił mi ks. Edward, że piszesz w tych dniach do Poznania, do redaktorów Krzyża i Miecza. Owoż i odemnie załącz im szelążek. Na razie nie mam nic oryginalnego, ale Dawidska pieśń [1]), jako tako przełożona, ma jeszcze większą wartość niż wszystko, cobym z własnej głowy wydumać mógł. Rymuje zresztą wyśmienicie i z położeniem naszem i z duchem redaktorów Krzyża i Miecza. Pieśń ta niebardzo się udała ojcu Janowi Kochanowskiemu. On dobrze rozumiał Dawida, ale my rozproszeńcy, lepiej go czujem.

Przejrzałem sześć numerów Krzyża i Miecza. Nie ma co mówić, żartka nasza młódź, myśli i pisze po polsku, to jest poczciwie myśli a pisze ogniście. Wszakże tu to ówdzie przemigają już rożki, które rychło urość mogą na rogi bawole. Poczynają lubować się w doktrynie, a więc boję się, aby nie spaczali w sobie polskiego ducha. Strzeż ich Boże! Katolicyzm ich takoż trochę mi podejrzany, bo już doktrynerski. Do ludu, między lud ich napędzaj po wiarę i rozum i pieśń i po wszelkie święte i dobre natchnienie. Kiedyś, jak będę miał co im posłać, napiszę sam obszernie rady i przestrogi starszego brata z tułactwa, to jakby błogosławieństwo. Wiem że z takiem uczuciem czytać będą twój list, który nie wątpię iż surowy. Żal się Boże, aby nam zmarnieli! Pozdrów ich i odemnie.

A kiedyż do nas zawitasz?

Twój

*J. B. Zaleski.*

Proś redaktorów Krzyża, aby dopilnowali korrekty. Biada uszkodzić w czem rytm, bo wnet cała pieśń okuleje, a to byłby *crimen lasoe majestatis* przeciw królowi Dawidowi.

## Do Pana Ignacego Domeyki.

*Passy-Paris, rue Basse 8*
*12. kwietnia 1850 r.*

Kochany i serdeczny Nasz Bracie Ignacy! . . . . . .

. . . . . .

[1]) Super Flumina Babylonis.

Niedobrze nam tu teraz, gorzej niż kiedy było, ale oto Bóg dał nam Laszkę, co ma lekarstwo na każde nasze zmarszczenie czoła; to powie jakieś dobre słowo, to przymili się i człowiek o biedzie zapomina i dziekuje Bogu za te łaski domowe na podróży... Oto zwijamy nasze paryskie szatro i przenosimy się właśnie pojutrze do Fontainebleau; przenosić się z dziećmi i z rupieciami, możesz miarkować ro to za kłopot i bieganina, a przenosić się trzeba, bo nam odjęto subsidia, musimy się oszczędzić. . . . . Na święconem u hr. B. . . . X. . . . widzieliśmy się po długich czasach z Adamem, był w dobrym bardzo humorze i obiecał nam do Fontainebleau do nas przyjechać. Marynia jego urosła, że panienka choć za mąż, była także z Adamową na święconem. Tam po raz pierwszy Adam się spotkał z dawną swoją znajomą z Odessy, ową niegdyś sławną pięknością S. . . . , a dziś Panią C. . . . Sprowadził ich z sobą Szemiot. Bądź nam zdrów i t. d.

. . . . . .

Twój

*Józef Zaleski* [1]).

## Do Pana Jana Koźmiana.

*W dzień Matki Boskiej Dobrej Rady, to jest 26. kwietnia 1850 r. Fontainebleau, rue St. Honoré 50.*

Kochany Janie! Rękopis poezyi ś. p. Adama Celińskiego i listy jego pisane do Ciebie, wręczyłem na wyjezdnem z Paryża X. Hieronimowi do przesłania w Poznańskie. Przywiezie je tobie P. Józef Mycielski. Przejrzyj tedy manuskrypt, każ przepisać i wypraw do druku. Sądzę, że Hymny umieścić należy na początku zbioru *(n. b.* dwóch tam brakuje: owe wypisane z Imionnika A. Przeździeckiego, a posłane poprzednio dla X. Prusinowskiego. Owoż chciej je odpisać i włącz na czoło książeczki). Po Hymnach Spiew łabędzia, Kościuszko, Topielce, Trójobraz wiatru i t. p. Na końcu wiersze mistyczne, wiersze drobniejsze, i te, co są w listach do Ciebie, Uporządkuj zresztą cały zbiorek jak ci się żywnie podoba.

Szczegóły biograficzne o ś. p. Celińskim, jakie zebrać mogłem, i ocenienie ogólne jego pism poślę ci później; poślę w liście. skoro

[1]) Brat Bohdana.

się nieco rozgoszczę na nowej siedzibie. Tymczasem Kochany Janie, możesz śmiało rozpoczynać druk: przedmowa nadejdzie w sam czas. Miałem ja ongi zamiar skreślić obraz ruchu katolicko-literackiego na emigracyi, ale to podobno jeszcze zawcześnie, a może i nie w swojem miejscu.

Opuściłem tedy Paryż, kędy przemęczyłem się tyle, och tyle, przez tę parę mętnych a smętnych lat. Wróciłem na stare leże emigranckie, już nie sam, samiutki. Jakoś tu w Fontainebleau bardziej po wiejsku, i zaciszniej, i przestronniej i swobodniej. Nie spodziewam się już natchnienia poetyckiego, bo przeminęło, zdaje się, niepowrotnie. Hej, starzejem się, Kochany Janie! Daj Boże, usposobienie przynajmniej do pracy. Praca ma w sobie osobną własność, ów cudowny moszcz odmładzania. Łaknęż obmyć się w tym odmładzającym moszczu. Całemi piersiami utęskniam do byle jakiej pożytecznej pracy. Zależałem w tych latach swoje pole, to bez liku obowiązków, bez liku pobudek, ustawicznie kolą w bok jakoby ostrogami. Kiedyś udawało mi się w kilku dniach, w kilku miesiącach błogosławionych, zebrać plon za wiele jałowych lat. I do Paryża tylko pięć kwadransów drogi po kolei żelaznej, to i na zawołanie rodziny emigranckiej jestem w pogotowiu.

Ostatnimi czasy dotknąłem się w Paryżu wielu robót nowych i osób nowych. Nie śmiem przesądzać o przyszłości; owszem wstręt mam dzisiaj do proroctw: z tem wszystkiem widzi mi się, że najbezpieczniej trwać w starej wierze; to jest po chrześciańsku przeczekać szare dni tego świata. Na dnie pojęć naszego wieku, pod rąbkiem mniej więcej przeźroczystym dojrzysz wszędzie i zawsze szkaradną pychę. Odżegnać się od niej wskok i oburącz jąć się do krzyża. Krzyż, to symbol wieczny ludzkości, jak ukrzyżowany Pan wiekuisty jej wzorzec! Och! systemata ludzkie! Panslawizm tam krajowy gorszy tu nas bardzo, ale nie przeraża. Niema on gruntu pod sobą, ni wewnątrz ujęcia; luźna to i martwa łodyga, co nie wyrośnie ani wzrośnie na ziemi polskiej. Ale co ja ci o tem piszę. Kochany Janie! Ty jako dziennikarz, jako pisarz publiczny, lepiej wiesz o mrzonkach głów polskich niż my, bo codzień przeciw nim musisz walczyć. Podziwiamy też tu twoją bystrość, uwielbiamy czujność, a budujemy się statkiem i odwagą obywatelską. Siejba to Wojciechowa! Bóg ci pomóż, Boży kmieciu!

Od wczoraj zjechał do nas X. Hieronim na kilkanaście dni. Chce wykończyć dziełko do druku O męce Pańskiej. Poświęcił nam domek wedle obyczaju staropolskiego, a teraz siedzi w swoim pokoju już zapracowany. Mój Józef i moja żona krzątają się około

urządzenia gospodarstwa. Dziatwa moja zdrowa i hoża, hałasuje po wszystkich kątach, ale wysłałem ją do ogrodu... Ogród to nielada szczęście dla małych emigrantów. Raźniej mi tu i weselej, toż dziękuję Panu Bogu, że pozwolił wydobyć się z Paryża. Seweryn z wielkiem rozczuleniem opowiadał mi o stosunkach swoich z Tobą. Bóg ci zapłać, Janie.

Z całym dworem moim pozdrawiam cię w Bogu i ściskam po bratersku

*Bohdan Zaleski.*

Jest jeszcze u mnie kilka arkuszy poematu, przysłanych z Rzymu, jakoby Celińskiego, których nie śmiem dać do druku. Manuskrypt nie ręki Celińskiego, a co większa, nie w jego duchu i nie jego formą. Treść mistyczno-fantastyczna, ale wykonanie lada jakie, arcyrozwlekłe i nudne. Są wyrażenia i wyrazy całkiem Zygmuntowe, jako świetlana, Anielenie i t. p., których nie mógł używać Celiński. Oprócz tego manuskrypt pisany tak bladym atramentem, że męka wyczytać. I X. Hieronim sądzi tak samo o tym manuskrypcie, że należałoby sprawdzić czy autentyczny. Z tem wszystkiem obaczymy jak przyjmie publiczność część autentyczną pism Celińskiego, to w nowej kiedyś edycyi będziemy mogli umieścić i pracę domniemaną. Większej daleko wartości są listy nieboszczyka, tyczące się zwłaszcza ogólnej historyi emigracyi.

Pozdrów od nas brata Stanisława i napędź, aby kiedy napisał, wszak to my się znamy i kochamy. Liga tedy rozwiązała się. Czy panslawizm grasuje u was jak w Krakowie i w Galicyi?

*B. Z.*

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza.

*Fontainebleau, 22. maja 1850.*

Kochany Ojcze Hieronimie, polecamy wam prawowiernego Wątróbkę. Jako sami widzicie, podszarzany już bardzo i schorzały, to nie sposób, aby ruszał gdzieś na poniewierkę. Wystarajcie się mu o pozwolenie osiedlenia się we Francyi. Potem uda się może wyrobić i żołd. W Szwajcaryi żył Wątróbka z łaski Pani S. . ., która kiedy niekiedy posyłała mu po kilkadziesiąt franków na ręce

mego Józefa. Przypomnijcie staruszce, że jej protegowany jest dziś na bruku paryskim, niech wesprze czem aż otrzyma subsidia. W każdym razie, czy nie moglibyście go przeżywić jakiś czas u siebie, bo nie ma złamanego szeląga przy duszy. Tymczasem, Kochany Ojcze, daj Wątróbce ode mnie 10 franków na pierwsze potrzeby. Spodziewam się, że zapisałeś dla mnie Seppa, to razem odeszlę pieniądze na książki i za Wątróbkę, odeszlę na ręce waszego Prokuratora, jeślibyś wyjechał w tych czasach do wód.

Byli u nas Mycielscy. Stary bardzo poważny i światły obywatel. Co słychać z Rzymu i z Poznańskiego? Kiedyż, Kochany Ojcze, wyjedziesz?

Polecam się twemu sercu i wspólnym waszym modlitwom z całym domem moim

*Bohdan Zaleski.*

OO. Aleksandra, Piotra i Karola całuję po synowsku. Liścik wręcz Wątróbce. A przecież, choć późno, ale doczekaliśmy wiosny. Las rozzieleniał, a i słowiki ocknęły się z oniemienia.

## Do Księdza Piotra Semenenki w Paryżu.

*Fontainebleau, 16. czerwca 1850,*
*rue St. Honoré 50.*

Szanowny Księże Piotrze, onegdaj pisał mi O. Hieronim, że wyjeżdża do wód, a zapomniał dodać do jakich i na jak długo. Miał sprowadzić dla mnie z Niemiec Żywot Chrystusa Pana w 7 tomach, zdaje mi się doktora Sepp. Owoż czy nie zostawił w domu polecenia jakiego względem tej rzeczy? Książki te wielce są pożądane i potrzebne. Radbym je posiadać co najrychlej. W każdym razie czy zapisał je ks. Hieronim czy nie? Racz mi donieść. Postarałbym się je sprowadzić drogą księgarską, albo przez którego z redaktorów, co się włóczą po wodach niemieckich.

Wiem, że pracujesz i że Bóg błogosławi pracy. Rad będę czytać i budować się z twoich kapłańskich dzieł, szanowny Księże Piotrze. A karta biblioteczna czy już odlitografowana? Ks. Hieronim obiecał mi egzemplarz.

Pozdrawiam po dawnemu, po bratersku, polecając się z całym domem przyjaźni i modlitwom.

*Józef Bohdan Zaleski.*

## Przemowa do Mowy o narodowości Polaków i Posłania do Braci Wygnańców Kazimierza Brodzińskiego.

*29. czerwca 1850.*

Wieszczy, serdeczny Kazimierz Brodziński, to wieńconośna głowa w Polsce na potomne czasy! Nie mamy przecież dotąd ani biografii jego, ani zupełnej edycyi wszystkich dzieł. — Oddając do przedruku Posłanie do Braci na Wygnaniu, uzupełnione wedle manuskryptu, tudzież Głos o Narodowości, zadumałem się z piórem w ręku o życiu i pracach tyle zasłużonego męża, — zwłaszcza o pamiętnym ruchu literackim, który on najpierwszy wywołał na dziesiątek lat przed rewolucyą, a w którym i sam uczestniczyłem. — Przypomnienia te moje, odźwierciedlające żywo gorące dni Brodzińskiego, ale z innego okresu jego życia, nie godzą się w żaden sposób z uroczystością tonu i treści niniejszych pism, natchnionych już to w rewolucyi, już po rewolucyi; nie godzą się także z obojętością tej książeczki, mającej zresztą całkiem osobny swój cel w Emigracyi. Wypuszczam tedy część przedrewolucyjną.

..... Łuna nocy Listopadowej objęła w rumiany oblask rozświtu kraj Polski od morza do morza, że całun grobowy, wiejący nad nim od wielu lat, nagle szczezł — przepadł gdzieś pod ziemię. Odetchnęliśmy raz — szerokiem odetchnieniem wolnych praojców. Łuna nocy Listopadowej rozwidniła i Brodzińskiemu aż do dna głębię zapałów młodzieży ówczesnej, — zapałów, w których dostrzegał tylko „szalony Bajronizm, i fałszywą, antysłowiańską exaltacyą“. — Pełną piersią polską zaszlochał. Pożegnał raz na zawsze, ów ciemnik swój Słowiański, owe regna inania jakiegoś ducha skowanego jeszcze — i z pieczęcią na ustach. — Rzewnie po dziś dzień spominamy pomiędzy sobą budującą w owym czasie pokorę Brodzińskiego. Poważny i zasłużony mąż, chodził od domu do domu, przepraszać młodych przyjaciół i znajomych, którym Bóg wie czem zawinieć mógł — chyba w myśli. — Kajał się on tak z podejrzeń swoich, duchowi Polski w nich. — Doprawdy, Brodziński przemienił nam się odtąd; — w anielskiej białości zajaśniał do oczu, na nowy, doskonalszy okres żywota. — Zwiędły już i schorzały, odzyskał żartkość Napoleońskiego wojaka. Niezmordowanie, jako mógł i umiał najlepiej, krzątał się około sprawy: na posterunkach w stolicy, z karabinem na plecach, przedumał wiele nocy, i owoce tych dumań ku pożytkowi, przesyłał

członkom Rządu, i różnym wziętym osobom w sejmie i w obozie. — Przedewszystkiem, zanurzył się w modlitwie, z prostoduszności ą uciekł się do praktyk Chrześcijanina katolika, uczęszczał do świętych Sakramentów, — że był codosłownie „duszą polską płonącą w Bogu“. — Wynagrodził go też Pan zaraz osobnym darem, że najdalej i najwyraźniej przejrzał w tajnikach jestestwa swego narodu. — Głównie położył w to wszystką usilność, a niewątpijmy, że byłby dał i duszę swą, aby ruchy ziemskie Ducha narodowego związać z Niebem i puścić w nastrój Boży — a na co niestety! niebaczono naokoło, ani u góry ani u dołu. — Między wieszczami Polskimi w roku rewolucyi, Brodziński sam jeden tylko był natchniony, namaszczony na proroka: sam jeden bo z nich stał na opoce Chrystusa Pana, i wskróś pałał zeń czystym ofiarnym ogniem. Głos o Narodowości, czytany na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk, jest zachwyceniem prorockiem, jasnowidzeniem na jawie dziejów Polski w dośrodkowym kierunku ich ku słoneczności Bożej. — Myśl osnowną, i że tak powiem, rdzenną polskości, w stosunku do innych narodowości Chrześcijańskich, ujął niejako ręką z Nieba, ujął za złotą nić, z której snuć nam na pokolenia. — Czytelnik ma tu na kilku kartach, spisany swój zakon Polaka — i jakoby swoje polskie przymierze z Bogiem. — Atoli, kiedy prorok Brodziński rzucał to ziarno Boże w ziemię, a Duch Narodu Polskiego łamał się w twardym boju z duchem starego świata, i łamał się z różnem powodzeniem, — w rządach i obozach naszych, bałwochwalono wciąż Rozum, i wyrachowania Rozumu w Polityce i Strategii. — Siejba Brodzińskiego ani kiełkowała jeszcze na powierzchni.

Klęski Narodu w roku 1831, przygniotły bardzo Brodzińskiego w ciele mdłem, wątłem, i wyschłem na szczepę, — ale nie znękały bynajmniej jego ducha. — Ani na chwilę nie zachwiał się w swej wierze, pomimo niesłychanych, publicznych utrapień. — Rozpiął się na krzyżu Pańskim z boleściami Narodu, to ściekały nań z Krzyża górne pocieszenia. Za długo już on gościł na wysokościach, aby zwątpić mógł o przyszłości Polski, której miał tylokrotnie prorockie widzenie. — Osamotniał jednak i osmutniał bardzo w Warszawie, po przyjaciołach i uczniach, co nie wrócili z pobojowisk, albo co tułali się w rozprószeniu po dalekich morzach i lądach. — Mógł zaiste śpiewać o sobie, co spiewał:

„Bom jako pająk milczący,
„Na swych wnętrznościach wiszący“.

Całą miłość swoją, wszystkie nadzieje, myśl i uczucie przeniósł na nas, bracią rozesłańską. Owszem, wyemigrował za nami w duchu; że godzi się uważać Brodzińskiego za spółtułacza naszego od najpierwszych dni. Jedynie codzień lichsze zdrowle i kłopota domowe męża i ojca pozbawionego nagle zasłużonego chleba. stawały mu wciąż na wstręcie do połączenia się z nami. — Jak miłował Emigracyę z utęsknieniem braterskiem, niech poświadczą te kilka słów, pisanych z Warszawy do nas w r. 1837: „Mam wydzielony szczupły listek — na którym trudno pomieścić się myślom z serca się cisnącym. Pozdrowienie najprzód — i życzenie wiary, nadziei, i cierpliwości. I my tu wszyscy tułacze, dalecy od promyka wszelkiej pociechy, którego może wy bliżsi. My tu o świecie i o was nic prawie nie wiemy: — czarną tylko przyszłość widzieć nam wolno. Wy wszyscy natchnieni łaską, wynieście się nad wszystkie stronnictwa i rozumienia ludzkie, bo ludzie już rachubę stracili, a wlewajcie w te zbolałe rany balsam ożywny, jedność w Bogu i w Narodzie, który ma powstać tylko przezeń, i nie żyć jak tylko dla niego. U ludzi nie litości żebrajmy, ale wymuszajmy szacunek. — Nieszczęśliwy ma wiele do powiedzenia. gdy cierpi nieszczęściem ludu; głosem boleści Bóg czasem przemawia. Cierpienia nasze niech będą światu pamiętne. — Wszystko co drobne, zmienne, dalekie niech będzie od nas. Trzymajmy wiele o naszym narodzie przyszłości, abyśmy przeznaczeniu jego godnie odpowiedzieli. Codzień nas mniej, ale i po potopie, z jednej rodziny lud się wielki rozmnożył..... Zapędzajcie wszystkich do nauk, bo tylko w wyszłych młodzieńcach przyszłości nadzieje.... Tęskno mi do muz waszych. My tu już tylko wyrzekać umiemy. Często tak tęsknię jakby u was była Ojczyzna...“

Na ostatku przezwyciężył Brodziński wszystkie trudności. Udało mu się pozyskać pasport za granicę. Wyruszył niby do wód niemieckich, w niezachwianym atoli, a utajonym zamiarze, dostania się do Francyi. Opatrzność inaczej rozporządziła w niepojętych swoich wyrokach. Właśnie kiedyśmy się gotowali z bijącemi sercami, uszanować i umiłować po synowsku najzasłużeńszego wieszcza proroka — przeraziła nas gromem nagła wieść z Drezna o śmierci jego. Zaboleliśmy na śmierć tak niespodzianą, ale rozradowaliśmy się wnet szczegółami o niej. Kazimierz Brodziński — prawy kmieć Boży, dosłużył snać chwalebnie swego dnia; to czyściec nasz emigracyjny, nie był mu już potrzebny. Dojrzał — o! dawno dla Nieba — on Chrystusa Pana dziecię, sługa i apostoł w narodzie. Chrystus Pan udarował też naszego

wieszcza proroka, łaską wybranych, łaską świętych, udarował nawiedzeniem i widzeniem swojem w skonaniu. Uczciwej sławie Brodzińskiego, tylko takie opromienienie przystało: znamię nieskazitelności duchowej — i wieszcz ba niejako patroństwa jego nad nami. O blaski świeckie nie dbał on nigdy za żywota, a nawet się ich bardzo lękał dla duszy swej.

Na kilka miesięcy przed śmiercią, w Krakowie, na wyjezdnem już za granicę, napisał Brodziński Posłanie do Braci na Wygnaniu. Źle mówię, napisał; — dość zajrzeć w manuskrypt nieboszczyka. Brodziński zaimprowizował jednym tchem swój Śpiew Łabędzi, — mażąc, to dopisując po bokach stronnic, rwące się na jaw z głębi duszy myśli, to uczucia patryoty Chrześcijanina. — Widno tam w każdym niemal wierszu, jak rozmodlony, rozpłakany w duchu — a przeczuwający, że pisze testament swój i pożegnanie dla braci na tułactwie: toż znać jeszcze w manuskrypcie ślady świętych łez, co omoczyły papier i pozalewały wyrazy. Nagliło coś z wewnątrz. Uuikając słuchu i wzroku czujnego wroga, nie chciał przejrzeć ani nawet odczytać tego co pisał — ale wyprawił jak mógł najspieszniej i anonime do Francyi, tę spuściznę, do nas, dziedziców swych w linii prostej. — Na wydawcę zamianował ś. p. Stefana Witwickiego, najgodniejszego zaprawdę, aby te polskie, wieszcze i święte natchnienia, otworzył — i ogłosił dla Emigracyi. Witwicki zajął się gorliwie wydaniem Posłania, użył i porady Mickiewicza; ale najdziwniejszą przygodą, nie odgadnął na razie znakomitego anonima, chociaż duch, treść, i sama nawet dobrze mu znajoma ręka pisma, ukazywały najprzeźroczyściej kto zacz jest? Witwicki w niewiadomości tej o autorze i w najlepszych intencyach, poczynił tu to ówdzie poprawki, zawżdy niemal trafne i dobitne co do polszczyzny: poważył się nawet na wypuszczenie całych i ważnych stronnic — co poniekąd usprawiedliwić może wzgląd na okoliczności czasowe. Po odkryciu później autora, wydawca obżałował sam swój postępek. Sądzę, że najwłaściwiej uszanuję drogą mi pamięć i autora i wydawcy, że nawet dogodzę woli obydwóch przyjaciół przedrukowując od deski do deski manuskrypt, bez względu na drobne gdzieniegdzie usterki i powtarzania się, jakie piszącemu w pośpiechu wymknęły się z pod pióra.

Co już i mówic, albo pisać, o tem Posłaniu Brodzińskiego? Od dawna ocenił je ogół czytelników, a Emigracya chórem błogosławi. Są rodacy, co rozmiłowali się w tem słowie wieszcza, co wzięli je do serca i usiłują przepisy zeń stosować do życia. Ci

nawet, co na razie nie domyślając się autora, z pobudek politycznych bluźnili mu, po gorżkiem doświadczeniu wstydzą się i czerpią dziś razem z nami ochłodę i osłodę z tego niejako spólnego zdrojowiska pociechy na tułactwie. Szczupłą tę książeczkę możnaby nazwać bez przesady, Katechizmem naszym polskości, podręcznym poradnikiem domowym, w przeróżnych uciskach żywota. Pisząc to, Brodziński widomie był natchniony w Panu, to jest ogrzany i ograny wewnątrz słowem św. Ewangelii. Stąd to taka mądrość i obfitość w nim rad i pociech. Nie wszystko wszakże wypowiedział, co Emigrantowi, chcącemu spełnić godnie swe powołanie, wiedzieć i umieć należy. Tego nikt i nigdy nie wypowie. Ułamki tylko prawdy polskiej nosim każdy w łonie, ilu nas jest miłujących a zbolałych — aż chyba kiedyś skupią się w Exodus nasz — co pisze się w Niebie. Pamiętajmy, że jesteśmy w dwudziestem lecie tułactwa, w połowie już pielgrzymki ludu Izraelskiego — która jest dla nas jako wzór i proroctwo.

Spółtułacze — bracio moja serdeczna! Boleśny dziś wszyscy nosim ucisk — i jakoby zastrzał w sercach naszych. Ucywilizowany świat europejski stacza się w zamęt, w zmęt, i dla tego taki smętny. Nad Polską i nad Emigracyą zawisła znowu mgła: — gęsta, brzydka mgła zwątpienia. Stęchła to moczara carskiego panslawizmu, zieje tak zgnilizną na świat. Są między nami, co popełnili już grzech przeniewierstwa przeciw Bogu i Ojczyźnie: — są i tacy, co potakują tej szkaradzie, albo kłaniają się przeróżnym cudzym cielcom. To czyjże głos poważniejszy i śmielszy ku opamiętaniu obłąkańców, jeżeli nie głos pogrobowy wieszcza spółtułacza? — Gos ten, nasiękły jest, że tak powiem, szczerochrześcijańskiej, szczeropolskiej woni, która mocna jest odpędzić od nas zarazę zgubnych nauk i pokus, wiejącą dziś w powietrzu niejako europejskiem: — a niepochybnie jest w niej antydotum przeciw truciźnie amnestyi, poczynającej na nowo pustoszyć pomiędzy nami. Obnosicielom tej trucizny i tym nieszczęśliwym co się z niej napali, dajcie do przeczytania parę kartek z Posłania Brodzińskiego; — azaliż nie przerażą się w sumieniu swem polskiem i niezapragną pokuty? — Toż to tak trudno zgadnąć, o co głównie idzie carowi moskiewsklemu? Car moskiewski radby nas wytrwałych w szlachetnej poniewierce naszej, upodlić przed Bogiem i przed narodami, że oto rozgrzeszamy go z bezecnych zbrodni, popełnionych na polskiem rodzie, a o pomstę których bije w niebo głos miljonów, w ustawicznym rozjęku

dziatek, matek, Unitów-katolików, pędzonych rokrocznie knutem w schyzmę, to Sybir. Wiedźcie o bracia! że nie my carskiej, ale car to naszej amnestyi potrzebuje, dla porachunku swego z Bogiem; i dla tego kusi nas różnemi sposoby. Nie doczeka się wszakże od nas rozgrzeszenia swego. Wyparliby się nas w Niebie jako zaprzańców przeciw prawdzie Bożej święci Patronowie Polski: wyparliby się nas jako zaprzańców przeciw prawdzie narodowej mężowie bracia, co pomarli przed nami, i śpią tam na wielkim mogilniku.

Zaprawdę o! bracia, przestronny jest mogilnik Emigracyi polskiej, przestronny jako świat. Na rodzinnym tam, na szerokim i bujnym Ukraińskim stepie, z mogiły widna mogiła — druga — i trzecia — i długi rzęd mogił — hej! gościniec boży, szlach światoburców ku zbestwionemu Rzymowi. I my znaczymy mogiłami bez liku, w dłuż i w szerz ziemi, jakiś nowy gościniec boży, wielki a nieodgadniony przeznaczeń. I każda z mogił tych, bezimienna, bezmowna, dla innoplemieńców, roni ku nam znajomy, swojski głos. I głos w głosie — stąd sędziwi patryoci, ojcowie czeledni całej naszej rodziny — ztamtąd przemnodzy mężowie, ongi silni, zdolni, ozdobni różną zasługą i chwałą, a nawet opromienieni świętością — grzmią chóralne upomnienia, o wytrwanie w ślubowanym statku sprawie Bożej i Polskiej. „Ojczyzna, stanem waszym“, woła Brodziński: — a za Brodzińskim wtórują tysiące: „Jesteście gromadą Rozesłańców, mającą świadczyć po chrześcijaństwie całem, mającą świadczyć w osobach i w grobach o krzywdzie Ablowej narodu Polskiego. Dopóki tchu, czujcie się w godności posłannictwa, żeście stróżami Arki praw jego. Narodowość, jestto zbrojne apostolstwo prawdy; jestto piastuństwo słowa Bożego na drogach doczesności: — jestto świętość. Narodowość polska, polskość, ucieleśniona jest wami! — Jesteście po praojcach waszych rycerstwem Jezusa i Maryi! Niesiecie światu drogo kupione upominki miłośne Jezusa i Maryi, których jesteście rycerstwem; — niesiecie niezaznane dotąd jeszcze na świecie — Chrześcijańską Wolność — Chrześcijańską Równość — Chrześcijańskie Braterstwo. Rzeczywistością powołania tego przeroślíście po nad głowy wszystkich samosłańców tegoczesnych, wszystkich pseudo-rewelatorów religijnych i socyalnych“.

„Ależ niezmierny nosim ucisk w sercach i jakoby zastrzał śmiertelny, że doprawdy, do niezniesienia! Dotknęły nns w tych leciach takie żałośne a niepowetowane zawody i szkody. — Poło-

żenie nasze rozpaczne i zginione“ — tak bluźni zły duch w nas. A Stróż Anioł Polski szepce inaczej: Bałwochwaliliśmy po dawnemu rozum — rachowaliśmy po dawnemu — i po dawnemu nie dorachowaliśmy się znowu. Rozum, co nie zdołał nigdy wymyśleć ani wybrać celu i przeznaczenia dla pojedyńczego człowieka; a jakoż może to uczynić dla narodu? Czegoś och! więcej mu potrzeba niż rozumowych systematów. Nie na posługę marzeń człowieczych dana jest Narodom siła postępu. Po Krzyżu — wzwyż — Chrześcijanie szczeblują w postęp swój ku Słowu, co stało się ciałem, co Krzyżem zwyciężyło świat i nakazało ciału podnosić się ku Słowu. Chrystus-Bóg, Mistrz i Rozkazodawca Niebu i ziemi! — Chrystus Pan mocen jest w mgnieniu oka przemienić opłakaną dolę naszą; mocen jest w mgnieniu oka położyć podnóżkiem korony i trony naszych ciemiężców, skoro wkupicie się w łaskę Jego zasługą chrześcijańską, miłością chrześcijańską i zrozumieniem ofiary chrześcijańskiej, której On sam jest ideałem — wzorem po wszystkie dni i wieki. Wierzajmy, że Chrystus Pan wybrakowuje już z pomiędzy nas zastęp swój“ !

Rodacy — nie śmiem wysłowić, nie śmiem wyłonić uczucia, co rozpiera mi pierś. Jam prostaczek — maluczki i najmniejszy w gronie braci wieszczej; zmarnowałem bodaj! dawno talent swój. Alem nie zapomniał nigdy Modlitwy Pańskiej; alem tulił się zawżdy do piersi wielkich miłośników Chrystusa Pana w Polsce — to miewam w duchu i słuchu po nich cudowne rozbrzmienia — niestesy! niesklejne i rozwiewne.

Przypominam wam bracia jeszcze raz, że jesteśmy w dwudziestwem lecie Rozesłaństwa — to miejcie na pilnem baczeniu prorockie słowa Brodzińskiego do nas: „Czuwajcie wszystkie matki, wszyscy mistrze i kaznodzieje! Wszelka żywa duszo Polska pragnij i czuwaj: bo nie wiesz miejsca ani czasu, w którym powołana być możesz. Czuwaj każdy, czyś prostak czy mędrzec, czyś mąż wielkiego serca, czy słaba niewiasta. Słuchaj, gdzie trawa rośnie; czuwaj na każdy wiatru powiew: przedewszystkiem bądź duszą płonącą ku Bogu, który sam zsyła łaskę i sam sposobność do jej przyjęcia daje“.

Pisałem w Fontainebleau, 29. czerwca 1850,
w dzień Św. Apostołów Piotra i Pawła.

*Józef Bohdan Zaleski.*

## Do Księdza Piotra Semenenki w Paryżu.

*Fontainebleau, 1. lipca 1850.*

Przepraszam Szanowny Księże Pietrze, że tak późno odpowiadam na twój uprzejmy list. Miałem dotychczas coś innego na głowie i do czytania, to nie nalegałem bardzo o Seppa. Potrzeba wszakże wziąć jakąś decyzyę względem książek. Przyznaję się, że wzdragam się przeciw niekompletnej edycyi. Wszakże, jeśli księgarz zobowiąże się za miesiąc lub za dwa dostarczyć nam pierwszy tom, nie ma co się wahać. Proszę mi przysłać książki rulażem lub przez kolej żelazną, bo wątpię, aby kto ze znajomych jechał w tym czasie do Fontainebleau, a przytem nie warto nikogo obciążać sześcio tomami niemieckimi. Winienem już Prokuratorowi waszemu 10 fr. za Wątróbkę, to razem przeszlę pieniądze i za Seppa.

Miałem wczoraj listek i od Ks. Hieronima. Dobrze że dokończył Passyi i że wesół puszcza się do wód. Napomknął mi o posłuchaniu Księdza Józefa u Ojca św. Dzięki Bogu za wszystko.

Od całego domu łączę pozdrowienia, polecając się z całym domem modlitwom twoim i twojej braci domowej.

Życzliwy zawsze

*J. B. Zaleski.*

## Aforyzmy o przeróżnych przedmiotach wiary i wiedzy, z myśli w lot spisane.

*26. lipca 1850.*

1. Duch człowieczy r z a d k o c z y n n y, ale zawżdy c z u j n y. Na czuwanie wystarcza m y ś l e n i e, na czynienie potrzeba skinienia z góry. Natchnienie, to błogosławieństwo Boże człowiekowi: to zapłodnienie jego ducha. Natchnienie bywa z łaski na wysługę, albo łaską za wysługi, bądź pojedynczego człowieka, bądź zbiorowego ducha. Natchnienie, to rozkoszowanie w duchu, to t w o r z e n i e, pospolicie krótko trwale, bo duch w ciele przeznaczon nie na bujanie, ale na pracę. Myślenie, twarda to i ciężka praca dla ducha — przypominająca mu wciąż s t a n c z ł o w i e c z y po upadku Adamowym: s t a n w i a r y m ę t n e j i w i e d z y n i e p e w n e j, a wskazująca wciąż na Boży wzorzec, na Chrystusa Pana, który jest po wszystkie wieki d r o g ą, p r a w d ą i ż y w o t e m. Chrystus

Pan — słowo, stało się ciałem, ale człowiek, c i a ł o, stał się słowem, synem bożym, aby zespoliło się w Bogu — to co rozszczepiło się w Adamie, to jest ustaliło się napowrótw związku duchów, w słowie i przez słowo, czyli zapanowała jego R e l i g i a — a zatem Królestwo Boże. Chrystus Pan ofiarował się za człowieczeństwo: ofiara tedy jest całą treścią odkupienia naszego. Ofiarować się trzeba, aby żyć w słowie. Chrześciaństwo jest symbolistyką ofiary — Krzyż naszem godłem. Ofiara to więcej niż natchnienie, niż myślenie, ofiara to jedyny czyn Chrześcianina. Wszakże i myślenie bywa niekiedy czynem w duchu, a przynajmniej przysposobieniem do czynu. Wszelki czyn rodzi się w duchu, jest pierwej myślą — błyskawicą nim czynem — piorunem. Myślenia tedy to jałowe niemarzenia — ale praca, ma się rozumieć myślenie w Bogu, to jest p o b o ż n e d u m a n i e. Takie dumanie jest to i m a n i e d o u m u słowa twórczego — którego rozbrzmienia duch człowieczy zdolen słyszeć, skoro ukorzy się w s o b i e i uciszy w s o b i e cieleśny gwar od ziemi. Zaprawdę, niełacna to rzecz! Piśmiennictwo całe europejskie, świeckie, jest takim prostym gwarem od ziemi. Jak z moczary stęchłej wieje zeń wiecznie mgła, na niezdrowie i na ciemność. Wszakże i na tych chmurach niekiedy błyska się i grzmi, To geniusze, co wykradają z nieba skry i rozhuk twórczego Słowa na rozpędzenie i oczyszczenie zaraźliwej atmosfery. Ewangielia, to na podarek boży dla ludzi, skład twórczego słowa — ognisko święte — na ogrzanie i ogranie duchów ku pobożnemu dumaniu i pobożnemu czynieniu — aby ciało stało się słowem i zmartwychwstało w Panu. Wiara nasza z Chrystusa i wiedza na wolnym dorobku — na zasłudze i ofierze naszej, które ubogacają serca, zapładniają je na owoc Panu. Zasługa i ofiara jest dopełnieniem w nas nauk pańskich — których nie zdołali spamiętać i spisać ewangieliści. Chrystus Pan — słewo wiecznie żywe i wiecznie twórcze — nieustannie żyć i tworzyć będzie w duchu ludzkim i na świecie, aż do sądnego dnia. Tworzenie tedy trwa w słowie. Genezys przeciąga się w czasach i rozstrzeniach. Duch człowieczy party s ł o w e m, ale wolny żyje i działa wedle rozumienia tego słowa, kuszony wciąż przez książęcia tego świata. Historya rodzaju ludzkiego jest ciągiem tworzenia słowa.

*26. lipca 1850 r.*

2. Bezmiar bezbrzeżny wód (Ocean), ponad którym unosi się Duch święty — jest w Piśmie symbolem ż y w o t a w i e c z n e g o,

nieskończoności duchowej w czasach i rozstrzeniach. Żywot człowieka, to kropelka z tego Oceanu — to kropelka, co paruje mgłą w górę, to spada deszczem, lub rosą ożywną. Chrystus Pan, słowo, to zdrojowisko żywej wody na wieki, w które zlać się powinny wszystkie pojedyncze kropelki, ale wprzódy przesączyć się muszą przez ziemię, t. j. oczyścić. Oczyszczenie trudne, i niemal niepodobne, bez sposobów i środków, jakie Chrystus Pan podał (straż i tłómaczenie słowa w Kościele Jego). Chrystus Pan, jako słowo, jest żywotem wszego stworzenta a dla człowieka wzorem, t. j. i prawdą i drogą tego żywota. Słowo tedy jest to prawda bezwzględna, powszedni chleb człowieka jako ducha.

Duch w ciele śmiertelnem, to więzień w ciemnicy — stąd rozdrażniony, smutny, że niedaleko widzący, stąd niecierpliwy i grzeszny że więzień w złem, t. j. w mocy zła. Więzienie jednak przestronne — cała dziedzina bo książęcia tego świata. Hej, ten świat, to jego Dom poprawy, przysionek do czyśca. W miarę właśnie poprawy swej, wyswobadza się, odbiera łaski. Wiara, to łaska łask. Przez wiarę dopiero człowiek wie o sobie, o swem pochodzeniu i swem przesłaniu. Przez wiarę posiada prawdę bezwzględną. Rozum pomocnik na drodze doczesnej — ale nie kierownik żywota. Prawda z wiary, jasna wskróś, przenika wiecznie czas i przestrzeń. Prawda rozumu roztrąca się wiecznie o czas i przestrzeń, przydatna do pospolitego życia i użycia, nie odkrywa jednak przeznaczenia rzeczy, owszem wszystko mąci w skończoności swej, a tem samem upośledza ducha człowieczego. Wiedza jest to senne marzenie ducha, więźnia jeszcze w okowach. Wiara jest to czuwanie więźnia wyzwoleńca, dopatrującego wciąż skinienia bożego. Śmierć ciała ocuca więźnia, z przysionka wprowadza do czyśca — a więźnia wyzwoleńca przysposabia do dziedzictwa ojca, słowa i Ducha — w Trójcy Bożej. Z rozumu pycha, a więc wszystko zło, z wiary miłość — a więc i wszystko dobro. Przez rozum moc książęcia tego świata, przez wiarę pomoc z nieba.

Religia, to związek duchów z duchem, który jest Bóg. Religia klucz do nieba do wszystkich tajemnic duchowych. Religia jest z wiary a przez objawienie boże. Słowo wcieliło się dla łaknących z wiary, a przez objawienie boże, słowo wcieliło się dla łaknących z wiary, bo słowo Syn Boży, jest to miłość ojcowska, posyłająca parakleta swego, pocieszyciela wszelkiego ducha. Bóg jest duch i człowiek jest duch, owoż obraz i podobieństwo w ściślejszem znaczeniu. Ciało zbrukane, skazitelne odzienie ducha, prze-

mieni się na białe, nieskazitelne po zmartwychwstaniu. Wiara jest to okno w niebie — jest to oko ducha.

*26. lipca 1850 r.*

## Do Księdza Karola Kaczanowskiego rue St. Honoré, au Presbytère de l'Assomption, Paris.

*Fontainebleau, rue St. Honoré 50,*
*27. lipca 1850.*

Kochany Ks. Karolu, ponawiam prośbę o przysłanie mi adresu ks. Hieronima. Dłużny mu jestem odpowiedź na dwa listy, dłużny jednak bez długu, t. j. bez winy, bo nigdy mi nie napisał, gdzie zamieszka w Pireneach. Jakiś bramin z Indyi adresował list: à M. Leibnitz en Europe i doszedł do filozofa; to chyb zaadresuję à M. Kajsiewicz au Pyréneés, spuszczając się na wszechmądrość Francuzów. Żart na bok. Mam istotnie parę ważnych i pilnych interesów do ks. Hieronima i oprócz tego posyłkę od ks. Edwarda.

Przy sposobności przypominam się o Seppa. Nalegaj kochany ks. Karolu na ks. Piotra, aby nie płacił księgarzowi aż doręczy wam pierwszy tom. *N. b.* spostrzegłem się wczoraj, że brakuje takoż karty Palestyny do 3-go tomu. Bez karty niesposób czytać Seppa; właśnie geograficzne jego objaśnienia są niesłychanej wagi, jako od hebraisty i czytelnika talmudów.

Ściskam i t. d.

*J. B. Zaleski.*

Co słychać z kraju, osobliwie o tym opłakanym pożarze Krakowa? Proszę jeszcze o nowiny emigranckie. Czy młodzi nasi w menażach dostali skąd grosza? Serce boli, że nie możem ich poratować.

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza.

*Fontainebleau, rue St. Honoré 50,*
*dnia 30. lipca 1850.*

Kochany Księże Hieronimie, kilka dni temu odebrałem od ks. Edwarda [1]) list niezapieczętowany z poleceniem, abym ci po-

[1]) Duński.

słał, ale dopiero dziś dostaję twój adres przez ks. Karola; spieszę się tedy z wyprawieniem posyłki ks. Edwarda. Sądzę, że niewiadomość adresu dostatecznie wytłómaczy ci nasze milczenie. Chowaj Boże, lenistwo, albo coś innego względem ciebie.

Od kilku dni dumam i śnię pod wrażeniem okropnego pożaru Krakowa, który wedle listu Walerego [1]), przypadł w sam dzień zburzenia Jerozolimy. Przeraziliśmy się aż w szpiku kości, a żona moja płacze nad niedolą biednych tysiąców. Ks. Karol przysłał dziś numer Czasu, w którym szczegóły o tej klęsce, i miałem pokusę posłać Ci *sous bande*, gdyby nie zastrzeżenie wyraźne conajprędszego zwrotu. Ty byś, kochany Ojcze, łacniej zoryentował się w opisie, bo w świeżej masz pamięci tamtejszą miejscowość. Walery pisze: „bez rzetelnie ani śladu dawnych bałamuctw Mickiewiczowskich, owszem dużo myśli podniosłych i praktycznych, zwłaszcza co do stosowaniu Chrześcianizmu do polityki. Wszędzie nakaz czci najwyższej dla Chrystusa Pana, jako Boga, i zarazem posłuszeństwa zupełnego dla Kościoła. Z tem wszystkiem tu i ówdzie wierutne cudactwo, a osobliwie ta metampsychoza. Daj Boże, aby co rychlej wyświeciło się co zacz jest ów Mąż? Bo tyle dusz zaniepokojonych, ba nawet zagrożonych w zbawieniu swojem. Myślę, że postępując z nimi po chrześciańsku, to jest z prostotą i miłością, daliby się udobruchać, przygłaskać, a więc przyznać w czem błądzą, i Kościół miałby z nich pożyteczne i gorliwe sługi. Weź do serca, Kochany Ojcze Hieronimie, całą tę sprawę braci, toć poleć, aby ich wysłuchano cierpliwie w arcybiskupstwie i w Rzymie. Tylu między Towiańszczykami ludzi zacnych, zdolnych i do tego starych naszych przyjaciół. Ks. Piotr w przedmowie zdaje się osądził za ostro Towiańskiego, a co gorsze, rzucił podejrzenie na intencye nawet niewysłowione. Żal mi osobliwie kilku ludzi między Towiańsczykami, których znam i kocham od najrańszych lat. Bóg się przecież nad nami zmiłuje.

U mnie w domu po staremu. Żona zdrowa, dzieci rosną, chleb się rodzi. Chleb duchowy ma się rozumieć, i z łaski twojej, kochany Ojcze, nareszcie dostałem Seppa, to czytam i dumam. To co czytam i co dumam więcej zaprawdę przesady nie ma Krakowa". Z tem wszystkiem, to po Walerowsku, zdaje się jednak, połowa Świętego Grodu naszego w perzynie. Święć się wolo Boża! ale ta nowa cząstka gniewu Pańskiego świadczy jawnie, że grzeszym wciąż po staremu. Mój Ojcze, szkoda żeś nie w Paryżu. Ma

[1]) Wielogłowski.

się odbyć nabożeństwo za zgorzelców, to byłaby dobra sposobność połajać nas grzeszników, toż pobudzić do kajania się i pokuty. Godziłoby się i sładki nakazać na ubóstwo krakowskie. Grosz wdowi po ludzku nic, ale u Boga znaczy wiele. Spółczucie dalekich rozproszeńców na nędzę ich podniesie może kogoś w upadku moralnym, ustrzeże od rozpaczy.

Ks. Edward gościł u nas 25 dni. Na zdrowiu znacznie wydobrzał. Stoi niezachwianie przy swojem, a pokój i swoboda ducha dostatecznie dowodzą, że co czyni, czyni w najlepszej wierze. Wciąż utrzymuje, że ks. Piotr wymarzył w swojej głowie system, przeciw któremu szermuje. Przeczytaj zresztą sam list do ks. Piotra. Sprawa tedy Towiańskiego zdaje się, że wejdzie na stół. Urząd kościelny powinienby teraz zawezwać mistrza i uczniów do wytłómaczenia się. Wiem, że przygotowują wszystkie akta i łakną bardzo sądu. Ks. Edward dawał mi do czytania wiele pism po francusku i po polsku, w których wartość większa, niż lada jakie moje dotychczasowe bazgranie. Z tego będzie chleb, jeśli Bóg da pogodę. Nie potrzeba mnie napędzać do pracy. Praca sobą się płaci, sobą spłaca, byle modlitwa i pokora. Natchnienie to rozkosz, hej grzeszne rozkoszowanie, i dlatego nietrwałe. I dlatego wszyscy poeci polscy oniemieli, że zachorowali byli na wieszczów, na proroków, a bez pokory i modlitwy chrześciańskiej. Dzięki Bogu, wytrzeźwiałem dawno z młodego wina, myślę tylko o chwale Bożej, nieprzetom lepszy, bo ułomności co niemiara i co krok. Módl się ty za mną, wieszczy nasz mnichu!

Nie wiem gdzie się nadal obrócim, wątpię, abyśmy jechali do Rzymu, chyba że z nienacka przyjedzie ktoś z Ukrainy. Dotychczas wielkie jeno podobieństwo, ale nie ma pewności. Radzibyśmy zamieszkać z wami w Tivoli. Ja kocham Rzym jak oczy moje: mówię tu jeno pod względem ziemskim, bo duchownie Rzym świętość nasza, Ojczyzna powszechna tych zwłaszcza, co docześnie utracili swoją patrią.

Mieliśmy tu krótkie gościny ks. Hippolita i ks. Karola. Ks Karol straszliwie się roztył, gryzie się tem biedak, ale niesłusznie, bo to grzech może nie jego, ale familijny, szlachecki. Zresztą znałem Trapistę opasłego, co literalnie spasł się na korzonkach. Ciało ma swoje osobne prawa i rachunki wiekowe.

Panowie nasi po wodach niemieckich, to pusto i głucho w Paryżu, powtarzam za panią matką pacierze, bo sam ani razu nie wyjechałem z moich lasów. Najsmutniejsze, że menaże rozwiązują się dla braku funduszów, znowu ma się na głód emigracyi,

a nie ma do kogo zakołatać o grosz. Branicki podobno już wrócił. W Krakowie na czele komitetu ma być pani Arturowa. A nasza pani Kasia? Nie wiemy, czy urodziła już i co? Gałęzowski w Karlsbadzie. Buturlinówna młodsza dogorywa na suchoty. Matka zabrała ją stąd do Rzymu. Co się święci z tobą kochany Ojcze? Czy wody służą? Czy pracujesz? Donieś nam, bo wierzaj, że cię więcej kochamy niż sam może mniemasz.

Całym dworem ściskamy cię i polecamy się modlitwom i pamięci serdecznej

*Bohdan Zaleski.*

## Do Pana Seweryna Goszczyńskiego.

*Fontainebleau 12. września 1850 r.*

Na ostatek, mój kochany Sewerynie, doczekaliśmy się naszych gości z Warszawy. Matka i siostra onegdaj przyjechały. Przywiozły upominki familijne dla różnych emigrantów, między innymi i dla M..., z którego rodziną żyły jaknajściślej. Uwiadom go proszę o tem. Radecki mi mówił, że teraz robotę gdzieś znalazł, ale dobrze byłoby, aby się widział z memi paniami, choć na krótki czas. Nie chcemy go wszakże odrywać od pracy; jest podobno dlań 200 złp. to łacno będzie nam odesłać je przy okazyi. W każdym razie, za kilka dni żona moja z siostrą pojadą do Paryża, to oznaczą M..., kędy ma przyjść po nie, byle nam tylko przysłał swój adres.

To jeden interes, ale mam jeszcze i drugi. Pani Gieryczowa ma podobno do sprzedania Biblię Polską z obrazkami, wedle Radeckiego za 20 fr. Jeśli tak jest, chętnie bym ją nabył dla mojej dziatwy. Obrazki ułatwią im naukę św. rzeczy. Dowiedz się, kochany Sewerynie, i proś Romualda, aby za mnie zapłacił 20 fr., które z wdzięcznością zwrócę.

Wszak to, mój drogi druhu, w tych dniach 30 letnia rocznica wyjazdu naszego z Ukrainy. Po światowemu, warto, by się upić. Ale my dawno już nie światowi, to lepiej 20. b. m. pójdźmy na mszę, ty w Paryżu, ja w Fontainebleau, i podziękujmy Bogu za łaski, doznane na tułackim naszym żywocie, i że nam pozwolił kochać się statecznie od młodu aż ku starości.

Czy Eustachy Januszkiewicz jest w Paryżu? Niema co mówić, w poleconym interesie sprawił się zacnie i żwawo. Radbym

mu podziękować. Od ks. Edwarda nie miałem ani słóweczka z Zürich. Boję się, czy niezachorował. Zapewnie wiecie o nim coś albo wprost albo z boku, to chciej nam donieść.

Polecam cię Bogu i ściskam po bratersku za siebie i za wszystkich domowych moich

*J. B. Zaleski.*

Pozdrów Nabielaka i Rutkowskiego odemnie. Czybyś nie mógł jakim sposobem wydobyć od Kamieńskiego mego Przeglądu, ale podobno jest gdzieś u wód. Czy miałeś co od Koźmiana?

Po napisaniu i złożeniu tego listu, właśnie odbieram wiadomość od ks. Edwarda. Dzięki Bogu, zdrów nam, swobodny i szczęśliwy. Szeroko opisuje sposób swój życia i całej rodziny S. T., budujący to obraz, który zachowamy w pamięci serdecznej. Wybiera się na 14. do Einsielden. Napisze jeszcze, co postanowi na zimę, kędy się uda, do Prowancyi czy do Paryża. Klimat jednak szwajcarski za ostry na jego zbolałe piersi.

## Do Księdza Karola Kaczanowskiego.

*Fontainebleau, 17. września 1850.*

Bóg zapłać, kochany księże Karolu, za kopię odezwy do Krakowiaków. Odczytałem ją uważnie i z przyjemnością. Niema co mówić, śliczna jest i wymowna, ale szkoda, że nie prostsza. Powiedziana z kazalnicy żywym głosem, nie wątpię, że sprawiłaby wielkie wrażenie. Nie wiem, jak się wyda czytelnikom. Ale to już ogólny charakter pism ks. Hieronima, że w nich widno raczej kaznodzieję niż literata. I dobrze mu z tem, owszem nawet do twarzy — pokiereszowany!

A więc umarł poczciwy Bernard! Dobra jest myśl nabożeństwa. Godzi się uszanować pamięć życzliwego cudzoziemca. Sądzę, że zawiadomienie w dziennikach powinno być w jak najkrótszych i najprostszych wyrazach, n. p.: odbędzie się msza za duszę ś. p. Bernarda, naczelnika w biurze wychodźców. Stateczna przychylność nieboszczyka dla Emigracyi Polskiej, też wieloletnie i chętne jego usługi dla niej, domagają się od nas wdzięczności przed Bogiem. Zapraszamy i przyjaciół jego francuskich do kościoła i t. d. Albo coś podobnego. Jeszcze krócej, a więc lepiej napisać o B.: Umarł B., szef biura R... Polacy, pamiętni na życzliwość nie-

boszczyka i na usługi, zapraszają na mszę św. (To bardziej na sposób francuski, owoż i dość).

A kędyż się obraca ks. Piotr? Ks. Edward wyjechał z Fontaineblau od miesiąca już. Jest dziś na odpuście i rekolekcyach u Benedyktynów w Einsiedeln. Kiedyż wyjedzie ks. Hieronim do Rzymu? Co słychać nowego od ks. Józefa z Rzymu i od Walerego z Krakowa? Czy Jaś Koźmian dawno pisał?

Matka i siostra żony mojej przyjechały do nas z Warszawy, to radość w domu.

Polecam się modlitwom twoim, kochany ks. Karolu, z całym domem powiększonym, i ściskam po bratersku

*J. B. Zaleski.*

## Do Pana Seweryna Goszczyńskiego.

*Fontainebleau, 30. września 1850.*

Zapewnie ci już, kochany Sewerynie, M.... doręczył 70 fr. Dobrze się stało, że tu przyjechał w sam czas, bo byłem w kłopocie, jak ci te pieniądze przesłać. Owoż posłałem pieniądze, a nie miałem ani chwilki wolnej do napisania kilku słów.

Dziękuję ci za wiadomości o ks. Edwardzie. Daj Boże, aby mu wszystko poszło po myśli, abyśmy się co rychlej uradowali chwałą Bożą i zespoleniem się w Bogu!

Pisałem dziś obszernie do Koźmiana, posyłając mu noty biograficzne o Celińskim, który ma się drukować w Poznaniu. Poleciłem mu aby się porozumiał z ks. Edwardem względem broszury ks. Piotra, zanim się weźmie do recenzyi.

U Kamieńskiego miałbyś wygodne pomieszkanie, szkoda tylko że nie na długo. Zapewnie Kamieńska spieszyć będzie z Galicyi dla umieszczenia syna gdzie w szkole. Z tem wszystkiem dobrze przemieszkać i parę tygodni bez kosztu. Napędź Kamieńskiego, aby odszukał Przegląd i zatrzymaj u siebie do mego przyjazdu. Będę w Paryżu w połowie października.

Do widzenia się, kochany Sewerynie, ściskam cię w Bogu, mój stary druhu

*J. B. Zaleski.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

# DYARYUSZ POSŁÓW INFLANCKICH

## delegowanych we wrześniu 1561 r. do księcia Alberta pruskiego przez Zakon krzyżacko-inflancki.

Lata 1558 do 1561 złamały siły odporne nietylko krzyżacko-inflanckiego Zakonu, ale i całego kraju, którego zasoby i środki obronne ostatecznie zostały wyczerpane. Całkowity rozkład inflanckiego państwa związkowego był nieuniknionym skutkiem ówczesnej niemocy i politycznego zniedołężnienia [1]).

Zakon krzyżacko-inflancki przyjąwszy protestantyzm, pozbawił się swego charakteru, który dlań był zarazem niejako prawem bytu, i utracił wszelką możność zachowania jedności we własnem łonie. Wewnętrzne zatargi hermistrzów Zakonu z arcybiskupem ryskim coraz bardziej osłabiały związkowe państwo inflanckie, z czego mocarstwa sąsiednie nie omieszkały skorzystać, gdyż kwestya o *dominium maris Baltici* nie przestała być nigdy żywotną, a silniejsi sąsiedzi dążyli stale do opanowania morza Baltyckiego.

[1]) Stan ów istnego niedołęstwa politycznego odmalował po mistrzowsku prof. Karol Schirren temi słowy: „Hoch und niedrig, Obrigkeit und Unterthan, Herr und Vasall, Junker und Bürger, alle haben bald jeden Begriff politischen Werthes verloren: ihr Recht ist das Recht, alles Recht anderer ist Unrecht. Sie ahnen nicht, wie sie sich selbst über und gegen alle Gesellschaft setzen; jeder ist sich selbst die einzige lebenswürdige Gesellschaft; in seiner Enge umschreibt sich für jeden der Horizont des Landes“. (Obacz czasopismo: „Baltische Monatsschrift“, tom 28, a w nim ciekawy i pouczający szkic historyczny prof. Karola Schirrena, pod tytułem: „Bischof Johann Münchhausen“.

Car Iwan Groźny, od roku 1558 aż trzy razy najechał Inflanty, zdobył i trzymał miasta Narwę i Dorpat oraz obronne zamki Felin i Marienburg.

Nowy król szwedzki Eryk XIV.[1]) nie wdał się z wysłanym do Sztokholmu w tajnej misyi (przez hermistrza Gotarda Kettlera tajnym jego sekretarzem) Salomonem Henningiem, w żadne układy i rokowania, ale natychmiast po odjeździe Henninga dał nader łaskawą audyencyę posłom rewelskim, wskutek której miasto Rewel, tudzież szlachta rycerska estońskich prowincyj Haryi, Wirlandyi i Jerwen wypowiedziały posłuszeństwo Kettlerowi, poczem dnia 4. czerwca 1561 roku akt poddania się Szwecyi uroczyście został podpisany a przysięga wierności królowi szwedzkiemu przez Rewel i Estonię formalnie dokonana.

Brat króla duńskiego, awanturniczy książę Magnus, potrafił stać się panem dwóch rozległych biskupstw inflanckich, p i l t y ń s k i e g o i o z y l i j s k i e g o, a król polski Zygmunt August, na mocy przymierza z r. 1559, za obiecaną pomoc przeciwko carowi moskiewskiemu, trzymał w zastawie zamki arcybiskupie Maryenhauzę, Lennewardę, Bersonę i dobra Nadłabańskie (Lubahnhof), tudzież zamki krzyżacko-inflanckie: Lucyn, Rzeżycę, Dyneburg, Zelburg i Tukkum z przyległemi do nich terytoryami.

Związkowe państwo inflanckie tak podzielone, a przez cesarza rzymskiego i Rzeszę niemiecką (do której już od czasów hermistrza Plettenberga stale się zaliczało) całkowicie opuszczone — nie widziało innej deski zbawienia jak dobrowolne poddanie się królowi polskiemu[2]), do czego je zresztą nakłaniał przykład Prus, które, po sekularyzacyi Zakonu, doczekały się błogich czasów pod panowaniem księcia Alberta.

To też we wrześniu roku 1561 rozpoczęły się w Rydze z wielkim kanclerzem litewskim, Mikołajem Radziwiłłem „Czar-

[1]) Eryk XIV., jak wiadomo, panował od 1560 do 1568 r.

[2]) Nie podejrzani o stronniczość dziejopisarze, uznają owe dobrowolne poddanie się Inflant Zygmuntowi Augustowi za j e d n o z g o d n ą wolę wszystkich stanów inflanckich. „Orden und Stände — powiada Richter — sahen die Unmöglichkeit ein, sich auf eigene Hand zu wehren; zum Bedenken war nicht viel Zeit da... und so fasste man denn e i n m ü t h i g l i c h den Beschluss, sich der Krone Polen in die Arme zu werfen und sich somit ihres bleibenden Schutzes gegen die unmenschliche Grausamkeit des Moskowiters zu versichern, sintemal die Russen jener Zeit ja, k e i n V o l k, s o n d e r n w ü t h e n d e B e s t i e n waren". (Obacz R i c h t e r: „Geschichte der Ostseeprovinzen Russlands" Theil II., pag. 358).

nym", rokowania o poddanie się Inflant: w listopadzie zaś mieli się już zebrać w Wilnie na podpisanie *„pactum subjectionis"* król Zygmunt August ze swojem ministeryum, ostatni hermistrz krzyżacko-inflanckiego Zakonu, Gotard Kettler ze swą radą komturów, arcybiskup Wilhelm, książę brandenburski z członkami swej kapituły, delegacye „szlachty arcybiskupstwa ryskiego" (czyli tak zwanego „Stiftsadel") oraz „szlachty zakonno-rycerskiej" (Ordensadel) i delegaci miasta Rygi, odegrywającej w owym czasie samodzielną rolę.

Właśnie podczas owych wielotygodniowych rokowań w Rydze z wielkim kanclerzem litewskim, wysłał Gotard Kettler do Królewca komtura zamku ryskiego, Kaspra Zyberka (Jasper Sieborch) i swego sekretarza Krystyana Szredersa (Christian Schroeders), aby się wywiedzieli dokładnie o szczegółach poddania się pruskiego i o tem wszystkiem, czego Alberta, jako lennika Polski, nauczyć musiało jego aż trzydziestoletnie doświadczenie.

To poselstwo krzyżacko-inflanckie wyruszyło z Rygi w dniu 9. września a stanęło w Królewcu 20. tegoż miesiąca.

Dyaryusz posłów, kreślony ręką sekretarza hermistrza Kettlera, rycerza Krystyana Szredersa, a po dzień dzisiejszy w archiwum państwowem Sztokholmskiem w wiernej kopii (oznaczonej w spisie liczbą I., 1381) starannie przechowywany, taki ma napis w oryginale:

> *„Verzeichniss wess der Haus Compthur zu Riga Her Jasper Szieborch und Christian Schroederss, In aufferlegtenn Werbungen Inn Preussen von wegen meins geehrten hern Meisters bei dem Hertzogen verrichtet, Anno LXI."*
>
> In dorso: *„Acta wass sich In der werbung beim hertzogen zu Preussen, verlaufen im September Anno LXI."*

Rzadki ten manuskrypt wciągnął dosłownie profesor Karol Schirren do tomu 8 pomnikowego dzieła *„Archiv für die Geschichte Liv- Est- und Curlands"* (Reval 1881), w którym to tomie, noszącym osobny tytuł: *„Quellen zur Geschichte des Untergangs livländischer Selbstständigkeit"*, nagromadził ten najsłynniejszy inflancki źródłoznawca i historyk spory zbiór źródeł do dziejów upadku związkowego państwa inflanckiego.

Zbioru tego numer 1049 podaje *in extenso* dyaryusz Krystyana Szredersa, pod tytułem:

*„Aufzeichnungen Christian Schroeders über die von ihm und dem Hauscomthur von Riga Jaspar Sieborg im Namen des Ordens-Meisters in Preussen geführten Verhandlungen". 1561. September 16—24. (Die Subjection Livlands unter Polen betreffend).*

Dyaryusz ten rzuca niewątpliwe światło na charakter lennika polskiego, księcia Alberta pruskiego i na jego stosunek do Polski. Jest on, zdaniem naszem tem ciekawszy, że odkryty przez najgenialniejszego i najbestronniejszego historyografa inflanckiego XIX. stulecia, rektora uniwersytetu w Kiel, Dra Karola Schirrena (dawnego nauczyciela i mistrza nieodżałowanej pamięci Adolfa Pawińskiego [1]), zawiera szczegóły nieznane szerszemu ogółowi historyków polskich. A że pisany jest w narzeczu dolno-niemieckiem, nie wszystkim dzisiaj przystępnem, podaję go tutaj w mowie naszej ojczystej dosłownie:

Należy wiedzieć — pisze Krystyan Szreders — żeśmy wyruszyli z Rygi dnia 9. września, a stanęli w Kłajpedzie (in Memel) w dniu 12-ym tegoż miesiąca. Tu, z powodu koni, cały dzień musieliśmy się zatrzymać.

Stosownie do danego nam przepisu *(zuuolge unnser voerschrift)* udaliśmy się do miejscowego „hauptmana" o dalszą lokomocyę, o tak zwaną „Forderungs-Post", której nam też aż do Królewca udzielono, a przed tem uraczał nas hauptman zwierzyną i rybami w austeryi, okazując przez to osobliwą cześć memu miłościwemu panu (hermistrzowi Kettlerowi).

Dnia 20. września o godzinie 4 po południu przybyliśmy do Królewca. Nazajutrz rano posłaliśmy do szlachetnego Fryderyka Kanitza (sekretarza księcia Alberta), prosząc o audyencyę u księcia *(ad marginem* notatka w tych słowach: *Heupthandlung angefangen).*

Zaraz po kazaniu (była to niedziela) przysłał do nas książę dwóch doktorów dla zaproszenia nas na obiad, przyczem oświadczyli ci panowie, że, jeżeli tego życzyć będziemy, udzielonem nam będzie zarazem posłuchanie.

Na to wezwanie, któreśmy z wdzięcznością przyjęli, poszliśmy z obydwoma doktorami na zamek, gdzie nas książę, w przytomności hrabiego na Tęczynie (Grafen von Tienschein), uprzejmie przy-

[1]) Porównaj nasze studyum: „Dorpat i były uniwersytet dorpacki". Lwów, 1898 r., a mianowicie str. 74—77.

jął, rękę podając — (hrabia Tęczyński właśnie przybywał ze Szwecyi na Gdańsk do Królewca, skąd do Wilna, do króla miał się udać). Niebawem posadzono nas do obiadu przy stole okrągłym, w takim oto porządku: Obok księcia, na prawo, hr. na Tęczynie, obok niego komtur zamku ryskiego, dalej poseł szwedzki pan Ezechiasz Gebhart, potem ja (piszący), obok mnie niejaki polski wojewoda, za nim dwóch młodzieńczych panów polskich, obok nich, z drugiej strony przy księciu wiekowy pan Cem (der Alt Herr Zeem) wojewoda malborski. Przed każdym z nas, przy pięknem pozdrowieniu, postawiono potężny roztruchan wina, wyjąwszy jedynie wiekowego wojewodę Cema, uważanego tu za domownika (a oczywiście nie znoszącego libacyi).

Po powstaniu od stołu, gdy książę z panem Tęczyńskim gawędził, zbliżyliśmy się na sali do pana Kanitza (Canitz), prosząc go, aby, jak tylko będzie możebnem, książę nas do audyencyi raczył przypuścia, w przytomności najmniejszej liczby i tylko najbliższych swoich przybocznych doradców; jakoż, po krótkiej z Kanitzem i swymi doradcami rozmowie, oświadczył nam książę przez tegoż Kanitza, iż, chociaż go nieco niepokoi udzielenie nam posłuchania wcześniej niż legatowi królewskiemu polskiemu albo i posłowi szwedzkiemu, którzy obaj przed nami przybyli, nie odrzuca przecież naszej prośby, naznaczając audyencyę albo zaraz, jeśli na to jesteśmy przygotowani, albo na dzień następny rano. Myśmy z wdzięcznością przyjęli obietnicę, że będziem natychmiast wysłuchani; przeprowadzono nas wtedy do oddzielnych komnat, skąd też niebawem zawołano do księcia na audyencyę.

Książę miał tu przy sobie sędziwego pana Cema, Burgrabiego, kanclerza i Fryderyka Kanitza. Gdyśmy Jego książęcą Mość od naszego miłościwego Pana pozdrowili, składając wyrazy sąsiedzkiej życzliwości, wręczyliśmy naszą kredytywę oświadczając, że obowiązujemy się uzupełnić żywem słowem przedstawienie nasze, życzenia i prośby Hermistrza.

Po niedługiej naradzie odpowiedział nam kanclerz w imieniu księcia, iż jego książęca mość bardzo wdzięczna za słowa przyjaźni i dobrych życzeń Jego Łaski pana Hermistrza i że ze swojej strony podobneż życzenia pomyślności dla Hermistrza i dla Inflant wyraża. Co się zaś tyczy głównego celu naszego poselstwa widzi jego książęca mość, iż okoliczności doprowadzić muszą koniecznie Inflanty do poddania się Polsce. Doniosłość tej sprawy jest oczywiście zbyt wielką, aby słowne przedstawienie było dostatecznem. To też uważa książę za nieodbicie potrzebne mieć nasze życzenia

i prośby na piśmie sobie przedstawione, jeśliby to nam nie było zbyt uciążliwem.

Na to żądanie odpowiedzieliśmy, że kopię tego cośmy słownie wyrazili, nie omieszkamy złożyć jego książęcej mości, prosząc atoli, by odpowiedź jaką od jego książęcej mości otrzymamy, również na piśmie udzieloną nam została.

Następnie rozmawiał książę na osobności z panem komturem (Zyberkiem), wypytując się o stosunki ze Szwecyą i o poddanie się Rewla. komtur zaś opowiedział szczegółowo, jak to wszystko zaszło, poczem około godziny 3 po południu byliśmy do naszej austeryi odprowadzeni.

Nazajutrz dnia 22. września około południa przyszedł do nas na obiad Fryderyk Kanitz i poufnie rozmawiając, powiedział nam *(ad marg:* uwaga w tych słowach: *Beihandlung)*, że myśmy w naszym memoryale żądanie *in genere*, a nie *in specie* wyrazili, i że również tylko *generalem responsum* otrzymamy.

Na to odpowiedzieliśmy, że nasza prośba dostatecznie *in specie* wyrażona, a szczególnie w dwóch zawarta punktach: Po pierwsze, żeby jego książęca mość nic przeciw naszemu hermistrzowi nie czuła z rzeczy zmiany, jaka ma zajść po sekularyzacyi zakonu, owszem aby stosunki zostały dobre z powodu pokrewieństwa obu narodów, pruskiego i inflanckiego, gdyż nawet zmiana, o której mowa, mogłaby dla obydwóch krajów być pomyślną, jeżeliby jego książęca mość wysokim swoim rozumem chciała nam dać przychylne rady. Po drugie: żeby jego książęca mość raczyła odpowiedzieć na osobistą prośbę hermistrza o rady przy ułożeniu *Pactum subjectionis*, a mianowicie: czego unikać i co przewidzieć, w czem jego książęca mość jak najłatwiej mu poradzić może z własnego doświadczenia.

Na to odpowiedział znowu (Kanitz): Tak jest istotnie: ale w interesach tego rodzaju należy pytać wyraźniej i jaśniej; dla tego tym razem odpowiedzą wam tylko *generaliter*.

Następnie oświadczył on nam. że chciałby od siebie i całkiem poufnie w tych sprawach z nami się rozmówić, byleśmy tylko nie sądzili, iż co on powie, od księcia pochodzi; otóż, wedle zdania Kanitza, zakon inflancki sekularyzować się musi, przyczem hermistrz zostanie świeckim księciem i zapewne się ożeni; jeżeliby się zaś Panu Bogu nie podobało obdarzyć go potomstwem, czyby w takim przypadku nie było z korzyścią dla obu krajów, aby hermistrz teraz za ewentualnego następcę do państwa inflanckiego wybrał młodego książęcia pruskiego, któryby znowu tym sposobem

połączył te dwa kraje pobratymcze. Nie trzeba bowiem zapominać, że są one jednego szczepu, jednej przeszłości i że w przypadku nieoznaczenia następcy w samym traktacie poddania się, mogłyby kraje niemieckie *(sic!)* z wielkim uszczerbkiem dla Niemców przejść, w razie bezdzietności hermistrza, w ręce rządców innej narodowości.

Na to odpowiedzieliśmy, że znamy sposób widzenia naszego hermistrza, jesteśmy pewni, iż przy traktowaniu o poddanie się Polsce, nie omieszka on zwrócić uwagi na rzecz sukcesyi i chętnie przyjmie rady, dotyczące zapewnienia przyszłości naszego biednego kraju. Sądzimy wszelako, że punkt ten jest zbyt ważnym i że nie mając go w instrukcyi naszej, nie możemy nań odpowiedzieć; ale gdyby jego książęca mość zechciała naszemu hermistrzowi wskazać drogi do połączenia w przyszłości naszych krajów, przyjmie je niewątpliwie nasz hermistrz z prawdziwą wdzięcznością. On zaś (Kanitz) odrzekł: że książę nigdy tej propozycyi nie uczyni, a że zupełnie bez wiedzy księcia i li tylko z własnej inicyatywy o sprawie sukcesyi nam wspominał, jednakże prosiłby bardzo pana komtura ryskiego, by zechciał o tem z hermistrzem pomówić a o rezultacie rozmowy do niego (Kanitza) poufnie napisać. My zaś zaręczyliśmy, że z pewnością o tem z hermistrzem pomówimy, ale ze względu na doniosłość interesu, komtur ryski żadną miarą nie chciał związać się obietnicą napisania o tem do pana Kanitza.

Dalej dopytywaliśmy się o szczegółach sukcesyi pruskiej i czy z margrabią panującym, czy też z elektorem jedność sukcesyi ustanowiona? Na co nam Kanitz odparł, że pytamy o rzeczy, które znamy, ale że on dobrze rozumie dlaczego to czynimy, po czem dodał, że jedność sukcesyi rozciąga się od margrabiego Albrechta na margrabiego Anspachu i jego potomków, ale nie dalej i że podobne dawniejsze układy nie mogą być zniesione. Jakoż, niedawno margrabia starał się u króla Jegomości (bei der K. Maitt.) o rozszerzenie prawa sukcesyi, lecz nie wiadomo z jakim skutkiem; wszelako gdy się pierwsza linia sukcesyi skończy, możnaby względem Inflant tak rzeczy ułożyć, aby jeden kraj do drugiego w nadziei i ufności zostawał (zuhoffen und Im vertrawen stunden).

Potem mówił nam Fryderyk Kanitz, iż ważnem jest nie zapominać przy poddaniu się Polsce o prawach cesarstwa rzymskiego, trzeba bowiem pamiętać o niebezpieczeństwie, w jakiem z tego powodu książę pruski zostawał, kiedy go z rzędu członków cesarstwa wykluczono, co do dziś dnia jeszcze trwa, lubo skutki tego wyroku zawieszonymi zostały czasowo. Jakoż, sądzi on (Kanitz), iż poddanie się Polsce mogłoby zostać tak przeprowadzonem, aby bez szkody

dla króla polskiego, było jednakże z korzyścią dla hermistrza i wszystkich krain inflanckich, a mianowicie: W *pactum subiectionis* powinno być wyrażone, że król polski został od cesarstwa rzymskiego uproszony, by zagrożone od Moskwy kraje inflanckie obronić, że taka obrona cudzego kraju bez własnych korzyści jest nader kosztowną i uciążliwą dla Jego Królewskiej Mości, i że tego rodzaju bezinteresowna opieka, nie mogąc być bardzo groźną dla wiecznego Inflant wroga (Erbfeindt), staje się bez korzyści dla Inflant, przeto kraje inflanckie poddają się całkowicie królowi polskiemu, jako swemu dziedzicznemu panu (als einem Erbherrn), pod tym wszakże warunkiem, że gdyby w przyszłości cesarstwo rzymskie chciało zwrócić królowi polskiemu wszystkie koszta teraźniejszej obrony ziemi inflanckiej i koszta późniejsze utrzymania całości jej granic, to Inflanty do cesarstwa napowrót zwrócone zostaną i owa „subjekcya“ nie stanie zgoła na przeszkodzie (und mit dieser Subjection nichts benommen sein sollte).

Tę radę przyjęliśmy z wielką wdzięcznością.

Dnia 23. września rano przysłał do nas książę dwóch ze szlachty, zapraszając nas na obiad (*ad marg.* notata w tych słowach: „*Heupthandlung sich weiter verlauffen*“), co gdyśmy przyjęli, zostaliśmy o 9 rano do zamku odwiezieni i niebawem na komnaty książęce wezwani.

Tam jego książęca mość w obecności burgrabiego i Kanitza, przez swego kanclerza nam objawiła, że książę pruski raz jeszcze oświadcza nam podziękowanie za wyrazy przyjaźni i życzenia, złożone mu przez nas od pana naszego hermistrza i radby okazać hermistrzowi wszelkie sąsiedzkie usługi, prosząc Boga, aby go obdarzał zdrowiem, dał mu szczęśliwe rządy a nad nieprzyjacioły zwycięstwo. A zaś na przedstawione przez nas żądanie (Werbung) daje książę przyjacielską i sąsiedzką odpowiedź, która nam obecnie zostanie odczytaną i stosownie do naszej prośby piśmiennie wręczoną, abyśmy ją mogli odwieść panu naszemu hermistrzowi, oświadczając, że jego książęca mość w tych ważnych sprawach chciał służyć i być użytecznym (dienen und beforderlich sein).

Złożyliśmy podziękowanie za daną audyencyę, prosząc jego książęcą mość o dozwolenie nam przedstawienia dalszych zapytań i objaśnień, których ta wielce ważna piśmienna odpowiedź, po starannem i rozważnem przeczytaniu jej z naszej strony, jeszcze by mogła wymagać.

Na to jego książęca mość przez swego kanclerza odpowiedzieć raczył, że co do dalszych objaśnień książę na nasze zapytania odpowie, a teraż prosi na obiad.

Zaprowadzono nas tedy na salę.

Tu, z hrabią na Tęczynie i trzema polskimi panami oraz kanclerzem księcia, zasiedliśmy do stołu, komtur zamku ryskiego koło hrabiego, dalej reszta zaproszonych, a z drugiej strony koło księcia mnie posadzono. W czasie uczty wypytywał mnie książę po cichu (in geheim) o pogłoskach, dotyczących zdrady miasta Rygi i wydania zamku ryskiego, a także o oskarzeniu proboszcza hazenpockiego, później o załodze polskiej w zamku Tarwast, tudzież o wzmocnieniu zamków, przez Moskwę zdobytych.

Po uczcie porozmawiał książę nieco z hrabią (Tęczyńskim), a potem, podawszy nam rękę, temi słowy do pana komtura się odezwał:

Mój kochany panie komturze, proszę was chciejcie panu hermistrzowi oświadczyć gotowość moją do wszelkich usług przyjacielskich. Czem tylko ja jego Miłości (seine Liebe dienen) służyć i radzić mogę, to jak najchętniej uczynię, na to wasz pan hermistrz spuścić się może we wszystkiem, co nie będzie przeciwnem moim obowiązkom i mojej przysiędze, może więc jego Miłość wszelkiego dobra spodziewać się odemnie.

Gdy na to zapytał pan komtur (Zyberk) raz jeszcze księcia, czy jego książęca mość prawdziwie we wszystkiem będzie naszemu panu przychylną, odrzekł książę: Tak, we wszystkiem, co będę mógł uczynić bez uchybienia mojemu obowiązkowi.

Po odprowadzeniu nas do naszego mieszkania, odczytaliśmy z największą uwagą daną nam na piśmie odpowiedź i znaleźliśmy koniecznem poprosić o dalsze wyłuszczenie danych rad; przeto posłaliśmy do Kanitza prośbę, by do nas przybył, co też uczynił niezwłocznie (*ad marg.* nota *„Beihandlung sich abermals verlauffen“*).

Oświadczyliśmy jemu, że książę w odpowiedzi swej, głównie zaleca trzymać się uprzednich układów pruskich przy poddaniu się Polsce, ta rada jest panu hermistrzowi wielce pożyteczną, bo z tamtych układów wyciągnąć można wiele nauki. Jednakże, ponieważ jego książęca mość sama obiecała radzić nam dalej w odpowiedziach na wszelkie dalsze zapytania, więc w imieniu naszego hermistrza śmiemy pytać, czy prócz oficyalnego traktatu submisyi pruskiej, nie było jednocześnie albo potem aktu dodatkowego, któryby nie mniejszą miał doniosłość od oficyalnego. Mogłyby także w pertraktacyach pruskich i samym akcie rozmeite szczegóły być

opuszczone, których brak następnie się odkrył. i o którychby warto, aby nasz hermistrz nie zapomniał. Nie znamy roty przysięgi księcia pruskiego królowi polskiemu, gdyż nie jest ona wyrażoną w oficyalnym akcie, a ów jurament ma dla nas niezmierną wagę. Że zaś książę zgodził się na objaśnienia, a myśmy już niemal pożegnalną otrzymali audyencyę, przeto prosimy (Kanitza) o podjęcie się przedstawienia naszych zapytań jego książęcej mości i, jeśli to możliwem, o utrzymanie dla nas kopii roty przysięgi (pruskiej).

Zgodził się po długich naleganiach Kanitz na naszą prośbę, obiecując wypełnić ją wiernie.

Tegoż wieczora późno, o godzinie 8 powrócił do naszego mieszkania i przyniósł odpowiedź treści następującej:

„Jego książęca mość z najjaśniejszym królem i panem żadnych nie zawierała aktów dodatkowych, lecz tylko otrzymała zatwierdzenie dawnych swoich przywilejów, czem się pan hermistrz również zaopatrzyć powinien.

Przedewszystkim radzi książę zwrócić przy akcie uwagę na sesyę, na elekcyę, apelacyę, na bicie monety i na cło.

O tem wszystkiem jego książęca mość przy poddaniu się zrobiła wprawdzie zastrzeżenia, te się atoli po części nie dotrzymują.

Prawo zasiadania i miejsce w senacie dokładnie zostało określone, ale księcia rzadko na sejmy wzywają a w czasie elekcyi mało na niego uważają.

Na apelacyę nie zgodził się książę, atoli obecnie do tego jest niemal zmuszony.

Co się tyczy mennicy, dano mu zupełne prawo bicia monety, wszelako tytuł monety powinien być zrównany (z monetą polską), co trudnem jest, bo ciągle go zmieniają.

Poddani księcia uwolnieni zostali od płacenia cła w ziemiach Króla, ale tego nie dotrzymuje rząd (polski), to prawo zmieniając gwałtem.

Wszystko to kwestyonują subtelną dyskusyą, tak że hermistrz powinien dobrze się opatrzyć, ażeby wszystko, co w akcie będzie pomieszczone, zarówno w szczegółach jako i w całości jasno, ale nie subtelnie (nicht subtiell) było napisane.

Lecz przedewszystkiem należy zabezpieczyć sobie lepszą opiekę i obronę przeciw nieprzyjaciołom, i aby Korona Polska to wszystko zaprzysięgła (lobte und zusagte).

Jurament księcia był brzydki i ordynaryjny, taki jak każdy wasal zwykł go składać panu swemu (seinem lehenherrn).

Mianowicie: że zawsze będzie zostawał swojemu panu wiernym i życzliwym, będzie dbał o jego dobro, a od szkody ochraniać go będzie.

Chętnieby jego książęca mość kopię owej przysięgi hermistrzowi udzieliła, ale tym razem uczynić tego nie może, w razie potrzeby jednak w przyszłości oną udzieli.

Zresztą nie wie jego książęca mość, coby jeszcze tym razem hermistrzowi mógł poradzić, ale zawsze zgadza się odpowiedzieć na dalsze zapytania i dopełnić dobrych rad swoich, byleby to tylko nie było przeciwnem jego przysiędze i obowiązkowi".

Dnia 24 września przybył znowu do nas Fryderyk Kanitz na obiad i oświadczył, że książę zeszłej nocy długo myślał i szukał w pamięci, czemby jeszcze mógł być pożytecznym hermistrzowi, i to tylko nowego znalazł do powiedzenia, że miał i ma jeszcze dużo kłopotu z tem, że część Prus, która do Polski odeszła, takie przywileje otrzymała, jakich jego poddani otrzymać nie mogą, i że tam szlachta jak wolni baronowie (als eigene Freihern) na takich zostaje prawach, jakich on sam, książę, nie posiada; powinienby więc hermistrz w akcie poddania się Koronie polskiej zapobiedz takiej różnicy położenia szlachty w kraju podzielonym.

Nakoniec powiedział nam i radził sam od siebia Kanitz, że w *pactum subjectionis* należałoby zastrzedz, iż poddanie się krajów inflanckich wtedy tylko nastąpi i punkta (w tym donośnym akcie podpisane) wtedy tylko zostaną prawomocne, gdy te kraje od nieprzyjaciela obronione i do dawnej swej godności (Wirde) przywrócone zostaną. Takież zdanie — a nie inna rada — także i arcybiskupowi (ryskiemu) przez jego książęcą mość wypowiedziane zostało".

Gustaw Manteuffel.

# WYCIECZKI

## HISTORYCZNO-ARCHEOLOGICZNE PO UKRAINIE.

(I. Wiszenki, II. Borowica, III. Czehryń, IV. Subotów).

---

### I. Wiszenki.

Kto dotykał się archeologii Ukrainy, ten wie, jakie bogactwo pod tym względem przedstawiają pobrzeża Dniepru. Dawniejsi badacze już w pierwszej połowie XIX. w. zwrócili pilną uwagę na ten punkt. Z pośród nich głównie dwaj — Funduklej i Michał Grabowski zajęli się opracowaniem zebranego materyału. Funduklej, gubernator cywilny gub. kijowskiej, za pośrednictwem urzędników, drogą niejako urzędową, zgromadził ogromny materyał statystyczny, historyczny i archeologiczny, lecz materyału tego sam nie opracowywał: nie miał na to ani czasu, ani uzdolnienia. Zarówno przeto w opisie gub. kijowskiej, olbrzymiem trzytomowem dziele in 4° jak i w opisie historycznym Kijowa, posługiwał się obcą głową i ręką. Inaczej było z M. Grabowskim — ten materyał Fundukleja, jakoteż zebrany przez rozmaitych ludzi, między innymi Kulisza, jakoteż przez siebie samego, sam opracował — niestety, częściowo tylko, gdyż ciekawego i dziś niesłychanie rzadkiego dzieła p. t. Ukraina dawna i teraźniejsza wydał tylko tom 1-szy. Ostatniemi czasy wreszcie p. Włodzimierz syn Bonifacego, Antonowicz, profesor uniwersytetu kijowskiego, słynny nie tyle z nauki, ile z przeobrażeń swoich przekonań narodowych, politycznych i religijnych, postanowił wydać coś podobnego do mapy archeologicznej gub. kijowskiej. Istotnie wydał mapę i na-

zwał ją archeologiczną, chociaż właściwie jest ona tylko zarejestrowaniem surowego materyału i niepewnych wskazówek o rozmieszczeniu punktów archeologicznych. Upoważnia mnie do podobnego wniosku ta okoliczność, że $^3/_4$ materyału, podanego w mapie przez Włodzimierza syna Bonifacego Antonowicza wydanej, składa się z wypisów raportowych wójtów i pisarzy gminnych. Ciekawe jako wskazówki dla tych, którzy pragną poszukiwania prowadzić, nie mają wszakże żadnej naukowej wartości — chyba, że uczoność p. Antonowicza da się pogodzić z wiedzą archeologiczną wójtów i pisarzy gminnych.

Pominąwszy w spisie dzieł, z których korzystał, Grabowskiego, na tej zapewne zasadzie, że opracował materyał Fundukleja, zaglądał jednak do niego (np. przy babach) przykrywając się płaszczykiem Fundukleja i Pochilewicza. Zresztą, niechodzi mi tutaj bynajmniej o krytykę mapy p. Włodzimierza syna Bonifacego Antonowicza, tylko o zwrócenie uwagi na to, że Ukrainą archeologiczną zajmują się teraz bardzo chętnie. Weszła ona poniekąd w modę. Zbiory Chanenki (*Antiquités de la région du Dniepre*), wydane bardzo swawolnie, bo między tekstem a rysunkami nie ma często żadnego związku; artykuły Wołkowa (*Société scient.* etc. t. I., 1899, Lwów) bardzo ciekawe i bardzo gruntowne, wydane na podstawie poszukiwań Chwojki w Kijowie, w zagrodzie Żiwala i wiele innych prac, rozbudziły zapał archeologiczny, że tak powiem.

Jedną z bardzo ciekawych miejscowości pod względem archeologicznym jest miejscowość między Bortniczami a Wiszenkami, na lewym brzegu Dniepru, w kierunku Perejasławia.

W tamtą stronę przeto postanowiłem udać się g'woli także zaspokojenia ciekawości naukowej i oglądania żywemi oczyma terenu archeologicznego.

13. czerwca st. st. wsiadłem tedy na statek parowy i dojechałem do t. z. Nikolskiej słobódki, osady leżącej tuż za starym łańcuchowym mostem kijowskim. Powstała zaledwie około r. 1850, dziś stanowi prawie odrębne miasteczko, bardzo ożywione i zaludnione przez żydów w znacznej części. Niemając prawa mieszkania stale w Kijowie, ukochali oni z konieczności piaszczyste i błotniste wydmy Nikolskiej słobódki, której nie dotyka prawo do żydów, stosowane na Ukrainie t. j., że niewolno im nabywać posiadłości i mieszkać na wsi i w Kijowie. A trzeba wiedzieć, że Nikolska słobódka już leży w gub. Czernihowskiej.

Z początku miałem zamiar udania się do Wiszenki łodzią. Dojechać można starem korytem Dniepru do łąki, a stamtąd per pedes apostolorum do Wiszenki. Plan ten okazał się jednak niemożebnym do zrealizowania z powodu buddyjskiego temperamentu właścicieli łodzi. Przytuliwszy się brzuchem do piasku lub do ławek na przystani dla statków parowych, a głowy w skrzyżowane ręce schowawszy, używali oni błogości słonecznej z takim spokojem i takiem poddaniem się na wolę bożą, że niepodobna było obudzić ich z tej nirwany lenistwa, apatyi i obojętności. Zniecierpliwiony mój socius doloris, znany archeolog Karol Bołsunowski, zdecydował się na podróż wózkiem. Ale i to niebyło rzeczą tak rozkoszą jakby się zdawać mogło, wziąwszy na uwagę, że trzy czwarte podróży odbywa się drogą leśną, śród sosnowego lasu, a resztę przez wsie i łąki pełne świeżości ponizia Dnieprowego i błota. Ze Słobódki do Wiszenek prawie trzy mile (ukraińskie).

Udaliśmy się tedy na poszukiwanie, mówiąc z polska po kijowsku, „zwoszczyka“. Wkrótce przyszedł do nas IMć pan Fiodor Taraszczuk, chłop lat trzydziestu kilku, czarny jak cygan, słuszny i krzepki jak dąb, ale niestety, należycie cięty, chociaż to była zaledwie godzina 11. rano — prawda, że poniedziałek, a zatem — ciężki dzień. Innego amatora do podróży nie było. Nolens volens trzeba było zgodzić się na IMć pana Fiodora.

Umówiwszy się o zapłatę, oświadczył nam, że „w mig“ będzie gotów, ale dodał, jak ów „mig“ rozumie — „za hodynku“. Jaki tu czas tani, ach jaki tani! Wyczekawszy „hodynku“, poszliśmy szukać p. Taraszczuka. I znaleźliśmy przy pomocy jakiegoś dobrodzieja, który za tę pomoc kazał sobie niewiele — tylko pięć kopijek zapłacić. Na dziedzińcu swojej sadyby Taraszczuk już konia zaprzęgał. Spojrzałem na wózek — i poleciłem się Bogu. Trudno doprawdy opisać owo narzędzie inkwizytorskie, którem podróż odbyć mieliśmy. Był to wasążek płytki i wązki, rozszerzony u góry, w dole zakończony rozwatym kątem, a tak krótki, że między kołami przedniemi i tylnemi niewiem czy więcej jak półmetra było przestrzeni. Wasążek był oszalowany wprawdzie, ale tak oszczędnie, że między jedną a drugą szalówką znajdowały się otwory, w które noga wślizgała się bez oporu. Z jednej strony, z tej mianowicie, gdzie mieliśmy siedzieć, leżało literalnie parę garści słomy ze starych snopków i nic więcej. Pan Fiodor rzucił na tę słomę starą płachtę, wziął do ręki gruby pręt i zachęcił nas do wsiadania słowem: „sidajte“!

— A batóg? spytałem, spojrzawszy na pręt.

— E... ktoby tam batoga szukał! Nie ma czasu.

Towarzysz mój wydrapał się na wózek, podał mi rękę — i ja wsiadłem nareszcie. Ruszyliśmy... Jakżesz żałowałem wówczas, że nie jestem kawałkiem drzewa lub cegłą, która mogłaby wszelkie podskoki wózka znosić obojętnie — ale na nic te pragnienia. Siedzenia nasze wypadły na tylnych osiach, to dało nam przedsmak przyjemności podróży przez las, gdzie co chwila wystające z ziemi korzenie, wywoływały mniejsze lub większe podskakiwania całego ciała na wózku. Gdyśmy na tym wehikule usiedli, okazało się, że miejsca dla pana Taraszczuka zabrakło. Przyzwyczajony do oszczędności IMć pan Fiodor w ten sposób sobie poradził, że podgiąwszy pod siebie nogi, usiadł na nich, a gdy mu się ta pozycya sprzykrzyła, zwieszał na półdrabek i tak zrezyguowani dążyliśmy naprzód.

Było jeszcze jedno ale, którego tajemnicę odkrył nam sam p. Taraszczuk. Wspomniałem już, żo p. Fiodor był cięty. Z tego powodu gadatliwość jego wzmogła się. Pragnąc się usprawiedliwić, przyznał się do tego, co już dla nas oddawna tajemnicą nie było, że „wypił manieńko". A miał potemu racyę wielą. Oto wstawszy o godz. 4. poszedł „na bazar" w nadziei, że może ktoś go „do roboty" weźmie. Nikt nie zjawił się. A byli tam inni, którzy także „roboty" szukali. Około godziny 8-mej poszli i — „chwatyły po riumkie". Z początku jeden, potem drugi postawił i sami niespostrzegli gdy „ululali się" należycie. Zamiast zarobić tedy trochę grosza, przepili i to, co mieli.

Jechaliśmy zatem dalej, a Fiodor opowiadał nam bajki jedna za drugą, których tutaj powtarzać nie będę. Ale i bez przygód nie obeszło się. Gdyśmy tak podążali naprzód, podskakując na wózku co chwila, lub przejeżdżając przez jeziora, pozostałe jeszcze z wylewu Dniepru, nagle p. Fiodor zaalarmował nas i konia i wołaniem: pr... pr... prrr... Wołaniu temu towarzyszyło cmoknięcie z pewnem niezadowoleniem i poskrobanie się z tyłu głowy. Koń stanął. Fiodor zeskoczył z półdrabka.

— Co się stało?

— O mało koło niezleciało — odpowiedział spokojnie.

Okazało się, że skutkiem skakania wózka po korzeniach, wypadł drewniany lonik, którego pionowe położenie w osi uniemożliwiało spadnięcie koła. Mała „sztuczka" jak mówi Ukraniec, ale „ważneńka". Poradzenie biedzie nie okazało się trudnem. P. Fiodor rzucił okiem na prawo i na lewo, schylił się, podniósł z ziemi pierwszy lepszy kawałek patyka, wsunął go do dziurki w osi i pojechaliśmy dalej.

Minąwszy Bortnicze i Hnidów, dwie duże wsie pod górą na łąkach dnieprowych położone, zbliżyliśmy się około g. 2-giej do Wiszenek, wielkiej wsi tego samego typu co poprzednie i zajechaliśmy do gospodarza, mającego bardzo porządny dom i sklepik w środku wsi.

Słówko o miejscowości.

Rozejrzawszy się z najwyższego punktu po okolicy, można sobie poniekąd przedstawić obraz jej w czasach i epoce bardzo odległej. Dziś Dniepr płynie prawą, powiedziałbym kijowską stroną, a od Wiszenki w prostej linii do głównego koryta rzeki będzie 3 do 4-ch wiorst. Nieobjęta okiem płaszczyzna, nazywana łuhami, zamknięta między wysokim górzystym prawym brzegiem Dniepru a wielkim piaszczystym łukiem od Bortnicz, Hnidowa i Wiszenek roztacza się przed oczyma; za nią ciągnie się wyżyna, mogiłami tu i ówdzie usiana. Łuhy trzech powyższych wsi przecina koryto starego łożyska Dniepru, zwane tutaj „Starik“, jak i w wielu innych miejscowościach niżej ku ujściu położonych. Stare koryto rozpoczyna się teraz tuż przy wpadnięciu Desny, tworzy pod Kijowem wyspę Turchanów, a za Nikolską słobódką znowu odchyla się ku lewemu brzegowi, tworząc nową wyspę, a raczej łuh niezamieszkały i łączy się następnie z dzisiejszem korytem Dniepru. W starożytności linie koryta szły zupełnie inaczej — ale w jakiej starożytności? Dawni geografowie oprócz nazwiska rzeki nic nam więcej nie pozostawili i nie mogli. Dopiero Konstantyn Porfirogeneta zanotował nazwy porohów. Nasz Nestor powiada, że pod Kijowem wpadała do Dniepru rzeka Poczajna, której ujście głębokie stanowiło rodzaj portu. W innem miejscu pisze, że na Padole nie mieszkali ludzie z powodu zalania go i zalewania ustawicznego przez górskie potoki. Poczajna zaś oddzieloną była od Dniepru rodzajem naturalnego nasypu. Z drugiej strony północy szpic Turchanowego ostrowu musiał być znacznie dłuższy, stąd też napływ wody z Desny i górnego Dniepru ku Poczajnie i brzegom kijowskim był mały. Główna siła szła starem dzisiejszem korytem, a pod Kijowem oddzielała się gałąź boczna niewielka. Dopiero z czasem, gdy silny prąd Desny i Dniepru urwał kawałek Turchanowego ostrowu i przerwał przesmyk, dzielący Poczajnę od ramienia bocznego Dniepru, zmiejszyły się płytkie zatoki na Obołoni, a główne koryto skierowało się ku górnemu Kijowowi. Należy przypuścić, że w tym okresie t. j. między VII. a IX, w. po Chr,, skutkiem przerwania naturalnych tam, główny prąd wody wytworzył nowe łożyska dzisiejsze i parł z taką siłą na góry kijowskie, że jeden

z budowniczych książęcych, Miłonieg, musiał dla ochronienia monasteru Wydubyckiego budować tamę, „ścianę“, jak mówi kronikarz, bez skutku jednak. W tym okresie zatem prawdopodobnie zmniejszać się poczęła ilość wody w starem korycie Dniepru między dzisiejszą Nikolską słobódką, Bortniczami, Hnidynem i Wiszenkami.

Zanim owa rezolucya hidrograficzna dokonała się, Dniepr przez wiele wieków płynął przez tę samą miejscowość, gdzie dziś leżą osady Bortnicze, Hnidów i Wiszenki, a ślady tego pozostały w wysokich piaszczystych brzegach. Pozostały także inne ślady — osad ludzkich nadbrzeżnych. Wiadomo, że ludzie pierwotni, z okresu wieku kamiennego, a szczególnie kamienia nieszlufowanego, osiadali nad brzegami wielkich wód i lasów. Głównie wody ich nęciły. Chodziło o zdobycie pożywienia. Woda dostarczała go podostatkiem i łatwo. Stąd też powstały osady paleolityczne w Kijowie pod górą Żiwala, na ulicy Kiryłowskiej. Taki sam początek osad wieku kamiennego na dzisiejszych piaszczystych wzgórzach między Bortniczami a Wiszenką.

Przyjechawszy do Wiszenki, udaliśmy się natychmiast ku piaszczytnemu, urwistemu wybrzeżu dawnego Dniepru. Znaczna część tego wybrzeża składa się z ruchomych piasków. Niewątpliwie dawniej, w czasie, gdy tu ciągnęły się osady kamiennego wieku, wybrzeża były pokryte lasem, stąd też piaski dziś ruchome, ruchomemi nie bywały. Otóż w tych lasach i mieściły się osady przeważnie rybackie. Myśliwstwo stanowiło raczej środek obrony, niż wyżywienia. Gdy lasy zostały zniszczone, prawie już za naszych czasów, piaszczyste ziemie obnażone, a wiatr z północno-wschodu, którego prąd powstrzymywały lasy, nie miał już żadnego oparcia, wówczas, przenosząc piaski z miejsca na miejsca, odkrywał ślady dawnych siedlisk. Mierząc wzdłuż i poprzek te wzgórza, śród szczerego piasku, napotykałem tu i ówdzie nierównomiernej wielkości szmaty ziemi twardej, w różnych odcieniach od brunatnego do czarnego. Niektóre z nich były literalnie zasiane malutkiemi kawałkami czerepków glinianych, inne miały ziemię czarną, z popiołu i węgli drobnych powstałą. Coby mogły oznaczać owe kawałki ziemi tak odmienne od szczerego lotnego piasku otaczającego je?

Rozpatrując szczątki ceramiczne, spostrzegłem, że należą one pod względem gatunku do dwóch typów gliny, pod względem zaś wyrobów do najbardziej pierwotnych. Najprzód, co do gatunków. Jedne są z siwej, prawie czarnej gliny, drugie — z białej prawie,

z odcieniem cielistym, porowatej. Pierwsze i drugie, sądząc według równości i gładkości ścian, są wyrobione na kole garncarskiem, lecz bardzo ubogie w ornament. Wyroby z czarnej gliny mają ornament liniowy przy górnym rąbku bardzo nieregularny i gruby, o ile wnosić można, robiony wprost paznogciem lub jakiem tępem narzędziem. Cieliste wyroby posiadają górny rąbek o linii zewnętrznej wsklęsłej; szczytowa powierzchnia rąbka płaska i gładka, a wewnętrzna jest także za pomocą wgniatania wygładzona w szeroką linijkę. Jakiej formy i kształtów mogły być te wyroby? Niepodobna dać na to odpowiedzi, gdyż w tej okolicy nikomu nie udało znaleźć ani całego, ani nawet większego odłamu naczyń ceramicznych.

Co do owych kawałków ziemi ciemnej śród piasków, towarzysz mój był zdania, że są to miejsca, gdzie odbywały się stypy po umarłych, a po zjedzonej strawie naczynia rozbijano. Wydaje mi się daleko słuszniejszem przypuścić, że jest to poprostu śmietnik osady, na który wyrzucano stłuczone czerepy, kości ryb i drobnych zwierząt. Do tego wniosku upoważnia mnie ta okoliczność, że w pobliżu istotnie znajdowałem roztłuczone kości goleniowe małych zwierząt. Rybich kostek niebyło wprawdzie, lecz jako małe i lekkie mogły być już dawno przez wiatr wywiane. Zresztą, nieznalezienie ich przezemnie nie może być dowodem nieistnienia. Inne, że tak powiem, kępy ziemi, miały wyraźnie charakter zarzuconych wieloletnich ognisk.

Po exkursyi osobistej udaliśmy się w odwiedziny do księdza miejscowego O. Teodora Jankowskiego. Jest to człowiek blisko siedemdziesiątki mający, trochę o ascetycznym wyglądzie, łagodnym, uśmiechniętym wyrazie twarzy. Mieszka w obszernym i wygodnym domu, otoczonym ogrodem warzywnym i kwiatowym w pobliżu cerkwi. Jest wdowcem od wielu lat. Zastaliśmy w gościnie u niego córkę z Czehrynia, gdzie stale mieszka i jeszcze jakąś kuzynkę. Z gwóch panów, jeden był świeżo mianowanym docentem uniwersytetu kijowskiego p. Miszczenko, bardzo przyjemny młody człowiek około dwudziestu kilku lat. Drugiego nazwiska niepamiętam, ale podobał mi się z kilku szorstko wypowiedzianych frazesów w obronie Chińczyków. Mówił gorączkowo, urywkowo — nie miał czasu rozwinąć swoich poglądów i myśli, bo jadł ciągle — gdyż trzeba dodać, że gościnny proboszcz niechciał nas wypuścić z domu przed wieczerzą.

Przejrzeliśmy przy tej sposobności kolekcyą archeologiczną O. Jankowskiego. Jest ona wyłącznie miejscowa i to stanowi wła-

śnie całą jej wartość naukową jako materyału do poznania kultury mieszkańców pewnej miejscowości. Zwykle kolekcye naszych quasi amatorów są, że tak powiem, przypadkowe: kupują oni co się da i gdzie się da, byle okazy były ładne, a w ten sposób i w naszych tak zwanych muzeach naukowych grot z nad Euxinu i z nad Bałtyku sąsiadują ze sobą — jako ładne okazy. Tosamo oczywiście i o innych przedmiotach powiedzieć można. W Wiszenkach, na wydmach piaszczystych znajduje się taka obfitość kończyn strzał, noży, małych piłek krzemiennych, toporków, skrobaczek i t. p., przeróżnych form i wielkości, że po każdym silnym wietrze gromada dzieci idzie na poszukiwania, mnóstwo przedmiotów znajduje i wszystko znosi do ojca Teodora, za co dostaje po cukierku za sztukę, po kopiejce lub więcej, stosownie do wielkości przedmiotu. Chłopaki wiejskie zarobek rozumieją po swojamu, gdyż z jednej sztuki robią dwa i trzy kawałki, ażeby dostać więcej kopiejek lub cukierków. Exploatacya tej miejscowości w ten prymitywny sposób, bez poszukiwań naukowych odbywa się już od wielu lat, a O. Jankowski bardzo często sprzedaje do rozmaitych muzeów zebrane w ten sposób kolekcye.

W obecnej chwili posiada także dwie witryny rożnych przedmiotów, znalezionych bądź w Wiszence, bądź w najbliższej okolicy. Rozpatrzywszy się w niej spostrzega się pewien rys znamienny, ogólny, że tak powien, dla wszystkich przedmiotów, znalezionych na tutejszych wydmach piaszczystych t. j. pospolitość wyrobów, prawie zupełny brak artystycznego wykończenia z wyjątkiem może srebrnej fibuły i niewiele co więcej. Następnie: wszystkie przedmioty krzemienne są m a ł e, zarówno z siwego jak i rogowego ciemnego wpadającego w brudno-czerwony kolor krzemienia i nareszcie: wszystkie wyroby krzemienne należą do okresu kamienia nieszlufowanego. Z innego kamienia prawie nic nie ma. Kultura tutejsza, przeskoczywszy, jak się zdaje okres kamienia szlufowanego, przeszła odrazu do bronzu. Z wyrobów tej epoki, bardzo nielicznych, znajduje się tylko celt i jakaś blaszka w kształcie wydłużonego dębowego liścia, która prawdopodobnie służyła jako ornament, zatknięta na szczycie drążka, w orszaku miejscowego dostojnika. Reszta przedmiotów bronzowych bez wartości. Okres żelaza także reprezentowany bardzo nielicznie, a wyroby, przeważnie grociki strzał, charakteryzują się bardzo niewykończonemi, grubemi formami. Grociki żelaznych strzał podobne do kamiennych, widocznie według wzorów gotowych robione; — szczególną uwagę zwraca strzała rozwidlona.

Narzędzi rybackich nie ma, ale natomiast mnóstwo kamiennych kółek od sieci rybackich, przęślic, jakoteż kółek do naciągania cięciwy, które niektórzy błędnie biorą za przęślice. Wszystko to z szarego lub czerwonego — rzadko — piaskowca.

Z krótkiego rzutu oka na te znaleziska na wydmach piaszczystych widać, że ludność zamieszkująca te pobrzeża stanowiła zwykłą myśliwsko-rybacką osadę, nie rozwinęła u siebie żadnej gałęzi przemysłu — nawet ceramiki; fabryki wyrobów kamiennych, a tem bardziej bronzowych i żelaznych nie posiadała wcale. Prostym, domowym — rzekłbym — sposobem wyrabiano tu tylko najniezbędniejsze narzędzia: strzały i kółka do sieci rybackich. Przedmioty żelazne, niewątpliwie wyrobu krajowego, otrzymywała z niedalekiej okolicy, zaś bronzowe zdobywano zapewne drogą wymiennego handlu, gdyż w pobliżu osad nadbrzeżnych szła wielka handlowa droga. O tem wszakże słówko później nieco powiem.

Zastanowiła mię nazwa wioski — Wiszenki. Skąd ona powstać mogła? To tylko nie ulega wątpliwości, że nazwy ze źródłosłowem w i s z, w y s z, w y ż znajdują się na Rusi w wielkiej obfitości jako Wisznia, Wiszenki, Sądowa Wisznia i t. p. Czyżby miały pochodzić od w i s z n i i drzewa tego rodzaju, bardzo lubionego na Rusi? Wcale nie. Oznaczają one w y ż y n y, w y ż n i a, w y s z n i a, w dzisiejszym języku rosyjskim w y s z y n a jako punkty dominujące nad pewną okolicą. Nazwa ta pochodzi już z okresu historycznego, z doby mniej lub więcej znanej kultury pogańskiej i wiąże się niewątpliwie z religijno-społecznemi urządzeniami narodu lub szczepu, zamieszkującego razem z turańskiemi plemionami wielkie płaszczyzny późniejszej Rusi. Nazwa S ą d o w a W i s z n i a, w dzisiejszej Galicyi, między Gródkiem a Przemyślem, zdaje się dawać wyraźne wskazówki w tym kierunku jak należy rozumieć tego rodzaju nomenklatury. W pewnych osadach doby historycznej pogańskiej znajdowały się wyżyny, pagórki, wyniosłości, na których odbywały się dwie najważniejsze funkcye pierwotnego społeczeństwa, wymagające zgromadzenia się w jednem miejscu większej ilości ludzi t. j. sąd i obrządy religijne.

Zastanowiwszy się pobieżnie nad tą sprawą, przechodzę dalej do doby historycznej. O. Jankowski opowiadał, że w tej samej miejscowości znajdowano także monety okresu Wielko-książęcego, mianowicie grzywny różnych książąt, monety arabskiego pochodzenia, monety z czasów litewskiego panowania i nareszcie z czasów polskich. Mnie osobiście nieudało się już nic z tych znalezisk oglądać, oprócz dwóch monetek. Jedną był trojak Zygmuntowski

bardzo pospolity, drugą moneta niewątpliwie prawie pochodzenia litewskiego. Sądząc z dość wyraźnego odbicia na jednej stronie wnosić można, że jest to znak podobny do trzech wież, herbu, którym posługiwał się Wielki książę litewski Witołd. Wprawdzie, wieże te posiadają ornament górny trójramienny prawie, który całość czyni podobną do korony, dolny rysunek linii wyklucza wszakże takie przypuszczanie. Zasadniczy typ takiej monety podał Świdziński w króciutkiej rozprawce, dołączonej do dzieła K. Bartoszewicza o Tatarach.

Skąd takie i inne monety znajdować się tu mogły? Zagadkę tę rozwiązuje bardzo łatwo ta okoliczność, że szczytem piaszczystych wybrzeży dawnego Dniepru ciągnęła się droga, zwana dotychczas szlachem kijowskim, łącząca bezpośrednio południe i południowy-wschód, względnie Krym z Kijowem, a najbliżej — Perejasław z Kijowem. Była to droga więc karawanowa. Na tej drodze na równej prawie linii z Bortniczami leży miejscowość, nazywana Ozerany, już na początku stepowej płaszczyzny. Nazwę tę bierze ona od małego, ale dość ciekawego jeziora. Przedewszystkiem brzegi jego nie są porosłe żadną roślinnością, następnie, nie ma w niem, jak mówią, wcale ryb i wreszcie uchodzi śród ludu za tak głębokie, że nikomu nie udało się głębiny jego zmierzyć. Czy kto próbował i badał to jezioro? Wątpię bardzo. Oglądaliśmy je dzięki tej okoliczności tylko żeśmy drogę naszą skierowali ku owemu szlachowi Kijowskiemu.

Ujechawszy dwa do trzech kilometrów tym szlachem, skąd wspaniały roztacza się widok na niedościgniony okiem prawie ponizie Dniepru, śród którego przewija się niby dwie olbrzymie wstęgi srebrne — dwa koryta Dniepru, stare i nowe i strzelają ku górze złote kopuły cerkwi i monasterów kijowskich, mamy z lewej strony drogi wielką mogiłę okrągłego typu, którą lud miejscowy kurhanem nazywa. Zlazłem z wózka ażeby się jej przypatrzyć. Wewnątrz wydrążona do połowy prawie wysokości. A więc według istniejącej klasyfikacyi należałoby do typu majdanów. Dość jednak przypatrzyć się do niej, ażeby odgadnąć jakie ona praktyczne, że tak pawiem, mogła mieć znaczenie. Niewątpliwie powstała ona jako pomnik pogrzebalny, becz przez następne pokolenia zużykowaną została do celów praktycznych i stać się mogła posterunkiem celnym, strażniczym lub wojskowym, a to dzięki przydróżnemu swemu położeniu. Owa wklęsłość, szczególnie jeżeli zważymy, że od strony drogi posiada przekop głęboki, niczem innem nie jest jak tylko resztką istniejącej na szczycie strażnicy,

a raczej pomieszczenia dla straży. Była to zatem tak zwana „ziemlanka“, posiadająca wyjście na drogę, a przekop, widziany dotychczas, niczem innem, tylko owem wyjściem nie jest. Mogła tu być zatem strażnica od Pieczyngów, Połowców a później kup tatarskich włóczących się za rabunkiem. Wprawdzie główna fala szła Czarnym szlachem, ale i Perejasławską stroną zaglądali. Otóż strażnica mogła ostrzegać ludność nadbrzeżną przed niebezpieczeństwem. Nie jest rzeczą niewątpliwą wszakże przypuszczenie, że znajdował się tu posterunek celny lub karawanowy, dla zmiany eskorty towarzyszącej karawanom. Tak czy inaczej, dość, że mogiła ta, osobnej nazwy nieposiadająca, majdanem saletrzanym nie jest, lecz zwykłym kurhanem pogrzebalnym. Śladów rozkopywania naukowego nie ma.

Oglądnąwszy ją, pojechaliśmy wprost do Słobódki, ażeby stamtąd udać się do Kijowa. Była już godzina 2-a po południu, głód nam dokuczał, poszliśmy przeto do restauracyi czyli tak zwanego „traktira“, ażeby coś zakąsić. Dano nam pokój, przeznaczony dla „czistoj publiki“. Rozglądając się dokoła znalazłem ciekawy dokument, dający pojęcie o skali towarzyskiego poziomu owej „czistoj publiki“, która lubi żyć „na raspaszku“ t. j. swobodnie. Było to drukowane otrzeżenie dla gości. Przytaczam je w oryginale: „Prosiat: furażki śnimat', na harmonii nie igrat', pochapnych piesień nie piet i nie rugat'sia“. To znaczy: Uprasza się: czapkę zdejmować, na harmonii nie grać, skandalicznych piosnek nie spiewać i nie łajać się.

Taki był nasz ostatni etap pod Kijowem.

## II. Borowica.

Nazwa ta znana dobrze z wojen Mikołaja Potockiego, hetmana polnego z Kozakami w r. 1637, ale niestety, nazwa tylko i o niej pisali i piszą historycy. Ponieważ dla pracy mojej o kozaczyźnie pragnąłem zapoznać się z topografią miejscowości historycznych z czasów wojen kozackich, postanowiłem zwiedzać jedna za drugą te przynajmniej, których dotychczas nie znałem. Miałem zanotowaną i Borowicę.

Udając się tedy do Czehrynia, wysiadłem nie w Kryłowie, jakby mi było najdogodniej z wielu względów, lecz na przystani Bużyn. Mówiąc o przystani statków parowych na Dnieprze, nie należy rozumieć coś stałego, gdyż znaczna ich większość zmienia

położenie swoje prawie co wiosny i jesieni — w miarę trudniejszego lub łatwiejszego dojazdu do jakiegoś punktu. Koryto Dniepru nadzwyczaj niestałe, co zresztą ma miejsce ze wszystkiemi rzekami nieuregulowanemi. Otóż przystań w Bużynie była dawniej o dwa blisko kilometry bardziej na południe posuniętą niż dzisiejsza i leżała bliżej wsi Adamówki; dziś leży na włościańskich gruntach Bużyna. Smutne piaszczyste pobrzeże, otoczone łozami, zakrywa wieś na nizinie położoną. Od punktu dzisiejszej przystani, na północ, o kilometr lub półtora w górę leży wieś Borowica ku górze prawie przytulona, a Dniepr w tem miejscu zatacza duży i głęboko wcięty łuk na 3—4 kilometrów długości, zakończony białemi żebrami piasków. W r. 1637 było tu miasteczko i zameczek obronny.

Nasuwa się pytanie: poco Pawluk, po nieszczęśliwej bitwie pod Kumejkami, wpakował się w ten wąski przesmyk między Dnieprem a górą, który nie jest wcale punktem strategicznym, a pochód pomiędzy łozami i piaskami ku Niedźwiedzim łozom znakomicie utrudniał?

Najprzód co do Borowicy. Nadaremnie ktoś szukałby w nazwie dzisiejszej wsi, dawnej Borowicy. Historycznej owej miejscowości już ani śladu nie ma — zabierała ją powoli woda i zabrała, a mieszkańcy uciekali pod górę, pod którą dzisiaj znaleźli przytułek. Dniepr napierał ustawicznie na cypel borowicki aż go zniszczył powoli i tam gdzie, według opowiadań starych ludzi, były grunta orne, dziś jest najgłębsza część koryta Dniepru. Mówią, że w ten sposób przeszło dwa kilometry woda zabrała. Otóż w obrębie tej zniszczonej przez Dniepr płaszczyzny musiały być utarczki z Kozakami, bo dalej następują już grunta Bużyna.

Wiemy z dyaryusza Okolskiego, że wojsko kozackie posuwało się wzdłuż Dniepru, brzegiem prawie, zdążając ku Siczy i na tych wybrzeżach dzielnie się broniło. W pole, na step nie wymykało się, bo łatwo mogło z doświadczonym wodzem polskim bitwę przegrać, gdy, wzdłuż Dniepru posuwając się, mogli albo do Siczy zdążyć, albo posiłków doczekać się. Ciągnęło więc z Borowicy, ku południowi na Czehryń i Kryłów przez grunta dzisiejszej wsi Adamówki wzdłuż Dniepru. Jakże wygląda dzisiejsza miejscowość? Oto pytanie, na które trzeba odpowiedzieć, ażeby zdać sobie sprawę z ogólnego położenia i charakteru tej zaciętej walki. Dzisiejsze nadbrzeże od Borowicy przez Bużyn i Adamówkę jest jednem morzem piasków, wśród których tu i ówdzie rozsiadły się sadyby włościańskie, pola orne i zarośla łoziny. Przejście z wojskiem przez te piachy z obozem i artyleryą było rzeczą niezmiernie utrudnioną.

a Kozacy znaleźliby niewątpliwie dogodniejszy punkt oparcia dla siebie niż te bezleśne i ciężkie pustkowia, które nie dawały dla wojska kozackiego żadnego przykrycia. Nasuwa się pytanie, że miejscowość ta musiała chyba w owe czasy inaczej wyglądać. Z opowiadań ludzi w Borowicy, Bużynie i Czehryniu dowiedziałem się, że ciągnęły się nad Dnieprem aż do Czehrynia ogromne bory sosnowe. W obec tego rzecz cała przedstawia się inaczej i plan hetmanów kozackich pod względem strategicznym wydaje się dobrym. Ciągnęli oni tedy borami, opierając się z jednej strony o Dniepr, skąd wojsko miało dowóz żywności, z drugiej o bory — i tu staczało walkę, okopując się w danej chwili obozem. Ślad takiego doskonale ufortyfikowanego obozu znajduje się dotychczas nad Dnieprem na polach a raczej na wydmach dzisiejszej wsi Adamówki, między Bużynem a Adamówką.

Taką drogą tedy zdążano do Niedźwiedzich łóz, ażeby pod Kurukowem zawrzeć fatalną dla siebie ugodę.

(Dokończenie nastąpi).

Fr. Rawita-Gawroński.

# ROLA RZEK

## W HISTORYI I GEOGRAFII NARODÓW.

»Niemen rozdziela Litwinów od wrogów:«

. . . . . .

»Z tej strony tłumy litewskiej młodzieży
W kołpakach rysich, w niedźwiedziej odzieży,
Z łukiem na plecach, dłonią pełną grotów
Snują się, śledząc niemieckich obrotów.
Po drugiej stronie w szyszaku i zbroi,
Niemiec na koniu nieruchomy stoi;
Oczy utkwiwszy w nieprzyjaciół szaniec,
Nabija strzelbę i liczy różaniec.
I ci i owi pilnują przeprawy.
Tak Niemen sławny dawniej z gościnności,
Łączący bratnich narodów dzierżawy
Już teraz dla nich był progiem wieczności;
I nikt bez straty życia i swobody,
Nie mógł przestąpić zakazanej wody«.

*Adam Mickiewicz.*

Przytoczone słowa wieszcza określają graniczne znaczenie rzek, a istotnie trudnoby było nawet we współczesnej i naukowej literaturze odkryć ściślejsze tej roli określenie; wszak do ostatnich dni pojęcie rzecznej granicy zlewa się błędnie z pojęciem granicy naturalnej. Tak sądząc, przeoczamy widocznie nasuwające się przeciwieństwo, że czynnik, który zaludnienie zagęszcza, a ludy łączy, ma ludy i państwa rozdzielać... ma je rozdzielać naturalnie! Aby to przeciwieństwo wykazać, określmy ściśle pojęcie naturalnej granicy. Pod granicą naturalną rozumiemy linię, lub zastępujący linie, nie istniejące w przyrodzie, pas, stanowiący

przedewszystkiem poważną dla migracyi człowieka przeszkodę, lub nawet ją zupełnie wykluczający. W naturze tedy jej leżeć będzie, że człowiek, wyposażony naturalnymi środkami przekroczyć jej nie zdoła, a tem samem żadną miarą jej też i nie zamieszka. Otwarte morze jest więc właściwie jedyną granicą naturalną: zbliżają się tu wszakże właściwościami rozległe pustynie, wreszcie góry niedostępne, bądź to dla ich wiecznych śniegów i lodów, bądź też dla niedostępnych lesistych puszcz (stąd rzymska nazwa gór „*silva*“, zaczem poszły nazwy innych europejskich języków). Skala jednak naturalności granic wyznacza pierwsze miejsce morzom, drugie pustyniom, trzecie wreszcie górom i puszczom leśnym. Że granice te zawsze i wszędzie aż po dzień dzisiejszy wyryły na rozwoju społeczeństw ludzkich i ich historyi swe piętno, zbytyczne wywodzić, godne jednak wspomnienia, że siła okoliczności i potężnej woli ludów zwyciężyła nawet i naturalne granice: Mongoloidzi północni zdobyli, walcząc z lodem i burzliwem morzem, obszar od półwyspu Czukczów do Grenlandyi. Polinezyjczycy zdobyli Ocean wielki, Malaje Ocean Indyjski. Normanowie Atlantyk. Rozpowszechnienie wpływów kultury arabskiej świadczy, że Arabom Sahara, Dżyngischanowi Gobi, nie były granicą dla wielkiej woli, a cóż dopiero mówić o górach, które zwykle pustkowia od krain najświetniejszego dobrobytu oddzielają.

Przytoczyłem te refleksye, nie obniżające zresztą wcale znaczenia mórz, pustyń i gór jako naturalnych granic z umysłu; czyżby jednak w obec tych faktów łamania najpotężniejszych przeszkód przez ludy silnej woli można przypuszczać, że rzeka w ogóle stanowić będzie granicę w pochodzie człowieka, rzeka, która zagęszcza zaludnienie i ułatwia komunikacyę!? Wprawdzie nie ma wątpliwości, że rzeka siłą wodnego, obcego człowiekowi elementu wstrzymuje jego pochód, a w tej jej właściwości leży właśnie przyczyna zagęszczenia ludności w okolicach nadrzecznych: zagęszczenie pomnaża potrzebę wymiany, ożywia komunikacyę, dla której nawet wśród ludów dzikich rzeka, choćby wielka, nigdy przeszkody nie stanowi [1]). Tem się to tłumaczy, że oba brzegi rzeki mają z reguły jednakową ludność — nie stanowią więc rzeki granicy etnograficznej — że przyroda i kultura kraju mają na obu

[1]) Dla zrozumienia tego należy przypomnieć, że wszystkie rzeki wijące się, a zwłaszcza w stanie naturalnym odznaczają się naprzemianległością odmętów i brodów.

brzegach jednaki charakter, a więc też z reguły dla obu powyższych przyczyn nie stanowią granicy politycznej. Rzeka jest wreszcie zbyt wielkim skarbem społecznym, aby czyniąc z niej granicę, z góry zrzekać się korzyści, jakie wśródpaństwowe jej położenie państwu i narodom zapewnia.

W społeczeństwach i ustrojach państwowych o bardzo starej kulturze rzeki nie stanowią też nigdy granicy. Tak więc n. p. granice krain historycznych Francyi są lądowe, jedynie Rodan stanowi na pewnej przestrzeni granicę między Langwedocyą i Burgundyą z jednej, a Prowancyą i Delfinatem z drugiej strony. Jeszcze wybitniej i wyłączniej mają granice krain hiszpańskich przebieg lądowy; bardzo przybliżone stosunki panują w Niemczech i innych krajach o wyższej i starszej kulturze; podobnie historyczne granice Małopolski, Wielkopolski i Litwy unikały licznych i obfitych w wody rzek a tylko Pilica stanowiła granicę... lecz nie odwieczną... między Mało i Wielkopolską. Jeśli granice krain historycznych i dzielnic, z zasady zaokrągloną całość geograficzną przedstawiające, rzek unikają, to jest najlepszym dowodem, że rzeki nie są przez przyrodę człowiekowi jako granice wskazane; natomiast jednostki podziału administracyjnego, w którym mniej o istotność i uzasadnienie, jak o łatwość podziału i unaocznienie odgraniczenia się rozchodzi, są rzeki jako granice powszechnie używane, a to zarówno w krajach starej jak i niższej kultury.

Obok roli rzek w wewnętrznej administracyi państw mają one wybitne graniczne znaczenie: 1) w państwach, pozbawionych naturalnych podstaw (etno- i fizyograficznych), 2) w sztucznych utworach politycznych, 3) w krajach gęsto jeszcze nie osiedlonych, wszakże przez społeczeństwo o wysokiej kulturze jako obszar przyszłej kolonizacyi zajętych. I nic dziwnego; we wszystkich przytoczonych wypadkach rozchodzi się o wyraźne odznaczenie tego, czego przyroda, kultura i historya nie spoiły, a najwyraźniejszą granicą są w takim wypadku rzeki. Ta ich rola stwierdza najdosadniej, że one z granicami naturalnemi nic wspólnego nie mają. Dla uzasadnienia powyższych poglądów, wskazuję na Austro-Węgry; jedyne to państwo Europy, któremu brak podstawy etnograficznej, posiada przeszło $^1/_3$ część swych lądowych granic rzeką zaznaczonych, a ten stosunek osiąga w Europie tylko ks. Luksemburg, przewyższa Serbia i Rumunia, a zbliża się do niego Szwajcarya, przeto wyłącznie państwa, których kształt i rozciągłość teraźniejsza są wynikiem politycznego porozumienia się mocarstw, a więc są

w teraźniejszej ich formie utworem sztucznym. Daleko większą rolę odgrywają rzeki w obszarach współczesnej kolonizacyi, gdzie linie graniczne albo przebiegają po równoleżnikach i południkach, albo wzdłuż rzek; wszystkie państwa Ameryki i stany Australii stwierdzają to w całej ścisłości. Natomiast kolonizowane przez Europejczyków obszary Afryki, a zwłaszcza Azyi, gdzie kolonie zostały w krajach o gęstem zaludnieniu, lub o starej, swojskiej kulturze zakładane, rzeki omal tylko wyjątkowo do wyznaczenia granic były używane.

Chcąc ocenić dostatecznie rolę rzek jako granic, przypatrzmy się jeszcze jednemu z zasadniczych kierunków migracyi człowieka. Rzeka stanowi zwykle oś zaludnienia swojego dorzecza: od linii dolinnej ku działom zmniejsza się zaludnienie tem wybitniej, im dział jest wyraźniejszy: jeśli jednak brak działu, jak na rozległych niżach, wtedy migracya człowieka w kierunku poprzecznym do osi rzeki nie przedstawia żadnych trudności: za zbliżeniem się jednak do doliny drugiej rzeki głównej, zajętej n. p. przez inny lud, pochód migracyjny doznaje oporu, wyłania się kwestya walki o miejsce: jeśli napór migracyjny był dostatecznie silny, zagrożone skrzydło doliny musi być przez tybulców opróżnione, rzeka staje się chwilowo granicą polityczną i etnograficzną, dopóki jeden ze spierających się ludów nie przemoże. Te stosunki mogą spowodować, że granica będzie się wahała wzdłuż rzeki nieraz wieki całe (Ren), że rzeka odległa od ogniska politycznego i kulturalnego jakiegoś państwa stanowić będzie jego granicę, póki państwu starczy woli i sił do utrzymania tejże wbrew migracyjnym naporom z zewnątrz. Ren i Dunaj były też granicą państwa rzymskiego przez wieki tylko dlatego, że potęga Rzymu tego chciała i mogła, a Saala i Elba były granicą polskich ziem, póki starczyło ramienia Bolesława Chrobrego. O Renie, Elbie, Odrze i tylu innych, większych nawet rzekach można powiedzieć z francuskim historykiem, Dejardinsem: „Ren wszystko widział, wszystko znosił, nie przeszkodził niczemu! ruchliwy i zmienny, jak jego szybkie fale, był obrazem społeczeństw Ren dzierżących“.

Inaczej się układają stosunki, jeśli rzeka przepływa obszary o słabem zaludnieniu, niskiej kulturze i wątłej organizacyi państwowej. Rzeki takie stają się zbiorowo — *sit venia verbo* — za jednym zamachem łupem migrujących ludów o silnej woli i prężności. Tak przekroczyli Hunnowie błyskawicą rzekę Ural i Wołgę, a omijając Don, cieśninę Kerczeńską (z deszczu pod rynnę!) i Dniepr, gonili przed sobą roty Alanów i Gotów; wolniejszem

tempem przybyli omal tę samą drogę Awarzy, Bułgarzy, Węgrzy i t. zw. Tatarzy. Ludów o wielkiej prężności migracyjnej nie wstrzyma rzeka, nie wstrzyma nawet cieśnina morska; świadczą o tem pochody Persów, Gallów i Turków przez Hellespont, Wandalów i Maurów przez cieśninę Gibraltaru; górski lud Dorów miał przekroczyć zatokę Koryncką, a pasterskie plemię Żydów zatokę morza Czerwonego — my zaś chlubimy się śmiałym atakiem Czarnieckiego na wyspę Alsen.

Z tego przedstawienia rzeczy i tych faktów wynika, że rzeka, jako stanowiąca z wielu przyczyn o wartości zajmowanego obszaru, zajmuje z reguły centralne stanowisko w państwie, wiąże się z legendą i historyą ludów, dorzecze jej zamieszkujących („polska“ Wisłą, „ruski“ Dniepr, „Matuszka Wołga“ i t. d.), a jako taka nie może być żadną miarą za granicę naturalną uważana, choćby siła politycznych stosunków wyznaczyła jej chwilowo graniczne położenie.

Ale ta cenność rzek z jednej strony, o czem poniżej, utrudnienie migracyi ludów przez rzeki z drugiej strony sprawia, że rzeki, jako nader wygodne pozycye obronne odgrywają znaczną rolę w historyi wojennej. Doliny rzek są klasycznym placem bojów. Ileż bitw stoczono nad Padem, nad Renem, Eufratem, a porzecza Odry, Dźwiny i Dniepru są polską krwią nasiąkłe. Przyczynia się do tego, że rzeki, zwłaszcza w dolnym biegu pełne są wysp i ostrowów, świetnych kryjówek dla zbiegów, a otoczone rozległymi moczarami stają się niedostępnemi, przyjmują dzięki tym okolicznościom charakter granic naturalnych. O ten wodny element Batawii-Hollandyi rozbiły się zaborcze rzymskie legiony, a w kilkanaście setek lat zakusy najpotężniejszych władców Europy: Filipa II. i Ludwika XIV.; bagna Berezyny i Prypeci stały się grobem największego geniusza wojennego, Napoleona; w ostrowach dolnego Dniepru kryło się przez setki lat zbójecko-wolne Zaporoże, a na wyspach i bagnach górnej Sprewy ocalała garstka Słowian, Serbów Łużyckich od germańskiego zalewu. Na strategicznych zaletach rzek polegała wreszcie siła i znaczenie napoleońskich trójkątów twierdz, polskiego: Modlin-Warszawa-Sierock i lombardzkiego: Peschiera-Mantua-Verona. Lecz dość tych przykładów.

Przyjdzie mi teraz określić komunikacyjną i ludność zagęszczającą rolę rzek. Aby dostatecznie zrozumieć znaczenie rzek pod tym względem, należy kilku słowy zaznaczyć antropogeograficzne znaczenie mórz. Obszar mórz, dla człowieka jako miejsce

mieszkania nigdy nie możliwy, stanowi na krawędzi zetknięcia z lądem najsilniejszą tamę migracyi człowieka. Między morzem wszakże z jednej strony, a pustynią, górami i leśnemi puszczami, bagnami jako granicami naturalnemi z drugiej strony, zachodzą zasadnicze, a różnorodne różnice. Zwracam uwagę na jedną: lądowe granice migracyi człowieka cechuje stateczne osłabianie się zaludnienia za zbliżeniem się do nich, graniczna więc ich właściwość polega mniej na trudności migracyi, jak na braku środków żywności... to nie są granice, człowiekowi na zawsze zamknięte, lecz to są nieużytki, które człowiek przynajmniej do czasu omija.

Natomiast w pochodzie ku morzu wartość obszaru nie tylko się nie zmniejsza, lecz przeciwnie statecznie wzrasta. Znikły dzikie, górskie potoki, nikną puste skały — rzeki są czem raz większe, a po obu ich brzegach coraz szerszy, a żyzny, bujnie, bez przyczynienia człowieka rodzący pas żuław. Ziemia żyzna rodzi bujną roślinność, rozwija się bogaty świat zwierzęcy, a w ślad za tem postępuje człowiek, szukający łatwej i obfitej zdobyczy. Najpotężniej wyposażone od natury wybrzeże gromadzi najgęściejszą ludność, a to bez względu na stopień kultury, z tą różnicą tylko, że człowiek pierwotny na wyspie często wyłącznie tylko wybrzeża zajmuje, ludy kultury, więcej do oszczędności miejsca zmuszone, a do walki z przyrodą wćwiczone, zamieszkują wszystkie obszary w stosunku do ich naturalnej produktywności, a więc najgęściej wybrzeża. Na kresach lądowego zamieszkania osięga populacya swą najwyższą miarę. Na zagęszczenie ludności na wybrzeżach wpływa jeszcze jeden potężny czynnik, a to bogate, rojne życie organiczne morza. Pragnienie korzystania ze skarbów morza było niezwykłym bodźcem dla rozwoju myśli, sił fizycznych, woli i charakteru człowieka, stało się pobudką niezliczonych wynalazków w epoce, trwającej lat tysiące od pierwotnego stanu człowieka aż do dni dzisiejszych i przyszłych. Wśród tego rozwoju nauczył się człowiek żeglugi i uczynił z mórz szlak dróg, łączących odległe kraje, narody, kultury. Szczęśliwym był i jest naród, który dotarł i zdobył otwarte morze, a tem samem wzmógł swą prężność migracyjną ponad wszelkie granice. Od czasów Rittera ujęto wpływ morza w cały szereg historyczno-geograficznych praw, stwierdzających zawisłość kultury, bogactwa, gęstości zaludnienia i potęgi narodów od korzystnego względem mórz i lądów położenia kraju i od rozwoju linii brzegowej, czyli t. zw. „poziomego ukształtowania“. Cały szereg badaczy poszukiwał trafnego matematycznego wyrazu dla

stwierdzenia prawa Rittera na lądach i pojedyńczych krainach ziemi, ale aż do dni dzisiejszych nie wciągnięto dolnych biegów rzek w porównawcze zestawienia, chociaż wielokrotnie są ujścia rzek daleko w głąb znacznie lepiej dostępne, niż wybrzeża.

Rzeki są przedłużeniem morza, oto pierwsze prawo, stanowiące o populacyjnych zdolnościach rzek. Prawo to stwierdziła nie tylko historya odkryć, świadcząca nieraz o długo utrzymującym się błędzie w odróżnieniu ujścia rzek od zatok lub cieśnin morskich i na odwrót, ale przedewszystkiem geograficzne rozmieszczenie portów oceanicznych, znajdujących się przeważnie nad rzekami, a w odległości 50—200 km. od ujścia tychże. Ale nie tylko ta drobna, dolna sekcya rzeki ma wszystkie zalety morza, a nie ma ich wad; wielkie rzeki są nawet w zupełnie pierwotnym stanie dostępne dla wielkich okrętów morskich daleko ku ich górnym biegom; okręt wojenny St. Zjednoczonych „Wilmington“ przepłynął w r. 1899 Amazonkę od ujścia do Iquitos na przestrzeni 4500 km., odległość jak od Lizbony do Astrachanu: o tyle powiększa się długość wybrzeży nierozczłonkowanej Ameryki Pd., a jak potężnie do dostępności tego lądu muszą się jeszcze przyczyniać dopływy Amazonki, a Orinoko, Plata!... Sztuka i praca ludzka usuwa przeszkody i stwarza nawet w niekorzystniejszych warunkach w środku lądu morskie porty. Chicago jest jednym z największych portów morskich świata, Kolonia ma już stałe połączenia parowcowe z Londynem, a zarówno Francuzów, jak Niemców jest narodowem marzeniem uczynienia z Paryża i Berlina pierwszorzędnych portów morskich. W czasach, poprzedzających żeglugę parową, gdy okręty morskie miały skromne rozmiary galer żaglowych i wiosłowych, była rzeka jeszcze w wyższym stopniu przedłużeniem mórz — praktycznie udowodnili to w najszerszem tego słowa znaczeniu Normanowie.

Gęstość więc sieci wodnej, rozmiary, a w pierwszym rzędzie dostępność rzek są miarą kultury i zaludnienia lądów. Afryka, o którą od lat tysięcy obijały się wpływy kulturne Azyi i Europy, została mimo wybitnej pierwotności jej mieszkańców zupełnie obcą kulturze nowej tylko dlatego, że wybrzeża Afryki są tępe, sieć wodna rzadka, a kilka wielkich rzek Afryki nie przedstawia bram do głębi lądu z powodu olbrzymich zapór, jakie wodospady rzek afrykańskich w ich dolnym biegu przedstawiają. O wiele łatwiej od Afryki ulegają krawędzie Azyi pochodowi kultury europejskiej mimo niezwykle gęstego zaludnienia, a prastarej i odrębnej kultury. Ameryka południowa

dzięki największym systemom rzecznym świata i dzięki ich silnemu rozgałęzieniu, z ujściami, zwróconemi ku Europie już w 50 lat po odkryciu została w całości, acz pobieżnie poznaną i zajętą; natomiast Ameryka Północna tak długo była krajem przeważnie dla europejskiej kolonizacyi zamkniętym, póki kolonizacya wolnem tempem nie przekroczyła Aleganów, a tem samem nie uzyskała znakomitej drogi migracyjnej w potężnem dorzeczu Missisipi — przed zajęciem Missisipi kolonizacyjne znaczenie Kanady było znacznie wyższe, niż Stanów Zjednoczonych, dzięki bramie jaką przedstawiała rzeka św. Wawrzyńca.

Rzeka i dolina są dwa nieoddzielne od siebie utwory. Rzeka, życiem organicznem jej właściwem, dolina swą żyźniejszą glebą zapraszają do osadnictwa; rzeka jest zwykle drogą wodną, dolina od natury wskazaną drogą lądową, a nawet i tam gdzie rzeka już tylko dzikim i szumiącym jest potokiem, dolina nie przestaje być nawet w najgórniejszej, źródliskowej części szlakiem lądowym. Doliny górskie, zwykle silnie ryniem i głazami zasypane wiodą zwykle aż na dział, a na ciągle świeżym ryniu ledwo trawa porośnie — lasy zboczy dolin się trzymają, te lasy, które największą w pochodzie przez góry stanowią przeszkodę. Łatwiejsze warunki życia i ułatwienie komunikacyi musi sprawić, że doliny są u wszystkich ludów i na wszystkich stopniach kultury najsilniej zaludnione. Prawo to uwidocznia się ze szczególną ostrością w krainach górzystych, gdzie różnica między doliną a niegościnnym grzbietem tak bardzo jest wyraźną. Dlatego to w górach pojęcie krainy — państwa, zlewa się z pojęciem i nazwą doliny; stąd to znane krainy jak: Salzburg, Salzkammergut; Pinzgau, Veltlin, Wallis, Emmenthal, Engadin i t. d. nie są niczem innem, jak ściśle odgraniczonemi częściami dolin górskich. To samo można powiedzieć o krainach karpackich jak: Huculszczyzna, Tucholszczyzna, Podhale, Spiż i t. d. Ale nie tylko w górach wysokich jednoczy się ludność w dolinach rzek — Czechy są kotliną górnej Łaby i Wełtawy, Morawa doliną Morawy, Burgundya doliną Saony, a granice Egiptu były tak świetnie doliną Nilu wskazane, że pierwotna nazwa grecka Aigyptos, kraj i rzekę oznaczała.

Rola rzek w górach występuje wybitniej z powodu kontrastu gleby, w stepach i pustyniach z powodu cenności wody w tych okolicach. Większa dostępność jest zarówno w górach, jak i stepach doli-

nom właściwą. W krainach przeważnej posuszy cała pierwotna ludność będzie się gromadzić wzdłuż rzek, — wydobycie wody z ziemi za pomocą kopanej, lub artezyjskiej studni zakłada już wyższy stopień kultury. Jak nieocenioną być musi rzeka w takich krajach, ilustruje znane między angielskimi kolonistami przysłowie: „Kraj bez deszczu i bez rzek nie jest nic wart; woda i deszcz bez ziemi miałyby zawsze wielką wartość, gdyby go zebrać i przechować można". I istotnie zbierać musi wodę deszczową i Arab i Maur i Fellah na pograniczu Sudanu, a cysterny cuchnącej wody deszczowej należą do krajobrazu osad okolic posusznego „wschodu". W takich krajach jest rzeka o stale płynącej wodzie skarbem, czarem, który z piasków raj rodzi: świadczą to wymownie Nil, Eufrat, Tygrys, Indus, dolne części rzek chińskich i nieliczne inne mniejsze okolice. Klęski posuszy jednak rzeka sama przez się nie usunie, a bez żmudnego przyczynienia się pracy całego społeczeństwa, dolinę zajmującego, pustynia sięgnie do koryta rzeki. Najlepszym tego przykładem Mezopotamia, a na mniejszą skalę krainy Azyi mniejszej i niektóre okolice Sycylii, niegdyś spichrze rodu ludzkiego, ogniska błyskotliwej kultury, teraz pustkowia... Klimat się nie zmienił!

Obszary passatów — bezwzględnie suche stoją pustkami prawie po dziś dzień — z wyjątkiem dolin rzecznych, natomiast kraje deszczów monsunowych, zenitalnych i zimowych, w których tylko przez ograniczoną, a czasowo względnie ściśle określoną porę roku deszcz pada, odznaczają się niepospolitą płodnością i bogactwem kultur, ale tylko pod warunkiem sztucznego nawodnienia. Te warunki przyrodzone mają doniosłe społeczne i historyczne konsekwencye. Sztuczne nawodnienie, jakiego wymagają te obszary, łączy się bowiem z ujarzmieniem rzek, a to może być tylko zbiorową siłą całego społeczeństwa, dolinę zamieszkującego, dokonane. Egoizm i chciwość jednostek wykluczają zbiorowe w takiej pracy porozumienie, dlatego to sztuczne nawodnienie staje się dla tych wszystkich obszarów matką despotyzmu w wielkich społeczeństwach dolinnych, a pokrewnych im rządów patryarchalnych w osadach przestrzennie ograniczonych, w oazach. Bezwzględny despotyzm bejów Marokko, Algieru czy Tunisu, faraonów Egiptu, władców starego Babilonu, Króli-Królów, czy szachów perskich, nababów Indyi, „synów słońca" chińskich, czy wreszcie krwiożerczych kacyków Sudanu, mógłby każdy w swoim rodzaju uchodzić za przesłowiowy; to samo możnaby powiedzieć

o władcach Meksyku, czy Inkasach Peru z epoki odkrycia Nowego Świata. Wszakże despotyzm tych krajów jest rozpaczliwą konsekwencyą ubóstwa rzek — następstwem klimatu! Należy nadto uwzględnić, że wszystkie omal wymienione obszary znajdują się bądź na krawędzi, bądź nawet we wnętrzu pustyń, migracya jest więc w wysokim stopniu utrudnioną, ludność zagęszcza się do niezwykłej miary bez możności odpływu hyperprodukcyi populacyi, a przecież przy wytrwałej pracy wszystkich, ziemia nie wyczerpana nigdy nie zawodzi, ale pracować ciężko, fizycznie muszą wszyscy — myśleć nad sposobami wyzyskania wód deszczu i rzek może tylko niewielu, a w tem leży podstawa despotyzmu, przyrodą krajów uzasadnionego. Despotyzm wyrodzony prowadzi kraje w ruinę (Mezopotamia, Persya), upadek despotyzmu bez współczesnej zmiany stosunków rasy i kultury ludów, nie przynosi wszakże zarówno z jutrzenką swobody ciepła dobrobytu (Meksyk, Peru).

Despotyzm nie jest jedynem następstwem stosunków społecznych, kształtujących się na stepach. Ludy stepowe, o ile prowadzą życie osiadłe, a ze suchej ziemi żmudną pracą zbiorową, dzierżąc rzeki, wydobywają plon obfity, wyczerpują wszystkie swe fizyczne, a zwłaszcza moralne siły do zwalczenia niegościnnej przyrody; ludy takie, jako pozbawione energii na zewnątrz, prężności, są wogóle bardzo mało odporne na napory migracyjne z zewnątrz, a są na nie więcej niż ludy innych obszarów narażone. Przypatrzmy się sąsiadom stepowych ludów osiadłych: Synowie pustyni, dzicy nomadzi, siłą promieni słonecznych, suszą powietrza i nędzą hartowani patrzą zawsze ze wzgardą na swych osłabłych plemienników, przykutych do gleby, ale opływających w dostatki i bogactwa! Czyż mało przyczyn do najazdu! Tylko tymi stosunkami możemy sobie wytłómaczyć, że tak potężne, kulturne i liczebnie imponujące społeczeństwa na krawędzi stepów, lub na samychże stepach państwowo zorganizowane ulegały hordom koczowniczych Syryjczyków, jak Persya i Indye, tatarskich Mongołów, jak Chiny, Indye, Persya i południowa Ruś: Arabom obszary państwowe od Indu przez południowo-zachodnią Azyę, północną Afrykę aż po Pyreneje, Turkomenom Persya, Mandżurom Chiny i t. d. Do Europy wciska się od południowego wschodu i od południowego zachodu klimat stepowy, z właściwemi jemu peryodycznemi i nielicznemi rzekami; Węgry są natomiast typową stepową enklawą, a szczególne, że tylko w tych obszarach noma-

dzi Afryki i Azyi na czas dłuższy zdołali się utrzymać, tylko w tych obszarach powstawały właściwe nomadzkiemu podbojowi chwiejne, efemeryczne ustroje państwowe. Słabość państw stepowych jeszcze drastyczniej wynika z historyi kolonizacyi europejskich. Od czasów Aleksandra Wielkiego, który odwet przeciw Persom rozpoczął nie krociami niewolników, lecz garstkę (35.000) wolnych rycerzy, aż do czasów Corteza i Pizzarra, którzy z rotą kilkuset awanturników dokonali konkisty potężnych stepowych despocyi Ameryki, lub bohaterskich walk Clive'a i Campbell'a w Indyach, a choćby zwycięzkich zapasów Japonii z chińskim olbrzymem, dostarczyła historya tysięcy przykładów na niedołęztwo i zupełny brak odporności u ludów stepowych.

(Dokończenie nastąpi.)

Dr. Eugeniusz Romer.

JULIANA BARTOSZEWICZA

# LISTY DO RODZICÓW.

## List I.

*Petersbury, d. 1. sierpnia 1838 r.*
*wtorek.*

Najukochańsi Rodzice! Nakoniec po długiej i bardzo utrudniającej podróży, stanąłem 5 b. m. w niedzielą o godz. 2 po południu w miejscu przeznaczenia mojego, to jest w tydzień i 9 godzin po wyjeździe z Warszawy. Podług przyrzeczenia chciałem do Was pisać z drogi w Dynaburga, lecz stanęliśmy tam tylko na śniadanie i tylko popasaliśmy jedną godziną: mimo więc najszczerszych moich i Waszych chęci, obietnicy nie zdołałem dotrzymać. Pisali wprawdzie inni moi towarzysze do Warszawy, lecz tylko małe bileciki, o ile im czasu starczyło; ja zaś przeciwnie chciałem list duży napisać i dlatego nie miałem czasu. Nadto pismo moje z Maryampola z d. 30.-z. m. do Was, Najukochańsi Rodzice, sądzę, że choć przynajmniej w części zaspokoiło Waszą troskliwość.

W dalszym ciągu podróż moją opisywać będę. Trudy i niewygody, które w przeciągu tego tygodnia poniosłem, a które pierwsza moja tak wielka podróż sprawiła, były tak dla mnie okropne, iż sądzę, żebyście mnie nigdy od Siebie nie wypuścili, gdybyście zawczasu o nich wiedzieli. Już to naprzód dokuczały nam ciągle, co dwie mile na każdej stacyi pocztowej, częste przenosiny rzeczy naszych z jednego wozu na drugi; czuliśmy wszyscy aż nadto tę niedogodność; ciągła troskliwość, aby co w takich przenosinach

nie zginęło lub zapomniane nie było, zawsze była przytomna w umysłach naszych.'

Widział to dobrze p. Schouppe [1]) (któregośmy całą drogą Pułkownikiem nazywali i który się za to wcale nie gniewał) i zaradzając złemu, kupił w Maryampolu, gdzieśmy na obiad stanęli, długą lecz za to wązką pocztową brykę, która aż do samego Petersburga iść miała. Dowiedziawszy się o tem, pospieszyłem czem prędzej umieścić tam swoje rzeczy, ażebym nie miał biedy z ciągłem ich przekładaniem, i nadspodziewanie zamiar mój udał mi się zupełnie, co tem większe wzbudza zadziwienie, gdy powiem Wam Najukochańsi Rodzice, że w naszem luźnem zgromadzeniu ten był lepszy, kto pierwszy i kto silniejszy. Tak n. p. wszędzie gdzieśmy na śniadanie lub obiad stanęli, każdy upatrzywszy dla siebie miejsce, za ukazaniem się jedzenia, natychmiast do niego z pięścią pospieszał i wszystkich roztrącał, tak że często nieraz i połowa nie mogła się zmieścić, na obiad zaś każdy silniejszy i zręczniejszy wybierał dla siebie miejsce koło Pułkownika, skąd roznoszono potrawy, i z kolei brał co najlepsze. Ja zaś jak wiecie N. Rodzice, nie bardzo gorliwy, zawsze czekałem ostatka i zupełnie źle na tem wychodziłem, bo nieraz wcale nic mi się nie dostało, albo wstawałem od stołu tak głodny, jakiem do niego zasiadł. Przez bezpieczne więc umieszczenie moich rzeczy, już odtąd o połowę zostałem spokojniejszy. Po dosyć sutym i dobrym w Maryampolu obiedzie, wyruszyliśmy dalej w drogę. Chciał Pułkownik koniecznie dnia tego przejechać granicę, dlategośmy prędko spieszyli; lecz że do granicy było jeszcze 6 mil przeszło, a na zegarku godz. 7, przeto wolał zanocować, bo jużby nie starczyło czasu, zwłaszcza że w Kownie rewidować nas miano. O 4 więc mile za Maryampolem a o 2 od granicy przenocowaliśmy w wioseczce Wejwarach.

Nazajutrz o 3 godz. z rana wyjechaliśmy ku Litwie. Całe Królestwo Polskie właściwie od Kalwaryi do Kowna jest przez Litwinów zamieszkane. Nie było wioski, przez którąbyśmy w tej okolicy jechali, ażeby nie można było poznać, że tu jest wszystko Litewskie. Wieśniacy, pocztylioni, dzieci, wszyscy w ogólności mówią po litewsku, bo to jest ich język ojczysty. Często nawet takich spotykaliśmy chłopów, co wcale po polsku nie umieli, a na zapy-

[1]) Schouppe Józef, major z korpusu inżynierów komunikacyj lądowych i wodnych, odprowadzał z polecenia rządu Królestwa pensyonarzów do Petersburga. K. B.

tania im przez nas czynione, odpowiadali tylko „ne sopranto“, co znaczy: nie rozumiem. Już przed 5-tą stanęliśmy w Aleksocie, ostatniem polskiem miasteczku z tej strony Niemna; z drugiej strony już widać było starożytne Kowno. Po zameldowaniu się na granicy w komorze Polskiej, ruszyliśmy na most drewniany. Nie wiem dlaczego nie jest skończony, bo przy końcu jedna część jego, która daleko od litewskiego brzegu jest rozłożoną, przewiozła nas z brykami i bagażami na drugą stronę, gdzie nas przyjęli ruscy żołnierze.

Wysiadłem na ląd z wielkim bolem w sercu; już rzuciłem rodzinną ziemię, Rodziców, braci, siostry, krewnych, znajomych i przyjaciół; rzuciłem kraj, gdziem się urodził, wzrósł i wychował i który teraz własne łoży koszta na moje wydoskonalenie się w naukach! Był to cios dla mnie okropny; zdawało mi się, żem wjechał do kraju ponurego, brzydkiego, pozbawionego wszelkich powabów przyrodzenia, ponęty i ludzkości; zdawało mi się, że tu słońce świeci nie tak jasno jak u nas, że tu woda jest brzydka i nieprzeźroczysta, że ludzie są nieprzyjaźni, że całe miasto wraz ze swojemi ponuremi okolicami jest smutne i posępne. Łzy zabłysnęły w mych oczach; były to łzy rozpaczy, łzy głębokiego smutku, że Was rzucam na 4 lata N. Rodzice, a może i na zawsze; ta myśl podbiła mnie zupełnie, mniemałem, że już dalej o wiorstę zajechać nie zdołam.

Wśród nieszczęścia i biedy najlepsza religijna pociecha, tej ja użyłem zobaczywszy na samym wstępie do miasta kościół katolicki; właśnie kapłan miał zacząć Mszę św. Wchodzę; głęboko wyryta ponurość jeszcze większe na skłopotanym moim umyśle uczyniła wrażenie; okopcone ściany, odymione ołtarze zdawały mi się być schronieniem, zamiast ulgi w moich troskach, jeszcze większą okropność, rodzącem. Zmówiłem pacierz z całą gorącością ducha; modliłem się za Was N. Rodzice, aby się Wam dobrze działo, abym Was i całe moje rodzeństwo wraz ze wszystkimi krewnymi, z Ciocią moją ukochaną i wszystkimi znajomymi, jeszcze za lat 4 w dobrem zdrowiu i bycie oglądał; modliłem się wreszcie za siebie, abym szczęśliwie zajechał i nie tęsknił. Wyszedłem ze świątyni Pańskiej zupełnie spokojny i szczęśliwy; taką to pociechę wlewa religia w bogobojne serca, jakże dopiero w święte i na cześć Boga zupełnie wylane.

Naprzeciw kościoła leży komora celna, gdzie już zniesiono nasze rzeczy do rewizyi. Nie chciałem ja bardzo rozpakowywać się, ale rad nie rad musiałem; bałem się, żebym nie zupsuł porządku

w moim tłomoczku, a później przy wpakowywaniu, żebym tak nie pakował, aby mi i miejsca zabrakło na cośkolwiek. Lecz jeszcze ostrzedz winieniem, moją Najukochańszą i Najlepszą Mamunkę, że jeszcze w Wejworach kazał nam Pułkownik oddać wszystkie listy jakie tylko mamy i pieniądze, aby nam na granicy nie robiono trudności. Znalazłem je w moim tłomoczku, lecz jakie mnie spotkało zmartwienie, kiedym spostrzegł, że zamek pękł i sznury poprzecierały się; nie było ani czasu ani miejsca do poprawy. Wyjąłem co prędzej toaletkę, chcąc się przekonać, czy też i lustro stłuczone, ale to na szczęście całe znalazłem, co mnie bardzo zdziwiło, gdyż tak okropnie pędziliśmy, iż myślałem, że nie tylko rzeczy moje zniszczą się zupełnie, ale że i ja z chorobą powrócę. Związawszy wszystko napowrót jak można było, zaniosłem Pułkownikowi listy, który kazawszy mi je w swojej obecności rozpieczętować, oddał mi je znowu, zostawiając mnie w wielkim kłopocie, jak ja się w Petersburgu uiszczę z mojej obietnicy i jak je oddam otwarte.

W Kownie po dość długiej rewizyi i trudzącem zapakowywaniu, do którego użyłem pocztyliona pomocy, pojechaliśmy na pocztę, gdzie nas czekało obstalowene śniadanie, składające się zawsze z herbaty i jakiejś małej przekąski. Tu inni po 4 i 5 szklanek pili, mnie się ledwie jedna dostała, nie miałem zupełnie śmiałości tak rwać na wyścigi jak ta szarańcza. Tu jeszcze nowa przyłączyła się obawa; mówili wszyscy, że poczta w Rossyi zaczynając od Kowna jest tak prędka, że to nawet wyobrażenie przechodzi, bałem się znowu dostania jakiego defektu. Lecz poznałem później tę tak szybką pocztę; w samej rzeczy jest ona tak prędka, żeśmy najwięcej ½ godziny całą milę drogi jechali, mimo to jednakże jest wcale bezpieczna; jechać nią jest bardzo przyjemnie, bo znacznie zmniejsza trudy podróży, zbliżając nas coraz bardziej do upragnionego celu. Ach, jaki to piękny kraj litewski, całą szerokość od Kowna do Dynaburga ciągle nadzwyczajną pięknością przyrodzenia pasły się oczy; dwa razy przejeżdżaliśmy przez rzekę Wilią, a za każdą razą wylewałem obfite łzy radości, że znajduję się w kraju, który jest mojego N. Ojca ojczyzną. Jakąż radością przepełnione było me serce, gdy 9 mil za Kownem na stacyi pocztowej, wysiadłszy z wozu, przeczytałem napis: Wiłkomierz. Pobiegłem czem prędzej do izby, przypadłem do gospodyni, pytałem się czy nie wie, gdzie leży wioseczka Swirny. Lecz zapytania moje były nadaremne; nie wiedziano nawet czy wioska podobnego

imienia znajduje się gdzie na świecie: pytano jak się nazywa jej dziedzic, tego już z wielkiego wzruszenia powiedzieć nie mogłem [1]).

Postanowiłem jednak patrzeć i czytać na każdej wiorście, czy nie zobaczę tego nazwiska, w takim razie być tam postanowiłem, choćbym miał za to i srogą otrzymać burę. Lecz nie znalazłem nigdzie przedmiotu moich poszukiwań. Ach, żebym ja wiedział, gdzie się ta wioska znajduje, zarazbym zasiadł do pisania listu, ale ja już zupełnie o tem zwątpiłem. Wiłkomirz nadzwyczaj mi się podobał, jest to bardzo piękne i wesołe miasteczko.

Późno w nocy dnia tego zajechaliśmy do Uciany, gdzie o 10 godz. w nocy przebudziwszy wszystkich i zjadłszy na prędce zrobiony obiad, ruszyliśmy dalej w podróż na noc całą. Nazajutrz rano o godz. 4 byliśmy we wiosce Egipt, a potem o 6 i w Dynaburgu. Stare miasto prawie całkiem zajęli na twierdzę tak obronną, że takiej jeszcze nigdy w mojem życiu nie widziałem: pozwalano domy i kazano się wyprowadzić mieszkańcom, jeden tylko zostawiono katolicki kościół, który przerobiono na cerkiew. Świątynia katolicka stoi z daleka za miastem na polu: jest to mała bardzo i drewniana budowa; lecz za to mają tu wkrótce wymurować gimnazyum i kościół katolicki.

Naprzeciw twierdzy buduje się nowe miasto Dynaburg, pod nazwiskiem Nowy Vorstadt. Tu na śniadanie bardzo sobie pozwoliła szlachta nasza, co tylko przynieśli, już wszystko w drodze było rozszarpane i zabrane; bułka, herbata, jakaś pieczeń, piwo i t. d. ledwie się na stół ukazały. To porobiwszy, zaczęli się powoli wszyscy wynosić i wsiadać na bryki i wyjechali wszyscy dalej, zostawiwszy Pułkownika na mniejscu. Zaceniono też jemu za to śniadanie 49 rubli srebrem, lecz on rozgniewany tylko 83 złp. zapłaciwszy, odjechał. Tegoż dnia w nocy o 11 godzinie jedliśmy obiad w okropnie zapłaconej Rzeczycy u żyda na poczcie; ja prawie nic nie jadłem, bom się brzydził widząc tych, co około tego obiadu chodzili. Toż samo i inni zrobili koledzy. Ledwo kto i bardzo mało jadł.

W nocy dnia tegoż porządnie deszcz nas strzepał i odtąd w ciągu dni 4 ciągleśmy wśród okropnego błota i ciągłych deszczów jechali. Mój płaszcz, szlafrok, mundur, koszula, buty i wszystko co miałem na sobie przemokło do nitki, okropnie bałem się febry

[1]) Swirny, rodzinna wioska ojca autora, Adama, była w dziedzicznem posiadaniu jego rodziców: Jana, rotmistrza wiłkomirskiego i Anny z Kuszelewskich. K. B.

i zaziębienia; tłumaczka otworzyć nie chciałem dla uniknięcia ambarasu, zresztą nie było gdzie, bośmy dzień i noc jechali. Dwa razyśmy tylko nocowali, w Wejwarach i Ostrowiu i to tylko po godzin 3 najwięcej. Wśród okropnych deszczów, głód prawie zawsze dokuczał; niedostatek słomy i siana do siedzenia, sprawił, że grzbiet, nogi, piersi, plecy i wszystko co jest (zapozwoleniem, ale trudno, jużem się zapędził, więc powiedzieć muszę) z tyłu, okropnie mnie bolało. Jeszcze było wszystko dobrze, póki była szosa, lecz kiedyśmy z niej zjechali na błata i drągi, okropnie ucierpiałem, deszcz ciągle kropił, a odzienie moje całe prawie na nic się zdało, bo przemokło, powalało się i pryskającem błorem i smołą i dziegciem, którym obficie nas częstowali ryscy wieśniacy.

Do Wyszehrada, to jest 55 przeszło mil od Kowna ciągnie się Litwa i język litewski. Wszyscy tu są Polacy, obywatele, chłopi mówią, albo po polsku, albo po litewsku. Począwszy od Wyszehrada, aż do stolicy samej, piliśmy ciągle jaknajwyborniejszą herbatę ze śmietanką, nigdym tak dobrej w życiu swojem nie pił. U każdego chłopa prawie jej dostanie. Tuby się Tatuńko doskonale uraczył. Już od tego miejsca zaczęliśmy się przyzwyczajać do potraw ruskich: tak np. w Wyszehradzie dano naprzód nam barszcz jakiś niezwykły, ani słony, ani kwaśny, potem rosół z kaszą perłową, po którym jakieś tłuste kawałki zamiast mięsa pływały, potem jakąś polewkę, którą już kazał wziąć Pułkownik, żeby dali co z mięsa, albo pieczyste, bo się zupami nie najemy. Dano więc kurczęta. Takież same obiady czekały nas wciągu mil 50 do samego Petersburga.

Przyjechaliśmy do Gatczyna, miasta z prześlicznym zamkiem cesarskim i ogrodem: jednakże zdaniem mojem łazienki są piękniejsze; tu w ogrodzie pływa po kanałach kilka okrętów i to dosyć wielkich. O 3 mile za Gatczynem pokazało się Carskie Sioło, mieszkanie cesarskie i miasto dość małe, lecz tak piękne, że nic w życiu tak ślicznego nie widziałem. Ztąd w ciągu mil 4 do samej stolicy następują za sobą wnioski jedna po drugiej, ale są to wioski Cesarskie, przeto bardzo czyste i piękne. Domki są o 2 czasemnawet piętrach, drewniane i nie pobielane. Na trzy mile od miasta ciągnie się długa aleja młodemi wysadzana drzewami, prościuteńka jakby linia prostopadła. Petersburga nie widać z z daleka: przyczyną tego jest, że leży cokolwieczek w dole i że go zasłania ogromna brama jeszcze nieskończona, a o 2 mile widziana, postawiona teraz przez wojsko ruskie na pamiątkę uśmierzenia Polski w r. 1831.

Wjechaliśmy do Petersburga ulicą nie zbyt powabną i można powiedzieć brzydką; nie mogliśmy dostać izby dla siebie w żadnej gospodzie, bo nas było wszystkich w ogóle aż do 25-ciu; nareszcie dostaliśmy na jednej ulicy obok Newskiego Widoku, przez której środek przechodzi ogromny kanał; pełno tu jest takich ulic. Tu zachorowałem okropnie na brzuch i głowę. Oczy okropnie mnie piekły, nic prawie nie widziałem, słońce przez całą drogę mi je osłabiło, cierpiałem tak okropny zawrót głowy, żem w żaden sposób nie mógł ustać na nogach i musiałem się położyć. Nic nikomu o tem nie powiedziałem, bom nie śmiał; cierpiałem przeszło godzin 6. Spostrzegł to wreszcie Wasilewski, syn Radcy Izby obrachunkowej, zaczął się koło mnie krzątać i kręcić, ugotował mi herbaty z cytryną i póty odemnie nie odstąpił, pókim 2 szklanek nie wypił, własną i nadto flanelową kołdrą mnie okrył; dopiero wtedy się oddalił, gdym zasnął. Dzięki jego pieczołowitości, już się zdrowszy obudziłem i spostrzegłem go już chodzącego po pokoju, w którym spałem. Byłem i jestem bardzo mu wdzięczny; on całą drogę pamiętał o mnie, Pułkownik zrobił go naszym gospodarzem przez czas drogi; on więc nalewał herbatę, rozdawał jedzenie i t. d. Wiedział, że idę do wszystkiego na końcu; naprzód więc mnie szukał, i póty się nie uspokił, póki mi nie dał, a jeśli zabrakło, to część swojego ustępował. Zgoła był on podczas podróży naszą duszą, naszym opiekunem.

Nazajutrz cokolwiek znowu cierpiałem na zawrót głowy, ale to wkrótce przeszło, dziś zaś jestem zupełnie zdrów i spokojny. Płakałem dziś wprawdzie, kiedym swoje rzeczy w malutką układał komódkę, kiedym pomyślał, żem teraz sam sobie gospodarzem, kiedym spostrzegł pismo Matuńki na moim spisie rzeczy, ostrzegające mnie, abym zbytecznie nie pracował, kiedym sobie przypomniał ostatnią pożegnania chwilę i Tatuńka biegnącego po moście warszawskim, kiedyśmy już ruszyli, aby mi ostatnie ojcowskie udzielić pocałowanie i błogosławieństwo. I teraz łzy na to wspomnienie napełniają me oczy, ale już będę spokojny, bo wiem co zrobiłem i na co zrobiłem. Jedyną teraz myślą moją jest tak prowadzić siebie, abym zasłużył na zaufanie moich przełożonych, pociechę Waszą, N. Rodzice i własne szczęście.

Znalazłem w pugilaresie pismo Adzia, Zygmunta [1]) i Leśkiewicza, ucałowałem je stokrotnie, również wszystkie wyrazy ręką

[1]) Adam i Zygmunt rodzeni bracia autora. Pierwszy z nich skończył życie w r. 1863. K. B.

Najdroższej Matki skreślone na kołnierzykach, koszulach i t. d. Żałowałem żem sobie imiennika na drogę nie zrobił, miał bym w nim pismo każdego z moich krewnych, a patrząc na nie, myślałbym, że się w Warszawie znajduję.

Wczoraj o 8 rano odwiózł nas p. Schouppe w karetach, koczach i kolaskach najemnych na Wasilewski Ostrów. Polacy tutejsi i uczniowie już się w godzinę o naszem przybyciu dowiedzieli, we 2 godziny już nas w gospodzie naszej odwiedzali. Radość ich była niewymowna.

Gmach nasz, gdzie jesteśmy, jest ogromny bo może około 700 lub więcej kroków na długość wynosi, a już całyśmy poznali. My stoimy na 1-szem piętrze, ale tak wysokiem, że u Paulinów [1]) 2-gie nie jest tak wysokie, bo nasze ma 47 schodów. Jak umieszczeni jesteśmy, o tem jeżeli pozwolicie, N. Rodzice, w przyszłym Wam liście doniosę, bo teraz jeszcze co innego chciałem Wam powiedzieć. Z hotelu gdzieśmy stanęli, jechaliśmy przez najpiękniejszą część Petersburga do Uniwersytetu, poprzedzani, otoczeni i zamknięci przez naszych ziomków, którzy już tu 2 lub 1 rok w Uniwersytecie przesiadują. Jechaliśmy obok pałacu cesarskiego, co się spalił niedawno, okropna i niezmierna budowa, znów go stawiają i szybko. W godzinę po przybyciu naszem do Uniwersytetu, kazano nam się stawić u Inspektora. Jest to człowiek mający około lat 42, wysoki, nie piękny, lecz ma w sobie coś przyjemnego: nazywa się Mikołaj Pawłowicz Fillippow. Wyrzekł on do nas te wyrazy:

„Od dwóch lat już oczekiwaliśmy was, Panowie, a oczekiwaliśmy z radością, z utęsknieniem nawet, bo wiemy, czego jest godna młodzież polska i czego się po niej w gałęzi nauk spodziewać należy; z podobną niecierpliwością i zawsze Was oczekiwać będziemy. Poprzednicy Wasi w niczem mi nie dali żadnego do zmartwienia powodu; co mówię? ja na nich nawet nigdy gniewać się nie mogę; byli oni zawsze i wszędzie wzorowymi, spodziewam się, że i wy takimi Panowie będziecie. Oni są z nas zadowoleni, my znowu z nich się cieszymy; pamiętamy wspólnie i my i oni na to przysłowie, że ręka rękę wspierać powinna; a my wszystko na to łożyć będziemy, aby w Was wzbudzić to przekonanie. Miejsca Wasze wskazane Wam niedługo zostaną".

---

[1]) U Paulinów była szkoła obwodowa (progimnazyum), której inspektorem (dawny tytuł dyrektorów), był ojciec autora i tamże mieszkał podówczas. K. B.

Po tych słowach wyszliśmy: niedługo zadzwoniono na obiad. Zeszliśmy na sam dół, tam są 2 sale na obiad i kolacyę przeznaczone. Dziwne, bardzo dziwne potrawy; barszcz ni słony, ni kwaśny, ni gorzki, ni słodki i nie wiedzieć jaki; potem bułeczki pszenne małe, okrągłe i podługowate, a w nich mięso, które jedni solili, drudzy pieprzyli i t. d., więcej już nie pamiętam. W wieczór moi koledzy, co teraz przyjechali, prawie wszyscy wybrali się do teatru: nie chciałem, bardzo strudzony i zmordowany im towarzyszyć, lecz czułem że mi się na płacz zbierało; rad nie rad wyszedłem. Wzięliśmy kolaskę, w którą tylko 2 osoby zmieścić się mogą, (bo tu są one dorożkami) i za 40 groszy pols. kazaliśmy się zawieść do Wielkiego teatru. Afiszów nie było na rogach ulic, bo tu niema takiego zwyczaju, nie wiedzieliśmy więc co będą za sztuki: koledzy mówili że będzie balet, Powstanie w Seraju i jakaś sztuczka ruska. Wszyscy poszli na krzesła, poszedłem i ja, zapłaciwszy srebrem 2 ruble, z których mi zdał pan kasyer jakieś ruskie pieniądze bardzo mało znaczące. Było to okropne głupstwo, którem popełnił; w Warszawie żal mi było za krzesło w Rozmaitościach 4 złp. zapłacić; najlepszy warszawski Paradyzik! Wchodzimy, sztuka już zaczęta: nie dość na naszą biedną kieszeń, trafiliśmy na niemiecką wielką, jak Robert Dyabeł, operę, którą ciągle śpiewają. Niceśmy więc jej nie rozumieli. Tytuł jej był „Jasson-da“: zgryzłem się bardzo tym przypadkiem, ale cóż robić? już nigdy do teatru nie pójdę. Dla niegosmy nawet kolacyę opuścili.

Dziś rano piłem 1-szy raz z b y t e ń, bardzo mi smakował; jest to coś słodkiego i aromatycznego, pije się ze śmietanką. Na obiad mieliśmy rosół z mięsa, ale nie mogłem poznać jakiego, zamiast podsypania kaszy, były strączki z łupinami, potem mięso z jakimś sosem, wreszcie kasza obwarzana niekraszona. Nie kraszą tu wcale, tylko masło rozpuszczone roznoszą w wazie, każdy bierze go ile chce. Mówiono mi, że bardzo stare i niedobre, więcem go ani ruszył. Inni sobie po mleko posłali. Chleb jest tylko czarny. Do picia woda i kwas. Kwas jest jakiś czerwony, gęsty, nie miałem jeszcze apetytu go skosztować; woda zaś bardzo ciepła, lecz zdrowa, pijemy jej dużo, a nie jesteśmy słabi wcale; kładą na niej lód, aby się oziębiła, jak i w całej Rossyi. Przy obiedzie zawsze jest obecny Podinspektor dla dopilnowania porządku między służącymi i rychłej usługi. Teraz u nas jest bardzo pusto, prawie wszyscy się rozjechali na wakacye: Schlesigerowi listy i książkę oddałem, resztę nie, bo pojechał gdzieś niedaleko na wieś, gdzie ma lekcye i tylko co niedzielę przyjeżdża. Chciałbym i ja gdzie

dostać lekcyę, ale mówią że bardzo trudno. U nas lekcye rozpoczynają się 1. sierpnia s. s. co na nasz 13. sierpień wypada — lecz podobno dopiero około 20. zupełnie się rozwiną. Jaki mam wydział obrać, nie wiem.

Z pieniędzmi mamy wielką biedę; drożyzna okropna, ruble srebrne idą tylko po 6 złp. i gr. 5 najwięcej, zwykle złp. 5 i gr. 20 lub 25, bo liczą na srebrny 3 assygnacyjne i 75 miedzianych kopiejek. Co do mundurów: sukno jest w samej rzeczy tak grube, że w Warszawie za 6 złp. lepsze dostanie, spodnie białe mundurowe zdałyby sie tylko na .... płaszcz tak gruby, że nigdy w takim w życiu nie chodziłem, buty i koszule okropne; w ogólności odzienie jak może być najgorsze. Mój płaszcz, spodni dwie pary paskowych na nic się nie zdadzą; nie wolno ich nosić! Nie wiem, co z tem zrobić; sprzedać, w żaden sposób nie sprzedam. Dodatku zwykle krawcowi dają tutaj 50 rubli assyg. to zrobi cokolwiek lepsze. Żałuję bardzo, żem w Warszawie całego sobie uniformu nie sprawił. Nie wiem, co ja tu będę robił. Niech Mamuńka nie myśli, że ja się przymawiam o pieniądze; umarłbym ze zmartwienia, gdybyście mi teraz je znowu N. Rodzice nadesłali, bo bym się gryzł, że u Was niedostatek. Wolę niech chodzę w grubem, choć zupełnie nie przywykły, jak żebyście Wy na tem cierpieli. Płaszcz skarbowy jest bez podszewki; w ogólności ubranie jak dla parobka. Na przyszły rok niech tu też Zygmunt przyjedzie: ach! jaki ja będę kontent. Ma on chęć i zdolność do matematyki, niech go Tatuńko poda na listę kandydatów do inżynieryi, jak w tym roku: niech go Rodzice poślą do 5 klasy. I w tym roku 5 uczniów z 5 klasy z gimnazyów warszawskich razem z nami tu przyjechało. Niech tylko dobrze 5 klasę ukończy, a ręczę, że będzie przyjęty tutaj do klasy IV. to jest 3 od końca, bo 1 tu jest najwyższą. W szkole tej komunikacyi lądowych i wodnych (po russku nazywa się: Институтъ путей сообщенія) są profesorowie sami Polacy i słuchali dziś Warszawiaków egzaminu po polsku. Mówili ci, którzy teraz do tej szkoły przyjechali, że żądali od nich dowodów szlachectwa, ale i bez tego mogłoby się obejść, gdyby to technika na koszta wyciągania papierów narazić miało. Zresztą Enoch [1]) (który jednak na koszcie rządowym został, co za zgroza!) Lea, Angel i tylu innych Niemców, jak mogą złożyć dowody szlachectwa? Niech Tatuńko go się zapyta, a jeżeli sobie życzy, niech Tatuńko wywie się w komisyi i poda zawczasu prośbę o przyjęcie,

[1]) Jeden z późniejszych pomocników hr. Wielopolskiego. K. B.

bo będzie natłok. Każdy z nich tutaj ma zupełne uzbrojenie: pałasz, pistolet i t. d. a Zygmunt to lubi. Co Tatuńko w tym względzie zrobi, niech mnie uwiadomi (po latach 4 wracają oni do kraju), a ja więcej o tem napiszę, o formalnościach dowiedzieć się można z dzieła: Instrukcya — Petersburg 1837 po polsku, co jest w Bibliotece szkolnej; za Tatuńka przybyło in 8°. — Na wakacye muszę koniecznie przyjechać, choćby dla pokazania się w mundurze.

Schlesiger odebrał przezemnie 9 listów od całego swego rodzeństwa; chciałbym i ja być tak szczęśliwym, ale przez okazyę, bo by wiele kosztowało. Co okazya niech Rodzice piszą i ja będę pisał, niech proszą o to Kosińskiego na Pradze. Ja przez całą drogę nic nie wydałem. Wszystkich po milion razy ściskam i całuję. Mamuńkę i Tatuńka miliony milionów razy w rączki nóżki, Józiunię 1,000.000 razy, Klementynę, Zygmunta, Adzia [1]). Babunię, Ciocię, Wujaszka, P-a Sarnackich, Leśkiewicza i wszystkich znajomych. Niech Mamuńka chowa moje listy, bo jak przyjadę na wakacyę, będę czytał.

Najuniżeńszy

*Julian Bartoszewicz.*

## List II.

*Petersburg, dnia 23. sierpnia 1838 r.*

Najukochańsi Rodzicè! Ponieważ p. Pułkownik Schouppe był tyle na mnie łaskaw i wczoraj przez Przystańskiego [2]) jednego z pierwszoletnich kolegów, kazał mi oddać sobie list do Was, N. Rodzice, przeto nie chcę ściągnąć na siebie gniewu mojego w czasie podróży dowódzcy i list czwarty z porządku dzień za dniem do Was, gotuję; a lubo wszelką wyczerpałem materyę w pismach moich poprzednich, jednakże zabieram się z równą chęcią do pisania, bo im więcej będziecie mieć o mnie wiadomości, tem bardziej troskliwość Wasza zaspokojoną zostanie. Dziwi mię ta grze-

[1]) Klementyna i Józefa siostry, Zygmunt i Adam bracia autora. K. B.

[2]) Przystański Stanisław, zmarły przed kilku laty, znany matematyk, wicedyrektor Komisyi oświecenia za Wielopolskiego, profesor szkoły Głównej i Uniwersytetu.

czność p. Schouppego, zwłaszcza gdy od nikogo z moich towarzyszów nawet na usilne prośby żadnego nie przyjął listu, a odemnie lubom Go o to wcale nie prosił, niespodziewając się pomyślnego jak inni skutku, wyraźnie listu zażądał. Widać, że przypomniał sobie Wasze prośby przy odjeździe zaniesione a wierny słowu danemu przyrzeczenie do skutku chciał przywieść. Onegdaj o 6-tej godz. po południu, chciałem Mu oddać listy do mojego N. Ojca z prośbą, aby dozwolił służącemu swojemu wziąść z sobą do Warszawy płaszcz i dwie pary spodni: lecz nikogo nie zastałem w domu, byłem jeszcze tegoż dnia trzy razy, a Pułkownika nie było, — oddałem więc list Szymanowskiemu z prośbą, aby mu wręczył. Wczoraj znowu o 8-mej rano chodziłem po odpowiedź, a o 8½ wtecorem zanosiłem do jego mieszkania listy do Was N. Rodzice pisane, które Szymanowski do Warszawy miał zawieść; jednakże odpowiedzi otrzymać nie mogłem, bom nigdy zastać nie potrafił. Gdy jednakże kazał mi p. Schouppa oddać list do Was, sądzę przeto, że i prośby mojej nie zostawi bez skutku, przeto chociaż jeszcze nic o tem nie wiem, dla tego, że ten list piszę o 8 godz. rano, a wcześniej być u Pułkownika nie mogłem, bo może śpi jeszcze, donoszę Wam N. Rodzice na pewno, że posyłam przez Wawrzyńca służącego, żądane przez Was rzeczy dla Zygmunta, to jest płaszcz i dwie pary spodni, kratkowych wcale nie nosiłem w Petersburgu, więc je dlatego przywiozłem, aby tę stolicę obaczyły. Wczoraj zaś pierwszy raz włożyłem spodnie po wujaszku niebieskawe.

Biedny Szymanowski nie dostał tu miejsca w korpusie Inżynierów polowych, (zupełnie co innego jak Instytut komunikacyj lądowych i wodnych) pomimo próśb, zaniesionych przez Namiestnika królestwa do opiekuna podobnych Zakładów księcia Michała. Dziwię się nawet, jak go Ojciec mógł tak niepewnie do Petersburga przysyłać; funduszu skarbowego żadnego na to nie było, więc Królestwo Polskie nie mogło go tutaj na swoim koszcie w żaden sposób utrzymać. Fundusz zaś Carstwa był tylko dla krajowców, zresztą był on całkowicie zajęty; gdyby się zaś nawet przypadkiem mógł dostać Szymanowski na taki, fundusz, jużby zapewne do Królestwa nie powrócił, tylko pozostał w Carstwie. Cóż było robić? sam nie wiedział, czy wrócić, czy zostać. Powiedziano mu, że trzeba dopiero potwierdzenia Cesarza, który nie prędko tutaj spodziewany; potem potwierdzeniu tylko na 3 miesiące, bo wcześniej nie można (dlaczego nie wiem, może i ci, którzy tak odpowiedzieli, nie wiedzą, chcą za to łapowego i t. p.)

może być złoży egzamin, potem osądzenie, do którego oddziału on iść może i inne t. p. trudności wymyślali.

Wreszcie Szymanowzki umyślił wrócić do Warszawy i za rok dopiero przyjechać więcej usposobiony. Starał się więc wyjechać z Piotrogrodu. P. Schouppe znowu chciał go tu koniecznie zostawić, nie chciał wziąść go z sobą; Szymanowski dzień i noc płakał. Wreszcie wynalazł mu Pułkownik miejsce u jakiegoś kapitana (Polaka czy Niemca) i chciał go na ten rok umieścić. Lecz gdy odpowiedziano, że i później Szymanowski przyjęty nie będzie, zerwał związki z kapitanem i dziś go do Warszawy wysyła z kimciś na ukończenie gimnazyum i obranie sobie potem innego zawodu. Wyprawiwszy ich, sam p. Schouppe dziś po południu wyjeżdża do Polski. Mówią moi koledzy, że najgłówniejszą przyczyną nieprzyjęcia tutaj Szymanowskiego do korpusu jest, że nie posiada dowodów swojego szlachectwo i przytaczają na to dowody; ja jednakże temu wierzyć nie chcę i nie mogę, zbijając ich dowody mocnemi zarzutami, n. p. mówią oni, że jest w postanowieniu Cesarskiem, że tylko synowie szlachty, wszelkich urzędników, doktorów i chirurgów mają prawo być tu umieszczonymi w podobnych Zakładach (jest tak w samej rzeczy), ale, że tam nic nie ma o synach aktorów. A ja zwów mówię: Ojciec Szymanowskiego był dawniej prywatną osobą, lecz kiedy teatr rząd wziął na siebie i tego roku emeryturę nawet aktorom przeznaczał, ztąd naturalny wniosek — wszyscy aktorowie stali się urzędnikami, że przeto na tej zasadzie mogą swoich synów do Petersburga wysyłać. Przyznajcież mi N. Rodzicie, czy nie słuszna moja uwaga.

Teraz kiedy się to już wszystko stało, Ssymanowski jest bardzo kontent, że wraca do Warszawy i my jemu wszyscy zadosyć zazdrościć nie możemy. Codzień do niego chodzimy, zaklinamy na wszystko, żeby naszych rodziców odwiedził, on znowu obiecuje to zrobić z największą chęcią. Będziecie mieli co z nim gadać N. Rodzice, kiedy do Was przyjedzie z 5 Wam listów i liścików przyniesie. Szczęśliwy! odwiedził Petersburg, widział morze, statki parowe, okręta, mnóstwo kanałów, które w różnych miejscach przecinają tę stolicę, namarzł już troszkę — i wraca na łono kochającej rodziny.

Niech mi Gmunio [1]) doniesie czy on do kl. VI. dostał promocyę. Być może, że Gmunio, któremu bardzo życzę ochoty do nauki, ażeby się tutaj dostał, mieć będzie jeszcze z niego na rok

[1]) Gmunio — Zygmunt, brat autora.

przyszły drugoletniego kolegę. Ciekawy jestem także, kto z uczniów, którzy w tym roku wyszli z VI. klasy S. O. przy ulicy Długiej, chodzić myśli do Gimnazyum Wdzkiego. Tu zostawiam Gmuniowi, niech mi na to odpowie.

Tutaj w Instytucie Związków (komunikacyi) lądowych i wodnych (Putie soobszczenie po rusku), do którego Munia zachęcam i zapraszam, wszystko idzie po wojskowemu na bęben. Jest klas 6, 1-sza najwyższa, 6-ta najniższa. O 6-ej rano żołnierz i wszyscy wstawać muszą, kto nie może i jest słaby idzie do lazaretu; do 7 ubierają się wszyscy, potem idą na śniadanie, składające się ze zbyteniu i dwóch bułek. Trwa to wszystko do 8-ej, potem idą do klas na nauki i siedzą do 1 w południe, następuje obiad, trwający do drugiej godziny. Po drugiej idą wszyscy do ogrodu i siedzą do 5-tej, nowi idą na mustrę codzień, póki się dobrze jej nie wyuczą, od 5 do 7-ej trwają znów nauki, potem wszyscy są wolni w domu, a nowi idą znowu na mustrę. O 8-ej kolacya, a o 9-tej regularnie każdy spać musi. Na śniadanie obiad i kolacyę wszyscy maszerują na znak bębna, stają razem przy stole, razem siadają i razem biorą łyżki; jak żołnierz w końcu zabębni, wszyscy bez wyjątku, choćby jeszcze nie zjedli, wstają od stołu. Na komendę również wstają i spać się kładą.

Każdy, kto wchodzi do tego Instytutu, ma galonek na kołnierzu i jest od razu podoficerem, nie można wejść wyżej jak do kl. III. Zygmunt zdaje się mógłby zdać egzamin do 5-ej klasy, bo dobrze matematyki się uczy; są tu wprawdzie 8-io klasiści, i to technicy, którzy do klasy II. tylko zdali i uczniowie z V. klasy gimnazyalnej, Fijałkowski, Nowicki i inni, pierwsi więc widać mało umieli. Za 3 lata przypięliby Gmuniowi szlify praporszczykowskie, za 4 podporucznikowskie a w 5 roku, skończywszy nauki, poszedłby Gmunio do Polski znowu w stopniu porucznika i budowałby sobie drogi lub koleje żelazne. Jest tu wielu (można powiedzieć) smerdów, bo to i niski i mały, a już nosi szlify, wyszedłszy z tego Instytutu, żołnierze szarf przed nimi stawają i broń prezentują. Oficer pobiera już tutaj 700 rub. ass. i sam się za to utrzymywać musi. Byłoby to bardzo dobrze, gdybyście N. Rodzice Gmunia tutaj na rok przyszły przysłali.

Bywam w każdą niedzielę i święto w kościele katolickim u Dominikanów, lubo i w inne dni często tamże zaglądam. Tutejsi Dominikanie wszyscy bez wyjątku Polacy, nie są tak (po prostu powiedziawszy) głupi, jak to w Warszawie po zakonach nie trudno. Mają tu oni stały fundusz i wysyłają corocznie za granicę

swoich członków dla uczenia się języków; dla tego też są tu kazania polskie, niemieckie, włoskie i francuskie. Byłem w niedzielę na zupełnym odpuście; bo był to dzień św. Dominika, założyciela i opiekuna zakonu kaznodziejskiego. Ksiądz Staniewski, przeor, miał śliczne, i bardzo wymowne po polsku kazanie. Żebyście wiedzieli kochani Rodzice jak to pięknie, kiedy nas kilkudziesięciu katolików jednakowo ubranych, stanie przy sobie w kościele, a my prawie wszyscy razem do świątyni Pańskiej chodzimy, z drugiej znowu strony pełno i małych i dużych oficerków z komunikacyi lądowej, również Polaków i katolików. Śliczny widok! W tym również Zakładzie 10 razy więcej Polaków jak innych; wszyscy uczniowie mówią tam albo po polsku, albo po francusku; po rusku prawie nikt nie umie, ale się uczą. Wszyscy profesorowie Polacy i kto chce, to go po polsku egzaminu słuchają.

Dziś nam krawiec uroczyście obiecał przynieść gotowy mundur; zacznę więc zaraz po wyjeździe pp. Schouppe i Szymanowskiego odbywać wizyty; najprzód idę do p. Czapiejewskiego, tylko nie wiem gdzie go będę szukał. Śmieją się ze mnie koledzy, że mnie do szpady przyszyć będą musieli, bo ją zgubiłbym, gdyby mnie tylko do niej przywiązali. Jest to dowcipek mający na celu pokazanie mi, że jeszcze do noszenia szpady jestem cokolwiek za młody. Ale dla tego chcę ją gwałtem nosić.

Niech Tatuńko za widzeniem się złoży moje uszanowanie i dzięki p. Szwajnicowi [1]) za to, że nas tyle w 8-ej klasie usposobił, że od razu do najwyższego oddziału iść mogę. Niech mu także Tatuńko powie, że napiszę list do niego w swoim czasie i zawiadomię go jak też tu stoi filologia w ogólności. Wszystkim także innym profesorom proszę załączyć wyraz mojego prawdziwego uszanowania, pp. Karwowskiemu i Lanckorońskiemu [2]) także.

Dziwi mnie, że Tatuńko w ostatnim liście swoim napisał, że mi się okolice Kowna nie podobały; owszem tak mi się podobały, żem nic jeszcze tak pięknego nie widział, jak w ogólności cała Litwa, jest śliczną krainą. Samo tylko miasto jest jakieś ponure i posępne, są to ślady nadzwyczajnej jego starożytności, zresztą i samo Kowno podobało mi się bardzo.

---

[1]) Szwajnic Jan, autor trzytomowej „Historyi narodu i państwa rzymskiego“, oraz innych prac historycznych ogłoszonych, a przeważnie zostawionych w rękopiśmie, zmarł w r. 1867. K. B.

[2]) Karwowski Jan, dyrektor, a Lanckoroński, inspektor gimnazyum na Lesznie. K. B.

Przepraszam, że list ten tak nieporządnie i nie tak ściśle jak dawniej, urywkowo piszę, ale to wina pospiechu, za kilka godzin p. Schouppe wyjeżdza, a jeszcze ten list muszę zanieść, dowiedzieć się czy przyjmie płaszcz i spodnie, potem znowu wrócić i zanieść, a to kawał ogromny. Jeżeli listy tak zawsze będę pisał, jak teraz, to mi papieru listowego już na luty zabraknie.

Serdecznie ściskam i całuję wszystkich

Najprzywiązańszy syn

*Julian.*

## List III.

*Petersburg, dnia 30. sierpnia 1838 r.*

Najkochańsi Rodzice! Po napisaniu pierwszego do Was listu z Petersburga, było mi bardzo tęskno, natychmiast schwyciłbym pióro do ręki i drugi list gotów byłbym napisać równie długi, a może jeszcze ciekawszy, lecz wstrzymałem się chwilę w nadziei, że p. Schouppe weźmie z sobą moje powtórne pismo i odda je Wam w Warszawie: omyliła mię ta nadzieja, bo Pułkownik oświadczył, że żadnego listu nie przyjmie. Druga nadzieja była w Szymanowskim [1]), którego tu przyjąć nie chciano, dla tego, że trzeba było wprzód potwierdzenia Cesarza, a dopiero miał być przyjęty; po tem egzamina, zwłaszcza już przy zaczętych naukach w tym Instytucie, do którego on się podał, jeszczeby więcej zwlekły czasu, tak, że on już postanowił wrócić do Warszawy i za rok dopiero przyjechać. Lecz p. Schouppe umieścił go przez ten czas u jakiegoś kapitana i tu więc moje widoki spełzły na niczem, lecz on teraz jedzie i przez niego te listy, a nie przez Włodzimierza, posyłam.

Po trzecie, jeden z moich towarzyszów podróży, Danielski, chłopak bardzo dobry i pilny, który się do Inżynieryi zapisał, a któremu nie podobało się ścisło-wojskowe życie, chciał także wrócić do Warszawy; już sążnisty list gotowałem, gdy w tem dowiedziałem się, że niebezpiecznie zachorował, a przeto podróż jego, jeżeli go tylko uwolnią, przewlec się nieco musi; teraz ma on się cokolwiek lepiej; — później więc będę pisał przez niego. Jednakże

[1]) Syn Wojciecha, artysty dramatycznego i literata, zmarłego w 1861 r. O czem było w 2-gim liście.

koledzy moi poradzili sobie i listy swoje oddali na ręce Wawrzyńca, służącego p. Schouppe, i ja więc sposobności nie tracąc przez tegoż samego oddawcę, zawiadamiam Was N. Rodzice, że jestem zdrów zupełnie i spokojny, lubo ciężkie na brzuch cierpiałem boleści, które jeszcze za ukończone uważać nie mogę. Sądzę, że ich przyczyną była tutejsza woda do picia, bo ilekolwiek razy biorę ją do ust, wnet następuje rozwolnienie.

Po pierwszej więc mojej słabości, okropnym zawrocie głowy, o którym już do Was pisałem, nastąpiła druga — boleść żołądka, którą dni 12 prawie wśród jęków wytrzymać musiałem. Mimo to jednak nic mi nie dolega i nie miesza mojej spokojności; list tylko Wasz, N. Rodzice, z dnia 5. sierpnia (kiedym już był w Petersburgu) pisany, a dnia dzisiejszego dopiero o godz. 9 odebrany, wycisnął mi łzy rzęsiste, które mnie jednak nową zasiliły odwagą. List ten, jak się pokazuje, był w drodze dwa tygodnie przeszło; naturalny więc wniosek wypada, że oddany był na pocztę konną, która w poniedziałek następny (6. sierpnia) wyruszyła z Warszawy, bo ta tylko poczta może iść tak długo. Proszę więc odtąd Was N. Rodzice, ażebyście listy do mnie oddawali we czwartek rano na pocztę kuryerską, a ja już we wtorek następny czytać je będę; ja również mój oddałem we środę (8. sierpnia) a spodziewam się, żeście go już w poniedziałek dnia 13 odebrali.

Przez omyłkę napisałem w zeszłym liście z Petersburga, że nauki u nas rozpoczną się 13. sierpnia n. s., początek ich dopiero nastąpi 1. września naszej rachuby, a zupełne rozwinięcie zaledwie około połowy tegoż miesiąca. Przez ten czas śmiertelne i okropne nudy; większa połowa uczniów rozjechała się na Kanikuły (tak tu nazywają wakacye): pozostali, a między nimi i my pierwszoletni, czytamy książki, jakie nam tylko w ręce popadną i wyrywamy je sobie nawzajem, tak że jedna książka ledwie w tydzień na jednego przypadnie. Ja z nudów to wyjdę sobie na dziedziniec, to na ulicę, to się położę spać, to gryzmolę cokolwiek i Pan Bóg wie co nie wyrabiam ze złości, nieraz gotów byłbym zrobić głupstwo i pójść na piwko, tylko to nieszczęście że tu mała butelka lury 40 groszy, a czystego piwa 60 gr. kosztuje. Bieda, wielka bieda! Ale cóż robić?...

Powiedzcie Kochani Rodzice p. Leonowiczowi [1]), że jego „Towiany“ były tu skarbem, skarbem niewyczerpanym; nie mogłem

[1]) Leonowicz Cypryan, nauczyciel w szkole obwodowej przy ulicy Freta (u Paulinów) w Warszawie, był autorem jakiegoś zbiorka poezyj, oraz poematów: „Dunajda, czyli wojna przekupek na Dunaju“, „Mojsiada“, „Towiany“ i t. d. Same tytuły za treść odpowiadają. K. B.

nawet ich oddać księdzu Rossowskiemu, któremu posłane były, bo prawie wszyscy, wyrywając ich z moich ręku, czytali; byli nawet tacy, którym się dosyć podobały. Gust szczególny! Co zaś do moich „Dziejów piśmiennictwa polskiego przez L. Łukaszewicza“, małej książeczki, którą w wigilią wyjazdu mego z Warszawy u Zawadzkiego kupiłem, tej jeszcze nie widziałem, bo jakem dał pierwszemu na drugi dzień tu mojego pobytu, tak teraz ciągle ona podróżuje i nie mam nawet nadziei prędkiego jej odebrania. Moją więc prośbą jest N. Rodzice, żebyście mi jakąkolwiek książkę polską za pierwszą sposobnością przesłali; niech ona będzie stara czy nowa, wiersze czy proza; wszystko jedno, nam tu wolno mieć wszystkie książki, jakie tylko kto chce; nikt się o nie nie pyta; przynajmniej będę miał co teraz i na później robić. Wszyscy moi towarzysze teraźniejsi i dawniejsi ponawozili mnóstwo książek naukowych i innych: dobrze zrobili: bo tu książek zupełny niedostatek, każdy do nauki musi mieć swoje własne, nam tylko filologom udzielają cokolwiek.

Myślę na rok pierwszy uczyć się języka włoskiego od p. Mancinelli nauczyciela, dobrzeby więc było, żebyście mi przesłali N. Rodzice gramatykę włoską po polsku w Warszawie 1770 r. wydaną, a która jest między naszemi własnemi książkami i do nas prawnie należy; potrzeba będzie tylko jej wyszukać.

Przytem muszę Wam N. Rodzice wyjawić ubolewanie moje, że bytność w tutejszym Uniwersytecie, lat 4, przepisany przeciąg jest dla nas Polaków niezmiernie długi, bo nasze usposobienie naukowe w ogólności znacznie przewyższa usposobienie tutejszych krajowców. Możecie zrobić jakieśkolwiek sobie o tem wyobrażenie, gdy Wam powiem, że ja od razu pominąwszy 3 oddziały, na czwartoletniego ucznia na wydziale filologicznym przechodzę; z tem jednak wszystkiem (prawdziwe nieszczęście) 4 lata siedzieć obowiązany jestem. Rząd dla Polaków powinienby skrócić liczbę lat nauki przynajmniej o połowę i to dla niektórych meże byłoby nadto. Tu na pierwszym kursie na naszym Wydziale mają z filologii, cośmy już w kl. II. dobrze umieli, na drugim to co w VII., na trzecim to co w VIII., na czwartym dopiero zaczynają się nowe rzeczy. które jak nasi utrzymują, prawie żadnej nie wymagają roboty, jakoż można się o tem dobrze z instrukcyi przekonać. Jest więc prawda, com mówił w Warszawie, że Uniwersytet Piotrogrodzki jest pod względem nauki bardzo i bardzo ubogi.

Wszyscy mamy zupełną wolność, każdy kto chce, i co tylko żywnie chce, robi jak mu się podoba, wszystko więc co w War-

szawie o tem mówiono, jest nieprawdą i na żadną nie zasługuje wiarę. Każdy wychodzi nie biorąc na to żadnego pozwolenia, wraca kiedy mu się podoba, nocuje gdzie chce i nie obawia się za to żadnej nagany. Są tacy co o 12-ej lub o 1-ej w nocy wracają; są tacy co 2 czy 3 i więcej dni wcale się nie pokażą, a jednak za to ani słówka. Chodzą niektórzy pod wąsem i w faworytach ogromnych a jednak golić im się nie każą. Wszystkie prawie nasze sale około 5 godz. po południu są pełne dymu, pochodzącego od fajek i cygar, a jednak żadnego zakazu; wstają wszyscy rano z łóżek, jak się komu podoba, rzadko kto o 7-mej, pospolicie o 8-ej, można spać do 9-tej, a niektórzy zaledwie o 10-ej się budzą i inne tym podobne wolności.

Słyszeliśmy, że p. Schouppe odgrażał, że jak wróci do Warszawy powie o tem komu należy, aby wolność naszą skrócić i ująć w przyzwoite karby, lecz wszyscy u nas z tego się śmieją, bo któż w Warszawie ma prawo nad tutejszym Uniwersytetem? Jednakże mówiąc szczerze, czuję że w samej rzeczy jest tych wolności zanadto. Zresztą mi się jeszcze jedna nastręcza okoliczność, której tu w żaden sposób przemilczeć nie mogę.

Jest w tutejszym Uniwersytecie takie mnóstwo Polaków, że podziwienie bierze, zkąd tak znaczna zebrać się mogła liczba: nas z Królestwa jest tylko wprawdzie 24, ale co z innych prowincyj, co Litwinów, co z Podola, z Ukrainy i okolic? Śmiało powiedzieć można, że jest to Uniwersytet polski, bo krajowców i cudzoziemców zaledwie tu jest część 10-ta; wielu naszych ziomków z zachodniego kraju jest na koszcie Rządu Cesarstwa, w tym roku wychodzi takich 12-tu Polaków, otrzymawszy już swoje przeznaczenie po gimnazyach i szkołach powiatowych; jeden nawet w Petersburgu się zostaje, jak również i wszyscy Polacy wysłani są w głąb Rossyi a na granicę idą tylko rodowici ruscy nauczyciele.

Język, którym my tu mówimy, jest czysty polski, nie mieszany z cudzoziemskiemi wyrazami, owszem jest on tutaj językiem panującym; żołnierze, którzy nam usługują, już go mniej więcej rozumieją, a język russki w ustach tutejszych uczniów wyraźnie się polszczy, tak, że jest tu wielu krajowców, którzy umieją dosyć po polsku i nawet z naszego języka na swój dobrze tłómaczą. Dobrze tu jeden z nas powiedział, że my po czterech latach tyle po rusku umieć będziemy, jak ci, którzy jeżdżą z wyziną; nawet w Uniwersytecie nie będzie się można nauczyć, Profesorowie bowiem prawie wszyscy są cudzoziemcy, i albo nic, albo bardzo mało umieją po rusku, wykładają po większej części nauki w języku

francuskim, lub niemieckim; będzie to dla mnie bieda, póki się nie przyzwyczaję, ale cóż robić?

Z Polaków są tu Dziekanami Wydziałów, Sękowski, Iwanowski i Kutorga, jest i drugi Kutorga, który 8. sierpnia zdawał egzamin na doktora filozofii, a na którym egzaminie z obowiązku musieliśmy się wszyscy znajdować, pomimo tego, żeśmy jeszcze nie byli umundurowani[1]). Już odtąd 12 dni upłynęło, a jeszcze się krawiec z robotą nie pospieszył, a my ciągle w swojem dawnem ubraniu chodzimy do tej chwili.

Kiedy wpadłem na ten przedmiot, muszę coś o ubiorze naszym powiedzieć. Na cały surdut mundurowy, sukno, robotę i wszystko jest przeznaczone rub. ass. 50, tyleż na frak, na płaszcz 40 do tego po 1-ej parze spodni ma być razem z surdutem i frakiem za 50 rub. Tak więc za złp. 80 około, ma być kupione sukno na surdut i spodnie, ma to być wszystko zrobione i t. d. Ztąd wystawić sobie można, jak jest piękne sukno skarbowe dla nas przeznaczone. Chodzić w niem nie podobna, przeto ja sobie tak poradziłem: zamiast surduta i fraka mundurowego, razem za 100 r. ass. kazałem sobie zrobić frak haftowany złotem, bo ten jest tutaj koniecznym, a moją starą leszniańską[2]) surducinę kazałem sobie za 12 rub. ass. przerobić; lecz jeszcze nic gotowego nie mam. Co się tyczy płaszcza, żądam od Was N. Rodzice porady, za rub. 40 ass. nie nadto pięknego, bo nawet i podszewki pod płaszcz nie będzie; cóż więc mam robić? czekać będę cierpliwie Waszej odpowiedzi, 80 rubli przykładki nie bardzo mnie przyciąga. Co się tyczy bielizny, tej jeszcze również nie odebraliśmy: lecz kto ma poddostatek może zamiast jej wziąść $22\frac{1}{2}$ rub. ass.; wszyscy moi koledzy i ja myślimy wziąć pieniądze. Dodam tu jeszcze, że surdut ma służyć na rok 1 (zdaje się więc, że w mojej starowinie wytrzymam), frak na lat 2, szpada i kapelusz na 4, ale po tym czasie zwrócone być mają. Chciałbym więc bardzo, za moim do Warszawy na następne wakacye przyjazdem, sprawić sobie porządny wicemundur i nigdy tym zadosyć zazdrościć nie mogę, którzy w Warszawie jeszcze tenże wice-mundur sobie sprawili.

---

[1]) Sękowski (baron Brambeus), znany oryentalista i literat rosyjski, przedtem polski, był profesorem języków wschodnich. Kutorgowie: Michał i Stefan, bracia rodzeni, Litwini, pierwszy był profesorem historyi powszechnej, drugi zajmował katedrę zoologii. Obaj pisali w różnych językach, tylko nie po polsku. K. B.

[2]) Na Lesznie było gimnazyum, w którem autor kończył średnie nauki. K. B.

Przeszłoroczni tutejsi Polacy odebrali tutaj z dołu należne im za rok zeszły 100 rub. ass., lecz upominają się jeszcze o drugie 100 za rok 1836/7, których im wypłacić nie chcą, a będącym w Moskwie wypłacili, przeto myślą znów za tem pisać do Warszawy. Szlafroka tutaj nie dają, nie wolno nawet w nim siedzieć, tylko rano do 9-tej godziny, a po południu po kolacyi, która zawsze jest o 9-tej, teraz póki czas jeszcze wolny chodzimy; żałuję również, że nie mam jakiego płóciennego surduta, któryby miejsce szlafroka zastępował, a w który wielu jest opatrzonych. Również nie dają ręcznika, być może, że go dadzą z bielizną; ja więc szczędzę mego jedynaka, a kiedy nikt nie widzi, to ja się ukradkiem i prześcieradłem obetrę. Wczoraj w niedzielę dałem pierwszy raz na próbę do prania kilka moich koszul, skarpetek i chustkę, odbiorę to wszystko w sobotę, jednakże, jak widziałem innych prane rzeczy, dosyć są czyste, tylko (jak mówią koledzy) nieprasowane, czego ja nie poznam. Kilka dni boso chodziłem w butach, bo chciałem oszczędzić skarpetek, które mi się trochę podarły, teraz je dałem do prania, nie wiem, kto będzie cerował.

Po tem wszystkiem, com tu napisał, przysyłam Wam N. Rodzice do odpowiedzi kilka zapytań: 1) jaką mały, kusy i ospowaty chłopak dostał książkę na nagrodę, (już wiem to z 2-go listu), jeżeli dostał, bardzo mu winszuję i życzę, aby co rok podobnież odbierał. Na przyszły rok jak przyjadę do Warszawy, to nie pójdę aż po akcie uroczystym i będę świadkiem czy Adek dobrze będzie się uczył. 2) czy Tatuńko odebrał od Pankratjewa [1]) 1-szy tom Historyi Karamzina po polsku jak również od Glücksberga Jana drugi tom „Królowej Barbary“ i czy od tegoż regularnie odbiera Magazyn powszechny? (a nowa metoda przewiewna chowu pszczół?). 3) Czy obie chustki czarne na szyję były nowe, bo jedna z nich jest we środku cokolwiek przedarta? Niech Mamuńka odpowie również i na to 4) czy mam nosić okulary? bo mi tu jeden odradza, że one nie mogą w żaden sposób nigdy wzroku naprawić, a owszem tylko zepsuć i skrócić; ja sam doświadczam, że lubo litery, kiedy przez nie czytam, są daleko czarniejsze i wyraźniejsze, jednakże z drugiej strony mniejsze cokolwiek. To zostawiam do wyroku Mamuńki. 5) Zkąd się wzięła u mnie kamizelka płócienna, żółta z jakiemiś kwiatkami, której ja wcale nie pamiętam prócz czarnej sukiennej, w której jechałem? 6) Gdzie się podziała

[1]) Pankratiew Sergiusz, podówczas profesor w gmimnazyum na Lesznie. K. B.

pieczątka, która jest w spisie rzeczy, przez Zygmunta pisanym? Nie widziałem jej wcale a list zeszły rublem srebrnym zapieczętować musiałem; byłaby mi dosyć potrzebna?

Mówią koledzy moi, że tu czas bardzo prędko leci, dlatego że od 9 rano do 3 po południu trwają lekcye, na zimę to już dzień cały, bo zaraz o 3 zapalają świece i przy tych aż do 9 w nocy pracować potrzeba. Trudno mi się bardzo przyzwyczaić do obiadu o 3-ej; wystrzegać się potem będę, ażebym ile możności przy świecy mało miał do roboty. Dzień bardzo nagle się zmniejsza, 5. sierpnia dobrze jeszcze było widno o 10-ej w nocy, 20-go już o 8 ciemno. Od miesiąca już mamy jesień, za kilka tygodni, a najwięcej za miesiąc spodziewamy się już zimy. która aż do kwietnia trwać będzie, już nawet bywa chłodno, 13-go widzieliśmy tu burzę, grzmoty i błyskawicę; te ostatnie tak były jasne, że wszelkie wyobrażenie przechodzi; gdybym się nie pokrył prześcieradłem, skarbową i moją kołdrą, kto wie czybym nie oślepł. Błyskawice te zawsze tutaj są tak mocne. Nie ma dnia, żebym do kalendarzyka nie zaglądał, nie liczył miesięcy, tygodni, godzin nawet, które nas jeszcze przedzielają od siebie.

Byłem już dwa razy u Pijarów na Kołomnie, w celu oddania rozpieczetowanego listu „Towian“ i nut p. Leonowicza, ks. Roszowskiemu (który nie był, ani jest rektorem, o czem niech zawiadomią N. Rodzice p. Leonowicza), lecz go nigdy nie zastałem; trzeba będzie znów kiedy powędrować, a jest to kawał okropny. Również nie oddałem jeszcze listu pani Ciemniewskiej do siostry, bo księżna Lubecka siedzi gdzieś na letniem mieszkaniu, później będę miał kłopot w jej znalezieniu. — Jedzenie mamy tu tak pyszne, że się nigdy zadosyć najeść nie możemy; codzień prawie wzdycham do warszawskich potraw i do rosołku, który nie smakował, gdy go często dawali; — a teraz, gdy go wcale nie widzimy, jadłoby się z wielkim apetytem, nawet choćby był i z ryżem, na co się najwięcej krzywiłem. Mało nas złość nie bierze, widząc tych żołnierzy, którzy nam usługują do stołu, człowiek się krzywi na ich potrawy, a ci jak wygłodniali jeszczeby z gardła wydrzeć chcieli, tak to im wszystko smakuje. Pilnują, żeby nikt ani dwóch kawałków mięsa, ani dwóch pierogów i t. p. nie wziął: ale za to nasi biorą się do podstępu i mówią na obiedzie, że biorą dwa, a na kolacyę za to nic nie wezmą; na kolacyi biorą zaś za drugich nieobecnych i t. d.

Jest tu jeden żołnierz Kiryłło, którego za każdą razą jak kto dwa weźmie pierogi, to jakby sztyletem przeszył serce, do upa-

dłego gotówby się kłócić; musi bardzo je lubić. Z obiadu i kolacyi zawsze sobie chowam chleb suchy rano na 10-tą, po obiedzie na podwieczorek, bo do 9-tej trudno wytrzymać; to tylko jedno pożywienie, co mi dosyć smakuje. Masło prawie zawsze śmierdzące, jednem słowem pod tym względem i pod względem odzienia wielka jest dla nas krzywda. Ale bo też tylko na każdego, jak tu mówią, jest rocznie 700 rub. ass. z tych 40 kop. na obiad na osobę, co dosyć nędznie. P. Kozłowski w Warszawie złote góry obiecywał, a tu ani dziesiątej części tego co on mówił; niech mu Tatuńko za sposobnością oświadczy.

Wyglądamy z niecierpliwością munduru, bo teraz za podziw markietanów uchodzimy; skoro tylko który z nas pokaże się na ulicy, wnet rozchodzi się odgłos między motłochem: „Patrzno, patrz, Angliczanin, jaką to on ma czapkę!“ i t. d. Wśród tego podziwu, który wzbudzamy, nie raz mi się zdarzyło, równie jak nam wszystkim, być potrąconym. Przeciwnie dzieje się z umundurowanym: szpada i kapelusz jedna nam poszanowanie powszechne i żołnierze prezentują broń na odwachach, a idący po ulicy za spotkaniem zdejmują czapkę; markietani przechodzą z daleka jakby się lękali. Dlatego też prawie wszyscy, którzy w tym roku ze mną przyjechali, pożyczają mundurów od starszych i tak na miasto wychodzą; ja tylko jeden nie śmiałem o to nikogo prosić. W mundurze mamy wstęp do wszelkich fabryk i rękodzielni rządowych i przypatrywać się im możemy.

10. sierpnia było kilku z naszych w teatrze na Robercie Dyable; mówią, że nasza wystawa i gra aktorów jest daleko wspanialsza i lepsza. Szlesiger [1]) szczęśliwie żyje: cały dzień siedzi na wsi, przyjeżdża do Petersburga w sobotę, w poniedziałek znów odjeżdża, na lekcye; kupił sobie strzelbę i torbę myśliwską, często chodzi na polowanie, bawi się dobrze, późno wraca i ciągle tak miele gębą, że nikomu spać nie da.

Ach, jakby ja tu czytał „Kuryerek Warszawski“. Od 29. lipca ani jednego Nr. nie widziałem; ach, żebym go gdzie mógł zdybać, tobym go z rąk nie wypuścił. — W końcu donoszę, że lubo mało jeszcze widziałem Petersburga — jednakże to, co widziałem, wcale mi się nie podoba. Okolic pięknych prawie nie ma, bo ich na 4 mile w około trzeba szukać; a miasto samo składa się z jednej prawdziwie pięknej ulicy, reszta nie zwróciła nawet mojej

[1]) Schlesiger, znany pedagog, inspektor szkół. K. B.

uwagi. Wszystko co mówiono o jednostajności i równości domów jest nie prawda; zupełnie jak w Warszawie, to jest, jak się zdarzy. W przyszłą Niedzielę wybieram się do Piotropawłowskiej twierdzy, która leży na wyspie nam przeciwległej, gdzie się znajdują groby Cesarzów.

Cały opis mojej podróży i Petersburga gotuję osobno, spodziewam się, że go na wakacye będę mógł zawieść N. Rodzicom do przeczytania; będzie to niby raport do Wyższej Władzy. W końcu Tatunńka, Mamuńkę uściskam po milion razy, również Józiunię, Klementynę, Gmunia, ospowatego chłopaka, pp. Gadomskich, Sarnackich, Babunię, Julkę, Józię, Nepomusię. Niech też do mnie Nowakowski co napisze. Leśkiewicza milion razy przepraszam, żem o nim mimowolnie zapomniał, przeto na przeproszenie do niego bilecik załączam, również i do Cioci. Wszystkie również do mnie pisma chowam i za akta uważam.

Najprzywiązańszy

*Julian* [1]).

(Dokończenie nastąpi).

---

[1]) Do tego listu są dołączone trzy mniejsze, dwa pisane z datą 21. sierpnia, ostatni z datą 26. sierpnia. Wszystkie razem zostały wysłane.

Pierwszy składa się z odpowiedzi na zapytania czynione rodziców. Zwraca w nim uwagę, aby listy adresować po polsku, „gdyż nie można przypuścić, aby ktoś na poczcie po polsku nie umiał“. Podaje nazwisko rektora uniwersytetu, którym był Paweł Aleksiejewicz Zulgin, oraz kuratora okręgu naukowego petersburskiego, ks. Dondukowa-Korsakowa. Nazwiska podinspektorów: Irejsson, Anglik i Wakan, Niemiec. Żądanego Nr. gmachu, w którym mieszkali pensyonarze, nie podaje, bo nie wie, a zresztą gmach ten powszechnie znany, leży naprzeciw giełdy, domu korpusu czyli pułku szlacheckiego i Akademii nauk, na placu nad samą Newą. W tym gmachu mieści się Uniwersytet i Główny zakład pedagogiczny, oraz mieszkanie dla urzędników. Pierwsze piętro zajmuje Biblioteka i Muzeum. Wstęp do Biblioteki za kartkami od profesorów. Namawia dalej ojca, aby postarał się na rok przyszły o poruczenie odwiezienia nowych pensyonarzów. Wspomina z pochwałami o poemaciku: „Dawnuta czyli pierwsze nazwanie Wiłkomirza“, pióra Karola Chrzczonowicza, umieszczonym w polskim petersburskim noworoczniku na rok 1838, wydanym przez ks. Adama Stan. Krasińskiego, późniejszego biskupa wileńskiego. Chrzczonowicz ma w rękopiśmie 7 powieści historycznych i poemat w 12 pieśniach: „Mesyasz“. Po wiadomościach o zdrowiu, o kolegach, donosi o wyjeździe Schouppego do Rygi, zkąd pocztą

uda się do Warszawy, a z niej niedługo wyjeżdża nad Ren dla studyów nad kolejami żelaznemi, gdyż „Cesarz zatwierdził już plan kolei z Warszawy do Olkusza, gdzie znowu zalanych min srebra poszukiwać będą“.

W południe tegoż dnia otrzymał list od rodziny, więc znowu odpowiedzi i dodatkowe wyjaśnienia. Opisuje mundur uniwersytecki: duże guziki żółte z herbem cesarstwa, kolor ciemno-zielony, kołnierz niebieski, płaszcz ciemny, spodnie czarne lub szaraczkowe, wypustki u surduta niebieskie, takież mankiety. Uprasza o dzieło matematyczne Wojciechowskiego, gdyż lubo na wydział filologiczny się zapisuje, pragnie studyować matematykę. Narzeka na zdzierstwo listonoszy — dwa listy odebrane kosztowały 5 złp. 25 gr. Podaje spis stacyj pocztowych z Warszawy do Petersburga. Załącza ukłony Tymoteuszowi Lipińskiemu, Łyszkowskiemu i t. d. „Dan na mojem łóżku piątem z porządku“.

List trzeci dodatkowy, jako dłuższy, podaję w całości.

# KRONIKA LITERACKA.

Dr. Georg Adler, Professor in Berlin. *Die Zukunft der socialen Frage, Jena Gustav Fischer 1901*, str. 75.

Gdyby p. Adler był Polakiem, byłby za motto swych wywodów użył pamiętnych a pełnych młodocianej energii słów filareckiej pieśni:

„Mierz siłę na zamiary
Nie zamiar podług sił".

Wielkie znaczenie iluzyi w życiu społecznem, to zasadnicza bowiem i w znacznym stopniu nowa myśl w tej książce. „Kitem, który łączy poszczególne jednostki dla wspólnego działania, tworząc w ten sposób z masy jednostek jedną, jednolitą całość, tą iluzya, to dążność do ideałow" — powiada autor. Iluzya to jakby uderzenie prądu elektrycznego, łamiącego gnuśność jednostki tak, że jednostka dla celów iluzyą wskazanych zrzeka się spokoju i dobra, ba nawet swej własnej wolności. Jest ona zawsze wprost niezbędną jeśli jakaś nowa idea ma sobie drogę utorować lub jeśli ma nastąpić jakiś znaczny postęp. Zasadniczym żywiołem we wszelkiem ludzkiem wyobrażeniu, jest obok spostrzegania i myślenia, fantazya. W naszej duchowej naturze odgrywa ona rolę bardzo ważną; bo we wszystkich kwestyach, w których rozum nie dostarcza rozwiązania, fantazya przystępuje uzupełniająco i wskazuje kierunek naszemu rozumowi. Oczywiście, że w rzeczywistości, nie można rozdzielić funkcyi rozumu od funkcyi fantazyi, przeciwnie, fantazya zawsze wkracza w zakres rozumu, wskazuje mu kierunek i wzmacnia go. Ponieważ zaś proces w znacznej części odbywa się zupełnie nieświadomie,

wywiera to ten skutek, że wciąż znajdujemy się w złudzeniach co do nas samych, co do przejść, w naszem wnętrzu się odbywających i co do naszego stanowiska wobec świata zewnętrznego czy wobec przyrody.

Iluzye pojawiające się w biegu wieków różny mają wszakże charakter, o ile chodzi o ich skutki — jedne są natury produktywnej, inne natury destruktywnej. Do każdej iluzyi więc należy mieć na uwadze dwa czynniki: raz, że każda iluzya zawiera w sobie pewien moment postępu; powtóre zaś, że skutki dalsze, odblaskowe, różną mogą mieć wartość.

Wszystkie te momenta dadzą się zauważyć w ruchach socyalnych i w socyalizmie. I socyalizm zawiera w sobie pewne czynniki dodatnie. Jest on wprawdzie błędną konstrukcyą piramidy społecznej i zupełnem zapoznaniem natury poszczególnych jednostek, ale w ocenie postulatów politycznych i społecznych mniej jest miarodajną względna prawdziwość tej doktryny iluzyo-mistycznej, jak raczej pozytywny rezultat rozwoju dotyczącej idei. Tu zaś występuje na pierwszy plan przedewszystkiem wielkie historyczne znaczenie nauki socyalistycznej, która pod względem przedmiotowym jest zupełnie chybioną. Doktryna ta była konieczną, aby masy uczynić ruchome dla polepszenia ich doli. We wszystkich krajach cywilizowanych powstały ruchy robotnicze jako zewnętrzny skutek doktryn socyalistycznych, które przyrzekały masom idealny stan odpowiednich dochodów przy małej pracy. Niższe warstwy ludności przeto, wobec ich niskiego stanu intelektualnego i braku wszelkiego wykształcenia politycznego, można było tylko wówczas poruszyć z uspienia, jeśli się okazało państwo socyalne, przynoszące ogólne zbawienie. Trudnoby było znaleźć wśród mas apostołów umiarkowanej reformy społecznej, którąby usunięto tylko część nędzy społecznej, zwłaszcza jak długo masy społeczne pogrążone były w apatyi. Idea państwa socyalistycznego, wywierała przeto na masy rodzaj suggestyi. Rezultatem tej konsolidacyi szerokich mas społecznych, była samopomoc tych mas i daleko idące uwzględnienie interesów klas pracujących. Gdy zaś w ten sposób iluzye mas spowodowały, że ich potrzeby zaspokojono za pomocą utworzenia nowych instytucyi, straciły lub tracą te idee iluzyonistyczne wszelki urok i wszelki wpływ na masy. To dotyczy przedewszystkiem Anglii, gdzie socyalizm rewolucyjny, a nawet wszelki kolektywny zupełnie utracił już grunt pod nogami, ta sama ewolucya da się też spostrzegać i we Francyi i w Niemczech.

A dalsze iluzye, czy dalsze ideały? Cecyl Rhodes powiedział, że mylnym jest pogląd, jakoby okupacya obcych części świata odbywała się wyłącznie na korzyść klas wyższych. Polityka ma bowiem na oku korzyść mas. Bogaci mogą ulokować swe kapitały we wszystkich krajach,

ale masy nie mają pieniędzy, któreby mogły ulokować w przedsiębiorstwach spekulacyjnych, jak miny złota i srebra, wskutek tego zaś obce kraje mają dla nich tylko o tyle znaczenia, o ile znajdują tam odbyt dla swojej pracy, t. j. dla wytworów przemysłu narodowego.

Autor zgadza się zasadniczo z tym poglądem. I tu widzi też podstawę dla przyszłych ideałów czy iluzyi. Wspólny interes w rozszerzeniu narodowo-gospodarczem jednoczy robotników i przedsiębiorców wspólnym węzłem. Ewolucya w tym kierunku już się rozpoczęła w Anglii. Imperyalizm obejmuje dziś w Anglii wszystkie warstwy prawie. Robotnicy angielscy, wykształcensi, dobrze płatni, zrozumieli bowiem, że ich stanowisko socyalne, tak korzystne obecnie, idzie ręka w rękę z rozwojem przemysłu angielskiego, więc wraz z rozwojem politycznym i kapitalistycznym. Chętnie zgadzają się one na nowe zbrojenia i na nowe pancerniki, aby potem wymusić wyższe płace na kapitalistach w ten sposób wzmocnionych.

Ewolucya podobna da się i w Niemczech zauważyć. Autor podaje na dowód swego twierdzenia głos jednego z przewódców stronnictwa socyalno-demokratycznego. Ale są już i inne oznaki, pominięte przez autora a wskazujące, że te ideały solidarności odzywają się także w polityce realnej. Dość przypomnieć w tym względzie głośną swego czasu sprawę podatku od magazynów handlowych (Waarenhaussteuer), przeciw któremu remonstrowali bardzo stanowczo tak właściciele magazynów, jak i osoby, zatrudnione w tych magazynach. A choć w tej sprawie chodziło o antytezę do drobnych przedsiębiorstw, to przecież wypadek ten może być przykładem możliwości wspólnych ideałów czy iluzyi robotników i przedsiębiorców.

*Dr. Zygmunt Gargas.*

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

# KORESPONDENCYA
# JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

## Do Pana Jana Kożmiana[1]).

*Fontainebleau, 30. września 1850.*

Kochany Janie!

Powracam z mego stepu. Senliwie i długo wpatrywałem się w łańcuch mogił tułaczów polskich, co jak łańcuch żórawi, wieszczy coś po nad światem bożym.

„To serce w takiem drzeniu,
„Jakby kto kir przeciągnął w śpiącego ocknieniu".

I na rozstrzeniach myśli mojej niejasno jakoś po za tym kirem. Na mogilniku tam wielkim, zatknąć mamy krzyż i dla śp. Celińskiego.

Adam Celiński przeżył zaledwie poranek swój, dwadzieścia siedm lat wieku i odumarł nas dawno, o dawno! Świątobliwy spółtułacz nasz, Janie, ongi druh wieszczy i rowieśnik twój, przeminął dla świata jako cień, otarłszy się oń jeno mimochodem. Po dziś dzień ze zbudowaniem i w rozczuleniu mówimy o nim pomiędzy sobą: z tem wszystkiem nieznajomy on jest całkiem powszechności polskiej. Doprawdy po leciech niełacno to zagajać rzecz o nieboszczykach; wstrętny bo im wszelki gwar zakłócający błogosławioną ciszę, w której wysypiają swój sen. Po Celińskim wszakże u mogiły, na cudzej tu ziemi kilka piórek pozostało.

[1]) Oryginał tego listu nie został odszukany. Został on wysłany wraz z rękopisem poezyi Adama Celińskiego, do których miał służyć za wstęp. Ksiądz Smolikowski, w I. tomie dzieła p. t. „Historya Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego" wspomina o tym liście.

Piórka te wypłowiały nieco w niepogodzie naszych czasów; a zronione też były na obrzasku jeszcze dnia, za nim ptak skąpał się w słońcu i porósł w bielsze, pozłocistsze.

Adam Celiński tak dawno i tak rzewnie pożegnany, a dotąd wcale nieuczczony, pomimo, że tylu liczył piśmiennych druhów. Dziwnać to, Janie! a jeszcze dziwniejsza dola jego poetyckiej puściny. Adam, jako wiesz, pod koniec życia zanurzon całkiem w Bogu, niedbał już o utwory swej młodości. Przyjaciele znowu wpatrzeni w jasny, chrześciański skon brata, olśnęli na razie na zalety świeckich jego pieśni. Aniołowie uwili mu wieniec w niebie, to wieniec poetycki na mało przydatny, i owszem tylko przydatkowy. „Chwała ziemska, jako kwiat trawy". Zdaje się, że opatrznie poezye Celińskiego zostawały w cieniu i niejako w zakopaniu. Nie ujmuje to bynajmniej tobie, Janie, ani zasługi, ani chluby, żeś je w skrzętności obywatelskiej i braterskiej troscе swojej odgrzebał i podajesz do druku.

Radbym, kochany Janie, zapoznać publiczność polską z młodym naszym Adamem Celińskim; radbym przekazać na pokolenia miłość i uwielbienie, jakie statecznie chowamy dlań w sercach. Owóż biedzę się z myślą i na darmo: niepodobna to prawie dziś, kiedy ślad pielgrzymki jego ziemskiej mierzchnie już nawet z pamięci bliższych przyjaciół, a poezya, którą na jaśnię wynosim z omrocza, odźwierciadla zaledwie, jak na falach w rozkołysaniu, niektóre co wyrazistsze rysy znajomej nam dobrze fizyognomii.

Myśmy, Janie, widzieli Celińskiego piękniejszego. Myśmy go widzieli w piękności duchowej, w opromienieniu łaski pańskiej, która ściera na obliczu człowieczem, co mętne tam i smętne po ułomnościach i usterkach młodszych lat. Adam Celiński, to przypodobany sługa boży. Między nieboszczykami Emigracyi ozdobnymi różną chwałą i różną zasługą, Adam Celiński z Bogdanem Jańskim, z Kazimierzem Brodzińskim, z Ojcem Floryanem Topolskim, ze Stefanem Witwickim i z wielu jeszcze rodakami, cichszej sławy, a równej im czystości, tworzą zaprawdę, jakoby osobny wybrakowany poczet nasz w niebie. Bohaterowie to pańskiego krzyża i krzyżowej legiendy emigranckiej. Niegdyś bogomodlcy i pokutnicy na ziemi, a dziś duchowie nieskazitelni, opiekujący się nami. W modlitwach za Polską pośredniczą nam codzień, stoją tam przed Panem wypróbowani, to wieńconośni. Żal się Boże pospolitować te czcigodne imiona! Żal się Boże poniewierać tem w książkowych rozprawach, co ma żyć w ustnem podaniu między pobożną bracią. Owoż skrupuł dla emi-

granckiego biografa. Toż nie piszę biografii Celińskiego, ale poprostu listową jeno wzmiankę o przedskonnych jego chwilach.

Zatocz no, Janie, myślą daleko wstecz, w on dawno miniony porewolucyjny, powojenny czas, kiedy to zaprzyjaźniłeś się z Celińskim. Pamiętasz zapewnie, jako nam wtedy młodszym ciężył srodze kostur tułacki, zanimeśmy go przezwali pielgrzymskim, zawiązując się jakoby w osobny stan. „Ofiarować się nam, a wprzódy uświęcić się potrzeba!“ — najpierwszy wykrzyknął Bogdan Jański, pałający już wskróś duchem Bożym. Wieszczowie i niewieszczowie, dłoń w dłoni, kilkunastu nas rozmodlonych, rozśpiewanych w duszy, okoliło wnet Jańskiego żywym wiankiem. Toż jęliśmy się wespół prząść z astralnego rąbka Wiary na przepaskę polską, na tęczę nowego przymierza z Bogiem: w niewysłowionej miłości i w niewysłowionem spodziewaniu się czegoś stąd okazałego. Błogosławioneż to zaranie siejby Jańskiego! Siejby, która zaiste i dotąd nie całkiem zmarniała, bo wykłół się oto z niej Zakon Zmartwychwstańców, okwicie już owocujący Bogu i Polsce. Bogdan Jański, jakośmy go zwali między sobą łowca dusz dla Chrystusa Pana, ułowił i Adama Celińskiego na bruku kędyś paryskim, a ułowił na dobie życia najniebezpieczniejszej, kiedy namiętnie grą się parał. Zgorzkniało mu było w sercu i zmętniało w myśli; zamróź, co zwarzyła jego nadzieje i narodowe i osobiste, chuchnęła już chłodem i do duszy. Jański po swojemu przytulił biedaka, aż pierś przy piersi rozgrzał się, rozgorzał w miłości bożej. Przyobleczonemu zaraz w szatę godową pańską i opatrzonemu w lampada vitae, Jański nakazał ustawiczną czujność i ofiarę. Adam Celiński teraz dopiero ze świata marzeń zawrócił w świat rzeczywisty. Miasto dumnych a bezcelnych poetyckich bujań, rozmiłował się w prawdzie krzyża, która jest oraz bohaterstwem. Toż zapragnął póki tchu płużyć w jarzmie Chrystusowem i śpiewać odtąd pokorne jeno dumki bożego kmiecia. Celiński postanowił opuścić wnet Paryż, przypominający mu ciągle jego upadek. W myśl Jańskiemu, a na wypróbowanie się w statku i za pokutny nowicyat swój, podjął się poselstwa do Zakładów polskich we Francyi, ze słowem chrześciańkiej nowiny. Trudne zaiste poselstwo, ale ochotne i zgoła nie nad jego siły. Posiadał dużo właściwych do tego przymiotów, że mało kto byłby sposobniejszy: umysł czynny a przytomny, tęgą wolę, serce gorące i świetną wymowę zawżdy na pogotowiu. Sama już postawa męska, wojacka, toż wzrok śmiały, pewny z dużych, słodkich, niebieskich oczu niewoliły ku niemu

bracią dobrej woli, że mówiliśmy o nim: Nataniel to nasz, w którym niema zdrady. Celiński miły mi z Warszawy i ze Lwowa, dziś przemieniony i pobratany w Bogu, rzucił się pamiętam z czułością w objęcie moje na pożegnanie, niestety, na ostatnie pożegnanie! Pieszo, bez mieszka i tajstry, puścił się na daleką wyprawę, niezłomnie, po apostolsku polegając na Opatrzności bożej. Wierzył w cuda, to doznał wnet cudów. Zwykle po drodze wstępował do kościołów i kaplic. Tu i ówdzie siostry Miłosierdza świętym swoim zmysłem przenikały myśl poważną i potrzeby młodziutkiego brata, modlącego się milczkiem na ustroniu. Pod Orleanem bezsilny z głodu, w błocie, na gościńcu, wygrzebał kosturem pięciofrankówkę. Doprawdy, Janie, strach dotknąć tej przędzy legendowej, w którą się wtedy osnuł nasz Celiński, bo cieniuchna, lekka odrywa się za podmuchem i leci kędyś w nieskończoność.

Po zakładach, jako pamiętasz, wrzała stara waśń, wszczęta ongi nad Wisłą, a teraz w boleściach tułackich rozgorzała do zapamiętałości niemal owej waśni żydowskiej na przedświcie Chrześcijaństwa. Owocześni brukowi politykowcy paryscy, dmuchaliśmy, Boże odpuść, z dużych miechów na ten pożar pogańskiego całopalenia. Pośrodkiem tak pojątrzonych i nienawidzących się wzajem to Samarytańczyków, to Herodianów, przechadzać się musiał prawy Izrael, z prawą swoją miłością, którą tak pałał otchnąć nieszczęśliwych braci. W Bordeaux, w Agen i po różnych miastach różnie go przyjmowali rodacy. Po dziennikach francuskich nie było jeszcze wtedy mowy o Jezuitach, a i sam Celiński, oprócz Piotra Skargi nie znał żadnego; to niewiedziano czemu przypisać ten jego fanatyzm, że chodzi do kościoła, że spowiada się, że przystępuje do św. Komunii. Co zacz jest? Czyim on wysłańcem? badano wszędzie i jaknajciekawiej. „Przychodzę, powtarza Celiński, przychodzę od waszych bogobojnych praojców, których Missyę chrześciańską radzi nieradzi spełnić musim, albo zginie Polska, zginie tem okroniej, że przez samobójstwo“. Na zborach zakładowych, to pojedyńczo w cztery oczy, kazał zawsze rodakom „o jedynym i najskuteczniejszym sposobie służenia Ojczyźnie, a to przez pojednanie się najprzód między sobą, a potem z Bogiem i z Kościołem“. Niewyczerpany był i niezbity na tym swoim pewniku; a wciąż nowy, trafny, rozmaity, nieporównany zwłaszcza w przywodzeniu przezroczystych apologów, to przykładów z dziejów krajowych. Spokój i pogoda w jego twarzy mieszały nieraz i najzaciętszych przeciwników, że uważnie i nie bez rozczulenia słuchali jego mów bu-

chających zapałem patryotycznym i prorockim. Tu i ówdzie udało mu się nawet przekonać i nawrócić całe gromady, nieszczęściem na krótko, bo duch czasu pędził gdzieindziej, pędził zawżdy w ciemnik swój namiętności politycznych. Od rana do wieczora i codzień, przez wiele dni i przez wiele miesięcy, musiał tak wołać na puszczy i spełniać po cichu swój kielich jednych i tych samych gorżkości. Był to trud trudów. Co przebolał w duszy? ile wypotrzebował miłości i serdecznej wymowy? Wiesz to, Janie, lepiej niż ja, boś był naocznym świadkiem i poniekąd uczestnikiem działań jego w Tuluzie. Lichy zaiste ostał się nam plon po tych znojach Celińskiego. Z tem wszystkiem azaż mało to ze swej Lampada Vitae, udzielił zarzewia tobie, T... i kilku jeszcze rodakom, co podtrzymujecie je dotąd niezgasłe? Azaż mało, że sam w codziennym, chrześciańskim boju zmężniał, wyszlachetniał i wyrósł nam na dużego zapaśnika? Plon lichy, ale wysługa wolna, chętna, to znaczna przed Panem i tem znaczniejsza, że niezraził się niczem i nigdy. Owszem, po niepowodzeniu lub niemiłych przygodach w jednym zakładzie, wędrował do drugiego wesoluchny, nie chowając w sercu ani żalu, ani urazy do nikogo, przypisując raczej to nieudolności, to starym grzechem każdy swój zawód.

Kmieć on Boży nie zmarnował snać swego dnia, kiedy tak rychle miał wziąć zapłatę. Tłumienie się głosu i kłócie w piersiach ostrzegły Celińskiego, że twarda służba i dobrowolny jego nowicyat skończył się oto dla emigracyi, hej skończył się i dla ziemi, ale o tem wcale nie wiedział. Zatęsknił teraz gorąco do stanu kapłańskiego; bo Jański w ludnym domku swym na Montparnasse, wybrakowywał już bracię na Lewitów Pana. Na wypoczynek po znużeniu, a zarazem na skupienie się w duchu i na przygotowanie się do Seminaryum, zawitał Celiński do ustronnego Lunel w Prowancyi. Między kościołem i szkółką dzieci, w której dozorował, w modlitwie, w pracy, w ćwiczeniach pobożnych, ubogi, świątobliwy tułacz przeżył w ciszy wiele miesięcy, budując chrześcian miejscowych, zarabiając na imię u nich świętego Polaka. W Lunel pozyskał od Pana wielki dar pobożnych i pokutnych łez, który najwyższem jest szczęściem ziemskiem, bo daje przedsmak Nieba. Kiedy niekiedy i tu jeszcze nagabały Celińskiego zmowy ze świata poetycko-romansowe, a nagabały tem natarczywiej, że stał naprzeciw nim pancerny: owoż w imię Pańskie przedzierżgnął je w dobre duchy swe, że posługowały mu, jako lwy samotnikom na Tebaidzie. Ustawicznie we dnie i nocy dumał o Bogu i o Polsce, jakoby im służyć mógł najlepiej na resztę

żywota. Okazały zasób tych dumań lunelskich zamierzchnął nieurzeczywistniony, bo niepodobny zgoła do urzeczywistnienia po śmierci Celińskiego. Skupił był wszystką moc swoją do jednego czynu i w nim się rozpłomienił i o nim śnił ciągle. Powziął był myśl Zakonu Rycerskiego, istotnie myśl natchnioną i przeważnego znaczenia dla Polski. Rozesłał plan swój w różne strony, nagląc do zaciągu braci. Pisał i do mnie, zamieszkującego podówczas prowanckie Endoume, ale na razie tułającego się po Włoszech. Za powrotem z podróży, przy odczytywaniu ognistych słów Celińskiego, nie uczułem u siebie ani odpowiedniego natchnienia, ani dostatecznej siły do początkowania w rzeczy, którą tylko sam twórca planu mógłby wykonywać. Nie przeszło mi ani przez głowę, że może mu zabraknąć do tego czasu; taki bo stał przed oczyma młodziutki, hartowny, dziarski. Nie wiedziałem zgoła, że godziny Celińskiego były już porachowane. Tymczasem z dnia na dzień wzmagała się jego choroba piersiowa: po widomu więdnął, wątlał na ciele. Życzliwi Lunelczycy oblegli go z prośbami, aby dla ratowania zdrowia, udał się do coprędzej do rozgłośnego Montpellier. Opierał się długo, a kiedy w końcu usłuchał ich, gromadnie i ze szlochami odprowadzili, aż opodal za miasto, darząc na drogę sierotę tułacza i prosząc o błogosławieństwo.

W Montpellier rozpoczęło się na prawdę konanie Celińskiego: konanie zwyczajne suchotnikom, bezbolesne, powolne przez długich kilka miesięcy. Stan to przykry i tem przykrzejszy, że z jutra na jutro przeciąga się tylko bez końca, zwodną wciąż nadzieją ratunku. Rady sławnych lekarzy nie niosły bynajmniej ulgi choremu. Przeniesiony do szpitala, urządził się tu na nowej gościnie po swojemu, co najbliżej kaplicy. Uczęszczał niemal co dzień na mszę, do św. Sakramentów, aby stać zawżdy w pogotowiu na skinienie Pańskie. Zresztą po dawnemu cierpliwy, słodki, rozmowny o Bogu i Polsce, budował naokoło chorych i zdrowych. Nawiedzającym rodakom uprzejmie udzielał zbawiennych rad, póki starczy bywało głosu w piersi. Siostry Miłosierdzia pielęgnowały go jak rodzonego swego, rozczulone w duchu, nad widoczną nad nim łaską Bożą. Doktor Terlecki, z którym łączyły Celińskiego dawne stosunki z Krzemieńca i z Krakowa, a najściślej, świeże zespolenie się w Bogu, stał wciąż na zawołanie i ku służbie brata, wiedząc i widząc, że dogorywa i że lada dzień skończy mękę swą. Z tem wszystkiem Celiński wierzył jeszcze mocno w wyzdrowienie swoje. Raz tylko po zadumaniu się wymówił z westchnieniem: „A jednak, Hipolicie, przykroby umierać tak młodo i tak daleko od Polski“.

Jak dalece trwał w tej ułudzie ozdrowienia, wiesz, Janie, dobrze, kiedyś mu przysłał płaszcz twój, wybierającemu się do ciebie do Tuluzy. Ułuda zresztą pospólna wszystkim suchotnikom! Celiński cieszył się nią ledwie kilka dni. Nagle osłabł, że nie mógł wstać z łóżka. Odrazu zrozumiał stan swój i przyjął go z pokornem i radośnem poddaniem się woli Bożej. Prosił sam spowiednika o św. Sakrament Ostatniego Namaszczenia, który odebrał uroczyście a najprzytomniej, w niesłychanie rzewnej skrusze i podniesieniu ducha. Cały tydzień jeszcze został w łóżku. Oddech się wciąż skracał i duch już odrywał się od ciała, to i myśl odrywała się od ziemi. Improwizował przecież swoje po cichu... coś o Bogu i Polsce... improwizował swój łabędzi hymn ku Panu... hymn świętej, górnej i prorockiej treści, a w słowach już niesklejnych, rozwiewnych, że były nie do spamiętania dla słuchaczów roztargnionych sprawami tego świata. W święto polskie Niepokalanego Poczęcia Panny Maryi po spowiedzi i po takiej przydługiej improwizacyi, znużony prosił o czytanie z nabożnych ksiąg i potem w szarej wieczornej godzinie, przysłuchując się na pozór cicho gwarzącym przyjaciołom, zasnął... niespostrzeżenie, bez jęku i konwulsyi, zasnął na śmierć. Gdzie tam! przecknął się ze snu na żywot nieśmiertelny w Panu i Bogu swoim. Terlecki, Janie, ma osobliwe szczęście! Zamknął oto po bratersku oczy Celińskiemu, jak później po kapłańsku zamknął takoż oczy Topolskiemu i Witwickiemu. Celiński umarł opodal od Jańskiego i na długo przed wyświęceniem się księży Zmartwychwstańców, ale z dawien dawna był sprzyjaźniony ze wszystkimi; owszem spółdziałał z nimi w tak ścisłej związce, że te przedskonne jego dzieje stanowią jakoby osobny rozdział domowej ich kroniki, która wiemy, że się obecnie pisze. Niebawem tedy, Janie i świeckie nasze zachody o pochwałę Celińskiemu i ten mój rozwlekły list o nim ostaną się nieprzydatne na nic. Wierzaj mi, że się cieszę tem zawczasu.

## II.

Przydługo, kochany Janie, ale naumyślnie rozpisałem się o dwóch ostatnich leciech pielgrzymki ziemskiej Celińskiego, bo rodzajne, pobłogosławione, bo w nich tają się niejako waga, miara i całkowity porachunek człowieka. Co kiełkowało i zieleniło się w inszych dniach, teraz wydało w pełni kwiat swój i owoc. Okres ten życia Celińskiego arcypodniosły, to tem samem naj-

wydatniejszy i wystający. Dosięgnął oto wierzchołka gory swej i na nim pozostał, owiniony w rąbek fiołkowy oddali, w rąbek wiejący nam wciąż do oczu.

Skąpiej mamy szczegółów biograficznych o Celińskim z inszych lat; a i te jakie mamy, nieciekawe, pospólne całemu pokoleniu, z którem rósł, uczył się i z którem porwał za oręż w roku Rewolucyi. I nic w tem dziwnego. Zawód Celińskiego publiczny i prywatny, krótki, boleśny. Praca, nędza, tułactwo aż do grobu, taż sama opłakana dola jego, co i tysiąca rówieśników. Co wrzało w młodem sercu i w młodej głowie, przeźroczy się w pieśni. Jakaś chwilka cudów i zachwytu, kilka uczuć, kilka wieszczych snów, to widzeń rozkosznych, a o których sam śpiewał, że „jak błyskawice,

Zabłysną i ciemno na chmurach się rodzą,
Skradzione niebiosom z ziemią się niegodzą".

Urozmaiciły przecież, umyliły i jemu powszedni żywot. Pieśń, mimo wiedzy i mimo woli piewcy jest najlepszą jego autobiografią.

Z tem wszystkiem, Janie, czytelnikom poezyi Celińskiego musimy wskazać wytyczne punkta w czasie i przestrzeni, pomiędzy któremi przechadzał się poeta. Posłuży nam do tego jak najwyśmienieciej wierzytelny dokument, niejako wyciąg z księgi naszej Tułactwa, a który właśnie mam pod ręką. Nieoceniony ten dokument, pod względem zwłaszcza swego podpisu. Między papierami po Jańskim, znalazła się notka jego własnoręczna o Celińskim, niby treść, surowa miazga biografii, którą snać zamierzał napisać.

Przepisuję z notatki Jańskiego:

„Adam Celiński urodził się 1809 r. w miesiącu grudniu, w powiecie Wiłkomierskim, niedaleko Włodawy, nad Bugiem, o 3 mile od jeziora Świtezi. Ojciec odumarł go jeszcze ośmioletniego. Adam, w jakiś tydzień po śmierci miał jego widzenie w bieli; w nocy, kiedy się przebudził, ujrzał go stojącego z założonemi rękoma nad familią, która obok z nim spała. Matka żyje na wioseczce o 10 chłopach. Miał dwie siostry, z których starsza i starsza od niego, zamężna. Oddany był Adam na nauki, naprzód do Orchówka w Podlaskiem, do jakiegoś kaznodziei Augustynów, u którego mieszkał w klasztorze. Tam odbył pierwszą spowiedź. Mimo wrażeń ku pobożności i stanowi duchownemu, odtąd już czuł w sobie chęć do żołnierki. Później chodził do szkół w Brześciu Litewskim, jeszcze za Bazylianów. Następnie przeszedł do Krzemieńca. Wcześnie był

dozorcą dzieci, jednej nawet z nim klasy. Żył tam w przyjaźni ścisłej z Wysockim (dzisiejszym jenerałem). Dumińskim i Niwińskim. Ze szczerem uwielbieniem wspominał profesora Korzeniowskiego. W r. 1829 skończył szkoły. Trafiało mu się wówczas miejsce nauczyciela u Orłowskich, ale słowo dane przyjaciołom, że pojedzie do Warszawy, skłoniło go do nieprzyjęcia korzystnych dla siebie propozycyi. Wyjeżdżając z Krzemieńca szczególnie smutnych doznawał uczuć; kiedy wyszedł z rana dla obejrzenia gór, słońce mu gorzko wschodziło; wyjechawszy, ulewa. Owóż zła wróżba! Oświadczył to odprowadzającym go przyjaciołom. — Przybywszy do Warszawy na końcu r. 1829 Adamus de Coelis (sic) chodził do Uniwersytetu jako amator; dawał także lekcye Bielińskiemu, wnukowi Prezesa Sądu Sejmowego, zarekomendowany podobno przez Brodzińskiego. W r. 1830 wszedł na Uniwersytet. Niemając utrzymania, został stypendystą w Instytucie Pedagogicznym i zapisał się na filologię. Wysocki był tam już od roku na matematyce. Wkrótce zachorował na oczy. Podczas nocy 29. listopada był nawet dla słabości w łóżku. Na wieść o rewolucyi, klękli najprzód z Wysockim z modlitwą do Boga. Ale Adam nie przyjął tej nowiny z entuzyazmem, z jakim jej pragnął: co uważał już za wróżbę dalszych i swoich i narodowych nieszczęść i tego, że w czasie całej rewolucyi, ani razu nie był w żadnej bitwie. Celiński należał z początku do Gwardyi Honorowej. Potem wszedł do Legii Litewsko-Wołyńskiej. Trudy ćwiczeń obozowych polepszyły jego zdrowie; ale podczas bitwy Grochowskiej pułk jego jeszcze nie był uformowany. Kiedy Dwernicki wyszedł już na Wołyń, Celiński z Sewrukiem podali prośbę do Skrzyneckiego, żeby im pozwolił udać się za nim. Umiński, który prośbę ich przyjmował, podpisał najprzód dobrze, ale przyczytawszy, że chcą jechać z rynsztunkiem wojennym, rozgniewał się, nawymyślał im za donkiszoctwo i rozdarł prośbę. Później, kiedy Dwernicki wszedł do Galicyi, podali prośbę do Czartoryskiego o missyę na Wołyń, wystawiając potrzebę i wczesność zrobienia tam poruszenia. Otrzymali nominacye na oficerów i list do Chrzanowskiego do Zamościa. Tam przyjęci najprzód dobrze. Chrzanowski wydał nawet rozkaz do Dobieckiego, żeby przysłał dla nich kilkadziesiąt ludzi: ale w parę dni rozkaz ten odwołał, snać na czyjąś denuncyacyę, że młodziki. Celiński wszedł teraz do strzelców celnych Grotusa. Z nimi stał w okolicach Tomaszowa, kiedy znów przeszła bitwa pod Ostrołęką. Za powrotem Chrzanowskiego pod Warszawę, Celiński podał prośbę o wejście do 4-go pułku jako prosty żołnierz

z warunkiem, żeby był postawiony na pierwszą linię bojową. Zadziwiony tem jenerał Pawłowski pozwala. Idzie Celiński na musztrę w początkach sierpnia, pierwszego zaraz dnia rzuca się na niego jakiś pies i kąsa w ramię. Nowe omen! Zły duch wróży nieszczęście, lub gniewa się za czyn dobry i wiele nadal mający znaczyć. NB. Celiński został z oficera prostym żołnierzem, dla tego, że Skrzynecki powiedział: „Buława w tornistrze!“ — 15. sierpnia poszedł Celiński do lazaretu i tam już został aż do wzięcia Warszawy. Wyszedłszy z wojskiem, padał na ziemię ze słabości. W Płocku widząc wojsko rozproszone, zdemoralizowane, jak podłe owady rozłażące się za żerem przy grobie Krzywoustego, poraz pierwszy myśl bezbożna, ateusz. Na przedstawienie jakiegoś Podolaka, że Karol Różycki bije się w górach Śto-Krzyskich, jadą ku niemu z Walentym Sewrukiem. Złapani przez kilku Kozaków, dowodzonych przez jakiegoś z Podola, wyłgali się i puszczeni na swobodę. Celiński wchodzi do Galicyi przy Krzeszowicach (bo w Krakowie Rydygier). Na końcu r. 1831 udał się do Lwowa. Romans z P... i dziwactwa. W 1832 widzi się nad granicą z matką i dostaje od niej błogosławieństwo. W listopadzie t. r. odjeżdża do Krakowa. Przytułek u Terleckich. (Sen w Krakowie — drapie się na skałę, z wierzcha zepchnięty). W styczniu 1833 poznaje się z L. Królikowskim, dostaje od niego biblię. Jedzie do Francyi. Na granicy Bawaryi spotyka emissaryuszów. Przeciwny wyprawie odradza im. Przybywa do Szwajcaryi. Straciwszy pieniądze, okradziony z pamiątek od matki, krzyżyka i obrazka Matki Boskiej. Siedzi pod Zurich przez sześć miesięcy. Przyjęty do węglarstwa p. Cyryla Grodeckiego, bierze imię Epaminondasa, (bo Tell już był przez drugich zabrany). W końcu 1833 r. przybywa do Paryża, z rekomendacyą do jenerała Fabvier. Choroba. Nędza. Kronika. (30 srebrników gra). W listopadzie 1834 r. zaczyna bywać u mnie rue de Verneuil, ciągle trwając w niedobrych nałogach. Zastawy — pożyczki. 11. stycznia 1835 spowiedź. Nie całkiem jeszcze poprawiony. 1. marca jedzie do Orleanu. Po kilkunastu dniach wraca do mnie. Zerwanie z kroniką. 15. kwietnia przenosiny na rue de Surène“.

Tyle, kochany Janie, w notce Jańskiego. Urwał właśnie na okresie życia Celińskiego, który szeroko powyżej opisałem. Nie odżałowana to szkoda! bo tak poważny i poważany między nami mąż, najgodniejszy był wydać sąd o przyjacielu swoim wzorowym, zarówno o chrześcianinie i Polaku. Dopełniam reszty dat biograficznych wedle korespondencyi nieboszczyka, toż wedle przypo-

mnień i moich własnych i H. T... Pod koniec lata w r. 1835 Celiński opuścił Paryż, głównie w zamiarze propagandy religijnej, a zarazem dla połączenia się z jednym z druhów młodości. Okrągły blisko rok tułał się po Francyi od Zakładu do Zakładu polskiego; zanim na końcu osiadł w Lunel przy Przecławskim. Nieznośna nędza doskwierać mu teraz poczęła. Pobożni przyjaciele francuzcy, Renard i Chabon, (który potem 40-letni wszedł do seminaryum) wystarali się dlań o miejsce maitre d'étude w Collegium miejscowem. Terlecki często go nawiedzał z Montpellier i przesiadywał po całych tygodniach, budując się rozmową i przykładem, aż nawrócił się i postanowił zostać księdzem. W sierpniu 1837 dla zdeklarowanych suchot musiał opuścić Lunel. W Montpellier od przyjazdu swego aż do śmierci zostawał niemal ciągle w szpitalu. Umarł w dzień Niepokalanego Poczęcia Panny Maryi, 8. grudnia 1835 roku.

## III.

O poezyi ś. p. Celińskiego, niema co, kochany Janie, rozpościerać się z pochwałami. Poezya sama się chwali; chwali się samorodną krasą i wonią swoją, jako kwiecie boże. Czytająca przytem publiczność polska, posiada od dawna strojne uczucie i ograny słuch po wielkich wieszczach swoich, to po dziś dzień rozumowa estetyka niewiele u niej popłaca.

Celiński wierszował od najrańszych lat. Jeszcze w Krzemieńcu pozyskał od rówieśników przydomek Poety. Dużo się uczył; dużo czytał; a najochotniej pogrążał się w d u m a n i e, w on chaotyczny świat poetyckich tworzydeł. Od dziecka cudowne przeczucia, to usposobienia mistyczne swego ducha, uważał za pierwotną jakąś wiedzę: miewał prześliczne sny i widzenia, w które wierzył; które usiłował wcielić. Toż przylgnął od razu i namiętnie do spółczesnych romantyków; a Bajrona i Mickiewicza niemal bałwochwalił. Rodzima polska poezja, podonczas na dobie swego rozkwitnienia, upajała go najwyższą ojczystą chlubą. Podania ludu w niej, wierzenia ludu, czarodziejstwo i barw i kształtów i rytmu, wprawiały go, pamiętam, w niezrównany zapał: posiadał bo równą niemal dozę exaltacyi co i ś. p. Maurycy Mochnacki. Na poezyi ówczesnej Celińskiego niejako piętnowały się ciągle te różnorodne i różnowzore wpływy. Stropiły go dopiero z cudzych dróg klęski publiczne i nieszczęśliwy romans, które wsiękły teraz w kręgi jego serca. Wstrząśniony w duchu, poczuł się wolny i samodzielny.

W ogólności poezya Celińskiego zawsze jest męska, podniosła, treści patryotycznej to religijnej. Bóg i Ojczyzna, owa Jeruzalem, Ziemia obiecana wiernym Polakom, miotają jego uczuciem i pobudzają do pieśni. Niepospolity on liryk, ale często niedostatniego tchu, bo rodowitą wiarę, mącą jeszcze wciąż mniemania ze świata. Strzelisty, wysokiego polotu w pojedyńczych wrotkach, chromieje zaraz w przydłuższych kawałkach; złoty kruszec poetycki zastępuje bylejaką miką krasomowstwa. Nuży osobliwie czytelnika wtedy, kiedy w rozległych wierszach, sili się na wytłómaczenie cudowności dziejów polskich, cudowności wyraźnie dlań zapieczętowanej. Usterki te jednak, Celiński okupuje wielkiemi pięknościami: na każdej prawie stronicy kładzie przycisk swój n a m a s z c z e ń c a, to jest rzuca pełną garścią s ł o w a, c o ż y j ą i m y ś l i, c o g o r e j ą. Takie słowa i myśli po wieszczach są nieskazitelne: wiekują tam w Chramie literatury.

Między utworami poetyckimi Celińskiego, stoi na czele p i ę ć H y m n ó w, najszczerszego i najszerszego natchnienia. Coś hebrajskiego wieje w nich: taka czystość, moc, surowość w duchu, treści i rytmie. Czuć, że je poeta nasz improwizował w modlitwie i na modlitwę. Podobno, że więcej takich Hymnów napisał: dwa ostatnie znalazłem w imionniku Aleksandra Przeździeckiego.

Najprzestronniejszy co do rozmiaru swego i co do daty najdawniejszy, jest poemacik p. t. Ś p i e w Ł a b ę d z i a. Widocznie opisuje tu Celiński własne dzieje. Osnowa prosta, a nawet pospolita. Kilka luźnych fragmentów lirycznych, niepowiązanych żadną akcyą, jednakże doskonale do siebie przystających. Dużo ułomności, ale dużo i zalet. Urywek p. t. S e n, pod każdym względem prześliczna fantazya. Jakże tu po mistrzowsku obrazuje poeta swoje sny i widzenia! Ile wdzięku i słodkości w T r z e c h M a r y a c h! Ile potem zgrozy w S z a t a n i e i jego p o k u s a c h! A ówże w 3-ciej części rozhowor młodzieńca ze starcem? fałsz namiętny, szermujący ze spokojną prawdą? Niewątpliwie, najpiękniejsze pod względem artystowskim wiersze Celińskiego, mieszczą się właśnie w tym skądinąd małoznaczącym poemaciku.

Sam wstydzę się, kochany Janie, tych krytycznych pospolitości o zaletach i wadach Celińskiego. Coś innego święci się w jego poezyi. W poezyi tej rozpostarł się bardzo i góruje pierwiastek w y ż s z y, m i s t y c z n y, niby jasność jakaś z wewnątrz. Przeświecają nią j u ż H y m n y, K o ś c i u s z k o i T o p i e l c e, a w pełni blasku występują N a p o l e o n B o n a p a r t e i R o z u m Polski. Są to W i e s z c z b y w całkowitem znaczeniu tego wyrazu.

Talent nawet poetycki Celińskiego stężał w nich, stwardniał na dyament. Wysłowienie jędrne, ścisłe i że tak powiem nakamienne. Rzeźbi coś o przyszłości, na wzór księdza Marka. Co najwięcej zadziwia i niepokoi w wieszczbach, to spowinowacenie się Celińskiego w duchu z Towiańskim i z autorem Przedświtu, o których wiemy, że ani wieści ani słuchu nie było za jego żywota. Pojęcia o Napoleonie i o posłannictwie Polski, takież same u niego i u tych późniejszych, takie same i jakoby żywcem z pism ich wzięte. I takie spotkanie się z kim w myślach i wyrażeniach możeż być tylko przygodne i trafunkowe? Owoż może! Jestto dla mnie „prawdziwe jak rachunek i dziwne jak mara".

Pierwiastek czysto duchowy i mistyczny, o którym dopiero co napomknąłem, znaczy zawsze i nieomylnie znamienitość darów i łask bożych w naszym poecie. Celiński pierwszy pochop ku wieszczeniu powziął niezawodnie z Mickiewicza, ale rychło wzmógł się w niem i rozwielmożył jako we własnej iściźnie, że można go śmiało zwać przesłańcem Ery Prorockiej w piśmiennictwie polskiem. Zaczerpnął on wcześniej gorzkiej wody, z której dziś tylu pije. Zaiste, naród polski jestto Hiob między narodami. Poeci wniknęli w okropność jego stanu: to poskręcane wnętrzności swe, ponawiązywali na struny Lutni Polskiej. Boleść taka ich arcywieszcza jest jasnowidząca wskróś czasu i przestrzeni. Stoją oto kędyś w samym prądzie potężnego prorockiego ducha, który strumieni się przez nich jednolicy, jednolity, że wieszcz wieszczowi podaje niby wrotki jednej spólnej pieśni, pieśni codzień roznośniejszej na ziemi, a bijącej ostrzem w niebo. Przodkuje-ż powidomu naród polski jakiemuś duchowemu przerodzeniu się ludzkości? Z niegoż wynijdzie słowo mocarz? Nad zbadaniem tej tajemnicy bożej mocują się co najtęższe filozoficzne umysły w Polsce.

Dla prawowiernych a prostodusznych znowu katolików, Janie, w czem innem tkwi trudność. Z jakiego ducha prorokujem? Czy miłość w nas równoważy już boleści? a pokora wiedzę? Ażali stary on kłamca i wróg rodzaju ludzkiego, nie łechce niekiedy pychy naszej ku rokoszowi? Wiedział o tem niebezpieczeństwie Celiński, kiedy śpiewał o nim:

„Rozbiera serce (szatan), aby szło w wyrazy,
„Umarza życie, aby szło w obrazy;
„Wielbi naturę, a zbija z jej drogi;
„Mówiąc o Bogu, bałwochwali bogi.
„Woła: „Wolności!" Zna sztylet mirtowy,
„Zadaje razy, ale tylko słowy....

„Dziś tem straszniejszy, że światło zwodnicze,
„W najponętniejsze przystroił oblicze,
„On dziś „Poeta“ !....

To zląkł się tego Poety, arcywieszczego takoż w swoim rodzaju. Powrócił do wiary prostaczków i maluczkich, która jest Prawdą Praw, która sama jeno darzy doskonałym pokojem i doskonałą miłością, a obwarowana jest w Kościele od wszelkich nagabań i złudzeń kusiciela. Celiński pod koniec życia zanucił takoż w duszy swojej „zgińcie me pieśni, wstańcie czyny moje“! I ujął oburącz na resztę dni Krzyż Pański, wiekuisty symbol chrześciańskich czynów, czynów i drobnych i wielkich, dla narodów i dla indywiduów, wedle czystości ofiary i miłowania w nich, a utajonego jakiegoś tam ładu w hierarchii Duchów.

*J. B. Zaleski.*

## Do Pana Ignacego Domeyki.

*Fontainebleau, 13. października 1850.*

Szczęść Wam Boże w nowym stanie, kochany Ignacy. Szczęść Boże i tobie i połowicy twojej, abyście byli jedną duszą, jednem ciałem, zgodni, strojni na żywot doczesny i wieczny. Pokój Wam i Łaska Pańska okwita na podróż w czasach i rozstrzeniach! Amen. Uroczyście, jako widzisz, błogosławię, bo małżeństwo to Sakrament święty, a przed Świętością wszędy i zawsze potrzeba stać z uszanowaniem. Rozumiem jednak twoje kalkuły, mój ty matematyku serdeczny! Im dalej w lata, tem roznośniej Pańskie „*Vae soli*“, rozbrzmiewa w duszy człowieka. I ja pod jesień moją w osamotnieniu dopiero i osmutnieniu uczułem całą prawdę i moc tego świętego słowa: *Vae soli!* Po twojemu, bracie, z ufnością chrześciańską, ale i z wielką trwogą rozpatrywałem się w nowych obowiązkach arcypoważnego małżeńskiego stanu. Owóż Bóg mi pobłogosławił, udarował nieznaną pogodą i rozradowaniem domowem, doprawdy nad wartość moją i zasługę. W rozrzewnieniu wdzięczności dla Pana, czynię oto wyznanie przed Tobą, że mi pobłogosławił. Tyś lepszy ode mnie, tyś wyrozumialszy i cierpliwszy, to po bożemu i po ludzku jest wszelka pewność, że błogi będzie twój los.

I nie mamy ci wcale za złe, Żegoto, żeś upolował sobie Hiszpankę, bo zapewnie prawowierna i prostoduszna katoliczka, a ten wzgląd górować powinien ponad wszystkie względy światowe. Zresztą, mój drogi, Budrysy dzisiaj rozpostarli zagony swoje szerzej i dalej niż na Podlasie, hej aż w Antypody! to nie dziw, że wiozą nie Laszki ale insze ptaszki. Bóg da jednak, że i twoja ptaszka pomału zlaszy się, zbudrysi się, nie roniąc zgoła piórek swoich własnych.

Widziałem za młodu kilka Andaluzek, co przywieźli bracia Legioniści, to nie mogłem się im napatrzyć, takie śliczne, świegotliwe i zabawne w Polsce, ze swojem osobliwie hiszpańskiem wygłaszaniem naszego sarmackiego rz. Żonkę koniecznie wyucz po polsku, bo dopiero byłby wstyd i grzech, żeby dzieci Budrysa chodziły ponad Niemnem i po Nowogrodku bezmowne i nieme jak Niemcy.

Mój Boże, cobym dał, kochany Ignacy, żeby ci można było na pierwociny małżeńskiego żywota posłać choć jakąś miłą wieść z Litwy? Niestety! Litwa, jak i cała Polska nasza, w grubej wciąż żałobie, to ani uśmiechu od niej na podarek ślubny dla syna. Bóg zdaje się wypróbował już nad nią wszystkie ciosy swego gniewu; a my po dawnemu źli, broim jak poganie. Święty Kraków nasz pogorzał niedawno, ale to wiesz z dzienników. Znikąd ani odrobiny pociechy. Świat po widomu stacza się w zamęt, w zmęt i dla tego taki smętny. Cywilizacya osiada na mieliźnie, bo pożegnała dawno pełnią swoją wody, na których unosi się Duch św. Rasy Germańskie i Romańskie wytrawiają się w sobie do szczętu. Francuzom zwichnął szatan lot w górę, to szamoczą się strasznie ponad stęchłą swoją moczarą. Polacy emigranci, tumanem tym owiani, ślipają za nimi po omacku i po staremu ufni więcej w cudzy rozum niż w swojskie natchnienia. Co niecierpliwsi zmykają od nas dzień po dniu za amnestyą do Panslawistowskiego Cara, to do Ameryki! Gdzieś tam, aż do ościennej tobie Kalifornii. Czy dokopią się tam rodzimego złota? Nie wiem, ale wiem, że wyleżą przynajmniej z paryskiego błota. Wielka, bracie, nędza u nas moralna i fizyczna. Na co o tem i pisać? Hej przysmaczek to od emigracyi na godowe, na miodowe twoje miesiące. Przepraszam cię, mój drogi, mój poczciwy Żegoto.

Za to, dzięki Bogu, u mnie w domu zacisznie, bo w lesie. Modlim się dużo, a i o przyjaciołach pamiętamy. Dzieci rosną i hałasują, to płoszą precz powszednie emigranckie smutki, nie dają, jak to mawiał Jan z Czarnolesia, zbytniem myśleniem głowy

psować. Daj ci Boże co rychlej, Domejeczku, taki gwar dziatek! Na tem życzenia kończę.

Ściskam ciebie i t. d.

Twój

*Bohdan.*

## Do Pana Seweryna Goszczyńskiego.

*Fontainebleau, 2. listopada 1850 r.*

Mój drogi Sewerynie, przeraziliśmy się tu byli smutnemi wieściami o kochanym naszym ks. Edwardzie. Spółcześnie z tobą i ks. Terlecki pisał nam, że nie ma dlań już rady ludzkiej, bez nadziei. Owoż wbrew nadziei, uprzykrzaliśmy się Niebu o ratunek. Dzisiaj, w dzień zaduszny, nie chcieliśmy jakoś wierzyć, że ks. Edward nieboszczyk.

Bóg łaskaw, mój drogi. W tej chwili odbieramy list ks. Edwarda, list z 30. października i własną ręką i wcale nie drżącą pisany. Chwała Panu! Odwzajemniam się tobie dobrą nowiną. Przepisuję dosłownie:

„Pisałem do was, w polepszonem nieco zdrowiu. 23-go zapa-„dłem znowu i ciężko, 24-go było źle. Jakieś zapalenie przy krwo-„toku. Trzy razy puszczono krew, opieka i czuwanie macierzyńskie „pani T.... przy pomocy lekarza w domu, było ciągłe. Miłosierdzie „Boże podźwignęło mnie. Dziś już, dzięki Bogu, jestem lepiej, po-„czynam wracać do sił i nieco z łóżka powstaję.

„Przyczyny tej choroby Bogu jednemu wiadome. Z nim tylko „mój rachunek, by tylko umniejszony, jako błagam i spodziewam „się. Po ludzku sądząc, zdaje się powietrze dla mnie za mocne. „Wyjadę jak siły wrócą, jak Bóg dozwoli. Gdzie, jeszcze nie wiem, „czy ku Paryżowi, czy gdzieindziej.

„Piszę tych kilka słów, aby was zawiadomić o stanie obec-„nym, polecić się waszej miłości i modlitwie. Bóg z wami!“

Bądź łaskaw, kochany Sewerynie, udziel zaraz te wiadomości ks. Terleckiemu, aby rozradować zaniepokojone takoż serce. Nie napisałeś w swoim liście dnia, w którym się odbyć miała msza na intencyę ks. Edwarda, to za to przez trzy dni chodziliśmy na ranne msze, ofiarując modlitwy do spółki z wami.

Czy nie miałeś co w tych czasach od Koźmiana? Przeszło miesiąc już jak wyprawiłem dość gruby pakiet i ani słówka w od-

powiedzi. Azaliżby pakiet zaginął gdzie na poczcie. Jeślibyś w tych czasach pisał do Koźmiana, zapytaj, co się znaczy, że milczy tak długo. Zapytaj także Romualda Januszkiewicza, czy odebrał mój listek. Źle podobno zaadresowałem.

Są w Paryżu Zenonostwo Hołowińscy. Możnaby się coś od nich dowiedzieć o Michale Grabowskim i o inszych znajomych i krewnych. Nie wiem adresu ich hotelu. We wtorek ma tu przyjechać do mnie Chodźkiewicz z ks. Terleckim, to polecę im zwiady u Hołowińskich.

Ściskam cię, mój drogi, rozradowany, rozmodlony w duchu, że ks. Edward ma się lepiej. Bóg z nim, z tobą i z nami grzesznymi.

Twój

*J. B. Zaleski.*

Łączę pozdrowienie od całego domu. Marianek już wybornie papla a Junka moja przechadza się o własnej mocy.

## Do Pana Seweryna Goszczyńskiego.

*Fontainebleau, 6. listopada 1850 r.*

Kochany Sewerynie, ks. Terlecki jak po ogień wpadł do Fontainebleau i do tego jeszcze z miłym gościem Ukraińskim, to nie było czasu do napisania do ciebie, ani nawet do uważnego odczytania twego listu. Zacietrzewiłem się w rozmowie z Chodźkiewiczem o krewnych, przyjaciołach i t. p., a tymczasem omnibus z debarkadery zajechał. Najgorzej, że ci nie posłałem twoich pism.

List Szletera zwróciłem ks. Terleckiemu, który ma ci go doręczyć. Nie wiem, coby odpisać Szleterowi. Przyznam ci się, że mam wstręt do edycyi zaocznych; już mi tak haniebnie usłużyli w Poznaniu i we Lwowie. Edycya poezyi, a tem bardziej edycya zupełna, powinna się koniecznie drukować z korrektą autora. Niepodobna stąd należycie dozorować druku we Wrocławiu. Przepisywać od deski do deski, co się kiedy w życiu gryzmoliło, to jest *la mer à boire*, rzecz nudna, żmudna i ckliwa na śmierć. Do zupełnej edycyi potrzeba dużo czasu, potrzeba pokoju i swobody (których nie posiadam), aby pokończyć, co się kiedyś pozaczynało w chwilach gorętszego natchnienia. Ja mam lepszą propozycyę niż Szletera od kogoś z Ukrainy. Mógłbym drukować powolutku, tom po tomie i w Paryżu. Cóż? kiedy nie mogę się zebrać na tę wo-

łową w pługu pracę. Przedewszystkiem radbym napisać coś, coby warte było druku. Odkładam tedy zupełną edycyę moich ramot na starsze lata, jak dzieci trochę podrosną i zaczną chodzić do szkół. Wtedy mus będzie osiąść w dużem mieście, to z musu tego i o edycyi pomyślę. Daj Boże tymczasem coś nowego wydumać dla ozdobienia zbioru! A daj Boże, z chwałą Jego i ku pożytkowi bliźnich! Owoż co głównie mam dzisiaj na myśli i w sercu.

Smucę się tem, co mi piszesz, drogi Sewerynie, o amnestyi. Emigracya nasza skończy się niesławnie; rozlezie się jak cygaństwo. Nie będzie pociechy dla Polski i z tych koleżków, co powrócą, bo zaniepokojeni w sumieniu złym postępkiem, nie przydadzą się jej do niczego. Nadzieja w samym tylko Bogu i w tych, co wytrwają mu w Prawdzie Narodowej aż do końca.

Z pism twoich mam 3 tomiki edycyi lwowskiej, mam 2 poszyty z trzech stron strasburskich, mam Noworocznik Demokratyczny i podobno Króla Zamczyska. Miałem takoż i Ziewonię kędy była Kościeliska Dolina, ale komuś pożyczyłem w Paryżu. Staraj się odszukać twoją legendę o Panach na Krzyżanowie i ze Szczekarzewic (tytułu nie pamiętam) bo wyborna, należy niewątpliwie do najpiękniejszych w literaturze polskiej. W każdym razie, każę ci ją przepisać Radeckiemu, jeśli nie masz drukowanej. Pisma te poślę ci przy pierwszej sposobności. Sądzę, że tymi dniami przyjedzie do nas Gałęzowski, a najpóźniej 16 b. m. będzie tu znowu Chodźkiewicz, to zabierze książki twoje do Paryża.

Jeszcze nie przeglądałem książki Pani Wojkowskiej. W gruncie musi to być zacna Polka, chociaż słyszałem o jej dziwactwach niesłychane dziwy. Ponieważ przylgnęła do ciebie sercem, godzi się abyś ją upomniał po bratersku, abyś napędził do Chrystusa Pana i do Jego Kościoła. Masz oto pole wysługi dlań i zasługi!

Czy ci nareszcie Cichowski odesłał prospekt Siemieńskiego z dopiskiem. Ja mój odebrałem. Rzecz sama z siebie dobra, cel ważny i pożyteczny dla biednych pogorzelców krakowskich. Prospekt jednak napisany arcy-głupio. Nie wiedziałem, że w głowie S.... tyle jeszcze szurum-burum, tyle studenckiego pyszalstwa. Radbym coś posłać, ale nie wiem na kiedy druk? Toż jaka tam cenzura? Nie mogę się zdobyć na oryginalny wierszyk, o którym ci napomknąłem ongi w Paryżu. W każdym razie poszlę jakiś rapsod z dawnych niedrukowanych. Jeżeli, Sewerynie, wiesz co więcej o tej entrepryzie krakowskiej, to mi w skok napisz.

Piszę zaraz za jednym zachodem i do kochanego ks. Edwarda, bo mam mu do posłania parę listów. Sądzę, że ciągle ma się

lepiej, tem bardziej, że i powietrze w tych dniach znacznie się ociepliło. Daj Boże, aby dostał się szczęśliwie na południe, to wnet odżyje. Prosiłem Karola o buletyny, na przypadek, gdyby znowu niespodzianie zapadł ks. Edward na zdrowiu.

Polecam cię drogi Sewerynie Bogu i ściskam po bratersku

Twój

*Józef Bohdan.*

Moi wszyscy pozdrawiają cię po przyjacielsku. Z książkami dostaniesz od mojej żony szkarpetki zimowe domowej roboty.

Jeśli się co dowiesz nowego w Paryżu o żywych i umarłych rodakach, napisz nam. Od wyjazdu ks. Edwarda nie mamy nikogo tam do komunikowania potocznych nowin emigranckich, bez których tęskno jakoś i samotnie.

## Do Pana Seweryna Goszczyńskiego.

*Fontainebleau, 20. listopada 1850 r.*

Posyłam ci, kochany Sewerynie, co mam z twoich pism. Polecam zarazem oddawcę pakietu, Władysława Chodźkiewicza, spółukraińca i wielce, wielce miłego mi w młodszem pokoleniu.

Ściskam

twój stary druh

*Józef Bohdan.*

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza w Rzymie.

*Paryż, 26. listopada 1850.*

Kochany Ojcze Hieronimie, już też i wieki, jak to mówią, minęły, jakem do Ciebie pisał, ale dzięki Bogu serce łaską Chrystusa zasilone miłuje zawsze i miłuje cię, mój Ojcze, jak się godzi, całem wylaniem się przed Bogiem. Smutno nam, że was tu nie ma, czemuś po polsku od waszego wyjazdu nauki Chrystusowej nie słyszym i dotkliwiej jeszcze przychodzi tęsknić za Polską.

U nas w domu, chwała Bogu, wszyscy zdrowi, mój Bohdan po swojemu pisze i pracuje, Bohdanowa modli Boga, wychowuje dzieci i gra; od trzech miesięcy ludniej w domu, bo jest siostra

Bohdanowej i matka, wyjadą zapewne po Nowym roku, to jest matka, bo siostra na rok z nami zostaje.

Położenie zaś nasze emigracyjne coraz, że tak powiem, głuchsze, czasem aż przerażająca cisza, jak gdyby na puszczy bez chleba i wody, taka bieda obsiada tułactwo. Modlimy się, aby Bóg dał wytrwać, ale ciężko i serce boli. Często sobie powtarzam: *fiat voluntas tua*, a ciebie Ojcze proszę, pomódl się czasem za mną, ba, co mówię za mną, — za nami, bo nędza wielka. Nie opuszczajcie nas, wszak nie dla sprawiedliwych, ale dla grzesznych przyszedł Chrystus, a wy czyż nie po Jego drodze iść macie. „Nie ma owoców“ — prawda, ależ błogosławiony, który wytrwa do końca. Stajemy obydwa z Bohdanem wbrew waszej myśli, ażeby emigracyą całkiem opuścić. Ocenicie sami u siebie dla czego nam się zdaje, że to uczynilibyście wbrew waszemu powołaniu. Moje dzieci oboje biegają i szczebioczą, fizyonomia domowego życia odmieniła się, hałasu i bieganiny jest pełno po wszystkich kątach. Jest niby jakieś odurzenie na smutki, wynikające z naszego położenia. Wszyscy cię zawsze jednakowo kochamy i szacujemy i będziem kochać i szacować. Proszę od nas ucałować ręce Szanownego ks. Józefa, napiszcie nam też, co się z wami dzieje. Jenerałowi Szymanowskiemu także od nas serdeczne pozdrowienia i poważanie. Przyłączam tu karteczkę od Ignacego Domeyki, która szła do nas długo. Mieliśmy późniejszy od niego list, w którym nam doniósł, że się ożenił, powiada, że oczom swoim wierzyć nie może, iż w domu u niego i obok niego siedzi 15-letnia śliczna żona a pobożna jak anioł. Wiesz zapewne, że w Santiago kupił sobie dom z ogrodem, który po polsku urządził. Po żonie nie wziął nic, ale sam z siebie ma dosyć i niedostatku nie tylko że nie cierpi, ale jeszcze i drugim tutaj pomaga.

Całuję cię, kochany Ojcze, imieniem całego naszego domu i modlitwom twoim siebie i moich wszystkich polecam, a Bóg z wami i z nami dziś i na wieki

*Józef Zaleski* [1]).

Przyjechałem tu odwiedzić biednego Cezarego Poniatowskiego, który żonę stracił, jest tu i brat jego August i brat żony Cezarego nieboszczki.

---

[1]) Brat Bohdana.

## Do Księdza Karola Kaczanowskiego.

*Fontainebleau, 27. grudnia 1850 r.*

Kochany Księże Karolu, wczoraj w drugim dniu świątek i przy uroczystości najpierwszego Męczennika w Kościele Pańskim dumałem długo i rzewnie o ś. p. Stefanie Witwickim. Świątobliwy to był mąż, najwierniejszy w owczarni waszej, a mój druh od młodości. Modliłem się zań na Mszy św., modliłem się i z domowymi moimi, ale to niedość. Godzi się osobną mszą świętą polecić Panu duszę naszego nieboszczyka, jak to czynimy już w rocznicę jego skonu. Żal się Boże, że mi to wcześniej nie przyszło na myśl. Owoż radbym powetować ten mój grzech z roztargnienia. Proszę, kochany Ojcze, abyś w oktawę po św. Szczepanie, t. j. w przyszły czwartek 2. stycznia 1851 odprawił nabożeństwo za duszę naszego Stefana. Chcemy ot się choć zdaleka złączyć z kapłanami w intencyi o tej samej godzinie, to donieś nam, która ci będzie najdogodniejsza. Gdybyś w tym dniu miał jaką skąd przeszkodę, to uproś odemnie na zastępcę ks. Aleksandra lub ks. Piotra, aby koniecznie była msza św.

Około Trzech Króli, albo zaraz po Trzech Królach, wypadnie mi pojechać do Paryża, nie wiem jeszcze na jak długo. Jeśli przyjdzie mi zostać kilka dni, to chcę korzystać z ofiarowanej mi gościnności przez ks. Aleksandra. Mam przytem do pomówienia z ks. Aleksandrem w interesie cudzym, ale ważnym i do którego wiele mi pomódz zdoła. Potem o tem.

Onegdaj odebraliśmy długi i miły list od ks. Hieronima, ale zapewne pisał do was.

Ale, ale, przyjmijcie jeszcze życzenia nasze z powodu świątek i Nowego Roku. Bóg wam pomóż! Ojcowie kapłani w pracach około owczarni Chrystusowej, aby się już święciło między nami Imię Pańskie.

Polecamy się, kochany Ojcze, modlitwom waszym

*J. B. Zaleski.*

## Do Pana Seweryna Goszczyńskiego.

*Fontainebleau, 11. lutego 1851.*

Co się w tem święci, kochany Sewerynie, że ani wieści od ks. Edwarda? Ani słychu też o nim skądinąd? Dawniej, w ciągu

miesiąca dwa i trzy razy pisywał do nas. Ponieważ miał przyjechać, myślałem dotychczas, że w cichości przygotowuje się do trudnej missyi, że po swojemu kreśli noty i notki. Teraz poczynam się obawiać, ażali nie zapadł nam znowu na zdrowiu. Jeżeli wiesz co o nim, bądź łaskaw donieść.

Drugie jeszcze zapytanie. Czy Gałęzowski uiścił, co obiecał? Czy mieszkasz już w swoich meblach? Jeśli nie, mógłbym się przy sposobności upomnieć o to, bo wiem z doświadczenia, ile wyswobodzenie się z trosk powszednich pożądane jest pisarzowi.

Myślę, że zasiadłeś już do porządkowania swoich pism dla Szlettera. Praca to żmudna i nudna. Owoż śmiem cię, Sewerynie, na parę godzin oderwać od niej. W piątek, to jest 14-go b. m., Gromnicznej Matki Boskiej, wedle ruskiego kalendarzyka, i zarazem urodziny moje. Ukochani moi w kraju i tutaj modlą się w tym dniu, owoż i ciebie, starego mego druha, zapraszają do spółki. Ks. Terlecki ma odprawić Mszę św. w Dame des Victoires. Chodźkiewicz podjął się służyć do tej Mszy, a że bliżej od ciebie mieszka, mógłby cię zawiadomić o godzinie. W każdym razie, jeśli ta Msza będzie za rano lub za daleko dla ciebie, zabiegnij do kościółka w Batignolles. Niepotrzebuję pisać, że będę wdzięczen za to i że odwzajemnię się przed Bogiem.

U mnie w domu po staremu, dzięki Bogu, dobrze. Dzieci zdrowe, to bujają w górę, jak prątki wierzbowe ku wiośnie swej.

Pozdrawiamy cię wszyscy jednem i jednakiem sercem. Łaska z tobą Pańska teraz i na wieki.

*Józef Bohdan.*

I ja miałem prozycye od księgarzy. Miałem takoż i niespodziankę. Wolf w Petersburgu przedrukował moje wiersze. Honor ten spotykał mnie już nieraz i we Lwowie i w Poznaniu i w Wilnie i niedawno w Lipsku. Ale Wolf ofiarował mi autorskie honoraryum. Honoraryum licha rzecz, ale sam postępek Wolfa nieoceniony. Nieprawdaż? Cieszę się, że przecież znalazł sią księgarz s u m i e n n y, nawet i względem wywołańców.

Warto ażebyś przeczytał Promethidiona Norwidowego.

Co porabia Adam? Czy go widujesz?

Negocyacye z Wolfem poruczyłem Siemieńskiemu, który mi doniósł o tej księgarskiej spaniałomyślności. Posłałem Siemieńskiemu stary kawałek do jego zbiorku na pogorzelców krakowskich.

## Do księdza Karola Kaczanowskiego.

*Fontainebleau, 12. lutego 1851.*

Coś mi się marzy po głowie, kochany księże Karolu, żeś ty mój drużba, to jest, żeśmy się rodzili obydwa w jednym dniu. Moje urodziny na Matkę Boską Gromniczną wedle ruskiego kalendarza, a więc w piątek 14. b. m.

Jako drużbę, druha i duchowego Ojca śmiem cię prosić, księże Karolu, abyś odprawił Mszę św. na intencyę i moją i zarazem moich rodziców, dawno, dawno zmarłych. Zawczasu dziękuję już w Chrystusie Panu naszym. Nowy oto słup swój nadrożny mam wkopać, to radbym go zaraz i poświęcić.

Co słychać u was nowego z Rzymu, z kraju i emigracyi? Czy urządziliście u siebie nabożeństwo i polskie? Trzy tygodnie temu posłałem ks. Aleksandrowi list do Krakowa, azaliż nie odebrał dotychczas odpowiedzi?

Sądzę żeście wszyscy zdrowi, ale pomimo tego pozdrawiam wszystkich was od siebie i od całego domu. Osobno jeszcze ściskam kochanego ks. Karola, polecając się bardzo modlitwom przy Ofierze Mszy św.

wasz

*J. B. Zaleski.*

## Do księdza Hieronima Kajsiewicza w Rzymie.

*Fontainebleau, 8. marca 1851.*

Kochany księże Hieronimie, piszę, albo nie piszę, ale zawsze jednakowo poważam was i kocham w Bogu. Niewątpijcie o tem jako i my nie wątpimy o waszej wzajemności. Hej niedziw się, że rzadsze teraz listy. Naprzód, sama już odległość jest jakoby rąbem mgły pomiędzy ludźmi: niewidno po za nim dużo powszednich a niezbędnych rzeczy. A potem żyję na odludziu, po domatorsku, to brak assumptu i wątka do korespondencyi. I w pracach waszych apostolskich nie widzę dziś tak jasno jak ongi, za dni minionych. Dowiaduję się wprawdzie niekiedy u ks Aleksandra, ale pomimo jego objaśnień czemuś nie rozumiem po dawnemu. Listopadowy okólnik z wygorowem do całej Emigracyi zgorszył mnie. Na wiele dni przedtem wymotywowałem szeroko ks. Aleksandrowi konieczność kazania na 29-ty. Nie zdrowi potrzebują lekarza, ale

chorzy. Chrześcijańska jest rzecz przebaczać i przebaczać bez końca. Owóż z powodu tego okólnika chciałem się rozpisać do Rzymu, ale jakoś w rychle dowiedziałem się o chęci twojej, książe Hieronimie, przyjechania do Paryża. Ta pocieszająca nowina udobruchała mnie całkiem. Wierzaj, kochany księże Hieronimie, świętą miałeś myśl i szkoda, wielka szkoda, że się nie stało dotąd wedle niej. Niegodzi się wam lekceważyć Emigracyi, boście kość z kości naszych, przeznaczeni od Boga na służbę nam i g ł ó w n i e n a m. Z nami i przez nas najskuteczniej działać możecie na kraj. Że Emigracya was nie lubi, to rzecz podrzędna. Nie o nawróceniu wszystkich, ale o zjednoczenie w Chrystusie Panu naszym kilkudziesięciu mężów polskich toczy się gra, jako sądzę. Piszesz, księże Hieronimie, żywot Jańskiego, to masz przytomny w pamięci cel, w którym was zawiązał przed Bogiem. To, co mówi ks. Aleksander, że nie ma z czego utrzymać domu w Paryżu, niegodne ani uwagi nawet chrześcianina. Ubóstwo nie tamowało nigdy apostołów i owszem służyło im za świadectwo wszechmocy Bożej. Alboż byliście bogatsi przed dziesiątkiem lat? To miałem do was na sercu od dawna. A teraz, kochany księże Hieronimie, przepraszam za każde słówko nieobaczne, jakie może niechcący wymówiłem. Nam świeckim przystoi wszelka skromność względem Ojców duchownych i do tego tyle świątobliwych i ukochanych nam.

Imieniny niebawem księdza Józefa, to od całego domu ze spólnym Patronem w niebie poniesiem przed Panem życzenia jemu. Prosimy go o wzajemność przy Mszy św. w dniu dorocznym Piastuna Pańskiego. Ja z żoną i dziatkami całuję Jego ręce, ręce co błogosławiły mnie na żywot nowy. Dziatwa moja rośnie, szczebiocze jak ptactwo boże ku wiośnie swej. Dzięki Bogu, zdrowie i pokój wciąż w domu. Z Ukrainy coraz rzadsze wiadomości, ale święć się wola Boża.

Myślę, że w Rzymie inaczej jak przed laty, to jest pozór inszy. Waśń świecka opustoszyła ulicę, osamotniła, osmutniła i dusze chrześciańskie. Ach! polityka tegoczesna, to wierutny Babel. Francuzi podobno przykładnie sprawują się w kościołach. Daj Boże, aby wynieśli z Rzymu zasiew do Ojczyzny swej. Co się dzisiaj też święci nowego u was? Przy sposobności napisz, kochany Ojcze słówko. W Paryżu dawno nie byłem. Korespondenci moi nic mi osobliwego nie donoszą. Ks. Terleckiemu powodzi się dość pomyślnie. Odbiera gorące adhezie od Biskupów z różnych kraików słowiańskich. O ks. Edwardzie od Nowego Roku ni wieści ni słychu. Miał przyjechać do Paryża dla promowania w Araybiskup-

stwie swej doktryny i nagle przycupnął. Ani pani Szymanowska nie pisze nam o nim. — Z literackich nowin mało co wiem, bo mało czytam. Norwid wydrukował świeżo Promethidiona. Forma dziwaczna i pretensyjna, ale treść niepospolita i dużo myśli podniosłych. Moja muza wyszła na starą pannę, widzę, że wybredza i sama do niczego. Czas ją podobno zostawić na koszu.

Ściskam cię, kochany ks. Hieronimie, po staremu, całuję ręce twoje kapłańskie z żoną i dziatwą, polecając się z nimi modlitwom powszednim i przy Mszy św. w świętym tam Rzymie.

*Bohdan.*

Mickiewicz wyniósł się z Batignoles pod ogród Luksenburski na rue de l'Ouest nr. 44. Dawno nie widziałem go. Od Domejki takoż dawno nie mieliśmy listu.

*B.*

Jużem był w liście do J. Szymanowskiego prosił go, ażeby naszemu najszanowniejszemu Józefowi powinszował od nas Imienin, a Ciebie, Ojcze Hieronimie, serdecznie pozdrowił, ale kiedy Bohdan mój znalazł czas do napisania słów kilku, toć i mnie niewypowiedzianie miło powtórzyć tu i powinszowani- kochanemu ks. Józefowi, a obydwóch was z pokorą i miłością uściskać, a z moimi wszystkimi dalekimi i bliskimi modlitwom się waszym polecić. Smutno nam bez was i niedziw, kościół polski i słowo Boże w nim polskie, to życie narodowe w emigracyi indziej go nie ma, skoro to życie ustaje, to w duszy chrześciańsko-polskiej tak smutno i pusto, jak w grobie. Wyglądaliśmy Ciebie, kochany nasz Ojcze, a czemuś to nam nie wrócił, jak obiecałeś. Bądźcie mi zdrowi i w łasce Boga, całuję wasze kapłańskie ręce, a pomódlcie się za mnie grzesznika

*Józef.*

## Do księdza Edwarda Duńskiego.

*Fontainebleau, 28. marca 1851.*

Kochany księże Edwardzie, treść sprawy, jaką przysłałeś nam na św. Józefa, treść sprawy prostą, zwięzłą, wskróś promienną, wskróś płomienną, odczytałem ze zbudowaniem. Chcę odwdzięczyć się tobie szczerością, jakiej się domagasz od nas. Kłopoczę się tylko

w sobie, jakoby się wyrazić w krótkich słowach, bo myśl moja dziś niekarna, ciągle w roztargnieniu, a przedmiot taki uroczysty i niewyczerpany. Przyjmij więc i to, na co mnie stać na razie.

Sprawa, której dziś służysz, kochany księże Edwardzie, wierzaj, obchodzi mnie żywo, dusznie: od dawna już oceniam ważność jej dla indywiduów i dla całego Narodu Polskiego. Przeciw moralności i nauce, pamiętasz, nie czyniłem nigdy zarzutów i owszem, w czystej żarliwości chrześciańskiej, w statecznym zapale waszym widziałem i widzę wyraźną wskazówkę, że prawdziwa, że zbożna jest. Żywot w duchu ofiary Chrystusa Pana (o jakim tak mądrze piszesz), uznaję za rzeczywisty postęp chrześciaństwa, w który wkroczyli dotąd święci jeno wybrańcy, a powinniśmy wkroczyć wszyscy, ilu nas jest wierzących, miłujących, i spodziewających się w Panu. Od młodu po wielokrotnie zrywałem się strzeliście ku temu Postępowi, chociaż w ułomności mej nie zdołałem w nim nigdy ostać się na długo. Utrzymanie w nas i w około nas ofiary, czy miłości Chrystusowej, toć zaprawdę, najwznioślejszy cel, najdostojniejsze zadanie dla człowieka na tej ziemi. W tem z wami godzę się, jednoczę duszę i serca. To zdaje się rdzenna, osnowna myśl sprawy. Jestem w niej bratem i sługą waszym po wszystkie dni.

Co niepokoi mnie, wyznam zarówno otwarcie. Niepokoją mnie Nowości z Objawienia, o którem nie przesądzam bynajmniej, bo nie posiadam w sumieniu ni wagi, ni miary, ku ocenianiu rzeczy tego rodzaju i owszem przerażam się w duchu omylnością ludzką, w najpodnioślejszych nawet indywiduach. Mówiliśmy, księże Edwardzie, wiele razy sam na sam, to wiesz do jakich punktów nauki stosuję te wyrazy. Jako szczery katolik, wierzę najzupełnie, że probierz nieomylny wszelkiego Objawienia posiada jeno sam urząd Kościoła postawionego ku straży Prawd Bożych po wszystkie czasy. Tak samo wierzysz i ty, kochany ks. Edwardzie, skoro gotujesz się stanąć przed Urzędem. Bez probierza kościelnego, chrześcianizm rychłoby się zmienił w illuminizm, w amerkański Mormonizm. Porozumienie tedy między nami łacne. Pan T...., mąż podniosły duchem i umysłem, mąż opatrzny, bo tylu pobożnych i zacnych pociągnął, pan T.... zna doskonale i doskonalej zaiste niż ja, jako się wchodzić powinno do Pańskiej owczarni. Wiemy, że utęskniacie do przedstawienia rzeczy przed Arcybiskupem paryskim. Z jaką gorącością pragnę tegoż samego, nie potrzebuję pisać? Uczujecie to sami, wy przynajmniej kilku, których Bóg widzi, ile poważam i kocham. Bóg widzi, to gotuje, nie wątpię ani na chwilę, miłosierdzie swoje dla nas.

Potakiwałem duchowi i wyrażeniom wykładu sprawy w liście twoim, kochany ks. Edwardzie, to powiem jeszcze i co mnie w nim ubodło. Jest kilka słów, których przyjąć nie mogę. Piszesz: „urzęda sługi Pana swego nie poznają, bo snać odstąpili Pana, odstąpili od jego ofiary. Któż jest w Kościele Chrystusowym, czy niewierny, niemiłujący, niepełniący Woli Pańskiej, czy też wierny sługa“? Ale to zaskarżenie za ogólne, a zatem bez miłości chrześciańskiej i bez miłosierdzia. A wszakże Kościoł, to oblubienica Chrystusa Pana, Matka Świętych Jego, posiadająca wieczne obietnice? Ażaliż mogłaby być kiedy całkiem niepłodna? Zostawiam rozwadze twej, księże Edwardzie, wszystkie następstwa z tego ogólnego wniosku, mnie one ziębią w szpiku aż kości. To i pocóż stawać przed Urzędem? Sądzę, że wyrażenia te wymknęły się bez namysłu, ale mnie bardzo ubodły . . . . . .

*J. B. Zaleski.*

## Do Panny Michaliny Dziekońskiej.

*Fontainebleau, 4. czerwca 1851.*

Zwracam kochanej Pani żądany list Eustachego. Godzi się conajrychlej doń napisać. Życzeniom jego stanie się zadość. Książka jest już na warsztacie. Przejrzałem pilnie tekst od deski do deski. Dozór ortodoksii tudzież korekty poruczyłem ludziom, których wysoko ceni nasz autor. O ryciny troska się T...., mąż tyle mu obowiązanej Pani K.... Nie pisał mi dotąd komu dał rytować obrazki? Ale zapewnie widuje się sam z Paniami. Czy Norwid uiści się nam z obietnicy? Co do L i t a n i i, proszę uspokoić rodzicielską obawę. Zmażę jeno kilka wyrazów niewłaściwych, a zastowanych niestety do mnie, do mnie samego. P r z e d ś w i t przeniosę na miejsce, jakie sam w przedostatnim liście oznaczył. Owoż i wszystko. Proszę jeszcze podziękować mu najczulej odemnie za nowinki familijne. Niech i nadal pisze, co wie w szczerości chrześciańskiej i bez ogródki. Dowiaduję się i skądinąd, że w tych czasach dużo tam łez, dużo boleści. Pan Bog nawiedza *m o i c h* coraz nowymi krzyżami. Święć się Wolo Pańska! Nieprzeinaczym jej grzesznicy. Snać bujnej Ukrainie mojej potrzeba takiego b o ż e g o z a s i e w u. Roztkliwiłem się mimochodem. Rodzina, to kamień obrazy dla wygnańca. Nie zmażę jednak com napisał i to

na dowód, że cię, kochana Pani uważam i poważam n i e p o ś w i a t o w e m u.

Życzliwy

*J. B. Zaleski.*

Szanownej Pani Jenerałowej i Pani Czosnowskiej załączam ukłony od siebie i od całego domu.

*19. lipca 1851.*

W Paryżu, po obiedzie z Wolfem, coś mnie z wewnątrz parło do Mickiewicza. Zaprojektowałem, abyśmy doń pojechali. Właśnie dziś wyjechał do Fontainebleau. To dziwna rzecz. Adamowa była rada mnie. Poznałem pannę Szymanowską.

*20. lipca.*

Mickiewicz był na obiedzie (w Fontainebleau).

*21. lipca 1851.*

Po Mszy zaraz do Adama Mickiewicza. Powitaliśmy się serdecznie. Teraz dopiero poznał dzieci moje. Zabrałem go do siebie na kawę. Ruszyliśmy potem w las, z dawną szczerością opowiadał mi stosunki swoje z Moskalami. Mówił potem o swoim Legionie włoskim. Oczywiście winę niepowodzenia zwala na Kamieńskiego i oficerów z emigracyi. Kilka wielce ciekawych anegdot. Odpoczęliśmy w Tranchard i koło 2 wróciliśmy do Fontainebleau. Obiecał przyjść na obiad.

Przyszedł Adam i był cały czas uprzejmy, mowny z moją żoną i dziećmi. Chodziliśmy na piwo i gawędziliśmy niemal do 11 w nocy.

*22. lipca.*

Zachodziłem do Adama, zapraszając na kawę. Odmówił śniadania i obiadu. Przyznał się, że nie w humorze. Adam mieszka na rue de Fleury nr. 1.

*23. lipca 1851.*

Około 11-tej przed południem wyszedłem do Adama. Pojechał naprzeciwko swoich domowych. Około 1-ej spotkaliśmy się na ulicy. Wyglądał omnibusa z drogi żelaznej. Deszcz padał, skryliśmy się pod porte cochère w hotelu de la Sirène. Nadjechał rychle konwój. Wysiedli razem Panny Szymanowska i Mickiewiczówna, Chodźkiewicz i Wolff. Adam zabrał swoje, ja swoich. Wkrótce zjawił się i Seweryn Goszczyński. Żona w deszcz poszła sama zaprosić Adama i Adamowych. Zapoznałem z nim Władysława (Chodźkiewicza) i Wolffa. Był w dobrym humorze. Rozmowa o Jeżowskim, Rzewuskim i t. p. Władysławowi i Wolffowi zostanie na zawsze pamiątką, że byli przy stole z trzema poetami głównymi w kraju. Po obiedzie, w ogródku, arcypoważna rozmowa, jak Polak powinien stawać przed Moskalem. Adam bił na płochość, dowcipkowanie, jakby umyślnie ku zbudowaniu Władysława.

25. lipca. — Na kawie Adam i Adamowi. Potem rozmowa, aż wybrały się na drogę żelazną z Adamem.

26. Zaszedłem do Adama. Zęby dokuczają mu. Zebrałem się do kąpieli i jeszcze raz wstąpiłem do Adama, zapraszając na obiad. Obiecał — bez upewnienia jednak. Wiem, że goły. Przyszedł Adam i wcześnie. Siedział w mojej komórce na górze. Przyglądał książki, wziął Seppa. Na obiedzie był wesół i mowny. Po obiedzie rozgadał się o Towiańszczyźnie sam na sam. Co go spowodowało do opuszczenia ręki? Marzycielstwo. Z tem wszystkiem przyznaje Towiańskiemu wielkie przymioty — wszakże powiada, że zgubił z oczu czas, t. j., że marzy sobie i nic więcej. Wytrzeźwiał jako widzę zupełnie .... I na piwie dalej ciągnął rzecz o księżach i o Towiańskim. Niechcący wyrwałem się, że mówił mi Wolff o śmierci Czeczota. Nie wiedział o tem biedak i wzruszył się bardzo. Odprowadziłem go do domu jego.

27. . . . . Żona spotkała Adama i zapraszała na obiad. Nie przyszedł, choć był z nią słodki i całujący... Przed obiadem z Józefem prowadziliśmy Maryanka[1]) na muzykę do parku. Adam był w kawiarni. Po obiedzie z Paulinką[2]) i Junką[3]) po raz 3-ci do parku. Zastaliśmy w domu Adama i Bogumiła. Adam był słodki — prosił, aby żona moja grała Beethovena. Maryanek usnął na kolanach u Adama. Juńka u mnie. Zachodziliśmy na piwo. Gawęda polityczna — i do domu.

[1]) Syn Bohdana.
[2]) Rosengardtówna.
[3]) Córka Bohdana.

28. . . . . Około 1-szej poszedłem do Adama z Maryankiem. Zabrałem go do naszego domu, dla przypatrywania się zapowiedzianemu od dawna zaćmieniu słońca. Śniadał u nas. Potem czytał Pressę, w której jest ważna nota gabinetu papieskiego do Wiednia. Zgodziliśmy się na jedno w sądzie o tej nocie. Punkt o 2-ej i 17. minut poczęło się zaćmienie. Przez zokopcone szkła patrzyliśmy całym domem. Potem we dwóch z Adamem poszliśmy do lasu i na wzgórze, aby uważać efekt światła i cieni. Zrobiło się jak w dniu jesiennym, słońce utraciło wiele blasku i żaru swego. Wróciliśmy rozprawiając o rzeczach bożych. Paulinka grała Mozarta. Adam wsłuchiwał się, potem poszedł pochwalić. Na obiedzie był wesół. Po obiedzie prawił o przygodach rzymskich i medyolańskich i t. d., o Różnieckim. Potem ciszkiem wymknęliśmy się na piwo. Opowiadałem o rewolucyi Lutego. Słuchał ciekawie. Nadszedł i Józef. Rozeszliśmy się wcześnie.

29. lipca . . . . Z Maryanem chodziliśmy do Adama, aby zaprosić na obiad. Nie zastaliśmy. Obiegliśmy po mieście. Wieczór przez okno zajrzeliśmy błąkającego się Adama. Wybiegłem w pogoń za nim. Szukaliśmy grzybów, ale nie było. Z powodu Seppa rozmawialiśmy o Palestynie i o Żydach. Ciekawie wypytywał o szczegóły podróży do Ziemi św. Mówiliśmy o charakterze ludu żydowskiego — o podniosłości missyi jego duchowej, którą przecież uroniił.

30. . . . . Po południu wstąpiłem do Adama i parę godzin przechadzaliśmy się po lesie. Grzybów nie znaleźliśmy nigdzie. Mało mówiliśmy — o rzeczach obojętnych. Adam jakoś zamknięty w sobie.... Zaproszenia na obiad nie przyjął... Po obiedzie przyszedł poczciwy Topczewski a potem i Adam. Był weselszy i mowniejszy, opowiadał o różnych charakterach swoich dzieci; radził nam względem wychowania naszych. Nadszedł Bogumił i Wolski. Gawędka szła jako tako. Zmierzchem odprowadziłem Adama. Wstąpiliśmy do kawiarni. Mówiliśmy o Moskalach, Żydach i t. p.

31. lipca . . . . Ruszyłem do Adama. Zastałem w dość pogodnym humorze. Razem pociągnęliśmy i na Montaigu i dalej. Po drodze mówiliśmy o protestantach niemieckich, o bezduszności teorii filozoficznych w porównaniu z wiarą Żydów i uczuciem Słowian. Mówił Adam dużo o Nowogródku, o sejmikach, które zapamiętał, o Kaszycach i t. p. Po obiedzie z Adamem, K. Zaleskim, Łukaszewskim, Siateckim.

1. sierpnia . . . . W czytelni zastałem Adama, kilka słów zamieniliśmy z sobą.... Zmierzchem spotkałem Adama. Wedle zwyczaju poszliśmy na piwo. Zimny dzisiaj. Zażądał Seppa osta-

tniego tomu i przyszedł do nas. Siedział ze mną i z Józefem blisko godzinę w salonie. Mówiliśmy o apostołach. Adam począł sofizmować na tym temacie. H. Rzewuski i jemu podobni więksi apostaci niż Bem, Czajkowski. Że szczere przyjęcie islamizmu jest nawet postępem dla szlachcica, bo przynajmniej uwierzy w Boga i t. p.

2. sierpnia . . . . Adam przy piwie. Zasiadłem z nim. Rozmowa głównie toczyła się o niepodobieństwie zrobienia dziś w Polsce rewolucyi. O burdę lub zamieszkę łacno. Ale niema sposobu zgnieść potężnych wrogów przy rozhukaniu chopów podburzonych do rzezi, przy bezduszności magnatów i szlachty i t. p. Siłę musim stworzyć na Zachodzie kędy lub na Wschodzie. Bem na Węgrzech ukazał idealny sposób zbawienia Polski. Okonelizm na nic.

3. sierpnia. . . Przyjechał Antoni Gorecki — wesół po staremu i dowcipny... Poszliśmy razem do Mickiewicza, ale nie było go w domu... Adam przyszedł na obiad. W czasie obiadu i po był mowny i pogodny. Wiele postrzeżeń głębokich i mądrych o ludziach i rzeczach. Ciekawe rzeczy prawił o Frankistach, z którymi przez żonę swoją miał sposobność zetknąć się. Odbiegli oni daleko od Franka, wszakże chowają tradycye jego przepowiedni o Polsce. Rzewuscy takoż pochodzenia izraelickiego. Żona moja pilnie i z wyraźnym zapałem słuchała Adama. Nadeszli Radecki i Bogumił. Krótka gawęda. Wyszliśmy z Adamem na piwo. Parę godzin ubiegło na miłej pogadance o różnych przedmiotach. Jeszcze kilka dni zabawi w Fontainebleau. Poszliśmy wytropić kędyś Goreckiego. Spotkaliśmy Józefa. Mówiliśmy o Meksyku. Gorecki wyjechał do Paryża. Umówiliśmy się, że zrobimy razem wycieczkę do Berville-Kościuszko.

4. sierpnia. . . . . Po obiedzie wieczorem spotkałem Adama przy piwie. Wyprowadziłem go potem ku cmentarzowi. Był serdeczny. Opowiadał stosunki z rodziną Bonapartych — o rozmowie z Cavaignac — o złej opinii o Polakach partyi republikańskiej — o biedach swoich, jako redaktora en chef Tribune des Peuples itp. Arcyciekawe i nieznane mi szczegóły. Pożegnaliśmy się przed domem naszym.

5. sierpnia. . . . . O 6-tej z rana przyszedł do nas Adam. Wypiliśmy kawę przed 7-mą i w drogę ku Berville-Kościuszko. Droga lasem prześliczna, tylko, że las nie polski, bez ptactwa, bez owadów, a więc głuchy i smutny. Skwar słońca od rana począł dokuczać — wypoczywaliśmy po dwakroć. Adam wiele mówił i rzeczy poważne — opowiadał ciekawe anegdoty o gubernatorze

Moskwy, Galicynie, który niedawno umarł w Paryżu. Śniadaliśmy skromnie w Martigny i o 11-tej ruszyliśmy dalej. Pozór Berville-Kościuszko niepoczesny. Zdaje się, że dostatek wody i dogodności gospodarskie, a może i niejakie podobieństwo z okolicą rodzinną, zniewoliły Kościuszkę do zamieszkania tutaj. Nowy właściciel Francuz przyjął nas uprzejmie — sam oprowadzał po pokojach i po parku — traktował winem i cygarami. Mało co wie o Kościuszce, mało też po nim pamiątek zostawił. Obiecaliśmy przysłać portret naszego wodza — i coś więcej po nim, jeżeli się uda. Uczucie w sercu było rzewne, ale razem błogie, po wodzu, co posiadał serce ludu i prostotę słowiańską. Po 11-tej wyszliśmy nazad. Dużo mówiliśmy o różnych przedmiotach, ale upał dokuczał. Wróciliśmy o 4-tej. Adam przyszedł na obiad. Był mowny i przedni. Maryanka ma za coś nadzwyczajnego. Wieczorem na piwie, mowa szczera o Towiańskim. Ja rozgadałem się. Żona była uderzona, co mówił o wychowaniu dzieci.

6. sierpnia. . . . Spotkałem Adama na ulicy — gawęda o rzeczach potocznych. Do dwóch kawiarni wstępowaliśmy na piwo i zawsze źle. Noc miesięczna — z Adamem — wróciłem do domu.

7. sierpnia. . . . Przed obiadem zjawił się ks. Terlecki... Po obiedzie wieczorem zabrałem go do Adama. Siedział w swej norze zadumany. Mówiliśmy o rzeczach powszednich, o nowinach paryskich z godzinę. Potem wyszliśmy z Adamem na piwo. Rozmowa o stanie Kościoła z powodu Seppa, o niedbalstwie wyższego duchowieństwa w rzeczach wiary. Ongi Ojcowie Kościoła pisali w obronie wiary, a dziś czerń pospolita, pisarze świeccy, bez namaszczenia, chociaż szczerze wierzący. Adam przyznaje Piusowi IX. pobożność najserdeczniejszą, słowiańską między kardynałami i całem duchowieństwem włoskiem i t. p.

8. sierpnia . . . Chciałem się podzielić błogiem uczuciem (z powodu listu Panny M. D.) z Adamem tembardziej, że była wzmianka o Jeżowskim. Wzruszył się bardzo w sercu wyższością Ukrainy nad innemi prowincyami. Prosił o kopię dla pokazania wzoru życia dla Mazurów i Galicyanów. Był serdeczny, sypał anegdoty o szlachcie, o Pusłowskich, Niesiołowskich i t. p. Z żoną, z dziećmi i z Józefem w lesie. Po obiedzie długa przechadzka i rozmowa z Adamem. Nie ma pieniędzy ani bielizny.

9. sierpnia . . . Adamowi zaniosłem pieniądze, co żona mu na moje ręce przysłała i parę koszul od siebie... Spał jeszcze... Po obiedzie u Adama, przeczytałem list Ludwika Jankowskiego, poczuł wnet, że to moje grzechy. Stąd pobudka do długiej dysku-

syi o usposobieniach młodzieży polskiej. Chodziliśmy do lasu wciąż gawędząc. Potem do kawiarni. Przyszedł Józef. Rozruchałem się i starłem się z Adamem o grzechach poezyi naszych, w najserdeczniejszych usposobieniach obydwaj odprowadziliśmy go do domu.

10. sierpnia . . . Z Paulinką Rosengardt i z dziećmi do parku na muzykę. Zjawił się Radecki — a potem Józef z Adamem. Razem wszyscy wróciliśmy do domu na obiad. Adam mowny i wymowny. Żona z wielkiem zajęciem słuchała, co prawił o muzyce, widocznie wzruszona.

11. sierpnia . . . Adam przyszedł po Revelacye Siostry de la Nativité, po papier, igły, nici i t. p. Krótko zresztą bawił. Zapowiedział jednak, że pomimo nalegania z Paryża zostanie tu jeszcze kilka dni. . . Po przechadzce, zaraz do Adama, który dopiero co po rozmowie z ks. Terleckim wpadł w humor wesoły. Opowiedział przygodę swoją i Służalskiego w miasteczku jakiemś włoskiem. Śmieliśmy się do rozpuku.

12. sierpnia . . . Adam przyszedł na obiad, wesoły i rozmowny, rozmowniejszy nawet niż ostatnim razem. Ubawił żonę moją wielu anegdotami o Polsce. Po obiedzie przy cygarach rozmawialiśmy o wychowaniu dzieci. Wizyta pań Dumont. Nadszedł ks. Terlecki z Bogumiłem. Przynieśli jakąś książeczkę wierszów i prozy w języku małoruskim, małej wartości. Z tego powodu Adam i ja biliśmy na zniżanie ducha starej poezyi Ukraińskiej przez nowoczesnych ruskich pisarzy. Wyszliśmy razem na piwo. Opowiadał Adam o poemacie p. t. Wojna chocimska przez spółczesnego szlachcica. Chwalił bardzo ducha i treść, niewątpliwie lepsze niż w Stanisławowskich i w naszych poetach. Messiada Odymalskiego. Przypomniałem dawny projekt napisania kilku poematów w rapsodach.

13. sierpnia . . . Wyszedłem do Adama — siedziałem wciąż w krześle, słuchając zdań i opinii o Francuzach, a osobliwie o duchu wojska. . . Po obiedzie z ks. Terleckim ruszyliśmy do Adama. W szarej godzinie Adam zaczął o misyi ks. Terleckiego rzeczy podniosłe i budujące. Z niesłychaną bystrością rozbierał zawady jakie mu stoją na drodze. Wskazywał, co wedle niego można by robić. Ks. Terlecki był poruszony. Pożegnał ks. Ter. bo jutro jedzie. Poszliśmy na piwo. Ciągnął dalej rzecz o Terleckim i o Matce Makrynie, ja podpomogłem.

14. sierpnia . . . Nadszedł Adam i bawił z godzinę. Żonie opowiadał o czułości szlachty dla krewnych swoich na emigracyi. Odszedł potem... Po 3-ej wyszedłem do Adama i spotkałem się z nim, że szedł do nas z książkami i pożyczoną bielizną. Na obiedzie serdeczny był i troskliwy o dzieci. Po obiedzie czule z wyraźnem wzruszeniem żegnał Zosię... Józef, Paulinka, ja i dzieci odprowadziliśmy go do drogi żelaznej... Adam gościł blisko miesiąc. Stosunki się odnowiły.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# WYCIECZKI

## HISTORYCZNO-ARCHEOLOGICZNE PO UKRAINIE.

(I. Wiszenki, II. Borowica, III. Czehryń, IV. Subotów).

(Dokończenie).

### III. Czehryń.

Podróż do Czehrynia niezmiernie nużąca i ciężka. Z Kijowa Dnieprem trzeba jechać statkiem parowym do Bużyna godzin 18, a z powrotem, pod wodę 23. W innych warunkach podróż mogłaby być tylko przyjemnością, ale statkami kursującymi po Dnieprze — męczarnią. Przyczyniają się do tego nadzwyczaj prymitywne urządzenia statków i równie prymitywny stosunek właścicieli do podróżnych. Wprawdzie niewiele sobie każą płacić, ale też oprócz lokomocyi, w dosłownem znaczeniu, nic więcej nie dają. Przedewszystkiem przepełnienie statków niemożliwie wielkie. — Wczesną wiosną rozpoczynają się wędrówki ludności wiejskiej do Ławry Pieczarskiej w Kijowie i w ogóle do licznych kijowskich monasterów. Pierwszy pokład statków bywa zwykle tak szczelnie zapchany podróżnymi tego rodzaju, że literalnie wśród zbitej masy ludności przecisnąć się niepodobna. Wszystko to dusi się obok żelaznego ogrodzenia maszyny parowej, wśród czterdziestostopniowego gorąca. Jeżeli są grzesznicy, których nie zbawią modlitwy w miejscach świętych odprawione, to podróż wśród takich warunków przynieść im chyba powinna złagodzenie win.

Niedość tego, że pierwszy pokład jest przepełniony — ale skutkiem przepełnienia służba pozwala tym biednym męczennikom

wędrować po całym statku w celu wyszukania miejsca i zajmować pokład górny. Przy takiej metodzie postępowania pasażerowie 1-ej i 2-ej klasy, dla których właściwie górny pokład przeznaczony, nie mają żadnej wygody ani spokoju, gdyż ustawicznie stykają się z tłumem brudnych do niemożliwości robotników, którzy, spożywając swoją rybę lub słoninę, rzucają resztki, nie troszcząc się o to gdzie spadną. Kajuty brudne i niskie, a pąsowe plusze 1-ej klasy bynajmniej brudu nie zakrywają.

W takich tedy warunkach posuwamy się naprzód bardzo powoli, gdyż co chwila zachodzi obawa zaczepienia o mieliznę. Punkty niebezpieczne pod tym względem są wprawdzie oznaczone, ale to nie ochrania od zapędzenia się statku na piaski. W każdem niebezpiecznem miejscu majtek mierzy przeznaczonym do tego drągiem głębokość wody i głośno wykrzykuje: 5 — 6 — 9 — pół znaku (poł namietki) — głęboko! — Po wyrazie „głęboko“, powtórzonym kilkakrotnie, statek rusza znowu całą siłą pary. Taka to pierwotna żegluga.

Kuchnia na statku do niemożliwości obrzydliwa, do tego stopnia, że oprócz herbaty literalnie żadnego innego pożywienia przyjmować bezkarnie nie można. Mówią, że na innych statkach lepiej. Ja jechałem w tamtą stronę na Imperatorze, z powrotem na Mohuczim, ale znajduję że — *ambo meliores.*

Z Bużyna najętym wózkiem podążyłem do Czehrynia wśród okropnej spieki, której towarzyszyła cisza powiększająca, zdawało się, jeszcze bardziej upał. Od przystani statku do miasta około 25 wiorst, ale jakiej drogi! Nie wiem nawet czy dobrze mówię, jeżeli używam wyrazu droga, gdyż począwszy od Bużyna co najmniej idzie dziesięć rozgałęzień piaszczystych, które prowadzą do stepu. Każdy jedzie którędy chce, a te niby drogi wiją się w najrozmaitszych skrętach wśród piasków, sięgających koniom po pęciny. Konie posuwają się krok za krokiem, koła skrzypią i zgrzytają — i tak wściekłych pięć wiorst trzeba jechać zanim się człek dobierze do stromego wyjazdu. Nareszcie staje się lepiej trochę. Wjechaliśmy na step. Jest to nazwa wszakże niesłuszna, gdyż płaszczyzna, którą podążać teraz trzeba, charakteru stepowego nie posiada — jest tylko równiną piaszczytą, mogiłami usianą. Step leży dalej. O tyle jest przynajmniej lepiej, że jedziemy prędzej. Droga szeroka, równa, świeżo wysadzona wierzbami — oczywiście nie murowana. Mało co więcej jak po godzinie jazdy taką drogą, wjeżdżamy znowu w piachy szczere i znowu droga rozgałęzia się na dziesięć rozmaitych odnóg. Nagie piaski, nagie pagórki, a ra-

czej nasypy piaszczyste, — i tak na ogromnej przestrzeni jak oko tylko zasięgnąć może. Tu i owdzie kępy łoziny, która samorodnie na piaskach rośnie, a w dalszej perspektywie, jak oazy jakie, widać grupy drzew większe lub mniejsze. I znowu krok za krokiem wśród skrzypu piasku przez 7 wiorst prawie podążamy do Czehrynia. Ręka ludzka nic tutaj nie zrobiła, ażeby piaski zadrzewić i zużytkować, chociaż są one bardzo żyźne i w podłożu posiadają dużo wody, tak że każda roślinność nadzwyczaj bujnie rośnie. Niegdyś lasy tutaj były. Od lat stu prawie zniszczono je — i pozostały aż do dziś żebra gołe lotnych piasków.

Nareszcie Czechryń widać.

W tamtą stronę mieliśmy lepsze konie i dla tego jechaliśmy $3^1/_2$ godziny, z powrotem — blisko 5. A zawsze na skwarze afrykańskim.

Co to jest właściwie Czehryń? Kto wie jaką rolę to miasto odegrało w przeszłości, jakie było głośne i harde, ile walk na płaszczyznach i błotach, otaczających je, stoczono, ten nadaremnie szukać będzie historycznego Czehrynia. Dziś jest to jedna wielka wieś od Kryłowa prawie ciągnąca się aż do Subotowa, o sadach morwowych i wiśniowych, wśród bujnej zieleni drzew owocowych i winogradu położona. Nikt, oprócz matki natury, nie sadzi i nie pielęgnuje tych drzew. Morwa rośnie, bo tak Pan Bóg chce, ale jedwabników nikt nie hoduje; winograd olbrzymiej wielkości dorasta, rośnie prawie dziko, ale nikt uprawą jego i wyrobem wina nie zajmuje się. Zdawałoby się, że ten bogaty zakątek, hojnie przez naturę wyposażony, za karę jakąś został samotnie wśród piasku i błota rzucony na wieczne zapomnienie. Inne miasta podniosły się materyalnie, rozrosły się, rozwinęły przemysł, handel — a Czehryń siedzi na uboczu i ubożeje.

Wśród błysku zwierciadła Taśminy, wśród bujnej zieloności ukazał nam się Czehryń zdaleka, a nad nim wisiała naga zupełnie, bez drzewka żadnego góra, zwana przez ludność „polską“ — ta sama, na której niegdyś wznosił się mocny i warowny zameczek na południowych kresach. Dziś stoi tam tylko strażnica pożarna — kałańcza — gdzie znudzony inwalida czuwa nad bezpieczeństwem miasta. U podnóża góry, jak gniazda jaskółcze, przylepiło się kilka domów najuboższej ludności.

Przejechawszy przez most drewniany na Taśminie, wjechaliśmy wreszcie w szeroką ulicę miasta. Niskie parterowe domy ubożuchne, plac targowy otoczony sklepikami z drzewa (ławki) — oto Czehryń. Bodaj czy nie jedyny na całe miasto dom piątrowy

jest zajazdem czy hotelem, jeśli się komu podoba tak nazwać, i własnością żyda Hercyka. Przypomina się mimowoli nazwisko słynnego pułkownika, z którego córką żonaty był Filip Orlik. Smutne losy. Po rozgłośnej ale krwawej sławie pułkowniczej jedyny ślad żyjący dotychczas — żydowskie nazwisko na szyldzie lichego zajazdu.

Nie tracąc czasu rozpocząłem zaraz nawiązanie stosunków i poszukiwania. Przedewszystkiem zapytałem o „starych ludzi", bo wśród nich zwykle przechowują się legendy i tradycye historyczne. Dziwna to pamięć starości. Dziećmi słuchają opowiadań ojców i dziadów, jako dojrzali ludzie — zapominają o wszystkiem, bo fala życia unosi ich w walce codziennej o chleb powszedni daleko od przeszłości, na starość jednak wracają znowu do skazek i podań, słyszanych w młodości i żyją niemi. Jednym z takich starców był Mikołaj Parsunkin, którego w Czehryniu poznałem — kawał zawieruchy i awanturnika. Gdyby był żył w wieku XVIII. lub wcześniej trochę, byłby wpadł niewątpliwie w wir kozacki lub hajdamacki i, jakkolwiek „bezhramotny", byłby się dosłużył może pułkownikostwa. Teraz, w czasach spokojnych i bardzo odmiennych od dawnych, pędził życie człowieka, który sobie miejsca na świecie znaleść nie może. Urodził się w Elizawetgradzie z matki Polki, a z ojca szukającego na kresach zarobku. Ojciec był zamożnym rzemieślnikiem — ślusarzem — i nawet fortunkę posiadał. Matkę wcześnie stracił, za nią poszedł ojciec i młody hulaka stanął na czele interesu. Hulał bo hulał strasznie, aż wszystko przehulał. Tańce, hulanka, kieliszek — nic go nie minęło. Gdy już z majątku zostały okruchy, przyjechał przypadkiem do Czehrynia, a było to przed laty kilkudziesięciu. Zapędził się tutaj na polowanie, a był zajadły myśliwy. W okolicach zwierzyny huk — nikt nie był w stanie, zdawało się, wyniszczyć jej. Osiadł więc tutaj, ożenił się rzemiosło prowadził ojcowskie, a coś tam w duszy jego tkwiło lepszego, bo nie tylko strzelby reperował, lecz także ikonom „ryzy" dorabiał. A polował ciągle — ze „sprawnikami", z „prystawami", z urzędnikami. Nad Taśminem były łozy i oczerety nieprzebrane. Oczeret do 3-ch sążni po nad wodę dorastał — i dziś jeszcze rośnie — tylko już zwierzyna z krzaków, pól i oczeretów znikła prawie. Parsunkin na starość znalazł się osamotniony — nie było na co i z kim polować nawet.

Poznawszy się ze mną, z początku ostrożny i zimny, zapalał się pomału i okazał się bardzo wdzięcznym i chętnym opowiadaczem. Urodzony w czasach kiedy jeszcze echa kozaczyzny żyły

wśród ludności wiejskiej, wchłonął w siebie barwy przeszłości i miłość dla czasów minionych. Na starość wyrodziło się w nim zamiłowanie do wszelkich zabytków starożytności, a echa o skarbach kozackich nie dawały mu spokoju. Skarbnicą legend pod tym względem były dwa punkty: polska góra w Czehryniu i góra w Subotowie, na której dwór mieszkalny Chmielnickiego rozsiadł się był niegdyś szeroko.

Sadyba Parsunkina znajduje się nad Taśminem na lewym brzegu, tuż naprzeciwko prawie polskiej góry. Czehryń, miasteczko, leży na prawym brzegu, a Czehryń wieś — prawie całkowicie na lewym. Chałupa Parsunkina duża, porządna, na dwie izby podzielona. W jednej warstat i piec warzelny, druga — coś w rodzaju salonu, tak zwana: „czysta komnata". Gdym pierwszy raz do niego przyszedł, gospodarza nie było w domu. Posiedziałem z pół godziny w warstacie i pożegnałem żonę, oświadczywszy, że jutro wrócę. Ledwie na drogę wyszedłem, dzieci krzyknęły: idzie, idzie! Naprzeciwko mnie kroczył chłop jak dąb — dosłownie. Jakkolwiek miał już siódmy krzyżyk za pasem, szedł krzepko, jak młodzieniec. Twarz nie piękna — szeroka, z ostremi rysami, ale też z wyrazem pewnej energii i siły.

Ponieważ do wieczora było jeszcze daleko, chciałem udać się na ową polską górę. Drogą powrotną przez most było pewnie ze trzy dobrych kilometrów do Kałańczy, gdy na przełaj przez Taśminę i pół tego nie było. Posłałem tedy żydka po czółno, a sam rozmawiałem z Parsunkinem. Żyd się nie zjawiał. Parsunkin ofiarował się przewieść swojem czółnem. Nie minęło kilka minut, już nie wiem skąd zjawiło się czółno na rzece, tuż przy brzegu. W czółnie, po środku stała dziesięcioletnia dziewczynka, jak mi się na razie zdawało z wiosłem w ręku. Sądziłem, że Parsunkin nas przewiezie. Wsiadłem, on także i zaraz na wstępie począł opowiadać, że w tem miejscu właśnie — byliśmy zaledwie trzy kroki od brzegu — Taśmina posiada 30 arszyn głębokości, ze co roku topi się tutaj kilkoro ludzi, a on w swojem życiu — ot z tego czółna — mówił — kilkudziesięciu już z wody „wytaszczył". Jak posłyszę — bywało — krzyk, tak powiadam zaraz do żony: siadaj w czółno i wyjeżdżaj na rzekę, a sam rozbieram się i buch do wody. Abym tylko ujrzał gdzie on jest — to zaraz za czuprynę i "wytaszczę": Minęliśmy głębię — wjechaliśmy w szuwary — już do brzegu blisko — obejrzę się, aż nas wiezie owa dziewczynka dziesięcioletnia, a zamiast wiosłem pędzi czółno łopatą do wsadzania chleba do pieca!

Poszliśmy powoli stokiem góry zamkowej na szczyt.

Szliśmy niewielkiem wyżłobieniem, ale dość wyraźnie zarysowanem jeszcze jako droga do zameczku, wznoszącego się niegdyś na górze. Trzody mieszczańskie, kozy żydowskie i ludzie, robili, zda się, wszystko, ażeby ślad wszelki dawnego życia zniszczyć. Wszystko przekopano, przeryto. Pod szczytem, prawie półkolem nieregularnem, idą dwie wyraźne kondygnacye okopów, mające charakter bateryi. Gdyśmy się ku nim zbliżyli, Parsunkin pokazał świeżo przekopane miejsce i opowiadał, że tu właśnie, szukając skarbów w jakimś podziemnym korytarzu, którego ślad dotychczas widać, znalazł niewielką żelazną śmigownicę, w kształcie garłacza, którą też nazajutrz kupiłem u niego.

Biorąc rzecz ściśle, owa, tak zwana dotychczas „polska góra", górą nie jest; jeżeli nazywa się górą to tylko miano takie może jej chyba służyć odnośnie do miasta, położonego u stóp jej na nizinie Taśminy. Względnie do stepu, ciągnącego się ku południo-zachodowi jest to część płaszczyzny, dość wielka, oddzielona od reszty głębokiemi jarami, dochodzącymi do doliny Taśminy. W ten sposób owa wrzekoma góra stanowiła punkt dość niedostępny i dość obronny, jeżeli weźmiemy na uwagę tamtoczesne środki obronne. Możnaby ją nazwać wielkim występem granitowym, jakie często nad Taśminą i Dnieprem widywać można. Na zewnątrz wreszcie, szczególnie od północnego wschodu, śladu nigdzie granitu nie ma, przeciwnie na głębokości kilku metrów idzie zbite piaszczysto-gliniaste odsypisko bujną i żyzną czarną ziemią pokryte, a tylko od północnej strony tu i ówdzie występują na zewnątrz granitowe bloki. W dzisiejszym stanie szczyt przedstawia się jako równa płaszczyzna, bez śladu jakichkolwiek budowań. Od południa odcina go od stepu głęboki i dość szeroki parów, przez który miał być rzucony most, nazywany tureckim. Opierał się on z jednej strony o pionową granitową skałę, która sama przez się uniemożliwiała dostęp do fortecy, a z drugiej o niewyraźne, poszarpane dziś brzegi stepowej płaszczyzny. Od strony zachodniej znajdują się kamieniołomy rządowe. Z olbrzymich bloków granitowych, łupających się według równej pionowej linii, wyrabiają kamienie młyńskie — i to jest jedyny przemysł Czehrynia. W dole, głęboko, pewnie o jakie sześć do dziesięciu metrów głębokości leżą stosy złomów granitowych i szeregi kamieni młyńskich. Niszczenie góry posuwa się od zachodu ku wschodowi, a jest nadzieja, że za jakie trzydzieści lat śladu po niej nie zostanie.

*Sic transit gloria mundi...*

Niedaleko od dzisiejszej „kałańczy“ miało być do niedawna źródło czystej i doskonałej wody, które ze szczelin granitowych wydobywało się. Rozsadzanie jednak skał prochem zniszczyło zapewne dopływy i źródło znikło.

Parsunkin opowiadał, że dalej nieco — dziś w tem miejscu przepaść po wyłupanym granicie — znajdował blisko pod powierzchnią ziemi ogromne kawały żużli, nieraz wagą po kilka pudów, powstałe z pławienia żelaza. Sam kowal i ślusarz, myślał z początku, że to są ślady kuźni, ale wielkość brył naprowadziła go na myśl że może tu istniały kiedy huty żelazne. Domysł prawdopodobny, — ale z jakiego okresu? Może kozackie. Na jednym z tych punktów, nad którym dziś przepaść się otwarła, znajdował także większe zlitki bronzu, które — przyznawał się do tego dobrodusznie — żydom sprzedawał. Znajdowali także inni. Ot, niedawno — powiadał — Borys Naumenko także znalazł, a obok zlitku bronzowego i strzały jakieś czarne, ale nie żelazne... miedziane podobno.

Zakarbowałem sobie w pamięci owego Naumenkę.

I tak chodziliśmy po tej górze, siadali, odpoczywali na ławeczce, którą zapewne strażnik swoim sumptem postawił i znowu chodzili, rozmawiając. Parsunkin rozgadał się. Gdyśmy stanęli nad skrajem przepaści, utworzonej przez kamieniołomy, nogą tknął zasypaną rozpadlinę w ziemi i rzekł: „o tu, proszę pana, szukając skarbów, natrafiłem na szkielety ludzkie, ale jakichś wielkich ludzi, większych od dzisiejszych. Leżeli jeden na drugim, a każdy z osobna był węglem posypany“. Czyżby to był ów najstarożytniejszy u nas sposób grzebania umarłych? Może być. Ale naukowy dowód zaginął bezpowrotnie jak i trupy owe zagrzebane zostały pod resztkami złomów kamiennych. „Niedaleczko od tego miejsca i ową miedź znajdowałem“ — mówił. „Był tu jeszcze — ciągnął dalej — kamień wielki, płaski, na ziemi leżący, na którym znać było ślad ręki ludzkiej“. Poczęliśmy szukać owego kamienia — i nie znaleźliśmy. „Pewnie i to dyabli wzięli“ — zakończył. Jest wprawdzie inny kamień, na którym niewyraźne wgłębienie, niby wyciśnięte, widać, ale bez śladu dłoni.

Widok z tej góry wspaniały; jakiś potężny, dziki, pełen siły pierwotnej natury. Słońce właśnie zachodziło gdyśmy kończyli nasze oględziny. Przed nami jak na dłoni leżała olbrzymia dolina Taśminy i dzielące ją od Dniepru piaszczyste wydmy, świecące białemi żebrami. Za zielonemi kępami drzew połyskiwały tu i ówdzie białe plamy jezior — resztek historycznych, — zielone kopuły monasterów i złociste krzyże cerkwi.

Parsunkin opowiadał, pokazując ręką wybitniejsze punkty: „Oto widzi pan, tam gdzie dziś stoi Troicki (św. Trójcy) żeński monaster za Taśminą — gdzie ten lasek, stała tam niegdyś forteczka kozacka, skąd kozacy do zamku strzelali“.

„Tam, gdzieśmy rzekę przepływali, był drugi most, a pierwszy stał na tem samem miejscu gdzie dzisiejszy. W czasie wojny kozaków z Turkami, kozacy pierwszy podpalili, a na drugim podpiłowali słupy. Widząc że źle, Turcy zaczęli uciekać i na most się cisnąć — ot wtedy to ich do czorta poginęło“.

„Tu w tem miejscu, gdzie stoi „kałańcza“ stał kiedyś krzyż kamienny na pamiątkę, że z tego miejsca syn Chmielnickiego strzelał do Subotowa, do ojca i zbił krzyż w subotowskiej cerkwi kamiennej“.

„Ludzie opowiadają, że kiedyś Dniepr szedł pod górą, gdzie dziś Taśmina, ale odsadził się — a ot to jezioro, widzi pan, co błyszczy za laskiem, bardzo głębokie, nazywa się Irdyń“.

„Gdzie dziś targowica i sklepy (riady), tam stał monaster męski, a w tem samem miejscu, gdzie dziś więzienie — najpiękniejszy gmach w Czehryniu (Jurmá) — było presbiterium (prestoł).

Zastanówmy się chwilkę nad temi ubogiemi w szczegóły, ale ciekawemi opowiadaniami Parsunkina.

Wspomnienia miejscowe odnoszą się nie do dni sławy Czehrynia, lecz do okresu upadku kozaczyzny.

W Czehryniu, po ustąpieniu Wyhowskiego, wybrany został, za zgodą i poparciem Rossyi, hetmanem młody, bo 17-letni Juraś Chmielnicki; tu za pomocą hucznych uczt starał się zatrzeć złe wrażenie, jakie wywołały jego pacta z Rossyą i może, dzięki temu szemraniu pośród czerni, powstała symboliczna legenda, że „syn strzelał do cerkwi ojcowskiej w Subotowie“, niszcząc niejako własnemi rękoma dzieło ojca. Prawdopodobniej jednak odnieść należy powstanie tej legendy do r. 1661, gdy Czehryń był oblężony przez Jurasia Chmielnickiego.

Owe „strzelania kozaków do zamku“, jakoteż bitwa z Turkami pod Czehryniem, odnosić się mogą do czasu ambitnych knowań Doroszenki, któremu zachciało się koniecznie „panowania“. Ażeby Mnohohresznego, hetmana lewo-brzeżnej Ukrainy, łatwiej pokonać, począł się Doroszenko umizgać do Turcyi i ofiarował Ukrainę pod protekcyę Sułtana. Zachcianki te zaniepokoiły Rzptą i kozakom nie podobały się. Pułki Humański, Bracławski, Niemirowski i Podolski wymówiły mu posłuszeństwo, wybierając hetmanem Michała Hanenkę, pułkownika Humańskiego. Zwiększyło to

jeszcze bardziej zawieruchę ukraińską. Haneńko stanął po stronie Rzptej i Sobieskiego, a gdy przyszły król polski w r. 1671 zdobywał po kolei Humań, Stawiszcze, Bracław, Kalnik, Niemirów i o Doroszenkę, zamkniętego w Czehryniu zawadził. Wówczas to sułtan wysłał mu w pomoc 6000 żołnierzy. W r. 1678 znowu 100.000 Turków i Tatarów oblęgało Czehryń. Może jaki oddział, pomyślnie zaatakowany przez Haneńkę, sromotną śmierć znalazł w nurtach Taśminy, dając impuls do późniejszej legendy historycznej.

I Samujłowicz, także z pretensyą do hetmaństwa nad całą Ukrainą, mierzył się z Doroszenkiem w r. 1674, chociaż zmuszony był od oblężenia odstąpić. I do tego faktu możnaby przyczepić podanie o „strzelaniu kozaków“ do zameczku, w którym był Doroszeńko zamknięty. W r. 1676 Moskwa i kozacy także Czehryń oblęgali, a Doroszenko, poddając miasto, ledwie życie uratował.

Takie to resztki prawdy historycznej błąkają się dotychczas w ustach mieszkańców starego Czehrynia. Od czasów owej wojny turecko-kozackiej, zniszczone miasto nie podniosło się z ruin. i przestało być stolicą hetmańską.

Jednem z najciekawszych niewątpliwie jest podanie o tem, że „Dniepr płynął kiedyś pod górą polską“ i zastanowić się nad niem warto. Skąd ono mogło powstać i jakie są dowody na poparcie jego?

Czy będę szczęśliwszym w moich hipotezach co do oznaczenia położenia niektórych miast nad Dnieprem starożytnym od Potockiego i Sadowskiego — nie wiem, wątpię nawet — tembardziej że uwagi rzucam mimochodem, lecz po mojej stronie jest argument, brakujący tamtym, a bardzo ważny: znajomość topografii nadbrzeża dawnego Borystenu, ciągnącego się od Moszen, Czerkas, Czehrynia aż do Kryłowa. Trzeba pamiętać o tem, że podanie, jakoby Dniepr płynął niegdyś temi stronami, utrzymuje się dotychczas wśród ludu wiejskiego od Moszen czyli Moszniów, według starej pisowni, aż do Czehrynia.

Przedewszystkiem rzuca się w oczy, że tak powiem, obcobrzmiąca nazwa Irdyń. Na północ od Śmiły, koło Moszniów, trzęsawiska błotne nazywają się „błotami irdyńskiemi“, między wielką wsią Białym-jeziorem a Śmiłą, leży wieś Irdynka, pod Czehryniem — jezioro Irdyń. Co to za nazwa? Do jakiej grupy językowej należy? — Nie umiem rozstrzygnąć, pozostawiając rozwikłanie tej zagadki lingwistom. Według dźwięku sądząc, możnaby wnio-

skować o tiurkskich pierwiastkach geograficznych w tutejszej okolicy. Ale nie chcę bawić się w domysły nieuzasadnione.

Przejdźmy do Dniepru. Wiadomo powszechnie, że prawy brzeg Dniepru aż do wsi Budyszcze, niedaleko Czerkas, jest wysoki i skalisty, gdy od Budyszcz począwszy, na większem lub mniejszem oddaleniu od dzisiejszego głównego koryta rzeki, jest nizinny, z dużemi odsypiskami piaszczystemi, z dużemi rezerwoarami wodnemi i z podmokłemi trzęsawiskami — i tak aż do prawego brzegu Taśminy, który jest wyniosły, posiada charakter brzegów Dnieprowych a charakter ten utrzymuje się aż do Kryłowa. Na błotach, piaskach i jeziorach, między Dnieprem a Taśminą znajdują dotychczas resztki wielkich łodzi i kotwice żelazne. Jużci, dowodzić tego nie potrzeba, że to są ślady starożytnej żeglugi — musiała tu być zatem i głębokość wody dla żeglugi stosowna, a ludność gęsto siedząca i coś produkująca dla handlu.

Otóż ów pas, dziś między Taśminą a Dnieprem leżący, posiadający charakter dna rzecznego, ciągnie się od wsi Budyszcza, po pod Moszny, Bajbuzy, Mlijów, obejmuje jezioro między Hulajgrodem a Neczajówką i brzegiem Taśminy idzie aż do Czehrynia i Kryłowa. Nie ulega prawie wątpliwości, że tą drogą płynęło jedno ramię Dniepru, tworząc z dzisiejszem ramieniem wielką wyspę. Przypuszczenie to stanie się zupełnie prawdopodobnem, jeżeli weźmiemy na uwagę: położenie topograficzne, tradycye miejscowe i wreszcie znaleziska, jako ślady żeglugi tam, gdzie dziś piaski i błota. Ale to nie są jeszcze dowody wszystkie. Rzućmy okiem na mapę Ptolomeja i sprobujmy zoryentować się. Mam na myśli tylko kwadrat mieszczący Sarmacyę europejską. Nie od rzeczy będzie na wstępie powiedzieć, że mapa Ptolomeusza jest właściwie mapą poprzednika jego Maryna. którą Ptolomeusz sprostował i do praktycznego użytku przystosował, układając ją według opowiadań podróżnych, zwiedzających te kraje.

Nie jestem geografem i nie myślę wcale analizować błędy aleksandryjskiego geografa: dlaczego Olbię oznaczył wyżej nie niżej, dlaczego Hypanis z prawej na lewą stronę przerzucił i t. p. Omyłki musiały być koniecznie tam, gdzie nie było ściśle matematycznych pomiarów. Chodzi mi przedewszystkiem o miejscowość, którą zwiedzałem. Ptolomeusz wykreślał mapy według „opowiadań podróżnych“, którymi byli i musieli być przedewszystkiem greccy kupcy; następnie wykreślał dla nich, dla praktycznego użytku. Mapa jego, szczególnie Sarmacyi europejskiej, a przeważnie południowej części, da się zaliczyć do typu linii drożnych (itine-

rarium). Chodziło mu — i kupcom niewątpliwie — o wykazanie drogi handlowej i na tej drodze wyznaczali główniejsze punkty, nie troszcząc się wiele, a może i wcale nic o to, w jakim matematycznym, że tak powiem, stosunku, są te punkty do długości i szerokości geograficznej.

U Ptolomeusza Dniepr składa się z dwóch rozgałęzień. Jedno, biorąc od dzisiejszych źródeł, lewe, drugie, wypływające z jeziora Amadoka, prawe, łączą się w jedno ramię przy mieście Metropol. Otóż to prawe ramię nazwał Borystenesem. Na lewem rozgałęzieniu są następujące miasto: Azagori, Amadoka, Sar, Serim, a przy zlaniu się obu — Metropol, na prawem: Lein, Sarbak, Nios i — Metropol. Nasuwa się pytanie; dlaczego Ptolomeusz owe prawe ramię, znacznie krótsze nazwał Borystenes, a drugie pozostawił bez nazwiska? Niektórzy chcą upatrywać w tem ramieniu Prypeć, a w jeziorze Amadoka — błota Pińskie. Prawda, że Prypeć (Pri-put', rzeka na drodze leżąca) za czasów Antoninów znaną już była dobrze, że wzdłuż Prypeti znajdowano skarby monetarne z tego okresu, lecz stąd jeszcze nie wynika, ażeby Prypeć', ludzie którzy ją znali, mieli nazywać Borystenesem. Mógł zresztą Ptolomeusz nie napotkać nikogo, ktoby mu dostarczył pozytywnych, według wieku, danych i dla tego na mapie drogi Prypetią nie naznaczył. Północ w jego Sarmacyi, od jeziora Amadoka, zupełnie nieznana; ani jednego miasta, ani jednej wsi nie ma.

Ramię, które Ptolomeusz Borystenesem nazwał, musiało istnieć w rzeczywistości za jego czasów, ale już przedtem zapewne, a później dopiero wybitniej nastąpiły przeobrażenia topograficzne, które tę nazwę oderwały niejako od ogólnej nomenklatury. Wytłómaczę się jaśniej.

Wspomniałem już, że Dniepr musiał dawniej tworzyć ramię, w granicach oznaczonych wyżej od Budyszcz do Kryłowa, że tem ramieniem zatem, jako krótszem, a przepływającem przez kraj zaludniony, dla handlu dogodny, kupcy greccy także chętnie posługiwać się musieli. Komunikacya obu ramion przerwać się musiała wyżej Budyszcz, tam gdzie dziś jeszcze krzyżuje się największa ilość rzek, rzeczek, strumieni, błot (Bereźniaki, Tubolcy, Plewaki), a tuż za Mosznami zaczynają się błota Irdyńskie. Kiedy to nastąpiło? Nie wiadomo. Niewątpliwie jednak za czasów Ptolemeusza już nie było łączności między dwoma ramionami, ale istniało wielkie zbiorowisko wodne, dziś tworzące trzy stawy; jezioro Białe, Buzukowskie i Smilańskie, które u Ptolemeusza występują razem jako

jezioro Amadoka. Z tej też strony, jak to dziś widać na paśmie wzgórz, ciągnącem się do Moszniów, były i owe góry Amadokijskie, przeniesione jak Hypanis, na lewą stronę Dniepru. Tak więc Taśmin, dziś płynący od Smiły do Kryłowa, niczem innem nie jest jak tylko starem korytem Borystenesu, tem samem ramieniem, które Ptolemeusz Borystenesem nazwał, bieg Taśminy zaś do Smiły, być musiał dopływem Dniepru. Jeżeli prawdopodobieństwo tego domysłu może być usprawiedliwione, wówczas Metropol nie Kijowem będzie lecz Czehryniem raczej.

Przedewszystkiem nasuwa się uwaga: jeżeli tędy szła droga grecka istotnie, jeżeli znaczna część dzisiejszej Taśminy — od Smiły począwszy — była ramieniem Dniepru, to gdzież są dowody że Czehryń jest, a raczej może być, Metropolem Ptolemeusza? Jeżeli z owym Metropolem Grecya miewała jakiekolwiek stosunki, to oprócz podania ludowego, o którem wspomniałem wyżej, że Dniepr pod Czehryniem płynął, stosunki te mogły się wyrazić w znaleziskach kulturalnych, jak: monety, wyroby ornamentacyjne, broń etc., a w takim razie musiała tu siedzieć gęsto ludność, z którą oni handel prowadzili, że ta ludność, nie od kogo innego tylko od nich przejmowała wszelkie zdobycze cywilizacyjne, bo na tych punktach najłatwiej stykały się dwa światy: grecki i barbarzyński.

Przedewszystkiem co do zaludnienia. Wzdłuż całego porzecza Taśminy, zapewne aż do Śmiły — mówię zapewne, bo do tej miejscowości w czasie ostatniej mojej wycieczki nie sięgałem — wśród piaszczystych lotnych nasypisk, w miejscach gdzie były niegdyś lasy, znajdują się ślady ognisk, na ogromnej przestrzeni nieraz. Wśród białych piasków odbijają one wyraźnie, jako ciemne lub czarne plamy. Ziemia, grzebana tam, zawiera wyraźne ślady węgla i popiołu, a niekiedy ogromne iloście drobnych czerepów z czerwonej i siwej gliny, z pierwotnym wygniatanym ornamentem. Zebrałem na tych ogniskach kilkanaście wybitniejszych typów czerepów, ale w tej chwili kędyś mi się zawieruszyły i znaleść nie mogę. W drodze z Czehrynia do Adamówki na kilometrowej przestrzeni co najmniej kilkadziesiąt takich ognisk znalazłem. Opowiadano mi również, że wiatr wywiewa tutaj strzały i skrobaczki krzemienne; nie udało mi się wszakże nic ani zdobyć ani znaleść. Co do samego Czehrynia rzecz przedstawia się lepiej. Ogromny młot z jasnego gruboziarnistego piaskowca, z epoki kamienia nieszlufowanego, znaleziony pod polską górą, jest wyrobem niezaprzeczenie miejscowym. Zarówno świadczy o tem materyał, znajdujący

się w obfitości nad Taśminą, jak i zbyt gruby wyrób, że powstał pod ręką prostego robotnika. Znajdują się tu także monety rzymskie, z czasu Antoninów, zwane powszechnie „Iwanowy hołowki“. Proponowano mi nawet kupno, lecz uważałem je za zbyt powszechne, ażeby kupować.

Góra polska dostarczyła najwięcej dowodów, że zanim tu powstał polski zameczek, istnieć musiał inny — pierwej grecki, potem rzymski może. Istnienie tutaj kolonii greckiej z czasów Ptolemeusza zdaje się nie ulegać wątpliwości — świadczy o tem znalezisko Borysa Naumenka, o którem już wspomiałem. Szukając na tej górze, jak i Parsunkin, złota kozackiego, znalazł kilkanaście strzał i zlitek bronzowy.

Po długich poszukiwaniach udało mi się wreszcie i Naumenka odszukać. Ten także przeszedł różne bardzo burzliwe koleje życia, a chociaż był jeszcze niestarym człowiekiem, z różnego pieca chleb jadał. Teraz rybactwem się trudnił, ogromnie narzekając na ciężkie czasy. Mały, łysy, krępy, oprócz rybactwa uprawiał także archeologią — dla handlu. I on należał do typu poszukiwaczy skarbów, szukał wszędzie gdzie tylko „pieniądze się palą“, ale mu zawsze ktoś lub coś przeszkodziło: to kur zapiał, to zając drogę przebiegł, to kędyś na stepie wilk zawył, ale Borys znał się na rzeczy, oho — ho — ho. nie jego oszukiwać: to „czortiaka“ w zająca lub wilka przedzierzgał się... słowem, miał szczęście do stracenia pieniędzy, lecz do znalezienia — ani rusz. „A to rybołóstwo — co to ono warto teraz! — powiadał z żalem. — Raki wyzdychały, ryby wyłapali — jeździsz, jeździsz cały dzień i dziesięć płotek lub karaśków złapiesz, za które na targu pięć kop. dadzą. Dawniej — bywało — jak człek wyjechał na wodę to w mig pełne czółno raków nałapał. Prawda, że to było za bezcen. Jak zaczniesz — bywało — wybierać, to dziesięć worków nazbierasz tego paskudstwa, po kopiejce worek. Jak nie sprzedasz, to przynajmniej zjesz, a teraz ani złapać ani zjeść „czort ma“! Tacy to ludzie zajmują się archeologią. Parę razy ktoś wstąpił do Czehrynia i zapytał o „Iwanowy hołowki“, o „strzały“, o „krzemienie różne“ — i zrodził się przemysł pewnego rodzaju.

Ja byłem o tyle szczęśliwszy od innych, że Naumence udało się znaleść w jednem miejscu nie tylko strzały różne bronzowe, lecz także zlitek bronzu i żużle — ślad że tu, w Czehryniu, może w owym starożytnym Metropolu, była niewątpliwie fabryka wyrobów bronzowych. Znalezionych kilkanaście strzał, ślicznej roboty, nieużywanych prawie, pokrytych jednak najpiękniejszą patyną, jaką

sobie tylko wyobrazić można, fibuła (górna część), do której nie zdołano może jeszcze dorobić szpilki, wreszcie żużle i bronz w zlitkach — są chyba najlepszym dowodem, że przedmioty te wyrabiano na miejscu. Ani Parsunkin ani Naumenko nie wiedzą co to jest kłamstwo lub fałszerstwo w celach naukowych. Opowiadając o swoich znaleziskach i pokazując miejsce oni nie mieli pojęcia o tem, że dostarczają dowodu naukowego istnienia fabryki bronzów. Nie śmiem twierdzić, że i bronzowa głowica nabytej szabli, którą jako turecką sklasyfikowałem, jakkolwiek odkopaną została we wsi Ositniażce, może być także wyrobem miejscowym. To wszakże wątpliwości zdaje się nie ulegać, że wyroby bronzowe Czehryńskie szły w obieg pośród mieszkańców nadbrzeża Dnieprowego, gdyż zwiedzając Wiszenki, o dwadzieścia kilka wiorst za Kijowem, w kolekcyi o. Jankowskiego znajdowałem strzały i fibuły takiego samego typu jak w Czehryniu.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa pochodziły one z Czehrynia.

Trzech zębów, kupionych również od Naumenki, nie miałem możności oznaczyć.

## IV. Subotów.

Być w Czehryniu, a nie oglądać Subotowa, byłoby to wszystko jedno co być w Rzymie, a nie widzieć Papieża.

Powiadają, że Subotów o 7 wiorst oddalony od Czehrynia, ale proszę te 7 wiorst przejechać! „Na kiepskie konie — jak mówi Ukrainiec — będzie 14“. Mając przedsmak z podróży mojej poprzedniej, pragnąłem dostać się do owej słynnej niegdyś siedziby Bohdana Chmielnickiego Taśminem. Okazało się jednak, że rzeka w niektórych miejscach tak jest płytką, że groził nam nocleg w szuwarach. Naumenko ochotnie bardzo ofiarował się ze swoją łodzią, ale zdecydowałem się na wózek.

Po obiedzie tedy, gdy już słońce dobrze pochyliło się ku zachodowi, wyruszyłem w drogę. Wózek, jak gdyby był bratem rodzoniuteńkim tych, którymi poprzednio jeździłem, płytki, mały, po tatarsku zbudowany, na wysokich nasadach, mógłby śmiało figurować w jakiem muzeum jako narzędzie tortur ludzkich. Ostatecznie, nie było wyboru; trzeba było jechać takim jakim jeździli wszyscy. Wyruszyłem tedy w podróż wązką i gęsto przez wyboje ozdobioną drogą, wiodącą nad Taśminą. Wszędzie dużo drzew,

dużo zieleni — sady i ogrody bujne, wszędzie dojrzałe wisznie czerwienieją. Natura wesoła, ale otacza ją atmosfera jakaś senna, cicha ciszą lenistwa. Jechaliśmy pośród sadów wązką drogą, tak wązką że ile razy spotykaliśmy się z podwodą, jadącą z przeciwka, trzeba było zatrzymywać się, a furmani tak długo musieli koło wózków manipulować, aż nareszcie bez obawy złamania osi — drewnianych naturalnie — można się było minąć. Po długiem kręceniu się, wydobyliśmy się nareszcie z niziny rzecznej „na step“, a właściwie na dość faliste płaskowzgórze, szczytem którego wiodła droga do Subotowa. Z prawej strony jednem nieprzerwanem pasmem zieloności nad Taśminem ciągnęły się nadbrzeżne osady od Czehrynia aż do Subotowa. Wprawdzie leży na tej linii wieś Słobodyszcze, ale tak się łączy z przedmieściem lewobrzeżnem Czehrynia, że tworzy z niem prawie jedną całość.

Z drogi Subotowa nie widać wcale, gdyż leży on w nadbrzeżnej kotlinie, zupełnie tak samo jak Czehryń położony, z tą tylko różnicą, że ciągnie się z jednej strony Taśminy. Zjechawszy ze stromej góry czyli jak się tu mówi „ze stepu“ albo „od stepu“, wjechaliśmy do wsi dość wielkim i szerokim jarkiem, środkiem którego sączy się strumień i w rozmaitych punktach stoją trzy krynice. Wjechawszy do wsi, skręciliśmy na lewo i podążyli przed siebie. Cała wieś, jak dotychczas, składała się z dwóch szeregów domów; jedne tuliły się pod górą, drugie zbliżały się ku Taśminie i zbudowane były na poniziu. Dopiero ku środkowi wsi osada rozszerza się znacznie i widać dwie cerkwie: jedna w nizinie, na prawo od drogi, druga — na górze. Nie trudno było domyśleć się, że owa na górze jest to właśnie ta, którą w r. 1651 zbudował Bohdan Chmielnicki.

Zatrzymawszy się u podnórza góry, obrzuciłem okiem okolicę. Tam gdzie stała cerkiew Chmielnickiego widocznie odbijało się dwie części, środkiem stromą i wąską drogą przedzielone. Na jednym wzgórku stała cerkiew, na drugim — dworek niewielki, mieszkanie proboszcza. Pragnąc oglądać cerkiew, udałem się najprzód do gospodarza — księdza ruskiego. Był w polu. Poszedłem tymczasem oglądać cmentarz w nadziei, że może tam jaki współczesny pomnik znajdę. Niestety nic, kilka krzyżów typowych, z kamienia nadbrzeżnego o kolistych ramionach, ale z początku XIX. w. — ponadto literalnie nic. Cerkiew zupełnie podobna do kościoła w późnym gotyku, z frontonem i tylną ścianą w stylu gotycko-wiślnym. Do r. 1867 była ona w zupełnej ruinie, dach słomą kryty, zaciekał. W tym czasie wzięto się do przyprowadzenia jej

do porządku, dzwonicę połączono kurytarzem z cerkwią — i zrobiono z ładnej w pomyśle budowy jakiś dziwoląg wydłużony i bezkształtny.

Drogi, wiodącej od wsi do góry, między cerkwią a domem proboszcza, dawniej nie było. W tem miejscu u podnórza prawie góry, na której wznosił się dom hetmański, był ogromny staw, łączący się z Taśminem, i młyny Chmielnickiego. Dziś wieś rozsiadła się szeroko na miejscu stawu. Od drogi, patrząc na tę górę, na której według podania stał dom Chmielnickiego, widać jeszcze wyraźnie kilka kondygnacyi nasypów, a raczej lepiej powiedziawszy, terasy, przeznaczone widocznie do ustawiania armat, mających bronić domu, owoczesnym zwyczajem na wzór zameczku zbudowanego. Od strony stepu były także zapewne baterye, ale tej części nie miałem sposobności zbadać.

Wrócił wreszcie ojciec Cyryl, młody paroch cerkwi Chmielnickiego, gdyż istnieje od pewnego czasu druga, nowa, większa, w środku wsi, i jego uprzejmości zawdzięczyć muszę oglądanie cerkwi. Wnętrze jej także rażąco odbija odmiennością od wnętrza cerkwi prawosławnych. W korytarzu dobudowanym, wiodącym od dzwonicy do cerkwi, szeregi różnych świętych lichego pędzla. Ikonostas bardzo zgrabny i ładny, cały ozdobiony w różnej wielkości obrazy świętych, wprawionych w rzezbiony ornament drzewny, suto złocony. Prawdopodobnie w znacznej części przechował się on z czasów Chmielnickiego i tylko odnowiony został. Świadczy o tem jego typowość, jego całość w stylu barocco XVII. i początku XVIII. w. Typy świętych nie posiadają wcale sztywności greckiej, przeciwnie znać na nich, nie tylko z układu lecz i z malowidła, pewną miękkość rzymskich malarzy, wyciśniętą przez unię w typach świętych. Z prawej strony ikonostasu wisi wielki obraz W n i e b o w z i ę c i a, bardzo ładne lecz zupełnie zaniedbane malowidło, ozdobione wielkiemi dziurami i rysami, godne odnowienia, a niewątpliwie współczesne budowie cerkwi. O. Cyryl uskarzał się, że w cerkwi nie ma żadnych pamiątek, lecz niesłusznie; należy raczej powiedzieć, że pamiątki te nie są zbadane. Oglądając stare rupiecie cerkiewne, znalazłem w kurzu i zapomnieniu kilkanaście obrazków Świętych, na drzewie malowanych, zaniedbanych, lecz współczesnych niewątpliwie. W ogóle, należałoby wszystkie pamiątki tutejsze sfotografować i zrobić z tego jakieś album Subotowskie — smutnych pamiątek.

W prawobocznej ścianie od drzwi wchodowych znajduje się mała z żółtej blachy tabliczka, na której mieści się suchy i krótki napis

rossyjski brzmiący dosłownie: „tu spoczywa ciało Chmielnickiego". Żadnego grobowca, żadnego śladu — goła ściana, nic więcej. Nie wiem jaką drogą powstała złośliwa i podła legenda, że Polacy wyrzucili z grobu trumnę i prochy Chmielnickiego, ale o takiej zemście nic nasza historya nie wie. Został on sam ukarany za życia jeszcze. Możnaby to życie i wojny tego dziwnego hetmana porównać do huraganu, który zerwawszy się, nie wiedział gdzie leci, co i czyje zniszczy po drodze i gdzie się zatrzyma. Tacy ludzie zostawiają po sobie dużo hałasu, dużo kwi, lecz nic nie budują. Igrając z losem, sami stają się jego igraszką. Nienawiść jest potężnym czynnikiem w życiu narodów, lecz potęgi nie tworzy, przeciwnie staje się hamulcem w rozwoju moralnym, narodowym i politycznym. Tyle też tylko przyniosła własnemu narodowi głośna i krwawa sława, zbyt często pijanego Chmiela. Nie wyrzucili Polacy trumny jego i popiołów z pewnością. Dość spojrzeć na grubość ściany, aby się przekonać, że ta trumna, jeżeli nie w piwnicy cerkiewnej, to w bocznej ścianie spoczywa — tylko nikt dotychczas jej nie szukał.

Obejrzawszy cerkiew, poszedłem na drugie wzgórze, gdzie miał stać niegdyś dwór groźnego Chmiela. Nic nie ma. Dom mieszkalny o. Cyryla i stajnie tam się wznoszą, gdzie niegdyś hulał bez pamięci setnik Subotowski, pisarz wojska Zaporoskiego, później szczęśliwy hetman Ukrainy a jeden z najnieszczęśliwszych ludzi, bo ani sobie ani narodowi szczęścia nie znalazł. Na tem miejscu, gdzie przyjmował butnie posłów moskiewskich, polskich i tureckich, porastają bodiaki i wznoszą się kupy gnoju... Czy może być bardziej tragiczne zakończenie życia i losów?

Z wielkiego dworu Subotowskiego, bronionego działami jak zameczek, do dnia dzisiejszego ocalała tylko część murowanych fundamentów z lewej strony dworku o. Cyryla. Murowany dom rozbierali kamień po kamieniu na własne potrzeby pra-prawnukowie tych, którzy kamienie do budowy w Subotowskiej górze łupali. Dziś, wśród falistej powierzchni, porosłej pokrzywą i olbrzymim liściastym bieluniem, tu i ówdzie ledwie sterczy ponad ziemią kawałek muru, a jak na pośmiewisko losu, z całego zabudowania pozostały tylko fundamenty sześciu pieczysk!.. ślad, że tę hałastrę, kupiącą się koło awanturniczego hetmana, trzeba było przedewszystkiem — karmić obficie. Któż zliczy ilość wołów i baranów, upieczonych w tych pieczyskach dla uczt, które zakończyły się — niewolą.

Ojciec Cyryl powtarza za innymi podanie: że tu są podziemia, wypełnione beczułkami złota... Jeszcze poszukiwań nie robił, ale zamierza.

Rzeczą jest charakterystyczną, że na Ukrainie, jak długa i szeroka, wszyscy marzą o skarbach watażków, wszyscy tych skarbów szukają — smutna spuścizna dziejowa, demoralizująca dotychczas społeczeństwo ukraińskie.

Fr. Rawita-Gawroński.

# ROLA RZEK

## W HISTORYI I GEOGRAFII NARODÓW.

(Dokończenie).

Niektóre ustroje państwowe obejmują obszary klimatycznie, a więc i hydrograficznie niejednolite. Jest to wreszcie właściwością prawie ogólną wszystkich państw i społeczeństw, zajmujących obszar na krawędzi stepów. Tak więc i górny Egipt mniej miał do walczenia z ubóstwem wody, niż Egipt średni lub dolny; to samo przeciwieństwo w większym nawet stopniu występowało między nadgangesową Bengalią, a Pendżabem, natomiast rzesze księstw ruskich zajmowały obszary od czarnomorskich stepów aż do puszcz litewskich i nadwołżańskich. Najazd nomadów rzadko przekraczał krainy stepów, a uwolnienie od gniotącego najazdu prawie z reguły wychodziło od pobratymców, zamieszkujących lepiej nawodnione dziedziny. Władztwu Babilonu położyli kres Medowie, a panowanie Hyksosów złamał Egipt górny; jarzmo Tatarów gięli książęta Litwy, a złamali Wielkorusini, a walka przeciw panowaniu Maurów zrodziła się w Pyrenejach. Są to zupełnie zrozumiałe konsekwencye: różnorodność przyrody krajów, zajętych przez jedno społeczeństwo, staje się przyczyną dobrobytu i kultury przez ułatwioną wymianę odrębnych płodów natury; podbój jednej przyrodniczo odrębnej dzielnicy kraju wyklucza wolną wymianę między pobratymcami — złamanie więc ciążącego nad stepową dzielnicą najezdnego samowładztwa leży zarówno

w interesie ludów stepu, jak i przyległych, lepiej nawodnionych dziedzin, a tylko te, nad któremi nie ciąży wieczna troska o chleb powszedni mogą zrodzić mścicieli niewolników przyrody i najeźdców.

Populacya żyznych nizin lub płaskowyżów wcale nie jest wolną od wpływu rzek i dolin, które zawsze i wszędzie kierunki ruchu ludności z góry wytyczają i wiążą w ogniska, czy węzły, nieraz bardzo ściśle określone. Antropogeograficzny charakter niezbyt wysokich płaskowyżów i nizin wykazuje jednak wybitne różnice, choćbyśmy nawet równą żyźność i produktywność obu tych obszarów przyjęli. Przedewszystkiem płaskowyże, których klasyczny przykład przedstawia Podole, odznaczają się kilku charakterystycznemi właściwościami budowy, cechującemi krajobraz, przyrodę kraju i ludzi. Poziomo ułożone warstwy sprawiają, że wody gruntowe, przywiązane do jednej z warstw, wszędzie w jednakim prawie, a nieraz bardzo głębokim poziomie się znajdują. Wiercenie studni, umożliwiającej powstanie osady, połączone bywa z ogromnymi nieraz kosztami; jedyne źródła znajdują się w naturalnych wcięciach terenu, w głębokich jarach, lub jeszcze głębszych dolinach kanjonowych; wszystkie tedy osady znajdują się na dnie, lub na zboczach głębokich jarów płaskowyżu. Położenie na zboczu, acz od wody odleglejsze, ma jednak inne zalety przed położeniem na dnie doliny. Właściwością prawie wszystkich dolin płaskowyżu jest słaby spadek w górnej, najsilniejszy w dolnej części doliny, więc przeciw utartemu schematowi o t. zw. „górnym, średnim i dolnym biegu rzeki“. Dlatego to są dna dolin płaskowyżu prawie w całym ich przebiegu zabagnione, co z jednej strony zmusza ludzi do najdalszego usuwania swych osad od osi doliny ku zboczom, a sprawia z drugiej strony, że linie komunikacyjne, unikając mokrych dolin, biegną działami. Płaskowyże są więc jedynym terenem, w którym drogi i osady mają odrębne kierunki, pierwsze mają kierunek działów, drugie dolin, bo woda jest niezbędniejszym czynnikiem w osadnictwie, niż nawet linie komunikacyjne. Charakterystycznem jest wszakże, że płaskowyże należą nawet mimo korzystnego nawodnienia do najsłabiej zaludnionych dziedzin, że brak na ich obszarze osad wielkich, które zwykle tylko na krawędzi płaskowyżów występują tam, gdzie bądź linie komunikacyi działowych się krzyżują, bądź, gdzie linie komunikacyi działy opuszczają, a wchodzą w doliny. Podole, Jura szwabska i frankońska, obszar wyżyny burgundzkiej, Ardennów i t. d. dostarczają wymownych przykładów: 1. niewolniczej zawi-

słości osad wyżynnych od przebiegu dolin, 2. niezawisłości linii dróg od dolin, skutkiem tego, 3. słabego zaludnienia tych obszarów, 4. krawędziowego położenia większych osad.

W nizinach jest zawisłość osad od przebiegu dolin i rzek, założywszy naturalnie dobre nawodnienie, daleko mniejszą, niż na płaskowyżach. Przyczyny tego są widoczne: Sieć wodna nizin jest z reguły znacznie gęstszą, niż na wyżynach, poziom wody gruntowej niski; drobne wyrwy w terenie wyprowadzają źródła na powierzchnię; kraj płaski ułatwia dostęp do rzek i potoków, różnice poziomu między rzeką, a płaszczyzną niżu, z reguły bardzo nieznaczne, sprawiają, że prowadzenie dróg, zarówno podłużnych jak i poprzecznych do strug i potoków, żadnych trudności nie nastręcza. Na nizinach przeto wywierają wyraźniejszy wpływ na kierunek osadnictwa tylko doliny rzek pierwszorzędnych, większych, w ogóle tych, które dostarczają osadnikowi nietylko wody, ale innych korzyści, jak siłę poruszającą, lub drogę wodną. Poza przebiegiem rzek głównych będzie miało osadnictwo więcej jednostajny charakter. Już ten czynnik, że na niżu osady rozrzucone są więcej niż na wyżu równomiernie, sprawi silniejszą populacyę niżu; ale jeszcze bardziej wpływa na powstawanie wielkich osad niżowych krzyżowanie się komunikacyi, o czem poniżej. Tymczasem niech ilustruje powyższą zasadę wyrwany przykład z populacyi Galicyi.

| | | Osady | |
|---|---|---|---|
| Sekcya karty 1 : 75.000 | Liczba osad | w dolinie | poza doliną |
| Buczacz-Czortków (wyżyna) | 59 | 54 | 5 |
| Rudnik-Raniszów (nizina) | 92 | 62 | 30 |

Niewątpliwie charakterystyczne cyfry tej próby wcale nie wymagają dalszych wyjaśnień.

Aby ująć genezę pierwszorzędnych osad pod wpływem krzyżowania się dróg wodnych i lądowych w ścisłe prawa, należy sobie w każdym razie zdać sprawę, jak potężnym czynnikiem komunikacyjnym jest rzeka i jej dolina.

Powołanie do życia nowych środków komunikacyjnych, które wiekowi ubiegłemu tak wybitne piętno nadały, wcale nie obniżyło znaczenia dawnych, prastarych środków, t. j. dróg bitych i wodnych. W krajach bogatych, a społeczeństwach zdolnych do dal-

szego ekonomicznego i kulturnego rozwoju, wszystkie środki komunikacyjne równą troskliwością bywają otaczane, bo wszystkie równą korzyść narodom zapewniają.

Załączona tabelka da przybliżone wyobrażenie o relacyi, zachodzącej między bogactwem, kulturą narodów, a doskonałością wszystkich środków komunikacyjnych danych obszarów.

| | Na 1000 km.² obszaru wynosi | Na 1,000.000 mieszk. długość w km. | Flota handlowa w 1000 tonn |
|---|---|---|---|
| | Dróg bitych | Dróg wodnych | Kolei żel. |
| Anglia | 800 | 25 (16·4 ) | 108 | 350 |
| Francya | 1246 | 25 ( 9·4 ) | 78 | 56 |
| Niemcy | 780 | 23 ( 3·9 ) | 85 | 55 |
| Austr.-Węgry | 335 | 10 ( 1·3 ) | 48 | 8 |
| Rosya | 22 | 7 ( 0·13) | 7 | 8 |

*Nb.* cyfry, podane przy drogach wodnych w nawiasie, odnoszą się do sztucznych dróg wodnych, których udział imponuje w Anglii i we Francyi; wreszcie cyfry są dość wymowne, nawet bez dalszej ich analizy i tłómaczenia ich wpływami przyrodniczymi. Specyalnie co do dróg wodnych (rzek i kanałów) to sądzę, że nie będzie powszechnie znaną rzeczą, że ruch towarów na rzekach wynosi n. p. we Francyi 27% ruchu kolejowego, w Niemczech zaś jeszcze 13%, dalej, że sześć dróg wodnych dostarcza Paryżowi w porównaniu do 15 linij kolejowych 70% towaru, wreszcie, że ruch towarowy w porcie Sekwany w Paryżu, dorównuje ruchowi towarów w dwu największych portach morskich Francyi, t. j. w Marsylii i Bordeaux, razem wziętych. Tak potężne porty rzeczne ma każdy kraj o ożywionym ruchu handlowym, a dwa mniej znane porty nad Elbą w Czechach (Aussig i Laube) dorównują ruchem towarów (co do wagi) Tryestowi. Tych kilka wyrwanych cyfr niech będzie wystarczającą na tem miejscu ilustracyą doniosłości rzek w dobie współczesnej.

Za daleko by odwiodło od celu nacechowanie roli różnych środków komunikacyjnych w ich rozwoju historycznym. Ponad wszelką wątpliwość jest pewnem, że w długich czasach panowania wyłącznie naturalnych środków komunikacyjnych, rzeka była tym torem, którym pokojowa i wojenna wymiana przyległych ludów się odbywała.

Z licznych przykładów niech mi będzie wolno zwrócić uwagę na wędrówkę nazwy Szwabów, określającą plemię Niemców, Mazurów jako synonimu Polaków; pierwsza nazwa wędrowała Dunajem, druga Wisłą. Szlakiem Dunaju szły wędrówki ludów na za-

chód, wyprawy Krzyżowe na wschód, Wołgą posuwała się w górę i w dół idea państwa wszechrosyjskiego. Już powyżej miałem sposobność wykazać relacye, zachodzące między kulturą i bogactwem, zaludnieniem lądów, a siecią rzek, stanowiącą o ich dostępności; wykazałem, że w górach rzeka i dolina są jedynemi pozycyami osadnictwa, a w krajach stepowych i wyżynowych jedynym warunkiem osadnictwa, wyjaśniłem wreszcie, dlaczego w krajach niżowych nie ma tej niewolniczej zależności położenia osad od przebiegu rzek.

Pewne oswobodzenie osadnictwa niżowego od kierunków wskazanych, zwłaszcza przez drugorzędne strugi wody nie obniża zgoła znaczenia rzek większych, owszem rośnie ono i to wcale nie proporcyonalnie, a to w miarę, jak ich dorzecze się powiększa i silniej rozgałęzia. Wiele na to przyczyn się składa. Ujście rzeki jest kluczem do całego dorzecza, a w razie, gdy dział, z którego rzeka wypływa nie jest dostatecznie wyraźny, może się wpływ ujścia jednej rzeki przenosić na inne dorzecza i zlewiska. Ujścia rzek Bałtyku zawiodły Normanów na morze Czarne, a historya kolonizacyi europejskiej w innych częściach świata, dostarcza tysiącznych przykładów niezwykle korzystnych warunków osadnictwa obok ujścia rzeki, mającej w lądzie dobre rozgałęzienia sieci wodnej i połączenia z innymi systemami.

Rozliczne tendencye polityczne i objawy kulturne wyjaśnią wyjątkową korzyść, jaką przedstawiają ujścia rzek. Naoczność zjawiska, że wody płyną z gór, że masy ich w dół rosną, ale początek sięga bezludnych skał, dawała niejednokrotnie pochop do przypuszczenia, że kultura z biegiem rzeki się rozpościerała, że jej ojczyzną są górne części dolin. Potwierdzenia tej baśni szukano w kulcie dla źródeł, we wspólnych cechach kulturnych, mieszkańcom całej doliny właściwych, a grecka baśń o Ninusie i Semiramidzie stworzyła dla tej błędnej hypotezy pozornie faktyczną podstawę. Ścisła krytyka historyczna, poparta wymownie wykopaliskami stwierdziła, że wszystkie wielkie kultury powstały w obszarze deltowym wielkich rzek. Niż Hoangho jest ojczyzną chińskiej, Bengalia indyjskiej, dolny Egipt egipskiej kultury; kultura chaldejska nie tylko nie wędrowała z Assyryi w dół rzekami międzyrzecza, lecz przeciwnie z krajów Sumir, Akkad i Elam, w delcie położonych, wędrowała w górę do Babilonu, skąd i do Assyryi dotarła.

Wspólność znamion kulturnych, a często i etnicznych ludów, dorzecze zamieszkujących, jest następstwem materyalnej przewagi

krajów deltowych ponad krajami dorzecza górnego. Te stosunki nie mogą pozostać bez doniosłych politycznych tendencyi i historycznych konsekwencyi. Nasuwa się do pewnego stopnia analogia między ludami koczowniczymi stepu, a ludami górnych dolin, między ludami delt a ludami na stepie osiadłymi. W obu wypadkach tam ubóstwo i nieustanna walka ze srogą przyrodą, więc hart duszy i ciała, tu dobrobyt, bogactwo; gdy jednak osiadłe ludy stepowe są pozbawione wszelkiej odporności, ludy delt mają bogactwo i zbytek od przyrody w darze dany bez walki i trudu, co więcej obfitość wody czyni ich kraj obronnym, jeśli nie niedostępnym.

Małe z natury państwa deltowe (Hollandya, Lombardya-Wenecya, Piza, wolne miasta niemieckie: Lubeka, Hamburg, Brema etc.) są z powodu swego, przyrodą zawarunkowanego bogactwa, ale może jeszcze więcej dlatego, że są potężnymi pośrednikami, a w danych warunkach pasożytami rozległych obszarów, w górę od ujścia się rozpościerających, przedmiotem zawiści i naporu w tendencyach migracyjnych ludów, górne obszary zajmujących. Na tem tle toczyła Polska wiekowe walki o ujście Odry, Wisły i Niemna z Brandenburgią i Krzyżakami, z tej przyczyny mieszała się Rosya w sprawy kozackie nad Dnieprem, a niedostateczne rozwiązanie kwestyi bałtyckiej, zupełna klęska Polski w kwestyi czarnomorskiej, były pierwszą nieuleczalną chorobą tego organizmu państwowego. Wojna trzydziestoletnia była wielką klęską dla Niemiec już przez samo długoletnie pustoszenie kraju, ale większą może klęską było, że „pokój westfalski“ oddał w ręce obcych i wrogich Niemcom mocarstw ujścia Odry, Elby i Wezery, bo tem samem odjętą została Niemcom możność korzystania z dzieł pokoju. W podobnych warunkach znajduje się Austrya, która tylko obszary źródeł i średniego biegu rzek dzierży, a jednym z najważniejszych punktów zawiłej kwestyi oryentalnej, jest właśnie walka o deltę Dunaju.

Dążenia krajów górnych do zajęcia państw deltowych są tedy zupełnie uzasadnione, stare są jak ludzkie dzieje, tak też są stare motywa tego dążenia. Gdy władcy Etyopii żądali od królów egipskich haraczu, motywowali to tem, według legendy, że Egipt jest darem Nilu; gdy w tysiące lat później Napoleon zajmował Hollandyę nie miał innego na usprawiedliwienie tego gwałtu tłómaczenia: wszak Hollandya jako delta Renu, Mozy i Skaldy jest napływem francuskiej ziemi.

Po tem zaznaczeniu wszechstronnej antropogeograficznej doniosłości rzek, będzie wskazane kilku słowy zwrócić uwagę na pra-

wa, warunkujące powstanie pierwszorzędnych osad, o ile na to rzeki wpływ wywierają.

Powszechne uznanie wpływu rzek na genezę wybitnych osad charakteryzuje dowcipnie, a trafnie, anegdota o pewnym niemieckim pedagogu, który zrozumienie tej zawisłości następującem zdaniem utwierdzić usiłował: Der liebe Herr Gott hat so die Welt erschaffen, dass Er an jeder Grossstadt einen grossen Strom vorbeifliessen liess.

Powstawanie większych osad, w ściśle określonych pozycyach rzeki, da się odnieść bądź do ogólnego prawa osadniczego, powszechnie dającego się stwierdzić, bądź wreszcie do niektórych lokalnie ograniczonych właściwości biegu rzeki lub systemu wodnego.

Prawo ogólne można sformułować: Ruch komunikacyjny i handlowy odbywa się i to na całym świecie w dwu zasadniczych kierunkach: w południkowym, w którym zmieniają się płody natury z powodu zmian klimatycznych, jakoteż w równoleżnikowym kierunku, w którym zmieniają się kultury. Ponieważ rzeka ułatwia komunikacyę w kierunku biegu, a wstrzymuje jej pochód w kierunku prostopadłym do biegu, przeto naturalne, że wzdłuż rzeki będą rozmieszczone liczne miasta, rosnące w dół rzeki, w miarę jak rośnie siła jej wód, a temsamem jej wartość społeczna, a miasta te przypadną na punkta przecięć poprzecznych dróg z liniami rzek. W ten sposób powstają zwłaszcza na nizinach, gdzie stosunki osadnictwa, dzięki prawidłowemu kierunkowi dróg, są najbardziej regularne, formalne szachownice wybitnych osad, równoległe szeregi miast, których znaczenie i wielkość rośnie w kierunku pochylenia niżu. To prawo stwierdza osadnictwo wszystkich niżów wielkich i małych, słabo, czy gęsto zaludnionych. Za przykład niech służy niż Lombardzki, a szczególniej osady nad słynną rzymską Via Aemilia (Rimini, Forli, Bolonia, Modena, Parma, Piacenza, i liczne mniejsze), których prostolinijny szereg zarówno ścisłą zawisłość od kierunku drogi jak i brodów rzecznych wymownie stwierdza. Podobne relacye dałyby się wyprowadzić na punktach krzyżowania się z rzekami całej gęstej sieci dróg rzymskich, które tak doniosłą rolę odegrały w historyi osadnictwa południowej i zachodniej Europy. To samo prawo uwidocznia się także i w rozwoju osad nowszych, n. p. niżu Polsko-Niemieckiego. Oto trzy szeregi miast w przybliżeniu równoległe: I.) Sokal (Bug), Sandomierz-Kraków (Wisła), Wrocław (Odra), Lignica-Gorlice (sieć Odry),

Drezno (Elba), Lipsk-Halla (sieć Elby), Kassel (Wezera), Koblencya (Ren); miast 11, średnio 145 tysięcy mieszkańców. II.) Brześć Litewski (Bug), Warszawa (Wisła), Poznań (Warta), Frankfurt (Odra), Magdeburg (Elba), Brunświk-Hannower-Minden (Wezera i jej sieć). Kolonia (Ren); miast 9, średnio mieszkańców 195 tysięcy. III.) Gdańsk, Szczecin, Hamburg-Altona, Brema, Rotterdam-Amsterdam; miast 7, średnio 286, względnie 334 tysięcy mieszkańców, a to uważając Altonę-Hamburg za jedno miasto. Charakterystyczne jest, że wraz z objawem zespalania się sieci wodnych w dół niżu maleje liczba osad, ale wzrost ich potęgi, jak wzrost znaczenia rzeki przy ujściu nie jest wcale wprost odwrotnie proporcyonalny do zmniejszonej liczby miast, bo oto suma mieszkańców pierwszej grupy wynosi mało nad $1^1/_2$, drugiej grupy $1^3/_4$, a trzeciej grupy, dwukrotnie liczebnie od pierwszej słabszej, wynosi 2 miliony mieszkańców.

Prawidłowość tę można śledzić aż do daleko idących szczegółów osadnictwa, jak tego dowodzi rozmieszczenie osad nad rzekami Karpat w Galicyi. Możemy tam mianowicie rozróżnić również trzy szeregi osad: Pierwszy, w punkcie, gdzie źródliskowe potoki łączą się w rzeki, więc osady, przeważnie od równoleżnikowej komunikacyi wykluczone; tu zaliczam osady jak: Milówka, Jordanów, Nowy Targ, Piwniczna, Żmigród, Dukla, Lisko, Ustrzyki, Łopuszanka, Turka, Skole, Weldzirz, Perehińsko, Sołotwina, Pasieczna, Mikuliczyn, Żabie. Drugi szereg znaczą pierwsze rozleglejsze kotliny wśródgórskie — komunikacya poprzeczna do biegu rzek przeważnie istnieje; tu należą: Żywiec, Maków, Myślenice, Stary Sącz, Nowy Sącz, Gorlice, Jasło, Krosno, Sanok, Chyrów, Stare miasto, Synowódzko, Dolina, Bohorodczany, Nadwórna, Delatyn, Kosów, Kuty. Trzeci szereg wyznacza brzeg karpacki — komunikacya poprzeczna najsilniej ożywiona, stąd też i najwybitniejsze tu powstały osady: Bielsko-Biała, Kęty, Wadowice, Bochnia, Tarnów, Dębica, Rzeszów, Przemyśl, Sambor, Drohobycz, Stryj, Kałusz, Stanisławów i Kołomyja. Średnia liczba mieszkańców I. grupy wynosi 3·2, drugiej 4·5, trzeciej wreszcie 15·5 tysięcy; cyfry te są na małą skalę zupełnie analogiczne do ilości, wyprowadzonych dla niżu polsko-niemieckiego, a niech służą tylko jako przykład do jak dalekich szczegółów prawo powyższe w osadnictwie się stwierdza. Fakt, że nie ma w Galicyi czwartego szeregu miast przy ujściu dopływów do Wisły lub Dniestru nie przemawia przeciw prawu osadnictwa, lecz tłómaczy się innemi okolicznościami. Przy ujściu Białej, Soły, Skawy i Skawiny znajdują się osady (Pszczyna, Oświę-

cim, Zator i Skawina), których znaczenie jest wprost proporcyonalne do wielkości dopływu; inne dopływy ani Wisły, ani Dniestru nie powodują powstania osad, a w każdym razie ich położenie jest znacznie od ujścia dopływu odległe, co zauważyć można na położeniu Stryja, Stanisławowa, Komarna lub Buczacza. Przyczyny tego zjawiska dostatecznie tłómaczy niebezpieczeństwo powodzi, mogące w zupełności zniweczyć zalety położenia. Faktycznie zwiększone niebezpieczeństwo powodzi przy ujściu jest regułą i dlatego większe osady, korzystające z krzyżowania się dróg wodnych i lądowych wyjątkowo tylko położenie ujścia zajmują (n. p. Lyon, Koblencya, Niżny Nowogród, St. Louis i t. d.), a z reguły znajdują się w górze od ujścia nad rzeką komunikaeyjnie ważniejszą, zajmują więc położenia bezpieczne, a mogące jeszcze korzystać z krzyżowania się dróg; jako przykład z licznych stanowisk tego rodzaju może posłużyć: Warszawa, Praga, Wiedeń, Pawia, Mantua, Kazań i liczne inne. Jeśli jednak brzeg rzeki głównej, przeciwległy ujściu jest stromy, co dosyć pospolitem i naturalnem jest zjawiskiem, wtedy osada ujściowa mimo utrudnionego dostępu do obu rzek zajmuje brzeg wysoki naprzeciw ujścia, korzystając z pobliskiego krzyżowania się dróg. Takie położenie mają: Sandomierz, Ulm, Moguncya, Adrianopol i liczne inne.

Nietylko ujście dwu rzek, także ujście rzeki do morza powoduje niebezpieczeństwo i to zarówno powodzi, jak nie mniej zamulenia portu przez prądy morskie, na czem przecież wyłącznie doniosłość przymorskiego położenia polega. Prądy morskie unoszą na północnej półkuli osady rzeki na prawo, na południowej półkuli na lewo od ujścia[1]). Najkorzystniejsze tedy położenia osad przymorskich są więc wprawdzie do ujścia rzeki przywiązane, ale bądź to poza obrębem działania prądów morskich, więc w pewnej od ujścia odległości, bądź na morskim brzegu na lewo od ujścia (półkula północna). Hamburg, Brema, Szczecin, Antwerpia, Rouen, Bordeaux, Lizbona, Buenos Aires, Baltimore, Philadelfia, wreszcie Nowy York stwierdzają pierwszy ustęp tego prawa; natomiast położenie starogreckiego portu Marsylii, tworu Aleksandra Wielkiego Aleksandryi, wreszcie Odessy, ilustruje drugi ustęp tego prawa.

Oprócz tego ogólnego prawa osadniczego, którego zarys z uwzględnieniem wpływu rzek powyżej podałem, łatwo jest ująć

[1]) N. b. odnosi się to tylko do mórz zamkniętych, na Oceanach stosunek się odwraca (zwykle) — wyjaśnienie tej wreszcie elementarnej kwestyi nie może leżeć w ramach tej rozprawki.

w pewne prawidła cały szereg poszczególnych warunków osadnictwa, zawisłego od biegu rzek, lub właściwości sieci wodnej, przyczem raz utrudnienie, lub ułatwienie komunikacyi, krzyżowanie jej, lub przerwa, wreszcie obronność położenia o powstaniu osady rozstrzygały; często współdziała kilka czynników, a wtedy warunki rozwoju się potęgują.

Przypatrzmy się kilku takim szczegółowym prawidłom osadnictwa:

Brody rzek niewątpliwie ułatwiają komunikacye — mogą tedy w danych warunkach dać podstawę do założenia osady; z drugiej wszakże strony brody rzek jako najchętniej przez migracyę ludów poszukiwane są polem walk — osady nad brodami będą często miejscami obronnemi. Wyłuszczyłem poprzednio, że rzeki charakteru naturalnej granicy nie mają, bywały jednak przez państwa potężne jako linie kresowe ich kultury i państwa uważane. Tak n. p. Ren i Dunaj były przez szereg wieków silnie bronioną granicą państwa rzymskiego, cóż dziwnego, że na lewym brzegu Renu, a na prawym Dunaju rozwinął się cały szereg znacznych i potężnych osad, częścią założonych przez Rzymian, częścią nawet przeważną przez Keltów, którzy korzystali ze zbrojnego pogotowia Rzymian nad Renem i Dunajem. To też nad Renem i Dunajem w Niemczech i Austryi znajduje się 15 osad znaczniejszych (wyżej 20.000 mieszkańców) na brzegu niegdyś rzymskim, natomiast tylko 7 takich osad na brzegu przeciwnym, a i z tych są trzy pochodzenia rzymsko-keltyckiego Wesel, Duisburg, Wiesbaden z czasów, gdy granice państwa rzymskiego Ren przekraczały, a jedna jest zupełnie nową osadą (Karlsruhe).

Zjawisko to, że osady powstają na brzegu tym, który jest skierowany ku ogniskom kultury, jest powszechne. Bardzo ciekawie kształtują się w tym względzie stosunki nad Wisłą. Górna i średnia Wisła otrzymywała kolonizacyę z Wielkopolski, w ogóle od zachodu, stąd przewaga osad na lewym brzegu, dolna Wisła pozostawała pod wpływem kultury krzyżackiej — przeważa też liczba osad na brzegu prawym.

Podczas gdy brody ułatwiają przekroczenie rzeki, wierzchołki łuków rzecznych, jako najbardziej zbliżone punkta rzeki jednej do rzek drugiego systemu, są niezwykle korzystne jako pośredniczące w kierunku poprzecznym do ogólnego kierunku głównych rzek. Takie wierzchołkowe stanowiska zajmują Grodno i Kowno nad Niemnem, Przemyśl nad Sanem, Bydgoszcz i Warszawa nad Wisłą, Magdeburg nad Elbą, Peszt nad Dunajem, Bazyleja nad Re-

nem, Orlean nad Loarą, Kazań, Samara i Carycyn nad Wołgą i wiele innych. Charakterystyczne jest dla tych miejscowości, że zwykle są położone na wierzchołku zewnętrznym łuku — wynika to z ich przeznaczenia osadniczego, w przeciwnym razie, rzadko bardzo zachodzącym, mają na brzegu przeciwnym osadę bliźniaczą, tak n. p. Warszawa stworzyła Pragę dla lepszego dokonania celu „pośrednictwa“.

Zbliżony do stanowisk wierzchołkowych jest charakter osad międzyrzecznych i wołokowych, we wszystkich bowiem tych wypadkach należy odnieść powstanie osady do celu pośredniczenia między dwoma drogami przez rzeki wskazanemi.

Z osad międzyrzecznych są najsławniejsze Babilon i jego potomstwo: Seleucya, Ktezyfon i Bagdad, zakładane w ciągu wieków w punkcie największego zbliżenia Eufratu i Tygru; wiele miast o stanowisku wierzchołkowem zbliża się bardzo do typu międzyrzecznego, n. p. Carycyn. Bazyleja i Orlean.

Osady wołokowe [1]), które leżą w górnym biegu rzeki w punkcie, w którym niski dział prowadzi do górnego biegu rzeki, występują zwykle parami. Klasycznym krajem osad wołokowych jest niż Wschodniej Europy. Z polskich miast należy tu para: Smoleńsk i Witebsk, łączące Dniepr z Dźwiną, jakoteż Brześć Litewski i Pińsk, łączący Wisłę z Dnieprem; do tego też typu należą Moskwa-Twer (Oka-Wołga), Kostroma-Wołogda (Wołga-Dźwina), Orel-Kursk (Oka-Dniepr) i inne. Drugim obszarem typowych osad wołokowych jest Francya, Niemcy, a wreszcie najświetniejszego przykładu dostarcza Ameryka zarówno północna, lecz zwłaszcza południowa; gdy jednak w Ameryce północnej ruch komunikacyjny, handlowy i kulturny w kierunku południkowym nie przekroczył zwykle całego dorzecza, a w Ameryce południowej nie objął nawet żadnego dorzecza w całości, nic dziwnego, że znamienite położenia osad wołokowych nie zostały tam jeszcze wyzyskane.

Należy tu dodać, że z rosnącą kulturą i bogactwem kraju obszary wołokowe bywają przecięte kanałami, a przez to bywa osadom wołokowym odjęta możność dalszego rozwoju, polegającego właśnie na zmianie środków transportowych w odnośnych punktach.

Tym samym okolicznościom, t. j. lokalnej przeszkodzie żeglugi, zawdzięczają powstanie i rozwój osady, położone przy wodospadach pierwszorzędnych dróg wodnych. Zawisłość ta jest zupeł-

[1]) „Wołok“ rosyjska nazwa, oznaczająca płaskie działy, przez które łodzie na walcach „wleczono“.

nie jasną, a ilustrują ją miasta, położone niżej progów rzecznych: Assuan (Nil), Szafuza (Ren), Jekaterynosław (Dniepr), Jampol (Dniestr), Dźwińsk (Dźwina), St. Paul (Missisipi) i t. d.

Oprócz dotychczas podniesionych warunków osadnictwa jest mnóstwo innych, mniej lub więcej wyraźnie tę relacyę okazujących. Tak wspomniałem powyżej o istocie warunków, jakie nastręcza połączenie się dwu rzek; często są te warunki niekorzystne, jeśli jednak celem osady ma być nie pokojowa wymiana, lecz obrona, są te położenia nieocenione, stwierdza to tysiące przykładów, a z osad na ziemiach polskich: Modlin, Iwangród, Kistrzyń, Okopy i inne. Tak samo, aczkolwiek niekorzystnem jest położenie na wysokim półwyspie, omal ze wszech stron rzeką oblanym, dla celów obrony jest ono jednak niezrównanem.

Pewno też i osady, na wyspach rzecznych położone, cieszyły się pierwotnie wyłącznie bezpieczeństwem położenia, później jednak w czasach pokoju rozszerzywszy się na oba brzegi, okazało się ich położenie znakomitem (Paryż, Berlin, Halla i t. d.).

Ale chronić się należy przed uogólnieniami, a przedewszystkiem nie sądzić, że jedna przyczyna, jak różczka czarodziejska, cuda działać zdoła; dlatego to niejako na zakończenie niniejszych wywodów podam kilka uwag ogólnej natury, które z pewnemi zmianami formalnemi do wszystkich praw antropogeograficznych zastosować by można.

Woda w postaci rzeki nie jest jedyną pobudką osadnictwa, owszem jest cały szereg innych czynników, które zarówno człowieka do założenia osady spowodowują, jak też osadzie rozwój zapewnić mogą (płody górnicze, specyalne kultury i t. d.). Nie podobna wątpić w zalety położenia Łodzi, Birmingham, Manchester, a przecież żadne z tych miejsc nie jest położone nad rzeką — prawda, że doniosłość tej potrzeby uznał już Manchester, budując kanał dla żeglugi morskiej kosztem 200 milionów koron.

Współdziałające czynniki mogą być bardzo zawikłanej natury, tak, że trudno wyprowadzić ich istotę ze sumy skutków, dlatego jesteśmy skłonni do uogólnień. Z pewnością wszystkie potężne metropolie nie wzniosły się do rozkwitu dzięki tylko rzekom, owszem, więcej niż gdziekolwiek wpływał na rozwój tych potęg duch ludzki, owa potęga, która nawet z przyrodą walczyć potrafi. Położenie Petersburga nad wielką rzeką, ale i nad wielkimi moczarami, wśród srogiego klimatu, którego powstanie było aktem woli Piotra W., było dobrem przed laty dwustu... gdy Rosyi tylko o morskie okienko się rozchodziło... teraz pewno dobrem nie jest, ale się

rozwija kosztem państwa, którego jest stolicą. Dużo ujemnych stron dałoby się powiedzieć o położeniu Rzymu, owego serca i głowy świata, Bruksela ma także czysto polityczne położenie, a siłę czynników ludzkich, politycznych ilustruje doskonale Berlin, który szczodrze przez przyrodę obdarzony wzniósł się w metropolę światową dopiero po doniosłych dla państwa niemieckiego latach 1866 i 1871.

Rola rzek jednak mimo innych czynników czy przyrodniczych, czy wypływających z woli ducha ludzkiego jest mimo to wszechwładną, uwolnić się od jej przewagi, nawet silić się nie będzie duch ludzki; dlatego słusznie możemy powtórzyć za Gattererem, niemieckim myślicielem z XVIII. w., który z właściwą temu wiekowi napuszystością stylu, a polityczną wolnomyślnością tak rolę rzek nacechował: „Rzeki małe, czy duże, niosą szczęście i nieszczęście, władają nad zdrowiem, pożywieniem, dobrem i życiem człowieka, a władają dłużej od Augustów i Ludwików, lepiej od Trajanów, a nieugięciej i srożej od Neronów i tylu innych małych panków, którzy przecież swą władzę od Boga chcieliby wywodzić“.

Dr. Eugeniusz Romer.

JULIANA BARTOSZEWICZA

# LISTY DO RODZICÓW.

(Dokończenie).

## List IV.

*Piotrogród, dnia 6. września 1838 r.*

Najukochańsi Rodzice! Niedługo po moim do Petersburga przyjeździe wziąłem kalendarzyk do ręki i poznaczyłem sobie ołówkiem dni, w których do Was pocztą pisać miałem. Dni takich wypadło na każdy miesiąc mniej więcej po dwa, stosowałem się bowiem do rozmaitych uroczystości domowych; dzień 5. września był również dniem naznaczonym. Już układałem list w myśli, gdy w tem przybył do nas p. Strachowicz, nauczyciel ginm. Woj. Warsz., który siedmiu innych akademików zawiózł do Moskwy. Ta tak wyborna sposobność podała mi pióro w rękę, uwalniając od płacenia poczty. Tamci to prawdziwie mieli wybornie: spali noc każdą, mieli długie popasy, jedli dobrze, stali dzień cały w Mińsku, a drugi w Smoleńsku dla przypatrzenia się sławnym miejscom, odpoczywali cokolwiek w Siedlcach, Biały, Brześciu i Kałuszynie, wszystko to miejsca mi znane; gdy tymczasem nas deszcz dni cztery nieustannie trzepał, całą noc zawsze jechaliśmy i t. d. Podróż nasza trwała tydzień, tamtych dwa tygodnie i na taki czas Rząd przeznaczył pieniądze; p. Schouppe więc, który nam

obiecał, że jeżeli się co z funduszu na podróż naszą zostanie, to nam na równe części podzieliwszy odda, p. Schouppe powiadam, hulał tu za nasze pieniądze, na nic nie żałował, wszystko, co było warto widziec, obejrzał, jeździł dni całe pięknym koczykiem tak, że go nigdy albo bardzo rzadko w domu zastać można było i smaczne zajadał obiady. Zresztą obchodził się z nami dobrze; my się na niego wcale nie gniewamy, a ja tem bardziej, że był tak łaskaw wziąć mój płaszcz i parę spodni z listem do Warszawy. Wyjechał on ztąd 23. z. m. we czwartek, a w niedzielę już miał być w Warszowie, jechał na Rygę.

Bardzo żałowałem, że mnie i wszystkich moich towarzyszów zawiódł bardzo Szymanowski; wszyscy wygotowaliśmy przez niego listy, bo miał tegoż dnia, co i p. Schouppe wyjechać, tymczasem jeszcze dobrze nie wiemy, co się z nim stało. Dałem mu 5 listów we dwie koperty zamkniętych, niech mi rodzice napiszą, czy im wszystkie doręczył. Teraz zaś donoszę, że jestem zdrów zupełnie, że się przyzwyczaiłem do wody i żołądek już mnie nie tak bardzo boli, jak w początkach mego tutaj pobytu, że lubię a nawet bardzo zbyteń na śniadanie i prawie co dzień po dwa kubki wypijam, za co staczam często zażarte walki z zazdrosnym Kiryłłem, którego już rodzice z poprzednich listów poznali cokolwiek.

Nauki rozpoczęły się u nas 30. z. m. we czwartek. Po nabożeństwie w cerkwi uniwersyteckiej, wszyscy uczniowie rozeszli się po salach szkolnych na nauki, ja tylko jeden, że we czwartek nic nie wypadło, poszedłem do siebie. Lekcye trwają po $1^1/_2$ godz., a cztery bywa codzień, więc 6 godzin, to jest od 9 rano do 3 z południa; mnie obowiązuje na tydzień lekcyj 9 lecz prócz nauk obowiązkowych i na inne uczęszczam, np. na język włoski, troszkę matematyki i t. d. w piątek jestem zupełnie wolny. Na naszym wydziale mimo najszczerszych chęci, trudno się nauczyć po russku, bo: 1. profesor literatury greckiej, do którego uczęszczam, Graeffe nic nie umie po russku, tłómaczymy więc z greckiego na język łaciński i po łacinie wykłada nam wszystko, czasem na francuski i niemiecki przekładamy, 2. profesor literatury rzymskiej Freytag[1]) w takiem samem zostaje położeniu; tłómaczymy z nim dwa razy na tydzień listy Horacyusza na francuskie lub niemieckie, 3. prof. literatury niemieckiej. Swiencki lub Swięcki (zowią go i Swencke)

[1]) Freytag Teodor Fryderyk, filolog, Sas rodem, urodz. 1800, wydał kilka dzieł, które zrobiły mu rozgłos w kołach uczonych francuskich i niemieckich. K. B.

tłómaczy z nami raz w tydzień poemat Szyllera pod napisem: „Śmierć Wallenstejna“ na ruskie to prawda, ale taka też to i ruszczyzna.

Co do języka niemieckiego zapisałem się na literaturę i oddział wyższy; niech to Tatuńko powie p. Pilzowi, i bardzo mi dobrze idzie. Nie mogłem tutaj w Petersburgu nigdzie dostać „Śmierci Wallenstejna“, chciałem gwałtem kupić i wczoraj nareszcie po wielu staraniach znalazłem jeden stary egzemplarz w księgarni Hausera, który dziś odbiorę i zapłacę całego rubla. Bardzo byłbym kontent, gdyby Tatuńko dostał gdzie w jakiej księgarni warszawskiej tłómaczenie tegoż poematu po polsku, tłómaczył go bowiem Jan Nep. Kamiński Dyr. polskiego teatru we Lwowie i wydał go r. 1837 w temże mieście. Może gdzie da się kupić na żydach jaki stary egzemplarz, bardzobym był wdzięczny. Lecz jeżeli drogo kosztuje niech Tatuńko nie kupuje, bardzo proszę, ja się i bez niego obejdę, bo nie jest mi koniecznie potrzebny.

Ale za daleko odstąpiłem od mego przedmiotu, wracam więc do niego i piszę: po 4-te nauczyciel języka włoskiego, Mancini wykłada przedmiot swój w języku francuskim, a zatem dla mnie podwójna korzyść; już umiem dobrze czytać po włosku, przypadkowanie i przyimki; małe zdania początkowe również piszemy. Później do tłómaczenia używać będziemy dzieła Sylwiusza Pellico, pod napisem: „Moje więzienia“, tłómaczenie tego również w zeszłym roku wyszło w Wilnie i jest u Glücksberga pod filarami[1]). 5-te naucz. języka franc. Allieux, również bardzo kiepsko umie po rusku; język francuski raz mam tylko na tydzień w sobotę, 6-te prof. filozofii, Fiszer, Niemiec rodem, doskonale umie po polsku, nawet wydał jakieś dziełko filozoficzne w naszym ojczystym języku: ten tylko jeden profesor wykłada swój przedmiot po russku, ale okropnie wymawia, 7. prof. literatury porównawczej Nikitenko, rodowity Rossyanin, tylko jeden na całym naszym Wydziale.

Otóż i koniec! policzcie teraz N. Rodzice moje lekcye, a przekonacie się niezawodnie, że ja nie w petersburgskim, lecz w jakimś niemieckim lub francuskim Uniwersytecie pozostaję. Skarżyć się nam tylko potrzeba na rozkład, jak najgorzej urządzony, bo w jednymże czasie dwie lekcye często przypadają; pokazuje się

---

[1]) Autor listów przetłómaczył trochę później Sylwiusza Pellico: Franczeskę z Rimini, którą wydał Unger z okazyi występów w tej tragedyi słynnej Ristori. K. B.

więc trudność w wyborze, bo nie wiedzieć na co mam iść; tak n. p. Historyi (jeżeli planu nie zmienią) cały rok słuchać nie będę, bo mi szkoda łaciny, a jednakże egzamin z niej zdawać potrzeba. U nas w Uniwersytecie szczęśliwe życie i zupełna wolność zostawiona każdemu! kto chce chodzi na lekcye, kto chce to je opuszcza, świadectw ani dzienników, któremi nam tak w gimnazyum dokuczano, nie ma wcale, tak jest i w każdym Uniwersytecie. Najmilszą jednakże moją zabawą jest chodzenie do Publ. Cesarskiej Biblioteki, do której od nas na nieszczęście dosyć daleko. Pisałem wprawdzie w moim zeszłym liście, że nie mamy do niej wstępu, jak tylko za poręką któregokolwiek z profesorów naszych; to nie prawda, pisałem tak, bo dobrze nie wiedziałem. Dnia 8. sierpnia (we wtorek zawsze jest otwarta Biblioteka od 10. godz. rano do 2. popołudniu do oglądania — wolno przeto każdemu chodzić i notować sobie tytuły dzieł do czytania) był właśnie wtorek, poszedłem więc z jednym kolegą do tejże Biblioteki, zaprowadził nas 2-go letni uczeń, Dawid nazwiskiem, z Lubelskich okolic pochodzący[1]).

Tegoż dnia wydał mi podbibliotekarz Protopopow bilet wolnego wchodu do Biblioteki na czytanie książek we środę, czwartek i piątek od 10. z rana do 8. wieczorem. Nr. biletu 503. Jeżeli Tatuńko sobie życzy, to mu ten bilet do zobaczenia poślę, dla mnie jest niepotrzebny, bo już do księgi bibliotecznej na stałego czytelnika zapisany zostałem. Chodzę przeto w dnie przepisane regularnie do Biblioteki, robię wyciągi jak i inni drugo i pierwszoletni koledzy. Czytałem już kompletne dzieła Dmuszewskiego, Sowińskiego o „Uczonych Polkach“ i pisma Godobskiego teraz czytam, a już na przyszłość zapisałem dzieło ks. Jekla, z niemieckiego jest przetłómaczone na język polski p. Słotwińskiego w 6. tomach pod napisem: „O Polsce, jej dziejach i konstytucyi, Historyę m. Wilna Balińskiego“ i t. d.

Niech Tatuńko powie o tem Walewskiemu, on chce zapewne jakiego dzieła, to ja zapiszę je dla siebie, zrobię wyciągi i te jemu nadeślę, niech tylko do mnie napisze. Cała ta Biblioteka ogromny gmach zajmuje; kilka sal jest napełnionych książkami polskiemi, wszędzie błyszczą napisy: Literatura Polska, Biblioteka Załuskich, Biblioteka Towarzystwa Warsz. Przyjaciół Nauk, Biblioteka Pu-

[1]) Dawid Wincenty, pedagog, znany z paru prac literackich i gramatycznych. K. B.

ławska, Sapiehy, Dąbrowskiego, Czartoryskiego i wielu innych. W piątek ponieważ nie mam żadnych lekcyi, cały dzień w niej siedzę, z wyjątkiem, że tylko chodzę na obiad. Dają nam wszelkie dzieła, jakie tylko żywnie chcemy, może Tatuńko zechce, to i Tatuńkowi nadeślę wyciągi z książek bardzo rzadkich, jakich tylko Tatuńko zechce: potrzeba tylko tytuł dokładnie wypisać, można o tem zawiadomić pp. Łyszkowskiego, Leonowicza, Lipińskiego[1]) i innych, może i oni zechcą czego, zawsze na ich usługi będę gotowy. Niedługo czytać będę dzieło dosyć ciekawe w 5-ciu tomach: „Histoire des Rois de Pologne par Monsieur Salvandy“. Niech Tatuńko nie zapomni i przy sposobności nadeśle mi książki o jakie w listach poprzednich prosiłem; będą dla mnie bardzo pożyteczne, bo z książek naukowych, prócz trajedyi Sofoklesa, które tłómaczymy i kilku kiepskich słowników, nic nie mamy porządnego.

Z miejsc mi wskazanych, jeszcze nigdzie nie byłem; o p. Czapiejskiego nie dopytałem się wcale, ks. Roszewskiego pijara nie mogę nigdy zastać, do Sagatyńskich nie mam z czem pójść i nie wiem, gdzie mieszkają, o ks. Lubeckiej nie wiem czy już wróciła z letniego pomieszkania, do p. Solimy nie pójdę, bo samemu się rekomendować i wpraszać do cudzej łaski i znajomości, to jakoś nie dobrze i t. d. Cała moja znajomość ogranicza się tylko w gronie kolegów.

Jeszcze do tego czasu krawiec nie przyniósł mi munduru, pomimo już kilku dowolnie przez siebie naznaczanych i zrywanych terminów, a mego surduta jeszczem mu nie dał do przerobienia, bo czekam na frak, żebym miał w czem chodzić! Niech Mamunieczka pamięta o moim mundurze, co ma się robić w Warszawie, tylko na wszystko zaklinam Was N. Rodzice, żebyście wiele nie ekspensowali. Ja mam pieniędzy podostatkiem jak na mnie; jeszczem żadnego dukata nie ruszył i jeszcze wcale nie odpruwałem woreczka, ciągle go noszę na szyi. Teraz odbiorę około listopada 22½ rub. ass. za bieliznę a 40 za płaszcz to mi bardzo wygodnie i na cały rok przyszły 1839 wystarczy. Źle na tem bardzo wyszedłem, że wszystkim prawie, kiedy mnie proszą, poży-

[1]) Wszystko nauczyciele warszawscy. O Leonowiczu była już wzmianka, Łyszkowskiego „Wypisy“ powszechnie były znane, Tymoteusz Lipiński ma stanowisko w literaturze. Ciekawy jego pamiętnik z lat 1825—1831, wydałem przed kilku laty z rękopisu, będącego w mojem posiadaniu. K. B.

czam pieniędzy i teraz takim sposobem mam przeszło rubla całego na drobne rozdzielonego kwoty, szkoda i tego tracić! Moi wszyscy koleżkowie hulają co wlazło; piją wprawdzie na śniadanie zbyteń i w tem nie grymaszą, ale za to prawie każdy z nich (pierwszoletni wszyscy prócz mnie i jednego jeszcze) kupił sobie kilka funtów cukru, herbaty, chleba białego i sera. Otóż tedy ci panowie we dwie godziny lub trzy po obiedzie, co wypadnie na 5. lub 6-tą godz. piją sobie herbatę codzień regularnie, około 7-ej zajadają podwieczorek. Chodzą nadto sobie do cukierni na lody i inne łakotki. Ja znowu chowam sobie co obiad i kolacyę po kawałku chleba razowego, abym miał na przypadek, kiedy mi się jeść zachce; w cukierni zaś nie byłem żadnej, nawet wtenczas, kiedym na żołądek chorował, a herbata na uleczenie bardzo by się przydała. Żeby tu była Józiunia, toby zaraz jedną i drugą szklankę mięty nagotowała, a jabym zaraz był zdrów zupełnie. Otóż tedy ja skromnie żyjąc, czekam czasu, kiedy się oni wyhulają i pustki będą mieli w kieszeni, wówczas ja wystąpię i czasem sobie coś takiego pozwolę, bo to dla nas jakby zakazane towary.

Drożyzna tu niezmierna, wszystko przepłacać potrzeba: owoców wcale nie widać, kupiłem sobie wprawdzie dawniej funt malin za 13 gr. było ich bardzo mało, a mnie tylko zęby bolały i trzy dni nie mogłem jeść chleba i mięsa. Gruszki niedawno się pokazały, ale to już zgniłe i brzydkie; za jedną sztukę małej gruszki chciał markietan 12 kopijek, co znaczy 6 gr. Rozgniewałem się i nic nie dałem. Zresztą na niczem nam nie braknie, wyjąwszy jedzenia, o którem już tyle razy Wam N. Rodzice donosiłem, a które nie jest wcale apetyczne. Pieczenią np. nazywają tu mały kawałek mięsa pozostałego z rosołu (ale jakiego rosołu!) i oblanego jakimś niezwykłym u nas sosem; tylko to dobrze, że do tej pieczeni mamy każdy po ogórku; trzeba się jednak spieszyć, żeby wziąć większy, bo w przeciwnym razie dostanie się tak mały, że dwa takie ogórki byłyby na jeden kąsek. Już wczoraj miesiąc się skończył, jak tu mieszkam, a dotychczas dziś mi się po raz pierwszy udało schwycić ogórek większy. Jest tu jedna doskonała potrawa, która się nazywa kasza manna, ale to nie taka manna, którą ja lubię; jest to jakaś drobna kaszka, ale tak doskonała, że my wszyscy, którzyśmy w tym roku przyjechali, za nią przepadamy do tego stopnia, że jeden z nas, Gorecki śmiał powiedzieć, że dla skosztowania jednej łyżki tej kaszy, już było warto do Petersburga przyjechać. To cokolwiek było przesadzone: żeby był

Uniwersytet w Warszawie, to ja bym za 1000 łyżek tutaj nie przyjechał, chyba tylko dla zobaczenia miasta na kilka miesięcy.

Bielizna, którą tutaj dają około Nowego roku, składa się z 3-ch koszul, 2-ch par gatek (za pozwoleniem) 1 chustki na szyję, 3-ch od nosa, zresztą nic, to ma wystarczyć na rok cały, przytem grube płótno, ztąd wypada, że daleko lepiej wziąć $22^1/_2$ rub. ass., przecież mi ta bielizna wystarczy na dwa lata, zresztą za odebrane pieniądze będę mógł sobie co sprawić w razie potrzeby. To tylko bieda, że jak mówią drugoletni nasi koledzy, nie można dawać do skarbowego (kazionnego) prania koszul z pięknego płótna, bo nie dobrze tutaj piorą, pieniądze więc za bieliznę wzięte można w części obrócić na pranie.

Wszyscy nowicyusze, to jest my pierwszoletni, czekamy teraz, kiedy odbierzemy rozmaite nazwiska i przezwiska od naszych przeszłorocznych kolegów: nikt się tu nie obejdzie bez przydomka i tak: jednego zowią Kopernikiem, drugiego Kupernikiem, trzeciego Pułkownikiem, czwartego Admirałem i t. d. Jeden tylko Szlezygier nie ma nazwiska, wszyscy go Józiem przezywają, znak niezawodny, że go lubią. Mnie dotychczas nazywają filozofem i ja sądzę, że się to nazwisko i na później utrzyma. Dziwnie mi się także zdaje, że tak wysokie i duże chłopy, jakie są razem z nami w Uniwersytecie i Polacy i Russcy są okropnie dziećmi. Wrzeszczą, drą sobie gardła na wyścigi, latają, gonią się po salach, biją się czasem żartami, spiewają jak wilki za górami, kwiczą, beczą, grają i t. d. Doprawdy ja się wstydzę nawet, kiedy oni zaczną popisywać się ze swoją umiejętnością. Śmiać mi się także chce, jak oni, będąc już ludźmi dorosłymi zupełnie, jeszcze są tak trzpiotowaci, skaczą i raz wraz tańcują. Niechby już sobie tańcowali wtenczas, kiedy przychodzi nauczyciel, ale to i dzień i noc nie ma spokoju. Wczoraj była pierwsza lekcya tańców, ja zły, że są jeszcze trzpioci pomiędzy nami i uczą się tańczyć, wyszedłem na cały dzień do Biblioteki publicznej. Zbierali pp. tancerze wczoraj dla siebie składkę na muzykę, lecz lubo każdy dał po 10 gr. jeszcze fundusz nie był dostateczny. Mamy tu wprawdzie w sali bawialnej, gdzie się też i lekcye tańców odbywają, pantalion, lecz nie ma grać na nim komu; jest tu trzech grać umiejących, ale bardzo kiepsko.

Dostało nam się kiedyś 15 Nrów Kurjera Waszawskiego od 30. lipca do 14. sierpnia włącznie. Trudno opisać radość, jaką przejęci na ich widok zostaliśmy, bo już też od czasu wyjazdu naszego z Warszawy nikt z nas żadnej gazety nie widział, nie wiemy

nawet, co się w Petersburgu dzieje. Dowiedzieliśmy się z tych kurjerów, że tłómaczem komedyi: „Godzina małżeństwa“, jest Jasiński, który po powrocie swoim z zagranicy pierwszy raz w „Szpadzie mojego Ojca“, wystąpił; że grali nowy balet: „Poliszynel“, w którym p. Lavell główną miał rolę, że dwie komedye będą wznowione, że cerkiew russką budują w Suwałkach; że nasz wielki mowca i uczony ks. Szwejkowski przeniósł do wieczności niestety! (szczegóły jego pogrzebu opisał nam p. Bentkowski w liście do syna), że wielu dostało krzyże, ordery, jakoto p. Koncewicz, o którym mi Tatuńko nic nie doniósł i t. d. Cóżbyśmy dali za to, żebyśmy więcej Kuryerów dostali, przynajmniej byśmy wiedzieli, co się dzieje w naszej kochanej Warszawie, do ktorej każdy z nas wzdycha i tęskni. Jeszcze nikt z nas prócz jednego Łomżaka nie odebrał żadnego listu; ja tylko jeden mam dwa pisma od Was N. Rodzice, często je odczytuję i skrapiam łzami rzewnemi; one rodzą we mnie jakąś pociechę wewnętrzną i radość, której wypowiedzieć nie jestem w stanie. Już to trzeci list piszę okazyą i czwarty nie długo będę pisał przez Danielskiego, o którym N. Rodzicom w ostatnim liście moim doniosłem; zdarzają się więc i częste u nas okazye na teraz, ale czy później również zdarzać się będą, nie wiem, a chciałbym bardzo dużo pisać. Teraz już cokolwiek otęskniłem, ale jestem zawsze nie bardzo kontent, w tej chwili natychmiast siadłbym na powózkę i wrócił do Warszawy. Ale cóż robić, inaczej być nie może, tem się więc tylko pocieszam, że za rok będę Was widział, N. Rodzice i moją kochaną Warszawę.

Teraz przebaczcie mi N. Rodzice nieporządek w pisaniu i w myślach; pisałem, co mi tylko przyszło do głowy, musiałem bowiem spieszyć, bo p. Strachowicz jutro bardzo rano odjeżdża, a do jego mieszkania teraźniejszego będzie blisko mila, trzeba więc iść zawczasu, żeby go zastać. Na drugi raz będę się starał zadać sobie więcej roboty w pisaniu listów; zachowywać większy w myślach porządek. Napiszcie mi N. Rodzice, czy się za to nie gniewacie; może to uważacie za ujęcie powadze Waszej. A teraz serdecznie ściskając ręce i nogi Wasze N. Rodzice, również moją kochaną Józiunię, Ciocię i Wujaszka, pp. Sarneckich, Babunię, Julkę, Józia, Gmunia, Adzia, Klementynę, Nepomusia, Leśkiewicza i wszystkich znajomych, wyznaję iż jestem prawdziwie kochającym synem, siostrzeńcem, bratem, przyjacielem i t. d.

*Julian Bartoszewicz.*

Bardzo żałuję iż pierwej nie wiedziałem o tej okazyi, byłbym tyle listów wygotował, co przez Szymanowskiego, P. Strachowicz bawił tu dwa tygodnie, a zapewne przyjechał za pieniądze pochodzące z oszczędności w podróży do Moskwy.

Po powrocie do Strachowicza idę z kartką do kupca Sobolewa po kapelusz stosowany. Szpady stare, lecz odnowione później dostaniemy — a potem pójdę do Biblioteki publicznej.

# DŁUGOSZ JAKO GEOGRAF.

NAPISAŁ

FR. BUJAK.

Słusznie cieszy się Długosz oddawna ustaloną sławą ojca polskiego dziejopisarstwa, nie mniej jednak słusznie należy mu się zaszczytna nazwa pierwszego geografa polskiego z powodu nieocenionych zasług, jakie położył około geografii ojczystej. Nie był on kosmografem w stylu średniowiecznym, nie ma nawet dość widocznych śladów tej nauki w jego dziełach, choć znać ją musiał [1]), mimo to należy go zaliczyć do największych autorów geograficznych, jakich współcześnie nie wielu było (a mojem zdaniem nawet wcale nie było) w Europie.

Najcenniejszem dziełem geograficznem znakomitego kanonika-dziejopisa jest *Chorographia Regni Poloniae*. Niewiadomo kiedy została napisana, to pewna jednak, że była ona osobnym utworem jego i dopiero później została wciągniętą do kroniki, albowiem się i osobne jej rękopisy znajdują [2]) i jeszcze w r. 1840 osobno w polskiej szacie wydrukowano ją w Lesznie [3]). Charakterystyka Polski, kraju i narodu nie odpowiada wcale czasom Lechowym, w które to czasy jest ona wpleciona w Długoszowej historyi polskiej, owszem podnosi on wyraźnie, że pisze o tem, na co sam patrzy

[1]) N. p. Pisma Alberta Wielkiego i Ailli'ego.

[2]) (Wiszniewski. Hist. lit. pol. IV. 112) cytuje z Janociana III. 111—112.

[3]) Ibidem.

własnemi oczyma [1]). Nie był on przecież tak naiwny, aby twierdził, że wszystkie przezeń wyliczone miasta istniały już za Lecha, który przybywa do niezaludnionego kraju.

Łatwo jednakże było wsunąć rzecz już gotową [2]) w niewłaściwe ramy, przy niewielkiej wybredności pod względem literackim, która cechowała średnie wieki. Pierwszy Długosza kontynuator i abbrewiator, Miechowita, poświęca mu pod datą jego śmierci (1480) pełne czci należnej wspomnienie [3]), a wyliczając jego dzieła dodaje: *scripsit et Geographiam immo verius Chorographiam regni Poloniae, urbes, castra, oppida, flumina, montes atque villagia, cuius situs et depositionis sint.* Jest to jeden z najsilniejszych argumentów, na który dotąd nie zwrócono uwagi. Parę dowodów zaczerpniętych z układu samej chorografii przytoczę poniżej.

Drobna ta praca (50 str. w wydaniu krak. Przezdzieckiego) jest rezultatem ogromnych zachodów i sama byłaby już dostatecznym dla autora tytułem do naszej pamięci i wdzięczności. Zważmy bowiem wśród jakich warunków powstała: prac przygotowawczych nie było żadnych [4]), należy także przypuszczać, że poparcia ze strony państwa nie było, więc że to, co zrobił Długosz, zrobił z własnej inicyatywy, prywatnymi środkami, prywatną drogą. Znał on państwo polskie doskonale, jako sekretarz Oleśnickiego, później jako dostojnik kościelny, poseł i dworzanin królewski (nauczyciel królewiczów), podróżował po niej bardzo wiele, po kilka-

[1]) Długosz. Hist. Pol. I. 55.

[2]) Na to zgadzają się Bobrzyński i Smolka w swej pracy o Długoszu str. 71. Sądzę, że chorografia ta mogła być napisana jako wstęp do historyi samej tylko współczesnej, nigdy zaś do całokształtu dziejów polskich. Popierałoby to teoryę A. Semkowicza o genezie historyi Długosza. Twierdzi on mianowicie (Krytyczny rozwój Dziejów Polski J. Długosza. Kraków 1887, str. 10) że Długosz nie miał pierwotnie zamiaru całej pisać historyi, gdy zaś później objął i czasy piastowskie znacznie już była posunięta praca nad współczesną historyą, nim się do ostatecznej redakcyi pierwotnych zabrał dziejów.

[3]) M. de Miechovia Chronica u Pistoriusa Nidana Polonicae historiae corpus II. p. 235.

[4]) Mimowoli nasuwa się myśl, że Długosz korzystał z jakichś źródeł; mogły to być opisy dawniejsze (częściowe), których śladów jednakże nie ma, albo mapy, które prawdopodobnie istnieć musiały, jak to wykażemy w rozdziale o kartografii, ale czy mogły być tak dokładne, jak chorografia Długosza. Przypuszczenie, że mógłby Długosz korzystać z mapy jakiejś starej nasuwa się i Polowi, ale je stanowczo odrzuca. Zasługi Długosza pod względem geogr. Rocznik Tow. nauk. Kraków 1852, str. 55.

kroć, rzec można, przebył ją wszerz i wzdłuż, nie da się jednak ani pomyśleć, aby mógł sam osobiście zbadać i oglądać wszystko, co podaje, bo niewątpliwie opisywałby wszystko daleko dokładniej, niż to uczynił. Wiadomości po większej części musiał więc zasięgać od swych znajomych lub przez nich, a wyjątkowo mógł się dowiedzieć od pewnej osoby wielu szczegółów, prawdopodobnie zaś mógł liczyć na dość ograniczoną liczbę, przytem musiał relacye jednych sprawdzać świadectwami drugich. Dziś wydaje się nam rzeczą niemożliwą prawie do przeprowadzenia zebrać z całego państwa drogą prywatną dokładne informacye w pewnej kwestyi, Długosz to potrafił dzięki swemu zapałowi dla wiedzy i Ojczyzny przy pomocy swego wybitnego stanowiska, wskutek którego nie tylko mógł, ale musiał się spotykać z wielką ilością ludzi z całego państwa, tak na sejmach, jak na synodach, jakoteż na dworze królewskim.

Ciekawa więc jest rzecz, co go popchnęło do takiego przedsięwzięcia naukowego. Sądzę, że odbija się w tem i ujawnia najlepiej wpływ humanizmu i odrodzenia na niego. Wiadomo, że utrzymywał bardzo dobre stosunki z Kalimachem, z tą jaskółką z południowych stron, przylatującą zwiastować polskiej krainie wiosnę odrodzenia, sympatyzował z nim, ale na starość nie mógł się dać porwać jego apostołowaniu; zbyt silnie stał na gruncie średniowiecznym, aby się od niego oderwać, zbyt był trzeźwym, aby się zapalić do nowości, zatrzymał się więc na rozdrożu między oboma kierunkami. Trzykrotne wyprawy do Włoch w czasie najświetniejszym dla humanizmu oddziałały nań. Skrzętnie kupuje i wypożycza rękopisy starożytnych autorów do kopiowania [1]). Między temi zdobyczami znalazł się i Ptolomeusz. Dowodzą tego słowa Długosza [2]); znajdują się nadto przytoczone i opisane w kosmografii Ptolomeusza nazwy, położenia innych także miast polskich, mianowicie: Calisia, Setidava, Lugidunum, Budorigum, Scurgum, Limosaleum, Oscancalis, Ascancalis, Rugium, Virunum, Viritum i Arsonicum, nie możemy jednak wśród nich rozpoznać ani miejscowości ani imion prócz jednego „Kalisza“.

Szukał więc Długosz, jak widzimy, u Ptolomeusza wiadomości o Polsce, zawiódł się, ale silnie mu się wżył w pamięć ten aleksandryjski astronom, który w przeciwieństwie do innych znanych mu autorów geograficznych, starał się geografią oprzeć na trwa-

[1]) Bobrzyński i Smolka. Jan Długosz jego życie. Str. 62.
[2]) Dług. Hist. I. 55.

łych podstawach, z opowieści zrobić ją nauką ścisłą, ująć ziemię i niebo w sieć linij matematycznych. Metoda Ptolomeusza tak mu się wydała doskonałą, że zabierając się do opisu Polski, chciał się jej trzymać. Astronomem nie był, zresztą gdyby nawet nim był, musiałby całe życie poświęcić takiej pracy, nikt bowiem nie przypuszczał, żeby dane Ptolomeusza były przybliżonemi obliczeniami i wnioskami a nie rzeczywistymi rezultatami obserwacyi. Zachował więc co się zachować dało, t. j. formę katalogową i troskę o oznaczenie położenia i o ilość szczegółów; nie ma zaś u niego dużo rysów i opisów ogólnych, słowem bardzo niewiele konstrukcyi tak, jak u Ptolomeusza, zaniedbał też zupełnie klimat, świat roślinny i zwierzęcy.

Chorografia Długoszowa jest przeto zupełnie oryginalna co do swej metody, nie ma bowiem żadnego średniowiecznego dzieła, któreby do niej było podobne. Głęboko odczuwając potrzebę oznaczenia położenia miejscowości, gór, puszcz, jezior, biegu rzek, posługiwał się w tym celu najprostszymi sposobami, biegiem wód określał położenie miejscowości i na odwrót. Zresztą układ i plan dzieła jest prosty, dzięki swej naturalności zadowalniający, niemal taki, jaki być powinien.

We wstępie daje Długosz ogólną charakterystykę Polski, zaznacza po krótce wszystko, czem się odznacza i czem się różni od innych państw i określa jej granice. Tutaj należy także ustęp: *Poloniae a 4 plagis descriptio*, umieszczony niewłaściwie po opisie rzek [1]). Następnie wylicza autor główne rzeki, do których Wartę obok Odry i Bug obok Wisły zalicza i opisuje ich źródła, bieg i ujścia: daleko obszerniej traktuje ich dopływy, z szczególną troskliwością wyliczając rzeki poboczne Wisły, których aż przeszło 80 notuje, każda tedy rzeka główna stanowi całość odrębną. W końcu wspomina jeszcze cechę wspólną wszystkim rzekom państwa polskiego (z wyjątkiem Niemna), mianowicie ich bieg niespokojny i zmienianie łożyska, tudzież wylicza ważniejsze miasta leżące nad głównemi rzekami [2]). Z kolei zwraca się Długosz do

[1]) Dług. Hist. Pol. I. 26.

[2]) W dalszym ciągu znajdują się tutaj 3 ustępy, jeden wyżej wzmiankowany Descriptio a quatuor plagis, dwa następne o pochodzeniu Słowian i o stosunku Rusinów do Polaków, tudzież o ruskim księciu Odoakarze, ale początek ustępu: Lacus Poloniae praestantiores, brzmiący: Fluviorum polonicalium descriptione expedita..... ad describendum la-

spisu jezior (wylicza ich około 90). Podawszy najprzód definicyę i naznaczywszy ich niezliczoną liczbę na obszarach polskiej monarchii, a zwłaszcza w pobliżu Bałtyku, zaczyna wyliczanie jezior polskich od przysłowiowego i historycznego Gopła, następne ustępy poświęcą jeziorom lubelskim, pruskim, litewskim i ruskim, podając zawsze ich położenie i rozmiary, a bardzo często i inne wiadomości, n. p. o rybach i rybołowstwie, o rzekach, jakie do nich uchodzą, lub z nich wypływają i o osobliwszych właściwościach położenia (otoczenie górami — pokrycie dna okruchami skał); nie zaniedbuje także zanotować, że jezioro Białe w ziemi chełmińskiej w maju i kwietniu ludzkie ciało barwi na czarno, i że tego zabarwienia w inny sposób usunąć nie można jak tylko inną wodą (str. 36), że jezioro Krynice w ziemi bełzkiej (str. 4) co drugi lub trzeci rok „*magno edito mugitu et fluctibus intumescentibus concussus*“ uchodzi w głąb dna skalistego podziemnymi otworami, zostawiając tylko nieznaczną ilość wody w swem zwykłem łożysku [1]). Następnie zajmuje się Długosz orografią Polski, gdzie już nie wspomina o innych, lecz wylicza góry Małopolski, Rusi, Sieradza i Wielkopolski, zaczynając od barwnej sylwetki Łysej góry w Sandomierskiem, nazwanej przez niego Kalwaryą, Wawelu i Częstochowy, a uwzględniając przeważnie góry, na których mieszczą się grody i dodając niekiedy legendy (n. p. o górze Koniuszej str. 42) i wspomnienia historyczne z niemi związane.

Następuje teraz część druga, odnosząca się do ludności zamieszkującej wyżej opisaną ziemię. Po krótkiej, ale bardzo treściwej i bezstronnej charakterystyce narodu szlacheckiego i ludu wiejskiego, zakończonej uwagami o wpływie natury na ukształtowanie się surowego ich charakteru i o zachowaniu się w obec przybyszów — daje ładne obrazki znaczniejszych miast (razem 45), zaczynając od siedzib dyecezyalnych, a między któremi daje pierwszeństwo Krakowowi; po nim dopiero umieszcza Gniezno i Lwów, kończy zaś wzmiankami o miastach pruskich. Uwzględnia ich położenie, warowność i bogactwo, tudzież znaczenie pod względem kościelnym i handlowym; niekiedy dodaje także inne wiadomości n. p. o relikwiach, które posiadają; przy Pułtusku, wspominając o braku uprawy wina w jego okolicy, zamieszcza pochwałę

---

cus... animum inflexi dowodzi, że te ustępy zostały dopiero wtedy wtrącone przez autora, gdy chorografią wcielał do historyi.

[1]) Mieliśmy zatem na naszej ziemi fenomen podobny do jeziora Cyrknickiego w Krainie, dziś o nim już geografowie nie wspominają.

polskiego piwa. Do pierwotnego dziełka należał też (prawdopodobnie) ustęp, malujący złoty wiek przedhistoryczny naszego narodu, jak go sobie Długosz wytworzył z fantazyi pod wpływem lektury Kuźmy (Cosmas) czeskiego, który również na początku swej kroniki (I. 3) roztoczył podobny obraz pierwotnego bytu Słowian nadwełtawskich. Ponieważ skreślił go autor dla przeciwstawienia dawniejszego stanu współczesnemu upadkowi, musiał więc być pomieszczony obok charakterystyki współczesnej Polski. Nie obcy też mu musiał być następny krótki ustęp [1]), który opowiada o dwóch dziwach, jakie się w Polsce spotyka, mianowicie o wykopywaniu urn przedhistorycznych w niektórych okolicach, które uważa zgodnie z całem średniowieczem za samorodne, w ziemi powstające garnki, są bowiem miękkie zrazu i dopiero pod wpływem słońca i powietrza twardną, tudzież o żywicy, wytwarzającej się w lasach sosnowych w ziemi bielskiej i chełmskiej, która po latach staje się twardą jak krzemień tak, że można z niej iskry krzesać. Ostatni ustęp z charakterem geograficznym: *Polonorum varia a situ locorum cognomina* (Hist. Pol. I. str. 58) jest w zupełności oparty na kronice Wielkopolskiej i prawdopodobnie napisany został dopiero w kronice.

Błędów i niedokładności jest u Długosza wiele, ale z żalem przyznać musimy, że jeszcze XVIII. w. (karta Rizzi Zanoni'ego 1772 — co do rzek litewskich) nie we wszystkiem przewyższył Długosza i nie wszędzie ma dokładniejsze oznaczenia, jak ten wielki dziejopis. Jako topograf wzbija się ten niestrudzony miłośnik i badacz wszystkiego, co polskie, na te same wyżyny doskonałości, co i w dziedzinie historyografii. W opisie hydrografii okazuje się Długosz niesłychanym znawcą topografii Polski, wprost zadziwia on skrupulatnością swoją w oznaczeniu źródeł i ujść rzek i rzeczułek. Dzieło jego ma usterki, wskazujące, że nie zawsze krytycznie zapatrywał się na dostarczane mu informacye [2]), ale

[1]) Jak sądzę z tego powodu, że treść tego ustępu wcale nie wiąże się z historyą, a zacytowany jest autor geograficzny, Solinus. Długosz wyraża naiwnie zdziwienie, że Solinus, wyliczający wszystkie dziwy świata o polskich osobliwościach nie wspomniał. Manuskrypt Solinusa z XIII. w., będący niegdyś własnością Długosza, znajdował się w bibliotece Załuskich, dziś więc spoczywa prawdopodobnie w bibliotece w Petersburgu. Wartoby sprawdzić, czy nie ma tam notat własnoręcznych Długosza. (Patrz Janocki Cath. cod. bibl. Zaluscianae 1752, str. 5, nr. 20).

[2]) Hist. Pol. I. 40. Notandum insuper, quod a lacu sen palude insignii — 30 milliaribus supra oppi-

stwierdzają one zarazem nadzwyczaj cenny i wybitny rys jego charakteru, t. j. niesłychaną troskliwość o dokładność, o gromadzenie wszystkich dostępnych wiadomości, że ciągle zbierał, ciągle dopisywał i poprawiał i myślał o swem zadaniu [1]). Jako najkardynalniejszy błąd wytknąć należy Długoszowi zupełny brak zmysłu do orografii, nie widzi on łańcuchów górskich, nie widzi znaczniejszych różnic w postaciach powierzchni ziemi — Karpat wcale nie wspomina, ani Tatr, mówi tylko o Beyszkodzie, który jest „*mons prope castrum Sobyen terras polonicales a panonicis disterminans*“, z której to góry wypływają: Dniestr, San, Stryj i Cisa [2]). Niezmiernie bylibyśmy mu wdzięczni, gdyby nam dał obraz puszcz litewsko-polskich i ich mieszkańców, krótki choćby ustęp o cisach i żubrach, o polowaniach i o życiu w borze byłby wielce cenny, nic bowiem od średnich wieków o tem się nie dowiadujemy.

Niepodobna mi było kontrolować Długosza we wszystkiem, sprawdzać każde jego słowo z osobna; zajęłoby to czasu i miejsca zbyt wiele. Sądzę jednak, że kilkadziesiąt przykładów wyniku porównania jego danych z mapą Chrzanowskiego wystarczy, aby wyrobić sobie pojęcie o wysokiej wartości pracy Długoszowej jak

---

dum Smoleńsko versus Nowogród sito oriuntur tres fluvii, de quibus in superioribus fecimus mentionem. Primus Dwyna... alter Wolga... vadit super montem Tanais, tercius Dnyepr. Ustęp ten świadczy, że jednakże i dla Długosza powaga starożytności była, jeżeli nie wyższą, to równą z współczesnymi naocznymi świadkami. Wierzy on tutaj w istnienie tego mitycznego jeziora, które swe wody wysyłało na wszystkie strony, a które stara się zidentyfikować z jeziorem Ilmen, leżącem jednakże nie 30 ale 45 mil na północ od Smoleńska, mimo że powyżej powiada, iż źródła Dniepru leżą w obrębie granic Moskwy w lasach Wiaszni t. j. Wiazmy (str. 11). Dźwiny źródeł poprzednio (str. 25) nie wymienia, a Wołgi wcale nie wspomina wyżej. Zacytowany tu ustęp i dalszy jego ciąg zaczerpnięty został z jakiejś średniowiecznej kosmografii.

[1]) Dowodem tego są na str. 25 liczne wypustki w tekście, które przy najbliższej sposobności miały być uzupełnione, w ten sposób musiały powstawać i inne karty chorografii; inny ślad tego powolnego zbierania znajdujemy w słowach: fluvius Visla... 40 et amplius fluvios in se recipiens... (str. 27), gdy na stronie 11—17 wymieniał autor przeszło 80 dopływów Wisły, prawdopodobnie więc znał ich przeszło 40 gdy pisał dany ustęp, później zapomniał odpowiednio podnieść cyfrę.

[2]) Hist. Pol. I. 45.

na owe czasy, a zarazem o niedokładności i niedostateczności informacyi w porównaniu z naszymi czasami.

Odra wypływa około 30 km. powyżej miasta Odry (Oderberg) (według Długosza w pobliżu m. Odry) i wpada trzema ujściami do Bałtyku. Długosz mówi o 4-ech, rozszczepiając ramię Piana, wpadające pod Wolgastem na dwa, t. j. na Pianę i na Wolgast. Warta wypływa najdokładniej z obszaru wsi Kromołowa. Dniestr wypływa 8 mil powyżej Sobiena (Dł. około Sobiena), który leży nad Sanem, ale dziwić się nie można, były to wówczas dzikie i nieznane góry, zresztą do połowy XIX. w. nie wiedziano na pewno, gdzie są źródła Dniestru (patrz Słownik geograf. tom. II.). Źródła Bugu i Niemna są zupełnie dobrze oznaczone. Źródła Dniepru leżą o 80 km. od domyślnej Wiazmy (Wyaszuya), ale uwzględnić należy, że w obcem państwie trudniej było zasięgnąć wiadomości. Źródła Przemszy są doskonale u Długosza określone i rozróżniona P. czarna i biała. Za źródło Wilii bierze Długosz równo długą rzeczkę Dźwinosę, która się łączy z Wilią między Pokostem a Kamieńcem. Święta wypływa nie w pobliżu Wiłkomierza, jak powiada Długosz, lecz kilkadziesiąt km. wyżej, podobnie ma się rzecz z Niewiażą, mającą źródła około 150 km. powyżej Kiejdan, w którego okolicach Długosz je umieszcza. Przy Dubnie wpada do Niemna Roś nie Wisłucz, która dziś nazywa się Swisłoczą. Szczara i Hańcza noszą u Długosza inne nazwy, Dubissy zaś nie wymienia tutaj, choć ją wspomina w Historyi (IV. t. str. 159). Źródła i ujście Prypeci są u Długosza zupełnie dokładnie oznaczone, ale za to niezadowalniająco są określone źródła i ujście Berezyny. Słucz *major* jest dzisiaj Horyniem, Słucz *minor* nosi nazwę Słuczy. dotąd [1]); Długosz każe im wpadać do Prypeci z osobna, dziś one wprzód się łączą i wspólnem korytem zlewają swe wody do Prypeci, ale w XV. w. jeszcze tak nie było; grunt dolnego Polesia szczególnie jest podatny do zmiany łożysk rzecznych. Teterew (Czetrzew) u Długosza łączy się z Prypecią, a nie wysyła swych wód wprost do Dniepru. Małopolskę znał Długosz najlepiej, bo przeważnie w niej przebywał i w „*liber beneficiorum*“ ją dokładnie opisał, wobec tego ciekawy jest fakt, że bieg rzeczki Uszwicy (wpada do Wisły powyżej Opatowca) skraca on o 30 km.. choć

[1]) Na str. 25, wymieniwszy dopływy Dniepru, dodaje w końcu: Item Orinya, cuius ortus circa appidum Dambrovicza, ostia in fluvium Stryr — ma tu więc na myśli Ikwę, której dał niewłaściwe imię; jest to jedna wskazówka więcej, że materyał do chorografii powoli się gromadził.

przepływa ona koło Szczepanowa, gdzie przebywał, i podaje dopływy Wisłoki, Sanu i Wieprza bez należytego porządku, ale znowu źródła Popradu i Białej zna dobrze, choć z głuchych gór wypływają.

Również doniosłe znaczenie ma Długosza „*Liber beneficiorum dieceesis Cracoviensis*“, dzieło wydane dopiero w 1863/4 w 3 tomach przez ks. L. Łętowskiego nakładem Aleksandra Przezdzieckiego, rozpoczęte dopiero w r. 1470, a dokończone, jak wnioskuje Zeissberg, najwcześniej w r. 1478. Napisane zostało ono nie tyle w celach geograficznych, ile dla dokładnego otaksowania dóbr kościelnych i ściągania subsydyów, na wojny z Turkami przeznaczonych; w późniejszych wiekach Rzeczypospolitej zażywało ono powagi źródła urzędowego. Znaczenie *libri beneficiorum* pod względem społecznym, kulturalnym, obyczajowym jest ogromne, nie przesądzimy, nazywając je fotografią Małopolski; zawsze będzie ono uważane za pierwszorzędne źródło do naszej geografii historycznej.

Inne dyecezye polskie nie mogą się pochlubić tak wczesną księgą uposażeń, bo jakkolwiek w tekach Naruszewicza już pod r. 1408 (str. 433) znajdują się ślady takiej księgi gnieznieńskiej, to jednak dopiero z początku XVI. w. zachowały się liczne księgi uposażeń, wizytacyi i retaksacyi. Metropolia gnieznieńska posiada je złączone z imieniem słynnego polityka i prawnika naszego, Jana Łaskiego (1510). Zachowały się nadto poznańskie, współczesne poprzednim, dalej włocławskie spisy i ponowne krakowskie (z r. 1529) [1]). Myślano już za Zygmunta I. o statystyce całego państwa. Konstytucya sejmowa z r. 1520 postanowiła, aby regesta poborowe były spisywane po parafiach przez proboszcza i świeckiego, obu zaprzysiężonych [2]), ale to nie doszło do skutku, bo szlachta, choć się zdobyła na zrozumienie najważniejszych interesów państwowych, nie szła nigdy tak daleko, aby na siebie jakikolwiek znaczny a nowy ciężar nakładać [3]).

---

[1]) Wiszniewski. Hist. lit. pol. IV. 110.

[2]) Ibidem.

[3]) Dodatkowo tu wspomnieć należy o „Polsce w wieku XVI. przez Pawińskiego i Jabłonowskiego w Źródłach dziejowych“ (tom XVI—XXII). Przedstawia to wydawnictwo starannie zebrany materyał do geografii i statystyki Królestwa polskiego (z wyjątkiem Rusi Czerwonej, która jeszcze nie została tu opracowana — robi to prof. Hruszewski w wydawnictwach Tow. im. Szewczenki). Materyał ten stanowią przeważnie spisy poborowe, a więc nie mogą należeć do literatury geograficznej.

Jak powstało to olbrzymiej pracowitości dzieło? Na tę kwestyę są dwa zapatrywania. Zeissberg w średniowiecznem dziejopisarstwie polskiem (str. 208) uważa je wyłącznie i niepodzielnie za Długoszowe dzieło, który zdołał opanować tak olbrzymi materyał, częściowo zebrany i opracowany w nowych i starych regestach, o których często wspomina [1]), a które zdaje się uległy zagładzie, właśnie stawszy się niepotrzebnymi wobec znakomitej pracy Długosza. Drugą opinią reprezentują prof. Bobrzyński i Smolka w swej pracy o Długoszu [2]). „Tak olbrzymiej pracy nie mógł zaiste sam Długosz, choćby przy największej usilności i talencie dokonać. Od niego oczywiście wyszedł plan, materyału inni mu musieli dostarczyć. Podług jednego z góry ułożonego wzoru, na rozkaz i pod kontrolą władz kościelnych, każdy duchowny i każde zgromadzenie, posiadające dobra, dochody i beneficya dostarczało dokładnych, szczegółowych wykazów, a Długosz z wykazów tych, poddając je jednolitej redakcyi, uzupełniając nieraz swojemi wiadomościami, układał dopiero obraz uposażenia dyecezyi krakowskiej. Inaczej nie wyobrażamy sobie, aby podobne dzieło przyjść mogło ostatecznie do skutku. Ta pomoc, dostarczona przez innych, nie ubliża bynajmniej Długoszowej pracy. Pomijając już, że sam pomysł całego przedsięwzięcia od niego niewątpliwie wyszedł, podnieść musimy najpierw niezwyczajną dokładność, z jaką obmyślał wzór do ułożenia pojedynczych wykazów. Każde beneficium musiało podać najpierw opis swoich budynków, dóbr, gruntów, wyszczególnić następnie wsie, z których pobiera dziesięciny lub inne dochody". Oba zdania mogą się tylko pozornie wydać sprzecznemi ze sobą, owszem one się wzajemnie uzupełniają. Sądzę jednakże, że te nowe regesta, z których Długosz korzystał, nie powstały z wykazów nadsyłanych przez pojedynczych beneficyantów, tylko tak, jak i późniejsze [3]), w sposób relacyi z wizytacyi, odbytej dla

W rękop. bibl. Raczyń. nr. 12. mamy wskazówki, że już na początku XVII. w. posługiwano się tymi materyałami, zastępującymi poniekąd geografią. (Suma wsi w Koronie ze skarbu koronnego 1607). Podobnie u Janockiego Specimem cathalogi cod. mss. bibl. Zaluscianae na str. 39 nr. 96 spotykamy Totius regni Poloniae possessiones Regiae et equestris ordinis villae z w. XVI.

[1]) Długosz. Liber beneficiorum I. 16, 27, 49, 51, 61, 67, 71, 74.

[2]) M. Bobrzyński i S. Smolka op. cit. str. 210.

[3]) Wiele takich wizytacyi wyjdzie z druku wkrótce w wyd. prof. Ulanowskiego.

duchowieństwa parafialnego przez archidyakonów, a dla majątku kapituł, kollegiat i klasztorów przez specyalnych delegatów. Przypuszczenie, aby rozsyłano formularze, wydaje mi się zbyt nowoczesnem. Długosz mógł być zapewne autorem pomysłu, ale trzeba przyznać, że pomysł ten nabrał wagi, gdy go kapituła i biskup przyjęli; być może także, że był on już poprzednio zastosowany do zestawień podobnego rodzaju. Sami autorowie wydrukowali w regeście nr. 80 [1]) uchwałę kapituły krakowskiej z 8. lutego 1453, mocą której sam Długosz wydelegowany z innym kanonikiem, miał odbyć w tym roku wizytacyę wsi kapitulnych *(villae praestimoniales)*. Uchwała ta stanowiła, iż podobne wizytacye będą się odbywać odtąd regularnie co trzeci rok [2]).

Szczegółowość [3]) i rozległość dat uczyniła z „*Liber beneficiorum*“ jedyny w swoim rodzaju tak wczesny i zupełny obraz statystyczny całego obszaru kraju, który podówczas dyecezyę krakowską stanowił. Jest to wierny a tak wielkiej doniosłości obraz kościoła i jego niezmiernego majątku, a zarazem obraz ówczesnego gospodarstwa, społeczeństwa, jego osiedlenia się, zamożności, pracy, jego wreszcie organizacyi. Historyk, który w datach statystycznych umie dokładnie czytać, który je umie wszechstronnie zużytkować, znajdzie w „*Liber beneficiorum*“ zawsze niewyczerpaną kopalnię i pierwszorzędne źródło historyczne. Jakiej usilności wymagało zebranie tylu statystycznych wykazów, oceni każdy, kto wie, jak dzisiaj trudno mimo przymusowych środków otrzymać je w przybliżonym komplecie. Z opieszałością ludzką miał do walczenia i Długosz, niektóre wykazy z nowszemi datami otrzymywał dopiero po dokonaniu już redakcyi i dopiero dodatkowo je wcielał, innych nie dostał wcale i musiał na nie pozostawić luki [4]). Pierwsza część obejmująca opis majątku katedralnego, t. j. 36 kanonii, licznych zgromadzeń duchownych z katedrą związanych, oraz 11 kościołów kollegiackich, od niej zależnych, wykończył zupełnie i własnoręcznie w księgę pergaminową przepisał. Część drugą, zawierającą obraz majątku klasztorów i część trzecią, podającą uposażenie ko-

[1]) Op. cit. str. 235.

[2]) Porównaj także regest nr. 121 a, ibidem str. 248.

[3]) Ustęp ten cały zaczerpnąłem z tegoż samego dzieła str. 210, gdzie w dobrej formie podano jędrnie i treściwie wszystko prawie, co można powiedzieć na pochwałę „Księgi uposażeń“.

[4]) Zdarzają się wypadki, że Długosz nie wspomina wsi skąd innąd nam znanych, n. p. Maszkienice (w. XIV.), o innych wspomniał mi p. Kniaziołucki, adjunkt Archiwum krajowego w Krakowie.

ściołów parafialnych tylko w brulionie zostawił, po jego śmierci nie znalazł się nikt, ktoby jego dzieło ostatecznie wykończył.

Wiekopomna Historya Długoszowa również często dostarcza nam cennych wiadomości geograficznych, częściej niż dawniejsze kroniki. Prawie o każdem mieście i każdej ziemi dodaje Długosz jakieś szczegóły dla bliższego objaśnienia; przez to stała się jego historya źródłem bardzo obfitem dla historycznej geografii Polski. Nie podobna tutaj zestawiać wszystkich ustępów, mających związek z geografią, a tem mniej analizować je; ograniczyć się należy do kilkunastu przykładów.

Tom I. str. 151—154 (997). Pochodzenie i obyczaje Litwinów i Prusaków. W dłuższym tym ustępie rozprawia Długosz o pochodzeniu Prusaków od Prusyasza, króla Bitynii, tudzież o barbarzyństwie i pogańskiej religii łotyskich ludów. Wiadomości te zaczerpnął przeważnie z pruskiej kroniki Jeroschina (III. 5) [1]).

T. I. str. 185 (1005). Wyliczenie dzielnic, które Włodzimierz Wielki swym synom wyznaczył.

T. I. str. 207 (1015) Topografia Prus na podstawie Jeroschina (III. 2, 35) [2]).

T. I. str. 237 (1031). O Lubece i Meklenburgu według kroniki Wielkopolskiej.

T. I. str. 462—463 (1107). Polowanie na żubra.

T. II. str. 265—280 (1241). Pochód Tatarów, ich wygląd zewnętrzny i sposób wojowania [3]).

T. III. str. 470—475 (1387). Obraz Litwy, jej obyczaje, religia i przeszłość.

T. III. str. 477 (1388). Charakterystyka ziemi bełzkiej.

T. IV. str. 159. Niezbyt szeroki, ale bardzo trafny i barwny obraz ówczesnej Żmudzi: scharakteryzowany tu jest kraj i lud tak pod względem fizycznym jak i kulturalnym. Jest to niezmiernie doniosły i ciekawy ustęp kroniki Długoszowej, malujący plemię, wychodzące dopiero z okresu kamiennego.

T. IV. 523 (1434). Obraz Polski w chwili zgonu Jagiełły.

T, V. 146 (1453). Ujemna charakterystyka Turków i Greków.

T. V. 257 (1457). O żuławach nadwiślańskich.

---

[1]) Semkowicz. Rozbiór kroniki Długosza str. 90.

[2]) Ibidem str. 102.

[3]) Wiarogodność Długosza co do opisu całego napadu tatarskiego z wyjątkiem kilku szczegółów wykazał dowodnie najpierw Szajnocha, ostatecznie Semkowicz w cytowanem dziele.

T. V. 555 (1473). Oznaczenie granicy etnograficznej między Polakami a Czechami.

Badacze dzieł Długosza, zbyt wyłącznie zajęci ich stroną historyczną nie zwracali uwagi na stronę geograficzną. Jedynie podnieść tylko należy rozprawę Wincentego Pola: „Zasługi Długosza pod względem geografii“, którą uzupełnił tłómaczeniem „chorografii“ [1]). Poeta-geograf wielbi tu zasługi i z zapałem uważa Długosza jak na polu historyografii, tak i na polu geografii, za wyższego nad swój wiek ducha, który nie dał się obłąkać astrologii, fizyce i mapografii średniowiecznej, otrząsł się z tradycyi i rutyny starożytnej i współczesnej i opisując po raz pierwszy kraj nowy, obrał nową drogę [2]). Sam badał naturę ojczystego kraju, a co widział, to spisał sumiennie. Dlatego też zbiór jego wiadomości geograficznych pozostanie kamieniem węgielnym do opisu kraju naszego i od nich będzie musiał każdy geograf rozpoczynać swoje studya. Następni pisarze z niego korzystali, ale żaden z nich nie był tak dokładnym ani tak naukowym w tłómaczeniu zjawisk [3]). Jak widzimy, zbyt wielką wagę przypisuje Pol Długoszowej geografii — nikt dziś na nią oglądać się nie potrzebuje, ani sam Pol z niej nie korzystał w swych dziełach geograficznych. Wierzy także Pol w ogromne zmiany w klimacie, w fizyognomii naszego kraju od czasów Długosza: twierdzi, że znikły niektóre rzeki, które on opisuje, znikło także wiele jezior, lub się podzieliło na kilka drobniejszych [4]). Ale już całkowitą przesadą poetyczną jest twierdzenie, jakoby to, że geografia stała się naprawdę umiejętnością.

---

[1]) W roczniku Tow. nauk. z uniw. Jagiel. złączonego t. VII. (ogólnego zbioru t. 22). Kraków 1852, str. 60—102.

[2]) Semkowicz op. cit. str. 5, powiada: O nikim z taką stanowczością nie można wyrzec, że jest dzieckiem swego wieku, jak o Długoszu. Pod względem histor. stoi Długosz tylko na wysokości współczesnego Zachodu, na to zgoda jest obecnie powszechną. Inna sprawa z jego geografią, tutaj okazał się niewątpliwie oryginalnym, ale trzeba przyznać, że nie było to stworzenie nowej metody, któraby miała warunki rozwoju. Długosz chwycił się tu tymczasowego sposobu, który nie mógł wytrzymać konkurencyi z jedynie racyonalną metodą Ptolomeusza.

[3]) Poglądy Pola przytoczyłem prawie jego własnemi słowami.

[4]) Ja nie znalazłem u Długosza rzek zaginionych, tylko takie, które on opuścił; prawda, że nie wszystko sprawdzałem. Co do jezior opisywanych przez Długosza, to prawdopodobnie ani jedno nie zniknęło (z wyjątkiem sztucznego stawu pod N. M. Korczynem), ale za to wiele zmalało. Długosz mówi o samych olbrzymich jeziorach i o znaczniejszych rzekach.

było zasługą Długosza. Zbyt ciężkie to laury dla skroni średniowiecznego historyka, choćby nawet znakomitego. W czem leży ta zasługa? Posłuchajmy samego Pola: „Każdy inny jego wieku pisarz byłby podzielił kraj na województwa, a w każdem województwie byłby dopiero po kawałku tych rzek opisywał, które niem płyną. Długosz podzielił kraj podług jego przyrodzenia na obszary wodne czyli na dorzecza całe i zapatruje się na nie ze stanowiska natury. Po Humboldzie i Ryterze nie ma zapewne dla nas nic w tem osobliwego..., ale za czasów Długosza był to w geografii tak wielki i genialny pomysł, że już nie człowiek, ale nie każdy wiek nim poszczycić się może". Jednakże każdy, kto niepobieżnie przeczytał Chorografią, stwierdzić musi, że zasada ta nie jest ani konsekwentna, ani świadomie przeprowadzona. Długosz nie wdaje się w obszerne opisy rzek i nie łączy z niemi kraju przyległego im, a opis jezior oparty jest na zasadzie terrytoryów, nie dorzeczy. Podnieść także należy, że Długoszowi byłoby bardzo trudno, jeżeli nie wprost niemożebnem podzielić olbrzymią monarchią polsko-litewsko-ruską na województwa lub inne administracyjne jednostki (w W. Ks. Litewskiem na namiestnictwa).

# KRONIKA LITERACKA.

De simulacris barbararum gentium apud Romanos. — *Corporis Barbarorum prodromus, adiuvante Academia litterarum cracoviensi editus a Petro Bieńkowski.* — *Cracoviae apud Gebethner et Soc., Vindobonae apud Gerold et Soc. Typis Universitatis Jagellonicae. MCM.* — 4° folio, str. 101, z przeszło stu rycinami.

Wśród dzieł, które wydane w r. z. lub bieżącym, noszą na karcie tytułowej napis: „*Almae Matri Jagellonicae. MCD—MCM*“, i wypłynęły z uczucia hołdu dla Jagiellońskiego Uniwersytetu, tego wiekowego ogniska i rozsadnika a zarazem tej strażnicy polskiej kultury, — zacytowana wyżej publikacya zajmuje stanowisko odrębne, mianowicie o tyle, że temat jej sięga poza granice ziem i historyi pólskiej, i że dotyka przedmiotu, obchodzącego całą naukę w jej ogólnoludzkiem, międzynarodowem pojęciu; dzieło profesora archeologii klasycznej w Uniwersytecie Jagiellońskim, jest zatem w naukowym plonie zeszłorocznego jubileuszu jakby pomostem między naszą rodzimą sferą wiedzy i naukowych badań a nauką ogólną.

Ten charakter dzieła uwydatnia się także w jego zewnętrznej postaci: dzieło bowiem wydane jest równocześnie w dwóch językach; honorowe miejsce zajmuje tekst polski, obok zaś, na stronicach parzystych, biegnie przekład niemiecki, mający umożliwić zagranicznemu światu naukowemu korzystanie z rezultatów polskiej wiedzy. „My, Polacy — pisze autor w przedmowie — nie możemy marzyć o tem, żeby zagranica uczyła się po polsku dlatego, że w naszym języku wychodzą dzieła,

obchodzące swym przedmiotem całą naukę. Pisać tylko w obcym języku, zwłaszcza większe rzeczy, to znaczy być tem jabłkiem, które pada poza mury ogrodu, zwłaszcza, że polskie nazwisko autora lub miejsce druku dzisiaj jeszcze niczego nie dowodzi. Nie wystarczają także streszczenia polskich prac, podawane po francusku, niemiecku lub angielsku. Postęp nauki zasadza się w znacznej mierze na drobiazgowej kontroli źródeł poznania i na krytyce obojętnych na pozór szczegółów. Streszczenie, choćby dokładne, nie czyni zadość tym warunkom i usuwając pracę z pod kontroli europejskiej nauki, usuwa ją także z rzędu dzieł tej nauki". Nie pozostawało zatem nic innego, jak obok polskiego tekstu dać przekład; ponieważ zaś łacina zniknęła już dzisiaj z archeologii, przeto autor dał przekład w języku niemieckim, to jest tym, którym z języków obcych — jak w przedmowie zaznacza — najlepiej włada. Ze względów technicznych pomysł okazał się bardzo praktycznym, gdyż można było podać raz tylko liczne ryciny, które same przez się zajęłyby około trzech arkuszy i rozmieścić je o wiele gustowniej i praktyczniej, niż gdyby każda edycya miała swe osobne ilustracye; w ten sposób udało się raz tylko przebyć wielki trud łamania tekstu, ryciny prawie zawsze tam umieścić, gdzie o nich mowa i obu wydaniom zachować równy urok nowości. Tekst polski, umieszczony na honorowem miejscu, nie pozostawia żadnej wątpliwości co do pochodzenia książki i nie tylko służy nauce polskiej, ale jest także ojczystą marką, której — jak zaznacza autor w przedmowie — żadne nasze wytwory idące po za granice ojczyzny, nie powinny się pozbywać.

Zeszyt dzieła obecnie wydany, a poświęcony uosobieniom (personifikacyi) ludów u Rzymian, jest pierwszym owocem sześcioletnich badań autora nad postaciami „barbarzyńców" w sztuce greckiej i rzymskiej; cały materyał naukowy przez autora zebrany i opracowany, obliczony jest mniej więcej na dziesięć takich zeszytów. Będzie to zatem dzieło pomnikowe. Dokładne wyjaśnienie celu i układu dzieła autor przyrzeka rozwinąć w przedmowie do właściwego *Corpus barbarorum*. — już w tymczasowej jednak przedmowie do zeszytu pierwszego zaznacza, że publikacya jego ma na celu zbadać i określić znamiona, któremi się odznaczały poszczególne rodzaje „barbarzyńców", wyobrażonych w sztuce greckiej i rzymskiej. To też zabytki sztuki, które zbadał i które mu są potrzebne do wyczerpania przedmiotu, uporządkował typologicznie, czyli podzielił je na grupy nie wedle materyału i techniki, ale wyłącznie wedle zewnętrznych właściwości fizyognomii i stroju. Autor zaznacza, że na tę metodę, która wydaje się tak prostą, zdecydował się nie bez wahania. Od wydawnictwa specyalnie poświęconego „barbarzyńcom" (jak wiadomo, barbarzyńcami nazywali Rzymianie

wszystkie ludy nie rzymskie) nauka oczekuje przedewszystkiem odpowiedzi, jak wyglądali Celtowie, Germani, Scytowie, względnie jak ich przedstawiała sztuka grecka i rzymska. Można było zatem ową pewną lub domniemaną narodowość barbarzyńców wziąć za podstawę ugrupowania i zaczynając od zabytków, które zapewne wyobrażają Celtów, Scytów i t. d., nawiązać do nich inne postacie zbliżone rysami twarzy, strojem lub bronią; autor doszedł jednak do przekonania, że taki układ, oparty na apriorystycznych sądach, utrudniłby tylko osiągnięcie celu, gdyż wiele zabytków dostałoby się wówczas na niewłaściwe miejsce, za najdrobniejszym błędem poszłoby wiele innych a w dodatku całego szeregu postaci nie możnaby zaliczyć do żadnego ze znanych nam ludów. Te względy nakazywały pominąć na razie kwestyę narodowości i utworzyć grupy na podstawie ściśle zewnętrznych znamion. Co się zaś tyczy pytania, jakie znamiona uważać za rozstrzygające, zaznacza autor, że w przeważnej ilości wypadków, zwłaszcza w zakresie sztuki rzymskiej, tylko typ twarzy lub głowy, czasem także jej nakrycie, okazały się cechami istotnemi, gdy tymczasem strój lub broń artyści nieraz upraszczali lub ujednostajniali: za wyborem głowy, jako znamienia decydującego, przemawiał także wzgląd czysto praktycznej natury, a mianowicie, że ogółem zachowało się bez porównania więcej głów niż torsów. Ztąd tylko w wyjątkowych wypadkach i to prawie wyłącznie w obrębie sztuki greckiej, tworzył autor grupy czy to na podstawie oryginalnego stroju czy też jakiejś charakterystycznej broni, czy wreszcie, jak w tym zeszycie, na podstawie ściśle artystycznego powinowactwa. Dla uniknięcia nieporozumień autor z góry zaznacza, że jego fizyognomiczne, względnie etnograficzne grupy, nie zawsze odpowiadają narodowym indywidualnościom; „wspólna bowiem kultura a nawet jednakowa powierzchowność nie zawsze idą w parze z narodową wspólnością“. Przeciwnie, jeden i ten sam lud wykazuje nieraz kilka zgoła odmiennych typów ludzkich. Niepodobna więc było — pisze autor — uniknąć tego, iż wiele postaci, należących do tego samego szczepu, dostało się skutkiem powyższego układu na kilka odległych miejsc dzieła. Temu brakowi stara się zaradzić spis treści, zapomocą którego można z łatwością złączyć to, co do siebie należy, w jedną etnologiczną całość. W końcu, zaznacza autor, należy o tem pamiętać, że tylko rzadko możemy dotyczącą narodowość nazwać po imieniu na pewne lub przypuszczalnie; w większości wypadków trzeba poprzestać na stwierdzeniu i opisaniu typu. „Sądzę jednak — dodaje — że taka wstrzemięźliwość jest konieczna w dzisiejszem stadyum paleontografii, i daleko więcej nauce przyniesie pożytku, niż przedwczesne szafowanie szumnemi nazwami, które zazwyczaj tylko zwiększają zamęt w nauce“.

Nie mamy zamiaru wdawać się tu w ocenę naukowych wywodów autora, do czego potrzeba specyalnego przygotowania i wyczerpujących studyów; szło tylko o podanie wiadomości o nowem dziele, produkcie nauki polskiej i polskich badań choć ogarniającem teren i temat bardzo rozległy, a niewątpliwie bardzo doniosłem dla rozświetlenia zagadnień, jakie towarzyszyły pierwszemu zjawieniu się na znanej nam arenie dziejowej tych ludów, które później w dziejach Europy i cywilizacyi odegrały tak olbrzymią rolę. Gdy dzieło będzie ukończone, może powiedzie się określić ściślej także rolę, jaką w tem pierwszem zetknięciu się świata „barbarzyńskiego“ z rzymskim i greckim, odegrały w szczególności i ludy słowiańskie. W każdym zaś razie spodziewać się należy, że rezultaty badań prof. Bieńkowskiego będą bardzo interesujące dla historyi i etnografii, a na naukę polską spłynie ztąd zasługa, że także ona przyczyniła się do rozproszenia mroków, jakie zalegają jeszcze zawsze pierwsze czasy młodości ludów, które dziś zamieszkują dwie trzecie Europy. Ponieważ zaś, gdy nie można dać naukowej oceny, lepszą jest rzeczą zamieścić choćby dorywczą wzmiankę aniżeli trzymać się metody zamilczania, najzgubniejszej nie tyle dla dzieła, ile dla poziomu rodzimej nauki w ogóle, przeto i tutaj należała się publikacyi prof. Bieńkowskiego przynajmniej powyższa wzmianka.

Dodać należy, że zewnętrzna strona wydawnictwa, odpowiada jego rozmiarom i charakterowi; papier jest doskonały, a zdjęcia, których większą część, zwłaszcza z zabytków wcale nieznanych lub mało znanych, wykonał autor sam w ciągu kilkuletnich podróży swych po całej Europie i w części północnej Afryki, wypadły nadzwyczaj czysto i pięknie.

*m.*

---

Teka konserwatorska. *Rocznik II. Koła c. k. konserwatorów starożytnych pomników Galicyi wschodniej 1900.* — Z 31 rycinami w tekście i 15 tablicami. We Lwowie. Nakładem Koła c. k. konserwatorów. — 4⁰ folio, str. 120, oprócz tablic.

Przed ośmiu laty — w r. 1892 — pojawił się pierwszy rocznik [1]) „Teki konserwatorskiej“ Galicyi wschodniej, wydawnictwa, które w myśl uchwały grona konserwatorów tej części naszego kraju, uchwały

---

[1]) Zobacz „Przewodnik naukowy i literacki“ z r. 1893 str. 88 i następne.

sięgającej jeszcze r. 1890, ma uwydatnić działalność konserwatorską na zewnątrz, zestawić materyał zebrany przez konserwatorów na ich wycieczkach w okręgi, oraz dać podstawę do inwentaryzacyi zabytków historycznych, znajdujących się w kraju. Przed dwoma mniej więcej miesiącami wyszedł drugi rocznik „Teki konserwatorskiej“, jak wszystko prawie, co w roku zeszłym, w roku jubileuszu opuściło prasy drukarskie a doniosłością swą sięga poza granice codziennego użytku i codziennego znaczenia, poświęcony także Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, temu „opiekunowi zabytków naszej przeszłości i sztuki“.

Znajdujemy tu znaczniejszych rozmiarów rozprawę konserwatora sekcyi I. i III., dr. Izydora Szaraniewicza „Cmentarzyska przedhistoryczne w Czechach i Wysocku w powiecie brodzkim, odkryte w 1895, 1996 i 1897 r.“ ilustrowane licznemi tablicami, oraz drobniejszą rzecz tegoż autora „Miecze bronzowe z epoki przedhistorycznej“. — Wacława Przybysławskiego, konserwatora sekcyi I. „Dwa złote skarby w Michałkowie“; Karola Hadaczka „Z badań archeologicznych w dorzeczu Bugu“ i „Grabarka niesłuchowska“; Kazimierza Przybysławskiego „Przyczynek do historyi bronzów emaliowanych, znalezionych w Polsce“; Piotra Dowossera „Zamek w Tokach“; dra Ludwika Finkla, konserwatora sekcyi II. „Sprawozdanie z wycieczki konserwatorskiej“ z licznemi ilustracyami — wreszcie „Kronikę czynności Koła c. k. konserwatorów i korespondentów Galicyi wschodniej“, w której, nawiązując do takiejże kroniki, podanej w pierwszym roczniku, zamieszczono przegląd czynności Koła konserwatorów za czas od września 1892 po koniec r. 1899.

Wsie Czechy i Wysocko, w których w latach 1895—1897 dokonano odkrycia cmentarzysk przedhistorycznych, obecnie w „Tece konserwatorskiej“ przez dra Izydora Szaraniewicza systematycznie opisanych, znajdują się w powiecie brodzkim, w okolicy Zabłociec, ostatniej stacyi kolei żelaznej prowadzącej do Brodów ze Lwowa. Dr. Szaraniewicz bardzo szczegółowo rozpatrując położenie i sposób budowy grobów, oraz rozbierając dokładnie wartość artystyczną i cechy znalezionych w tych grobach przedmiotów, których wizerunek podano na 8 tablicach, dochodzi do wniosku, że cmentarzysko w Czechach dowiodło, że i u nas w licznych i niezwykłych gromadach występują t. zw. groby szkieletowe równe czyli płaskie. Autor wykazuje także, że cmentarzyska w Czechach i Wysocku były przeznaczone na groby dla zmarłych, których ciał niepalono; zajmuje się wreszcie naukowem ustaleniem kwestyi, do jakiej epoki groby te i cmentarzyska odnieść wypada.

Interesujące jest także następne studyum p. Wł. Przybysławskiego o dwóch złotych skarbach michałkowickich (Michałkow, wieś w pobliżu Uścia biskupiego nad Dnieprem); pierwszy z tych skarbów odkryto

w r. 1878, dziewczyna, pasąca owce, a skarb ten znajduje się prawie w całości w Muzeum hr. Dzieduszyckich we Lwowie, — drugi zaś w maju r. 1897. Tego drugiego skarbu znaczna część znajduje się także w Muzeum hr. Dzieduszyckich, inne zaś przedmioty z niego (jak blacha złota, czara i t. d.) są własnością hr. M. Dunin-Borkowskiego w Mielnicy, oraz Alfreda Dzikowskiego we Lwowie.

O ważnych wykopaliskach, wykonanych kosztem hr. Tadeusza Dzieduszyckiego w jego wsiach Żelechowie wielkim i Niesłuchowie, położonych w dorzeczu Bugu, opowiada p. Karol Hadaczek. Mianowicie w jednym artykule mówi on o przedhistorycznej lecz ubogiej w przedmioty starożytne mogile w lesie żelechowskim, w dwóch zaś artykułach o t. zw. Grabarce niesłuchowskiej, mianowicie o śladach osady na łanie, noszącym to nazwisko, a na którym badacz odkrył liczne i interesujące zabytki, zwłaszcza w dziale keramiki, oraz inne przedmioty.

W sprawozdaniu z wycieczki konserwatorskiej opowiada dr. Finkel przedewszystkiem o cerkwi OO. Bazylianów w Krasnopuszczy (powiat brzeżański), która, założona w XVII. wieku przez Sobieskiego, zachowała typowy kształt staroruskich cerkwi i wszystkie ich charakterystyczne szczegóły, ale w czerwcu roku 1899 padła ofiarą pożaru. Z pożaru zdołano ocalić wiele cennych przedmiotów, — najcenniejsza jednak ozdoba cerkwi, sławny jej ikonostas pochodzący z czasów Jana III. a ozdobiony pięknemi malowidłami na drzewie, zamienił się w garść popiołu. Prof. Finkel zamieszcza obok ryciny, przedstawiającej cerkiew w Krasnopuszczy przed pożarem, także odtworzony na podstawie częściowych, amatorskich zdjęć ikonostas; już z tej ryciny okazuje się, że na zagładę poszedł istotnie cenny pomnik t. zw. sztuki ruskiej w naszym kraju. — Drugą część bardzo interesującego sprawozdania swego z wycieczki konserwatorskiej, poświęcił dr. Finkel opisowi kościoła w Buszczu, również w brzeżańskim powiecie, którego fundacya sięga XIV. stulecia; kościół w dzisiejszej postaci, z ciosowego kamienia, powstał na początku XVII. w. a połączony z twierdzą, stawał nieraz w obronie okolicznych mieszkańców w czasie najazdów Tatarów i Kozaków. Opierając się na współczesnych opisach z XVII. w., porównywa prof. Finkel stan ówczesny z dzisiejszym stanem kościoła a uwagi swe ilustruje szeregiem interesujących rycin.

P. Piotr Dowosser, kierownik szkoły w Tokach, podaje kilka zajmujących szczegółów o zamku w Tokach, zebranych z tradycyi ustnej i z dokumentów, — p. Kazimierz Przybysławski zaś wiązankę wiadomości o znalezionych w Polsce bronzach emaliowanych, a dr. J. Szaraniewicz pisze o mieczach bronzowych z epoki przedhistorycznej, zna-

lezionych w Komarnikach, w powiecie turczańskim, w pobliżu granicy węgierskiej.

Jak już wspomnieliśmy, zamyka interesujące wydawnictwo kronika czynności Koła konserwatorów i korespondentów Galicyi wschodniej po koniec r. 1899.

*ab.*

---

Dr. Aleksander Brückner. *Tragedya Moskiewska.* Szkice historyczne. W Krakowie, w drukarni „Czasu“ 1901. 8°, str. 89.

Niewielka ta książka znakomitego pisarza o ciekawej a krwawej karcie z dziejów polsko-rossyjskich, o sprawie Dymitra Samozwańca, której poświęcono już tyle ogromnych dzieł i która pobudziła jednego z największych geniuszów Niemiec, Fryderyka Schillera, do napisania niestety niewykończonego, stanowiącego tylko urywek, lecz nawet w urywku tym znakomitego utworu dramatycznego („Demetrius“) — ta niewielka książka pełna jest treści bardzo zajmującej, a dla przedmiotu ogromnie ważnej. Autorowi nie chodziło o przedstawienie w niej całego pochodu wypadków dziejowych; natomiast, traktując rzecz ze stanowiska raczej obyczajowego i psychologicznego aniżeli ze stanowiska polityki i polityczną tendencyą zabarwionego dziejopisarstwa, umiejętnie grupuje fakta i objawy, wysnuwa z nich wnioski, prostuje na tej podstawie, w sposób przekonywający i jasny wiele fałszywych i stronniczych opinij, wyznacza właściwe miejsce czynnym w tej sprawie osobistościom politycznym, określa miarę ich wpływu i ich odpowiedzialności, słowem maluje wymownie a w sposób bardzo jasny, bezstronny i sprawiedliwy tło historyczne całego epizodu z Dymitrem Samozwańcem. Tło to, pojęte jest szeroko i urasta do zarysu ogólnych stosunków polsko-rossyjskich w owych wiekach; autor śmiałymi rzutami kreśli zasadnicze sprzeczności i różnice pomiędzy Moskwą a „pogańską Litwą“, jak Moskwa wówczas nazywała Polskę, a w oświetleniu tem wyraźniejszy się staje nie tylko epizod z Dymitrem Samozwańcem, lecz cały pochód dziejów Polski na kresach rossyjskich, oraz wiele znacznie ważniejszych i znacznie późniejszych faktów... Charakterystyka Moskwy, jej rządu i wojska, wiary i obyczaju, stanów i zasobów, podana przez dra Brücknera na podstawie krytycznie wybranych źródeł a uzupełniona rysami, zebranymi przez autora, może najznakomitszego u nas znawcy pamiętnikarskiej, dotychczas częściowo w rękopisach jeszcze złożonej literatury naszej wieku XVII., jest po prostu świetna. Toż samo charakterystyka stosunków między Polską i Rossyą. Autor rozbiera także i ocenia

wszystkie wersye co do powstania i tożsamości Dymitra, i w bardzo przekonywującym wywodzie wykazuje, że fałszywem jest twierdzenie, w szczególności w Rossyi z upodobaniem powtarzane, jakoby cała Dymitryada była tylko sprawką polską względnie Jezuicką, „epizodem walki katolicyzmu o panowanie nad światem“. Przeciwnie, spisek samozwańczy był wyłącznie sprawką moskiewską; w Moskwie myśl jego się poczęła, moskiewskiemi zasobami głównie ją zasilano i w Moskwie ją ukoronowano. „Wina Polski i Ojców — pisze dr. Brückner — zależy tylko na tem, że proszeni nie odmawiali skutecznej pomocy: jedni radzi awanturze, w nadziei zysków doczesnych, zbogacenia się rychłego, spłacenia olbrzymich długów i t. d., drudzy dla nieba i wiary pracując, łudząc się marą zgnębienia schizmy w samym jej mateczniku. Pomoc ta, chwilowo nader skuteczna i pożyteczna, decydująca, zgubiła w końcu Samozwańca“... Ani Polska, ani Jezuici nie stworzyli samego faktu samozwaństwa; oni przyszli tylko do gotowego i wspierali je wszelkiemi siłami, ani przypuszczając, jak srogi zawód ich czekał.

Sama postać Samozwańca występuje w przedstawieniu dr. Brücknera również ogromnie plastycznie. Autor wykazuje, że Samozwańcem tym był Griszka Otrepjow, potomek rodu bojarskiego, a wszystkie inne przypuszczenia i kombinacye, są wprost bezpodstawne lub kłamliwe. — Natomiast „Maryna“ Mniszchówna w studyum prof. Brücknera, jako ta, która za życia Samozwańca samodzielniej nie występowała, utrzymana jest na drugim planie.

Dzisiaj, gdyby jakiś Schiller, Szujski lub Puszkin pisali utwory o Dymitrze, dzięki pracy prof. Brücknera mogliby nie tylko oszczędzić sobie wielu studyów, potrzebnych do zbadania epoki i poznania jej charakterystyki, lecz także uniknęliby — wielu błędów.

Studyum prof. Brücknera ozdobione jest dwoma rycinami, przedstawiającemi Dymitra i Marynę według współczesnych portretów z galeryi rodzinnej Mniszchów w Wiśniowcu, obecnie w zbiorach cesarskich w Moskwie.

*ab.*

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

# KORESPONDENCYA
# JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

### Do Panny Michaliny Dzickońskiej.

*Fontainebleau, 16. sierpnia 1851.*

Zgoda, kochana i dobra Panno Michalino, staropolskie słowo pozdrowienia weźmy za godło na żywot! Niech się święci w nas, jako na uściech tak i w sercach! Amen!

Odpisuję na śliczny, miły, wcale niepowszedni liścik, który doszedł rąk moich już od tygodnia: odpisuję nieco zapóźno, ale doprawdy nie poczuwam się do niegrzeczności, bo miałem przeszkód co niemiara.

Najsamprzód, radbym odżegnać, odegnać smutek, co powiał na mnie z niektórych słówek i wyrażeń. Starcia się, drobne waśni, zawody, szkody, to pospolity wątek, z którego się przędą ludzkie dni. Na drodze tu krzyżowej, dużo różnych kamyków i kamieni, z tem wszystkiem chrześcianin z pogodnem czołem iść musi po śladach swego Pana. Tyś, młodziuchna, Panno Michalino! Broń Boże zachmurzać się póki jeszcze Anioł Stróż wiedzie pod ręce. Zawcześnie, kwiatku, zawcześnie; tobie teraz kwitnąć i pachnąć ku Niebu w swej wiośnie. Niepogody i słoty uderzą w czas. Hej, błogosławiłbym temu, ktoby przeszczepił kwiatek litewski, przyswoił go co rychlej mojej Ukrainie, potrzebny bo bardzo do wieńca, co wije się dla Boga, tam kędyś pod Rosią-Rosawą.

Jak wydziękować za nowy stosunek z Ukrainą przez E.... który winieniem całkiem tobie, Panno Michalino? Bóg zapłać! Przez wiele dni rozmarzyła mnie błogo relacya E..., poruszyła bo w sercu przypomnienia dawno pożegnanych miejsc i osób. My, za Dunajem, po cudzych kątach od tylu lat, my żyjem jeno tem, co tam dobrego i pięknego świta u was, dla przyszłości chrześciańskiej i narodowej. Kogoż nie zbuduje pożycie w domu

szlacheckim na Ukrainie. Relacya E... udała się. Posiada osobny dar po temu. Chrześciańska dobroć bez pobłażania obok prostoty sprawia, że wizerunki jego są bardzo podobne, niby dagerotypy w słońcu wiary. Pani Olizarowa zna osobiście naszą Kostusię, to niech powie jak wyśmienicie utrafiona. I nie sam tylko oddaję tę słuszność E... Niemal miesiąc gościł u nas Mickiewicz; oczywiście podzieliłem się z nim dobremi nowinami. Owoż i jego rozczuliła rzecz relacyi i spodobał się sposób jej opowiadania. Przy sposobności proszę oznajmić E... ku chlubie jego autorskiej, że Mickiewicz wziął kopię, aby nią świadczyć przed rodakami, jak żyją u nas i piszą po szczeropolsku. Zachęci go to może do wytrwania. Zresztą polegam na Paniach, że go napędzać będziecie, aby nie ustawał i nadal w relacyach.

Proszę zarazem donieść E..., że książka jego drukuje się z pospiechem, gdyż typografia polska dziś wolniejsza. Za kilka tygodni będzie już po księgarniach. I ryciny przygotowują się, jak mi pisał T.... Co Pani powie na to, że Norwid uiścił się najwcześniej. Słyszę z różnych stron, od chętnych mu i niechętnych, że drzeworyt wcale mu się udał. Raduje mnie to i daje otuchę, że przecież się rozrucha. Żal się Boże, tyle darów! Rozkoszuje za długo w jałowych poetyckich marzeniach, to rozhartował i ducha i serce. Nie na samym Norwidzie cięży ten grzech. Wielu, wielu bardzo z młodego pokolenia wtorują mu. Niestety, wieszczowie polscy podobno w tem najwinniejsi. Dziś potrzeba odrobić zło, potrzeba nawoływać do prawdy prawdziwej, do rzeczywistego świata, do życia i czynów w prawdzie i rzeczywistości, słowem do staroświeckiego chrześciaństwa. Bóg pomoże, jeśli Polki zechcą z nami apostołować prawowierność i prostoduszność.

Ze stryjenką Jenerałową raz jeno widziałem się temu miesiąc. Zastałem kilka osób na wieczorze, to nie było nawet sposobności do poważniejszej rozmowy. Odtąd nie wiem, jak się mają, sądzę że po staremu. Przynajmniej Norwid nic mi nie pisze o nich w ostatnim liście swoim.

U mnie w domu po emigrancku, tęskno, ale gwar dzieci nie pozwala jątrzyć się w sercu. Bóg darzył dotąd pokojem i zdrowiem. Żona moja ma się jako tako; krząta się co sił, ale ze dnia na dzień grozi już słabość. Polecam ją modlitwom dusz pobożnych.

Do widzenia się, kochana i dobra Panno Michalino! Całym domem pozdrawiamy i życzymy błogich wrażeń na podróży a nadewszystko ciszy wewnątrz, tej ciszy, co wszelkie wrażenia nasze

umila. Kupujem ją z Nieba modlitwami. Radzibyśmy przyczynić się do składki dla ciebie po bratersku.

Jeszcze raz do widzenia się

*J. B. Zaleski.*

Proszę mnie przypomnieć Pani Olizarowej.

Wieża strasburska godna ze wszech miar widzenia. Bez przesady, cud świata. Smukła, lekka, wskroś przewiewna, zdaje się, że ostrzem leci w niebo. Nie widziałem nigdy nic piękniejszego.

## Do Pani Maryi Dzickońskiej.

*Fontainebleau, 22. sierpnia 1851.*

Starej, dobrej przyjaciółce, kochanej Pani Jenerałowej pospieszam donieść o nowej radości u nas w domu. Bóg dał mi syna [1]). Urodził się wczoraj wieczór. Nowonarodzony i położnica mają się dobrze. Położnica jednak więcej tą razą cierpiała niż w poprzednich słabościach.

Od Panny Michaliny odebrałem ogromny list E... z nowinkami ukraińskiemi. Miałem wiele stąd pociechy. Bóg zapłać p. Michalinie za relacye z Ukrainą, które jej trosce winienem. Zobowiązała mnie sobie na żywot.

Druk książki E... idzie spiesznie. Sądzę, że i ryciny będą niebawem gotowe. Radbym, aby się już co rychlej skończyło nasze przedsiębiorstwo.

Ściskam ręce kochanej Jenerałowej i Pani Laury, też pozdrawiam uprzejmie od całego domu

*J. B. Zaleski.*

## Do Księdza Karola Kaczanowskiego, w Paryżu.

*Fontainebleau, 120 rue de France, 11. września 1851 r.*

Kochany księże Karolu, zapewnie z powodu pomyłki w adresie, list wasz i pakiecik dla ks. Terleckiego, wysłany z Paryża 7. b. m., dopiero wczoraj odebrałem. Od niepamiętnych już czasów wynieśliśmy się z ulicy St. Honoré. Ks. Terlecki na początku miesiąca wyjechał do Paryża i stamtąd kędyś do Bretanii. Wszakże pakiecik wręczyłem Bogumiłowi, który tu dozoruje resztę młodzieńców Instytutu Ruskiego.

Dziękuję, kochany księże Karolu, dziękuję jak najserdeczniej za życzenia i przysłane błogosławieństwo memu synowi. Wierzę,

[1]) Dyonizy.

że szczere i że ważne u Boga, boś ty świątobliwy i zacny ksiądz. Syn mój nowonarodzony dostał na chrzcie św. imiona Dyonizy, Ludwik, Stefan, Bohdan. Silny i gracki chłopak, ależ krzykała! prawdziwy sejmikowicz! W dzień i w nocy nie daje spoczynku rodzicom. Bóg oto przymnożył radości i trudów. Za wszystko Mu cześć i chwała. Amen.

Odebrałem arkusz korrekty. Widzę, że druk idzie pospiesznie, a radbym, żeby się co rychlej skończył, aby wyzwolić raz od niepotrzebnego mozołu księży Aleksandra i Piotra. Zobowiązali mnie wielce swoją usłużnością. Bóg im zapłać.

Niesłusznie żalisz się, kochany księże Karolu, żem o tobie zapomniał. Bóg wie, że pamiętam codzień w modlitwie a na listy niema zgoła assumptu w pustym i głuchym tu Fontainebleau. Na ciebie to raczej godziłoby się wpaść z góry. Ani słówka w liście twoim o kochanych Ojcach Józefie i Hieronimie.

Wszakże pokój święty i zgoda święta niech królują między nami! Od całego domu szlę pozdrowienie. Z całym domem polecam się modlitwom twoim i łasce.

*J. B. Zaleski.*

Spodziewam się w tych czasach być w Paryżu. Chciałbym zastać ks. Aleksandra. Tymczasem przyspieszcie druk, abym się mógł raz rozpłacić i skończyć interes. Na krótki jeno czas wpadnę do was, bo obowiązki rodzicielskie przedewszystkiem. Taki drobiazg w domu!

**Do Pana Seweryna Goszczyńskiego,**
**au Plessis par Carentan (Manche).**

*Fontainebleau, rue de France 120,*
*16. września 1851 r.*

Kochany mój Sewerynie, spóźniłem o parę dni odpowiedź na twój miły list. Noce nie spane czynią, że w dzień chodzę jak pijany, niesposobny do niczego, a najwstrętniejsze mi pisanie.

Żona moja rozwiązana już z brzemienia swego od 21. sierpnia. Bóg mi dał syna. Przymnożył oto nam radości, ale przymnożył zarazem trosk i mozołów. Dziecię zdrowe i silne, a matka niema dość pokarmu, stąd w dzień i w noc wrzaski w niebo głosy. Na mamkę nas niestać, a po francusku oddać dziecko za oczy,

to coś tak pogańskiego, że wzdrygamy się oboje na same wspomnienie o tym haniebnym środku wyhodowania. Uciekamy się tedy do sposobów sztucznych, za pomocą smoczków, biberonów i t. p. Udało się to nam łacno z dwojgiem starszych dziatek, ale z ostatnim zawadyaką idzie jak z kamienia. W najgorszym razie, radzi nie radzi, poszukamy mamki kędyś w okolicy. Mój drogi burłako, ty ani wiesz, ani rozumiesz, co to kłopotów z wychowaniem dziecka? Ale popytajno poczciwego Ludwika [1]) i jego żonki. Dość powiedzieć, że moja Zofia, acz położnica, nie spała spokojnie ani jednej nocy od powicia mi syna. Spoczywa tylko snem ptasim w przerwach, kiedy go uciszę nosząc na ręku. Rodzicielstwo obowiązuje, to krzyż nie lekki!

Nowonarodzony dostał na chrzcie św. imiona: Dyonizy, Ludwik, Stefan, Bohdan. Oboje polecamy go twemu sercu, kochany druhu Sewerynie, i całym domem prosimy dlań o błogosławieństwo i modlitwę przed Bogiem. Toż samo i Ludwika, który może ani nie wie ile nam jest zawżdy miły.

Cieszę się po bratersku z całej duszy, żeś przecież raz wytchnął bez troski zwyczajnej i poetycko podumał nad morzem. Lubowałem ja długo koło fal i na falach, to domyślam się coś upolował tam nowych uczuć i myśli. Doprawdy, w huku bałwanów jest coś ostrzącego słuch na głos boży. Cieszę się jeszcze niemal bardziej, żeś przy sercach w takt bijących z twojem, znalazł cichą ustroń i swobodę. Zapracowałeś ty na nie krwawo, w długich biedach tułackich. Bóg ci dłużny na starsze lata spokojniejszą dolę, to przeczuwam, że pobłogosławi teraz i na milszą pracę, do której utęskniasz. Ja w modlitwie mojej codziennej za ciebie dodam ochotnie odtąd: szczęść mu Boże!

A cóż, czy gotujesz co dla Wolfa? Niedawno pisał do mnie pindaryczny list z Warszawy, co w księgarzu nie lada zaletą. Podejmuje się kupować u mnie manuskrypta na stopę europejską. Oczywiście łaska w tem Boża dla emigrantów pisarzy, a przytem Wolf jakiż to obrotny spekulant; hej Izrael z gorącością plemienną szamocący się w błocie za złotem. Kalifornia dlań w Polsce z naszych ramot. Czy uwierzysz, że w kilka dni dostał imprimatur cenzora warszawskiego, nawet na takie manuskrypta, których jeszcze niema pod ręką? Przeprowadził przez cenzurę i Sonety Krymskie, które wydaje wnet illustrowane. Pisze mi o tobie: „Pisałem do P. Seweryna, lecz nie wiem jaki skutek nastąpił? Przyrzekł mi

[1]) Nabielaka.

Podróż do Karpat. Dziś proszę Pana, abyś go zachęcił do spiesznego wysłania. Czekam na uiszczenie się z przyrzeczenia z największą niecierpliwością". Mój Sewerynie, spiesz więc z poprawkami manuskryptu, a nawet poszlij i bez poprawek. Pośpiech ten, może ci zapewnić swobodę na jaki rok do prac ważniejszych i wedle serca! Wszakże, jeśliś dzisiaj przy natchnieniu, rzuć w kąt wszelkie propozycye zyskowne, a służ jeno Bogu swemu! Zresztą wydanie „Podróży do Karpat" choć się i przewlecze, to nie uciecze. Nie wiem, co ci ofiarował Wolf, ale ja pomogę dobić targu *in summa* po naradzeniu się z sobą obopólnem.

Kiedyż mniej więcej będziesz mógł wrócić do Paryża, abym wedle tego zawiadomił Wolfa w Petersburgu? Myślę, że pod zimę osmutnieje okolica twoja, chociaż, chowaj Boże, nie dom Nabielaków, to zdążysz na dawną emigrancką siedzibę. Nie wolno nam długo rozkoszować. Pokutny gród nasz, to ten zgiełkliwy Paryż. Będziemy cię wyglądać z utęsknieniem spółpokutnicy z paryskiej banlieue [1]).

Adam gościł tu blisko miesiąc. Nabłąkaliśmy się po lesie, nagawędziliśmy się co niemiara, z tem wszystkiem dawnej harmonii między sobą nie wskrzesiliśmy. Teraz wyjechał podobno z Władziem do morza, gdzieś koło Havre. Dobrą mi jedną rzecz zrobił. Zaprenumerował dla mnie „Gońca Polskiego", co wychodzi w Poznaniu. Istotnie interesowniejszy dla nas, niż wszystkie dzienniki francuskie. Pełno wszelkiego rodzaju nowin z kraju, a osobliwie literackich. Odosobniliśmy się zanadto od ruchów politycznych i iterackich młodszych pokoleń w Polsce, to żal się Boże! ile stąd rzetelnej szkody tam i tu. Czas wznowić stosunki, ale poważnie i po bożemu. W dzisiejszym numerze „Gońca" jest szumna i nieco studencka pochwała twoja, i zarazem doniesienie, że trzy tomy twoich Pism wychodzą w tych dniach z druku u Szletera. Nie rozumiem tej spekulacyi księgarskiej, dla czego przy tem i luźnie sprzedają się Zamek kaniowski, Sobótka, Anna z Przedborza tudzież Powieści? Radbym co rychlej już dostać mój egzemplarz, bo wiesz, że wcale nieznam twojej Anny. Nakaż do Paryża, aby mi przez biuro drogi żelaznej wyekspedyowano w skok twoje pisma, skoro się tylko tam pojawią. Proszę bardzo.

Od ks. Edwarda dawno nie miałem listu. Wiem od pani Szymanowskiej że zdrów, i że ciągle zamieszkuje między Zurich

---

[1]) Okolica.

a Baden. Onegdaj pisałem doń i sądzę że lada dzień odbiorę odpowiedź.

Z Ukrainy spodziewam się w tym czasie dużo nowin, któremi się wnet podzielę z tobą. Przyjadą tu za parę tygodni Proskurowie, to jest ów Antoni, krewny Michała i moja siostrzenica, Genusia, z Hruszowa. Znasz ich oboje, to szkoda jeśli wyjadą z Paryża przed powrotem twoim. Ja utęskniam do wiadomości szczegółowych o Eliaszu i o całem rodzeństwie i o kochanych dawnych. Pisała mi w liście z Kreuznach arcy-ogólnie.

Domowi moi pozdrawiają cię najserdeczniej, jak brata. Paulinka na wyjeździe chyba za kilka tygodni, bo pomoc jej teraz wielce potrzebna siostrze. Nie wiem o co między wami chodzi.

Ściskam cię najczulej, mój ty stary humański druhu,

Brat w Chrystusie

*Józef Bohdan.*

Zacnego i kochanego Ludwika pozdrów i pocałuj odemnie i od Józefa. Moich wszystkich przypomnij przyjacielskiemu sercu. Ludwikowej uściśnij grzecznie rączkę, a syna pogłaszcz pod bródkę za mnie i za koleżkę Maryanka.

Gałęzowski pisał do mnie parę razy. Wybierał się przez pół roku do Fontainebleau. Stary i roztrzepany jak student. Nie wiem, gdzie się obraca, kędy jest na wakacyach i czy jest? W tych czasach wybieram się do Paryża, to może go na bruku gdzie wytropię. Wiem jednak z boku, że po staremu nie ustaje w służbie dla emigracyi, sieje dobre uczynki na lewo i na prawo. Boże, skrusz w nim co rychlej pychę tego świata i uczyń wyznawcą Chrystusowym. Jakażby to była radość dla nas! Nieprawdaż Sewerynie?

## Do Księdza Piotra Semenenki.

*Fontainebleau, 11. października 1851.*

Szanowny i kochany księże Pietrze, przepraszam za mimowolne opóźnienie się moje. Miałem gości, to nie było ani chwilki wolnej do przewertowania nieporządnego manuskryptu, który drukujem.

Autor nasz w kilku listach domaga się: 1) aby wypuścić całkiem ustęp o H. Rzewuskim, 2) aby wydrukować koniecznie

Przedświt, który jest na końcu części drugiej. Miejsce dla tego Przedświtu oznaczył na samym końcu części III., zaraz po wykrzykniku „Bracia ufajmy!“

Z nielada mozołem zoryentowałem się nareszcie w rękopisie naszego autora, który jeszcze jest zawilszy, niż k o p i a c o u w a s, bo upostrzony różnego rodzaju dopiskami. Pod sam koniec części III. mówi autor o ideach demokratycznych, co się rozpostarły na emigracyi i w kraju, potem o pisarzach, co je walczyli, co popędzali ku wyobrażeniom polsko-katolickim, a kończy: „U nas na Litwie i Rusi dwaj są najznakomitsi, którzy w tem oświecali naród, niedawno zmarły ks. Chołoniewski i Henryk Rzewuski“. Następuje potem pochwała Rzewuskiego, a o zmarłym ks. Chołoniewskim ani słówka. Pochwałę tę potrzeba skasować od początku do końca, aż do miejsca, które się zaczyna od wyrazów: „Zdaje się, że już wszystko idzie ku lepszemu. Duch polski poznał swą drogę, może Bóg da pokutą uświęcony i t. d.“ Tu niebawem autor wykrzykuje: „Bracia ufajmy!“ — po raz pierwszy i po raz drugi. Owoż po tem drugiem wykrzyknieniu, na finał części trzeciej, autor chce abyśmy wydrukowali P r z e d ś w i t.

Zastosujcie się, kochany ks. Pietrze, w druku do tego objaśnienia. Jeśli pochwała Rzewuskiego jest już wydrukowana, to skasujcie na koszt autora i natomiast umieście Przedświt.

Na tytuł książki, jaki ongi wydumał, zgadzam się, chociaż go dzisiaj dobrze nie pamiętem. Pod tytułem dodaj, kochany Ojcze, przez Eu.... go Heleniusza.

Owoż i wszystko co do naszej książki. Mam na sumieniu, żewas nabawiłem niepotrzebnego kłopotu. Niech wam Bóg odpłaci! Wierzajcie mi, z wielu miar dobry to uczynek.

Proskura chciał, abym go z wami zapoznał, ale nie było czasu. Poszlij mu egzemplarz twojej broszury: Towiański et sa doctrine, na rue Tronchet 22. Jak przyjadę do Paryża, przyprowadzę go do was.

W zawierusze interesów paryskich zgubiłem arkusz odbity, co mi wręczył Ołaj. Uszkodziłem swój egzemplarz, a co gorsza, nie mogłem przejrzeć textu. Mniejsza z tem. Spuszczam się na was, co do korrekty. Tu i ówdzie jednak dostrzegłem drobne pomyłki. Najważniejsza to, że ów Juliusz Cesarz stoi zamiast Juliusza Cezara. Możeby należało sprostować to w erratum?

Napiszcie mi, skoro arkusz ostatni zacznie się odbijać. Przyjadę rozpłacić się i rozporządzić egzemplarzami. Tomaszewski ma gotowe ryciny, ale podobno dotąd nieodciśnione.

Ściskam was czule, kochany ks. Pietrze, wespół z ks. Aleksandrem i ks. Karolem. Z całym domem polecam się waszym kapłańskim modlitwom.

Wasz brat w Chrystusie Panu

*J. B. Zaleski.*

## Do Pana Seweryna Goszczyńskiego.

*Fontainebleau, 15. listopada 1851.*

Kochany Sewerynie, onegdaj wróciłem z Paryża. Widziałem Gałęzowskiego i Chodźkiewicza. Ostatni pokazywał mi twój list, na który zaraz miał odpisać. Miałem zamiar posłać tobie kilkadziesiąt franków, ale po naradzie stanęło na tem, że Chodźkiewicz weźmie u Gałęzowskiego 100 franków, aby cię od razu wyswobodzić z miejscowych kłopotów. Sądzę, że po dziś dzień pieniądze i list od Chodźkiewicza musiałeś już odebrać.

Zleś wymyślił, Sewerynie, poruczając sprzedaż exemplarzy swoich pism prywatnym osobom. Exemplarze leżą na stolikach u Gałęzowskiego i Chodźkiewicza, i mało kto je widzi. Należało po prostu złożyć w księgarni polskiej, którą nawiedzają przejezdni panowie nasi z kraju. Rychlej czy później będziesz musiał je tam ulokować.

Napomknął mi Chodźkiewicz, że w dawniejszym liście żaliłeś się na moje milczenie. Nie rozumiem, drogi mój Sewerynie, co to się znaczy? Pamiętam, że przed dwoma miesiącami, kiedyś do mnie pisał, zaraz nazajutrz posłałem obszerną odpowiedź, i wedle adresu jakiś przykleił do twego listu, to jest: au Plessis prés Carentan (Manche) chez M. Nabielak. Miałżeby ten list zaginąć? Donosiłem ci o narodzeniu się syna, o biedach domowych, o listach Wolfa, i o różnych drobnostkach literackich. Pisałem w dobrem usposobieniu, to wartoby reklamować na poczcie.

Wolf odesłał mi pieniądze najakuratniej na ręce Chodźkiewicza. Chodźkiewicz zostaje z nim w ciągłych stosunkach i jemu poruczył przesłanie twojego manuskryptu. Nie zwlekaj tedy dłużej interesu.

Edycya twoich pism dość mi się spodobała. Druk i papier piękne i korrekta, jak na Wrocław, bardzo staranna. Przejrzałem już raz wszystkie nowe kawałki, ale zabieram się do przeczytania jeszcze raz w samotności, jak zwykłem czytać poezyę. Anna z Na-

brzeża prześliczna. Koloryt narodowy utrafiony po mistrzowsku. I fantazya bujna, niemal bujniejsza, niż w Zamku Kaniowskim. Sposób tylko ariostowy, nie wiem czy będzie do smaku dla publiczności polskiej. W tym sposobie tkwi cała różnica między Zamkiem i Anną. Zamek pisałeś seryo i arcyseryo. Powieści twoje wierszem przewyborne, co się zowie przewyborne. Powaga w nich i głębokość, nieznana całkiem w naszej literaturze.

Szczęść Boże i w nowych pracach! Tuszymy sobie po nich wiele. Już nie śmiem wyrzekać, że siedzisz kędyś w dziurze. Dopóki służy natchnienie, korzystaj i siedź miesiące i lata. Szczęść ci Boże, mój druhu stary.

Ja rad nie rad musiałem dać odstawkę mojej Muzie. Obowiązki ojca zabierają wszystek niemal czas. Mój najmłodszy syn, Dyonizy, arcytrudny do wychowania. Urodził się bardzo silny, a tu matka nie ma mleka, a mamki francuskie nie dla emigrantów. Ze smoczka biedak ciągnie krowie mleko, to zżyma się i wrzeszczy noc i dzień, ale nie ma rady. Oboje i Paulinka i Józef, zrywamy się na nogi po nocach. Da Bóg, mało, pomału przyzwyczai się może malec do biberona, to uciszy się trochę w domu.

W Paryżu pełno jest z Polski panów i panków; po staremu hulają. Z Ukrainy oprócz Branickich, są Olizarowie, Działyńscy, Czarkowskie, Maszewska, Proskurowie. Ci ostatni są pożądani nam goście. Pamiętasz krewnę moją Genusię, z Hruszowa? Owoż przyjechała z mężem, zawsze dobra i poczciwa jak za młodych lat. Często nas odwiedza w Fontainebleau. I my dla niej częściej nawiedzamy Paryż. Przywiozła mi dużo wiadomości o Eliaszu i o najbliższej rodzinie. Radbym ją tu zatrzymać jak najdłużej, ale Antoni Proskura dla zdrowia swego potrzebuje do Włoch. Jeżeli wrócisz do Paryża w grudniu, może ich jeszcze zastaniesz.

Ściskam cię i przyhołubiam po bratersku, po ukraińsku. Wszyscy moi pozdrawiają przyjacielskiemi sercami. Szczęść Boże w pracy twojej, w twoich chęciach i nadziejach chrześciańskich! Tyleż bo dobrego w tych apokaliptycznych czasach

Twój

*Bohdan Zaleski.*

Ksiądz Edward z Romualdem Januszkiewiczem w Cassis, niedaleko Marsylii. Na statku parowym między Lyonem i Avignon, spotkali się z Panną Szymanowską i Marysią Mickiewiczówną,

jadącemi do Włoch. Eustachy Januszkiewicz ożenił się. Był u nas ze swoją panią, panią wielkiego tonu a przytem i uczoną. Mickiewicz zdrów i wesół, byłem u niego z Proskurami, uprzejmie bardzo nas przyjął.

Adresuję jak dawniej wedle przylepionej kartki twojej. Boję się ażeby i ten list nie zaginął, ale cóż robić, skoro oprócz Carentan nie dodałeś w twoim liście innej przyznaki.

## Do Pani Zofii Zaleskiej.

*Paryż. 2. grudnia 1851 r.*

Moja droga Zosiu! Trafiłem na samo Coup d'Etat bonapartystowskie. Miasto jednak spokojne, obojętność ludu niesłychana. Zgromadzenie Narodowe zamknięte, naczelnicy stronnictw uwięzieni, między innymi Changarnier, Thiers. Cavaignac. Ogromne masy wojsk na Polach Elizejskich i około Izby deputowanych. Objechaliśmy je dopiero co z Proskurą. Na twarzach żołnierzy także obojętność, ani śladu zapału napoleońskiego, chociaż dziś rocznica bitwy austerlickiej. Zdaje się, że wszystko skończy się na niczem, na wielkiem fiasco. Myślę, że wedle planu mogłabyś przyjechać we czwartek i najspokojniej robić interesa. Wszakże, gdyby się miało ku czemuś, jutro wrócę. Piszę ten liścik, abyś nie zatrwożyła się przez imaginacyę, jak przyjdą z boku wiadomości do Fontainebleau. Genusia i wszystkie nasze Polki przechadzają się jak w dzień zwyczajny po bulwarach. Oczywiście pokazuje się, jak lud nienawidził Zgromadzenia Narodowego, które intrygowało tylko na korzyść monarchizmu. Zresztą nikogo w domu, wszyscy na ulicach. I Gałęzowskiego doczekać się nie mogę, chociaż obiecał na 4-tą. Piszę ten list przy jego stoliku.

Moi drodzy i najukochańsi, bądźcież o mnie spokojni. Najmniejszy ruch a wnet wrócę. Pamiętam na obowiązki męża i ojca. Bóg widzi, że o niczem innem nie myślę. . . . . .

. . . . . .

Bóg z wami i t. d.

*Bohdan.*

Ciekawy na podziw pozór Paryża.

## Do Pani Genowefy Proskurzyny.

*Fontainebleau, grudnia 1851 r.*

Moja droga i kochana Genusiu. dziękiż niech będą Bogu, żeście nam cali wszyscy i bezpieczni. W piątek. po przeczytaniu w gazetach o zawierusze na bulwarach, drgnęło mi serce, ażali które z was nie było tam w tłoku ciekawych. Możesz sobie wyobrazić niepokój mój, nasz i trwogę. Poleciłem mojej Zosi, aby zaraz napisała słówko i byłem gotów sam osobiście puścić się na zwiady. Na drodze żelaznej dowiedziałem się o niepodobieństwie dostania się do środka Paryża. Przeminęła nareszcie burza, ale dopiero uspokoił nas twój liścik. Biedna Ponińska, nieroztropna ciekawość srodze skarana. Ani śniło się szlachcicowi polskiemu, że zginie tak marnie na bruku paryskim. Mamy jednak odrobinę nadziei, że się jeszcze odszuka. Póki walka wrzała na ulicach, nie dziw że głosu jego nikt nie dosłyszał, co innego było wtedy w myślach i w sercach ludzkich.

Świat, moja droga Genusiu, pochylił się ku caryzmowi, biedna ludzkość pójdzie znowu na poniewierkę, na dłuższy czyściec, aż oczyści się i wyzna, że po za wolnością chrześciańską wierutny wszędzie ucisk. Króle i ludy spoganiały, bałwochwalą brzydkie cielce, to źle jest, będzie jeszcze gorzej. A drogośmy kupieni, och! krwią Chrystusową, krwią Boga-Człowieka! I dola nasza emigrancka pogorszy się znacznie. Błogosławieni jednak, którzy wytrwają do końca w prawdzie swojej. Dajmy pokój! . . . . . .

. . . . . .

Przyciskam Genusię moją do kochającego wujowskiego serca, oboje was oddaję opiece Pańskiej

*Józef Bohdan*

*5. stycznia 1852.*

Pojechałem do Mickiewicza (w Paryżu). Zastałem rozmowę z Kaszycem o panach polskich na Litwie wielce zajmującą. Rad mi i serdeczny. Fałszywie głoszono, że zagorzały zwolennik prezydenta. Gdzie tam — ideę napoleońską czci. Mileśmy się porozumieli.

## Do Księdza Karola Kaczanowskiego.

*Fontainebleau, 1. lutego 1852.*

Kochany księże Karolu. nie zapomniałem o twoich urodzinach, boś ty mój dróżba. Dzień Matki Boskiej Gromnicznej dla nas obudwóch zarówno jest uroczysty. Przy mojem święcie jutro pomodlę się i za ciebie. Daj nam Boże chrześciańską zasługą wkupić się w łaskę Bogarodzicy, spólnej naszej orędowniczki, abyśmy byli godni u stóp Królowej Anielskiej i Królowej Polskiej rozpamiętywać kiedyś Jej miłość dla narodu i dla nas. Tyś zapewnie zapomniał o tym osobliwym szczególe, żeśmy się urodzili w jednym i tym samym dniu (n. b. nie roku). Za to obowiązany jesteś dnia 14. lutego, to jest na Matkę Boską Gromniczną, według ruskiego kalendarza, odprawić Mszę św., na intencyę moją i mojej matki, która urodzenie moje przypłaciła życiem. Podobno, że nie wolno wam gratis mieć mszy św., a więc zapisz mnie w rejestr za swego dłużnika.

Nie zapomniałem o twoich urodzinach, mogą poświadczyć o tem ks. Aleksander i Piotr. Ale zapomniałem o drobnostce praktycznej, którąby nabawić mogła kłopotu. Ołaj ma u siebie pasport naszej siostry, z którym niewiasty moje osobiście stawić się mają w policyi po wizę. Owoż zapomniałem powiedzieć Ołajowi, aby we wtorek między 10 a 11 czekał z pasportem na moje Panie. Proszę, konsygnujcie Ołaja w domu aż do południa, przez wzgląd na p o l s k i e z a r a z. Niechaj się ani na krok nie rusza. W niezbędnym razie, niech pasport zostawi u ciebie, kochany ks. Karolu.

Przez moją żonę przyślesz mi jeszcze parę szkaplerzów pobłogosławionych.

Siostra mojej żony ma ochotę szczerą wstąpić do Częstochowy, to rozmówicie się z sobą względem owego kosztownego votum.

Sciskam z prośbą do was wszystkich o modlitwy kapłańskie,

Wasz w Chrystusie Panu brat i sługa

*J. B. Zaleski.*

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza.

*Fontainebleau, rue de France 120,*
*dnia 8. lutego 1852.*

Drogi mój księże Hieronimie! Darmo to już i mówić, winowat. Doprawdy wstyd i żal mi, żem tyle czasu milczał. Przepraszam z całą czułością, na jaką mnie stać. A pomimo tego, wierzaj, kocham was po staremu, i po staremu pamiętam co dzień w modlitwach. Na ulgę sumieniu powiem jeszcze, żem zapomniał był waszego adresu rzymskiego. Pisałem oń po wiele razy do ks. Aleksandra, Piotra i Karola. Zbywali mnie zawsze tem, abym przesyłał listy do nich. Owóż wet za wet, uwziąłem się nie pisać, chyba wprost i bezpośrednio. Na razie miałem podobno do tego i słuszną jakąś racyę. Tak ze dnia na dzień mknęły miesiąc za miesiącem. Onegdaj wykołatałem nareszcie u ks. Aleksandra adres. Teraz już nielzia milczeć.

Od czasu jakeśmy się tu pożegnali, kochany księże Hieronimie, dużo, hej, dużo wody minęło, że nie wiem od czego i zacząć naszą rozmowę. I na falach czasu ongi szalejących, grzmiących przeraźliwie, jakież nagłe i niespodziane *calme plat*. Sociałka, ona apokaliptyczna bestya, utonęła znienacka. Arcybiskup Woronicz powiedziałby o niej: „Padł zgruchotany Dragon, krwią napoił rzeki, jęknął w pustyniach i przestraszył wieki!“ Nikt zaiste nie przywidywał takiego końca rzeczy we Francyi i w Europie. Pan Bóg oznajmił światu swoje: Jestem i nastało oto dziwne uciszenie, Retorowie i żurnaliści oniemieli, a jednak smutno czemuś! Co poczną ludzie? Czy pogonią znowu za pogańskimi swemi bałwanami? Czy zapragną może wolności synów bożych? W tem tkwi sęk dziejów ludzkich od początku swego. Polska nasza zdaje się, że zyska coś na świeżych zmianach. Przestanie przynajmniej wierzyć w gliniane potęgi ziemskie. Nie masz, księże Hieronimie, wyobrażenia, jaki zamęt dziś w głowach emigranckich! Zbici ze wszystkich dróg swoich, to gniew i przerażenie w oczach. Myślę, że i w Rzymie tak samo między liberalistami. Oby Bóg raczył opamiętać jednych i drugich póki czas! Niebawem Cary i Czerwońcy pójdą w zabełki po dawnemu. Możeby teraz czas kazać o prawdziwej wolności, o wolności drogo kupionej na Golgocie? Pomyślno tam o tem, kaznodziejo nasz! Któż sposobny, jeśli nie Polak, do mówienia i słuchania o sprawach duchownych? Mam w tej chwili na myśli, kochany księże Hieronimie, twój projekt przyjechania

do Paryża. Żal się Boże, gdyby spełzł na niczem. Warto jeszcze raz się pokusić. Emigracya wam niechętna od niejakiego czasu; ale w tem największa szkoda i dla dusz ludzkich i dla sprawy narodowej. Emigracya sponiewiera się do reszty na drogach świeckich, a wy postradacie winnicę swoją, z dawien dawna przeznaczoną wam od Boga. Pamiętam, jaki rodzaj służby dla was zakreślił ś. p. Jański. Skąd ta niechęć, czy obojętność ku wam braci? Trudno zbadać. Zapewne przez ducha czasu, przez zbieg okoliczności, a głównie przez samosłaństwa sekciarsko-prorockie, dużo możnaby wytłómaczyć, wszakże nie wszystko. Ani jednego słusznego zarzutu nie słyszałem przeciwko wam i owszem każdy poważniejszy przyznaje w głos, żeście przykładni i gorliwi księża. Pomimo to, obojętność zawżdy trwa. Ażali grzech wasz, nie w lekceważeniu emigracyi? Wierzajcie, dopóki emigracyi, po za nią, nie ma dla was nigdzie pola służby. Wyście kość z kości naszych, dla nas i przez nas jeno musicie zasługiwać się Panu. Niech was Bóg w łasce swej natchnie, co czynić macie nadal? jak odżegnać i odegnać spólne licho, co nas gniecie od tylu lat. Nie wiem, księże Hieronimie, czy zdążysz do nas na post wielki? Szkoda! Skąd inąd znowu pora pod wiosnę nie bardzo pomyślna dla kaznodzieja. Zwykle z cieplejszym czasem tułactwo rozłazi się z Paryża za wszelaką żywnością. Najdogodniejsza pora w roku do kazań rocznica listopadowa, czyli po chrześciańsku Adwent Pański.

. . . . . .

A na jakiej stopie jesteście z autorem Nieboskiej? Sądzę, że dotychczas musiałeś go kędyś napotkać. Czytałem nie dawno jego Ressurrecturis. Przepyszny kawałek i napisany stylem już zsiadłym, nakamiennym! Autor Ressurrecturis jest dziś na zenicie w słoneczności swojej. Duch wieszczy w Polsce jeden jest, wspólny na kilka piersi. Spółcześnie nie możem śpiewać. Duch wieszczy teraz w piersi Zygmunta, to milczym, pochłonął bo w siebie wszystkie światło i ciepło nasze. Jeśli się widujesz z nim, ks. Hieronimie, uszanuj go i odemnie. Powiedz mu, że w postawie chłopka. z czapką w ręku, kłaniam J. W. Panu. Mówię tu o jaśnie wielmożności z ducha, z geniusza. Z Adamem widuję się często. W jesieni gościł w Fontainebleau przez cały miesiąc. Ochłonął z dawnych żarów, zerwał z bracią, ale o mistrzu mówi zawsze z uszanowaniem. Zresztą miły, słodki po dawnemu. Żyjem w przyjacielskich stosunkach, jednakże jest coś między

nami, co nie daje, jak ongi, całkiem się zespolić. Mam w Bogu nadzieję, że wytrzeźwi się nam do reszty i stanie mężem.

Szanownego i kochanego ks. Józefa całujemy ręce w pokorze i miłości i t. d.

Wasz

*J. B. Zaleski.*

## Do Pani Konstancyi Tomaszewskiej.

*Fontainebleau, 17. lutego 1852.*

Moja dobra i kochana Pani Konstancyo!

Piszę słówko, aby świadczyło o naszej serdecznej pamięci. Stara przyjaźń obowiązuje między ludźmi, a między emigrantami stara przyjaźń ma coś rzewnego w sobie, coś rzewniejszego niż pokrewieństwo. Co dzień przed Bogiem życzę wam w pełności uczucia, a przy dniu Św. Konstancyi życzę tem uroczyściej że doroczne i domowe wasze święto. Z moich życzeń Bóg niech uiści najczystsze, najświętsze! Po ludzku nikt nie może wybrać ani dla miłych swoich, ani dla siebie co najpożądańszego byłoby tu na ziemi; owszem wybieramy najczęściej marność marności. Matce Polce co dużo boli, co długo bieduje a pokornie i po cichu, Bóg uiści się po Bożemu: och! ufajmy, uiści się w ojczyźnie i w dzieciach. Jeszcze trocha świętej rezygnacyi w Nim, kochana Pani Konstancyo! Rezygnacya gorżki to chleb, wstrętny człowiekowi, ale my wygnańcy wiemy, że przezeń uzdrowienie nasze na wieki, na wieki. — Od żony mojej i dziatek łączę powinszowanie. Józef sam się chce przypisać. Żona moja, dziatwa i cała gmina zdrowiśmy, dzięki Bogu. Temi dniami nawiedziła nas moja poczciwa G..... Gościny jej miłe zawsze, niby poselstwo od całej rodziny mojej dawno pożegnanej. . . . . .

. . . . . .

Polecam się i t. d.

*J. B. Zaleski.*

## Do Pani Genowefy Proskurzyny [1]).

*Fontainebleau, 1. marca 1852.*

Moja droga Genusiu, chciałbym przeczekać panujące zimno, ale nadaremnie. Bardzo mi już tęskno do Ciebie, do Was obojga, kochani moi z Ukrainy, a przy tem boję się, aby wyjazd wasz nie wypadł wam nagle. Zaledwie zapoznać się i pokochać, aż wnet żegnać się trzeba! Oswoiłem się, och! z tą boleścią w życiu tułackiem. Z Tobą, Genusiu, żegnałem się już raz na poranku mego dnia. Bóg dał odnaleźć się pod wieczór. A resztęż mojej biednej rodziny, czy obaczę kiedy? Święć się wolo Boża! Otrzyj łzy i dalej, dalej!

Do widzenia się, moja miła Genusiu, pojutrze we środę. Od moich łączę wam obojgu pozdrowienia i uściski, sam zacałowując z błogosławieństwem wujowskiem

*Józef Bohdan Zaleski.*

*5. marca 1852.*

Wziąłem fiakra do Mickiewicza (w Paryżu). Nie zastałem go. Z Adamową o biedach jej domowych gawędziliśmy aż nadszedł Adam. Przyjął serdecznie. Rozmawialiśmy o polityce francuskiej. Nadszedł Aleksander Chodźko. Różne przedmioty. Bawiłem blisko 2 godziny.

*11. maja 1852.*

Z Chodźkiewiczem do Mickiewicza. Był nam rad. Rozmawialiśmy o Prezydencie, o Norwidzie i t. p. Nadszedł Ksawery Branicki.

*29. maja 1852.*

Spotkałem się na ulicy (w Paryżu) z Mickiewiczem. Mówiliśmy krótko. Wybiera się do Fontainebleau. Odebrał list od córki Maryni, bawiącej z Genusią moją (Proskurzyną) w Neapolu.

---

[1]) Ze zbiorów Pana Aleksandra Jelskiego, w Zamościu.

## Do Pani Genowefy Proskurzyny [1]).

*Fontainebleau, lipca 1852 r.*

Bardzo i bardzo kochana Genusiu, uśmiecha się nam wasz projekt przezimowania w Paryżu. Na poparcie waszego projektu napisałbym zaraz sążnistą i patetyczną epistołę, gdybym się nie bał, że zgorszycie się ze mnie, bo spostrzeglibyście brzydkie samolubstwo. W istocie nie pilno wam do domu... Bliżej czy dalej od Ojczyzny, toć wszystko jedno dla was. Polska nasza, jak święty Kościół katolicki, nie ma dziś stałych i oznaczonych granic na ziemi. W Kijowie, Warszawie, Paryżu i wszędzie jak długi a szeroki świat, znajdziecie swoich rodaków, co was pokochają i z którymi przeżyjecie mile kilka miesięcy. Tymczasem wszelką słuszność ma Antoni, że należy najpierwej doczekać się prolongacyi paszportu. Panowie nasi docześni odmierzają dla nas na tym padole c z a s i przestrzeń do ruchu i życia. Owóż w tem tkwi szkopuł waszego projektu. Bez paszportu ani rusz! Co bądź się stanie, napiszcie przed wyjazdem z Loniche. Postarałbym się o paszport francuski, aby was osobiście pożegnać kędy nad Renem. Gorzka dola wasza, ale i emigrancka nie słodsza. Najmniej kilkunastu dni potrzeba na uzyskanie tu paszportu, tyle bo hierarchicznych korespondencyi o emigranta. Kolej żelazna do Strasburga otwiera się 17. b. m., to wielka z niej dla mnie dogodność.

U nas w Fontainebleau po staremu. Zosia tylko cierpi strasznie na zęby, sądzim, że z afrykańskiej spieki, która tu panuje od kilku dni. Wczoraj było ciepła przeszło 39 stopni centigrades. Piszę ten list w pocie czoła i rąk, a więc w nieznośnem umęczeniu fizycznem, które odbiło się w słowie pisanem. Radbym dziś gościć przy was w Alpach między lodowiskami. A propos Alp, dodam, że i Szwajcarya ma urocze okolice, godne zwiedzenia, nawet po Neapolitańskich. Cały Oberland przewspaniały. Upolowałem tam ongi wiele miłych wrażeń. Streszczę wam Vierwaldstättersee i całą drogę aż do Zurich. Daj Boże, aby wody skutkowały Antoniemu, tobyście użyli nowych przyjemności w Szwajcaryi, czas właśnie ku temu w lipcu i w sierpniu.

Kończę już. Ściskam was oboje najserdeczniej, ściskam i polecam Bogu z całem domowem gronkiem mojem

Wasz

*Józef Bohdan Zaleski.*

[1]) Ze zbiorów Pana Aleksandra Jelskiego, w Zamościu.

*7. września 1852.*

Pojechałem do Mickiewicza (w Paryżu). Adam leżał w łóżku z fluksyą. Rozmawialiśmy poważnie.

## Do Pani Genowefy Proskurzyny [1]).

*Fontainebleau, d. 12. października 1852.*

Kochana Genusiu, od Frani, którą prawdziwym psim węchem odszukałem w ogromnym Paryżu, dowiaduję się o zmianie w marszrucie waszej, że nie pod Sztutgardem już, ale w Heidelbergu Antoni rozpoczyna swoje leki. Mój Boże. widocznie pomimo łaźni siarczanych, złe się wzmogło. Wierzajcie, moi drodzy, że nie po światowemu, ale szczerze i po bratersku tem się niepokoim. Radzibyśmy jak najczęściej mieć wieści od was. Wybór Heildelberga na kuracyę wyśmienity. Lekarze tamtejsi używają powszechnej wziętości w Niemczech, bo i rzeczywiście uczeni i nie matacze, jak ich głośni koledzy po wielkich stolicach. Ufność w lekarzu, to pół już zdrowia. I ty, moja Genusiu, podobno niedomagasz? Napomknęła mi coś Frania o trętwieniu rąk i nóg. Nie rozumiem, co zacz jest owe twoje licho? ale zaklinam, nie zaniedbuj się z niem, pókiś między dobrymi doktorami. Dla ratowania zdrowia godziwa jest wszelka ofiara. I nudy małego miasteczka przecierpieć trzeba bez szemrania. Zresztą Heidelberg wasz w prześlicznej okolicy, wesoły, schludny i cichy, szkoda że niemiecki! Umiliłyby wam pobyt kursa profesorów Uniwersytetu. Jest tam kilku ludzi wielce znakomitych, jako to: Simrock, Gervinus i t. d.

Z tem wszystkiem tęsknimy, żeście nie bliżej od nas. Przyjazd wasz byłby szczególnie pożądany i pożyteczny dla Frani... Jak mi radośnie w duszy po liście naszego Ludwika. Widzę, że się zanosi na długie i trwałe szczęście u niego w domu. Żyją po bożemu, to łaska z góry i miłość ludzka będą z niemi. A to grunt i podstawa wszelkiego dobra tu na ziemi. Chrześcianinowi więcej żądać nie wolno. Błogosławimy Ludwikowstwu z całego serca!

W całej Francyi dziś niby wielki kiermarsz. Od miasta do miasta rozlega się hałas pijany. Imperatorstwo już jest. I Fontainebleau nasze ciche gotuje gody przedkoronacyjne, stawia łuk

[1]) Ze zbiorów Pana Aleksandra Jelskiego, w Zamościu.

tryumfalny na przyjęcie Napoleona, który tu przyjedzie koło 20. b. m. na wielkie kilkunastodniowe łowy. I moje dzieci starsze cieszą się obietnicami parad wojskowych, fajerwerków i t. p. Dzięki Bogu, że wszystkie mi są zdrowe. Zosia coraz cięższa, to obojętna dość na wszystkie parady tego świata. I Józef mój odżył mi, rozruchał się, ale nie na widowiska. Odżył i rozruchał się na wieść, że jadą Daryuszostwo. On, biedak, tak rzadko zkąd czerpie pociechy! Wyprawimy go na zimę do Rzymu, kędy zdaje się, że Daryuszostwo prosto zdążą. Będzie nam tu smutno bez niego, wszakże uczucie ofiary umili i smutek. Ja przygwożdżony i przyklepany do Fontainebleau, raduję się jednak niewymownie szczęściem kochanych. Przestałbym chętnie na samotnem ustroniu i na dębowej nawet pościeli, byle k i l k o r g u m o i m było trochę lepiej. Do tych kilkorga moich i Ciebie liczę, Genusiu. Bóg widzi! Żyłem dotąd s e r c e m i p r z e z s e r c e, to i nadal mi już tak żyć i umierać z tem.

Błogosławię Ciebie i całuję, Genusiu, i całuję i ściskam Antoniego, łącząc pozdrowienia i pieszczoty od całego domu

Twój

*J. B. Zaleski.*

Jeszcze słówko a propos Heidelberga. Bawi tam młodziuchny poeta niemiecki, Oskar von Redwitz, którego wiersze narobiły hałasu w Niemczech i w całym świecie katolickim. Czternaście wydań jego dzieł wyczerpano w przeciągu niespełna dwóch lat. Ciekawym ich bardzo. Oto tytuły: 1) Amaranth, 2) Marchen, 3) Gedichte. Kup je dla mnie, kochana Genusiu, i przy sposobności przyszlij, koszt wrócę z pocałowaniem rączek po polsku.

*J. B. Z.*

*28. grudnia 1852.*

O południu nadjechali Mickiewiczowie i Proskurowie. Adam był uprzejmy i serdeczny, Adamowa uprzejma i Helenka. Cały dzień przepędziliśmy w domu, bo słota. Obiad suty. Adam wciąż przedni. Wieczorem około 9 razem wyjechali.

*7. lutego 1853.*

Raniutko do Paryża na pogrzeb młodego Mścisława Terleckiego. Przed kaplicą, gdzie już stały zwłoki nieboszczyka, spotkałem Mickiewicza. Przywitaliśmy się serdecznie i że dużo czasu było jeszcze do mszy i pogrzebu, poszliśmy na kawę. Chodźkiewicz przyszedł do nas. Odprowadziliśmy w licznym poczecie rodaków zwłoki na cmentarz Montparnasse, ja z Mickiewiczem i Lenartowiczem.

*8. lutego.*

U Proskurów na obiedzie u Mickiewicza. Obiad suty. Roztrzeźwiłem się późno w noc i czytałem towarzystwu improwizacyę Panny Łuszczewskiej. Obadwa z Mickiewiczem byliśmy w uniesieniu. Istotnie Bóg dał Polsce genialną poetkę.

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza.

*Fontainebleau, 15. lutego 1853.*

Kochany Ojcze Hieronimie, jakże to dawno, jakieś do nas ani tchu nie wypuścił, słyszeliśmy, żeś był chory, ale dotąd z pewnością nie wiemy, czyś zupełnie wyzdrowiał: daj Boże, aby tak było. Korzystam z odjazdu do Rzymu Pani Langowej, kuzynki naszej, i polecając Ją twojemu pobożnemu sercu, piszę do Ciebie, kochany Ojcze, tych słów kilka. Zapewnie już dotąd musiałeś się poznać z Daryuszostwem Poniatowskiemi; nic im nie mówiąc o tem, żem Ciebie o to prosił, donieś mi proszę najdokładniej, jak się oni oboje mają na zdrowiu. Słyszałem, że sama Poniatowska krwią pluje, że całkiem z sił spadła, i że wygląda jak szkielet. Niegdyś to dziecię wypiastowałem prawie na ręku i kocham po dziś jako swoje, dla tego też pragnę dokładnie wiedzieć o Jej dzisiejszym stanie zdrowia. Nic mi proszę, mój Ojcze, nie obwijaj w bawełnę, umiem od dawna poddawać się woli Bożej, lecz im pokorniej się jej poddaję, tem goręcej Zbawicielowi się naprzykrzam, aby zło odwrócił od tych, za którymi się modlę.

Po śmierci ostatniej mojej Cioci, zostałem wiekiem głową rodziny, otóż wszystkich radbym ogarnąć miłością, na znak mojego starszeństwa, i w takim patryarchacie rodzinnym stanąć przed Bogiem. Proszę, kochany mój Ojcze, znajdź wolną chwilę

czasu i donieś mi dokładnie o zdrowiu mojej Dyzi, a i o nim także jak się ma, jako też o sobie, bo wiesz, Ojcze, i możesz tego być pewny, że Cię szczerem sercem zawsze kochamy i poważamy.

U nas w domu wszyscy chwała Bogu zdrowi. 10. stycznia Bohdanowa powiła szczęśliwie trzeciego syna, któremu daliśmy na chrzcie imię Karol, ma więc mój Bohdan czworo potomstwa, ale to jedno dziewczątko między trzema chłopcami, całkiem prawie zchłopięciało. Westchnij tam czasem, kochany Ojcze, przy ofierze Pańskiej za tą trzodą niewiniątek, aby jej Bóg dał róść i wyróść na ludzi, bez szwanku na wierze, czystości i miłości chrześciańskiej. Całym domem pozdrawiamy cię serdecznie i modlitwom twoim, kochany Ojcze, polecamy się. Pozdrów pięknie ks. Piotra, potem Wilczyńskiego i wszystkich naszych znajomych w Rzymie. Matce Makrynie domek nasz i rodzinkę całą oddaj w opiekę.

Co to za zmartwienie musiałeś mieć z powodu śmierci Jastrzębskiego; Boże odpuść mu, bo prawdziwie nie wiedział co czynił.

Z całem uczuciem miłości, korzę się pod Twoje błogosławieństwo i ręce Twoje kapłańskie całuję a proszę, wymódl nam łaskę, aby Bóg był pochwalony w sercach i w duszach naszych na wieki,

Twój pokorny

*Józef J. Zaleski* [1].

*25. lutego 1853.*

(W Paryżu). Po obiedzie do Mickiewicza. Wieczór. Proskurowie, Chodźkiewicz i Kwiatkowski.

## Do Pani Zofii Zaleskiej.

*Lyon, 12. marca 1853 r.*

Moja kochana i najukochańsza, jako widzisz, datuję list z Lyonu. Dzięki Bogu, podróżnicy twoi zajechali tu zdrowi, weseli, bez najmniejszej co się zowie przygody. Od Fontainebleau do Chalons, jechaliśmy sami w osobnym wagonie, a więc jak w pokoju bawiliśmy się rozmową, czytaniem. Ze zmierzchem drzyma-

[1]) Brat Bohdana.

liśmy sobie wygodnie. O 9 stanęliśmy w hotelu i zaraz do wygrzanego łóżka. Żaden statek parowy nie podejmował się zawieść nas na 12 do Lyonu, aby ruszyć dalej do Valence, to nie było też i potrzeby wstawać rano. O 7 dziś wsiedliśmy na statek. Niestety mgła, cymeryjska prawdziwie pomroka obległa nas w połowie drogi. O dwa kroki nie można było widzieć i musieliśmy stać dwie godziny na kotwicy przy brzegu. Potem wyjaśniło się najślicznej. Im bliżej Lyonu, tem cieplej. Maryanek ze mną wciąż na pokładzie wesoły i przedni, że był uciechą wszystkich pasażerów. W Lyonie stanęliśmy w pięknym, dużym pokoju i zaraz wybiegliśmy do statków parowych na Rodanie, aby zamówić miejsca na jutro o 6 rano. Obiecują nas zawieść jednym tchem do Avignon, bo tu od wielu dni już ani znają mgły. Obiadowaliśmy w hotelu, a potem aż do zmroku na przechadzce ... Maryanek nie daje ojcu myślami psować głowy. Muszę ustawicznie czuwać nad nim i stosować się do jego dziecinnych usposobień. Osobliwego rodzaju ta moja podróż dzisiejsza. Wspomnienia dawnych wrażeń na tych samych miejscach, obok głębokiej rzewności za tobą, Zosią i za dziećmi, wplatają się cudownie w Maryankowe gwary i rojenia. Uśmiecham się we łzach, modlę się całym duchem. Jaki Bóg dobry! jaki miłosierny dla mnie grzesznika! Skoro Maryanek uciszy się na chwilę, myśl moja przy was i z wami. Widzę was, słyszę skwierk dzieci, widzę i słyszę ciebie, moja biedaczko, nad kołyską w znoju i bolach każdej godziny dnia i nocy. Bez Maryanka, najmilsza Zosiu, ja nie byłbym w stanie odbywać tej podróży. Zagryzłbym się niezawodnie troską o dom. Im żywiej oceniam twoją ofiarę, tem rzewniej mi w sercu, żem ją przyjął. Z tem wszystkiem Bóg darzy pokojem i pogodą, jakich nigdy nie doznałem. Uważam podróż do Rzymu jak świętą pielgrzymkę, kędy pokajany uderzę czołem Bogu, jako Ojcu rodziny . . . . .

Całuję i t. d.

Wasz

*Bohdan.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej.

*Marsylia, 14. marca 1853 r.*

Moja kochana i najukochańsza, chwałaż Bogu! jesteśmy w Marsylii. Jakom ci pisał z Lyonu, statek parowy jednym tchem

w ośmiu godzinach zawiózł nas do Avignonu. Nie doznaliśmy wcale unużenia i po obiedzie w Avignon, wczoraj wieczór o 9 stanęliśmy w hotelu. Maryanek zdrów, wesół, stworzony na podróżnika, je i śpi wybornie. Dziś dopiero o 8 mogliśmy wyjść z hotelu za wyszukaniem Montoniego.

A więc Józef odjechał 9. Zbałamucił nas co do statków parowych. Statki co wprost płyną do Civita-Vecchia odchodzą nie 5., 15. i 25. ale 3., 13. i 23. Szczęściem, że odpływa dziś Kastor, jeden z najlepszych pływaków Śródziemnego morza. Montoni jak najmocniej nalegał, aby korzystać z dobrej sposobności i jechać dziś o 4. Stanęło na tem że jadę, chociaż zatrzymać się muszę w Genui i Livournie, zawsze jednak wcześniej będę w Rzymie, niż gdybym doczekiwał się tu do 23. Montoni zapoznał mnie z kapitanem i ułatwił już wszystko z kosztami i wizami konsulatu. Radzi aby wysiąść z Maryankiem w Genui.

Od Montoniego powiozłem Maryanka do Notre Dame de la Garde, poleciłem gorąco opiece Matki Boskiej, która jest i Gwiazdą Morską młodego naszego żeglarza i was tam wszystkich. Rzewność i błogość czułem w modlitwie. Zamówiłem dwie Mszy, jedną dla was, drugą dla nas. Wracając, Maryanek prosił, aby go zawieźć do portu. Na ulicach z powozu zobaczyłem ks. Edwarda a więc razem zwiedziliśmy oba porty. Piszę ten list na biurku u ks. Edwarda, śród zgiełku i roztargnień.

. . . W drugim pokoju, Karol Różycki coś rozprawia. Obydwa ks. Edward i Karol są z nami najserdeczniej, zaprosili na swój obiad, aby nas dłużej zatrzymać u siebie.

Błogosławię was i całuję i t. d.

Wasz

*Bohdan.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej.

*Genua, 16. marca 1853 r.*

I stąd miej słówko tęsknoty, kochana moja. Ustawicznie na lądzie i na morzu myślę o tobie duszko i o dziatkach naszych, a czuję w sercu, że i ty tak samo niepokoisz się o nas. Bóg wciąż łaskaw dla nas; żegluga idzie nam jak najpomyślniej, najtrudniejszą już część jej przebyliśmy. Stąd do Livourno, i z Livourno do Civita-Vecchia, to jeno kilkogodzinne przejażdżki, a do tego roz-

łożone na dwa dni. Da Bóg pojutrze będziemy w Rzymie; właśnie w wilię św. Józefa, naszego Patrona i Opiekuna chrześciańskich rodzin. Opatrznie stało się, moja droga, żeśmy nie pojechali statkiem, co wprost płynie do Civita-Vecchia, powiadają doświadczeni, że nic bardziej nużącego, a osobliwie dla dziecka. Oprócz tego, bylibyśmy trafili na straszliwą burzę wczoraj, która tu w porcie genueńskim przegrzmiała tylko nad naszemi głowami. Schroniliśmy się wnet do hotelu des 4. Nations i do tego samego apartamentu, co sześć lat temu blisko zamieszkiwaliśmy razem z tobą, Zosieczko . . . . . .

. . . Dziś jeszcze jemy tu obiad i potem płyniem o 7 wieczór do naszego Kastora. Jutro o świcie mamy stanąć w Livourno, ale nie wysiądziem na ląd dla ważnych przyczyn. Będziemy za to cały dzień biegać po pokładzie . . . . . .

Błogosławię i t. d.

Wasz

*Bohdan.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej.

*Rzym, 21. marca 1853 r.*

Moja najdroższa, moja najukochańsza Zosiu, na sam św. Józef zdążyłem do Rzymu. Św. Józef i Palmowa Niedziela są to uroczystości wielkie, w które tu poczty wcale nie odchodzą. Zaraz po wrzuceniu listu do boatki w Genui, wsiedliśmy na statek. Czas wietrzny i słotny na wzburzonem morzu dokuczał bardzo podróżnikom aż do Civita-Vecchia. Wszyscy, oprócz nas dwóch, chorowali. Maryanek literalnie przespał te dwa dni, a raczej te dwie noce. Raniutko 18. zawinęliśmy do portu w Civita. Formalności paszportowe ze stu kilkudziesięciu ludźmi zatrzymały nas kilka godzin na statku, potem nudy na doganie, że dopiero o 1-szej wyjechać mogliśmy do Rzymu. Oczywiście przyjechaliśmy tu po północy. W żadnym hotelu ani kącika nawet do najęcia. Wałęsaliśmy się tak w powozie po ulicach przez parę godzin. Za nami drugi i trzeci powóz, słowem kilkudziesięciu wojażerów co się zowie na bruku. Udało nam się wkońcu znaleźć *casa particolara*, do której nas wpuszczono za opłatą 10 franków od osoby. Wyobrazisz sobie z tego, jaki tu natłok cudzoziemców na święta, i zarazem jaka gratka do obłowu dla Włochów. — Wyszliśmy do księży naszych.

Wyprawiłem Wilczyńskiego po Józefa, który wnet nadszedł, nie wiedząc o naszem przybyciu. Wystaw sobie zdziwienie Józefa na widok Maryanka, który wybiegł na przeciwko z powinszowaniem imienin. Popłakaliśmy się przy tej niespodziance. Józef zabrał zaraz Maryanka do Dyzi, wyjeżdżającej kędyś do kościoła, a ja zostałem dla spowiedzi i mszy w kościółku św. Klaudyusza, aby po bożemu uczcić dzień Patrona mego i tylu naszych kochanych.

Już tam Józef opisał stan zdrowia Dyzi [1]). Moja najmilsza Zosiu, nie zdołam ci wypowiedzieć, co uczułem w sercu na widok jej tak zmienionej po dziesięciu latach. Stałem przed domem kiedy zajechał powóz, spostrzegłem Józefa i Maryanka, ale żadnym sposobem nie mogłem uwierzyć, że to Dyzia z nimi. Podając rękę, i w uściskach powitania jeszcze wątpiłem ażali ona. Po głosie dopiero a bardziej po świętej woni słów poznałem naszego anioła. Rozpłakałem się w duchu i wnet rozpogodziłem. Zosiu, co to za okrutnik ten czas! Pustoszy na około nas i w nasze samych. Dyzię odarłże do niepoznania. Nie że wątła, zwiędła, blada, ale rysy zmieniły się całkiem i zgrubiały. Dopiero kiedyśmy usiedli obok siebie i dłoń w dłoni jak przed laty zaczęli rozmowę, Dyzia ożywiła się i odmłodniała, bo duch zawsze jednaki, ten sam na żywot i na wieczność. Przedumaliśmy cały dzień sami, Daryusz przy łóżku chorego Buturlina nie mógł przyjechać nawet na obiad. Odtąd po kolei Józef to ja jesteśmy niemal zawsze z nią. W przerwach cierpienia, kiedy jej ból nie dokucza, improwizuje tak piękne, święte, budujące rzeczy, że nasłuchać się nie można ani napatrzeć jej duchowej piękności. Z tem wszystkiem ataki boleści od wczoraj częstsze i nie pozwalamy jej wcale mówić. Ataki to nerwowe, przemijające, i jutro może być jak onegdaj. Daryusz pielęgnuje ją z pieczołowitością prawie macierzyńską... Zmizerniał, zesmutniał, świątobliwy to i wzorowy chrześcianin.

*23. marca, środa.*

Moja, moja Zosieczko, wczoraj nie miałem ani jednej chwilki wolnej do kontynuowania listu. Ranek brzydki, słotny przesiedziałem na kwaterze z Maryankiem, potem w kościele, potem u Dyzi. Ku południowi wypogodziło się trochę, to z Maryankiem w powozie Daryuszów puściliśmy się po raz pierwszy na wizyty. Naj-

[1]) Dyonizya Poniatowska.

przód do św. Piotra, dalej do ambasady i t. d. Maryanek poznał od razu św. Angelo. U św. Piotra wszystko po staremu, rzewnie w sercu odzwierciedliły mi się nawiedziny z tobą, Zosieczko. Niemal wstyd, że tak późno zebraliśmy się do św. Piotra. Ale nie ma sposobu. Odkąd tu jesteśmy, dzień w dzień ustawiczny deszcz i często ulewny. Mimo że mamy powóz, boimy się zaziębić w galeryach i kościołach, boimy się mianowicie zaziębić Maryanka. Na Mszę św. chodzimy do bliskich kościółków San Carlo, San Claudio i San Andrea della Fratte. Oprócz więc św. Piotra, nic jeszcze nie widzieliśmy. I mało kogo z Polaków spotkać. Michalinkę wczoraj mimochodem spotkałem w kościele, ale nie mówiliśmy z sobą. Langowa mieszka na Corso, to do niej tylko częściej wstępujemy. U Daryuszów widziałem Łubieńskich, Zosię Szymanowską z ojcem [1]), Artura Kościelskiego, Olizara, Korzeniowskiego, którzy z powodu imienin Józefowych przyszli, bo zwyczajnie Dyzia nie przyjmuje, a Daryusz u Buturlinów przy chorym.

Dziś wysyłam tę kartkę, bo od jutra zaczynają się uroczystości wielkotygodniowe i zapewnie przez kilka dni będą zamknięte poczty. I my radzibyśmy choć pojedyńczo po kolei uczestniczyć wspaniałym obrzędom. Jutro Ojciec Św. myje nogi pielgrzymom w kościele św. Piotra. Pojutrze groby i muzyka w kaplicy Sykstyńskiej i t. p. Napiszę tedy dopiero po świętach do Ciebie . . . . . Zosiu, serce, towarzyszko moja miła, dobra, poczciwa przysięgam ci, że umieram z tęsknoty za tobą. Śród Rzymu, w miłych stosunkach, tęskno mi. Radbym żebyś była, gdzie jestem, bo bez ciebie, co mi po wszystkiem? I dziatki nasze wciąż mi na myśli. Brak mi Józi i Dyzia i Karolka. Bezsenność wciąż mnie trapi jak w Fontainebleau.

Pokój tobie, błogosławię i całuję i t. d.

Wasz

*Bohdan.*

Moja najserdeczniejsza. rączki twoje całuję, nie uwierzysz, jak mi smutno i tęskno bez was, mimo szczęścia, które mnie spotkało, oglądania mojej Dyzi. Jam już wrósł w was, jak zaszczepiona gałązka w pień pełen soków. Miłość bo wasza dla mnie, to soki moje, z których ciągnę życie. Gdybym tu nie miał Maryanka i mego druha, oczybym wypłakał.

---

[1]) Jenerał Józef Szymanowski, ożeniony z Matyldą z hr. Poniatowskich, siostrą Daryusza.

Co to za biedne zdrowie mojej Dyzi, leży długo, bo osłabienie i wątłość wstawać Jej nie pozwala, a jak i wstanie, leży znowu najczęściej na kanapie. Cokolwiek śmielszy i przydłuższy ruch zaraz jej szkodzi, słowem, że jej podróż odbywa się prawie w pokoju. To módlcie się czasem za moje dziecię, a jak przyjedziemy, to ona cię za to bardzo pokocha.

Bogu was polecam

*Józef.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej.

*Marsylia, 16. kwietnia 1853 r.*

. . . . . .

Dziś wysiedliśmy ze statku parowego i chciałem na niespodziankę zjechać cichaczem do Fontainebleau. Ale to, co powiedział ks. Terlecki, pomieszało mi całkiem szyki. Nie godzi się twego serca wystawiać dłużej na próbę. Czyż to być może, iżby listy moje nie doszły? Pisałem zaraz po przyjeździe do Rzymu 20. czy 21. marca, i potem po świętach 4. kwietnia z kartką od Dyzi, obydwa razy obszernie. Prawda, że listów niefrankowałem, ale mi najwyraźniej powiedziano na poczcie, że do Francyi nie potrzeba. Poleciłem ks. Terleckiemu, aby reklamował na poczcie. Mój Boże, coś ty musiała wycierpieć; z tem wszystkiem nie wierzę, aby nie doszły. Może się tylko spóźniły dla złej drogi na lądzie i burz na morzu. Co to za burzę wytrzymaliśmy i dzisiaj, dojeżdżając do Marsylii? Wszyscyśmy przecież zdrowi, a Maryanek zdrowszy tu niż był w Rzymie. Jedziemy w towarzystwie Pani Grocholskiej i Zosi Szymanowskiej. Jutro na noc będziemy w Avignonie. Pojutrze w Lyonie, a we wtorek wieczór lub we środę o południu, da Bóg, będziem w twojem objęciu. Tęsknię na śmierć do ciebie, moja najdroższa, i do naszych dziatek.

Do widzenia się i t. d.

Twój *Bohdan.*

*21. maja 1853.*

W Montmorency Adam, książę Adam, książę Władysław, Klaczko, Spleszyński i t. d. Kazanie ks. Pinteaud przepyszne,

podniosłe a rzewne i proste. Gałęzowski niedowiarek płakał i wyraźnie był wzruszony, Falkenhagen Zaleski także płakał. „A Kaszyc?“ Nie wiem. *Bon mot* Mickiewicza

*22. maja.*

Z Panią Proskurzyną do Mickiewicza. Panna Szymanowska, Marynia, potem Aleksander Chodźko.

*2. czerwca 1853.*

Poszedłem do szkoły polskiej na Batignolles na sesyę Rady, po raz pierwszy odkąd jestem członkiem. Rzecz odbyła się porządnie pod prezydencyą zrazu Mickiewicza, potem Biernackiego.

*9. czerwca 1853.*

Omnibusem do Mickiewicza. Nie zastałem, poleciłem żonie zaprosiny Gałęzowskiego na obiad. Pożegnałem Zofię Szymanowską, która za kilka dni wyjeżdża do Warszawy. Obiad pański dla Proskurów. Mickiewicz, Chaborski, Fudakowski, Dobrowolski, Hłuśniewicz, Gałęzowski i ja. Po obiedzie rozmowa niemal do północy.

## Do Panny Michaliny Dziekońskiej, w Rzymie.

*Fontainebleau, 14. czerwca 1853 r.*

Krągły miesiąc ruski list z Rzymu szedł do Fontainebleau; toż pomieszał mi rachubę i szyki. Na chybił trafił gonię za kochaną Panią jeszcze raz do Rzymu, chociaż nie dowierzam, aby pod skwary letnie tam Państwo chcieli gościć.

Nie miałem czasu przeczytać rękopisów Eustachego, z tem wszystkiem rzuciłem wzrokiem tu i ówdzie i widzę, że słuszna uwaga Pani mcjej. Niepodobna listów do G.... drukować. Toż samo niepodobna drukować i Pielgrzymki Biskupa, dla stokroć jeszcze ważniejszyah powodów: narazilibyśmy na prześladowanie co najgorliwszych katolików. O Chojeckim kilka rysów i t. p. utworzą broszurę dość sporą, której chętnie zajmę się wydaniem. Oczywiście koszta będą mniejsze, bo i książka szczuplejsza i bez rycin; z tem wszystkiem nie umiem obrachować ściśle tych kosztów,

a ks. Jełowickiego nie zastałem w domu. Z Paryża tedy za przyjazdem kochanej Pani, po przeczytaniu manuskryptów, po rozmówieniu się z drukarzem, będziemy mogli coś ostatecznie napisać do naszego autora. Sprawa ta tymczasem niech zostanie w zawieszeniu.

Dziękuję bardzo, o! bardzo za przysłanie mi dekretu beatyfikacyi naszego Boboli, który ja pierwszy mogłem drukowany pokazać rodakom w Paryżu. Rozczuliliśmy się w sercach niedowiarki i wierzący, bo przecież to chluba narodowa. Ale dla wiernych, to stotysięczny korpus z nieba przeciw schyzmie. Jeszcze raz dziękuję kochanej Pani. Do widzenia się.

Z całą gromadą moją polecam się sercu Panny Michaliny tyle nam miłej.

*J. B. Zaleski.*

*4. lipca 1853.*

Sesya Rady Szkoły polskiej. Biernacki, Mickiewicz i t. d.

Gałęzowski zaprosił na obiad Mickiewicza i Ordęgę. Na drodze do hotelu de Bade, spotkaliśmy Józefa mego a więc obiadowaliśmy w sześciu. Mickiewicz wesoły i rozmowny. Po obiedzie odprowadziliśmy Mickiewicza i kędyś za bramą St. Martin wstąpiliśmy na piwo.

## Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej.

*Fontainebleau, 26. lipca 1853.*

Dyźciu duszko, posyłam listek od Kici, co przyleciał tu do nas z dalekich bardzo stron, a przyleciał nielada spieszno, bo w 8 prawie dniach, a więc w krótszym czasie niż listki z Rzymu. Piszę dziś kilka wierszy, bo mi jakoś jałowo w myślach. Z głową, och! serce — czemuś w rozterce. Roztargnień co niemiara. Na inszy dzień rad nierad odłożyć muszę pisanie. Może tymczasem odbiorę od Józefa świeższe wiadomości o zdrowiu twojem i skutkach kąpieli. Dyźciu nasza najmilsza, modlim się tu za ciebie w kilkoro, modlim się jak umiemy, ale z pełnego miłości serca. Jam grzeszny, ale Pan wysłucha moich niewiniątek.

Módlmy się och, wszyscy. Całuję rączki Dyzi od żony, od dziatwy. Polecam się gromadce waszej modlitwom i sercu świętej, kochanej.

*J. Bohdan.*

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza.

*Cauterets, 14. września 1853 r.*

Kochany księże Hieronimie, jak nam wiele z tobą ubyło, serce tylko wie; do stancyi obok mojej, ani się nawrócić, bo smutno. Tak nie dawnośmy się rozjechali, a czy się kiedy jeszcze w tem życiu zjedziem? Kierunek czasu i okoliczności sam Bóg trzyma w rękach i niemi rządzi; szczęściem, że On także jest źródłem miłości, i że w Nim możemy się kochać nieograniczenie, bez czasów i miejsc. Dopomóżże mi, kochany Ojcze, modlitwami swojemi, ażebym się w Bogu moim i Zbawicielu mógł bezpiecznie umieścić i tę nędzną, przy grzechach, moją miłość dla Ciebie i ludzi, czystszą a świętszą uczynić. Całuję twoje ręce kapłańskie z uszanowaniem i głowę moją pod błogosławieństwo Twoje pokornie schylam, a Tobie, kochany mój Ojcze Hieronimie, z całego serca życzę, abyś przykładem swojego św. Patrona zaświecił wielką świętością w Kościele i do Chrystusa naszego stąd poszedł z najliczniejszą swą trzódką, zebraną bez ubytku w znojach i gorliwości kapłańskiej. W tej to trzódce, mój kochany Ojcze, i dla mnie grzesznika miejsce wyproś, wyjednaj. Modlitwom więc Twoim i sercu polecam się, a jeszcze raz ręce Twoje z uszanowaniem i miłością całuję i moich wszystkich kochanych w sercu Twojem składam

*Józef Zaleski* [1]).

My jutro stąd wyjeżdżamy, za 6 lub 7 dni najdalej, da Bóg, będziemy w Paryżu. Może przed wyjazdem do Rzymu z Marsylii, jeżeli czas i zdrowie pozwoli, choć słówko do nas napiszesz. Wierz mi, kochany Ojcze, że w tym małym domku fontaineblowskim wszyscy Cię bardzo kochają i szacują. Proszę, Ojcze, oddać mój list Generałowi i pozdrowić jeszcze osobno starego wojaka. W ten

[1]) Brat Bohdana.

list zapieczętowałem karteczkę do Postępskiego, a gdyby Generał zapomniał oddać mu, niech się Roman upomni.

Ks. Hubego i ks. Piotra całuję i w modlitwy Ich wpraszam się. Wilczyńskiego i resztę klasztornych w miłości Chrystusowej pozdrów.

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza.

*Cauterets, 16. września 1853.*

15. mieliśmy stąd wyjechać. tymczasem 14. w nocy zachorowała nam na żołądek Dyzia i oto trzeci dzień leży w łóżku. Gorączka, którą pierwszego dnia miała, zbiła ją z nóg. Zapewnie jeszcze kilka dni przyjdzie nam tutaj zabawić, a tu czas taki nasępiony, słotny i chłodny, jakiego jeszcze nie było. Pomódl się, kochany Ojcze, aby nam Pan Bóg naszą chorą uzdrowił. Jakby to dobrze było, żebyś był z nami teraz; nie wiedzieć po co tak się od nas spieszyłeś wyjechać. Pod twojem błogosławieństwem bylibyśmy bezpieczniejsi. Wczoraj przyszedł do ciebie list z Rzymu, który tutaj przyłączam, jakoteż karteczkę ołówkiem z łóżka od Dyzi. 14. wysłałem pakiet listów frankowany, który także w Marsylii na poste restante powinieneś znaleźć. Ręce twoje, kochany Ojcze, całuję i modlitwom a sercu Twemu najlepszemu siebie i moich wszystkich polecam

Twój *Józef* [1]).

*29. września 1853.*

Wyszedłem do Biblioteki Arsenału. Zastałem Adama, zabrał mnie na górę, był wesół i opowiadał o duchach stolikowych niemal godzinę. Wyszedłem o 4 na drogę Orleańską.

## Do Pana Ludwika Zwierkowskiego [2]).

*Fontainebleau, 15. października 1853.*

Szanowny Panie Ludwiku, pospieszam donieść, iż pułkownik Różycki gości obecnie w Paryżu, a kędy gości łacno się dowie-

[1]) Brat Bohdana.

[2]) Pan Ludwik Zwierkowski napisał do Bohdana Zaleskiego dziwny list, w celu wybadania Różyckiego, czy zechce się połączyć z Czajkowskim.

dzieć na Batignolles. Macie oto sposobność pomówienia z nim i wybadania w rzeczy, o której do mnie piszesz.

Skądinąd znowu, Panie Ludwiku, przyznam się, że propozycya twoja mocno mnie zdziwiła. Wiesz dawno żem chrześcianin i katolik, to jakżebym się poważył stręczyć komuś robotę, której Czajkowski wyraźnie jest promotorem, Pan Czajkowski, odstępca wiary świętej i zgorszyciel publiczny w Narodzie? Broń mię od tego, Boże! Szczycę się oddawna przyjaźnią Pułkownika Różyckiego, to wiem, że mąż ten poważny i poważany, oprócz Chorągwi Krzyża innej żadnej nie uznaje.

Sprawa wschodnia oto, Panie Ludwiku, odnowiła między nami korespondencyę tejże samej treści, przerwaną od 15 czy 16 lat, toż po staremu piszę się z szacunkiem i życzliwością

*J. B. Zaleski.*

*22. października 1853.*

Po 8-ej do Mickiewicza z Gałęzowskim i Hłuśniewiczem. Nadeszli Biernacki i Ordęga, ale Mickiewicza nie było. Zjawił się Adam. Rzecz o wypłoszeniu ze szkoły Klimaszewskiego. Zgodziliśmy się na jedno.

## Do Pani Zofii Zaleskiej.

*Paryż, 28. października 1853 r.*

Moja najmilsza Zosiu, zastałem Dyzię znacznie gorzej, bladą, bezsilną i pokaszlującą. Wczoraj stawiano jej pijawki. Z tem wszystkiem trwają w postanowieniu wyjechania pojutrze. Daryuszostwo radziby nas troje mieć przy sobie na wyjezdnem. Wytłumaczyłem, że niepodobna. Józef zostanie tedy do wtorku, a ja dziś wieczór lub jutro raniutko wracam do Fontainebleau, abyś ty wnet mogła przyjechać do Dyzi. Wolałbym wrócić dziś wieczór, ale wiesz, że u Dyzi najlepszy czas do pogadanki właśnie czas wieczorny. Nie mogę jej odmówić parę godzin na pożegnanie.

Oprócz tego, cały niemal dzień dzisiejszy zabiera mi ważny interes Szkoły polskiej. Wczoraj wieczór dla tego interesu przesiedzieliśmy z Gałęzowskim i kilkoma jeszcze u Mickiewicza. Piszę tę kartkę u Gałęzowskiego . . . . . .

Bóg z tobą, Zosiu, i z dziatkami

*Bohdan.*

*30. października 1853.*

Karol Różycki nadszedł z miłą rozmową i zawiadomieniem, że Mickiewicz nadjechał wczoraj. Adam z wizytą, a wnet i Langowa. Śniadanie i rozmowy miłe. Całym domem na rydze, ale zaledwie znaleźliśmy kilka na przysmak dla Adama. Obiad, na którym Adam, Władysław Chodźkiewicz i Langowa. Rozmowa w miłej kompanii do 11 wieczór. Adam w przednim humorze.

*31. października.*

W parku znalazłem Mickiewicza z Różyckim. Gawędziliśmy razem o stolikach wirujących i t. d. Mickiewicz odjechał wieczorem do Paryża.

## Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej.

*Fontainebleau, 16. listopada 1853.*

Całuję rączki Nisi z mojem czworgiem, pięciorgiem czy sześciorgiem, całuję z czułością niewinną, świętą, z czułością pomnożoną w sześćnasób i do nieskończoności. Proszę nie mieć do mnie żalu, żem się nie przypisał na kartkach Józefowych ...

Nisiu, u nas nic nowego nie zaszło. Bóg dobry błogosławi domowi grzesznika, na czyjeś snać modlitwy. Bóg dobry darzy zdrowiem starych i młodziutkich, darzy och! i pokojem świętym i łaskami bez liku.

Z Ukrainy miałem świeżo list od Genusi. Ubyło tam jedno z moich rodzonych. Siostra Socharzewska umarła w końcu czerwca. Żyła poczciwie; wychowała Bogu i ludziom liczną dziatwę, to odeszła na spoczynek po znojnej pracy, odeszła do Ojca i Pana z wiankiem swoim żniwiarki na zagonie. Boli jednak serce na wspomnienie naziemskiej gromadki, co płacze tam po niej. Ja nie płaczę. Czułość moją braterską Bóg od młodu wziął na próbę. Za żywota odgrodził mnie czyścową niby otchłanią od najbliższych, którzy są krwią moją i kośćmi z kości. To zamierzchliśmy dla siebie i tylko biedna Antosia usiłuje tam przejrzeć w tumanach. Boże nasz, Boże! Najmłodszy niegdyś z trzynaściorga, najmłodszy dziś z trojga, darmo tęsknię lata i przez wiek. Znajdziem się niebawem wszyscy u Matki. Toż nigdy już nie płaczę, ale modlę się

częściej w dobrych godzinach o Niebo dla umarłych moich i dla żywych.

Owoż Nisia rozgościła się już na dobre w Rzymie, w swojej ojczystej stolicy. Doprawdy, Rzym dla Nisi i Nisia dla Rzymu, Nisia i Rzym są sobie jak do rymu. Nisiu, Rzymianko nasza świątobliwa, żyjże tam szczęśliwa, pogodna, zdrowa jak rybka w swojej wodzie. Módl się, aniołku, dużo i gorąco jak umiesz, w pokoju, w swobodzie ducha, bez gorzkich łez i zabójczych zaciekań się nad niedolą grzeszników swoich ukochanych. My przed Chrystusem Panem sami zdamy sprawę ze złości naszych, a będzie nam gorzej, oj gorzej za twój płacz, żeśmy w dodatku i ciebie udręczyli, gdzie tam, wydali na tortury przez wiek. Nisiu, duszko, pogody, świętej pogody wypracuj w sobie trochę więcej, a staniesz na wzór i wzorzec nam upośledzonym i biedakom, staniesz na rozjemczynię gniewu bożego dla wielu. Póki tą cnotą pogody nie opromienisz twego czoła, biada nam, pobrzydniem do reszty w twoich oczach, to pomierzchniem zaraz i w sercu. Zdobądź się, Nisiu, na heroizm i posiądź co rychlej cnotę, tyle zbawienną dla ciebie i dla nas.

Nisiu, prosim bardzo pielęgnować zdrowie, prosim z głębi serca. Za to obiecujem kochać i pieścić Nisię jak swego domowego anioła.

*Bohdan.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

# NAJNOWSZE PRĄDY
# W POEZYI NASZEJ

PRZEZ

**PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.**

Modernizm! Modernizm! Modernizm! słyszymy na wszystkie strony czy w dziennikarstwie, czy w salonie, czy nawet u modniarki i fryzyera, tak jak słyszeliśmy niedawno wyraz secesya, a przedtem dekadentyzm, a jeszcze dawniej symbolizm lub impresyonizm...

Gdyby tak dobrze do muru przyprzeć większość tych, co modne te wyrazy czy hasła powtarzali i powtarzają, i zapytać, co też oni przez nie rozumieją, tobyśmy ich niewątpliwie wprowadzili w kłopot niemały, gdyż nie wielu zdaje sobie z tego sprawę dokładną. Łatwiejbo wymawiać słowa, niż określać pojęcia; łatwiej umeblować salon secesyonistycznie lub modernistycznie, niż jasno określić, jakich prądów myśli czy uczuć są te rodzaje umeblowania wyrazem...

A przecież, jeżeli nie chcemy, ażeby drugi Słowacki wyrzucał nam, iż jesteśmy „pawiem narodów i papugą“, to musimy przynajmniej rozumieć, co z zagranicy bierzemy; wszystkie bowiem owe hasła nie urodziły się na naszym własnym gruncie, nie są wynikiem naszego samoistnego rozwoju, ale doszły do nas, jak większa część naszych pojęć wogóle, od obcych narodów, z Zachodu.

W samem przejmowaniu się tem, co narody cywilizowane u siebie wytworzyły i wyhodowały, nie ma zgoła nic złego; od

najwcześniejszego zarania dziejów oświaty naszej tak się działo i prawdopodobnie dziać się będzie nadal z powodu naszej „młodszości“ cywilizacyjnej; utrzymywanie związku z dorobkiem innych narodów wyżej rozwiniętych, jest nawet rzeczą konieczną; tylko sposób, w jaki dorobek ten sobie przyswajamy, może być dobrym lub złym, korzystnym dla naszej duszy narodowej lub też szkodliwym.

W szeregu zarysów niniejszych, nie występując wrogo przeciwko samym nowościom, chciałbym jedynie dopomódz kształcącemu się ogółowi do wyrobienia sobie jaśniejszego poglądu zarówno na istotę tych nowych kierunków jakoteż na drogi, któremi się one u nas rozchodzą, zadania, które sobie stawiają, i cele, ku którym dążą. Zrozumienie sprawy jest najpierwszym warunkiem każdego sprawiedliwego sądu i każdego pożytecznego działania.

## I.

## Modernizm a romantyzm.

Dawno to już zrobiono spostrzeżenie, że postęp ludzkości nie da się wyrazić przez linię prostą idącą w nieskończoność, lecz raczej przez linię łamaną, zaznaczającą kolejne spadki i wzniesienia się, to większe to mniejsze. W początkach XVIII. stulecia twórca nowożytnej filozofii historyi Jan Chrzciciel Vico chciał nawet widzieć prawo rozwoju w ciągle powtarzających się ruchach naprzód i cofaniu się, w swoich sławnych: *corsi — ricorsi.*

Nie wdając się w rozbiór tego twierdzenia, zaznaczyć jednak winienem, że w dziejach ubiegłego stulecia można bez najmniejszego naciągania zauważyć wyraźne objawy akcyi i reakcyi zarówno w dziedzinie spraw politycznych, jak zagadnień filozoficznych i prądów literackich.

Po wielkiej rewolucyi francuskiej i wojnach napoleońskich nastąpiła reakcya religijno-polityczna, trwająca mniej więcej do r. 1830, poczem znów wszczął się ruch naprzód, ideami społecznemi i humanitarnemi głównie kierowany, dopóki znów po zgnieceniu rewolucyi lutowej r. 1848 nie zapanował na czas jakiś nawrót ku ideałom dawniejszym, zniesiony następnie przez bardziej natężoną niż dawniej zasadę narodowości, która pod wpływem różnorodnych przyczyn przemieniła się niebawem wśród plemion zwycięzkich

w chęć zgnębienia innych pod brutalnem hasłem siły przed prawem.

W filozofii, po świetnym, wspaniałym rozkwicie najbujniejszego, jaki znamy, idealizmu, pojawia się kierunek materyalistyczny, niezachwianie stanowczy w przeczeniu wszystkiemu, co tamten za prawdę ogłosił. A gdy ten nie czynił zadość wymaganiom naukowym, pozytywizm wykluczył wszelką metafizykę, idealistyczną czy materyalistyczną, z zakresu dociekań swoich, powołując do badania tego tylko, co doświadczalnie okazanem i dowiedzionem być może.

W literaturze, po wielkich wzlotach romantyzmu „na skrzydłach wyobraźnej pianki", i po fantastycznych wyprawach w krainy złudzeń, przyszedł realizm, zajmujący się pilnie życiem rzeczywistem, powszedniem, wcale nie bohaterskiem, a wielce prozaicznem, przyszedł naturalizm, będący jaskrawem spotęgowaniem metody realistycznej, głoszący dumnie, że on dopiero odtwarza prawdę życia przedmiotowo — w jego nędzy i szpetocie.

Otóż właśnie gdy pozytywizm i realizm największe swe w umysłach spółczesnych święcił tryumfy, gdy wśród dusz płytkich i talentów słabszych zaczęły się wytwarzać coraz częstsze objawy oschłości serca, poziomości dążeń, trywialności obrazów artystycznych; gdy rozum analityczny, zrazu podziwiany i wielbiony, okazywał swą niemoc w sprawie rozwiązania najciekawszych i najważniejszych dla człowieka zagadnień: wrócono w filozofii ponownie do badań metafizycznych, a w literaturze zażądano jakiegoś tchnienia świeższego, które dać mogła wzmożona fala uczuciowości i puszczenie cugli fantazyi.

Nie ukazał się wprawdzie dotąd żaden wielki talent, któryby tym pragnieniom czegoś nowego dał potężny i wymowny wyraz i któryby porwał za sobą rzesze; może nawet, przy dzisiejszych warunkach rozwoju, dzielność takiego talentu nie mogłaby pociągnąć za sobą takich skutków jak dawniej. Namnożyło się natomiast mnóstwo talentów pomniejszych, z których każdy starał się po swojemu uczynić zadość zarówno własnym potrzebom serca i wyobraźni, jak i domaganiom się tych czytelników, których literatura naturalistyczna przejmowała niesmakiem.

Dwie głównie grupy możnaby wśród tych poszukiwaczy czegoś nowego wyróżnić!

Jedni tonęli w mistycyzmie, lubując się jego nieokreślonemi, lecz uroczemi dla dusz subtelnych i marzycielskich przestrzeniami bez granic i rojeniami nieuchwytnemi; drudzy starali się utrwalić

w kreacyach artystycznych przelotne, ledwie dające się dostrzedz nastroje swej duszy, wywołane bodźcem zewnętrznym czy wewnętrznym, zyskując tym sposobem dla uczuć, a raczej wrażeń i wzruszeń, dla najdrobniejszych nawet wstrząśnień subjektywnych nowe w poezyi uprawnienie, które naturalizm, odtwarzający grube namacalne rysy życia zewnętrznego i wewnętrznego, niemal zakwestyonował.

Jeżeli te usiłowania literackie, wynikłe przedewszystkiem z opozycyi przeciwko panującemu w powieściopisarstwie francuskiem naturalizmowi, zechcemy oprzeć na jakiejś podstawie teoretycznej, to znajdziemy ją w tej zasadzie, od dawna już wygłaszanej, ale przez psychologię współczesną wszechstronnie rozwiniętej, że my w gruncie rzeczy nie poznajemy i nie możemy poznać przedmiotów i zjawisk, jakiemi one są poza nami (same w sobie), lecz jedynie tylko stany naszej duszy, wzbudzone przez owe przedmioty i zjawiska, czyli innemi słowy, nasze wrażenia i wzruszenia, wraz ze wszystkiemi dalszemi ich kombinacyami.

W rozwinięciu tej zasady i zastosowaniu jej do twórczości artystycznej, można twierdzić, że najmozolniejsze nawet starania, by się w granicach przedmiotowego (objektywnego) odtwarzania utrzymać, nie zdołają wywołać zamierzonego skutku — odbicia świata rzeczywistego, realnego, jakim on jest pozewnątrz nas; będą to bowiem zawsze tylko odbicia naszych wrażeń i wzruszeń, uwolnione, co prawda, od cech przypadkowości, oparte na całym szeregu spostrzeżeń czy bodaj doświadczeń; ale bądź cobądź przepojone naszymi poglądami, uczuciami i przyzwyczajeniami. Sama teorya naturalistyczna nie przeczy temu bynajmniej. W znanej formule, wypowiedzianej przez Emila Zolę, cząstka świata, zanim znajdzie uzewnętrznienie swoje w dziele sztuki, musi przejść, jak przez pryzmat, przez temperament artysty, t. j. uledz przetworzeniu podmiotowemu. Naturalizmowi nie chodziło o całkowite wykluczenie czynników podmiotowych z zakresu twórczości artystycznej, lecz jedynie o trzymanie go na wodzy za pośrednictwem ścisłych, dokładnych spostrzeżeń i doświadczeń, o ile te drugie należały do możliwych. Takie żądanie, właściwe już realizmowi, było wynikiem spotęgowania się wpływu nauk doświadczalnych oraz protestu przeciwko dowolności w tworzeniu charakterów i sytuacyj, dowolności, której mnóstwo przykładów znaleźć było można w „twórczości“ romantycznej.

Gdy atoli w pismach naturalistycznych „tworzenie“ ustąpiło miejsca „odtwarzaniu“, gdy zwłaszcza mniej od Zoli utalentowani

autorowie coraz częściej i w coraz wstrętniejszy sposób zaczęli już nie tylko prozę, ale poprostu brudy życia na pokaz wywlekać i chlubić się z doskonałego malowania błota i gnoju; zrodzić się musiała nowa opozycya, równie naturalna i równie konieczna, jak dawniejsza; a w głosie tej opozycyi czuć było potrzebę powrotu do szlachetniejszych, idealniejszych natchnień, których źródło oczywiście nie jest pozewnątrz nas, w przedmiotach i zjawiskach, ale w nas samych, w duszy naszej.

W parnej, wszystkimi wyziewami kuchni życia przepełnionej atmosferze, odczuto niezbędność dopływu czystszego powietrza z krainy uczuć, wzruszeń, wzlotów, porywów, któreby nas przejęły innemi wrażeniami, aniżeli te, jakich doznajemy wobec „Brzucha Paryża“ lub „Nany“, boć człowiek nie mięsem jest tylko...

Wymaganiu takiemu stać się musi niewątpliwie zadość.

Czy próby dotychczasowe, znane w ogólnem życiu duchowem jako neo-chrystyanizm, neo-buddyzm, okkultyzm, a w sferze artystycznej jako symbolizm, impresyonizm, dekadentyzm, zdołały zaspokoić owo wymaganie; czy stworzyły takie ideały, któreby mogły być pożądaną ostoją dla dusz, rażonych widokiem płaskiej, codziennej rzeczywistości w każdej sferze życia? Zdaje mi się, że nie.

Wzmogły one raczej chaos wyobrażeń, pojęć, pragnień, pożądań, rozwichrzyły umysły, uczucia, sumienia, roztargały duszę, ale jej nie ukoiły. Wytężały wyobraźnię i uczuciowość, ale dlatego, by okazać ulotność naszych wrażeń i wzruszeń, by sproszkować, na atomy rozłożyć naszą duszę i pozbawić ją bezpośredniości odczuwania siebie i świata. Jest pragnienie wiary, ale jest niemożność wierzenia; jest chęć wzniesienia się nad poziom i powszedniość, ale zarazem jest grzęźnięcie świadome czy bezwiedne w błotku zmysłowości; jest pożądanie jakiejś wielkiej syntezy, a zarazem skłonność do analizowania najdrobniejszych naszych wzruszeń; jest wielkie wysubtelnienie a zarazem jakiś popęd do brutalności, jest pragnienie szczerości, a przytem najwyszukańsza obłuda, tak jak obok naturalności — sztuczność: jednem słowem dziwna mięszanina wzniosłości i powszedniości, wzlotów duchowych i wyrafinowań zmysłowych; wytwornego smaku i upodobania w dziwactwach; wysubtelnionego spółczucia nawet dla roślin, a zatwardziałego egoizmu względem bliźnich, mięszanina złudzeń jakiejś wszechmocy i poczucia całkowitej bezsilności, porywów chwilowych energii i stałego osłabienia woli; mieszanina westchnień

za przeszłością, wzlotów ku przyszłości i zamiłowań w tej teraźniejszości ulotnej, która naprawdę zgoła nie istnieje...

Taki stan dusz, pełen niepokoju, zdenerwowania, chłodnego entuzyazmu i łzawego samolubstwa, odczuwania subtelnych odcieni a miłowania jaskrawości, nazwano modernizmem, niby kwintesencyą tego wszystkiego, do czego doszedł rozwój duchowy w czasach najnowszych.

Jest w nim dużo podobieństwa do romantyki zwłaszcza niemieckiej z końca XVIII. a początku XIX. stulecia, ale jest i dużo różnic. Jak romantyka była oddziaływaniem fantazyi i uczucia przeciwko suchemu racyonalizmowi „wieku oświecenia“; tak i modernizm ten sam przybiera charakter wobec pozytywizmu filozoficznego i realizmu artystycznego.

Ale jak niema dwu liści zupełnie do siebie podobnych, tak też nie ma dwu prądów, analogicznych skądinąd, któreby można utożsamić. Żaden wogóle ruch czy przeciwruch, zaznaczony przezemnie na początku, nie tworzy jedności z ruchami i przeciwruchami dawniejszymi, gdyż wchłania w siebie nieznacznie i częstokroć nieświadomie pierwiastki poprzednich faz duchowych. Tak samo rzecz się ma z modernizmem i romantyzmem. Analogie pomiędzy nimi są uderzające, ale różnice też ogromne. Rozpatrzmy jedne i drugie, o ile da się bezstronnie, zarówno w zasadach i hasłach, jak w nastroju, dążeniach i w sposobie wyrażania pomysłów.

Więc najprzód co do zasad i haseł. Romantyzm niemiecki — kładzie nacisk na przymiotnik, gdyż objawy romantyki u różnych narodów były bardzo różne — przeciwstawiając się racyonalizmowi uznał fantazyę i uczucie za najprzedniejsze potęgi życia duchowego wogóle, a artystycznej twórczości poszczególe; gardził zwykłym zdrowym rozsądkiem, jako rzecznikiem pospolitych, powszednich, niższych potrzeb życia realnego, jako przeciwnikiem hazardownych przedsięwzięć i niebosiężnych wzlotów, a nawet czystych serdecznych popędów, poddawanych interesowanej rachubie.

Najfantastyczniejsze, najszaleńsze, najdziksze pomysły ceniono stokroć wyżej nad obrazy życia rzeczywistego. Obłąkani, ludzie ze zdwojoną świadomością, ekscentrycy najcudaczniejsi a wreszcie dyabli w najrozmaitszych postaciach byli ukochanemi dziećmi romantyzmu.

Dla przykładu dość będzie przytoczyć w streszczeniu jedną z powieści Teodora Amadeusza Hoffmanna: „Eliksyry dyabła“.

W pewnym klasztorze przechowują mocno zakorkowaną flaszkę, należącą do spuścizny po św. Antonim. Jej zawartości przypisują skutki czarodziejskie. Brat Medard napił się z tej butelki; piękna pani, której był spowiednikiem, zakochała się w nim, a żądza rozkoszy i zabaw światowych wypędziła go z klasztoru.

Spotyka on młodzieńca, hrabiego Wiktoryna, śpiącego w lesie nad brzegiem przepaści; napół przypadkowo strąca go w nią, a następnie uchodzi za Wiktoryna, żeni się z jego narzeczoną, która wcale nie dostrzega przemiany. Kochają się w nim wszystkie kobiety, on urzeczywistnia wszelkie zachcianki, spełniając przytem cały szereg najokropniejszych zbrodni.

Wtrącony do więzienia, wśród przerażających wizyj, podczas których słyszy śmiertelne rzężenia pomordowanych przez siebie, świadomość jego r o z d w a j a s i ę i sam on już nie wie, kim jest i czy to, czego doznaje, dzieje się we śnie czy na jawie.

Oto dochodzi go lekkie miarowe pukanie. „Wsłuchiwałem się — powiada — pukanie trwało wciąż, a jednocześnie w przerwach, dziwaczne wydobywały się śmiechy z ziemi. Zerwałem się i rzuciłem się na siennik, ale wciąż słyszę pukanie, śmiechy i jęczenia. Nakoniec coś odezwało się wolno, bardzo wolno, ohydnym, ochrypłym, zajękliwym głosem: Me-dar-dzie! Me-dar-dzie! Strumień lodowatej wody spłynął po moich członkach! Zdobyłem się na odwagę i zawołałem: kto tam? kto tam?... Wreszcie zapukało i jęknęło coś pod jego stopami: „Chi-chi-chi! bra-cisz-ku Me-dar-dzie — to ja, to ja; otwórz, otwórz!“ Ze zgrozą zdało się Medardowi, że słyszy głos własny; kilka kamieni w podłodze podnosi się i własna jego twarz w habicie mnicha wlepia weń oczy.

Ten sobowtór był również uwięziony i skazany na śmierć.

Medarda wypuszczają na wolność; ma się połączyć ze swoją ukochaną. Nadchodzi dzień wesela; Aurelia przywdziewa suknie ślubne. „W tej chwili — opowiada Medard — głuchy szmer powstał na ulicy, odezwały się jedne za drugimi głosy przytłumione i słychać było groźny łoskot ciężkiego, wolno toczącego się wozu. Pobiegłem szybko do okna! Tuż przed pałacem stał prowadzony przez sługę kata wóz drabiniasty, na którym tyłem siedział zakonnik, a przed nim kapucyn, głośno i żarliwie odmawiający z nim modlitwę. Bladość twarzy wobec śmierci i najeżona broda zbezkształciły twarz jego; ale rysy szkaradnego sobowtóra były dla mnie zbyt łatwymi do poznania. Kiedy wóz zatrzymany na chwilę przez tłoczącą się masę ludu, znów potoczył się dalej, więzień rzucił na mnie osłupiałe, przerażające spojrzenie, iskrzących się

oczu, uśmiechnął się i zawył: Narzeczony! narzeczony: Chodź — na dach — na dach — tam sprobujemy się z sobą, a kto kogo strąci, ten król i krew pić będzie. — Czego chcesz, straszliwy człowieku? — krzyknąłem — czego chcesz, czego chcesz odemnie?“ Aurelia objęła mnie ramionami, przemocą odciągnęła od okna, krzycząc: na Boga i Pannę Przenajświętszą! Medarda, mordercę mojego brata, prowadzą na śmierć. — Leonardzie! Leonardzie! Wtedy duchy piekielne przebudziły się we mnie i wspinały się na mnie z siłą, jaka udzielona im jest nad zbrodniczymi, przeklętymi grzesznikami. Z wściekłym gniewem uchwyciłem Aurelię, aż drgnęła konwulsyjnie: Ha, ha, ha! szalona, głupia kobieto! Ja — ja, twój zalotnik, twój narzeczony, jestem Medard, jestem mordercą twego brata, a ty, narzeczona mnicha, ty chcesz sprowadzić zgubę na swego oblubieńca? Ho, ho, ho! jestem królem — piję krew twoją!“

I przebija ją; strumień krwi spływa na jego ręce; wybiega na ulicę, ściąga mnicha z wozu, na prawo i na lewo wymierza ciosy nożem i pięścią i pędzi do lasu: „Jedna tylko myśl pozostała mi w duszy — powiada — uciekać, jak zwierz, którego szczują. Zatrzymałem się i ledwie uszedłem kilka kroków, kiedy z hałasem wypada z zarośli młodzieniec, wskakuje mi na grzbiet i opasuje mię barkami. Naprożno usiłowałem go zepchnąć; upadam, opieram się plecami o drzewo — wszystko nadaremnie. Chichotał i śmiał się szyderczo. I oto zeszedł księżyc, przeświecając jasno poprzez czarne jodły, a blada śmiertelnie, szkaradna twarz mnicha, mniemanego Medarda, mojego sobowtóra, utkwiła we mnie ten sam ohydny wzrok jak z wozu: Hi, hi, hi! braciszku! Braciszku — wciąż, wciąż jestem przy tobie, nie opuszczam ciebie, nie-o-pu-szczam cie-bie; nie mogę biedz jak ty, mu-sisz mię dźwi-gać; idę z pod szu-bie-nicy, chcie-li mię ła-mać ko-łem, hi, hi!“

I takie sytuacye rozsnuwa autor aż do końca książki, pozostawiając czytelnika w niepewności co do prawdziwego znaczenia wypadków i co do moralnego charakteru działania; tak dalece dowolna, swobodnie puszczona fantazya dokonała rozkładu osobistości [1])...

A podobnego rodzaju pomysły obiegały we wszystkich literaturach europejskich, nie wyłączając i naszej, gdzie Kraszewski

---

[1]) Według J. Brandesa: Główne prądy literatury XIX. wieku rozdz. X.

w powiastce: „Leon Leontyna“ opowiedział historyę mężczyzny, który dla doznania wrażeń i uczuć właściwych kobiecie, zapisuje duszę dyabłu, i zostaje kobietą ze świadomością jednak swego męskiego pochodzenia, i w końcu jako czarownik ginie na stosie [1]).

Jeżeli dzisiaj nie bardzo już poszukiwani są dyabli dla robienia rozmaitych eksperymentów i wcielania dziwacznych pomysłów, to dlatego, że mniej są potrzebni; psychologia zanotowała i roztrząsnęła zjawiska zdwojenia świadomości i nie potrzeba aż eliksyru szatana, ażeby Medard światowiec i Medard mnich, za morderstwa ścigany, byli w gruncie rzeczy jedną osobą. Zasada natomiast swobodnego puszczania cugli fantazyi, nawet wbrew logice, została dzisiaj ponownie za jedno z najświętszych praw poety uznaną.

Druga połowa hasła, dotycząca uczucia, miała tak samo w romantyzmie jak ma w modernizmie dwa odrębne oblicza: jedno było pełne jasności i czystości, i rozwiewało się w mgłach mistycznych, drugie zaś uśmiechało się lubieżnie i dyszało zmysłowością. Zwykłe to połączenie zanadto wyidealizowanych, więc niezbyt dla ludzkiej natury odpowiednich stosunków t. zw. platonicznych z jednej, a zwierzęcych instynktów z drugiej strony. W romantyce niemieckiej obok wielkiej nie tylko czułostkowości, ale i prawdziwej, serdecznej, wzniosłej uczuciowości, po raz pierwszy wygłoszono teoryę wyzwolenia ciała i żądzy zmysłowej, co później u romantyków francuskich znalazło tak wymownych rzeczników i rzecznice. I dzisiaj mamy bardzo podobne objawy.

Jest atoli jedna znaczna różnica. Uczucia romantyków nie posiadały już wprawdzie cechy szczerej, naiwnej bezpośredniości, jak pieśni ludowe, choć poeci ubiegali się o jej osiągnięcie, w każdym jednak razie miały rozmach szeroki, obejmowały ludzkość całą, lub naród, lub jakąś umiłowaną dziedzinę wiedzy czy sztuki. Uczucia modernistów, lubo niby bardzo głębokie i bardzo dojmujące, mają charakter ułamkowy i ulotny, są zwrócone najczęściej samolubnie ku tej osobie, co ich doznaje, a co najwyżej odnoszą się do sfery sztuki, która wynagrodzić ma za nicość życia. Jakoś zmalała pierś człowiecza w ciągu stulecia.

I zgorzkniała także. Smutku i melancholii nie brakowało wprawdzie romantyzmowi. Wszak to w dobie jego rozkwitu szerzył

[1]) J. I. Kraszewski: „Wędrówki literackie, fantastyczne i historyczne“, Wilno 1838, str. 143—172.

się i ból wszechświatowy *(Weltschmerz)* i owo przerażające niemal zniechęcenie do istnienia, nazwane przez Chateaubrianda „manią chęci do życia *(la manie de vouloir vivre)*. Gwiazdy, dawniej ludzkości świecące, albo pogasły zupełnie albo tak zbladły, że już za drogowskazy służyć nie mogły. Sceptycyzm XVIII. wieku, burzący wszelkie powagi, obniżający wzniosłość natchnień, pozostawił rozumowi bardzo zaszczytne miejsce w mniemaniu ludzi, ale przyzwyczaiwszy ich do wątpienia, musiał się poddać i konsekwencyi naturalnej, że i o tym ubóstwianym rozumie wątpić zaczęto, zwłaszcza gdy nie mógł dać zadawalającej odpowiedzi na pytania dla serca drogie, a dla życia zarówno jednostkowego jak ogólnego niezmiernie ważne.

Nastąpił stan nieokreśloności wzruszeń wewnętrznych *(l'état du vague des passions)*, tak dręczący i tak bolesny, że nawet sama niewiara wydawała się lepszą od niego. Męczył on duszę najpierwszego przedstawiciela choroby wieku, R e n é g o, (w książce Chateaubrianda pod tym tytułem), który w żadnem zajęciu nie mógł odnaleźć interesu, a w żadnem towarzystwie — trwałego zadowolenia. Mówił on ze smutkiem: „Czegożem się nauczył dotychczas pomimo trudów takich wielkich? Nic pewnego u starożytnych, nic pięknego wśród współczesnych. Przeszłość i teraźniejszość to dwa posągi niezupełne; jeden wydobyto potrzaskany z ruin stuleci, drugi nie doczekał się wykończenia od przyszłości... Pewnego dnia wdarłem się na szczyt Etny, wulkanu wrącego na wyspie pewnej. Ujrzałem, jak wschodziło słońce na niezmierzonym widnokręgu podemną, Sycylię ściśniętą jakby w punkt jeden u stóp moich i morze rozlane na dalekich przestrzeniach. W tym obrazie widzianym pionowo, rzeki wyglądały jak linie geograficzne nakreślone na mapie; atoli, kiedy z jednej strony oko moje spostrzegało te przedmioty, z drugiej pogrążało się w kraterze Etny, której płonące wnętrzności ukazywały się wśród kłębów czarnej pary.“ Młodzieniec, miotany namiętnościami, siedzący nad paszczą wulkanu i płaczący nad śmiertelnikami, których mieszkania zaledwie u stóp swoich dostrzegał, jest niewątpliwie przedmiotem godnym chyba litości; ale cokolwiekbyście pomyśleli o Renem, obraz ten daje wam wizerunek jego charakteru i jego istnienia: „tak to przez całe życie moje miałem przed swemi oczyma przyrodę równie niezmierną jak nieprzeniknioną, i przepaść ziejącą u mego boku“.

Dzisiaj przybyło dużo cierpkości i dużo brutalności do tych wyrzekań na niemożność ogarnięcia wszechświata umysłem i zapełnienia ziejącej przepaści wzruszeń namiętnych. Nauka rozwidniła

widnokręg na wielu punktach, ale to, cośmy poznali, wygląda jak drobny krążek, na niezmierzonej przestrzeni niepoznanego oceanu pływający; a żądza niespokojna i niczem zaspokoić się nie dająca, po chciwem i łakomem poszukiwaniu przedmiotów zadowolenia, popada w gorszy stan niż nieokreśloność wzruszeń wewnętrznych, w stan śmiertelnej nudy. Rodak Chateaubrianda, patryarcha dekadentów, Karol Baudelaire, opisał ten stan bez żadnej osłonki i ozdoby, nie żałując realistycznych porównań:

Niby rój glist, co mrowiem gęstem się przewala,
W mózgu nam tłum demonów huczy z dzikim śmiechem,
A śmierć ku naszym płucom za każdym oddechem
Spływa z głuchemi skargi, jak podziemna fala.

Jeśli gwałt i trucizna, ognie i sztylety
Dotąd swym żartobliwym haftem nie wyszyły
Kanwy naszych przeznaczeń banalnej, nie miłej,
To dlatego, że brak nam odwagi — niestety!

Ale pośród szakalów, śród panter i smoków,
Pośród małp i skorpionów, żmij i nietoperzy,
Śród tworów, których stado wyje, pełza, bieży,
W ohydnej menażeryi naszych grzesznych skoków, —

Jest potwór — potworniejszy nad to bydląt plemię —
N u d a, co chociaż krzykiem nie utrudza gar[d]ła,
Chętnieby całą ziemię na proch miałki starła,
Aby jednem ziewnięciem połknąć całą ziemię.

Stan tedy niepewności i nieokreśloności przemienił się w pewność przerażającą, że nic nas wyzwolić nie zdoła od udręczeń potwora, który w duszy naszej obrał sobie stolicę.

Z przyznaniem wyobraźni przewagi bezwzględnej nad rozumem łączy się najściślej wydźwignięcie jednostki twórczej na wyżyny niemal bóstwa. Gardzi się wówczas rzeczywistością namacalną, ludźmi pospolitymi, tłumem, przezywanym filistrami czy „mydlarzami“, a wynosi się własną osobistość nad wszelkie zestawienia i porównania. Uważa się ją za twórczynię świata; lekceważy się doświadczenie, bo ono jest niczem wobec wiecznej intuicyi.

Rozumie się, że jest w tem bardzo dużo złudzenia. Ten zasób spostrzeżeń, jaki twórca porobił w ciągu życia, przerabia on i przetwarza, rozmaicie go kombinując w wyobraźni, i wydaje mu się, że nic nie zawdzięcza światu zewnętrznemu, lecz że wszystko dobywa z własnej jaźni. Rzecz naturalna, że im bogatszą jest du-

sza, tem jej przejawy i jej wylewy będą dla ogółu cenniejsze i bardziej zajmujące: ale gdy naśladując te wielkie umysłowości, małe duszyczki nie darowują nam najmniejszego swego wzruszenia i wstrząśnienia, to ogarnia nas ckliwość.

Można takim zarozumiałym duszyczkom, wspinającym się na szczudła olbrzymów, przypomnieć przestrogi, które mistrz spółczesnego indywidualizmu, Fryderyk Nietzsche, włożył w usta swemu „Zaratustrze“:

„Ty chcesz iść drogą twojej niedoli, to jest drogą do samego siebie? Pokaż mi więc swoje na to prawo i siłę!...

„Czy jesteś nową siłą i nowem prawem? Pierwszym ruchem? Z siebie toczącem się kołem? Czy możesz i gwiazdy zmusić, żeby się koło ciebie obracały?

„Ach! istnieje tyle żądz do wyżyn! Istnieje tyle konwulsyj ambitnych! Pokaż mi, że nie jesteś żadnym z tych pożądliwych i ambitnych!

„Ach! istnieje tyle wielkich myśli, które nie więcej czynią od miecha: wydymają nas i robią jeszcze pustszymi!

„Nazywasz się wolnym? Chcę panującą twoją myśl usłyszeć, a nie to, żeś uciekł od jarzma?

„Czy jesteś takim, któremu wolno było uciec z pod jarzma? Istnieją tacy, którzy odrzucili ostatnią swoją wartość, gdy odrzucili zależność.

„Wolny od czego? Co to obchodzi Zaratustrę? Lecz jasno powinno mi zwiastować oko twoje: wolny do czego?

„Czy możesz sam sobie dać dobro i zło, i wolę swą zawiesić nad sobą jak zakon? Czy możesz sam sobie być sędzią i mścicielem własnego zakonu?

„Straszne jest owo sam na sam z sędzią i mścicielem własnego zakonu. Tak wyrzuca się gwiazdę w przestrzeń pustynną i w lodowaty oddech tego sam na sam [1])“.

Nie brakło i w romantyzmie płytkich zarozumialców, podających majaki wyobraźni swojej za jakieś objawienia, żądających dla siebie praw wyjątkowych w życiu, a nie umiejących wolą swoją stać się „sędziami i mścicielami własnego zakonu“; ale na chlubę wielkich przedstawicieli owego prądu wyznać potrzeba, że umieli wymagania i zamiłowania indywidualne pogodzić z celami życia gromadnego, nie chcieli być pasorzytami wysysającymi soki spo-

[1]) Fryd. Nietzsche: Tak mówił Zaratustra, przełożyli Marya Comft i St. Pieńkowski, 1901, str. 92. 93.

łeczne bez żadnego ze swej strony poświęcenia dla dobra ogółu. Naród, ludzkość, wiedza, sztuka stawały się przedmiotami ich natchnień, które u niektórych narodów, jak u Włochów i u nas były zarazem jeżeli nie dźwigniami rozwoju, to balsamami kojącymi rany.

Nie chcę przesądzać przyszłości modernistycznego kierunku: ale jak dotychczas nie podobna w nim dostrzedz takich czynników, któreby się mogły stać pokrzepieniem dla mas, roztoczeniem jaśniejszych widnokręgów wobec dusz ponurych i znużonych. Owszem, do większości przedstawicieli tego prądu można zwrócić aforyzm wypowiedziany przez Chateaubrianda: „Nie przez to jest ktoś wielkim pisarzem, iż duszę wystawia na torturę". *(On n'est point un grand écrivain parcequ'on met l'âme à la torture).* Przedmowa do A t a l i.

Albo wyziębienie serc, albo bezbrzeżny pessymizm, albo wyuzdana zmysłowość, w dziwny sposób kojarząca się niekiedy z jakimś mistycyzmem, albo okropność obrazów zwyrodnienia natury ludzkiej, albo ohydna szczerość w malowaniu własnego zepsucia — zbyt często i ze zbyt wielkim naciskiem pojawiają się w utworach, nazywających się modernistycznymi, ażebyśmy je mogli w tym względzie zdaleka nawet zestawić z utworami romantyzmu, gdzie obok obłąkań fantazyi, obok obrony rozkoszy zmysłowych, było tyle wzniosłych, świetlanych, na wyżyny ideału wynoszących obrazów i wynurzeń. Serca tam były szlachetne, choć bardzo swą osobistością zaprzątnięte, — ale dalekie od cynicznego samolubstwa, gardzącego celami ogólnymi, nie dopuszczającego, aby w dziedzinie sztuki mogły znaleźć miejsce uczucia i ideały, potrzeby i braki społeczne, narodowe. Zasłaniają się moderniści czcią dla „sztuki czystej", ale, niestety, sztuka ta aż zanadto często jest bardzo „nieczysta"...

I romantyzm gorzał miłością dla „sztuki"; z romantyzmu wyszło pierwsze hasło uprawiania „sztuki dla sztuki"; ale wielcy romantycy wkładali całą swą piękną duszę w swe dzieła, nie zaś drobną jej cząstkę, mętami newrozy i zwyrodnienia zapełnioną. Dusza ta obejmowała nie tylko własne wrażenia czy własne cierpienia, lecz wchłaniała w siebie radości i smutki, łzy i uśmiechy, upokorzenia i tryumfy swego narodu, zachęcała do uszlachetnienia i podniesienia serc, spółczuła z dolą i niedolą ogólną, stawiała poetyczne pomniki sprawie zwyciężonej, choć słusznej i świętej. Dążność poezyi romantycznej wyrazić można jednym wielkim okrzykiem: w y ż e j i w y ż e j! *(Excelsior!).*

Dla modernistów głównym tematem jest tylko zbolałe, znużone j a poety; wypowiedzieć jego najlżejsze drgnienia, wahania się, wstrząśnienia i omdlenia staje się troską największą, jakby się lękano, ażeby świat nie był, broń Boże, pozbawiony wiadomości o najtajniejszych, a najczęściej wcale nieciekawych przejściach takiej duszy, rozmiłowanej w sobie i uolbrzymiającej swoje udręczenia.

Chorym podobają się nieraz szczegółowe opisy choroby, ale to nie dopomaga im do wyzdrowienia, owszem bywa powodem gorszych zasłabnięć. Poezya modernistyczna ma bardzo wiele podobieństwa do opisów chorób przeróżnych; odpowiada widocznie usposobieniu zdenerwowanej części społeczeństwa, jeżeli znajduje czytelników a nawet zapalonych chwalców.

Nie można zaprzeczyć, iż zdolniejsi jej przedstawiciele znakomicie odmalowali nie jedno zboczenie moralne, nie jedno dziwaczne uczucie; umieli przejąć czytelników lękiem i grozą, umieli wstrząsnąć i przerazić, ale ukojenia nie przynieśli podobno nikomu; co więcej, zdaje się, jakoby taka dążność była im najzupełniej obcą; pogodna, jasna kraina sztuki wydaje im się wytworem dziecinnej doby rozwoju; niepokój, posępność, mrok, zgrzyt, obłęd, przedstawiają im się jako objawy godne uwiecznienia wytwornym wierszem nowoczesnego poety, który dzieciństwo pozostawił już daleko poza sobą.

I pod względem sposobu wyrażania pomysłów są uderzające analogie między romantyzmem a modernizmem.

Romantyzm pierwszy zaczął szukać nowych zwrotów, niespodzianych połączeń wyrazowych, niezwykłej rytmiki wiersza, rzadkich rymów, strojnych zwrotek. Odświeżenie stylu u wszystkich narodów jest jedną z wielkich jego zasług w literaturze, jako uzasadniona i pożądana reakcya przeciwko sztywności, wyszukanej patetyczności lub słodkawemu wdziękowi pseudoklasycyzmu. Przywracanie wyrazom ich pierwotnego plastycznego, obrazowego, konkretnego znaczenia, zastępowanie ogólników abstrakcyjnych malowniczymi szczegółami, przenośnie świeże, bujne, barwne, ujmujące w obraz żywy myśli i uczucia poety, są to cechy wspólne stylowi romantycznemu wszystkich krajów. Oczywiście, że w pogoni za kwiatami stylu zrywano nieraz chwasty, że chcąc wypowiedzieć głąb duszy, popadano w ściemnioną studnię frazeologii, że głosząc niebosiężne pomysły, nie unikniono napuszoności, rażącej dzisiejszego czytelnika. Były to wszelako usterki pomniejszych

talentów, i czasami tylko znajdowały się w dziełach pierwszorzędnych.

U modernistów są podobne dążności, ale częstsze usterki, tak że niektórzy, uważani za wodzów, zapełniają całe utwory przenośniami zbyt daleko szukanemi i zbyt niezrozumiałemi, ażeby je za piękne poczytywać można. Styl jednak wogóle jest bardzo staranny, wytworny i subtelny, a wersyfikacya doprowadzona do takiej doskonałości, o jakiej niegdyś nie marzono nawet.

Natomiast w kompozycyi zdarzają się wady, znane wprawdzie i u romantyków, ale nie w tak wysokim stopniu.

Romantycy z niechęci do rozumu, jak niemniej do zbyt regularnej budowy utworów pseudoklasycznych, lubili się posługiwać bardzo często domyślnością czytelników, już to nie dopowiadając niektórych sytuacyj i urywając je nagle, już zestawiając z sobą obrazy, nie mające na pierwszy rzut oka żadnej logicznej łączności.

Moderniści powierzają się niemal całkowicie dowolnemu kojarzeniu się wyobrażeń, a ponieważ to kojarzenie się nie może być takie samo u czytelnika, jak było u autora, powstaje tedy gmatwanina zdań prawie nie do rozplątania. Są tacy, co się zachwycają i upatrują głębokie symbole w wierszu Maeterlincka p. t. „Spojrzenia“. Przytoczę z nich mały ustęp, którego piękności uznać nie mogę, gdyż nie dostrzegam związku pomiędzy poszczególnymi w nim obrazkami, a raczej połączeniami wyrazów, niewątpliwie zdziwionych, że się z sobą spotykają:

O! te spojrzenia biedne i znużone!...
Są takie, które zdają się odwiedzać biednych w niedzielę;
Są podobne jagniętom na łące okrytej płótnami;
Są takie, pod sklepieniem których jest się obecnym straceniu
[dziewicy w sali zamkniętej
I takie, które każą marzyć o zapachu kamfory w lesie,
O zamknięciu królewny w wieży, w dzień uroczystości,
O żeglowaniu przez cały tydzień po wystygłym kanale itd. itd.

Może mało jestem wyćwiczony w symbolistyce, ale przytoczone tutaj rodzaje spojrzeń, mające wywoływać zaznaczone przez poetę wrażenia, zgoła nie przemawiają do mojej duszy; „wczuć się“ w nie nie potrafię.

*Przerywam te uwagi*, gdyż nad formą poetycką wypadnie mi zastanowić się jeszcze później; teraz niech wystarczą powyższe napomknienia.

Wracając do początku niniejszego zarysu i stwierdzając powrót młodszego i najmłodszego pokolenia do sposobu tworzenia romantyków, lecz z tak wybitnemi różnicami, że tych dwu prądów utożsamić niepodobna, winienem zastrzedz się, że pod nazwę modernizmu nie podciągam wcale takich objawów, odświeżających rzeczywiście atmosferę moralną w poezyi, jak utwory Rostanda (Cyrano de Bergerac, Les Romanesques, L'Aiglon), w których powiew romantyzmu co do istoty swojej jest bardzo czysty, choć sztuczny, i zmierza rzeczywiście do uszlachetnienia dusz, choćby nawet z tą przymieszką łagodnej ironii, jaka i wielkim romantykom obcą nie była. Ani Rostand sam, ani też nikt inny, o ile wiem, do nadania mu nazwy modernisty nie rości najmniejszej pretensyi. Mniemam jednak, że takie i tym podobne dzieła jak jego, wpłynąć z czasem zdołają uzdrawiająco, zarówno na publiczność, jak i na samych modernistów i oderwą ich od chorobliwego wpatrywania się w patologiczne tylko okazy duszy własnej i cudzej. Mając pisać o najnowszych prądach w poezyi, nie sam oczywiście modernizm winienem mieć na względzie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# RZECZ O UCZUCIACH LUDZKICH.

## WSTĘP.

W duszy ludzkiej odróżniono od bardzo dawna trzy zasadnicze własności: rozum, uczucie i wolę. Myśliciele wszystkich czasów i narodów najwięcej usiłowań poświęcili zbadaniu istoty i praw rozumu ludzkiego, czyli poznania; kusili się nieraz nawet o wyprowadzenie całego ładu świata z praw rozumu ludzkiego i ten rozum, pojęty jako jakieś nieosobiste bóstwo, mienili niektórzy z nich to świata stwórcą to samymże wszechświatem. Prawa rządzące rzeczywistością okazały się w samej rzeczy zgodnemi z prawami rozumu ludzkiego; inaczej być nawet nie mogło, jeśli mieliśmy działać skutecznie, działając rozumnie; ale nie dały się dowieść ani współistotność świata i rozumu ludzkiego, ani twórcza moc rozumu naszego; i owszem, pomysły takie, wynikłe z dociekań szkoły, musiały zawsze pozostać obcymi ogółowi wykształconych, świadomych tego, że poznają świat istniejący niezawiśle od swego poznawania. Wzbogacono natomiast znakomicie wiedzę naszą, badając prawa rozumu i źródła naszej pewności, choć wynik tych badań, dla samego rozumu poniekąd ujemny, wszelkiemu sceptycyzmowi nie mało dostarczył argumentów. Wiemy dziś, że znamy z logiczną pewnością tylko to, co bezpośrednio stwierdzimy i to co ze ścisłej analizy nabytych pojęć wynika; wszystko inne bywa logicznie tylko mniej lub więcej prawdopodobnem, pewnem nie jest. Otóż stwierdzamy tylko nasze poznawanie i treść tego poznawania, a żadna analiza logiczna nie zdoła z treści poznawania naszego wywnioskować tego, aby przez nas wyobrażony świat rzeczywiście istniał poza nami. Rozum sam nie jest w stanie za-

przeczyć twierdzeniu sceptyka, przezywającego wszelką rzeczywistość możliwem urojeniem. A jednak wątpienie dowcipnych sceptycznych pisarzy nigdy ich nawet samych nie przekonało; sami nawet ustnie tylko wątpili, własnemu przyklaskując dowcipowi, a w samej rzeczy podzielali niezłomne a powszechne rodzaju ludzkiego przekonanie, nie tylko o rzeczywistości dostrzeganego przez nas wszechświata, ale niemniej także o rzeczywistości niezmiennych praw, które tym wszechświatem władną.

Racya tego niezłomnego przekonania tkwi w różnej od rozumu własności duszy ludzkiej, zwanej przez niektórych rozsądkiem, przez innych sumieniem; w konieczności działania, życia, rozwoju, której możemy jedynie zadość uczynić, wierząc w rzeczywistość wszechświata i praw rozumnych, które wszechświatem władną. Ta rzeczywistość wydaje nam się bezwzględnie oczywistą i poczucia oczywistości nie potrafią osłabić żadne krytyczne wywody, które lubo są ściśle rozumnymi, wydać się zawsze muszą marnymi tylko sofizmatami. Nie chcemy i nie możemy wierzyć we własne bezwzględne wątpienie; tkwi w nas nieprzeparta siła, domagająca się poznawania i działania, pracа ku iszczeniu celów duchowych, ku dokonaniu życia i rozwojowi życia, niemożliwym dla tego, który rzeczywistości oczywistej i oczywistego panowania prawa w naturze nie uznaje. Czujemy konieczność życia i działania a przeto nie chcemy i nie możemy ani przez chwilę uznać bezwzględnego, niby tak rozumnego sceptycyzmu. Poznawaniu przychodzą na odsiecz uczucie i wola, stwierdzające w sposób niezawodny i powszechnie uznany prawdziwość jego wyobrażeń i pojęć, to jest ich zgodność ze światem istniejącym rzeczywiście po za naszym umysłem i niezawiśle od naszego umysłu.

Błądziła zatem myśl filozoficzna, jeśli szukając źródeł naszej pewności i wskazówek na życie, zajmywała się zbyt wyłącznie sprawami samego rozumu. Świadomość tego błędu wzmaga się z dniem niemal każdym i uwaga zwraca się coraz bardziej ku badaniu zjawisk uczucia i woli; ztąd coraz liczniejsze prace treści estetycznej albo etycznej, ztąd znaczenie, którego nabrała dziś psychologia. Do późniejszej chwili odkładając roztrząsanie zagadnień tyczących się woli, zamierzam w niniejszej rozprawie zająć się naturą uczucia ludzkiego.

Człowiek jest najdoskonalszem zwierzęciem, a wznosi się po nad wszelkie zwierzęta posiadając duchowe zdolności, które są zwierzętom zupełnie nieznane, albo których nie jasny zarodek jawi się u najwyższych zwierząt, w wyjątkowych tylko chwilach, być

może, iż jedynie pod wpływem poufałego obcowania z człowiekiem, tak jakby zostały tajemniczym jakimś sposobem z człowieka na zwierzę przeniesione. Własności te bywają u człowieka skojarzone przed samowiedzą, dostrzegającą naiwnie a bezpośrednio podmiot duchowy, od ciała zwierzęcego różny, i mieniącą ten podmiot podstawą wspólną a nieprzemienną, substancyą zupełnie prostą wszystkich duchowych zjawisk, odnoszącą zaś wszystkie zjawiska do owego podmiotu, przezywającą zjawiska duchowe własnościami albo przypadłościami duchowej substancyi, zwanej duchem. Mawiamy tedy pospolicie, że człowiek składa się z duszy i ciała, a nauka bez względu na metafizyczne stanowisko, jakie zajmuje, odróżnia w człowieku zmysłowość o umysłowości, mówi o duchu i o ciele. Chcąc tedy uczucia ludzkie badać, zajmiemy się najpierw uczuciami, czerpiącemi swój początek w zmysłowej naturze człowieka, a wspólnemi człowiekowi i zwierzętom; potem przejdziemy do rozpatrywania uczuć duchowych, właściwych tylko człowiekowi, zwierzętom nieznanych.

Uczucia wspólne człowiekowi i zwierzętom tyczą się zmysłowej boleści lub rozkoszy jednostki, albo też bywają tak zwanymi instynktami, popychającymi do czynów dla jednostki obojętnych, albo nawet szkodliwych, ale potrzebnych dla utrzymania rodzaju. Omówimy tedy najpierw uczucia zmysłowe tyczące się jednostki żywej bezpośrednio; następnie przystąpimy do rozpatrywania uczuć instynktowych.

Gdy będziemy rozpatrywać uczucia duchowe, człowiekowi tylko właściwe, ułatwimy sobie przegląd, trzymając się utartego odróżnienia trzech głównych, a stałych ducha własności, zdolności poznawczej, właściwego uczucia czyli afektu i woli. Osobno będziemy tedy omawiać uczucia boleśne lub radośne, towarzyszące poznawaniu; przystąpimy osobno do rozpoznawania uczuć, tyczących się spełnionej lub udaremnionej woli; nareszcie zajmiemy się osobno uczuciami patetycznemi w ścisłem tego słowa znaczeniu, to jest temi, które tyczą się głównie miłości i nienawiści.

Rozpatrując tak uczucie ludzkie, rozjaśnimy i pogłębimy pod niejednym względem naszą wiedzę, mianowicie rozpoznamy źródła psychologiczne moralnych popędów i postanowień, wszystkich wrażeń estetycznych. Nie dokonalibyśmy jednak naszego dzieła, gdybyśmy na końcu nie poświęcili kilku kartek zastanowieniu się nad tem, jakie światło rozpoznanie uczuć ludzkich rzuca na zasadnicze, metafizyczne zagadnienia. Tem zatem rzecz swoją zakończymy.

Do tego końcowego rozpamiętywania, do tych ostatecznych wniosków doprowadzi nas zresztą sam przebieg naszych badań. Oddzielnie od innych uczuć, tyczących się poznawania, omówimy uczucie piękności właściwej, wywołane oglądaniem tego, co się zbliża do ideału doskonałości znanego nam, choć nie uświadomionego najczęściej, a znanego intuicyjnie, nie zaś na podstawie poprzedzającego doświadczenia. Poznamy z ciągu całych badań naszych, że wszystkie uczucia radośne występują wtedy, gdy się zbliżamy do ujawnienia ideału cielesnego, albo duchowego, a przed samem zakończeniem niniejszej rozprawy obydwa ideały porównamy i osądzimy. Z tego krok już tylko będzie do postawienia wniosków metafizycznych, narzucających się koniecznie.

Podzielę zatem pracę niniejszą na dziewięć rozdziałów i zakończenie.

I. i II. Rozdział zajmą się uczuciami zmysłowemi, tyczącemi się jednostki organicznej.

III. i IV. Rozdział omówią instynkta, służące do utrzymania zmysłowego, organicznego rodzaju.

V. Rozdział zajmie się zadowolnieniem i niezadowolnieniem poznawczem o ile ono się nie tyczy oglądania właściwego piękna, to jest kontemplacyi ideału.

VI. Rozdział będzie rozpatrywał właściwe patetyczne uczucia miłości i nienawiści.

VII. Rozdział poświęcę rozkoszy i boleści, sprawionej przez dzielność albo niemoc woli.

VIII. Rozdział zwróci się ku zbadaniu istoty piękna, treści ideału.

IX. Rozdział wreszcie szukać będzie ideału człowieka, tudzież ideału najwyższego.

Nareszcie w Zakończeniu streszczę nasuwające się wnioski metafizyczne, wyrażę łączność niniejszej rozprawy z poprzedzającemi, w których filozoficzne moje przekonania już wyrażałem, a mianowicie z rozprawami wydanemi pod tytułem: „Roztrząsania filozoficzne o podstawie pewności“ i „Rzecz o wiedzy ludzkiej“.

## I.

## Uczucia zmysłowe tyczące się boleści lub rozkoszy poszczególnej jednostki.

Uczucia bywają przyjemne lub przykre; spotęgowanie przyjemnych zamienia je w rozkoszne, przykrych w boleśne. Najpospolitsze, już dziecku. w pierwszych chwilach uświadamiającego się życia znane uczucia, tyczą się rozwoju ciała jednostki, albo też stosunków i zdarzeń, mogących się przyczynić do utrzymania rodzaju ludzkiego, lub też rozwojowi rodzaju stanąć na przeszkodzie. Postępowanie zwierząt budzi w nas przekonanie, że uczucia, o których teraz mowa, im także są wspólne.

Zwierzęta, zatem także człowiek, podobnie jak rośliny, dążą rozwojem swoim do ujawnienia ideału życiowego, fizycznego, właściwego rodzajowi swojemu; to dążenie jest istotą zwierzęcia lub rośliny, ideał zaś rozumną racyą ich istnienia. Ideał tyczy się kształtów i zdarzeń wynikłych z życia organizmu, a ujawniłby się wtedy, gdyby się organizm rozwijał w najbardziej sprzyjających warunkach, zdarzenia zaś życiowe tyczą się powstania i zaniku kształtów i to w tak ścisłym związku, że normalne ujawnienie kształtów jest nierozerwalnie skojarzone z normalnym tokiem zdarzeń życiowych i na odwrót. U człowieka i u organizmów przez niego hodowanych długotrwała, dziedziczna odmienność warunków pierwszych już zaczątków życia, wyrodziły stałe odmiany organicznego ideału, będące racyą istnienia ras, albo też indywiduów o odrębnej, przyrodzonej sobie charakterystyce. Podczas gdy zwierzęta i rośliny dzikie różnią się indywidualnie od siebie, prócz położenia i czasu powstania, jedynie mniej lub bardziej doskonałem oddaniem wspólnego wszystkim typu postaci, ludzie i pojedyńcze organizmy swojskie dążą już naturalnie do wytworzenia odrębnych typów rasowych, albo indywidualnych; u człowieka zwłaszcza musimy mówić o ideale indywidualnym każdej jednostki. Zwierzę dzikie, polna lub leśna roślina odstępują od wspólnej postaci tylko za sprawą mniej przychylnych okoliczności, wśród których się rozwinęły; ludzie, choćby się wszyscy wśród najkorzystniejszych okoliczności rozwijali, począwszy od nastania wyraźnego zarodku ich osobistości, różniliby się jednak pomiędzy

sobą; dziś różnią się bardziej jeszcze wskutek tego, że żaden w zupełności nie osiągnął, każdy w innej niedostatku mierze osobisty swój ideał organiczny ujawnił.

Przyjemność sprawia jestestwom czującym wszystko, co się przyczynia do ujawnienia organicznego ideału, przykrość sprawia przeciwnie wszystko, co temu rozwojowi przeszkadza. Samo życie jest przyjemnością, zwłaszcza za lat młodych, kiedy organizm dąży dopiero do pełnego kształtów swoich ujawnienia; prosty człowiek — i każdy młody wyobrażają sobie mimowoli śmierć jako najstraszniejsze nieszczęście, a ciężar życia staje się przykrym wtedy dopiero, kiedy starość nadciągająca, albo już obecna, czy też zarodek choroby życie toczą, albo kiedy zewnętrzne okoliczności, jako to naprzykład mroczne więzienie, uniemożliwiają normalny rozwój; a wtedy nawet śmierć nie przestaje być postrachem dla instynktu; refleksyi dopiero trzeba rozumnej, albo też silnej wiary w żywot drugi, aby nas skłonić do przedstawienia śmierci, jako rzeczy obojętnej albo pożądanej zgoła. Każda choroba, każda rana bywają boleśne, jako organizmu wykolejenie; rozkosz sprawia odzyskane zdrowie. Boleśne uczucia głodu i pragnienia powstają, gdy organizmowi nie stanie niezbędnych dla dalszego rozwoju warunków, a znaną jest powszechnie rozkosz, którą sprawia odżywienie w miarę istotnej potrzeby, nierównie większej u dzieci, u młodych, u tych, którzy zgodnie z normalnem fizycznego człowieka przeznaczeniem, wiele usilnego ruchu na świeżem zażywają powietrzu. Zbytnie gorąco, albo zbytnie zimno stają się przykremi, albo boleśnemi, szkodząc życiu; powrót do normalnej temperatury, a zatem odnowienie normalnego życia, sprawia zawsze przyjemną ulgę, czasem żywą rozkosz, przypominającą wielką radość, jaką sprawia powrót do zdrowia po dotkliwej, albo długiej chorobie.

Tej tak pospolitej a oczywistej prawdzie zarzucić można to, że nie każdy w organizmie doznany uszczerbek bywa boleśnym, nie wiemy częstokroć wcale o nim, choć życiu zagraża; dalej prawdą jest, że uzdrawiające środki bywają przykremi, boleśnymi nawet, a niejedna rozkosz szkodliwe dla zdrowia a nawet dla życia skutki za sobą pociąga. Na to potrzeba odpowiedzi.

Otóż przychodzimy do świadomości tych tylko zmian organicznych, które się tyczą nerwów połączonych z mózgiem; wszystko inne w ciele naszem jest nieczułe i żyje roślinnem raczej życiem może się zatem psuć, nie wywołując przykrości dopóty, dopóki uszkodzenie nieczułego organu tak dalece nie postąpi, iż wpływa-

jąc na całą maszynę organizmu, czułych także organów nie naruszy Uwaga nasza zwróconą bywa jedynie na czułe, a najbardziej na najczulsze organa naszego ciała, i odczuwamy rozkosz i boleść głuchą, albo żywą, w miarę tego, jak mniej albo bardziej czułe organa doznają korzystnego albo szkodliwego, słabszego albo silniejszego wstrząśnienia. Operacya chirurgiczna, usuwająca zgubną przyczynę niektórych przeszłych i wielu przyszłych cierpień, chwilowo bardzo czułe nadwyręża organa i przezto najdotkliwszą sprawia boleść, a lekarstwo, które organizm uzdrowi, może być dla podniebienia i języka utrapieniem, dyeta zbawienna przerywa przyzwyczajenia, które w drugą weszły naturę, hamuje czasem nawet normalne życiowe działanie, aby równowagę przywrócić. Podobnież rozkoszne czułych organów podrażnienie szkodliwem być może dla innych mniej czułych, ale niezbędnych, i kusi ku zmysłowym nadużyciom. Człowiek skłonny bywa nawet nadużyć rozkoszy aż do chwili, w której podrażnienie czułego organu z rozkosznego stanie się przykrem, a czyni to już wskutek krzywego działania rozumu, spodziewającego się uparcie, że co raz rozkosz przyniosło, i nadal rozkosznem być winno.

Zdrowie bywa zależnem od normalnego funkcyonowania organizmu i objawia się takiemże działaniem; użycie sił żywotnych bywa zatem przyjemnem, zarówno przykremi tych sił bezczynność jak ich nadużycie, a jedno i drugie bywa najusilniej odczuwane, kiedy się najczulszych tyczy organów. Już astronomiczne warunki planety sprawiły, że żywotne jestestwa ziemskie wtedy działają normalnie, kiedy się pobudzone jawie z sennym luzuje odpoczynkiem, który u człowieka bywa normalnie krótszym od jawia i przypada na porę nocnych ciemności. Przedłużona bezsenność, będąca skutkiem nieustannego pewnych nerwowych grup podrażnienia, bywa nieznośną. Sen daje się ponad wskazany potrzebą kres przydłużyć, tylko za pomocą sztucznych środków, szkodliwych, ilekroć nie służą jedynie do zwalczenia chorowitej bezsenności. Rozkosznem bywa tak usypiać, jakoteż budzić się w porę, a po przebudzeniu pożądamy ruchu i działania; gdy organizm ich mieć nie może, cięży jemu bezczynność, rodząca znużenie, gdy przeciwnie, czynności nadużycie boleśne wreszcie sprowadza zmęczenie. Istotnie miłem człowiekowi obudzonemu bywa działanie urozmaicone, przy którem każdy organ czynnym jest w miarę. Działanie jednostronne pewnych organów, albo jednostajne w jednej postawie trwanie bywa już fizycznym trudem, a wyradza zmęczenie,

domagające się zrazu rozkosznego wypoczynku; ale wypoczynek zbyt długi, mści się znużeniem. Różnice indywidualne, przyrodzone albo przyzwyczajeniem urobione sprawiają, że miłe dla jednych zajęcie, dla drugich męczącym bywa trudem, że pożądany jednemu wypoczynek, drugiego bezczynnością znuży; także i chwilowy nastrój potęguje albo osłabia u jednej i tej samej osoby wrażliwość na utrudzenie i znużenie.

Ciepło w regule wzmaga, zimno kurczy żywotność całego organizmu; przeto ciepło za milsze bywa uznane, o czem różne zwroty ludzkiej mowy świadczą podostatkiem, w chłodzie staje się natomiast dłuższa praca możliwą bez męczącego utrudzenia, skoro ten ruch przeciwdziała kurczącemu zimnu i jego wpływ poniekąd równoważy, sam w zamian przezeń zrównoważony. Zbytek zewnętrznego ciepła szybkie sprowadza znużenie, zbytek zimna śmiertelne nieraz odrętwienie; większe jeszcze gorąco i zimno wprost tkanki organizmu niszcząc, dotkliwą sprawiają boleść. Bardzo wybitnie występują nie tylko indywidualne różnice, ale także chwilowe różnice nastroju tam, gdzie chodzi o ocenę ciepła miłego, albo przykrego gorąca, pożądanego chłodu, albo boleśnego zimna. Od dawna przytaczają na przykład względności naszych wrażeń i opartych na nich sądów człowieka, który umaczawszy obie, różnie rozgrzane ręce w miednicy z wodą, poczuje w prawicy ciepło, chłód w lewicy.

Ta sama względność, od indywidualnego nastroju zawisła, występuje także w sądach opartych na uczuciach, które powstały wskutek pobudzającego albo ubezwładniającego podrażnienia najczulszych naszych organów, tak zwanych przyrządów zmysłowych. Uznają to wszyscy, gdzie chodzi o dotyk, smak i powonienie, powtarzając starą przestrogę, że o smaki spierać się nie wolno. Miłemi bywają zazwyczaj dla dotknięcia rzeczy mikkie i gładkie, pobudzające świadomość dotykania, ale nie wywierające na nerwy zbytniego nacisku; przeciwnie przykrem zwie się zazwyczaj to, co twarde a szorstkie. Smak słodki najłagodniej podrażnia nerwy podniebienia, lubo wszystkie do działania pobudzi, a silniejszem bywa działanie kwaśnego i słonego; te trzy smaki za miłe bywają poczytane; zbytek słodkiego wydaje się nadto mdłym, zbytek kwaśnego albo słonego zbyt podrażniającym. Gorycz i to, co cierpkiem zwiemy, znieczula przeciwnie podniebienie i za rzecz przykrą pospolicie poczytanem bywa; jeśli kto posmakowawszy żółci, czystej wody się napije, wyda mu się cukrzoną przez to samo, iż nerwom

wraca normalną działalność. Ilość różnorodnych woni jest tak wielką, że niepodobna abym o nich tu rozprawiać chciał. Wszystkim wiadomo, że ludzie najrozmaiciej sądzą o tem, co pachnące lub nie, smaczne czy wstrętne podniebieniu, miłe albo nie miłe dla dotknięcia, a przypisując słusznie tych sądów różnorodność różnicom organicznego nastroju, nigdy o takie sądy sporu nie wszczynają. Te różnice upodobań dały nawet dowcipnym sceptykom od dawien dawna sposobność do twierdzenia, że każdy człowiek zupełnie inaczej świat dostrzega, choć dla umysłu trzeźwego, przemawia przeciw temu przeważna przecie gustów ludzkich zgodność, mocą której rozumiemy się, kiedy mówimy o miłej naprzykład woni, albo dobrym obiedzie.

Raczej już spierają się ludzie o wrażenia wzroku i słuchu, przyzwyczajeni za pośrednictwem tych zmysłów dostępywać intelektualnych rozkoszy, co do których zwykliśmy wydawać sądy obowiązujące naszem zdaniem także drugich. Mierząc jedynie barwy bezpośredniemi wrażeniami wzroku, możemy o nich podobnie jak o smakach orzec, kiedy zwyczajnie przyjemne, albo przykre wywierają wrażenie. Wolimy światło od ciemności, wśród której oko bezczynnem bywa; wyobrażamy sobie tedy świetlane niebo a w wieczystej nocy pogrążone piekło, a dzieci wyraźny nawet do mroków wstręt odczuwają; pięknymi nam się wydają nasycone światłem białe marmury, perły, srebro, złoto, jaśniejące klejnoty, osobną rozkoszą napełnia nas światło zjawione wśród ciemności, czy są niem ognie rybackie w nocy nad wodami zapalone, czy fajerwerki, światła iluminacyi, gwiazdy na nocnem niebie, błyskawice wśród czarnych obłoków, czy wreszcie światła, umiejętnie na tle ciemnem obrazu przez malarza naśladowane. Barwa biała i kolory jasne kwiatów, motyli i tropikalnych ptaków, roślinnej zieloności albo błękitów niebios i wody, nastrajają nas weselej od barw czarnych, szarych, burych, mrocznie niewyraźnych. Widok barwy jasnej, nie białej i niezbyt bielą nasyconej, w ten sposób jednostronnie tkanki oka porusza, że wracając do zwyczajnego układu muszą ruch wykonać przeciwny, towarzyszący zazwyczaj dostrzeżeniu barwy komplementarnej, to jest tej, która wraz z rzeczywiście przed chwilą oglądaną, biały kolor wytwarza. Głównemi parami takich barw komplementarnych są: czerwień i zieleń, błękit i amarant, kolory żółty i fioletowy. Gdy jedną z tych barw długo oglądamy, doznajemy potem pospolitej halucynacyi, dostrzegając nie istniejące w rzeczywistym świecie plamy komplemen-

tarnej barwy. Przyjemnem jest tedy dla oka, jeśli dostrzega naprzykład obok zieleni, czerwony kolor, mogący tak natychmiast wypoczynek oku wrócić, bez przerwy w działaniu. Wiedzą o tem malarze koloryści niektórych szkół, a Wenecyanie zwłaszcza kolory komplementarne chętnie obok siebie ustawiali, tworząc tak zwane piękne barw akordy. Takie zwyczajne prawa dają się wypowiedzieć; nie obowiązują jednak zarówno wszystkich, gdyż siła i budowa oka u różnych ludzi różne bywają; światło zatem, jednemu pożądane nad miarę, może drugiemu wzrok podrażnić, a wogóle dzieci i prostacy lubują się w barwach jaskrawych, osłabiony wzrok starszych, wykształconych chętniej na mniej wyraźnych spoczywa. Pomijając już poboczne względy intelektualnej, albo sentymentalnej natury, wpływające na nasz sąd o barwach, różną bywa różnych oczu wrażliwość na różnice kolorów, tępsza w ich oglądaniu mniejszej dozna rozkoszy, a wiemy, że ludzie tak zwanym daltonizmem porażeni, choć widzą różnice światła i cienia, wcale barw nie odróżniają, widząc świat na kształt bezbarwnej ryciny. O upodobanie w barwach nie powinniśmy się tedy więcej jak o zamiłowanie w potrawach spierać, lubo obszerna teorya kolorytu da się, tak samo wreszcie jak gastronomiczna rozprawa, w sposób dla większości zrozumiały napisać. Do tych sporów zachęca nas okoliczność, żeśmy zwykli pięknemi i brzydkiemi nazywać wrażenia wzrokowe i słuchowe, podobnie jak intelektualne, a sporów byśmy może uniknęli, gdybyśmy przywykli mówić tylko o nadobnych i nienadobnych, przyjemnych i przykrych barwach i dźwiękach.

Słuch mniej jest od wzroku człowiekowi niezbędny, raz podrażniony silniej oddziaływa na cały jego organizm. Muzyka dlatego jest najpopularniejszą ze wszystkich sztuk i najsilniejszy natychmiastowy wpływ na człowieka wywiera, ponieważ potężnie na słuch oddziaływa. Cisza, nie przerywana dźwiękiem mniej przykrą bywa od ciemności; dziecko jednak i człowiek prosty, wtedy chyba na nią się zgadzają, kiedy się do snu gotują; wolą gwar, sami gwarzą, krzyczą, gadają, śpiewają albo różne dźwięki wywołują za pomocą przyrządów, aby dać zajęcie nerwom słuchowym. Pierwotnej muzyki racyą bywa słuchu nasycenie; rychło przybywa do niej takt, wprawiający wszystkie nerwy w ruch, popychający raźniej życie, na wzór upajającego, a przez chwilę poczucie życia potęgującego napoju. Jak długo rozum i przyzwyczajenie na sąd o muzyce nie wpłyną, dość obojętną bywa jakość tonów, byle

dźwięczały. Zbyt głośny ton męczy ucho, szarpiąc cały organizm; zbyt cichy męczy także, zmuszając do wytężania słuchu; mnogie, sprzeczne z sobą tony bardzo przykre, czasem nawet boleśne wywołują wrażenie. Jakością tonu mienimy przedewszystkiem wysokość nót muzykalnych, dającą się zmierzyć drganiem struny lub powietrza, a dla ucha miłymi bywają pewne tylko, w pewnych odstępach po sobie następujące, albo z sobą skojarzone tony. Barwą tonu nazywamy niewłaściwie niezliczone różnice dźwięków, wywoływanych przez różne przyrządy, albo wymawiających różne litery; należałoby się to raczej kształtem dźwięku nazwać, skoro przypomina raczej kształt plamy barwnej, dostrzegany równocześnie z barwą i w sposób od niej nieoddzielny, a uległy tylu niezliczonym odmianom, co tak zwana barwa dźwięku. Oczywiście od indywidualnych, organicznych różnic bywa zawisłem to, co się komuś zbyt głośnem, albo zbyt cichem wyda; usiłowano od dawien dawna wysoce rozumowe podać powody muzykalności lub niemuzykalności nót i akordów; bezpieczniej uczynimy, zapatrując się na nie, jako na źródło czysto zmysłowej przyjemności, wytłomaczonej nastrojem nerwów słuchowych, z którym pewne falowania głosu bywają zgodne, inne sprzeczne; a że tu organiczna dziedziczność i przyzwyczajenia główną odgrywają rolę, przeto akordy, następstwa tonów i nawet tony, które w pewnych czasach i u pewnych narodów nazywają się muzykalnymi, przykrymi się wydają gdzieindziej, albo kiedyindziej. Teorya harmonii wiele ze swojej doktrynalności ustąpić powinna, prawiąc raczej o tem co zwyczajne, jak o tem co piękne — a właściwie nadobne, czy przyjemne; niepowinna zapominać o bardzo zwykłej tępości muzykalnego słuchu, urobionego zazwyczaj dopiero przez przyzwyczajenie, w sposób zgodny z praktyką muzykalną.

Organizmy ujawniają ideał postaci swojej o ile na to zezwolą otaczające okoliczności; gdy w nieprzyjaznych żyją warunkach, ideał ten ujawnią w sposób niedoskonały, nie dochodząc do pełnego rozwoju całości, albo pewnych organów, czy też koszlawiąc swoje kształty przez obejście niepokonanych przeszkód; doznawszy uszkodzenia, rany usiłują szkodę zastąpić, ranę zabliźnić; u roślin, zwierząt bezkręgowych i krzaków, odrastają częstokroć całe, bardzo ważne i sztucznie zbudowane, wpierw odcięte organy; wyższe zwierzęta i człowiek nie są już wstanie odtworzyć ważniejszego, utraconego organu, ale moc lecznicza natury usiłuje przynajmniej

u nich resztę organizmu zestroić, a zatem po części zmienić w sposób umożliwiający dalszy rozwój i życie. Tak to, gdy kość zostanie zwichniętą albo złamaną, gdy się obce ciało między mięśnie dostanie, a organizm jego wydzielić nie zdoła, układają się na nowo przytykające mięśnie, ścięgwy i nerwy, umożliwiając jakie takie, choć częstokroć wielce niedoskonałe funkcyonowanie uszkodzonego organu. Przy działaniu leczniczej siły natury, bywają soki w wielkiej mierze odwrócone od swoich normalnych funkcyi, a siły żywotne rozwijają podwojoną, choć anormalną czynność; powstaje zatem ogólne osłabienie, wraz z ogólną albo miejscową gorączką; ten zastój i rozstrój mogą być tak silne, iż organizm ulegnie i śmierć nastąpi; w przeciwnym razie nastanie uzdrowienie — połączone jednak z większem lub mniejszem skoszlawieniem i rzec można, że się organizm przyzwyczaił do powstałej w nim zmiany. Jeśli lekarz kiedyś później zechce kość naprostować, albo obce wydobyć ciało, będzie musiał czułe uszkodzić błony, sprawiając ból ponowiony, całym organizmem wstrząśnie, nową wywoła gorączkę; zbawienne przywrócenie normalnego stanu, stanie się zrazu uciążliwem, skoro będzie musiało nabyte zwalczać przyzwyczajenie.

Podobnież przyzwyczajają się całe ciało, albo organ pojedyńczy do utrudzających zajęć, skoro są ustawicznemi; nawet cały system nerwowy może się przyzwyczaić do bardzo krótkiego snu, można się od dostatecznego odzwyczaić pożywienia. Nastaje najpierw chwila zobojętnienia na trudy — czy też na znużenie, bezczynnością spowodowane, a wreszcie zdarza się, że przyzwyczaimy się tak dalece do rzeczy naturalnie przykrych, że ich zaniechanie zamiast ulgi, chwilową boleść nam przyniesie, a bywa często, że naturalne organizmu rozkosze, jakoto naprzykład ruch silny na świeżem powietrzu, lub wczesne prostych a pożywnych potraw spożywanie staną się przykrością dla człowieka przemienionego bezczynnością i zbytkami. Wpływ przyzwyczajenia tłomaczy niezliczone zboczenia smaku lub wrażliwości i przy obserwacyi psychologicznej, przy tłomaczeniu wrażeń estetycznych, winien być zawsze brany w rachubę. W wieku dojrzałym nie nabywa się nowych przyzwyczajeń bez wysiłku i przykrości; w dzieciństwie nastają bezwiednie, wywierając wpływ na całe następne życie tak dalece, że miłem bywa każde wspomnienie okoliczności, wśród których dziecko niegdyś wzrastało, jeśli te jednostajnością swoją wrażliwość stale ku sobie nastroiły. Dziecko jednak i mło-

dzieniec, którzy dojrzewając, ciągłym fizyologicznym ulegają przemianom, nabywają łatwiej nowe, nie trudno stare zatracają przywyczki. Wraz z wiekiem wzrasta moc przyzwyczajenia: u starca staje się nieprzepartą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

# ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

## BISKUP WŁOCŁAWSKI I KRAKOWSKI

(1496—1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

## CZĘŚĆ TRZECIA[1])

**(1553—1560).**

### I.

Postępowanie Zebrzydowskiego po sejmie 1552 r., nacechowane karygodną obojętnością i opieszałością w sprawowaniu obowiązków pasterskich, było w związku z ogólnym nastrojem ówczesnej chwili, pełnym apatyi i ubezwładnienia, panującym w całym świecie katolickim. Powszechna powódź nieładu i burzliwa fala anarchii, szalejąca w Kościele rzymskim, która po zawieszeniu soboru powszechnego w kwietniu t. r. pozbawiła katolików steru i sternika, nie mogła ominąć granic polskich i nie pozostawić w nich śladów zniszczenia. Zebrzydowski był takim, jakimi byli wówczas po większej części wszyscy podobni mu dygnitarze kościelni. Wszak nawet sam papież, Juliusz III., zajmował się sprawami Kościoła o tyle tylko, o ile to było niezbędnie koniecznem. Niemal z radością odroczył był sobor, grożący mu reformą Kościoła na niekorzyść jego władzy i dogmatów katolickich, aby się oswobodzić tym sposobem od niezliczonych niedogodności i pretensyi[2]). Wolał żyć życiem sybaryty, wykwintnego humanisty,

[1]) Patrz Roczniki 1897 i 1898.

[2]) Ranke. Historya papieży i papiestwa, przekł. Przyborowskiego, Warszawa 1874. T. III. s. 42—45.

oddany światowym uciechom i zabawom, niźli troszczyć się o losy powierzonej sobie owczarni.

W takim stanie rzeczy, kiedy i soboru nie było, na który tyle liczono, i z góry przykład szedł zgubny i zły, kiedy o reformie katolickiej tak często zamierzanej nie było co myśleć a potęga protestantów przerażająco rosła, nic dziwnego, że wzrastał równocześnie w tak rozprzężonym świecie katolickim zamęt pojęć, który utrudniał zrozumienie groźnego położenia Kościoła i hipnotyzował umysły złudnem widmem nadziei i wiary, że mimo to Kościół rzymski nie upadnie nigdy. Papież osobiście zadowolony sam z siebie, obojętny na wszystko, patrzał jakby z umysłu na przyszłość jego przez różowe szkła. Nie chcąc wiedzieć o niczem, nie widział też rzeczy, które rozwijały się na tle takich anormalnych stosunków na dalekich krańcach rzymskiego Kościoła — w prowincyi jego polskiej. List Juliusza III., pisany w lutym t. r. do Zygmunta Augusta [1]) zdradza, że w Rzymie nie przypuszczano nawet, aby w istocie katolicyzmowi w Polsce groziło poważne niebezpieczeństwo [2]). Z pochlebnych słów papieża o Kościele polskim wydaje się, jakoby w nim panował niezamącony spokój, najzupełniejszy ład i porządek. Czytając je, mimowoli wątpi się, czy na prawdę pisane były z przekonania. Pochwały swoje uzupełnia papież wyrażeniem zaufania do osoby Zygmunta Augusta. Pisze, że jeśli on, jako król, będzie tak wiernym synem Kościoła, jak niegdyś jego ojciec Zygmunt Stary, owa gwiazda świecąca jasnem światłem na

---

[1]) Scriptores Rer. Pol. T. I. s. 95.

[2]) Wierżbowski. Uchansciana t. III. nr. 8. s. 275. W Rzymie wiedziano o rozterkach religijnych w Polsce z ust A. Czarnkowskiego, scholastyka krak., który posłował w 1550 r. do Juliusza III. z obedyencyą od Zygmunta Augusta. W instrukcyi poselskiej dla A. Cz. wyraźnie oświadczył Zygmunt August: immo ruere nostros homines in licentiam novorumque et a catholica ecclesia alienorum dogmatum et extremae impictatis praecipitium, ut nulla vi aut ratione retineri retrahire posse videantur, nisi mature succurratur et obsistatur effrenatae audatiae. Prosił więc papieża już wówczas o rychłe zwołanie soboru powszechnego, a gdyby to się okazało niemożebnem, radził, aby papież przysłał do Polski legata swego, legatum, aliquem virum sapientem, pium et magno consilio et authoritate praeditum, ad regni nostri comitia mittat cum luculenta et summa potestate statuendi. Legata takiego upatrywał w osobie biskupa augsburskiego, Ottona Truchsessa, i zapraszał go na zjazd senatorów w dniu 25. XI. t. r. w Krakowie. Widoczna, słowa Zygmunta Augusta poszły niebawem w zapomnienie.

firmamencie Północy, to jakiekolwiekby zaszły wypadki, z pewnością nie obalą one katolicyzmu w Polsce.

Nastrojony na dźwięczny ton optymizmu przedstawia równocześnie w różowych kolorach rezultaty dotychczasowych prac soboru powszechnego. Z pewnem zadowoleniem opisuje szczegółowo dekrety soboru, tyczące się dogmatów wiary katolickiej, że mianowicie sobór zatwierdził już pismo święte i tradycyę Kościoła, zachowaną w pismach jego ojców, że zatwierdził dogmaty o grzechu pierworodnym, o usprawiedliwieniu, o wierze i uczynkach, o sakramentach św., że więc obecnie zapanuje spokój w Kościele, bo usunięte już są wszelkie wątpliwości i różnice wiary. Ukołysany temi nadziejami nie spostrzegł, jak zapoznawał tę okoliczność, że przez takie przedwczesne udogmatyzowanie wiary wykluczoną została z katolicyzmu wszelka opinia protestancka, z którą się wówczas bądź co bądź liczyć należało, bo trzymała w swych pętach wszystkie germańskie narody, że więc uniemożliwionem zostało wszelkie pośrednictwo, wszelkie usiłowanie do zgody zwłaszcza w chwili, w której opinie religijne nie wypowiedziały się jeszcze w zupełności, w której wielu ludzi starało się godzić nauki chrystyanizmu z instytucyami istniejącego kościoła [1]); że więc przez to wykopaną została przepaść, mająca raz na zawsze dzielić wyznawców Chrystusa na dwa wrogie sobie obozy. Zapoznając zupełnie tę okoliczność, wyraża nawet mniemanie, że teraz dopiero zaświta dla Kościoła era szczęścia i pokoju, chodzi bowiem tylko jeszcze o przeprowadzenie reformy obyczajów w łonie duchowieństwa... Drobnostka?!

Jakież wrażenie mogły wywrzeć na królu i na polskich mężach stanu powyższe słowa papiezkie, przesłane do Polski w chwili, gdy walka obozów religijnych przybierała coraz szersze rozmiary, gdy naga rzeczywistość zadawała kłam zapewnieniom papieża? Cóż mieli sądzić o nich wówczas, gdy niebawem po nich obiegła Polskę wiadomość, że soboru już nie ma? Cóż mógł pomyśleć sobie król i naród polski o nielojalnej polityce sfer rzymskich względem protestantów, których zupełnie potępiono na soborze właśnie wtedy, kiedy w Polsce szale zwycięztwa przechylały się na ich stronę, kiedy wydelegowani zostali przez sejm na sobor trydencki mężowie, wolnomyślni w rzeczach wiary, skłonni do ustępstw i zgody, tacy, jak Uchański, Drohojowski i Modrzewski, kiedy nawet król zobowiązał się wysłać do Rzymu posła z prośbą

[1]) Ranke, jak wyżej, t. II. s. 89.

o sobor narodowy polski? Zaiste jak owe słowa, pełne optymizmu, tak również owa niewłaściwa polityka i najświeższe jej rezultaty, uwidoczniające się w wybuchłej ponownie wojnie francusko-niemieckiej, inspirowanej przez książąt protestanckich, mogły tylko ostrzegać myślących i świadomych rzeczy polskich mężów stanu, takich jak Zebrzydowski, że na Rzym w takich stosunkach liczyć nie można było, że w każdym razie należało się zachować wobec niego z wszelką rezerwą i bronić przedewszystkiem interesów własnych.

Objawem tego usposobienia w miarodajnych sferach polskich było wyzywające stanowisko Zygmunta Augusta, jakie zajął w tym roku względem Stolicy Apostolskiej w kilku bieżących sprawach, tyczących się Kościoła polskiego. W liście swoim papież poddawał także Zygmuntowi Augustowi myśl, aby wyprawił doń posła, któryby go poinformował o specyalnych potrzebach polskiej prowincyi kościelnej i przedłożył zarazem soborowi powszechnemu referaty o nich, pisemne lub ustne, w imieniu króla i prałatów polskich, celem uwzględnienia ich w ogólnej reformie Kościoła [1]). Zygmunt August, proszony później o wyprawienie posła do Rzymu, chociaż nie z tych samych powodów i w odmiennym celu przez szlachtę zebraną na sejmie piotrkowskim, postanowił pójść za wolą papieża i głosem opinii kraju. Zezwolił więc zaraz po sejmie na wyjazd kanonika Ad. Konarskiego, późniejszego biskupa poznańskiego, który miał się udać do Rzymu w charakterze rzecznika episkopatu polskiego [2]). W drugiej połowie zaś t. r. po załatwieniu spraw Pomorza, Prus i Litwy, wyprawił z tej ostatniej Wojciecha Kryskiego, podkomorzego płockiego a sekretarza swego, w charakterze wielkiego posła swego, poruczając mu do załatwienia wiele takich spraw, które bądź jemu samemu bądź stanom Rzptej polskiej leżały bardzo na sercu, a papieżowi miały otworzyć oczy na rzeczywiste stosunki, panujące w Kościele polskim. Aliści wyprawił tego posła trochę zapóźno i nie mógł się żadną miarą spodziewać rychłych rezultatów jego misyi, aby się wykazać nimi przed sejmem, który niezadługo zwołanym być musiał. Być może, uczynił tak z umysłu, mając zamiar sejmującą szlachtę zbyć gołosłownem zapewnieniem, że sprawa reformy Kościoła już w toku, bo poruszona tam, zkąd wszyscy w tym względzie oczekują inicyatywy. Bądź co bądź jednak, wysyłając Kryskiego z niepokojącemi wiadomościami do Rzymu,

[1]) Script. Rer. Pol. t. I. s. 97.
[2]) Jak wyżej — i Kor. Zeb. nr. 857.

chciał wpłynąć przynajmniej na zmianę polityki kuryi rzymskiej względem Polski, która mimo uprzejmości Juliusza III. pozostawiała podówczas wiele do życzenia. Postępowanie bowiem Stolicy Apostolskiej i jej rządu było nacechowane znaną w dziejach Polski i innych państw katolickich supremacyą rzymską. Misya Kryskiego streszczała się właśnie w wyrażeniu protestacyi przeciwko tej przewadze rzymskiej, ciążącej nad Kościołem i państwem polskiem. Zebrzydowski nie szczerze utyskujący po sejmie piotrkowskim na króla, że skłania się ku partyi młodej, bez wątpienia wiedział, że król miał ważne do tego powody, bo pominąwszy kwestye religijne i teologiczne, partya ta w myśl życzeń króla kruszyła kopie przedewszystkiem o polityczne prawa Kościoła polskiego. Do jednych z wielu prerogatyw papieża należało udzielanie konfirmacyi nominatom królewskim na opróżnione katedry biskupie. Nie bez słusznego gniewu jednak i poniekąd obawy o prawa majestatu królewskiego, musiał Zygmunt August znosić w tym czasie obrażające postępowanie Stolicy Apostolskiej w sprawie wakansów katedr biskupich, na które nominaci królewscy zbyt długo oczekiwali potwierdzenia papiezkiego pod pretextem, że inkwizytorowie nieprawości heretyckiej, funkcyonujący jako trybunał najwyższy przy Kuryi rzymskiej, podejrzywali ich słusznie czy nie słusznie o te i owe błędne w rzeczach wiary mniemania. Sprawa Jakóba Uchańskiego, biskupa chełmskiego, który się dopiero po dwóch latach w styczniu b. r. 1552 doczekał upragnionej wiadomości o zatwierdzeniu papiezkiem [1]), oburzyła swego czasu nawet samego Zebrzydowskiego, chociaż pozował na lojalnie usposobionego dla Stolicy Apostolskiej. Wstawiał się za Uchańskim u króla i wywierał na tego ostatniego presyę, aby domagał się usilnie w Rzymie zatwierdzenia dla Uchańskiego i salwował tem swoją własną powagę [2]). Obecnie, chociaż już uzyskał król zatwierdzenie dla swego nominata, mimo to nie zdołał przekonać Kuryi rzymskiej o prawowierności jego, jak niemniej Drohojowskiego, biskupa kujawskiego, którego losy były poniekąd związane ze sprawą Uchańskiego. Kanonik A. Konarski, bawiący w Rzymie, dziwił się niezmiernie, że kardynałowie i inkwizytorowie, wierzyli więcej jakimś donosom i plotkom prywatnym, niż świadectwu Korony [3]). Także podkanclerzy, I. Przerębski, w liście przesłanym nie bez wiedzy króla

[1]) Wierzbowski, Uchansciana T. V. s. 93/4.
[2]) Kor. Zeb. nr. 618.
[3]) Kor. Zeb. nr. 781. Script. Rer. Pol. T. I. s. 65.

przez Kryskiego do kardynała B. Mapheusa, wiceprotektora Polski, zanosił doń poważne i wymowne prośby, by powagą swoją położył koniec tym plotkom, gdyż one w wysokim stopniu obrażają króla a drażnią biskupów, podejrzywanych zupełnie bezpodstawnie o herezyę [1]). W końcu sam Zygmunt August w instrukcyach danych Kryskiemu złożył formalną enuncyacyę tej treści, że nie godzi się, aby papież pozwalał kardynałom i inkwizytorom dręczyć oskarżeniami i pozwami przedstawicieli Kościoła polskiego, o których prawowierności katolickiej stokroć lepiej jest poinformowanym on jako ich władca i pan, niźli oni, zmuszeni polegać na prywatnych a stronniczych świadectwach. Plotki rozsiewane przez ludzi zawistnych i zazdrosnych nie powinny zasługiwać na wiarę. Miał potem oświadczyć Kryski, że Zygmunt August jako król polski stanowczo nie ścierpi tego, aby ktokolwiek bez jego wiedzy i zezwolenia miał być pozywanym z Polski przed Kuryę papiezką do Rzymu [2]). Po tej protestacyi miał Kryski przypomnieć papieżowi, by snadź nie obsadził bez wiedzy króla bieżących wakansów kilku prelatur i kanonii, nad któremi prawo patronatu nie przysługuje jemu, tylko królowi [3]). Aby tym skuteczniej przemówić w obronie praw swoich i swobód Kościoła polskiego, zaopatrzył Zygmunt August Kryskiego formalną protestacyą przeciwko podatkom rzymskim, tak zwanym annatom i expedycyom za sakry biskupie [4]), które również wywoływały liczne nieporozumienia między państwami katolickiemi a Rzymem, a były aż nadto widocznym wyrazem ciążącej wszystkim supremacyi papiezkiej. Powiada król w protestacyi owej, że uznaje wprawdzie w Ojcu św. najwyższego księcia Kościoła, następcę Piotra i zastępcę Chrystusa na ziemi, trwa i trwać będzie w posłuszeństwie dla niego, nic nie zmieni w rzeczach wiary i religii, ale nie zezwoli w przyszłości na wywożenie z Polski pieniędzy tytułem opłat za sakry biskupie i annat, bo sprzeciwia się temu jednogłośnie cała opinia w kraju, cała szlachta polska, od której próśb, nalegań i gróźb, podnoszo-

[1]) Script. Rer. Pol. T. I. s. 98: Ita enim gerunt sese illi Episcopi, quantum ego intelligo, accommodate ad mores et instituta Ecclesiae Catholicae, ut causa non sit, cur ullis difficultatibus implicari, aut infamia praegravari debeant... List datowany w Gdańsku dnia 16. VIII. t. r. 1552.

[2]) Script., jak wyżej, s. 99.

[3]) Wierżbowski, Uchanseiana T. III. nr. 12. s. 289.

[4]) Uchansciana, jak wyżej, T. III. nr. 13. s. 289, nr. 11. s. 285 i Hosii Epistolae. T. II. nr. 884.

nych w tej sprawie na wszystkich sejmach koronnych, król się nie może opędzić. Wprawdzie annaty niegdyś potrzebne były papieżowi dla organizowania obrony chrześciaństwa przeciw niewiernym, dzisiaj jednakże są one dla tych samych powodów niezbędne dla Polski [1]). Jej właśnie grozi wojna z Turkami z powodu zatargu o kraj Wołochów. Wojna ta tem pewniejszą, że Turcy korzystając z wojny wybuchłej między cesarzem Karolem V. a królem francuskim Henrykiem II., zagarnęli i spostoszyli Węgry i szerokiem pierścieniem objęli granice dzierżaw Rzptej polskiej. To dowód najlepszy, na jakie niebezpieczeństwo narażaną bywa Polska z powodu sąsiedztwa z niewiernymi, powinien zatem papież sam darować królowi i annaty i sakry biskupie na zawsze — *in perpetuum*. Powyższe protesty i postulaty miały być poparte skreśleniem prawdziwego stanu Kościoła polskiego, widok którego miał zmiękczyć opór papieża względem pretensyi króla. Wiózł więc Kryski do Rzymu frapujące wieści, że i Polskę dotknęła już zaraza religijna zawleczona z sąsiednich Niemiec. Szlachta polska domaga się gruntownej reformy instytucyi, obyczajów i zwyczajów kościelnych, przedewszystkiem zaś za przykładem protestantów niemieckich małżeństwa księży i komunii pod obiema postaciami. Zachowanie się jej na ostatnim sejmie było tego rodzaju, że król nie chce łudzić papieża żadną nadzieją, jakoby na przyszłym sejmie, który ma być niebawem zwołany, mogło być ono mniej groźne i mniej wyzywające. Król nie potrafi pomimo najszczerszych chęci nadchodzącej burzy zażegnać. Z tem usposobieniem narodu polskiego muszą się liczyć obydwaj, zarówno on jako król, jak i papież, jako najwyższy naczelnik Kościoła. Trzeba koniecznie zwołać sobor powszechny, którego wszyscy pragną jak zbawienia. Dobrzeby było także, aby papież wyprawił do Polski nuncyusza z pełnomocnictwem zapoczątkowania reformy kościelnej w Polsce. Z przysłaniem jednak tego nuncyusza miałby się papież wstrzymać aż do otrzymania wiadomości od króla o przebiegu sprawy religijnej na najbliższym sejmie. Do powyższych wiadomości i propozycyi dołączył Zygmunt August jeszcze jedną sprawę, która zakłócała ostatni sejm piotrkowski, mianowicie sprawę X. Orzechowskiego. Żądając od papieża, aby zezwolił Orzechowskiemu na zatrzymanie żony, z którą żyje już od dwóch lat, na co uzyskał na ostatnim sejmie zupełną dyspenzę od biskupów polskich na przeciąg roku jednego, i pod warunkiem, że w ciągu tego czasu uzyska jej

[1]) Wierżbowski, Uchansciana T. III. nr. 11. s. 287.

zatwierdzenie w Rzymie, ostrzega król papieża, że Orzechowski ma licznych i możnych protektorów i zasługuje z tego powodu na wyjątkowe względy Stolicy Apostolskiej, aby snadź niebezpieczny ulubieniec narodu, potępiony przez Rzym, nie zechciał odegrać w Polsce roli niemieckiego Lutra [1])... *Sapienti sat...*, tem ostrzeżeniem powiedział król wiele, może za wiele.

Ten ponury obraz polskich stosunków kościelnych jak niemniej groźny ton protestów przeciw nadużyciom Rzymu, mógł naprawdę zatrwożyć papieża i jego kardynałów. Rozumiał to dobrze Zebrzydowski. Dlatego na wieść o wyprawieniu poselstwa do Rzymu utyskiwał, że nie mógł uczestniczyć w wyborze posła i w układzie instrukcyi dla niego, bo poseł ten wbrew jego rachubie ruszył z Litwy, gdzie jego nie było [2]). Przypuszczał trafnie, że Kryski nie jechał do Rzymu z wesołą nowiną, wysilał się więc na wyrazy współczucia dla papieża, jeśli broń Boże zaniepokoi się zbyt wygórowanymi postulatami narodu polskiego i jego władcy. Wprawdzie sam król, zdaniem jego, nie mógł nic takiego poruczyć swemu posłowi, coby ubliżało godności i uwłaczało interesom Stolicy Apostolskiej, mniema jednak, że instrukcya poselska zawierać musi postulata ostatniego sejmu, między innymi żądanie soboru narodowego polskiego. Wiadomo, że Zebrzydowski był w błędzie, bo król o tym soborze w instrukcyach przemilczał. Atoli sądząc inaczej, tłomaczył Zebrzydowski papieżowi, by nie brał sprawy soboru narodowego na seryo, król bowiem nie solidaryzuje się z ideą soboru narodowego. Sam fakt, że posła swego wyprawił do Rzymu w przededniu sejmu, świadczy na korzyść jego, bo nim poseł powróci do kraju będzie mógł się zasłaniać na sejmie pobytem jego w Rzymie i nie dopuści z pewnością do żadnych radykalnych uchwał w sprawie soboru lub reformy kościelnej. Będzie wprawdzie burzyła się i szamotała szlachta polska, ale w Kościele polskim pozostanie wszystko po dawnemu... Owiany duchem reakcyi katolickiej, zapoczątkowanej przez sobor trydencki a podtrzymywanej dzielnie przez Kuryę i inkwizycyę rzymską, nie pragnął Zebrzydowski pozytywnego działania. Starając się przypodobać sferom rzymskim, nie wróżył z umysłu dobrego końca poruszonej przez króla według programu sejmowego sprawie reformy religijno-kościelnej, ale ponieważ obserwował trafnie jej rozwój i stan, wróżył bądź co bądź prawdę.

---

[1]) Script. Rer. Pol. T. I. s. 99.
[2]) Kor. Zeb. nr. 794.

Tymczasem zbliżał się już zapowiadany i oczekiwany sejm, który miał rzecz całą na nowo poruszyć. Niebawem po wyjeździe W. Kryskiego do Rzymu, rozpisał Zygmunt August w październiku t. r. z Litwy uniwersały sejmowe, w których naznaczył termin sejmu na dzień 18. stycznia 1553 r. a na miejsce zebrania stolicę państwa, Kraków [1]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Tadeusz Troskolański.

[1]) Kor. Zeb. przyp. wyd. do nr. 794 s. 424. Hos. Ep. T. II. nr. 858, 861, 863, 901.

## Nieznane młodzieńcze utwory poetyckie

# SEWERYNA GOSZCZYŃSKIEGO.

(Urywek z pamiętników Kaspra Pokrzywnickiego).

Kasper Pokrzywnicki należał do tej kategoryi szlachty ukraińskiej, która w trzeciej ćwierci naszego wieku już zupełnie z pola dziejowego zeszła. Za nimi dużo było świetnej tradycyi, przed nimi — nic lub koniec życia na łaskawym chlebie. Pokrzywniccy jakkolwiek majątku w ziemi nieposiadali — z wyjątkiem po kądzieli — nosili się górą, skutkiem koligacyi i ciągle koło zamożniejszej szlachty kręcili się. Pan Kasper, chociaż pisał o sobie, że „mało ma miłości własnej“ — miał jej dużo, za dużo w stosunku do zdolności i wykształcenia i dla tego samodzielnego stanowiska nie wyrobił sobie, nawet wówczas, gdy można było.

Jeżeli wierzyć jemu, ród Pokrzywnickich pochodził z Zakroczymskiego. Jakiś Adam Pokrzywnicki, herbu Koziorożec, z przydomkiem Bończa, był ożeniony z Radziwiłłówną. Miał on założyć wieś Pokrzywnicę. Ale jest to pokrewieństwo, że tak powiem, legendarne. Ściślejsze daty zaczynają się dopiero od początku XVII. w. Mniejsza zresztą o rodowód, gdyż Pokrzywniccy niczem się w dziejach nie zaznaczyli. Dziad Kaspra, Karol, cześnik Zakroczymski, po pierwszym rozbiorze Polski wyruszył na Ukrainę — za chlebem. Ruszył razem z Karolem Sarneckim, szwagrem swoim. Sarnecki, jako majętniejszy, nabył w dawnem wojew. Bracławskiem

klucz Bosowiecki, znany pod nazwą Ochrymowszczyzny, od Rdułtowskiego. Z tego majątku pan Karol wydzielił Pokrzywnickiemu drogą zastawu wieś Popudnię, w Humańszczyźnie. Ojciec naszego pamiętnikarza Antoni, ożeniony z Maryanną Kanicką, na początku XIX. w. już tylko trzymał dzierżawą od Szczęsnego Potockiego wieś Koczubijówkę i tu właśnie w r. 1811 czy 1812 urodził się Kasper Pokrzywnicki. Późniejsze losy już nas nie interesują. Było to przenoszenie się z dzierżawy na dzierżawę — za chlebem.

W siódmym roku oddano p. Kaspra do szkół w Humaniu, a więc około r. 1819. Nauka szła mu bardzo twardo, a ojcowie byli niewyrozumiali — często przeto spotykały go ciągi i dokładne zapoznanie się z dyscypliną. A trzeba przyznać, że ojcowie mieli racyę, bo nie wiele, bardzo nie wiele, jak widać z Pamiętnika, nauczył się w szkole humańskiej, a co ważniejsza, później niczego się nie douczył.

Spis uczniów humańskich notuje go w r. 1829 w klasie 6-ej — na czem cała edukacya młodzieńca skończyła się.

Pan Kasper miał talencik — pisania wierszy okolicznościowych. Poza tę granicę nie przeszedł wszakże. Jako „poeta“ mile był widywany na zabawach, tańcach, biesiadach przez całe życie. Ale muza jego była kulawa i w wielkiej niezgodzie z gramatyką. Ożenił się z księżniczką Woroniecką, co go jeszcze więcej we własnej opinii podniosło.

W r. 1863 żadnej roli nie odegrał. W życiu umysłowem i społecznem Ukrainy udziału nie brał. Imię jego utonęłoby „w zapomnienia fali“ — jak mówi poeta, gdyby nie kilka słów, które skreślił o Sewerynie Goszczyńskim i o szkole Bazyliańskiej w ostatnim okresie jej istnienia.

Umarł w r. 1885 we wsi Sitkowcach w pow. Taraszczańskim, gdzie na łaskawym chlebie przytułek znalazł.

*F. R. G.*

---

„Bazylianie uposażeni dobrodziejstwem materyalnie przez Potockiego — mając przeszło stu uczniów bogatszej szlachty w klasztorze, pod wyłącznym ich dozorem, biorąc po półtorasta dukatów od osoby — w czasach tak tanich — wygodne sobie życie pędzili — popijając miodek na konsolacyę; aby zaś mieć głos w prowincyi, wybierali z pomiędzy uczniów czterech, pięciu zdolniejszych, tym staranniej wykładali nauki, a następnie wyprawiali

do uniwersytetu, gruntowniej przygotowanych; resztę zaś zostawiano na Bożą wolę, byleby rodzicom oczy zamydlić na examinie publicznym na św. Piotra, łatwe dając zapytania dzieciakom. Taki to blichtr trwał u nas w szkołach aż do roku 1825 [1]). Wszakże nie mogę nie oddać sprawiedliwości, że religia, na zasadach dogmatów Kościoła katolickiego, z wielkiem staraniem, pilnością i dokładnością wykładaną była. Pilnowano nas skrupulatnie, abyśmy spowiedź odbywali, przyzwyczajano nas do pokory i pobożności i dlatego, w ciągu mojego życia, śród uczniów wyszłych z tej szkoły, nie nadarzyło mi się spotkać kogokolwiek niereligijnego.

Było zawsze w klasztorze księży, nigdy mniej jak dwunastu, a mianowicie od 1819 po 1825 byli profesorami 1-ej klasy X. Berężyński, 2-ej X. Ignatowicz, 3-ej, 4-ej, 5-ej i 6-ej profesorowie: literatury Moczarski, matematyki Kamiński, historyi naturalnej i fizyki Lityński, historyi powszechnej Dowhołuski. Prefektem szkół, był Skibowski, renegat, jeden z X. X. Bazylianów, który przyjął prawosławie, by zostać w Tryhurach jakimś starszym nad popami [2]). Rektorem klasztoru był ks. Mikuliński, oprócz tego trzech spowiedników, jeden szafarz, a ku końcowi wykładane były lekcye teologii dla młodych laików; zwykłym uczniom na ten przedmiot czasu nie starczyło. Języków obcych nauczycielami byli cywilni:

---

[1]) Mogło to mieć miejsce znacznie wcześniej, z czasów działalności Komisyi edukacyjnej, jak świadczą sprawozdania wizytatorów. Za Czackiego było lepiej, a później szkoły humańskie cieszyły się nawet rozgłosem. Andrzejowski, profesor szkoły krzemienieckiej, który był w Humaniu w r. 1829 wraz z adjunktem mineralogii Jakowickim, tak pisał: „Trafiliśmy na półroczne egzamina i kilka dni zatrzymano nas abyśmy wysłuchali prywatnego uczniów sprawozdania z nauk półrocza. Jakowicki i ja, wyznać trzeba naszą zarozumiałość, nie wieleśmy tuszyli sobie o naukach, wykładanych w powiatowej szkole Bazyliańskiej, ale jakże duma nasza ukaraną została na egzaminie! Ksiądz Rektor (Skibowski) dał nam prawo zapytywania i jakież było zdziwienie nasze, słysząc uczniów, tłumaczących się z chemii i fizyki podług najnowszych metod; z zoologii podług układu Lamarka, z botaniki podług Linneusza i Jussieu“.

[2]) Leonty Skibowski był ostatnim Rektorem szkół humańskich. Sympatye dla Rossyi objawiał wcześnie, jak obaczymy z dalszego ciągu opowiadania Pokrzywnickiego, lecz do czasu chował pazury. Po r. 1831 słynny Siemaszko skaptował go dla swoich celów, a po skasowaniu Bazylianów w Humaniu, zrobił go ihumenem w Tryhurach, pod Żytomierzem.

francuskiego Neumark i de Lins [1]), niemieckiego Pudelski z Poznańskiego, a rossyjskiego Dominik Rudnicki, na który nie zwracano jeszcze bardzo uwagi, bo się z rządu nikt nie upominał, a rodzice nie nastawali, gdyż we wsi był zawsze pop lub diak do przeczytania powiestki rządowej, a ta często gęsto zostawała nie odpieczętowana i w kąt rzucona, albo użyta pod rozengartoskie pierogi [2]). Jeszcze się wówczas Moskwa nie obudziła, krzyku nie robiła żeby i nas nie obudzić, bo i my spaliśmy na dobre, na ukochanej a miękiej poduszce wypchanej pańszczyzną biednego ludu, a najważniejszy powód, że naszą szkołą, jakiem wyżej powiedział, nikt się nie interesował, bośmy oficyalnie do żadnego wydziału naukowego nie byli przyłączeni i wątpię bardzo, czy minister oświecenia wiedział o exystencyi tej szkoły [3]). Raz tylko pamiętam, jak sławny uczony tego wieku, Tadeusz Czacki, przypomniał sobie i o nas i przysłał nam, choć nie oficyalnie, bo nie miał do tego prawa, wizytatora w osobie Pana Weleżyńskiego, obywatela z Wołynia, człowieka swiatłego z jegoż poczciwemi dążnościami, aby się wywiedział, co to się u nas dzieje, a warta była jego gra świecy, bo do tej szkoły uczęszczało przeszło tysiąc uczniów, a były lata, że i po tysiąc trzysta główek z niej korzystało [4]), a z których tacy powychodzili ludzie znakomici jak Seweryn Goszczyński, Bohdan Zaleski, Michał Grabowski, estetyk i po-

---

[1]) Franciszek de Lins. Autor błędnie pisze: Lens. Żona jego miała pensyonat żeński w Humaniu, gdzie nauczycielką była matka Seweryna Goszczyńskiego, a następnie w Winnicy, w którym dzieci szlacheckie kształciły się.

[2]) Rodzaj pierogów z serem przypiekanych na maśle.

[3]) W tym punkcie pamiętnikarz okazuje zupełną nieznajomość rzeczy i pamięć go zawodzi. Po zabraniu przez Rossyę prowincyi ukraińnych, szkoły przeszły pod opiekę Prikaza obszczestwennawo prizrienija i stały się zależnemi od gubernatorów. W ogóle w szkolnictwie panował chaos, bo rząd nie wiedział jeszcze czego się trzymać. Trwało to do r. 1803, kiedy ustanowiono w Rossyi ministeryum oświaty, a szkoły na Wołyniu, Podolu i Ukrainie zostawały pod kierunkiem T. Czackiego (1803—1818). W r. 1818 przyłączono całą dzisiejszą gub. kijowską do kuratoryi naukowej uniw. Charkowskiego. Ostatni okres do zamknięcia już był pod opieką i kierunkiem kuratoryi w Charkowie. W tym czasie zatem, kiedy Pokrzywnicki był w szkole Humańskiej, już one wyszły z pod opieki Czackiego. Przyjazd Wyleżyńskiego mógł być przypadkowy, jeżeli miał miejsce w czasie pobytu tam Pokrzywnickiego lub znacznie wcześniejszy, a wówczas posiadał charakter urzędowy.

[4]) Tyle nigdy nie było. Liczba dochodziła do 700 przed r. 1829.

wieściopisarz, i wielu innych. Z ich to grona, ów sławny renegat późniejszy prefekt szkół Humańskich, naonczas profesor literatury, wypędził ze szkół Seweryna Goszczyńskiego — a za co — opowiem, będzie to maleńki dodatek do biografii tego barda ukraińskiego. Rzecz się tak miała: — Seweryn Goszczyński, z ubogiej szlachty polskiej, był synem oficyalisty Branickiego, którego ojciec był znałogowanym pijakiem a tem samem nie mógł wystarczyć na utrzymanie licznej rodziny; musiał przeto Seweryn dla pomocy rodzinie wziąć się do żmudnej pracy, i zostać domowym dozorcą dwunastu uczniów, od których pobierał od osoby po trzy ruble na kwartał. Mimo to miał jeszcze dosyć czasu oddawać się pracy dla siebie, a czując w sobie natchnienie poetyckie i siły, chciał się, idąc za duchem czasu, wyprządz z kajdan klasycyzmu, panującego w szkole. Nigdy więc nie dawał poezyi swoich pod surową krytykę Skibowskiego — i nieraz o tem z kolegami mówił, o czem gdy się dowiedział Skibowski, przez cenzorów potajemnych, nie podejrzywając w nim takich wielkich zdolności, bo Seweryn był zwykle milczący, rozkazał mu na przyszłą lekcyę nieodmiennie przygotować próbę, pod warunkiem, jeżeli się temu rozkazowi sprzeciwi, wydalenia go ze szkół. — I wtenczas to Goszczyński przygotował, i pierwszy raz odkrył się przed kolegami z ukrytym swoim talentem, odczytując ognistą i porywającą dumę przeciw rozbiorowi Polski, a przyszedłszy do klasy, podyktował kolegom, jak mówił, na pamiątkę koleżeństwa, pewien będąc że go Skibowski wydali, i już go z tem przygotowaniem tylko oczekiwał. Zadzwoniono *secundo*, wszedł Skibowski, a po odmówieniu *Veni Sancte*, zapytał Goszczyńskiego o próbę; ten ją z całym zapałem zaczął deklamować:

Mówcie jak Pani północy,
z królem zdradzieckim zmówiona,
z mateki żon dzieci łona
porywała w Sybir głuchy!
Bracia, oto Ojców duchy!
każą się zemścić tych czynów!

Żałuję, że jej nie mam pod ręką, a pamięć już nie słucha, bo jej zdaje mi się w druku nie ma, ale mam nadzieję, że nim ukończę opis mej przeszłości, dostanę ją, i bodaj w końcu z wami się czytelnicy podzielę [1]). Wtenczas Skibowski wysunął się

[1]) Autor nie podał dokończenia w swoich Pamiętnikach.

z katedry, porwał mu z rąk rękopis, nie dał dokończyć i z klasy mu wyjść rozkazał, mówiąc: „Nie masz Wasan miejsca w szkołach“. — Wyszedł biedak i zaraz z kolegą swoim Władysławem Monastyrskim na jego koszcie dostał się do Warszawy, tam się zaciągnął, nie odwlekając, do związku szkoły podchorążych, pod kierownictwem Pułkownika Łukasińskiego, i tę dumę po Warszawie rozpuścił, o czem gdy się W. X. Konstanty przez szpiegów dowiedział, kazał go wyszukać by go zamordować, ale w czas ostrzeżony, zdołał ujść poszukiwaniom szpiegów [1]), aby się nie dostać w ręce, jak mówi Mochnacki, „średnicy w hierarchii zwierząt, gdzie się ród ludzki kończy a zwierząt zaczyna“. Zapuściwszy brodę, przebrawszy się w łachmany, w tak żebraczym stroju, o żebranym chlebie, z kosturem w ręku, *per pedes apostolorum* dostał się na Ukrainę do Leszczynówki, w powiecie Humańskim, należącej wówczas do Jana Krechowieckiego, i tam po większej części przebywał, gdzie się, śmiało powiedzieć mogę, zbierał kwiat młodzieży polskiej, idącej z duchem czasu, ludzi czynu, gotowych do poświęceń. W tym to czasie Goszczyński napisał piękny wiersz pod tytułem: Konstytucya 3-go Maja. Ponieważ nigdzie w druku nie spotykałem go, bojąc się aby nie zaginął, tu wpisuję jako naszą narodową własność. — Przywiózł mi ją były profesor literatury, X. Anastazy Teleżyński, należący całkowicie do naszego kółka. Zachwycony cudną harmonią tego wiersza przepisał go i mnie nim udarował w dowód pamięci i przyjaźni dla mnie, a ja go tutaj podaję [2]):

## Konstytucya 3-go Maja.

Świeżości wdzięków dziewica,
Rozkryła się i zachwyca.
Z zimowych sukień odwita
Dziewiczym wdziękiem czaruje

---

[1]) Wiadomość ta ma charakter legendowy.

[2]) Wszystkie przytoczone w pamiętniku K. Pokrzywnickiego poezye nie znajdują się w zbiorze znanych wydań poezyi Goszczyńskiego, a głównie wrocławskiem i lipskiem. Zdaje się przeto, że dotychczas istotnie znane nie były. Gdy są już drukowane, przyczynią się do ustalenia textu. Nastrój ich i charakter wskazują wyraźnie drogę, którą niezadługo miał pójść młody poeta — drogę czynu.

Kwiat się z pączka grobu kłuje. —
Wiosenne słońce rozkwita —
Zmartwychwstania hymn go wita!
I mój naród przebudzony
Słońcem się nowej chwały upiększa
Lecz jego jasność od dziennej tak większa
Jak pienia szczęścia nad słowicze tony. —
I zasiada mędrców grono,
Nieśmiertelności promieniąc koroną
I w jednomyślnej umowie,
Uradzają jak bogowie:
Szczęście bratniemu plemieniu!
Leją się słowa w ognistym strumieniu
A dobroczynni ziemian Anieli:
Miłość ludzkości, miłość bliźniego —
Przyjęli mowę każdego —
I w anielskie dzieło zleli!
Aż na niknącej burzy ucisku —
W różnobarwnych świateł błysku
Zawisła przymierza wstęga,
Co berło z lemieszem sprzęga! —
Na ten znak błogosławiony
Uderzyły serc miliony:
Pieśni! pieśni! dziękczynienia!
A spiewać mocy nie było —
Słowo we łzę się stopiło!
W cichy płacz radości pienia! —
Aż na niebiosach górnego pobytu. —
Błysły w gwiazdach łzy zachwytu. —
A jak spojrzeć, przez rozległość —
Płyną z łez płomiennych zgłoski.
Wolność! równość! niepodległość!
Wolność! równość! niepodległość!
Huknęły grody i wioski —
Zagrzmiał jak echo głos Boski!
Wolność! równość! niepodległość!

---

A na dowód jak był wielkim i niedorównanym poetą, kiedy uderzył na swojej lutni w strunę patryotyczną, przytoczę wam jeden z jego wierszy, które improwizowane w Leszczynówce [1]), na obchód 3-go Maja w 1830 roku, ogromne na mnie wrażenie wywarły. W czasie improwizacyi myśmy wszyscy tam zebrani, spisali ją rozebrawszy po kilka wierszy między siebie. Wiem z pewnością, że i tego wiersza nie ma w druku. Chowałem go na

[1]) W domu Jana Krechowieckiego.

dnie serca w mojej pamięci, jak relikwię narodową. Tą razą pamięć mnie nie zawiodła, bo ten utwór zrósł się ze mną przez wielokrotne powtarzanie go jak pacierz. — Wtenczas to Goszczyński nastroiwszy swą lutnię do wspólnego naszego ducha, taką się odezwał improwizacyą na dzień 3-go Maja 1830 roku:

1. Z pieśnią słowika na nowo zaczętą
Z wiosną co ziemię na nowo przystraja
Witam cię polskich serc święto,
Witam cię trzeci dniu Maja!
Biedni! dzikiego Ojczyma przemocą
Przegnani z kraju, wychłostani z domu,
Do Ciebie dniu po kryjomu
Idziem ze skargą sierocą!
Zdarł się nasz całun lat żałoby wielą,
Tylko kwiat wspomnień zakrywa też plamy —
Więc w kwiatach pamiątek witamy,
Witamy cię Polski Niedzielo!
Już to trzydziestym i piątym obchodem
Krążymy przy dniach, które skamieniały
Posągiem nieszczęścia i chwały
Nad wielkim, zabitym narodem!

2. Więc dalej bracia, do reszty koła!
Napełnić kielichy nasze —
Niechaj myśl dziko-wesoła
Zagrzewa napojem,
Ojczyznę z trumny wywoła! —
Zapląsa ze wspomnień rojem! —
Zagrajmy, o bracia, w czasze! —
Bracia niechaj żyją!
Co tak jednem sercem biją!

3. Serce i kielich ma brzegi swoje,
Serce i kielich zbytku nie zmieści —
Ze szkła pełnego spłyną napoje!
I serce pełne płaczu i boleści
Rozleje łzę pocieszenia!
Już sytość hańby czuć się nam daje —
Opiliśmy się cierpienia...
Łza tylko radości zostaje —
Żyj nam chwilo przesilenia!

4. W dziecinnych latach za bajkę się brało
Powiastkę mamek o cudownej wodzie,
Co sprzęga, żywi poszarpane ciało;
Ktokolwiek przodków ma wzory w narodzie

Kto zemsty w sercu swem nie tłumi —
Ten tajemnicę powiastki zrozumi. —
Znajdzie ją we wrogów jusze!
Zemsta za was przodków dusze!

5. Poćwiertowane Matki naszej ciało,
W' któreż się strony nie porozrzucało?
Pocięte członki drgają wszędzie życiem,
Matczynej piersi uderzają biciem!
I walczą z chłodem śmierci aż go zwalczą —
Bóg i Ojczyzna, to dla nich jest tarczą!
Bracia niechaj żyją,
Co tak jednem sercem biją!

6. Przyjaciele, wasze zdrowie!
Szczęśliwi takich Ojców synowie,
Szczęśliwsze Ojców takich są syny.
Co szczupłym likiem swoich niezrażeni —
Wspólnego ognia udzielając sobie —
Tulą w pamiątkach przeszłe świetne czyny! —
Niechże Maj trzeci, miły nam w żałobie,
Lampę smutku zagasiwszy
Koniec tryumfu kiedyś rozpromieni!
Niech żyje Maj trzeci, szczęśliwszy!...“

Fr. Rawita-Gawroński.

# KRONIKA LITERACKA.

*Teka grona konserwatorów Galicyi zachodniej.* Tom I. Str. XV+558, folio 4° z 122 ilustracyami w cynkotypii i 3 tablicami w heliograwurze. — W Krakowie. Nakładem grona konserwatorów Galicyi zachodniej. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem J. Filipowskiego. MCM.

Wydawnictwo po prostu wspaniałe! Oto pierwsze wrażenie, jakiego się doznaje, wziąwszy do ręki tę olbrzymią księgę, wydaną w całem tego słowa znaczeniu i pod każdym względem okazale, pełną wzorowo wykonanych rycin i heliograwur. Na pierwszej karcie czytamy wymowną, w lapidarny styl ujętą dedykacyę: „Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, który przez pięć stuleci myśl polską żywił i konserwował, składają w hołdzie konserwatorowie zabytków sztuki i pomników historycznych". Z dzieł zbiorowych, poświęconych Uniwersytetowi Jagiellońskiemu z okazyi jego zeszłorocznego jubileuszu, jest to niewątpliwie jedno z najwspanialszych i jedno z najcenniejszych.

„Tekę" rozpoczyna przedmowa dawniejszego przewodniczącego grona konserwatorów Galicyi zachodniej (obecnie jest nim dr. Stanisław Tomkowicz), mianowicie radcy Dworu prof. Maryana Sokołowskiego Jestto niejako zsumowanie zamiarów, które kierowały wydawcami, zsumowanie wytycznych punktów ich dotychczasowej pracy oraz zakreślenie programu na przyszłość. Prof. Sokołowski wskazując, że podstawowy dział niniejszej publikacyi grona konserwatorów odnosi się do inwentaryzacyi pomników sztuki Galicyi zachodniej, omawia w sposób wyczerpujący i zarazem przekonywający ogromną doniosłość takiej inwentaryzacyi, czyli spisania zabytków sztuki i pomników przeszłości. Spisanie

mogił, nasypów i cmentarzysk naszych, — spisanie zabytków dawnej architektury w kraju naszym oraz wszystkich pomników historycznych, pomników sztuki wielkiej, małej i ludowej, stworzyłoby materyał źródłowy, pozytywny i pewny do wszystkich badań w zakresie kultury i sztuki polskiej, materyał, bez którego wszelkie wnioski są zawsze hipotetyczne i chwiejne. W ziemiach polskich pod panowaniem pruskiem zrobili to za nas Niemcy; także pod berłem rossyjskiem poruszono już myśl utworzenia urzędów konserwatorskich w Warszawie i na prowincyi; w Galicyi musimy zadanie to spełnić sami a spełnić powinniśmy tem rychlej, że jak słusznie wskazuje prof. M. Sokołowski, nie ma czasu do stracenia, ponieważ z każdym rokiem zabytki niszczeją i giną, a zasób ich niespostrzeżenie taje, tak, jak śnieg na wiosennem słońcu. Prof. Sokołowski podaje także ścisłe wskazówki co do tego, jakim torem tego rodzaju praca powinna by się na przyszłość rozwijać, co nią objąć i o ile ją na przyszłość rozszerzyć wypada. Wskazówki te znakomitego znawcy sztuki wogóle, a sztuki polskiej w szczególności, zawierają cenny program przyszłej działalności naszych konserwatorów.

Na czele rozpraw, które złożyły się na ogromny tom, znajdujemy pracę dr. Stanisława Tomkowicza: „Napisy domów krakowskich“. Autor wskazuje, że jeżeli znikają napisy kościołów i gmachów publicznych, to napisy domów mieszkalnych narażone bywają na daleko większe niebezpieczeństwo, gdyż padają ofiarą ciągłych przeróbek i reparacyj, kierowanych względami wygody mieszkańców i właścicieli domów. Pragnąc ocalić istniejące dziś jeszcze w Krakowie napisy od zaginięcia, podjął dr. Tomkowicz żmudną tę pracę, w której trzymał się zasady jak najściślejszej wierności. Każdy zatem wiersz zanotowanej przezeń inskrypcyi odpowiada wierszowi rzeczywistego napisu; zachowane są, o ile się tylko dało, kształty liter, ich odmiany, wzajemny do siebie stosunek wielkości i rodzaje pisma; uwzględniono też użyte w oryginale znaki i skrócenia. Spis dr. Tomkowicza obejmuje wszystkie znane mu napisy zewnątrz i wewnątrz domów Krakowa i przedmieść, dalej napisy na domach klasztornych, na murach, na t. zw. figurach, kamieniach granicznych i t. d. Jako granicę czasu przyjęto (podobnie jak w całej „Tece“) rok 1850. — Kilka wypadków od tej zasady stanowią późniejsze napisy ogólno dziejowej doniosłości lub mające wagę dla historyi miasta albo dla historyi budynku. Dr. Tomkowicz zamieścił też we właściwych miejscach napisy zagubione, o których doszła go wiadomość.

Dla tak sumiennej a tyle pożytecznej pracy dr. Tomkowicza, nie mielibyśmy po prostu słów uznania i podziwu, gdyby dr. Tomkowicz nie dostarczył nam w tej samej księdze jeszcze słuszniejszego powodu do tego uznania i tego podziwu.

Zanim jednak przejdziemy do dalszych prac dr. Tomkowicza w „Tece“ pomieszczonych, trzymając się porządku, w jakim ułożono rozprawy, które na całość księgi się złożyły, musimy przedewszystkiem wspomnieć o pierwszej, obok poprzedniej pracy dr. Tomkowicza, próbie inwentaryzacyi zabytków miasta Krakowa, o opracowanych przez p. Juliana Pagaczewskiego opisach kościołów krakowskich, pod wezwaniem św. Mikołaja i św. Tomasza Apostoła. Autor podaje naprzód krótko zestawione dzieje powstania i budowy kościołów, — następnie dokładny opis ołtarzy, rzeźb z kamienia, rzeźb z drzewa, obrazów, świeczników, haftów, wyrobów złotniczych, ornatów, dalej epitafia dosłownie przytoczone, słowem zwięzły ale jak najdokładniejszy spis i opis wszystkich zabytków w tych kościołach, przyozdobiony licznemi ilustracyami.

Teraz następuje kapitalna część „Teki“: praca dr. Stanisława Tomkowicza z zakresu inwentaryzacyi zabytków Galicyi zachodniej, mianowicie inwentarz zabytków historycznych i artystycznych z powiatów grybowskiego i gorlickiego. Jest to praca, która sama dla siebie stanowi osobne dzieło (stron 225 in folio z 80 rycinami), a zawiera ważne i wysoce interesujące owoce długoletnich, bardzo mozolnych, i bardzo ofiarnych studyów. Dr. Tomkowicz w latach 1887 do 1895 był konserwatorem okręgu, obejmującego siedm politycznych powiatów na południu Galicyi zachodniej t. j. powiaty nowotarski, limanowski, nowosądecki, grybowski, gorlicki, jasielski i krośnieński. Chociaż to tylko prowincya, to jednak okręg ten pod względem zabytków przedstawia i dzisiaj jeszcze nie mało zajęcia. W okolicy tej bowiem, posuniętej wysoko w cywilizacyi dzięki ożywionym stosunkom z pobliskiemi Węgrami i ziemią Spiską, panował od dawna ruch ożywiony, kwitnął handel, a niejedno dzisiejsze miasteczko, położone nad ważnemi drogami handlowemi, jak Biecz, Krosno, oba Sącze, Dukla, było niegdyś sporem miastem, posiadającem zamożne mieszczaństwo. Stara to prawda, że dobrobyt wytwarza życie artystyczne, bo podnosi poziom potrzeb i ułatwia wykształcenie. Dr. Tomkowicz zaznacza też, że była epoka, w której n. p. Nowy Sącz dostarczał artystów i produkował dzieła przemysłu artystycznego dla samego nawet Krakowa i dla dalekiego Gniezna, a tamtejsi snycerze, malarze, organmistrze i t. d., poszukiwani byli w kraju. Zresztą z położenia swego między Krakowem, jednem z ognisk sztuki a Spiżem, który z krakowskiemi szkołami cechowego malarstwa i rzeźbiarstwa zachowywał ścisłe stosunki, korzystały nie tylko miasta, jak Biecz z swym wspaniałym kościołem,, jak Stary Sącz i Krosno z staremi kościołami i z ciekawemi domami mieszczańskiemi, ale także i wioski, te „podgórskie gniazda możnych i kulturalnych rodów szlacheckich i wielkopańskich“, jak Lelewitów, Tarnowskich, Jordanów

Odrowążów i t. d. i t. d. Fundowali oni i zdobili kościoły i klasztory, stawiali sobie nagrobki, budowali dwory i zamki, których szczątki jeszcze się dochowały. Ponieważ zaś było to pogranicze, więc też wznosiły się tu i królewskie zamki, sięgające czasem bardzo odległego średniowiecza — górzysta zaś okolica, dając w wojnie ochronę, uratowała niejeden zabytek od zniszczeń, pustoszących ruiny.

Inwentaryzacya jednak okręgu tego w obec rozległości jego obszaru i braku poprzednich opracowań, przedstawiała nie małe trudności. Dr. Tomkowicz wymieniając dotychczasowe, nie liczne opracowania, wspomina głównie o notatkach ś. p. Łepkowskiego, który objeżdżał te okolice i czynił gorliwe zapiski, o tem, co widział w kościele, w magistracie, we dworze; otóż te notatki, przez ś. p. Łepkowskiego jeszcze za życia oddane dr. Tomkowiczowi do użytku, były dla tego ostatniego co do kilku powiatów znakomitą wskazówką, choć jedynie tylko wskazówką. „Wypadło z temi wskazówkami w ręku — pisze dr. Tomkowicz — podjąć pracę na nowo. Zinwentaryzowanie kilkuset miejscowości, rzecz to mozolna i nie łatwa. Nie mówię tego dla podniesienia własnej zasługi, lecz dla usprawiedliwienia licznych niedostatków niniejszej pracy. Niemal wszystkie miejscowości w inwentarzu całego okręgu wymienione objechałem osobiście i sam je inwentaryzowałem, w niewielu tylko wypadkach przyjmując pomoc któregoś z miejscowych mieszkańców w odczytaniu napisu na dzwonie, do którego na prędce dostać się nie mogłem, w uzyskaniu jakiegoś wymiaru lub odpisu długiej inskrypcyi, na której skopiowanie czasu mi brakło. Gdzie tylko mogłem, nie poprzestałem na notatkach, ale zdejmowałem fotografie z zabytków“. Przytoczyliśmy z umysłu dosłownie ten ustęp, ponieważ on maluje wymownie ogromną sumę pracy, jaką dr. Tomkowicz w dzieło swe włożył. To też choć zapewne nie łatwo potrafi kto dopatrzeć pamyłek lub opuszczeń w inwentarzu dr. Tomkowicza, gdyby przypadkiem je znalazł, zrozumie usprawiedliwienie autora, że „w tych warunkach sporządzić wyczerpujący spis zabytków przechodziłoby podobno siły jednego człowieka“. Prawdopodobnie słusznie też autor zaznacza, że ten pierwszy przezeń uczyniony krok na drodze leżącej bez mała całkiem dotąd odłogiem, a tak ważnej dla naszego życia kulturalnego, zachęci i innych by pospieszyli postawić na niej dalsze kroki i uzupełnić braki, co wobec ułatwionej już i ulepszanej ciągle komunikacyi, staje się z każdym rokiem łatwiejszem.

Co się tyczy zakresu i zasad kierowniczych swej pracy, dr. Tomkowicz wyjaśnia, że jako konserwator sekcyi II., stosownie do swego zawodu i obowiązku, zwracał uwagę głównie na zabytki sztuki i pomniki historyczne; ile razy jednak zdarzyło się mu przekonać o istnieniu

zabytków przedhistorycznych lub archiwów, nie zaniedbał tego uczynić. Inwentarzem swym nie objął właściwie także zabytków ruskich, znajdujących się w południowej połowie kilku opisanych przezeń powiatów, nie należały bowiem do obszaru jego działania, gdyż dla nich wyznaczeni są osobni konserwatorowie; nie zaniedbał jednak zaznaczyć i z tego zakresu tego, o czem się dowiedział.

W krajach bogatszych zajmują się tylko ważniejszemi pomnikami, o drugorzędne mniej się troszczą. U nas — mówi dr. Tomkowicz — dzieł wielkiej sztuki tak mało, że mniej ważnych zabytków nie ma; wszystko jest godne zapisania, co tylko jakkolwiek łączy się ze sztuką, bo wszystko ma związek z historyą naszej dawnej kultury. Tej zasady trzymał się też dr. Tomkowicz w swej pracy, uwzględniając w niej obok zabytków budownictwa kamiennego lub ceglannego, także zabytki budownictwa drewnianego, obok dzieł architektury, także dzieła przemysłu artystycznego, dzwony, tkaniny, hafty, przedmioty drobnej sztuki. — Każdy powiat polityczny traktuje autor jako całość osobną; miejscowości w każdym powiecie podane są w porządku alfabetycznym, przy każdej zaś odległość w linii powietrznej, dla ułatwienia znalezienia jej na mapie. Części miejscowości, mające własną nomenklaturę, wymienione są w rozdziale, noszącym nazwę miejscowości. — Na początku każdego ustępu, noszącego osobny tytuł, przytoczona jest literatura przedmiotu; dalej streszczona w głównych datach historya miejscowości, oraz podana data, kiedy dr. Tomkowicz w danej miejscowości był a więc czas, do którego opis należy odnieść. Podane są dalej wiadomości o dawnym stanie zabytku, o ile on jest różny od dzisiejszego, oraz o przedmiotach, które niegdyś się znajdowały a których już na miejscu autor nie zastał. Jeżeli dr. Tomkowicz zabytku jakiegoś sam nie oglądał, podaje źródło, z którego wiadomości o nim zaczerpnął. W inwentaryzacyi przestrzega dr. Tomkowicz tego porządku, że jeżeli jakaś miejscowość zawiera kilka budynków, inwentaryzacyą objętych, pierwszeństwo mają zawsze gmachy kościelne, wśród świeckich zaś na czele stoi ratusz lub gmachy publiczne, potem domy prywatne, wreszcie pomniki luźno stojące, figury przydrożne.

Jak widzimy więc, dr. Tomkowicz, trzyma się w swej pracy ściśle opracowanej i rzeczowo uzasadnionej metody, która będzie niewątpliwie wzorem dla późniejszych tego rodzaju prac w literaturze naszej. W inwentarzu swym objął dr. Tomkowicz dzieła sztuki i przemysłu artystycznego do końca XVIII. w.; późniejsze zaś tylko wyjątkowo. — Z powiatu grybowskiego wymienionych jest w inwentarzu 36; z powiatu gorlickiego 32 miejscowości; ale w tym ostatnim n. p. opis samego Biecza zajął z górą 80 stron druku.

# KORESPONDENCYA
# JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO.

(Ciąg dalszy).

*7. grudnia 1853.*

Na wieczorze sutym u Langowej byli Mickiewicz z żoną i z córką, Sienkiewicz z żoną, Tomaszewscy, Chodźkiewicz i Gałęzowski. Rozmawialiśmy wesoło.

### Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej.

*26. stycznia 1854 r.*

Kochana, kochana, tobie doprawdy winienem pierwsze serdeczne rozradowanie w tym nowym roku. Jak i czem podziękować? Datkiem chyba łezki, za którą znowu Ojciec zapłaci Niebieski. W ostatnim twoim liście panuje takie błogie i święte uciszenie, że aż miło. Daj ci je Boże na rok cały i na cały żywot, ku twemu uświęceniu się, a ku zbudowaniu naszemu. Stoisz teraz, kochana, jakby w słońcu łaski i darzysz zeń światłem i ciepłem na rozstrzenie. Aż do nas tutaj przez góry a chmury przerzuciłaś śliczną swoją tęczę. Po przeczytaniu twego listu pogodniej w duszy i pobożniej w sercu.

I ja od dawna już usiłuję poznać Słowo Pańskie, poznać je i ukochać. Cóż potem? Słowo poznane i nawet ukochane, a źle spełnione, nie ucisza wewnątrz duszy, ani grzeje na zewnątrz.

Lodowacieję oto przedwcześnie, nie ze starości, ale w grzechach moich. Łaska Boża wywalcza się zasługą przez ustawiczną i pokorną pracę, a tej mi właśnie zawżdy brak, od młodu aż po dziś dzień. Nie jestem przecież ze świata; bałamutne jego mniemania i obłędne drogi wzgardziłem nie od wczoraj. Odegnałem, odżegnałem od siebie pychę złośnicę, że rzadziej mnie już nagaba. Modlę się, jak umiem, z zaklęciem codzień ku sercu. Co mętne, brudne, niechaj zamrze na dnie; co smętne, mgławe niech w rosie opadnie. Z tem wszystkiem często jeszcze i mętno mi i smętno i skąpo łez. Duch mój od stepu, to jak step tam w dumce zowie się b e z c h l e b i e — b e z w o d z i e, to jest wygorzały i jałowy. Niewątpliwie, źle się modlę, a jeszcze gorzej spełniam słowo Pańskie, kiedy wiecznie cudotworne, nie płodzi dotychczas we mnie. Za nieprzeliczone łaski a dary przez żywot, jam tyle niewdzięczny i małoduszny, że ciągle ze dnia na dzień odwlekam pokutę. W tem tkwi cała niemoc moja.

Panie, Panie, biednyż ja człowiek! Zaiste, dawno mi już czas uderzyć w pokorę i skruchę z wiarą i miłością prostaczka; czas pokutować na prawdę, jak pokutowali prawowierni Pańscy, czuwając nad sobą ustawicznie i nie oglądając się ni w prawo, ni w lewo. Czy zdobędę się kiedy na to? Biała zamroź na włosach, to ptak Boży, co tu w łonie na odlocie kędyś ku cieplicom. Niezadługo już śmierć i sąd. Myślę o tem rano i wieczór, tom rzeźwiejszy i raźniejszy ku poprawie. Wobec tych ostatecznych rzeczywistości, złudzenia doczesne, ziemskie rozwiewają się w nic. Oburącz radbym objąć krzyż Pański i odtąd iść z nim przez resztę dni. Ależ potrzeba mi uciszenia i pogody w duszy, bo upadek bez nich łacny. Skrupuły powszednie to pokusy, co nie wzmagają ducha, ale owszem wycieńczają go aż do bezsilności. A więc precz odemnie wszelkie skrupuły. Chrystus Pan miłosierny i miłujący i cierpliwy, Chrystus Pan nie odtrąci wołającego o ratunek. Nie darmo wlał we mnie gorącą wiarę od młodości, nie darmo mnie otaczała zawżdy i teraz otacza straż świętych dusz i niewiniątek, co prowadzą mnie niejako pod ręce. Chrystus Pan nie chce śmierci grzesznika. Zbawienie nasze w Nim pewne. Błogo mi, że wierzę, miłuję i spodziewam się w Panu moim. Modlitw jeno strzelistych dopominam się od kochanych, co w spółce ze mną wierzą, miłują i spodziewają się spełnienia wszystkich obietnic Pańskich. Módlmyż się, kochana, druh za druha!

Och! i nad światem, Nisiu, niebawem zacznie się Boży sąd. Narody jako i indywidua nie spełniają od dawna swego posłan-

nictwa, owszem, pomiatają prawdami Zakonu i bałwochwalą jeno Rozum i cielce Rozumu. Kaźń Pańska tuż, tuż. Chmurzy się strasznie na około i co nie widno, już wygrzmi Boży gniew. Krwi i łez nie mało popłynie, na okup sprawiedliwości, która cierpi krzywdę od wieków na ziemi, a woła o pomstę do Boga. Nieznośny ucisk utrapi za to każdą duszę czującą. Panie, Panie, zmiłuj się nad nami. Rozproszym się znowu jak liście na wszystkich wiatrach. A kiedy i kędy odnajdziem się po burzy? Daj Boże, w Niebie! Wciąż mi na myśli żona i dzieci, — co w tej zamieci?

Trzeba kończyć list, to wracam do nowinek domowych. Zosia już bardzo ciężka, ale nie pieści się wcale, krząta się po staremu, i pracuje po staremu i nie sypia. Bóg ją darzy osobną łaską i swobodą myśli. Nieoszacowanego serca i hartu to kobieta. Rozrzewniam się i buduję zawżdy jej wielkoduszną rezygnacyą i ufnością w Chrystusie Panu i w Matce Boskiej . . . . . .

Kochana, kochana, do obaczenia! po twojemu kończę list i tak zawsze godzi się kończyć, bo niewątpliwie obaczymy się rychlej czy później, w takiej czy owakiej formie . . . . .

Dość, aniołku, duszko nasza miła, słodka, świątobliwa, pamiętaj o nas w modlitwach twoich, a osobliwie o Zosi. Całujemy twoje ręce i tulim się do kolan.

Bóg z wami! I my z Bogiem!

*Bohdan.*

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza.

*Fontainebleau, 26. stycznia 1854 r.*

Wielebny i kochany księże Hieronimie! Miesiąc styczeń, to miesiąc życzeń! A więc acz o spóźnionej nieco dobie, przesyłam jednak winszowania noworoczne wam wszystkim w Rzymie, to jest i Zakonowi Zmartwychwstańskiemu i tobie, kaznodziejo polski, a nasz osobliwy łaskawco i przyjacielu. Znamy się i kochamy w Panu od wielu, wielu już lat, to niewątpliwie, że i życzym sobie nawzajem wedle tej świętej a starej miłości. Obyż w niej nam wytrwać przez żywot i na wieczność.

Nowy rok ten, księże Hieronimie, coś różny całkiem od innych, cośmy przeżyli na tułaczce: zwiastuje się grozą Bożą chłodu, głodu, cholery i wojny. Co nie widno, jak Zachód z Północą pójdą w zalebki o Konstantynopol, ażali ma się on zwać Carówgrodem,

czy kupcówgrodem? Pan jeno wie właściwe jego miano i widocznie sam kieruje wypadkami. Pomimo, że króle i ludy są za *status quo;* wbrew nawyknieniom długoletniego pokoju, wbrew interesom wszystkim dyplomatycznym i bankierskim, wojna jednak się święci. Pan Bóg Chrześciaństwu daje oto upomnienie i zarazem gotuje jakieś nowe posłannictwo swemu Kościołowi. Co to będzie? Strach badać i grzech strachać się. Toż czuwajmy i módlmy się, *Sanctus, Sanctus Dominus Deus Sabaoth!*

I dla Polski naszej znowu co niemiara nadziei, a raczej co niemiara pokus! To też na emigracyi wszczyna się już po staremu war i wir chaosu. Szamoczem się na wszelkich pogańskich drogach. Apostata Mahomed Sadyk domaga się, aby szyć chorągiew malinową ze św. Michałem i Półksiężycem. Proh pudor! Ci jadą do Turcyi na Baszów, tamci znów na Barabaszów demokratycznych i niestety, z tymi ostatnimi ks. Mikulski. Hotel Lambert organizuje dynastyczny rząd, a ex-wersalskie wyżniki rząd ludowy. Starzy wojacy i gorętsza młodzież zbiedzeni, znudzeni chcą tłumnie na Wschód, aby rzucić się w ogień, i tych poświęcenie się jest przynajmniej czyste, bo bezinteresowne. Adam radzi do Szwecyi, Karol do Mistrza, stoliki gdzieindziej i t. p. Śród tego różnojęzycznego gwaru i waśni, J. B. O.[1]) robi swoje, szkaluje przed swymi i przed cudzymi księży, Siostry Miłosierdzia, szkołę polską.

Widzisz tedy, kochany księże Hieronimie, co zgorszenia publicznego i obrazy Bożej pomiędzy nami. Co tu radzić? i komu? W sercach nieufność i podejrzenie. Podejrzywamy nawet Kościół i ambonę, jak tego doświadczył niedawno ks. Aleksander. Z tem wszystkiem, dla kaznodziei polskich otwiera się dziś zawód apostolski, trud trudów, ale i obietnica Pańska zwycięstwa. Księże Hieronimie, módl się, strój ducha twego, i oszczędzaj piersi, bo czas twój jest bliski. Bez skupienia się przy Chrystusie Panu, nie poradzim sobie, nawet w ojczyźnie wolnej już i niepodległej. Przypuśćmy, żeby nam przyszło dziś organizować kraj! „Jeśli Pan sam nie zbuduje domu, darmo się trudzić będą robotnicy“, powinniśmy to wciąż jedni drugim powtarzać. Och, módlmy się, kapłani i świeccy, niewiasty i dziatki, módlmy się jednym w niebo głosem o ducha Bożego w narodzie, o męża Bożego z wiarą Kordeckiego i prostotą Kościuszki. Módlmy się przez pośrednictwo Rodaków świętych w Niebie. Doprawdy, księże Hieronimie, w nich tylko jedyna otucha dla Ojczyzny.

---

[1]) Ostrowski.

Dawno nie wiem o waszem zdrowiu i powodzeniu, chociaż przed kilkunastu dniami czytał mi ks. Aleksander króciuchny liścik twój, ks. Hieronimie. Nie miałem czasu wypytać o szczegóły ważniejsze, bo spieszył się na Mszę, a ks. Karol siedział na rekolekcyach. Zwykle teraz jak po ogień wpadam do Paryża. Ojcu familii za dom n i e l z i a. Czworo drobnych dziatek i tuż, tuż piąte, to zawsze jest w gościnach u mnie choroba lub jakiś nowy kłopot. Niedawno przeleżeliśmy odrę pokotem. Siedzim więc w domu z Józefem i niańczym dziatwę póki wola Boża. Sąsiedzi nasi, ks. Edward i Karol, ciągle prawie w stolicy; co radzą i z kim? Nie wiemy. Karol jednak odrzucił z godnością różne pogańskie propozycye i atamaństwo nad Kozakami z Bułgarów i Żydów. Żal się Boże prawości jego i talentów!

Nie dziw się i nie łaj, kochany księże Hieronimie, że rzadko pisuję. Widzisz sam o to, co się święci koło mnie i we mnie. Po dawnej zażyłości, przebacz uchybieniom i nawet leniwstwu. Owszem, w miłosierdziu kapłańskiem westchnij często za nami przy św. ofierze ołtarza. Proś o toż samo i bracię swoją i znajomych. Teraz bardzo a bardzo łakniem wszyscy modlitwy. Żona moja na złężeniu, a więc przed nową swoją batalią; a rok ciężki, chłodny, głodny, niezdrowy, to stoim całą gminą jak pod obuchem. My o tobie i o was tam wszystkich nie zapominamy nigdy w niegodnych naszych modlitwach.

Ściskam ręce i całuję za siebie i za domowych

*Bohdan.*

Pozdrów od nas, kochany Ojcze, księży: Józefa, Piotra, Wilczyńskiego i resztę domowych swoich. Kłaniaj się znajomym rzymskim, między którymi mamy kilku dawno miłych. Po staremu donieś nam wszystko o położeniu waszem i o zamiarach. Któż jest w Rzymie z rodaków? Jenerałowi Chłapowskiemu oświadcz uszanowanie od nas. Biedniż oboje i Jaś nasz. Miałem w pamięci wygowor twój za drobne pisanie, to przezwyciężyłem się dziś jak widzisz, kochany Ojcze.

Jeszcze raz całuję i modlitwom się polecam

*Bohdan.*

I ja tylko gorące słowo miłości mam czas tutaj od siebie dodać, a kochać was pragnę jak Bóg przykazał, całą miłością w Chrystusie Panu, całą uległością i pokorą jaka się namiestnikom Jego należy. Jeżelim się jeszcze do tej wysokości w miłości mojej

dla was nie podniósł, to moja wina, a raczej grzechów moich. Proszę cię, Ojcze Hieronimie i wszystkich kochanych Ojców, o modlitwy za mną i ręce wasze całuję

*Józef.*

## Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej.

*Fontainebleau, 14. marca 1854.*

Ukochana, anielska Nisio nasza, i jam się urodził w Arkadyi twojej! Tak jest, i jam się urodził w zaścianku tej samej błogosławionej okolicy, której ty jesteś Jaśnie Wielmożną Panią! Mowa też twoja — swojska memu sercu i myśli: mowa to rodowita rańszych, milszych lat moich. Zaprawdę, nie zapomniałem jej całkowicie i po dziś dzień, acz bardzom się już sterał i znużył na długiej poniewierce. Święte upomnienia twoje i mądre przestrogi nie wątpij, że uszanuję w dobrej woli brata, i ku poprawie w mych niezliczonych ułomnościach. Uważam je jako duchową pobudkę do pieśni pochwalnej Panu, do wielkiego Hosanna, który głos w głosie i my Mu wtórujem od ziemi. Wierzaj, serdeczna Nisio, że nie zmarnuję rodzajnego ziarna, jakie rzucasz w około na bujny plon Panu. Dalekoć jeszcze do żniwa! Brak mi czasu i usposobienia, abym wypowiedział należycie, ile pociechy przyniósł mi twój list ostatni; — niby jakieś zeń lube światło we mnie się rozeszło. Raźniej mi dzisiaj do pracy i do modlitwy.

Józef doniósł już o szczęśliwem rozwiązaniu Zosi i nowym nam przybyszu z Nieba. Dzięki Bogu, od onegdaj Zosia już na nogach, rozpoczęła swój trud trudów, na długie dni i na długie noce. Nie macie ani wyobrażenia, co to jest macierzyństwo na tułaczce, bez krewnych niewiast, bez mamki, i z lichą służbą cudzoziemskiej najemnicy? Żebyż przynajmniej mogła pokarmić dziecię własną piersią? Gdzie tam! nieszczęśliwy biberon musi oto po raz piąty bez ustanku od rana do wieczora przedmuchiwać, płukać, czyścić, aby jej zastąpić mógł karmicielkę. Z tem wszystkiem, Bóg miłosierny darzy Zosię zdrowiem, rezygnacyą i cierpliwością. I nowy gość z Nieba chowa się dla ziemi hoży, zdrów; zdaje się, że będzie cichy. Noszę go niekiedy na ręku po nocach, to pomrukuje mi tylko i zakrzyczy dopiero wtedy, kiedy głodny. Pomagam Zosi jak umiem, ale czem jest pomoc ojca śród drobiazgu, między którym najstarszy syn nie skończył jeszcze szóstego

swego latka? Modlę się też w nocy po cichu o pomoc z Nieba Matki Boskiej, i nie wątpię, że Ona sama wypiastowała nam pokolenie młode i czuwa wciąż nad całem gniazdkiem.

Nowonarodzonego, za dyspensą biskupa, ochrzciliśmy jeno z wody. Chrzest uroczysty odprawim dopiero wtedy, kiedy ktoś z bliższych ukochanych czy krewnych pojawi się w naszym domu. Może Bóg pozwoli, że syn mój obrządek swój chrzestny spełni już w kraju. Nowy sługa Boży dostał imiona Bohdan, Kazimierz, Andrzej Bobola, Wawrzyniec, a w domu dotychczas wabi się Kaziem. Wybrałem mu na patronów dwóch świętych rodaków i trzeciego wielkiego męczennika rzymskiego i zarazem patrona mego ojca. Nowokanonizowanemu Andrzejowi Boboli poleciłem syna mego, aby miał co rychlej imiennika ku straży.

Moja Nisio i mój Daryuszu, oboje kochani, jaka wczesna wiosna w tym roku a jaka czemuś smutna? U nas już od kilku dni ozwał się słowik w lesie, ale pomimo ciepła i prawie upałów, w tej wiośnie nie masz nic wiośnianego. Nie ma tego rozradowania, jakiego zwyczajnie doznajem przy cudownem odmłodzaniu się natury. Myśliłem, że to wiek stępił we mnie uczucie, a przecież i Zosia, tak wrażliwa na wiosenną pogodę, tego roku czuje się chłodna i obojętna? W powietrzu jakby zapach krwi... Złowieszcza och, pogoda! Co nie widno jak zagrzmi straszliwa burza! Kędy się podziejem pod rózgą gniewu Bożego? Czy burza zbliży nas? Czy rozdzieli rozstrzeniami? Często mówimy między sobą, jak i kiedy dostaniecie się do domu. Płonne dzisiaj ludzkie zamysły. Bogu jeno samemu wiadome są przeznaczenia dziś i narodów i pojedyńczych ludzi. Nie badać nam, ale korzyć się potrzeba w modlitwie przed Pańską Wszechmocą. Jest Pan, to koniec wszystkiemu będzie błogi! Ale módlmy się, módlmy bez ustanku, aby zastał nas czuwających jak przyjdzie.

Jak najdłużej gośćcie w Rzymie, kędy tyle pobudek do nabożeństwa.

Między rodakami przycichły nieco gwary, postrzegliśmy się nareszcie, że o nas nie ma dotąd ani mowy między mocarzami tego świata. Obyśmy jeszcze postrzegli, że sprawa nasza całkiem w ręku Boga! Bez Bożego zmiłowania, łaska królów i ludów na nic się nam nie przyda. Niebawem przyjdą na nas okropne pokusy, błogosławiony, który się im nie podda!

Biedni my bardzo, i grzeszni i słabi, i w omdleniu serc i w zamęcie rozumów, bo na falach tego wieku płyniem bez bussoli wiary.

Wogóle nie wielu pojechało na Wschód, a niektórzy już nawet wracają do nas. Nie znaleźli czego tam szukali. Na kłamstwie Czajkowskiego poznała się wszystka brać i nawet kłamstwo jego skompromitowane już i w Hotelu Lambert. Niektórzy z Baszów naszych wyruszyli do Azyi zwarzeni i rozczarowani. I do wyprawy francuskiej nie mamy udziału. Dotychczas powołani są tylko do boku Napoleona młodego zażyli z nim Branicki i Chojecki. Zresztą siedzim po norach swoich w oczekiwaniu na wypadki. Z Paryża paszportowi rodacy wyjechali już niemal wszyscy, kilka niewiast jeszcze i starców ociąga się z wyjazdem pod różnymi pozorami. Otóż i wszystko o czem pisać można.

Pozdrawiamy i całujemy was oboje, polecamy się modlitwom waszym i waszych świątobliwych tam przyjaciół i domowników. Potrzebujem całą gminą opieki i łaski z nieba, bo stoim na samym wydmuchu wielkiej wichrzycy, co miecie już w oczy liściem i kurzawą.

*Bohdan.*

## Do Pani Konstancyi Rzewuskiej.

*Fontainebleau, 16. marca 1854.*

Moja miła, moja dobra Kostusiu, zadłużyłem się tobie dużo w sercu mojem. Nie podziękowałem dotąd za tkliwe, niewolące uczucia w ostatnim twoim liście. Niestety, i dzisiaj jeno słówko posełam, ale z piersi pełnej najrzewniejszego braterskiego przywiązania . . . . . .

Piszesz nam o ślicznej pogodzie w Nicei. Toż pospolicie tak bywa o tym czasie we Włoszech. Ale co dziwna, to że u nas na północy, od wielu dni upały po kilkanaście stopni. W ogródku naszym od początku niemal marca, słowik już zawodzi. Nie pamiętam tak wczesnej wiosny. Ludzie starzy mówią, że podobna zdarzyła się w roku 1812. Owoż wiosna tegoroczna smutna i złowieszcza. Słońce patrzy niby przez łzy, a w powietrzu pachnie krew. Parno strasznie na około. Duszko, duszko, burza idzie z gradobiciem.

Rodacy tu nasi wielce spoważnieli; mniej się szamocą jak przed laty, mniej polegają na marnych obietnicach. Tem lepiej, że mędrsi oto po szkodzie! Boże daj, abyśmy polegali raczej na Tobie samym! Zresztą święci rodacy w niebie modlą się za nami, to może coś uproszą i dla nas niegodnych potomków swoich.

Wątpię, Kiciu, aby wam pozwolono długo popasać za granicą. Lada dzień spłoszy was rozkaz — do gniazdek. Dla nas na długo znowu zaczną się trwogi i niepokoje o kochanych, jakoby gdzieś żywcem zamurowanych w grobie . . .

Nisia pisała do nas niedawno długi list, prześliczny i budujący list. Ty wiesz, jak ona dziś całkiem ponurzona w Bogu, czytać na klęczkach jeno jej święte upomnienia, tak ostrzem leci w niebo, nie dotykając już prawie ziemi. Chwałaż z niej Panu i błogosławieństwo nam, których miłuje . . .

Zdaje się, że wyczerpałem wszystko, co miałem na razie do powiedzenia. Są rzeczy, których wyrazić nie mogę, lub których wyrazić nie umiem. Nie umiem wyrazić uczucia miłości i błogosławieństwa dla ciebie, jakie noszę w sercu mojem. Sama je raczej odgadnij!

Ściskam, całuję i błogosławię ciebie

*Bohdan*

*30. marca 1854 r.*

Po 3-ej z Gałęzowskim na examina do Szkoły polskiej. Zastałem tam Mickiewicza. Dzieci dobrze odpowiadały z języka polskiego. Po 5-ej z Mickiewiczem wyszliśmy i po drodze rozmawialiśmy o rzeczach politycznych.

## Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej.

*Fontainebleau, 25. maja 1854 r.*

Kochana, kochana, serdeczna moja, choroba Zosi od dawna nie daje czasu na pisanie. Dużo w domu smutku i co niemiara dolegliwych powszednich trosk, kiedy gospodyni i matka rodziny na łożu boleści. Owoż Zosia moja obłożnie tak chora od 7 blisko tygodni. Musieliśmy ostatnie dzieciątko oddać w cudze kąty na mamki, bo matka nie była w stanie pielęgnować go sama. Nie było jednak w moim domu niepokoju i sarkania.

O tobie, Nisiu, i o modlitwach twoich za mną i za moimi nigdy nie wątpiłem. Biada mi, ażeby po tylu latach spólnych modlitw i cierpień i prób, choć na chwilę zakradł się w serce moje cień zwątpienia o Nisi. Z listami twoimi i bez listów, Nisiu, ja

na zawsze jednakim zostanę dla was, w tem samem uczuciu świętej miłości, w jakiem przeżyłem środek żywota i zestarzałem się, w tem samem uczuciu i umrę. Po prostu, duszko Nisiu, jeślim długo nie pisał do ciebie, to było z pobudki serdecznej, aby oszczędzać twoją czułość zbytnią na cierpienie kochanych. Alboż ja nie wiem, ile ty codzień nabolejesz i napłaczesz się za swoich najbliższych? To na co cię trapić tak już zbolałą i wątłą? Zdaje mi się, że choroba Zosi dzisiaj się przesila. Zaczęła od onegdaj wstawać z łóżka, a nawet wczoraj po raz pierwszy wyszła za próg domu . . . . .

Moi wy, moi, nikt dzisiaj nie wie o swojem jutrze. Zachodzim w jakiś zmierzch, po którym czy jasny dzień, czy noc? Bogu to tylko wiadome. Ludzie od dawna i ciężko grzeszą, a nie chcą ani na chwilę uderzyć w pokutę ku poprawie. Dumni z cywilizacyi i rozumu wyzwolonego, niech patrzą po ruinach starego Rzymu, czem wszystkie te marności świata! Tam koło Forum romanum, dumaćby potrzeba pyszałkom o kolejach rzeczy ludzkich. U nas, co niemiara nadziei, a szczupło wiary i miłości. Z tem wszystkiem Bóg dla świata gotuje swoje nowe cuda i łaski, z których jeśli nie my, to nasze dzieci ucieszą się w pełności świętego uczucia. Dziej się, wolo Boża! Darmo i pisać, ilebym rad przycisnąć was do serca, pomodlić się z wami na pożegnanie, zanim zagra burza i piorunowe chmury przesłonią nas i przegrodzą jedno od drugiego. Nisiu, nie powątpiewaj tylko o uczuciach moich w latach nowych prób. I bez tego jesteśmy już w naszej jesieni, to jak mszyste, głuche dęby stoim obnażeni.

Pióro mi nie chce pisać, a w sercu mojem rzewność. Błogosławię wam obojgu ze łzami, błogosławieństwem w Panu moim, który mi was dał i zachowa na żywot doczesny i wieczny.

Pozdrawiam was i ściskam i całuję z czułością rodzonego waszego

*Bohdan.*

*13. lipca 1854 r.*

(W Paryżu) o 11-ej byłem u Gałęzowskiego. Zastałem Mickiewicza. Na śniadanie przyszli Klaczko, Fontana, Tomaszewski, Błociszewski, Hłuśniewicz i Ordęga. Rozmawialiśmy o różnych przedmiotach, a najwięcej o wojnie z Moskalami. Koło 2-ej ruszy-

liśmy do Battignolles na sesyę Rady szkoły. Sesya była ważna. Biernacki, Godebski, Malinowski.

O 6-ej Gałęzowski zaprosił na obiad do Hotelu de Bade Mickiewicza, Ordęgę i mnie. Gwarzyliśmy wesoło do 8-ej.

## Do Pana Seweryna Goszczyńskiego.

*Fontainebleau, rue de France 120,*
*dnia 6. września 1854.*

Kochany Sewerynie! Niedawno odebraliśmy od mamki chore dziecko, a więc pisku, gwaru i stukotu w szczupłym domku naszym co niemiara. Gdzieżbyś ty, mój drogi, mógł tu nie tylko co robić, ale nawet zasnąć spokojnie? Ja sam, pomimo już nawyknienia i musu ojcowskiego, aby kiedy niekiedy podumać swobodniej, uciekam na pustkę w przyległej kamienicy. Otóż tę pustkę moją urządzimy ci do pracy i na sypialnię. Na kawę i na obiad przyjdziesz do nas. Sądzę, że tak ci będzie najdogodniej.

Zapraszamy cię tedy, Sewerynie, na emigranckie chleb, sól i kwaterę. Przyjedź do Fontainebleau, przyjedź wszakże dopiero za kilka dni, a najlepiej za tydzień. Mamy chore dziecię, to żona nie może się oderwać od kołyski, a stąd ciągły niepokój i nieład w domu. Choroba, da Bóg, się przesili, bo zwyczajnie dziecinna, ale żona moja zostaje wciąż pod wrażeniami cholery, która i do Fontainebleau nareszcie zawitała, lubo nie znacząca.

Do widzenia, mój drogi.

Ściskam po staremu

*J. B. Zaleski.*

Jadąc do nas, bądź łaskaw zainformuj się w Jardin des Plantes, w które to dni tygodnia otwarte są gabinety zoologiczne, a mianowicie wypchanych zwierząt i ptaków. Maryanek teraz na wakacyach, i obiecałem pokazać mu te osobliwości.

## Do Pana Ignacego Domeyki.

*Fontainebleau, rue de France 120,*
*12. listopada 1854 r.*

Mój drogi Żegoto, a więc i ty dziś jesteś *pater familias.* Bóg ci daj co niemiara pociech rodzicielskich! U mnie rok po roku

mnoży się dziatwa i mnożą się dla nich obowiązki. Mam czterech synów i córkę. Przypisuję się w liście Józefowym, śród gwaru i zgiełku tej domowej czerni mojej. Już to mi nie da zbytniem myśleniem psować głowy. Gdzie tam, niepodobna mi nawet zebrać myśli.

Co ci pisać? Dużo i nic. Żyjem w czasie wstrząśnienia europejskiego. Potężni mocarze poszli w załebki. Groźne wypadki, a nie pobłogosławione przez Pana Boga, toż jałowe, nie płodne dla ludzkości. O Polsce ani słychu w gabinetach dyplomatów. Wątpimy, aby bez niej zdołali przytrzeć rogów Moskwie. Smutnoż, mój Ignacy, na tym biednym świecie. Obyż choć dzieci nasze dożyły lepszych to jest zbożniejszych lat! Pan Bóg wciąż upomina: oto cholera, wojna, głód przechadzają się pod ręce pomiędzy narodami starego lądu. Strzeż was Boże ode złego europejskiego, a nam daj upamiętanie i poprawę.

Onegdaj widziałem Adama [1]). Zdrów i czerstwy, zdrowszy i czerstwiejszy, niż był w młodości i w średnich latach, utył i pogrubiał. W domu jednak ma wielkie umartwienie. Żona jego obłożnie i niebezpiecznie chora. Doktorowie Hłuśniewicz i Gałęzowski mówią, że choroba Adamowej tak osobliwa i rzadka, że na milionie kobiet, ledwie się zdarza. Marynia ogromna dziewka, słuszniejsza od matki i grubsza. Władzio ładny chłopiec i uczy się dobrze.

Całuję cię i t. d.

Twój

*J. B. Zaleski.*

## Do Księdza Józefa Hubego.

*Fontainebleau, 25. listopada 1854.*

Szanowny i kochany Ojcze Józefie, nie wiem czy dobrze robię, że w tak ważnym dla Kościoła i chrześciaństwa katolickiego czasie, przerywam kochanemu Ojcu jego myśli i modlitwy pobożne moim prywatnym listem; kilka mam do tego powodów, które mnie przed Tobą usprawiedliwią. A naprzód, od nowego roku do niedawna, Bóg nas doświadczył różnemi próbami; choroby obłożne nie wynosiły się od nas z domu, śmierć stała nie ledwo wciąż u drzwi. Bohdanowa i dzieci chorowały nam kilku nawrotami

[1]) Mickiewicza.

ciężko i długo, zwłaszcza najciężej chorowała Józia, jedyna córka i Kazio, najmłodszy moich Bohdanów. Smutku i kłopotów mieliśmy dowoli. Biedna matka sama o swojej sile w łóżku przez sześć tygodni ruszyć się nie mogła, a nieco później literalnie przez 45 dni nie rozbierała się i nie kładła do łóżka przy chorem dziecku. Od miesiąca wszakże cieszymy się miłosierdziem Bożem. Pan Bóg odjął powoli troski i boleści, matka i dzieci wyzdrowiały i oto znowu uwielbiamy w pokorze rękę Opatrzności, co nas tak łagodnie upominała. Mam mocną wiarę, że te łaski wyjednała nam i sprawiła u Syna swego Przeczysta Marya, do której i my sami niegodni i święte dusze za nami modliły się. Skruszonem i upokorzonem też sercem pragniemy Jej teraz podziękować, dla tego udajemy się do was, kochani Ojcowie, i prosimy Was, abyście w dniach uroczystego uwielbienia Niepokalanej, których ze drzeniem miłującego serca, jak dzieci dla matki wyglądamy, w ofiarach waszych świętych wspomnieć raczyli i o nas grzesznych, i tem wspomnieniem nas i nasze nędzne podziękowania milszemi Jej uczynili.

Co to za wielkie błogosławieństwo być teraz w Rzymie i patrzeć na Namiestnika Chrystusowego, okrywającego nowym rąbkiem Niepokalaności dziewiczej ołtarz Pański na ziemi. Czyjeż serce katolickie nie rozraduje się ufnością w świętem a uwielbionem Niepokalaniu Matki naszej i Matki tego, co nas ma przyjść sądzić. Przy takiem powszechnem weselu świata katolickiego, my tylko jedni oto musimy się smucić, że podobno, nie masz tam w Rzymie ani jednego pasterza z kraju, któryby reprezentował Kościół katolicki, uciśnionego ludu katolickiego. O jakże to jeszcze bardzo grzeszni być musimy, kiedy nas Pan Bóg pod jarzmem odszczepieńców na wodzy tak trzyma.

Od wyjazdu moich Daryuszostwa z Niemiec, straciłem ślad i wiedzę o nich; nie wiem całkiem gdzie są i co się z nimi dzieje. Lękam się, czy które z nich nie chore. Przyłączam tu do łaski twojej, kochany Ojcze, karteczkę do nich; jeżeli są w Rzymie, upraszam oddaj Im, czy sam — czy, gdybyś nie miał czasu, przez X. Hieronima lub X. Piotra. Gdyby nie byli w Rzymie, a mieli przyjechać, zachowaj karteczkę u siebie do Ich przyjazdu; gdyby nadspodziewanie moje wrócili już do kraju, karteczkę spal. Teraz zaś, nie czekając na ich odpowiedź, donieś, błagamy, jeżeli wiesz, jak się oni mają i gdzie są; a takoż o słówko prosimy, czy są Biskupi z Polski?

Świat się widocznie w stosunkach swych politycznych przeobraża, masuje się z różnonarodowych form w jedność, co z tej masy Bóg wyprowadzi, dotąd zakryte przed okiem rozumu ludzkiego, serce tylko wierzące przeczuwa, że chwałę i tryumf Kościoła swego katolickiego. Obyż się i nasza Polska za sprawą Niepokalanej Matki i Królowej naszej przeobraziła na państwo niepokalane i przeczyste w katolicyzmie.

Proszę jeszcze kochanego Ojca o wręczenie drugiej karteczki Romanowi Postępskiemu. Jenerała Szymanowskiego chciej najuprzejmiej i serdecznie od nas pozdrowić; i Onufrego, starego artylerzystę, oraz wszystkich łaskawych znajomych.

U nas tu nie ma nic nowego. Ks. Aleksander musiał sam pisać o swojej misyi na wyspie Aix, gdzie 175 Polaków wierzących i zgłodniałych chleba anielskiego znalazł. Piękny jego list w tym względzie, umieszczony w *Univers*, musieliście czytać. Ledóchowski wrócił, jak mówi, na jakiś czas do Paryża, Gałęzowski został Prezesem Rady szkolnej Batigniolskiej, na miejscu zmarłego Biernackiego; reszta starego i młodego naszego pielgrzymstwa, co się nie wyrwała naprzód do Carogrodu, czeka i wygląda wypadków, z większą zdaje się rezygnacyą i ze spokojniejszym umysłem niż dawniej. Rok, który niezadługo mamy zacząć, będzie może dla nas wygnańców twardszym od innych, bo wszystko się w cenie tutaj podnosi, a stosunki z krajem całkiem ustały. Ale „kogo Bóg stworzył, tego nie umorzył“, mówi stare przysłowie polskie, oparte na ufności w Bogu.

Osobno każdy i każde i wszyscy razem całym domem polecamy się modlitwom twoim, kochany i szanowny Ojcze Józefie, i modlitwom wszystkich Ojców i całego Zgromadzenia w świętym Klaudyuszu i składamy Wam, Szanowni Ojcowie, wszystkim razem i każdemu z osobna, nasze poważanie i miłość w Chrystusie Panu.

Trzymający pióro, stary dziadek prosi jeszcze kochanego Ojca Józefa o osobne błogosławieństwo dla pięciorga dziatek Bohdanowych, które się koło stolika kręcą, i ręce kochanego Ojca z pokorą synowską całuje

*Józef Zaleski* [1]).

[1]) Brat Bohdana.

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza.

*Fontainebleau, 24. grudnia 1854.*

Szanowny i kochany Ojcze Hieronimie, przeszłą razą pisałem do ks. Józefa, prosząc Go, ażeby przyłączony mój bilecik oddał Dyzi, spieszę mu najpokorniej podziękować za dopełniony komis; właśnie w wigilię wigilii odebraliśmy od nich słów kilka, i przestaliśmy się niepokoić tak długiem ich milczeniem. Ale oni swoim zwyczajem nie przysłali nam swego adresu, a nie chcąc na niepewne listu puszczać, zwłaszcza że jak widzę, kilka ich zaginęło, adresuję jeszcze raz do was i upraszam, kochany Ojcze, wręcz przyłączony tu Daryuszowi.

Sami jedni i dosyć smutno odbywamy tu święta, jam nawet do stołu Pańskiego nie mógł dzisiaj przystąpić, bo dla niemocy nie mogłem wyjść z domu. W duszy, zebraliśmy wszystko około siebie, co nam tutaj najmilsze i najdroższe; w tym zbiorze wy, kochani nasi Ojcowie, niepoślednie miejsce trzymacie; niechże Wam Bóg zesłaniem na Was Ducha Świętego błogosławi na świętość na ziemi i w niebie. Co to za obfitym zdrojem łask byliście niedawno ożywieni! Wy, bogacze, którym Bóg dał w samem źródle czerpać skarby, powiejcież na nas, ubóstwo, tym duchem świętego wesela, którego dusze wasze muszą być pełne. Długo, długo, prawie rok cały źle u nas było w domu, toż modlitw waszych wiele nam trzeba, tak na podziękowanie za miłosierdzie Jego nad nami, jak też na zapas do przyszłych łask. Od niejakiego czasu coraz to bardziej niedomagam, zdaje się psuć moje liche ziemskie mieszkanie i przestrzegać duszę, że czas niedługo w podróż. O, gdyby zasługami, albo przynajmniej pokutą droga była znajomsza, któżby się wahał na chwilę trzymać tu tego błota. Łasce i modlitwom Waszym, Ojcowie kochani, polecam siebie i wszystkich moich i pozdrawiam Was w miłości Pana i Zbawiciela naszego,

Wasz

*Józef.*

Wielebny mój i wielbiony i kochany bardzo Ojcze Hieronimie, jak się ty miewasz? i jak się miewacie tam wszyscy Ojcowie?

Przeżyłem ciężki rok, niemal ciągle przy łóżkach chorych, jak w lazarecie. Żona mi srodze cierpiała wiele tygodni, a potem wszystka dziatwa, i dwoje bez nadziei. Bóg pogroził jeno grze-

sznikowi i wnet udobruchał się, snać na wołania niepokalanie poczętej, bo uprzykrzano się Jej za nami przy ołtarzu w Notre Dame des Victoires.

Mój drogi Ojcze, jakże wy szczęśliwi, żeście byli w Rzymie na godach Królowej Anielskiej. Czytamy teraz w *Univers* szczegóły i radujem się i płaczem jak dzieci. Matka bo pospólna, uczczona godnie, że Przenajświętszą ziemia ją zowie. I błogosławić będą narodowie.

A po świątkach wspaniałych, czy nie zawitasz do nas, kochany ks. Hieronimie? Och, czas! Otwiera się żniwo Panu. Między jeńcami moskiewskimi tylu świętych rodaków. Ksiądz Aleksander rozpoczął wielkie dzieło na chwałę Bożą. Ale czy mu sam wydoła? Onegdaj czytaliśmy w *Univers* jego list o bierzmowaniu braci, nad którym popłakaliśmy się świętemi łzami. Przypadkiem nadjechał z Paryża ks. Duński, a kiedyśmy mu pokazali ów list, rozczulił się szczerze i przyznał wielką zasługę ks. Aleksandrowi.

Nie ma co mówić, ks. Aleksander jest dziś na zenicie swej działalności. Czyni, a nawet i pisze wyraźnie pod namaszczeniem z góry. Jaka święta pokora w tych jego listach o żołnierzach, a prostota prawdziwie kapłana, ucznia ewangelistów. Biada temu z Polaków, kto nie płakał nad sprawozdaniem ks. Aleksandra! Bóg tai wielkie zamiary jakieś z nami. Politykowcy nawet zaczynają wypierać się już Bema i Czajkowskiego, t. j. politykowcy krajowi, zatajeni. Niestety, Hotel Lambert wciąż w grzesznej dyplomacyi brnie. Ojcze Hieronimie, azaliż nie wybieżysz choć do Bastii na Korsyce, kędy rodacy nasi zdążają na ofiary do legii cudzoziemskiej. Orzeźwiłbyś się, zmężniałbyś kaznodziejo między prostaczkami takiego hartu, a i Panu przybyłoby z nas chwały. Świątki i Nowy Rok to życzeń wam, Ojcowie, bez liku i z głębi kochającego serca. Tulę się do łona świątobliwego ks. Józefa. Ks. Piotra całuję w ramię z czułością, ks. Wilczyńskiego *ditto* i resztę waszej rzeszy.

Proszę wszystkich was o łaskę dla mego domu, o miłość i o modlitwy dla starszych, i za dziatwę, a zwłaszcza, kiedy niekiedy przy ofierze Mszy św.

Bądź mi zdrów, kochany mój i serdeczny Ojcze Hieronimie, a napisz kiedy.

Wasz

*Bohdan.*

*5. lutego 1855.*

Wieczór u Mickiewicza. Aleksander Chodźko i Panna Zofia Szymanowska. Wróciłem koło 11-ej do Gałęzowskiego.

## Do Księdza Hipolita Terleckiego.

*Fontainebleau, 10. lutego 1855 r.*

Wielebny i kochany Ojcze Hipolicie, umyślnie z dnia na dzień odwlekałem odpowiedź na twój list, ażali się tymczasem coś nie wyjaśni na Bożym świecie, ażali się nie dowiem skąd dobrej nowiny dla ciebie. Darmo, wszystko po staremu. Onegdaj byłem w Paryżu i zabiegłem zaraz do twego klasztorka, ale nie zastałem ks. Bogumiła i Juliana.

Domyślamy się, że podczas zjazdu biskupów w Rzymie, musiałeś nieco posunąć robotę około sprawy, musiałeś dużo zebrać objaśnień o potrzebach i usposobieniach ludności słowiańskich w Austryi i na Turecczyźnie. Napominał mi ongi listownie ks. Bogumił, że trwasz w zamiarze Misyi na Wschód. W tym czasie trudno z daleka wiedzieć i widzieć, co da się zrobić? Zdaje się niepodobnem, aby Rossyanie rychło przekroczyli za Dunaj. Bułgarya tedy, Bośnia i Serby stoją dla was otworem. Z tem wszystkiem war i gwar polityczny będzie długo na przeszkodzie świętym misyom. Wnioskuję tylko z czasowych okoliczności, ale nie przesądzam. Bóg ci natchnie słudze swemu, kiedy czas będzie siejby. Donieś proszę poszczegółowo, co ci się udało i nie udało z Ojcem Świętym i z biskupami? Jakie masz nowe nadzieje i obietnice? jakie widoki? skąd pomoce i ułatwienia i t. p.? Cieszyliśmy się, że B... podpomógł was trochę w Paryżu. Ale to kropla wody dla spragnionych. Bóg widzi, jak modlę się, aby wam Pan pobłogosławił ku chwale swej.

Wiesz, kochany ks. Hipolicie od ks. Bogumiła, jaki tu u mnie był lazaret. Dwoje dzieci przez wiele dni leżało między życiem i śmiercią. Bóg się zmiłował na wołania dusz świątobliwych. Twój Bogumił i Julian z czułością ofiarowali wiele mszy i na moją intencyę. Bóg zapłać im i Instytutowi waszemu. Teraz, dzięki Bogu, zawitały do mego domku po staremu zdrowie i pokój. Ksiądz Edward [1]) i Różycki wynieśli się stąd do Paryża. Onegdaj widzia-

[1]) Karski vel Duński.

łem Jenerała Wysockiego, skoro wysiadł z drogi żelaznej. Wrócił ze Stambułu, powiada, że tam nie dobrze idą rzeczy. Nieład i niesmak powszechny. Ks. Mikulski jest kapelanem przy lazarecie rannych moskiewskich. O Gozzym nigdy nam nie pisuje . . . .

Ściskam i t. d.

*J. Bohdan.*

*6. marca 1855 r.*

Józef wrócił z Paryża z wiadomością, że Adamowa Mickiewiczowa dogorywa.

*7. marca.*

Przed 8-ą wyjechałem do Paryża. Koło 11-ej byłem już u Adama Mickiewicza, który utracił żonę. Znałem Celinę od chwili kiedy wyszła za mąż i we wszystkich przygodach 20 lat z górą. Adam smutny, wszakże w spokoju ducha. Nadeszli Zan i Służalski i ten ostatni zdołał go nieraz rozśmieszyć nawet. Dzień prześliczny.

*8. marca.*

Po śniadaniu z Ordęgą, Januszewiczem i Gałęzowskim do Adama na exportacyę zwłok Celiny. Zastałem wielką ciżbę Polaków. Czartoryski Adam stary długo ze mną rozmawiał i Branicki, Aleksander Fredro, Sienkiewicz i Królikowski i t. d. Msza w kościele St. Paul i pogrzeb na Père Lachaise. Adam się rozpłakał i ja z nim i kilku przyjaciół.

Z Gałęzowskim na drogę żelazną. On pojechał do Mickiewicza z propozycyą Falkenhagena-Zaleskiego, że chce zająć się wychowaniem Józia Mickiewicza.

*14. czerwca 1855.*

Odwiedziny Mickiewicza. Przed domem spotkałem Lenartowicza i Kaplińskiego. Rozmowy polityczne. Leonir Zwierkowski, córki Adama i Panna Zofia Szymanowska. Wróciłem z Lenartowiczem i Kaplińskim na piechotę.

## Do Pani Zofii Zaleskiej w Bourbonne les Bains.

*Fontainebleau, lipca 1855.*

Moja kochana i najukochańsza, o samej 11-ej rano odebrałem twój list z Bourbonne. Rachowałem na to, że Kazio zaśnie zaraz i da mi pół godzinki czasu wolnego do pogadanki z tobą. Gdzie tam. Pomimo, że obudził się przed 5-tą, calutki dzień przed południem i po południu przeszalał z Karolkiem. Nie było sposobu ani go uśpić, ani odstąpić na chwilę. Rad nierad musiałem pisanie odłożyć na wieczór. W tym momencie głucha cisza w domu, prawdziwie cisza pustkowia. Burzliwa trójka zhasana i najedzona śpi snem twardym i smacznym, że aż zazdrość patrzeć na nich.

Dom rozpołowiony, to rozpołowione i serce. Tęsknię za wami, z opróżnionych kącików ciągle wionie jakieś przypomnienie. Szczęściem, że Bóg dał dużo pracy, to nie ma czasu na tęskne marzenia. Doprawdy, duszko Zosiu, z dawien dawna nie zaznałem w duszy mojej takiej ślicznej, przejrzystej pogody. To uczucie, że się żyje po Bożemu, że się dopełnia przeważna powinność, umila wszelki trud. Zdaje mi się, że mógłbym tak przeżyć miesiące i lata z mojemi dziećmi, chociaż takie nie karne i rozhukane jak źrebię ze stepów. Piszę o tem tak szeroko, ażebyś wiedziała, że zasmakowałem w mojem nowem położeniu i tem samem była spokojna o dom i o nas tu wszystkich. Spokoju i wywczasu potrzeba ci na gwałt przy kąpielach. Otoż kąp się i lecz, kiedy Bóg daje sposobność po temu... Gospodarstwo idzie nam wyśmienicie. Józef dużo mi pomaga, on to kucharzuje dzieciom na południenki, Maryanka odprowadza do szkoły i przyprowadza . . . . . .

. . . . . .

Całuję i zacałowuję was

*Bohdan.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej.

*Fontainebleau, 20. lipca 1855.*

Najmilsza, najukochańsza moja, dzień dobry tobie! Piszę o 4-ej i pół. Ptaszki nasze śpią, ale, wedle zwyczaju, tuż, tuż się pobudzą. Wczoraj wieczór, pomimo najlepszej chęci, nie mogłem zdobyć się ani na kilka słów, tak byłem znużony i spiący, Marya-

nek zawczoraj całą noc skwirczał mi na zęby, że obydwa niezmrużyliśmy oczu.

Ucieszył mnie i ochłodził w duszy twój środowy list, wieje zeń coś rzeźwiącego. Takie w nim dobre i pobożne usposobienie, takie strzeliste a świeże uczucie, taka swobodna i pogodna myśl, że doprawdy czuć zdrowienie, to jest wypoczynek duchowy, po latach umęczenia i znojów powszednich. Dajci Boże, jak najdłużej używać tego moralnego wczasu, tak po kąpielach jak i podczas kąpieli. Niepodobna mi na razie nastroić się do usposobienia twego podniosłego, taki gwar i rozterka w myślach moich. Chodzi mi głównie o wyprawienie tego listu co najspieszniej, abyś nie trapiła się niepokojem o nas, oczekując na wiadomości czwartkowe. Dziękiż Bogu! w domu nic nowego. Dziatwa zdrowa . . . . . .

. . . Porządek i ład kwitną u nas, o ile mogą kwitnąć bez gospodyni. W kuchni i w salce jadalnej czysto. Domagam się tego wciąż od służącej. I na dzieciach odzienie schludne. Dwa i trzy razy na dzień przebieram sam Kazia . . . . . .

Mieliśmy list i od Dyzi, po dawnemu treści świętej i podniosłej. Wyprosiła się u męża od wód Emskich. Na parę miesięcy zamieszkają Florencyę, a raczej willę po Eugeniuszu, tuż pod miastem. Józia Orłowska z mężem wyjechała już z kraju i jest zapewnie w Ems. Mamcia [1]) takoż spodziewa się dostać paszport do Włoch. Z tego wszystkiego wydaje się, że Daryuszostwo nie myślą o powrocie. Pisze mi Gałęzowski, że Poniatowscy ponieśli ogromne straty przez powstanie chłopów, które właśnie w ich okolicy wrzało najburzliwiej. Chłopi zabrali wszystkie sukna w Tahańczy z obietnicą wypłaty, która się nigdy nie uiści.

Rzewnie mi było dziś na Mszy św. i komunii. Polecałem opiece Boskiej mego starego Eliasza. Bogu tylko wiadomo, ile ja mu dłużny! On był mi ojcem i dobrodziejem. W pocie czoła dopełniał tych obowiązków, a tymczasem los nas tak rozłączył na 35 lat i może na zawsze. Serce mi się pęka, ile razy o tem kiedy pomyślę . . . .

Bóg z wami, moi.

*Bohdan.*

---

[1]) Pani Iwanowska.

## Do Pana Hipolita X....

*Fontainebleau, 22. lipca 1855.*

Szanowny Panie Hipolicie! Ksiądz Kaczanowski w podróży swej zahaczył o Fontainebleau; mam oto sposobność wskok zadość uczynić twemu żądaniu. Posyłam kilka wierszy nieznaczących, kilka chwastów uszczknionych na ugorach moich emigranckich, powtarzając za Janem Kochanowskim:

„U nas te chwasty krzewią się okwito,
Bujniej daleko niż owies i żyto".

Łączę pozdrowienie przyjazne od siebie i od Józefa.

Życzliwy

*B. Zaleski.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej.

*Fontainebleau, czwartek wieczór, lipca 1855.*

Moja najmilsza, jedynaczko moja, raduję się na myśl, że już za kilka dni będziem znowu razem, dłoń w dłoni, i serce przy sercu. Nie zdołam nigdy wysłowić tęsknoty, jaką zaznałem przez te trzy tygodnie. Chodziłem jakbym chmurę połknął. Zasępiło mi się było bardzo w duszy, wszakże ani słówkiem nie zdradziłem stanu mego, aby cię nieroztkliwiać w samotności twojej i śród leków. Toż przecię, Zosiu, miłość i tęsknota, to jak dwie prządki mojego żywota. Może być, że czułość moja stępiła się już nieco, a raczej że nie umiem jej wynurzyć na jaw, na jaśnię, jak ongi za lat młodszych, za lat poetyckich. Choć rzadsze teraz dni zapału i łzy uczucia rzadziej płyną, z tem wszystkiem daleko mi jeszcze do zlodowaciałej starości. I owszem, kochana, w głębi ducha mego, czuję płomieniące się wciąż ognisko miłości, coraz czystszej, coraz podniośłszej, coraz strzelistszej w niebo ku Panu, który je zapalił, który jest o g n i s k i e m o g n i s k. Zosiu, tyś moja własna, nierozdzielna w czasie i wieczności, to com śpiewał niegdyś o Aniele Stróżu, stosuje się i do Ciebie. W Panu, Panu,

Och! w Miłości tam ognisku,
Jak dwie lilie w jednym wieńcu,
Oblubieniec w oblubieńcu
Zlejemy się tchem w uścisku.

Na tem błogiem uniesieniu urywam, duszko. Doprawdy, nie dowidzam przy świeczce, mgła przed oczyma i stąd nieznośny trud i anty-miłośne roztargnienie. A więc schodzę co rychlej do spraw potocznych . . . . . .

Całuję i t. d.

*J. Bohdan.*

*21. sierpnia 1855.*

Przyjazd Mickiewicza z familią na sześć tygodni. Przyjazd Lenartowicza.

22. sierpnia. — Mickiewicz w nieobytności mojej wynurzył się serdecznie przed Zosią z powodu żony. Spotkałem w lesie Mickiewicza, długa z nim rozmowa. Na obiedzie Lenartowicz.

23., 25., 30. sierpnia. — Mickiewicz na obiedzie.

*4. września 1855.*

Zwyczajem, Panna Zofia Szymanowska z dziećmi i Józiem Mickiewiczem w lesie. Żona przyniosła wiadomość, że Adam wrócił z Paryża i jutro opuszcza Fontainebleau, bo ma puścić się na wschód. Po obiedzie u Mickiewicza. Jedzie do Konstantynopola z Wład. Czartoryskim w misyi naukowej. Nie wiele mogłem zeń wybadać, chociaż długo z sobą mówiliśmy. Zostałem u nich blisko do 10-ej. Panna Szymanowska, dzieci i Pan Lévy. Gawędziliśmy o oryginałach szlacheckich. Pożegnaliśmy się serdecznie.

*5. września.*

Mickiewicz rano odjechał. Żona go już nie zastała, ale widział się z nim Józef.

*11. września.*

Mickiewicz dziś wyjeżdża do Konstantynopola. Dzień słotny.

## Do Pani Zofii Zaleskiej.

*Paryż, 5. grudnia 1855.*

Drodzy moi, najukochańsi, dziś nie wrócę do domu, ani może nawet jutro, chociaż usiłować będę wyrwać się jutro choć ostatnim pociągiem. Wczoraj od południa byłem na zebraniu panów u Raczyńskiego. Posiedzenie bez rezultatu. Potem byłem u Sieńkiewicza i Cieszkowskiego. Dziś zebranie wieczór u Falkenhagena-Zaleskiego. Chodzi rzecz o ustanowienie Komitetu, któryby się zajął zbieraniem składki na dzieci Adama. Otóż od kogo wyjść ma początkowanie. W tej sprawie toczy się spór. Zaraz po herbacie idę do księży, a potem do księcia Adama. O 2-ej posiedzenie w szkole polskiej.

Ściskam i całuję Zosieczkę, dziatki błogosławię

Wasz

*Bohdan.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej.

*Paryż, 6. grudnia 1855 r.*

Moja najukochańsza, tęskno mi do was, że ledwie nie płaczę. Usiłować będę, aby dziś wrócić do domu. Chodzi mi, ażeby coś zrobić dla dzieci Adama. Pełno jest kłopotów, w które jestem zawikłany i muszę uprzątnąć je, zanim powrócę do was. Wracam od księcia Adama i zaraz lecę do Morawskiego. Branicki, Raczyński, Cieszkowski, czekają na mnie. Jestem pośrednikiem między stronnictwami, i przytem w części redaktorem odezwy do rodaków. Mam to wszystko na głowie do załatwienia w skok. Nie trwoż się, gdybym dziś nie wrócił.

Całuję i t. d.

*B. Zaleski.*

*Grudzień 1855 r.*

Śmierć Mickiewicza. Podróż do Paryża z tego powodu. Żal rodaków. Narady. Czynny udział mój w nich. Wspaniałomyślność panów polskich. Cały grudzień uczucie i myśl w rozterce z pobudek nieodżałowanej tej straty. Nie zapisywałem też notatek.

## Do Pana Wojciecha Stattlera.

*Fontainebleau, 3. stycznia 1856.*

Panie Wojciechu, a właściwiej kochany Panie Wojciechu, miłyś bo nam bardzo; dusznie i serdecznie przylgnęliśmy do ciebie od razu i ja i domowi moi. Niestety, zapoznaliśmy się i pokochali na dobie szarej, omglonej, kiedyśmy już uronili tyle z bujnego liścia:

„. . . . . i w późnej jesieni,
„Jak mszyste, głuche dęby stoim obnażeni".

Wierzę jednak, że nowy ten stosunek zawiązał się między nami opatrznie.

Przepraszam, kochany, za opóźnioną odpowiedź na twoją wymowną i gorącą odezwę do mnie. Przy świątkach i Nowym Roku, miałem uczucie i myśl w rozterce: byłem co się zowie w r o z g o n i e ciągłym za gwarną dziatwą moją, to anim się spostrzegł, jak ubiegły mi dzień za dniem.

Spółczuję w głębi duszy nieukojony, sierocy żal twój po Adamie. Mistrz w roli swej mistrza, wpłynął przeważnie i stanowczo na serdecznego człowieka i artystę; on to zaprowadził do ołtarza i natchnął Machabeuszami; on to wzmógł, ożywił i niejako namaścił cię na oboje powołanie ziemskie. Nikt i nigdy nie zastąpi tobie Adama... Chlubno mi, że tulisz się dzisiaj do mego łona. Z tem wszystkiem ofiarować mogę jeno braterstwo, jeno miłość w Panu czystą, rzewną dla ciebie i dla twoich.

Darmo i mówić o tem, ile boli nam w sercach strata wielkiego wieszcza i spólnego przyjaciela. Pusto nam będzie po nim, kochany Panie Wojciechu, pusto, och! po wszystkie dni. I jam się urodził w Arkadyi! Urodziłem się w zaścianku tejże samej okolicy, kędy Adam był szerokowładnym panem. Graniczyliśmy o miedzę, sąsiadowali druh z druhem długie, długie lata, w staropolskim wciąż obyczaju, „że szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie". Publiczne i osobiste klęski wespół my przeboleli i opłakali. Przez wiek cały nie zranił Adam ani razu mego uczucia. Dumny i szorstki niekiedy w pożyciu z ludźmi, dla mnie zawżdy był braterski, słodki. W zapamiętałości ongi Towiańszczyzny, uszanował z czułością mój skrupuł. Mogę się dziś pochlubić, żeśmy sobie wytrwali nawzajem w przyjaźni aż do końca. Jako

wiesz, Panie Wojciechu, z Fontainebleau puścił się Adam w ostatnią swoją podróż. Toż biedzę się teraz jak na mrówisku przypomnieniami, co obłażą mnie takie gryzące w oczach. Otrzej łzy — i dalej, dalej!

Nie mam dziś stosunków z krajem i nie czytam waszych dzienników, ale przeczuwam, jaki tam rozjęk i żałoba w całej Polsce. A więc Stattlerowie, rodzino polska sztukmistrzów, mistrzów sztuki, czujcie się co rychlej do narodowego swego obowiązku! Nuże do pęzla, do dłuta! Aby uczcić godnie pamięć Adama, potrzeba zaiste wysokiego natchnienia! Otoż musicie je wzbudzić w sercach waszych!... Myśl wasza do Pomnika, na którymby Adam szedł zdawać sprawę Panu ze swego posłannictwa, niezaprzeczenie jest arcypodniosła. Zaprawdę, posłannictwo jego było wielkie i osobne. Wieszczy mąż, słowomocarz, zamieszkiwał on samotnie wyżyny duchowe, skąd i Niebo dlań było niżej i Bóg bliżej, skąd wieńconośny, opromieniony, niejako w przemienieniu cudownem, widny był na rozstrzeniach i w Polsce naszej i w Słowiańszczyźnie i po świecie!... Coś Dawidzkiego i Napoleońskiego zarazem przeświecało w obliczu jego, niby niósł na czole gwiazdę proroka i bohatera! Czy spełnił to posłannictwo na rozmiar swego ducha? W czem tkwił dla niego trud trudów? Oprócz tego, czy da się wyrazić, uduchownić w marmurze geniusz wieku wobec Boga-człowieka? Przeczuwam w tem różne niebezpieczeństwa... Mniemam, że to przedmiot raczej dla malarza, niż dla posążnika. Prostszy i łacniejszy do wykonania zdaje mi się pomysł wasz drugi, Pielgrzymki wieszczów do Grobu Matki, usiłujących podważyć wieko trumny i tchnąć w nią żywot swój ku zmartwychwstaniu. Adam niewątpliwie płomiennem, patryotycznem uczuciem sprawił cud: — rozgrzał on Polskę i słowa żywota jej rozgrzmiał w świat. Oczywiście na pomniku Adam będzie na przodku, ale nieopodal powinienby stać i czcigodny Kazimierz Brodziński, a może i Malczewski i Witwicki i t. p. i t. p. Napomykam tu o pomniku jako niewtajemniczony, jako nieuk, a więc tylko nawiasem. Sami to obmyślcie lepiej w artystowstwie swojem, wykochajcie w uczuciu polskiem, bo my poniekąd widzim jeno wzorzec myślny, w oderwaniu od niezbędnego warunku, od wcielenia go, od formy i t. p.

Czegoż wam winszować przy Nowym Roku? Co ten rok nowego Wam przyniesie? Ojcowie rodzin, kochany Panie Wojciechu, obadwaj zapewne mamy jedne i też same życzenia. Och! módlmy Pana o ziszczenia już na pokolenia nadziei naszych i chrześciań-

i na plemiona. Coś Dawidzkiego gorzało mu z oblicza, nosił bo na czole gwiazdę swoją — wieszcza. Wielki rozum, wielkie uczucie, spoiły się u niego i równoważyły z dzielnością charakteru i gotowością do czynu. Ale przedewszystkiem Adam Mickiewicz był to *patryota Polak*, na czynnej, obywatelskiej służbie narodu swego; był to pracownik czujny, pilny, rozmyślający ustawicznie o jego potrzebach. Przez wiek cały pielgrzymował on do grobu *Matki-Ojczyzny*, aby tchnąć w umarłą żywot swój ku zmartwychwstaniu. W tem mocowaniu się gorącej miłości synowskiej, tkwił trud trudów jego i boleść boleści, co ubieliła mu włos przedwcześnie. Azaliż przeto Mickiewicz nie rozgrzał Polski i słowa jej, słowa ku zmartwychwstaniu nie rozgrzmiał w świat?.. Dola Dantowa i niepokój Dantowy utrapiały go w domu i za domem; miotały nim w dzień i w nocy: ztąd jątrzył się w sobie, unosił zapamiętale, wiele grzeszył, ale i wiele miłował. Obok dumnego uczucia siły, co piętnowało się w skroni jego, w oczach i na ustach świeciły wciąż dobroć i przebaczenie uraz. Mickiewicz zawżdy był wielkomyślny i prostoduszny.

Rodacy! takiego *Genialnego Męża*, takiego *Polaka* zwłoki grzebiemy dziś w cudzej ziemi. Strata to nieodżałowana dla całego kraju! A jakaż to dopiero strata dla nas, tułackiej braci Mickiewicza, dla nas, starzejących się w płonnem oczekiwaniu i w bujnych z dnia na dzień zawodach! U kogoż dziś zaczerpniem męskiej rady i śpiewnej otuchy na dni tęskne, co niepochybnie nadejdą? Duch wieszcza naszego zdaje zapewne sprawę Panu z posłannictwa swego na ziemi, wobec świętych Patronów Polski, spółczujących naszą nędzę i niedolę. Chrystus Pan, Bóg-Człowiek, Mąż Boleści, Mąż Krzyża, widzi nas, Rodacy! Odkupiciel i Sędzia ludzi i ludów, na szali sprawiedliwości swojej waży sprawy świata i Polski. Miłujący i miłosierny, on wie, dlaczego na razie twardym i śród najzawilszych okoliczności, tracim najpodnioślejszy geniusz w narodzie? Azaliż tem skinieniem wszechmocy swojej nie ostrzega nas Bóg? Nie domaga się od nas czegoś? Może pokory, głębszej pokory? Może świętszej cierpliwości, która takoż jest spotęgowaną pokorą, cnotą chrześciańską, rodzicielką cudów dla ludzi i ludów! Mickiewicz mawiał często: „Modlitwa pastuszka mocna jest zbawić naród!“ W opuszczeniu naszem weźmy do serc tę pamiętną radę, weźmy ją do serc, jako puściznę po zgasłym wielkim wieszczu! Krzewmy pomiędzy sobą pokorę i cierpliwość! Krzepmy się na duchu modlitwą i wytrwajmy, o! wytrwajmy w Bogu do końca w obowiązkach i uczuciach polskich! Jać nie mam żadnej

powagi, ani poselstwa do Was, Rodacy! to śmiem jeno wołać za wieszczym, świątobliwym Brodzińskim moim: „Wszelka żywa duszo polska pragnij i czuwaj, bo nie wiesz miejsca, ani czasu, w którym powołaną być możesz! Czuwaj każdy, czyś prostak, czy mędrzec, czyś mąż wielkiego serca, czy słaba niewiasta! Słuchaj, gdzie trawa rośnie, czuwaj na każdy powiew wiatru i rozpatruj drogi Zbawienia: a przedewszystkiem bądź duszą płonącą ku Bogu, który zsyła łaskę i drogi prawdziwe wskazuje!“

Rodacy, nie przytaczam tych zdań mądrości naszej narodowej na obrok duchowny. ale na świadectwo prawdzie i na uwielbienie pamięci wieszczów Polski. Bóg, i po Bogu Polska, tać była rdzeń myśli i ta treść rozmów Adama Mickiewicza od pierwszych lat przyjaźni między nami, to jest od pierwszych lat emigracyi.

Rodacy! pierwsze lata emigracyi jakże mi błogo i uroczo odźwierciedlają w duszy to nasze Montmorency! Śliczne, ciche, powonne, miało wtedy żywych gosci polskich. Zamieszkiwali je poważni starce, przyjaciele i towarzysze Kościuszki, Kniaziewicz i Niemcewicz. Obok nich tulił się skromny i pobożny Stefan Witwicki. Adam lubił Montmorency na równi z lasami Fontainebleau, które mu tak żywo przypominały jego Litwę. Tu, w Montmorency, dośpiewywał on pieśń młodości, taki natchniony i swobodny. Dośpiewywaliśmy, hej! pieśń młodości, dłoń w dłoni, głos w głosie, na nutę zapomnianych dum poojczystych. I gdzież te dni rozśpiewów!

Niby czasy te hetmańskie, dni szczęścia i chwały,
Obwinęły się w klonowy liść i gdzieś powiały.

A dziś Montmorency, jakże całkiem odmieniło oblicze swe! Jak dziwnie sposępniało! Stało się bo uroczyskiem żałoby narodowej polskiej, *locus requietionis* dla wysłużonych mężów; stało się niby Ukrainą tułacką, sławnemi mogiłami najeżoną. Tu znowu przodkują nam czcigodni, sędziwi patryoci: Niemcewicz i Kniaziewicz, nieopodal od nich sługa Boży od Bohu, gorący misyonarz Indyj, O. Floryan Topolski. Tam dalej przykładna Polka, księżna Wirtemberska i tylu, tylu na około przezacnych i miłych nam rodaków. I owoż przybywa do nich gość nowy, gość dostojny, aż od Carogrodu. Och! nie, Rodacy, Montmorency, to jeno napodróżna gospoda w gościnnej Francyi, gospoda dla nieboszczyków polskich, wyczekujących powrotu. Nazajutrz po wskrzeszeniu Ojczyzny, sławne nieboszczyki podniosą się na pochód ku północy. Adamie

Mickiewiczu, ślubujemy tobie i twoim tu, okazalszy jeszcze chorowód w Polsce tam niepodległej.

Adamie Mickiewiczu, ogromniejesz nam do oczu w obrzasku nieśmiertelności twej, z królewską, złotowłosą harfą na ramieniu! że miły twój, nie śmiem już poufalić się po dawnemu. Olśniony łzą, drżący od wzruszenia, azaliż zdołam wyjąkać ostatnie tobie pożegnania!

Adamie nasz, żegnam cię w imieniu Litwy twojej! Żegnam w imieniu Polski całej od morza do morza! Tyś jej dumą, chwałą po wszystkie czasy! Tyś chlubą jej przed narodami!

Adamie nasz, żegnam cię w imieniu tułackiej rodziny, tak gromadnie i nabożnie otaczającej twój grób, rodziny tułackiej, co uwielbienia i miłości dla ciebie dowodzi w czynach, w rozrzewniających czynach!

Adamie nasz, żegnam cię w imieniu Rady familijnej, która przygarnęła oto dziatki twe! Żegnam w imieniu tych sierót, którym czułość przyjaciół twoich i choćby najświetniejszy los nie zastąpi nigdy oka takiego ojca, serca takiego ojca!

Adamie mój, żegnam cię od najmilszych, najbliższych twoich, nad Niemnem, Wilią, i po szerokim świecie! Żegnam od najmilszych, najbliższych moich, starszych i maluczkich! Żegnam na końcu od siebie! Żegnam rzewnie, strzeliście rozmodlony, rozpłakany w duchu, ku Ojcu na niebiesiech! Żegnam oh! jeszcze słowiczą pieśnią serca mego, sierocym, przeciągłym, ukraińskim rozjękiem, z piersi rozkołysanej żalem wielkim! Do widzenia się, wieszczy druhu mój!

Po znojach, bojach, bolach tego ziemskiego żywota, połączonym znowu w grobie spólnym, pokój wam w Panu, Adamie i Celino! Pokój, pokój, pokój wam obojgu, na nieskończonościach tam czasów i rozstrzeni!

Obyczajem ustalonym na tułactwie naszem, rzucam do grobu garstkę ziemi polskiej, ziemi z wybrzeża kędyś Dnieprowego.

(W odpisie, z którego tę mowę czerpiemy, jest następujący dopisek:)

Po odmówieniu nad grobem „Anioł Pański“ przez księży polskich, dodałem jeszcze:

Panno święta, co jasnej bronisz Częstochowy,
I w Ostrej świecisz Bramie, Ty co gród zamkowy
Nowogrodzki, ochraniasz z wiernym jego ludem,
*Odprowadź do Ojczyzny Wieszcza twoim cudem!*

(Ciąg dalszy nastąpi).

# NAJNOWSZE PRĄDY
# W POEZYI NASZEJ

PRZEZ

**PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.**

(Ciąg dalszy).

## II.

### Poeci szukający nowych ideałów narodowych.

Nie jest bynajmniej zamiarem moim wyczerpywać cały zasób tak obfitej w ostatnich latach wytwórczości poetyckiej; nie idzie mi bowiem o osoby, o jednostki, ale o prądy i kierunki; tych więc tylko pieśniarzy uwzględnić muszę, którzy je reprezentują najlepiej, najwybitniej. Pomijam więc całkowicie poetów, choćby nawet bardzo utalentowanych, grających „na starych skrzypcach“, nie wnoszących zatem do produkcyi żadnego zasadniczo świeżego pierwiastku, prócz pięknej formy, gdy co do treści są oni tylko epigonami różnych dawniejszych natchnień. Pominąć też mi przyjdzie takie jednostki, które wprawdzie piszą w nowym duchu, lecz są już tylko zdrobniałym przejawem pewnego nastroju, mającego innych, dzielniejszych i potężniejszych przedstawicieli.

Tak ograniczywszy dziedzinę, którą mam rozpatrzyć, dostrzegam w niej, z pominięciem oczywiście słabszych odcieni, trzy wybitne grupy.

Jedna, chronologicznie najwcześniej występująca, przeszedłszy fazę przygnębienia i apatyi, na miejsce wielbionych albo przynajmniej powszechnie wyznawanych haseł, które wskutek przeróżnych

okoliczności straciły lub tracić się zdają życiodawcze znaczenie, stara się wytworzyć nowe; druga, zniechęcona do rzeczywistości namacalnej, pod zmysły podpadającej, do życia zabiegami powszednimi zapełnionego, a nawet do tych dźwigni społecznych i politycznych, które niegdyś przyspieszały tętna i stawały się przedmiotem pieśni natchnionych, popada w krańcowy beznadziejny pessymizm, nie widzący przed sobą nic godnego pożądania, wzdychający po buddyjsku do Nirwany, do snu bez marzeń; trzecia wreszcie, w przeważnej części temi samemi co druga kierując się pobudkami, ale nie tracąc chęci do życia, wybiera sobie krainę zaciszną, swobodnie wytworzyć się dającą w wyobraźni, a zapełnioną najcudniejszymi posągami czy wizyami natchnień wieków wszystkich, krainę sztuki z całym przepychem jej barw i z całym zasobem upojeń i ukojeń, jakie ona czcicielom swoim dać może.

Obecnie zajmiemy się poetami pierwszej grupy.

Ideały, przyświecające naszemu romantyzmowi, znane są powszechnie: miłość ojczyzny, poświęcenie podejmowane dla przywrócenia niepodległości, walka za wolność, wiara w odwieczną sprawiedliwość, uczucia wielkie, niebosiężne, a przynajmniej szlachetne, od samolubstwa dalekie, wypełniały twórczość pierwszorzędnych wieszczów.

Ideały te srodze były zdeptane przez rzeczywistość, mianowicie w najbliższej nas dobie, przez nieudanie się ruchu r. 1863, a jeszcze bardziej przez jego następstwa: dążność zniszczenia narodowości polskiej przez wrogów, oraz jednostronne zrozumienie hasła „pracy organicznej“, które zbyt często zamieniało się na hasło bogacenia się jednostek z zapomnieniem o sprawie narodowej, z obniżeniem skali uczuć i z pewnem uznaniem dla giętkości charakteru, nie liczącego się z zasadami, jako rzeczą niepraktyczną.

Takie usposobienie wśród tłumów nie mogło oczywiście sprzyjać rozwojowi wielkich natchnień poetyckich, gdyż je unicestwiało w samym zarodku. Do kogo przemawiać tonem wysokim, kiedy oczy wszystkich wlepione w ziemię lub zwrócone ku maszynom, co mają wytwarzać bogactwo? Jak przemawiać głosem wiary głębokiej, jak budzić nadzieję, kiedy wszystko, co tchnęło idealizmem, budzić zaczęło tylko uśmiech ironiczny?

Nic dziwnego, że przez czas długi lutnie brzmiały tonami smutnymi, pełnymi goryczy. Między innymi i Marya Konopnicka długo chodziła w mroku i niepewności; ale też ona pierwsza uderzyła w struny dźwięczne, lejące otuchę w serca.

Zawsze ona dążyła ku światłu, zawsze „tęsknymi loty wzbijała ducha w blask złoty, i w burze nawet, w błyskawicznych ogniach cała“, wciąż z pieśnią goniła za światłem. Od początku swego zawodu poetyckiego, zarówno w swoich wątpieniach, jak przekleństwach, zarówno w przeczeniach jak twierdzeniach, pragnęła dla siebie i dla innych jak najwięcej oświaty, i nie sarkała bynajmniej na nicość czy bezowocność wysiłków ludzkich, zmierzających ku zdobyciu prawdy. Chwilowo mogła się pytać, czy tym wysiłkom, nieraz krwawym, odpowiadają pożądane wyniki, ale samego dążenia ku rozszerzeniu wiedzy nie potępiała nigdy.

W trzeciej seryi „Poezyj“ swoich (r. 1887) doszła do pewnej równowagi wewnętrznej, znalazła odpowiednie myśli i słowa dla uwydatnienia ideałów społecznych, mogących liczyć na serdeczne uznanie w duszy czytelników.

Z romantyzmu naszego przejęła pojęcie o wysokiem powołaniu wieszcza. Nie możemy jej wziąć za złe, że ducha swego zowie „ptakiem Bożym“, którego sam Pan karmi chlebem i manną „ros przeczystych“, boć ze stanowiska chrześciańskiego wszyscy jesteśmy synami Bożymi. Trochę przesady zapewne jest w tem, że Bóg z owej wielkiej pieśni, którą Mu wieczność u stóp śpiewa, wyjął głos jeden i dał go poetce, ażeby go słała „nad smętnych ziem kraje w przyszłą słoneczność“. Za dużą bierze na siebie odpowiedzialność, jeżeli chce podać ten głos za cząstkę pieśni boskiej, ogarniającej przeszłość i przyszłość; ale się zaraz spostrzega i zadanie swe do skromniejszej sprowadza skali. Nieść pociechę tam, gdzie płacze dola; budzić czujność ludzi, którzy „sennym łodziom“ losy swe powierzyli, a czasu pogody skowronkową pieśnią pracę oraczów słodzić — to posłannictwo tego głosu.

Poetka wie, iż nie zawsze sprostać mu może, bo i niemoc własna i cierpienia z zewnątrz napływające sprawiają, iż duch jej nie jest tak silny i tak czujny, jakby tego posłannictwo wieszcze wymagało. I przejmujemy się dla poetki spółczuciem, bo wiemy, że wiele prawdy smutnej mieści się w jej twierdzeniach, iż pogody na ziemi nie zaznaje, iż na różach nie odpoczywa, lecz wśród zawieruchy, nieraz w goryczy i bolu, trawić musi dni swoje. Może natomiast znowu jest trochę lirycznej przesady w tym wierszu, gdzie Konopnicka skarży się, że gałązkę, na której duch jej spocznie chwilowo, Bóg zaraz łamie i że musi przebywać w nieustannym ruchu i niepokoju, aż Pan sam wyciągnie swe ręce i wygładzi „krwawe pióra“ w skrzydłach jej natchnienia.

Atoli wśród mnóstwa hiperbol, jakie u innych poetów spotykamy, ta należy chyba do najniewinniejszych.

Bądź co bądź, Konopnicka rzeczywiście zaczęła nieść pociechę tam, gdzie płacze dola, i budzić czujność wśród zwątpiałego i apatycznego tłumu. Widziała ona jasno grozę naszego położenia wśród wrogów, rachujących na wynarodowienie, widziała braki wewnętrzne, widziała przeszkody straszne w sprawie urzeczywistnienia choćby najskromniejszego ideału; lecz równocześnie dostrzegała też możność wydobycia się z nieszczęść, pokonania zapór, odrodzenia duchowego.

Cierpiała poetka nad biernością ducha słabego, co chowa „swój ból oswojony, jako gadzinę gdy wyrwą jej jady“, co się daje zwyciężyć bez walki, gotów „zrzec się dziedzictwa światłości“, byle go tylko nic nie budziło z „gnuśnego spokoju“. Przerażało ją postępowanie tych, co nie mając odwagi hańby nazwać hańbą, a nędzy nędzą, łudzą się pozorami zwodniczego dobrobytu.

A więcej jeszcze smutku i goryczy wywoływały w sercu poetki dowody płytkości ducha, bezsilność woli i dłoni, brak głębokich uczuć i rozległych myśli. W rozżaleniu gorzkiem nazwała nas „trupami“, pogrążonymi w mogile „własnej niemocy“; niewolnikami nie tylko naszych władców, ale też i ciasnoty naszych myśli i naszych uczuć.

My tyle właśnie mamy zapału,
Ile go mieści czara z kryształu;
Tyle uniesień, co pian w tej czarze,
I tyle ognia, co w tym puharze!
Płomień z h e l o t ó w piersi nie bucha...
Brzęk szkła tak bawi, jak brzęk łańcucha...

Ludy się kędyś prą falą mętną,
Szumem ich wzbiera dziejowe tętno.
Nad żaglem trzeszczą maszty przegniłe;
T o t y l k o ż y j e, c o ż y ć m a s i ł ę...
A nam tymczasem młynek na strudze
Obraca plewy swoje i cudze...
G ó r ą m i e l i z n y! Na głębiach — giną...

Te wszystkie sarkazmy i gromy były atoli wyrazem miłości, a nie pychy; gdyż poetka wierzy i ufa tym sercom, co jej słowa słuchają, i pragnie obudzić w nich na nowo drżenia wielkie i święte, zapał i cześć dla ideału narodowego. Ona sama czuje się „ziarnem przeklętem krwawego siewu i cmentarnej roli“; ona

sama przechodziła wszystkie stopnie apatyi, rozczarowania, przygnębienia, rozpaczy; więc się nauczyła cierpliwości i wyrozumiałości.

Ale że przytem czuje się rodem z wielkiego cmentarza i krwawej roli, więc zgadza się pić gorycz, a l e z m o r z a, pozostawiając strumyki smutków i cierpień powszednich innym, mniej dzielnym duchom; więc kołace do serc bratnich, by w nich wywołać ten sam wielki, bohaterski nastrój, bo „nie łez nam potrzeba, lecz siły".

W pieśni „*Contra spem spero*" (Mam nadzieję wbrew nadziei), wyraziła pięknie swą ufność w „niezgasłe gwiazdy", w żywotność swego narodu, pomimo pozorów rozkładu:

Wiem, odleciały te ptaki daleko,
Co nam na skrzydłach niosły chwały zorze,
I z rzek już naszych te wody nie cieką,
Które szły w morze...
I syn się karmi kłosami gorzkiemi
Z ojców swych ziemi...
Sam Bóg zagasił nad nami pochodnię
I na mogiły strząsnął jej popioły;
Idziem — jak idą bezdomne przechodnie
Z zwiędłemi czoły...
A stopy naszej zasypuje ślady
Wicher zagłady...
Wiem! niech mi smętne echo nie powtarza
Tego, co wstydem pali i co boli...
Przecież o zmierzchy skrzydłami bijąca
I piekieł naszych ogarniona sferą —
Oczyma szukam dnia blasków i słońca,
*Contra spem spero...*
I w głębi mogił czuję życia dreszcze
I ufam jeszcze...
Przeciw nadziei i przeciw pewności
Wystygłych duchów i śmierci wróżbitów
Wierzę w wskrzeszenie popiołów i kości,
W jutrznię błękitów...
I w gwiazdę ludów wierzę wśród zawiei —
Przeciw nadziei!...

W piosnce „Na nowy rok", stwierdzając, że w duszy ludzkiej tkwi niepokonana siła, pędząca ku dniom jutrzejszym, wzywa naród do jedności bratniej, bo:

Jak się człowiek po gromadzie
Spojrzy w ciężki czas,

To na sercu rękę kładzie:
Jeszcze kupa nas!

A więc zejdźmy do ludu: w nim najszersza i najtrwalsza podwalina gmachu przyszłości. Zdobyta przez nas „słoneczność ducha“ nakaże nam brać czynny udział w pracach tego wielkiego ogółu, jak to poetka ładnie wyraziła w wierszu: „Obielił nam“, pomieszczonym w czwartej seryi (1896). Oto wstał dzień nowy, słońce zeszło i dozwala nam lepiej się przypatrzyć, co robić koło chaty, która stoi jeszcze od pradziada; a więc: „grodzić płoty, okopywać rowy, lepić ściany, gdzie się która pada, bić wyloty na słoneczną stronę, umieść czysto progi, wyrwać chwasty, walić w młoty o kowadło życia, trząść wymłoty, co plewa, co ziarno, mieć na chleby z własnej gleby mąkę choćby czarną“; wreszcie „na kłopoty mieć pociechę w sobie“, że się dokonało tego, co obowiązek nakazywał; niech już los robi, co zechce. Nauki te tak proste, choć tak ważne, bo dotyczące oświaty i dobrobytu mas, a tak jasne, tak elementarne, że tłómaczyć ich dokładniej nie ma chyba potrzeby.

Poetka nasza coraz częściej posługuje się pojęciami i wyrażeniami ludowemi, starając się szczerotą wysłowienia trafić do najwewnętrzniejszej głębi serca naszego. Już dawniej, w jej obrazkach wiejskich można było zaznaczyć niejakie pod względem tonu zbliżenie do Lenartowicza; miała następnie sposobność poznania go osobiście w ostatnich chwilach jego życia; przejęła się dla niego uwielbieniem i jeszcze silniej niż poprzednio w lirę jego uderzać zaczęła. Czasami widać, że to prostota wyszukana, że wyrażenia pewne przejmuje poetka mechanicznie raczej niż z wewnętrznej, koniecznej potrzeby; ale ogólnie biorąc, jest w jej sielskiej nucie dużo prawdziwego piękna.

Cały dział, zatytułowany: „Z pola i z lasu“, mieści w sobie pieśni i obrazki prześliczne, tchnące świeżością i swojskością. Analizować ich prawie niepodobna, gdyż forma tak ważną część ich stanowi, że bez niej nie mogłoby już być mowy o dziele sztuki, a pozostawałoby tylko uwielbienie dla uczuć tam wyrażonych.

Jak tu n. p. wypowiedzieć cały wdzięk smutnej piosenki: „Na śniegu“, gdy się ją pozbawi tej uroczej formy, w jaką myśl została przyodziana. Zamiast silić się na uwydatnienie treści tego wiersza, wolę go przytoczyć w całości, zwłaszcza że jest tak krótki:

Gdybym srebrne piórko miała,
Tobym w szronie je maczała,
W rannym szronie na tej łące,
Gdzie brylanty leżą drżące,
Leżą drżące, rozsypane,
Bladem słonkiem malowane
Na naszej łące!

Gdybym srebrne piórko miała,
Na kryształe bym pisała,
Na kryształe, na tej wodzie,
Co stanęła w jasnym lodzie,
Ani idzie, ani płynie,
Tylko dumna w swej głębinie
Na naszej wodzie!

Do zimowej bo piosenki
Ni mi kwiecia, ni jutrzenki,
Ni błękitów tego nieba,
Tylko śnieżnych pól mi trzeba,
Tylko zmarzłych pereł szronu,
Tylko bicia śmierci dzwonu,
Tylko łez trzeba!

Nieprawdaż? jak tu czuć naszą zimę ze wszystkimi smutkami i klęskami, jakie ona sprowadza na ludność ubogą? Jak tu delikatnie i jak głęboko wyrażone jest spółczucie dla tej nędzy?

A po tym utworze proszę przeczytać dłuższy obrazek p. t.: „W piwnicznej izbie". Ojciec „młotem wykuwa chleb czarny", matka blada igłą zarabia w wilgotnej stancyi, której mętne okienko wychodzi na brudne mury. Dziecko anemiczne to westchnie, to zagada do matki (pochodzącej widocznie ze wsi), wypytując o wszystkie szczegóły życia wiejskiego. Mamy tu w słowach prostych jaskrawe przeciwstawienie szerokich widnokręgów, obłocznego nieba, świeżego powietrza, jasnego słońca, pól i łąk, kwiatów i zbóż, lasów i ptaków, wody źródlanej, zwierząt domowych, dających ludziom pożywienie i urozmaicających swymi głosami gwar w zagrodzie sielskiej — temu zacieśnieniu fizycznemu i moralnemu, w jakiem przebywać musi proletaryat miejski. Dziecko słabowite rwie się całą duszą ku tej zaczarowanej krainie, jaką mu się w opowiadaniu matki przedstawia najzwyklejsza wioska; a matka ze łzami w oczach rozmyśla nad tem, że jej dziecina wyzdrowiałaby, gdyby mogła odetchnąć innem powietrzem niż to, jakie ma w izbie piwnicznej. — Zapewne, pod względem charakterystyki

mowy dziecka, nie mamy tu odtworzenia rzeczywistych słów jego; Konopnicka uczyniła ją poetycznie sielską, zapominając, że dziecko wychowało się już w mieście i nigdy wsi nie widziało. Usterk ten jednak nie razi zbytecznie, gdyż czar krajobrazu wiejskiego i życia na wsi w słonecznem oświetleniu pochłania uwagę czytelnika całkowicie.

W związku ze wsią zostaje poemacik „Z tamtego świata“, napisany z powodu tryptyku Prószyńskiego, a pod niejakim wpływem „Hanusi“ Hauptmanna. Wiejska dziewczyna, niedawno pochowana w grobie, widząc, jaki żal matkę jej ogarnia, wstaje nocną porą z mogiły, idzie w dzień zaduszny do chaty, gdzie matka płacze u kądzieli, przypominając sobie zmarłą. Prześlicznie, rozrzewniająco aż do łez opisane jest ukazanie się matce widma kochającej ją córki. Pociechy tej doznaje we śnie, widzi ukochaną i słyszy jej głos srebrzysty a smutny, śpiewający piosenkę ludową.

Bardzo ładnie, z wielkiem odczuciem psychologicznem i artystycznem rozwija ten obrazek poetka, główną w nim rolę oddając matce, która ma widzenie, a więc też sama budząc się mówi najwięcej o tem, co widziała; gdy córka, jako widmo, odzywa się tylko głosem echowym, jakby na potwierdzenie jeno marzeń biednej rodzicielki; rozmowę też matka we śnie prowadzi z córką, rozmowę krótką, z urywanych słów się składającą, a zakończoną tem znamiennem wyznaniem, że dziewczynie śni się w grobie jej chata. I przyniósłszy chwilową przynajmniej pociechę, dzieweczka wraca do grobu.

Pragnienia i marzenia serc kochających, któreby rade widzieć i słyszeć swoich ukochanych, złożonych w grobie, chyba nigdy jeszcze w poezyi nie znalazły tak powabnego i tak wzruszającego obrazu, jak jest środkowa część poematu „Z tamtego świata“. Oto niektóre przynajmniej ustępy:

*(Matka śni).* Daleko, daleko
Za trzecią górą, za siódmą gdzieś rzeką,
Dziewczyna moja w mogiłce swej leży.
A na mogiłce miesiączek się śnieży
Niby szron ranny... A krzyże, taj krzyże!
Co ich odejdę, to znów się przybliżę...
Jeno czernieją w tej sinej jasności,
Co ją ta nocka na ziemię przesiewa
Przez srebrne sito...

A Anioł ten Pański,
Co go to na wsi pod zorzę już dzwonią,
I w polach mówią klęczący na rosie,
Z kosą, z grabiami, zwyczajnie jak prości,
Otwiera groby... A słowo stało się!
Och, oczy moje, oczy!... Groby ronią
Jakby gwiazdeczki modre!... Świętojański
Robaczek pełza świetliście na piasku...
Jeden... dwa... dziesięć... Co blasku, co blasku!
Niby motyle, a niby dziewanny
Trzęsące liściem polnym... Chryste Panie!
Jakie to światło i brzęk nieustanny.
Jasność aż ślepi... A niech mi się stanie!
Toć to duszyczki one! To dzieciątka
Do matek lecą, a lecą, a płyną,
Każda bieluśka taka, jak ta łatka.
Jezu! Marychna! A mojaż dziewczyna
Złocista!... Tutaj, tutaj... tu do chaty.
Jezu! jak leci, Ogieniek skrzydlaty,
Ptaszyna moja złota!... Drzwi otworzę...
O słonko moje!
*(Dziewczyna).* O matko! mateńko!
Do nóg ja twoich...

Smutku nie brak i w najnowszych poezyach Konopnickiej, ale nie jest to smutek beznadziejny, bo go koi jakaś myśl rozleglejsza, jakieś uczucie szlachetniejsze, nie samolubne. Piękny jego wyraz mamy w wierszu: „Na mroźnem niebie". W nocy cichej, długiej, siedzi poetka u okna osrebrzonego szronem, wpatruje się w złote gwiazd szlaki i duma nad rozbitem, złamanem istnieniem tych serc i umysłów, które tak samo jak ona po przez stulecia w te same wpatrywały się widoki. Ród ludzki miał tyle pięknych rojeń, co gwiazd na niebie i tyleż razy płakał na grobie swoich złudzeń. A przecież jakaś moc czarowna porywa spojrzenia nasze tam, gdzie nad morzem łez nic zgoła się nie zmienia. Poetka odczuwa „mroźnej nocy dech", co gasi w niej iskry życia i „drżący płomień ducha", a przecież tak samo jak ród ludzki nie pragnie unicestwienia; tęskno jej, smutno i boleśnie, lecz wytrwa; niewymówione przez nią słowa poszepnie jakiś głos tajemny a smętny — źródło natchnień nieśmiertelnych...

Poczucie niezniszczalności narodowej, zachęta do wytężania wszystkich sił, by zwalczyć wrogie rozwojowi potęgi, podnoszenie idei ludowej jako najcelniejszego środka do wywalczenia sobie lepszej przyszłości: oto są przewodnie zasady twórczości Konopnickiej w ostatnich kilkunastu latach.

Z innej nieco strony oświetliła położenie dzisiejsze narodu druga poetka, kryjąca się pod pseudonimem Adama Mańkowskiego, wytworna tłomaczka Luzyad Kamoensa, Jocelyn'a Lamartinowego i innych.

Pragnęła ona przedewszystkiem uwydatnić rozkładowe działanie czynników, nie dozwalających utalentowanym a namiętnym jednostkom zużytkować sił swoich na cele dobra ogólnego, wskutek czego siły te albo się marnują w błocie powszedniości, albo przybierają kierunek niezgodny z poczuciem narodowem, albo też unicestwiają się samobójczo.

W poemacie „Jeden z wielu“ mamy typowy niemal okaz tych bujnych natur, co w zaraniu swojej młodości przed powstaniem r. 1863 to kołatały do chat kmiecych, by je oświecić, to z zapałem oddawały się badaniom naukowym, to biegły wydobywać skarby z ziemi — nie dla siebie, a wszystkie w bój poszły: a gdy ten ich zawiódł, jeszcze nie zwątpiły, lecz stojąc na krwawej mogile, wysnuły znowuż sen „olbrzymiej pracy organicznej“, co gmach nowy wznieść miała od podstawy. Z początku dobrze było z tym snem nowym. Praca i wiara w sił swych dzielność, nadawały urojeniu rozmiary i potęgę rzeczywistości, wkrótce atoli „bezowocność trudów“, przy naszym łatwo zapalnym, lecz łatwo omdlewającym temperamencie, jęła trwożyć duszę, zasiewając w niej ziarna zwątpienia; często nie było na czem pracować; przeszkody się piętrzyły; słabsi upadali na duchu, i zapominając o dawniejszych ideałach swoich, zaczęli wołać: użycie, użycie tylko pozostaje — rozkoszy! choćby kosztem istnienia!“

Dla takich bujnych, bogato obdarowanych natur, mogących być szermierzami „jakiejś sprawy wielkiej, ale nieszczęśliwej, przez ludzi i przez bóstwa podle opuszczonej“, poetka nie lęka się szałów namiętnych, bo „rozkosz jest także siłą“, ani burz i wulkanicznych wybuchów, ani walk i przewrotów. Bo, jak powiada w innym poemacie p. t. „Fragment“ —

. . . mimo, iż wybuch srogie klęski niesie
Rodowi Pigmejczyków, który swoje domki
Wylepia na spętanej olbrzymki skorupie
I rozgnieżdża się na niej, ufny w gruntu stałość;
Prędko mrowisko ludzkie nieszczęść zapomina,
Gdy na zwietrzałej lawy ciepłej glebie, może
Zaszczepiać swe oliwki i winne macice
I niebios się głębokim upajać lazurem.

Sto wsi, tłum trupów lawy pochłonęła fala,
I znów setki, tysiące płodzą się i kwitną
I u stóp się wulkanu jak jaskółki sklepią,
A zaś ogień-niszczyciel znów życia jest źródłem.

Straszną dla takich natur jest tylko mielizna pojęć i uczuć, cisza gnuśna, apatya bezradna, w której jednostki, wystrzelające nad poziom, nie znajdując ani pobudki do działania, ani poparcia dla swych dążeń, trawią się w sobie, marnieją i przepadają:

O! nie życie mię trwoży, ale ta martwota,
Jaka niekiedy spada na pobite ludy,
I najdzielniejszym mężom gnuśnie pleśnieć każe
I niby rdza złośliwa hart dusz ich przegryza.
Lękam się duchów zimnych, co nie zdolne rzucić
Myśl wielką, myśl płomienną, chociażby zbrodniczą,
Chociażby niszczycielską. —
Tych mędrków, tych ostrożnych, ślimaczo roztropnych,
Którzy co dzień, co chwila, jak wycie szakali:
Zwątpienie, beznadziejność w piersi ludzkie sączą.
Ja lękam się tych godzin na dziejów zegarze,
Gdy żaden wulkaniczny czyn ziemi nie wstrząsa,
Gdy nawet bohaterskie leniwieją duchy.
A żadne żywsze czucie drgań serc nie przyspiesza,
Gdy walki turniejowe i koturn tragiczny
Zastępuje śmiech klowna, koziołki pajaca,
A niema jednej piersi, dość zdrowej, dość dzielnej,
By krzyknąć: Duszno mi tu!...

Taką pierś miał bohater poematu; nie chciał uledz przemocy pospolitości, nie chciał zostać obojętnym na wielkie zagadnienia życia, nie chciał pójść za radą Mefista, radzącego mu filisterską praktyczność:

Nigdy się z wyższą myślą przed tłumem nie zdradzić,
Nad innych nie wznosić głowy,
Własną swoją istotę ociosać, ogładzić
Jak gładki pionek szachowy...

Ale też i żyć nie mógł; zabiła go ta nużąca, szara, bezduszna powszedniość. Poetka poświęca mu słowa pełne spółczucia, jako duchowi wyższemu, któryby zrównał bohaterom, gdyby okoliczności przemożne nie zahamowały jego działań. Niepowodzenie, klęska nie powinny nam przesłaniać oczu na wartość samej duszy.

Autorka każe uosobionej poezyi mówić następne słowa nad grobem owego nieszczęsnego:

Ach! czy na Termopilach, czyli na Golgocie
Śród męczeństw, czy gdzie huf lwi,
Jam się przejrzała w każdej ginących tęsknocie
I w każdej kropli krwi...

Ja wiem, co cierpi sokół, gdy skrzydła rozmachu
Nie mogą mieć,
Czem dla wolnych mieszkańców powietrznego gmachu,
Klatka i sieć.

Czem jest w godzinie marzeń zbyt wielkich się zrodzić,
A w hańbie, w jarzmie żyć
I nigdy snów młodości nie módz z życiem zgodzić
I sercem gnić!...

Ja, co ludom ginącym w ostatnim ucisku
W potopie krwi i łez,
Nigdy nie rzekłam mrącym na pobojowisku:
„Tu bytu kres“;

Lecz grób mieniąc w kolebkę, śpiew runiczny sączę
W umarłych mężów słuch,
Ja wiem, że w chwili, kiedy zaklęcia dokończę
Powstają lud i duch...

„Fragment“, z którego te przytoczenia robię, nie jest utworem doskonałym artystycznie, ale tak silnie pobudza uczucia i myśli, że się mało zważa na usterki w układzie. Te dwie poetki, tak wielce różne talentem i wpływem, jaki na społeczeństwo wywierały, mają tę wspólność, że najwrażliwsza ich młodość upłynęła w czasach, gdy hasła naszego romantyzmu w całej jeszcze brzmiały pełni. Były one żywymi świadkami powstania r. 1863 i odczuły silnie klęski przez nie wywołane zarówno w materyalnym jak duchowym względzie. W ich natchnieniach czuć jeszcze p o w i e w m e s y a n i c z n y, choć przytłumiony już srogiemi przejściami losu narodowego.

Młodsze pokolenie poetów, wychowane po r. 1863, znające owe czasy burzliwe z posłuchu tylko i to zazwyczaj z dodatkiem o ich szkodliwości, o potrzebie hamowania zapału a jęcia się pracy powolnej, cichej, gdy potem w życiu obejrzało się za owocami tej pracy i znajdowało albo przygnębienie, albo też cyniczne prze-

chwalanie dobrobytu materyalnego, musiało popaść w gorżką zadumę nad smutną nocą swego istnienia, wszelkich gwiazd pozbawioną.

Zwróciło się więc przeciwko tym przewodnikom narodu, co po r. 1863 sponiewierawszy hasła romantyczne, zacieśnili widnokręgi życia, studzili serca, starali się rozum praktyczny wyostrzyć, by mógł sobie radzić w interesach materyalnych.

W imieniu tego pokolenia zaczęło około r. 1889 przemawiać kilku utalentowanych poetów, a pomiędzy nimi najwybitniej wystąpił przedwcześnie oniemiały Franciszek H. Nowicki w szeregu pieśni takich jak: My, Apoteoza, Na przednówku, Spartakus, Conam wolno, Żebrak.

Skarżył się on, że przed młodzieżą „zgaszono blask wszystkich gwiazd dawnych, każąc jej wierzyć tylko w gwiazdę złota, i przyduszono wszystkie żary łona popiołem naszych mogilników sławnych“.

A jeśli czasem wśród gniazda szaroty
Rój piskląt orlich wykłuł się, a potem,
Uczuwszy pióra na swych skrzydeł końcu,
Przy blasku jutrzni chciał wzbić się w poloty,
Zlepiano wtedy orle skrzydła błotem,
By wznieść nie mogły ku gwiazdom i słońcu.

Skarżył się, że dwudziestoletnie serca są już stare, wyziębione, zgrzybiałe, w nic nie wierzące, nawet w samą niewiarę, że przed niemi ściele się życie proste, bezcelowe.

A jednak w gruncie rzeczy są to pozory tylko; pod popiołami jest iskra, którą rozdmuchać jedynie potrzeba, by się w płomień ofiarny przemieniła. Zimny rozum nie zdołał wyziębić serc, spragnionych wielkiej miłości. Jeżeli dawne cele, opiewane przez poetów romantycznych, zmierzchły przed niemi, to się ukazały nowe: lud wiejski i miejski, robotnicy, wogóle tłum biedny, oczekujący jaśniejszego jutra; a poeta sądzi, że takie jutro nadejść musi i w wierszu „My“, przeciwstawiając młodzież tym, których o ciasny egoizm posądzał, wróży jej zwycięstwo:

Niedolą tłumów pędzeni, my
Bieżym ku jutrzni obległej mgłą.
Czem nas powstrzymać marzycie wy?
Sobkostwa tarczą, powagi ćmą?

Świt musi błysnąć! dożyjem go,
Bo nasze jutro — bo młodzi my —
Noc musi zblednąć! a starcy mrą...
*Fuimus!* wyrzec musicie wy!

W ten sam ton uderzył Jan Kasprowicz, wołając z młodzieńczym zapałem:

Jest w ludzie siła niespożyta,
Zbawienie leży pod siermięgą,
Jak ta w popiele skra ukryta:
Choćby ostatnią płuc potęgą
Dmuchajmy w tę skrę bożą, aż łun spłonie wstęgą.

Malując życie ludu, które poznał wszechstronnie, Kasprowicz bynajmniej nie myślał go idealizować, nie skrywał jego wad: samolubstwa, złośliwości, chciwości, rozpusty i t. p., ukochał go tak, jak się kocha naród swój wogóle, choć ma się mu wiele do zarzucenia. Co więcej, jako poeta niezmiernie wrażliwy, sarknął on raz przeciwko swemu „bożyszczu“, rzucając mu przekleństwo za sponiewieraną swą wiarę, za poświęcenia bezskuteczne, jakie dla niego czynił. „Tłum“ wydał mu się wówczas tylko „brzuchem“ wszystko chłonącym. „Myśli, uczucia, prorocze ekstazy, rycerskie porywy, modły zachwytne, krwi stygmatycznej święty strumień żywy; gwoździe, co sine przebijają ręce; ciernie, co kłują blado żółte skronie — wszystko nienasycony ten brzuch, o żadne idee nie dbając, na codzienny swój pokarm obraca. Jest to „płacz człowieczy“, z odgniotem jarzma na schylonym grzbiecie, jest to „wróg ducha“, co stopami ołowianemi depce kwiaty zasiane przez bożego siewcę, a na zwiędłem pustkowiu staje jego „straszny dla duchów ogrom ciała“. Dla tłumu istnieje tylko jeden ołtarz, cały złotem błyszczący, na którym on rozpiera swe „ścierwo tłuste“. Jego oko płonie ogniem zawiści, a jego usta przemienia chciwość we „wstrętną paszczę“. Są wprawdzie w jego piersi „wulkaniczne ognie“, ale „stracony, kto się od nich zajmie: serce swe spali, duszę swoją pognie, jak ćma tak spłonie w jego służalczym najmie“.

Ostrzejszych słów o tłumie nikt u nas nie wypowiedział; ale w tych słowach czuć raczej chwilowe rozżalenie kochanka, aniżeli nienawiść i wstręt. Jesteśmy pewni, że niebawem poeta znów stanie po jego stronie i sprawę jego poprze gorąco. Nie omylimy się, bo oto wkrótce wydaje Kasprowicz „Bunt Napierskiego“,

tchnący miłością dla ludu, a nie dawno w „Prologu“ na otwarcie teatru lwowskiego, dał w przemianach Wojtka przykład, jak z gburowatego chłopa, myślącego tylko o jadle i wypoczynku, wyrasta rycerz, stający na czele hufców w obronie ojczyzny. Kasprowicz przemianę tę przypisuje czarowi poezyi. Rozumiejąc przez nią oświatę wogóle, możemy za nim z całego serca powtórzyć:

Niech się nam święci w nieprzerwane lata
Tej naszej pieśni wszechpotężna moc:
Ona blask sieje po rozłogach świata
I ze serc ludzkich ciemną płoszy noc...
Ona to z duszy wywabia prostaczej
Miłosnych szeptów słodki, wonny czar;
Głos daje zbrodni, cnocie i rozpaczy,
Jest matką czynów i wspaniałych mar.
Rycerzy budzi, uśpionych przez wieki,
Śród krwawej łuny prowadzi ich w bój
I dzień zwycięstwa przybliża daleki
I w tryumf zmienia tysiącletni znój.

W ogólności, choć w poezyach Kasprowicza dużo jest smutku, a niekiedy i zgrzytów pesymistycznych, zawsze w końcu ukazuje się otucha, zachęta do życia i działania. Sam on powiedział, że w sztuce pragnie hartu, siły, woli, pragnie postaci energicznych, bitnych, któreby pobudką były do czynów i męstwa.

Takiż ton jędrny i zdrowy tętni w poezyach Andrzeja Niemojewskiego, biorącego główne motywy z bolów, nieszczęść i klęsk, trapiących ogół, zwłaszcza też ogół robotniczy. Nie obce mu są oczywiście ani hasła spółczesnego indywidualizmu, ani rozczarowania pesymistyczne; ziemia i ludzie nie ukazują mu się pod postacią sielanki, czy też pod postacią najlepszego ze wszystkich możliwych światów; ale umie on pogodzić słuszne wymagania jednostkowe z dążeniem do powszechnego dobra, umie obok scen przejmujących grozą, kreślić także obrazki, jaśniejące uczuciami szlachetnemi, pozwalającemi dojrzeć w ludziach pierwiastek nie tylko niszczący, lecz i tworzący wkoło siebie ukojenie, a niekiedy i zadowolenie.

I tak w wierszu: „Co jutro da“, w najprostszych słowach, nie wymagających na pozór żadnego wysiłku ze strony poety, wypowiedział on smutek przepaścisty, jaki budzi w człowieku czującym ten nieprzerwany szereg codziennych cierpień, bolów, zawodów, rozczarowań, zwątpień, towarzyszący życiu ludzkiemu a potęgowany jeszcze posępnem rozmyślaniem nad niemożnością

zaradzenia złemu. Kiedy powieje świeży ranek, może rozchmurzy czoła nasze, może przyniesie ulgę katuszom, może odsłoni nam widok na pogodniejsze twarze, na zadowolone serca, na dzielne czyny, silnem ramieniem odrzucające wszystko, co jest złem, trawiącem, rozpacznem?... Ach, nie! „Wieczne mgły, wieczne łzy“ otaczają nas wciąż; wywołują one wprawdzie nowe myśli, lecz myśli te „jak czarne ćmy“ krążyć będą wkoło ponurych czół, których nie rozjaśnia błyskawica polepszenia doli.

Taki nastrój bywa bardzo częsty, bo wtrąca nas weń niepozbyta a niewesoła rzeczywistość; ale czy w nas samych, w duszy naszej nie ma już ani odrobiny siły, by się z tych posępnych mgieł i tych przykrych snów i tych przygnębiających myśli otrząsnąć? Czy wola nasza jest pustym wyrazem tylko? Czy jesteśmy igraszką jeno świata zewnętrznego? Tak sądzi wielu, tak śpiewa wielu, lecz nie poeta, o którym mówimy. Wie on, że marzone szczęście nie stanie się rychło udziałem ludzkości, ale nie zwątpił, że przyjść kiedyś ono musi i dlatego, choć łza ćmi nieraz oko, woła silnym głosem, przypominającym pieśń Edmunda Wasilewskiego:

Nad skargi serc małych, nad zwątpień otchłanie
My dumne podnieśmy dziś czoło!
Ulecim jak ptaki zwiastując świtanie,
Zwiastując ludzkości dziejowe zaranie:
Wesoło my lećmy, wesoło!

Dźwięczy w tych wierszach pieśń poświęcenia i ofiarności, dla dobra przyszłych pokoleń. I poeta, choć ze smutkiem zaznacza, iż dzisiaj zamiast gromów słowa, co niegdyś wzruszało narody, świat ma tylko armaty, nie poprzestaje atoli na zgrzytliwym sarkazmie, lecz słonecznymi promieniami stara się oświetlić ciemnie istnienia.

Widać to mianowicie w cyklach poezyj: „Podziemia“ i „Ziemia obiecana“, w których skreślił kilkanaście obrazków dzisiejszego piekła dla robotników w kopalniach węgla, w hutach żelaza. Wstrząsającym jest los „Starowiny“, co biedna i drżąca idzie się dopytywać, gdzie leży jej syn, przed tygodniem straszliwie okaleczony przy robocie. Chodzi od jednej bramy fabrycznej do drugiej i słyszy na swe tchnące strachem zapytania, obojętne odpowiedzi, że takich było tu wielu, że ich powieziono do szpitala, potem do trupiarni, w końcu na cmentarz. Gdzież nieszczęsna „Starowina“ znajdzie pociechę? Chyba w niebie.

Pięknemi są „Ruiny huty starej“, po których w dzień zaduszny, według wyobrażeń górników, przechadza się cień Skarbnika, liczącego starannie wszystkie klejnoty we wnętrzu kopalni zawarte. Na widok biedaków, co zdala nie śmiejąc przemówić, czapkami sięgają aż do ziemi, by uprosić choć odrobinę tych skarbów, ukazuje mu się na twarzy „uśmiech bolu, żalu, wzgardy“. I scena ta od wieków powtarza się wciąż i od wieków nędza w pokorze a bez skutku zwraca się do tajemniczego starca, który lubo z męką w sercu, nie może zadość uczynić jej prośbie, bo tylko nadmiernymi wysiłkami dozwala wydrzeć sobie drobną cząstkę zazdrośnie strzeżonych klejnotów. Nie mamy podobno ballady boleśniejszej nad tę właśnie.

Poeta jednak nie szafuje wykrzyknikami, nie wpada w ton patetyczny, nie zgrzyta, snać mając niezachwianą wiarę, że są w nas siły do zniesienia olbrzymiego ciężaru cierpień i do dalszego pochodu, bo „świat krzyż swój chwyta i podąża dalej, choćby miał na nim kiedyś rozpiąć ręce“. Wytrwałość w działaniu mozolnem i krwawem — oto wskazówka dana przez poetę.

Tak się w najogólniejszych rysach przedstawia ta grupa piewców, którzy cierpienia ogółu wziąwszy w pierś swą magnetycznie, krzepili jego wiarę, podtrzymywali słabnącą otuchę, dodawali sił, by można było „z żywymi naprzód iść“ i „czynnie walczyć o dalszy byt wśród życia wstrząśnień i przemian“...

(Ciąg dalszy nastąpi).

# RZECZ O UCZUCIACH LUDZKICH.

(Ciąg dalszy).

## II.

### Dalsza rzecz o uczuciach tyczących się własnej zmysłowej istoty.

Ruchy mimowolne i mimowiedne, niezbędne do utrzymania życia, zwane odruchami, odbywają się nieustannie wewnątrz żyjącego organizmu; rzec można nawet, że są życia istotą. Organa, których ruchami zazwyczaj władnie wola, wykonują nieraz odruchowo czynności, do których przez dłuższy czas przywykły i tak chodzimy zawsze, nieraz czytamy, mówimy, śpiewamy, gramy na fortepianie mimowiednie — jak powiadają potocznie, w sposób mechaniczny. Także uczucia nasze bywają odruchów powodem, gdy pewnej nabędą siły; jeźli te odruchy odbywają się tylko wewnątrz, tyczą się jedynie drgań nerwowych, obiegu soków, bicia serca i tempa oddechu, któremi się organizm nastraja do działania na zewnątrz — dopiero prawdopodobnego, zamienia się uczucie silne we wzruszenie; gdy wzruszenie dojrzeje, wywołuje wreszcie mimowolne a jednak celowe działanie na zewnątrz, służące do dopięcia rozkoszy, albo do uniknięcia boleści. Tak spotęgowane wzruszenie nazywa się u zwierząt instynktem, u człowieka, który o tem wzruszeniu wie i to wzruszenie gwałtowne znów odczuwa, mówimy o namiętności. Namiętność nazywa się tłumioną, gdy ją rozumna wola tak dalece opanuje, iż do działania na zewnątrz nie przychodzi, ale wtedy wewnętrzne, przez wolę pohamowane odruchy, stają się tem gwałtowniejszymi i sprawiają trawiącą boleść, wewnętrzną gorączkę, targającą zdrowie, niejednokrotnie dla życia niebezpieczną.

Namiętności i instynkta, dążące do dopięcia rozkoszy, nazywają się żądzami. Tyczą się u zwierząt i u człowieka, o ile jest zwierzęciem, tylko przedewszystkiem opanowania pokarmu i zadowolnienia zmysłowej miłości; na razie obchodzą nas tylko o tyle, o ile się tyczą utrzymania organicznej jednostki, a zatem pokarmu, albo przyjemnego ciepła. Chcąc się pożywić, szuka najpierw zwierzę, przyczaja się, jeśli o żywą zdobycz chodzi. Oko bywa czasowo zwrócone z wytężeniem w jedną stronę, przyczem brew marszczy się u człowieka; czasem toczy się wkoło szukając zdobyczy, ciało kurczy się; pożądliwy zapiera oddech; czasem przynaglony potrzebą nienasyconą, rusza się niecierpliwie, popadając w boleśny już chorobliwy stan, zwyczajnie porusza się powoli, ostrożnie; przez ten cały okres krążenie krwi bywa raczej powolne, cera u człowieka raczej blada. Gdy rzecz pożądaną wreszcie upatrzono, następują szybkie, celowe ruchy, dążące do jej opanowania, przy szybszem oddechu, przyspieszonem krążeniu krwi, żywszych na twarzy człowieka kolorach, mimowolnych częstokroć okrzykach. Chybiwszy celu, doznaje pożądliwy przykrego uczucia, w przeciwnym razie wstępuje weń radość, przyspieszająca funkcye organiczne chwilowo, objawiająca się u ludzi żywymi rumieńcami, uśmiechem, chęcią do nawoływania głośnego i do śmiechu. Jeśli druga istota żywa, z którą walka jest możliwa, przeszkadza dopięciu pożądanego celu, powstaje gniew, który się jawi nietylko walką, ale silnymi rumieńcami, krzykiem, przyspieszonym oddechem, ściśnięciem pięści, zgrzytem zębów, przypominającym pierwotnej walki ukąszenia. Bladość i zaparcie tchu, bywają przeciwnie oznakami boleśnie tłumionego gniewu. Pokonany, a czasem także zwycięzca po rozpaczliwej walce, opada raptem z sił i roni łzy boleści lub radości, będące zawsze oznaką osłabienia — mogącego wywołać gwałtowne łkanie, omdlenie, albo nawet śmierć z nagłego żalu, albo nagłej radości, dlatego to zwykli się mężczyźni łez wstydzić; szczycą się niemi niewiasty, których siłą jest słabość, domagająca się opieki.

Gniew i walka, przez gniew wywołana, bywa zawsze objawem namiętności, dążącej do uniknięcia boleści, której siłą zapobiedz można, boleścią bowiem bywa utrata pożądanego a już dopiętego, albo przynajmniej spodziewanego dobra. Żywszą jeszcze boleścią jest dla zwierzęcia rana zadana, a najbardziej śmierć; życia broniąc, popada w gniew i doznaje jego skutków, gdy ma przed sobą zapaśnika, z którym walka jest możliwą; w przeciwnym razie doznaje bojaźni. Gdy się boimy niepewnego jeszcze niebezpieczeństwa, popadamy w niepokój, przypominający poniekąd gorączkę;

obieg krwi zmienia się co chwila, rumienimy się, to znów blednieny, ruchami przerywanymi, wzrokiem niestałym niepokój wewnętrzny zdradzamy. Gdy niebezpieczeństwo niezwalczone rzeczywiście nastaje, zamienia się początkowa bojaźń w przestrach, szukający ratunku w ucieczce; twarz nasza blednie, oczy szeroko rozwarte wychodzą z powiek, wydajemy okrzyki głośne, serce bije gwałtownie, mimowiednie uciekamy w kierunku oddalającym nas od niebezpieczeństwa, a podobnie jak przy gniewie, ruchy mimowiedne bywają celowymi, siły nasze wzmagają się w sposób niezwyczajny. Jeśli widzimy, że ujść nie możemy, następuje rozpaczliwa walka, podobna do gniewu, a częściej przerażenie; siły opuszczają przerażonego, serce mu zamiera, płacze, a wreszcie omdlewa. Lękiem nazywamy każdą bojaźń nieuzasadnioną, powstającą z tego, że ujrzymy nagle niespodziany, albo nieznany przedmiot, dźwięk usłyszymy niespodziany — albo też z tego, że znajdując się w nieznanem otoczeniu, czy też wśród ciemności, nie wiemy czego się spodziewać mamy.

Instynkt u zwierząt przeczuwa niebezpieczeństwa, albo też możliwe korzyści, choć zmysły i doświadczenie o nich pouczać nie mogą. Wśród niezliczonych takiego instynktu objawów, przytoczę tu tylko zachowanie się ptactwa, przed zmianą pogody, albo w czasie wędrówek. Podobne instynkta nazywamy u człowieka przeczuciem; mnogie doświadczenia pouczają nas o istnieniu przeczuć, za tem przemawia także analogia ze światem zwierzęcym. Przyda się jednak przestroga, ze nieraz człowiek za przeczucie weźmie urojenie rozumu, oparte na namiętnej żądzy, albo spowodowane złym stanem zdrowia, że nieraz bujna wyobraźnia ludzka przeczucie rzeczywiste lub domniemane ubierze w obrazy senne, lub w halucynacye na jawie, stając się tem samem źródłem wiary w zdarzenia mityczne.

Częściej przewiduje człowiek przyszłe zdarzenia za pomocą rozumnego myślenia, czyli celowego kojarzenia wyobrażeń. Przewidując przyszłą przykrość lub boleść, albo też utratę posiadanego lub spodziewanego dobra, doznajemy obawy; jak się prawdopodobieństwo wielkiej szkody wzmaga, nastaje trwoga, różna od przestrachu tem, że do mimowolnej nie skłania ucieczki, osłabiająca raczej, wywołująca u kobiet i dzieci łzy i szlochanie. Przeciwnie, nazywamy nadzieją oczekiwanie zdarzeń pożądanych, zapewniających przyjemność, odwracających zło już istniejące, albo spodziewane; nadzieja zamienia się w ufność, gdy nam się wydaje, że pożądane dobro niechybnie posiądziemy. Przy nadziei doznajemy

pewnego niepokoju, który się przy ufności już w błogi pokój zamienia. Tak pewność wielkiego nieszczęścia, jak też i wyrzeczenie się nadziei rodzą rozpacz — prowadzącą czasem do szalonych czynów, zwykle do przerażenia podobną. Za rzeczy pożądane uważamy także środki zapewniające życie, zdrowie, rozkosze, chroniące przed przykrością, boleścią, chorobą i śmiercią — jakimi są naprzykład pieniądze i wolność osobista. Myśl o zabezpieczeniu tych środków nazywamy troską, a przy niej krzyżują się i spychają nadzieja i obawa.

Gniew może także powstać wskutek rozumowej myśli, a przez myśl bywa w wybuchach swoich tłumiony, gdy nabędziemy przekonania, że dopniemy zamierzonego celu, jedynie postępowaniem, w którem się nie objawią tłumione wybuchy gniewu. Rozumową przyczyną gniewu bywa spostrzeżenie, albo domysł, że ktoś sięga po rzeczy przez nas pożądane, czy to dla tego, że wydają nam się same w sobie rozkosznemi, czy też dla tego, że mniemamy, iż to środki, za pomocą których rzeczy pożądane odwładniemy; także rozumowy bywa powód gniewu, jeśli jego wybuch bywa spowodowany przez to, że ktoś wyrywa nam albo posiada wyłącznie, wprawdzie nie samą rzecz instynktownie pożądaną, tylko środek do owładnięcia tej rzeczy, jako to dostatki, albo społeczne wpływy. Gniew taki rozumowy zwykł się tyczyć jedynie drugich ludzi, jako jedynych równych przeciwników, z którymi walka, lubo trudna, przecież jest możliwą; niepohamowany wybucha zatem nie tylko razami, ale także złorzeczeniem, mogącem duchowej istocie przykrość sprawić; jeśli zaś w gniewie złorzeczymy zwierzęciu, przedmiotowi martwemu, albo bóstwu, dowodzimy tem tylko, że tym jestestwom ludzkie przypisujemy uczucia. Gniew nie tłumiony, przemija częstokroć bez śladu. Tłumiony, a zwrócony przeciw osobistemu istotnie, albo domniemanie przeciwnikowi, zamienia się w nienawiść, przykrą choćby już dlatego, że się przyrodzonym instynktom gniewu sprzeciwia, żądając dla dopięcia celu obłudy; w nienawiści nie rumieni się przeto człowiek i owszem tłumiąc krew, blednie; nie rusza się namiętnie, nie krzyczy, nie zgrzyta zębami, a przeciwnie bywa skłonny do unieruchomienia członków i oczu, a usta zwykł zaciskać. Nienawiść, której powodem to, że ktoś inny przedmiot pożądany posiada, nazywa się zawiścią. Że wszelka zawiść jest gniewem, gniewu naturę tem objawia, iż przedewszystkiem szuka sposobu zaszkodzenia znienawidzonemu, choćby krzywda jemu zadana, żadnych korzyści nie przyniosła; gdy jednak

posiądziemy bezpiecznie rzecz wpierw pożądaną, idzie nienawiść zazwyczaj w zapomnienie.

Podobnie jak pieniądz, oręż, ziemia, wszelki dobytek i nawet rzeczy nieuchwytniejsze, jak urząd, dobra sława, stanowisko społeczne, stają się przedmiotami pożądania, skoro się okaże, iż są środkami do zadowolnienia naszych żądz i odwrócenia niebezpieczeństw, tak możemy także stać o pomocnego nam człowieka, ochraniać go przed szkodą, boleć nad jego stratą albo chorobą, radować się powrotem albo wyzdrowieniem, i takie przywiązanie nazywają ludzie często przyjaźnią, a nie dostrzegają, że się w niczem nie różni od przywiązania właściciela do wołu, przeznaczonego na rzeź. Bywa to uczucie z natury swojej zimne, nieprzysparzające bezpośrednich rozkoszy, przymnażające zazwyczaj nasze troski, dodające jednak poczucia siły, a przeto nadziei i ufności, ilekrotnie sądzimy, że ludzkiego pomocnika mamy w swojem posiadaniu, czy to jako poddanego sobie, czy to jako wspólnym interesem związanego, czy wreszcie, jako pozyskanego podchlebstwem, albo podstępnie wzbudzonemi a ułudnemi nadziejami.

Jedną z zasadniczych podstaw wszelkiej teoryi poznania, jest nauka o kojarzeniu się wyobrażeń i pojęć; winniśmy pamiętać, że uczucia kojarzą się z sobą i z wyobrażeniami. Jeśli po pewnego rodzaju rozkoszy, nastąpiła inna rozkosz, albo boleść jakaś, i jeśli te wrażenia były bardzo żywe, albo ponowiły się kilkakrotnie w takim samym związku, odczujemy w słabym stopniu każde z tych uczuć, skoro powróci owo, które jemu towarzyszyło, choćby w tym razie nie było już w rzeczywistości obydwu wrażeń skojarzenia. Podobnież ilekroć dostrzeżemy miejsce, w którem doznaliśmy rozkoszy albo boleści, osoby, które nam dobrze albo źle świadczyły, do tego miejsca, do tej osoby odczuwamy mimowoli miłe przywiązanie, albo przykrą niechęć; przywiązujemy się nawet do świadków naszego szczęścia, zniechęcamy do tych, którzy obojętnie na naszą boleść patrzali; osoby, które służyły nam jako narzędzia do dopięcia naszych celów, stają nam się miłemi, zwłaszcza wtedy, jeśliśmy za ich pomocą dobro osiągnęli, zło odwrócili, i wyrachowany do nich stosunek zamienia się w ciepłą przychylność, a wreszcie w przyjaźń, pożądającą ich towarzystwa, choćby wspomnienia o nich, jako celu; przenosimy tedy nasze przyjaźnie i nienawiści do krewnych i przyjaciół osób, które bezpośrednio na nasze losy wpłynęły, do wszystkiego co ich przypomina, a trochę podobni do nich ludzie wydają nam się sympatycznymi a względnie antypatycznymi, przyczem nie zdajemy sobie sprawy z po-

wodu tych uczuć. Imiona ludzkie wydają się zazwyczaj pięknemi, albo brzydkiemi w miarę tego, czy się ich brzmienie skojarzyło ze wspomnieniami miłemi, albo przykremi.

Ilekroć przypomnimy sobie przedmiot niegdyś posiadany, a dziś chwilowo albo na zawsze utracony, powstają w nas niezgodne z sobą, mięszane uczucia, miłe, o ile dawne przypominają rozkosze, przykre, o ile myśl zajęta boleśną chwilą, w którejśmy je utracili; uczucie mięszane, które z tych powstaje powodów, nazywamy tęsknotą, jeśli w niem przyjemne wspomnienia nad przykremi górują, w przeciwnym razie żalem. Miewamy także żal do ludzi, którzy się przyczynili do naszej straty albo do zmarnowania nadziei, a to uczucie już tylko przykre, budzące pewną niechęć. Gdy się taka niechęć spotęguje aż do nienawiści, powstaje żądza zemsty, której nasycenie budzi znowu uczucie mięszane; cieszymy się bowiem zadowolnieniem gniewliwego instynktu, nie możemy odgonić przykrego wspomnienia niegdyś poniesionej krzywdy, której boleśnych skutków dopięcie zemsty bynajmniej nie usunęło. Jeśli samym sobie przypisujemy winę poniesionej szkody, odczuwamy żal do samych siebie, bardzo przykry, wznawiający się za każdem przypomnieniem. Przy każdej bojaźni i obawie, przy każdym gniewie, myśl zwrócona ku szkodzie poniesionej albo spodziewanej, z przykrem się kojarzy uczuciem; przy każdej przeciwnie nadziei, a bardziej jeszcze przy ufności, cieszymy się myślą o przyszłem użyciu.

Inną sprawą skojarzenia uczuć z wyobrażeniami przyjemność, którą nam sprawia widok dostatku lub władzy, ilekroć nie oglądamy ich u ludzi, posiadających rzecz przez nas daremnie pożądaną, przyjemność, którą sprawia prawie zawsze widok zdrowia. Gonimy za znajomością z możnymi, radziśmy królów choćby z daleka oglądać, a nawet przedmioty lub ludzi, którzy z możnymi w jakiejś są styczności, sprawiają nam pewną przyjemność, kiedy możemy je posiąść, albo choćby tylko oglądać; podobnież bywamy przychylnie usposobieni dla jestestw zdrowych, a przeto zwyczajnie dla jestestw młodych, czy to są ludzie, zwierzęta czy rośliny. Widok choroby i starości u jakichkolwiek organizmów sprawia nam przykrość i czyni nas mimowoli niechętnymi dla jestestw utrapionych; widok śmierci, rozkładu i ran przypominających śmierć lub rozkład, bywa wprost wstrętnym, czasem nawet przerażającym: tak samo oddziaływa na nas widok ubóstwa a zwłaszcza nędzy, i wszelkiego społecznego poniżenia.

Nie ma ostrego przedziału pomiędzy uczuciami a wyobrażeniami — i owszem zlewają się z sobą niepostrzeżenie; każde wyobrażenie jest przechowaniem albo odnową doznanego wrażenia, a zatem uczucia, i na odwrót mamy o każdem doznanem uczuciu wyobrażenie; przeto skojarzenie wyobrażeń z uczuciami musi się odbywać podług tych samych praw, co skojarzenie wyobrażeń pomiędzy sobą; gdy zatem dostrzegamy, albo wspominamy zjawiska, towarzyszące zwykle u nas samych miłemu uczuciu, doznajemy miłego uczucia w słabszym stopniu, choć się te zjawiska nas tym razem nie tyczą. Wiedzą o tem artyści; dlatego to budowniczy rad w przepych swoje ubierać gmachy, albo naśladowaó sposób budowania możnych; malarz rad wyobraża, poeta wspomina królów i możnych, stroje i gmachy bogate, wszelkie potęgi otoczenie, biesiady i tańce, a jeśli sztuka nowożytna zajęła się ubóstwem, uczyniła to z powodów innych, ze zmysłowym instynktem o tyle chyba zgodnych, o ile rozmyślania społeczne mają na celu polepszenie materyalnego bytu rzeszy, rozbudzonych a patrzących po części zawistnem okiem na bogactwa możnych, do których przeto obecnie niechęć czują.

Każde wzruszenie rozbudza funkcye życiowe i jako takie, samo w sobie bywa przyjemnem o ile nie jest ani zbyt silnem, ani nadto długotrwałem; dostrzegłszy to, człowiek goni za wzruszeniami o ile możności urozmaiconemi; polubił zatem wszystkie hazardy gry, sportu, polityki. Od osobistego nastroju zależy, czy to upodobanie tyczy się hazardów połączonych z gwałtownym ruchem i niebezpieczeństwem fizycznem, czy też gry, w której bez ekscytacyi ciała, łożymy środki służące do dopięcia fizycznego dobrobytu — a zatem dziś przeważnie pieniądze; także od indywidualnego nastroju zależy stopień napięcia wzruszeń przyjemny albo przykry, a w miarę przyzwyczajenia do pewnego rodzaju hazardów, coraz silniejszych domagamy się wzruszeń. Słabsze, dla ogółu przyjemne wzruszenia budzi widok hazardów cudzych, jak to naprzykład przy wyścigach, nawet przy walce bokserów albo byków, a przedewszystkiem żywe wyobrażenie gwałtownych wzruszeń osób urojonych, którego doznajemy, czytając powieść albo patrząc na dramat.

Człowiek posiada zdolność wzruszeń większą od tej, którą zwierzęta obdarzone bywają; prócz tego przez zdolność celowego, samowolnego myślenia, bywa dostępnym dla uczuć rozumowych, które się tylko bardzo słabo u najwyższych zwierząt odzywają, a u człowieka biorą nieraz przewagę nad bezpośredniemi, instynk-

towemi. Ale pamiętać należy o tem, że bezpośredniem albo pośredniem źródłem uczuć dotąd opisanych, a tak wielce urozmaiconych, jest zawsze jedno i to samo, wspólne ludziom i zwierzętom dążenie do doskonałego rozwoju ciała, wedle idei rodzaju swego, czy postaci swojej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

# ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

## BISKUP WŁOCŁAWSKI I KRAKOWSKI

(1496—1560).

### MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

### CZĘŚĆ TRZECIA

### (1553—1560).

(Ciąg dalszy).

W uniwersałach owych na porządku dziennym obrad sejmowych postawioną została, ze względu na zawikłania mołdawskie i grożącą Polsce wojnę turecką, przedewszystkiem kwestya nowego podatku. Kwestyę reformy zbył król artykułem o potrzebie reorganizacyi sądów ostatniej instancyi. O egzekucyi praw koronnych, o kościele ani nie wspomniał [1]). Ale w Rzptej spodziewano się po tym sejmie rzeczy niezwykłych. Szlachta przygotowywała nań wspaniały program reformy praw, ożywiona zapałem dla dobrej sprawy, ufna, że jeżeli królowi otworzy oczy na wszystkie rany społeczne, to może zrozumie ją łatwiej i zechce być orędownikiem dobrych jej chęci. Sprawa religii i Kościoła miała być poruszoną na sejmie przygodnie, jako jeden z postulatów wchodzących w zakres ogólnej reformy państwa [2]). Zebrzy-

[1]) Script. Rer. Pol. T. I. s. 80.

[2]) Dzienniki sejmów kor. 1555 i 1558/9 r., wyd. przez Lubomirskiego, Kraków 1869, na str. 77 mówi Ossoliński: „gdyśmy zasię byli posłani na sejm krakowski, rozkazali nam pilnie, abyśmy już więcej odkładów nie czynili“ — w sprawie zniesienia przywileju grudniowego z r. 1550 danego samowolnie przez króla biskupom — ...„mając

dowski, stojący zdala od osoby i kancelaryi królewskiej, jednak przysłuchujący się zbliska głuchemu pomrukowi, jaki zewsząd dochodził z łona mas szlacheckich do stóp jego tronu biskupiego, pisał z pewną goryczą w przededniu sejmu w styczniu 1553 r. do Juliusza III., że sejm ten, zdaniem jego, będzie dla kościoła i religii o wiele groźniejszym, niźli sejm z r. 1552 [1]). Jak zwykle nie omieszkał papieża głaskać obietnicą, że co do siebie będzie się starał pracować na sejmie z całych sił swoich dla dobra religii, Kościoła i Stolicy Apostolskiej, a nawet dla samej osoby papieża. Zniewala go do pracy szczególniejsza łaska papiezka, łaska ujawniona w tym czasie nadaniem mu koncesyi na miesiące apostolskie. Pisząc te słowa, Zebrzydowski wierzył bezwątpienia, że papież, któremu nie obcą była rola jego, jaką odegrał na ostatnim sejmie, nie będzie się lękał o losy Kościoła katolickiego w Polsce, spoczywające w ręku tak dzielnego i wymownego obrońcy jego swobód, prerogatyw i praw... jak on!

W dniu 18. stycznia, w którym się miał rozpocząć zapowiedziany sejm, izby, senatorska i poselska, nie były jeszcze zebrane w komplecie. Sam król przybył do Krakowa zapewne dopiero w ostatnich dniach stycznia a i wtedy senatorów i posłów było jeszcze tak mało, że o zagajeniu obrad sejmowych nie mogło być mowy [2]) Odbyło się tylko prawdopodobnie z końcem stycznia lub na początku lutego nabożeństwo inauguracyjne, którem bezwątpienia kierował Zebrzydowski jako biskup miejscowy, po za tem nie działo się nic. Jakiś powiał wiatr mroźny od tronu, który mięszał szyki stanów, mających stanąć do boju w nowej kampanii sejmowej. Bo tak stanowisko nieprzychylne, jakie zajął Zygmunt August tamtego roku względem sprawy mołdawskiej, ułożonej przez kresowych panów małopolskich, jakoteż stanowisko jego niezdecydowane i dziwne względem bądź co bądź zbawiennego dla Rzptej ruchu szlacheckiego, zniechęcało do niego

srogie do tego zakazanie, abyśmy się w niwecz nie wdali“ — dopóki ten przywilej zniesiony nie będzie.

[1]) Kor. Zeb. nr. 794, Liubowicz, Istoria ref. w Polszy s. 138, w przypisach zamieszczono słowa jakiegoś mnicha z Miechowa, według Nakielskiego, Miechovia, p. 658, pod datą 3. stycznia 1553: Facta sunt etiam hisce diebus, quaedam haereticorum conciliabula in Słumniki et Żarnowiec — mowa o zjazdach szlachty protestanckiej.

[2]) Hos. Ep. T. II. nr. 973, 976, 995, Script. Rer. pol. T. I. s. 62, 80 i 67. Dnia 25. stycznia jest król jeszcze w Łagowie, w Radomskiem.

wielu poważnych senatorów, sprzyjających jawnie lub potajemnie szlachcie, którzy też pierwsi świecili nieobecnością swoją w Krakowie i gorszyli swoim przykładem posłów. Hetman W. K. Jan Tarnowski, jakby na przekór królowi wyprawiał w tym czasie wspaniałe gody weselne córce swojej Zofii, zaślubiającej księcia Konstantego Ostrogskiego. Spieszyli więc do Tarnowa, rezydencyi pana hetmana, liczni senatorowie i posłowie, ostentacyjnie opuszczając Kraków. Przykład Tarnowskiego działał zaraźliwie na samą stolicę. Zamiast sejmować, bawiono się i tańczono, używano w całej pełni karnawału i zapust. *Interim silent publica negotia*, tymczasem milkną sprawy publiczne, żalił się naoczny świadek tych zabaw, Kanclerz W. K. Jan Ocieski [1]). Być może rzekomą obojętnością dla sejmu chciano wywrzeć presyę moralną na królu, aby posłuchał głosu opinii powszechnej i wniósł na porządek dzienny obrad sejmowych sprawę reformy, w której słusznie widziano lekarstwo na wszystko złe Rzptej. Ale próżne były rachuby... Czas upływał marnie, bez pożytku dla sejmu, tylko nie marnie dla króla, zajętego wówczas niemniej ważną jak ten sejm sprawą, tyczącą się polityki zewnętrznej, na którą szlachta była zupełnie obojętną...

Oto czasu tego użył król do omówienia z bawiącymi w Krakowie senatorami pewnej bardzo ważnej sprawy, która pochłaniała wówczas całą jego uwagę i wpłynąć miała ujemnie na normalny przebieg zbierającego się sejmu. Była to sprawa starań w Wiedniu i w Rzymie Iwana IV. Groźnego, W. Księcia Moskwy, o tytuł władcy Wszechrusi. Chodziło w niej, jak się trafnie wyrażał w liście do Radziwiłła Czarnego Zygmunt August: „nie o rzemień, ale o całą skórę [2])“, zagrażała bowiem mocarstwowemu stanowisku Litwy, jako właścicielki licznych ziem ruskich. Urzędowa wiadomość o tych zabiegach Iwana IV. doszła króla w pierwszej połowie stycznia na Litwie, gdy z nieliczną garstką senatorów, bawiących przy nim, wybierał się w podróż do Polski. Przesłali ją na ręce króla i podkanclerzego kanonik A. Konarski, bawiący w Rzymie w sprawach episkopatu polskiego, który nalegał przedewszyst-

[1]) Hos. Ep. II. p. 1. nr. 973, list jego z 9. II., pisał w nim także: nihil adhuc est inceptum, ne propositio quidem, de qua consultandum est, constituta.

[2]) Script. Rer. Pol. T. I. s. 63—65, s. 66. lub Lachowicza Pamiętniki do dz. pol. Wilno 1842, zawierające listy oryginalne Zygmunta Augusta do Mik. Radziwiłła Czarnego — vide list z 24. I. z Wąchocka, str. 38.

kiem na pospiech w działaniu przeciw księciu, i wiceprotektor Polski, kardynał B. Mapheus, który uczynił to na wyraźne zlecenie papieża, pragnącego zasięgnąć opinii w tak ważnej sprawie u sąsiada Moskwy, władcy Polski i Litwy. Tak kanonik jak kardynał objaśniali króla, że cesarz Karol V. przychyla się do prośby Iwana, że zarazem cała sprawa zależy od przyjęcia przez niego i przez Moskwę katolicyzmu, za cenę którego gotów był papież razem z cesarzem uwieńczyć skroń jego koroną królewską. Zaniepokojony takim stanem rzeczy Zygmunt August, wysłał zaraz z drogi gońca do Rzymu z listem datowanym pod adresem kardynała dnia 15. stycznia, składając na jego ręce podziękowanie dla papieża za to, że raczył go wcześnie zawiadomić o tak ważnej dla niego sprawie i prosząc, by zechciał poczekać jeszcze czas jakiś na jego ostateczną decyzyę, którą powziąć może dopiero w Krakowie, gdzie złoży nad nią podczas sejmu specyalną naradę z senatorami [1]). Pisał także dzień przedtem i potem do swego przyjaciela, wojewody wileńskiego, przerażony wieścią „że xiądz moskiewski u papieża stara się o koronę i obiecuje religię Kościoła rzymskiego przyjąć“, że również „w tem go cesarz pilnie forituje“, z zapytaniem o radę, czy ma zakomunikować to „Panom Radom Polskim“, sam bowiem był tego mniemania — „że tego trzeba [2])“. Nie pominął i brata wojewody, Mikołaja Rudego, wojewodę trockiego, prosząc „aby też w tem zdanie swe oznajmieł, bo jest na co pomyśleć [3])“. Otrzymawszy niebawem odpowiedź od Mikołaja Czarnego, wystosował doń z drogi dnia 24. stycznia ponowne pismo w sprawie moskiewskiej, w którem między innemi podaje już nawet gotowe „remedium“ przeciw przedsięwzięciu księcia moskiewskiego. „Remedium“ to zdąża do tego, aby psuć księciu szyki u papieża w Rzymie. Nie chce wprawdzie król bronić mu „*diadema regium*“ — „gdy on ku lidze i religii królów i panów chrześciańskich przyjść chce“ — „lecz by do papieża takie kondycye przesłać, które aby księdzu moskiewskiemu były podane, na któreby on sam abo nie przyzwolił, abo przyzwolenie w jego ziemi *aut magnam seditionem aut ab eo defectionem* przynieść mo-

[1]) Script. Rer. Pol. T. I. s. 66, także Lachowicz s. 41. wyżej cyt. list: „do papieża posłaliśmy prosząc, aby się z tą rzeczą podzierżał, aż mu innym listem abo posłem naszym w tej rzeczy znać damy zdanie i prośbę naszą“.

[2]) Lachowicz, s. 35/6 listy pierwszy z 14. I. z Łukowa. List drugi obojętny.

[3]) Lachowicz, s. 37.

gło". Tłumaczy dalej król, że w tych „kondycyach" należałoby koniecznie przestrzedz papieża, by księciu nie dawał „dyadema", aż je wszystkie wypełni; — „co by (zaś) za kondycye miał jemu papież podać, na to się dobrze naradzić trzeba, bo *in eo solo tota negotii vis manet*". Za najtrudniejszą kondycyę, zdaniem króla, należy uważać tę, gdyby papież zażądał, aby władca Moskwy, wyrzekłszy się obrządku ruskiego, wprowadził na jego miejsce do swego państwa rzymski, aby pozakładał tam zaraz kościoły, biskupstwa i arcybiskupstwa, aby wyposażył je w odpowiednie fundusze — i w ten sposób *„iam in universam omnibus ritibus rutenicis renuntiaret"*. „Przytem, aby też — pisze król — i między innemi kondycyami ta beła włożona, iż jako Św. Ojciec pokój między królami chrześciańskimi obmyśliwać ma, iżby też to beło włożono, aby wróciwszy nam i ojczystemu naszemu państwu to, co jego przodkowie zabrali, aby dopiero między nami *perpetua pax esset firmata*". „Remedium" to przeciw sprawie księcia Moskwy, z którem król „ni przed kim się jeszcze nie otworzył" tylko przed Radziwiłłem wileńskim i bratem jego, trockim wojewodą, miało być stosownie do rady tych obydwu książąt, aby kwestyę moskiewską omówił król jeszcze z panami koronnymi w Krakowie, niebawem podane do wiadomości tych panów, ale tylko „niektórych [1])". Ponieważ zaś wojewoda wileński miał jeszcze radzić, aby król zwrócił się do króla duńskiego i księcia pruskiego z prośbą, by przejęli w swych krajach koronę, którą może będą wieźli od cesarza dla swego księcia posłowie moskiewscy, przeto napisał Zygmunt August jeszcze jeden list do księcia Albrechta dnia 25. stycznia, w którym pytając go o radę w kwestyi moskiewskiej prosi go zarazem, by porozumiał się z królem duńskim i mistrzem inflanckim co do zatrzymania korony królewskiej, przeznaczonej dla Iwana [2]). Radziwiłł miał także radzić, aby król przedsięwziął przeciw niemu jakąś dyplomatyczną kampanię u króla rzymskiego Ferdynanda, brata cesarza, i poddawał w tym celu myśl, aby ożenił się w jego domu. Król zgadzając się z tą radą, powziął już w drodze do Krakowa postanowienie wyprawienia poselstwa i do cesarza i do króla rzymskiego, jak również poruszenia w Krakowie między „niektórymi" panami sprawy małżeństwa swego [3]).

---

[1]) Lachowicz, s. 37—42.
[2]) Script. Rer. Pol. T. I. s. 67. z Łagowa w Radomskiem.
[3]) Lachowicz, s. 42.

Jednakże przybywszy do Krakowa, nie mógł z powodu nieobecności wielu senatorów natychmiast złożyć narady w sprawie moskiewskiej, jak nie mógł z tego samego powodu zaraz rozpocząć obrad sejmowych. Ale nie omieszkał stosownie do zapowiedzi swojej omawiać ją prywatnie z tymi i owymi panami, a w końcu zainteresował nią tak bardzo wielu z nich obecnych w stolicy, że uznali za stosowne zabrać w niej głos gremialnie wobec papieża w Rzymie. Protest ich miał poprzeć protest podniesiony przez króla. Wygotowali w tym celu dnia 15. i 18. lutego obszerne memoryały do papieża i kardynałów [1]), które miały uzupełnić opinię króla, jaką miał wypowiedzieć w imieniu jego bawiący w Rzymie poseł W. Kryski. W memoryałach swoich zwracają senatorowie szczególniejszą uwagę stolicy i kuryi rzymskiej na ten fakt historyczny, że już podobne próby jak z Iwanem IV. robiono z innymi władcami Moskwy lub Rusi, niedawno z ojcem jego Wasylem III. a przedtem z księciem Halicza, Danielem, ale tak te jak i inne próby zawodziły, bo Moskalom i Rusinom nie chodziło szczerze o katolicyzm, tylko o korzyści chwilowe, jakie z niego i w związku z kościołem łacińskim mieli wyciągnąć dla siebie. Unia z tym kościołem, to tylko zręczny wybieg podstępnej ich dyplomacyi i przeniewierczej polityki. Nie chodzi senatorom o to, aby władca Moskwy nie miał uzyskać potwierdzenia tytułu króla lub cara, który to tytuł ostatni już dawno sobie przywłaszczył, jak raczej o to, aby wraz z tym tytułem nie rościł sobie pretensyi do ziem ruskich pod pozorem, jakoby mu je przyznali papież i cesarz — ziemie te bowiem od dawna należą bądź to do Polski bądź do Litwy. W układaniu powyższych memoryałów brał bezwątpienia niemały udział także Zebrzydowski. W liście jego pisanym w lutym [2]) do kardynała Al. Farnesego, protektora Polski, znajdujemy zdania, które znakomicie uzupełniają się z opinią króla i senatorów, wyrażoną w memoryałach. Oto Zebrzydowski kładzie również nacisk na to, że perfidya i przewrotność dyplomacyi moskiewskiej jest powszechnie znanem w dziejach zjawiskiem historycznem. Nie powinna się, zdaniem jego, łudzić Stolica Apostolska nadzieją, że się jej uda księcia Moskwy nawrócić na łono Kościoła katolickiego. Próby poprzednie, które zawiodły tak papieży jak władców świeckich, cesarzów i królów, przekonały wszystkich, że Moskale nie tyle pragną religii i królestwa, jak królestwa przez religię, *regnum*

[1]) Script. 1. s. 72 i 73.
[2]) Kor. Zeb. nr. 801.

*tantum per religionem;* że nie tyle chodzi im o to, aby mogli słuchać zbawczego głosu Kościoła rzymskiego jak o to, aby ich władca pysznić się mógł swoim tytułem nowym wobec króla polskiego, z którym przecież równać się nie może pod żadnym względem. Zresztą i to mieć należy na względzie, że jakkolwiek dobrze jest i chwalebnie pracować nad pozyskaniem cara dla Kościoła, jednak o wiele rozsądniej pamiętać o prawym synie tego Kościoła, o królu polskim, który może w tych niebezpiecznych dla katolicyzmu czasach, prowokowany przez Stolicę Apostolską i zagrożony przez nią w swych interesach, łatwo dać posłuch nieprzyjaciołom Kościoła, co podmawiają go i zachęcają do przyjęcia nowych religii i obrządków. Wprawdzie dotychczas nie uległ jeszcze Zygmunt August ich podszeptom i jeszcze trzyma się wytrwale starej swej wiary, ale obawa zachodzi, aby przez rozstrzygnięcie sprawy moskiewskiej na niekorzyść państwa polsko-litewskiego, nie popchnął papież króla w ramiona senatu świeckiego, który nim kieruje od dawna nie podług myśli biskupów, *contra nostram episcoporum sententiam*, a powodując się świeżą urazą do Stolicy zaprowadziłby go daleko, choćby wbrew jego woli, *contra ipsius voluntatem.* Prosił więc Zebrzydowski Farnesego, a z nim całe kolegium kardynałów. aby Stolica Apostolska trzymała się zdala od sprawy moskiewskiej. Jeśli koniecznie ma otrzymać władca Moskwy tytuł króla, niech go otrzyma z rąk samego cesarza bez pomocy papieża.

Do debat senatorów i Zebrzydowskiego, prowadzonych z inicyatywy króla nad kwestyą moskiewską, przyłączył swój głos Albrecht, książę pruski, przysyłając do Krakowa królowi odpowiedź na jego list z 25. stycznia [1]). Albrecht, chcąc uspokoić króla, słusznie dowodził, że papież dobrze jest usposobiony dla niego, skoro odniósł się ze sprawą Iwana IV. do niego. Powinien więc król przedewszystkiem wyprawić posła do Rzymu, któryby uwiadomił papieża, że król już wie o mającem nastąpić przyjęciu księcia Moskwy do Kościoła katolickiego. Uwiadomiwszy go o tem, powinien oświadczyć poseł papieżowi, aby przed nadaniem księciu owemu tytułu króla, zażądał od niego zwrotu na rzecz Litwy zamków i miast, dawniej zabranych i oderwanych od niej, jakoteż zawarcia wieczystego pokoju z królem Polski i ziem z nią połączonych. Także powinien król porozumieć się za pośrednictwem umyślnego posła z cesarzem, aby po za jego plecami nie załatwiał

[1]) Script. 1. s. 67—69, list jego z 14. lutego 1553.

sprawy moskiewskiej. Równocześnie dobrzeby było wyprawić do Moskwy zaufanych mężów z Litwy i z Polski, którzyby umyślnie zohydzali wobec księcia i Moskali papieża, religię katolicką i unię z jej Kościołem, którzyby odradzali im przyjęcie katolicyzmu jako niosącego z sobą jarzmo niewoli rzymskiej i ciężar podatków i danin. Całą tę jednak intrygę należałoby prowadzić tak, aby się nie domyślano, że jest robotą polską, dziełem króla polskiego... Książę Albrecht mniema, że skutek tej intrygi będzie dobry, bo władca Moskwy i jego poddani porzucą myśl przejścia na łono katolicyzmu a tym samym umorzą sami niebezpieczną dla Litwy i Polski kwestyę korony królewskiej. Co do króla Danii i mistrza Inflant sądzi, że najlepiejby było, aby król sam zwrócił się do nich z prośbą, chociaż z góry nie ręczy za skutek jakichkolwiek starań, bo ci władcy w niczem nie sprzeciwią się woli papieża i cesarza...

Rady księcia Albrechta w sprawie obesłania dworów wiedeńskiego i rzymskiego znalazły przychylne przyjęcie u króla i u otaczających go senatorów. Zgodzono się na wyprawienie z misyą poselską do króla Ferdynanda, brata cesarza, księcia M. Radziwiłła Czarnego, jak niemniej do Rzymu gońca z nowemi instrukcyami dla posła W. Kryskiego, mającemi złagodzić zbyt ostry charakter jego poselstwa w sprawach kościelnych stosownie do wymagań bieżącej chwili. Książę Radziwiłł miał wyrazić w Wiedniu w imieniu Zygmunta Augusta ubolewanie, że brat króla Ferdynanda, cesarz Karol V. wspiera wroga króla polskiego. Być może względy religijne powodują nim tutaj, lub sperandy na pomoc moskiewską przeciw Turkom. Aliści powinien wiedzieć cesarz, że katolicyzm w Moskwie i na Rusi wogóle jest powszechnie znienawidzony. Misyi religijnej w tych ziemiach byłby się dawno podjął sam król polski, gdyby był widział, że ma szanse powodzenia. Zresztą religia w Moskwie, to tylko środek do dopięcia politycznych celów. Tak samo niech nie marzy cesarz o pomocy moskiewskiej przeciwko Turkom. Wszak musieliby Moskale prowadzić wojska swoje albo przez ziemie Rzptej, a na przemarsz taki nie pozwoliłby król, albo przez ziemie Tatarów, którym dawniej służyli, a ci bez wojny również nie przepuściliby ich nigdy do Turcyi. Jeśli Ferdynand uzna za stosowne, to Zygmunt August wyszle posła w tej sprawie wprost do samego cesarza, by go nakłonić do porzucenia zgubnej dla Polski polityki moskiewskiej [1]).

[1]) Script. 1. s. 75—77., Hos. Epist. T. II. p. 1. nr. 1011. — Radziwiłłowi król Ferdynand miał odpowiedzieć, że o staraniach księ-

W tym samym czasie wygotowano nowe instrukcye dla W. Kryskiego [1]). Instrukcye te odsłaniają nam tajemnicę, którą król otaczać miał swoje postępowanie na sejmie w sprawach kościelnych. Poleca w nich król, aby Kryski misyę swoją w tych sprawach usunął jakoby na plan dalszy, aby tedy przedstawił życzenia jego wobec papieża i kardynałów w formie jak najłagodniejszej, politycznie i delikatnie, *verbis quantum fieri potest modestissimis*. Przedewszystkiem miał Kryski zaniechać protestacyi przeciw annatom, a założyć ją chyba tylko wtedy, gdyby nie udało mu się załatwić sprawy moskiewskiej po myśli króla. Sprawa ta, to główny przedmiot jego misyi poselskiej. Miał tedy Kryski w myśl życzeń króla i senatu polskiego zaprotestować kategorycznie i solennie przeciw nadaniu księciu moskiewskiemu tytułu króla Rusi, bo Ruś jako taka zawsze należała do Litwy i jej wielcy książęta byli zarazem władcami Rusi. Wprawdzie część ziemi ruskiej zostaje dzisiaj pod berłem moskiewskiem, ale część tę obiecuje sobie król odzyskać jako „*patrimonium*“ swoje. Jeśli więc ma uzyskać władca moskiewski tytuł króla, to tylko króla Moskwy, nie Rusi. Zastrzegłszy należycie zakres tytułu, jaki ma być przyznany Iwanowi IV., miał Kryski poinformować papieża, jak ma postąpić sobie wogóle z tym księciem. Książę to przewrotny i kłamliwy, jak cała dyplomacya moskiewska. Trzeba kategorycznie i jasno określić kondycye, pod któremi Stolica Apostolska przyjmie go na łono Kościoła katolickiego, zwłaszcza trzeba omówić wszystko z góry, co się tyczyć ma administracyi przyszłego Kościoła i hierarchii moskiewskiej. Dopiero wtenczas może Stolica Apostolska uwieńczyć Iwana dyademem królewskim, gdy wypełni wszystkie jej postulata. Czy tak czy owak, powinien jednak papież pamiętać o tem, że wynosząc do godności królewskiej niepewnego sprzymierzeńca Kościoła katolickiego, jakim będzie świeżo nawrócony książę Moskwy, dotknie tem srodze dawnego swego sprzymierzeńca i wyznawcę katolicyzmu, króla Polski i Litwy, bo nietylko narazi go na wojnę z nowym królem, który nie omieszka szukać okazyi do niej, aby wziąć w swoje posiadanie ziemie litewsko-ruskie, ale także złoży dowód, jak mało sobie ceni prawowierność katolicką króla polskiego... Przychylności zaś i uznania ze strony

cia Moskwy nic nie wie. Przeździecki Jag. V. s. LXXIV. Wyjechał z Krakowa do Wiednia w ostatnich dniach lutego b. r., tamże s. LXXV., list z Krakowa z dnia 10. III. t. r. pisany przez J. Langa, posła ks. Ferdynanda.

[1]) Script. 1. s. 69—72, s. 74.

Stolicy Apostolskiej potrzebuje król właśnie w tej chwili, bardzo groźnej dla Kościoła i katolicyzmu także w Polsce i na Litwie. Obawa bowiem zachodzi, że fawor okazywany ze strony papieża wrogowi króla polskiego, wzburzy ludy poddane jego berłu i wywoła jawny rokosz przeciw Rzymowi...

Z chwilą załatwienia kwestyi moskiewskiej mógł już Zygmunt August podjąć prace sejmowe, bo zjechało się już dosyć senatorów i posłów. Było to w ostatnich dniach lutego. Nie zważając jednak na niechęci i tajne roboty niektórych senatorów i posłów, otworzył sejm propozycyą tronową, w której jak zwykle zażądał przedewszystkiem podatku na obronę potoczną ze względu na potrzebę zajęcia Mołdawii i utrzymania pogotowia wojennego przeciwko Turkom i Tatarom [1]). Prócz tego przedłożył projekt ustawy o nadzwyczajnych sądach ostatniej instancyi dla załatwienia spraw zaległych, których sądzeniu on sam swoją własną osobą żadną miarą podołać nie może. Do projektu owego dodał drugi jeszcze o zmniejszeniu liczby posłów, nadmiernie w ostatnich czasach wzrosłej [1]). O egzekucyi czyli o reformie w szerokiem jej znaczeniu nie wspomniał, chociaż nie zaprzeczał, że jej potrzeba, bo źle się dzieje w Koronie [2]). Po propozycyi od tronu, złożyli swe wota senatorowie, między nimi bezwątpienia również Zebrzydowski, obecny na sejmie, który jako znany zwolennik korony a nieprzyjaciel szlacheckiego ruchu nie mógł, zarówno jak i inni, ci i owi senatorowie, nie popierać króla i jego projektów. Jak domyślać się można z wzmianek zachowanych w dyaryuszu sejmowym [3]) o wotach senatorskich, nie tylko zgadzały się one z propozycyą królewską, ale tyle zarazem zawierały alluzyi do posłów, jakoby ich było wyłączną winą, że dotychczasowe sejmy nic nie zdziałały dla dobra kraju, że posłowie niemile niemi zarówno jak propozycyą, która pomijała szlachecki program reformy, dotknięci, usunęli się niebawem na osobną naradę i zawiązawszy się w tak zwane koło poselskie, wystąpili na niem z głośnymi żalami na króla i panów, jako głównych wrogów swej sprawy [4]). Taki początek sejmu był złą wróżbą dla niego.

Zachowała się do naszych czasów jedna mowa z dnia 24. lutego, którą wypowiedział w kole jeden z najznakomitszych wo-

[1]) Script. Rer. Pol. T. 1. s. 80., 82. i 62.
[2]) Script. 1. s. 4.
[3]) Script. 1. s. 1—24. i s. 25—26.
[4]) Script. 1. s. 24—33. i str. 111.

dzów partyi szlacheckiej, Hieronim Ossoliński, poseł ziemi krakowskiej, znany nam z awantur z duchownymi [1]). Mowa ta charakteryzuje doskonale nastrój, jaki panował na początku sejmu pośród przedstawicieli szlachty. Może być uważaną za konkluzyę narad odbytych w kole sejmowem. Rozgoryczony Ossoliński powiada w niej, że stracił już „serce i nadzieję“, aby sejm ten był lepszym od poprzednich. Będąc od kilku lat posłem, nasłuchał się już dosyć skarg na „wielki nierząd“, „wielkie niesprawiedliwości“, „wielkie swawoleństwo“, jakie się dzieje w Koronie. Namawiamy się do tego, abyśmy radzili o tem i szukali dróg do poprawy złego, a mimo to wszystko dzieje się po dawnemu. Nie warto już wdawać się z panami, którzy posłów oczerniają wobec braci szlachty i są sprawcami „łajania“ i gniewów. Oni mówią, że „posłowie długiemi oracyami czas zwloką“ i „musim się przeto bez niczego rozjeżdżać“. Nie przeczę, „po staremu pozwalają nam mówić i radzić o czem chcemy, potem jedno odrzucą, drugie też przyjmą, ale jednak dzierżeć nie będą, jako i innych pierwej ustaw, a będą przed się na to czekać, abyśmy co dali“... „Jeżeli damy, to już dobry sejm, jeśli nie damy, — to powiedzą — że czas darmo zwlekli posłowie i rozerwali sejm zabawiając się“ lada czem. „Wszakże też jaśnie niektórzy panowie mówią, że po poślech nic, jeno, by dali podatek“. (Zebrzydowski!) A jak panowie, co „szkodą a nierządem naszej Rzptej potyli“, radziby nie widzieć sejmów, bo sumienia ich niepokoją skargi posłów, tak samo zżyma się na nie król, bo nie zachowuje praw naszych i wolności naszych. Zapowiada Ossoliński, że w pełnej izbie przypomni królowi, jako obrał go naród swym panem „*ad aedificationem non ad destructionem*“ Rzptej; że będzie go prosił, „aby pamiętając na to, wejrzał w prawa nasze, a tam oglądał, że sam z siebie przodkiem dosyć im nie czyni, nie sądzi, sprawiedliwości nie czyni, urzędy nie wedle prawa rozdaje, królewskiem imieniem — czyli dobrami koronnemi — nie wedle przywileju szafuje, urzędów swych, które po ziemiach postanowione są, doglądać tak nie raczy..., aby z swego powinowactwa nie wykraczali“... Wobec takiego zaniedbania administracyi państwowej, cóż znaczy owa propozycya królewska, zmierzająca do pewnej zmiany dotychczasowej konstytucyi? Po co jednak tę konstytucyę zmieniać? „W wolnościach naszych mamy już dawno opisane swobody takie, za jakiemi i w sprawiedliwości i w obronie bez żadnego ucisku są-śmy z przodków

[1]) Script. Rer. Pol. 1. s. 34—37.

swych te wieki przetrwali". Chodzi więc o co innego, mianowicie o to, aby konstytucya istniejąca nie była naruszaną a ustawy jej były należycie wykonywane. Aliści cóż się dzieje? Istnieje w Polsce od r. 1505 ważny statut, Nil novi, „gdzie król się obowiązuje, że nic nowego na nas bez Rad koronnych i posłów ziemskich stawić nie może". Tymczasem „na koronacyi królowej Barbary Radziwiłłównej dał król IM. list księdzu Dierżgowskiemu, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, i ze wszystkiemi jego kapitułami na wolności nasze, przez sejmowego zwolenia, to jest bez Rad i bez posłów". Na sejmie piotrkowskim ubiegłego roku „prosiliśmy Pana naszego, aby ten przywilej, który księża odzierżeli przeciw wolnościom naszym przez nas skazić raczył"..., ...jednak nie odzierżeliśmy nic innego, jeno: *quod scripsi, scripsi*". „I inne by się pokazały, które dawano bez nas przeciw prawu"... W dalszym ciągu swej mowy zbijał Ossoliński projekt królewski o sądach ostatniej instancyi, jakoteż potrzebę stałej obrony potocznej na kresach wschodnich. Jak nie potrzebuje Rzpta nowych praw, tak samo nie potrzebuje nowych ciężarów i podatków. Nowe sądy byłyby nowym ciężarem dla szlachty, stała obrona również. Mołdawię zhołdować można zapomocą pospolitego ruszenia wszystkich ziem Korony i Litwy, nie wyłączając księstw szląskich i Prus; w poddaństwie utrzymać i zabezpieczyć przed Turcyą zapomocą stałej załogi złożonej z Polaków, a utrzymywanej kosztem Wołochów z pieniędzy, które do tego czasu płacili Turkom tytułem haraczu.

Streszczona powyżej mowa wybitnego posła ziemi krakowskiej musiała być wyrazem opinii większości koła sejmowego, skoro nie komu innemu tylko właśnie Ossolińskiemu powierzoną została misya wstępnego przemówienia na pełnej sesyi sejmowej. Pełen poczucia wysokości zadania ciążącego na nim, wypracował on mowę, którą miał wygłosić, na piśmie, i poddał ją łaskawej ocenie hetmana J. Tarnowskiego, stronnika szlachty, śledzącego pilnie bacznem okiem przebieg sejmu, acz nie biorącego w nim osobistego udziału [1]). Najbliższe posiedzenie sejmu odbyło się w ostatnich dniach lutego; na niem też wystąpił Ossoliński z przygotowaną oracyą swoją. Scharakteryzowawszy pokrótce ostatnie lata panowania chorego i starego Zygmunta I. jako epokę poczynającego się upadku i nieładu, przypomniawszy potem, jakie to nadzieje budował naród jeszcze za życia Zygmunta I. na pa-

[1]) Script. Rer. Pol. 1. s. 62.

nowaniu młodego króla, jakie usiłowania przedsiębrał na sejmach 1550 i 1552 r. około poprawy Rzptej czyli egzekucyi praw koronnych, powiada Ossoliński tak dalej: Wprawdzie „też W. K. M. nam był list dać raczył“ — to jest przywilej wystawiony po sejmie r. 1550 [1]). — „czyniąc nam egzekucyi tej, o której tam napisano, pewną nadzieję“. Byliśmy pewni, że na przyszłym sejmie ta egzekucya nastąpi. Jednakże z przeszłego sejmu — mowa o zeszłorocznym sejmie piotrkowskim — „nic innego nie odnieśliśmy, jeno postąpiwszy podatek, jechaliśmy do domu“. Chcieliśmy unii, a tymczasem sejm ów ani „na ten czas, ani na tem miejscu, ani z Litwą, ani z Prusaki, ani z innemi księstwy położon był“. Chcieliśmy poprawy Rzptej a tymczasem „widzieliśmy omieszkanie wielkie sądów W. K. M. a sprawiedliwości naszej; widzieliśmy limitacye przeciw prawom a wolnościom naszym, widzieliśmy szafunek tak dostojeństw, jako i dóbr a skarbów Rzptej, nie wedle przywilejów naszych“. „Odnieśliśmy też z tego sejmu, iż W. K. M. nasz P. M. list ten — mowa o przywileju z dnia 13. XII. 1550 [2]) — któryś W. K. M. przeciw prawom i wolnościom naszym panom duchownym na nas bez nas dać raczył, przywilejemeś W. K. M. nazwał, a w prawiech naszych tak stoi, iż cobykolwiek się wydało, napisało przeciw prawom, wolnościom, że to ma być *irritum, inane et ut quasi contra praestitum juramentum faceremus*“. Te i owe nadużycia rządu „namnożyły wiele złego“. o czem „i sam W. K. M. przez IMP. Kanclerza wspomnieć-eś raczył“. Widzimy więc „że zginęła sprawiedliwość“; „widzimy, że żaden stan własnej swej powinności dosyć nie czyni“; „widzimy, że stan rycerski zniszczał“; „widzimy, że hetmanów nie masz“; „widzimy, że tu na sejmie rad starych świeckich skoro przedniejszych nie masz“...; „widzimy, że wiele rzeczy za dary, a jako niektórzy zowią, za possuły (= kubany) idzie, tak że się obawiamy, aby nie było tak, jako i w Rzymie napisano: *Omnia venalia*“... „A tak za tą potrzebą naszą przyszliśmy tu do W. K. M. n. M. P., jako do tego, komuśmy się w opiekę zwierzyli, bojąc się, abyśmy nie zginęli ostatecznie przez te wszystkie nierządy, przed W. K. M. przełożone“... „Prosimy“ — więc — „W. K. M. n. M. P. pokornemi prośbami, abyś już *tandem* na te noty rzec a temu *ultimum imponere manum* raczył“... „Zmiłuj się W. K. M. nad imieniem przodków swoich, z których wielką sławę a rzecz mieć raczysz“...

[1]) Script. Rer. Pol. 1. s. 3. i s. 48.
[2]) Jak wyżej, str. 59.

„Zmiłuj się W. K. M. nad wiernymi poddanymi swymi, którzy z wielką nadzieją i radością oczekiwali panowania W. K. M., nakoniec sam nad sobą! Bo jeźli my upadniemy, W. K. M. panować nie możesz“... „Nie tak się N. M. P. boimy nieprzyjaciela przyszłego, jak się boimy nierządu wnętrznego“. Jeśli „w tym nierządzie trwać będziemy, nic innego pewnie nie widzimy, jeno pewny a rychły upad..., a tak i jeszcze prosimy, racz W. K. M. czynić powinowactwu swemu pańskiemu dosyć!“... Kończy Ossoliński swoje gorące a złowróżbne słowa oświadczeniem, że posłowie, jeśli król nie spełni słusznych żądań narodu i nie rozpocznie egzekucyi praw... od siebie samego, nie przystąpią nigdy do debat nad projektami jego i „nic nowego“ nie postanowią.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Tadeusz Troskolański.

# STAROŻYTNOŚCI BIBLIJNE

## w świetle archiwum egipskiego z XIV. w. przed Chrystusem[1]).

Odcyfrowanie napisów, które odkryto na dalekiej przestrzeni Azyi przedniej: Assyryi, Babilonii, Arabii, Palestyny, a szczególnie w Egipcie, owym klasycznym kraju pomników, stanowi jedną z najpiękniejszych zdobyczy ducha ludzkiego. Imiona uczonych: Champollion, Grotefend, Burnouf, Lassen, Rawlinson, Lepsius, Oppert, którzy mozolnemu odcyfrowaniu zagadkowych do początku naszego wieku hieroglifów, babilońsko-assyryjskich lub perskich klinów, poświęcili całą swą pracę życiową, wliczone będą w szereg najznakomitszych imion ubiegłego stulecia.

Odkrycia te trwają jeszcze ciągle. Od czasu do czasu słyszymy o nowych wykopaliskach na gruzach starożytnego wschodu, które coraz więcej rozszerzają nasz horyzont historyczny, nieraz

---

[1]) Literatura. 1) Halévy: L'état de Palestine avant l'exode (Actes du VIII. Congr. Orient. Sect. Sem. (b) 141—152).

2) Halévy: La correspondence d'Aménophis IV. et la Bible (Rev. des etudes juives XX—XXI.), zajmuje się głównie wyświetleniem nazw geograficznych w dokumentach z T. A. na podstawie nazw biblijnych i odwrotnie, tu i ówdzie rzuca też światło na zajmujące szczegóły kulturne.

3) Zimmern: Palästina um das Jahr 1400 v. Chr. nach neuen Quellen. (Zschr. Paläs. Ver. XIII, 133—147), zwraca pierwszy uwagę na glossy kananejskie w dokumentach i na ich filologiczne znaczenie.

4) Delattre: Le pays de Chanaan province de l'ancien empire Egyptien. (Rev. de quest. histor. 1896).

zdumiewające odkrywają nam obrazy dziejowe. a jest wszelkie prawdopodobieństwo, że nie raz jeszcze sprawdzi się w tem znaczeniu: Ex Oriente Lux.

Jednem z najważniejszych odkryć, jakie w ostatnich latach poczyniono, a które szczególnie rzuciło nowe światło na najdawniejsze dzieje Hebrejczyków i wogóle na starożytności biblijne, jest zbiór dokumentów znaleziony w Tell-el-Amarna, w Egipcie, znany powszechnie pod nazwą: Archiwum Tell-Amarneńskie.

W pobliżu miasta tego, na wschodnim brzegu Nilu, między Tebami a Kairo, znaleźli robotnicy arabscy kopiąc ziemię kilkanaście skrzyń drewnianych, zapełnionych przeszło 300 tabliczkami glinianemi, na których były napisy klinowe. W sam czas jeszcze dowiedziała się o tem władza i umieściła ten kosztowny skarb w bezpiecznem miejscu. Blisko 100 tabliczek nabył rząd angielski i odstawił do British-Museum, około 200 nabyło muzeum królewskie w Berlinie, a mała część tylko została w muzeum w Kairo.

Ledwie w trzy lata po odkryciu okazała się już publikacya londyńskich i berlińskich tekstów oryginalnych, a w r. 1896 wydał H. Winckler w V. tomie „Keilinschriftliche Bibliothek“ dokładną transskrypcyę i dosłowne przetłómaczenie tekstów, przez

---

5) Winckler: Geschichte Israels 1896, buduje na tych dokumentach całą konstrukcyę osobliwą pierwotnych dziejów Izraela.

6) Winckler: Die Hebräer in den Tell-Amarna-Briefen (Semit. Stud. of Kohut. 605 i nast.)

7) Klosterman: Ein diplomatischer Briefwechsel aus dem II. Jahrtausend vor Chr. 1898.

8) Hommel: Die altisrael. Überlieferung im inschriftl. Beleuchtung 1897.

9) Billeb: Die Thontafeln von T. A. und die Bücher Josua und Richter (Deutsch-evang. Blätter 1897), jednostronnie konserwatywne, bez wartości.

10) Trampe: Syrien vor dem Eindringen der Israeliten (nach den T. A.) 1898, kreśli kulturę Palestyny w epoce z T. A., zajmuje się także kwestyą „Chabiri“.

11) Glaser: Das Alter der minäischen Inschriften und der Ursprung des Namens Hebräer (Mitth. d. Vorderas. Gesellsch. 1897).

12) Ed. Meyer: Glossen zu den Thontafeln von Tell-Amarna (Festschrift-Ebers 1897), daje kilka bystrych wyjaśnień do nazw geogr. na podstawie nazw egipskich, w kwestyi identyczności Chabiru-Ibrîm zgadza się z Wincklerem.

co umożliwił korzystanie z tego cennego materyału także tym którzy assyryjskich klinów czytać nie umieją.

W ostatnich pięciu latach opracowali też różni uczeni dokumenta te bądź częściowo, bądź w całości, tak że istnieje dziś cała literatura w tym przedmiocie.

Zarówno dla historyi, dla politycznej niemniej jak dla kulturnej, dla geografii starożytnego wschodu, dla filologii semickiej, starali się badacze z materyału skorzystać, i niejeden też ważny rezultat w każdej z tych dziedzin naukowych osiągnięto.

W dokumentach tych przechowała się nam dyplomatyczna korespondencya dwóch królów egipskich z XVIII. dynastyi, których imiona w listach tych brzmią: Nimmurjah i Napchurjah.

Mała ale bardzo cenna część tekstów zawiera listy, jakie wymieniali ci dwaj Faraonowie ze współczesnymi im władcami nad Eufratem i Tygrysem: z królami Babilonii Kadašman-Bel i Burnaburjaš, z królem assyryjskim Ašuruballit, z władcą państwa Mitani, graniczącego z Babilonią i księciem kraju Alašia, w którym niektórzy uczeni upatrują wyspę Cypr[1]). Większą część jednak zajmują listy książąt fenickich i palestyńskich, do Faraonów wspomnianych. Książęta ci są bądź lennikami Faraonów, bądź też występują w roli namiestników i urzędników.

Synchronizmy wynikające z tych listów w porównaniu z hieroglifami i datami znanemi już skądinąd z dziejów babilońsko-assyryjskich, każą w tych dwóch Faraonach ponad wszelką wątpliwość upatrywać królów: Amenôthesa III. i syna jego Amenôthesa IV., panujących w końcu XV. a początku XIV. wieku[2]). Imiona Nimmurjah i Napchurjah, wyłącznie w naszych dokumentach użyte, wyrażają tylko stosunek tych królów do boga słońca: R'a. Obaj należą do XVIII. dynastyi, która od połowy XVI. wieku zajmowała tron egipski, uwolniwszy w tym czasie kraj od uciążliwego jarzma Hyksosów (Schôsu), intruzów semickich.

Pierwszy ważny fakt, jakie przez nowo odnalezione archiwum wydobyto na światło dzienne, a którego przedtem nikt przypuścić nie śmiał, jest ten, ze język babilońsko-assyryjski

[1]) Niedawno wypowiedział to przypuszczenie Max Müller, powołując się na ciekawą notatkę w biblii, w znanej tabeli genealogicznej. (Gen. 10. 4: „A synowie Jawan'a (Grecya): Elisa). Zob. „Orient. Littz." 1900, Nr. 9.

[2]) Zob. Krall: Grundriss d. altorient. Geschichte, Wiedeń 1899, str. 73.

(w piśmie klinowem babilońskiem) służył w połowie II. tysiąclecia przed Chr. jako oficyalny język dyplomatyczny w politycznych stosunkach między wszystkiemi państwami Azyi przedniej a Egiptem. Ten nader znamienny fakt da się tylko w ten sposób objaśnić, że setki lat przedtem istniał wpływ kultury babilońskiej w całym obrębie krajów między Eufratem a morzem Śródziemnem, a tak potężny wpływ znowu jest tylko wtedy zrozumiałym, jeżeli był czas, w którym cała Azya zachodnia (t. zw. Martu) także politycznie była od Babilonu zawisłą.

Jakkolwiek się rzecz ma, dowiedzionem jest w każdym razie, że w II. tysiącleciu przez dłuższy przeciąg czasu Babilonia była punktem środkowym kultury przednio-azyatyckiej, że wszystkie plemiona występujące wówczas na widowni dziejowej a stanowiące nawet oddzielne państwa tej kulturze się poddać musiały i że — co ze szczególnym naciskiem podkreślić należy — że także Palestyna i Fenicya w owym czasie noszą na sobie piętno kultury babilońskiej.

O tem, że Palestyna w tej epoce należała politycznie do Egiptu, doniosły nam jeszcze przed odkryciem dokumentów w T. Amarna pomniki egipskie.

Już pierwsi królowie tej dynastyi rozpoczęli wyprawy wojenne przeciw Palestynie, szczególnie zaś Thutmosis III. (1503—1449) kilkakrotnie przedsięwziął tam wyprawy i zapewnił sobie panowanie nad całą Palestyną.

Pod późniejszymi władcami zapał wojenny stygnie coraz więcej, zdobyty przez Thutmosisa suwerenat staje się chwiejny, a w XIV. wieku jest on faktycznie cieniem tylko.

Zresztą jednak występuje Egipt w naszych dokumentach jako wpływowa figura w koncercie mocarstw przednio-azyatyckich i utrzymuje żywe stosunki dyplomatyczne z sąsiedniemi i dalszemi potęgami: z władcami Assyryi, Babilonii, gdzie panuje dynastya Kassitów, z państwem Mitani nad górnym Eufratem i z książętami Alašia (Cypru). Z tej rozległej i regularnie prowadzonej korespondencyi dyplomatycznej nie trudno wysnuć motywów przewodnich ówczesnej polityki Faraonów. Urzędowo utrzymują przyjazny stosunek ze wszystkiemi temi państwami, w dyskrecyi przenoszą swą sympatyą to na tę, to na ową stronę, a rozstrzygającym momentem w tym względzie jest zabezpieczenie sobie suwerenatu nad Palestyną i Syryą wobec wszystkich państw ościennych, szczególnie zaś wobec najazdów Chattejczyków (Chatti), którzy od dawna już z siedzib swoich pierwotnych w Małej Azyi zapuszczali się

w głąb Azyi przedniej, a w naszych dokumentach najazdami swymi zagrażają bezpośrednio Palestynie.

W korespondencyi tej jest jeszcze inny moment uwagi godny, że w niej mianowicie już zaznacza się dobitnie właściwość polityki Faraonów, jak ją drastycznie prorok Jezajasz w rozdz. 30. i 31. kilkaset lat później charakteryzuje wołając: „Biada tym, którzy zdążają do Egiptu, szukając pomocy ..., by się schronić w cieniu Faraona". I oto jak z naszych listów jasno widzieć można, łudził już wtedy dwór faraoński mocarstwa sąsiednie, co do swej potęgi i co do gotowości niesienia pomocy [1]).

Podczas gdy w swej polityce zewnętrznej Egipt odgrywa jeszcze w naszych dokumentach rolę potężnego czynnika, z którym wszystkie inne państwa liczyć się muszą, to przedstawiają nam listy z Palestyny pochodzące, od urzędników i namiestników do Faraona wystosowane, obraz zupełnej anarchii, wobec której królowie egipscy są zupełnie bezsilni, obraz, który stoi w jaskrawym kontraście do ogólnego politycznego stanowiska Egiptu, jako pierwszorzędnego mocarstwa.

Jak sobie tę sprzeczność wyjaśnić?

Ogólnie przypisują historycy upadek panowania egipskiego w Palestynie Amenôthesowi IV., który oddany całkowicie wewnętrznym sprawom państwa, zaniedbał zupełnie jego zewnętrznych potrzeb, tak, że luźna już przedtem władza Faraonów pod nim zupełnie się rozwiązuje i niknie.

Ta utrata rzeczywistej zwierzchności w Palestynie stoi w ścisłym związku z innym nader znamiennym faktem z czasów Amenotesa. Król ten przedsięwziął r e f o r m ę r e l i g i j n ą, zdążającą do wprowadzenia m o n o t e i z m u, a raczej h e n o t e i z m u, jako religii państwowej, reformę stojącą w jaskrawej sprzeczności z ówczesnemi pojęciami Egipcyan. Nowatorstwo to zwróciło się szczególnie przeciw dominującemu wówczas w Egipcie kultowi A m o n a i potężnemu kapłaństwu, w jego służbie stojącemu. Cześć tarczy słonecznej, symbolu boga R'a miała się stać religią panującą. Gwałtowny opór, na jaki napotkał Amenôthes u kapłanów w Tebach, którzy przez taką reformę nietylko swą moralną podstawę, ale i materyalną: swoje dobra utracili, pobudził go do tem energiczniejszych środków celem przeprowadzenia swych celów, surowo prześladuje odtąd kult Amona i jego wyznawców, imię Amona każe na wszystkich pomnikach wyskrobać, ba nawet opuszcza do-

[1]) Zob. Klostermann: Ein diplom. Briefwechsel etc. str. 9.

tychczasową rezydencyę Teby, siedzibę boga Amona i buduje nowe miasto dla siebie Pi-Chunetn (dom Chunetna, teraz Tell-Amarna), które odtąd ma stanowić rezydencyą i centrum nowej religii, porzuca sam imię dotychczasowe Amenôthes, by zapomnieć zupełnie o znienawidzonym bogu Amon i przybiera imię: Chu-en-Aten („odblask tarczy słonecznej"). Do nowo założonego miasta przenosi też archiwum państwowe, którego część zachowała się właśnie w naszych dokumentach. Mimo, a może wskutek fanatycznego i gwałtownego przeprowadzenia swej reformy religijnej ona nie długo się utrzymała. Wkrótce po jego śmierci nowa rezydencya została do szczętu zburzoną, kult Amona przywrócono do dawnej godności. Przezorności archiwaryusza królewskiego zapewne mamy do zawdzięczenia, że się nam ten cenny skarb historyczny z przed półtrzecia tysięcy lat zachował.

Poznanie tych walk i zamieszania wewnętrznego jest koniecznem, by zrozumieć polityczne stosunki w Palestynie.

Oddany zupełnie tej jednej idei Amenothes nie mógł śledzić z uwagą administracyi swych namiestników w Palestynie, a zabrakło mu może i sił dla zaznaczenia swej zwierzchności nad udzielnymi książętami tamże.

Temu tu skreślonemu stanowi rzeczy odpowiada też sytuacya polityczna w Palestynie, jak się ona w dokumentach archiwalnych z Tell-Amarna przedstawia:

Cały kraj jest rozerwany na drobne państewka, których władcy, lennicy Faraonów bezustannie z sobą się ścierają i o hegemonią współzawodniczą. Suwerenat egipski nominalnie jeszcze, z tytułu prawnego istnieje, faktycznie jednak o niego się nikt nie troszczy. Chettyci i inne plemiona koczownicze rozszerzają coraz bardziej swoje zabory ku południowi i zachodowi, przyczem nawet w tajemniczy wchodzą sojusz z niektórymi lennikami Egiptu. Wprawdzie mir władzy faraonów jeszcze jest tak wielkim, że żaden z książąt nie śmie otwarcie podnieść buntu, ale w tajemnicy konspirują z wdzierającymi się wrogami, gdy równocześnie przesadzają się w czołobitności, w różnych możliwych frazesach zapewniając króla o swej wierności i bezwarunkowem posłuszeństwie. Obok tego kursują w tej korrespondencyi różne skargi i denuncyacye jednych urzędników na drugich i pokorne usprawiedliwienia.

Wielką część tej grupy listów zajmują też gorące prośby namiestników o posiłki wojenne dla obrony przed nacierającemi gwałtownie plemionami obcemi.

Ze wszystkich okręgów Palestyny zanoszą tubylcy skargi przed króla z powodu opłakanych stosunków; wszędzie panowanie egipskie jest zagrożone. Ale wszelka prośba jest daremną; król zaprzątnięty swą „idée fixe“, swą reformą religiną, nie troszczy się wiele o administracyę palestyńską, w końcu jest mu obojętnem, czy to czy owo plemię kraj zamieszka, byleby jego suwerenat był uznany. Skutkiem tego węzły porządku politycznego coraz bardziej się rozluźniają, a obce plemiona gromadnie wdzierają się w głąb kraju.

To jest w krótkości treść listów, zawartych w archiwum Tell-Amarna, które już dla języka, w jakim są pisane, dla mnóstwa szczegółów historycznych i kulturnych, w jakie obfitują, otwierają historykowi nowe, nieznane dotąd perspektywy ze względu na przebieg dziejów starożytnego Wschodu, szczególnie w ciągu II. tysiąclecia.

Zadaniem naszem jest wskazać momenta styczne, jakie zachodzą pomiędzy tem cennem źródłem archiwalnem a biblią zarówno co do dawniejszej historyi Hebrejczyków, geografii biblijnej i filologii semickiej. Postępując od szczegółów do ogółu, od konkretnych, żadnej wątpliwości nie ulegających faktów do abstrakcyjnych przypuszczeń, które co najwyżej mieć mogą cechy prawdopodobieństwa, weźmiemy wpierw pod uwagę materyał filologiczny, potem geograficzny, a w końcu historyczny.

## I. Język.

### a) Glossy kananejskie.

Listy pochodzące z miast palestyńskich, szczególnie z Jerozolimy zawierają szereg wyrazów, które nie brzmią wcale jak babilońskie, choć są klinami pisane, i w istocie też sami pisarze wszędzie, gdzie takie słowo obok babilońskiego dodali, oznaczyli je ukośnym klinem jako glossę.

I oto co się pokazało? Większa część tych wyrazów, które pisarze widocznie jako słowa rodzime dla przetłómaczenia niejasnego lub dwuznacznego słowa babilońskiego dodawali, brzmią zupełnie prawie jak odpowiednie słowa w języku hebrejskim, i tak z tych niepozornych uwag kopistów ogromnie ważny dla historyi jak i filologii fakt ponad wszelką wątpliwość wysnuć można, że około r. 1400 przed Chr. — jeszcze przed

immigracyą Hebrejczyków — mówiono w Palestynie językiem, który jest zupełnie prawie identycznym z językiem hebrejskim. Książęta i urzędnicy egipscy w Palestynie posługiwali się tedy językiem babilońskim tylko w celach dyplomatycznych, językiem zaś krajowym był język kananejski, blisko spokrewniony z językiem hebrejskim [1]).

Ba nawet uczony oryentalista Hommel [2]) w Monachium dochodzi na podstawie porównania najstarszych imion własnych hebrejskich z imionami własnemi w naszych dokumentach, do rezultatu, że Hebrejczycy z czasów patryarchów i prawdopodobnie aż do Mojżesza i Jozuego nie mówili jeszcze po hebrejsku — to znaczy po kananejsku, lecz dyalektem arabskim, i że dopiero po zdobyciu zachodniego brzegu Jordanu przyswoili sobie język podbitej ludności, język kananejski czyli hebrejski.

O tej śmiałej hypotezie jednak nie chcemy tu więcej jak tylko — napomknąć.

W każdym razie kananizmy te z końca 15. wieku przed Chr. mają dla poznania rozwoju języka hebrejskiego ogromne znaczenie. Ponieważ pismo klinowe jako syllabaryczne oddaje nam także i samogłoski, to możemy stopień pokrewieństwa obu tych języków poznać nietylko z zasobu słów ale także i z charakterystycznych właściwości samogłosek w pojedyńczych słowach, gdyż w językach semickich fleksya zarówno nominalna jak i werbalna objawia się głównie w zmianie samogłosek źródłosłowu.

Żeby tylko jednym przykładem illustrować:

W liście 19. jest zdanie: la-ki-i sì-ni / [3]) zu-u-nu
wziął trzodę

Zu-u-nu jest widocznie kananizmem i odpowiada co do fleksyi samogłosek zupełnie hebrejskiemu צאן = sôn (por. Zimmern: Zschr. D. Pal. Ver. XIII.).

Niekiedy pisarz posługuje się wprost słowem kananejskiem (bez glossy), którego w języku babilońskim wcale niema — nieświadomie więc padło mu pod pióro rodzime słowo na miejsce ba-

[1]) W zajmującem świetle przedstawia się tedy Jez. 19/18: ביום ההוא יהיו חמש ערים בארץ מצרים מדברות שפת כנען. „W owym dniu pięć miast w kraju Egiptu mówić będzie językiem kananejskim (= hebrejskim).

[2]) Altisrael. Überlieferung str. 218.

[3]) Między obydwoma słowami jest klin ukośny na znak, że drugie słowo jest glossą.

bilońskiego (צדיק) (Sa-du-uk a-na ia-a-si — Niewinny jestem ja. — List: 180, 32).

W innych znowu wypadkach, tam gdzie wyraz babiloński w tem samem brzmieniu w języku hebrejskim zupełnie inne otrzymuje znaczenie, gdzie zatem może zachodzić wątpliwość co do znaczenia, pisarz dla uniknięcia dwuznaczności dodaje odpowiednie rodzime słowo kananejskie. N. p.:

hal-ka-at / a-ba-da (אבד) gab-bi mâtât
giną wszystkie miasta

Słowo hal-ka-at = חלק znaczy w hebr. „dzielić“ nie zaś jak w bibl. „gubić się, ginąć“, dlatego musiał pisarz dodać glossę kananejską „a-ba-da“. (Klostermann: Ein diplom. Briefwechsel).

Że jednak język kananejski nie jest zupełnie identycznym z hebrejskim, lecz okazuje co do zasobu słów pewne różnice, wnioskuje słusznie Zimmern z tego, że niektóre glossy są językowi hebrejskiemu zupełnie obce (si-ru / zu-u-ru „grzbiet“, w hebr. takiego słowa w znaczeniu „grzbiet“ niema).

Wszystkich gloss jest przeszło 60.

## b) Właściwości stylistyczne.

Dokumenta z Tell-Amarna nie są produktem literackim. Jako „listy“ mają one przedewszystkiem charakter sprawozdań przedmiotowych, w których artystyczna forma jakaś, stanowiąca zresztą o wartości dzieła literackiego, ustępuje na drugi plan przed treścią rzeczową.

Mimoto listy niektóre z tego archiwum — głównie palestyńskie — noszą na sobie pewne piętno literackie, okazują pewną formę, można ją nazwać szablonem, która szczególnie się wyraża w zwrotach stylistycznych.

Trzeba bowiem sobie uprzytomnić, że to listy nie prywatnej natury, lecz listy polityczne pierwszorzędnej wagi stosowane do dworu faraońskiego przez namiestników i ich urzędników. Piszący listy te musieli się w swej korespondencyi do majestatu królewskiego do „odblasku słońca“ posługiwać doborowym stylem, różnymi kwiatkami ozdobionym, któryby w godny, to znaczy stokroć przesadzony sposób wyraził ich cześć i posłuszeństwo dla władcy. Niektóre listy też jak 117, 144, 149 są prawie wyłącznie wypełnione takimi frazesami ceremonialnymi, podczas gdy właściwa treść listu ledwie w kilku słowach jest wyrażona. Ten brak przed-

miotowej treści jest jednak zarazem zaletą listów, pod względem kulturnym bowiem formalna strona ich, charakterystyczne zwroty stylu są dla nas niemniej cenne, jak sama treść rzeczowa.

Pozwalają one nam bowiem z jednej strony wglądnąć we właściwość ówczesnych zwrotów językowych, które często rzucają ciekawe światło na wyobrażenia i pojęcia, których są wyrazem, z drugiej strony umożliwiają nam przez porównanie ze zwrotami innych języków semickich poznanie ich wspólnych cech stylistycznych i literackich, względnie zależność jednych od drugich.

Już pierwej zaznaczyliśmy, że przez archiwum z Tell-Amarna, fakt, który przedtem uchodził za nieuzasadnione przypuszczenie, został jasno stwierdzony; mianowicie, że wpływ kultury i oświaty babilońskiej był w II. tysiącleciu w Palestynie bardzo silny, i że ten wpływ w różnych miejscach biblii jest jeszcze widoczny lub przynajmniej zostawił pewne ślady. Tak np. upatrują Gunkel[1]) i Hommel[2]) w biblijnej historyi stworzenia świata i potopu monoteistyczną przeróbkę oryginału babilońskiego, Gunkel upatruje także w poetycznej formie biblii bezpośrednie przyswojenie formy babiblońskiej (l. c.), Delitzsch[3]) sądzi, że z czasem będzie można wywieść całe ustawodawstwo biblijne z prawniczych aktów babilońskich, gdyż już pomniki dotychczas na światło dzienne wydobyte wskazują na bardzo bliskie pokrewieństwo. Winckler[4]) wreszcie zdobywa się na śmiałe przypuszczenie, że cała biblia jest przesiąknięta kulturą babilońską.

Stylistyczne podobieństwa między dokumentami z Tell-Amarna a biblią nie pozwalają nam wprawdzie wysnuwać tak dalekich wniosków porównawczych, zakres ich będzie o wiele węższy, ale pod względem kulturnym te wspólne zwroty stylistyczne są niemniej znamienne i ważne. Stwierdzają w każdym razie istnienie wpływu babilońskiego i w płodach literackich biblii. Okazuje się szczególnie z zestawienia porównawczego, że największe podobieństwo pod względem właściwości stylu zachodzi między naszymi dokumentami a „psalmami“ biblijnymi w poetycznych wyrażeniach i opisaniach pokory, wierności, posłuszeństwa i t. d., w mniejszej części tylko widoczna jest analogia ze stylem ksiąg

[1]) Schöpfung und Chaos in Urzeit und Endzeit 1895.
[2]) Altisrael. Überlieferung 1897 (311 i nast.)
[3]) Zschr. f. Assyriologie 1899 I.
[4]) Gesch. Israels I. 123.

proroczych. O świadomem naśladowaniu stylu babilońskiego w psalmach mowy naturalnie być nie może, zwroty babilońskie musiały w języku hebrajskim żyć już od wieków — nieświadomie przejęte w obcowaniu społecznem — tylko, że z tej wczesnej epoki nie zachowały się nam niestety żadne pomniki hebrajskie (literackie).

Jeszcze pod innym względem te stylistyczne podobieństwa są uwagi godne. W swoich „Studyach o Ezechielu“ powiada prof. D. H. Müller co do wpływu babilońskiego w mowach Ezechiela: „Jestto mylne pojęcie, jeśli się sądzi, że w owych czasach dawnych literatury różnych narodów były zamknięte każda dla siebie i nie wywierały na się wzajemnego wpływu. Owszem, ściślejszy istniał między nimi związek, niż się zazwyczaj sądzi, i można temsamem prawem mówić o przednio-azyatyckiej literaturze owych czasów, jak dziś się mówi o literaturze europejskiej“.

Przytoczyliśmy tu to ciekawe spostrzeżenie semitysty wiedeńskiego, bo można je zastosować i do naszej epoki. O literaturze przednio-azyatyckiej można już mówić koło r. 1400 przed Chr. — jak się ze stylistycznych analogii między listami z T. A. a różnemi miejscami biblii okazuje — trzeba dodać: *eo ipso* i o kulturze przednio-azyatyckiej, w której ognisku znajduje się kultura babilońska. Jak zasadnicze zdobycze naukowe mogą płynąć z tej perspektywy — dziś ledwie przewidzieć można.

Dla illustracyi podobieństwa stylu tych listów ze stylem biblijnych dzieł przytaczamy dwa listy ze zbioru Wincklera[1]).

### *List 144.*

Do króla, mojego pana: Namjawaza, twój sługa, proch twoich nóg, ziemia na której stąpasz, tron na którym siedzisz, stoliczek nóg twoich[2]). Do nóg króla, mojego pana, promieniącego się słońca siedm razy po siedm razy padam[3]).

Mój pan jest słońcem na niebie, i jak na wschód słońca z nieba, tak czekają słudzy na wyjście słów z ust ich pana.

Patrz oto, ja wraz z moimi ludźmi (wojskiem) i moimi rydwanami, wraz z moimi braćmi i moimi SA. GAS. (Chabiri) i wraz

[1]) H. Winckler: Die Thontafeln von Tell-el-Amarna. (Keilinschr. Bibliothek V.), Berlin 1896, XXXVI+415+50.

[2]) Por. w biblii Jez. LXVI 1., Ps. CXI.

[3]) Gen. XXXIII 3.

z moimi Suti stoję do usług wojsk, gdziekolwiek tylko rozkaże król, mój pan.

*List 149.*

Do króla, mojego pana, moich bogów, mojego słońca: Abimilki twój sługa. Siedm i siedm razy do nóg króla, mojego pana padam. Jestem prochem pod sandałami króla, mojego pana. Mój pan jest słońcem[1]), które wschodzi nad krajami dzień w dzień podług przeznaczenia (boga) Šamaš[2]), jego ojca, miłosiernego. Który[3]) ożywia przez swoje słowo uprzejme, a odbiera życie, gdy się ukrywa (zachodzi), który utrzymuje (?) wszystkie kraje w pokoju, w silnym węźle, którego głos rozlega się po niebie, jak Addu, tak, że wstrząsa się cały kraj przed jego głosem[4]). Oto pisze sługa do swojego pana, gdy słyszy wiadomość przyjemną dla króla, która dochodzi do sługi. Ale dobre słowo, które wychodzi z ust króla mojego pana do swego sługi — niknie dźwięk jego, nim nadchodzi posłaniec króla, mojego pana. Oby nie znikło słowo, oby pamiętały (o niem) usta mojego ojca (króla). Patrz oto teraz, gdy wyszło słowo króla do mnie. cieszę się bardzo i obawiam się dzień w dzień, że radość moja nie (?) ziemi, aż słyszę przyjacielskiego posłańca ze strony mego pana. Także cały kraj obawia się przed moim panem, aż nie usłyszę uprzejmego słowa i przyjaznego posłańca, który do mnie przychodzi. Gdy mówi do mnie mój pan; bądź do usług moich wielkich (urzędników), wówczas mówi sługa do swego pana: będę. Na piersi i na grzbiecie noszę słowo króla. mojego pana. Kto słucha swojego pana i pokornie mu służy, gdy potem (nawet) słońce nad nim wschodzi, a gdy jednak znika dobre słowo z ust jego pana i nie słyszy więcej słowa swojego pana: zgubione jest (wtedy) miasto jego, zgubiony dom jego, imię jego ginie w całym kraju na wieki. Patrz (jednak), sługa który słucha swojego pana, pokój jego miastu, pokój jego domowi, imię jego będzie (trwało) na wieki. Ty jesteś słońcem, które wschodzi nad nim, i murem ze spizu[5]), który go broni, a po-

[1]) Ps. LXXXIV 12.
[2]) Bóg słońca.
[3]) Odnosi się do króla.
[4]) Ps. LXXVII 19, II. Sam. XXII 14.
[5]) Zachar. II 9.

nieważ ręka która, mojego pana, silna..., dlatego mówi on do słońca Abimilki'ego (mojego), pana mojego:

Zawsze widzieć chcę oblicze króla, mojego pana[1]) (być mu posłusznym). I oto strzegę miasta Tyrus, wielkiego miasta dla króla, mojego pana, aż nie wyciągnie się ręka króla, potężna ku mnie, by dać wody do picia dla mnie i drzewo do ogrzania się dla mnie. Dalej Zimrida Sydończyk, dzień w dzień posyła do niego buntownik Aziri, syn Abd-Ašrata o wszystkich słowach, które słyszy z Egiptu. Dlatego piszę do mojego pana, i dobrze jest, żeby o tem wiedział.

## II. Nazwy geograficzne.

Listy amarneńskie zawierają szereg nazw topograficznych, bądź miast, bądź większych terytoryów, z których większa część jest identyczną z nazwami biblijnemi. Topografia biblijna znajduje tedy w owych listach znakomite oświetlenie, a po części uzupełnienie, co szczególnie się tyczy ksiąg „Jozuego“ i „Sędziów“ pod względem geograficznym najbogatszych.

Z licznych przykładów wybieramy kilka najważniejszych:

Nazwa „K a n a' a n“ oznacza w listach naszych S y r y ą w najszerszem pojęciu, a więc i całą północną Palestynę. Tak n. p. wystawia król egipski w liście XIV. „list żelazny“ dla pewnego posła azyatyckiego, a wystosowany do „książąt kraju Kinahhi“ czyli do namiestników całej Syryi, jak daleko tylko sięgała władza Faraona. I tak inne jeszcze listy to znaczenie potwierdzają.

W biblii słowo Kanaan różne ma znaczenie, najczęściej obejmuje tą nazwą biblia kraj po zachodniej stronie Jordanu i plemiona te okolice zaludniające.

Cały kraj (Palestyna) objęty jest tą nazwą tylko w kilku miejscach: Ex. 15/15, Gen. 33, 18, Jud. 3, 1.

N a z w a A m û r r i (bibl. Emôri) jest w listach z T. A. tylko częścią kraju Kanaan, a mianowicie terrytoryum l i b a n o ń s k i e; w tem znaczeniu napotyka się tę nazwę także na inskrypcyach egipskich, jak tego dowodzi E. Meyer[2]). W biblii nazwa ta znajduje się tylko jako Nom. gentil., a mianowicie jako pewne plemię kananejskie, którego część mieszkała w południowo-wschodniej Palestynie, druga zaś po wschodniej stronie Jordanu, na północ od

[1]) Ps. XXIV 6, CV 4, I. Reg. X 24.
[2]) Glossen zu d. T. A. Tafeln.

Moabitów. w terrytoryach Hešbon i Bašan (Num. 21/13, Joz. 24, 8 etc.). Bardzo często jednak Emôri w biblii oznacza Kanaanitów w ogólności (Joz. 24, 15, Deut. 1. 7.).

Prof. Halévy (w Paryżu), w swoich „Recherches bibliques“ XX. poświęca nazwom Kenaan-Emôri w odniesieniu do listów T. A. osobny, ciekawy bardzo rozdział.

Z okoliczności — powiada Halévy — że nazwa „Kanaan“ dla oznaczenia całej Palestyny nie znajduje się ani na assyryjskich ani na egipskich inskrypcyach, dalej z tego, że terminus „kraj Kenaan“ w powyższem pojęciu jest zupełnie nieznany prorokom piszącym przed wygnaniem babilońskiem, natomiast najstarszy prorok Amos posługuje się dla oznaczenia całego kraju słowem „kraj Emôri“ (Rozdz. 2. 10.), chcieli krytycy biblii wysnuć wniosek, że nazwa „Kenaan“ tak często w Hexateuchu się powtarzająca, jest nazwą sztuczną, świadomie stworzoną przez autora jakiegoś podczas wygnania babilońskiego z tą tendencyą, żeby Izraelitom wpoić pamięć niewoli babilońskiej (Kenaan-niewolnik por. Gen. 9. 25 „Kenaan będzie niewolnikiem braciom swoim“, i ostrzedz ich, że kraj, do którego wracają tylko warunkowo otrzymali w posiadanie (!).

Że ta cała konstrukcya była tylko zamkiem zbudowanym na lodzie, dowodzą listy z T. A. W XIV. wieku już cały kraj nosi nazwę: Kenaan; to odkrycie było tedy ciosem dotkliwym dla radykalnej krytyki biblijnej.

Jako uwagi godne zaznaczamy jeszcze, że nazwa Jerozolima już się znajduje w naszych listach. Siedm listów pochodzi od namiestnika rezydującego w „Urusalim“. Ciekawem jest, że i w biblii jest Jerozolima przed zajęciem kraju przez Izraelitów siedzibą księcia lokalnego (Joz. 10, 15). Izraelici nie zdołali miasta tego z powodu silnego obwarowania zdobyć (Jud. 1, 21, 19, 11—12), dopiero Dawidowi udało się silną twierdzę Jebusitów „Sion“ zająć, poczem zdobył Jerozolimę i tam przeniósł swą rezydencyę.

## III. Historyczne analogie.

### Chabiri.

Wśród różnorakich punktów stycznych między dokumentami z Tell-Amarna a biblią ma bezwątpienia największe naukowe zna-

czenie wzmianka plemienia „Cha-bi-ri w różnych listach z Jerozolimy pochodzących, a to skutkiem zestawienia tego imienia z biblijnem nom. prop. „'Ibrîm“ Hebrejczycy i niezwykłych konsekwencyi, jakie z takiej identyfikacyi dla historyi najdawniejszej Hebrejczyków wyniknąć mogą. Tej kwestyi historycznej poświęcili też uczeni najintenzywniej swoją uwagę i swoje badania naukowe.

Wśród ludów, których najazdy na Palestynę dają urzędnikom ciągłe powody do skarg na nie przed dworem faraońskim, zwraca na się naszą szczególną uwagę szczep koczowniczy, który w siedmiu listach namiestnika Jerozolimy nosi nazwę: „Cha-bi-ri“. W wielu innych listach znowu z południowej Palestyny zarówno jak i północnej spotykamy dla wrogiego plemienia, które zupełnie w ten sam sposób postępuje jak „Chabiri“ słowo SA. GAS, ideogram, który w assyryjskim języku ma znaczenie pojęcia „hab-ba-tu“ = Łupieżca, rozbójnik.

Raz tedy mamy appellativum, a raz imię własne dla — niewiemy jeszcze czy identycznych — szczepów koczowniczych.

Kto są ci „Ha-bi-ri?

I czy nie zachodzi jakiś bliższy związek między nimi a tymi SA. GAS?

By módz należycie odpowiedzieć na pierwsze pytanie, trzeba się najpierw uporać z drugiem, które podług kilku historyków stanowi klucz dla rozwiązania całej tej zagadkowej kwestyi.

Wspomnieliśmy już, że SA. GAS jest ideogramem dla słowa „habatu“ „rozbójnik“. Tymczasem trudno bardzo przypuścić, żeby wszędzie tam, gdzie mowa jest o tych SA. GAS, chodziło o zwykłe bandy rozbójnicze.

Wzdłuż całej wschodniej granicy Kanaan od najdalej wysuniętego punktu na północy, aż do ostatniego punku granicznego na południu posuwają się oni gromadnie, jużto łącząc się tajemnie z udzielnymi władcami miast, jużto grożąc wrogim najazdem wiernym lennikom Faraona.

Uderza wprawdzie brak wiadomości o ich najazdach w listach ze środkowej części Palestyny, z czego Niebuhr[1]) wnioskuje, że ta okolica po wschodniej stronie Jordanu była już zupełnie w ich ręku, natomiast zalewają oni całą południową Palestynę.

I oto w listach namiestnika Jerozolimy, gdzie jako ów wrogi szczep wyraźnie i wyłącznie są wymienieni „Chabiri“, napotykamy na zupełnie analogiczne stosunki. Ci „Chabiri“ zupełnie w tym

[1]) „Vorderasien zur Zeit der Tell-Amarna“. (Der alte Orient II.)

samym charakterze, z temi samemi cechami występują, co SA. GAS we wszystkich innych listach. Ale to nie byłby jeszcze wystarczający powód dla identyfikowania tych obu nazw. Przekonywującym jest następujący moment: W bezpośredniem sąsiedztwie Jerozolimy występują SA. GAS. i „Chabiri“ w tym samym charakterze. Abd-Hiba z Jerozolimy zanosi skargi przed króla na swych przeciwników, że zdradliwie wpuszczają w kraj Chabirów, a zarządcy miast w pobliżu Jerozolimy (Japahi z Gezer l. 113, Biridjah z Megiddo (204, 206) również się żalą, że przeciwnicy ich pozwalają wdzierać się do wnętrza Kanaan SA. GASom. Namiestnik jerozolimski konsekwentnie wymienia tylko Chabirów, a sąsiedzi jego znowu tylko Sagas-ów, jako wdzierających się gwałtownie wgłąb Palestyny koczowników. Z tej sytuacyi zatem już wynika prawdopodobieństwo, możliwość identyczności Sagasów z Chabirami.

Ta możliwość zostaje szczególnie stwierdzona przez zestawienie listu 185. i 192. W pierwszym czytamy: „Chcemy zdobyć tę część kraju, by jej Lapaja i jego synowie (namiestnicy) nie odstąpili Chabirom“ — tak pisze Abd-Chiba z Jerozolimy. Drugi list brzmi: „Niech król, mój Pan wie, że synowie Lapaja dają pieniądze swoje SA. GASom“ — tak pisze namiestnik z Megiddo w pobliżu Jerozolimy. Tutaj identyczność obu nazw musi wpaść każdemu w oczy[1]).

Przyjąwszy tę identyczność, jak możemy sobie wytłómaczyć, że dla oznaczenia tego samego szczepu jedni pisarze posługują się jego imieniem własnem, drudzy zaś przydomkiem (appellativum)?

I dla tej różnicy nazw daje nam Winckler, główny badacz w tej kwestyi, ciekawe psychologiczne uzasadnienie.

„Dopóki plemię immigrujące do jakiegoś kraju prowadzi jeszcze życie koczownicze, to imię jego musi dla ludności w kraju osiadłej, tubylczej, równać się zupełnie pojęciu „rozbójnik“, gdyż Beduini co do swoich stosunków życiowych wszędzie i w każdym czasie byli rozbójnikami, łupieżcami, dlatego raz nazywają się ci sami „Chabiri“ a raz „SA. GAS.“ „rozbójnicy“. Winckler idzie jeszcze dalej sądząc, że wprawdzie w piśmie posługiwano się ideogramem „SA. GAS“ w znaczeniu „hab-ba-tu“ zbóje, lecz że czytano to słowo jako nom. propr. „Chabiri“, a dowód, jaki Winckler dla tego swego twierdzenia nam daje,

[1]) Zob. Peiser: Chabiru (Mitth. d. Vorderus. Gesell. 1897).

musi każdemu nieuprzedzonemu badaczowi przemówić do przekonania.

W liście 144. pisze jeden z urzędników Namjawaza: „Patrz, oto ja z moimi ludźmi, z moimi rydwanami, z moimi braćmi, z moimi SA. GAS., z moimi Su-ti (n. pr.) stoją do usług wojska, gdzie tylko rozkaże pan, mój król“. Gdyby ideogram SA. GAS. czytano tu „habatu“, to Namjawaza nazwałby swoich żołdaków „habati-ja“ — „rozbójnicy moi“, co żadnego nie daje sensu. Z kontekstu samego wynika jasno tedy, że SA. GAS czytano: Chabiri w tem miejscu, a zatem także we wszystkich listach tak czytano.

Skorośmy tedy skonstatowali, że Chabiri są we wszystkich listach owem najezdniczem plemieniem, które swemi rozbojami tyle kłopotu sprawia powaśnionym między sobą lennikom i namiestnikom egipskim, nasuwa się tem bardziej pytanie: Kto to są ci Chabiri?

Większa część upatruje w tem słowie — hipoteza o bardzo dalekich konsekwencyach — babilońską transkrypcyę i brzmienie biblijnej nazwy szczepowej „עברים“ „Hebrejczycy“, identyfikują zatem tych Chabiri w dokumentach z Tell-Amarna z Hebrejczykami czyli z późniejszym narodem izraelskim, i tak mielibyśmy w archiwum z Tell-Amarna wiarygodne bo autentyczne, archiwalne źródło do poznania dziejów Hebrejczyków w epoce z końca XV. wieku przed Chrystusem.

Spółgłoska „Ch“, z którą słowo Chabiri się rozpoczyna, nie sprzeciwia się wcale tej tożsamości, gdyż w piśmie klinowem hebrejskie „ע“ (ain) albo wcale się nie transkrybuje albo też oddaje się je spółgłoską „Ch“ (ח chet) n. p. hebr. עֹל ôl — jarzmo = bab. Chullu, עַזָּה (Gaza) bab. Chazati.

Jeśli przyjmiemy słuszność tej identyfikacyi, a względy filologiczne, które przed wszystkimi wchodzą tu w grę, za nią wiele przemawiają, to zachodzi pytanie kardynalne, punkt kulminacyjny całej tej kwestyi historycznej:

W jakim związku stoją wiadomości o najazdach Chabirów na Palestynę zawarte w dokumentach z Tell-Amarna ze źródłami biblii, traktującemi o zdobyciu kraju tego Kanaan przez Hebrejczyków, a właściwie przez pojedyncze plemiona, złączone później w jedną całość, w naród izraelski?

Czy możemy w owym nieocenionym skarbie archiwalnym upatrywać świetne potwierdzenie wiadomości biblijnych czy

też może zupełne zaprzeczenie, czy też wreszcie dokumenta z Tell-Amarna donoszą nam o wypadkach chronologicznie od biblijnych dalekich, a zatem nie stoją w żadnym związku — przynajmniej nie synchronistycznym — z opowiadaniami biblii o zajęciu Palestyny przez wyprowadzonych z Egiptu Hebrejczyków?

To jest oś, około której obraca się główny problem, nasunięty przez dokumenta z Tell-Amarna.

(Dokończenie nastąpi.)

Dr. M. Schorr.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

# KORESPONDENCYA
# JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(Ciąg dalszy).

### Do Pana Władysława Chodźkiewicza w głównej kwaterze armii francuskiej, w Krymie.

*Fontainebleau, 5. lutego 1856.*

Kochany Władysławie, przeszło dwa miesiące temu pisałem do Ciebie obszernie [1]) i wprost do Rzymu, wedle adresu, jaki mi dał Seweryn [2]). Obawiam się czy mój list w tych burzliwych miesiącach nie zatonął kędyś na morzach. Radbym od ciebie mieć wieści, utęskniam o nie tem goręcej dziś, kiedy grzebiem oto nowego poronieńca nadziei naszych narodowych. Tyś bo, Władysławie, nigdy na prawdę nie łudził się w duszy; ale my ufaliśmy statecznie w dzielność oręża sprzymieżonych. Niebawem zaczną się tu targi ukoronowanych o pokój: z tem wszystkiem ostateczne zatwierdzenie układów ludzkich zależy tylko od Pana Boga. Jeśli przyjdzie do pokoju, przewidujem następstwa straszne dla nas i pocierpiemy w sercach, a zwłaszcza my, ojcowie rodzin, pocierpiemy na myśl, że dzieci nasze pójdą na cygaństwo, na wierutne cygaństwo. Patronowie Polski w Niebie o krzywdę anty-chrześciańską uderzą w rozjęk przez nieskończoność czasów i rozstrzeni.

Wiesz już o śmierci Adama. Przez wiek cały szamotał się marnie i niczego nie dokazał. Darmo tobie i mówić, jaka to strata dla kraju! Pogrzebaliśmy go w Montmorency. Poczciwy nasz Seweryn [3]) wziął na barki nowe brzemię trosk o sieroty po Adamie.

[1]) Prawie wszystkie listy B. Z. do Chodźkiewicza zaginęły.
[2]) Gałęzowski.
[3]) Gałęzowski.

Zapewnie ci pisał sam o swoich znojach i niepokojach. Składka wszakże obywatelska na dzieci idzie jako tako.

Józef [1]) mój za dni dziesięć jedzie do Rzymu, zaproszony tam przez trzy siostrzenice. Zdaje się że i Mamcia [2]) dostanie pasport do Włoch. Smętno tam i mętno w Kuryłówce [3]). Nie wiem czym ci pisał, że i Jeżuń pożegnał świat. Za to u mnie w Fontainebleau pełność życia; war i gwar helleński, z czasów Homerowskich. Ku wiośnie, ku słońcu, ożywi się jeszcze namiot mój, bo wykluje się nowe pisklę. Doprawdy, mój drogi, jestem dziś w usposobieniu Jana Kochanowskiego, dziatwa nie daje mi ani smucić się zbytnie, ani myślami zbytnie głowy psować. Często jednak po nocach serce ptasio kwili, jak pod wzrokiem krogulca. Krogulec mój to troska o synów, którym nie dam Ojczyzny. Ty, mój Władysławie, młodszy, hartowniejszy, pomimo bied i smutków publicznych, nie upadaj na duchu, przedewszystkiem nie poddawaj się chorobliwej melancholii, którą dziedziczym po Matce Ukrainie, wykołysani tęsknemi dumami śród stepu tam i mogił. Ty dożyjesz lepszej doli, i synowie moi przyjdą po radę do ciebie.

Traktaty tegoroczne mają zaledwie trwałość robaczków, wymoczków. Nie opuszczaj stanowiska, na którem cię los umieścił, i z którego łacniej ci będzie doczekiwać się nowych obrotów koliska ziemskiego. Nie powracaj do nas aż z bohaterską armią Francuzów.

Na obrok duchowny, mój Władysławie, podam ci oto sposobność do poczciwego uczynku. Dowiedz się tam w obozie o młodym Francuzie, po którym tu matka, żona i siostra, jak zozule, zawodzą żałośnie. Francuz ten jest: Jean François Théodore Poret, vétérinaire au 6 Cuirassiers. Ostatni raz pisał on do rodziny przed trzema miesiącami z Monastyru Światoho Jurja. Cokolwiekbądź z nim się stało, chory czy umarł, donieś mi jaknajspieszniej.

Ściskam cię, mój Władysławie, w rozrzewnieniu ukraińskiem i pozdrawiam od moich, od żony, od Józefa i od dziatwy drobnej. Wszyscy cię kochamy.

*Bohdan.*

Ksiądz Terlecki pisał do mnie z Jeruzalem, pokutuje tam w greckim monastyrze. Wydrukował podobno twoje tłómaczenie

---

[1]) Zaleski.
[2]) Pani Iwanowska.
[3]) Majątek Pani Iwanowskiej.

dumek moich, nie wiem czy za twoją wiedzą i pozwoleniem; mnie się nie pytał.

## Do Pana Seweryna Goszczyńskiego, w Paryżu.

*Fontainebleau, 18. kwietnia 1856.*

Mój drogi, stary druhu! Pożegnany przed 35-ciu laty, sędziwy brat i ojciec mój. Eliasz [1]), umarł. Święć się wolo Boża! Eliasz i ciebie, Sewerynie. kochał: on to obudwóch nas wyprawił w świat [2]). Pomódl się za jego duszę. Uproś księdza Edwarda [3]), aby na tęż samą intencyę odprawił Mszę św. i zaproś na nią bliższych moich: Karola Różyckiego, Ludwika [4]) i Karola Bajkowskiego, który przez brata swego [5]) należy dziś do mojej rodziny.

Ściskam najczulej

Twój

*Bohdan.*

Po 26 latach milczenia, Michał [6]) obiecał do mnie napisać. Powiedz Bajkowskiemu, że Antoni Proskura lada dzień zjedzie do Paryża: będziemy tedy mieli nowe wieści o rodzinie.

## Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej, w Rzymie.

*Fontainebleau, 26. kwietnia 1856.*

Nisiu najmilsza, jakże nas uradowały kilka linijek twoich własnoręcznych, twoich własnoserdecznych. Toć teraz wierzymy, że na prawdę jesteś zdrowsza. Odrazu rozwiośniło się u nas po zamrozi. bo z dobrą otuchą chuchnęły od ciebie światło i ciepło. Niech będzie Pan pochwalon, że cię zachował nam, na zbudowanie, och! na jasną, promienną źrenicę, biednej grzesznej gwiazdce!

---

[1]) Zaleski, brat starszy Bohdana.
[2]) Z Krzywca w 1820 r.
[3]) Duński.
[4]) Nabielak.
[5]) Aleksander Bajkowski ożeniony z Maryą Socharzewską, siostrzenicą Bohdana.
[6]) Grabowski.

Wiesz, Nisiu, o mojej stracie [1]). Cios dawno przewidziany i nieunikniony, a przecież boli, boli nieskończenie. Miłosierne może w tem ostrzeżenie Pańskie! Bałwochwaliłem ongi Ukrainę, śniłem raj tam, wyrywałem się ku niemu sercem całem, a serce całe należy się tylko Stworzycielowi, a nie stworzeńcom. Toż Chrystus Pan dzisiaj raz po raz upomina o skupienie się w duchu, upomina się o lichą dań z winnicy mojej, niestety, źle uprawnej, i bodaj na zawsze niedojrzałej. Przez kilka chwil, co mi jeszcze zostają, radbym się obmyć w łzach pokutnych, radbym na służbę Panu podchować drobną dziatwę moją, abym tem weselej wyglądał skinienia z góry. Im dalej w lata, tem puściej w sercu i łzawiej w źrenicach. Młode pokolenia niezrozumiałą mi gwarzą pieśń, bo słuch mój kędyś indziej, na przeciwnym brzegu wód, skąd wywołują rówiennicy, co odpłynęli.

Tęskniej mi coraz do nich.

Pomimo wszystkiego, Nisiu, pielęgnuj zdrowie, szanuj się, słuchaj rady Daryusza. Miłość nasza dla Pana jeszcze bardzo niedoskonała, to prosim o przedłużenie dni twoich, abyśmy patrzeć jeszcze mogli na wzorzec swój.

Całem gronem tulim się do ciebie i całujemy ręce

*Bohdan.*

## Do Pani Józefy Orłowskiej, z domu Iwanowskiej, w Rzymie.

*Fontainebleau, 26. kwietnia 1856.*

Jónko miła, kochana, dawno, ej dawno, kiedyś jeszcze dziecinką igrała na kwieciach, dałem ci już w pełności uczucie moje braterskie. Przez wiele lat w moich westchnieniach k u P a n u, miłośnie chucham i na gniazdo Kuryłowieckie; osobno dla każdej kukułeczki niżę ziarnko na różańcu tułacza. Co się długo święciło, jeno w tajniach mego ducha, ma odtąd wynijść na jawę, na jaśń. Przygarniam cię i tulę do serca z czułością rodzonego waszego. Kiedy grom Pański uderzył w naszą ziemię, burza co w ślad za nim pustoszyła, wymiotła z wybrzeża Dnieprowego w szeroki świat, wzdłuż babilońskich rzek niosła i niosła bez końca. Na cudzej

[1]) Śmierć Eliasza Zaleskiego, rodzonego brata Bohdana.

ziemi ciężko się było ostać, to wiądłem smutnie uczepiony o kij pielgrzymi. Pan zawsze miłosierny przysłał mi Zozulę od Bohu, cudownym sposobem przemienił smutek w radość, w pieśń strojną. Odtąd przemodliliśmy dłoń w dłoni, jakoby długi wiek. A więc, Jónko nasza mizina, my swojscy, swoi, swoi na żywot ziemski i na wieczność.

Wyglądać będziem na przyjazd wasz z utęsknieniem. Nas i dziatwę naszą wujcio Józef [1]) przechwalił. Dyżcia [2]) nasza, kiedyś mi śliczne słówko powiedziała: „Wzrok Matki dziecię upięknia“. Wzrok matki, to wzrok miłości, to wzrok Józefa. Owoż boim się, abyście się nie zanadto rozczarowali, jak zbliżycie się do nas. Z tem wszystkiem rozumna Jónka wie, że płaszcz fiołkowy co zdala do oczu stroi gór wierzchołki, to szara chłodna jeno mgła w pobliżu. Ja syn tumannej Ukrainy, to gdzież mi do dzieci słonecznych stron! Proszę nie wierzyć Józefowi, co mówi o nas. Pomimo to wszystko, całem gniazdkiem tulim się do serca Cioci Jónki, w pewności, że będzie dla nas i wyrozumiałą i pobłażającą.

Zosia i ja, męża twego pozdrawiamy. Oboje Adasia błogosławimy i całujemy od siebie i od gwarnych tu jego rówieśników.

Do widzenia się, Jónko

*J. B. Zaleski.*

## Do Pana Franciszka Grzymały, w Paryżu.

*Fontainebleau, 20. maja 1856.*

Szanowny Panie Franciszku!

Z tego coś mi pozawczoraj mówił, wyrozumiałem że Pan S... chce ci szlachetnie ułatwić wydanie twoich dzieł. Dla czego żądał o nich mego zdania, mego szczególnie zdania? Trudno mi odgadnąć. Chowaj mnie Boże od cenzorstwa. A przecież ty stary i starszy odemnie literat, znajomy krajowi dawno i z patryotycznych uczuć i z dobrej polszczyzny. Zresztą (wszak jak mnie mówiłeś) złożyłeś wiele pism do przejrzenia Panu S..., z których kilka przedmiotów masz zamieścić w tomie pierwszym. Z tych pism Szanowny Pan S... może powziąć zdanie sam przez

[1]) Zaleski.
[2]) Poniatowska Dyonizya.

się o twoich usposobieniach, stylu i sposobie myślenia. Co do mnie, radbym bardzo żeby Ci Pan S... dopomógł, bo bez jego pomocy nie będziesz mógł dokonać twego przedsięwzięcia.

Łączę i t. d.

*Bohdan Zaleski.*

## Do Jenerała Józefa Wysockiego, w Paryżu.

*Fontainebleau, 10. czerwca 1856.*

Szanowny Panie Jenerale!

Spóźniłem nieco odpowiedź na twój uprzejmy list do mnie, bo czekałem na relacye przyjaciół moich o robotach w Paryżu. Widzę dzisiaj, że rzeczy stoją po dawnemu. Może i lepiej z tem, że emigracya nie spieszy się z deklaracyami, bo niewątpliwie milczenie groźniejsze wyda się wrogom, niż połowiczne manifesta. Oczywiście, ogół nasz nie zgodzi się na jednolity akt. Jestem pewien, że będzie bez liku aktów kupkowych, to indywidualnych. W naszym szczupłym zakładzie, z powodu zakomunikowanego oświadczenia waszego, które się nam wydało za rozwlekłe i za niedostateczne, zaraz aż trzy stanęły nowe projekty. W takiej rozterce umysłów na Emigracyi, trudno bardzo coś przedsięwziąć ku pojednoczeniu luźnych manifestacyi. Może należałoby zostawić każdemu dawną polską konfederacką swobodę, a tymczasem utworzyć spólną księgę manifestacyi, w którejby zbiorowe i pojedyńcze zapisywały się deklaracye. Na zewnątrz wtedy dość byłoby kilka słów, że cała emigracya odrzuca amnestyę i t. p. i t. p. Są to podrzędne wprawdzie względy, ale mające niejaką ważność w dzisiejszych okolicznościach. Co do mnie, jako jednostka, nie wiem jeszcze co uczynię. Wpisałbym się ochotnie do księgi manifestacyi z osobną deklaracyą, o której zapewnie napomykał już wam Walenty Zwierkowski. *A propos* tej deklaracyi, dodaję, że nieprzywiązuję do niej żadnej wagi, i dlatego, mimo nalegań kolegi Trzcińskiego, nie posyłam jej Szanownemu Jenerałowi. Można ją jednak odczytać u doktora S. Gałęzowskiego.

Przepraszam, Szanowny Jenerale, za te przedługie uwagi. Zdało mi się, żem je był winien twemu znanemu obywatelstwu i patryotyzmowi. Dziwnym trafem, niedawno cię, Jenerale, pozna-

łem osobiście na Emigracyi, ale poważanie moje dla twego charakteru wielce stare i wierzaj że zostanę z niem na zawsze

Uniżony sługa

*J. B. Zaleski.*

4. sierpnia 1856 [1]). Spieka i spieka, wciąż po 33 lub 34 stopni. Po 4-tej znienacka nadjechał książę Trubecki. Stosunek tedy z nim nie przerwał się, pomimo chłodu z naszej strony. Był nadzwyczaj serdeczny i szczery. Powierzał się z tajnych swoich projektów. Wciąż trwa w zamiarze wydawania po francusku Przeglądu Słowiańskiego, do którego i mnie radby zwabić. Wymawiałem się na zasadzie, że Polacy dopełniają swoją misyę od dawna i jako katolicy i jako Słowianie, a więc dla nich nowe manifestacye są już niepotrzebne. Trubecki wyjeżdża jutro do Moskwy, zawarował sobie jednak za powrotem odnowienie stosunków. Obiecał dostarczyć mi nowych książek słowiańskich i t. d. Głównie jest on liberał i katolik słowiański i zdaje się, w gruncie bardzo zacny człowiek. Zobaczymy. Poznałem go z moim Józefem.

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Rzymie.

*Fontainebleau, 7. października 1856.*

Mamciu, duszko najserdeczniejsza, łączę do ciebie osobną karteczkę. Dziękuję za twoje dwa miłe listy i przepraszam, że tak je zbywam ryczałtowym sposobem. Bóg widzi nie mam czasu do pisania, nie mam po temu ani swobody, ani pogody. Wakacye, dzieci, goście, nawał zatrudnień drobnych i obowiązków zabierają mi całe dnie, a wieczór przy świecy niedowidzam. Poprawię się przy pierwszej lepszej sposobności. A teraz na dziś kocham, kocham, kocham, potrójne to wykrzyknienie z głębi serca, niech ci stanie za długi list. Nawzajem, proszę, kochajcie mnie tam, pobłażajcie, ażebym nieosamotniał do reszty i nieosmutniał. Potrzebuję bardzo waszej miłości.

„Bom jako pająk milczący,
Na swych wnętrznościach wiszący".

[1]) Z dzienniczka B. Z.

Co też Mamcia roi sobie po dziś dzień, że po staremu namawia mnie do pisania, chociaż zima moja tuż.

Doba jesienna omrocznie szara,
W dobie tej miłość, nadzieja, wiara,
Piórek nie ronią na okolice;
Kędyś w cieplicach goszczą siostrzyce.

Potem o tem. Z całą moją gminą tulę się do twoich kolan i polecam Bogu

Twój

*Bohdan.*

## Do Pana Jana Krechowieckiego.

*Fontainebleau (Seine et Marne)*
*19. października 1856 r.*

Mój druhu Janie — mój Jasiu humański!

Pokój tobie i twemu domowi — pokój i błogosławieństwo w Panu! Smucim się oto w rozłączeniu i nieświadomości o sobie. Kiedy niekiedy po leciech dojdzie mnie wieść lub posłuch o tobie i dawne rozbrzmienia napełniają serce na długo. Czas opustoszył srodze i w nas i w około nas — ale przyjaźń ostała się — pachnie mi wonią minionej wiosny. Bóg cię świeżo dotknął ciężkim smutkiem... Bóg jest miłosierdziem i weselem, wiecznem weselem na czasy i rozstrzenie. A przecież wierzysz — miłujesz — spodziewasz się! Mój drogi, otrzej łzy i dalej! — Czterej synowie moi i córka wiedzą o tobie — poleć że i swojej dziatwie, aby mnie kochała i niezapominała w pacierzach. Siejba Wojciechowa, wszystko co wielkiego, co pięknego pielęgnowaliśmy w życiu, wejdzie dla nich i da Bóg bujnie zakwitnie... Do widzenia się stary druhu mój! Coraz bliżej do noclegu i świat lepszy niedaleki.

Twój

*J. B. Zaleski.*

## Do Pana Jana Krechowieckiego.

*Fontainebleau, 19. listopada 1856.*

Mój miły, drogi mój stary humański Jasiu. Cios po ciosie uderzają w twoje biedne serce. A przecież po chrześciańsku godzi

się tylko wyjąkać: Święć się wola twoja, Panie! Jeńcy my śmierci. Zaprawdę, Janie, i nam nie długo już popasać na tej ziemi. Śnieg nas opruszył, to czas do domu, czas! Przyjaciele jednak szkolni, trzymamy się jakoś wszyscy krzepko na nogach. Nie ubył ani jeden, ale rozdzieliły się serca wielu... Seweryn Goszczyński na innych drogach! Michał[1]) znowu na innych i t. p. Toż dziękujmy, bracie, Panu Bogu, żeśmy się po leciech znaleźli w dawnych dla siebie uczuciach. Dzieci twoje błogosławię, napisz mi o ich wieku i zdolnościach. Oby się kiedyś pobratały z mojemi w imię starej przyjaźni ojców. Pozdrawiam cię i przytulam po bratersku do piersi, druhu mój serdeczny.

Twój

*J. B. Zaleski.*

## Do Panny Michaliny Dziekońskiej.

*Fontainebleau.*

I ja, Misię, siostrzyczkę naszą z głębi duszy błogosławię w Bogu moim, tuląc ze łzami do bijącego braterskiego serca. Pokój tobie i uciszenie i pocieszenie w Ukrzyżowanym Panu naszym! Poraził nas niespodziany cios, ale miłosierdzie w nim Pańskie tem widoczniejsze i tem pewniejsze, że poraził nas niezapóźno, zostawując czas do upamiętania. I cóż teraz czynić? Oto mówmy ze świętobliwym Brodzińskim: „Trzeba się poddać i znosić, Bóg to w mądrości uznaje, Trudno o szczęście go prosić, Niechaj cierpliwość nam daje!“ A więc, Misiu, cierpliwości! Cierpliwości, co uświęca w ofierze wszystko ziemskie i skazitelne, co darzy pokojem i szczęściem duchowem na żywot i na wieczność. Siostro, tyś prawa chrześcianka i nie wątpię, że wytrzymasz ciężką dzisiejszą próbę, że wytrwasz pod krzyżem Panu swemu. Czuwaj i módl się o ten heroizm święty! Całym domem będziem ci dopomagać, wtórować sercami w codziennem nabożeństwie, aż zmiłuje się Pan i zleje na ciebie obfitość łask, darów i pociech nowych. Czuję, że to zmiłowanie bliskie jest. A wiedz, siostro droga, że:

Kto nie pożywał we łzach swego chleba,
Kto nieprzepłakał zbolały na ciele

[1]) Grabowski.

W łożu niespanych, długich nocy wiele,
Ten jeszcze nie wie o pociesze z Nieba.

Cóż ci radzić na przyszłość? Oto w życiu tem nie szukaj szczęścia, ale świętej zasługi. Spełniaj powszednie obowiązki w pracy, co leczy, w prawdzie, co zbawia. Sumienie twoje wskaże ci rychło właściwą pracę i właściwą prawdę, a Pan odrazu pobłogosławi im i napełni ci serce niebieską słodkością . . . . . .

Błogosławię tobie znakiem krzyża Pańskiego na pokój, uciszenie i męstwo! Pamiętaj, że modlimy się za tobą!

*Bohdan.*

## Do Panny Michaliny Dziekońskiej.

*Fontainebleau, 2. grudnia 1856.*

Kochana, kochana i własna tu nasza w dalekiej rodzinie, od dawna cięży mi na sumieniu milczenie moje. Dłużny jestem podziękowanie za śliczną, miłą przesyłkę i za śliczniejsze, milsze słowa, co przy tej przesyłce napisałaś do nas. Uroniłem dobrą sposobność przez P. Ludwika, bo kiedy odjeżdżał stąd, gruchnęła była wieść, że lada dzień zawitacie tu z Paulinką. Żywe słowo, dla tego właśnie że żywe, więcej waży niż marne, martwe pismo. Śniliśmy więc o rychłem widzeniu się z wami.

Kochana, stosunek między nami powidomu Pan utrzymuje i wzmacnia. Stosunek to nie światowy, nie świecki, bo nie wiemy dnia ni godziny, kiedy się zawiązał. Kochamy się dziwnie na rozstrzeniach i pomimo rozstrzeni. Spółczujemy z sobą, spółbolejemy jakoby sercem przy sercu. Darmo badać, co się w tem święci, ale wytrwajmy sobie w uczuciach do końca. Przygody ostatnich lat zarówno nas tu i tam utrapiały. Przeżyliśmy ciężkie czasy, pogrzebali dużo nadziei, pożegnali kilka dusz pięknych, podniosłych, i pożegnali na wieczność. Smutków co niemiara, nie zamgliły jednak wnętrza naszego, to wesoło patrzym w Niebo!

Smutki lecą w świat koleją
Jako wiatry. Kto nam powie
Po co stąd, lub z owąd wieją?
Na pogodę i na zdrowie!...
Czasem na głód i pomory!
Wedle pychy lub pokory.
A bezprawia, grzechy braci,

Jeno człowiek święty spłaci,
Bo ma z czego, chowa zbiory!

Niepodobna wszystko wedle serca wypowiedzieć w liście. W około nas ustawny gwar dziatek odgarnia wszelkie chmury brzydkie od domu. I ty po chrześciańsku bądź zawsze pogodną, słodką, mocną w duchu. Krzep słabszych, upośledzonych w darach Bożych, z których tyle, o! tyle dostałaś. Nie wolno ani marzyć już ani kwilić po światowemu.

Tyle na dziś. Pozdrawiam w Panu, ściskam rączki, polecając się z całym domem sercu i modlitwom rzewnej Litwinki.

*J. B. Zaleski.*

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Rzymie.

*Fontainebleau, 23. grudnia 1856.*

Moja Mamcia w liście do Józefa podejrzywa mnie, że już i na liścik do niej zdobyć się nie mogę. Gdzie tam, kochana! Jakże do was pisać, kiedy od Livurno nie dałyście wieści ni słychu o sobie? Jak pisać, kiedy nie wiemy adresu waszego w Rzymie? Ze dnia na dzień tedy oczekiwaliśmy na wiadomości od was. Owoż w tem leżał powód podejrzywanego niedołęstwa. Niedołęstwo! przebóg, Mamciu, jeszcze wcale niezlodowaciałem. Dopiero dmuchać poczynają na mnie zimowe szrony, a pod sercem po dawnemu dużo zarzewia. Mamciu, Mamciu, starość nie radość, z tem wszystkiem nie wyzywajmy przed czasem tego smutnego licha!

Moje niedołęstwo tkwi w czemś inszem, w czemś, co żadną miarą listownie wysłowić się nie da: tkwi w sierocym stanie wygnańca, tułacza. Im bliżej do śmierci, tem wspomnienia z lat młodych natarczywiej nastają, tem dotkliwiej tęsknota po Ojczyźnie dręczy. Tęsknota poojczysta, to wnętrzna śmiertelna gorączka moja. Mamciu, duszko, w tej gorączce siły się rychło niszczą, to łacno zniedołężnieć. Jak zadumam się w gorączce swojej, a pojrzę na młodzież moją bezimienną, bezdomą, bezdolą na cudzej tu ziemi, to zamiera serce w kręgach tortur: czuję, jakby wróg Polski dławił mi dziecko po dziecku. Polskie, słowiańskie duszki, to cóż poczne z niemi? Kędy uderzę? ku czemu pokieruję? Im tutejszy świat wstrętny, jak i mnie. Do Polski im

trzeba!... Ale do Polski wolnej i niepodległej!... Otóż po takich dumaniach często opadają mi ręce, chociaż nieprzestaję nucić sobie po cichu:

„Trzeba się poddać i znosić,
„Bóg tak w Mądrości uznaje:
„Trudno o szczęście Go prosić,
„Niechaj cierpliwość nam daje!“

W pocie też czoła ćwiczę się w cierpliwości: i muszę się sam pochwalić przed Mamcią, że w tej świętej cnocie zadziwiające czynię postępy. Kto mnie znał przed laty, nie poznałby dziś wcale.

Spokojny i pogodny płużę w obowiązkach rozlicznych od rana do wieczora i ze dnia na dzień w jednostajnem zawsze usposobieniu. O 5-ej rano już na nogach i tak samo aż do 11-ej w nocy. O 7-ej biegnę opodal do kościoła, aby zaczerpnąć nieco tchu świętego na ciężary swego dnia. Potem przy starszych, to młodszych dzieciach odbywam po kolei służbę. Dzieci rosną, to rozpoczęła się w domu formalna szkoła. Bóg mi dał zacną żonę i statecznego druha, to podpomagając sobie w miłości, wszystkiemu jakoś dajem radę. Zatrudnienia żmudne, znojne, ale żywot błogi, jakoby z Góry pobłogosławiony. Kiedy niekiedy mam parę godzin wolnych i na milszą pracę, na pracę, której winienem chleb, imię a może i miłość waszą. W miarę jak odzwierciedlam w duszy przeszłość narodową i własną, praca ta zasępia ducha i drażni boleśnie uczucie, wywołuje bowiem gromady upiorów... różne miłe postacie niedawno pożegnanych rówieników. Pieśń moja kwili jeno, niby smętna wdowa na tym padole płaczu. Brzmiąca sława i poklaski ludzkie obmierzły mi z dawien dawna.

Och! jak świat duży ten, niż po świecie
Wzdłuż i w szerz pustą grzmieć sławą,
Wolałbym cicho żyć w mym powiecie,
Kędyś nad Rosią, Rosawą:
Z drużyną swoją w dłoniach tam dłonie,
Kochać i śpiewać póki tchu w łonie!

„Mądrej głowie, dość po słowie!“ Mamciu, duszko, masz oto lekko zarysowany szkic, zaledwie zaznaczone tło duszy mojej. Na tem tle sama z Nisią dokończycie obrazek, zrozumiecie stan mój wnętrzny, jeśli po dziś dzień w sercach waszych domuje dawna sympatya dla mnie. Bóg widzi, że was kocham po staremu, i co dzień rzewniej, w miarę jak śmierć pustoszyć poczęła bliżej koło

mnie. Nigdy niezapominam żeście mnie przytuliły jak rodzone rodzonego. Dwadzieścia lat takiego braterstwa dla was, dwadzieścia lat braterstwa na tułactwie, kędy żyje się tylko sercem i przez serce, złożyły się niejako w stos całopalny, na którym chcę zgorzeć. Wyście moje, moje na zawsze. Błogosławię też wam i sam i w pokoleniu mojem młodziuchnem.

Bóg mnie w tych czasach, Mamciu, udarował wielką pociechą. Jestem dziś bez troski o los biednej mojej Antosi [1]). Kilka osób z bliższego rodzeństwa, zapewniło jej wygodne utrzymanie na resztę życia. Osiadła dobrowolnie na dewocyi przy kościele Rzyszczowskim, pod opieką i strażą siostrzenic swoich. Od rana też do wieczora modli się kochana nieboga moja. Wiem o niej wszystkie szczegóły wprost od Proskurzyny, która i sama wzięła udział w tym dobrym uczynku. Proskurowie od dwóch już miesięcy zamieszkują w Paryżu, kędy jest mnóstwo i innych rodaków z kraju, a zwłaszcza wielkich panów polskich.

O wyjazd Józefa, Mamciu, nie będzie między nami waśni. I owszem, radujemy się całym domem, że obaczy się z jedynakiem swoim. Och! wymodlił on sobie dawno u Boga tę pociechę na stare lata w tułactwie. Bóg da, że i my tego roku obejdziem się tu łacniej bez Józefa. Zosia moja acz niedomaga, wszakże silniejsza, niż przeszłej zimy. Chodzi teraz jedynie o to, aby Józef przeczekał w zaciszu naszem, czasy wietrzne, ekwinoxyjne, bo jego piersi nie znoszą burzliwego morza. Skoro się niebo wyjaśni na stalszą pogodę, wyprawimy go w Imię Boże do Rzymu, na dłuższe rozradowanie duszy i serca między wami.

Mili moi, życzenia wam świąteczne i noworoczne! Niech Bóg was darzy pokojem, pogodą, zdrowiem! Niech błogosławi domom waszym i domowym i polom i ogrodom!... Na wszystkich was tam miotam zbożem po ukraińsku: „Na szczastie, na zdorowie, na nowyj rik! rody Boże, żyto, pszenyciu i wsiaku pasznyciu!“

Wasz

*Bohdan.*

## Do Pana Karola Szajnochy, w Spa.

*Fontainebleau, 6. sierpnia 1857.*

A witajże nam, witaj, miły i serdeczny Panie Karolu! Prawdać niestety, że nie wszystkie nowe książki i nie wszystkich

[1]) Antonina Linowska, siostra rodzona Bohdana.

polskich autorów znamy na emigracyi, ależ ciebie i twoje pisma pokochaliśmy dawno i wielbimy chórem wszyscy, ile nas tu jest literatów. W tej chwili czytam Jadwigę i Jagiełłę z lubością, ucząc się rzeczy swojskich na czużyni. I z poezyi twojej znam coś zaledwie kilka luźnych zwrotek, ale arcypodniosłych i niewolących.

O tem, że cierpisz na oczy, wiem dawno. Właśnie z Karolem Sienkiewiczem zabierałem się pisać do Augusta Bielowskiego, aby cię namawiał w nasze strony. Istotnie, kochany Karolu, pobyt w Paryżu jest dla ciebie niezbędny: postaramy się też po bratersku, że nie będzie za kosztowny. Oprócz rozgłośnych paryskich okulistów, mamy tu jeszcze rodaka, ks. Kowalskiego, wielce słynnego kuracyami oczu. Rodakowski, malarz, opowie ci o skuteczności leków tego ostatniego.

Napisz mi, co postanowisz? W Ostendzie pozna cię doktor Gałęzowski, poważany tu powszechnie, a mój szkolny przyjaciel: przywiezie ci on zaprosiny do nas. Mam słówko i do Augusta, ale o tem, potem.

O podróży do Spa, ani mi się śniło. Dzięki Bogu, jestem zdrów: obowiązki przytem ojca drobnych dziatek przykuły mnie na długo do domu. Zazdroszczę dziś jednakże swobody naszym paniczom turystom, zazdroszczę jedynie dlatego, że tam w Spa przeżyłbym z tobą poufale kilkanaście dni. Zbliżenie się do ziomka takiego jak ty, Panie Karolu, rzadkie to gody dla emigranta! — Pomimo tego, kochajmy się!

Ściskam rękę, życząc zdrowia z całego serca

*J. B. Zaleski.*

Ze starzyzny mojej przepisałem na prędce kilkanaście ladajakich wierszy. Do zbioru autografów dobre i byle co. Przepisałem umyślnie drobno i nieczytelnie — abyś to zachował aż do zupełnego wyzdrowienia oczu. Uręczam, że wiersze te nie ciekawe, schodzę bo już z pola:

„Od tych czasów dużoć, dużo minęło już wody!
A gdy przyśni mi się o nich, to budzę się młody! [1]) i t. d. i t. d.

[1]) Wyjątek z Potrzeby Zbarazkiej.

## Do Pana Karola Sienkiewicza, w Paryżu.

*Fontainebleau, 7. sierpnia 1857 r.*

Kochany Panie Karolu! Zacny i uczony drużba twój, Karol Szajnocha, jest w Spa. Przysłał mi serdeczne słówko powitania. Z wejrzenia już na pismo znać, że cierpi na oczy; a sam wyznaje że jest na w p ó ł o c i e m n i a ł y. Szkoda w tem publiczna! Odpisałem *stante pede*, napomykając mu i o tem, oczemśmy ongi z sobą mówili: to jest aby na leki przyjeżdżał do Paryża. Nie śmiałem bardzo nalegać, nie wiedząc o stanie jego zdrowia i interesów: jednakże dodałem, że postaramy się po bratersku, aby pobyt w Paryżu nie był dlań za kosztowny. Szajnocha ze Spa udaje się do Ostendy. Sądzę, że przez Gałęzowskiego możnaby mu posłać zaprosiny. Może Gałęzowski ustąpiłby mu i pokoju w swoim apartamencie. Potrzebaby pomyśleć o wynalezieniu dlań zdrowego stołu. Co do umilenia nudów kuracyi, to już twoja rzecz, Panie Karolu. Nie wątpię, że wynajdziesz sposoby w swojem poczciwem sercu. Zresztą i drugi drużba, Karol Królikowski, dopomoże w tej braterskiej służbie przy znamienitym naszym pacyencie. A i ja dojeżdżałbym do chorego od czasu do czasu.

Teraz idzie tylko oto, czy Szajnocha może i zechce do Paryża. Za kilka dni coś mi przecie odpisze, a reszty dokona Gałęzowski w Ostendzie, i dlatego muszę się widzieć z tym ostatnim przed jego wyjazdem.

Pozdrowienie i t. d.

*J. B. Zaleski.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej, w Fontainebleau.

*Hâvre, 23. sierpnia 1857 r.*

Moja droga i najmilsza, pozawczoraj przybyliśmy do Hâvre, do hotelu de la Marine. Wczoraj rozpoczęliśmy kąpiele i cały dzień biegaliśmy za wyszukaniem kwatery. W mieście dość tanio, ale wolimy St. Adresse; tu nieco drożej, z tem wszystkiem domy nowe, czyste i bliskie morza. a tem samem z najcudniejszym widokiem. Stoimy na ulicy d'Etretat nr. 151, niedaleko Libiszewskiego. Urządzimy się dziś ze stołem. Mleko i masło mamy wyborne i w ogólności jedzenie smaczne i tańsze, niż w Paryżu

i Fontainebleau. Dzieci też mają niesłychany apetyt. Kąpiele skutkują na Marjanku . . . . . .

Jak się tam wszyscy macie, moja droga? Tęskno nam do was . . .

Całuję i ściskam ciebie i Józefa mego, a dziatwę błogosławię z czułością rodzicielską

*Bohdan.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej, w Fontainebleau.

*Hávre 26. sierpnia 1857.*

Moja najmilsza i serdeczna, a przecież odebraliśmy od was wiadomości. Usychaliśmy z tęsknoty i niepokoju. My kąpiem się w najlepsze i po dwa razy na dzień. Pogoda też sprzyja: miewamy tu po 20 kilka do 30 stopni ciepła. Dyzio uzuchwalił się w morzu, pluska się i skacze sam jak rybka: jest w swoim żywiole Za to Maryanek ze dnia na dzień bardziej tchórzy. Żadną miarą nie chce się uczyć pływać, chociaż ma nielada mistrza w tej trudnej sztuce. Istotnie p. Karol [1]) nie odstępuje go na krok w morzu a zawołany to pływak ze szkoły ongi W. Ks. Konstantego. Ja pilnuję Dyzia. Niepotrzebujemy tedy osobnego człowieka. Z łaski poczciwego p. Karola, wszystko u morza idzie nam niewielkim kosztem. Są tu jakieś dwie panie z Warszawy, które, słyszę, skwirczą niezmiernie na zdzierstwo u Francuzów, a kąpią się w najdroższym hotelu Frascati. Zapewnie jest i więcej kąpiących się Polaków z kraju, ale nikogo nie widujem w mieście, przyklepani do naszego kącika. Nie mamy ani czasu, ani ochoty na wizyty światowe. Uczymy się, to przechadzamy się z p. Karolem nad morzem. Onegdaj, kiedyśmy się pluskali w morzu, ktoś z tyłu za nami pływający woła po polsku: Jak się macie? Nie mogliśmy na razie poznać, co zacz jest ten morski interlokutor w czarnym chałacie i z mycką na głowie? Otoż Władzio Mickiewicz. Płynąc wznak po morzu, zgubił z oczu swój brzeg i swoją gromadę, a zabłąkał się do nas. Krótko mogliśmy z sobą mówić. Musiał biedak boso po kamieniach ostrych kłusować ćwierć mili do swoich i do tego przeziębły i drżący. Nazajutrz spotkałem znów w kąpieli Władzia już z Olesiem i Jasiem. Doręczyli mi list od Panny Szyma-

[1]) Libiszewski.

nowskiej, która prosi, abym czuwał nad chłopcami, bo są na swobodzie bez niczyjej straży. Kazałem chłopcom, aby przyszli do mnie: otoż po dziś dzień ani się zgłosili. Pójdę dziś do nich z dziećmi, aby się spytać, czemu do nas nie przyszli.

Gdzie tam, kochana moja, dumać mi tutaj? Ani na chwilę nieodstępuję dzieci, a więc żyję w gwarze jeszcze większym, niż w Fontainebleau. Przedewszystkiem obowiązki moje, służba, jaką Bóg wyznaczył.

Całuję twoje czoło i ręce, całuję, pieszczę i błogosławię towarzyszkę bied ziemskich

*Bohdan.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

# NAJNOWSZE PRĄDY
# W POEZYI NASZEJ

PRZEZ

**PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.**

(Ciąg dalszy).

## III.

### Pessymizm i jego piewcy.

Odkąd dzieje ziemi są nam znane, nie brakło nigdy pessymistów. Czy się wpatrzymy w życie duchowe Indusów, Egipcyan, Hebrejczyków czy Greków, zawsze spotkamy nie tylko jednostki, wyznające, że lepiej nie żyć, aniżeli żyć, lecz nawet całe teorye religijne i filozoficzne, osnute na tym aforyzmie rozpaczliwym.

Samo już przekonanie, będące gruntem wielu religii, że człowiek jest skłonniejszym do złego, niż do dobrego, stanowi niezmiernie cierpką przyprawę wszelkich rozmyślań o społeczeństwach ludzkich, bo jakkolwiek owe religie podają środki przeciwdziałania złej naturze człowieka i przerabiania jej na wzór i podobieństwo Boże: to przecież każdemu wiadomo, jak ta przeróbka idzie powoli, z jakiemi połączona jest trudnościami, z ustawicznem ponownem popadaniem w grzechy i t. p.

„Więcej jest wątrób, aniżeli serc“, większość ludzi to głupcy i niema gorszego zwierzęcia nad człowieka: oto zdania wyrywające się z ust ludzi, nietylko w zasadzie nie pessymistów, ale nieraz takich, co chcą oddziaływać we wprost przeciwnym kierunku: a wszystkie one są rozwinięciem myśli naczelnej, że człowiek jest

skłonniejszym do złego niż do dobrego. Posłuchajcie kaznodziejów i moralistów, a oni wam tak przerażające odmalują obrazy występków i zbrodni, popełnionych lub zamierzonych przez ludzi, iż wam mimowolnie staną przed oczyma czeluście piekielne, zapełnione potępieńcami, dozorowanymi przez szatanów.

Poczynając od prostego, zwykłego samolubstwa, a kończąc na morderstwie, poczynając od kłamstwa, a kończąc na zdradzie, poczynając od flirtu, niby niewinnego, a kończąc na wyuzdaniu i rozpasaniu, przesuwają się przed nami w najrozleglejszem ustopniowaniu i najobszerniejszem rozgałęzieniu niemiłe, bolesne, okropne i wstrętne przejawy instynktów poziomych i trywialnych, lub lubieżnych i krwiożerczych, trapiących ludzkość od zarania jej bytu, od tradycyjnego bratobójstwa Kaina, od mitycznych zbrodni w rodzie Atrydów...

Rozważając takie przejawy i zastanawiając się nad sobą, myśliciel wzdryga się mimowoli, bo nuż w nim samym ocknie się zwierz żarłoczny, czy lubieżny, nikczemnik lub okrutnik.

Z takiem usposobieniem spojrzawszy na historyę narodów, cóż w niej zobaczymy? Szeregi olbrzymich mordów dla zadość uczynienia ambicyi jakiegoś władcy, dla zdobycia kawałka ziemi, dla pochlebienia pysze narodowej. Wielkie masy dają się zabijać w wojnach, nie wiedząc nawet zgoła, po co giną; a ci, co pozostali przy życiu, chlubią się jeszcze z odniesionego tryumfu. I co mają w zysku? Tę samą biedę i nędzę, co dawniej, tę samą mozolną pracę dla utrzymania życia, te same choroby, co ich powoli zjadają, a w końcu nieunikniony kres bytu, lękiem przejmująca — śmierć. Czy warto żyć, ażeby cierpieć, a następnie umrzeć?

Radość i rozkosze, których pomiędzy jednem cierpieniem a drugiem doznają ludzie, są tak krótkotrwałe, tak przemijające, tak ułudne, że potrzeba wielkiej pobłażliwości i wyrozumiałości, ażeby je za prawdziwe pokrzepienie uważać, nie zaś za chwilową ulgę dawaną ludziom po to, ażeby później mogli znieść tem sroższe katusze. Więcej jest w życiu smutku niż wesela, więcej łez niż uśmiechów, więcej wstrętów niż zadowoleń, więcej klęsk niż zwycięstw.

Natura jak okrutna matka każe nam pchać taczkę życia bez wytchnienia, bez odpoczynku; co więcej zmusza nas do krzewienia istnień, do mnożenia nieszczęśliwych, skazanych na mozolną, krwawą, długą pracę, bronić siebie i ich już to od czyhających na zdrowie żywiołów, takich jak woda, ogień, trzęsienie ziemi

i t. p., już to od żerujących zwierząt, już to od chciwych na cudzą własność bliźnich.

Ludzie lekko wszystko biorący, uznając te wszystkie cierpienia, kończące się zgonem, wyciągają ztąd ten jedynie wniosek, iż należy korzystać z krótkich chwil radości, żyć z dnia na dzień, bez zbytecznej troski o jutro: ale ci, co z usposobienia są posępni, zadają sobie pytanie, czy wogóle żyć warto i albo radzą zabijać w sobie chęć do życia, albo też poprostu zabijać siebie samego.

Udręczonej, ciągłemi bolesnemi wstrząśnieniami targanej ludzkości dawano pociechę, że na tamtym świecie, wszelka łza otartą zostanie, że niesprawiedliwości, doznane na ziemi, będą wynagrodzone w niebie, gdzie ustaną cierpienia i smutki, a zapanuje radość i wesele; ale gdy ta pociecha została zakwestyonowaną, wzmógł się nastrój ponury.

Istotnie sceptycyzm XVIII. w., zachwianie się wiary w wielu umysłach, przyczyniły się ogromnie do spotęgowania pessymistycznych na życie poglądów, a tak zwany „ból wszechświatowy“, uwydatniony przez Goethego w „Cierpieniach młodego Werthera“, rozlewać się zaczął i nurtować we wszystkich sercach wrażliwych i umysłach gorętszych. A życie realne bynajmniej się nie przyczyniało do jego umniejszenia, a tembardziej do ukojenia.

Postęp w dziedzinie ulepszeń materyalnych, olbrzymi rozwój przemysłu i handlu wzrastały z każdym lat dziesiątkiem wieku XIX., ale równocześnie wzmagały się warstw wszystkich potrzeby, które bardzo niedostatecznie tylko zaspokojone być mogły. Przedział, istniejący zawszę między bogatymi, mogącymi używać bez pracy, a biedakami, zmuszonymi do nieustannych wysiłków, przewyższających częstokroć ich możność, uwyraźniał się coraz jaskrawiej, budząc wśród łaknących i spragnionych niechęci i nienawiści względem sytych, zdobnie odzianych, wciąż ucztujących bogaczy.

Szczególniej bolesnym stawał się ten kontrast dla ubogiej inteligencyi, czującej w sobie większe zasoby umysłowe, większe zdolności, aniżeli wśród całych szeregów posiadaczy mamony, a nie mogącej tak jak oni wyzyskać wszystkiego, co świat ostatecznie dać może.

Poezya i powieść popularyzowały rozpaczliwe nastroje wyjątkowo wrażliwych jednostek, czyniły je modnymi i rozciągały je na coraz to liczniejsze gromady ludzi. Coraz to drobiazgowsza analiza myśli, uczuć i popędów usubtelniała dusze, lecz równocześnie robiła je coraz mroczniejszemi, coraz więcej im wątpliwości

i zagadek, sprzeczności i przeciwieństw nasuwała do posępnego rozmyślania.

A filozofia w pewnym swym odłamie, wcale się nie przyczyniała do usunięcia lub osłabienia takich wątpliwości i przeciwieństw: owszem dolewała oliwy do ognia. Niemożność poznania najwyższych i dla człowieka najważniejszych zagadnień, na których ogólny pogląd na świat ugruntowaćby można, co więcej, niemożność poznania nawet samych rzeczy, jakiemi są w swej istocie, niepokoić musiała umysły żartkie, pragnące szybkiego i stanowczego rozstrzygnięcia niepokojących je pytań. Być skazanym na to, by nigdy, nigdy nie módz oglądać prawdy oczy w oczy, lecz wciąż tylko mieć do czynienia ze swojemi wrażeniami i na najprostszą kwestyę: co jest materya? nie otrzymać innej odpowiedzi nad tę, że jestto t r w a ł a m o ż n o ś ć doznawania pewnych wrażeń przez istoty obdarzone zmysłami: toż to straszne udręczenie dla duszy żądnej zaspokojenia swego teoretycznego głodu.

A tym sposobem do pobudek uczuciowych pessymizmu, przybyły rozumowe, silnie ugruntowane, czyniące myśl samą cierpieniem, wedle wyrażenia Alfreda de Vigny.

Przytem nadeszły i systematy pessymistyczne. Świetny stylista, umysł bystry a paradoksalny, z niemałą fantazyą artystyczną i z uczuciem namiętnem, A r t u r S c h o p e n h a u e r, wymownie w swych pismach odmalował okropną nędzę życia, dowodząc, że zasada ustroju świata jest ślepa i nierozumna.

Świat ten (według niego) jest najgorszym ze wszystkich możliwych. Optymistą może być jeno głupiec zaślepiony, albo też człowiek, który w głoszeniu takiego poglądu ma jakiś własny samolubny interes. W królestwie kopalnem i roślinnem widzimy tylko bezcelowe jakieś dążenie niewiadomo dokąd; w świecie zwierzęcym — nienasyconą chęć użycia, łudzenie się nadzieją szczęścia, którego osiągnąć niepodobna. Rozkosz bowiem, za którą gonimy, to poprostu usunięcie tylko niezadowolenia; wyczerpuje się ona zaraz po swem zaspokojeniu: a potem występują nowe potrzeby i pożądania, więc nowe zawody i nowe cierpienia. Zmniejszyć je może tylko litość, mająca swe źródło w panteistycznem pojęciu jedności zasadniczej wszystkich objawów świata. Najwyższem zadaniem człowieka jest unicestwienie chęci do życia przez ascetyzm. Schopenhauer wielbił indyjskich pokutników i rozpowszechnił w Europie buddystyczną naukę o usunięciu cierpień

przez ustąpienie ze świata zjawisk, zwanego Sansara, a wejście w stan bezświadomości — Nirwana [1]).

Od jego czasów buddyzm zaczął wchodzić w modę: a pojęcie błogości najwyższej, jakiej się doznaje w Nirwanie, zaczęło się zakorzeniać w umysłach.

W nowszych jeszcze czasach, zwolennik Schopenhauera, autor „Filozofii zasady bezwiednej“ Edward Hartmann, próbował odjąć zbyt wielką gorycz pessymizmowi mistrza, uznając celowość w zjawiskach przyrody i w rozwoju dziejowym ludzkości. W ostatecznym jednak wyniku i u niego utrzymuje się zdanie, że lepiej jest nie istnieć, niż istnieć; bo, jak powiada, przewaga cierpienia nad przyjemnością daje się wykazać doświadczeniem i rachunkiem; świat źle jest urządzony i lepiej byłoby, gdyby go wcale nie było, atoli ze wszystkich możliwych jest on najlepszym. Celem rozwoju świata jest wyzwolenie od męki bytu, pokój niebytu. Zadaniem świadomości jest wykazać złudzenia nienasyconej, wiecznie pragnącej, nigdy niezadowolonej woli, która już to szuka szczęścia w życiu ziemskiem, już to oczekuje go po za grobem, już to spodziewa się uzyskać je kiedyś za pośrednictwem coraz to doskonalszego rozwoju stosunków na świecie. Wykrywszy te złudzenia, świadomość powinna dojść do przekonania, że jedynem dostępnem dla nas szczęściem jest pozbycie się cierpienia; a pozbyć się go można jedynie drogą usunięcia chęci do życia a z nią razem i bytu świata przez energiczne postanowienie większości ludzi [2]).

Wobec takich i tym podobnych twierdzeń, krzewiących się wśród najwyższych inteligencyj, w połączeniu z poczuciem niemożności zadowolenia pragnień i pożądań, nietrudno zrozumieć, że nie tylko już osiągnięcie szczęścia usuwa się w dal niedojrzaną, ale nawet samo niezakłócone niczem używanie chwilki zadowolenia staje się rzeczą trudną, ponieważ chwilkę tę psuć będzie świadomość, że jest ona złudzeniem, marą, wytworem naszej wyobraźni, nie zaś czemś przedmiotowo istniejącem.

Jeżeli w początkach wieku XIX. melancholia jak mgła gęsta unosiła się nad duszami, w mrok je pogrążała i nie dozwalała im nasycać się szczęściem, to pod jego koniec przemieniła się ona w bolesne przeświadczenie, że już szczęścia odczuwać nawet

[1]) Ueberweg: Grundriss der Geschichte der Philosophie. t. III, §. 25. Falckenberg: Historya filozofii nowożytnej, tłómaczył M. W. Kozłowski, str. 583.

[2]) Falckenberg: Hist. filoz. nowożytnej, str. 645, 646.

nie umiemy, i że pozostają nam tylko chwilowe upojenia i szały, wybryki rozigranych nerwów i podbudzenia, które się niebawem w straszną depresyę mają przemienić.

Te przyczyny ogólne wzmożenia się prądu pessymistycznego działały w całym cywilizowanym świecie; działały one i u nas, tylko zmodyfikowane oczywiście naszem usposobieniem narodowem i specyalnymi warunkami naszego losu.

Nie tyle filozoficzny, ile uczuciowo-poetyczny odcień pessymizmu znalazł silny oddźwięk wśród naszej inteligencyi. Nie brakło wprawdzie w najnowszych czasach zwolenników filozofii Schopenhauera czy Hartmanna, lecz zwolennictwo to w drobnej zaledwie cząstce opierało się na głębszych studyach poglądów, reprezentowanych przez owych myślicieli, przeważnie zaś było powierzchownem powtarzaniem pewnych haseł i aforyzmów, które w dostępnej dla umysłów ogółu pojawiały się formie. Śmiało można twierdzić, że pessymizm teoretyczny nie zapuścił mocnych korzeni w umysłowości naszej, że był rośliną wijącą się po jej powierzchni jedynie.

Natomiast uczuciowy, poetyczny pessymizm Byrona najprzód, a następnie Heinego, Musseta, Baudelaire'a oddziaływał na usposobienie warstw ukształconych nieporównanie potężniej. Różne odcienie smutku, cierpienia, melancholii, rozczarowania, rozgoryczenia i rozpaczy znajdowały u nas przedstawicieli, nieraz prawdziwie świetnych, którzy pod względem piękności słowa nie ustępowali największym nawet poetom świata.

Okropne warunki rozwoju narodowego wzmacniały nastrój bolesny i jątrzyły rany. Utrata niepodległości, daremne wysiłki celem jej odzyskania, ciągłe starania wrogów, by zdusić i wytępić niemiłą sobie narodowość, przejmowały serca goryczą. Niejeden mógł o sobie powtórzyć słowa Mickiewicza o młodym Walterze, późniejszym Konradzie Wallenrodzie: „Szczęścia w domu nie znalazł, bo go nie było w ojczyźnie“.

Przez czas długi idea mesyaniczna, ubóstwienie Polski, przepowiednie o jej zmartwychwstaniu i objęciu przewodnictwa nad innymi ludami krzepiły słabnącą nadzieję, nadawały szeroki lot pomysłom i natchnieniom, przejmowały dumą chroniącą od zwątpienia i rozpaczy. Atoli gdy po roku 1863 zaczęto ostro krytykować przeszłość Polski, a ideę mesyaniczną poczytywać nie tylko za błędną, ale wprost za szkodliwą; kiedy potępiono usiłowania, mające na celu wyjarzmienie narodu; kiedy napiętnowano „liberum conspiro“ jako równoważnik dawniejszego bezrządnego „libe-

rum veto"; kiedy wyśmiano myśl o przewodniczeniu innym narodom, a natomiast kazano bić się w piersi i żałować za grzechy polityczne stare i nowe; kiedy na miejsce zapału „Ody do młodości" zalecono trzeźwość i liczenie się ściśle ze stosunkami realnymi: wówczas temperamentom żywym i popędliwym zabrakło nagle powietrza do szerszego oddechu, zabrakło gwiazd świetlanych, ku którymby oczy zwracać mogły, zabrakło podstawy, na której by wolno im było wznosić gmach promiennej przyszłości. Dla takich usposobień nie nadługo służyć mogło za dźwignię duchową hasło pracy organicznej, podniesienia ludu i klas roboczych do stopnia świadomych czynników życia narodowego.

Słyszeliśmy już namiętne skargi poetów, że hasła te zużytkowane i sponiewierane przez groszorobów i karyerowiczów, nie zdolne są zaspokajać ich duszy; słyszeliśmy, jak ponownie zwrócono się do entuzyastycznych wezwań „Ody", zachęcającej młodzież, by ruszyła z posad bryłę świata i na nowe pchnęła ją tory.

Atoli niewielu było takich, co czuli w sobie, choćby chwilowo, siłę niezmożoną, gotową walczyć ze wszystkiemi przeszkodami; więcej nierównie znalazło się takich, co wszelką walkę uważali za bezcelową, co już nie czuli w sobie nietylko sił, lecz po prostu hartu woli, aby stawić czoło przeciwnościom.

To osłabienie albo zamknięcie najważniejszej sprężyny duchowej miało swoje przyczyny intelektualne i uczuciowe.

Zakwestyonowanie celowości w zjawiskach przyrody, zaprzeczenie wolności woli w postanowieniach i uczynkach ludzkich, fałszywie zrozumiana przyczynowość wszystkich zjawisk, przemieniając się w jakiś głuchy fatalizm, działały hamująco na przejawy energii wewnętrznej, gdyż nasuwały wciąż natrętne pytanie: na co i po co?

Z drugiej strony uczuciowość drażniona ustawicznie od dzieciństwa przeciwieństwami pomiędzy tem, co w domu polskim za piękne, szlachetne i zaszczytne uważano, a wpływami cudzoziemskiej szkoły, mówiącej o tem samem z lekceważeniem lub pogardą, dwulicowość postępowania, wywołana koniecznością ukrycia uczuć i popędów wobec tych, co je za karygodne poczytują; zdarzające się coraz częściej odstępstwa od idei narodowej „dla pasztetu", jak się Orzeszkowa, wyraziła, tak zamąciły dusze, że już one same czasami niewiedzą, co złe a co dobre, co szlachetne a co podłe.

Zdenerwowanie wreszcie i osłabienie fizyczne, wywołane różnemi okolicznościami, wśród których przedwczesne nadużycia niemałą odgrywają rolę, tak mrocznie odbijają się na umysłach,

że jasne widzenie, sumienna ocena zjawisk staje się niesłychanie trudną, a krańcowość — nader łatwo zrozumiałą.

Cóż dziwnego, że i w poezyi mamy obecnie tak dużo pessymistów. Na ich czele stoi Kazimierz Tetmajer, temperament namiętny i gwałtowny, wybuchający w słowach potężnych. Kazimierz Tetmajer w początkach swego zawodu wcale pessymistą nie był. Oddźwięki naszego romantyzmu silnie jeszcze nań oddziaływały. Pierwsza jego praca poetyczna, ogłoszona r. 1886 p. t. „Illa“, to fantazyjne dzieje Gryfa, Sokoła i Illi, które opowiadając młodziutki autor, student naówczas, w słowach pełnych prostoty i melancholii, zapożyczonych od Słowackiego, dawał wskazówki narodowi, żeby kochał, ufał, miał wytrwanie wobec przeciwności i unikał stronnictw. W rok potem wyszła: „Allegorya“, mówiąca o miłości chłopa i pięknej jak wolność dziewczyny, miłości, rozerwanej przez brutalną i urągającą się z nieszczęśliwych potęgę jakiegoś dzikiego władcy, opętanego na widok uroczej postaci niewieściej szałem żądzy zmysłowej. Dziewica, doprowadzona do ostateczności, zabija okrutnika i siebie, a skrępowany i uwięziony chłop, który musiał patrzeć na pohańbienie swej ukochanej, umiera niebawem...

W obu tych utworach poeta, choć widział w życiu dużo nikczemności i dużo złego, nie wątpił przecież, iż pierwiastek szlachetny musi odnieść nad podłym zwycięstwo i że radość jak słońce z poza chmur wyjdzie i napełni ludzi uczuciem zadowolenia i szczęścia, byleby im nie zabrakło odwagi, chęci do pracy, miłości ideału i wytrwania.

Podobne myśli i podobny nastrój widać było także w wierszach przygodnych, poświęconych uczczeniu pamięci Mickiewicza, Słowackiego, Kraszewskiego.

Służbę dla pięknej, wzniosłej, lubo niedoścignionej idei uważał wtedy Tetmajer za obowiązek poety; kreślił przeszkody i niebezpieczeństwa, na jakie narażony bywa każdy, kto oczy swoje zwraca nietylko ku ziemi, lecz je kieruje w bezmiar i nieskończoność; wiedział, że w tym pochodzie ku krainie ideału nastanie dla wielu kres życia, zanim cel osiągną; wiedział także, iż w miarę posuwania się odważnych szermierzy naprzód, odległość od celu ostatecznego zmniejszać się nie będzie; nie przerażało go to jednak, gdy wołał w imieniu „Poetów idealistów“.

Podobni słońcu, co uwiędłe ziele
Kolebką czyni młodych, świeżych ziół:
Jedne osiągłszy, nowe tworzym cele...

W jutra tajemną twarz patrzący śmiele.
Po laur sięgamy dla wyniosłych czół!

Ta wiara młodzieńcza, ten zapał niepohamowany zmniejszały się w latach dalszych, ustępując miejsca zniechęceniu, apatyi, lekceważeniu życia i jego zadań, pessymizmowi coraz to jaskrawszemu.

Poeta wyznaje, że „zgubił swą drogę“ i „swą dawną duszę“, że myśli jego stały się jako żeglarze, co zbłąkani na wielkiej wód przestrzeni, wśród chmurnej nocy, płyną z wolą wiatrów, ster opuściwszy, zdjąwszy z wioseł dłonie, nie dbając, ku jakim zawiną lądom. Chciałby on uwierzyć w te gmachy przyszłości, pełne ciepła i wesela, które się dźwignąć mają na ruinie „starego świata, co gnije“; ale wierzyć nie może; przed oczyma jego coraz ciemniej, a przed nim pustka coraz większa; tak, że nie wie, dokąd iść ma i powinien. Zazdrości też tym wszystkim, których krzepi wiara, że przyniosą szczęście światu nowemu, co ze zwalisk powstanie: lecz „te sny złote mózgów płomiennych“ wydają mu się czczemi marami. Niepozbytą towarzyszką jego myśli jest ironia, trująca mu każdą chęć, każdy poryw, każdy czyn, przemawiająca doń urągliwym głosem:

Miłość, braterstwo, poświęcenie, wiara,
Szlachetne męstwo i czysta ofiara:
Wszystko, co w duszy zowie się wzniosłością,
Ja mojem strasznem naznaczam Ci piętnem
I co ci miało zdawać się pięknością,
Staje się brzydkiem i wstrętnem...
Wiesz, że cię z rąk mych śmierć kiedyś wyzwoli,
Lecz nie wiesz, co za nią czeka...
Tak, nawet z twojej godziny śmiertelnej
Mój śmiech wyziera piekielny.
Jak zwierzę, węża czarowane wzrokiem,
Nie możesz skryć się przed moim widokiem;
Na duszy twojej leżę ciężkim głazem.
Jak sztylet, szpon mój w sercu ciebie boli,
Bezskrzydłym ptakiem i skrzydlatym płazem
Z mojej nazywasz się woli,
I sam dla siebie jesteś pośmiewiskiem,
Losów już będąc igrzyskiem.
Najsroższą męką, jaka cię nawiedza,
Jest twa świadomość, twoja samowiedza.

Ażeby uciec od tej przeklętej samowiedzy, poeta po buddyjsku wzdycha do snu wiecznego bez marzeń i pisze „Hymn do Nirwany“:

Oto mię wstręt przepełnił, ohyda mię zadusza,
Nirwano!
I w bolach konwulsyjnych tarza się moja dusza,
Nirwano!
O, przyjdź i dłonie swoje połóż na me źrenice,
Nirwano!
Twym unicestwiającym oddechem pierś niech sycę,
Nirwano!
Żem żył, niech nie pamiętam, ani wiem, że żyć muszę,
Nirwano!
Od myśli i pamięci oderwij moją duszę
Nirwano!
Niech żywot mię silniejszych i słabszych śmierć nie ciśnie,
Nirwano!
Niech błędny wzrok rozpaczy przed oczy mi nie błyśnie,
Nirwano!

Tetmajer występuje nie tylko we własnem imieniu, ale i w imieniu całej młodszej generacyi, która życie swe duchowe rozpoczyna od nudy, szyderstwa, wątpień i przeczeń, która nic z ideałów stracić nie może, bo ich nigdy nie miała, ale której bywa tak źle, „że na złe takie brak wyrazu“, a serce pęka w niej i we krwi pływa.

Uczucia i hasła, rozpłomieniające dawniej dusze młode a wrzące, wydają się już pustym brzękiem. Cóż są dla niej idee, kiedy poprzez lat tysiące wciąż tylko ideami nieurzeczywistnionemi pozostały? Modlitwa nie wzmacnia jej na duchu, gdyż wiara żywa i szczera wygasła. Użycie nie zadowala jej, bo „w duszy jest zawsze coś na dnie, co wśród użycia pragnie, wśród rozkoszy żąda“.

Z drugiej strony, te środki, w które dawniej uzbrajały się dusze wrażliwe a dumne, by swych słabości i omdleń nie okazać, wydają się najmłodszemu pokoleniu dziecinnymi, nie prowadzącymi do celu. Najzjadliwsze nawet szyderstwo nie może się równać „z ironią biegu najzwyklejszych rzeczy“. Co znaczy wzgarda, kiedy „tylko głupiec gardzi tym ciężarem, którego wziąć na słabe nie zdoła ramiona“? Na co zda się przekleństwo, jeśli „tylko dziki, kiedy się skaleczy, złorzeczy swemu bogu, skrytemu w przestworze“. Rozpacz maż sens jaki? Mamyż iść „za przykładem skorpiona, co się zabija, kiedy otoczą go żarem?“...

Przedstawiwszy w ten sposób nicość pociech i zawodność oburzeń, woła w końcu poeta z goryczą w duszy i beznadziejnością zwątpienia:

Cóż więc jest? Co zostało nam, co wszystko wiemy,
Dla których żadna z dawnych wiar już nie wystarcza?
Jakaż jest przeciw włóczni złego twoja tarcza,
Człowieku z końca wieku?... Głowę zwiesił niemy.

Oczywiście nie zawsze milczeniem odpowiada Tetmajer na bolesne niepokoje ducha, pozbawionego punktu stałej podpory. Owszem, o wiele częściej rozwija temat, wyrażony krótko a trywialnie prawie, w następnym czterowierszu:

Wszystko jest marne, podłe, złe i wstrętne,
Niema na świecie nic, nic, coby było
Cokolwiek warte! Świat jest błota bryłą
Rzuconą w wody nieprzejrzanie mętne.

Pochód ludzkości jest dla poety „przemianą zła wieczyście trwałą“, a nienawiść — „dźwignią świata“. Stąd niedziw, że w wierszu „Prometeusz“ tytanowi temu, którego Shelley uczynił rzecznikiem wszechmiłości, wkłada w usta pragnienie unicestwienia rodu ludzkiego, jako najwyższego ze szczęść, mogących mu przypaść w udziale; stąd niedziw, że wzdycha do Nirwany i że najpiękniejsze pieśni Tetmajera są te, w których wypowiada się duma zamkniętego i w sobie trawiącego się serca, rozgoryczenie i niesmak, niemożność osiągnięcia wiary naiwnej, żądza niszczenia, negacya wszystkiego. Takiemi są: Duch, Albatros, Życie, Nieskończoność, Zwątpienie i cały szereg Zamyśleń i Preludyów.

Tęsknota, smutek, melancholia, zniechęcenie stają się treścią zgorzkniałej duszy. Czasami wzlatuje ona „z smutnym krzykiem“ do sfer, „kędy słońce, nieśćmione wyziewami ziemi, jasno gore“; ale niebawem „złamane skrzydła“ opadają, a pierś rani się „o głazów krawędzie, znacząc krwi czerwoną strugą ślady swej ziemskiej drogi“. Oszołomić się wtedy pragnie hukiem burzy, łoskotem wodospadów; albo też puszcza myśl swą na nieprzejrzane okiem obszary oceanu, zawisa na turniach tatrzańskich, zstępuje w otchłanie nędzy ludzkiej, by widokiem cierpienia powszechnego swoje własne uolbrzymić i mieć przynajmniej pociechę wielkości w nieszczęściu.

Nigdy i nigdzie jednakże wytchnienia znaleźć nie może i w tem straszliwsze popada rozgoryczenie, że nie widzi środka wyjścia z błędnego koła jątrzących widziadeł. Wiedza? Cóż potem, że nam ona wskaże wszystkie źródła pragnień człowieka i „ma-

szynę wszystkich jego postępków, uczynków i myśli na najdrobniejsze cząstki składowe rozbierze“? Czyż przez to „ludzkość będzie szczęśliwszą, zło mniejszem“? Miłość ludzkości? Ależ ona jest pustem brzmieniem. Cóż my możemy zrobić, ażeby ludziom było lepiej? Jesteśmy wprost bezsilni, a to poczucie „niemocy woli ludzkiej“ jest najstraszliwszem, najsroższem, najgorszem z uczuć. „Czem jest życie ludzkości“? pyta poeta i zaraz daje odpowiedź rozpaczliwą:

. . . . Od tysięcy wieków
Patrzeniem wciąż w zwierciadło jedno i to samo
I ciekawem śledzeniem w tem jednem odbiciu
Coraz nowych wyrazów bolu i rozpaczy.
O, góry! o, jeziora!
Jak jesteście szczęśliwe wy, co nie możecie
Nic czuć, nic myśleć, nic chcieć!... Jesteście bezwładne,
Jak my, lecz bezwładności swojej nieświadome:
I to jest szczęście wasze!... O, cóżbym dał za to,
Gdybym mógł, jak wy, nie mieć wiedzy mojej doli...

Jedna wszakże istnieje dla poety rzecz warta pożądania i pieśni, to miłość. Określenie jej znaczenia jest bardzo charakterystyczne; pozostaje bowiem w niejakiej zgodzie z usposobieniem pessymistycznem. Miłość — powiada Tetmajer — jest najwyższą z sił, największą z żądz, „duszą duszy“ i „sercem serca“. Jeśli najzupełniejszem szczęściem jest „zapomnienie, bezwiedza i niepamięć“; to miłość jest „szczęściem szczęścia“, gdyż daje „omdlenie duszy i omdlenie zmysłom“, a rozumowi kładzie „kres upajający“. Jeżeli złudzenia są „jedynem dobrem“, to miłość jest dobrem najważniejszem, gdyż daje „najsilniejsze ze wszystkich złudzeń“. Jeśli pragnienia są jedyną poręczą, chroniącą od upadku „w przepaść rozpaczy i wstrętu“; jeśli są jedynym mostem, po którym można iść na odmęt nudy; jeśli są jedynem lekarstwem, które broni od „cierpień zwątpienia i zbrzydzeń, pogardy świata i od samowzgardy“; to miłość, jako matka pragnień, jest ową poręczą, owym mostem i lekarstwem, jest „zbawczynią ludzi“.

Po „Pieśni nad pieśniami“ Salomona niema chyba drugiego utworu w literaturze powszechnej, któryby piękniej, wymowniej i silniej malował powaby miłości zmysłowej, nie wpadając w błotnistą brutalność, — nad „Hymn do miłości“ Tetmajera, umieszczony tuż obok „Hymnu do Nirwany“. I poeta sam nigdzie indziej nie rozwinął takiego rozmiłowania się w przedmiocie, jak w tym właśnie hymnie. Owszem, niejednokrotnie później lubując się

w przedstawianiu upojeń zmysłowych i nagości kobiecej, tworzył lubieżne madrygały na cześć „śnieżnych wzgórków“, „boskich ud“ i tym podobnych szczegółów. Na zarzuty zaś robione w tym względzie przez krytyków, odpowiedział szyderczym wierszem „Szalony Faun“, gdzie ten typowy przedstawiciel lubieżności, odpędza swawolne nimfy, śpiewa wzniosłe pochwały dla niepokalanej Psychy, za którą tęsknił jakoby cały wiek. Zidealizował swe pragnienia. Szalony Faun i postać jego pozbywać się zaczęła wstrętnych cech zwierzęcych... gdy w tem spadła nań śmierć. Oczywiście zapóźno na starość przemienić chciał swą naturę; idealnie zaczął pojmować miłość, gdy się już w nim wypaliły żądze...

Jednakże i czystą duchową miłość umiał przedstawić w ostatnich latach Tetmajer, pisząc śliczny poemacik Qui amant i kilka liryków, w których inaczej niż dawniej swe pragnienia wyrażał, bo nie upojeń szukał, ale ukojeń i smutno mu było, gdy widział tylko piękne ciało, a nie mógł się w niem ducha dopatrzyć.

Te słodkie oczy twe nic nie mówią,
Patrzę w twe oczy, nie widzę w nich duszy;
Nic mi nie mówią słodkie twoje usta;
Patrzę w pierś twoją, nie widzę w niej serca;
I kiedy chciałbym ci przy nogach klęknąć,
Kolana objąć twoje i całować —
Lodowa ręka na pierś mi upada
I kona we mnie coś, gnie się i ginie...

Pod wpływem tej duchowej miłości, przemienia się w nim wiele; pragnąłby dać ludziom jakąś pociechę, jakieś pokrzepienie:

. . . . Jeśli moją drogą
Idąc, nie krzepię, nie bronię nikogo,
Jeśli me słowo ni tarczą, ni chlebem,
Ni krzykiem krzywdy, ni skargi jest echem,
Niech runę w przepaść z tym śmiertelnym grzechem
I niech niepamięć będzie mi pogrzebem.

Wogóle Tetmajer znajduje się obecnie w fazie niepokoju, w fazie poszukiwania jakiegoś ideału, któryby mógł uczcić i głosić. Powodów niepokoju tego nie objawia nam; ale bylibyśmy niesprawiedliwi, przypisując go jedynie i wyłącznie indywidualnym jeno zawodom i cierpieniom, chociaż wiele wyrażeń i sądów poety naprowadzać się zdaje na takie przypuszczenie.

Nie chwytajmy atoli autora za słówka, które mu się wymkną mimowoli z piersi przepełnionej bolem, ale zważajmy na całość

tego, co nam daje, a odnajdziemy z pewnością głąb ogólniejszą, z której płyną smutki bezbrzeżne.

Ileż to niewymownego cierpienia kryje się w cyklu 7 sonetów (w III. seryi „Poezyj“), w których jak w sarkofagu z ciemnego marmuru pogrzebał poeta to, co mu „było niegdyś żywem“, i wołał do róż i bluszczów, bolejącą swą ręką zasadzonych, by splotły nad nim cienistą altanę, „aby nie widział słońca na błękicie, ani księżyca na wieczornem niebie; bo każde z świateł tych zbudzić się może wspomnieniem chwili tryumfu przebrzmiałej“. I pytał sam siebie: „mogłoż znicestwieć, co się zdało trwałem?“— a w odpowiedzi „wśród pustkowia niezmiernych cmentarzy, gdzieś zanurzony w półmroczne otchłanie... daleki sfinksa kształt mu się pojawił“. I wystawił poeta, na podobieństwo Słowackiego, kościół „niedowiarstwem ciemny“, z którego atoli dusza jego, spragniona życia, wywoływała go na słońce, na zieleń łąk. Czy znajdzie tam ukojenie, szukane napróżno wśród mroku? Och, nie! bo dla duszy, jak mówił nasz pobożny pessymista XVI. wieku, Mikołaj Sęp Szarzyński, wszystko jest za mało; niczem się ona nasycić nie daje:

Oto ma dusza w czarach i zachwytach
Wśród was się miała czuć rozkołysaną
Melodyą jakąś, dotąd jej nieznaną,
Zrodzoną kędyś w kwiatach i błękitach...
Otoście miały być weselem dla niej,
Ogrodem pełnym woni i kolorów,
I tem smutniejsze jej dzisiaj jesteście.
Śmierć ku niej z morskiej wyziera otchłani.
Śmierć się kołysze nad nią w szumie borów
I w kaskad grzmocie i w kwiatów szeleście...

Śmierć, pochłaniająca bezlitośnie wszystko, co się ukochało, była zawsze dla poetów i filozofów tematem pobudzającym do ponurych rozmyślań i wywodów, zwłaszcza gdy się ten temat uogólniło, podciągając podeń znikomość wszelkiego istnienia.

Zrobił tak Tetmajer w wierszu p. n. „Rzeka mistyczna“, której fala głucha martwo płynie wśród pustyń i stepów, zdążając do „tajemniczej i straszliwej przepaści, kędy wszystko, co jest, musi zmarnieć“, kędy „niezwrotnej podróżnicy drogi, giną światy całe i ich bogi“. Mówił i Asnyk o przemijaniu wszystkiego, ale rozwijając swój motyw na tle pojęć przyrodniczych, nie mógł zakończyć go pojęciem nicości, bo wszystko owszem w naturze przetwarza się tylko do nowego bytu, do nowego życia. Tetmajer,

nie poszedłszy tą drogą jasną, wolał się puścić na błonia mistyczne, gdzie „między polne zioła i trawy i gaje pachnące, i lilie srebrnym świecące się puchem, czyste i białe chodzą dusze wolne, czujące rozkosz najwyższą: być duchem“.

Nieświadomość już teraz nie stanowi celu pożądań poety, ale jeszcze się on nie wyplątał z sieci dawniejszych swych pessymistycznych poglądów; jeszcze przed „niedolą wiedzy“, „niedolą rozwagi“ szuka ucieczki w szale i wyobraźni, tak sam z sobą rozumując:

Kiedy kobietę, ciało, nazywam aniołem,
Gdy dla idei życie poświęcam bez żalu,
Kiedy mię twórcza władza w zaświaty uniesie,
W nigdzie nieistniejące idealne światy,
Gdy stracę pamięć: wtedy mogę być szczęśliwy.
Lecz jestto abdykcya Ducha, który przecież
Jest we mnie czemś najwyższem — zaprzeczenie Myśli,
Najszlachetniejszej cząstce mojego istnienia —
Gdyby wznieść się tak myślą, ażby ponad wszystkiem
Zawisnąć, niedostępnem niczemu, co ziemskie...
Być czystą myślą... Przebóg! co za widmo wstało
Z czarnej czeluści skalnej? Okiem jak sztyletem
Przebija mnie i krew mi swym uśmiechem ścina,
Swym okropnym uśmiechem! Ktoś ty jest?...
— Ironia.

Te i tym podobne refleksye filozoficzne nie wytrzymują ściślejszego rozbioru i nie łączą się w jakąś jednolitą całość. Są one tylko błyskami chwilowymi, z którymi poprzednie i następne w luźnym jeno znajdują się związku: światła trwałego, któreby nam dawało możność wniknięcia w umysł poety, nie znajdujemy w nich prawie wcale; a uogólnienia zgoła mu się nie udają.

Gdy n. p. powiada, że „duch przemian zwolna wyrok za wyrokiem pisze i jedna trwa li tylko niezmienna natura“; to mamy tu jedynie antytezę poetycką, ale nie myśl filozoficzną, boć natury, ustawicznym przemianom podlegającej, niepodobna „niezmienną“ nazywać.

I w innych poglądach jest podobna niepewność, podobne wahanie się. Tak n. p. obok wiersza „XIX. wiekowi“, odznaczającego się nastrojem pełnym dzielności i otuchy, umieszczony został inny, nabrzmiały zwątpieniem co do haseł, mających przewodniczyć pochodowi naprzód. Nie chcę obwiniać poety, iż naumyślnie uwydatnił to jaskrawe przeciwieństwo; stał się on tu

rzeczywiście wyrazem wymownym wielu umysłów, znużonych i zbitych z toru objawami nikczemności i podłości tryumfującej, a niezdolnych wysnuć z siebie dość wiary i zapału, by wbrew tym objawom służyć ideałowi dobra i udoskonalenia.

Rozterka wewnętrzna w młodem pokoleniu pochodzi głównie z niewiary w możność rychłego urzeczywistnienia ideałów oraz z braku hartu woli, uginającej się jak trzcina pod tchnieniem lada przeciwnego wiatru. Wielcy poeci romantyczni, choć żyli także wśród warunków nie najpomyślniejszych dla narodu, umieli przemawiać do duszy wielkiemi uczuciami, umieli ożywiać tłumy, znali tajemnicę wpływu na społeczeństwo, bo w ich natchnieniach płonął święty ogień miłości dla najwyższych i najważniejszych, świadomie ukochanych celów, jakie życiu narodu przyświecać powinny...

W ślady Tetmajera poszło wielu, aż nazbyt wielu młodych wierszopisów, nieraz przyswajających sobie jego wyrażenia, czasem uzdolnionych stylistycznie, często niezdarnych. Nie będę ich tu wyliczał imiennie, mogą się jeszcze wyrobić na samodzielniejsze jednostki.

Pod względem myśli i nastroju nie dają oni nam zazwyczaj nic nowego. Są to odgłosy oryginalniejszych i potężniejszych tonów, jakie już słyszeliśmy. Nieustanne powtarzanie skarg na utratę wiary, na brak ideałów, na smutek, melancholię, złamanie i zgrzybiałość już bodaj w kolebce, modlitewne wzdychanie do Nirwany stały się już obecnie p o z ą, równie śmieszną, jak niegdyś poza bajroniczna u epigonów romantyzmu, kiedy się widziało zrozpaczone, bolem wszechświatowym przejęte geniuszki, jak rumiani, smacznie zajadają pieczeń, nie zadawalając się gorzkim sarkazmem, wymierzonym na nicość życia i wszystkiego, co ono dać może.

Oczywiście, obok westchnień do Nirwany, również za przykładem Tetmajera, nutą głośno brzmiącą bywa odtwarzanie upojeń zmysłowych, z niemałym nieraz talentem malowanych. Ale smutno pomyśleć o tej młodzieży, dla której takie nowe „ody do młodości“ są pisane. Jeżeli zadaniem życia ma być „wino i rozkosz z pełnych wciąż pić flaszek, płynąć ku śmierci, lecz w zielonej łodzi, pośród weselnych pląsów i igraszek, utonąć w łonach kobiecych jak w puchu“ : jeżeli przytem nie spotykamy nawet wzmianki o jakichkolwiek wyższych celach, to nie trudno się dziwić przedwczesnej zgrzybiałości pokolenia, którego tacy poeci są wyobrazi-

cielami: i ból nas ogarnia na widok tego rozpasanego wielbienia „chuci“ i tego zapomnienia o najskromniejszych choćby ideałach. Miejmy nadzieję, że to objaw chwilowy i przemijający, bo naród nasz „jak lawa, z wierzchu brudna i plugawa, lecz wewnętrznego ognia sto lat nie wyziębi“...

(Ciąg dalszy nastąpi).

# RZECZ O UCZUCIACH LUDZKICH.

(Ciąg dalszy).

## III.

### Uczucia instynktowe mające na celu utrzymanie rodzaju.

Do zupełnego idei organicznej ujawnienia potrzeba mnóstwa jestestw tej samej postaci, istniejących na pewnym geograficznym obszarze, przez cały okres czasu, przeznaczony na naszym planecie dla trwania tej postaci. Powstają te jestestwa z jestestw do siebie podobnych za pomocą generacyi, organicznej, naturalnej jednostek dojrzałych funkcyi, której dokonanie ujawniając naturę postaci, bywa zatem rozkosznem, powstrzymanie przykrem. Wyższe organizmy różnią się od niższych rozmaitością budowy, tworzącej przecie nierozerwalną jedność, tym porządkiem, że poszczególne organa wykonują różnorodne, zarówno dla życia całego organizmu niezbędne funkcye. Także postać każda organiczna, ujawniona w rzeszy jednostek, żyjących w różnych czasach i różnych miejscach, dąży do wytworzenia pewnej organizacyi, która dopiero w gromadnem życiu człowieka, pod wpływem rozumnego myślenia staje się doskonalszą, zaprowadzając społeczny podział pracy; fizyologicznie dochodzi taka organizacya gromady do najwyższej doskonałości u niektórych owadów, tworzących roje, w których oprócz samców i samicy istnieją robotnicy a u termitów także jeszcze żołnierze. Zwykle ogranicza się do wytworzenia stałej różnicy między samcem i samicą, przemijającej pomiędzy dorosłemi a młodemi. Różnice te są u zwierząt i ludzi podstawą ustroju rodziny i uczuć rodzinnych, wspólnych znowu ludziom i zwierzętom, a u ludzi bardziej rozwiniętych, bardziej rozmaitych wedle indywidual-

nego nastroju, bardziej podległych wpływom rozumu. Jak dotąd będziemy się zajmować prawie wyłącznie ludźmi, pozostawiając samemu czytelnikowi zastanowienie się nad analogicznemi a ponajwiększej części pospolitemi zjawiskami u zwierząt, zwłaszcza kręgowych.

Do spłodzenia nowego organizmu trzeba współdziałania dwóch jednostek tej samej postaci — u ludzi współdziałania mężczyzny i niewiasty. Akt rodzaju jest z istoty swej rozkoszny; funkcye życiowe przychodzą w nim do wysokiego naprężenia, po którem następuje pewna ospałość; pociąg do niego jest jednym z najpotężniejszych instynktów zwierzęcych, jedną z najprzemożniejszych namiętności ludzkich. Instynkt odzywa się u zwierząt — a zwłaszcza u zwierząt, pozostających w stanie natury, tylko w pewnych porach roku, a staje się tak przemożnym, że zwierzę tym instynktem opanowane, a zwłaszcza samic, nie dba już ani o życie, ani o zdrowie, byle popędowi swojemu zadość uczyniło. U człowieka namiętność ta zwie się miłością zmysłową, a że człowiek przypomina sobie nieustannie doznane rozkosze, pragnie ich odnowienia, a jeśli ich dotąd nie zaznał przeczuwa instynktownie i znów o nich myśli i tem samem namiętność w sobie wzmaga. przeto miłość zmysłowa trwa u człowieka przez cały rok, a począwszy od pewnego wieku, bardzo przeważnie młodość zwłaszcza sobą zajmuje, kładąc swoje piętno na wszystkie sprawy życiowe.

Mężczyzna ma tylko sam rozkoszny akt rodzaju, dający najwyższą rozkosz zmysłową; niewiasta prócz tego wydziela ze swojego organizmu organizm nowy, a peryod ciąży i sam akt porodu, połączone z anormalnemi względem rozwoju jednostki zmianami organicznemi, bywają przykre. Dolegliwość rodzenia wzrasta u zwierząt w miarę wyższej ich organizacyi; najznaczniejszą bywa u ptaków, siedzących na jajach, i u ssaków, rodzących żywe młode; że jest naturalną, sama przez się zwykła szkodliwych następstw dla zdrowia nie mieć; u człowieka staje się dotkliwszą w miarę tego, jak odstępując od stanu natury, bywa refleksyjnie sam sobą zajęty. Mimo całej uciążliwości oczekiwanej niewiasta pragnie miłości zmysłowej zarówno z zmężczyzną, toczy się u niej jednak pod tym względem walka, a widzimy także u zwierząt wyższych pewny opór stawiany przez samice. Wyrazem tego oporu jest u niewiasty wstydliwość, która musi być dopiero przełamaną. Wszystko, co akt rodzaju przypomina, albo z daleka odczuwać daje wstydliwość tę pobudza; niewiasta wstydzi się tedy swojej nagości, swoich uczuć czułych, wstyd u niej bywa naturalną miłości przymieszką,

bywa nierozłączny od jej wpomnienia; niewiasta doznaje żalu jak pomni, że się w miłości zapomniała, a ten żal zawsze bywa skojarzony ze wstydem, wtedy zwłaszcza, jeśli jego przyczyna drugim zostanie wyjawioną. Wstydzi się wtedy drugich, tak jak się ich wstydziła, nie zaznawszy jeszcze miłości zmysłowej, nieznając jeszcze jej tajemnic, gdy kto dostrzegł jej nagość, albo płeć jej wspomniał. Jeśli gdzie, to w tych miłośnych sprawach, można się przekonać o istnieniu przeczuć u ludzi, które w czem innem, rozumowaniem zwykle tłumione bywają, a wstyd u niewinnych i nieświadomych niczego dziewcząt bywa jednym z ich wyraźnych objawów, obok instynktowej tęsknoty do małżeństwa i różnych uczynków celowych a nieświadomych celu. Wstyd zmysłowy jest w istocie swojej mięszanem uczuciem, w którem się odzywa jakby przedsmak rozkoszy, obok przypominającego strach wzruszenia; objawia się pewnem ubezwładnieniem ciała, w którem słabnie siła oporu, uderzeniem krwi do twarzy, a zatem płonącymi rumieńcami; jak przy wszystkich ubezwładniających uczuciach objawia się przy wstydzie skłonność do płaczu.

Na to, aby się niewiasta a mianowicie dziewica, mimo wstydu, mężowi dobrowolnie poddała trzeba, aby jej się bardzo podobał; skłania ją zwykle do tego nacisk moralny, albo przymus. To też, gwoli potrzebie rodzaju, bywają kobiety słabsze, mężczyźni silniejsi. Gdy kobieta raz męża pozna i zazna w tem rozkoszy, przywiązuje się do niego usilnie, miłością, której nadają w prawowitem stadle miano małżeńskiej i miłość ta wzmaga się w miarę stałości małżeńskiego pożycia; przezwycięża nieraz pierwotne wstręty, niechybnie obojętność w silne zamieni przywiązanie. Tej miłości źródłem nietylko nadzieja nowych rozkoszy, ale dawnych miłe wspomnienie, skojarzone z osobą męża, które przetrwa nawet częstokroć dłuższe zaniedbanie — jeśli mąż nie da powodu do zazdrości, lub innej urazy — albo jeśli tymczasem kto inny wstydu małżonki nie pokona. Że kobieta zrazu ulega przemocy, domaga się u męża siły, panowania, chce być jemu uległą, poddaną, nie bez rozkoszy pewną dobrowolną znosi poniewierkę, a częstokroć dziewica lub wdowa małżeńskiego pozbawiona szczęścia, pewnej doznaje pociechy w poniewierce ostrej ascezy, zwłaszcza jeśli sądzi, że cierpi dla niedojrzanego, nadziemskiego kochanka. ● ile miłość małżeńska, lub do małżeńskiej podobna nie zajmą całej istoty niewiasty, wstyd połączony ze wspomnieniem dorywczej, miłośnej rozkoszy, przybiera u niej postać trapiącego żalu, wyrzutu sumienia, kobieta wstydzi się sama siebie i przeto traci szacunek dla własnej osoby.

Mężczyzna przeciwnie szuka miłości zmysłowej jak zdobyczy, lubieżność natarczywa zastępuje u niego miejsce niewieściego wstydu, lubuje się w rozmowie o kobietach i o rzeczach, które niewieście rumienić się każą; lubieżność wywołuje u niego śmiech rozpusty a chcąc posiąść jak najwięcej rozkoszy, z natury bywa do wielożeństwa skłonny. Pełni miłości zmysłowej używa jednak tylko z niewiastą, w której jest najwięcej kobiecości; cieszy się jej zawstydzeniem, pragnie ją mieć swoją własnością i jako do takiej, przywiązuje się; dba o jej wygody i uciechy, przyzwyczaja się do niej, nabywa wreszcie małżeńskiej miłości, jeśli wskutek okoliczności, albo z moralnego przekonania bywa czas dłuższy jednej tylko żony małżonkiem; w każdym wypadku pragnie kobietę także ochronić przed wstydem, zadanym przez innych, żąda od niej wyłącznej miłości, a kiedy ją podejrzywa o niewiarę, wybucha namiętnością zazdrości, która nietylko tem się od zawiści różni, że tyczy się najczęściej osoby różnej płci, ale i tem, że nawet kiedy nie miłość zmysłowa jej bywa powodem, broni raczej dobra swego, cudzego nie pożąda. Chuć miłośna u mężczyzny wzrasta w miarę jej bezwstydnego zadowolenia — zamienia się łatwo w niczem nie nasycone rozpasanie, łaknące cudzego wstydu, cudzej poniewierki i wyradza się wreszcie w zmysłowe okrucieństwo, połaskotane i do śmiechu pobudzone widokiem poniewierki, albo męczarni cudzej. To okrucieństwo, podobnie jak wstyd niewieści objawiają się przed czasem, u nieświadomych jeszcze niczego chłopców, pastwiących się z lubością nad zwierzętami, albo nad słabszymi towarzyszami zabawy.

Tak, jak niektóre zgoła już bezpożyteczne organa płci przeciwnej, tak w niej rozwinięte instynkta niewieście jawią się u mężczyzn i na odwrót. Mężczyźni, zwłaszcza młodzi, do miłości zmysłowej najskłonniejsi, bywają wstydliwi — czasem nawet wprost niewieści wstyd występuje u pacholęcia. Wstyd męski, zresztą także i kobietom, choć w mniejszym znów stopniu znany, zbacza jednak zazwyczaj od naturalnej kolei, tyczy się tego, że męska siła nie popisała się jawnie; mężczyzna a zwłaszcza młodzieniec, wstydzi się niepowodzenia, klęski, a przedewszystkiem tchórzowstwa, albo tego, że go wyłapano na obłudzie, kłamstwie i podstępie, broni ludzi wiedzących, iż są słabszymi. Rzecz powodująca zawstydzenie, nazywa się niehonorową i różnica pomiędzy męskim, a niewieścim honorem, tłómaczy się tem, cośmy powiedzieli.

Niewiasta na odwrót bywa zazdrośną o męża, przyczem najsilniej odczuwa bojaźń, aby mąż nie przestał się nią zajmować

i opiekować; nienawidzi tedy swojej rywalki, podczas gdy mężczyzna widzi w szczęśliwym rywalu raczej sprawcę upokorzenia, który go na honorze pokrzywdził, dowodząc, że mu sił nie starczy, aby honoru żony bronił i mści się na nim, jakby z obowiązku, zwracając nienawiść raczej ku dobrowolnie uwiedzionej. U niewiasty nienawiści dla niewiernego męża nie masz, jeśli ją dalej opieką swoją otacza, a na dowód tego, że u człowieka, podobnie jak u wszystkich prawie ssaków, a mianowicie u wielkich małp, wielożeństwo bywa rzeczą instynktownie naturalną, może posłużyć i to, że sławni uwodziciele dziwny na kobietach urok wywierają. Zazdrość kobieca zbacza zresztą także, podobnie jak wstyd męski, od pierwotnego tej namiętności kierunku i jawi się częstokroć owem skąpstwem, daleko u niewiast jak mężczyzn pospolitszem, które zazdrośnie drugim broni udziału w swoich dostatkach; a choćby wpływu na ich zarząd. Odmianą tego uczucia pospolita, choć mniej namiętna zawiść niewiasty, dostrzegającej od razu to, co u innej niewiasty, albo jej męża wydaje się lepszem. Żona napiera małżonka, aby dał dowód miłości i siły, sprawiając jej to samo, a mąż uważa za obowiązek honoru, zadość uczynić żonie. Było tak już w Raju, gdzie Ewa zazdrościła bogom. W społeczeństwach, w których ustawowe jednożeństwo wpływ niewiasty spotęgowało, popycha męża do czynów i staje się przeto potężną postępu sprężyną.

Bywają mężczyźni po niewieściemu skąpi: bywają także skłonni do poniewierania sobą, czasem w sposób przypominający żywo niewieścią ascezę, częściej w sposób o wiele rubaszniejszy, a wtedy narażają się nietylko na srogie niewygody, ale na poniewierkę i upokorzenia, miewają nawet upodobanie w czynach hańbiących, aby się tych czynów potem wstydzić. Bywają także kobiety rubaszne i takie, które bezwstyd do ostateczności posuną, jeżeli się u nich okrucieństwo zmysłowe odezwie, kojarzy się jednak zazwyczaj z poczuciem niewieściej słabości i z innemi niewieściemi ściśle właściwościami; miewają tedy niewiasty pociąg do pastwienia się nad drugiemi niewiastami, okazując im swoją wyższość, litując się nad niemi pozornie; pastwią się nad mężczyznami wyrafinowaną kokieteryą, w której dostrzegają prócz tego potężny sposób przywiązania mężczyzny do swojej osoby. Czasem jednak przeważa zupełnie u kobiety męskie, u mężczyzny niewieście usposobienie: w wypadkach skrajnych zwraca się nawet miłość zmysłowa ku osobom własnej płci, wyradzając się zazwyczaj u mężczyzn w najbezwstydniejsze rozpasanie, przybierając u kobiet pozory jakiejś dziwnie ścisłej, zazdrośnej przyjaźni. Dość pospolitą bywa zresztą

— raczej pochwałami przez społeczeństwo darzona, silna przyjaźń starszych dla młodzieży własnej płci, którą się otaczają, na którą wpływ wywrzeć pragną, z którąby się nawet radzi pieścili.

Przeważnie mężczyznom, a zwłaszcza młodzieży męskiej podobają się bardzo rubaszne zwroty i dowcipy, rozwiązłe powieści i obrazki, które przeciwnie u kobiet zazwyczaj wstręt budzą. W towarzystwach oświeceńszych i zamożniejszych, na które obcowanie z kobietami wielki w Europie wpływ wywarło, zastępują rubaszność, dwuznaczniki wywołujące i na uściech niewiast uśmiech zadowolenia wstydliwego: mimo to pełno głośnej, niechybnie śmiech wywołującej rubaszności po piosnkach i teatrach, tylko żeśmy zwykli jej nadawać miano niższej komiki, podczas gdy wyższą komiką zwiemy częstokroć tkankę salonowych dwuznaczników, z której komedye salonowe upleciono. Epopeja, sielanka i prozaiczna powieść, tragedya, dramat i komedya muszą prawie koniecznie miłość zmysłową wspominać, jeżeli mają się szerszej publiczności podobać, tylko że sposób, w który o tę strunę potrącają, bywa różny w miarę społecznych obyczajów i wykształcenia i w miarę tego dla jakiej płci i jakiego wieku przeznaczone; dodaje takim utworom uroku zmysłowo pojęta, czasem bardzo namiętna asceza, a pisarze popularni nieraz także opisem okrucieństw zmysłowość drażnią. Rzeczy te różnym ludziom w różny się podobają sposób, różny na nich urok wywierają, zawisły od ich indywidualnego nastroju, a zatem taki, że o nie, podobnie jak o wrażenia smaku i powonienia, jak o barwy i tony sprzeczać się nie wypada.

Malarz i rzeźbiarz mogą przypomnieć zdarzenia rubaszne, albo miłosne i w tej mierze współzawodniczyć z poezyą lub powieścią, używając także, w podobnym nieraz celu, wyobrażenia męczarni, albo zachwytów zmysłowej ascezy. Najsilniej jednak oddziałują na tę zmysłowość, o której tu mowa wyobrażając postacie ludzkie, młode a pociągające do siebie. I tu różnem bywa wrażenie na różnych ludziach przez tę samą postać wywołane, bo w naturze także nie wszystkie piękne postacie we wszystkich widzach zdolne wzbudzić uczucia ze zmysłową spokrewnione miłością i owszem bywa tu rozmaitość upodobań największa. Postać może być piękną, mogę to uznać, a jednak powiedzieć słusznie, że dla mnie uroczą nie jest, skoro mnie we właściwy sposób nie pociąga. Zazwyczaj uroczemi bywają postacie, które niezbyt daleko odbiegły od piękności właściwej, ale piękność drugiej płci bywa dla kogoś nawet odtrącającą, a przeciwnie bywa, że brzydota dziwny jakiś urok wywiera.

Źródła tego uroku wypada zapewne wraz z Schopenhauerem szukać w nieuświadomionem a dla rodzaju pożytecznem przeczuciu, że dzieci z osobą uroczą spłodzone byłyby jaknajdzielniejsze. Urok bywa często, lubo wcale nie zawsze wzajemny, a potężniej działa na tych, którzy dotąd owoców miłości zmysłowej nie rwali, albo są ich szczególniej, z jakiegokolwiek powodu spragnieni. Gdy ten urok z wielką działa siłą, wywołuje namiętność zakochania, żądzę posiadania uroczej osoby tak potężną, że całą myśl zaprząta i często do szalonych czynów prowadzi; nasycenie tej żądzy nie uspokaja od razu, zwolna jednak słabnie; z natury swej trwałą nie jest, a trwałe przywiązanie wytwarza jedynie, jeźli z niej inne, przyjazne wyrosną uczucia.

Popęd do miłości zmysłowej, z jakichkolwiek powodów tłumiony przyspasabia do zakochania, czasem powiedzie na różne bezdroża, skłaniając ku niecnym grzechom, zawsze nakłania ku marzycielstwu, budzi ustawiczne tęsknoty i lube boleści, stając się źródłem usposobienia lirycznego, tak pospolitego u młodzieży, niezrozumiałego częstokroć dla wieku starszego. Liryzm taki sam w sobie się kocha, zwykł właściwe swoje źródło z umysłu zapoznawać, wmawiać w siebie szlachetną boleść nad nikczemnością świata, tęsknotę za wszystkiem co dobre i piękne; wstręt do sztucznej cywilizacyi u człowieka kochającego prostotę i prawdę, albo dążenie do postępu nieskończonego; miłość Boga mistyczną, albo też szatańską walkę z Bogiem podjętą. Przed takim liryzmem chronią tylko zmysłowe a niszczące organizm rozpasanie, albo też usilna, zdrowa, fizyczna praca, zwracająca siły żywotne w inną stronę. Nieraz tedy liryczna tęsknota goni za wsią, za sielanką, za żołnierką, nawet wprost za barbarzyństwem, a jest w tem słuszne przeczucie, że siedzące i sztuczne życie po miastach, łatwo te młodociane tęsknoty tak potęguje, że człowieka strawią, zniszczą, albo przynajmniej uczynią niezdolnym do rozumnych czynów. Z drugiej strony taki liryzm wszystkiemu dodaje uroku, na czem tylko myśl spocznie, wtedy nawet, kiedy rzecz sama jest przykrą, przystraja naturę w obce jej wdzięki, pewnej słodyczy religijnym albo patryotycznym dodaje uczuciom, twórczą potęguje wyobraźnię. Czasem, dość często namiętność tłumiona zbacza od celu, czyni jakiś obcy miłości zmysłowej przedmiot rzeczą namiętnie pożądaną, staje się przyczyną zaślepienia praktycznego, przypominającego zaślepienie zakochanego, lubo się wcale osoby drugiej płci nie tyczy.

Już samce u zwierząt nawoływują głośno samicę, a samica odpowiada, choć niby przed samcem uchodzi. Nawoływanie to,

prawie zawsze u samca głośniejsze, musi być urocze dla zwierząt tej samej postaci, musi w nich pociąg płciowy wzmagać, boby inaczej celu chybiło; dla ucha ludzkiego odmiennie nastrojonego bywa najczęściej przykre albo obojętne; nastrój słuchu u wielu ptaków bywa jednak podobny do ludzkiego, a wtedy głosy, które samiec wydaje z siebie nawołując samicę, albo utrzymując ją w gnieździe, wydają nam się uroczym śpiewem, muzyką.

Człowiek zakochany staje się także w obecności przedmiotu miłości swojej dziwnie mownym, mowa pod wpływem lirycznego nastroju wiąże się w muzykalne rytmy i rymy, strojąc przytem rzecz wyrażoną w bujne a wdzięczne porównania, wynosząc ją ponad rzeczywisty poziom, wychwalając piękność nieraz urojoną, nadając rzeczom piękność nieistotną; i tak to liryzm miłości stał się przedmiotem poezyi. Podobnie jak u innych zwierząt, tak i u człowieka strona męska mówi, żeńska słucha chętniej i przeto twórczość poetyczna bywa udziałem męża, zamiłowanie do słuchania lub czytania dzieł poezyi większe u niewiast bywa. Ta sama tęsknota liryczna wybucha także śpiewem, jej g'woli wymyślili ludzie instrumentalną muzykę, sztukę uroków tęsknych pełną, zdolną w miłośne przeczucia, bez słów, samymi dźwiękami rozbudzić, dla tego tak rozkoszną i tak powszechnie lubianą, nastrajającą ludzi tęskno a mile, wtedy nawet, kiedy czem innem zajęci, uwagi swojej ku muzyce nie zwracają a słyszą tylko, nie słuchając.

Zwierzęta — nawet rośliny, także świetnością barw przywołują do siebie w celach tyczących się przechowania postaci w przyszłych pokoleniach: że świetność barwy pociąga już dlatego, że oko syci, jak to wpierw wspomniałem, przeto większa pod tym względem bywa zgodność wrażliwości u wszystkich dziennych przynajmniej zwierząt, podczas gdy widocznie daleko słabsze ubarwienie na nocnych urok wywiera. Owo zamiłowanie w barwie, ściśle z miłością zmysłową skojarzone, wyradza chęć strojenia się w widne barwy i błyskotki, nie obcą mężczyznom, nierównie u kobiet, zwłaszcza młodych silniejszą.

Inne drogi popisu stanęły przedewszystkiem przed mężczyzną otworem. Widujemy samce zwierząt, a zwłaszcza w porządku kur u ptactwa i wśród odżuwających ssaków, popisujące się dziwnymi ruchami, odprawiające tańce w obecności samicy, aby jej względy pozyskać; inne ptactwo popisuje się o lepsze zwinnością lotu. Podobnież młodzieniec stara się pozyskać względy niewieście, zapomocą różnych dzielnych harców, na które ona z chęcią spogląda, znachodząc zazwyczaj urok, tylko u zwinnego i silnego a wytrwa-

łego zalotnika — jeźli się już cała ku poezyi nie pochyliła. Najbardziej uroczymi bywają jednak dla młodych harce przy muzyce, w takt muzyki wyprawiane — a zatem tańce bywają najnaturalszym pląsem par obojga płci, w którym się niewiasta mężowi porywać daje. W tańcu odzywa się zawsze pocichu miłośna żądza, dotykają się pary rąk, chwyta młodzian dziewicę za kibić, przyciska ją do łona — udając ruchy miłości zmysłowej właściwe. Kto kocha ten pragnie się pieścić, uścisnąć, ucałować, a gdy z innych nawet źródeł pochodząca silna przychylność człowiekiem władnie, wyobrażenie pieszczoty przywołuje — do pieszczoty pociąga. Pieścimy się z ukochanem zwierzęciem, pieścimy nawet sprzęt, do któregośmy się przywiązali; człowiek w żarliwej modlitwie wznosi ręce ku niebu, jakby chciał bóstwo uścisnąć.

Samce u zwierząt, nawet najłagodniejszych zresztą, staczają o samice zacięte, nieraz śmiertelne boje, którym się samice z upodobaniem przypatrują, gotowe wynagrodzić zwycięzcę. Wrzała niegdyś, wre dotąd u ludów pierwotnych, przypomina się nieraz u ludów cywilizowanych podobna walka pomiędzy ludźmi pożądającymi niewiasty; w ludziach pozostał żywy instynkt walki; młodzian i często mąż dojrzały szuka przygód i niebezpieczeństw, szczególniejszym urokiem pociąga go wojna; zbyt długi pokój przygniata ludzi jakby był czemś naturze ich przeciwnem, namiętność wojenna znajduje wreszcie zawsze drogę dla siebie — choćby w bójce ulicznej, albo politycznem morderstwie — czy też igrzyskach krwawych i wieczny pokój będzie dopiero mógł wtedy nastać, gdy natura ludzka z gruntu zmieniona, pozbędzie się jednej ze swoich najpotężniejszych namiętności. Kobiety nietylko lubią słuchać o bojach, czują wszędzie i zawsze szczególniejszy pociąg do żołnierza. Wojna owiana lirycznym a męskim urokiem, pobudza do śpiewu, lubuje się w odgłosie muzyki — żołnierz jaskrawych barw szuka, bitwę nazywa tańcem, a u wielu ludów taniec naśladuje boje. Jedna z najstarszych i najpotężniej oddziałujących form poezyi, epopeja, opiewa wojnę i niebezpieczne przygody — podjęte prawie zawsze dla miłości niewiasty, przeplatając opowiadanie scenami erotycznemi. Muzyka w marsowe, natarczywe, zwycięzkie chętnie uderza struny. Także i rzeźbiarstwo starożytnych wyobrażało zrazu, prawie wyłącznie bitwy krwawe — albo łowy — podobieństwo wojny, któremi wielu dziś namiętność walki nasyca, przezwawszy namiętnością myśliwską.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

# DAWNE ZABYTKI DZIEJOWE
# NOWEGO SĄCZA.

## Rozdział I.

### Zamek królewski i starostwo grodowe.

Najstarszym obecnie zabytkiem Nowego Sącza i świadkiem jego minionej świetności jest dawny zamek królewski, wzniesiony przez Kazimierza Wielkiego, a dotąd jeszcze w znacznej zachowany części. Jak całe panowanie tego wielkiego króla było zwrócone głównie ku podniesieniu materyalnego i moralnego dobrobytu narodu, jak tyle innych miast w Polsce, zwłaszcza na Podgórzu karpackiem, zawdzięcza temu królowi swe mury i zamki i głosi jego sławę, że „Polskę zostawił murowaną“, tak samo i Nowy Sącz doznał szczególnej jego opieki i troskliwości. Król ten bowiem opasał w połowie XIV. wieku to miasto murami, od strony zaś Węgier wałem i rowem głębokim, który każdej chwili można było zalać i tak połączyć rzeki Dunajec z Kamienicą, naturalne linie obronne grodu. Od strony zaś północno-zachodniej, na skale sterczącej nad Dunajcem i swymi pokładami głęboko wrzynającej się w łożysko rzeki, dźwignął obronny zamek o jednej wieży i dwóch basztach, a miasto samo uczynił rezydencyą starostwa grodowego i kasztelanii mniejszej [1]), oraz zaliczył je w r. 1365 do tych sześciu miast, w których mianowani przez króla rajcy stanowili najwyższą instancyę sądową [2]).

---

[1]) Szereg starostów i kasztelanów w trzech ostatnich wiekach podałem w I. tomie Hist. Nowego Sącza.

[2]) Pieczęć sześciu miast zob. w II. tomie Hist. Now. Sącza.

Tym sposobem Nowy Sącz stał się jednem z pierwszorzędnych miast Polski, współzawodnikiem nawet Krakowa, ulubionem miejscem zjazdów monarszych i festynów dworskich, jakie odbywały się tylokrotnie w jego murach zamkowych za panowania Kazimierza Wielkiego, Ludwika węgierskiego, Władysława Jagiełły, Władysława Warneńczyka, Kazimierza Jagiellończyka i Jana Olbrachta w latach 1355—1494, i uwieczniły w dziejach Polski po wszystkie czasy jego historyczną przeszłość [1]). Odtąd zaczyna się też jego złota epoka, która przetrwała w czasy zygmuntowskie, odpowiadające epoce największej świetności Polski, z której losami tak ściśle połączone były i losy Nowego Sącza.

Dla braku historycznych źródeł nie jesteśmy w stanie opisać pierwotnej jego piastowskiej budowy, która według wszelkiego prawdopodobieństwa gotycką być musiała, pozostała bowiem po dziś dzień jedna szkarpa nizka, silna z kapnikiem gotyckim przy ścianie frontowej, wskazuje na pierwotny charakter stylowy zamku przed jego późniejszą restauracyą Lubomirskich w XVII. wieku [2]). Nie możemy też nic bliżej powiedzieć o kaplicy zamkowej, lubo o jej istnieniu niezaprzeczone posiadamy dowody. I tak w r. 1467 figuruje *„Mathias Nicolai de Grodecz, vicarius castrensis, altarista et notarius publicus“* [3]). Zygmunt August w liście, pisanym w Warszawie 22. października 1570 r., wyrzuca Stanisławowi Mężykowi, staroście grodowemu, że w zamku sandeckim zezwala na odprawianie nabożeństw i kazań aryańskich, i nakazuje usunąć je stamtąd czem prędzej [4]). Obowiązki kapelana zamkowego u Konstan. Lubomirskiego, starosty grodowego, spełniał w r. 1654 ks. Bernard Ilmanowski, Franciszkanin. Wiemy też skądinąd, że po pożarze kościoła franciszkańskiego 1753 r. przeniesiono tymczasowo cudowny obraz Przemienienia Pańskiego, do kaplicy zamkowej, o którem na właściwem miejscu nieco więcej opowiem.

W drugim dopiero dziesiątku XVI. w. rozjaśnia się epoka istnienia sandeckiego zamku, tem bardziej, że akta grodzkie sandeckie nie wcześniej, jak od r. 1516 spisywane istnieją. Na podstawie tychże i innych przechowanych źródeł podam o nim kilka szczegółów.

---

[1]) Zob. szkic historyczny: Nowy Sącz, jego dzieje i pamiątki dziejowe, str. 19—31.

[2]) Łuszczkiewicz: Sprawozd. komis. do bad. hist. sztuki w Polsce. T. IV. Kraków 1891.

[3]) Akta grodz. i ziem. T. IX. p. 96. Lwów 1883.

[4]) Zob. Hist. Nowego Sącza T. I. str. 143.

Król Alexander († 1506), znany z marnotrawstwa i zawsze potrzebujący pieniędzy, pozastawiał różne koronne dobra, które dopiero za następcy jego Zygmunta I. wykupił skrzętny podskarbi nadworny, burgrabia i żupnik krakowski, Jan Bonar (1515—1523), a między innemi także Sandecz za 4.000 czerw. złotych, tudzież zamek Ritter [1]) za 1000 czerw. złot.[2]). Dnia 4. czerwca 1522 r. nawiedził miasto Nowy Sącz wielki pożar, wzniecony nieostrożnością służby Stanisława z Wróblowic Taszyckiego, dziedzica Lusławic, podstarościego sandeckiego, który w tym dniu wyprawiał gody weselne swej córce Małgorzacie, poślubionej Błońskiemu. Dwie połacie Nowego Sącza z częścią rynku, ulicą szpitalną, zamkiem królewskim *(curia regalis)* i ulicą polską spłonęły do szczętu. W tym samym jeszcze roku 1522 dnia 16. września ponowny pożar zniszczył resztki niedopalonego miasta wraz z dworem biskupim i trzema kościołami: kollegiackim, norbertańskim i franciszkańskim [3]). Odbudowaniem spalonego zamku zajął się gorliwie starosta grodowy, Piotr z Fulsztyna Odnowski, sprowadzając po-

[1]) Zamek w Rytrze, nad Popradem niedaleko Piwnicznej, odległej sięga starożytności XIII. wieku. Gdy w r. 1331 nawiedził pożar Nowy Sącz, król Władysław Łokietek, pragnąc odbudowania jego, wystawił przywilej w Krakowie 18. czerwca t. r., mocą którego wolno było mieszczanom wyrębywać las za zamkiem w Rytrze i sprowadzać drzewo bez opłaty cła rzeką Popradem. W r. 1394 królowa Jadwiga wyjechała na spotkanie Zygmunta, króla węgierskiego, aż do pogranicznego od Spiża zamku Ritter — przyjęła go z wielkimi honorami w Nowym Sączu, i zawarła z nim umowę, utwierdzającą spokojny stan obojga królestw „tractatibus statum tranquillum regnorum firmantibus“, jak mówi Jan Długosz. (Hist. pol. T. III. p. 507). Jeśli można zaufać bezpiecznie dowcipnej i fantastycznej rozprawie Marcina Bielskiego, to zamek w Rytrze już pod koniec XVI. w. był opustoszałym:

Zdaje się nam miłe panny, miłe panie, wdowy,
Abyśmy Rytter zamek posiadły gotowy.
Mury stare, upadłe, dobrze oprawiemy,
A w Piwniczny miasteczku targi ustawiemy.

Marcin Bielski: Sejm Niewieści, wyd. 1595 r. przez jego syna, Joachima Bielskiego.

W r. 1658 był już ten zamek ruderą, jak wspomina ks. Petrykowski in vita beatae Cunegundis. Tyrnaviae 1744. p. 127. — Szczątki murów tego zamku sterczą jeszcze po dziś dzień i urągają śmiało uraganom, które tyle wieków przeszumiały nad głową jego.

[2]) Czarnowski: Dwaj Zygmunci Jagielloni. T. I. str. 13. Warszawa 1859.

[3]) Zob. szkic histor. Nowy Sącz str. 35—36.

trzebną do budowli dębinę (robora) ze wsi Iwkowej. Nie obeszło się jednak przytem bez nadużyć ze strony starosty. Wniesiono zatem przeciwko niemu skargę do Zygmunta I., którą tez rozstrzygnął w Krakowie 22. maja 1523 r. na korzyść uciśnionych poddanych iwkowskich [1]). Za lat 9 potem Jan z Kruźlowej Pieniążek, starosta grodowy sandecki i sędzia krakowskiej ziemi, wykupił znów z zastawu starostwo sandeckie 1532 r. Zato pozwolił mu Zygmunt I. odciągać *(defalcare)* z dochodów tychże dóbr dla siebie po 600 złp. rocznie, a po 200 złp. rocznie obracać na oprawę sandeckiego zamku [2]); widać, że tej oprawy jeszcze potrzebował zamek, lub przynajmniej po pożarze ostatnim (1522) jego odnowienia poprzedni starosta nie zupełnie dokonał.

Jak gdzieindziej w Polsce, tak i w Nowym Sączu starostowie grodowi długo wyręczali się na sądach podstarościmi, burgrabiami, sędziami i podsędkami grodowymi. W XVI. atoli wieku prawo zalecało jak najsurowiej, aby sam starosta osobiście na sądach zasiadał, a tylko w szczególowych wypadkach mógł być wyręczanym. Na sejmie warszawskim 1598 r. Zygmunt III. uczynił gród sandecki wiecznym. „Wedle konstytucyi o wieczności grodu krakowskiego uczynionej, takowymże sposobem grody sandecki i biecki wieczne czynimy“ [3]), t. j. gdy pisarz grodzki zaciągnął akta i ugody, nawet o własność dóbr i zamianę ich granic, do księgi swojej, to miały już na zawsze moc prawną, i nie potrzebowały być przepisywane do aktów ziemskich w województwie krakowskiem, względnie do aktów sądu ziemskiego w Czchowie.

W pamiętnym roku 1611, dnia 19. czerwca, w chwili strasznego pożaru miasta, spłonęła także wielka część królewskiego zamku [4]) *(castri magna pars)*, a to, co ocalało szczęśliwie, chyliło się do upadku. Dlatego Stan. Lubomirski, starosta grodowy, pragnąc podźwignąć z ruin ów zniszczony gród, zabrał się do odbudowania jego i opasał go potężnym murem. Reszty przekształcenia i dobudowania dokonał następca jego, Sebast. Lubomirski przed r. 1616 [5]),

[1]) Starodaw. prawa pol. Pomniki T. VI. str. 240—241. Wyd. Bobrzyński. Kraków 1881.

[2]) Rykaczewski: Invent. privileg. in arce cracov. Lutetiae Parisiorum 1862. p. 225.

[3]) Volum. Leg. T. II. p. 375; Januszowski: Statuta koronne. Kraków 1600, str. 428.

[4]) Relatio ministerialis combustionis civitatis Novae Sandecz. Act. Castr. Rel. T. 112, p. 346.

[5]) Zob. lustr. zamku sandec. z r. 1616 w II. tom. Histor. Now. Sącza.

jak świadczy cała budowa renesansowa, kamienne odrzwia i węgary okien. Zamek sandecki nie stanowił jednak osobnej twierdzy, jak n. p. zamek w Wiśniczu albo w Lubowli, lecz był tylko dobrze ufortyfikowanym narożnikiem miasta; z tego powodu nie miał też obwarowania zewnętrznego od strony miasta, ani fos ni wałów; z ulicy polskiej przechodziło się od razu na dziedziniec przed gmachem zamkowym.

Za czasów Władysława IV. i Jana Kazimierza był on wcale okazałym gmachem. Jego wysoka „szlachecka wieża“, tudzież dwie potężne baszty z kilku przystawkami i podwójne mury z ustawioną armatą, panowały groźno nad doliną Dunajca. Ale zajęcie Nowego Sącza przez Szwedów 1655 r., a przedewszystkiem powszechne zgnuśnienie i rozstrój wewnętrzny w narodzie za czasów saskich, wycisnęły również na zamku sandeckim piętno swego zniszczenia i przyspieszyły jego upadek. To też lustracya z r. 1765 wspomina lakonicznie, że „zamek jest nadpustoszały i potrzebuje znacznej reparacyi, tak w murach, jako też i w budynkach na dziedzińcu będących“ [1]). Zanim jednak pomyślano o jego restauracyi, klęska pożaru dnia 9. lipca 1768 r., powstałego z nieostrożności kucharzy rodziny Łętowskich, dopełniła miary jego zniszczenia. Wymienieni kucharze, smarząc olej do przyprawy ryb dla konfederatów barskich, w zamku podówczas stojących, powychodzili z kuchni na dziedziniec zamkowy. Tymczasem olej zapalił się w kotle, buchnął gwałtownym płomieniem, w mgnieniu oka przerzucił się na dach i zniszczył do szczętu cały zamek królewski. Smutny obraz jego zniszczenia przedstawia nam rewizya, odbyta 11. lipca 1768 r. przez Pawła Mrówczyńskiego, z polecenia Stan. Małachowskiego, starosty grodowego. Między innemi czytamy tamże:

W 13 górnych pokojach okna, drzwi i odrzwia wraz z żelaziwem wypaliły się do szczętu; posadzki drewniane także popalone; sufity prawie wszystkie zgorzały i pospadały, a w pokoju z powałą malowaną, na tragarzach przepalonych tylko 10 tarcic zostało; piece tu i owdzie popękały od ognia. W dwóch marmurowych pokojach odrzwia marmurowe, kominki i gzymsy marmurowe połupały się i porospadały się od ognia. W jednej sali posadzka kamienna popękana i zruinowana, a stołów spaliło się ośm. W wielkiej książęcej sali figury snycerskiej roboty, a na ścianach

[1]) Lustratio bonorum regalium in districtu sandecensi an. 1765 expedita. Act. Castr. T. 189.

portrety Lubomirskich [1]), nieocenionej wartości zabytki kilku stuleci, jak również i inne ozdoby zupełnie spalone i bezpowrotnie stracone. Na tak zwanej galeryi drzew [2]) drzwi w odrzwiach kamiennych, powała nad sienią przed kancelaryą, w trzech oknach okiennice, schody na strych wiodące i duży kredens staroświecki zgorzał ze wszystkiem. W 4 pokojach kamienne odrzwia dużo ucierpiały od ognia, w 3 pokojach o drzwiach stoczystych wszystko spalone i zruinowane; okiennice w 12 oknach spalone — ogółem na piętrze spłonęło 24 okien, 18 drzwi i jedne schody. Podobnemu zniszczeniu uległy drzwi wiodące do pierwszego pokoju na dole po prawej ręce, do izby sądowej, sklepu, piwnicy i kuchni, obok zamku stojącej. W archiwum z powodu noszenia wody i polewania drzwi wyłamano kratę w kamieniu osadzoną; akta jednak grodzkie, dzięki mocnemu sklepieniu, ocalały szczęśliwie. Dach cały na zamku, piwnicy i kuchni ze wszystkiem zgorzał. Żyta w jednej izbie spaliło się wierteli 131 [3]). Ocalało jedynie siedm pokoi na parterze o mocnem sklepieniu. Na bramie zamkowej, oficynach obok tejże bramy, i stajniach na dziedzińcu, w chwili gaszenia pożaru pozrywano dachy. Długość spalonego zamku wynosiła 60 polskich łokci. Ogółem znajdowało się w zamku: na piętrze 13, a na parterze 12 obszernych pokoi i sień. Okien frontowych od strony miasta na górze i dole było 38 [4]).

Nie dość złego — następnego zaraz roku (1769) dnia 23. kwietnia zgorzały z nieostrożności żydów przyległe budynki zamkowe, kordegarda czyli odwach wojskowy, stancya pisarza grodzkiego nad bramą zamkową, rezydencya burgrabiego, stajnie i wozownie [5]).

Po spaleniu zamku starostwo grodowe wraz z zamkiem wypuszczono w arendę Józefowi z Wielogłów Wielogłowskiemu, kancelaryę zaś grodzką przeniesiono i umieszczono najprzód w kollegium Pijarów, później znów w klasztorze Franciszkanów; same tylko akta grodzkie pozostały i nadal w zamku. Było to oczywiście połączone z niewygodą Gabryela z Kotlewa Grzembskiego, regenta

[1]) Lubomirscy byli (z małemi tylko przerwami) starostami sandeckimi od 1590—1754 r.

[2]) Rodzaj oranżeryi na korytarzu.

[3]) Visio conflagratae arcis sandecensis. Act. Castr. Rel. T. 182, p. 2249—2257. — Zob. Dodatki, nr. I.

[4]) Delineatio arcis capitanealis castrensis neosandecensis, conflagratae die 9. julii 1768.

[5]) Act. Castr. Rel. T. 183, p. 761.

kancelaryi grodzkiej, który, załatwiając sprawy sądowe, musiał się nieraz powoływać na stare akta grodzkie, a nie mając ich pod ręką, trudził się do archiwum, nie bez szemrania i narzekania. Z tego powodu wystosował prośbę do Gubernium lwowskiego 1776 r., ażeby mu dawną izbę sądową, zajętą już 30. września 1775 r. przez pana Lipę, pisarza dóbr starościńskich, napowrót przywrócono. Gubernium lwowskie zażądało pod dn. 26. czerwca 1777 r. szczegółowego sprawozdania od Józefa Wielogłowskiego: kiedy zamek sandecki zgorzał? dlaczego dotąd nie odbudowany? dlaczego i kiedy w nim zajęto izbę sądową? Domagano się wreszcie od niego, ażeby postarał się o belki dębowe i inne twarde materyały w celu podparcia i wzmocnienia murów, które przy bramie krakowskiej ruiną grożą i przechód drogą utrudniają. Odpowiedział na pytania bezzwłocznie Wielogłowski, ale co się tyczy odbudowania nadwerężonych murów stanowczo odparł, że na mocy kontraktu arendy nie ma żadnego obowiązku podejmować się tak trudnych i ciężkich kosztów. Na dowód tego powołał się na konstytucye sejmowe polskie z r. 1641, 1662, 1726 i 1768, które obowiązywały wprawdzie starostów, ażeby starali się o miejsce odpowiednie dla kancelaryi grodzkiej i izby sądowej, albo też nowe budowali, ale nie dzierżawców, a przeto dawnej izby sądowej, przez pisarza dóbr starościńskich zajętej, odstąpić nie może.

Wskutek tej odpowiedzi toczyła się długa urzędowa korespondencya starostwa wielickiego [1]) między Gubernium lwowskiem a Stan. Małachowskim, ostatnim starostą grodowym sandeckim, który już od lat 20 w Warszawie przeważnie przebywał, i Józefem Wielogłowskim, dzierżawcą zamku, w Biczycach zamieszkałym. Od starosty domagano się koniecznie, ażeby odbudował zamek, a zwłaszcza jedną jego ścianę od strony Dunajca, najbardziej upadkiem grożącą, czem prędzej wałem wzmocnił i zaopatrzył. Dużo papieru spisały obie strony na swą obronę, to po łacinie to po niemiecku; Małachowski wymawiał się ciągle niemożliwością odbudowania spalonego zamku, i skończyło się na razie na tem, że w r. 1777 część spalonego zamku, mieszczącą w sobie akta

[1]) W r. 1774 podzielono Galicyę na 6 głównych obwodów: wielicki, pilźnieński, bełzki, samborski, lwowski i halicki, tudzież 19 dystryktów czyli powiatów. Przy tym pierwszym podziale powiat sandecki przyłączono do obwodu wielickiego, którego starosta rezydował w Ludwinowie, a w Nowym Sączu ustanowiono naczelnika powiatu, Franc. Tschirsch von Siegstetten, który we wszystkich urzędowych aktach figurował od 1773—1784, jako director circuli.

grodzkie, pokryto słomą! Reszta murów sterczała bez wszelkiego nakrycia, wystawiona na deszcze i zawieje śnieżne. Rząd jednak obstawał i nadal uporczywie przy swem żądaniu i zagroził nawet Małachowskiemu 4. września 1783 r. sekwestracyą starościńskich dochodów, gdyby w przeciągu 14 dni swym własnym kosztem nie podjął się restauracyi spalonego zamku. Na tę pogróżkę wystosował on 11. listopada 1783 r. po łacinie następującą kategoryczną odpowiedź:

Wysokie Gubernium we Lwowie! Nie mogąc wykonać polecenia Wysokiego Gubernium, przedkładam powody w mej własnej obronie.

Zamek sandecki zgorzał nie z mojej winy, lecz z winy konfederatów barskich 1768 r., a zaraz następnego roku spłonęły oficyny zamkowe z nieostrożności żydów. Wiadomo zaś z konstytucyi sejmowych polskich, że przypadkowym sposobem spalone królewskie zamki, restaurowano albo kosztem Rzpltej albo też starostom za ich odbudowanie zwracano koszta, o czem wspomina konstytucya z r. 1635 o zamku lubelskim, a z r. 1726 o zamku krakowskim. Ponieważ zaś rozporządzenie cesarskie z r. 1775, wydane dla Galicyi i Lodomeryi, wyraźnie orzekło, że dopóki nie wyjdzie nowy kodeks praw, dopóty prawa ojczyste mają swą prawną moc, dlatego mocno obstaję przy dawnych ojczystych prawach polskich.

Do naprawy tegoż zamku zwieziono i przysposobiono już niektóre materyały po rewindykacyi powiatu sandeckiego 1770 r.[1]), a jednak Wysoki Rząd owej reparacyi nie pozwolił przywieść do skutku. Obecnie zaś robocizny poddańcze znacznie zmniejszone, a tem samem do reparacyi zamku nie mogą być spożytkowane.

Zamek sandecki służy raczej do celów rządowych, aniżeli samemu staroście, albowiem zbudowano w nim piece do pieczenia chleba dla wojska, przechowuje się w nim opałowe drzewo i łóżka dla żołnierzy, a w piwnicach zamykają nieswornych rekrutów. Nie można też przystąpić do restauracyi tegoż zamku, dopóki nie usunie się z niego pieców piekarskich. Wreszcie ponieważ temu zamkowi od strony Dunajca zagraża wielka ruina z powodu oberwania brzegów i murowanych nadbrzeżnych szkarp, przeto należałoby pierwej uregulować koryto rzeki, nimby rozpoczęto naprawę samego zamku, ażeby snadź za wezbraniem wody nie przyszedł zamek do ostatecznej ruiny i nie udaremnił wyłożonych kosztów. Już zaś

[1]) Jest tu mowa o przyłączeniu Sandeczyzny do Węgier w r. 1770. Zob. t. I. Hist. Nowego Sącza.

uregulowanie rzeki nie należy wcale do dotychczasowego dzierżawcy starostwa, lecz raczej do Rządu. Z tych tedy powodów przedkładając moje trudności, pozostaję z powinnym szacunkiem Wysokiego Gubernium.

*Stanisław Małachowski* [1]).

Tak więc, chcąc nie chcąc, musiał sam Rząd podjąć się naprawy królewskiego zamku. Pan Lalohöfern, inżynier cyrkularny, opracował i przedłożył kosztorys naprawy zamku już pod dniem 2. grudnia 1783 r. Jednakowoż dopiero w następnym roku 1784 zaopatrzył c. k. Rząd cały zamek wiązaniem i pokryciem gontowem, nowemi oknami i drzwiami; mury też zamkowe od strony Dunajca, najbardziej grożące upadkiem, kazał ponaprawiać, wyłożywszy na ten cel 2.171 złr. 37 kr.[2]).

Niedługo też przetrwała poprzednia naprawa murów zamkowych od strony Dunajca. Protokół urzędowy z r. 1793 między innemi wspomina, że „zamek starościński całkowicie ruiną grozi i nie nadaje się na przyszłość do żadnego pożytecznego i korzystnego użytku“ [3]). Nadeszła pamiętna powódź w r. 1813. Wezbrany Dunajec pochłonął w swych nurtach w okolicy Nowego Sącza w Zbyszycach 23 domy z 55 osobami[4]), i podmył fundament sandeckiego zamku, tak iż część jego zachodnia o 7 frontowych oknach, wraz z basztą od strony rzeki zawaliła się w rozhukane fale i ślad po niej nie pozostał. Odtąd Dunajec, zmieniwszy swe dawne koryto, werznął się głęboko pod samo miasto. Pozostałą część północną zamku odbudowano w r. 1838 i zamieniono na koszary; nareszcie wskutek dekretu nadwornego z 15. stycznia 1848 r. sprzedał Rząd magistratowi ten przepołowiony starożytny gród za 4.967 złr.[5]). W czasie kilkomiesięcznego przemarszu wojsk

---

[1]) Rysunek spalonego zamku podałem w szkicu histor. — Wiązanka spora odnośnych aktów (1777—1783) znajduje się w magistracie nowosandeckim.

[2]) Baureparations Anschlag über das dermahlig der Stadt Neu Sandecz abgebrannte, und zu repariren kommende Starostey Schloss mit allen zugehörigen berechnet.

[3]) Das Starostei-Schloss ist gänzlich dem Einsturz nahe, und mangelt auch eine Aussicht zu einer künftig nützlichen und einträglichen Verwendung. (Protocoll und Fragen an den Neu Sandezer Magistrat im Jahre 1793).

[4]) Z aktów kościoła w Zbyszycach.

[5]) Odnośne akta znajdują się w registraturze c. k. Starostwa w Nowym Sączu.

rosyjskich na Węgry w r. 1849 służył on za piekarnię wojskową, a nawet polityczne więzienie. Między innymi dostał się tam za kratę ks. Józef Gnutkiewicz, pleban ze Zbyszyc, pod zarzutem, że sprzyja Polakom. Ale niedługo tam siedział. Uwolnił go niebawem stamtąd żyd karczmarz z jego parafii, twierdząc wobec Rządu, że „ks. Gnutkiewicz więcej jest Austryakiem, aniżeli Polakiem“.

Dziś w tym królewskim zamku nie zostało prawie śladu dawnego przepychu z pięciowiekowej jego przeszłości. Budynki zamkowe, które ocalały z pożaru 1769 r., z ziemią zrównane, mury obronne i baszty zapadłe i w gruzy zamienione. Nie masz już tych gmachów królewskich, gdzie rezydowali starostowie grodowi; nie masz tych komnat okazałych, w których przebywali królowie w XIV. i XV. wieku, zamieszkiwali i kształcili się niegdyś synowie Kazimierza Jagiellończyka pod słynnym humanistą włoskim, Filipem Kallimachem, i praojcem historyków polskich, Janem Długoszem, kanonikiem krakowskim (1469—1470), biegając zimą w kożuszkach baranich i ucząc się łaciny i religii pod surowem okiem księdza-historyka, „aby się nic zaraźliwego w ich miękkie dusze nie wkradło“, jak powiada złotousty Piotr Skarga [1]). Ząb czasu zniszczył wszystko; a co ten oszczędził, ręka ludzka zniszczyła do reszty. Miłośnik zaś i badacz starożytności słusznie z Adamem Naruszewiczem powtórzyć może:

Świetny przybytku, gdzie przed laty
Wielowładne jaśniały królów Majestaty...
Dziś miasto pierwszej chluby...
Nieme tylko zawierasz kamienie.

Istniejący dziś jednopiętrowy budynek zamkowy, nakryty dachówką w r. 1893, od wschodu kończący się czworoboczną barokową basztą kowalską, należącą do dawnych murów fortecznych miejskich — służy za magazyn wojskowy mundurów i zbroi 20 pułku piechoty, i przykry przedstawia widok. Pokoje górne o prostem belkowaniu, zastawione szafami od siekiery; w izbach dolnych i górnych można dostrzedz resztek sztukateryi gipsowej; tarczę karteluszową z herbem Śreniawa i napisem wokoło: S. L. C. S. Z. C.[2]) w pośrodku sklepienia jednej lokalności na dole;

[1]) Zob. szkic hist. Nowy Sącz, str. 29.

[2]) Znaczy to: Sebastianus Lubomirski Capitaneus Sandecensis Zupparius Cracoviensis. — Trzymał on żupy krakowskie od 1581—1591, starostwo zaś sandeckie od 1590—1597. Ów więc herb kamienny mógł być wykuty w latach 1590—1591. — Takich herbów było dawniej w zamku daleko więcej. W r. 1896 znaleziono za zamkiem w wi-

odrzwia i okna w węgarami kamiennymi; bramkę wchodową z kamzamsem i wysokim pod nim fryzem — wszystko to jednak poutrącane i popsute. Brama wchodowa prowadzi do sieni sklepionej i klatki schodowej. Z sieni tej do pokoi dolnych prowadzą odrzwia, podobnie jak wchodowe, ale zdobniejsze, bo noszą we fryzie herb Śreniawa, podtrzymywany przez smoki, kończące się roślinnie. Są podobne drzwi i w sklepie na prawo z sieni. Kilka dolnych lokalności jest sklepionych zwierciadlano z lunetami. Na piętrze szereg pokoi oświeconych oknami od strony miasta — ale niestety te niegdyś wspaniałe okna są do trzech części zamurowane. Okien od strony rzeki nie ma, jedynie parę okienek drobnych z lokalności dolnych. W ścianie fortecznej, przytykającej do zamku i dawnej baszty kowalskiej, zachowało się 9 otworów armatnich, do których wiodą schody kamienne i ganek sklepiony. Od strony wschodniej nędzna chałupka przyczepiła się, jak gniazdo jaskółcze, do owej pozostałej baszty i muru; od strony zaś Dunajca, u podnóża góry zamkowej, zasadzonej laskiem świerkowym, widać jeszcze ślady murów niegdyś otaczających zamek. Pod zamkiem znajdują się dotąd głębokie piwnice: w jednej z nich znaleziono w r. 1831 beczkę starego wina [1]). Tuż u stóp góry zamkowej, prowadzi przez Dunajec nowy most, o filarach kamiennych i żelaznych arkadach, 306 metrów długi, skąd roztacza się przecudny widok na Stary Sącz, sine potężne Karpaty i piętrzące się śmiało ku niebu śnieżyste Tatry:

Jak potopu świata fale,
Zatrzymane w swoim biegu,
Stoją nagie Tatry w śniegu,
By graniczny słup zuchwale!

*Wincenty Pol.*

* * *

klinie nad brzegiem Dunajca duży herb Śreniawa, wykuty w kamieniu z napisem: C. L. C. S. = Constantinus Lubomirski Capitaneus Sandecensis.

[1]) Naoczny świadek tak o tem pisze: „Będąc w III. gimnazyalnej klasie w Nowym Sączu 1831 r., zdarzyło się, że mój ojciec nadporucznik wówczas 3 batalionu 20. pułku, załogą tamże stojącego, miał powierzoną sobie pieczę nad magazynem broni, w zamku umieszczonym. W dni wolne zabierał mnie z sobą do zamku, i nie było kąta w całej starej królewskiej budowli, któregobym ciekawie nie przetrząsł. Jednego razu, biegając swobodnie po piwnicznych lochach, nagle zapadłem się i, nie bez znacznego uszkodzenia odzieży i ciała, siadłem na czemś okrągłem.

Dobra królewskie wraz z zamkiem, w którym rezydowali i wykonywali jurysdykcyę sądową [1]) starostowie sandeccy, stanowiły nieraz w XV. i XVI. wieku „oprawę“ czyli wiano małżonek królewskich, I tak w r. 1424 Władysław Jagiełło zabezpiecza królowej Zofii wiano na miastach i zamkach: Sączu, Bieczu, Radomiu, Korczynie i Żarnowcu [2]). W r. 1508 Zygmunt I. nadaje Sącz w dożywocie Elżbiecie z Dmoszyc [3]) (Dmosice), wdowie po Piotrze Kmicie, wojewodzie krakowskim a staroście sandeckim († 1505). W r. 1543 Zygmunt August zaślubił Elżbietę, córkę Ferdynanda, węgierskiego i czeskiego króla. Sto tysięcy złotych węgierskich wniosła królewna posagu mężowi swemu, tyle drugie przeznaczył dla niej Zygmunt I., zabezpieczając jej tę sumę, już w umowie przedślubnej 1530 r., na dobrach, zamkach i miastach: Sączu, Sanoku, Bieczu i Przemyślu [4]), które aż do r. 1545 trzymała królowa Bona tytułem swego wiana [5]).

---

Ocknąwszy się z przestrachu, w niebogłosy zacząłem wołać o pomoc. Przybył ojciec z żołnierzami, do czyszczenia broni jemu przydzielonymi, i przystawioną drabiną dopomógł mi wydostać się na wierzch. Chodziło teraz o bliższe zbadanie tego okrągłego przedmiotu, na którym usiadłem w lochu. Przy mozolnem wyważeniu pokazało się, że to była beczka wina, z której obręcze i dyby przy wyważeniu spadły, a ich miejsce zajął gruby osad winny (Weinstein). Dośrubowawszy się do jej wnętrza, wypłynęło z niej kilka litrów winnej esencyi, płynu miodowego, o zapachu uderzającym. Ojciec pojedynczemi butelkami tegoż obdarzył komendanta i towarzyszów broni. Naparstkami, że tak powiem, kosztowano ten rzadki specyał, zazwyczaj skąpo używając go do polepszenia win codziennych“. (Wilhelm Schmidt, emerytowany profesor gimnazyalny, w liście pisanym do mnie z Suczawy do Lwowa dnia 16. marca 1893 r.).

[1]) W zamku sandeckim urzędowały sądy grodzkie czyli starościńskie (judicia castrensia), którym przewodniczyli starostowie grodowi (capitanei). Zwykle posługiwali się podstarościm (vicecapitaneus) z zawodu prawnikiem, który jako sędzia (judex castrensis), przy współudziale podsędka (subjudex) i pisarza (notarius), sądził różne sprawy. Rozmaitość tych spraw wyjaśnia bliżej Alex. Wejnert: O Starostwach w Polsce. Warszawa 1877, str. 49—54.

[2]) Rykaczewski: Inventarium privileg. in arce cracoviensi. Parisiis 1862. p. 169; Dr. Prochaska: Codex epistol. Vitol. p. 620.

[3]) Invent. privil. p. 221.

[4]) Dogiel: Codex dipl. pol. T. I. p. 186, 204; Przezdziecki: Jagiellonki pol. w XVI. w. T. I. str. 101—102.

[5]) Prochaska: Materyały archiw. z metr. litew. 1348—1607, str. 165.

Król Stefan Batory, w czasie pobytu swego w Grodnie 30. marca 1580 r., nadał Stanisławowi Mężykowi, staroście grodowemu, w dożywocie dobra sandeckie, przynoszące rocznego dochodu 2.346 złp. 3 gr.; z tem jednak zastrzeżeniem, ażeby płacił rocznie do kwarty t. j. na utrzymanie wojska Rzpltej 469 złp. 6 gr., resztę zaś t. j. 1.876 złp. 27 gr. mógł obracać na swój własny pożytek. W dwóch następnych latach (1581—1582) pobierał on również po 200 bałwanów soli z żup krakowskich; rachując bałwan po 4 złp. 4 gr. czyniło rocznie 826 złp. 20 gr.[1]). Odtąd trzymali już stale dobra królewskie starostowie grodowi aż do 1784 r.

Król Władysław IV. pod dniem 20. maja 1646 r. nadał dobra sandeckie w dożywocie Konstantemu Lubomirskiemu, ze względu na zasługi ojca jego Stanisława, „*quem Ottomanica Chocimensis pugna* — słowa są Władysława IV. — *celebri elogio reddidit in seram posteritatem commendatissimum*“. Do tych dóbr królewskich należał podówczas Nowy Sącz z zamkiem i wsiami: Stadła, Gostwica, Biczyce, Trzetrzewina, Krasne, Pisarzowa, Kunów, Mystków, Cieniawa, Mszalnica, Ptaszkowa, Pławna, Falkowa, Kamionka. Królowa i Jamnica; prócz tego miasteczko Piwniczna z wójtostwem w Łomnicy i Kokuszce; wreszcie tenuta[2]) grybowska z miasteczkiem Grybowem i wsiami: Gródek, Kąclowa, Siołkowa, Biała Wyżna i Niżna, Binczarowa i Bogusza[3]).

Jakie zaś były ciężary i powinności poddanych w tych królewskich dobrach, napotykamy o tem dokładną wzmiankę już w pierwszej połowie XVI. wieku. Włościanie trzech wsi: Trzetrzewiny, Krasnego i Gostwicy obarczeni nad miarę różnemi robociznami, jakie do zamku sandeckiego odrabiać musieli, wnieśli skargę do Zygmunta I. przeciw Achacemu z Zakliczyna Jordanowi, staroście grodowemu. Król przesłuchawszy zażaleń i przychylając się do słusznych próśb poddanych swoich, wydał w Krakowie 17. lipca 1542 r. następujące prawomocne rozporządzenie po wszystkie czasy:

Mieszkańcy pomienionych wsi Naszych podług konstytucyi toruńskiej powinni będą robić jeden dzień w tygodniu pługiem albo broną; mają zaś przychodzić do roboty godzinę po wschodzie

---

[1]) Pawiński: Źródła dziejowe. T. IX. cz. II. str. 38, 66, 259.

[2]) Tenuta — dzierżawa, starostwo niegrodowe, bez jurysdykcyi sądowej.

[3]) Acta Castr. Rel. T. 125. p. 485.

słońca, godzinę w południe odpoczywać, a godzinę przed zachodem słońca kończyć robotę.

Powinni będą po wszystkie czasy, skoro im zleconem będzie, wywozić wszystek nawóz z folwarku czyli dworu w Biczycach na pola folwarczne, nie wliczając do tego dnia roboczego w tygodniu.

Powinni będą co roku łąkę, która się pospolicie „powabem“ zowie, kosić i zwozić do Naszego ogrodu królewskiego, nie wliczając do tego dnia roboczego w tygodniu.

Powinni będą drzewo zwozić do browaru podług starego zwyczaju, nie wliczając do tego dnia roboczego w tygodniu.

Powinni będą, jako i inne wsi Nasze, poprawiać jazy i rowy przy młynach, ilekroć tego potrzeba wymagać będzie, a dęby (robora) zwozić do budowli zamku.

Powinni będą ryby łowić w miejscu zwanem „wał“, nie wliczając do tego dnia roboczego w tygodniu.

Powinni będą jeździć po sól do żup Naszych krakowskich z innemi wsiami podług dawnego zwyczaju.

Ilerazyby zaś kmiecie pomienionych trzech wsi zaniedbali dnia roboczego w tygodniu podług uchwały Naszej, albo uporczywie tem rozporządzeniem wzgardzili, tyle razy będą karani pieniężną karą 4 groszy monety bieżącej w królestwie, którą wypłaciwszy, powinni będą zaniedbany dzień w innym dniu odrobić.

Jednakowoż mieszkańcy pomienionych trzech wsi nie będą nadal obowiązani do odrabiania pośrednich dni, zwanych pospolicie „podwieczorkami“, ani też obowiązani do „powabów siejby“, czyli dni siewnych, lecz tylko do „powabów kośby“ czyli koszenia łąki, jak wyżej powiedziano na mocy tego pisma Naszego, do którego pieczęć Nasza jest przyłożona.

Dan w Krakowie w poniedziałek przed św. Maryą Magdaleną R. P. 1542, panowania Naszego 36 roku. Samuel Maciejowski biskup płocki, podkanclerzy koronny [1]).

Powyższe rozporządzenie potwierdził ponownie Zygmunt August 14. września 1554 r.

Najdawniejsza lustracya z czasów Zygmunta Augusta 1564 r. przynosi nam nieco szczegółów o daninach, opłacanych przez mieszczan do sandeckiego zamku, a mianowicie:

— Z blechu w łanach miejskich płacą mieszczanie do zamku 4 grzywny rocznie.

— Łaźnię wynajmuje zamek i płaci rocznie miastu 16 grzywien.

---

[1]) Acta Castr. T. 6. p. 520—522.

— Z kutelhofa rzeźniczego rajcy z starodawna na wójtostwo nie płacą do roku więcej, tylko 6 grzywien, które od rzeźników wybierają i płacą do zamku.

— Rzeźnicy płacą z starodawna do zamku, naprzód 9 kamieni łoju po 1 talarze, pół wołu po 2 grzywny, dwoje cieląt po 36 groszy, flaki 4 grzywny 8 gr.; suma czyni 13 grzyw. 5 gr. Prócz tego płacą na ratusz 3 grzyw. 36 gr., okrom kutlowskiej arendy, którą rajcom w ręce dawają, a rajcy do zamku odnoszą.

— Szewcy dawają do zamku 2 pary skórzni.

— Piekarze płacą do zamku na Boże Narodzenie 2 strucle.

— Z piły pożytku żadnego nie masz, bo na potrzebę zamkową i młyńską wszystko w traczu rzeżą, jednakowoż można szacować nad potrzebę zamkową 7 grzywien [1]).

Lustracya z r. 1664 objaśnia nam nieco bliżej, wymienione powyżej daniny, i przydaje nowe:

— Rzeźnicy, oprócz 9 kamieni łoju szmelcowanego, dają na zamek pół wołu, cieląt dwoje i przez niedziel 25 t. j. od Świątek aż do św. Marcina płacą na tydzień flakowego po 1 złp. 10 gr.

— Szewcy do zamku 2 pary skórzni *alias* butów wielkich dawać powinni, które bromny zamkowy bierze.

— Tkaczów ma być takowa powinność, jak i po innych miasteczkach, t. j. powinni odrobić do zamku lnianego płótna półsetek, konopnego drugi darmo; a od innych jako od lnianego ma im zamek płacić od łokcia po półtoraku, od konopnego po 1 gr., od paczesnego po 2 szelągi, od zgrzebnego po półgroszku, i dawać im ma na omastę żyta wierteli 2, jęczmienia 2 [2]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

[1]) Lustracya województwa krakowskiego. Ks. 16. fol. 210. Civitas Sandecz 1564. Archiw. główne w Warszawie. Zob. Dodatki, nr. II.

[2]) Baliński i Lipiński: Starożytna Polska, wyd. II. Martynowskiego. T. II. str. 248. Warszawa 1885.

# ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

## BISKUP WŁOCŁAWSKI I KRAKOWSKI

(1496—1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

## CZĘŚĆ TRZECIA

**(1553—1560).**

(Ciąg dalszy).

Przemawiający po Ossolińskim poseł ziemi ruskiej, Mikołaj Sienicki oświadczył również, że wobec anarchii panującej w Rzptej nic „innego sobie obiecywać wobec wszyscy wspólnie nie możemy, jeno rychłe zginienie swe“. Zauważył, że „temu wszystkiemu ktoby się jedno w Polsce przypatrzeć chciał, znajdzie, że tak wiele każdy śmie, ile jeno chce: bo sprawiedliwości nie masz; porównanie ono wspólne, które każdego w powinowactwie jego zachować i upominać mogło, zginęło; władza tym, którym należy, ustała; sądy, któremiby każdy potrzeby swej dojść mógł, nie idą“. Krytykował więc propozycyę królewską, która za mało zwraca uwagi na ten stan rzeczy, grożący państwu ruiną i zagładą a zanadto narusza istniejącą konstytucyę, „bo i sprawiedliwość komu innemu podaje i posłów umniejsza“, chociaż „mocno jest obwarowano, iż bez posłów rycerskich owszem nic nie stanowiono, ani uchwalono nie ma być, ani W. K. M. możesz“, a w końcu, bo podaną jest jakby w formie nakazu według zapewnienia pana podskarbiego koronnego [1]): „iż tak Król J. M. chce mieć a nie inaczej“. Protestując

[1]) Wawrzyniec Spytek Jordan z Zakliczyna, v. Script. 1. 80.

przeciw takiej propozycyi, apelował Sienicki do uczuć sprawiedliwości monarszej, która bezwątpienia daleką jest od tego, aby „wolności nasze karcić miała“...

Przemowy powyższe obu wybitnych mowców izby poselskiej oburzyły niezmiernie senatorów i króla. Z mowy Ossolińskiego poznał Zygmunt August, kto podjudza posłów przeciwko niemu. Zdaniem jego nikt inny nie był, tylko hetman J. Tarnowski. W liście swoim z 3. marca do księcia M. Radziwiłła, wspominając o mowie Ossolińskiego, pisze: Gdzie łacno się znaczy, iż to nie poselska ani Ossolińskiego *practica*, ale właśnie pana krakowskiego, czego się łacno każdy domyśla, bo równie jego w tym libelluszu (to jest w mowie, którą Ossoliński odczytał) są *verba formalia, quibus utitur*, gdy o nas i o innych swe zwykłe puszcza jady [1]). Obrażeni król i panowie odbywali dni kilka „rady i namowy“, zastanawiając się nad odpowiedzią, jaką należało dać posłom za ich zbyt śmiałą krytykę korony i rządu. Bezwątpienia Zebrzydowski był jednym z najpierwszych, który wotował za tem, aby posłów skarcić jak najsurowiej za ich zuchwałość, posuwającą się do cenzurowania nawet majestatu królewskiego. Nastąpiła też po tych naradach senatorskich gromka odpowiedź, którą podobnie jak propozycyę wygłosił w imieniu króla kanclerz w. k. Jan Osiecki. Zapewniając posłów, że dosyć król troszczy się o dobro Rzptej, że chętnie zwołuje Rady i sejmy celem omawiania wszelkich jej potrzeb i spraw, pozwala sobie jednak zwrócić uwagę posłów, że, jakkolwiek król „z sobą wolno mówić dopuszcza nie tylko w tych sprawach pospolitych, ale w każdych osobliwych“, jednak nie godziło się mówić do niego takiemi słowy, jak „dnia onegdajszego“. Wprawdzie mówili posłowie o ważnych rzeczach, ale mogli wyrażać się z większą „dyskrecyą“, co pewno także nakazali im w instrukcyach poselskich bracia wyborcy. Król czuje się tem obrażony. „Dotknion“ jest także i tem, że posłowie składają na niego winę za zmarnowanie przeszłych sejmów i za niedojście do skutku sejmu wspólnego z Litwą. „Że panowie litewscy tu nie są, bo być nie mogli, ani też powinni“... „Ale J. K. M. będąc tam teraz

[1]) Script. 1. s. 62/3. Lachowicz s. 46. Pisze dalej król: Daliśmy posłom za to, ut conveniebat, dosyć niełaskawą odpowiedź, to ciężce i z niełaską od nich przyjmując, że tak nieuczciwą rzeczą dignitatem nostram regiam są obrazieli. Panowie także z osobna — a więc i Zebrzydowski — obżałowali siebie być od posłów dotknionymi... hacque re laesam esse eorum auctoritatem senatoriam. Owo się na tym wszystko zatarło i t. d.

w swem państwie — to jest na Litwie — mieć raczył sejm z radami onej ziemi i nie przemieszkał tam się starać u nich, co rozumiał być potrzebnego tej koronie". Że sprawiedliwość chroma, również nie wina to króla. Urzędami szafuje dobrze, *privata bona regalia* również rozdaje tak jak należy, — „ani z tego powinien liczby czynić". Klauzula o possułach czyli o darach jest również dla J. K. M. „obciążliwą", — „bo krzywdę by na tem J. K. M. czynił, ktoby to o J. K. M. rozumiał"... Nieprawdą jest również „aby stan rycerski za panowania J. K. M. wyniszczon miał być, owszem, jest zbogacon, co wszystkim jawno i znać to na imionach szlacheckich, na budowaniu, na łańcuszkach, na koniach, na szatach". „Hetmanów też za J. K. M. nie ubyło"... „Iż wojenna gotowość zginęła i ćwiczenie rycerskie, zna to J. K. M., ale przyczyny do tego ani przykładu złego z siebie nie dał, bo sam jest gotów, jako jeno J. K. M. najlepiej należy;... iż tu senatorów wszystkich nie masz, każdy z nich jest od J. K. M. obwieszczon i wezwan"... — więc mogli przybyć; „iż exekucya nie doszła a nie skończyła się, to W. M. dobrze wiecie. Kim się to działo, że nie J. K. M., bo ten był i jest gotów... Temi i owemi niesłusznemi przyganami i „powieściami [1])", Król „jest wielce obrażon i umiałby temu zabiegać, jako tego nikomu nie cierpieć". „Ale że łaski swej król J. M. wiedząc, że łaską a miłosierdziem się państwa stanowią, na ten czas dla omieszkania spraw Rzptej to mimo się puszczać raczy a przebaczywa". „Acz wie, jako u siebie to ważyć ma i umiałby to zahamować, aby tą śmiałością po drugie nie był dotykan, tak nieuczciwemi, a dotkliwemi słowy, gdyż on sam takiemi się na nikogo nie skwapia; pogotowiu sam panem będąc, też ich cierpieć nie chce ani przystoi, i jeźliby się kto tego po drugie ważyć śmiał, srogo to karać będzie i już ma radę gotową od I. M. panów przeciwko takiemu, jako postępować będzie miał, ktoby się jeno najmniej ważyć śmiał!" Po tej groźbie, rzuconej na postrach posłom, będącej bezwątpienia wyrazem usposobienia takich bezwzględnych wyznawców absolutyzmu i obrońców powagi majestatu jak Zebrzydowski, począł kanclerz zalecać izbie projekta królewskie. Potrzebę umniejszenia liczby posłów tłómaczył faktem,

[1]) Script. Rer. pol. I. 1. s. 5. Między innemi powieściami była i powieść o Krezusie i Solonie, którą przytoczył Ossoliński, mówiąc, że Solon Krezusa „dufającego wielkości skarbów" upominał, aby „poczciwszemi rzeczami i pożyteczniejszemi się zabawiał", niźli nikczemnemi tańcy, próżnemi myślistwy i innemi delicyami cielesnemi", i ostrzegając Zygmunta Augusta przed znanym losem Krezusa...

że wydatkami na posłów „niszczy się skarb pospolity“, bo „to co by się ku obronie obracać miało, na nie wychodzi“. Zapewniał, że wojennej obrony czyli pospolitego ruszenia nie omieszka król zwołać, gdy będzie tego potrzeba, ale teraz musi myśleć o innej obronie, mianowicie o potocznej, którąby strzegła stale granic Rzptej od wschodu. Co się tyczy „sprawiedliwości około sądów“, nie przeczy J. K. M., „że to na urząd J. K. M. należy, ale, iż się tak wiele spraw zadzierzgało, nie tylko za J. K. M. od kilkanaście lat, nie może temu żadnym obyczajem J. K. M. dosyć uczynić, ani zdrowie J. K. M. może tego znieść, ani też sejm tak długo stać, ażby się wszystkie odsądzić mogły, gdyż ich jest poza kilkanaście tysięcy caus“. Z tego powodu sądy z sejmu walnego chciałby król przenieść do sejmów powiatowych czyli sejmików. Kończy kanclerz, że zresztą król nic nie ma przeciw temu, aby posłowie podali w tej mierze lepszy jakiś projekt, żeby też uradzili jakąś obronę dla kresów wschodnich Rzptej.

Po kanclerzu zgromił posłów „imieniem wszech panów“ Piotr Kmita, wojewóda krakowski, karcąc ich jako „brać młodszą“ za lekkomyślnie rzuconą na nich obelgę, jakoby nie byli godni miejsc w Radzie koronnej, bo nie pilnują „urzędów swych“ i obowiązków. Powiada autor dyaryusza, że „długa to była na posły ta exaggeracya, zatem posłowie odeszli“, gniewni, że król i panowie ich nie rozumieją... Najbardziej zaintrygowało ich to „iż im powiedziano od króla J. M.“, że „za Radą panów, którą już ma od nich, srogo karać chce, ktoby się ważyć śmiał tak po drugi raz królowi mówić“. Jakby przerażeni tą groźbą królewską, postanowili, jakkolwiek zupełnie nie poczuwali się do winy, upokorzyć się przed królem i panami, aby tylko nie zrazić całkiem do siebie króla i nie dopuścić do odłożenia sejmu, na którym pragnęli załatwić ostatecznie upragnioną egzekucyę praw koronnych. Wydelegowali więc z grona swego posła Boratyńskiego, podstarościego krakowskiego, aby w ich imieniu przeprosił króla i panów. Kiedy Boratyński spełnił polecenie swych towarzyszy, wytłumaczywszy królowi i panom, że Ossoliński i Sienicki nie mieli zamiaru ich obrażać, tylko zupełnie otwarcie i szczerze omówić wszelkie „dolegliwości koronne“, które przecież są tak wielkie, wówczas król z panami udobruchany przebaczył posłom i obiecał stosownie do ich żądania otworzyć na najbliższej sesyi szeroką dyskusyę nad „sprawami Rzptej“.

Pokora posłów zwyciężyła upór senatu i króla. Sprawa egzekucyi miała stanąć na porządku dziennym sejmu. Nim się to stało,

odbywały się tymczasem walne narady senatu, na których król zasięgał co do niej opinii panów. Opinia ta razem ze zdaniem królewskiem sformułowaną została w odpowiedzi, jaką dał posłom kanclerz w imieniu króla na najbliższej sesyi sejmowej. W odpowiedzi tej tłumaczył Ocieski posłom, że niesłusznie zarzucają królowi, jakoby sobie nie życzył egzekucyi: „rad ją czyni ale takową, któraby sprawiedliwą była". Nie wszystkie żądania szlachty są wykonalne, n. p. *statut de incompatibilibus*, zakazujący piastowania kilku urzędów naraz lub artykuł o egzekwowaniu dóbr koronnych: jeden i drugi sprawiłby wiele zamieszania, wywołałby mnóstwo nienawiści, podejrzeń i plotek, dotykając czci i mienia osób znakomitych. Zresztą będzie król egzekwować wszystko, co się tylko okaże, że „się z prawa wykroczyło". Także pamięta o unii z Litwą i Prusami. Na Litwie „miał" tamtego roku sejm w sprawie unii. Zgadzają się na nią Litwini, wymawiają sobie tylko zachowanie swych praw, do których już przywykli. Prusacy zaproszeni uniwersałami sejmowymi do Krakowa zapowiedzieli swoje przybycie, a jeśli dotychczas ich nie ma, to pewno dlatego, że sami zajęci są sejmem w Elblągu [1]). Król więc dobrze rozumie życzenia narodu i stara się o dobro Rzptej według sił swoich. I projekty jego o sądach i obronie, które teraz sejmowi przedłożył, są dowodem jego pieczołowitości i dobrych chęci: Mylnie sądzą posłowie, że król się chce pozbyć i zrzec najwyższego sądownictwa w kraju. Widzi tylko, że czystem jest niepodobieństwem, aby zdołał sam odsądzić „tą ordynacyą, która jest prawem postanowiona", tyle „caus sądowych", zalegających po sądach od lat kilkunastu. Zastanawiał się król z senatorami, jak temu złemu zaradzić. Zgodzili się wszyscy na to, aby przynajmniej raz tylko poruczyć odsądzenie owych „caus" komisyi złożonej z senatorów i posłów. Komisya ta może być ukonstytuowaną już teraz z pośród obecnych na sejmie lub z innych, których posłowie za godnych uznają. Nie uczyniłoby to wyłomu w prerogatywach korony, bo według statutów koronnych można w wyjątkowych razach powierzać sądy apelacyjne sędziom assesorum. Obrona, jaką król proponuje, również nie jest nową. Są bowiem w Koronie dwa rodzaje obrony: jedna potoczna,

[1]) Hos. Ep. nr. 1000. St. Kostka, woj. chełmiński donosi Hozyuszowi: „Tak posłowie koronni o unią na Prusy wołają". Posłowie ziem pruskich nie jawili się na sejmie krakowskim ku wielkiemu niezadowoleniu senatu i posłów kor. v. H. Ep. nr. 991, list Ocieskiego do Hozyusza.

aby strzegła pogranicza przed niespodziewaną napaścią sąsiadów — a właśnie teraz takiej obrony potrzeba na wschodnich kresach Rzptej; druga obrona, to pospolite ruszenie, które bywa zwoływane w razie bardzo groźnego niebezpieczeństwa. Pierwsza utrzymywaną być może tylko z podatku, dlatego król się o ten podatek teraz „przymawia“ i sam go chętnie również na siebie nakłada... Jak jest ta obrona potrzebną, mogą pojąć posłowie, jeśli się dowiedzą, że nawet „księża Ich. M. M. pozwalają dać na nią“. Powiada kanclerz: „z dziesięcin swych acz się wymawiali, że na to nie są powinni, ale dla miłości spólnej *et pro bono R. P.* nie tylko te, ale i połowicę majętności swych nie chcą żałować na gwałtowną potrzebę koronną..., ale iż być to nie może bez szacunku, aby co mieli dać z dziesięcin a dochodów swych, zezwalają na szacunek, gdy też W. M. nań zezwolicie spólnie, aby wszech dotknął“... Również panowie zgadzają się na podatek... W końcu zauważył kanclerz, że co się tyczy „liczby posłów od rycerstwa“, wykaże król starymi regestrami „iż ich niemało przybyło“.

Nie podobała się posłom ta odpowiedź królewska, aczkolwiek od poprzedniej „łaskawsza“. Z ustępów o egzekucyi przekonali się „że jej pan zbraniał i tylko ją na małych rzeczach sadził“. Sądy nie przypadały im do gustu, nie mniej także obrona potoczna. Po długich dopiero naradach, targach i „namowach“ zgodzili się wreszcie na sądy [1]). Co do podatku na obronę, jedni chcieli nań zezwolić, inni nie: W końcu wszyscy jeszcze raz postanowili upomnieć się u króla o egzekucyę praw, a na generalnego mowcę w tej sprawie wybrali Mikołaja Sienickiego. Po dłuższym wstępie, pełnym retorycznych wylewów żalu i goryczy na to, że nie mogą posłowie doczekać się „naprawy a wyiszczenia praw i wolności starych“, o które na kilku już sejmach „żebrzą“, jak również i na to, że król „to wyiszczenie praw“ uważa za „szkodliwe“ Rzptej i „prawu pospolitemu przeciwne“, począł Sienicki tłumaczyć królowi i panom, co właściwie szlachta przez swoją egzekucyę rozumie. A więc upomina się szlachta, aby statut „*de iniquitatibus*“ ściśle przestrzeganym był: „srogość tego statutu nikomu groźną być nie może, bo jej łatwie każdy może ujść, puścić to, coby

[1]) Zakrzewski: Powstanie i wzrost Reformacyi w Polsce, Lipsk, 1870, przypisy 26. na str. 251 wspomina, że konstytucya o tych sądach zapisana jest w Metryce kor. ks. 83. f. 203. i str. 84. fol. 1. — pozostała ona jednak projektem niewykonanym, bo nic o sądach jednorazowych w tym czasie nie słyszymy.

przeciw prawu trzymał"... „Egzekucyą zowiemy" i to, aby zwracał każdy to, co trzyma nieprawnie z dóbr królewskich: „bo urzędy, starostwa i miana królewskie sąć to dochody skarbu koronnego W. K. M., które, by sprawiedliwie dochodziły, mógłby każdy król mniej potrzebować"... „Ale nie toć już wszystką egzekucyą zowiemy, aby komu wziąć królestwo, które za swemi pieniądzmi dzierży przeciw prawu, albo dostojeństwo, iż osiadłości nie ma" — „acz i to jest, jakom pierwej powiedział, potrzebna, ani my tego odstępujemy" — bo i „to przedniejszą egzekucyą zowiemy, abyś nam W. K. M. dostateczną sprawiedliwość czynić raczył..., „to egzekucyą zowiemy, abyś W. K. M. sejm nam wedle statutu z Księstwem litewskiem i takoż z innemi złożyć raczył, abyśmy *de communibus malis communia eonsilia* a namowy mieć mogli spólnie — „to egzekucyą zowiemy, abyś W. K. M. urzędów tych każdych, którymi nam po wszech ziemiach i powieciech panujesz, doglądać raczył, aby każdy powinności swej w statucie opisanej czynić zawżdy dosyć nie omieszkał... „to egzekucyą zowiemy, abyś W. K. M. różnice te, ktore się między stanem rycerskim ku niemałemu zwoleniu ich a stanem duchownym wszczynają, zahamować raczył, a nas poddanych wiernych swych innemu nikomu w jurysdykcyę nie dawać, gdyż my nie wyznawamy zwierzchności niczyjej innej prócz W. K. M. Króla i Pana swego; prawu też innemu nie jesteśmy poddani jedno swemu polskiemu", więc „list ten, któryś W. K. M. panom duchownym na nas bez wiadomości naszej przeciw prawom naszym sejmu przeszłego dać raczył, abyś W. K. M. uchwałą pospolitą sejmu teraźniejszego zepsować raczył, jako prawu pospolitemu a wolnościom naszym przeciwny"... „I to egzekucyą zowiemy, abyś W. K. M. od zniewolenia tego, które cierpimy przez składy gdańskie — emporia [1]) — nas oswobodził... „tego my też od W. K. M. potrzebujemy", abyś W. K. M. „wynaleść" raczył sposób, jak należy doglądać urzędów, co mają kontrolę nad cenami towarów: „bo zaprawdę to jest największe wyniszczanie koronne a ubożenie pospolite, iż przez niedojrzenia urzędów takowych każdy drogo wszystko przepłacać musi, a cudzoziemiec najdrożej wszystko przedać może, czem się srebro, złoto z korony wynasza"... „To też egzekucyą zowiemy, abyś W. K. M. monety dojrzeć, rzeki ku dobremu Rzptej przeprawować

[1]) W emporium tem monopolizowano handel zbożowy na Wiśle. Gdańsk się podniósł i kwitnął ze szkodą miast wewnątrz kraju. Szujski: Przypisy w Script. 1. s. 91.

raczył... Jest i innych wiele wykroczenia z prawa pospolitego abusus, wolności koronnych uszczerbienia, w których my naprawy a wyiszczenia od W. K. M. potrzebujemy... a na trzecim sejmie (w 1550 r.) spólnieśmy je W. K. M. spisane podali, które podobno W. K. M. w kancelaryi swej mieć raczysz"... Zakończył Sienicki powyższy wywód swój wyrażeniem nadziei, że król pójdzie za głosem szlachty, bo się w Polsce urodził, bo Polakom królować raczy i nie ma nic innego do zrobienia jak tylko „polskie wyiścić prawa"...

Mowa ta nie zrobiła korzystnego wrażenia ani na królu, ani na panach. Po kilku dniach dał na nią król „z namów pańskich" przez kanclerza odpowiedź, w której przedewszystkiem czynił wyrzuty posłom, iż „dosyć barwionemi ale mało potrzebnemi słowy mówili około egzekucyi". Nie pojąwszy należycie oświadczenia szlachty, tyczącego się dostojeństw i imion królewskich t. j. urzędów i królewszczyzn, dziękował, że posłowie już nie domagają się ich zwrotu. Twierdził, że dosyć „sprawiedliwości doglądał", o unii myślał, sejmowi wspólnemu z Litwinami nie jest przeciwny, tak samo z „innemi państwy", dla unii jeździł na Litwę, o sejm wspólny starać się będzie, ale nakazywać go nie może, bo Litwini „są ludzie wolni, jako i Polacy". Jeśli się zgodzą na ten sejm, to go zwoła. Twierdził dalej, że kontrola urzędów w Polsce jest dostateczna, każdy zresztą zna ze statutów obowiązki urzędu swego... „Co się zaś tyczy postanowienia o zahamowaniu różnic, które się wszczynają między stanem świeckim a duchownym, nie omieszkał się o to J. K. M. starać, i rozumiejąc, że to jest przedniejsze powinowactwo, do Ojca św., Papieża, posłał ku stolicy Jego posła swego, (W. Kryskiego) upominając Jego Świątobliwość, aby Concilium złożył. Co ten poseł od Ojca św. przyniesie, będzie to potem objawiono, ale dokąd poseł ztamtąd nie wróci, jakiego postanowienia od Ojca św. nie przyniesie, nie zda się J. K. M., aby w powinowactwo a rząd czyj miał się wmiatać"... Jednem słowem wszystko jest dobrze, w porządku, nie tak źle, jak sądzą posłowie... „Ta odpowiedź posłom nie bardzo smakowała", powiada autor dyaryusza, zrozumieli bowiem, że król się chciał „z egzekucyi wyminąć". Wystąpił więc jeszcze raz poseł Tomicki i w imieniu izby zaprzeczył, jakoby posłowie mieli z programu egzekucyi „opuszczać" rzecz *„de dignitatibus et officiis"* czyli „o dygnitarstwach a o urzędziech", i owszem, nie odstępują od niej i proszą króla co do niej „o łaskawą a miłościwą odpowiedź"; niemniej nie odstępują od protestu przeciw „listowi", danemu duchownym

i dziwią się, że żadnej odpowiedzi w sprawie tego listu od króla nie dano, chociaż „oni po kilkakroć przypominali“; co gorsza żalą się, że zamiast odpowiedzi, doszły ich uszu potajemne pogróżki panów duchownych, „iżby chcieli pozywać szlachtę do sądów i prawa swego [1])“ (Zebrzydowski?) Słowa Tomickiego poparł Sienicki, który uderzając szczególniej na duchownych za owe „przegrozy“ ich, protestował przeciw temu w imieniu posłów, aby M. P. duchowni wyzywali ich poddanych Królewskiej Mości „*in fines orbis*, do prawa swego“, którego oni nic „nie rozumieją“, i któremu nie są i nie chcą być „poddani“.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Tadeusz Troskolański.

[1]) W „Bibliografii historyi polskiej“, Część I. s. 108, nr. 2875, podano wiadomość o istniejącym druku współczesnym z r. 1533: „Rada niektórych biskupów“, 6. w. m. i r. (?).

# STAROŻYTNOŚCI BIBLIJNE

## w świetle archiwum egipskiego z XIV. w. przed Chrystusem.

(Dokończenie).

Leży to w naturze rzeczy i czasu, w którym się znajdujemy, że w tej kwestyi można co najwyżej wypowiadać przypuszczenia, z których jedno przed drugiem ma większe psychologiczne albo na innej historycznej analogii oparte prawdopodobieństwo, żadne z nich jednak nie opiera się na silnych, realnych podstawach, na faktach dziejowych, żadne zatem nie wyczerpuje prawdy historycznej, nie może sobie do tego pretensyi rościć. Nie łatwo właśnie światłem poznania historycznego dociec prawdy w epoce tak odległej, tak ciemnej.

Nie przeceniając wartości naukowej hypotez, wypowiedzianych w tej kwestyi przez różnych historyków, chcemy tu tylko najważniejsze z nich przytoczyć.

Najradykalniejsze w swych konsekwencyach zapatrywanie wypowiada Winckler w nader ciekawem dziele „Geschichte Israels“ 1896.

Wychodząc z identyczności SA. GAS-Habiri i biorąc do pomocy inną jeszcze hypotezę, niemniej osobliwą: identyczności „Miçraim i Muçri“ buduje on uwagi godną, jakkolwiek dziwną bardzo konstrukcyę historyczną, w której obraz najdawniejszych dziejów Izraela w zupełnie innem świetle się przedstawia, niż go dotychczas na podstawie biblii — choć ze strony najradykalniejszych krytyków biblii — przedstawiać sobie przywykliśmy.

Gdy ci bowiem upatrują w wiadomościach biblijnych o pobycie Izraelitów w Egipcie co najmniej jądro rzeczywistości historycznej, o ile mianowicie uznają pobyt jednego lub kilku plemion hebrajskich w Egipcie za fakt dziejowy, żadnej wątpliwości nie ulegający, który potem w czasach historycznych drogą legendy na cały naród rozszerzono i odpowiednio do tego szczególnie exodus ozdobiono, to Winckler zaprzecza zupełnie historyczności epizodu egipskiego i łączących się z nim faktów i w całem opowiadaniu biblijnem upatruje legendę polityczną, zaznaczamy: polityczną a nie ludową.

Dokumenta archiwalne z Tell-Amarna dają nam podług Wincklera prawdziwy przebieg dziejowy zajęcia Palestyny przez Hebrejczyków, które właśnie nie nastąpiło — jak to biblia kreśli — jako jednolity, jednorazowy przez „naród“ Izraela dokonany zabór, lecz jako powolna, stopniowo się posuwająca immigracya plemion hebrajskich, trwająca przez przeciąg trzechset do czterechset lat, ostatnia wędrówka semickiej grupy ludów ze wschodu, z której część jako Kananejczycy — etnologicznie ci niczem się nie różnili od Hebrejczyków — w kraju, który od nich nazwę przyjął, przedtem się osiedliła. Chabiri zatem = Hebrejczycy to nie tylko „dzieci Izraela“, lecz wszystkie plemiona koczownicze (także Moabici, Amonici), które od południowej granicy Palestyny począwszy, aż do ostatnich krańców Fenicyi usiłują się stale osiedlić.

„Izraelici“, jako organiczny związek kilkunastu szczepów nie istnieją jeszcze w XV. wieku, jako najeźdzcy występują tylko pojedyńcze plemiona i gentes, które dopiero po wiekach jednoczą się i łączą w większą całość po części pod wpływem stosunków kulturnych, po części zaś dla obrony przed innemi naciskającemi na nie plemionami.

To jednoczenie wszystkich szczepów nastąpiło podług W. za króla Dawida, który je na dwojakiej oparł podstawie, w dwojaki sposób je przeprowadził. Dawid bowiem był pierwotnie księciem jednego plemienia (czy obwodu) Kaleb (I. Sam. 25/3, II. Sam. 3/8 rôš Kaleb), pobił potem pokolenie Juda, które stało izolowane między państwem Saula a księstwem Dawida, po śmierci Saula zaś rozszerzył panowanie swoje na wszystkie szczepy północno-izraelickie i zjednoczył je w jedną wielką polityczną całość, w państwo izraelsko-judzkie.

Ale z tym zewnętrznym podbojem i politycznem scentralizowaniem — snuje dalej Winckler nić swej konstrukcyi — cel, jaki

Dawid sobie wytknął, nie był jeszcze w zupełności osiągnięty. Musiał on to wielkie państwo, w którem kulturnie różne od siebie szczepy zewnętrznie z sobą spoił, oprzeć także na trwalszej, moralnej podstawie, do politycznej centralizacyi musiało przystąpić i wyrównanie kulturnych różnic szczepowych, assymilacya kulturna.

Tę zaś osiągnął Dawid przez dwie zasadnicze idee w lud rzucone: z jednej strony przez wprowadzenie wspólnego kultu Jahwy, z drugiej strony zaś przez stworzenie i rozszerzenie legendy o pobycie wszystkich „synów Izraela“ w niewoli egipskiej.

Winckler stara się mianowicie dowieść, że Jahwe był pierwotnie tylko bogiem plemion: Kaleb-Juda, gdyż tylko te dwa plemiona mogły w owych okolicach koczować, na które najdawniejsze wiadomości biblijne[1]) wskazują jako na pierwotną siedzibę kultu Jahwy. Synaj, na którym Jahwe mieszkał, leżał niedaleko granicy południowej państwa (tam właśnie, gdzie szczep Juda przebywał), stanowi on część pasma górskiego w krainie Edom, nazwanej przez Assyryjczyków i Arabów „Muçri“.

Tu jesteśmy przy punkcie kulminacyjnym w całej teoryi Wincklera. Dotychczas krytyka biblijna przecież nie śmiała zupełnie porzucić historyczności wyjścia z Egiptu, mówiono sobie między innemi, że byłoby to psychologicznie niepojętem, żeby naród cały w podaniach rodzimych o swojej przeszłości poniżył się sam do stopnia niewolnictwa (Ebers).

I oto Winckler nam powiada, że znalazł klucz do rozwiązania całej legendy: „Podanie o pobycie Izraelitów w Egipcie nie jest niczem innem jak tylko legendarnem ujęciem pobytu tych pokoleń, które swą dawniejszą kulturą nadały charakterowi całego narodu piętno jedności narodowej, w krainie zwanej „Muçri“, gdzie była też pierwotna siedziba Jahwy. Tę część kulturnie miarodawczą dla utworzenia się „narodu izraelskiego“ stanowiły szczepy: Kaleb-Juda. Podobieństwo dźwięku słów „Miçraim“ i „Muçri“[2]),

[1]) Deut. 33/2: Jahwe przybył z Synaju, zajaśniał im z Seiru. Sędz. 5/4: O Jahwe, gdyś wyszedł z Seiru, gdyś kroczył z pola Edom.

[2]) Prowincyą „Muçri“ w transskrypcyi hebr. „מצרים“ znajduje Winckler w kilku miejscach biblii, wymieniamy tylko II. Kr. 7/6 „Król Izraela najął przeciw nam królów Chittejczyków i królów „Miçraim“. Miçraim = Egipt nie daje tam żadnego sensu. (Zob. Winckler: Alttest. Untersuch. 168—174).

dało Dawidowi czy jego historyografom podstawę do stworzenia legendy o pobycie w Egipcie. W skład tej legendy wchodzi także cały genealogiczny szemat przynależności szczepów, znajdujący swój wyraz w historyi patryarchów, ich wspólnych przodków.

Całe opowiadanie zatem nie jest integralną częścią pierwotnej, starej legendy izraelskiej, lecz powstało dopiero w czasach historycznych, ze świadomą tendencyą polityczną i kulturną, stworzone przez zmianę słów „Miçraim“ i „Muçri“, z których jedno oznacza Egipt, drugie zaś o zupełnie podobnem brzmieniu: prowincyę na południowo-wschodniej granicy Palestyny.

Twórcami legendy byli historyografowie nadworni Dawida, a celem jej było: dowieść prastarej solidarności i przynależności wszystkich szczepów Izraela i Judy i przez to utwierdzić polityczną jedność państwa.

Zachodzi jednak pytanie: Przypuściwszy nawet, że legenda w ten wyżej przedstawiony sposób powstała i w lud została rzuconą, to skoro jej wyłącznym celem było ugruntować jedność państwa, czyż po faktycznem rozbiciu się tej jedności, po śmierci Salomona, nie musiała zniknąć zupełnie z widowni i ustąpić miejsca innej, różnicę szczepów wyrażającej legendzie? Czyż ten sam Jerobeam, który oderwawszy dziesięć pokoleń od państwa Dawidowego, przeciął w interesie politycznym wspólny węzeł kultu Jahwy (I. K. 12/28), nie musiał w konsekwencyi swego postępowania zniszczyć także legendy o wspólnym pobycie w Egipcie i zastąpić jej jakąś przeciwną, różność państw zaznaczającą? Tę uzasadnioną wątpliwość, która całą hypotezą Winckler zachwiać musi, (tembardziej, że Jerobeam, ustawiając cielce złote w Dan i Betel, aby wstrzymać naród od pielgrzymki do Jerozolimy, wyraźnie powiada: Oto są bogowie twoi, którzy cię wyprowadzili z Egiptu, a zatem legendy tej wcale nie narusza, coby z pewnością usiłował, gdyby to miała być legenda polityczna, przez Dawida stworzona) stara się W. psychologicznym momentem usunąć:

Ten nie zdoła ocenić żywotności legendy politycznej — powiada on — kto sądzi, że da się ze świadomości ludowej wyrugować, skoro raz w niej utkwiła. Wszak dziś jeszcze widzimy, jak łatwo takie legendy się tworzą, jak szybko się rozszerzają, jak trudno je usunąć; cóż dopiero na stopniu kulturnym, jaki zajmowali wówczas Izraelici! Choćby tedy królowie izraelscy usiłowali ją usunąć, to im się to udać nie mogło, tem mniej, że jej tendencya odpowiadała i stosunkom posalomonowym. Wkrótce bo-

wiem po podziale państwa Dawidowego okazało się, jak niefortunny był ten rozłam: Juda zarówno jak Izrael był otoczony nieprzyjaciółmi (Filistyni, Edomici), którym tylko wspólnemi siłami można było podołać. Wogóle zapomniano o tych złych stronach dawnej solidarności, a widziano tylko jej zalety. Powstała legenda „von des alten Reiches Herrlichkeit", dla której przykładów podobnych w historyi szukać nie potrzeba. I tak podział państwa nietylko nie przeszkadzał rozwojowi legendy, lecz owszem prawem kontrastu go popierał. Drogą literackiej tradycyi przybrała potem legenda tę postać w jakiej nam ją pismo św. przechowało.

To jest w ogólnych zarysach „teorya" Winckiera w pojmowaniu najdawniejszych dziejów Izraela.

Nie dotykając wcale śmiałej hypotezy tej, o ile ona się zbliża do prawdy historycznej, musimy jednak podnieść dziwną sprzeczność, jaka przy bliższem rozpatrzeniu tej konstrukcyi dziejowej każdemu nasunąć się musi.

Podczas, gdy W. z jednej strony stara się — jak widzieliśmy — przez analogie historyczne wykazać, że ta sztucznie stworzona legenda potrafiła w stosunkowo krótkim czasie w duszy narodu się utwierdzić, że zdołała zatrzeć wspomnienia dawnej niezawisłości pojedyńczych plemion, że — co najważniejsza — nawet po oderwaniu się 10 pokoleń północnych od dynastyi Dawida legenda raz w świadomości narodu utkwiwszy, nadal żyła, mimo zmiany stosunków politycznych, którym swe powstanie zawdzięczyć miała, to z drugiej strony w zupełnej sprzeczności z powyższymi wywodami chce zaraz w następnym rozdziale[1]) (tu jednak już przy pomocy bardzo problematycznych argumentów) dowieść, że najstarsi prorocy jak Amos, Hozea, Jezajasz I. najmniejszej nie czynią alluzyi do wyjścia z Egiptu, z czego znowu konsekwentnie wnioskuje, że legenda nie stała się dobytkiem wspólnym całego narodu, lecz żyła tylko życiem literackiem, podczas gdy gros narodu o niej nic nie wiedziało. Bo, gdyby żyła była nadal w świadomości narodu, byłoby przecież bardzo dziwnem, że prorocy nie powołują się wcale na to cudowne wybawienie Izraela z niewoli egipskiej, aby przez nie uzasadnić i ugruntować zależność Izraela od Boga i płynące z tego „prawa własności Jahwy", obowiązki narodu; jak łatwem i odpowiedniem byłoby prorokom ostrzegającym przed łączeniem się z Egiptem, przypomnieć swym słuchaczom dawną niewolę egipską?

[1]) Gesch. Israels str. 56.

Pomijając teraz tę logiczną sprzeczność, w jaką autor widocznie w zapędzie swej oryginalnej kombinacyi, w obu bezpośrednio po sobie następujących rozdziałach się zawikłał, a która każdemu musi wpaść w oczy — to przecież cała konstrukcya (Miçraim-Miçri) pada z tem ostatniem przypuszczeniem. Jeżeli nie przeszła w świadomość ludową, to jakiż miała właściwie cel?

Wszak Dawid — podług rozumienia naszego autora — nie zamierzył tą legendą zabezpieczyć jedności państwa swego wobec przyszłej kontroli historyków, lecz musiał mieć przed oczyma praktyczny, polityczny cel.

A jeżeli legenda nie rozszerzyła się w narodzie, to cała „sztuczka“ — by się wyrazić w sensie Wincklera — chybiła celu, a królowie państwa północnego mogliby przecież tem łatwiej całą legendę w zarodku stłumić i na jej miejscu celem wpojenia różnicy obu państw „wbić chłopskim łbom“ (Bauernschädel) inną, zmianie konstellacyi politycznej odpowiednią, autiunitaryczną legendę, tak samo jak w istocie, politycznemi kierując się pobudkami, działali przeciw idei Jahwy i stłumili ją, ponieważ ona miała podporządkować wszystkie plemiona pod plemię Judy.

A potem. Jeżeli nie w tym momencie za panowania Dawida, gdzie przecież odpowiadała potrzebie politycznej, stała się ta legenda własnością ogółu, kiedyż właściwie miała ona nagle na nowo odżyć — przypuściwszy, że mamy do czynienia z legendą, — aby raz na zawsze utkwić w świadomości narodu? Chyba dopiero po powrocie z niewoli babilońskiej?

Tej sprzeczności dziwnej wytłómaczyć sobie nie możemy.

Po tem radykalnem zapatrywaniu W. chcemy przytoczyć dwa inne, które zgadzają się z nim co do indentyczności Habiri = Ibrîm, dochodzą jednak do innych konkluzyi co do autentyczności wyjścia Izraelitów z Egiptu.

Jestto droga środkowa, kompromis niejako między źródłami biblijnemi a dokumentami z Tell-Amarna, jaki Glaser[1]) i Trampe[2]) proponują, nawiązując do premissy Wincklera: że Chabiri = bibl. Ibrîm = Hebrejczycy.

Glaser formalnie zgadza się z tą identyfikacyą, upatruje jednak w słowie „Ibrîm“ zupełnie inne znaczenie niż Winckler. Gdy podług W. imię Ibrî w swem znaczeniu appellatywnem wyraża „przeciwieństwo między szukającymi siedzib, koczownikami a osiadłą

[1]) Mitth. d. Vorderas. Gesellsch. 1897. III.
[2]) Syrien vor dem Eindringen der Israeliten 1898,

już ludzkością“ a zatem etymologicznie pochodzi od „àbâr (עבר)“ wędrować, koczować“, to podług Glasera Ibrîm znaczy „Transpotamoi“, ludzie z drugiej strony rzeki Eufratu, z punktu widzenia babilońskiego i obejmuje wszystkie te szczepy, które mieszkały na zachód od Eufratu. Tę nazwę „Tamtostronni“ nadaną im przez Babilończyków przyswoili sobie sami koczownicy i wszędzie, gdzie przybywali, tak ich nazywano. Wychodząc z tej etymologii sądzi Glaser, że Hebrejczycy w dokumentach z Tell-Amarna nie są identyczni z Hebrejczykami biblii, mieszkającymi wówczas jeszcze w Egipcie (w prowincyi Gosen). Wspólna nazwa wyraża tylko wspólne pochodzenie z Ebir-nâri (êber-hanâhâr), z „drugiej strony Eufratu“, lecz nie identyczność. Dokumenta z Tel-Amarna kreślą najazdy szczepów z Transpotamii na południową Palestynę, poparte prawdopodobnie przez Babilończyków, którzy bezsilnemu Egiptowi chcieli oderwać prowincye azyatyckie. Te walki — kombinuje dalej G., — które długo jeszcze musiały trwać, nie pozostały bez wpływu na transpotamów (Hebrejczyków), osiadłych w Egipcie, których Faraonowie może wskutek ich eufrateńskich współplemieńców srogo uciskali. Podburzani przez agitatorów-rodaków usiłowali i oni zrzucić z siebie uciążliwe jarzmo egipskie i obsadzić część prowincyi w Palestynie należących dotychczas do Egiptu.

Także 40-letni pobyt na pustyni stara się G. w szczególny sposób objaśnić. Sądzi mianowicie, że Hebrejczycy zamierzyli pierwotnie wrócić w okolice Eufratu, aby wspólnie z resztą Transpotamów podjąć akcyę zaborczą, że jednak po 40-letnich *(sic)* daremnych pertraktacyach, ostatecznie się zdecydowali na własną rękę, bez pomocy swoich współplemieńców wtargnąć do kraju Kanaan.

Ślad pierwszej inwazyi (w XV. wieku) Transpotamów w granice Palestyny chce nawet G. znaleść w biblii, w wymienionem na kilku miejscach (Num. 27/12, 33/47. Deut. 32 40, Jer. 22/20) „hâr ha'abârîm“ (הר העברים). Góra ta podana jest w piśmie św. jako jedna ze stacyi podczas pochodu Izraelitów do Palestyny, a w słowniku Geseniusa[1]) czytamy, że była to północno zachodnia część wyżyny moabickiej z górami Pisgah i Nebô (na wschodzie Palestyny). To pasmo gór zatem nazywało się tak jeszcze przed wyjściem Izraelitów z Egiptu i nazwa „'abarîm“ niema nic z Hebrejczykami w biblii do czynienia, z drugiej strony

[1]) XIII. wyd. (1899) st. 584.

'abârîm jest bezwątpienia (!) imię osobowe = Abiryci. Wiele za tem przemawia, sądzi G., że góra otrzymała nazwę od tych Habiri z epoki Tell-Amarneńskiej, którzy pierwotnie obsadzili okolicę na wschód od Jordanu i morza martwego, aby potem z południa wtargnąć do Palestyny.

To jest hypoteza Glasera; jak widać, wisi ona cała w powietrzu, przez żaden realny fakt nie podparta, bo i ostatnie, jedyne w całej konstrukcyi konkretne przypuszczenie jest bardzo nieprawdopodobne; w słowie „âbârîm" filologicznie niemożliwem jest prawie dopatrzeć się imienia plemiennego, wogóle osobowego.

„Der Dritte im Bunde" tej teoryi jest T r a m p e:

I on identyfikuje Chabiri z „Ibrîm" w biblii, to ostatnie imię jednak oznacza u niego „tamtostronnych" z punktu widzenia mieszkańców w Kana'an: szczepy mieszkające po tamtej, w s c h o d n i e j stronie Jordanu [1]).

„Są oni poprzednikami Amonitów, Moabitów, Edomitów i I z r a e l i t ó w. Osiedlają się w południowej Palestynie naprzeciwko swych pierwotnych siedzib. Abraham, Lot, Isak mieszkają tutaj. Udało się jednak Faraonom część immigrantów opanować, Jakób-Józef [2]) (plemiona) muszą wędrować do Egiptu, do niewoli. ...Potomkowie uprowadzonych wracają po pewnym czasie pod przewodnictwem Mojżesza; pomnożeni dopływem współplemieńców z dawnej ojczyzny, zjednoczeni w naród przez kult Jahwy na Synaju, przekraczają jako „naród izraelski" po raz drugi Jordan, aby zdobyć „kraj ojców"... I tak kreślą nam dokumenta nasze prahistoryą Izraela około 250 lat przed Mojżeszem, jeżeli jako datę wyjścia z Egiptu przyjmiemy w przybliżeniu koniec 13-go wieku.

Hypoteza Trampe'go odpowiada, jak widzimy, kilku modyfikacyom zaczerpniętym z umiarkowanej krytyki biblijnej, zresztą z teoryi Glasera.

Ciekawą jest teza Hommel'a (Altisr. Überlief. str. 231), który wywodzi imię „Chabiri" od châbêr "חבר„ towarzysz. Najazdy ich absolutnie nie są identyczne ze zdobyciem Palestyny przez Izraelitów. A jeśliby nawet prawdziwą była identyczność „Chabiri" z „Ibrîm", to jest tylko jedna możliwość związku dziejowego między tymi dwoma faktami, mianowicie, że już koło r. 1400 od-

[1]) Tak interpretuje imię to zresztą już S t a d e w swej „Geschichte Izraels" 1887 (wyd. Onckena).

[2]) Na liście miast zdobytych z czasu Thetmôsesa III. znajdują się nazwy: Jaqobel i Josephel, w których niektórzy uczeni dopatrują się imion szczepowych: Jakób i Józef (zob. Krall. Grundriss str. 109).

dział Izraelitów mieszkających w prowincyi Gosen w Egipcie usiłował wtargnąć do Palestyny, poczem dopiero pod Ramsesem III. nastąpiła ostateczna okupacya kraju. Twierdzenie to popiera Hommel faktem tym, że — jak Maks Müller w swem epokowem dziele „Asien und Europa“ (st. 236) dowiódł — pokolenie Asser około połowy 14-go wieku za panowania Sety I., ojca Ramsesa II. mieszkało już w zachodniej Galilei, a zatem wyprzedziło swoich braci.

Jak Glaser tak i Hommel szuka dla swej teoryi śladów w biblii, a znajduje je w tabeli genealogicznej (Num. 26/45, I. Chr. 7/31), gdzie Cheber i Malkiêl wymienieni są jako wnukowie Assera, innym razem znowu (Exod. 6/18) Hebron jako wnuk Lewi'ego. Są to — podług H. — mętne reminiscencye wypadków skreślonych w Tell-Amarna, gdzie Milkiel i synowie Labaji (Lewi?) są oskarżeni jako zdrajcy, którzy wydają kraj na łup Chabirom. Także miasto Hebron, które podług biblii nazywało się pierwotnie „קרית ארבע“ „kirjat arb'â, (Rubûti w dokumentach naszych) otrzymało nazwę swą od Chabirów.

Odrębne zupełnie stanowisko w tej kwestyi styczności dokumentów z T. A. z wypadkami biblijnymi zajmuje Stade[1]), autor dzieła „Geschichte Izraels“ w wydaniu Onckena, obok Wellhausena główny przedstawiciel krytycznej szkoły protestanckiej.

Co do „Chabiri“ przyłącza się on do zdania assyryologów Jensena i Halévi'ego, że to nie są ani Hebrejczycy biblijni ani ich poprzednicy w dalszem znaczeniu słowa „Ibrî“, lecz szczep niesemicki, który wkroczył ze wschodu, z Babilonii i odrzuca zatem wszelkie przypuszczenia, jakie wzwyż wspomnieni historycy do identyczności „Chabiri“ = Ibrîm“ nawiązali. Natomiast w ogólnym obrazie kulturnym i politycznym, jaki nam dokumenta z T. A. odsłaniają, upatruje Stade nieocenione źródło dla zrozumienia i sprawdzenia pierwotnych dziejów Izraelitów t. j. ich immigracyi do kraju Kanaan — naturalnie podług pojmowania historycznej krytyki biblijnej. Ta bowiem przyjmuje, że właściwe zajęcie Palestyny nic niema do czynienia z wyjściem Izraelitów z Egiptu; jądrem historycznem całego epizodu niewoli egipskiej i wyswobodzenia z niej, jak je nam biblia skreśla, jest pobyt koczowniczy jednego lub dwóch szczepów w Egipcie, które po niejakim czasie w swe pierwotne siedziby nad wschodnim Jordanem wróciły. Że się przytem nie obeszło bez zatargów z pogranicznymi urzędni-

[1]) W. Akadem. Reden“ 1899 (Entstehung des Volkes Israel).

kami egipskimi, rozumie się samo przez się. Egipcyanie też nie widzieli nic ważnego w tej emigracyi koczowników azyatyckich i w potyczkach ich z władzą egipską, które nieraz się musiały powtarzać; tem można sobie tłómaczyć, że pomniki egipskie o Izraelitach, o ich wyjściu z Egiptu nic nie wspominają.

Natomiast późniejsza legenda izraelska fakt ten niewielkiej zresztą wagi różnymi epizodami ozdobiła.

Zupełną prawdę historyczną natomiast zawierają księgi Jozuego i Sędziów, o ile do zdobycia Palestyny przez pojedyńcze szczepy ze wschodniej strony Jordanu wkraczające, się odnoszą, a archiwum amarneńskie daje nam dokładną illustracyą, sprawdzającą te opowiadania biblijne.

Dokumenta z T. A. — powiada Stade — wprowadzają nas w czas przed immigracyą Izraelitów w zachodni kraj nadjordański i pozwalają nam pojąć zdobycie Palestyny w świetle powszechnych faktów dziejowych, wyjaśniają nam, w jaki sposób się udało koczowniczym hordom prowadzonym przez Mojżesza kraj Kanaan opanować. Było to możliwem, ponieważ suwerenat egipski był w kraju zachwiany, który sam znowu rozpadał się na liczne państewka, ustawicznie nawzajem się intrygujące. Tak kreślą nam sytuacyę w Palestynie dokumenta nasze zupełnie zgodnie z księgą Sędziów, szczególnie z pieśnią Debory. Łatwo sobie też wytłómaczyć, dlaczego Faraonowie obojętnie zachowali wobec tego gwałtownego wkroczenia obcych plemion do ich kraju. Nie zależało im widocznie na tem, kto będzie zwycięzcą, czy te czy inne szczepy s e m i c k i e w kraju mieszkać będą, byleby im tylko płaciły regularnie daniny. Namiestnicy egipscy zaś — jakto z dokumentów widać — oglądali się głównie na to, żeby te rozbójnicze plemiona módz dla swych własnych celów politycznych wyzyskać.

Tak tedy przedstawia się kwestya pierwotnych dziejów hebrejskich w świetle najnowszych odkryć. Z różnych zapatrywań, które wysnuwano z zestawienia dokumentów z T. A. ze źródłami biblijnemi odnieść można to wrażenie, że bądź co bądź tamte żadnych p o z y t y w n y c h f a k t ó w nie mieszczą w sobie, przez któreby prawdziwość wydarzeń w biblii opowiedzianych się zachwiała, owszem: w ogólnych zarysach zgodność ich ze źródłami biblijnemi jest przez wszystkich historyków uznana.

Co się zaś tyczy szczegółowego punktu identyczności Chabiri-Ibrîm, to jest ona tylko przypuszczeniem, które, choćby się sprawdzić miało, nie dowodzi niczego ani z a, ani p r z e c i w pobytowi Hebrejczyków w Egipcie, bo śmiała teza Wincklera, jakoby cały

epizod niewoli egipskiej był legendą polityczną, sztucznie i tendencyjnie stworzoną niema nic do czynienia z naszymi dokumentami, jest zupełnie odrębnem przypuszczeniem, któreby w fantazyi Winckiera taksamo mogło się wyłonić, gdyby archiwum w Tell-Amarna nie odkryto, zostaje ono i nadal zamkiem zbudowanym na lodzie.

Zresztą i z innych hypotez, jakie przytoczyliśmy, widać, jak w tej ciemnej epoce dziejów biblijnych fantazya bujnie rozkwita; na przypadkowych dźwiękach słów podobnych chce się oprzeć całe konstrukcye historyczne, błahemi etymologiami chce się wyjaśnić dziejowe kwestye pierwszorzędnego znaczenia.

Trwałym dobytkiem nauki też zostaną nie te fantastyczne konstrukcye, lecz owe pewne, żadnej wątpliwości nie ulegające fakta, jakie nam archiwum amarneńskie odsłania, a które nam pozwalają wglądnąć w stosunki polityczne całej Azyi zachodniej z przed półczwarta tysięcy lat.

## IV. „Izrael" na inskrypcyi egipskiej[1]).

W związku z problematem historycznym, jaki badaczom nasunęły dokumenta amarneńskie, t. j. z kwestyą pierwotnego osiedlenia się Izraelitów w Palestynie, względnie chronologicznego ustalenia czasu wyjścia ich z Egiptu, stoi napis odkryty w r. 1896 przez słynnego oryentalistę angielskiego, Flinders Petrie, niedaleko Teb, na zachodnim brzegu Nilu w ruinach świątyni, zbudowanej przez Mernephtę, syna i następcę Ramsesa II. Ten ostatni panował 66 lat, a mianowicie — jak z wielkiem prawdopodobieństwem obliczono — od r. 1235—1301, a zatem przypada panowanie Mernephty, które blisko 30 lat trwało, na ostatnie trzy dziesiątki lat XIII. wieku przed Chr.

Znaleziona tablica jest z czarnego granitu, po obu stronach zapisana, z jednej zawiera napis Amenotêsa III. (około r. 1430), wyliczający i wychwalający budowle przezeń wystawione, z drugiej znajduje się hymn tryumfalny Mernephty z okazyi zwycięstwa odniesionego nad Libyjczykami w piątym roku jego panowania. Hymn ten, opiewając potęgę Mernephty, wylicza pojedyńcze zwycięstwa, a końcowe jego wiersze brzmią:

---

[1]) Zob. Steindorf: Israel auf einer ägyptischen Inschrift (Zschr. für Ägyptologie 1896) i Zschr. für alttest. Wiss. 1896.

. . . . „Władcy korzą się przed tobą, mówiąc: pokój tobie. Nikt z ludów obcych nie podnosi głowy swojej. Pokonani są Tahennû, uśmierzeni są Chatti, Kanaan jest ze wszystkiem złem(?) w niewoli, uprowadzony jest Askalon, Gezer zajęty, Jenûam w niwecz obrócony, Izrael (Y-si-r'-l) jest spustoszony, niema nasienia, Chor (Syrya) stał się jak wdowy Egiptu (?). Każdy, kto był rozbójnikiem, został podbity przez króla Mernephtę, który udziela życia jak słońce wiecznie".

Główne znaczenie dla nas w tej inskrypcyi ma naturalnie wzmianka o Izraelitach w zdaniu: „Izrael jest spustoszony, niema nasienia". Że tu chodzi o plemię, a nie o kraj lub miasto, jak przy innych nazwach w hymnie wymienionych, o tem świadczy osobowe determinativum przed słowem „Izrael", gdy natomiast przed innemi imionami jest determinativum, oznaczające kraj. Ponieważ wszystkie inne nazwy odnoszą się do Palestyny i Syryi, więc i Izrael także w Palestynie przebywa, niewiadomo jednak w której stronie, gdyż z tekstu inskrypcyi nie można dokładnie oznaczyć geograficznego położenia.

Jakżeż teraz pogodzić ten fakt w napisie jasno podany, że „Izrael" za Mernephty przebywa w Palestynie i zostaje przez niego podbity, z innemi danemi o najdawniejszych dziejach Izraelitów?

Jak dokumenta z Tell-Amarna stały się punktem oparcia dla różnych, zasadniczo się nawet różniących konstrukcyi historycznych, tak i na naszej inskrypcyi opiera się kilka ciekawych hypotez co do pobytu Izraelitów w Egipcie, z których trzy głównie zasługują na uwagę:

Ci badacze, którzy podzielają stanowisko Wincklera w interpretacyi listów amarneńskich (Chabiri = Ibrîm), upatrują w tej inskrypcyi świetne potwierdzenie tej wyżej wyłuszczonej konstrukcyi, a to na podstawie następującego rozumowania: Jedynem źródłem do pobytu Izraelitów w Egipcie jest biblia, bo monumenta egipskie ani przedtem ani w tym czasie ani też długo potem jeszcze o Izraelitach wcale nie wspominają. Pierwsza inskrypcya bowiem odnosząca się do Izraelitów, pochodzi z czasów Szeszonka I., pierwszego króla XXII. dynastyi, współczesnego Rehabeama, syna Salomona [1]). Także w księgach historycznych biblii

[1]) Zob. Krall: Grundriss 119; Wiedemann: Gesch. von Alt-Ägypten, str. 152.

niema żadnej wzmianki o stosunkach lub walkach Izraela z Egiptem przez całą epokę sędziów i królów aż do Rehabeama.

Zmuszeni tedy ograniczyć się do biblii, przyjmowali powszechnie historycy na podstawie Exod. I. 12: „I budowali (Izraelici) miasta składowe dla Faraona, Pithom i Raamses“, że ucisk Izraelitów, wyrażony w tem zdaniu, miał miejsce za Ramsesa II., którego 66 letnie panowanie, wypełnione też jest piramidalnemi budowlami, jakie wystawiać kazał, a wyjście ich przypadłoby na panowanie jego następcy Mernephty, a zatem koło r. 1300 przed Chrystusem.

Tymczasem nasz napis donosi nam, że Izrael za Mernephty już przebywa w Palestynie, gdzie tenże król go podbija. Cóż z tego wynika? Dla szkoły W i n c k l e r a ta konkluzya, że Izrael w Egipcie nigdy nie był, do Palestyny wkraczał stopniowo i w przeciągu wieków sposobem koczowniczym z pustyni syryjsko-arabskiej, począwszy od r. 1400 („Chabiri“ w listach z Tell-Amarna), tak że w sto lat później część Hebrejczyków: Izrael, mieszkała już w Palestynie. A zatem należałoby w tej inskrypcyi upatrywać cenne uzupełnienie obrazu, jaki o pierwotnem osiedleniu się Hebrejczyków w kraju Kanaan odtwarza nam archiwum amarneńskie.

Drugie ciekawe przypuszczenie wypowiada F l i n d e r s P e t r i e, wyżej wspomniany badacz angielski.

Skutkiem naszej inskrypcyi — powiada on — krytyka historyczna niema wcale jeszcze prawa do zaprzeczenia autentyczności tradycyi biblijnej. Czy nie jest to możliwem, że część Izraelitów na granicy Egiptu mieszkająca, jeszcze przed ogólną emigracyą kraj ten opuściła i w Palestynie się osiedliła? W istocie M. Müller dowiódł, że szczep Asser tam już za Ramsesa II. mieszkał.

Idzie tylko o to, czy i w biblii jest choćby reminiscencya takiej częściowej emigracyi. W istocie znajduje się bardzo ciekawa wzmianka w I. Chron. VII. 21, że jeden ze szczepów, E f r a i m, odłączył się od reszty Izraelitów w Egipcie, i na własną rękę usiłował wtargnąć do kraju Kanaan. Księga Kroniki jest wprawdzie jedną z najmłodszych w biblii, mimo to jednak niema powodu podawać tej wiadomości w wątpliwość, tem mniej dopatrywać się w niej jakiejś tendencyi autora.

A zatem d w a r a z y podjęli Izraelici inwazyę do Kanaan, ponieważ jednak Mernephta pierwszych intruzów zupełnie wytępił, więc nie dziw, że przy drugiem zajęciu kraju, nowi przybysze swych braci już nie zastali. — Przeciw tej hypotezie przemawia jednak już ten moment, że biblia donosi o n i e u d a ł e j

wycieczce Efraimitów („I zabili ich mieszkańcy miasta Gath"); w istocie jest to też nieprawdopodobnem, by jedno plemię mogło było dotrzeć z Egiptu aż do północnej części Kanaan i tutaj stale się osiedlić.

Zachodzi też możliwość, prosta na pozór, że Izraelici jeszcze za Ramzesa opuścili Egipt, tak że Mernephta mógł ich już w Palestynie pobić, ale tu znowu sęk. Dlaczego biblia donosi o zwycięstwach zarówno jak i o klęskach, wogóle o walkach i drobnych nawet potyczkach Izraelitów z ludami dokoła Kanaan i wewnątrz kraju mieszkającymi, i to bardzo nieraz szczegółowo i rozwlekle, a o prześladowaniach ze strony Egipcyan, głównych swych wrogów w nowo zdobytej ziemi, zupełnie milczy. Jeśli biblia nie zataiła niewoli egipskiej, to tem mniej byłaby to uczyniła z napadem Mernephty, gdyby to był fakt historyczny, zaszły po wyjściu Izraelitów z Egiptu.

Oryginalna, jakkolwiek niemniej problematyczna jest hypoteza teologa wiedeńskiego, Sellina[1]). Wzmianka o Izraelu w naszej inskrypcyi — sądzi on — wcale się nie tyczy Palestyny, lecz Egiptu. Król chlubi się, że ten lud nieprzyjacielski we własnym kraju uczynił nieszkodliwym przez wytracenie dzieci, a zatem mielibyśmy w tym napisie wprost potwierdzenie faktu opowiedzianego w biblii (Exod. I. 22), że Faraon kazał dzieci Izraelitów wrzucić do Nilu. Z powodu braku faktycznych zwycięstw — podług nowszych badań Mernephta żadnej wyprawy wojennej nie podjął, a w naszej inskrypcyi uzurpuje sobie wawrzyny swoich poprzedników, rzecz w Egipcie nie rzadka — wymyślił sobie „poeta laureatus" Mernephty, srogie rozporządzenie króla dla uśmierzenia niesfornych poddanych, w tym razie Izraelitów, i uczynił zeń czyn bohaterski, zwycięstwo nad zagranicznym ludem.

A zatem: Ucisk Izraelitów rozpoczął się za Ramzesa II., który im kazał budować piramidy. Ucisk ten wzmagał się coraz bardziej za Mernephty, a dopiero po jego śmierci, korzystając z anarchii[2]) jaka wówczas nastąpiła, opuścili Izraelici Egipt i zajęli Palestynę. Exodus za Mernephty nastąpić nie mógł, gdyż umarł on śmiercią naturalną[2]), podczas gdy podług biblii utonął w morzu Czerwonem.

---

[1]) E. Sellin: Ein für die Geschichte nicht unwichtiger Fund. (Neue Kirchl. Zeitschrift 1899).

[2]) Krall: Grundriss 84—85.

Natomiast przemawia za tem, że on był Faraonem ucisku ten fakt, że obawa przed obcymi najazdami (Exod. I. 10) za jego panowania jest zupełnie uzasadniona i zrozumiała, bo wtedy właśnie i podług źródeł egipskich obce szczepy wrogo usiłowały wtargnąć do Egiptu [1]).

Tak widzimy, jak ten nowo odkryty pomnik ze swą ciekawą wzmianką o Izraelitach — tak jak archiwum w Tell-Amarna — pozwolił historykom popuścić cugle swej fantazyi w różnych kierunkach. W istocie hypotezy te wiszą w powietrzu, brak im realnego punktu oparcia. Może z czasem ów anonimowy Faraon [2]) biblijny z pod grobu piramidowego zmartwychwstanie, swe imię na ścianie grobowej wyryte światu ogłosi i tę ciemną zagadkę wyświetli. Aż do tego czasu muszą i sceptycy czekać cierpliwie.

Dr. M. Schorr.

---

[1]) Ibid. str. 84.

[2]) „Faraon“ to nie imię własne lecz tytuł, który wszyscy królowie egipscy noszą, a który oznacza „wielki dom“ (per-âa). (Zob. Wiedemann, str. 135).

# KRONIKA LITERACKA.

*Kościół Katedralny w Krakowie*, opisał Tadeusz Wojciechowski. — Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem Józefa Filipowskiego. MDCCC. Stron ogółem 258, 4° folio; tekstu właściwego str. 246; resztę zajmują: indeks główniejszych przedmiotów, spis figur, spis rozdziałów. — Figur jest 66, rozdziałów 30. Dedykacya opiewa: „Uniwersytetowi krakowskiemu w 500 rocznicę Jagiełłowego wznowienia pierwotnej fundacyi Kaźmierzowskiej, poświęca tę pracę autor, b. uczeń“.

Pisząc o dziele takiem, jak „Kościół katedralny w Krakowie“, zastrzedz się wypada z góry, jeżeli się nie jest — Tadeuszem Wojciechowskim, że z dzieła tego zdaje się po prostu tylko sprawę. W obec ogromu erudycyi, znawstwa i pracy oraz wobec prawdziwie genialnej a zawsze na naukowych przesłankach opartej intuicyi, włożonych w dzieło to, krytyka musi zamilknąć, jeżeli nie może dorównać autorowi wspomnianymi warunkami, niełatwo zaś ktokolwiek ze współczesnych naszych pisarzy historycznych pokusiłby się o współzawodnictwo w tym kierunku ze znakomitym autorem „Chrobacyi“. Tem mniej zatem także kreślący te słowa może mieć inny cel na oku, jak chyba podać na tem miejscu sumę zasadniczych myśli i wywodów pomnikowego dzieła, oraz sumę wrażeń z uważnego odczytania książki prof. Wojciechowskiego.

„Zapatrzony od dzieciństwa w katedrę na Wawelu“ prof. Tadeusz Wojciechowski, podjął się niniejszej pracy dla tego głównie, że tyczący się dziejów kościoła „materyał archiwalny, wcale obfity a miejscami trudny do zrozumienia, wymagał koniecznie fachowego zbadania historycznego“. W archeologii — tłómaczy autor — jest materyał archiwalny z natury rzeczy, wobec pomników, źródłem drugorzędnem; ale im głębiej wstecz, gdy pomników braknie, albo są tylko szczątki „przychodzi wreszcie do tego, że wszystko zależy od trafnego zrozumienia tekstów archiwalnych“, a taka potrzeba zachodzi właśnie na Wawelu we wszyst-

kiem, co się odnosi do najdawniejszej przeszłości katedry, aż do w. XIV. Zamiarem niniejszej pracy, mówi autor na innem miejscu, jest wyłącznie archeologia. Nie idzie więc autorowi zgoła ani o dzieje instytucyi kościelnej, ani o rozpamiętywanie wypadków dziejowych, z instytucyą tą związanych, lecz natomiast o samą budowę i o jej pomniki, „nawet o drobiazgi, kąty i sprzęty“, które archeologia chętnie bada, jeżeli tym sposobem przyczyni się do ożywienia źródłowego obrazu przeszłości.

Tak więc przedmiotem dzieła, przedmiotem w całości swej jeszcze nie tkniętym, jest kościół katedralny na Wawelu „w ciągu dziewięciu wieków trzy razy z gruntu na nowo stawiany a w poszczególnych częściach wielokrotnie przebudowany“. Z tego stanowiska nawet słupy i łuki kościoła, są w traktowaniu autora przedmiotami historyi oświaty i sztuki.

Prof. Wojciechowski stwierdza, że przy katedrze jest tradycya historyczna, według której kościół na Wawelu był najprzód nawpół drewniany, fundacyi Chrobrego; potem za czasów Hermana i Krzywoustego zbudowano na tem samem miejscu kościół kamienny, który przetrwał do czasów Łokietka a gdy w r. 1312 pogorzał, biskup Nankier zbudował na tem samem miejscu trzeci z rzędu kościół z kamienia i cegły. Jak autor wykazuje, tradycya ta jest we wszystkich szczegółach prawdziwa i oznacza dokładnie trzy główne okresy budowy t. j. najstarszej (Chrobrego), potem romańskiej, wreszcie gotyckiej (Nankierowskiej). Na tem jednak nie skończyły się czynności budownicze na Wawelu, bo gdy w XV. w. jeszcze przystawiano nowe kaplice gotyckie, to w XVI. w. król Zygmunt I. i biskup Tomicki przełamali gotyk i wprowadzili do kaplic renesans włoski, a inni w XVII. w. barok. „Były te przebudowy zawsze na miejscu czegoś dawniejszego, może piękniejszego, co oczywiście zburzono; trzeba jednak przyznać, że w XVII. w. były jeszcze bądź co bądź stylowe. Ale w XVIII. w. rozpoczął się okres destrukcyjny. Roztworzył go biskup Łubieński tem, że zburzył gotyckie sklepienie naw bocznych w około chóru, pierwotnie niższe a wyciągnął nowe, bez stylu, i podniósł je do równej wysokości z chórem. Skutkiem tej przebudowy otrzymała wschodnia połowa kościoła tę szpetną postać, jaką ma obecnie“. Po smutnej pamięci „restauratorskiej“ akcyi Łubieńskiego, jeszcze nie ustano w destrukcyjnej robocie i zmieniano jeszcze nie jedno; „kasowano kaplice, burzono rzeczy kamienne a stawiano ściany szybowe, przenoszono grobowce z miejsca na miejsce jakżeby meble ruchome; inne wyrzucono a sprawiono kilkadziesiąt figur drewnianych złoconych“ i t. d. Po okupacyi austryackiej (1796), komendant zamku królewskiego, zajętego na koszary, jak autor cytuje z raportu, zachowanego w archiwum ministerstwa wojny w Wiedniu, proponował: przemienić katedrę na ko-

ściół garnizonowy i zamknąć dla publiczności, „bo tym sposobem Polacy łatwiej zapomną o nagrobkach swoich królów“.

Taki był — powiada prof. Wojciechowski — przebieg czynności budowniczej na Wawelu. W przeciągu dziewięciu wieków nie było półwiecza, żeby tu nie budowano; wyniknął z tego „pomnik różnorodny, złożony z wielorakich murów, na których znać objawy wszystkich stylów i technik, które przez ten czas ważyły. Tak samo jest wszędzie, we wszystkich, po części najstarszych budowlach świata, którekolwiek budowały i dopełniały się w ciągu wieków. I można powiedzieć, że te dzieła architektury mają w swej konstrukcyi coś podobnego do najstarszych poezyj bohaterskich, które także rosły i składały się przez wieki. Żeby je zrozumieć, należy je badać prawie tak samo, jak filologowie rozbierają owe epopeje, wydzielając z nich części, a najprzód te, które przyrosły najpóźniej, poczem dopiero odsłoni się pierwotne jądro“. — Taki porządek pracy obrał też prof. Wojciechowski w swem dziele o katedrze na Wawelu: aby dojść, co było najdawniej i jaki był plan katedry romańskiej, a tem bardziej pierwotnej katedry Chrobrego, cofając się kolejno, rozpoczyna od zbadania obecnego stanu budowy i następnie rozeznaje, co zbudowano w wiekach, które nastąpiły po gotyku, oraz w czasach gotyku.

Przejęty gorącą miłością do historyi swego narodu i do tego paladyum tej historyi, jaką jest katedra wawelska, autor bada troskliwie każdy jej kamień, każdy gzems i łuk, a na podstawie skrzętnych studyów, popartych niezrównanem znawstwem przedmiotu, źródeł i dokumentów historycznych, umie wskazać, gdzie, co i dla czego, potrzebnie lub niepotrzebnie przeniesiono czy zmieniono, jak było dawniej, kiedy dokonano zmiany i kto ją dokonał; po prostu odbudowuje napowrót katedrę na Wawelu taką, jaką ta świątynia naszych narodowych pamiątek, ta „arka przymierza między nowemi a dawnemi laty“ była w każdym okresie swej różnorodnej i zmiennej struktury architektonicznej.

O zapale, z jakim autor oddał się był swej pracy, o głębokiem jego przejęciu się swem zadaniem, świadczy wymownie choćby ten jeden ustęp, niezrównany w swej prostocie, w którym autor opowiada, jak to odkrył pozostałość romańską na zewnętrznych ozdobach jedynego okna krypty wawelskiej. „Z planu budowy gotyckiej — pisze prof. Wojciechowski (str. 175) — złożyło się, że część portalu zachodniego (katedry) wypadła nad samym wierzchołkiem łuku apsydy (krypty), a wschody kościelne tuż przed oknem krypty. Zakryły ją też całkowicie. Żeby jednak dla kaplicy zachować cokolwiek światła, wykrojono między górnemi stopniami kilka otworów, wąskie szczeliny. Zaszklone obecnie, były dawniej otwarte, i nieraz tam zaglądałem, bo spodziewałem się, że poza

wschodami dopatrzę się zewnętrznego lica apsydy a przynajmniej zewnętrznej ościeży okna, jedynego, które mogło ocaleć z katedry romańskiej. Długo zaglądałem na próżno, aż pewnego dnia, siedząc pod wieczór na schodach, doczekałem się przypadkiem chwili, kiedy słońce rzuciło poziome promienie w otwory pod wschodami i oświetliło przestrzeń po za niemi, a w głębi — okno. Okazało się, że spód jest zamurowany: ale górą odsłoniło się więcej niż się spodziewałem: oprawa ciosowa, wykrojona w kształcie trójliścia koniczu, oczywiście remanent romański, najstarszy u nas tego rodzaju pomnik"...

W odkrywaniu tego rodzaju remanentów i zdefiniowaniu ich widział autor główniejsze zadanie swej książki a upatrywał także „nie mały urok i ciekawość szukania na Wawelu", — pod tym też względem dzieło jego zawiera rzeczy całkiem nowe, a po mistrzowsku opracowane, wysoce pouczające i zajmujące.

Prof. Wojciechowski, przystępując do opisu obecnego stanu katedry, zaznacza, że góra Wawelska, wzniesiona około 20 m. ponad poziom miasta, ma na planie kształt prostokąta wygiętego od zachodu ku południowemu wschodowi. Na samym środku wyżyny stał niegdyś kościółek św. Michała, najstarsza fundacya kościelna na Wawelu, zburzony na początku z. wieku. Kościół katedralny stoi na wschodniej połowie góry, bliżej jej północnego stoku. Zrazu stał na miejscu do koła wolnem, był to cmentarz kościelny; później jednak, w miarę wzrostu zamku i pałaców królewskich, zajmowano grunt cmentarny od strony północnej na fortyfikacye t. j. na wieże i mury, a od wschodniej na budowle pałacowe, które też w końcu zetknęły się z kościołem. Od strony zachodniej grunt przy kościele od razu się obniża, tak, iż aby tędy dojść do kościoła, musiały być zawsze jakieś wschody; obecne mają 17 stopni w dwóch odstępach (po 10 i 7). Tylko od południa, tam gdzie wieża kościelna, mianowicie owa *„in cimeterio sita"*, — została przy kościele część cmentarza jeszcze dotąd wolna: w XVIII. w. otoczono ją murem ciosowym, który obiega też kościół od strony zachodniej. W tym murze są trzy otwory wejściowe, — a w rogu od strony północno-zachodniej jeszcze jedna furta. Powierzchnia cmentarza wyłożona jest taflami kamiennemi.

Co się tyczy architektonicznego układu kościoła, to katedra Wawelska jest bazyliką prostokątną o trzech nawach, z nawą poprzeczną (t. zw. transept) i obejściem chóru (t. zw. ambit). Jądrem struktury są dziewięć par filarów, które zakreślają nawę środkową od wejścia do końca chóru. Ustawione są w taki sposób, że czwarta i piąta para, stojąc w większym od siebie odstępie (8 m. zamiast 5·75 m.), tworzą razem pole skrzyżowania nawy poprzecznej. Filary są połączone w pozdłuż —

i w poprzecznem zamknięciu chóru, gdzie w pośrodku stoi jeszcze jeden filar — arkadami, po nad któremi wznoszą się mury magistralne; po za arkadami zaś otaczają nawę środkową z trzech stron od południa, wschodu i północy nawy boczne. Były one pierwotnie wszystkie więcej niż o połowę niższe od środkowej, ale takie dochowały się tylko w przedniej części kościoła, bo w XVIII. w. (Łubieński) podniesiono je w około chóru do wysokości nawy środkowej.

Prof. Wojciechowski wskazuje dalej, że w planie kościoła można odróżnić trzy części główne: przednią, nawę poprzeczną i chór z obejściem. Część przednia czyli korpus kościoła, utworzona przez cztery pierwsze pary filarów, ma w trzech nawach po trzy pola. Część środkowa, poprzeczna czyli transept, założona między czwartą a piątą parą filarów, nie występuje poza podłuże murów zewnętrznych. W środkowym kwadracie transeptu stoi kaplica św. Stanisława. Wreszcie chór, otoczony od południa, wschodu i północy przedłużeniem naw bocznych korpusu czyli ambitem, rozciąga się przez cztery pola. To są główne części budowy kościelnej. Ale po za niemi, t. j. po za nawami bocznemi otaczają jeszcze kościół z czterech stron: 18 kaplic, zakrystya i trzy wieże. Kaplica naczelna, Maryacka, stoi przy ambicie wschodnim (po za wielkim ołtarzem), na podłużnej osi kościoła; przy korpusie stoją między kaplicami dwie wieże, w których nadole są także kaplice, trzecia zaś wieża „dzwonnica“ stoi po za kościołem.

Pod chórem nie ma krypty, co jest zrozumiałem wobec tego, że w kościołach gotyckich nie budowano krypt; natomiast ma katedra wawelska kryptę pod korpusem, z apsydą półokrągłą, zwróconą ku zachodowi, której szczyt (jak już poprzednio nawiasem wspomniano), wypada mniej więcej pod progiem bramy zachodniej kościoła; jestto jednakże remanent katedry romańskiej, który niema żadnego organicznego związku z gotyckim korpusem kościoła. W XIV. w. budowano po nad kryptą jak gdyby jej nie było: w dalszym ciągu swej pracy wykazuje autor, że krypta św. Leonarda, była właściwie korpusem pierwotnego kościoła romańskiego.

Warto tu jeszcze zanotować cyfry, które autor dla lepszego określenia wymiarów katedry podaje w porównaniu z wymiarami najwięcej do niej zbliżonej katedry wrocławskiej, również prostokątnej bazyliki o 3 nawach z ambitem; cyfry, tyczące się tej ostatniej podajemy w nawiasach: Szerokość chóru 8·65 m. (8·90); szerokość chóru z bocznemi nawami 21·20 m. (22); długość chóru 22·80 m. (26·80); długość całego kościoła 56·90 m. (72·40); wysokość nawy 19·60 m. (20·20); wysokość boków 7·40 m. (7·10).

Ogólny rozkład budowy — stwierdza prof. Wojciechowski — jest jasny i prosty, jeżeli jednak rozpatrzymy się bliżej w szczegółach, znaj-

dziemy sporo nierówności, skrzywień i zboczeń. Pominąwszy zaś już drobniejsze błędy, na pierwszy rzut oka nieuchwytne a które przypisać można niedoskonałości średniowiecznych przyrządów technicznych oraz temu, że sztuka ówczesna była praktyką bez teoryi, są na Wawelu w kościele także takie nierówności, czy jak autor mówi anormalia, rażące szczególnie na planie, które popełniono jakby świadomie i rozmyślnie. Są one następujące: Nadmierna długość chóru, który zajmuje cztery pola między filarami, gdy korpus ma ich tylko trzy, a z reguły bywa odwrotnie; oś podłużna kościoła załamana w transepcie: załamanie muru szczytowego w południowem ramieniu transeptu; wieże stoją nie przy nawach bocznych lecz obok nich na linii środkowego korpusu i nie mają żadnego organicznego związku z tą częścią kościoła, a wieża północna wtłoczyła się nawet jednym bokiem do wnętrza nawy bocznej i zalega prawie do połowy jej szerokości; poziom chóru i ambitu jest niższy o dwa stopnie od poziomu korpusu, mimo, że teren Wawelu opada ku zachodowi; sytuacya katedry tuż nad północnym brzegiem góry, co nieraz groziło niebezpieczeństwem oberwania się ziemi i było powodem, że wieżę północną wtłoczono do wnętrza kościoła.

Chór i ambit — mówi autor — to budowa regularna i prawidłowa; korpus, anormalnie krótki, ma już nierówną szerokość bocznych naw i anorganiczną sytuacyę wież. Ale największe nagromadzenie anormaliów przypadło na transept: bo tu jest skrzywienie osi, tutaj też załamanie muru szczytowego, i wreszcie obniżenie poziomu. Cóż znaczą te zagadki budownicze? Oto: gdy w XIV. w. budowano katedrę gotycką, stawiano chór i ambit z nowego, korpus zaś i transept na fundamentach romańskich, zachowując przy tem całe części dawniejszej budowli, które tylko wcielono do nowej struktury gotyckiej. Należało jednak przystosować się do tych remanentów i otóż z tej konieczności przystosowania się wyniknęły wszystkie anormalia. To wszystko, do czego trzeba było przystosować się, to są remanenta czyli pozostałości czy to katedry romańskiej, czy nawet owej najdawniejszej, na wpół drewnianej Chrobrego — i ztąd to pochodzi, że prof. Wojciechowski z taką skwapliwością odszukiwał każdego najdrobniejszego śladu dawnych struktur kościoła katedralnego na Wawelu, słusznie uznając doniosłość „remanentów“ zarówno dla dziejów architektury kościoła, jak też i dla dziejów sztuki i budownictwa w Polsce.

(Dokończenie nastąpi).

*ab.*

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

# KORESPONDENCYA
# JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(Ciąg dalszy).

### Do Pana Teofila Lenartowicza, w Rzymie.

*Fontainebleau, 13. grudnia 1857.*

Miły mój Teofilu, zgorszył nas tu i oburzył niewypowiedzianie artykuł Pana X.... o Tobie w przedostatnim numerze W... P... Zgorszył i oburzył nie sąd ostry o twoich poezyach, boć sąd niezbronny nikomu. ale nieprzyzwoity, uszczypliwy i drwiący ton w całej recenzyi. Niespodzianka ta przy Nowym Roku zgryzie Ciebie niepomału. Spółczuję ją i tem dotkliwiej że broń, jaką obrał P. X.... mało była używana dotąd między literatami w Polsce, i nie łacno jąć się za nią komuś innemu. Śpiewak skromnej, poczciwej, chrześciańskiej sławy, powinienbyś, Teofilu, strawić w cichości to niezasłużone upokorzenie, na odpłatę za pochwały i oklaski jakiemi Cię ciągle obsypują dziennikarze krajowi.

Dużo musiałbym pisać abym wyczerpać mógł rzecz zagajoną przez P. X.... i w dawniejszych już artykułach, i w świeżym z powodu twoich Gladyatorów; jak na przekorę braknie mi dziś do tego pogody i swobody. Pan X.... nie lubi poezyi sielskiej, ludowej, ani poezyi religijnej, odźwierciadlającej łagodne chrześciańskie uczucia! Lubuje się natomiast w poezyi namiętnej, wieszczej, prorockiej, czyli jednem słowem w poezyi, jak ją sam zowie, tytanicznej. Wzory dla poetów polskich są Wallenrod, Nieboska i t. p. Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, Goszczyński, a nawet Brodziński i Malczewski są to tytany... (Mój Boże, cisi, pokorni śpiewacy Wiesława i Maryi, których znałem i kochałem, przechrzczeni oto na tytanów?..) Oczywiście ideał Pana X.... tkwi w poezyi hebrajskiej, na wyżynach tam świętych proroków

pańskich. Nasz ideał poetycki tkwi znowu gdzieindziej, w zakonie nowym, ideał ten przewysoki, niedościgły nigdy, nakazuje anielską czystość i pokorę, do których nam niestety tak daleko! I dla tegoć upadamy tem haniebniej, żeśmy maluczcy i nie warci w obec swojego wzorca. Z tem wszystkiem, azaliż pieśni tak łagodne jak i grzmiące, tak tytaniczne jak i sielskie, nie żyły obok siebie, nie spoiły się i nie splatały w jeden niejako wieniec przez pokolenia, pomimo względnych swych wad i ułomności. Pan X.... wie doskonale że tak się działo. Panu X.... na razie nie chodzi nawet o ideały, ale o cel patryotyczny: chodzi mu o zahartowanie młodzieży polskiej na boje do czynów. „A więc precz z idyllicznością, niech żyją Wallenrod i Nieboska“. — Owóż, Teofilu, skąd r a n k o r ó w, na lirenkę i na słodkie, pobożne twoje pieśni. Okrzyk wojenny P. X.... nie jest wszakże nowy, huczał on rozgłośnie przed laty. W czasie zapasów romantyków z klassykami, podobny szturm pod gradobiciem artykułów gazeciarskich wytrzymał już ś. p. Brodziński za swoją i d y l l i c z n o ś ć, której uporczywie bronił całe życie. Powstanie listopadowe uciszyło zgiełkliwą pustą waśń, i co pożyteczniejsza, zadało kłamstwo napastnikom prostodusznego i prawowiernego patryoty. Daj Boże nową sposobność do walki z wrogami! a toż samo słowo w słowo święcić się znowu będzie w całej Polsce. Poeci idylliczni nie dadzą się prześcignąć tytanicznym w gotowości do boju; — mniejsza zresztą że jedni śpiewać będą „Wstańcie czyny“, a drudzy „Bogarodzico Dziewico!“ I zwolennicy też tak jednych jak i drugich, równie ochoczo i po męsku jak ongi, porwą za broń. Miasto więc jątrzyć się w sercach, pocieszajmy się raczej, Teofilu, tą wielką narodową nadzieją! Potem, potem dopiero, po spełnieniu się nadziei naszych nastąpi wielki rozejm, rozejm w rzeczach literackich i nie literackich.

Pan X.... uczepił się do Ciebie, Teofilu, z gniewem osobliwie za epigraf twój przy Gladyatorach. Nie skąpi też inwektywy i drażliwych osobistości. Nie mam czasu i cierpliwości przepisać tych okresów i wyrażeń. I cóż w tym epigrafie tak bardzo zdrożnego? Wierzysz, miłujesz, spodziewasz się, to radbyś aby Cię słuchano, na miarę tych twoich gorących uczuć. I niewiastom i maluczkim niezabronione są takie pobożne pragnienia. Skądże wie to Pan X.... że ten lub owy ma przywilej na ogłaszania prawd? a insi to samozwańcy? P. X.... wie takoż co poeta i nawet poeta młody jest w stanie wyśpiewać, a czego nie jest w stanie? Inaczej całkiem głosił o tem inny nasz estetyk starego autoramentu: „Umarłego poetę trudno sprawiedliwie ocenić, albo

wtenczas, kiedy moc jego za życia zemdleje w zlodowaciałej starości. — A cóż dopiero żywego sztukmistrza, w sile wieku i pełności lat męskich? Czyż niema on prawa zawołać na swego krytyka: Nie zakreślaj mi sfery, nie opisuj mnie, jakobym się w pewnej zachował mierze, nie mów, że jestem taki a nie inny, bo się omylisz!“ ... Tak są marne, tak znikome pojęcia krytyki, stawiającej karciane pałacyki teoryi, i chcącej samowładnie podług wyobrażeń tej teoryi panować w udzielnej krainie sztukmistrzów... Rządzić natchnieniem... Pisał tak przyjaciel mój i przyboczny towarzysz pod Okuniewem i Miłośną, Maurycy Mochnacki.

Od epigrafu przeskoczył P. X.... aż do przypisków na końcu książki. Tu istotnie znalazł obszerne pole do słusznych poniekąd zarzutów. Skąd u licha wyrwał Ci się ten Ludwik Capet? Myślę, że cudze pióro nakreśliło i ten jakobiński epitet i kilka innych usterków. P. X.... zadługo jednak zatrzymuje się przy takich drobnostkach. A też *Chronos* i *Kosmos*, *Urbes promptuarias*, *Arej Miskenolt*, azaliż niezakrawają na pedantyzm? albo na reklamę przed publicznością że się umie wiele różnych rzeczy, a takoż po gréćku, po łacinie i po hebrejsku?

I w rzeczy samej P. X.... jest uczony, przeuczony, *doctissimus*. Posiada niezaprzeczony talent, i niepospolite pod wielu względami zdolności i brak mu tylko miłości, pokory, i co z niemi idzie, miłosierdzia i wyrozumiałości w sądzie o bliźnich. Panu X.... atoli, dopokąd nie wygra walnej bitwy, albo nie napisze tytanicznego poematu, bardzoby do twarzy była skromność. Pamiętam, jak zżymał się przedemną na dumę Mickiewicza że go lekceważył. Mickiewicz toż przecie t y t a n! A P. X.... młody, nowotny pisarz na emigracyi, miota się namiętnie na uznane zdolności starszych i zasłużeńszych braci. Byłem długo dla Pana X.... z przychylnością, po dziś dzień nie tracę o nim nadziei, że się rychlej czy później uciszy i udobrucha. Jest doba w życiu, kiedy i pycha zrzuca swe rogi. Na dobie tej Pan X.... pożałuje gorzko dawnych cierpkich artykułów i owszem sam się zawstydzi swojej gwałtowności nie chrześciańskiej i nie polskiej.

A teraz wracam do Ciebie, Teofilu. Nie zrażaj się krytyką, ale pisz dopóki starczy natchnienia. Wyśpiewaj coś lepszego, coś ognistszego niż Gladyatorowie i tym sposobem tylko mścij się na złośnikach krytykach przed publicznością polską, która, wierzaj mi, odda im wet za wet.

Łączę pozdrowienie braterskie

*Bohdan Zaleski.*

## Do Pana Ignacego Domeyki, w Santiago (Chili).

*Fontainebleau, 14. stycznia 1858 r.*

Pozdrawiam cię, mój drogi, jak najczulej, z życzeniami przy Nowym Roku, które się nie różnią zgoła od codziennych pacierzowych. Bóg wie najlepiej co ci najpotrzebniejsze, Bóg wie także, że cię całą gromadką tutejszą kochamy. Starzejem się, mój Ignacy, i ty i my, na dalekiej poniewierce. Smutniejem, bo samotniejem z dnia na dzień na tej ziemi. Pokolenie nasze schodzi już z pola. I dla młodszych pokoleń opłakana idzie dola. W Polsce jak źle, tak źle. Łacniej tylko o paszporta i szlachta peregrynuje gromadami po świecie. Żal się Boże grosza polskiego co marnują na fraszki zagraniczne. U mnie po staremu. Ssę łapy w mojej norze jak borsuk. Dzieci rosną, uczą się. Dom zamienia się po mału w istną bakałarnię. I co z tej nauki będzie dla Polski? Czuwam, aby synowie nie całkiem się wynarodowili. Toć trud trudów mój. Zdaję się zresztą zupełnie na wolę Bożą. Niech Bóg sam radzi o swej czeladzi. Módlmy się, mój Ignacy, i kochajmy się póki tchu. Ściskam cię przez rozstrzenie ze łzą w oku, jak ongi przy kominku u ś. p. naszego Adama, stary mój przyjacielu.

Twoją żonę i córę pozdrów, ucałuj od mojej Zosi i od dziatwy

Twój

*Bohdan.*

## Do Pana Wincentego Mazurkiewicza, w Paryżu.

*Fontainebleau, 30. lipca 1858.*

Szanowny Panie Wincenty! Wyprawiam zaraz koleją żelazną pakiet Dziennika Literackiego w komplecie na ulicę Vavin, pakiet, który właśnie w tych dniach osobiście miałem zawieść do Paryża. Przepraszam za opóźnienie się.

Co do wiersza Syrokomli mam skrupuły. Poeta mieszka w kraju. Azaliż mu rozgłos nie zaszkodzi? Muszę się odwołać do korrespondenta mego w Dreźnie, który mi wierszyk przysłał. Skąd go ma i czy niema nic przeciw drukowaniu? Za tydzień powinna przyjść odpowiedź.

Skoro będzie pomyślna, wierszyk wam wnet odeszlę.

A czy będziemy i nadal mieli Gazetę Warszawską? Proszę mnie wcześnie wpisać na listę tam spółabonentów. Pieniądze zwrócę z podziękowaniem.

Chciej przyjąć przyjacielskie pozdrowienie odemnie i od całego mego domu

*Zaleski.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej, w Fontainebleau.

*Paryż, 26. sierpnia 1858.*

Zosieczko moja i wszyscy tam w domu mili i drodzy, za którymi tu tęsknię. Odebrałem dopiero co listy od Maryanka i Józi. Cóż za smętna przygoda z tym waszym ślicznym kanarkiem! Cały poranek dzisiejszy przegawędziliśmy z Sewerynem [1]) u Kraszewskiego o rzeczach publicznych, nie wesołych, to rozpogodziły mię te listy dziecinne. Kraszewski oczywiście nie może przyjąć zaprosin na obiad wielki emigrancki: skończy się zapewnie na mniejszym obiadku z kilkunastu osób i na wręczeniu mu pierścienia. Radzimy o tem z Sienkiewiczem i zaraz rozbiegniemy się po Paryżu za podpisami rodaków. Chodzi o to, aby się rzecz zrobiła ile można jak najciszej. Czas przytem nagli. Kraszewski musi opuścić Paryż we wtorek, zawsze jednak chce wpaść do Fontainebleau. Podniosła to dusza i szlachetna! Dziś wieczór przyjdzie do nas na gawędę a jutro jemy razem obiad u Seweryna. Przykro mi, że nie będę z wami w dzień urodzin Józi, ale pójdę jutro rano do Notre Dame des Victoires, aby się pomodlić za nią. Błogosławię ją stąd z głębi serca ojcowskiego.

Z powodu obiadu, wątpię ażebym jutro mógł wrócić do domu. Zato w sobotę radbym wyrwać się stąd jak najraniej. Zapewnie w poniedziałek zjedzie do nas Kraszewski, to po obiedzie odprowadzilibyśmy go z Józefem do Paryża. Józef jest zapisany na liście kilkunastu rodaków obiadujących z Kraszewskim, ale ani wiem kiedy ten obiad będzie mógł mieć miejsce, chyba we wtorek, to jest w sam dzień odjazdu. Może Kraszewski zdecyduje się przyjechać do Fontainebleau w niedzielę: rozmówię się z nim ostatecznie w tej rzeczy dzisiaj. Seweryn zapewnie towarzyszyć będzie Kraszewskiemu do Bruxelli do Lelewela, i stamtąd do Ostendy.

---

[1]) Gałęzowski.

Nie mam czasu bazgrać dłużej. A więc Zosieczku moja, i ty stary Józefie, i wy baszybożuki Maryanku, Józiu, Dyziu, Karolku, Kaziu, bądźcie mi zdrowi. Jezus, Marya, Józef z wami.

Całuję was po tysiąc razy

*J. Bohdan.*

**Adres podany J. I. Kraszewskiemu przy ofiarowaniu mu pierścienia z napisem: Fides invicta fidis manibus.**

„Gościu nasz, od rodzinnych stron dawno pożegnanych, przeżyłeś między nami kilka dni po bratersku. Imię twoje rozgłośne w kraju. Dużoś pisał i dużoś drukował. Książki twoje nie wszystkie znamy, albo znamy je nie wszyscy: ale niezmordowaną czynność twoją i wzorową czujność obywatelską, od dawna podziwiamy i zgodnie wielbimy. „Ojczyzna stanem naszym“, powtarzamy tu sobie wciąż za ś. p. Brodzińskim. Ojczyzna stanem naszym: to z tego chlubnego tytułu, nad wszelkie literackie zaszczyty, cenimy wyżej poczciwą służbę publiczną. A wszakże broń duchowa Narodu, pieśń „Bogarodzico“ i pieśń „Jeszcze Polska nie zginęła“ ograne, ogrzane tchem wielkich wieszczów, przechowują się u nas na Emigracyi. Duch ducha czuje. Czujemy, że w ten rytm i w tę melodię naszą, wytężasz słuch i wtorujesz w sercu swojem. Miejże naszą cześć i miłość! Na oznakę tych uczuć, przyjmij drobny upominek, niech ci przypomina braci dalekich!

Paryż, d. 2. września 1858 roku.

Podpisali: S. Gałęzowski, L. Wołowski, Teofil Januszewicz, Karol Sienkiewicz, Józef Ordęga, S. Poniński, J. Bohdan Zaleski (redaktor).

**Do Józefa Ignacego Kraszewskiego, w Paryżu.**

*Fontainebleau, 12. września 1858.*

Bóg zapłać ci, wieszczy bracie, za hymny VI. i VII. zarazem szczęść ci Boże w tej tam nowej siejbie duchowej! Rzeczywiście, kochany panie Józefie, po VI. dopiero hymnie, jakieś to poprzednio zapowiedział, wniknąłem w jądro rzeczy. Ogarniam teraz całość i szczegóły boleśnej pieśni, wyjąkanej z głębi polskiego serca.

Brat spółboleśnik, z całem uczuciem scałowuję łzy z oczu twoich mrocznych. Łzy takie, to krew duszy! Matka je nasza przyjmie za objatę i za całopalenie. Sądzę, że kraj i Emigracya odgadną rychło co się święci pod Hymnami Boleści. Winszuję Pieśni! Po tej pieśni wspominać Ciebie będziem na tułactwie, wspominać będziem i cieszyć się, żeś kość z kości naszych.

Łączę uściśnienie moje serdeczne i pozdrowienie od całej mojej gminy.

*J. B. Zaleski.*

## Do Pani Antoniny Linowskiej, z domu Zaleskiej, w Rzyszczowie.

*Fontainebleau, 24. września 1858 r.*

Siostro Antonino, najmilsza ty moja jedynaczko, jedynaczko mówię, boć z trzynaściorga rodzeństwa dwoje nas oto zostało na szerokim, Bożym świecie! Dwoje — i to jeszcze odgrodzonych na zawsze wielu górami, wielu wodami nieprzeskoczonemi. Zestarzeliśmy się i osiwieliśmy w nierozwiewnej tęsknocie jedno za drugiem. Takać była względem nas wola Boża! Toż w skrusze serca i w chrześciańskiej cierpliwości wołajmy wciąż, Antosiu, święć się! święć się!

Nieżal się na mnie, droga siostro, że rzadko pisuję. Bóg widzi, że kocham ciebie i modlę się za tobą, z jednakową gorącością przez 40 blisko lat. Ależ właśnie te 40 lat opustoszyły nam strasznie żywot, a nawet i pamięć. Moje stosunki, moje zatrudnienia, mój świat, mój stan, całkiem różne są i niepodobne do niczego, co tam w około was. Ażeby zestroić się, a tem samem i zrozumieć się po dawnemu, potrzebaby opowiedzieć najpierwiej dzieje długie, smutne!... Azaliż to podobna dziś — i przy najlepszej woli? O mojem takoż powodzeniu, o mojej żonie i dzieciach lepiej cię, siostro, objaśnią ustne opowiadania n. p. Genusi [1]), Frani [2]), Eliasza [3]) którzy przeżyli jakiś czas z nami, niż najdłuższe moje listy.

W ogólności więc powiem, Bóg nam błogosławi, darzy zdrowiem i chlebem na czużyni. Pracujemy ochoczo i całem już gron-

[1]) Proskurzyna.
[2]) Langowa.
[3]) Socharzewski.

kiem. Mam najpoczciwszą żonę i hożą dziatwę, toż wiernych przyjaciół — to i czegoż potrzeba więcej?

Opłakałem gorzko śmierć Eliasza [1]); a teraz myślę często o tobie, siostro, i o krewnych co tam daleko. Radbym was widzieć choć raz jeden przed śmiercią, ale po dziś dzień trudno to, nielada sprawa! Są święte obowiązki i którym ślubowałem wierność dozgonną. Och! Antosiu moja, gdybyśmy oboje byli młodzi i bogatsi, znalazłby się rychło sposób zjechania się kędyś z sobą na jaki miesiąc. Ale nie łudźmy się darmo! Co nam po tem? I bez tego Pan Bóg nas zbliża ku sobie — dzień po dniu. Złączym się niebawem w lepszym, w szczęśliwszym świecie, złączym się raz, aby się już nigdy nie rozłączyć. U stóp Chrystusa i u stóp Maryi odnajdzie się całe rodzeństwo — i matka nasza i Eliasz i Jarosław. Spracowani my już w ciele i zbolali w duszy, to tęskno nam do tego spoczynku w Panu. Miejmy dobrą otuchę! Pan mocen przeinaczyć i dolę naszą ziemską. Kto co wie? Kto wie, czy za kilka miesięcy nie będziem dłoń w dłoni obok siebie?...

Od czasu do czasu będziesz, najdroższa siostro, miała odemnie pewniejsze wieści — toż i częstsze niż dotąd listy. Bóg nie nadarmo uprzątnął zawody stare! chce nam pozwolić na starość serdecznej pociechy niezaznanej przez wiek cały.

Pan Bóg z tobą, siostro-jedynaczko! Błogosławiąc jak najrzewniej rzucam się miłośnie w objęcie twoje, ja mizine dziecko matki, miziny twój brat

*Józef Bohdan.*

Jako najstarsza dziś w rodzeństwie, między młodych nieznajomych krewnych rozdziel błogosławieństwa moje i uściski wujowskie — rozdziel po Bożemu wedle starszeństwa i wszelkiej słuszności. Dla mnie jedynym p r o b i e r z e m pamięci o mnie krewnych moich, będzie cześć i miłość jakie okazują tam dla ciebie, niepocieszona ty matko, siostro i biedna wdowo! Osobno Antosiu pocałuj od dziadka Józię Pruszyńską, za przypisek w liście do Eliasza Socharzewskiego; zdaje się bystre i serdeczne dziecko! gdzie tam? hej, panna na wydaniu. A ja nie znam nawet jej matki. urodzonej podobno po moim wyjeździe już z Ukrainy. Bóg z wami tam, kochani moi

*B. Z.*

---

[1]) Brata.

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza, w Rzymie.

*Fontainebleau, 16. listopada 1858 r.*

I ja, drogi Ojcze Hieronimie, łączę do Józefowych wyrazy mego najgłębszego poważania i wyrazy serdeczne przyjaźni starej, wiernej. Bóg widzi, że cię kocham po dawnemu, z dodatkiem, że kocham dziś lepiej, bo w Chrystusie Panu naszym. Donieśże nam co rychlej o kochanych tam naszych w Rzymie, chorych to zbolałych na duszy i na ciele. Niepokoimy się tu o nich bardzo i całą gromadą . . . . .

Podczas bytności mojej w Paryżu, nie miałem czasu rozmówić się z ks. Aleksandrem. Podobno że zamiar jego zakupienia gruntu na kościół obok szkoły Polskiej, spełznie na niczem. A żal się Boże! Cieszyliśmy się tu wszyscy, że przy kościele skupią się główniejsze instytucye polskie, bo i Siostry Miłosierdzia i Dom weteranów i t. p. Gałęzowski bardzo krzątał się za tem. Opatrzność wyraźnie podaje wam piękną i przeważną misyę na emigracyi. Oczywiście po kilku leciech, ster nad szkołą i nad instytucyami spadłby na was, bo juści ludzie mrą a Zakon ma nieśmiertelną trwałość. Nalegaj, Ojcze, na ks. Aleksandra, aby tę rzecz wziął na rozum i do serca! Niech dobija targu z właścicielami francuskimi, póki jeszcze czas.

Kochanych pozdrów odemnie z czułością wedle starszeństwa. Gałęzowski zakupił ziemi przy szkole za 100 tysięcy, i był gotów pomagać siostrom.

Całuję ręce twoje i proszę o modlitwy całego waszego Zgromadzenia

*Bohdan.*

## Do Doktora Kazimierza Szwykowskiego, w Briey (Moselle).

*Fontainebleau, d. 20. stycznia 1859 r.*

Kaziu kochany, nie myliło cię natchnienie twego serca. Istotnie po bratersku spółczujemy boleść twoją po stracie siostry; toż scałowujem łzy te świętej miłości. Zjednoczym się z tobą i w modlitwie za duszę nieboszczki. Wypłakać się musisz po kochanej i zacnej, ale po tem prędko otrzyj łzy i dalej, dalej! Ilu

nas jest w skórze emigranckiej, przeboleliśmy każdy po kolei straty najdroższych osób, pożegnanych dawno na ziemi tam Ojców. Cóż ci poradzić przeciw prawu śmierci? Po męsku oto, Kaziu, spełniaj powszednie obowiązki ziemskie, bo w nich tkwi zagadka tego żywota i przyszłego. W pracy ochłoda i osłoda nędzy śmiertelników.

Często myślimy i mówimy o tobie. Boli nas twoje osamotnienie i sieroctwo . . . . . .

. . . . Chcieliśmy ci sprawić miłą niespodziankę. Przed trzema miesiącami gościł tu kolega ongi twój i przyjaciel szkolny, a dziś znamienity pisarz i najzacniejszy obywatel w kraju naszym. Józef Kraszewski. Pragnął on bardzo przypomnieć się tobie i miał zajechać do twej ustroni na parę dni. Niestety, niespodzianie zaszła przeszkoda. Musiał spiesznie powracać do domu. Co się jednak przewlekło, nie uciekło. I w tym roku obiecuje Kraszewski przywieść syna do Paryża. A więc tą razą na pewno rachuj że odwiedzi swego pustelnika, o którym z czułością opowiadał nam różne anegdoty z lat inszych, minionych.

Tulę cię do serca i t. d.

Twój

*Bohdan Zaleski.*

## Do Pana Franciszka Duchińskiego, w Paryżu.

*Fontainebleau, 19. lutego 1859.*

Szanowny Ziomku!

W tych dniach dopiero znalazłem czas na przeczytanie książki twojej, przysłanej mi łaskawie w końcu jeszcze stycznia. Choć opóźnieniem podziękowania ci za nią po światowemu popełniłem niegrzeczność, sądzę jednak, że między literatami wolniejszy to wzgląd nie dziękować aż po przeczytaniu.

Książka twoja, Szanowny Ziomku, wielce jest uczona, ucząca i patryotyczna. Ogólny pogląd na dzieje i polskie i pobratymskie i moskiewskie, zdaje mi się prawdziwy. Co od dawna świtało potroszę w niejednej głowie, rozjaśniłeś znacznie świeżemi badaniami, że niedaleko już do oczywistości. Nie wątpię, że jak w tej części twojej Historyi, tak i w następnych równie szczęśliwie przeprowadzisz swoją myśl rdzenną; a przeprowadzisz ją na pożytek

publiczny i ku chlubie Polski. Nie schodzę do rozbioru tego lub owego mniemania i zdania, bo ani miejsce, ani czas po temu. Natomiast wolę przytoczyć luźny szczegół, który może ci się zdać na co w późniejszych twoich pracach.

Przed 25-ma laty gościł w Paryżu rozgłośny na Moskwie poeta Hohol. Zostawał on tu ze ś. p. Mickiewiczem, i ze mną spółukraińcem w ścisłej zażyłości. W zażyłości tej nie wytrwał nam niestety, ale wtedy schodziliśmy się często wieczorami na literacko-polityczne pogadanki. Oczywiście mówiliśmy najwięcej o Moskalach, wstrętnych nam i jemu. Kwestya fińskości ich była wciąż na stole. Hohol popierał ją z całą swoją małoruską zapalczywością. Miał on u siebie pod ręką znaczne zbiory pieśni gminnych, w różnych narzeczach słowiańskich. Owoż z powodu fińskości Moskalów, ułożył był i czytał nam wyborne pisemko. Udowodnił w niem, przez porównanie i zestawienie obok siebie pieśni czeskich, serbskich, ukraińskich i t. p. z moskiewskiemi, bijące w oczy różnice ducha, obyczajów i moralności Moskalów, a innej braci słowiańskiej. O każdem uczuciu ludzkiem była osobna piosnka: tu nasza słowiańska, słodka, łagodna, i obok tuż moskiewska, ponura, dzika, nie rzadko kanibalska, jednem słowem czysto fińska. Że pisemko to serdecznie zadowolniło Mickiewicza i mnie, możesz sobie, Szanowny Ziomku, łacno wyobrazić. Po wielu leciech w Rzymie, myśliłem zażądać u Hohola tej paraleli, ale Hohol już się był p e r e k i n ą ł na obrońcę Cara i Prawosławia, a więc dałem pokój. Co się jednak stało z tem pisemkiem? Azali w pośmiertnym zbiorze dzieł Hohola nie znajdzie się coś podobnego? Posłużyłoby to wyśmienicie na poparcie twoich wniosków. W każdym razie, znajdzie się, czy nie znajdzie w dziełach Hohola, paralelę podobną nie trudno i dziś ułożyć, ale szkoda nieodżałowana mnogich a charakterystycznych anegdot o Moskalach, które tylko sam Hohol mógł wiedzieć i sam opowiedzieć z osobnym i osobliwszym swoim dowcipem.

Na zakończenie, dodam jeszcze słówko do ciebie wprost. Praca twoja, Szanowny Ziomku, wysoce pożyteczna, zasługuje na spółczucie i zachętę u spółczesnych. Zawód bo literacki jaki sobie obrałeś, godny jest ze wszech miar Polaka-Emigranta patrzącego wciąż w Chorągiew Narodową. Przeciągasz oto bój z Moskwą i do upadłego. Szczęść ci w nim, Boże! Wymawiam to życzenie w uczuciu spółkatolika i spółrodaka, czyli krócej w uczuciu wiarusa.

Łączę pozdrowienie koleżeńskie

*J. B. Zaleski.*

27. lutego 1859 [1]). . . . . Wyczytałem w dzienniku *Le Constitutionnel* wieść o śmierci Zygmunta Krasińskiego. Artykuł nędzny, podnoszący głównie arystokratyczne pochodzenie zmarłego. Rozczuliłem się jednak w duszy i pomodliłem się za nieboszczyka. Krótkie stosunki moje z nim w Rzymie, raził mnie swoją pańskością, ale genialny człowiek, dobry Polak i podobno nawrócony do prawowierności. Żal się, Boże, w niczem nam Polakom się nie szczęści. Wszelka znamienitość krócej niż gdzieindziej świeci u nas.

## Do P. Leonarda Chodźki, w Paryżu.

*Fontainebleau, d. 16. marca 1859 r.*

Szanowny ziomku, ochotnie biorę udział w literackim upominku na rzecz Pana Tomaszewicza. Patryota i pisarz ociemniały, ma wszelkie prawo do braterskiej naszej usługi i do spółczucia publiczności polskiej. Posyłam drobnostkę, starzyznę lichą, ale z koleżeńską uprzejmością. Sądzę, że cenzura nie upatrzy nic zdrożnego w moich wierszach. Odeślijże je, Panie Leonardzie, co rychlej wydawcom „Pisma zbiorowego“. Osobno proś tych Panów odemnie, aby dopilnować raczyli jak najstaranniej korekty. W poezyi, jak w muzyce, jeden fałszywy ton może sprawić haniebne fiasco. Kartki tu załączone są ręki mego 11-letniego syna; nie bardzo kaligraficzne, ale czytelne i należycie poprawne co do rytmu i punktacyi.

Dziękując za sposobność, jaką mi podałeś, Szanowny Panie Leonardzie, usłużenia tyle godnemu rodakowi, łączę zapewnienie o mym dla ciebie szacunku i braterskie pozdrowienie

*J. B. Zaleski.*

## Do Panny Michaliny Dziekońskiej, w Krasniku.

*Fontainebleau, kwiecień 1859.*

Nawzajem, dobra i kochana przyjaciółko, posyłamy ci najserdeczniejsze życzenia nasze. Życzenia te, od wielu lat powtarzane codzień w modlitwie, azaliż Bóg kiedyś choć cząstkowie uiści?

[1]) Z dzienniczka B. Z. z 1859 r.

Wierzmy mocno, a stanie się nam wedle wiary. Jakże nas utrapia obecny stan i położenie Misi! To ciągłe wikłanie się rzeczy i niepewność na jutro, to sieroce tułactwo na własnej ziemi, ma coś w sobie nieodgadnionego jak pogańskie fatum. Mówiąc jednak po chrześciańsku, widocznie Pan jakieś osobne powołanie Misi gotuje. Po długiem szamotaniu się i chłodnej mgle, nastąpi niebawem cisza i ciepło, jasna pogoda. Młodość bo ma taki zapas wielki sił do dźwigania się w różnych kolejach życia.

Nie dobrze zrozumiałem w liście Misi o jaki to chodzi Pamiętnik? Azaliż o mój własny?... to jest, o spisanie tego, co się nieraz potocznie opowiadało przy kominku? Zaprawdę, arcytrudne i arcyżmudne to zadanie! Gawędy takie kominkowe, a Pamiętnik Historyczny to są całkiem różne i niepodobne do siebie rzeczy, tak co do ducha, jak i co do literackiej donosności. Do Pamiętnika zabrałbym się ochotnie, ale mi brak czegoś, brak po prostu inspiracyi, którą darzy jeno samotne ustronie. Oprócz tego, nielada mi wstrętno występować z mojem ja. Pamiętnik osobisty, to niejako publiczna spowiedź. Do takiej spowiedzi pobudzają ludzi albo wielka pycha, albo wielka pokora. Pychy i pyszałków nienawidzę a pokora świętych, n. p. św. Augustyna, to za wysoka cnota dla grzesznika, nie mówiąc już nic o geniuszu autora Konfessii. Otóż w czem tkwi sęk. Wszakże i luźne opowiadania o sprawach i ludziach spółczesnych, mogłyby mieć swą wartość względną, związane w jakąś całość, albo przyczepione do czegoś, n. p. do poetyckiej powieści. Ale piszącemu o świeżych wypadkach i o ludziach kochanych, azaż podobno zachować zimną krew i surową bezstronność? Nie zestarzałem się jeszcze do tego stopnia z całem pokoleniem mojem, aby zadość uczynić tym niezbędnym warunkom dla sumiennego pamiętnikarza. Nie wszystkie się dotąd stare rany zabliźniły nam. Czuję się z tem wszystkiem niejako zobowiązany względem przyjaciół, do kilku biografii, toż do kilku objaśnień i uzupełnień w nowej kronice literackiej. Do tej pracy nagromadziłem już dużo notat a więc rzecz jakoby na pół zrobiona.

Zdaje się, że listki nasze pogonią za Misią do Wilna. Mam jeszcze na myśli kilka tam serdecznych poleceń. Nasamprzód proszę złożyć odemnie jak najgłębsze uszanowanie dostojnemu i kochanemu Arcypasterzowi. Miłował mnie od dawna po bratersku, to niech dziś po ojcowsku pamięta o nas w świętych modlitwach i błogosławi całemu domowi. Proszę mnie takoż przypomnieć sercu zacnego proboszcza Ostrobramskiego. Nie wątpię, że spólnie z nim

pomodlicie się za mnie i za moich przed cudownym obrazem Matki Boskiej.

A. E. Odyniec mnie kochał ongi, przed 30 laty! Często z Adamem mówiliśmy o stosunkach dawnych z nim. Proszę i jego pozdrowić odemnie i przez niego M. K.

Polecam się waszym sercom i modlitwom, to jest miłej Mici i miłej Emy.

Ściskam rękę po przyjacielsku

*Bohdan.*

A. E. Odyniec mógłby mi przysłać swoją Barbarę. Dla Maryanka proszę o dykcyonarz polski, świeżo wydany w Wilnie. Mniej kosztowny niż Lindego, a podobno że wcale dobry.

## Do Pana Antoniego Edwarda Odyńca, w Wilnie.

*Fontainebleau, 19. kwietnia 1859 r.*

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Kochany mój i drogi Edwardzie, zaprawdę dużo wody, och! dużo upłynęło od czasów onych warszawskich. Pożegnaliśmy się młodzi, rozśpiewani, a odnajdujemy się oto dzięki Pannie Michalinie[1]), osiwiali, poważni ojcowie rodzin. I po leciech nawołujem się znów piśmiennie, jak ongi za przesławnej naszej wiosny. Hej! ptaku mój duszny, odlecieli nas już co najlotniejsi, co najmilsi towarzysze. Stefan i Adam dawno kędyś na cieplicach Bożych! Kwiliż serce moje do nich wzdłuż tu babilońskich rzek. Nie taję się, mój drogi, że chciałem zacząć ten listek od wygoworu, od surowej homilii, ale moc wspomnień, ale dopiero co wywołane imiona spólnych kochanych, zaćmiły wzrok łzami; to po dawnemu, po bratersku rzucam się w twoje objęcia. Nie! brat nasz wieszczy, prawowierny autor Felicyty i Barbary nie zaprze się ani przeszłości, ani nadziei druhów swoich. „Sąd nasz prócz Boga nie dany nikomu i t. d.“ W ciasnym uniformie co nosim od tylu lat, zesztywniały, mój drogi, nam ręce, nie mamy jakoś wolnych ruchów do rozpisywania się. Zresztą niema i potrzeby do tego. Widzę że Panna Michalina zainformowała cię należycie o mnie i o moich. Objaśni ona zarówno dokładnie o wszystkiem, o czem

[1]) Dziekońska.

tylko wiedzieć zapragniecie. Arcybystre to i niepospolite stworzeńko! a przyjaciółka nasza i siostra od serca. Pokochajcież i oceńcież tę swoją Litwinkę!

W tych dniach przysłano mi Dodatek do Czasu, w którym są noty Wojcickiego o Adamie, po większej części z twoich listów. Czytałem je z lubością i rozrzewnieniem. Tyle w nich uczucia, prawdy i prostoty, że przypomniały mi się nasze tu przechadzki z Adamem po lesie, kiedy sam opowiadał pobyt wasz u Göthego i we Włoszech. Widzę, że w niczem nie zawodzi Cię Twoja pamięć.

Czyż to prawda, że Towiański wiedział od ciebie o przeszłości Adama? Byłaby to fatalna mistyfikacya. Wiem jak najautentyczniej w imię czego przemawiał Towiański i czem ułowił on Adama. Uczestniczyłem sam w pierwszych ich rozmowach i przebolałem potem straszliwie szały Adamowe. Mój drogi, napisz mi poufnie co wiesz o T., oczywiście musisz go znać z dawien dawna i Ferdynanda i Dajblównę.

Przedewszystkiem, kochany Edwardzie, napisz mi ze szczegółami o sobie, o córce twojej i o zajęciach tam waszych. Radbym coś wiedzieć i o ruchu tam literackim u was. Dzienniki krajowe rzadko czytuję, a i gości od was nie często miewam. Zeszłego jednak lata poznałem kilku znamienitych Litwinów, znamienitych sercem i duszą, z których ucieszyłem się i zbudowałem. Jakiż to świątobliwy, światły i nieoszacowany wasz nowy pasterz! Pisała mi Panna Michalina o twojej córce że śliczna, miła, idealna. Żal się Boże, że synowie moi za młodzi dla niej, bo zarazbym posłał w swaty dla Ciebie. Błogosławię jedynaczkę twoją z miłością. Niech rozkwita Bogu na chwałę! a tobie na chlubę i pociechę! Bóg z wami, drogi mój!

Ściskam cię z czułością i gorąco

*Bohdan.*

19. kwietnia 1859 r., w 12 rocznicę śmierci Stefana za powrotem ze Mszy św. za duszę jego i po komunii z Józefem i żoną.

21. maja [1]). . . . Przed 7-ą z Józefem i z Maryankiem do Paryża. Koło 10-ej śniadaliśmy u Gałęzowskiego i razem z nim, Hłuśniewiczem i Ksawerym pojechaliśmy na kolej żelazną du Nord.

[1]) Z dzienniczka.

Mnóstwo rodaków znajomych i nieznajomych zastaliśmy w garze. Rozmowa całogodzinna z nimi: Tomaszewscy, Gorecki z Helenką i Józiem Mickiewiczami, Hryniewiecki, Ordęgowie, Łoziński i t. d. Z Enghien na piechotę do Montmorency. Msza śpiewana przez ks. Jełowickiego za dusze sławnych nieboszczyków już się była zaczęła. Księżna Kundzia [1]) umieściła obok siebie mnie i Maryanka. Kościół był natłoczony. Burmistrz, dawny adjutant Jenerała Rappa, wystąpił z całą paradą, z muzyką i ze strażą ogniową i t. p. Modliłem się gorąco i rozrzewniony w moim kąciku. Kazanie miał oratorianin młody, ks. Lescoeur, · były rzeczy dobre i uczące o schyźmie moskiewskiej, ale w ogólności przydługie i nie całkiem zastosowane do dnia. Po nabożeństwie w tłumie rodaków ruszyłem na cmentarz; po drodze rozmawiałem najdłużej z Sienkiewiczem, z Królikowskim i Laskowiczem. Na grobach Niemcewicza, Kniaziewicza i Mickiewicza, odmówiliśmy De Profundis i Zdrowaś Maryo. Wróciliśmy potem do miasteczka, spotykając po drodze mnóstwo naszych; zostawiwszy Józefa z Gałęzowskim i Hłuśniewiczem, ruszyliśmy zaraz do Enghien. Pociąg tylko co odjechał do Paryża, a więc z Maryankiem chodziliśmy nad stawy. Za powrotem znaleźliśmy Alberta Grzymałę, małych Zygmuntowiczów Krasińskich. Odjechaliśmy w jednym wagonie z Kalinką i z młodym malarzem Sztatlerem . . . . . .

## Do Pana Józefa I. Kraszewskiego, w Warszawie.

*Fontainebleau, 29. maja 1859 r.*

Stefan [2]) zabiegł do nas na pożegnanie. Odjeżdża pospiesznie na Wołyń. Piszę krótko, bo idzie mi tylko dzisiaj o przesłanie zapewnienia, że całym domem jednakowo cię zawsze kochamy, wczorajszy gościu nasz i przyjacielu z nad Teterowa. Czytuję kiedy niekiedy gazety krajowe, to wiem poniekąd co porabiasz i czem się troskasz w tym czasie. Poniosłeś niedawno najdotkliwszą stratę, zapewnie ciągle jeszcze bolisz po matce. Na ten zastrzał w sercu niema lekarstwa u ludzi. Bóg cię miłuje i uzdrowi, zresztą jak śpiewa Jan Kochanowski: „Człowiek zasiadł w prawie takiem, aby służył jako cel przygodom wszelakim!“ Otrzyjże łzy i dalej, dalej! Wiesz jednak, bracie i drużbo, że żywo spółczuję synowskie

[1]) Księżna Kunegunda Giedroyć.
[2]) Kraszewski.

twoje strapienie i pamiętam o niem przed Bogiem. Na inne powszednie dolegliwości masz umysł męski hartowny. Zatargi ze szlachtą wołyńską niechaj ci nie ciężą na sumieniu. Zacność bowiem i prawda i sprawiedliwość najoczywiściej na twojej są stronie.

Co się święci nowego u nas i w całej rodzinie, opowie szczegółowo Stefan [1]). Zagaja się oto Boży sąd nad jednym ze złoczyńców co ukrzywdził srodze Matkę naszą. Miejmy dobrą otuchę! Z tem wszystkiem czuwajmy na modlitwie, aby Pan, który może przyjść, zastał nas miłujących i w pogotowiu do ofiar i całopalenia. Józefie miły, drogi, Bóg ci daj zdrowie, spokój, myśl swobodną w oboim zawodzie piśmiennym i obywatelskim, abyś jak dotąd, tak i nadal był nam zawżdy pociechą, chlubą i zbudowaniem.

Przy błogosławieństwie z czużyny dla całego twego domu przyjmij dla siebie osobne pocałowanie moje i uściśnienie serdeczne, braterskie. Od starego mego Józefa, od żony, od dziatwy drobnej łączę przyjacielskie pozdrowienie

*Józef Bohdan Zaleski.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Kraszewski.

# NAJNOWSZE PRĄDY
# W POEZYI NASZEJ

PRZEZ

**PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.**

(Ciąg dalszy).

## IV.

### Wyznawcy „sztuki czystej“:

*1) Symboliści i wirtuozi słowa.*

Przechodzimy do trzeciej grupy poetów, głoszącej z naciskiem, że dla niej istnieje tylko sfera „sztuki czystej“, tworzącej piękno dla samego piękna, nie zaś dla jakichkolwiek celów ubocznych: religijnych, filozoficznych, politycznych czy społecznych.

Niepodobna mi tu roztrząsać samej zasady „sztuki dla sztuki“; teoretyczne wywody zajęłyby zbyt dużo miejsca, które mamy obrócić na rozwiązanie przejawów twórczości w dobie najnowszej. Powiem więc tylko tyle, że w każdym czynie ludzkim, bez względu na jego treść i charakter, przejawić się musi cała dusza, nie zaś jakaś wyodrębniona przez psychologię jej cząstka: rozum, wyobraźnia czy uczucie; że ściśle rzeczy biorąc, może być jedynie mowa o przewadze pewnego czynnika w danym postępku, nie zaś o jego wyłączności.

Stąd wynika, że i przy tworzeniu muszą działać zarówno myśl, jak fantazya i uczuciowość, że w danym utworze może być przewaga jednej lub drugiej i trzeciej, lecz braku którejkolwiek

z nich zgoła być nie może. Jeżeli umysł nasz napełniają pewne poglądy religijne, filozoficzne, polityczne czy społeczne: to one odbić się muszą w najprostszej nawet piosence, wydającej się z pozoru wyrazem chwilowego tylko nastroju.

Romantycy pierwsi wyraźnie sformułowali hasło „sztuki dla sztuki", a przecież z ich utworów wydobyto cały szereg poglądów i przekonań, pragnień i dążności w najróżnorodniejszych dziedzinach działania ludzkiego. Tak się też ma i z dzisiejszymi zwolennikami hasła. Wyrzekają się oni mianowicie z jakimś wstrętem wszelkich dążności społecznych, a przecież choćby nawet żadnych nie wyrażali w pismach swoich, to już ten właśnie wstręt będzie je pod względem społecznym charakteryzował.

W literaturze naszej nieraz hasło „sztuki dla sztuki" w ciągu XIX. wieku wypowiadano, ale się go ściśle nie trzymano nigdy, bo się to okazywało niepodobieństwem. W nowszych czasach pierwszym wymownym rzecznikiem jego stał się u nas Zenon Przesmycki, znany jako poeta pod pseudonimem Miriama. W r. 1887 założył on w Warszawie tygodnik literacki p. t. „Życie" z wyraźnym zamiarem pomieszczania tylko rzeczy „pięknych", nie krępując się rodzajem poglądów i przekonań autora. Redaktor nie był obojętnym w sprawie zagadnień narodowych i społecznych: raził go tylko podział na stronnictwa, w walce których cel główny: dobro ogółu, i środek zasadniczy: zbiorowa praca we wszystkich zakresach życia usuwały się na plan dalszy. Bardzo słusznie uprzedzał, że w piśmie jego nie znajdą miejsca „utwory literackie, mające wartość jedynie dla takiej lub innej swojej dążności". W „Hymnie do poezyi" zaś, kreśląc znaczenie jej dla narodów i zgubne wyniki jej przytłumienia, wcale się nie oddalił od stanowiska Mickiewiczowskiego w „Pieśni Wajdeloty". Mówił bowiem:

W tobie zwierciadlił człowieczy duch
Najwyższe swoje porywy:
Radosnych szałów buchał okrzykiem,
Tragicznych tęsknot mówił językiem
I w niewstrzymany życia ruch,
Potężnych natchnień swych miotał skry,
A ludy szły,
Gdzie wiódł je pieśni zdrój żywy.
. . . . . .

Biada tym chwilom, gdy z twoich lic
Nie błyska przedświt zarania,

Gdy w ciemnej, wdowiej smutku zasłonie
Swe jaśniejące ukrywasz skronie,
Nie mówiąc ludom—karłom nic

W słowach tych podniosłych brzmiała i cześć dla społecznych zadań poezyi i uznanie dla myśli, zapładniającej czyny.

W parę lat po założeniu „Życia“ Przesmycki wyjechał za granicę i oddał się sumiennym studyom literatur obcych, których już i przedtem był zapalonym wielbicielem, dobrym znawcą i wytwornym tłómaczem. Ze studyów ówych powstał (1894 r.) przekład dramatów belgijskiego poety, wtedy bardzo rozgłośnego, Maurycego Maeterlincka, oraz obszerna przedmowa, poświęcona wyświetleniu i opisowi nowego ruchu literackiego, jaki w Belgii pod wpływem młodszych poetów francuskich się rozwinął, przybierając nazwę „symbolizmu“.

Tłómacz Maeterlincka twierdził, co prawda wbrew dziejom, że sztuka wielka zawsze była i jest symboliczna: ukrywa bowiem za zmysłowemi analogiami pierwiastki nieskończoności, odsłania bezgraniczne pozazmysłowe widnokręgi. Opierając się na badaniach, dotyczących magnetyzmu, hypnozy, medyumizmu i t. p. mniemał, iż bez przypuszczenia nawet jakichkolwiek nadprzyrodzonych wpływów, otwiera się dla twórczości poetów rozległa kraina mistycyzmu, nie tego mistycyzmu, który się kazał odrywać od ziemi, by się wznieść w podniebne sfery widzeń, lecz mistycyzmu, naukowo uzasadnionego, opartego na faktach dziwnych, nie dających się dotychczas wyjaśnić za pomocą znanych sił przyrodzonych, ale niewątpliwie należących do dziedziny faktów.

„Rozmaite przeczucia — pisał Przesmycki — przepowiednie, czary, nadnaturalności i cudowności romantyków, a zwłaszcza skrajnych mistyków romantycznych, nie są wcale czczemi widmami jedynie ich wyobraźni, lecz przeciwnie dowodem wielkiej intuicyjnej ich potęgi w odczuwaniu faktów, które nauka dziś stwierdzać poczyna. Podciągali je oni tylko pod niewłaściwą kategoryę umysłu, widząc w nich coś nadprzyrodzonego, i często w dogmacie religijnym rozwiązania dla nich szukając. Zmieniwszy jedynie punkt widzenia, mistycyzm mógł i musiał dalej ciągnąć swe dzieło w literaturze — i odrodził się też w dzisiejszym symbolizmie, który może się uważać za nowy, pierwszy po romantyzmie, rzeczywisty etap w rozwoju poezyi, bo doktryna naturalistyczna, w skutek jednostronności swej, stanowi objaw reakcyi jedynie, nie zaś szczebel dalszy w drabinie ewolucyjnej... Zrozumiano, iż jak

w życiu nie mamy możności przyjrzeć się wewnętrznej, nieskończonej świata i człowieka istocie i musimy zadowolić się tymi oślepiającymi oko przebłyskami, które rozdzierają od czasu do czasu szare tło zmysłowej rzeczywistości; tak też i w poezyi można tylko w ramy rzeczywistych i odpowiednich szczegółów zmysłowych oprawiać perspektywy nieskończoności, specyalnemi dotknięciami pędzla poetyckiego markować te ostatnie, kazać się ich domyślać duchowi, zdolnego do marzenia czytelnika — tu i owdzie tylko fosforycznym błyskiem drogę ku głębiom ukrytym rozświetlać".

Taki jest wywód rzecznika symbolizmu, pełnego tajemniczości i zagadkowości. Przyznając chętnie, iż dziedzina przeczuć, dziedzina tak zwanych naukowo „skojarzeń ukrytych przed świadomością" (cerebracyi bezwiednej), może być źródłem natchnień poetyckich, jak bywała już w romantyzmie; zgadzając się na to, że doktryna naturalistyczna, mająca na oku dotykalną rzeczywistość, jest istotnie jednostronną; nie podobna przecież przyznać wszechstronności doktrynie symbolizmu, gdyż i ona pewną część jeno objawów świata, bardzo skądinąd poetyczną i pociągającą, uwzględnia.

Prócz tego wiadomo, że wiele z owych tajemniczych zjawisk duchowych nie znalazło dotychczas należytego wyjaśnienia, a wiele ich co do autentyczności zakwestyonowano; jakżeż więc poeta, który sam nie rozumie istoty zjawisk dziwnych i tajemniczych, może „specyalnemi dotknięciami pędzla" uwydatniać „perspektywy nieskończoności", jak może „fosforycznym błyskiem" rozświetlać drogę ku głębiom ukrytym, nie narażając się na zarzut, że będzie tylko błędnym ognikiem? Czy Maeterlinck sam dokonał czegoś podobnego? Czy nie najlepszym jego dramatem jest ten tylko, w którym tajemnicze przeczucie śmierci odmalował, zgoła się nie kusząc o uwydatnienie perspektywy nieskończoności? („Gość niespodziany").

Zdaje mi się, że ten tylko wskazywać może drogę innym, kto ją zna sam; że odkrywanie perspektyw nieskończoności może być dziełem umysłu, ogarniającego te perspektywy i umiejącego ustawić w nich szczegóły znamienne, które pomogą czytelnikowi do zoryentowania się. Jeżeli zaś poeta sam dopiero poszukuje drogi; jeżeli sam przeczuwa jedynie owe perspektywy, to może on tylko, że się posłużę tu rubasznemi i trywialnemi, ale dosadnemi słowy, prawić o tem, jak ślepy o kolorach. Przeciwko wprowadzeniu większego uduchowienia do poezyi nic mieć nie można; lecz czytelnicy

nie lubiący się zadawalać majakami, mają prawo wymagać, ażeby poeta, zdążając ku uduchowieniu, wiedział przynajmniej, do czego zmierza, ku jakim krainom ducha prowadzić pragnie...

Mają też prawo wymagać, żeby poeta dawał wskazówki jasne, zrozumiałe, żeby przemawiał nie zagadkami, lecz takiemi połączeniami wyrazów, które obudzają dostępne naszemu umysłowi wyobrażenia i pojęcia. Tu przechodzimy do drugiego punktu, zaznaczonego przez tłómacza Maeterlincka w symbolizmie, do stosunku między słowem a myślą. U wodzów symbolizmu francuskiego, Verlaine'a i Mallarmégo, idea, według wyrażenia Miriama, usunęła się w głąb, a główny nacisk położony został już to na „nastrój“, wywoływany prostotą, muzyką i odcieniami wiersza, już to na „suggestyą“, posiłkującą się zestawieniem nie zdań, lecz słów, które winny były budzić w duszy słuchacza pewne określone obrazy i wrażenia. Ztąd wypadł wniosek, że należy odebrać myśli przodkujący w dziele sztuki charakter, czyli inaczej mówiąc „wyzwolić język z pod supremacyi myśli“. W ten sposób słowo przestawało być „jedynie taczką idei, umownym znakiem do wymiany myśli“: wyrazy bowiem „otrzymywały życie własne, tajemnicze, duchowe“.

Na takie uogólnienie i na taki wynik zgodzić się niepodobna. Gdybyśmy rzeczywiście wzięli dosłownie owo hasło o wyzwoleniu języka z pod supremacyi myśli, tobyśmy osiągnęli w zastosowaniu szeregi wyrazów, mających każdy z osobna swoje właściwe znaczenie, ale nie dających w związku z sobą żadnego sensu, żadnego logicznie pomyślanego zdania, lecz zato brzmiących dźwięcznie, układających się w pewne oryginalne melodye. W takim wypadku poeta nie potrzebowałby wcale troszczyć się o pomysły, o treść utworu i starałby się jedynie, ażeby użyte przezeń wyrazy szeregowały się w melodyjne i harmonijne okresy.

Przypuszczam, że nawet najzagorzalsi stronnicy wyzwolenia języka z pod supremacyi myśli nie doszli jeszcze do takiego wyniku, kładącego kres istotnej poezyi, a pozostawiającego jedynie miejsce dla śpiewu ptasiego niemal; bądź co bądź jednak zasada owa mieści w sobie ten fatalny wynik, a wiele frazesów Maeterlincka utwierdza w mniemaniu, że mu nie tylko o zrozumiałość, ale nawet poprostu o sens nie chodziło.

Wprawdzie Miriam utrzymuje, że w tych niezrozumiałych frazesach kryją się bardzo głębokie symbole czy analogie, które intuicya czytelnika, biegłego w odgadywaniu zagadek, odsłonić potrafi; lecz ja wyznać muszę, iż pomimo wysiłków nie zdołałem

odnaleźć znaczenia bardzo wielu zdań Maeterlincka, przytoczonych przez jego tłómacza i wielbiciela. Wielce n. p. byłbym ciekawy, jak objaśnia Przesmycki takie zdanie z Oraison (Modlitwy): „Miej litość nad nieobecnością mą w progach mych chęci!“ — albo też takie: „Ma dusza blada jest z niemocy i z białych bezczynności“; albo jeszcze inne: „Ma dusza... spogląda napróżno na znużone swe dłonie, drżące nad kwieciem niewykwitłem. Podczas gdy serce me wyziewa mydlane bańki snów liliowych, dusza ma wątłemi, woskowemi rękoma polewa znużone światło księżyca“...

Jeżeli którykolwiek z czytelników potrafi zrozumieć na prawdę i drugiemu wytłómaczyć, co znaczą przywiedzione tu frazesy, będące drobną cząstką tylko całej antologii, jaką z poezyj Maeterlincka wybrać można, zazdrościć mu będę domyślności i rzutkości pojmowania. Bo nie należę do liczby tych, co się zadawalają prostem zaznaczeniem faktu, że czegoś nie rozumieją; i owszem usiłowałem zawsze dobadać się sensu najzawilszej nawet, bodaj waryackiej frazeologii; wobec jednak „białych bezczynności“, wobec serca, które „wyziewa mydlane bańki snów liliowych, gdy dusza woskowemi rękoma polewa znużone światło księżyca“, — muszę się niestety, przyznać do niemocy, jakkolwiek ją nazwą symboliści: białą, żółtą, fioletową czy seledynową.

Te barwy czynności czy stanów duchowych, te serca wyziewające mydlane bańki snów liliowych prowadzą nas do drugiej cechy stylu symbolistów, zaznaczonej przez Miriama, do tak nazwanej „transpozycyi wrażeń“, do wprowadzania w dziedzinę literatury pierwiastków malarskich, rzeźbiarskich i muzycznych.

Co prawda, nie jest to bynajmniej nowość; nawet w mowie potocznej dokonywamy takiej transpozycyi, gdy własności spostrzegane przez jeden zmysł przenosimy na przedmiot tym zmysłem niedostrzegany, mówiąc n. p. słowa szorstkie, słówko jedwabne, słodkie, mina kwaśna i t. p. Wszyscy poeci zarówno starożytni, jak średniowieczni i nowsi posługiwali się analogiami, jakie znaleźć można czy to w spostrzeżeniach zmysłów różnych, czy to w bratnich sztukach pięknych; wszyscy ubiegali się o malowniczość, plastykę, harmonijność swych frazesów poetyckich. Mickiewicz nazwał woń kwiatów ich „muzyką“; Słowacki przyznał wyrazom, że bywają „wonne“ — i przyklaśnięto ich pomysłom.

Nowością zatem w symbolizmie będzie chyba tylko mozolna pogoń za niezwykłemi połączeniami wrażeń zmysłów odmiennych,

przesada w użyciu analogij, przesada, która dobrego rezultatu wydać nie może; dość przypomnieć sobie w literaturze powszechnej cudaczną kwiecistość i napuszoność, znaną jako g o n g o r y z m, e u f u i z m, m a r y n i z m, a w naszej jako m a k a r o n i z m i f l o r y d a c y z m. Istotnie przypominają się te zwyrodniałe próby naciąganych przenośni, gdy czytamy u Maeterlincka o „Roślinności serca“:

Pod k r y s z t a ł o w y m m o d r y m dzwonem
Mej melancholii i znużenia
Drzemią niejasne me cierpienia,
Śpią w sercu mem znieruchomionem.

Symbolów samych to roślinność,
Rozkoszy smętne n e n u f a r y,
P a l m y, żądz moich blade mary
M c h ó w c h ł ó d, omdlała l j a n bezczynność i t. p.

Czy sam Miriam, jako poeta, idzie w ślady Maeterlincka, którego tak stanowczym okazał się chwalcą? Nie! bo przedewszystkiem większa część jego znanych mi utworów powstała przed poznaniem poety belgijskiego; a powtóre Miriam jest umysłem jasnym i mimo swego entuzyastycznego usposobienia umie patrzeć krytycznie na przeróżne rodzaje poetyckie, których specyalnemu zbadaniu się poświęcił.

Wystąpiwszy na widownię literacką około r. 1880, był bardzo długo tłómaczem tylko obcych poetów, a naprzód i głównie — najsłynniejszego poety Czech, Jarosława Vrchlickiego. W przekładach tych wyrobił sobie i wydoskonalił język, styl i wersyfikacyę, starając się przełamać trudności, jakie pod tymi trzema względami przedstawiał oryginał, i przejąć się tą uniwersalnością natchnień, w jakiej Vrchlicki jest wielkim wirtuozem.

W wydawanem przez siebie „Życiu“ dał się poznać, jako baczny spostrzegacz objawów poetyckich we wszystkich krajach cywilizowanych, przedstawiając zwięźle i dobitnie znamienne cechy poetów nowszych francuskich i amerykańskich, a nadto drukując dużo przekładów zarówno z tych autorów jakoteż z angielskich, niemieckich i włoskich. Podobną też działalność rozwinął równocześnie w „Świecie“ krakowskim, gdzie się mieści między innemi wspaniałe tłómaczenie tragedyi Leconte'a de Lisle: „Erynnie“ — prawdziwe arcydzieło w dziedzinie przyswajania naszej literaturze utworów obcych.

Pod względem zasad estetycznych zaznaczył się Miriam jako zwolennik piękna poetyckiego, pojmowanego nie według jakiejś ciasnej doktryny, lecz według sumiennej, krytycznej analizy wszystkich objawów spotykanych na tem polu w literaturze powszechnej. Treść bogata, żywotna, ze wszystkich krain materyi i ducha czerpana, oraz forma harmonijna, barwna i nieskazitelna pozostają w nierozerwalnym związku; o zniesieniu supremacyi myśli nad językiem nie było jeszcze wtedy ani wzmianki!

W zbiorze swych pieśni, wydanych p. t. „Z czary młodości“, takiemu pojęciu piękna był wierny. Język czysty, rzetelnie polski, tu i owdzie jeno jakąś obcą naleciałością upstrzony; styl jędrny, giętki, wytworny, czasem trochę wyszukany i górnolotny; wiersz dźwięczny, silny lub pieściwy; rym doskonały, subtelna budowa zwrotek mniej często u nas używanych odznaczały każdy utwór poety, pełnego życia i zapału, równie chętnie przebywającego wśród pięknych krajobrazów, jak i wśród zawrotnych niemal sfer myślenia.

Stosownie do ogólnego tytułu, podzielił Miriam zbiór swój na trzy części: Upojenia, Męty w puharze, Pojednanie, stanowiące psychologiczny pamiętnik duszy.

Upojeń znajdował młody poeta najwięcej w widokach i zjawiskach przyrody, odczuwanych bardzo żywo, bardzo silnie i bardzo szczerze. Nie wyszukiwał on czegoś nadzwyczajnego: wschody i zachody słońca, poranki, wieczory i noce, księżyc i gwiazdy: góry i płaszczyzny, stepy i morze budzą w nim zachwyt, działają na jego uczucie i myśl wiecznie czujną, wywołując prześliczne niekiedy obrazy. Jak w „Sonetach Krymskich“ Mickiewicza, tak i u Miriama, kształty zewnętrzne przyrody splatają się i spajają najściślej z usposobieniem chwilowem, z nastrojem poety, tymi kształtami oczarowanego.

Ileż prostego wdzięku mieszczą w sobie n. p. sonety „W parowie!“ Poeta spoczywa na miękkim mchu; sosny dyszą ożywczym aromatem; szczyty ich sennie się chwieją; szlak chmur przeciąga po zachodniej stronie. Dokoła cisza; odurzające wonie macierzanki biją z traw. Nagle przychodzi poecie pomysł pieśni. Ale czyż ludzie go dosłyszą? Czy go nie zagłuszy uragan dziejowy, co zmiata proch wnet po każdej godzinie, która w toń wieków wpadnie? Lecz te wątpliwości nie odstraszają poety; zbiera swe myśli, odziewa je słowy, puszcza swe pieśni w świat, by leciały jak orły, jak wichry, by grzmiały wśród ludzi. Ale to sen był tylko — poeta ocknął się, płacząc jak dziecię. Dlaczego? Bo we śnie za-

pewne owe słowa, w które przyodział swe myśli, wydały mu się wielkie i potężne; lecz czy je odnajdzie na jawie? A może ta upajająca cisza, woniami kwiatów polnych przesiąknięta, co go do snu ukołysała, w porównaniu z burzą samych jego myśli, wprawiła go w rozrzewnienie? Poeta ze smutkiem zastanawia się nad pytaniem, czy jest pieśń taka, żeby jak burza przegrzmiała nad wyziębłą kulą ziemską, coby do każdego przedarła się łona; i czy ludzkość skamieniała zdolna by była przyjąć w pierś swoją coś, co nie jest „lalką wystrojoną lub złotym kruszcem?“ Poeta w zadumie bolesnej złożył płonące skronie na wilgotnej ziemi; a do ucha jego dochodziły zwolna szmery tęskne sosen i ciche szepty ziół wonnych: „Z serca śpiewaj, z serca!“

Takich i tym podobnych obrazków natury, przenikniętych uczuciem i myślą, Miriam napisał kilkanaście, umiejąc im nadać rozmaitość, umiejąc zająć czytelnika, oczarować jego wyobraźni.

Mniej świetnie przedstawiają się pieśni czysto uczuciowe. O swoich osobistych wzruszeniach nie rozpisuje się, na wzór innych współczesników, Miriam; miłości indywidualnej wogóle mało nawet miejsca w lirykach swych daje, chętniej dotykając struny społecznej. Nie upaja się on zewnętrznymi zmysłowymi powabami ukochanej kobiety, gdyż miłość jego ma raczej idealistyczne zabarwienie; podział uczuć i myśli, zrozumienie i odczucie się wzajemne główną w historyi dwojga dusz odgrywają u niego rolę. Gwiazdy, Elegia jesienna, Pierwsze dziecię: a dalej: Zdało mi się, Prometeusz, Szumy drzew, Zaklęci rycerze — oto napisy ładniejszych wierszy z tego dzieła.

Druga część zbioru: „Męty w puharze“ zawiera tematy, które już poznaliśmy mówiąc o poezyach Tetmajera: wyziębienie uczuć, zobojętnienie, zwątpienie, pessymizm, rozpaczliwe pytania: poco żyć, poco się trudzić, poco cierpieć. Miriam współczuje żywo tym wszystkim zwątpiałym i smutnym spółbraciom, którzy pozbawieni tradycyjnych złudzeń, wyczerpawszy wątłe siły w pogoni za nieuchwytną prawdą, słysząc cyniczne wołania, że dobro, poświęcenie, miłość to tylko stara słów forma bez istotnego znaczenia, nie wiedząc, czy kiedyś odżyją lepszą połową swoją, albo jęczą pokutnie, albo bluźnierstwa miotają. Spółczuje mocniej jeszcze tym, którzy wolą samotni iść ku życia kresom, niż zaparłszy się złudzeń idealnych, czcić bałwany, zrzec się słońca i dymnym uwierzyć kagańcom. A nie dlatego nieszczęsnymi ich zowie, jakoby oni sami żałowali upojeń, które tanim kosztem nabyć można, lecz dlatego, że co chwila z czołem w lodowatym pocie walczyć

muszą z hydrą zwątpienia, co szepce: „Zali ten sen, to bóstwo — nie widmem w istocie?“

Na takiem atoli zaznaczeniu spółczucia dla „posępnego tłumu“ zwątpiałych nie poprzestaje Miriam, ale w trzeciej części zbioru swego, w „Pojednaniu“ stara się rozdźwięki wewnętrzne ukoić i wytworzyć pogodniejszy pogląd na życie. Ażeby to spełnić, odwołuje się do nieprzebranej krynicy wiecznie młodego serca ludzkiego, które stokroć zawiedzione, wciąż pragnąć i pożądać będzie karmi, oraz do przyrodzonego duchowi ludzkiemu popędu ku działaniu, ku wyzwalaniu energii wewnętrznej. W dwu ładnych sonetach p. t. „Rozmowa z duszą“, przedstawiwszy szczęście jako owoc nieświadomości, więdnący wobec rozumowej analizy, zaznacza równocześnie tę niezwalczoną, prometejską skłonność do badania, jaką się ród ludzki odznacza. Po utracie szczęścia złorzeczymy co prawda swej natrętnej ciekawości: ale gdy los się choć blado nam uśmiechnie, znowu się do szperań nad sobą samymi zabieramy. Dusze, pogrążone w otchłani mroków, muszą lecieć jak ćmy do światła, tak że żadna trwoga wobec myśli o stratach spodziewanych powstrzymać ich nie zdoła:

I jedna drugiej mąk i łez zazdrości,
Bo, gdy im była mara szczęścia droga,
Równie im drogim jest ból świadomości.

W sonecie: „Metafizyka“ wskazuje poeta, jak duch ludzki nie może poprzestać tylko na wiedzy doświadczalnej, lecz z wiecznym niepokojem pragnie zbadać tajemnice, leżące po za tą wiedzą: otchłanie otchłań pociąga:

Choć wiecznie głodna dusz żądza paląca,
Choć śród zwątpienia wciąż błądzim oparów,
Świat coraz nowych ogląda Ikarów,
Duch rwie się w bezmiar, choć los w proch go strąca.

„Braciom poetom“ w trzech bardzo pięknych sonetach radzi zawierzyć sercu i jego przeczuciom, nie zrażać się niepowodzeniem nauk przez siebie dawanych, ufać w owocność działania, choćby się nie miało ujrzeć celu, ku któremu ludzkość zdąża:

Chociaż mędrców wiedza
Świadczy posępnie, że kolej wydarzeń
To tylko wielka Konieczności miedza,

Że nic nie zmienisz w ciągu przeobrażeń,
Żeś tylko skutkiem tego, co poprzedza, —
Ty się nie zrzekaj pracy swej i marzeń.

Teorye ulegają zmianom — dodaje poeta — jedne upadają, drugie na ich miejscu się wznoszą; ale Miłość, Dobroć, Piękno są nieśmiertelne: a kto pod ich hasłami działa, ten przyczynia się do szczęścia ludzkości i jeżeli nie dziś, to jutro znajdzie poklask i serdeczne uznanie.

Z przeglądu tego jasno się okazuje, że w poezyach Miriama śladu nawet Maeterlinckowych niejasności i niedorzeczności nie ma. Nawet w tych poezyach („Ronda smętne“ i in.), które powstały po napisaniu rozprawy o poecie belgijskim i po przekładzie jego utworów dramatycznych, zaledwie daleki jakiś ich oddźwięk tu i ówdzie się pojawi, nigdy zresztą nie przygłuszając czystego, metalicznego brzmienia strun, w które Miriam uderza z taką siłą i taką biegłością. Teorya pozostała, jak dotąd, teoryą tylko, nie wpływając potężnie na twórczość, czerpiącą natchnienie ze źródeł żywotniejszych.

Wiele podobieństwa z Przesmyckim pod względem sposobu kształcenia się literackiego, ma Antoni Lange. I on był przez znaczny przeciąg czasu w Paryżu i wogóle za granicą; i on wchłaniał natchnienia przenajróżnorodniejszych poetów obcych, zwłaszcza nowszych i przyswajał je mowie naszej; i on nadzwyczajnie dbał o piękną, wykończoną formę. Ale pod względem wewnętrznym podobieństwa te zmniejszają się znacznie, bo Lange nie ma w sobie tej dążności co Przesmycki do harmonizowania sprzecznych usposobień i poglądów, lecz przeciwnie, pragnąłby uwydatnić je w sposób jak najjaskrawszy.

To też Proteuszowa natura jego talentu nie łatwo określić się daje. Gdy czytamy jego „Sielanki“, przysięglibyśmy, że autor jest poczciwym, serdecznym optymistą, który lubuje się w najprostszych, najzwyklejszych przyjemnościach, jakich wieś nasza dostarczyć może; który, oddając się całkowicie używaniu chwili, znajduje rozkosz niewybredną w przypatrywaniu się słonecznikom, macierzankom, jaskrom, piołunom, ważkom, w szukaniu cienia pod starym klonem wśród dnia skwarnego, w witaniu wietrzyka, przynoszącego ochłodę nad wieczorem... Po twarzy poety przemyka się cień zaledwie łagodnej tęsknoty na myśl o zbliżającej się jesieni w naturze, kiedy bociany zaczynają zbierać się do odlotu, oraz jesieni w duszy, kiedy wrażenia i wzruszenia słabszemi się stają...

Ale czy to jest wyrazem stałego i trwałego usposobienia duszy? Bynajmniej. To jeno wyraz sposobu malowania obrazków w słońcu; jestto plein-air poetycki, jak go zowie sam autor. Poeta nastraja się pogodnie; wszystko wydaje mu się takie miłe, takie ładne, takie młode, takie świeże, takie szczere i takie serdeczne, że na spochmurnienie czasu ani ochoty mu nie staje. Przemawia tu nie człowiek ze zwykłem swojem, codziennem usposobieniem, ale artysta, umiejący zużytkować każdy chwilowy nastrój, by z niego wydobyć wszystko, co tylko pod względem efektów poetyckich wydobyć można.

Co prawda, człowiek dzisiejszy wogóle, czy jest artystą czy nie, ulega ustawicznym przemianom nastroju; taki, coby wedle przepisu stoików starożytnych umiał w każdem położeniu, szczęśliwem czy nieszczęśliwem, zachować jednostajną pogodę umysłu, należałby do tych wyjątków, które na papierze nakreślić łatwo, ale których spotkać w życiu niepodobna. Uwaga ta powinnaby zawsze być na pamięci tym, co o poezyi lirycznej rozprawiają, gdyż liryka jest właśnie odbiciem falowań wewnętrznych, tem bardziej zmiennych i przemijających, im wrażliwszym i subtelniejszym jest umysł, będący falowań tych źródłem.

Jeżeli więc zaznaczam, że Lange jako artysta umie zużytkować każdy chwilowy nastrój, by z niego wydobyć wszystko, co tylko pod względem efektów poetyckich wydobyć się daje; to nie chcę przez to wcale robić zarzutu ruchliwości jego usposobienia, pragnąłbym jedynie zaakcentować, że w jego pieśniach więcej znać artyzm, aniżeli naturalną potrzebę wypowiedzenia myśli i uczuć, któreby mu nie dawały spokoju, któreby go zmuszały do ich wyjawienia, wypowiedzenia.

Bo jak z optymizmem naszego poety, tak jest i z jego pessymizmem. Odzywa się on oczywiście, ze znanych nam już przyczyn ogólnych, częściej i głośniej aniżeli pierwszy, ale nie stanowi u niego, jak u Tetmajera, gruntu poglądów, przekonań i usposobień: jest tylko przemijającym nastrojem, podobnie jak optymizm, gdyż sam poeta występuje niekiedy przeciwko temu prądowi myśli i uczuć.

Najwięcej może szczerości, najwięcej rzeczy odczutych pod tym względem mieści „Vox posthuma“ (Głos pośmiertny), przedstawiony przez poetę jako utwór zmarłego przyjaciela, samobójcy Janusza. Utwór to bezładny, jak bezładnemi muszą być rozmyślania człowieka, który puszcza swobodnie wodze swej wyobraźni, by

w przedzgonnej zadumie przypomnieć sobie wszystkie bole, zawody i cierpienia.

Rozmyślania te obracają się wciąż około jednej dotkliwej rany ducha, nie mogącego w niczem i nigdzie znaleźć ukojenia. Ta straszna samowiedza, do której rozbudzania wzywa nieszczęsny rozbitek życia, jest mu najstraszliwszą katuszą. Chaosem jest ten wiek, który go zrodził, więc też chaos panuje w duszach jednostek, pragnących zdać sobie sprawę z tego, co je otacza. Życie owego rozbitka — to szereg samych błędów; w sercu jego i w mózgu huczały wszystkie szały i zbrodnie, wszystkie kłamstwa i rozpacze, wszystkie zwątpienia i wzgardy, wszystkie rozdźwięki i zgrzyty, w jakie czas jego obfitował. Był to prawdziwy dekadent. Piołuny jedną wielką falą przesiąkły w struny jego lutni, a „szamotanie bezpłodne woli w półzamarłej, ironia gór olbrzymich wydających karły, maligny, chorobliwa niemoc, rumowisko przepalonego ducha“ stały się jego udziałem. Ileż strasznej goryczy w tej świadomości! Ileż boleści w sprzecznych z sobą targaniach wewnętrznych duszy, rwącej się do życia, kochającej je, a przecież wzdychającej za nicością, za chłodem i pokojem mogiły!

Przygotowujący się na śmierć samobójca ostrzega, żeby nie wierzyć pozorom zobojętnienia, zrozpaczenia, bluźnierstw wśród tych dusz, w których równocześnie „bogowie żyją i bydlęta“. Powiada ten nieszczęsny dekadent:

...Nasze bluźnierstwo — to tylko modlitwa,
Rozpaczliwa i groźna, jak ostatnia bitwa.
Nasz śmiech — to najboleśniej krwawych łez posoka,
Jakie płynęły kiedy z człowieczego oka.
A życie tak kochamy, jak wiosenne szumy
I jak usta dziewicze — i jak wieszczów dumy,
A modlimy się do grobu — nicestwa — i dżumy.
I milczym, jak umarłych bezpotomne próchno,
Ale patrzym, czy kresu nie będzie wieczorem,
Jak ci, co długo milczą, aż w końcu wybuchną
Niby grom!...

Jest to obraz dusz chorych, spragnionych życia i prawdy, lecz nie mogących lub nieumiejących pragnienia tego ugasić. Urągać im niepodobna, gdyż w każdym, nawet w t. zw. normalnym człowieku — jeżeli jest taki — czuje się wszystkie owe potwory sprzecznych dążności, żądz nieujętych, ciemnych otchłani: mogą one lada chwila z kryjówki swej wypaść i zrobić u nas okropne spustoszenie.

I Lange należał lub należy jeszcze do grupy tych dusz, które sam nazwał synami rozczarowania, newrozy, zwątpienia, wchłaniającymi w siebie zewsząd jady wieku, mówiącego: „ja wam ironią uśmierzę każde bicie serc waszych“. Serce nasze — powiada poeta dalej — jest dzisiaj „tak mózgiem przesiąknięte, że już być nie umie sercem — samo się mózgiem stało — nie rozumie szału“.

Dawniej wzywano nas, byśmy byli „rozumni szałem“; dzisiaj jesteśmy „rozumem szaleni“. Tęsknimy wprawdzie za jakiemś ukojeniem, za jakąś wymarzoną harmonią, którąby dysonanse życia w sobie zjednoczyła; lecz nie mając żadnej wskazówki niezawodnej, błąkamy się po manowcach różnych systemów w dziwnem rozbiciu i osamotnieniu.

Lange odczuwa ten bolesny stan doskonale; wyraził go też niejednokrotnie w poezyach swoich, a mianowicie w wierszu p. t. „Samotność“. Porównywa tu dusze ludzkie do planet, z których „każda błąka się przez drogi mleczne, każda toczy koło swe bezwzględne“; patrzą one wzajem na siebie przez błękity, lecz żadna ze swej drogi nie zejdzie; tęsknią ku sobie z oddali, lecz w jednym kierunku nie pójdą; bo dusze ludzkie — to „samotnice wieczne“.

Owa tęsknota za zbliżeniem się z innemi duszami, owo szukanie się umysłów osamotnionych — po przez błękity — widzimy odtworzone przez Langego w szeregu wierszy, których treść zaczerpniętą została z różnych źródeł wszechświatowych: z Biblii, z Zendawesty, z Wed.

Nie jestto objawem przylgnięcia do jakiejkolwiek doktryny, gdyż takie przylgnięcie dałoby już umysłowi poety uspokojenie; to objaw tylko nienasyconej ciekawości człowieka, który nie mogąc się oprzeć na żadnym niewzruszonym dogmacie, radby poznać różne jego odcienia z tajoną może w duszy nadzieją, że znajdzie coś, co do jego umysłu przemówi. Za każdym razem, kiedy jakiś ułamek prawdy spostrzeże, poeta przedstawia go jak wyznawca, do głębi przekonany; ale gdy się ze wszystkiemi załatwi, zapomina o nich rychło, gdyż go ostatecznie zadowolić nie mogły.

Któż n. p. czytając „Sonety wedyckie“, nie powiedziałby, że Lange przejął się zasadami nauki Sakya-Muniego i znalazł w niej rozwiązanie dręczących go zagadnień co do poznania treści wszechrzeczy. Z taką powagą maluje kolejno siedm stopni rozwoju — stan kamienny, stan roślinny, stan gwiaździsty, dusza zwierzęca, duch ludzki, duch wyżej uduchowiony, duch Boży — jakby odna-

lazł złote klucze od bramy wszechistnienia. A gdy się jeszcze z sonetami tymi, pisanymi w Paryżu r. 1887 pod bezpośrednim wpływem neobuddystów francuskich, zestawi „Księgi proroków“, skreślone w r. 1892, gdzie po Mojżeszu, Brahmie, Zoroastrze, Mahomecie, występuje jako ostatni prorok Budda, dający snadź rozwiązanie najdoskonalsze wszelkich wątpliwości; to już niepodobna byłoby chyba twierdzić inaczej, jak, że autor całkowicie w buddyzmie się zanurzył.

A jednak mniemanie takie byłoby całkiem błędne. Poeta nie myśli się zapisywać w poczet buddystów; chwilowo podobała mu się nowa terminologia na znane powszechnie rzeczy, a modne westchnienia do Nirwany miały także swój powab; więc też ujął nieliczne zresztą teorye buddystów w kunsztowną formę sonetów i w kunsztowniejszą jeszcze formę sestyny, lubując się powracającymi wciąż tymi samymi zwrotami i wtłaczając abstrakcye w kształty misterne. I dla czytelnika również „Sonety wedyckie“ i „Księgi proroków“ mają powab formalny raczej niż pojęciowy. Dlaczegożby umysł nie miał zrobić sobie wakacyj — nie wiele dbając o nauczenie się czegoś, a natomiast zatapiając się w kształtach pięknie rzeźbionych?

Nie tylko jednak takie wycieczki wakacyjne ducha znajdują się wśród szeregu poszukiwań w dziedzinie prawdy, jakie w poezyach swoich Lange rozwija. Znajdujemy tu również próby pracy trwalszej, do których autor zdaje się przywiązywać większą niż do innych wagę. Mam tu mianowicie na myśli takie utwory, jak „Pieśń o Słowie“, „Cyfra i Słowo“, „Palingeneza“, „Godzina“.

Pojęciu „Słowo“ nadaje Lange, za przewodem młodszych poetów francuskich i belgijskich, znaczenie bardzo rozległe, jak niegdyś neoplatończycy pojęciu: „Logos“. Zrozumieć „Słowo“ — to zrozumieć „Boga“.

W „Słowie“ mieszczą się wszystkie tajnie bytu i dopóki ludzkość czy naród mają swoje „Słowo“, dopóty są szczęśliwe — wypowiadają je zazwyczaj geniusze. Poeta pełen jest zachwytu na wspomnienie takich epok:

Błogosławione dni, w których narody
Dają najwyższe swoich dusz wykwity:
Posągi wieczne — olbrzymie rapsody,
Swych nieśmiertelnych geniuszów granity...

Czasy dzisiejsze — mówi Lange — nie mają swego „Słowa“; dlatego są one dniami „czarnych zwątpień, dżdżu i niepogody“. Poeta jednak utrzymuje, że „Słowo“ takie się znajdzie.

„Cyfra i Słowo“ — to przeciwstawienie dwu metod poznania prawdy; jedna, uzbrojona w teleskop i cyrkiel, krok w krok postępuje za zjawiskami i lampą swą rozjaśnia zwolna mrok wiecznej zasłony; druga — „anioł skrzydlaty, w tęcze odziany i gromy, Jehowiczny ma głos, królewskich orłów ma lot; jednym rzutem ogarnia światów dalekich ogromy, cały ogarnia świat w jednej miłości splot“. Innemi słowy mamy tu do czynienia z badaniem ścisłem i z natchnieniem; autor ufa, że gdy jeden czynnik zespoli się z drugim, to znajdziemy prawdę odwieczną i wiekuistą.

W „Palingenezie“ Lange tonem i rytmem, przypominającym „Przedświt“ Krasińskiego, odmalowawszy ruiny pojęć dotychczasowych, przepowiada odnowę świata. Nie wdaje się wprawdzie w malowanie szczegółów tej odnowy, wyraża jedynie radość, że zwątpieniom, smutkom i bolom kres ona położy.

Jak w „Palingenezie“ poeta zaznaczył nadzieję odświeżenia zatęchłej atmosfery dni dzisiejszych, tak w „Godzinie“, napisanej prozą poetycką, wyraża utęsknienie za nadejściem tego odświeżenia: Dokonywa tego w sposób allegoryczno-symbolistyczny, zupełnie dowolnie podkładając pod tradycye greckie — własne swoje wyobrażenia i poglądy. Artemis — to bogini natury widomej, Godzina — to bogini nadchodzącego jutra. Obie są smutne, ponieważ nie mogą przyspieszyć rozwoju ludzkości i zapewnić jej szczęścia; Przeznaczenie bowiem spełnić się musi. Godzina błyska czasami niejasną zapowiedzią zmiany, a wówczas wśród umysłów ludzkich powstaje zamieszanie straszliwe, każdy bowiem po swojemu błysk ów sobie tłómaczy...

Wiele w tym utworze dalekich oddźwięków z „Niedokończonego poematu“ Krasińskiego i wiele równie mglisto jak tam zarysowujących się poglądów na życie dziejowe, na walki ludzkości o światło i szczęście. Najlepiej się autorowi udał obrazek zamętu pojęć, panującego wśród doby spółczesnej. W końcu poematu ukazuje się cień Ifigenii, mającej być symbolem wyzwolenia Orestesa (t. j. wszystkich wielkich umysłów) od Furyj, przez które ustawicznie jest dręczony. Zdaje mi się, że zamiast tych dowolnych symbolów lepiej było użyć jasnych pojęć nowożytnych dla wyrażenia zarówno losów ludzkości jak i swoich nadziei co do zmian, dokonać się kiedyś mających w stosunkach ogólnych.

Ale poeta nasz nie lubi rzeczy łatwych, ubiega się za najtrudniejszemi, a z pieśni swych kocha najbardziej „owe ciemne melodye, które we śnie słyszy, jak tajemne jakieś fale, poza mgłą daleką szumiące i jemu samemu nigdy niepojęte, drżące jak

struna, jakąś lekką dłonią potrącona". O pieśni swej wogóle wypowiada prozą poetycką i rytmiczną, na wzór Maeterlincka, szereg sądów, mających wskazać, że poeta dotychczas nie zdołał wyrazić się całkowicie, że pieśń jego jest „jako walka między stawaniem się" jego pieśni „a boginią na szczycie góry niebotycznej, boginią, która jest pieśnią wieczną, pieśnią doskonałą, pieśnią nadludzką i nadziemską". Pieśń ma w sobie sama „świat" stanowić. Wieszczy, że kiedyś tego on dokona. „Gdyby z innej planety — powiada — zstąpił na ziemię wieszcz i gdyby językiem nieznanych opiewał inne słońca i inne niebiosa, świat by się zdumiał, lecz nie pojąłby jego pieśni. Taką będzie pieśń moja, samotna i niedostępna, jakby na innej urodzona planecie, jakby inne niebiosa i inne słońca opiewała. Ludzie z podziwieniem słuchać jej będą, ale nikt jej nie pojmie!..." W takim razie pocóż ją śpiewać?

Szczęściem, że to tylko mglisty projekt, którego Lange z pewnością nie urzeczywistni. Jak dotąd, pisać chyba będzie rzeczy zrozumiałe, choć wytworne; nie zajdzie może „na szczyt góry niebotycznej", gdzie jest bogini „pieśni wiecznej": ale też nie narazi się na to, żeby go nikt nie pojął i nikt nie czytał...

(Ciąg dalszy nastąpi).

# RZECZ O UCZUCIACH LUDZKICH.

(Ciąg dalszy).

## IV.

### Dalsza rzecz o uczuciach instynktowych.

Małżeństwo bywą podstawą rodziny, która powstaje w chwili jak dzieci przybywają. Powszechnym w naturze jest instynkt miłości rodzicielskiej; silniejszej u matki, słabszej u ojca. Czasem, choć wyjątkowo, nie masz wcale miłości ojcowskiej a zastępuje ją nienawiść do dzieci, odrywających matkę od mężowskich pieszczot, tak, że samcy niektórych zwierzęcych postaci młode pożerają; częściej objawia się miłość ojcowska samca równie silnie jak miłość samicy. Odmiany indywidualne u człowieka bywają i w tem, podobnie jak we wszystkiem innem nierównie liczniejsze, jak u zwierząt jednej postaci i miłość ojcowska przechodzi u ludzi całą gamę najrozmaitszych uczuć, począwszy od nienawiści dla dzieci, trafiającej się najczęściej u zakochanych, ale także czasem u rozpustnych, albo skąpych ojców, aż do miłości namiętnej, większej nawet jak u zwyczajnych matek. Zazwyczaj bywa u ojców miłość dla dzieci przyrodzona, ale tak słaba, że jawi się tylko jako pewna dla nich przychylność, staje się silną i nawet namiętną, dopiero w chwili, jak im niebezpieczeństwo grozi, i to głównie od ludzi; wtedy bowiem budzi się w ojcu instynkt samca, powołanego do obrony gniazda. Zazwyczaj jednak dopiero miłość dla małżonki i towarzyszki życia każe mężowi troskać się o dzieci, przez nią namiętnie ukochane a przyzwyczajenie wzmaga to ojcowskie przywiązanie, oparte zresztą na poczuciu tego, że dzieci są rodzajem własności, do której budzi się przychylność, że są rzeczą oddaną pod opiekę ojca, który się shańbi, jeśli je opuści. Z latami wzra-

sta przeto ta miłość ojcowska; zwykła stroić się w powagę, nie bywa skłonną do pieszczoty, ma w sobie coś królewskiego, nie odzywa się prawie, wpływu na życie nie wywiera, gdzie chodzi o dzieci poza małżeństwem spłodzone.

Namiętną bywa natomiast miłość matki, choć i tu trafiają się wypadki zupełnej obojętności, albo nawet jawnej w obec dzieci niechęci, u kobiet o namiętnościach męskich — tych zwłaszcza, które się dały skusić do rozpasanego życia. Nie zważając jednak na rzadkie wyjątki, rzec można, że miłość macierzyńska bywa jedną z najpotężniejszych namiętności, silniejszą o wiele od przywiązania małżeńskiego, tak daleće, że każda matka staje się dla męża swego wymagającą, wszędzie gdzie o dzieci chodzi, że wiele kobiet zapatruje się na męża jedynie jako na ojca i potrzebnego dzieci opiekuna. Nieraz wdowa tą miłością uniesiona, potrafi w sobie, w razie potrzeby, męską wyrobić powagę, nieraz zdobędzie się w obronie potomstwa swego na odwagę równą męskiej. Miłość matki jest równie silną, gdzie chodzi o potomstwo nieślubne, bywa nawet namiętniejszą, ponieważ tu, podobnie jak przy wdowieństwie matka czuje, że także ojca zastąpić musi. Kobieta kocha dzieci drobne na odwrót od męża więcej od dorosłych, ale miłość macierzyńska gaśnie dopiero wtedy, kiedy synowie staną się zupełnie samodzielnymi a obcymi rodzicom — w obec córek trwa jeszcze o wiele dłużej: bywa skłonna do pieszczot i powolna wszystkim żądaniom dzieci. Matka niepowstrzymana przez religię albo rozsądek dzieci rada rozpuszcza, dla wszystkich innych ludzi bywa wymagającą, niesprawiedliwą, nawet bezlitośną, gdzie sądzi, że tem dzieciom dopomoże, nienawidzi tych, którzy roszczą prawa do równej lub większej u tych dzieci miłości. Stąd to podania i przysłowia ludowe, a niemniej poezya, powieść i dramat pełne są wspomnień tak częstej, srogiej nienawiści macochy dla pasierbów, świekry dla synowej, którym to niewieścim namiętnościom daje się mąż i ojciec tem łatwiej powodować, że u niego miłość dla dzieci wynika często dopiero z małżeńskiej miłości.

Konieczne jednak pożądanie dzieci jest wszystkim prawie ludziom wrodzone; za nieszczęśliwych mają się ludzie bezdzietni i usiłują przyrodzone sobie pragnienie sztucznie nasycić, wychowując cudze dzieci, albo choćby ukochane, domowe, najczęściej małe zwierzęta, a gdy kto dla zadowolnienia żądzy rodzicielstwa dzieci przybiera, szuka takich, któreby zupełnie od jego woli zawisłemi były, sądząc, że stosunek taki do przyrodzonego najpodobniejszym będzie. Istnieje także, a odzywa się wyraźnie żądza

posiadania wnuków, a na wnuki rozciąga się, lubo w słabszym nieco stopniu, miłość rodzicielska. W ogóle czują ludzie pociąg do dzieci i dzieci posiadają wdzięk własny, różny od uroku, spowodowanego potrąceniem o miłość zmysłową, a jednak tak silny, że malarze i poeci, chcąc nasze połechtać upodobania, zaludnili ziemię rojem dziecinnych genjuszów. Olimp pogański rzeszą amorków, chrześcijańskie niebo narodem aniołków, których dziecinną podobiznę oglądamy ze szczególniejszą, uśmiech zadowolenia wywołującą i czułe uczucia budzącą rozkoszą na obrazach mistrzów, o których czytamy chętnie w baśniach i fantastycznych poematach. Także i postępowanie dzieci bywa miłe, dlatego, że jest szczerze dziecinnem; patrzymy w chwilach wolnych z lubością na dziecinne zabawy, radzi dziecinnego słuchamy gadania i powieść o dziecku, lub powieść dziecinna cieszą starszych, byle ich dzieciństwo było prawdziwem — było nieudaną naiwnością, a urok naiwności tłumaczy w wielkiej mierze, niektórych wyłączne prawie zamiłowanie dla dzieł początkującej sztuki. Upodobanie nasze przenosi się na młode i małe zwierzęta a wreszcie na wszystko, co drobne, i przeto, podobnie jak widok dziecka, tak wszelka naiwność uśmiech wywołuje, a w wyższej komice niemałą rolę odgrywa.

Miłość przyrodzona dzieci ku rodzicom jest bardzo słaba, istnieje tylko samolubna instynktowna przychylność dla tych, od których dziecko zawisło, i świadoma potrzeba opieki, u drobnych dzieci żądza pieszczoty, przytulenia się do rodzicielskiego, a właściwie tylko do ciepłego, żywego ciała, podobna do instynktu pędzącego kurczęta pod skrzydła kwoki; z czasem dopiero rozwija się niekiedy na przyzwyczajeniu oparte przywiązanie, wzmożone przyrodzoną wdzięcznością, to jest miłem uczuciem, jakie wywołuje widok osób, których się wyobrażenie skojarzyło ze wspomnieniem radośnie przyjętych dobrodziejstw, a że dziecko od rodziców spodziewa się instynktownie dobrodziejstw jako rzeczy należącej się, a przeto nieupokarzającej, naturalną bywa wdzięczność dla rodziców kochających — zwyczajniejszą bywa w ogóle — (o ile tu mowa o uczuciu przyrodzonem a nie wolą własną narzuconem) — u młodszych i podwładnych, względem ludzi starszych lub poważniejszych, przypominających świadczeniem dobrodziejstw stosunek rodzicielski.

Miejsce miłości względem rodziców zajmuje w wielkiej mierze przyrodzona cześć, która się po części na wszystkich starszych i poważniejszych rozciąga. Istotą tego uczucia jest uznanie siły przemożnej ale opiekuńczej, mogącej także skarcić, ale karzącej do-

broczynnie. Trochę bojaźni do czci się domięszało, przeważa jednak spokojna ufność i czcić niepodobna, nie będąc przychylnie do przedmiotu czci usposobionym.

Cześć okazują zwierzęta domowe człowiekowi, dzieci rodzicom a zwłaszcza ojcu, a to uczucie u nich, lubo nie bywa namiętnością, skoro mu silne wzruszenia nie towarzyszą, bywa tak potężne, że żadnemu rozkazowi poważnie danemu, oporu nie stawią — jeśli zwłaszcza jednorazowej tyczy się czynności. Uczucie czci rozciąga się u dzieci także do starszych, choć bywa już słabsze: słabnie z latami, ale moc przyzwyczajenia i wspomnienie sprawiają, wskutek skojarzenia uczuć z wyobrażeniami, że dzieci zachowują zazwyczaj do śmierci dla rodziców silniejszą, młodzi dla starców mniej usilną cześć. W chwili, w której dziecko obawia się kary, ale jej pewnem jeszcze nie jest, sprawia przymieszka bojaźni przemianę czci pogodnej w grozę, już wzruszającą i przybierającą charakter namiętności, a jeśli obawa kary jest daleka i niepewna, wzruszenie potęguje tylko miłe uczucie czci i czyni je do pewnego stopnia rozkosznem. Jeśli wielkie niebezpieczeństwo grozi od przedmiotu czci, powstaje jednak przykry przestrach.

Podobnie jak przy miłości i przyjaźni, której postacią bywa cześć, uczucie to rozciąga się w słabszym stopniu na wszystko, co jego przedmiot przypomina: czcimy przeto przyjaciół rodzicielskich, dom i grób rodzicielski, gniazdo przodków i tychże pamięć. Czcimy także inne potęgi przemożne a dobroczynne, władzę i tych, którzy władzę dzierżą, królów, możnych, kapłanów i nawet insygnia władzy albo wysokiego urzędu. Czcimy człowieka dobroczynnego, posiadającego ogromne bogactwa lub wpływy, albo też geniusz, który zdziała to, czemu sami nie podołamy, przewidzi niedościgłą dla nas przyszłość. Z pewną czcią spoglądamy na przemożne i dobroczynne potęgi natury i na wszystko, co starością swoją przodków pradawnych przypomina, jakoto: słońce i gwiazdy, ruiny i stare drzewa: czcimy pamięć dawnych bohaterów i władców; a już z grozą świętą patrzymy na morze, rozszalałe wody, na ognie wielkie, wulkany i obłoki czarne kłębiące się na niebie, przepaściste urwiska. Wyobraźnia gminu nadprzyrodzonej żądna opieki ożywia duszą, na podobieństwo ludzkiej urojoną, siły przyrody, wszędzie wróżebnych, nadprzyrodzonych, szuka mocy, aby użyć grozy zabobonu; wykształcony wierzy w duchowe siły, dla zmysłów niedostrzeżone, władnące duszą i życiem, otacza je czcią religijną: wszędzie dostrzega rozum niezgłębiony w prawach wszechbytu ujawniony, wszechmocny, dobroczynny jak dawca życia, gro-

żny jak sprawca śmierci, wszechobecny, niepojęty, niezbadany; w obec niego czuje się jakby niczem, wie, że mu się nie obroni, z ufnością oddaje się jego mocy, grozą i czcią największą bywa przejęty. Wszystkie te religijnej grozy postacie, zamieniają się czasem w nieprzemożoną namiętność, od życia czynnego powstrzymują na chwilę albo na zawsze; pod ich wpływem kuli się człowiek, ugina kolana, składa ręce, bije czołem, nieraz łzy wylewa, mdleje czasem, wydaje wszystkie zewnętrzne przerażenia oznaki, tylko z rozkosznem raczej, a nie z bolesnem wzruszeniem.

Muzyk wywołuje grozę, naśladując odgłosy wzburzonej przyrody, albo każąc chórowi basów przemawiać jako jeden straszliwy mocarz; poeta liryczny wprost potęgę bóstwa albo przyrody opisuje, tragiczny przeraża rozkosznie, okazując działanie przemożnej wszechmocy, nazwanej z pogańska przeznaczeniem, z chrześcijańska niezgłębioną opatrznością; malarz i rzeźbiarz, wyobrażając postacie potężne a spokojne, przypomina bóstwo: potężną wywołuje grozę budowniczy, gdy piętrzy gmachy poważne, pełne prostoty w ogromie swoim raczej ponurym, a pod ich sklepieniami rozlega się głos kaznodziei, poruszający wiernych do łez rozkosznych, opisem Bożej wszechmocy i sprawiedliwości. Jak miłość zmysłowa i wojna nie przestaną istnieć, jak sztuka nie przestanie czarować, tak i religia nie zniknie z pośrodka ludzi i nie przestanie nimi władnąć, dopóki natura ludzka pozostanie taką, jaką jest w istocie swojej, to znaczy dopóki ludzkość ludzkością będzie. Pociechy będą w niej zawsze szukali ludzie, na czyny ich nigdy zbyt przeważnego nie wywrze wpływu; zadowalniając jedną z uczuciowych potrzeb człowieka, nie potrafi nas odrywać od innych równie przemożnych upodobań; na każdego oddziała zgodnie z jego indywidualnym nastrojem, wyjątki tylko zaprzęgnie ze wszystkiem do służby ołtarza.

Podobnież cześć i przywiązanie dla rodziców nie przytłumią instynktu gniezdnego, żądzy założenia własnego dla siebie i małżonki gniazda, wspólnej człowiekowi, wszystkim prawie ptakom i wielu zwierzętom ssącym. Przychodzi wiek, w którym w domu rodzicielskim ciasno; młodzian rwie się w świat szeroki, pragnąc samodzielności, dziewica tęskni za nowym domem, w którym będzie matką i żoną. Gdy młodzieniec dom rodzicielski opuści, czuje także tęsknotę za domem, tak silną, że woli nędzę u siebie, jak pod cudzym dachem dostatki; domaga się własności; sam zdobywa ją i broni jej na zewnątrz, sam potrafi gniazdo postawić, ale pozostanie zimnem, pustem, póki do niego nie zleci towarzyszka

dozgonna, dla której, sam nie wiedząc o tem, gniazdo właściwie budował. Dopiero jak żona i matka u męża zamieszkają, rad bywa ze swojej pracy, wie poco działa, i tu wyjątkowo, potrzebą natury przemożony, ponad tęsknotę przełoży troskę codzienną. Żona dom przystroi, jak własną stroi osobę; istnienie tego domu, posiadanie własności, w której zamieszkasz i w której się pożywisz, bywa u człowieka źródłem tęsknej a trawiącej żądzy, nie mniejszej jak ta, która wędrownym ptakiem władnąc, każe mu gniazdo budować, dziedzinę opanować, w której sam tylko z parką swoją gospodaruje, szukając tego, czego gniazdu potrzeba. Z innych źródeł płynie ambicya, pożądająca bogactwa i władzy, to za czem dusza tęskni, to dom ciasny ale własny, ciche gniazdo rodziny, stokroć od pałaców lepsze, w którem rodzina sobie samej wystarczy; a zatem najlepiej, aby się domek wznosił na wsi, wśród ogródka i pola uprawianego przez rodzinę szczęśliwą. Taka sielanka wydaje się wyobraźni i uczuciu naturalnym i najszczęśliwszym stanem człowieka; słuchamy radzi poetów, kiedy nam o niej prawią, patrzymy radzi w naturze, czy też na wizerunku, jeśli dostrzeżemy zagrodę albo domek, w których się taka odegrać może sielanka, a przeciwnie przechodzimy bez rozczulenia poprzed okazałe domy możnych, czasami nam się wydają wielkich miast kamienice, w których człowiek na chwilę tylko przysiędzie — jakby na dłuższym popasie. Sielankowe szczęście okazuje się prawie zawsze, szczęście rodzinne we własnem gnieździe, bywa bardzo często złudzeniem; walka życia człowieka wraz z gniazdem wiecznie niepokoi — tego gniazda jednak ludzie nigdy pragnąć nie przestaną — kto uszczęśliwienia rzesz pragnie, niech im pomaga posiąść gniazda własne, wystarczające sobie — w każdej najwspanialszej falansterze zmarnieją, żyjąc wbrew instynktowi, tęsknić będą za tem, co im się jedyną a niedostępną prawdą życia wyda, ale jeśli o tem zapomną, to tylko przez to, że zwyrodniawszy, staną się niezdolne żyć ludzkiem życiem, życie przekazać potomstwu swemu. A jak kto nacisk zechce kłaść na to, że szczęście w gnieździe nie dopisze troską zadławione, odpowiem, że ta troska bezpieczeństwa gniazda przedewszystkiem się tyczy; odejmiesz troskę jak gniazdo zabezpieczysz.

Samotność wydaje się człowiekowi okropnem nieszczęściem, samotne więzienie bywa dla niego najsroższą karą. Bez rodziny czuje się człowiek samotnym pośród tłumów, ale nie chce także samotności dla rodziny; człowiek jest zwierzęciem gromadnem, i często licznego towarzystwa bliźnich potrzebuje. Pierwszymi

towarzyszami człowieka bracia jego i siostry; bo choć tu głos krwi, jeśli istnieje, nader mało waży, wyrabiają przychylność dziecinne wspomnienia, przyzwyczajenie i poczucie wzajemnej przynależności; ta przychylność gruntuje szerszą rodzinę, gromadę, pokolenie a wreszcie naród. Instynkt gromadny, jak u wielu zwierząt, tak u człowieka, bywa dość silny, aby stać się bodźcem do dzielenia wspólnej doli, wspólnych niebezpieczeństw i wspólnych bojów, i wraz z przywiązaniem do wspólnego wielkiego gniazda, zwanego Ojczyzną, bywa jednym ze składników uczucia, zwanego patryotyzmem a może podstawą jego najpotężniejszą, nie dającą się łatwo przemódz; tradycye wspólne, wychowanie, religia, żądza chwały, mogą się przyczynić do utrwalenia i rozwinięcia tego uczucia; właściwem przyrodniczem jego źródłem pozostaje instynkt gromadny, który całej ludności objąć nie zdoła, szuka wyłącznego w niej grona, i znowu żadnem rozumowaniem, żadną w ogóle powagą przemódz się nie da, mając swoje źródło w przyrodniczej już naturze człowieka. Kosmopolita, to jest człowiek, do żadnej naturalnej nie należący gromady, żyje zapewne tak, jak żyje bóbr osamotniały — przestaje jednak być normalnie zdrowym człowiekiem, najczęściej zwyrodnieje, przy pierwszej sposobności przyłączy się do jakiejś gromady, która może być zakonem, korporacyą, spółką, gromadny instynkt rodzi wreszcie uczucia, imieniem tylko od patryotyzmu różne. Dzisiejsze wielkie narody nie zawsze z jednej pochodzą krwi, powstały z rozmaicie złożonych gromad ludzkich, a jedność mowy i obyczaju, a najczęściej także religii, sprawiły u jednostek w narodzie silne uczucie przynależności do jednej całości indywidualnej, spotęgowane jeszcze przez wpływy dziedziczności; a poczucie to bywa tak silnem, że człowiek odczuwa to, co naród spotkało równie silnie jak to, co się jego samego tyczy, że dola i niedola narodu wywołują u pojedyńczych jego obywateli uczucia smutku i radości, nadziei i obawy tak samo jakby się ich osobistego szczęścia tyczyły.

Radzi jesteśmy przebywać z ludźmi; w liczniejszem tylko gronie doznajemy świątecznego nastroju, rzesza ludzi przyciąga, szukają miast, jarmarków, godów, zgromadzeń, wszystkich miejsc, w których wielu ludzi bywa pospołu; najmilej nam przebywać ze znajomymi, dla których przyzwyczajenie pewną wyrobiło przychylność, ale gdy ich niema, przekładamy zazwyczaj towarzystwo obcych nad długą samotność, każdy człowiek prawie miłym bywa towarzyszem i o tyle przychylnymi bywamy dla wszystkich ludzi, odczuwając dla nich ową słabą i nadzwyczaj ułomną podobiznę

przyjaźni, którąśmy zwykli zdobić doniosłem mianem miłości bliźniego, albo miłości rodzaju ludzkiego. Nie chodzi tu koniecznie o rozmowę, wymianę zdań, zabawę: rzeczy te miłe towarzystwo ożywią, ale ulgą już bezpośrednia styczność z ludźmi, a znajomi przesiedzą nieraz z sobą chętnie, długie, milczące godziny. Obcując ciągle z jednymi ludźmi, poufalimy się i przywiązujemy — tem silniej, jeśli wspólne ponosimy trudy i niebezpieczeństwa i wtedy wyrabia się między nami do przyjaźni podobne uczucie koleżeństwa — nie tytularnego ale rzeczywistego.

U zwierząt miewa gromada prawie zawsze naczelnika, którego słucha ślepo, a co jedno zwierzę zrobi, to naśladują wnet inne. U ludzi chęć naśladownictwa i pęd do posłuszeństwa tkwią w uczuciu gromadnem. Pojedyńczy człowiek posłucha powagi, osobnego rodzaju przyjemności doznaje, naśladując drugiego i czyniąc nawet często bezmyślnie rzecz dla siebie szkodliwą lub śmieszną, ponieważ widział, że to inni robili, po namyśle i w rozumnym zamiarze. Ale to wszystko potęguje się dopiero w gromadzie, w niej się staje wszechmocnem. Naśladownictwo wytwarza ów duch korporacyjny, mocą którego towarzysze chętnie trzymają się jednego sposobu życia, choćby dla pojedynczego człowieka było uciążliwem, wskutek czego staje się możliwą karność tak w społeczeństwach ludzkich niezbądna. Nadzwyczaj trudno jednego bezbronnego mężczyznę w posłuszeństwie utrzymać, a dzięki instynktowi naśladownictwa, stają się niezliczone zastępy zbrojnych, ślepo posłusznem wojskiem; a słuchają chętnie wodza, przywiązują się do niego namiętnie, jeśli tylko do pomyślnych poprowadzi przygód. Karność trwa jak długo jest powszechną: gdy ją kilku zerwie bezkarnie, pęd naśladowniczy rwie się, rozprzęga się karność. Bezmyślny popłoch chwyta całe rzesze jak się kilku nastraszy: ludzie robią i powtarzają głupstwa przez naśladownictwo, a najdziwaczniejszym obłędom hołdują rozumni ludzie po zgromadzeniach licznych, skoro mniej zdolnych opanują. Tem się tłómaczy także panowanie mody, nietylko w strojach i drobnostkach, ale także w sztuce, nauce i polityce. Moc naśladowczego pędu sprawia, że całe narody jednego się dzierżą obyczaju, jednych praw, jednej religii, a jak długo obcowanie z cudzoziemcami innych nie okaże wzorów, bywają narody w tej jedności szczęśliwe, długo opierają się obcym wpływom i potrzeba wieków zanim instynktowną jednolitość rozbiją, osłabiając tem samem narodu żywotność. Naród, podobnie jak każda gromada potrzebuje wodzów, starszyzny, którą instynktownie przychylną czcią darzy. Czasem wśród wybuchu rewolu-

cyjnego gniewu jedną starszyznę wygubi, ale wnet drugą wytworzy; naturalnym i najpospolitszym rządem bywa monarchia, w której król jest niby wielkiej rodziny ojcem. Narody łakną uczuć dynastycznych, kochają zarówno groźnego jak niedołężnego pana, i chętnie tę miłość na jego dzieci przenoszą.

Niektóre zwierzęta tworzą rade gromadę z innemi wspólnie: tak n. p. żebry paszą się pospołu ze strusiami, a w osadzie chomików amerykańskich mieszkają także sowy i węże w pewnej postaci. W towarzystwie człowieka lubują się różne zwierzęta, które już z pierwotnym człowiekiem zamieszkały i których po największej części w dzikim stanie znaleźć niepodobna. Człowiek te zwierzęta dla własnych celów wykorzystuje; przywiązuje się jednak także do nich, a stosunek człowieka do konia a zwłaszcza do psa, jest przykładem takiej zażyłości pomiędzy gromadnymi różnej postaci organizmami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

## DAWNE ZABYTKI DZIEJOWE

# NOWEGO SĄCZA.

(Ciąg dalszy).

Najobszerniejsze jednak zapiski o daninach zamkowych posiadamy z epoki panowania Stanisława Augusta. Starostwo grodowe sandeckie podług lustracyi z r. 1765, dokonanej przez Franciszka Rychtera, podstolego krakowskiego, i Anastazego Garlickiego, podwojewodzego powiatu sandeckiego i czchowskiego, obejmowało miasta królewskie: Nowy Sącz i Piwniczną — tudzież 17 wsi: Stadła, Gostwica, Biczyce, Krasne, Trzetrzewina, Pisarzowa, Jamnica, Kunów, Falkowa, Kamionka, Łomnica, Ptaszkowa, Królowa polska i ruska, Mystków, Cieniawa i Mszalnica [1]). Oprócz robocizny płaciły powyższe miejscowości czynsz roczny do sandeckiego zamku, a mianowicie:

**Mieszczanie Nowego Sącza:** płacą czynszu z ziemszczyzny 108 złp.; żydzi placowego 300 złp., a lenungowego [2]) 64 złp.; rzeźnicy łakowego za cielęta i bydło 55 złp,, a za 10 kamieni łoju 90 złp.; przewoźnicy 60 złp.; rybacy 45 złp., razem 722 złp.

[1]) Wymienione miejscowości należały do dóbr królewskich; o innych zaś miejscowościach, należących do prywatnych właścicieli w obrębie starostwa, milczy lustracya.

[2]) Żołd wojskowy, strawne, płaca żołnierska.

**Mieszczanie Piwnicznej:** czynszu ogrodowego i za inne podatki 268 złp. 24 gr., lenungowego 72 złp., z młyna 84 złp., razem 424 złp. 24 gr.

**Wieś Stadła i Gostwica:** kmieci [1]) 16, robią bydłem po 4 dni: zagrodników 9, robią pieszo po 4 dni. Dają ziemnego czynszu, za kapłony, kury, oprawę [2]) według inwentarza, 174 złp. 18 gr., lenungowego 60 złp., od rybaków 18 złp., z przewozu 8 złp., z młyna 80 złp., razem 340 złp. 18 gr.

**Biczyce, Krasne i Trzetrzewina:** kmieci 18, robią bydłem częścią po 4 dni, częścią po 3 dni, a niektórzy czynszują; zagrodników 26, którzy częścią robią po 4 dni, częścią 3 lub 2 dni, a niektórzy czynszują; prócz tego dają ziemnego czynszu, za oprawę, jaja, 57 złp. 15 gr., ospowego owsa dają wierteli $118\frac{1}{2}$.

**Pisarzowa:** kmieci 18, robić powinni po 10 dni w rok, resztę czynszują; zagrodników 5, chałupników 3; ci wszyscy dają czynszu, z gajowszczyzny, za oprawę według inwentarza 1.106 złp. 12 gr., z browaru 840 złp., lenungu 72 złp., razem 2.018 złp. 12 gr.

**Jamnica:** poddanych 7, którzy częścią robią, częścią czynszują. Dają najmu, czynszu, za kapłony, jaja i oprawę według inwentarza, 151 złp. 15 gr., lenungu 21 złp., razem 172 złp. 15 gr.

**Falkowa:** poddanych 4, którzy częścią robią, częścią czynszują. Dają najmu, czynszu, za kapłony, jaja, oprawę według inwentarza, 63 złp. 25 gr.; kwartałowego z tych dwóch wsi (Jamnicy i Falkowej) 152 złp., lenungu 12 złp., razem 227 złp. 25 gr.

**Kunów:** poddanych 4, którzy częścią robią, częścią czynszują. Dają najmu, czynszu, za kapłony, jaja, oprawę, 137 złp. 23 gr., lenungu 12 złp., razem 149 złp. 23 gr.

**Kamionka:** poddanych 3, którzy częścią robią, częścią czynszują. Dają najmu, czynszu, za kapłony, jaja, oprawę według inwentarza, 77 złp. 19 gr., lenungu 9 złp., kwartałowego z tych dwóch wsi (Kunowa i Kamionki) 141 złp. 26 gr., razem 228 złp. 15 gr.

---

[1]) Rozróżniano 4 kategorye poddanych w królewszczyznach: 1) kmiecie czyli rolnicy trzymali całe role, 2) półrolnicy siedzieli na półrolkach, czyli gruntach powstałych przez wykarczowanie lasu, 3) zagrodnicy mieli chałupę i kawał gruntu, 4) chałupnicy samą tylko chałupę.

[2]) Poddani królewskich wsi obowiązani byli do oprawy czyli naprawy zamku — ponieważ jednak nie zawsze owej oprawy potrzebował zamek, więc zamiast niej płacili odpowiedni czynsz.

**Lomnica:** kmieci 21, wszyscy czynszują. Dają czynszu i z polan 598 złp. 24 gr., z 3 młynów 60 złp. 12 gr., lenungowego 72 złp., z propinacyi suchej raty 180 złp., razem 911 złp. 6 gr. Z tej sumy wytrąciwszy, co dają do Imci pana Balickiego 90 złp., pozostaje do skarbu 821 złp. 6 gr.

**Ptaszkowa:** ról 26, oprócz tych jedna księdzu oddana, zagród 7. Ci wszyscy dają czynszu, najmu, za oprawę, kapłony, kury, 979 złp. 5 gr., lenungu 72 złp., kwartałowego 480 złp., ospowego owsa wierteli 24½, razem 1.531 złp. 5 gr.

**Królowa polska i ruska:** ról 18, z których podatku nie dają żadnego, tylko powinni pachołków przysyłać na usługę do zamku; lenungu tylko dają 61 złp. 18 gr., kwartałowego z obydwóch wsi 285 złp. 10 gr., razem 346 złp. 28 gr.

**Mystków:** kmieci 10, zagrodników 15, chałupników 7, którzy częścią czynszują. Ci wszyscy dają czynszu, najmu, za kapłony, jaja, oprawę według inwentarza i z arendą 618 złp. 23 gr.

**Cieniawa i Mszalnica:** kmieci 20, zagrodników 8, chałupników 9, którzy częścią robią, częścią czynszują. Dają czynszu, najmu, za kapłony, jaja, oprawę według inwentarza, 972 złp. 26 gr., lenungu 60 złp. 26 gr., z browaru 200 złp., razem 1.233 złp. 22 gr.[1]).

Sumaryusz generalny intraty tego starostwa:

— Czynszu ziemnego, najmu, kwartałowego, za kapłony, kury, jaja, oprawę według inwentarza, 6.700 złp. 10 gr.

— Za żyto ospowe z dóbr Panien Starosandeckich (Klarysek) wierteli 532 po 3 fl. 15 gr. = 1.862 złp.

— Za owies ospowy wierteli 1.065 po 1 fl. 15 gr. = 1.597 złp. 15 gr.

— Za kur 287 po 6 gr. = 57 złp. 24 gr.

— Za oprawę według inwentarza 46 złp. 23 gr.

— Ze wsi Biczyc i Ptaszkowej za ospowy owies wierteli 139½ po 1 fl. 15 gr. = 209 złp. 7 gr. 9 denar.

— Za dań od owiec 465 złp.

— Lenungowego, co wsie i miasta składają, 578 złp. 14 gr.

— Od mieszczan sandeckich ziemszczyzny 108 złp.

— Od żydów tamecznych placowego 300 złp.

---

[1]) Lustratio originalis bonorum regalium in districtu sandecensi an. 1765. Acta Castr. T. 189.

— Od rzeźników za łój, flakowe, karkowe 145 złp.
— Od rybaków i z przewozu 105 złp.
— Z wolnicy 30 złp.
— Od mieszczan z Piwnicznej czynszu i z młyna 352 złp. 24 gr.
— Arenda sandecka z pańskim domem [1]) i młynami 6.500 złp.
— Arenda browarna ze Stadeł 500 złp.
— Arenda browarna z Biczyc 400 złp.
— Arenda browarna z Gostwicy 400 złp.
— Za krescencyą z 3 folwarków: w Stadłach, Gostwicy i Biczycach według rachunku, 6.092 złp. 10 gr. 13 denar.
— Za siana brogów 3 po 80 fl. bróg = 240 złp.
— Z Mystkowa za krescencyą, czynsze i wszelkie daniny, po odtrąceniu wydatków według rachunku, 826 złp. 9 denar.
— Za robociznę, którą folwark Michalczewski odrabia, a ten do lustracyi nie należy, 134 złp. 12 gr.
— Wieś Cieniawa i Mszalnica z Górkowskim w posesyi arendowej Imci pana Faygla, który regestrów nie pisał, na co przysiągł, zaczem według kontraktu pokazało się 2.128 złp. 3 gr.
Suma dochodów = 29.778 złp. 23 gr. 13 denar.

## Wydatki były następujące:

— Imci panu ekonomowi starostwa zasług 400 złp.
— Imci panu administratorowi w Stadłach 200 złp.
— Imci panu administratorowi w Biczycach 180 złp.
— Karbownikowi w Stadłach 4 złp.
— Na dwóch żołnierzy do egzekucyi i innych usług 578 złp. 14 gr.
— Dziesięciny ze Stadeł do kościoła w Piwnicznej 300 złp.
— Dziesięciny z Gostwicy do kościoła w Podegrodziu 48 złp.
— Dziesięciny pieniężnej z Biczyc 100 złp.
— Z placu, na którym młyny starościńskie stoją, mieszczanom sandeckim 36 złp.

---

[1]) Tak zwany „dom pański“ zbudował w r. 1764 na podwórzu zamkowem Michał Wolski, burgrabia sandecki. Spalił się w 1769 wraz z innemi oficynami zamkowemi.

Suma wydatków = 1.846 złp. 14 gr., którą odtrąciwszy pozostaje na intratę prowentu rocznego do kwarty [1]) 27.932 złp. 9 gr. 13 denar. To rozdzieliwszy na 4 części pozostaje do opłacenia kwarty 6.983 złp. 2 gr. 7 1/2 denara. Zaprzysiągł co do gotowej intraty Imci pan Wolski, jako komisarz, co do krescencyi Imci pan Wojciechowski administrator.

Hyberny [2]) z dóbr królewskich całego starostwa sandeckiego płacono 2.831 złp. 14 gr.

Podług tejże lustracyi starostwo liczyło 3 wybraniectwa [3]), 6 wójtostw i 3 sołtystwa [4]).

Wybraniectwa znachodziły się w Pisarzowej, Ptaszkowej i Trzetrzewinie.

Wybraniectwo w Pisarzowej było w posiadaniu Józefa i Salomei Sędzimirów, za przywilejem Augusta III. w Warszawie z dn. 4. grudnia 1752. Płacono z niego 50 złp. na rok, bo tylko półłanu trzymali.

Wybraniectwo w Ptaszkowej w posiadaniu Karola i Stanisława Traczewskich, za przywilejem Augusta III. w Warszawie z 29. listopada 1754. Płacono z niego 30 złp.

Wybraniectwo w Trzetrzewinie w posiadaniu Walentego i Joanny Nowakowskich, za przywilejem Augusta III. w Warszawie z 22. października 1762. Płacono z niego łanowego 50 złp.

Wójtostwa były: w Piwnicznej, Kokuszce, Trzetrzewinie, Woli Mystkowskiej, Pisarzowej i Ptaszkowej; sołtystwa w Mszalnicy, Łomnicy, Królowej polskiej i ruskiej.

Wójtostwo w Piwnicznej dzierżył Jan Alexander Bzowski, za przywilejem Augusta III. w Warszawie z dnia 13. sierpnia 1757. Do tego wójtostwa należało półrolników 11; jeden z nich robił bydłem 3 dni. a dziesięciu po 2 dni; zagrodników 4. Ci wszyscy

---

[1]) Czwarta część (quarta) z dóbr królewskich szła na wojsko, które z tego powodu kwarcianem zwano.

[2]) Aż do r. 1649 żołnierz po królewszczyznach i kościelnych dobrach zimował, a żywności dostarczali mu wieśniacy. Dopiero na sejmie 1649 r. stanęła uchwała, aby z pomienionych dóbr pieniądze na żywność przez wyznaczonych deputatów dla właściwych chorągwi pobierane były. Podatek ten zwano hyberną.

[3]) Wybraniectwa albo łany wybranieckie w dobrach królewskich, dlatego tak nazwano, bo przedtem z nich wybrańców do służby żołnierskiej dawano, a zebrany z nich żołnierz nazywał się piechotą łanową albo wybraniecką.

[4]) Miasta i wsi, rządzące się prawem magdeburskiem, miały wójtów (advocati); wsi zaś osadzone na prawie polskiem sołtysów (sculteti).

dawali czynszu, stróżnego [1]) i za oprawę 141 złp. 12 gr., z młyna 60 złp., razem 201 złp. 12 gr. Dochód ogólny z tego wójtostwa 1.123 złp. 18 gr. 12 denar., wydatki 147 złp. 18 gr., do kwarty 244 złp. 3 denary.

Wójtostwo w Kokuszce było w posiadaniu Michała i Elżbiety Marszałkowiczów, za przywilejem Augusta III. w Warszawie z 12. sierpnia 1759. Należało do niego 6 poddanych. Dochód ogólny 333 złp. 25 gr. 11 denar., wydatki 149 złp. 6 gr., do kwarty 46 złp. 4 gr. 16½ den.

Wojtostwo w Trzetrzewinie trzymał Tomasz Popławski, za przywilejem Augusta III. w Warszawie z 19. listopada 1760. Należało do niego zagrodników 6, którzy dawali czynszu i za oprawę 23 złp. 18 gr. Dochód ogólny 342 złp. 13 gr., wydatki 98 złp. 2 gr., do kwarty 61 złp. 2 gr. 12½ denar.

Wójtostwo w Woli Mystkowskiej posiadał Franciszek Rychter. podstoli krakowski. Należało do niego poddanych 6; trzech z nich robiło po 3 dni, a trzech po 2 dni; dawali za oprawę 3 złp. 18 gr. Dochód ogólny 315 złp. 8 gr. 9 denar., wydatki 172 złp., do kwarty 35 złp. 24 gr. 11 denar.

Wójtostwo w Pisarzowej posiadali Andrzej i Ludwika Lisiccy, za przywilejem Augusta III. w Warszawie z 15. marca 1757. Należało do niego zagrodników 11, którzy robili pieszo częścią po 3 dni, częścią po 2 dni, częścią przędli po sztuce za oprawę. Dochód ogólny 664 złp. 5 gr. 6½ denar., wydatki 138 złp., do kwarty 131 złp. 16 gr. 6 denar.

Wójtostwo w Ptaszkowej dzierżyli Piotr i Teresa Traczewscy, za przywilejem Augusta III. w Warszawie z 31. stycznia 1760. Należało do niego zagrodników 12, którzy robili częścią po 4 dni, częścią po 2 dni. Dochód ogólny 368 złp. 24 gr., wydatki 121 złp. 18 gr,, do kwarty 61 złp. 24 gr.

Sołtystwo w Mszalnicy posiadali Józef i Kunegunda Psarscy, za przywilejem Augusta III. w Warszawie z 29. stycznia 1757. Należało do niego kmieci 2, z pomiędzy których jeden robił 4 dni. drugi 2 dni; zagrodników 5, z których czterech robiło po 3 dni, a jeden 4 dni; chałupników 3, robili po 2 dni. Dawali za kapłony, kury, oprawę, czynszu 13 złp. 11 denarów. Dochód ogólny 597 złp. 15 gr. 16 denar., wydatki 157 złp. 18 gr., do kwarty 109 złp. 29 gr. 8½ denar.

---

[1]) Stróżne był to podatek na utrzymanie straży w zamku sandeckim.

Sołtystwo w Łomnicy trzymał Antoni Balicki. Chłopi żadnych robocizn nie odrabiali, tylko płacili czynszu 99 złp. 6 gr., do kwarty 24 złp. 24 gr.

Sołtystwo w Królowej polskiej i ruskiej posiadali bracia: Andrzej, Łukasz i Antoni Wyszowscy, za przywilejem Augusta III. w Warszawie z 19. listopada 1760, którzy żadnego podatku nie płacili, tylko hybernę do sandeckiego zamku [1]).

Na mocy dekretu gubernialnego z 6. maja 1785 r., zajął Rząd austryacki wraz z innemi dobrami koronnemi w Galicyi, także dobra królewskie w powiecie sandeckim, i rozsprzedał je powoli albo na inne zamienił. Ta wielka ekonomiczna przemiana dokonała się w latach 1785, 1811, 1812, 1817, 1829 i 1833, jak to wykazał w swem obszernem dziele Kornel Czemeryński [2]).

## Rozdział II.

### Ratusz miejski.

Pierwotny ratusz sandecki znajdował się na tem miejscu, gdzie do r. 1893 stało stare probostwo, t. j. dom murowany bezstylowy, o wysokim parterze, ze szkarpami przymurowanemi od strony ulicy św. Ducha i kościoła farnego. Rok jednak założenia tego pierwotnego ratusza znika w zamierzchłej przeszłości wieków. Tyle tylko wiadomo, że kardynał Zbigniew Oleśnicki po założeniu kollegiaty (1448 r.) zakupił stary ratusz *(vetus praetorium)* od miasta za 150 grzywien, i przeznaczył go na wspólne mieszkanie dla wikarych [3]). Prawdopodobnie około połowy XV. wieku, gdyż z braku źródeł ściśle czasu oznaczyć nie podobna, zbudowano ratusz nowy na środku dzisiejszego rynku.

Po tylu pożarach (1486, 1522 i 1611 r.) przestawiany i przeistaczany sandecki ratusz, ledwie jaki ślad zachował swej dawnej postaci. Nie wiemy też nic o kształcie jego budowy w XV. w., późniejsze zaś skąpe zapiski nie dają nam dość jasnego i dokładnego pojęcia o jego przekształceniu. Krótka tylko przecho-

---

[1]) Kopie tych wszystkich przywilejów królewskich, oblatowanych w grodzie sandeckim, znajdują się w Dyrekcyi Skarbowej we Lwowie, w wielkim tomie in folio: Neu Sandecer Starostey Einziehungsakt an. 1785.

[2]) O dobrach koronnych byłej Rzpltej polskiej. Lwów 1870.

[3]) Eccles. colleg. sandec. fundatio, dotatio. Vol. II. p. 14.

wała się wzmianka, że w piątek przed św. Michałem (25. września) 1523 r. Jan Kromer, burmistrz, i Stanisław Frant, wójt, pożyczyli 400 grzywien w imieniu miasta u ks. Macieja z Brzeźnicy, kustosza kollegiaty, na odbudowanie spalonego ratusza. Tę pożyczkę zabezpieczyli ks. kustoszowi na dobrach miejskich; zato zobowiązali się wybudować dwa ołtarze w kollegiacie i płacić dwom altarzystom po 8 grzywien rocznie [1]).

Z dalszych zapisków XVI. wieku dowiadujemy się, że w r. 1562 groził ratusz ruiną. Zapobiegając temu panowie rajcy, zawarli 17. sierpnia t. r. ugodę z Ludwikiem, mularzem [2]) włoskim, ten zaś zobowiązał się wybudować według swego planu nowy front o 12 oknach krzyżowych z kamzamsami w guście włoskim, izby i korytarz zasklepić, wyprowadzić wieżę zegarową, i zaopatrzyć pojedyncze izby odrzwiami z ciosowego kamienia. Prócz tego miał wystawić dwa kominy, mury otynkować i wybielić, a kamienie potrzebne do budowy własnym kosztem łamać i ciosać. Za tę robotę przyobiecali mu wypłacić 160 florenów, każdego tygodnia po 10 flor., skoro tylko roboty rozpocznie [3]).

---

[1]) Recognoscimus et palam fatemur, quia nos omnes et singuli simul, in praetorio civili nostro legitime congregati, unanimi voto et consensu omnium nostrum urgente nos ad hoc necessitate reipublicae civitatis nostrae, nuper bina voragine ignis conflagratae, ut muri, praetorium et alia eius aedificia igne attrita instaurentur, ex quibus commoda fisci nostri augeri valeant, recepimus et in effectu numeravimus a venerabili Domino Mathia de Brzeznicza, custode ecclesiae collegiatae sandecensis, quadringentas marcas pecuniarum monetae et numeri polonici consueti, quadraginta octo gross. marcam in qualibet computando ad usum nostrum civilem supra expressum convertendum..... Actum et datum in civitate Nova Sandecz, feria sexta ante festum Sancti Michaelis Archangeli proxima. Anno Nativitatis Domini millesimo quingentesimo vigesimo tertio. (Eccles. colleg. sandec. privilegia et jura. Volum. I. p. 18—19).

[2]) Nazwa murator nie zawsze znaczy prostego robotnika murarza, bo tak nazywano dawniej i architektów. Zob. Grabowskiego: Skarbniczka naszej archeologii. Lipsk 1854. str. 93.

[3]) Conductio aedificii praetorii fer. II. post fest. S. Laurentii proxima A. D. 1562. Nos proconsul et consules residentes et antiqui civitatis Sandecensis, unanimi consensu et voluntate nostra, considerando ruinam praetorii in brevi tempore, volentes eiusmodi ruinae in tempore incurrere, palam recognoscimus, quia conduximus et contractum fecimus cum Ludovico muratore Italo, muracionem pretorii more italico. Imprimis frontispicium juxta effigiem ipsius, quam nobis dedit, manu sua propria scripsit, ita et non aliter, in altum educere et ibidem in alto duodecim fenestras in modum crucis alias krzyzowe, in aestuario qua-

W kwietniu 1603 r. dano nowy dach na wieży ratusznej, pokryto go ołowianą blachą, olejno pomalowaną, i przyozdobiono gałką miedzianą pozłacaną. Roboty ciesielskie, ślusarskie i blacharskie przy tej budowie kosztowały ogółem 49 złp. 17 gr.[1]). W siedm lat potem 1610 r. zamówili rajcy u garncarza 4.000 dachówek za 24 złp. na pokrycie ratusza[2]). Nie przewidywano snadź, że ta pięknie odnowiona wieżyczka stanie się niebawem pastwą płomieni razem z ratuszem. W chwili pożaru miasta 19. czerwca 1611 r. spłonął między innymi budynkami i ratusz. Odbudowano i przeistoczono go dopiero między rokiem 1616—1618, jak pokazują wydatki na odrzwia kamienne, cegłę, pokrycie, schody prowadzące na górę, drzwi żelazne i t. p. W r. 1618 wypalono w cegielni miejskiej 30.000 cegieł, a na sam ratusz do sklepów i na filary u wierzchu wyszło jej 12.300, jak notuje Sebastyan Irzykowicz, rajca i lunar sandecki[3]).

Dzięki rozmaitym drobnym zapiskom, przechowanym w księgach wydatków miejskich, posiadamy dokładniejszy obraz jego budowy w XVII. wieku. Był to gmach jednopiętrowy, wielkości i budowy bez mała ratusza tarnowskiego, o okrągłej wieżyczce i wązkich oknach w półokrąg sklepionych; od owego ratusza, który przetrwał aż do ostatniego pożaru w r. 1894, prawie o $^2/_3$ większy, i rozciągał się znacznie dalej w stronę wschodnią, jak wskazują ślady pozostałe do ostatnich czasów na bruku, w miejscu trochę podwyższonem, gdyż pod nim znajdują się mury fundamentów i prawdopodobnie dawnych piwnic zasypane. Wchód jego obrócony był ku wschodowi słońca, a schody wiodły na galeryę otwartą na pierwsze piętro, składające się, oprócz innych pokoi,

---

tuor fenestras, in testudine de estuario unam, in palacio duas, etiam krzyzowe z kamzamsy, in forma prout apud D. Gruczka. Item hostiaria dissecta alias ciosane in palatio et in monte tria, turrim ubi horologium, super frontispicia educere et testudinem facere cum hostiario. Item lapides super cios in monte suo sumptu lapides frangere, quantum necessitas postulaverit. Item praetorium in toto et undique dealbare, item stubam de novo albare, antiquam dealbationem repercutiendo, item duo infunibula alias kominy, unum in palatio alterum de testudine in palatio. A quo aedificio centum et sexaginta florenos monetae et numeri polonicalis debemus et tenemus dare, qualibet septimana 10 florenos, quando incipiet laborem exercere... (Regestrum provent. et distribut. an. 1555—1580. T. 101. p. 157).

[1]) Distributa ex an. 1603 f. 79.

[2]) Distributa f. 342.

[3]) Distributa f. 166.

z wielkiej sieni, niezbyt wielkiej izby sklepionej, i małego również „sklepionego skarbca“. Była to izba górna czyli „radziecka“, i skarbiec miejski, gdzie chowano księgi, przywileje i skarb *(aerarium)*. Tuż obok drzwi radzieckich był wchód do wieży i dzwonka ratusznego, którym zwoływano pospólstwo na gromadne wiece. Na dole zaś, okrom innych lokalności, było „prawo“ w dużej izbie pod izbą radziecką, z podobną izdebką jak skarbiec. Tu sądził wójt i surowa ławica, czyli ławnicy, a przed zawyrokowaniem chodzili na ustęp, czyli prywatną naradę, do izdebki. Jak obok radzieckiej izby skarbiec i dzwonek, tak do izby wójtowskiej przypierały więzienia, mianowicie groźna „szatława“, czyli katownia podziemna, gdzie na torturach męczono i badano winowajców — i zwyczajny „kabat“, czyli lżejsze więzienie ratuszne. Był też sklep murowany (ubikacya sklepiona) na samym dole ratusza, tak zwany „cekauz“, t. j. skład na armatę ratuszną, proch i inne rynsztunki wojenne, o czem znajduję wyraźną wzmiankę w księdze wydatków miejskich pod rokiem 1608 [1]). Lecz już w r. 1615 zesłani komisarze królewscy przykazali, „aby prochy były odtąd z ratusza zniesione i w miejscu odosobnionem i od rynku odległem chowane, a to dla jakiego uchowań Boże! niebezpieczeństwa, pod karą 600 złp.“ [2]). Okna, tak w izbie radzieckiej jako i wójtowskiej, były oszklone małemi okrągłemi szybkami, oprawionemi w ołów, jak świadczą zapiski pod r. 1659. „Za półtorasta szyb weneckich na okna do izby wójtowskiej 3 złp. 9 gr., od roboty błoniarzowi od tychże okien 5 złp.“ [3]).

Na wieży ratusznej był umieszczony zegar bijący, który nakręcał zegarmistrz miejski i pobierał za ten trud kwartalnie 24 gr. — rzadko kiedy 1 złp. — osobno na oliwę do zegaru 6 gr.; prócz tego miał wolne pomieszkanie w osobnym „domku zegarmistrzowskim“ w bronie węgierskiej. Na tej wieży ratusznej w małej izdebce, opatrzonej piecem kaflowym, czuwał trębacz, wytrębując godziny uroczystości lub trwogi miejskiej. Zwyczaj trąbienia hejnałów z wieży ratusznej odległej sięgał przeszłości. Już bowiem w r. 1558 znajduję wydatki na miejskiego trębacza *(tibicinator)*. W trzy lata potem (1561) sławetni rajcy zgodzili na rok niejakiego Józefa Nieszkowskiego, mieszczanina sandeckiego, „ażeby na surmie czyli szałamai trzy razy dziennie: o świcie, w południe

[1]) Distributa f. 283, 285.
[2]) Lustratio proventuum civilium an. 1615. artic. 30.
[3]) Distributa e mense augusto an. 1659.

i na dobranoc wygrywał: po każdem zaś wybiciu godziny na trąbie się odzywał", zaco płacono mu tygodniowo po 20 gr.[1]) — W XVII. wieku pobierał zato trębacz miesięcznie 4 złp. — czasami 5 złp. 10 gr. — rzadko kiedy 8 złp.; miał przytem wolne mieszkanie w „domku trębaczowym". Na wypadek ognia budził mieszkańców ze snu przeraźliwem trąbieniem. O godzinie 10 wieczór dawał znak na spoczynek[2]), wytrębując swą zwykłą pieśń:

Hej panowie gospodarze,
Już dziesiąta na zegarze:
Strzeżcie ognia i złodzieja,
Boga chwalcie — w nim nadzieja!

Ratusz sandecki został ostatecznie zmieniony i przerobiony w r. 1854. Sądząc z jego odrzwi kamiennych i węgarów okien przed spaleniem 1894 r., budynek ten należał do XVII. wieku, pod dachem gontowym, ze szczytem barokowym, z przybudowanem drugiem piętrem w r. 1834 i umieszczeniem głównego wejścia od strony południowej. Z głównych drzwi wchodziło się do sieni, w której była zaraz klatka schodowa, gdzie proste drewniane schody prowadziły na obydwa piętra: na każdem piętrze znajdowały się takie same ganki na około, z których na trzy strony prowadziły drzwi do kancelaryi magistratualnych. Na drugiem piętrze była sala posiedzeń rady miejskiej i kancelarya burmistrza, na dole zaś znajdowały się lokalności policyi miejskiej[3]). Jeszcze w r. 1884 lokalności te służyły za odwach dla załogi wojskowej. Na pierwszem piętrze zachowały się dawne izby sklepione o kamiennych odrzwiach, a w jednej z nich, skarbcem zwanej, przechowywało się archiwum miejskie.

Archiwum mieściło w wielkiej dębowej kowanej staroświeckiej skrzyni o 3 zamkach, oryginalne pergaminowe przywileje królów polskich, nadane miastu, począwszy od Wacława 1292 aż do Stanisława Poniatowskiego 1766 r., zaopatrzone wielkiemi pieczęciami woskowemi na grubych jedwabnych sznurkach. Przywileje te tyczyły się przeważnie wolności od opłaty ceł na Wiśle

[1]) Regestr. proven. et distrib. T. 101. p. 150.

[2]) W razie nieobecności trębacza w mieście spełniał tę posługę na wieży ratusznej bębenista miejski.

[3]) Pierwsze wspomnienie o policyi miejskiej w Nowym Sączu napotykam dopiero w r. 1788. Składała się tylko z inspektora, czyli rewizora, i dwóch umundurowanych policyantów. Inspektorem był Dinot de Vigneulle.

i Dunajcu, składu kruszców i soli bocheńskiej, ruchu handlowego na Rusi i Spiżu, jarmarków i innych rozmaitych swobód [1]). Były tam także dwa oryginalne przywileje bł. Kingi i jeden księżnej Gryfiny z końca XIII. wieku. Dnia 17. kwietnia 1894 r., w czasie okropnego pożaru miasta, spłonął także ratusz a wraz z nim zetlała kowana skrzynia ze wszystkimi przywilejami. Na szczęście pięć lat przed tym pożarem miałem w ręku owe przywileje, porobiłem z nich odpisy i znaczne wyciągi, które mi przy pisaniu „Historyi Nowego Sącza“ dobrą wyświadczyły przysługę.

Prócz tego mieściły się w temże archiwum na osobnych półkach akta ławnicze i radzieckie od 1488—1782 r.: księgi cechowe z XVI—XVIII. wieku: dyaryusz kupiecki Jerzego Tymowskiego z lat 1607—1631; wreszcie księgi dochodów i wydatków miejskich od 1555—1580 r., tudzież od 1601—1669, które szczęśliwie ocalały, a dla badacza i miłośnika przeszłości są bogatem źródłem. Dwie z pomiędzy tych ksiąg (Percepta et distributa 1601—1612 i 1616—1623) oprawione w skórę, świadczą o wysoko rozwiniętym przemyśle introligatorskiej sztuki [2]). Na obydwóch okładzinach są wyciśnięte *en relief* postaci Ojców Kościoła: św. Augustyna, Ambrożego, Grzegorza i Hieronima; po bokach zaś w medalionach popiersia: Zygmunta I., Zygmunta Augusta, Stefana Batorego i Zygmunta III. Podobne odciski widzimy na okładzinach dyaryusza Tymowskiego. Inne księgi wydatków i dochodów miejskich oprawione są w pergamin z dawnych antyfonarzy i nut kościelnych XIV. i XV. wieku. Tak zwane koncerze, t. j. miecze długie przechowywane w archiwum, były oznaką starszych cechowych; miecze zaś używane do egzekucyi za czasów polskich, zabrano stąd w czasie stanu oblężenia *(Belagerungszustand)* w r. 1849. Zabrano również wtenczas i przewieziono do Lwowa chorągiew gwardyi narodowej sandeckiej z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej, oraz z pieczęcią [3]).

Dnia 6. lipca 1895 r. założono w samym środku rynku pierwsze fundamenta i wzniesiono okazały ratusz jednopiętrowy z wieżą zegarową. Stary ratusz zburzono do szczętu i ślad z niego niezostał.

---

[1]) Streszczenie tych wszystkich przywilejów podałem w I. tomie Historyi Nowego Sącza.

[2]) Cenę oprawy książek w XVII. w. podaje jeden zapisek z r. 1627: „Introligatorowi od introligowania pięci ksiąg miejskich radzieckich i wójtowskich 10 złp.“ Distributa f. 117.

[3]) Obecnie znajdują się w muzeum hist. przy archiwum miejskiem we Lwowie.

## Rozdział III.

### Dwór biskupów krakowskich.

Dwór biskupów krakowskich stał na miejscu dzisiejszego więzienia. Jan Muskata, biskup krakowski († 1320), posiadając znaczne dobra w sandeckiej ziemi, chętnie przebywał w Nowym Sączu, założonym przez króla Wacława czeskiego w r. 1292. Widok przecudnej przyrody nad Dunajcem, napływ ciągły kolonistów niemieckich ze Śląska, wabił go chętnie, jako Ślązaka, w to urocze ustronie górskie, dlatego też założył tam z cisowego drzewa [1]) swą rezydencyę letnią, która przetrwała kilka następnych wieków. W czasie wielkiego pożaru miasta 16. września 1522 r. o godzinie 18 (2 po południu), spłonął także porządnie zbudowany dwór biskupi [2]); odbudował go później a właściwie z fundamentów wymurował Piotr Tomicki, biskup krakowski i podkanclerzy koronny († 1535).

W drugiej połowie XVI. wieku, z powodu powodzi Dunajca podmokło wzgórze, zarysowały się znacznie mury i dwór cały groził ruiną. Dlatego Filip Padniewski, biskup krakowski, wyznaczył na reparacyę nadwerężonych jego murów 500 złp., i w przeciągu trzechlecia (1566—1568) został przywrócony do pierwotnej okazałości swojej, jak świadczy współczesny rejestr wydatków, który znalazłem pomiędzy zarzuconymi dawnymi aktami Nowego Sącza:

*Reverendus Dominus Philippus Padniewsky, Dei gracia Episcopus Cracoviensis et Dux Severiensis, considerans ruinam curiae suae in Civitate Sandecensi sitae, quae per fluvium Danubii (sic) in brevi corruisset, ex sua benignitate ad restaurandum murum curiae suae florenos quingentos apud Generosum Dominum Christophorum Bransky, vladarium suum sandecensem, ostendit, qui Dominus Bransky ad racionem summae quingentorum florenorum, florenos trecentos et quinquaginta Dominis Consulibus dedit, quorum exposita sequuntur...* (Tu następuje obszerny i szczegółowy rejestr wydatków na materyały budowlane, jako to: kamienie, piasek, cegły, wapno, margiel, drzewo, żelazo, tudzież na rzemieślników i robotników).

---

[1]) Las cisowy znajdował się w XIV. w. na stromem wzgórzu od zachodu i południa miasta, gdzie dzisiaj wzgórze zamkowe i ogród więzienny.

[2]) Zob. szkic histor. Nowy Sącz, str. 35.

Pod koniec XVI. wieku dwór biskupi znajdował się znów w opłakanym stanie. Jerzy Radziwiłł, kardynał i biskup krakowski, nosił się z myślą odbudowania go już w czasie swej wizyty kanonicznej w Nowym Sączu 1597 r. Kazał nawet nagromadzić potrzebne do tego materyały, tymczasem zaskoczyła go śmierć 1600 r. i rzecz spełzła na niczem. W r. 1608 sterczały jeszcze tęgie mury tego zruinowanego dworu z bramą wchodową i czterema herbami, rzeźbionymi w kamieniu, a mianowicie orzeł z hełmem kardynała: Fryderyka Jagiellończyka († 1503 r.) — herb Dębno kardynała: Zbigniewa Oleśnickiego († 1455 r.) — herb Trąby kardynała: Jerzego Radziwiłła, i herb Abdank biskupa: Jana Konarskiego z r. 1515 [1]).

Dalsze jego dzieje nie są nam bliżej znane. Według wszelkiego prawdopodobieństwa nie kuszono się już wiecej o jego odbudowanie. Nie ma też o nim najmniejszej wzmianki przy opisie pożaru miasta w roku 1611 i 1637 Tyle tylko wiadomo, że w roku 1652 obszerny plac z ogrodem (tak zwane Biskupie), gdzie stał ów dwór biskupi *(curia episcopalis)*, należał do starosandeckich Klarysek [2]). Na tym placu rozpoczęły później budować dla siebie kościół z funduszu ks. Szymona Jaroszowskiego, proboszcza kollegiaty sandeckiej († 1653); w r. 1670 wyprowadziły już pod dach mury jego, lecz go nie dokończyły. Dopiero w r. 1732 nabyli OO. Pijarzy od Klarysek mury rozpoczętego kościoła za 3.000 złp.[3]) i dźwignęli przy nim niebawem dwupiętrowe kollegium, w którem mieszkali aż do swej kasaty 1786 r. Opisowi ich kościoła poświęcimy na właściwem miejscu osobny rozdział.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

[1]) Z archiwum biskupiego w Krakowie nr. 5.

[2]) Regestr poborowy na piechotę hetmańską, ułożony 6. kwietnia 1652.

[3]) Act. Castr. Rel. T. 159. p. 1011.

# WITWICKI i ŻUKOWSKI.

Wzajemne stosunki literatury polskiej i rossyjskiej nie miały szczęścia u naszych historyków literatury, kiedy nawet wpływ jednego z twórców kierunku romantycznego w Rossyi — Wasyla Żukowskiego — na początki romantyzmu w Polsce w pierwszych dwu dziesiątkach lat jego istnienia nie jest dotąd zbadany wszechstronnie. Udowodniono już, co prawda, że Neryna Tomasza Zana — to tłómaczenie Ludmiły Żukowskiego [1]), że kilka utworów Bohdana Zaleskiego jest naśladowanych z tego poety [2]), że nakoniec nawet Mickiewicz uległ oddziaływaniu utworów północnego śpiewaka tworząc swoją Ucieczkę [3]). Pomimo tych fragmentarycznie rzuconych twierdzeń przedmiot sam nie jest ani należycie opracowany, ani wyczerpany. To też chcielibyśmy podać teraz jeszcze jeden fakt wpływu Żukowskiego na poezyę polską romantyczną, bo i Stefan Witwicki, jeden z pierwszych naszych zwolenników nowego kierunku w literaturze, nie oparł się oddziaływaniu Żukowskiego, kiedy postać Świetlany, siedzącej przed zwierciadłem w noc głuchą, przyciągała silnie ku sobie wyobraźnię młodego poety, który, pozbawiony talentu samodzielnego, zgromadził w swoich Balladach i Romansach całe mnóstwo akcessoryów, wyjętych z pism innych autorów, sądząc widocznie, że w ten sposób posiądzie wszystkie warunki, jakich było potrzeba, ażeby przypodobać się czytającej ówczesnej publiczności, skłaniającej się ku romantyzmowi.

[1]) Dr. J. Kallenbach. Kilka słów o „Nerynie“. (Rozprawy wydziału filologicznego Akademii Umiejętności. XIII.).

[2]) Dr. O. Kołessa. Ślidy wpływu W. Żukowskoho w poezyjach B. Zalieskoho. (Żytie i słowo. Lwów, 1894, str. 124—134).

[3]) Dr. O. Kołesa. Mickiewicz a Szewczenko. Lwów, 1894.

Utworem tym, który powstał pod przemożnym wpływem Żukowskiego, jest nadzwyczaj długa ballada p. t. Wieczór św. Andrzeja, skreślona, jak powiada przypisek, „z powieści ludu ukraińskiego“. Tymczasem, jeśli przypatrzymy się dokładniej temu utworowi, zobaczymy bez trudu, iż nie jest on wcale zaczerpnięty z tego źródła, o jakiem sam poeta wspomniał, iż nie jest dalej wcale balladą oryginalną, a tylko nader wierną i ściśle trzymającą się swojego pierwowzoru przeróbką Świetlany Żukowskiego.

Wprowadził tedy Witwicki na samym początku Wieczoru św. Andrzeja dziewczęta, które

„Rozesłały białą płatę,
Tiu, tiu wołają na kury,
Jęczmienia kłosy wąsate,
I proso sypią im z góry.
I wodę w cebrzyki leją,
I pierścionki i kólczyki.
Wraz powrzucały w cebrzyki.
. . . . . .
Teraz przez wrota chustki ciskają:
Teraz wosk topią, teraz śpiewają
Wieczór świętego Andrzeja!“ [1])

Tak samo zaczyna Żukowski wspomnianą powyżej balladę, bo i u niego dziewczęta

„За ворота башмачокъ,
Снявъ съ ноги, бросили;
Снѣгъ пололи: подъ окномъ
Слушали, кормили
Счетнымъ курицу зерномъ;
Ярий воскь топили;
Въ чашу съ чистою водой
Клали перстень золотой,
Серги изумрудны;
Розстилали бѣлый платъ,
И надъ чашей пѣли въ ладъ
Пѣсенки подблюдны.“ [2]).

Parafraza tej tedy sytuacyi u Witwickiego, jak widzimy, niemal dosłowna, słowo zaś „płata“ w znaczeniu „płachty“ zostało wbrew duchowi języka polskiego przeniesione z ballady Żukowskiego. Zresztą oprócz zmiany i przestawek kilku poszczególnych

[1]) St. Witwicki. Ballady i romanse. Warszawa, 1824. I. str. 115—116.
[2]) W. Żukowskij. Stichotworienija. Petersburg, 1835. III. str. 139.

wierszy niczego nie dodał nasz poeta od siebie, coby było wstanie zmienić zapożyczoną sytuacyę. W drugim ustępie ballady Witwickiego spostrzegamy pomiędzy rozbawionemi dziewczętami smutną i zapłakaną Makrynę:

Za cóż ty tylko dziewczyno,
Ty tylko jedna Makryno,
I niema i zapłakana,
Śród nich stoisz jakby ściana?
Cóż to ci się stało złego?
Mów nam siostro co takiego?
Czemu zalewasz się łzami?
Czemu nie śpiewasz tak z nami:
Czeka w cerkwi mój młodzieniec,
Dajcie siostry pierścień, wieniec:
Ja uwieńczę się tym wieńcem,
Tym zaręczę się pierścieńcem,
U ołtarza z mym młodzieńcem.
Przestań zalewać się łzami,
Spiewaj Makryno z siostrami [1])".

Słowa zaś powyżej przytoczone nie są niczem innem, jak tylko znowu parafrazą dalszej strofy Świetlany. Przeróbka to nadzwyczaj niezgrabna, bo pominąwszy już takie dziwolągi językowe, jak n. p. „pierścieńcem", co wykracza poza granice *licentiae poëticae*, należy wytknąć to, iż Witwicki nie dodał nic własnego, coby nadało utworowi piętno indywidualności poety, ale zadowolił się dorzuceniem kilkunastu nic nie znaczących frazesów, które tylko zepsuły obraz zapożyczony z ballady Żukowskiego, bo to, co on wypowiedział w kilku wierszach, rozwlekły najniepotrzebniej do kilkunastu. A z powodu tych wstawek Witwickiego, cały ustęp stracił na jędrności, jaka cechowała go w oryginale rossyjskim, który obraz oddał zwięźle a wyraziście:

„Молчалива и грустна
Милая Свѣтлана.
„Что подруженька, съ тобой?
Вимолви словечко;
. . . . . .
Пой красавица: „кузнецъ,
„Скуй мнѣ златъ и новъ вѣнецъ,
„Скуй кольце златое;
„Мнѣ вѣнчатся тѣмъ вѣнцомъ.

[1]) S. Witwicki. Ballady. I. str. 116—117.

„Обручаться тѣмь кольцомъ
При святомъ налоѣ". [1])

Trzeci ustęp Wieczoru św. Andrzeja wolny jest już niemal od parafrazowania wierszy Żukowskiego, choć sytuacya cała osnuta została na odpowiednich strofkach ballady rosyjskiej:

„Какъ могу, подружки, пѣть?
Милый другъ далеко;
Мнѣ судьбина умереть
Въ грусти одинокой".

U Żukowskiego tedy przyczyną smutku Świetlany jest brak wiadomości od kochanka, który wyjechał na wojnę przed rokiem i dotąd wieści nie daje o sobie, u Żukowskiego utęskniona dziewczyna w prześlicznych słowach błaga, ażeby powrócił jej anioł-pocieszyciel, by ukoić jej żal i ból. Na podstawie owej z wielkim nakładem artyzmu stworzonej sceny Żukowskiego, wkłada Witwicki w swojej balladzie w usta Makryny opowiadanie o Mironie, który wyruszył na Tatarów „chciwy ran i chwały" i dotąd nie wraca, zapewne zginął w boju. Analogia tedy wyraźna i jasna. Cała jednakowoż ta strofa, w której Makryna tłómaczy się, dlaczego nie chce razem z innemi dziewczętami spiewać pieśni, została nadzwyczaj nieudolnie skreślona. Bo czyż mogą wywrzeć jakie silniejsze wrażenie takie n. p. bezbarwnie wypowiedziane słowa:

„Nie mnie spiewać lube siostry,
Wam spiewać. — mnie wyrok ostry
Wszystko wydarł już na świecie"...[2])

Czwarty ustęp ballady Witwickiego powstał pod oddziaływaniem dwu czynników, z których jednym był utwór Żukowskiego. Z niego bowiem dostało się do Wieczoru św. Andrzeja parę drobnych akcessoryów, a mianowicie rada przyjaciółek, iż dziś w nocy może Makryna ujrzeć w zwierciadle przy świetle „jednej świecy" cień swego kochanka, jakoteż końcowe wiersze tego ustępu, zaczynające się słowami: „Czeka w cerkwi mój młodzieniec"..., o których powyżej była już mowa. Drugim czynnikiem było wierzenie ludowe, iż „gdy na zwierciadle wystąpi pot biały, znaczy, że kochanek żyje; gdy zaś czerwony, że umarł"...[3]) Na

[1]) W. Żukowskij. Stichotworienija. III. str. 140.
[2]) Witwicki, str. 117.
[3]) Ibidem, str. 134.

podstawie tego to wierzenia osnuł Witwicki cztery wiersze w Wieczorze św. Andrzeja.

Siada więc w balladzie Żukowskiego Świetlana naprzeciw zwierciadła oczekując przybycia kochanka:

„Вотъ красавица одна;
Къ зеркалу садится;
Съ тайной робостью она
Въ зеркало глядится;
Темно въ зеркалѣ; кругомъ
Мертвое молчаніе;
Свѣчка трепетнымъ огнемъ
Чуть лѣтъ сіанье...
Робость въ ней волнуетъ грудь,
Страхъ туманитъ очи...
Съ трескомъ пыхнулъ огонекъ,
Крикнулъ жалобно сверчокъ
Вѣстникъ полуночи.“ [1]).

Dodawszy tylko parę niezgrabnych i zupełnie niepotrzebnych wierszy na początek ustępu piątego ballady, nie uważał Witwicki za stosowne postarać się w dalszym ciągu o oryginalność, lecz zadowolił się parafrazą przytoczonego wyżej ustępu Świetlany Żukowskiego, parafrazą zbliżoną bardzo do tłómaczenia, ale tak lichą i tak nieudolną, że znikły w niej do szczętu wszystkie te piękności, jakiemi odznaczał się analogiczny ustęp rossyjskiej ballady, brak zaś poczucia miary artystycznej, który objawił się w wysokim stopniu u Witwickiego, dokonał reszty. Stąd też w miejsce obrazów skreślonych plastycznie, w miejsce słów krótkich, któreby były w stanie oddać należycie grozę sytuacyi, kiedy to Makryna, o północnej dobie siada przed zwierciadłem, mamy w balladzie Witwickiego obraz mdły, rozwodniony niepotrzebnemi wstawkami, które wyszły tylko na szkodę utworowi. W Wieczorze św. Andrzeja napotykamy taką samą sytuacyę jak u Żukowskiego:

„Makryna sama chodzi w komnacie...
Bierze krucyfiks, idzie do zwierciadła,
I stawia świecę — i już usiadła...
Słucha — cicho — długo słucha —
Długo wszędzie cisza głucha...
Aż coraz się jej robi nieprzyjemniej...
Coś w zwierciadle zciemniało...
I coraz ciemniej... ciemniej! jeszcze ciemniej!
I płomyk świecy coraz się ściska...

[1]) Żukowskij, str. 142.

Już ledwo błyska...
Makrynie serce ledwo nie wyskoczy,
Bije jak młotem,
Już patrzeć nie śmie, zamyka oczy,
Zimnym zlana potem!
Cóż to? świeca pryskając strzela płomień śmiały.
W szparach świerszcze zapiszczały" [1]).

Jak tedy widzimy — cały opis, zawarty w Świetlanie Żukowskiego, dostał się do utworu naszego poety — tylko, że przez to utracił całą swoją jędrność i zwięzłość, gdyż Witwicki nie potrafił nawet dobrze naśladować swojego mistrza. Ciąg dalszy utworu Witwickiego zgadza się również najzupełniej z balladą rossyjskiego poety:

„Чуть Свѣтлана дышитъ...
Вотъ легохонько замкомъ
Кто-то стукнулъ, слышитъ;
Робко въ зеркало глядитъ:
. . . . . .
Занялся отъ страха духъ...
. . . . . .
Я съ тобой, моя краса.
. . . . . .
Оглянулась.... милый къ ней
Простираетъ руки.
„Радость, свѣтъ моихъ очей,
Нѣтъ для насъ розлуки.
Ѣдемъ! Попъ ужъ въ церкви ждетъ
Хоръ вѣнчальну пѣснь поетъ"...[2])

Tak samo ma się rzecz w Wieczorze św. Andrzeja tylko, że opis przybyłego kochanka, którego brak w balladzie Żukowskiego, jest tutaj szczegółowy i że ustęp powyższy przybrał znowu szersze rozmiary w parafrazie:

„Północ!... Makryna zaledwo dyszy...
Przecie dzwon ustał... Lecz cóż znów słyszy?
Brzęk, brzęk, koło zamka...
Brzęknęła klamka!
. . . . . .
Patrzy w zwierciadło...
. . . . . .
Struchlała!...
Jakiż głos?... Ach! głos to znany:

[1]) Witwicki, str. 119—120.
[2]) Żukowskij, str. 142—143.

„To ja jestem twój kochany"...
Ogląda się Makryna,
Stoi Miron w bieli!...
„Żadna godzina
Nas nie rozdzieli:
Wieczne złączenie!
Ksiądz czeka w kościele,
Chór podniósł już pienie"[1]).

Dokończenie tego ustępu nie jest już parafrazą utworu Żukowskiego, chociaż opiera się na nim. Bo podczas gdy u Żukowskiego wyjście pary kochanków na podwórze, gdzie wsiedli do sanek, opisane jest zwięźle w kilku wierszach zaledwie, to w balladzie Witwickiego cała sytuacya, kiedy to kochankowie wychodzą z domu i dosiadają koni, które pędzą lotem błyskawicy, rozwlekła się do wierszy kilkunastu, do których dodał od siebie Witwicki zapytania, skierowane do Makryny. Sam wszelako opis szalonej jazdy został przez naszego poetę urobiony na balladzie rosyjskiej. Kiedy bowiem kochankowie siedli do sanek — konie ruszyły galopem:

„Пышутъ дымъ ноздрями:
Отъ копытъ ихъ поднялась
Вьюга надъ санями.
Скачутъ... пусто все вокругъ,
Степъ въ очахъ Свѣтланы
. . . . . .
Сердце вѣщее дрожитъ:
Робко дѣва говоритъ:
„Что ты смолкнулъ милый?
Ни полслова ей въ отвѣтъ:
Онъ глядитъ на лунный свѣтъ,
Блѣденъ и унылий.
Кони мчатся по буграмъ
. . . . . .
Вотъ въ сторонкѣ Божій храмъ
Видѣнъ одинокой;
Двери вихоръ отворилъ...
. . . . . .
На срединѣ черный гробъ;
И гласитъ протяжно попъ"... [2])

Nie inaczej wygląda owa jazda w balladzie Witwickiego, bo i u niego tak samo koniom

[1]) Witwicki, str. 120—121.
[2]) Żukowskij, str. 144—145.

„Z nozdrzów para jak dym kłębi,
. . . . . .
Rwą z pod siebie kosmy śniegu.
. . . . . .
Wszędzie głucho, pusto w koło,
I jak dojrzeć tylko okiem,
Tak po polu skróś szerokiem
Straszny step śniegów białością przyświeca,
. . . . . .
Makrynie serce ledwo nie wyskoczy,
Bije jak młotem...
. . . . . .
„Czemu tak milczysz Mironie?“
Zatrzęsła mu się głowa,
I nie rzekł ni półsłowa:
W górę na księżyc patrzał się drżący,
Jak księżyc smutny, blady, milczący.
. . . . . .
Cóż to? drewniana kaplica!
Z pola wściekły wiatr się nieci,
Na kaplicę z hukiem leci,
I drzwi wywala!
. . . . . .
A trumna w środku!
Tu ksiądz czarno obleczony...
. . . . . .
Idzie w koło i śpiewa“ [1]).

Ciąg dalszy tego ustępu powstał bez współudziału ballady Żukowskiego, bo Witwicki wprowadza teraz długą inkantacyą księdza, chóru starców i niewiast, której wcale nie ma w Świetlanie. A rozszerzeniem tem wcale nie dodał Witwicki wartości swojemu utworowi, przewlókł tylko najniepotrzebniej akcyę ballady, a sam popadł w niekonsekwencyę, bo jeśli konie lecą „jak kule, jakby ptaki“, to każdy musi się z tem zgodzić, że para kochanków nie mogła słyszeć całego tego śpiewu. Sam zresztą ów śpiew w kościele w niczem nie przyczynia się do postępu akcyi choćby o krok naprzód. U Żukowskiego tymczasem pędzących szybko w dal śnieżną sankami kochanków dolatuje tylko jedno zdanie księdza, mające znaczenie w akcyi Świetlany. Pomysł tedy zapożyczony z ballady rossyjskiej, został skutkiem fałszywego przeprowadzenia wykrzywiony i spaczony najzupełniej przez Witwickiego:

[1]) Witwicki, str. 122—124.

„Вуругъ мятелица кругомъ;
Снѣгъ валить клоками,
Черный вранъ, свистя крыломъ,
Вьется надъ санями.
. . . . . .
Брезжетъ въ полѣ огонёкъ;
Кони борзые бистрѣй;
Мчатся дружнымъ бѣгомъ.
Вотъ примчалися... и вмигъ
Изъ очей пропали:
Кони, сани и женихъ
Будто не бували.
Одинокая въ потмахъ
Брошена оть друга
Въ страшныхъ дѣвица мѣстахъ;
Вкругъ мятель и вьюга.
Возвратится — слѣду нѣтъ...
Видѣнъ ей въ избушкѣ свѣть;
Вотъ перекрестилась;
Въ дверь съ молитвою стучитъ...
Дверь шатнула ся... скрыпитъ
Тихо ростворилась“ [1]).

A i w Wieczorze św. Andrzeja tak samo odbywa się ta cała scena zniknięcia kochanka:

„Wiatr wściekłym biegiem
Pomiata śniegiem...
Jakiś ptak czarny przed końmi skacze
I jak kruk kracze?
. . . . . .
Do światełka po bezdrożu
. . . . . .
Czarne lecą wraz rumaki...
Stają wreście...
. . . . . .
Wszystko zniknęło!
Ptaka, ni koni, ani kochanka!
Została tylko jakaś lepianka??
. . . . . .
Sama jedna bez pomocy,
W dzikich stepach opuszczona!
Cóż pocznie biedna dziewczyna!
Czy wracać do swojej chatki?
. . . . . .
Nie widać żadnej drogi
I strach ją zbiera srogi!

[1]) Żukowskij, str. 145—146.

W lepiance jakieś światełko błyska
. . . . . .
Żegna się — idzie i puka...
Nikt nie słyszy... Znowu stuka...
Aż nagle się drzwi otwarły"...[1])

Zbliżamy się już do końca utworu Witwickiego, lecz zawisłość od Świetlany trwa ciągle nieprzerwanie, choć teraz możemy spotkać się z pewnemi zmianami, chociaż niezbyt znacznemi:

....„Въ избушкѣ гробъ; накрытъ
Бѣлою запоной;
Спасовъ ликъ въ ногахъ стоитъ;
Свѣчка предъ иконой.
. . . . . .
Предъ иконой пала въ прахъ;
Спасу помолилась;
. . . . . .
Все утихло. вьюги нѣтъ...
. . . . . .
Все въ глубокомъ мертвомъ снѣ.
Страшное молчанье...
. . . . . .
Бълоснѣжный голубокъ
. . . . . .
Къ ней на перси тихосѣлъ,
Обнялъ ихъ крылами.
. . . . . .
Мертвый шевелится...
Сорвалася покровъ; мертвецъ
. . . . . .
Видѣнъ весь — на лбу вѣнецъ
. . . . . .
Милый другъ ея — мертвецъ!" [2])

Jakkolwiek wpływ ballady Żukowskiego odbił się nadzwyczaj wyraźnie na odpowiednim ustępie Wieczoru św. Andrzeja, to przecież należy zauważyć, iż Witwicki zmienił scenę, widzianą u rossyjskiego poety, w kilku punktach, opuścił mianowicie ocalenie dziewczyny przez gołąbka, który w chwili, gdy upiór podniósł się z trumny, siada mu na piersiach i powraca go w ten sposób do poprzedniego stanu uśpienia:

„Na środku biały całun rozesłany,
Na nim stara trumna czarna,

[1]) Witwicki, str. 129—130.
[2]) Żukowskij, str. 146—149.

W głowach krucyfiks drewniany,
A w nogach gromnica ofiarna.

. . . . . .

Ucichło — milczy jak w grobie...
Żaden dech, żadne stąpienie...

. . . . . .

Makryna między obrazy klęka

. . . . . .

Głośno naprzód trzy pacierze...

. . . . . .

Ach! to w trumnie coś się rusza!

. . . . . .

Deskę z hałasem odwala!

. . . . . .

Lecz biały gołąbeczek,
Leci z nieba aniołeczek,
Na piersiach Makrynie siada
I skrzydła w świetle rozkłada.

. . . . . .

Widać jak upiór skrwawiony

. . . . . .

Ach! cóż to! na głowie wieniec!
Ach! to on! luby młodzieniec!“ [1])

Dopiero w samem zakończeniu odstąpił nasz poeta od toku akcyi, jaka była w balladzie Żukowskiego, w której całe to zdarzenie okazuje się snem Świetlany, do niej bowiem, gdy nastało rano, przybywa z wojny kochanek przy życiu. Tymczasem Witwicki opuścił to zakończenie i wprowadził Makrynę powracającą do domu z miejsca, do którego ją upiór-kochanek przywiózł, czyli przyjmuje wszystko za prawdę rzeczywistą. Samo zaś to zakończenie osnute zostało na analogicznem zakończeniu baśni lenorowych, bo i w nich niemal wszystkich dziewczyna zostaje ocalona, i tak samo, jak u Witwickiego, powraca długi czas, zanim zdąży przyjść do rodzinnej wioski. Jak zaś silnym był wpływ Żukowskiego, tego dowodem następująca okoliczność, że nawet w tem odmiennem, aniżeli w Świetlanie, zakończeniu, występuje w kilku wierszach:

„Сьвѣтитъ лучь денницы,
Шумнымъ бѣтъ крыломъ пѣтухъ,
День встрѣчая пѣньемъ.“ [2])

[1]) Witwicki. str. 130—132.
[2]) Żukowskij, str. 149.

Bo i w Wieczorze św. Andrzeja napotykamy nie inny opis poranku:

„Tymczasem kur gdzieś z grzędy się wzbija,
I pieniem poranek wita,
Powoli trwoga przemija,
I dzień już świta“ [1]).

Nie dał tedy Witwicki, jak widzieliśmy, w Wieczorze św. Andrzeja niczego innego ponad parafrazę i to dosyć niezręczną — utworu Żukowskiego. Przez wtrącenie bowiem ustępów, jakich nie było w balladzie Żukowskiego. przez rozszerzanie dalej czczymi frazesami zapożyczonych z Świetlany ustępów, zepsuł Witwicki całość i oszpecił ją zupełnie, choćbyśmy nawet pominęli milczeniem nieudolność wierszowania, rytmu i rymów.

Stanisław Zdziarski.

[1]) Witwicki, str. 133.

# POSTĘPY W ASTRONOMII I FIZYCE

## OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW

### AŻ DO KOŃCA XIX. STULECIA.

(Szkic historyczno-naukowy).

Grecy w znanej nam starożytności byli najwięcej oświeconym narodem we wszystkich prawie gałęziach sztuki i wiedzy, na owe czasy możliwej.

Widać to z ich pism, które się do naszych czasów przechowały, już to w oryginale, już to w tłómaczeniach na język łaciński, syryjski, perski i arabski. Co o nauce Hindusów, Egipcyan, Chaldejczyków i Chińczyków wiemy, polegało do niedawna na samych prawie tylko domysłach, i do dziś dnia jeszcze składa się z samych luźnych ułamków. Są to urywki czyli szczątki (że się tak wyrażę) z tajemnic misteryów, przez kapłanów wymienionych narodów potworzonych dla utrzymywania reszty kast w niewolniczej od siebie zależności. Później zostały one w różnych czasach zdradzone przez osoby, które w ich nowicyatach długie lata dla nauki przebywały i wyszedłszy na świat z murów klasztornych skrzętnie opowiadały nie jedno, co tam słyszały i widziały... Przez tradycyą i pisma z ruin starożytnych klasztorów dotychczas wydobyte, zachowało się to, co dziś o tych misteryach wiemy...

Greckich uczonych aż do czasów Pytagoresa nazywano mędrcami. On dopiero pierwszy skromniejszą przyjął nazwę filozofa, czyli miłośnika mądrości. Odtąd nazywano filozofem każdego, który w jakiejkolwiek nauce jako mistrz występował i odpowiedną jej szkołę utworzył. Potem przeszła ta nazwa do różnych szkół, które z czasem powstawały i na które uczeni greccy się dzielili i prze-

chowała się aż do naszych czasów, oznaczając w ścisłem tego słowa znaczeniu mistrzów w myśleniu o rzeczach ducha i przyrody, którzy wiążąc swe myśli i pojęcia o tych rzeczach w systemy, zazwyczaj z katedr wygłaszane lub pismem w świat posyłane, tworzyli w różnych czasach i miejscach różne szkoły filozoficzne.

Wiadomości, dotyczące przyrody, były w różnych epokach różne. Badanie jej w starożytności zasadzało się głównie na samem tylko rozumowaniu. Filozofowie greccy nie mieli dzisiejszych przyrządów obserwacyjnych, więc nie robili właściwie naukowych spostrzeżeń, a nie znając wcale sposobów zniewalania natury do odpowiedzi na dawane jej pytania, nawet nie myśleli o eksperymentowaniu, czyli robieniu doświadczeń w dzisiejszem tego słowa znaczeniu. Wprawdzie już wówczas mistrz-myśliciel wiedział tak dobrze, jak my dziś wiemy, że wszystko w naturze dzieje się według pewnych praw, ale ich nie znano i nie uważano powszechnie za tak konieczne i niezmienne, iż wszelką dowolność w każdym względzie nieodzownie wykluczają. Przedmiotem szczególniejszego badania były zazwyczaj tylko rzeczy, które rzadko kiedy się pojawiają, a nie to, co się dzieje ciągle i jednakowo, to też astronomia w znacznej części była astrologią, (nauką do wróżenia z gwiazd używaną), fizyka magią, chemia alchemią, — a co jedna szkoła za prawdę niezawodną uznawała i głosiła, — za zdobycz znakomitą na niwie wiadomości przyrodniczych miała, — temu nieraz druga wręcz przeczyła, bo ścisłej, na niezachwianych podstawach opartej i uzasadnionym zarzutom nie ulegającej wiedzy było jeszcze bardzo mało. Liczby, okazujące dziś prawidłowość ilościowych stosunków w przyrodzie, miały u zwolenników Pitagorasa tylko mistyczne znaczenie, a lubo filozofia Arystotelesa, przez całe jeszcze średnie wieki najstaranniej czytywana i komentowana, zawierała fizykę a w metafizyce kosmologię, ciemne i mętne nauki prawdziwemu postępowi w poznawaniu natury raczej stały na przeszkodzie, zamiast coby go miały i mogły były wspierać skutecznie. Najbardziej przyczyniła się do krzewienia oświaty szkoła aleksandryjska Ptolomeuszów ze swoimi Zakładami i sławną biblioteką, która tego samego losu, co lwowska w r. 1848 przez komenderującego podówczas Generała w Galicyi i Krakowskiem, Hamersteina, doznała pierwszy raz po zdobyciu Aleksandryi przez legiony Juliusza Cezara, a następnie uzupełniona staraniem Antoniusza i Kleopatry kupnem Pergamskiej, niestety później za panowania cesarza Teodozyusza W. poraz drugi została spalona na rozkaz biskupa aleksandryjskiego Teofila, gdyż była

umieszczona w pogańskiej świątyni Serapisa, której ów zagorzały arcypasterz chrześciański koniecznie pozbyć się w mieście postanowił. Chociaż w 300 lat później spalił ją poraz trzeci straszny Omar, z tego jednak, co z niej jeszcze pozostało, potrafili Arabowie uratować skarby greckiej wiedzy i odbudowali ją i tę wiedzę na nowo pod egidą bagdackich kalifów, wstępujących w ślady Ptolomeuszów, wielkich nauki mecenasów. Myśli i słowa Platona i Aristotelesa, Euklida i Aristarcha, Archimedesa i Eratostenesa, Apolloniusza i Hipparcha, Diofanta i astronoma Klaudyusza, Ptolomeusza i dawniejszych myślicieli zachowały się mniej lub więcej w całości aż do naszych czasów i w każdej epoce rozwoju ducha ludzkiego zrobiły swoje...

U Rzymian, dążących przedewszystkiem do zawojowania znanego wówczas świata i usiłujących ciągle w zdobytych krajach utrzymać się przy władzy, nie było miejsca stosownego ani do pielęgnowania greckiej sztuki i nauki, ani do dalszego rozkwitu filozofii natury. Mieli oni wprawdzie także swego Pliniusza i Lukrecego, ale poglądy tych uczonych mężów Rzymu na świat i na rzeczy przyrody były właściwie tylko echem wielkich myślicieli greckich. Wszak Pliniusz młodszy mniemał, że od pewnego czasu cień obeliska na placu Marsowym w Rzymie doznał zboczenia wskutek zboczenia słońca w obiegu (!)... a w historyi naturalnej Pliniusza czytamy na seryo i z deklamacyą pisarzowi temu właściwą opowiedzianą bajeczkę o rybie morskiej echineisem czyli remoralem nazwanej, która ma siłę powstrzymywania w biegu największych okrętów, do których się przyczepi, nie mając sama więcej, nad półtora stopy długości. (!!)...

Po splądrowaniu Europy i wywróceniu państwa rzymskiego przez dzicz Wschodu i Północy nic prawie nie pozostało, coby było mogło krzepić umysł ludzki i żleby było z oświatą potomności, gdyby Arabowie pod swymi kalifami nie byli zaczęli ubiegać się z wielkim zapałem za naukami Greków, zbierając starannie, wertując i tłómacząc na język arabski (przekładając) ich pisma. A oprócz tego, co ocalało po Rzymianach, jako uczniach Greków, co nam przekazali pisarze bizantyńscy i co przynieśli ze sobą do Włoch uczeni greccy, szukając schronienia na Zachodzie po zdobyciu Konstantynopola przez Osmanów w połowie XV. stulecia, zawdzięczać mamy jeszcze nie mało Arabom w Hiszpanii, którzy się tam usadowili byli w VIII. stuleciu ery chrz. i w akademiach swoich w Kordowie i Grenadzie pielęgnowali gorliwie nauki. Później rozeszły się one stamtąd powoli na resztę krajów Europy. Nim się

to jednak stało, ciemna noc przez długie wieki zalegała cały ten obszar ziemi, dziś na tak wysokim szczeblu oświaty stojący...

Że wówczas wszelką uczoność Arabowie posiadali, dowodzi najlepiej i najwyraźniej następująca okoliczność. Gdy król Alfons Kastylijski zwołał był do miasta Toledo sobor (wiec) astronomów w celu ułożenia nowych tablic astronomicznych, noszących dziś jego imię, stawili się na zaproszenie sami tylko Arabowie i kilku żydów. Stulecia X. i XI., były wiekami głębokiej ciemnoty umysłowej w Europie. Utalentowany mnich Gerbert z Owernii (późniejszy papież Sylwester II.) uczeń benedyktyna — matematyka Abbona, — musiał się udać do szkół arabskich w Hiszpanii (w XI. stuleciu), aby się tam czegoś więcej nauczyć. Zasłynął on też później wielką nauką, szczególnie w matematyce i astronomii, wskutek czego za czarownika go miano, który szatanowi za tę przysługę zapisał swoją duszę, (jak u nas Twardowski) i byłby mu ją oddać musiał, gdyby przed umówionym terminem nie był został obrany papieżem.

## II.

W XII. a szczególnie w XIII. stuleciu jutrzenka oświaty zaczęła się powoli wyżej podnosić i coraz dalej rozszerzać dobroczynne swe światło. Arabowie stali się dla niej tem, czem był Egipt dla starożytnej Grecyi. Byli oni ogniwem, łączącem świat naukowy stary z nowym, trafniej mówiąc, byli naszymi nauczycielami, — zawdzięczającymi wysokie to posłannictwo szczególnie takim swym władcom, jak Hakem II., który zbierał zawsze około siebie najznakomitszych uczonych i w pałacu swoim nagromadził przeszło 600.000 rękopisów, podnosząc Akademię w Kordowie do najwyższej świetności, — jak Harun al Raschid i syn jego Almanzor, panujący około r. 800, który pokonawszy bizantyńskiego Cesarza Michała kazał sobie koszta wojenne wypłacić... książkami! Język też arabski był w XII. i XIII. stuleciu językiem naukowym, przynajmniej w astronomii, matematyce i medycynie tak, jak później język łaciński we wszystkich naukach aż do najnowszych czasów [1]). Nawet w szkole Salermitańskiej nie

[1]) Ja sam uczyłem się jeszcze filozofii, matematyki, geometryi, mechaniki, fizyki i astronomii w liceum tarnopolskiem, a na wszechnicy lwowskiej: Jus naturale, civitatus gentium, pod Dr. Napadiewiczem; prawo rzymskie i kanoniczne pod Dr. Heinbergerem, po łacinie. Było to w latach 1838—1841.

obchodzono się bez języka arabskiego; tylko teologowie chrześciańscy i juryści posługiwali się łaciną. Z arabskiego tłómaczono też na łacinę dzieła greckie, bo języka greckiego nikt prawie nie umiał w Zachodniej Europie aż po koniec XV. stulecia.

Dopiero greccy pisarze, uciekający przed Osmanami z Konstantynopola, przynieśli ze sobą mowę grecką na Zachód.

Uznając wielkie zasługi Arabów, położone około przechowania dla nas skarbów starożytnej wiedzy Greków, wyznać wszakże musimy, że oni pomimo swej chwalebnej skrzętności i wielkiego zamiłowania ich władców w naukach, nie dorobili się właściwie prawie żadnych nowych zdobyczy. Ich filozofia była filozofią Platona, czyli raczej Aristotelesa, ich astronomia — z wyjątkiem tylko dwóch, ważnych nowych odkryć przez Albataniego (około r. 880) i Abul Wezy Albuzdjaniego (około r. 975) zrobionych, astronomią Claudiusa Ptolomeusza, a geometrya geometryą Euklidesa, chemia alchemią szkoły Aleksandryjskiej. W medycynie nawet szli za powagami rzymskimi, za Celsem i Galenem, a Ebn Sina (Avicenna) był ich Hippokratesem. Tylko w matematyce zrobili wielkie samoistne postępy, mianowicie rozszerzyli używanie Algebry, a w arytmetyce i Trigonometryi bardzo znaczne ulepszenia porobili. Zaprowadzeniem dzisiejszych liczb arabskich i sposobu liczbowania zasłużyli się nie mało potomności, wziąwszy te znaki od Hindusów, a może (jak utrzymuje Chasles) od Pitagorejczyków. Uprościli trigonometryczne operacye Greków przez zaprowadzenie wyrazów Sinus, Cosinus, etc.... i ustalenie formułek, znaczenie i zależność od siebie dotyczących linij wyrażających, t. j. prostego algorytmu w tej części matematyki. Nassir Eddin tłómaczył Euklidesa Elementa, Dscheber ben Afla napisał komentarz do Trigonometryi Ptolomeusza, Alhazen zaś pisał o optyce. Już w r. 812 ten sam Alhazen i Sergius przeprzetłómaczyli Almagest Ptolomeusza na język arabski. Była to pierwsza książka astronomiczna zupełna. Z niej w r. 833 Alfurgani a później Averrhoes porobili wyciągi. Al-Batani (Albategnius) w X. stuleciu odkrył posuwanie się linii Absydów po elipsie drogi ziemi i pochyłość ekliptyki. Al-Petragiusz pisał teoryę planet a Abul-Hassan-Ali traktat o instrumentach astronomicznych. Arabscy filozofowie byli najczęściej razem także lekarzami, mędrcami w medycynie i wiele dobrego czynili w Bagdadzie, Ispahanie, Bocharze, Kufie, Aleksandryi i Kordowie, gdzie od VIII. do XI. stulecia wiele szkół medycznych pozakładali, w których farmakognozyę uczono i ówczesną chemię.

Poglądy Arabów na świat i jego zjawiska, jak to wyłożył obszernie Dieterici, nie mogły się wiele różnić od poglądu mistrzów Greków, kiedy pisma Aristotelesa a więc także jego metafizyka i bałamutna fizyka miały u nich tak wielkie znaczenie i poszanowanie. Sam wybór tej fizyki do komentowania, bardzo niefortunny, świadczy dostatecznie o ich bezmyślnem i ślepem poddawaniu się greckim powagom i okazuje wyraźnie, że nawet astronomowie arabscy raczej z książek uczoność swoją czerpali, aniżeli z własnych spostrzeżeń i samoistnego myślenia, gdyż inaczej nie byłoby mogło odkrycie t. z. ewekcyi i waryacyi księżyca, przez Abdul-Wezę [1]) zrobione, pójść całkiem w zapomnienie, jak się to na długi przeciąg czasu stało istotnie. Mistycyzm i wielka skłonność do komentowania cudzych zdań, najgorsze dwie wady całych wieków średnich, nie mało zaciemniały ich z natury bystry umysł i trzymały na uwięzi swych mentorów greckich. To też i najsłynniejsi uczeni XIII. stulecia, ich uczniowie, jak hr. Albert bolsztedski (Albertus Magnus), nasz Ciotek (Vitellius), a nawet nierównie wyżej od nich stojący franciszkanin Rogier Baco, mieli jeszcze mylne i po części bardzo dziwaczne wyobrażenia o rzeczach przyrodnych, chociaż przyznać należy, że ten ostatni już wówczas, — na trzy wieki przed (!) angielskim kanclerzem tego samego nazwiska, — kładł wielką wagę na doświadczenia (obserwacye i eksperymenta) zatem na metodę indukcyjną w badaniu przyrody i porzuciwszy jarzmo doktryn aristotelesowskich spoglądał na całą naukę swego czasu, jak na porywy chłopięcia w myśleniu, i dlatego też trzeźwemu badaniu nie tylko sam się oddawał, lecz także i drugich do tego nawoływał, póki za to jako mniemany czarownik na kilka lat do więzienia nie został wtrącony.

O naukach przyrodo-znawczych w dzisiejszem znaczeniu, a więc i o prawdziwej filozofii natury, nie było wcale mowy w tych długich wiekach upadku ducha ludzkiego. Dziwić się temu nie można, gdy się na uwagę weźmie tę okoliczność, że od czasów Archimedesa aż do Stewina i Galileusza (1638) panował zupełny zastój w mechanice, a bez ścisłych pojęć o równowadze

[1]) Waryacya ta później przez Tychona de Brahe w r. 1590 dokładnie obserwowana i należycie skonstatowana, polega na peryodycznem zmniejszaniu i powiększaniu się długości w oktantach, t. j. środkowych punktach drogi księżycowej pomiędzy kwadraturami i syzygiami, które to zmiany siła tangencyalna (styczna) księżyca w ciągu drogi jego w tych punktach sprawia.

sił i prawach ruchu niema naukowej fizyki, bez tej zaś znowu na seryo o filozofii natury myśleć nie podobna... Zdrowy nawet zasiew wieków starożytnych musiał zmarnieć w gruncie tak nieurodzajnym, jak europejski w średnich wiekach [1]). Brak jasnych i ścisłych, należycie określonych, pojęć o rzeczach naukowemu rozpatrywaniu poddawanych był wtedy powszechny i przy tem zupełny niedostatek umysłowej wprawności w zastosowywaniu ich do danych szczegółów, lub zrobionych spostrzeżeń. Panowała politowania godna niezdarność w myśleniu, okazująca się na każdym niemal kroku, to ciągłem oglądaniem się za powagami od dawien dawna uznanemi, szczególnie za pismami Aristotelesa, to odnoszeniem się co chwila wprost do wyższych potęg nadprzyrodzonych.

Scholastyka Aristotelesa i uczoność klasztorno-szkolna ze swymi podręcznikami nie dozwalała myśleć i badać samoistnie, ani też sprowadzać myślenie na nowe tory, odbiegające od podań starodawnych nauki Aristotelesa, za święte prawie słowo Boże uznawanej. Kopernik żył i pisał w XVI. stuleciu (1543) a jego dzieło: O obrotach ciał niebieskich *(de revolutionibus orbium coelestium)* po śmierci papieża Pawła III., któremu je dedykował, wpisane zostało do Indeksu książek zakazanych [2]), bo zawierało

---

[1]) Powszechną ciemnotę w tych wiekach, tak długi czas trwającą i ówczesne ciężkie ogłupienie wszystkich warstw społeczeństwa sprowadziły dwa wielkie i bardzo rozległe zdarzenia polityczne, mianowicie: wędrówka ludów w V. i VI. tudzież wojny krzyżowców w XI. i XII. stuleciu. Te ostatnie stały się znowu przyczyną wielkiego głodu i strasznych epidemii (morowego powietrza, etc.), które peryodycznie jeden kraj Europy po drugim wyludniały, szczególnie począwszy od XI. aż do końca XV. stulecia, — tak zatrważająco, iż włosy stają na głowie, gdy się czyta ówczesne kroniki. Każde z tych wielkich nieszczęść, już samo jedno, mogło wywrzeć najokropniejsze skutki i najszkodliwsze dla oświaty powszechnej i umoralnienia ludów. Cóż dopiero gdy wszystkie trzy, powietrze, głód i wojna przez tyle wieków ciągle nawiedzały ród ludzki!! Powszechne ubóstwo, wielki brak szkół i książek, nareszcie wstręt do nauki wogóle i pogarda wyższej oświaty, jako mniemanej przyczyny zniewieścienia, doprowadziły były ostatecznie do tego, że od V. do XI. stulecia — a gdzie niegdzie nawet jeszcze w XIV. — wysocy dygnitarze Kościoła i państwa, cesarze i królowie, nie umiejąc czytać i pisać, kładli zamiast swego nazwiska znak krzyża świętego na dokumentach...

[2]) Dopiero w r. 1821 (w rok po mojem przyjściu na świat t. j. 80 lat temu) zostało ono z tego indeksu wypuszczone...

naukę, że ziemia bieg swój roczny odbywa dokoła słońca. Za tę samą naukę w kilkadziesiąt lat później ociemniały starzec Galileo Galilei pokutował w więzieniach i nie mało się nacierpiał. . . . . .

. . . . . .

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Wojciech Urbański.

# ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

## BISKUP WŁOCŁAWSKI I KRAKOWSKI

(1496—1560).

### MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

### CZĘŚĆ TRZECIA

### (1553—1560).

(Ciąg dalszy).

Prosił więc króla, aby „ich im pociągać i powłóczać nie dopuścił — i zakazał“ a przedewszystkiem, aby „list ten“, który „sejmu pańskiego“ dać raczył, na podstawie którego poczynają sobie duchowni „przeciw wolnościom“ ich, *„publico edicto* skazić“ raczył... Tak więc szlachta rozgoryczona na króla i senat, że obojętnie a nawet lekceważąco traktowali jej program egzekucyi, chociaż go postawili na porządku dziennym sejmu, chwyciła się teraz środka, praktykowanego na poprzednich sejmach, skierowując ostrza swoich słusznych gniewów na duchownych, jako na głównych i właściwych acz ukrytych sprawców ich niepowodzenia, między którymi bezwątpienia pierwszą odgrywał rolę Zebrzydowski, znany szlachcie i źle zapisany w jej pamięci obrońca jurysdykcyi księżej i łączącego się z nią starego porządku a raczej nieporządku w Rzptej. Król rozgniewany tym obrotem rzeczy kazał kanclerzowi oświadczyć posłom, żeby już odłożyli na później egzekucyę, bo na nią czasu nie ma, a radzili teraz nad podaniem jego około obrony, tembardziej, że panowie już się z niem załatwili ku zadowoleniu i po myśli Korony... O „rzeczach duchownych“ i o „liście“ owym, nie uczynił najmniejszej wzmianki; jak się wyraża o tem z ubolewaniem autor dyaryusza, *ne verbum quidem;* pomijając, jak się zdaje, z umysłu sprawy religijne, aby nie dopuścić do dalszych napaści na duchownych, i co za tem idzie, do zerwania sejmu, którego ukończenia życzył sobie gorąco ze względu na potrzebę

uchwalenia na nim podatku na wojsko. Chcąc dla tego podatku uzyskać zgodę izby, zapewniał, że „od tego nie jest, aby wszystkiego wedle prawa egzekwować nie miał“, że więc nie umarza sprawy egzekucyi tylko odkłada ją z konieczności „do drugiego sejmu“. Panowie, którzy złożyli swe wota po odpowiedzi kanclerskiej, idąc za wolą króla również udowadniali posłom potrzebę podatku: wota ich według słów dyaryusza *„nil aluid in se sapiebant* okrom podatku“. Zapanowała wielka konsternacya wśród posłów. Skrajna opozycya podtrzymywana przez stronników hetmana Tarnowskiego podnosiła głowę, dążąc do zerwania sejmu. *Non defuerunt, qui eo omni conatu opera et diligentia incumbebant,* aby ten sejm *rebus infectis* się rozjechał, pisze król dnia 30. marca pod wrażeniem wypadków ostatnich do księcia M. Radziwiłła; zwłaszcza snadnie się twoja Mć domyśleć możesz, — dodaje, — iż to pan krakowski *per instrumenta sua* księdza Uchańskiego (!), wojewodę kaliskiego (M. Zborowskiego) i lubelskiego (A. Tęczyńskiego) k'temu też przez niektóre z posłów osoby, sejm nie z potrzeby ale z uporu (!) rozerwać chcieli [1]). Widoczna, udało się Tarnowskiemu uczynić także wyłom w zwartych szeregach senatu, nie licząc tych, którzy za przykładem jego nie przybyli na sejm. Atoli upor króla zwyciężył wszelkie przeszkody. Opozycya poczęła się chwiać a niebawem osłabła do tego stopnia, że na 115 obecnych na sejmie posłów liczyła zaledwie piętnastu i nie zdołała przeszkodzić uchwaleniu żądanego przez króla podatku; ci piętnastu jednak nie chcąc zezwolić pod żadnym warunkiem na ów podatek, ostentacyjnie za namową *„acti spiritu“*. hetmana Tarnowskiego, opuściło sejm [2]). Stało się to w ostatnich dniach marca. W wspomnianym powyżej liście do Radziwiłła Czarnego pisze Zygmunt August: „Za pilnem staraniem naszem, zkąd też i zdrowiaśmy nadtargali, ustawicznie a bardzo długo dosiadując, chwała Bogu sejm się dobrze jest dokonał. Bo acz piętnaście tylko posłów, kwoli tym, którzy je nadymali, nie chcieli jeno ruszenia wojennego i na tem, gdy około spółecznego z niemi zgodzenia wielkie taedingi i namowy były i długie, są ci piętnaście się z sejmu

[1]) Script. Rer Pol. T. I. s. 63, vel: Listy oryg. Zygmunta Augusta w Pamiętnikach wyd. Lachowicza s. 46. 47.

[2]) Dzienniki sejmów koronnych 1555 i 1558/9 wyd. Lubomirskiego. Kraków, 1869, s. 78: jednak był podatek uchwalon za rozerwaniem poselskiem, co jako od niektórych bracia nasi przyjmowali, my wiemy — mówił to H. Ossoliński na sejmie 1555 — i mamy za to, że i niektórzy z ich M. P. Rad dobrze o tem wiedzą...

rozjechali; inni wszytki posłowie, których było około sta osób przyszli z podatkiem, z wiardunkiem, z szosmi i czopowem...“ [1])

Wróżby Zebrzydowskiego i Ossolińskiego spełniły się co do joty. Ani reforma kościelna ani egzekucya nie zostały na tym sejmie załatwione. Wszystko zostało po dawnemu. Szlachta, złamana uporem króla, burzyła się i szamotała, jak przepowiadał Zebrzydowski, ale w końcu podatek dała, więc sejm uznany został za dobry, aby sprawdziły się słowa Ossolińskiego: „po staremu pozwolą nam mówić i radzić, o czem chcemy... a będą przed się na to czekać, abyśmy co dali... jeżeli damy, to już dobry sejm...“

Korespondencya Zebrzydowskiego [2]), pochodząca z tego czasu, w którym sejm się odbywał jest również dowodem, jak sceptycznie zapatrywał się on na rezultat usiłowań szlachty, podjętych z takim zapałem i ogniem. Wieją z niej obojętność i chłód, świadczące, że nie podzielał zapatrywań posłów i nie lękał się wcale ich protestów, krzyków i gróźb. W lutym wbrew obietnicy danej papieżowi, że będzie Rzym informował o przebiegu sejmu, donosi lakonicznie kardynałowi Al. Farnesemu, protektorowi Polski: *hic apud nos comitia aguntur*, tu u nas odbywa się sejm — i nic więcej. W połowie marca w liście do wiceprotektora Polski, kardynała Ber. de Mapheis pisze, że obecnie bierze udział w sejmie, ale nic dotychczas na nim takiego nie zaszło, *quod quidem perscribi possit*, coby się dało opisywać, coby interesowało kardynała; obiecuje jednak, że skoro tylko opuści sejm, nie omieszka zdać jemu i papieżowi relacyę z niego, jeżeli tylko będzie miał o czem, *et quidquid actum fuerit*. Nie wiemy, czy spełnił obietnicę.

W połowie kwietnia opuścił Zebrzydowski Kraków, a wrócił aż w czerwcu [3]). Spędził więc jeszcze Wielkanoc w swojej stolicy, bo ta przypadała dnia 2. kwietnia, ale nie brał już udziału w drugiej kadencyi sądów sejmowych, którą król naznaczył na dzień 17. kwietnia i przeciągnął aż do 17. maja. Brał tylko udział w kadencyi pierwszej, która trwała podczas sejmu od 20. lutego do 29. marca, to jest do końca sejmu [4]).

[1]) Script. Rer. Pol. t. I. s. 111. i s. 82., Lachowicz s. 47, 48. W liście tym donosi król Radziwiłłowi także i to, co było mówionem na sejmie o unii z Litwą a zwłaszcza o żądaniach szlachty, abyśmy sejm w Parczowie przyszły złożyli i tam żebyśmy i Litwę i Prusy i te xięstwa Śląskie regno nostro subiacentia convocovali“ — na co się on — król nie zgadza.

[2]) Kor. Zeb. nr. 798, 801, 802.

[3]) Kor. Zeb. nr. 809, 810.

[4]) Script. Rer. Pol. t. I. s. 82.

Tymczasem nadeszła już wiadomość z Rzymu od W. Kryskiego o rezultacie negocyacyi moskiewskich, przeciwko którym w styczniu podjął był król tak energiczną akcyę dyplomatyczną z senatorami polskimi. Oto chociaż sprawę Iwana IV. popierało gorliwie i usilnie bardzo wielu wpływowych i możnych władców świeckich, chociaż sam papież zrazu był przychylnie dla niej usposobiony, jednak uwzględniając okoliczności naprowadzone przez króla i senatorów polskich, odrzucił ją w zupełności, *in praesentia omnino reiecit*, a nawet przyrzekł, że i w przyszłości z powodu ojcowskich afektów dla króla i narodu polskiego nic bez wiedzy ich w niej nie postanowi [1]). Z relacyą o sprawie moskiewskiej łączyła się relacya o rezultacie misyi Kryskiego w sprawach Kościoła polskiego. Z tenoru jej wnosić można, że Kryski wywiązał się znakomicie ze swego zadania. Skargi jego i żale podnoszone w Rzymie w imieniu króla na ciężkie terminy, jakie przechodził wówczas Kościół polski, wydały się Juliuszowi III. synowskiem wołaniem o pomoc do ojca Chrześciaństwa. Zadowolony z zaufania położonego w nim przez władcę polskiego, zapewniał go o swej życzliwości i obiecywał, że niebawem przyszle do Polski jakiegoś męża uczonego i roztropnego, który uczyni wszystko, co będzie potrzebnem do zachowania i utwierdzenia tamże religii katolickiej. *ad retinendum et confirmandum catholicam religionem.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Tadeusz Troskolański.

[1]) Wierzbowski, Uchansciana. T. II. nr. 21, s. 33. O Orzechowskim nie było wzmianki, prawdopodobnie jednak musieli w tym czasie biskupi otrzymać jakieś zlecenie od Juliusza III., aby sami go uspokoili, bo prymas pod dn. 14. marca 1553 ponowił rozgrzeszenie dla niego na czas nieograniczony; z aktów Konsyt. przemys. podaje tę wiadomość Ossoliński w III. t. s. 69. Wiadomości hist. kryt. — Snadź jednak Orzechowski nie bardzo był z takiego połowicznego zakończenia jego sprawy małżeńskiej zadowolony, bo w tym właśnie roku uznał za stosowne wydać broszurę „Repudium Romae“, którą od dwóch lat miał przygotowaną. Vide. Bukowski. Dzieje, T. II. s. 189, T. I. s. 405, także Ossoliński T. III. cz. II. s. 46.

# KRONIKA LITERACKA.

*Kościół Katedralny w Krakowie*, opisał Tadeusz Wojciechowski. — Kraków. Nakładem Akademii Umiejętności. Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego, pod zarządem Józefa Filipowskiego. MDCCC. Stron ogółem 258, 4° folio; tekstu właściwego str. 246; resztę zajmują: indeks główniejszych przedmiotów, spis figur, spis rozdziałów. — Figur jest 66, rozdziałów 30. Dedykacya opiewa: „Uniwersytetowi krakowskiemu w 500 rocznicę Jagiełłowego wznowienia pierwotnej fundacyi Kaźmierzowskiej, poświęca tę pracę autor, b. uczeń".

(Dokończenie).

Nie mogąc podążać dokładnie za tokiem wywodów autora, zwrócimy uwagę na te przynajmniej, bardzo interesujące ustępy, w których autor na podstawie szczegółowych badań wykazuje genezę przytoczonych wyżej, najbardziej rażących błędów w strukturze katedry.

Jak wiadomo, oś podłużna kościoła jest załamana i to w taki sposób, że oś korpusu przedłużona ku wschodowi, przecięłaby tylną ścianę chóru o 1·40 m. w bok, t. j. na północ od środka ściany, czyli, że oś chóru nachyla się względem osi korpusu o 1·40 m. ku południowi. W rzeczy samej jest tak, że korpus i chór mają każdy swoją własną oś, a gdy obie musiały się zejść w transepcie, wynikło ztąd, że środkowy kwadrat transeptu wypadł najnieforemniej, bo zamiast kwadratu lub prostokątu otrzymał kształt trapezu ściśnionego ku południowi a rozwartego ku północy. — Otóż badając przyczynę tego, niewątpliwie rażącego błędu, autor dochodzi (str. 211) do takiego wniosku: Najprostszy i w średnich wiekach pospolicie praktykowany sposób rozszerzania budowli kościelnych był taki, że do starego kościoła przystawiano

od wschodu nowy chór, zaczem dawniejsza budowa t. j. to, co z niej zachowano, przemieniało się w korpus nowego kościoła. W takich to właśnie kościołach składanej roboty znachodzi się najczęściej owe załamanie osi, co łatwo zrozumieć, skoro się zważy, jaki bywał proceder roboty. W tej części kościoła, która miała być zachowana, odgrodzonej prowizorycznie, nie ustawała służba Boża, dalej zaś ku wschodowi, na terenie po części demolicyjnym, trzeba było zacząć od wytknięcia miejsca pod nowy wielki ołtarz. Zależało wszystko na tem, żeby oś nowego chóru złączyła się z osią starej budowy; jestto jednak zadanie i dziś jeszcze nie łatwe, bywało więc, że oś „załamała się“. Tak się stało i na Wawelu. W starym kościele, po stronie zachodniej, odprawiało się nabożeństwo; inicyator budowy gotyckiej (str. 16), biskup Nankier, nie myślał go burzyć, oprócz chyba samych krańców, bo chciał go tylko rozszerzyć przez dobudowę nowego chóru, który też założono w tej samej szerokości jaką miał stary kościół, aby się z nim połączył; dla tego też po stronie zachodniej zachowało się tyle remanentów romańskich, jak krypta św. Leonarda, część murów zewnętrznych, kaplica św. Mikołaja i t. d. Dopiero później, za czasów króla Kazimierza Wielkiego i biskupa Bodzanty „obu doskonałych gospodarzy“, gdy i środków przybyło więcej, dopiero wtenczas postanowiono przebudować korpus i wystawić transept. W r. 1320, kiedy obmyślano plan i rozkład nowej budowy, tedy widocznie postanowiono z góry, że transept będzie tam, gdzie do tej pory stał ołtarz św. Stanisława. Nie było więc tak, iżby miano potem przenosić ołtarz z relikwiami na środek transeptu, jako na miejsce architektonicznie wybitniejsze, ale przeciwnie, zbudowano transept na tem miejscu właśnie dla tego, żeby uczcić i podnieść stary ołtarz, którego wcale nie ruszono (str. 86).

Ten proceder budowy kościoła gotyckiego tłómaczy także poniekąd nieproporcyonalną długość chóru w porównaniu z korpusem, którego nie można było następnie przedłużyć w kierunku zachodnim, wobec tego, iż grunt tam opada nagle tak, iż z tej strony wchodzi się do kościoła po kilkunastu stopniach. Tę długość chóru, jak autor na innem miejscu zaznacza, tłómaczono dawniej tem, iż katedrę krakowską zbudowano umyślnie z chórem wydłużonym, aby mieć podostatkiem miejsca dla rozmieszczenia dostojników dworu królewskiego przy obrzędach koronacyjnych; tłómaczenie to jest jednak mylne, bo koronacya odbywała się nie w chórze przed wielkim ołtarzem, lecz właśnie w korpusie przed ołtarzem św. Stanisława.

Mówiąc o kaplicy Wazów dawniej t. zw. Prandocińskiej (św. Piotra), położonej po stronie południowej kościoła, po studyach mozolnych a tworzących same dla siebie wzór podobnych badań, mianowicie po

studyach około oznaczenia dawniejszych kształtów kaplicy (kaplica ta, to jest jej mury — jest remanentem romańskim) dochodzi autor także do wyjaśnienia zagadki architektonicznej, dla czego w tem właśnie miejscu załamuje się mur szczytowy katedry i południowa nawa boczna zwęża się o 1·05 m.? Są to, jak wspomniano wyżej, dwa największe błędy budowy gotyckiej, skupione właśnie przy kaplicy Prandocińskiej: Otóż powodów obu tak rażących anormalności nie podobna inaczej wyrozumieć, jak w przypuszczeniu, że architekt XIV. w. skoro doszedł w budowie muru szczytowego od wschodu ku zachodowi aż do tego punktu, od którego poczyna się załamanie, musiał natrafić w tem miejscu na jakąś przeszkodę, która niedopuszczała dalszej budowy w linii prostej, to znaczy, musiał natrafić na jakieś tutaj murowanie, którego nie można było t. j. nie chciano zburzyć a więc — trzeba było ominąć. Nie mogło to być nic innego, pisze prof. Wojciechowski, jak tylko ówczesna kaplica Prandocińska, według aktu biskupa Bodzanty z r. 1349, „*dudum consecrata et aedificata*“. Dla czego mur szczytowy transeptu, wyciągnięty w przedłużeniu ambitowego, miał już taki kierunek, iż nie mógł ominąć kaplicy Prandocińskiej, ani złączyć się w prostej linii z murem romańskim korpusu — jak to musiało być zamiarem autorów planu XIV. w. i jak też powiodło się po drugiej stronie kościoła, — lecz zamiast tego, nastąpił na kaplicę i utknął na niej, to tłómaczy się po części niedokładnością ówczesnych instrumentów mierniczych, a także trudnością zadania. Błąd był popełniony przy założeniu murów nowego chóru i przy wytknięciu jego osi, a na linii transeptu objawił się już odskokiem o prawie $1^1/_2$ m. Skoro jednak skutkiem tego mury już nie mogły się zejść więc szło teraz o to, jak wykończyć ścianę południową transeptu i w jaki sposób uskutecznić połączenie z murem wyciągniętym przy kaplicy na fundamencie romańskim a to wszystko bez naruszenia kaplicy Prandocińskiej. Ostatecznie architekt zdecydował się na budowę południowego ramienia transeptu na planie pięcioboku, ale przy tem musiał uciąć narożnik kaplicy Prandocińskiej i zburzyć część starego muru romańskiego o ile wystawał po nad poziom kościoła gotyckiego, i, co główne, musiał też nagiąć mur szczytowy (str. 152). Autor wykazuje jednak, że podczas budowy była chwila, kiedy architekt zanim zdecydował się, albo raczej zanim otrzymał pozwolenie na obcięcie kaplicy, próbował najprzód innego wyjścia; plan południowego ramienia muru był obmyślony, zdaje się, w taki sposób, że jego bok zachodni miał być pociągnięty do filaru nawy środkowej w ukos, czyli że całe ramię stanęłoby na planie trapezu. Byłoby to oczywiście o wiele szpetniejsze, niż to, co jest teraz. „Co prawda — powiada prof. Wojciechowski — są na świecie budowle z planami jeszcze gorzej pokrzywionemi“;

szczęśliwie zaniechano jednak tej myśli, dozwolono architektowi uciąć kawałek kaplicy, i wtedy dopiero obmyślił załamanie muru szczytowego; na podparcie zaś sklepienia transeptu od strony zachodniej wyciągnął przyporę na murze wspólnym nawy bocznej i kaplicy Prandocińskiej a dzięki temu uniknięto pokrzywienia planu całej katedry. Ponieważ także operacya obcięcia narożnika kaplicy Prandocińskiej nie była łatwa, autor dochodzi do wniosku, że „cała ta sprawa, jakkolwiek uchodzi za błąd i anormalność, daje owszem świadectwo zręczności i sprytu nieznanego z imienia architekty". — Dodać należy, dla czego tak usilnie starano się zachować kaplicę Prandocińską: oto tutaj był dawny środek katedry przedromańskiej i miejsce grobu św. Stanisława, a później ztąd okazywano ludowi rękę Świętego.

Autor przedstawiwszy stan obecny, okazuje, jak to było dawniej, rekonstruuje cały plan katedry naprzód gotyckiej, potem romańskiej a wreszcie owej pierwotnej, przedromańskiej, Bolesława Chrobrego. Po kolei wykazuje autor zmiany, jakich doznała w toku wieków każda poszczególna część kościoła, opowiada pierwotne początki i dzieje każdej kaplicy, każdej wieży, każdego ołtarza, każdego niemal dzieła sztuki czy pamiątki każdej. A wszystko to czyni nie tylko z zadziwiającą po prostu znajomością wszelkich możliwych źródeł i z najzupełniejszem ich opanowaniem, lecz także w sposób bynajmniej nie suchy, a przeciwnie, mimo naukowej ścisłości, pełen swobody i zdolny zainteresować każdego. Wykazuje też nie tylko jak to dawniej było, ale także gdzie niejedno z dzisiejszego stanu rzeczy powinno być przeniesione, aby wróciło na swe właściwe miejsce, i jak powinno wyglądać. Tak n. p. po mistrzowskiej analizie wszystkich dowodów *pro* i *contra* wskazuje miejsce, w którem znajduje się grób królowej Jadwigi, wskazuje, gdzie powinien stanąć jej pomnik, zaznacza, że niepotrzebnie przeniesiono w r. 1874 ciało Stefana Batorego z pod kaplicy Maryackiej do krypty, zawierającej groby królewskie, i t. d., i t. d.

O krypcie św. Leonarda mówi, że to właściwie osobny kościół o trzech nawach, mający swoją własną oś; nie miała ona żadnego związku z budową gotycką a przy budowie romańskiej kryptę stawiano naprzód: była to najstarsza część katedry romańskiej, a że ona właśnie przechowała się dotąd w pierwotnej całości, lubo nie w pierwotnym stanie, przeto można powiedzieć, że w całej Polsce nie mamy obecnie z okresu sztuki romańskiej nic takiego, co mogłoby dorównać powadze krypty św. Leonarda pod względem wieku. Co do błędów w wykonaniu budowy krypty, powiada autor, że trudno orzec, czemu należy je przypisać: czy nieuctwu, czy przerywanej robocie, czy trudnym warunkom skalistego terenu. Autor rekonstruuje cały plan krypty. — Pierwsze za-

łożenie krypty, przypisuje autor Kazimierzowi Mnichowi, który dzięki stosunkom swej matki, Richezy, za czasów wygnania, przypatrywał się takim budowlom w Kolonii i okolicy nad Renem. Ztamtąd pochodził także ówczesny biskup krakowski Aron († 1059).

Rekonstrukcyę planu kościoła romańskiego opiera autor na remanentach starego kościoła, przejętych przez budowę gotycką a które powiodło się autorowi wyśledzić (dało się to zrobić tylko w korpusie kościoła gotyckiego aż po linię transeptu), dalej na wizerunkach pieczętnych kapituły katedralnej z XII. i XIII. w., wreszcie na wiadomościach archiwalnych. Katedra romańska spłonęła w dniu 9. września 1305.

Z katedry przedromańskiej mamy pamiątkę pisemną: dwa spisy skarbca kościelnego, sporządzone w r. 1101 i 1112 przez biskupów Balduina i Maura, przy wstąpieniu na tron. Na czele spisu pierwszego powiedziano wprost, że uznano potrzebę sporządzenia go, „aby który z księży lub kustoszów nie ściągnął czego“. Pierwsze poświęcenie katedry fundacyi Bolesława Chrobrego odbyło się w dniu 20. kwietnia 1001 r., biskupstwo krakowskie postanowione zostało na synodzie gnieznieńskim w r. 1000. Z budowy Bolesława Chrobrego, która była prawdopodobnie na poły murowana na poły drewniana, zachowały się dotąd pewne resztki, co prawda tylko pod ziemią. — W sprawie ciał: Bolesława Kędzierzawego, Kazimierza Sprawiedliwego i Leszka Białego, a zapewne także Heleny Kaźmierzowej, niejednego z małoletnich, oraz syna i żony Bolesława Szczodrego, przeniesionych z katedry drewnianej, a tem pewniej Judyty, matki Krzywoustego, głównej dobrodziejki i prawie fundatorki kapituły katedralnej († 1087), dalej biskupów i t. d.— przypomina autor, że, jak wówczas z reguły, składano je albo na chórze przed Wielkim Ołtarzem, albo „*retro altare*“. t. j. w apsydzie za ołtarzem. Otóż w starym kościele na Wawelu oba miejsca były nad kryptą. — Czyżby nie leżały tam dotąd — pyta prof. Wojciechowski — może w zagubach między arkadami krypty?

Omawiając zasadniczy temat, autor porusza mimochodem, a zawsze w ściśle logicznym związku, mnóstwo tego rodzaju, jak powyższa, ważnych i interesujących kwestyj. Tak n. p. mówiąc o kaplicach, i zaznaczając, że najpiękniejsza z nich to kaplica Maryacka czyli Mansyonarska, Cyboryalna lub Batorowska, (opis kaplicy renesansowej t. j. Zygmuntowskiej nie wchodzi, jak autor wyraźnie podkreśla, w zakres dzieła, które zajmuje się tylko średniowieczem), wykazuje autor, że kaplica ta była malowana na sposób grecki (ruski), a to za sprawą Jagiełły: sztuka grecka (ruska) dochodzi w XII. w. aż do Wrocławia, jak tego dowodzi tympanon nad wejściem kościoła św. Michała w Wrocławiu (1146—1161), fundacyi Jaksy. — Na innem miejscu zaznacza autor, że należy sprawdzić

„czy głowa lub pierś wielkiego (czarnego) krucyfiksu nie są ikonoteką-relikwiarzem w którym — któż wie — może dotąd przechowuje się jeszcze krucyfiks mniejszy z partykułą św. Krzyża, krucyfiks, „który rozmawiał z królową Jadwigą“, a pochodził od jej stryja, króla Karola V., francuskiego. „Warto szukać, choćby się nic nie znalazło“. Wielki krucyfiks, jak przypuszcza autor, jest może ze srebra został pomalowany na czarno dla ukrycia go przed rabunkiem Szwedów w r. 1652.

Autor wykazuje dokładnie, że pierwotny tytuł katedry na Wawelu jest: Salvator, a św. Wacław zjawia się jako tytuł kościoła dopiero w w. XII.

Pisząc o grobowcu Łokietka i wykazując że grobowiec ten miał dawniej baldachim i był malowany, mówi autor: „Ten Łokietek, to twarz polska, słowiańska, każdemu z nas znana, bo i dotąd można takie spotykać; typ wyraźnie jasnowłosy a odmienny od drugiego, także polskiego, jakim była n. p. twarz Sobieskiego“. Twarz króla była wykonana, gdy miał najwięcej lat 60 a więc około r. 1320, po koronacyi i po rozpoczęciu budowy katedry gotyckiej. — Na innem miejscu, zaznacza autor, że wydaje się, jakoby jednym z bodźców do „reformacyi“ starych kaplic gotyckich na nowe włoskie (renesansowe), była chęć posiadania obszernego grobu na mieszkanie pośmiertne. Zmieniony wówczas już obyczaj chowania, wpłynął też na zadanie i pojęcia rzeźby nagrobnej. Grobowiec Kazimierza Wielkiego to jeszcze istotny sarkofag, wystawiony nad grobem i ciałem zmarłego; grobowiec Zygmunta I., chociaż wyrobiony kształtem sarkofagu, to w rzeczy samej już tylko pomnik. Kazimierz leży na tumbie wyciągnięty prosto, jakżeby złożony do trumny; Zygmunt zaś spoczywa, jakżeby we śnie.

Autor dzieło swe kończy uwagami z powodu restauracyi. Są to punkty wytyczne, których przyszłe restauracye Wawelu — o ile tego nie mogła spełnić ostatnia — po prostu będą musiały koniecznie się trzymać. Wymieniamy je po krótce: Obniżenie napowrót ambitu; polichromia kościoła; zamurowanie arkad w podłużu między chórem a ambitem należy znieść; „pięknej ściany wschodniej chóru nie godziłoby się zasłaniać przywróceniem dawniejszego ołtarza, tak wysokiego i szerokiego, żeby ją zakrył. Teraz za przywróceniem gotyckiego oblicza chóru, przy otwartym widoku na sarkofagi Łokietka i Kazimierza, złocisty ołtarz barokowy (Gąbickiego) jużby się nie nadał. Raczej pomyśleć o nowym ołtarzu szafiastym, z czarnym (może srebrnym) krucyfiksem królowej Jadwigi“; obniżenie posadzki w całym kościele podniosłoby wrażenie wysokości, a przy tem może odsłoniłyby się nagrobki i dałaby się odpowiednio uczcić pamięć królowej Jadwigi; przy korpusie przywrócić trzy kaplice przy wieży północnej, mianowicie piątrową, i po-

dwójne schody w nawie bocznej; na wieży północnej przeprowadzić jej restauracyę po myśli jej fundatora Kazimierza Wielkiego i urządzić salę na piętrze i t. d., a w tym celu zmienić urządzenie dachów tej części kościoła; uporządkowanie facyaty zachodniej; wieżę południową, jedyny dziś po nad ziemią remanent romańskich murów kostkowych odsłonić z pod tynku; przenieść nagrobek Jagiełły napowrót ponad grób (pod prawą arkadę chóru) a Batorego napowrót do kaplicy Maryackiej, lecz otworzyć widok z góry na piękny sarkofag roboty gdańskiej z r. 1582.

„Nasze najwspanialsze katedry są biedne — powiada prof. Wojciechowski — w porównaniu z niemieckiemi, a nie dopiero z francuskiemi, gdzie nawy boczne dochodzą takiej wysokości, jaką u nas mają środkowe“. Tak jest, ale nie jedna, o wiele wspanialsza katedra niemiecka czy francuska, nie mogą dorównać Wawelowi świetnością swej przeszłości, bogactwem pomników i zabytków sztuki, a może przedewszystkiem — tak pomnikową, z takim nakładem wiedzy i z tak gorącem umiłowaniem przedmiotu napisaną monografią historyczną, jak ta, którą prof. Wojciechowski stworzył o Wawelu.

*ab.*

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

# KORESPONDENCYA
# JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(Ciąg dalszy).

14. sierpnia [1]) . . . Po herbacie z Ksawerym Gałęzowskim przycisnęliśmy się pomiędzy tłumami ludu do Hotel de Bade na boulevard des Italiens. Na balkonie w mieszkaniu Benisławskiego rozgościliśmy się wygodnie. Byli z nami oboje Goreccy z Helenką Mickiewiczówną, Korabiewicz, Szczyt, potem Seweryn Gałęzowski, Karwowski z synem, Franciszek Grzymała i w końcu ks. Jełowicki. Około 10-ej i pół zaczął się przeciąg wojsk zwycięskich [2]). Przypatrzyłem się Napoleonowi III. na przepysznym koniu, marszałkom Baraguay d'Hilliers, Mac-Mahon, Canrobert i Niel. Pułki za pułkiem, okrzykami i oklaskami głuszone, przesuwały się szybko. Przeciąg trwał jednak do $3^1/_2$, zakończony ulewnym deszczem. Pomimo ulewy, publiczność dotrwała do końca.

**Do Pana Edmunda Łozińskiego, w Paryżu.**

*Fontainebleau, 16. września 1859.*

. . . . . Ogólnie powtarzaj rodakom, a mianowicie rówieśnikom twoim wypróbowany pewnik mój, gdzie tam, pewnik całego chrześciaństwa, że potrzeba nam wielkiej wiary, wielkiej miłości.

[1]) Z dzienniczka B. Z.
[2]) Z powrotem z Włoch.

wielkiej nadziei: niech rozniecą raz w sercach swoich zapał ku tym w i e l k o ś c i o m, a Polska będzie, będzie jako Bóg żywy [1])!

. . . . . .

*Bohdan Zaleski.*

18. września 1859 [2]) . . . Obudziłem się w nocy, o 1-ej, po śnie bardzo znaczącym o jakimś poecie francuskim, ślicznym, młodziuchnym i suchotniku, którego niby dusznie kochałem. Poeta spowiadał mi się z całego życia, pokazywał kochankę przewrotną i zacną narzeczoną, czytał wiersze i t. d. Pod wrażeniem tego snu, zacząłem pobożnie dumać.

Wydumałem wiersz p. t. K r z y ż, a raczej zanotowałem go w pamięci... Dziś kościół francuski obchodzi święto Podniesienia Krzyża. Byłem rzewnie usposobiony... jąłem się do spisania wydumanych w nocy wierszy. Szło mi trudno, bo wielką część wyrażeń zapomniałem . . . . . .

19. września. I tej nocy rozbudziłem się wcześnie, mogłem tedy ułowić myślą uronione wczoraj wyrażenia i wiersze. Skleił się oto hymn, a raczej dumanie pobożne.

## Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej, w Rzymie.

*Fontainebleau, 3. grudnia 1859.*

Nisiu, najukochańsza siostro moja, drużko, przypadam na chwilkę do kolan twoich po przytulenie. Noszę, jak wiesz, zastrzał w sercu [3]). Boli tam, oj boli. Przez wzgląd na stan Zosi niemo, z usty zaciśnionemi, połykam po kątach łzy, albo w myślnej modlitwie korzę się w proch przed Bogiem moim. Święć się, wolo Boża! powtarzam bez ustanku, powtarzam z głębi duszy i w całej pełni wiary, miłości, nadziei chrześciańskiej, a przecież daleko mi

[1]) Oryginał tego listu nie dał się odszukać. Wyjątek z niego został wypisany z dzienniczka B. Z. z 1859 r. Notatka tak się zaczyna: Odebrałem list z pożegnaniem od Edmunda Łozińskiego, wraca do kraju na kilka miesięcy. Odpowiedziałem mu wnet z powagą i zapałem.

[2]) Z dzienniczka.

[3]) Najmłodszy syn Bohdana, Kazimierz, umarł 23. października 1859 r.

zawsze do doskonałej rezygnacyi. Biedni my ludzie! Tęsknoty rodzicielskiej po dziecku ani wysłowić, ani ukoić niepodobna. Duch schodzi w jakąś bezbrzeżną otchłań smutków... a co gorsza, rozlubować się nawet gotowy w zmorach tam sennych, rozwiewnych. Usposobienie takie duszy jest grzeszne. Teraz dopiero czuję, jak mi wiele jeszcze niedostaje do prawdziwej pobożności.

Biedna Zosia jeszcze głębiej pogrążyła się w smutki. Zawsze łzy płyną za matki myślami o dziecku: a cóż dopiero po stracie dziecka? Płacze też, a płacze niemal bez przerwy. Dzień i w noc czuwamy nad nią, pocieszamy i tulimy jak umiemy, ale nadaremnie. Dzień za dniem i po tylu tygodniach też same płacze i żale. Wycieńczyła się aż do prostracyi sił. I rzecz dziwna, Benjaminek nasz, króciuchno tak gościł pomiędzy nami, przeszczebiotał, przepłąsał niespełna sześć latek, a taka żałoba po nim. Anielskie było to dziecię, zniewalał od razu ludzi starszych a nad dziećmi przewodził; bystry, dowcipny, wygadany, mnie głębokim uroczkiem swoim i zadumanem czołkiem przypominał przyjaciół młodości, coś po Brodzińskim, po Mochnackim, po Grabowskim. Bóg widzi wszelako, że nie był milszy nam od starszych braci i siostry. Owoż i dzieci po nim posmutniały i przycichły. Iści się co do słowa, u nas, co śpiewał ongi żałośny ojciec Orszulki:

„Istne pustki w domu!
Pełno nas, a jakby nikogo nie było
Jedną maluczką duszą tak wiele ubyło!“

Już to starzy i młodzi nigdy podobno nieodtęsknimy się po nim, a daj Boże, aby nieszczęśliwa matka nie szkodowała na zdrowiu. Żal okrutny, który nas trawi, niewątpliwie przypadł na nas z dopuszczenia Bożego, ku opamiętaniu w grzechach, ku oczyszczeniu z różnych zmaz.

Nisiu droga, niezmarnujem, och! niezmarnujem już nigdy przestrogi Pańskiej. Uderzyliśmy oboje w pokorę i pokutę. Gotujem się oto na przyjęcie „promienistego młodziana“, o którym pisałaś, Nisiu, w liście do Józefa. Wierzymy, duszko, wierzymy najusilniej, że promienisty nasz młodzieniec Bohdan Kazimierz wyjdzie na spotkanie nasze, i wyjdzie z pełnemi garściami łask, bo oprócz niewinności dziecięcej poniósł Chrystusowi Panu i krzyżyk czerwony. Męczeńską miał śmierć, a przytomny był, pokorniuchny i słodki. Widzę go wciąż i słyszę w chwilach przedskonania, kiedy oparty na mojem ramieniu, całował to krucyfiks, to ręce moje, wtórując litanii do Matki Boskiej. „Nie mogę już,

Ojcze, oddychać... Nie mogę wcale oddychać... Biedny Ojciec płacze...

„Zgwałciłaś niepobożna śmierci oczy moje,
„Żem widział konające lube dziecię swoje.

Wstydzę się, siostro Nisiu, rozczulenia mego, tej niemęskiej, nie chrześciańskiej miękości przy siwych oto włosach. Boję się, ty stojąca mocno na opoce Kościoła, ty wyćwiczona w prawdach i prawach Zakonu, ty długoletniemi cierpieniami duszy i ciała uświęcona, ty myślą i sercem od dawna już oderwana od ziemi, Nisiu najdroższa, ty zgorszysz się ze mnie. Ale przed kim ze się mam wypłakać, przed kim wyspowiadać się z nędzy swojej, jeśli nie przed tobą, najrodzeńsza siostro moja i wypróbowana przyjaciółko? Potrzebne są nam przy tem niezmiernie modlitwy twoje i podparcie duchowe, abyśmy nie wpadali na pokuszenie. Zosia prosi cię o nie na klęczkach. Żyjemy w czasach trudnych, w czasach ciężkich. Módlmy się druh za druhem, och! wielu nas jest wierzących. Zestrzelmy serca i duchy w jedno ognisko wielkiej modlitwy, bo najrzeczywiściej rózga gniewu Bożego nad światem. Królowie i ludy zwaśnione z Kościołem świętym. Co pychy! Co złości na około nas i w nas? Jako dzieci Kościoła i jako dzieci Polski, będziemy rychło wystawieni na straszne próby. Błogosławieni, którzy wytrwają Panu! Toż prośmy, prośmy o nowe dary, o moc, o świętość. Święci Patronowie Polski, aniołowie stróże, promieniści duchowie, Józia, Kazio, Romcio i tysiące niewiniątek oby chcieli nam wtórować w nędznych, roztargnionych modłach od ziemi.

Uciekamy niebawem, Nisiu, do Paryża. — Fontainebleau osamotniało, osmutniało. Najmilej nam na cmentarzu, kędy chodzimy na modlitwy, niemal co dzień. W czasie pobytu naszego w Paryżu, poczciwy Józef nasz postawił śliczny pomniczek Kaziowi. Myślimy zakupić ten kawał ziemi na własność. Będzie to jedyna własność nasza na tułactwie.

Całuję ręce twoje, Nisiu, proszący o przeżegnanie i przytulenie mnie i moich. Bogomyślnego, serdecznego Daryusza ściskam z czułością po starej przyjaźni

*Bohdan.*

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza, w Rzymie.

*Fontainebleau, w dzień św. Franciszka Xaweregо, 3. grudnia 1859.*

Dotąd niepodziękowaliśmy Ci, kochany i serdeczny nasz Ojcze Hieronimie, za słowo pociechy kapłańskiej i przyjacielskiej. W uścisku serca, pióro cięży w ręku jak ołowiane. Przeboleliśmy dużo, i po dziś dzień jeszcze bolejem, a osobliwie niewymownym sposobem cierpi nieszczęśliwa matka. Chodziło mi długo o to, aby raczej ona sama wyspowiadała przed tobą o stanie swojej duszy. Upadła bardzo biedaczka na duchu i niszczy siły w nieutulonym płaczu po swoim Benjaminku, siły, tyle potrzebne dla całego domu. Nie brak jej pocieszeń religijnych i perswazyi ludzkich; święte i dobre dusze czuwają wciąż nad nią z bliska i z daleka. Cóż poradzić na macierzyński żal? Już Jan Kochanowski śpiewał: „Próżne to ludzkie wywody, żeby szkodą nie zwać szkody“. I w czasie mała otucha, po pięciu tygodniach jątrzy się jeno głębiej rana. „A czas jaki ma fortel? dawniejsze nowemi przygodami wybija, czasem weselszemi“. Otóż tych weselszych przygód wszędzie dzisiaj wielki brak, a w Fontainebleau ani krzty. I owszem, w osamotnieniu tu naszem wszystko i wszędzie przypomina niebodzę odleciałego aniołka. Ze wszystkich kącików domu, które nie dawno niepospolite dziecko nasze napełniało gwarem i weselem, wieje teraz smutek i jakoby woń grobowa. Dlatego radzi nie radzi, nie oglądając się ani na zimową porę, ani na goliznę emigrancką, wynosimy się do Paryża. Mam w Bogu nadzieję, że zmiana miejsca, milsze stosunki z bliskimi przyjaciółmi, też nowe i poważne obowiązki wywrą dobry wpływ na duszę i umysł stroskanej matki, a przynajmniej łacniej tam zatamują się łzy. Najęliśmy mieszkanie na Batiniolach, tuż przy kościele, blisko onego domku, kędy chrzciłeś mego pierworodnego. Niedaleko też i do szkoły polskiej. Chłopcy moi wszyscy trzej potrzebują już nauki, to jako externy uczęszczać będą tam na prelekcye. Sami przy tem czuwać możemy nad ich wychowaniem i moralnością. Tym sposobem trudne rzeczy załatwią się chytro, mudro i nie wełykym kosztom, jak mówią u nas na Ukrainie.

Niezapominajże, kochany Ojcze Hieronimie, i na nowej sadybie o starych swoich przyjaciołach. Od czasu do czasu posilaj nas obrokiem duchowym. Wszyscyśmy smutni, a najsmutniejsza Zofia. Wiesz, jak ona ciebie wielbi i kocha, to słowo twoje będzie miało

zawsze wielką wagę i powagę u niej. Wiem, że i wy tam nie weseli. Kościół w ucisku, to święte dusze biedzą się i jęczą w ustawnej modlitwie ku Panu. Miejmy jednak dobrą otuchę. Pan raz na zawsze zwyciężył świat, to pomieszać może, rychlej niż się spodziewamy, zamyślenia i rachuby dyplomatów tegowiecznych.

Z całą gromadą moją tulę się, Wielebny Ojcze, do twego łona. Błogosław nam kapłańską ręką, toż westchnij czasem za nas przy świętej ofierze mszalnej.

Twój zawsze wierny jak za młodszych lat

*Bohdan.*

Ojców Piotra i Karola ze starą miłością i poważaniem ściskam i pozdrawiam. Polecam się ich modlitwom. Toż samo i modlitwom towarzyszy waszych, znajomych i nieznajomych

*Bohdan.*

Nie dawno pisałem do ciebie, kochany Ojcze, i na twoje ręce posłałem list do Lenartowicza z prośbą, abyś mu go odesłał. Adres jego który mi był przysłał, na razie gdzieś mi były dzieci zatrzęsły i to mnie zmusiło ciebie, mój Ojcze, tym interesem obarczać. Jeżeli Go zobaczysz, proś niech mi słówko tu jeszcze do Fontainebleau odpisze. Żegnamy się z tym domkiem w którym, jeżeli nie bez troski, to przynajmniej pobożnie, w ciszy i w miłującem się wspólnie gronku rodzinnem przeżyliśmy lat dziewięć, a z jedną małą duszą tak wiele ubyło, że dziś nie pytaj tu o wesołość, jakby całą z sobą dziecina zabrała do grobu. Boleśno patrzeć na biedną matkę, która literalnie łzami żyje. Pomódl się, kochany Ojcze za nią, aby Bóg dotknąwszy ją boleśnie zesłał do tej cierpiącej duszy łaskę pokoju i poddania się woli Bożej. Puszczamy się na zgiełkliwe życie, ale tam tego nie znaleść jeżeli Bóg nie da.

Ucałuj, kochany Ojcze, ks. Piotra i Karola i całemu gronu Waszemu złóż moje pozdrowienie i poleć nas modlitwom. A niech Bóg świętemi łaskami was obsypuje i da nam wszystkim dożyć tryumfu Kościoła. Ręce twoje kapłańskie całuję

*Józef Zaleski* [1]).

[1]) Brat Bohdana.

## Do Pana Teofila Lenartowicza, w Rzymie.

*Paryż, 31. marca 1860.*

Kochany Teofilu, nie poczciwie to, że odwłóczyłem odpowiedź na twój miły i serdeczny list, ale doprawdy na razie zabrakło mi czasu. Pisuję do Józefa przez nuncyaturę paryzką pod wieczną grozą odjazdu kuryera, pisuję więc w pospiechu a przy tem zacietrzewiony wciąż powszedniemi domowemi sprawami.

Dziękuję ci za śliczny wiersz, jaki mi przysłałeś, istotnie, tyle w tym wierszu namaszczenia, tyle blasku i prostoty że aż mnie brała zazdrość — zazdrość? to *lapsus linguae*, bo nikt i nigdy nie namacał na mej czaszce tego brzydkiego bossa, i owszem od najrańszych lat przyklaskiwałem zawdy pieśniom spółzawodników. Stoisz oto, Teofilu, w opromienieniu łaski, w samym prądzie natchnień wieszczych, to nie dziwię się wcale, że miewasz tak cudowne sny i widzenia poetyczne. Stójże i nadal mocno i wytrwale w pełności wiary i czystości uczuć, stój tym wytrwalej, że nasze pokolenie poetów zestarzało się już albo schodzi z pola.

Nie badam ducha twojej pieśni co się z nią uiści? trudno odgadnąć. Oczywiście rózga grozy Bożej nad światem, a więc nie obejdzie się i bez wielkiej zgrozy. Ludzkość pędzi w zamęt ku jakowemuś nowemu przeobrażaniu się, to muszą strumieniami płynąć i krew i łzy. Błogosławiony kto ostoi się w prawowierności. Trzymajmyż się, Teofilu, dłoń w dłoni wszyscy, podpierajmy druh druha, dużsi słabszych . . . . . .

Ściskam rękę twoją bratnią po przyjacielsku, osobno od żony, dziatwy i osobno od Dyzia.

*J. B. Zaleski.*

## Do Pana Eliasza Socharzewskiego, w Janówce pod Rzyszczewem.

*Paryż, 16. kwietnia 1860 r.*

Mój dobry, mój poczciwy, mój kochany Eliaszu, od czasu pobytu twego za granicą, dużo się u nas zmieniło w domu. Kazio[1])

[1]) Najmłodszy syn Bohdana.

nam ubył, ów Kazio milutki, rozumny, wymowny, któregoś tyle całował i pieścił, ów miziny nasz aniołkiem już dziś w niebie. Niepodobno wypowiedzieć smutku naszego i żałoby po nim. Wujenka twoja wynędzniała, wychudła na szkielet, w ustawnym płaczu i tęsknocie. Moja broda niemal całkowicie zbielała. A i dziatwa nawet, gwarna jak pamiętasz, dziatwa widocznie posmutniała. Pan Bóg dopuścił był ciężką próbę na nas. Sroga szkarlatyna a jeszcze sroższa angina uderzyły jednocześnie na wszystkie pięcioro dzieci. Strachu było wiele z niemi i skończyło się oto na stracie jednego. Pół roku już minęło po tej klęsce domowej, a nie możemy przyjść do siebie, i bodaj nigdy już nie przyjdziem! Dlatego to nagle i niespodziewanie opuściliśmy miłe i ciche Fontainebleau. Mieszkamy teraz w Paryżu, na Batignolles, w nowym ślicznym domu przy rozległym placu zasadzonym drzewami, nieopodal od kościoła i od szkoły polskiej. Dogodnie tu nam jest, ale cóż potem? skoro w sercach nie wesoło. Chłopcy moi przynajmniej mogą się uczyć i my jako tako chwalić Boga.

Dawno, och! dawno, mój Eliaszu, odebrałem twój poczciwy i serdeczny list. Biedy co rychło jakoś potem uderzyły na dom, wybiły mi z głowy wszelką troskę powszednią, owoż dlaczego ci nie odpisałem na razie. W boleści mojej rodzicielskiej, zaniemiałem byłem dla wszystkich korespondentów bliższych i dalszych. O tobie jednak myśliłem często w sercu i przy modlitwie. Nie wiń mnie tedy że teraz dopiero dziękuję ci za szczere synowskie wynurzenie się przedemną i za twoje sprawozdanie o całem naszem rodzeństwie. Bóg ci zapłać za wszystko, mój kochany siostrzanie! Ciekawie i ze zbudowaniem czytałem twoją relacyę o przygodach zeszłorocznej podróży. Chwała Bogu, wszędzie sam umiałeś dać sobie radę. Szkoda tylko żeś dziwaczył trochę w Rzymie. Widywałeś rzadko Iwanowskich, Poniatowskich i księży. A przecież to oni moi własni, nierodzeni, lecz jakoby rodzeni. Stało się, nie ma co już o tem i wspominać.

Radbym abyś mi, Eliaszu, doniósł o swojem zdrowiu i powodzeniu. Co porabiasz teraz i co zamierzasz na przyszłość? Nie wątpię, że po staremu żyjesz cnotliwie i pobożnie, ale chciałbym wiedzieć poszczegółowie o zajęciach twoich, o stosunkach z rodzeństwem i ze światem. Czy trudnisz się gospodarką na wsi albo siedzisz w mieście? Broń cię Boże od życia bezczynnego i tem bardziej od samotnego życia? Umysł twój z przyrodzenia skłonny do zaciekań, puści się wnet na fale fantazyi, puści się na długo;

zardzewieją tem samem twoje zdolności, ociężejesz rychło w ciele, i bodaj zmarnujesz cały żywot.

Mój drogi, weź gorąco do serca radę wujowską. Upominam cię w imieniu matki twojej, nie odosobniaj się za młodu i owszem żyj z ludźmi, służ im, rozmiłuj się w pracy pożytecznej, płatnej u Boga i cenionej w społeczeństwach chrześciańskich. Podam ci zaraz osobę i sposób do takiej pięknej usługi bliźniemu. Ciotka twoja Linowska, obciążona wiekiem i schorowana, wdowa, sierota, żyjąca podobno w opuszczeniu i niedostatku, potrzebuje czujnej, czułej opieki nad sobą. Włodzimierz paralityk i . . . . . [1]). Oczywiście moja to powinność byłaby w kraju przytulić siostrę niebogą. Mój Boże, z jaką rozkoszą pełniłbym służbę około niej. Niestety n i e l ź a. Moja dola osobna i rola gdzieindziej, tam na c z u ż y n i i zapewnie bez powrotu na zawsze. Święć się wolo Boża! Otóż z bliższych krewnych moich ciebie jednego dotąd, Eliaszu, poznałem. Masz złote serce i szlachetną duszę, to ochotnie poruczyłbym ci chlubne zastępstwo przy mojej jedynaczce. Sprobuj nowego życia, nawiedzaj ciotkę jak najczęściej, pielęgnuj, pocieszaj, podpomagaj. Nie braknie ci ani czasu na to, ani środków pieniężnych do świadczenia przysług i opatrywania potrzeb ciotki. Pomyśl, mój Eliaszu, o tej propozycyi wujowskiej i odpisz jak ci się zdaje. Tymczasem ucałuj ręce Cioci Linowskiej za mnie, jedynego jej brata. Przeczytaj jej co chcesz z tego listka, bo nie godzi się aby sama staruszka ślipała nad moim maczkiem. Powiedz że ją kocham, kocham, im dalej w lata tem żywiej i rzewniej, że tęsknię bardzo do połączenia się z nią — Bóg widzi, że nie na ziemi. Niech się modli za mnie i za moich, niech błogosławi nam starym i młodzieży.

Józef mój w Rzymie przy siostrze i siostrzenicach, ale i za niego błogosławię ciebie i twoich, a ciotki Antoniny rękę całuję. Powiedz jej że on z nami nierozłączny na ziemi i w niebie . . . .

Ściskam ciebie, całuję, pozdrawiam i błogosławię z głębi serca wujowskiego

*J. B. Zaleski.*

---

[1]) Wyraz nieczytelny.

## Do Pani Zofii Zaleskiej, w Bourbonne les Bains.

*Paryż, w lipcu 1860 r.*

Moja najdroższa i najserdeczniejsza Zosiu, pakiet listów od was przyszedł wczoraj przed południem, ale po onegdajszej wycieczce do Fontainebleau i po niespanej nocy, czułem się cały dzień jakoś nie swój; odłożyłem pisanie do was na dziś.

Żono moja najmilsza, czemu ty wciąż płaczesz i szamotasz się w sercu swojem? Ludzie mają racyę, że przy takiem usposobieniu moralnem, wody Bourbonne i wszelkie kuracye na nic się tobie nieprzydadzą. Duszko moja, przestań kusić Pana Boga. Zdobądź się już na bohaterstwo chrześciańskie; to jest zdaj się jak najzupełniej na wolę Bożą! Ty zdolna jesteś tej cnoty, tylko usiłuj całą duszą. Potrzebaż ci przypominać o twoich obowiązkach względem nas? Ty wiesz doskonale ileś nam tu potrzebna do szczęścia i nawet do zbawienia. Nie lubię homilii kaznodziejskich, odwołuję się więc do twego uczucia matki i żony. Serce twoje wielkie, wieszcze, rozumie prawdy Boże, ciemne nawet dla doktorów tego świata. Zosiu, jedynaczko moja, szanuj się, powściągaj energicznie po chrześciańsku wybujałą do gwałtowności czułość swoją. Na kolanach błagam cię o cnotę spokoju, błagam od siebie i od dziatwy naszej. Nie chcę dłużej rozwodzić się o tej rzeczy, bo mi serce krwawi się w łonie . . . . . .

. . . . . .

W Fontainebleau smutno i pusto. Chodziłem długo po lesie ścieżkami od tylu lat znanemi. Widziałem się z państwem Dumont, oczywiście dużośmy mówili o tobie, a potem o sprawie kościelnej i syrijskiej. A o czemże teraz myśleć nam i mówić, kiedy leje się krew męczeńska? Interwencya francuska jest, ale licha, nie pewna, bo Anglia wręcz się jej sprzeciwia, intryguje o przyspieszenie traktatu między Druzami a Maronitami. Zabiegłem w Fontainebleau i do P. Antoniego Topczewskiego. Widocznie dogorywa, chociaż niby nie leży w łóżku . . . . . .

Całuję twoje pokurczone łapki jak najostrożniej, całuję czoło i oczy.

Twój kochający duszą i sercem

*Bohdan.*

## Do Pana Augusta Bielowskiego [1]), we Lwowie.

*Paryż, 20. sierpnia 1860 r.*

Kochany Auguście, kilkanaście dni temu, p. Marceli Gromadziński doręczył mi od ciebie dwa tomy słownika Lindego, to jest 4 i 5. Oczywiście, że musiałeś posłać dawniej i trzy tomy poprzednie. Donieś że mi, mój drogi, w jakim czasie i na czyje ręce je posłałeś? Upominek ten wysoko cenię, i jako skarbiec językowy dla synów tułacza, i jako drogie świadectwo przyjacielskiej twojej pamięci o mnie.

Mój miły, mój serdeczny, i wy tam w kraju i my tu na kresach starzejem się w tęsknocie. W ostatnich latach przebolałem wiele. Poniosłem dużo i dotkliwych strat. Osiwiałem, osamotniałem, osmutniałem. Z tem wszystkiem w sercu mojem pełno gwarnych wspomnień o dawno pożegnanych towarzyszach d u m i b o j ó w. Ty mi się, Auguście, często i rzewnie przypominasz. Wszak to my w jednym służyliśmy pułku i obok siebie staliśmy w ogniu pod Stanisławowem i pod Okuniewem. Znam poniekąd i twoje uczone prace, tyle pożyteczne i tyle chlubne w piśmiennictwie polskiem. Szczęść ci Boże i nadal, Auguście, tak w bibliotece jak i w domu.

Ściskam rękę twoją po bratersku

*J. B. Zaleski.*

*P. S.* Pozdrów odemnie poczciwego Karola Szajnochę. A propos Szajnochy, przypominam sobie, że dwa lata temu pisał on w liście do Gołaszewskiego, że wysyłasz dla mnie exemplarz Lindego. Ś. p. Sienkiewicz zajął się był odnalezieniem tego egzemplarza. Ja wtedy mieszkałem w Fontainebleau i nie odbierając długo wieści o słowniku, myśliłem że Szajnocha się przesłyszał, albo przy expedycyi we Lwowie zaszła pomyłka.

Od czasu do czasu napiszcie do mnie słówko, ty, Auguście albo Szajnocha. Och! zapomniałem że on biedak ociemniał podobno zupełnie. Mój Boże! jak mi go żal. Czytuję czasami Dziennik Literacki, ale nie wiem czy wy doń piszecie. Rzutki jest, sprawny i gorący na duchu. Ujejski niepowstrzymany, pozdrów i jego, jeśli już o mnie nie zapomniał.

*J. B. Z.*

---

[1]) List ten pochodzi ze zbiorów Biblioteki Ossolińskich we Lwowie.

## Do Pana Seweryna Goszczyńskiego, w Paryżu.

*Paryż, 1. września 1860 r.*

Mój drogi, przyjaciele Michała, Kotiużyński i Rudnicki przysłali mi z Wildbad dwa niezapieczętowane liściki do ciebie i do mnie. Odjechali już na Ukrainę. Szkoda, bo zdają się jacyś bardzo porządni ludzie i mieli nam dać ustne objaśnienia o kraju i o Michale, który podobno w tych czasach odzyskał dawne uważanie między obywatelstwem. Szlachta wybrała go świeżo na Dyrektora Banku. Jaś Krechowiecki gospodaruje gdzieś na stepach besarabskich czy chersońskich.

Stary twój

*J. B. Zaleski.*

## Do Księdza Jana Koźmiana, w Poznaniu.

*Paryż, 6. września 1860.*

. . . Niech Bóg błogosławi, kochany Ojcze Janie, pracom twoim. Nauczycielstwo, to też kapłaństwo. W myśli Bożej, jedno powinno prowadzić ludzi do zbawienia, drugie do pełnienia obowiązków społecznych z godnością. Nauczycielski ten dodatek do kapłaństwa musiał ci Bóg dać za wielkie twoje zasługi, abyś nie sam, ale z ludźmi zdobytymi pracą twoją i miłością, stawał kiedyś po nagrody przed Nim . . . . . .

Cóż tobie powiem z domu: Pan Bóg nas raz po raz doświadcza, za co niech będzie Mu chwała! Blisko rok temu, ubyło nam z gromadki domowej dziecię: łzy rodziców dotąd po niem nie osychają, tyle z tem drobnem ciałkiem miłości i nadziei dla nas znikło. Bohdanowa w tym smutku dwa miesiące w łóżku bezwładna przejęczeć musiała, a skoro się tylko trochę bolów ujęło, wywieźliśmy ją do Bourbonne les Bains. Ale i wody nie całkiem jej pomogły, władzy dotąd zupełnej w rękach i nogach nie odzyskała; ztąd dom bez gospodyni, dzieci bez opatrzenia, a gospodarze smutni. Prosimy więc o modlitwy. Tyś nas na świecie w braterstwie kochał, my ciebie dziś w twojem kapłaństwie nie tylko kochać, lecz i szanować winniśmy i przyrzekamy. Z tem wyznaniem chciej nas, Janie nasz kochany, złożyć u stóp Chrystusowi i wyjednać

nam pełniejszą łaskę poddania się woli Bożej. Od całego naszego domu pozdrawiamy cię słowem gorącej miłości w Bogu.

Twój

*Józef Zaleski* [1]).

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza, w Rzymie.

*Paryż, 6. października 1860.*

Wielebny i kochany Ojcze Hieronimie, pewien obywatel z Ukrainy przysłał mi dla was 1.000 r. s., czyli wedle rozrachunku Rotschilda 3.750 fr. Szlachcic ukraiński przeznaczył tę sumkę dawniej przez połowę na seminaryum wasze i na kościół paryski, ale w ostatnim liście zostawia ją do twego własnego rozporządzenia. Żąda on za ten swój datek 10 mszy wieczystych rocznie za dusze rodziców swoich Dezyderego i Klary, odwołując się do jakiegoś waszego okólnika, w którym obiecywaliście za 100 talarów jedną mszę wieczystą. Wolałby on 12 mszy, ale oczywiście suma nie wystarcza. Pieniądze są u mnie. Jeśli Daryuszostwo zdecydują się do Rzymu, poszlę przez nich bez kosztów. W każdym razie czekać będę na twe rozkazy. Kwit mi, Ojcze, wydasz po odebraniu pieniędzy z wyraźnem wyszczególnieniem, ile mszy w roku, i za dusze Dezyderego i Klary.

Kościół święty w ucisku i Papież w srogiem utrapieniu, to i wszystkie dusze katolickie dziś na mękach. Co się wżdy podziałało? Jęczym i modlim się z głębi serca. Panie, zmiłuj się już nad nami.

Zawsze na wielki post z utęsknieniem wyglądać będziemy Ojca Hieronima. Peregrynantów polskich ćma niezmierna zostaje na zimę w Paryżu, a więc jest czas do żniwa.

Żona moja po wodach w Bourbonne les Bains, dzięki Bogu, ma się znacznie lepiej. Józef także nie źle na zdrowiu.

Całuję rękę twoją kapłańską, prosząc o błogosławieństwo dla mnie i dla moich

*Bohdan.*

---

[1]) Brat Bohdana.

## Zapiski. — Popielisko [1]).

Życie człowieka tajemnicze, duchowe ognisko, gore do czasu, gore zrazu jaśniej, żarzyściej — potem blade, dymne, aż w końcu przygasa, — staje się garścią popiołu — popieliskiem. Pamiętniejsze wydarzenia tlą się dłużej w zarzewiu, zostają zużlami — zanim i je wiatry ziemi rozwieją. Starzec, to żywa melancholia — w chłodach swoich lubi z dnia na dzień grzebać w zarzewiach, póki ciepłe jeszcze — aza nie znajdzie iskr i się przy nich nie ogrzeje. Dnie jego przemknęły jako strzały w poświście, rażąc i kalecząc na około. Król Dawid niewątpliwie przyprószony był siwizną kiedy wyśpiewał tę melancholijną zwrotkę: „Życie mija jako cień a ja zwiądłem jako siano".

Co gorzało w popielisku — płomień i dym — uniosły się w górę — reszta popiołu niebawem w niwecz się rozwieje. Wszystko atoli odnajdzie się na Sądzie Bożym. Błogosławiony, kto znajdzie zmiłowanie u Pana za źdźbło zasługi.

Moje popielisko opłakańsze. Mało płomienia, dużo dymu. Żywot od młodzieństwa tęskny wciąż, tułaczy — zatlony u Dniepra — dogasa u Sekwany. Wierzyłem jednak, miłowałem, spodziewałem się wszędzie i zawsze. Przy tych żużlach moich, ogrzewam się po dziś dzień. Przebolałem wiek mój. Nie znalazłem nigdy dobra ni szczęścia, bo ich za mego wieku nie było i w ojczyźnie. Co do słowa powtarzać mogę na starość com śpiewał za młodu:

„Otóż cały szczęścia wątek,
„Składa jakaś cudów chwilka,
„Jakiś obraz — uczuć kilka —
„Kilka z młodszych lat pamiątek".

Niniejsze zapiski są komentarzem niejako tej starej zwrotki. Kreślę je nie dla marnej chluby poetyckiej między spółczesnymi lub potomnymi. Wytrzeźwiłem się już z tego wina które piłem do syta. Mam synów i córkę. Ślad mego przechodu ziemskiego może im być miłą pamiątką — a daj Boże i nauką na drogach pielgrzymki.

## Z popieliska [2]).

Dlaczego poezya rzadko rozkwita i nigdy w całej pełni? — Poezya jest kwiatem duchowym z nieskończoności — ale krzewi

[1]) Z notatek — bez daty.
[2]) Z notatek — bez daty.

się w pewnym czasie i w pewnej miejscowości. Woń jego jest rajska — a łodyga, liście i bujność z ziemi. Poeta wedle ducha potrzebuje ciszy, samotności, modlitwy, skupienia się, a wedle ciała potrzebuje gwaru, towarzystwa, używania, roztargnień. Stąd ciągły rozstrój, ciągły bój z różnorodnemi natchnieniami, aż zabraknie tchu.

Natchnienie to wzmaga się w ciszy, w samotności jasnego nieba i t. d. Natura zwierzęca pożąda wszelkich ziemskich uciech.

4. marca 1861 [1]) . . . Przed południem, pomimo wiatru i brzydkiej słoty, wyszedłem na pogrzeb Jenerała Chrzanowskiego. Rydwan okazały; przybory i katafalk w St. Louis d'Antin niezmiernie bogate, a wszystko to kosztem Branickich, bo nieboszczyk nie zostawił majątku. Aleksander Branicki wielce był uprzejmy dla mnie. Słuchałem mszy śpiewanej rozmodlony w duszy. Ścisk rodaków jakiego nie pamiętam, a osobliwie pań polskich z wielkiego świata. Po wyjściu z kościoła, kilka słów zamieniłem z Jenerałem Mierosławskim.

*14. marca 1861* [2]), *czwartek.*

. . . Ogień bujał na kominku [3]). Zaraz pojawił się Mierosławski: w kilka minut nadszedł Branicki z Rzyszczewskim. Rozmowa zaczęła się od ogólników. Branicki zagaił rzecz potem za pytaniem *ad hominem*, czy Jenerał zatwierdza roboty swoich stronników w kraju, którzy w imieniu jego grożą szlachcie mordem i t. p. Mierosławski odparł tę potwarz spokojnie, z taktem i porywającą wymową, zwłaszcza kiedy opowiadał przeszłość swoją emigrancką, trzydziestoletnią walkę z biedami wszelkiego rodzaju.

[1]) Z dzienniczka B. Z. z 1861 r. W tym dzienniczku, z którego tylko krótkie wyjątki podajemy, znajdują się ciekawe szczegóły o ludziach i o wypadkach emigracyjnych oraz o stosunkach z krajowcami. W Paryżu, jak poprzednio w Fontainebleau, liczni rodacy odwiedzali Bohdana Zaleskiego.

[2]) Z dzienniczka B. Z. z 1861 r.

[3]) W notatce z dnia 11. marca napisane jest że: „Nadszedł do mnie Seweryn Gałęzowski z uwiadomieniem, że dziś jutro ma przyjść do mnie Aleksander Branicki z Rzyszczewskim, abym ich zapoznał z Mierosławskim. Wypadki oto krajowe poczynają poruszać panów polskich, że raczą się porozumiewać z chudopachołkami".

zanim się dobił jakiego takiego znaczenia, że mógł wpływać na młodzież i potem nią kierować w spiskach i powstaniach. Że jest sam szlachcic i ze starej szlachty, a przytem zwolennik umysłowości, to jakże mógłby popychać lud ku barbarzyństwu i t. p. Cytował pisma swoje i czyny antihajdamackie w Galicyi i w Poznańskiem. Wyraźnie Branicki się skruszył i wyznał, że się przekonał o nicestwie czynionych zarzutów o szelizm. Oczywiście ta materya była całkiem wyczerpana. Jako gospodarz domu i rozjemca sporu, uciąłem rzecz kwestyą legionu, o którą najgłówniej chodziło Mierosławskiemu. Branicki i Rzyszczewski oświadczyli wręcz, że są przeciwni formowaniu legionu, że Andrzej Zamojski i cały kraj są z nimi zgodni w tej mierze. Teraz dopiero otwarły się upusty wymowy Mierosławskiego. Blisko godzinę całą piorunował *pro domo sua*. Dowodził że kraj, a przynajmniej cząstka obywateli jest za legionem, skoro dostarczają składek, bez których ubogi sam i śród ubogiej emigracyi nie byłby w stanie nic przedsięwziąć. Jeśli cząstka jego zwolenników nie może się nazywać narodem, to tak samo rzeczy się mają i ze zwolennikami p. Branickiego. Czas jeno rozwiązać zdoła zagadnienie na czyjej stronie będzie większość narodu. Nie trzeba się łudzić popularnością Andrzeja Zamojskiego, która jest okolicznościowa i przemijająca. Ulegamy jej wszyscy na razie, bo tego interes kraju wymaga. Ale nastąpi okres wojennego działania, walka o zasady i t. p. Czy p. Zamojski i wtedy będzie na swojem miejscu, jak dziś w kwestyach ekonomicznych i administracyjnych? — Branicki odparł, że w razie potrzeby kraj sam utworzy sobie siłę zbrojną: że legion emigrancki będzie jeno trwożyć kraj ustawnie i podbudzać do prześladowań Moskali, że potrzeba, aby Mierosławski zaniechał koniecznie formowania legionu. — Mierosławski wybuchnął gwałtownie i z inwektywą przeciw panom co nie dają pieniędzy na sprawę, a pomimo to chcą nią kierować. Sumienie patryoty jest probierzem czy legion potrzebnym czy nie? Azaż emigrantowi i do tego fachowemu nie wolno nic przedsięwziąć na własną rękę ku ratunkowi ojczyzny i t. p. W tej rzeczy i ja gorąco poparłem Mierosławskiego: „mówmy z uczucia polskiego, ale nie imponujmy nikomu dostatkami, które same przez się nie stanowią jeszcze siły i t. p. Widziałem że Branicki nieco się był zachwiał, ale Rzyszczewski słówkiem jakiemś raz polskiem, to znowu francuskiem, a jeszcze bardziej wzrokiem swoim zimnym, owadzim, podtrzymywał wciąż towarzysza. Po to snać i wziął go z sobą Branicki na te *colloquium*. Widocznem było dla mnie, że rzecz się skończy na

niczem, bez poważnienia się, ale i bez porozumienia się wzajemnego. Usiłowałem niepożyteczny opór odwrócić wtrąceniem kwestyi podrzędnych. Branicki porwał za kapelusz. — „Do widzenia się, Panie Jenerale, może na polu kędyś bitwy“. Podaliśmy sobie ręce i rozeszli na prawo i na lewo. Przyznam się, że na przyszłość będę ostrożniejszy w tego rodzaju pośrednictwach. Wyraźnie panowie radziby po staremu imponować drobnej szlachcie. Nie uda się im teraz. Zgroza Targowicy drgnie w każdem sercu polskiem. Doprawdy, szkoda wymowy Mierosławskiego, a były śliczne ustępy o chrześciaństwie i rycerstwie narodu naszego i t. p. Obyż te prawdy wziął sam najpierw do serca i przemienił się w duchu swoim dotąd niezupełnie chrześciańskim. Wódz musi wierzyć jak lud, bez wiary nie osiągnie błogosławieństwa Bożego, choćby nawet i zatryumfował zwycięstwami. W ogólności Mierosławski był wymowny, Branicki dość sympatyczny a Rzyszczewski mruk wierutny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# NAJNOWSZE PRĄDY
# W POEZYI NASZEJ

PRZEZ

**PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.**

(Ciąg dalszy).

## V.

## Wyznawcy „sztuki czystej“:

### *2) Intuicyoniści i nastrojowcy.*

Szczeblem dalszym w rozwinięciu modernistycznych pojęć o życiu, rzeczywistości zmysłowej, duchu i poezyi są utwory Jerzego Żuławskiego. Gdy Lange, rozważając dwie odmienne metody poznania prawdy: indukcyjną i intuicyjną, spodziewa się pomyślnych rezultatów z ich połączenia, to Żuławski całkowicie odrzuca pierwszą, a ufa jedynie drugiej. Gdy Lange rzeczywistości poznawalnej zmysłami nie odmawia pewnego, nawet dość znacznego uprawnienia, to Żuławski uważa ją za nicość, a jedyną rzeczywistość widzi w duszy. Gdy Lange pieśni swojej pozwala mieć nadzieję, że się wedrze na górę niebotyczną, gdzie króluje pieśń wieczna, to Żuławski przypisuje swej pieśni takie same twórcze przymioty jak Bogu.

Nie odrazu zajął Żuławski takie stanowisko. Był on wyznawcą zasad nauki doświadczalnej, a w pierwszym zbiorku poezyi swoich p. t. „Na strunach duszy“ (1895) żalił się, jak większość poetów, na życie czcze i puste, lecz jeszcze nie twierdził, iż ono zgoła nic

nie warte. Już i wtedy wszakże przyznawał poezyi, iż jest wszechwładną panią wszechtworów i wszechistot. Żądał atoli, ażeby pieśń karmiła ducha myślą, a ciało pięknym kształtem pieściła, żeby łaknących uroku napełniała otuchą, żeby nawet pukała w „zimne puklerze skamieniałych ludzi“, a może zdoła wydobyć z nich spółczujące echo. Radził dalej poecie, ażeby wszedł w głąb duszy własnej i każdy promień jej czucia wyprowadził na jaśnię:

Czyli miłość cię spali, czy boleść poruszy,
Czar cię marzeń owionie, — łza zabłyśnie w oku,
Czy też rozpacz anielskie widziadła zagłuszy;
Każde serca zadrganie ty w pieśni potoku
Wylej na świat, — śród ludzi ślij je w imię moje
Niech się wiją, jak wiotkie po dębach powoje.

Zachęcał poetę, ażeby się nie zrażał niezrozumieniem swych dążeń przez ludzi, ani ich obojętnością, szyderstwem i naigrawaniem, żeby nie tracił ufności i siły, chociaż zwątpienie do serca się jego wedrze: bardzo ładnie malował nadmierną wrażliwość natur artystycznych, mówiąc, że „dusza poety to struna, z której skrzydło motyla, trącając leciuchno, więcej żalu dobędzie, niźli skra piorunu dostać może, głaz wiercąc albo bijąc w próchno“.

Jak większość poetów współczesnych, naszych i obcych, nie był Żuławski lirykiem czystym; myśl przeważała i u niego nad uczuciem, pozbawiając go tej bezpośredniości wzruszeń, która też na czytelnika wprost i bezpośrednio oddziaływa. Każde uczucie przechodzi u niego przez analityczny filtr refleksyi, przez co traci wiele ze swej świeżości, lubo nabiera zato takich przymiotów jak subtelność i przejrzystość. Nie pozował jednak Żuławski: owszem, zupełnie był szczerym zarówno w swoich zachwytach, jak w swem omdleniu duchowem, zarówno wobec widoków natury, jak wobec serc i umysłów ludzkich.

Wrażliwym był bardzo, umiał się przejąć radością i smutkiem, umiał podziwiać i gardzić, bujać po obłokach i chodzić po ziemi; ale melancholia i pessymizm, tak samo jak u większości spółczesnych, wżarły się najgłębiej w jego duszę. Wszystkie kwiaty uczuć jego woń miały świeżą, gdyż lutni swej nigdy do udawania nie zmuszał i tylko gdy się zaśmiał, to jakoś nie szczerze, — według własnego jego wyznania.

W wierszu, poświęconym Miriamowi, powiada, że mu niepodobna „pojednaniem“ zharmonizować dysonansów swej duszy, że

ból, cierpienie, zawód, rozczarowanie znalazł po wychyleniu czary doświadczeń życia, tak, że „upojeń zachwyty w gąszczu mętów giną“, a dusza jego wciąż głodna... Sen miał tylko jeden, „potężny a krótki“, który „błysnął, zagrzmiał i przepadł w przestworach bez końca“, a poeta zbudził się z niego „chory na bole i smutki, na długie, blade, mgliste dnie bez blasku słońca“...

Nic też dziwnego, że ze wszystkich działów, w jakie autor ugrupował najdawniejsze swe wiersze, najobszerniejszym jest zatytułowany: „W nocy zwątpień“, lubo nie można powiedzieć o nim, iżby mieścił w sobie najpiękniejsze utwory Żuławskiego. Nie wątpię ani na chwilę, że obrazy zwątpień, które w tym dziale przedstawia, są z własnego jego życia wzięte, że jak wszędzie tak i tutaj jest szczery, że nie powtarza tylko za innymi wykrzykników, odnoszących się do nędzy bytu ludzkiego, do nierozwiązalności zagadnień najważniejszych dla człowieka, marności uczuć, zabiegów, szczęścia i t. p., — ale muszę powiedzieć, że to wszystko było już u nas o wiele dobitniej wypowiedziane, n p. przez Tetmajera, którego Żuławski ceni bardzo wysoko mówiąc, że to „najsilniej może i najszczerzej czujący z naszych młodych poetów“.

Nie zatrzymując się więc nad tym działem dłużej, zaznaczę jeden wiersz p. t. „Moje życie“, zawierający dumanie nad możnością rychłego zgonu: „Ja nie będę żył długo; nadto szybko żyję, nadto serca wydaję, nadto wrażeń chłonę i zuchwale zanadto oddzieram zasłonę, która święte obrazy z Sais mrokiem kryje“. Z tego wiersza już widać, że pessymizm autora z dwu źródeł pochodzi: z nadmiernej wrażliwości na wszystko, co bólem duszę targa, oraz z rozmyślań nad zagadkami wszechświata.

Zważmy jednak dobrze, iż ostatecznie przyjmują poetę pessymistycznym nastrojem nie nędza i cierpienia ludzkości, nie marność usiłowań dążących ku lepszemu, nie brak nawet zadawalającej odpowiedzi na owe zagadki metafizyczne, ale raczej ciasnota stosunków, brak pola do pracy rozleglejszej, skarlenie uczuć i popędów. Najznamienniejszym w tej mierze jest wiersz „Wrażeń!“ umieszczony w dziale utworów, zatytułowanym „Na stepie życia:“

Ja chcę istnieć! lecz całą potęgą jestestwa.
Wszystkich myśli wichrami, całą uczuć burzą.
Zgłębić wszystkie tajniki piękności królestwa.
Zmusić duchem niebiosa: niechaj się rozchmurzą!
Ale martwieć w pół-życiu i pół-świetle tylko,
Czuć, że jest gdzieś kraina wszechszczęścia świetlana,
A pokrzepiać się ledwo marnych kropel kilką,
Spadłych w duszę przypadkiem — o! raczej Nirwana.

Raczej nie czuć, nie myśleć, przestać istnieć wcale,
Niż na Prometeusza zwolna konać skale!

A takiemu poglądowi dziwić się trudno, gdy się ma do czynienia z umysłami lotnymi, sercami namiętnemi, temperamentami bujnymi. Samo życie dostatecznie okrzesuje z rozmaitych wybujałości, ażebyśmy dobrowolnie zgadzać się mieli na bolesne amputacye tego wszystkiego, co jest szlachetnem, wzniosłem i wielkiem.

Z przytoczonych wierszy wyczytać można zniechęcenie i rozgoryczenie chwilowe duszy, spragnionej szerokich widnokręgów i gorętszej atmosfery życia: lecz niema w nich zgoła ani biernej rezygnacyi, ani też szyderczego potępienia wszelkich wysiłków ludzkich, by zdobyć prawdę i osięgnąć szczęście.

Owszem, poeta znajduje dosyć często sposobność wypowiedzenia swojej czci dla nauki („Matematyka“), dla „Myśli“ wogóle, dla zasady miłości czynnej, „bo przeklęty, kto żyje jedynie dla siebie“: a w osobnym dziale poezyi p. t. „Świt nowy“ czytamy szereg utworów, którymi poeta sam siebie i innych starał się pokrzepić i natchnąć nadzieją, że ideał nie jest pustym wyrazem, mrzonką ludzi żyjących jeno w świecie ducha, lecz że z czasem, powoli może przybrać kształty widzialnej rzeczywistości.

Nie zapewniał on wprawdzie, że się ruszy z posad brylę świata, pytał się ze smutną zadumą, czy pokolenie dzisiejsze wyłowi z oceanu wiedzy i szczęścia muszle perłodajne, ale zarazem ostrzegał, iż ci, którym dano potęgę myśli i lot wysoki, zwątpić nie powinni o owocności pracy powszechnej. Rzesze małoduszne, nie mogące się wznieść na wyższy poziom, mogą bluźnić i naigrawać się z daremnego napozór wytężania sił wszystkich, by prawdę jakąś sumę szczęścia osiągnąć: im nawet takie zachowanie się nie bywa poczytywane za złe: ale tym, co za wodzów pochodu ludzkości się mają, bluźnierstwo takie byłoby nie do przebaczenia („Mojżesz“).

Tak się przedstawiały pomysły Żuławskiego w pierwszym tomiorze jego poezyj. W najnowszym, wydanym roku zeszłego (1900), obok pozostałości dawniejszych, widzimy już poglądy nowe. Autor oddawał się sumiennym studyom filozoficznym, szczególniej nad Spinozą, rozczytywał się w Schoppenhauerze i Hartmannie, chętnie przebywał wśród mędrców i poetów indostańskich czyli „hindyjskich“, jak on pisze, i wyrobił sobie przekonanie, że cała nasza wiedza, doświadczeniem zdobyta, jest nabytkiem lichym, gdyż nie zaspakaja duszy naszej, stawiającej sama sobie natrętne pytania,

gdyż jest „chlebem, co żre jelita i głód jeszcze wzmaga“. Prawda zdobyta przez rozum analityczny, to tylko próchno świecące w nocy“.

Poznaliśmy wszystkie mechaniczne sprężyny zegara wszechświata, ale nie wiemy, jak to powiedział Mickiewicz kto zawiesił wagi. Potrzeba szukać innych źródeł poznania, a te znajdziemy w sobie samych, w duszy naszej, która nam powie, że wszystko we wszechświecie żyje, że w nim ustawiczne następują jeno przemiany, ale że śmierci niema zgoła, że czuć się winniśmy w zupełnej z tym światem jedności. Myśl nasza, choć się wydaje tak marna, jest przecie „zdolna wszechświatów przepychy w łonie swojem zamykać i przestrzeń bezedną blaskiem swoim wypełniać“...

. . . . . To iskra płomienia,
Co w bezkresy wszechżycia moc swą rozprzestrzenia.
To jest promień słoneczny, który w dżdżu kropelce
Załamany, na barwy rozszczepia się świetne...
I ku onej światłości, swojej rodzicielce,
Myśl ma dąży z powrotem przez nieb łany kwietne:
Ptakiem w górę się wzbija, coraz szersze, dalsze
Zataczając w błękicie kręgi nadobłoczne
I na stopnie rozwoju coraz doskonalsze
Pnąc się ciągle, wypływa nad niziny mroczne.
Coraz więcej w swe łono nabierając świata
I ku szczytom zawrotnym rwąc go z sobą, wzlata
Coraz wyżej i wyżej — z słońc na nowe słońca,
Z prawd na prawdy, ku światłu, bez wytchnienia, końca,
Aż do śmierci...
Śmierci? Nie! istotnej śmierci niema.
Nie! dobytek mej myśli, wyzwolonej z ciała
Nieprzepadnie! wieczysty, jak te słońca wieczne,
Te otchłanie gwiaździste i te drogi mleczne,
Których klask w mojej myśli uświadomion pała!
Tak jak promień, co z słońca wybiegł raz, nie ginie,
Chociaż słońce w ciemności zagaśnie głębinie,
Lecz gwiazd coraz to nowych czepiając się, łączy
W nieskończonej wędrówce światy oddalone,
A w przemianach tysiącznych krąży, drży i leci.
Wszędzie życie i siły różnorodne nieci
I kropelką jasności przez eter się sączy,
Rozpędzając ciemności jego niezgłębione:
Tak i myśl ma, choć źródło jej śmierć już wysuszy,
Pójdzie — świętej jasności mała kropla jedna
W przepaściste blask zlewać wszechświatów bezedna,
Aż się kiedyś pod deszczem tych kropel rozkruszy
Cieniów twierdza ostatnia i świat duchem stanie.
Postać bytu najwyższą, czystą, samowiedną

Osiągnąwszy i z Tobą znów w przedwieczne Jedno
Spłynie, Boże Wszechojcze, wiekuisty Panie,
Myśli, światem władnąca!

Przeciwko takiemu wywodowi nie potrzebujemy zgoła protestować; nie tylko filozofia idealistyczna, ale i rozległy pogląd przyrodniczy w zasadzie zgodzą się na twierdzenia, zawarte w przytoczonych ustępach: tak że tylko ogarnia pewne zdziwienie, iż poprzednio autor tak zawzięcie zwalczał wyniki wiedzy doświadczalnej, kiedy w gruncie rzeczy miał widocznie na myśli tylko niedowiedzione mniemania płytkiego materyalizmu.

Zastrzegłszy to sobie, możemy pozostać w zgodzie z autorem poematu „Nad morzem“, gdzie się owe ustępy znajdują. Natomiast rozejść się z nim musimy w poglądach, odczytawszy inny poemat p. t. „Lotos“.

Na tle krajobrazu indostańskiego, wziąwszy tajemniczy, święty kwiat lotosu za symbol najwyższej idealnej prawdy i piękna, autor wzgardził „ohydnem ścierwem ciała“, jak się trywialnie wyraża, znienawidził blask „brutalnego słońca“, świecącego w „dzień bezczelny“, wzgardził „tą rzeczywistością barwną i bogatą“, zachwycającą „tłumy powszednie“, kiedy jemu wydała się ona „jak jarmarczna szata, którą świat ducha swego kryje we dnie, by go pospólstwa nie skalały oczy“, jasność stała mu się „przeklętą“ bo cudu nie ma we dnie, tęsknił do nocy, do marzeń, gdyż w tej ułud zawierusze, jaką nas nękają zjawiska świata zmysłowego, to tylko jest prawdą, „co duch z swej treści porodzi i widzi“.

Oddawszy się takim rozmyślaniom, na wzór krańcowych idealistów, doszedł do mniemania, iż on sam jest „wszechświatem bez granic i końca“. Nie dziw też, że wszystko, co się z duszy jego wysnuło, przedstawiło mu się jako objaw potęgi twórczej, równającej się z potęgą bożą, przedewszystkiem zaś pieśń, którą sławi hymnem:

O pieśni święta, o pieśni natchniona!
Twój głos jest głosem Boga, który stwarza!
Zrodzona z głębi człowieczego łona.

Bożą moc kładziesz ty w usta pieśniarza,
Że jak stworzyciel i jak władca świata,
Świat wedle myśli swojej przeobraża:

Albo jestestwa zeń nowe wyplata,
Ubiera w ciało z promienia i tęczy,
Z ziemi odrywa i z błękitem brata,

Stawia na mglistej srebrnych gwiazd obręczy
I znów na ziemię woła życia tchnienie,
Które ma w sercu, w duszy, w słowach dźwięczy.

Lejąc w znikome i ułudne cienie,
Co ręką tknięte jak sen marny zezezną,
Żal zostawiając wieczny i wspomnienie —

I nieśmiertelność rozpaczy bolesną!

Tak jest; poeta nie może zanucić „pieśni szczęśliwej“, o której marzył Konrad Mickiewicza: choć niby wszechpotężna pieśń nie daje ukojenia; owszem gdy się wzbije na szczyt najwyższy, gdy poeta uosobienie pieśni wieczystej, tajemniczą dziewicę lotosu pocałuje, czar pryska — i następuje dosyć zwykła historya wieszczów zawiedzionych, tylko przybrana w szaty fantastyczne; a więc rozpacz, szukanie zapomnienia w „najpotworniejszych rozkoszach“, potem przypływ chwilowy energii, boje zawzięte z „najezdnikiem“, okrucieństwa na wzór „Króla-Ducha“, budowanie miasta kryształowego“, w którem „słupy jaspisowe sto szklanych kopuł dźwigały w lazur powietrza“, wyczerpanie sił, chęć pogrążenia się w Nirwanie, wreszcie bolesna pewność, że w ciągu przemian, jakim wedle wyobrażeń zwolenników metampsychozy, każde istnienie będzie cierpieniem, bo katusze są nieśmiertelne:

Wiem, że w wędrówkę się wybieram wieczną,
Która nie wiedzie do przystani ciszy,
A towarzyszkę w drodze ostateczną
Z wszystkich ludzkiego życia towarzyszy
Jedynie wierną na wieki przy boku
Będę mieć: boleść...

Nie możemy tej całej fantasmagoryi inaczej rozumieć, jak senne marzenie, w którem wszystko jest możliwem i wszechpotęga pieśniarza, i bohaterstwo nadludzkie, i rozkazywanie wichrom i gromom, i wznoszenie cudnych napowietrznych zamków, i latanie po lazurach.

Ale Żuławski nie podaje tego za sen: zdaje się wierzyć na seryo, że dusza, poczuwszy się w zupełnej jedności ze światem, może jego zjawiskami rządzić; a że niezdolna osiągnąć szczęścia, to dlatego, że w ogóle wszechświat zna tylko cierpienie. Więc go też zburzyć należy, a przynajmniej tę jego cząstkę, na której mieszkamy, a która jest nawskróś spruchniała.

I Żuławski we wstępnym wierszu („Introibo“) do najnowszego zbioru poezyj swoich, podaje się za narzędzie „ducha bożego“, mające świat zawieruszyć i do zguby przygotować. Duch boży mówi więc do poety:

Kładę na cię złowieszcze Moich natchnień brzemię
I przekleństwo mej łaski rzucam na twą głowę!
Idź, ostatni fałszywy proroku, na ziemię,
A za tobą w ślad pójdzie powietrze morowe
I przedśmiertnej rozpaczy szaleństwo nie zdrowe!
Idź! Ja czekam. Niech wszystko mąci się, szaleje,
Niechaj zbrodnie potworne, bo podłe, się mnożą,
A ludzkość w czarną fałszu zabłąkana knieje,
Strasznej łuny przedśmiertnej okrwawiona zorzą,
Nie przeczuwa, że rękę ma nad sobą Bożą.
A gdy obłęd ostatnich już granic dosięże,
Kiedy szał już opęta wszystkie ludzkie mózgi:
Wtedy gromy po niebie rozsypię jak węże
I pod słońcem zaćmionem skier roztliwszy rózgi,
Z hufem aniołów przyjdę — świat roztrącić w druzgi.

Nie powtórzymy za poetą, że jest „fałszywym prorokiem“, ale musimy zauważyć, że jak idealistyczna filozofia, zaprawiona buddyzmem, przyćmiła dawniejszą jasność jego myśli w „Lotosie“, tak znowuż rozczytywanie się w „Królu-Duchu“ Słowackiego i wielbienie go jako szczytu poezyi polskiej, natchnęło go „niezdrowym“ pomysłem niszczenia tego, co tylko chyba starannej naprawy potrzebuje. Wprawdzie ten, co ma złudzenie, iż jest „wszechświatem“ całym, może sobie roić, iż potrafi zburzony gmach odbudować, ale przecież sam Żuławski w zakończeniu „Lotosu“ przyznał, iż jego wszechmocny pieśniarz jest bardzo niemocnym; a intuicya wieszcza nie rozjaśniła nam zgoła mroków, ogarniających ludzkość.

Marzenia wpółsenne, halucynacye, widziadła, ujęte w formę obłoczną, rozwiewną, blaskami różnobarwnymi prześwietloną; brak ściśle określonych zarysów, postaci plastycznych, położeń jasnych i wyrazistych; a zato mieszanina świateł i cieni, dużo zadumy rozpierzchającej się na wszystkie strony, niemało wzlotów ku nieskończoności, w przedstawieniu zagadek wszechświatowych, znajdujemy też w poemacie Zofii Jankowskiej, pisanym prozą p. t. „Pieśni Słowa“, swym panteistycznym nastrojem bliskie „Lotosu“. Tak się niektórym podobały one, że o mało co na konkursie „Kuryera Warszawskiego“ w r. 1900 nie uznano ich za najpiękniejszy poemat polski XIX. wieku.

Autorka opowiada nam, że dwa sny, z których jeden był wskazówką miejsca, a drugi sprawdzeniem treści marzeń, stały się źródłem jej natchnienia. Wierzy ona w najściślejszy związek między człowiekiem (w szczególności między sobą) a wszechświatem i temu właśnie związkowi przypisuje czarodziejskie widzenia, jakie w swej książce spisała.

„Czuję się dziecięciem natury — powiada — kocham ją całą mą duszą i czczę. Ona jest tak wielką, tak wspaniałą w swej dziewiczej szacie, tak nieskażoną w swej pierwotnej czystości! Ona tak wiele mówi mi o Bogu, nieskończoności i nieśmiertelności!... W niej ja, pyłek drobny, żyję jak ryba w morzu; w niej żyłam przed urodzeniem, w niej tkwię i nią się karmię podczas życia, w niej istnieć będę po śmierci — jakże jej nie kochać?“

Odtrąciwszy epitet dziewiczości, który matce naturze mniej przystoi, oraz epitet nieskażonej pierwotnej czystości, który znowuż wobec zamącenia wielu zakątków natury przez przekształcającą pracę człowieka, nie okazuje się zbyt trafnym; wszystkie inne twierdzenia autorki są słuszne, przez naukę dawno uznane; więc tylko zaznaczyć wypada, że jakkolwiek jednostka ludzka jest rzeczywiście „pyłkiem drobnym“ w porównaniu z ogromem wszechświata; przecież i ten pyłek coś w tym świecie zrobił, jeżeli nie dla kogo innego, to przynajmniej dla siebie.

Jeżeli zaś chodzi o wskazanie, czy natura natchnęła autorce myśli, rozwinięte w „Pieśniach Słowa“, czy też uprzednia praca ducha ludzkiego; to choćby Z. Jankowska protestowała, muszę temu drugiemu czynnikowi przypisać na jej utwór wpływ znacznie większy. Natura bowiem natchnęła ją obrazami okolic nadmorskich, ale praca ducha ludzkiego dała jej pomysły, na tle tych obrazów rozwinięte.

Od pierwszych dźwięków poematu, przyjętych z Ewangielii św. Jana: „Na początku było słowo“, aż do ostatnich: „I na końcu będzie słowo“, będących parafrazą wszystkich wieszczeń o królestwie Bożem na ziemi, widzimy wszędzie mniej lub więcej trafne i zręczne zastosowanie różnych mniemań ludzkich o rozwoju dziejowym. Niema w tem nic, coby było podszepniętem autorce bezpośrednio przez Matkę-Naturę.

A, prawda! Jest jeden wyraz nieznany mi, którym się autorka lubuje, a którego źródła nam nie podaje. Wyrazem tym jest tajemnicza Tihsozo. Tak, rzeczywiście, Tihsozo! Nie zało-

żyłbym się, czy i ten wyraz nie został wzięty z jakiej książki — wszechwiedzącym być niepodobna — ale ponieważ brzmi on mi obco, przypuszczam, że jestto jedyny oryginalny nabytek snu wieszczego autorki. I cóż to takiego ta Tihsozo? Poetka tłumaczy tę nazwę przez słowo Równowaga, oznaczając przez nie to pojęcie, jakie Biblia rajem, edenem mianowała.

Nie będę opowiadał, jak tę Tihsozo srodze dotknęła „Zazdrość“, co zrodziło Zło, które wichry zbudziło, ani też, jak te „wichry zdradliwe owiały ziemię i płaszczem królowej (onej Tihsoze) zaczęły wstrząsać, to wznosząc, to opuszczając jej ręce nad światem“, jak zrzuconą „z rozpaczy“ przez Tihsozo koronę podniósł zuchwały samozwaniec: Ból i jakie było na ziemi panowanie tego samozwańca: bo to wszystko w innych tylko słowach przedstawiali nam nieraz pessymiści.

Ponieważ nie mam do autorki pretensyi o świeże, oryginalne myśli, więc pomijam jej przedstawienie walk ludzkich o światło, dobro, harmonię, tudzież obraz jej smutku na widok nierozwiązalnej Zagadki Bytu, uosobionej w kształtach sfinksowych skały nadmorskiej w Bretanii i t. d., — powiem tylko, że Z. Jankowska, lubo nieraz bardzo pięknie przemawia, nie potrafiła swym rozmyślaniom nadać mocy przekonywującej, że nie umiała należycie przedstawić wpływu Chrystusa na dzieje ludzkie, że zarówno początek zamieszania na świecie, jak i nadzieja sprowadzenia królestwa Bożego na ziemię są u niej twierdzeniami nie umotywowanemi, lecz rzuconemi dowolnie.

W każdym razie nastrój, w jaki nas wprawiają allegorye zawarte w „Pieśniach Słowa“ nie jest przykrym: kołyszą nas łagodnie do marzeń.

Inaczej się rzecz przedstawia z ponuremi i dziwacznemi allegoryami Kazimierza Sterlinga p. t. „Abbadonah“.

Zanim atoli powiem o nich, muszę rzec nieco o tym, który je w znacznej części natchnął, o Fryderyku Nietzschem, apostole „nadczłowieku“, krańcowym indywidualiście naszych czasów, głoszącym zasadę: „nic nie jest prawdą“, „przekonania są więzieniami“, „wszystko jest dozwolone“ człowiekowi, mogącemu i umiejącemu być „sędzią i mścicielem własnego zakonu“.

Co dotąd uznawano za dobre, prawe, szlachetne, wzniosłe, jako to: miłość bliźniego, litość względem cierpiących, współczucie dla uciśnionych, poświęcenie dla ogółu, to poczytywać należy według Nietzschego za „moralność niewolników“, której przeciwstawi „moralność panów“, objawiającą się w nienawiści, żądzy

prześladowania i niszczenia, w okrucieństwie. Kto się dręczy w imię „złego sumienia“ jest poprostu głupcem.

Chrześciaństwo, według niego, to „nieśmiertelna hańba ludzkości“, ponieważ zatruło zdrową krew człowieka, każąc mu hamować przyrodzone popędy i zalecając miłosierdzie dla słabych i niedołężnych. Sam siebie nazywa Nietzsche antychrystem i antymoralistą. Zadaniem jego ma być przewrót w dziedzinie etyki, przeistoczenie zaszczepionej przez chrześciaństwo oceny moralnej czynów ludzkich, czyli, jak on to wyraża „odwartościowanie wszelkich dotychczasowych wartości“ *(Umwerthung aller Werthe)*.

Dotąd mówiono w etyce o obowiązkach i sumieniu, otóż trzeba nabrać przekonania, że są to przesądy, że siła i samowola człowieka niczem nie powinny być krępowane. Oto główne przykazania nowej etyki: „Wola twoja niech będzie twojem prawem. Kto ci złorzeczy, tego nie błogosław, lecz złorzecz mu! Bądź szyderczym, gwałtownym: mądrość tego wymaga: jest ona kobietą, kocha zawsze tylko bojownika. Kto chce być twórcą, musi być niszczycielem. Bądź nieustraszonym, a strasznym. Do kobiety nie przystępuj bez bicza. Słabi niech giną“.

Wprowadzenie zasad takich w życie będzie epoką narodzin „nadczłowieka“. Oczywiście nie narodzi się ten „nadczłowiek“ z jakiegoś filisterskiego małżeństwa, bo prawdziwy „pan“ nie zna małżeństwa i nie daje się otumanić „oszczercom zmysłowości“. To też tylko w swobodnym związku prawdziwy pan spłodzi „nadczłowieka“.

W najgłośniejszej swej książce: „Tak mówił Zaratustra“, woła Nietzsche jego ustami: „Nauczam was nadczłowieka. Człowiek musi być przezwyciężonym. Cóżeście zrobili, aby go przezwyciężyć? Wszystkie istoty wytworzyły dotąd coś wyższego od siebie, a wy chcecie być odpływem tego wielkiego przypływu i wrócić do zwierzęcia, zamiast przezwyciężyć człowieka? Czem jest małpa dla człowieka? Pośmiewiskiem lub bolesną sromotą. A tem właśnie ma być człowiek dla nadczłowieka: pośmiewiskiem lub bolesną sromotą. Przebyliście drogę od robaka do człowieka, i pod wieloma względami jeszcze jesteście robakiem. Niegdyś byliście małpami, i teraz jeszcze człowiek bardziej jest małpą, aniżeli jakakolwiek małpa. I najmędrszy z was jest tylko sprzecznością i mieszańcem rośliny i mary... Zaklinam was, bracia, pozostańcie wiernymi ziemi, nie wierzcie tym, którzy wam mówią o nadziemskich nadziejach! Są to truciciele, czy o tem wiedzą czy nie. — Bogowie umarli, — ja uczę was nadczłowieka“.

Czy ten nadczłowiek będzie jakąś istotą bardziej uduchowioną od dzisiejszego człowieka? Bynajmniej. Nietzsche uznaje tylko ciało i pragnie najwyższego jego rozwinięcia w mocy i potędze. „Wspaniała, na zdobycz i zwycięstwo lubieżnie czyhająca b e s t y a“ jest ideałem Nietzschego i głównym zarodkiem nadczłowieka, mającego w postępowaniu swojem kierować się „moralnością panów.“ Dokonywa ona — ta wspaniała bestya — „strasznych mordów, pożóg, zgwałceń, tortur, swobodnie, z całą równowagą ducha, jak gdyby to były figle studenckie“ i na tem polega jej wyższość nad małemi bestyami: „silna bowiem, pełna natura nie bierze na seryo swych zbrodni“, jak głosi Nietzsche.

Zastosowując te nauki do życia społecznego, indywidualista ten dowodził, że przyszłość ludzkości spoczywa jedynie w ręku takiej arystokracyi, która rozumie że jest powołana do despotycznego panowania nad hołotą zwykłych śmiertelników. Wyższe wychowanie powinno być wyłącznym przywilejem klasy arystokratycznej. Demokracya spółczesna to zezwierzęcone stado, którem władać powinien tyran. Robotnik musi znowu zostać niewolnikiem, jakim był niegdyś, gdyż inaczej pan przestałby być panem, nie byłoby komu pracować za niego, nie miałby na kim objawić swej władzy bezwzględnej [1]).

Te maksymy, uświęcające bezbrzeżną samowolę i samolubstwo jednostki bez wkładania na nią obowiązków jakichkolwiek, prócz tego jednego, żeby umiał być „sędzią i mścicielem własnego zakonu“; to rozpuszczenie cugli fantazyi i zmysłowości do krańców najdalszych; to wyzwolenie jednostki z pod hamulca logiki i moralności, będące wynikiem newrozy, która w końcu uczyniła autora całkowicie obłąkanym, — podobały się w naszych zdenerwowanych, zawichrzonych chaosem pojęć czasach, zwłaszcza że były wypowiedziane w sposób śmiały, bezwzględny, często obrazowy, nieraz dowcipny.

Każdy fantasta, któremu więzy ścisłego rozumowania a tem bardziej więzy, krępujące jego instynkty przyrodzone, dokuczyły, był rad, że może tanim kosztem zostać nadczłowiekiem“ i wynieść się nad tłum, bijący pokłony dawnym zasadom. Cóż znaczyło dla niego zastrzeżenie, że trzeba być „sędzią i mścicielem własnego zakonu?“ Samolubstwo tak łatwo podda sposoby, żeby to zastrze-

[1]) Henryk Struve: Anarchizm ducha u obcych i u nas. Wydanie drugie. Warszawa 1901, str. 41—62. Fr. Nietzsche: Tak mówił Zarathustra, przekład polski 1901.

żenie obejść, tak łatwo wmówi w człowieka, że co tylko mówi, czuje i robi, jest doskonałe i nie wymaga ani sądu ani pomsty.

I u nas nie zabrakło entuzyastycznych wielbicieli i wielbicielek „filozofii“ Nietzschego. Z początku nie śmieli oni wszystkich ohydnych maksym mistrza przytaczać i starali się osłonić jego wywody pozorami jakiejś mniemanej „reformy etyki:“ ale później zaczęto tłómaczyć jego aforyzmy, a obecnie mamy już i główne dzieło: „Tak mówił Zarathustra“ w przekładzie (dotychczas wydrukowano tylko część pierwszą w Warszawie).

Większość zwolenników, jak to zbyt często u nas bywa, nie czytała książek Nietzschego, pochwyciwszy jeno kilka lotnych słówek, uprawniających krańcowy indywidualizm, snuła na ich podstawie własną przędzę myśli, a raczej fantazyjnych urojeń.

Pojęcie „nadczłowieka“ podobało się szczególniej i pobudziło do wytwarzania pojęć analogicznych. Tak n. p. jeden z młodszych poetów (Bogusław Butrymowicz) wykombinował sobie „nadmyśl“. Czy poza brzmieniem oryginalnem wyraz ten wypowiada też jakieś oryginalne pojęcie? Autor sądzi naturalnie, że istotnie wzbogacił psychologię (przynajmniej poetycką) nowem odkryciem: stara się je nawet określić, nie w sposób logiczny oczywiście, lecz metaforyczny.

Otóż „nadmyśl“ jest to według niego tajemny smutek i żal „Boga większego niż ów Bóg kościelny, co zabobonność ubiera w ornaty“, żal „bezwymiarowy i niepojemny (!), co zwolna składa byt w urnie popielnej i chaotycznych mgieł strząsa nań kwiaty“.

Jeżeli młody poeta rozumiał, co chciał wypowiedzieć, to go żałuję w sposób „wymiarowy i pojemny“, iż nie potrafił ubrać swej myśli w słowa zrozumiałe i niekłócące się ze sobą. Bo najprzód, nie można się wynosić ponad smutek i żal „Boga kościelnego“ — prawdopodobnie ma to znaczyć Boga w zwykłem tradycyjnem pojęciu — ponieważ stopnia smutku tego Boga nikt ze śmiertelnych zmierzyć nie zdoła; a powtóre smutek i żal, jako nastroje czy usposobienia nie mogą same przez się niszczyć bytu („składać byt w urnie popielnej“), gdyż do tego potrzeba conajmniej postanowienia i woli czynnej. Z trzech tedy określeń „nadmyśli“ pozostaje tylko trzecie, że to „nadmyśl“ strząsa na byt „kwiaty mgieł chaotycznych“. Że tych „mgieł chaotycznych“ nie brak w duszy autora, najlepiej to sam okazał zarówno w owem określeniu „nadmyśli“, jak i w następującym czterowierszu, który można uważać za bezwiednie dokonaną samokrytykę:

W piersiach powstaje próżnia pełna swądu,
Co gryząc, oczy mgłą obleka mętną,
Źrenicę czyni szarą, beznamiętną,
A rozum miejscem szału i bezrządu...

Takich i podobnych wynurzeń dekadenckich sporo jest w poezyach najmłodszego pokolenia, oszołomionego ideą „nadczłowieka“: ale nie będę ich tu przedstawiał, ponieważ u Kazimierza Sterlinga znajdziemy całą ich charakterystyczną wiązkę, świadczącą wyraźnie o swem od Nietzschego pochodzeniu.

Poemat jego, pisany częścią wierszem, częścią prozą p. t. „Abbadonah“, poświęcony jest dochodzeniu, jaki jest cel życia ludzkiego, a kończy się nie rozwiązaniem zagadki, lecz frazesem, konceptem bez znaczenia.

Abbadonah jestto duch upadły, praojciec zbrodni i buntu, żądz i nienawiści, a zarazem praojciec odwagi i siły, walki i boleści i odwiecznej miłości bez granic i pęt. I w romantyzmie wielbiono aniołów upadłych, przeciwstawiano ich Bogu; ale zaznaczano zarazem ich miłość, ich wielkie myśli, szlachetne popędy, wzniosłe wzloty. Pod wpływem Nietzschego i szatan stał się „nadczłowiekiem“ brutalnym, ceniącym tylko siłę i zniszczenie, nienawidzącym cnoty. Jakoż Abbadonah popycha młodzieńca — ludzkość w wir dochodzeń i strasznych wysiłków, zalecając mu, by był silnym i twardym, bo „słabość to podłość, a podłość to brud“. Cnoty oczywiście polecać nie może, jako praojciec „zbrodni i buntu“: owszem, stara się przekonać młodzieńca, że cnota jest grobem wszystkich wielkich dążeń ludzkich, chce pokazać:

W szarej pustyni robaczego życia
Ile się siły i prawdy zatraca,
Ile rozkładów i śmierci i gnicia
Słabość sumienia i serca opłaca;
Ile się niszczy odblasków i marzeń,
Ile mrze myśli, łez w piersi strzaskanej,
Ile rozkoszy i szału i wrażeń
Zabiła cnota, trupi oddech z rany
Zgniłego świata...

Tak cnota to „trupi oddech z rany zgniłego świata!“...

Wysłuchawszy takich i tym podobnych nauk o potrzebie „orgii“ uświęcającej, o korzystaniu z chwili dla użycia rozkoszy: bo tylko to, co w ręku, jest nasze, pogłaskane w swej pysze, iż on jeden — jedyny jest na świecie, że dla niego niezna ni brata,

ni bliźnich, młodzieniec obiecał pójść za szatanem i padł zemdlony w końcu pieśni pierwszej.

Odtąd znika z poematu Abbadonah, prawdopodobnie dlatego, że już się wcielił w zemdlonego młodzieńca — ludzkości. Następują dzieje tego młodzieńca, szerokimi rysami kreślone, jego walki, zdobycze, słabości, nowe porywy i nowe upadki. W myśl Nietzschego nie zapomina — „nadczłowiek“ czy też autor — dać pod koniec drugiej pieśni następnych nauk i zaleceń ludziom: „Nie masz rodzenia, nie masz rozwoju, nie masz tworzenia, jeno wieczyste z n i s z c z e n i e. Nie masz prawa, nie masz wolności, jeno siła i wola... Każdy świątnicę niechaj stawi s o b i e: każdy niech bóstwo z s w y c h cegieł ułoży, każdy niech w szczyty s w o j e jeno patrzy. Nie gmach wam jeden, lecz gmachy rozliczne, nie cel wam jeden, lecz cele rozliczne, gdy nie droga jedna i nie moc w was jedna“.

W tych naukach i w tych zaleceniach miesza się dziwacznie fałsz z prawdą; słuszność z oburzającym cynizmem. Słusznem jest nawoływanie do samodzielności, fałszem cynicznym — samolubny cel dążenia, kiedy go jednostka, choćby najgenialniejsza, bez społeczeństwa, choćby najdrobniejszego, osiągnąć zgoła nie może.

Autor nie spostrzega sprzeczności w tej mieszaninie, ale uznaje ją faktycznie w trzeciej pieśni, słusznie zatytułowanej „Wahadła“, gdyż odmalowane w niej zostały, niekiedy bardzo ładnie, pokrzyżowane i ciągle się krzyżujące stosunki między naturą, jaźnią jednostkową i jaźnią ludzkości, wraz z nieodstępującem ani na chwilę widmem śmierci, zaguby, zniszczenia.

Silnym mianowicie jest ustęp, przedstawiający działanie poezyi pełnej łez i zgrzytów i rozpaczy: „Słyszę słowa ogniste jak lawa wulkanu: słowa piekące, jak ołów gorące. Jak wosk w palenisku topią się w sercach ludzkich i płyną spienioną kaskadą w drżące uszy moje. Palę je i gryzę, a łzy w oczach mi stoją. I słyszę tę beznadziejną rozpacz, bezbożne przekleństwa, drgania konwulsyj i bluźnierstwem dziko wykrzywione twarze. I słyszę bezbrzeżne milczenie — niezgłębionego bólu objawy. I słyszę, jak szaleństwo ryje ostrem dłutem zmęczone oblicza poetów. Słyszę uderzenia szklanych młotów o kowadło żelazne: słyszę, jak z brzękiem pryskają młoty i szkła kawały wbijają się w serca. Serca krwią broczą i pieśń z krwią ciepłą mieszają. I są — jako bunt i są — jak męczeństwo, i są — jak cios tępego miecza o granitu spiże. I każdy z nich mówi: moją jest prawda, moją jest poezya, bom ja to przebolał i sercem swojem wydzwonił!“

Starganą rozdźwiękami i sprzecznościami duszę czytelnika chciał poeta ukoić w czwartej pieśni, szumnie przezwanej „Syntezą“. Ze wszystkich ona właśnie jest najsłabszą. Rozwiązanie zagadki o celu życia stało się poprostu konceptem.

Oto smok bajeczny broni wejścia do świątyni prawdy, zadając każdemu trzy pytania: czem jest życie, jaki cel w życiu się mieści, w czem prawda leży. Śmiały wędrowiec zmusza smoka do rejterady, sam go zagadnąwszy: kto mu dał prawo pytania...

Dla krotochwili takie rozcięcie węzła byłoby niezłe: dla poematu filozoficznego jest oczywiście nader ułomnem, bo niestety, człowiek sobie samemu przedstawia się jako Sfinks i sam musi być swoim Edypem, jak to dawno u nas powiedział Gustaw Ehrenberg:

Sfinksem jest i Edypem duch niespokojny człowieka,
Sam dla siebie zagadką, siebie samego zgaduje:
Szczęsny, jeśli za grobem końca zagadki doczeka,
Biedny, jeśli napróżno serca spokojność zatruje!...

Muszę jednak dodać, że autor „Abbadonah“ nie poprzestaje na owym koncepcie o rejteradzie smoka, lecz stara się zachęcić do rzucenia wszelkich wątpień w nurty zapomnienia. Ach! gdyby to można zrobić bez wszelkich motywów!

Zapewne Kazimierz Sterling radę tę podał w dobrej myśli, ażeby przyczynić się do wydobycia rówieśników swoich z toni rozpaczliwych dumań, a jeszcze bardziej z otchłani bezradności i bezcelowości. Atoli w radach jego, jak w całym poemacie, jest chaos, ponieważ autor nie doszedł do jakiejś jasnej prawdy, mogącej służyć za przewodniczkę w życiu, lecz tylko do nieco tkliwych światełek, to w jedną to w drugą stronę pochylających się.

Słusznie powiada: „ani mi wiedzieć, gdzie mnie zaniesie rozwiewny wicher, ni burzy pęd“, bo sam ruch, bieg, choćby najżwawszy, może sprowadzić zarówno pożytek jak klęskę: potrzeba mu koniecznie nadać cel pewien określony. U naszego poety raz słychać odgłosy „nadczłowiecze“ Nietzschego, wmawiające w jednostki, że każda z nich jest „bogiem“ sama dla siebie, a więc uświęcające wszystko, co tej jednostce zachce się zrobić; drugi raz znowu, słusznie bolejąc nad chorobliwem zgnuśnieniem młodzieży, woła: „Mdła niemoc woli rdzawi nam ducha“ i wzywa do czynu, do działania: „Pean niech wstrząsa ziemią, nie tren!“ Okazuje się atoli niebawem, że ten hart woli i ten pean ma posłużyć tylko do odsunięcia od siebie „trwożnych pytań“ i do używania życia w całej pełni, bo aż do szału bez oglądania się na nic.

Na podobieństwo mistrza sile tylko przyznaje prawo bytu, prawo władania ziemią, skazując resztę na sen wieczysty. Niespodzianką też w zakończeniu jest uboczna wzmianka o pracy, mogącej nas od wielu nieszczęść uwolnić. Choć jest to niekonsekwencyą ze strony poety, powiadającego, że „żyć — to szaleć bez oglądania się“, może ona choć trochę złagodzić surowy sąd o jego poemacie; lepiej byłoby wszakże, gdyby w ciągu jego pisania pamiętał swe słowa przy końcu wygłoszone:

Do życia! do życia! precz zwątpień łzo!
Jędrna i zdrowa niech płynie z ust pieśń.
Żelaza w pracy nie ima się rdza!...

(Dokończenie nastąpi).

# RZECZ O UCZUCIACH LUDZKICH.

(Ciąg dalszy).

## V.

### Uczucia tyczące się poznawania.

Rozum, czyli zdolność dowolnego a celowego kojarzenia wyobrażeń a wytwarzania i uogólniania pojęć, bywa przytaczany jako znamię wyszczególniające człowieka od zwierząt, a lubo zwierzęta niektóre dowody rozumu niezaprzeczone dają, można im chyba przypisać rozum tak słaby w porównaniu z ludzkim, że niedaleko od prawdy odstępuje twierdzenie mianujące człowieka rozumnem jedynie zwierzęciem. Nazwiemy zgodnie z pospolitą mową te właściwości człowieka, któremi się istotnie od zwierząt różni, duchowemi, i do nich rozum zaliczymy. Bywa praktycznym, zmysłowo pożytecznym i ludzie używają rozumu głównie dla zadość uczynienia swoim potrzebom i namiętnościom, dla opanowania natury i zwalczenia ludzkich nieprzyjaciół. Tak użyty praktyczny rozum sprawia jednak przyjemność osobną, że tak rzekę bezinteresowną tem, że go używamy; kiedy człowiek nie ma o czem celowo myśleć, doznaje osobnego znużenia, zwanego nudą i fizycznie zdrów bywa tylko wtedy, kiedy o czemś naprawdę z zajęciem myśli. Takie ćwiczenie rozumu może stać się celem a nie środkiem, osobną a wielce pożądaną rozkoszą, nawet namiętnością. Samo myślenie wpływa na człowieka fizyologicznie w sposób podobny do uwagi śledzącej dopiero rzecz pożądaną; myśląc, unieruchomi się człowiek i zblednie, a oczyma patrzy wprost przed siebie — tylko w tem zachodzi różnica, że myśląc o rzeczach obecnych tylko umysłowi, patrzy w przestrzeń próżną; także niema przy głębokiem namyśleniu gotowości do natychmiastowego czynu; daje się

owszem dostrzedz ogólna, ku spoczynkowi zwrócona relaksacya mięśni — zkąd usta naprzykład otwierają się często u zamyślonego: siedzi nieruchomie, albo wykonuje mimowoli odruchy, do których przywykł — chodzi powoli, śpiewa półgłosem. Usilne myślenie, przechodzące potrzebną miarę, kończy się ospałością i bolem głowy, ale te same objawy bywają także skutkiem nudy, przedłużoną bezmyślnością wywołanej.

Myśleć możemy rozumnie, jedynie na podstawie przekonania, że zjawiska wszystkie, a zatem także i myśli, uczucia i zamiary u ludzi odbywają się wedle praw niezmiennych a dających się zbadać, to jest że podobne zjawiska zwykły się z podobnemi kojarzyć. Myśli nasze kojarzą się mechanicznie nanowo w sposób, w który się doznane wrażenia, z rzeczywistego świata powzięte już zwyczajnie kojarzyły: to nam ułatwia myślenie, a gra tego umysłowego mechanizmu sprawia u zwierząt czasem łudzącą myśli podobiznę. Myślenie rozumne różni się jednak od mechanicznego kojarzenia wyobrażeń, zwanego u człowieka marzeniem, tak jak się jawa od snu różni. Żądza stateczna nadaje prądowi wyobrażeń kierunek i rodzi uwagę, niedopuszczającą aby się myśl odwracała od celu, aby kojarzyła wyobrażenia zgodnie z przypadkowem ich tylko powinowactwem, wola żądzy usłużna usiłuje wyobrażenia kojarzyć w umyśle, tak jak się zdarzenia w rzeczywistości kojarzyć zwykły, i z tego to wynika owa człowiekowi tylko właściwa praca umysłowa, która w miarę do nastroju indywidualnego zastosowana, użyta, wielką rozkosz sprawia, potrzebą człowieka bywa, bez względu na mogący z niej wyniknąć zmysłowy pożytek.

Czasem czynimy tej potrzebie zadość układaniem dalekonośnych planów na przyszłość; bywa to jednak zazwyczaj zajęciem młodych, dla których przyszłość długa zdaje się stać otworem, którym brak doświadczenia pomniejsza trudności życia i którzy rozczarowań jeszcze nie zaznali. Człowiek starszy, doznawszy niejednokrotnie przykrości, jaką wywołuje planów udaremnienie, woli, w chwilach wolnych wynaleść zgoła niepraktyczne dla rozumu zajęcie, i postępuje wtedy w sposób zupełnie u zwierząt nie bywały: bawi się umysłowo. Najpospolitszą zabawą rozmowa: bywa zajmującą, jeśli nowe wywołuje wyobrażenia, podając nieznane dotąd wiadomości, albo jeśli znane wyobrażenia na nowy sposób kojarzy, stawia zagadnienia w istocie swojej niepraktyczne, ale domagające się namysłu; a że ludzie różną mają zdolność w umyśle kombinacyjną, a ta zdolność u pojedyńczych jednostek w różnych kierunkach wyćwiczoną została, bywa niezrozumiałą a przeto

przykrą dla jednych, dla drugich zajmującą rozmowa. Rozmowa bywa dowcipną, jeśli ktoś posiada dar kojarzenia wyobrażeń w sposób zupełnie niezwykły, niespodziany; jeśli to skojarzenie następuje u końca wywodu, wywołuje uśmiech u słuchaczy, bez względu nato czy uznają słuszność wywodu, czy w nim ujrzą tylko zręczny popis rozmowy; a takie wywody nawet powtarzane, mogą budzić satysfakcyę. Dowcip powiedziany niespodzianie, a zrozumiany budzi śmiech, tak jak każda przyjemność nagła a nie zbyt doniosła a śmiejemy się z każdego głupstwa, jeśli tylko w niespodziany sposób wyobrażenia skojarzy. Śmiejemy się podobnie ze zdarzeń niespodzianych, jeśli tylko ani obawy, ani boleści przeważającej u nas nie rodzą: śmiesznemi bywają tedy niekonsekwencye i niedorzeczności robione przez ludzi; śmiejemy się także jak ktoś powszechnie znaną ale tajoną prawdę głośno wypowie, gdyż tu niespodziewanem prawdy wypowiedzeniem, a dowcipnem nazywamy opowiadanie obnażające naturę ludzką, albo prawiące o niedorzecznych, albo bardzo niespodziewanych, a wcale nie boleśnych zdarzeniach. Taki dowcip bywa główną treścią wszelkiej komiki, czy to w powieści, czy to na scenie. Książka czytana pod niejednym względem rozmowę zastąpić może, jednak prawdziwie ożywiona rozmowa daje uczestnikowi sposobność kojarzenia własnych myśli w nowe, zajmujące albo dowcipne szeregi i oddziałania za ich pomocą na myśl drugich.

Gry wymagające myślenia, albo choćby tylko uwagi, sprawiają podobną przyjemność a zastępują poniekąd zajmującą rozmowę, kiedy do niej sposobności nie ma: takiemi grami są przedewszystkiem szachy, dalej warcaby, whist i t. p. Inne gry towarzyskie mają raczej na celu ćwiczenie dowcipu, albo wywołanie komicznych sytuacyi, które nikogo nie obrażają, skoro z gry wynikły. Jeśli człowieka umysł czytając książkę, prawie wyłącznie cudze myśli śledzi, czynnym bywa wyłącznie, przy rozwiązywaniu łamigłówek, pasyansach, haftach, tłómaczeniu z obcego języka rzeczy znanej, kopiowaniu obrazu i innych tym podobnych przyjemnych, lub samotnych zajęciach, których się wielu ludzi dla samej tylko podejmuje rozrywki. Czasem takie zajęcie przybiera pozory i nawet istotę naukowego; bawimy umysł robiąc i klasyfikując różne zbiory, przypatrując się gramatyce obcego języka, porządkując i streszczając dokumenta, pisząc dla miłego ćwiczenia w stylu, czy to wiersze, czy to listy, czy to nawet streszczenie zdarzeń albo poglądów dobrze nam znanych, przypatrując się dokładnie rozmaitym organizmom i porównując je między sobą, rozważając

naturę ludzką, albo śledząc charaktery znajomych, analizując dzieło sztuki w treść bogate, albo przeczytaną książkę, a we wszystkich tych wypadkach dopatrując się różnic i podobieństw coraz subtelniejszych. To zwłaszcza ćwiczenie zmysłu spostrzegawczego szczególniejszą rodzi rozkosz: śledzimy z niepospolitem zajęciem grę świateł i cieni w naturze i na obrazie, radzi jesteśmy kiedy odróżniamy harmonijne tony akordu, albo śledzimy grę wodospadu. Znawstwo zależy na umiejętności rozpoznawania w pewnej kategoryi przedmiotów różnic i podobieństw uchodzących powszechnej uwadze, a znawca ma upodobanie szczególniejsze w swojego znawstwa zakresie: podobają mu się w nim nieraz rzeczy, które powszechnej uwagi ujdą. Koniarz odróżnia rozmaite u konia zalety i przywary, rozmaite podobieństwa rasowe i różnice indywidualne, nie istniejące dla mieszkańca miast i ztąd zajmie się konmi w sposób dla drugich zgoła niezrozumiały i nudny, skoro żadnego do myślenia przedmiotu nie podaje. Podobnież zajmuje się znawca obrazami w sposób ciągły, dla ogółu niezrozumiały i nudny, rozpatrując różnice i podobieństwa szkół, pojedyńczych malarzy, stylów i epok a różne drobne techniczne szczegóły.

Interesuje rozum mnogość przedmiotów, wywołująca mnogość wrażeń i wyobrażeń: podoba się przeto widok o rozmaitych kształtach roślinności, rozmaitych wzgórkach i dolinach, skałach dziwnie poszarpanych i poruszonych a wijących się wodach — zwany malowniczym: malowniczą bywa ruina w nieregularności swojej, rzesza o ludziach różnie postrojonych, w blaskach słońca odzież żebraka rzucająca różne cienie, świecąca różnobarwnemi łatami: nieład wszelki malowniczym bywa. Wyraz zastosowany do wrażeń wzrokowych, także do innych przedmiotów zastosowanym być może; powiadamy, że się wyraża w sposób malowniczy, kto używa chaotycznego bogactwa słów i zwrotów, malowniczemi wydają nam się dzieje średniowiecznego nieładu. Nawet sztuki piękne — i to wcale nie same tylko malarstwo posługują się malowniczością, aby zająć i zabawić, a rzecby można, że zamiłowanie w tem co malownicze, głównie romantyczny smak w sztukach pięknych znamionuje. Sama jednak malowniczość sprzykrzy się wreszcie; zmęczy, jeśli usiłujemy wszystko spamiętać i powiązać z sobą wspólnem prawem, a przeto naprawdę rozumowi przywłaszczyć, znuży, jeśli dajemy wrażeniom następywać po sobie, nie używając rozumu nato, aby je w całość powiązać.

Trwalsze upodobanie budzi to co ładne — jeśli zarazem malowniczem bywa. Rzecz bowiem ładna tylko niechybnie prędzej

się jeszcze od malowniczej tylko sprzykrzyć musi, choć się w pierwszej chwili niechybnie podoba. i tak długo przyjemne robi wrażenie, jak długo dostrzegamy ją tylko mimochodem.

Ładnem bywa to, co w ład ujęte, a cieszy nas, gdy ten ład możemy odrazu dostrzedz: w miarę tego, jak ład rzeczy ładnej większą ilość szczegółów w sobie zawiera, a dostrzegamy i poznajemy jednak, że wszystkie nawzajem od siebie zawisłe, wspólnem prawem ujęte, wzmaga się nasze zajęcie i orzekamy, że rzecz jest ładniejszą. Sąd ten jednak u różnych, różny bywa, w miarę bystrości i wyćwiczenia umysłowego.

Ładną dla oka bywa regularna planimetryczna albo stereometryczna figura, w której się różne linje i powierzchnie powtarzają, prawem oczywistem symetryi ujęte: owal, prostokąt podłużny i trójkąt równoboczny bardziej się podobają od koła, kwadratu i trójkąta równokątnego, jeśli wysokością a szerokością, różne od siebie, a przeto rozmaite, są oczywiście przez jedną miarę wspólną podzielne. Najładniejszą proporcyą bywa tak zwany złoty dział, dwóch długości tworzących całość, z których mniejsza do większej ma się jak większa do całości. W gmachu podobają się symetrya i równe części odstępy, bardziej jeszcze podoba się rozmaitość odstępów, ale rytmiczna, to jest powtarzająca się, przy czem architekta winien przestrzegać złotego działu, albo wspólnej podzielności odstępów przez miarę, mieszczącą się w każdym niezbyt wiele razy. Okna, filary, słupy, łuki i t. p. bywają ładnie ułożone, jeśli dostrzeżesz, że jest ich wiele, a jednak albo ilość i odrazu okiem zbliżysz, albo rozpoznasz przynajmiej ich podział na grupy dające się odrazu zliczyć, i to, że znów jasno ograniczona ilość architektonicznych członków w każdej grupie się znajduje. Pragniesz, aby pewne członki powtarzały się rytmicznie, i ładnymi są tylko w jednym gmachu łuki albo filary jedno zasadnicze prawo architektoniczne wyrażające. Najładniejszymi bywają jednak wtedy, gdy każdy szczegół, obok ogólnego podobieństwa indywidualne wybitne ma znamiona, osobną myśl wyraża — jak gzymsy i manierki gotyckie, posągi i płaskorzeźby zdobiące grecką świątynię. Jeśli gmach ma na sobie widne i powtarzające się często zupełnie jednakowe szczegóły, robi wrażenie bogate, czyli malownicze, a gdy te szczegóły w ład matematyczny ujęte, wydaje się ładnym; przykrzy się temu, kto mu się dokładnie przypatruje, a jeśli te szczegóły winny same w sobie zajmować, jakoto wyobrażenia jestestw żywotnych a zwłaszcza ludzi, orzeczesz, że rzecz jest nużąco jednostajną — a zatem niełądna — jak wiele okazałych gmachów

nowożytnych. Arabesk, wzór barwny czy rzeźbiony jest ładny, jeśli się w nim bogata grupa rozmaitych form wyraźnie powtarza, ładniejszy, jeśli subtelne różnice w szczegółach przy każdem powtórzeniu umysł zająć mogą.

Ładnem jest to co umysł zajmuje uwidoczniając różnorodne celowe działanie. Stądto wymagamy od gmachu, aby odpowiadał praktycznemu przeznaczeniu swojemu i także uwidoczniał na zewnątrz rozkład swój wewnętrzny; wymagamy jeszcze bardziej, aby wszystko w gmachu było konstrukcyjnem, o ile nie jest wprost rzeźbą lub obrazem, aby służyło do dźwigania całości, albo do uwydatnienia organicznych że tak rzekę członków tej konstrukcyjnej a pożytecznej całości. Ładnem, bo zajmującem bywa uwidocznienie szczere użytego materyału i tego, że materyału użyto w miarę istotnej konstrukcyjnej potrzeby i z uwzględnieniem praw statyki. Skoro dostrzeżemy, że drzewo, kamień, albo cegła, marmur udaje, że żelazne rusztowanie tylko pozorami kolosalnych murów zakryto, wydaje nam się gmach nieładnym — kłamliwą dekoracyą.

Organiczne kształty bywają najczęściej ładne; gałęzie i liście na roślinie układają się rytmicznie, wedle geometrycznego prawa, a budowa kwiatu okazuje system symetryczny, a jednak rozmaitego układu, a najładniejszymi nazywamy liście bogato wycinane, kwiaty o licznych różnorodnych a okazałych członkach; nieładnymi te, których płatki są nadto nikłe, albo które płatków nie mają, albo u których choroba symetryą zniszczyła. U zwierząt są mnogie symetrycznie ustawione zewnętrzne organa, zawsze indywidualne, tworzące organiczną całość i wyrażające w sposób widoczny swoje przeznaczenie, a nieładnemi nazywamy zwierzęta, których odnóża są zbyt liczne jak u stonogi, albo niewyraźne wskutek grubości mięśni i skóry jak u hipopotama; nie ładnemi są także zwierzęta, których proporcye nie są ułożone podług przejrzystych geometrycznych i matematycznych prawideł. U zwierząt ssących przeznaczenie organów występuje zazwyczaj najwyraźniej, dzięki występowaniu muszkułów a piękność ich wzmaga się w ruchu, gdy oglądamy rytmiczną i celową wyraźnie grę mięśni: najwyższa organiczna piękność występuje u człowieka, wraz z największem organów rozróżniczkowaniem i z jasnemi we wszystkiem matematycznemi proporcyami. Stanąwszy na palcach i rozkrzyżowawszy ramiona, dotyka się człowiek kończynami obwodu koła — ciało jego dzieli się w pasie a twarz u korzenia nosa według złotego działu i t. d. Skóra cienka dopuszcza uwidocznienia gry muskułów,

nadaje życie i wyrazistość twarzy, wreszcie nawet najrozmaitsze barwy mienią się na skórze człowieka białego wedle prawideł jasnych, a wywołujących najsubtelniejsze odmiany.

Rzeźba i malarstwo odtwarzają ciała organiczne. Choć rzeźba może być barwną, istotą jej pozostaje odtworzenie dotykalnych kształtów: pozbawiona uroków wywołanych przez grę barw, staje się sztuką w wyższem tego słowa znaczeniu, tylko wtedy, kiedy odtwarza ciała misternie uorganizowane żwierząt ssących i człowieka; gdy inne oddaje przedmioty, jest raczej snycerstwem, a szaty i draperye, których spad dziwną okazuje rozmaitość, jednolitem prawem wywołaną, jedyny pod tym względem wyjątek stanowią. Posąg zato oddaje najdoskonalej ład przedziwny ludzkiego ciała, tem bardziej zajmujący, że się proporcye nasuwają perspektywicznie w miarę tego jak posąg obchodzisz. Można także kilka postaci rzeźbionych ułożyć w kompozycyę zajmującą: ale prawie nie podobna, aby ta cała kompozycya pozostała jasną, gdy na nią z różnych punktów widzenia patrzysz, jeśli wszystkie postacie na jednym nie stoją planie, jak na płaskorzeźbie, albo przyczółku świątyni, a choć każda postać w grupie Farnezejskiego byka jest ładną — i nawet piękną — cała grupa tworzy nieład przykry, utrudzający rozum daremnie — ponieważ postacie na różnych planach ustawiono.

Malarstwo mniej doskonale postać organiczną odtwarza, ale za pomocą barwy oddaje karnacyę i blask oczu, a zatem ład inny, inną harmonię — a urok pełniejszy zmysłowy w każdym posiędzie wypadku, działając barwą rozmaitą; wyobraża także misterną grę światła wychodzącego z jednego źródła, łamiącego się po ciele, zamieniającego naturę barw, tonącego stopniowo w cieniu, nadającego kształtom plastyczność przedziwną; odtwarza także subtelne gaśnięcie barw w oddali, subtelne pomniejszanie się dalekich ciał i topienie się ich konturów: ma przeto nierównie szerszy zakres od rzeźby; oddaje każdy przedmiot artystycznie, byle się na nim barwy mienić mogły, byle na nim wystąpiła gra światłocieni; odtwarza całą naturę, całą okolicę w cudownej oświecenia rozmaitości, swobodnie mieści postacie swoje na różnych idealnych planach i tworzy kompozycye, pod każdym względem zajmujące, w których bywa znów w rytm i lik ujęta rozmaitość grup i jednostek, w których śledzimy rozmaitość charakterów, namiętności, ruchów, ku jednej sprawie wspólnej skierowanych. Należy przytem wybrać przedmiot o tyle powszechnie znany i widzom zrozumiały, żeby znaleźli miłe zajęcie w tłómaczeniu każdego ruchu,

każdego wyrazu twarzy, aby mogli w myśli dorabiać to, czego malarz z natury swej sztuki wypowiedzieć nie mógł.

Proporcyi matematycznej dźwięku trzeba szukać w czasie, jeśli zatem dźwięki mają być ładne, muszą być rytmiczne, i sam rytm, choćby jednostajny, już rodzaj muzyki tworzy: rytm i powracające następstwo podobnych co do swojej jakości t. j. co do swojej wysokości tonów tworzy już melodyę i wystarcza do najprostszej aryi. Wyższe zadowolnienie umysłowe daje arya z akompaniamentem przyczem odróżniasz rzecz główną, od tego co jej zasłoną bywa, a gdy różne instrumenta albo głosy akompaniują, staje się muzyka co raz bardziej malowniczą, a jeśli przy tem ładną pozostaje, coraz ładniejszą. Najwyższe intelektualne używanie zgotują dla wyćwiczonego ucha te muzykalne utwory, w których kilka zasadniczych aryi powraca, ciągle w innej postaci, tworząc podobne a jednak różne od siebie melodye, wyrażone za pomocą coraz doskonalszych zdań muzykalnych, przyczem akompaniament melodyi jednych, bywa jakby echem drugich — poprzedzających, albo następujących. Takiemi bywają klasyczne symfonie, i w mniejszych rozmiarach sonaty — taka tylko opera tworzy muzykalną całość, podczas gdy inne bywają zbiorem różnych, tylko dramatyczną bajką z sobą powiązanych utworów muzykalnych.

W poezyi rytm tworzy wiersz, którego istoty miarą bywa poezya, której istotą jest głównie ozdoba mowy za pomocą ładu dźwięków: jest to poezya logiczna, z muzyką bardzo pokrewna, a w niej dźwięk i miara słów odwracają uwagę od treści, sobą umysł zajmują. Korzysta na tem, jeśli bywa ze śpiewem połączoną. Stroi ją rym, który jest znów rytmicznem ponawianiem dźwięków podobnych co do swojej tak zwanej barwy: komplikuje chętnie rytmy za pomocą strof, układając je w tak zwane grupy. Poezya opowiadająca lub dramatyczna więcej treścią swoją usiłują umysł zająć, winne tedy poprzestać na rytmie i rymie prostszych, nieodwracających uwagi od treści, zadawalniają się nawet często zupełnie nie wiązaną mową, szukając ozdoby dla niej tylko w jasności i jędrności — albo też w malowniczości zwrotów i wyrażeń. Ważniejszą tu bywa rzeczą kompozycya poematu, a zajęcie, które budzi, winno przedewszystkiem śledzić tok zdarzeń i oczekiwać ich końca, rozpatrywać charaktery i namiętności, ich rozwój i wpływ na tok fabuły; budową duszy ludzkiej, rozmaitością, która w niej przecie wspólnym prawom ulega, winien poeta zajmować czytel-

nika. Niemniej przeto należy dbać o przejrzystość utworu, o należytą proporcyę pojedyńczych jego części.

Dzieło sztuki bywa twórczej wyobraźni utworem, a wydając to dzieło rozkoszuje się artysta czy poeta dwukrotnie: raz w pracy wyobraźni, która rzecz roi nieistniejącą w rzeczywistości, a jednak prawem ujętą i według analogii rzeczywistości prawdopodobną; drugi raz pracą rozumu, przy wykonaniu mającem to urojenie dla drugich czynić jasno przystępnem. Przy każdem myśleniu celowem, pracuje wyobraźnia twórcza, kojarząc rozmaite wyobrażenia dowolnie, przyczem drugiej pracy podejmuje się rozsądek orzekając, o ile te skojarzenia, prawdopodobne albo pewne, z rzeczywistością zgodne są czy też będą? Podobnej pracy podejmuje się umysł artysty czy poety, kiedy pomysł utworu snuje, a znuży się bezładem wyobrażeń nie ujętych w prawa rozsądne: jeśliby zaś chciał uroić świat rządzący się wprawdzie prawem, ale prawem zgoła do rzeczywistego nieprawdopodobnem, utrudzi się ponad miarę, a celu nieosiągnie. Świat przedstawia rozmaitość nieskończoną, w której jednak podobne zjawiska zawsze z podobnemi się kojarzą, w której pewne ogólne prawa rządzą nawet najróżnorodniejszemi zjawiskami, nadając nieskończonej różnorodności, przecie jedności znamię. Budowa naszego umysłu jest w zasadniczej zgodzie z budową wszechświata, którego także jesteśmy częścią i rozumiemy to tylko, co wedle analogii praw natury ułożone, to tylko uważamy za możliwe: spodziewamy się jednak coraz nowych wrażeń, służących do nabycia coraz nowych wyobrażeń i pojęć, układamy nawet myśląc niebywałe dotąd zjawisk skojarzenia, które uważamy za konieczne, wedle praw świata i znanych nam okoliczności. Artysta wyobraża sobie z góry okoliczności dowolnie wymyślone, a na ich podstawie wysnuwa urojenia swoje wedle praw natury, ciesząc tem umysł, a czyniąc najwyższy użytek z jego sił — przyczem myśląc bez praktycznego celu czuje się wolnym od przykrej troski.

Czy w życiu, czy przy rozpoznawaniu dzieł sztuki zajmuje nas to co nowe, co umysł odrywa od otaczającej go powszedniej jednostajności. Zajmuje nas dostrzeżone zjawisko, choć podobne do znanych, choć spodziewane, a jednak uwydatniające nowe praw przyrody zastosowanie i poeta nieraz cieszy nas a naszą wyobraźnię ćwiczy tem tylko, że takie nam sprawia zajęcie. Jeśli zobaczymy rzecz całkiem niezwykłą, odstępującą od znanych nam w przyrodzie podobieństw, doznajemy zadziwienia, mięszanego uczucia, z którego wynika pewna umysłowa przykrość, o ile się

przekonujemy, że nasz rozum całej prawdy nie ujął, które nas cieszy jednak podając nowe wyobrażenie, dając nowy pokarm myśli usiłującej całość świata zrozumieć. Jeśli przykrość przeważa, jeśli rzecz jest dla nas całkiem niezrozumiałą i w niwec obraca dotychczasowego myślenia wnioski, popadamy w pokrewne z przerażeniem osłupienie; w przeciwnym razie doznajemy rozkosznego podziwu, oglądając praw natury, jakich się dopiero domyślamy, jawne a niespodziane potwierdzenie, albo działanie znanych praw w niebywałych rozmiarach. Osłupienia dzieło artysty nie wywoła, bo gdy rzecz okaże zgoła niezrozumiałą, przechodzimy pomimo; budzi podziw bujnością wyobraźni, w świecie urojonym, w którym jednak zrozumiały ład panuje.

U młodych bywa wyobraźnia bujniejszą i oni przeto lubują się często w utworach sztuki lub poezyi niejasnych, które mogą sami własnemi uzupełniać urojeniami, a które u starszych tylko ruszenie ramionami wywołują, jako rzecz zagmatwana. Jednak i starszy rad temu, gdy jego wyobraźnię coś ożywić zdoła; z lubością wpatrujemy się w niebo gwiaździste, w obłoki, w morze, w step nawet, zaludniając wyobraźnią niezmierne przestrzenie; gór przestwory niedostępne podobnie na wyobraźnię działają, drażniąc ją nieraz w dodatku skał dziwnymi kształtami, a widok starego gmachu albo słynnego w dziejach miejsca, nakłania nas rozkosznie do odtworzenia wyraźniejszego minionych dziejów. Choć inne także sztuki wyobraźnię poruszyć zdolne, bywa to przedewszystkiem zadaniem poezyi, a dobry poeta tem cieszy, że lubo nic wyraźnie zmysłom nie przedstawi, sprawia, że sobie sami koniecznie prawie świat nowy i nowych ludzi wyobrażamy.

Każdy nowy nabytek wiedzy przechowuje się w pamięci, z której zmysł kombinacyjny i twórcza wyobraźnia swój dopiero materyał czerpią, a poznanie rzeczy nowej, bogaci pamięć i tem samem przyjemność sprawia. Ciekawość bywa żądzą takiego wzbogacenia pamięci; miewa zwykle na celu nabycie wiadomości mogących się przydać praktycznie, bywa jednak także zupełnie bezinteresowną, tak, że jej zadowolnienie bywa samo upragnionym celem. Pożądanem bywa także utwierdzenie rzeczy w pamięci; dlatego przypatrujemy się długo rzeczy ciekawej i wracamy do niej z przyjemnością, odczytujemy powtórnie literackie arcydzieło, uczymy się wierszów na pamięć, a poeta epicki powtarzając niektóre charakterystyczne wiersze budzi nasze upodobanie. Mianowicie dzieci, które swoją pamięć dopiero ćwiczą i wzmacniają, domagają się częstego a dokładnego rzeczy zajmujących powtarza-

nia. Przestają dopiero zajmować rzeczy tak dokładnie znane, że wszystko co się ich tyczy i czegośmy ciekawi na pewne w pamięci przechowano. Przykrą świadomość, że się zapomniało, wywołuje usiłowanie odnalezienia w pamięci wyobrażenia czy pojęcia rzeczy niegdyś znanej, a przyjemnem bywa każde zapomnianego przypomnienie, czyto mimowolne, czy osiągnięte za pomocą usiłowań umyślnych.

Dzieci bywają ciekawe każdego szczegółu, każdego pojedyńczego jestestwa, a wiedza historyczna opisowa największe w nich budzi zajęcie: całkiem obojętną nigdy nie bywa dla człowieka, skoro sama jedna poucza o okolicznościach, w których się rzeczy dziać mogą, ale owa ciekawość naiwna ustępuje u wykształconych z wiekiem pierwszeństwa umiejętnej badającej prawa przyrody i prawa poznającego ducha: wtedy nawet, kiedy nam chodzi o znajomość praw ogólnych, celem wyzyskania tych praw dla działania praktycznego, chodzi tu już o ciekawość naukową, której zadowolnienie samo cieszy, bogacąc umysł, dając rozumowi podstawy do myślenia, a zaspokojenie naukowej ciekawości staje się częstokroć samo w sobie celem dla uczonego upragnionym. Wobec tego, że nasz rozum na mocy doświadczenia nigdy wszystkich praw przyrody zgłębić nie może, szuka chętnie praw najogólniejszych, najpowszechniejsze mających zastosowanie i wdaje się wtedy w metafizyczną spekulacyę: raduje się kiedy wierzy, że mu religia najwyższe jestestwa prawa objawiła; czasem wmawia w siebie, że pewne spekulatywne pewniki dają mu rodzaj wszechwiedzy; rzadziej ciesząc się samem ćwiczeniem dociekającego dowcipu, lubuje się w wątpiącym sceptycyzmie. Wielką radość sprawia umysłowi naszemu każdy szerszy pogląd na cielesną i duchową przyrodę, w którym oglądamy praw harmonijnych system, system kształtów różnorodnych, a jednak znowu pracami wspólnemi ujętych. Kontemplacya wszechświata bywa wielką, lubo spokojną i nie namiętną duchową rozkoszą, przy której rozmaitość i ład dostrzeżony zawsze dalszej jeszcze rozmaitości i doskonalszego ładu domyślać się każą, jawiąc wszędzie taką zgodność praw przyrody z prawami rozumu, że chcąc nowej ogólnej dociec prawdy, musimy jej zawsze szukać w najładniejszem, najprostszem, najbardziej zrozumiałem rozwiązaniu.

Tylko poznanie prawdy bywa istotnem naszej wiedzy pomnożeniem i odczuwamy niepokój jak długo nie jesteśmy pewni posiadania prawdy, a poświęcimy najnadobniejsze urojenia, aby dojść do prawdy, choćby z niej bardzo niepożądane dla naszego samo-

lubstwa wnioski wyniknąć miały, a opowiadanie, o którem wiemy, że prawdziwe, bardziej nas zajmuje od najmisterniej osnutej baśni. Pożądanym celem dla rozumu naszego a niedościgłym dlań ideałem wszechwiedza, a wielu wierzy w nieśmiertelność duszy, albo w zlanie się duszy z Bogiem, gdyż tak tylko mogą, poza kresami czasu, marzyć o dopięciu rozumowego, upragnionego ideału. Chwytamy się namiętnie każdej prawdy; fałsz, kłamstwo uważamy za krzywdę wyrządzoną nam, choćby żadnych ujemnych, praktycznych skutków wywołać nie miały; własnych omyłek, naukowych błędów, nieuzasadnionych wniosków, wstydzimy się jako rzeczy poniżających godność ludzką; z niechęcią odwracamy się od rzeczy niezrozumiałych, jakoby od obelgi rozumowi wyrządzonej, a utratę rozumu czyli obłąkanie, mienimy być większem od śmierci nieszczęściem. Działanie niezgodne z przekonaniem bywa wstrętne i zawstydzające, bo dowodzi tego, że kto tak działa, o prawdzie swoich przekonań zupełnej nie posiadł pewności; kto zaś na pewne jakiejś imał się prawdy, poświęcił całe swoje zmysłowe szczęście, chętnie wydał ciało na męczarnie i śmierć, byle od prawdy nie odstąpić, byle jej poświadczyć.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

# DAWNE ZABYTKI DZIEJOWE
# NOWEGO SĄCZA.

(Ciąg dalszy).

## Rozdział IV.

### Kościół OO. Franciszkanów pod wezwaniem Narodzenia Najśw. Maryi Panny.

Jan Długosz, najdawniejszy historyk polski († 1480), łączy założenie Nowego Sącza przez króla Wacława (1292) z wybudowaniem przez tegoż klasztoru dla Franciszkanów. *Prope curiam regiam, versus occidentem sitam, collegium duodecim fratrum illic collocavit, qui horas canonicas nocturnas et diurnas, res quoque divinas voce sonora explerent, quod et tunc et processu temporis muris et in ecclesia et in aliis muris fabrefactum est* [1]). Widać z tego, że Długosz, któremu miasto Nowy Sącz wcale nie było obcem, wyraźnie zaznacza kościelny budynek jako w murach swych zmieniony od czasu pierwotnej budowy Wacława. Wszystko to upoważnia nas do mniemania, że kościół franciszkański należał do pomników architektury drugiego dziesiątka lat XIV. wieku, w którym pomyślano o monumentalnej budowie w miejsce pierwiastkowej, prawdopodobnie drewnianej, jak słusznie utrzymuje Władysław Łuszczkiewicz [2]), uczony badacz starożytności i znawca znakomity sztuki polskiej. Za pierwotną fundacyą króla Wacława przemawia też kronika franciszkańska [3]) i napis, który poniżej przytoczymy.

---

[1]) Liber Benef. T. III. p. 467.

[2]) Sprawozd. komis. do bad. hist. sztuki w Polsce. T. IV. str. 170.

[3]) Zbiór histor. i cudów obrazu Przemienienia Pańskiego, przez ks. Bonawen. Sikorskiego, gwardyana nowosandec. Kraków 1767.

Jakie właściwie powody mogły skłonić Wacława do fundacyi Franciszkanów w Nowym Sączu, skoro siedzieli już na dobre o te czasy w poblizkim Starym Sączu obok klasztoru Klarysek, pozostaje niewyjaśnioną zagadką. Łatwo jednak przypuścić można, że król Wacław, starając się o materyalną pomyślność swego ulubionego i tak hojnie świeżo wyposażonego miasta, łożył także starania i o jego duchowne dobra i podniesienie. W tym celu, idąc za duchem czasu i obyczajem swego wieku, w pięć lat później 1297 r. założył kościół i klasztor Franciszkanów, aby nie tylko utworzyć przybytek dla służby Bożej i nabożeństwa, lecz także, jak były klasztory przez całe wieki średnie, siedzibę nauki i schronisko oświaty. To pewna, że Franciszkanie, już w r. 1232 sprowadzeni przez Bolesława Wstydliwego z Pragi do Krakowa, na prośby matki jego Grzymisławy, wywierali potężny wpływ na niższe i wyższe warstwy społeczeństwa — stali się nie tylko spowiednikami, ale nawet sekretarzami królów, byli używani do poselstw publicznych i edukacyi królewskich dzieci. Być więc może, że i w królu Wacławie znaleźli swego protektora, który, nadając im fundacyę w świeżo przez siebie założonem mieście, uczynił to widocznie w zamiarze przeniesienia Starego Sącza na terrytoryum wsi Kamienicy. Sam zresztą Wacław w przywileju, wydanym w Pradze 1298 r. dla klasztoru Klarysek starosandeckich na dochód 100 grzywien z żup krakowskich, wcale nie dwuznacznie o tem wspomina. „*Quod cum nos propter necessitatem defensionis terre nostre Cracoviensis, que gentilibus est confinis, oppidum seu locum forensem dictum Sandec, ad locum nostrum videlicet Kamenciam vulgariter nuncupatum, pro defensione huiusmodi magis aptum, duxerimus transferendum* [1])“.

W odmiennem zupełnie świetle przedstawia nam „księga przywilejów archiwum miejskiego z XVII. wieku“ fundacyę Franciszkanów nowosandeckich. Księżna Gryfina, wdowa po Leszku Czarnym, pani sandecka, mając na względzie nieobronność starosandeckiego klasztoru, wystawionego na napady hordy tatarskiej w r. 1287, powzięła zamiar przeniesienia go do bardziej już z natury obronnego Nowego Sącza, który podówczas jeszcze pospolicie Kamienicą zwano. Stary włodarz bł. Kingi, Jan Bogaty, obywatel Kamienicy „*Joannes Dives Civis Camenetiae*“, podjął się wystawienia klasztoru w Nowym Sączu na swym własnym gruncie. Zato nadała mu Gryfina w r. 1299 sto łanów frankońskich lasu, poło-

[1]) Kodeks. dyplom. małopol. T. II. p. 203.

żonego między Zabełczem, Siedlcami i Mogilnem [1]). Ponieważ jednak ów klasztor, przez Jana Bogatego w Nowym Sączu ufundowany, wydawał się zakonnicom niedogodnym, gdy nadto zakonnice zmieniły pierwotną myśl przesiedlenia się do Nowego Sącza, przeto darowały go OO. Franciszkanom, pełniącym posługi duchowne obok ich klasztoru w Starym Sączu [2]). Wobec tych różnorodnych zdań kwestya fundacyi Franciszkanów nowosandeckich, trudna nader do rozwiązania, dla braku erekcyjnego dokumentu pozostaje i nadal niewyjaśnioną zagadką.

W lat 15 potem (1314 r.) tenże Jan Bogaty odstąpił miastu tych 100 łanów frankońskich za zezwoleniem zakonnic [3]). Był o tem oryginalny przywilej, który z opisaniem tychże łanów, Janowi Bogatemu darowanych, spłonął wraz z rejestrami różnych transakcyi w r. 1611. Na tych łanach, Janowi Bogatemu darowanych a przezeń odstąpionych miastu, osadzili później mieszczanie nowosandeccy wsi: Januszowę, Librantowę, Kwieciszowę, Boguszowę i Wolchowę [4]) (Olchówkę), które ostatecznie z polecenia króla Władysława Jagiełły, przeszły na szpital św. Ducha pod zarządem Premonstratensów 1412 r. Na tych również łanach zasadziło miasto wsi: Roszkowice, Piątkowę i Paszyn, który aż dotąd pozostaje w spokojnem posiadaniu miasta Nowego Sącza. Z wdzięczności jednak za darowiznę tych 100 łanów miastu i zarazem jako wykupno szkód, których klasztor i dziedzictwo bł. Kingi doznały przez wzrost Nowego Sącza, posyłali co rok w wigilię Bożego Narodzenia rajcy nowosandeccy Klaryskom w Starym Sączu: pięć kóp bułeczek, wypieczonych z czterech wierteli najprzedniejszej pszenicy — sześć zajęcy i sześć bębenków, czyli baryłeczek węgierskiego wina, mieszczących w sobie sześć garncy, każdy garniec w osobnym nowym bębenku [5]). Zwyczaj ten utrzymał się nawet po rozbiorze Polski — zniósł go dopiero cesarz Józef II. w r. 1786 [6]).

---

[1]) Kod. dypl. małop. T. III. p. 159.

[2]) Volum. privileg. ac libert. civit. Neosandec. T. 56. p. 74.

[3]) Frankowicz: Wizerunek św. doskonałości w bł. Kunegundzie. Kraków 1718, str. 220.

[4]) Lustracya województwa krakow. 1564 r. Civitas Sandecz ks. 16. fol. 210. Archiw. główne w Warszawie.

[5]) Volum. privil. T. 56. p. 75. — Percepta et distributa an. 1601—1669.

[6]) Protocoll und Fragen an den Neu Sandecer Magistrat im Jahre 1793.

Jakie ów kościół franciszkański, wskutek przebudowań po częstych pożarach (1486, 1522, 1611, 1753 i 1769), przechodził losów koleje, trudno dziś odgadnąć. Inżynier cyrkularny, Filip Moscherosch von Wiesselheim, znalazł w r. 1789 kościół spalony bez sklepienia, klasztor bez zakonników, których przeniesiono do Starego Sącza 1785 r. Z planu jego widocznem jest, że kościół miał obszerną nawę przodkową, bo 30 metrów długą a 11 m. przeszło szeroką, której mury zewnętrzne mogły należeć do pierwotnego z XIV. wieku budynku; nawę tę jednak przesklepiono co najmniej w XVII. wieku po pożarze 1611 r., przez wprowadzenie szkarp wewnętrznych, ubranych pilastrowaniem pseudoklasycznem, podobnie jak fara w Starym Sączu i Krośnie. Pilastry zgrupowane po dwa przy każdym filarze, odpowiadały gurtom sklepienia beczkowego. Ślady baz pilastrowych zachowały się do pożaru 1894 r. u ściany sąsiadującej z utrzymaną kaplicą, również jak pozostały reszty podstawy frontowej facyaty, ale już poza sztachetami dziedzińca, w formie kupy gruzów. Do tej nawy przodkowej przytykało niewielkie prezbyteryum, oddzielone tęczą, a zamknięte od wschodu trzema bokami ośmiokąta. Prezbyteryum to było szerokiem 5·80 metr. przy długości ścian po zamknięcie wielokątne, ale wraz z tęczą 6·00 metr. Klasztor mieścił się po stronie północnej kościoła, posiadał krużganki dolne sklepione, swój wirydarz, ale zabudowanemi były tylko dwa ramiona: zachodnie i południowe. W pierwszem był refektarz, w drugiem zapewne reszta lokalności; to ostatnie skrzydło krużganka zachowało się i służy na pierwszem piętrze jako mieszkanie ewangelickiego pastora. Na krużganku stała w r. 1789, jak dzisiaj, wysoka wieża dzwonowa, mieszcząca spodem kaplicę; obecnie na jej piętro prowadzą schody zewnętrzne, sama w sobie jest bezstylową [1]).

Po roku 1789 rozebrano kościół franciszkański do szczętu, wtedy to zburzono także przyległą do niego kaplicę Dobków i wyrzucono z niej niepośledniego dłóta z marmuru ciemno-czerwonego z białemi żyłkami pomnik Jana Dobka Łowczowskiego, podstolego krakowskiego, przedstawiający leżącego rycerza w zbroi, z herbem Gryf i hełmem, opatrzonym w pióropusz, który, lubo znacznie uszkodzony, zachował się dotąd umieszczony we framudze, przylegającej do szkoły ewangelickiej. Na osobnej marmurowej tablicy wyryto jego napis grobowy samemi wielkiemi literami:

[1]) Łuszczkiewicz: Resztki kościoła franciszkańskiego w Nowym Sączu. Sprawozd. komis. do bad. hist. sztuk. w Polsce. T. IV. str. 169—174.

*Generosus Joannes Dobek Łowczowski de Łowczow, subdapifer terrae cracoviensis, vir magnis, militiae, foris et domi, functus laboribus: In maximis expeditionibus in Ungaria contra Turcas, in Finlandia contra Suecum, et in Moscovia strenuus pro patria dimicando, insignia generosi animi argumenta declaravit; ibique ex mandato Serenissimi Sigismundi III. Regis Poloniae ad Moscum clarissimam expedivit legationem, insigne apud cunctos nomen meruit. Consilio gravis et animi magnitudine, humilitate in amicos fuit mirificanda. Decus vetustissimae familiae auxit sua virtute et dignitate, florente gloria et aetate sua. Extinctus est Anno Domini 1628 mense martio. vixit annis 75.*

Obok pomnika Dobka widzimy tablicę nagrobkową z marmuru ciemno-czerwonego żony jego Zofii († 1611 r.), z herbami Gryf, Abdank, Drużyna i Geralt, oraz napisem następującym, który podajemy dosłownie według dzisiejszej pisowni, z uwzględnieniem jednak w notach niektórych dawnych wyrazów podług pisowni na nagrobku.

Tu Zofia Dobkowa z domu Marcinkowska.
Cnej pamięci podstolina niekiedy krakowska,
Odpoczywam z inszemi pochowana w ziemi,
Policzona już w poczet z paniami świętemi.
Nieprzeciwiąc się nigdy przejrzeniu [1]) bożemu,
Danam była w małżeństwo [2]) niegdyś Piegłowskiemu [3]),
Któremum dwu synaczków ku sławie powiła,
W bojaźni bożej zawsze przystojnie ćwiczyła.
Po zejściu towarzysza z małżeństwa [4]) pierwszego,
Dostałam się w dom zacny [5]) Dobka podstolego,
Człowieka i w pokoju i w boju sławnego,
Wszystkiej [6]) polskiej koronie dobrze znajomego.
Na posługach koronnych lata swoje strawił,
Mym synom [7]) wiecznej sławy [8]) wizerunki zostawił.
Służąc bowiem ojczyźnie z serca uprzejmego
Z odwagą tak i kosztem, jak i zdrowia swego,

[1]) Przierzen.
[2]) Manżelstwo.
[3]) Piagowskiemu.
[4]) Manzielstwa.
[5]) Zacne.
[6]) Wszystki.
[7]) Mim sinom.
[8]) Wiecznie sławi.

Gdy odjechał [1]) pode Lwów wtem ja sfrasowana,
Zeszłam [2]) w Bogu, przetoż tu leżę pochowana.
Przetoż was wielce, panie napominam,
Zostawajcie w żalach swych wierne, proszę, mniemam.
Ten nagrobek małżonek miłością zdjęty [3])
Położył, kończąc afekt w miłości zaczęty.
Bierzcie wzór z mego, panie, zejścia [4]) żałosnego,
Miarkować [5]) z każdym czasem ze serca swojego [6]).

Po dziś dzień z tego kościoła franciszkańskiego nic nie pozostało, oprócz pamiątkowej z czerwonego marmuru tablicy z XVII. wieku. W nagłówku tej tablicy w samym środku orzeł. Naokoło orła napis: *Fundatori.* Od niego rozchodzi się skromna ornamentyka na prawo i lewo. Na lewej stronie w małym owalu napis: *Protectori*, a w środku cztery litery: *G. L. C. S. (Georgio Lubomirski Capitaneo Sandecensi);* z prawej zaś strony podobny owal, noszący napis: *Fautoribus*, w środku przedstawiający osobę królewską z mieczem w prawej ręce, stojącą na smoku, a opierającą miecz na ogonie jego. Sam środek tablicy zajmuje napis: *Ecclesia haec tituli Nativitatis B. V. Mariae cum suo conventu, Fratribus Minoribus Conventualibus, fundata et erecta est a Serenissimo Venceslao Poloniae et Bohemiae Rege A. D. 1297, cujus dedicationis solemnitas celebratur dominica prima post festum Nativitatis B. V. M.;* poniżej na tarczy herb Śreniawa i rok 1640.

Budynki zaś pofranciszkańskie, wraz z przyległym ogrodem i dużą kaplicą Przemienienia Pańskiego, sprzedał Rząd żydom za 500 złr. wal. wied., ponieważ żaden katolik nie ubiegał się o ich nabycie. Z obawy jednak, aby snadź świętością klasztornego domu nie zbezcześcili prawa Mojżeszowego, nie śmieli w nich zamieszkać, z rozkazu więc Rządu sprzedali je na licytacyi 30. października 1800 r. gminie ewangelickiej za 2.200 złr.[7]).

---

[1]) Gdi odjechal.
[2]) Zesłam.
[3]) Zięty.
[4]) Zeszcia.
[5]) Miarkowacz.
[6]) Błędna ortografia i haniebna polszczyzna w każdym wierszu tegoż napisu wskazuje, że musiał go wykonać jakiś obcokrajowiec: Czech albo Niemiec.
[7]) Ankauf der Kirche und des Pastoratsgebäude sammt Garten im Jahre 1801. Odnośne akta w registraturze c. k. Starostwa w Nowym Sączu.

Franciszkanie mieli nieco dochodów z dóbr klasztoru swego, a mianowicie: z ogrodu i trzech placów pustych podle kościoła — z dwóch ćwierci roli za rzeką Kamienicą — z domu Gryglowskiego w samem mieście — i z dwóch folwarczków: za rzeką Kamienicą i na przedmieściu większem, czyli węgierskiem, wraz z młynem obok dzisiejszego nowego cmentarza. Wymienione dobra za powszechną zgodą i zezwoleniem rycerstwa wszystkiego, uwolnił wieczyście od płacenia poborów Władysław Lubowiecki, sędzia generalny ziemski województwa krakowskiego i marszałek sejmiku proszowskiego, dnia 12. stycznia 1669 r.[1]). Mimo to jednak wogóle byli ubogimi, jak wszystkie zakony żebrzące, dlatego rajcy sandeccy dawali im co kwartał po 2 złp., a w razie nadzwyczajnej potrzeby daleko więcej. Tak n. p. pod rokiem 1642 zanotowano w księdze wydatków miejskich: „Podczas generalnej kapituły OO. Franciszkanów, tu w Sączu odprawionej, za prośbą tychże Ojców dało się eleemozyny tak na wikt jako i inne tejże kapituły potrzeby 90 złp.[2])". Od czasu zaś do czasu wpływały hojne ofiary na klasztor od mieszczan i okolicznej szlachty. Z pomiędzy takich licznych zapisów, przechowanych w księgach grodzkich i ławniczych XVII. wieku, przytoczę tylko niektóre:

— Hieronim Rozembarski 1605 r. 100 grzywien.

— Bernardyn Służowski 1615 r. 440 złp.

---

[1]) Odnośny dokument tak opiewa: „Za powszechną zgodą i zezwoleniem rycerstwa wszystkiego województwa krakowskiego, na sejmik relationis po konwokacyi pro die 8. Januarii zgromadzonego, daję tę assekuracyę, iż uwolnione są dobra niżej opisane Ojców Franciszkanów konwentu nowosądeckiego, t. j. folwark w łanach, który na półpiętej ćwierci łanów zdawna siedzi, z którego na jeden pobór po złotemu i groszy 6; z folwarku tak w łanach jako i Znamirowskiego po gr. 12; ze dwóch ćwierci pola i pręta jednego za Kamienicą gr. 27; z niwy na Podgórzu gr. 2; z placów podle kościoła pustych trzech po gr. 10; z domu Gryglowskiego po gr. 18, do exaktorów miejskich oddawali. Aby augeatur cultus divinus, od płacenia poboru specifikowanych dóbr pomienionych ojców i konwent tameczny wiecznymi czasy uwalniamy. Za pokazaniem tedy tej assekuracyi nie powinni będą Religiosi Patres od żadnych Ichmościów panów exaktorów i sędziów województwa naszego turbowani i inkwietowani, i owszem mają bydź liberi pronunciowani, co podpisać Imci panu marszałkowi naszemu zleciliśmy w Proszowicach die 12. Januarii R. P. 1669.

Władysław Lubowiecki, sędzia generalny ziemski województwa krakowskiego, marszałek sejmiku proszowskiego". Acta Castr. Rel. T. 131, p. 1292.

[2]) Distributa extraordinaria mense octobri 1642, f. 86.

— Przecław z Marcinkowic Marcinkowski 1616 r. wyderkaf, czyli popłatę roczną 10 złp., od kapitału 200 złp.

— Krzysztof Łapka z Roztoki 1620 r. 150 złp.[1]).

Jan Dobek z Łowczowa Łowczowski, dziedzic Zabełcza i Wielopola, po szczęśliwym powrocie z wyprawy chocimskiej, zbudował w r. 1622 przy kościele franciszkańskim kaplicę św. Bernardyna, w której mieściły się podziemne groby rodziny Dobków, a na jej utrzymanie, tudzież na msze św. za dusze fundatorów wyznaczył popłatę roczną 60 złp. od kapitału 1000 złp., legowanego na dobrach swoich[2]).

Nie zabrakło też klasztorowi hojnych ofiarodawców w późniejszych latach:

— Błażej Piotrowski, mieszczanin sandecki, zapisał 1633 r. 150 złp. Egzekutor testamentu, Wojciech Grabicki, nie wypłacił zapisu, więc klasztor wszedł w posiadanie domu jego w rynku. Wkońcu jednak wypłacił i pokwitowali go: O. Witowski, gwardyan, z O. Grodzickim, sekretarzem klasztornym.

— Piotr Cieniek, rodem z Nowego Sącza, mieszczanin mościski, przekazuje klasztorowi 1635 r. pole po ojcu odziedziczone[3]).

— W tymże roku Szymon Wolski, aptekarz, zapisuje popłatę roczną 36 złp. od kapitału 600 złp. na swej kamienicy w rynku. Przyczem zobowiązuje O. Szczepana Żychowicza, gwardyana, i jego następców, aby owa popłata roczna była obrócona ku czci Najśw. Sakramentu, a mianowicie: 12 złp. przeznacza na oliwę do lampy przed wielkim ołtarzem — 8 złp. dla 4 mężczyzn, którzy będą nosili baldachin na procesyi, 4 złp. na naprawę lub sprawienie nowego baldachinu — 12 złp. na mszę św. co sobotę odprawianą za dusze dobrodziejów w kaplicy św. Katarzyny, którą tenże Wolski wielkim kosztem z ciosu zbudować i zasklepić kazał, „*magnis impensis saxo exstructam et concameratam alias* zasklepioną". Pierwsza rata 12 złp. miała być wypłacaną klasztorowi na Zielone Świątki — druga rata 12 złp. na św. Marcin — trzecia rata 12 złp. na Boże Narodzenie[4]).

— Stanisław Kopeć zapisał 1638 r. na swej kamienicy w rynku popłatę roczną 42 złp. od kapitału 600 złp.; a Zacha-

[1]) Act. Castr. Inscr. T. 29, p. 1436; T. 35, p. 282, 1501; T. 38, p. 1050.
[2]) Act. Castr. Inscr. T. 39, p. 1890.
[3]) Act. Scab. T. 54, p. 116, 124, 131; T. 55, p. 23.
[4]) Act. Castr. Inscr. T. 47, p. 643.

ryasz Światłowicz na swym domu popłatę roczną 7 złp. od sumy 100 złp.[1]).

— Marcin Chrostowski na Drużkowie legował 1648 r. Antoniemu Forbes, gwardyanowi, popłatę roczną 42 złp. od kapitału 600 złp.[2]).

Hojne przedewszystkiem zapisy spotykamy w drugiej połowie XVII. wieku:

— Katarzyna Gabońska na Sowlinach pod Limanową przekazała 1655 r. popłatę roczną 35 złp. od sumy 500 złp.

— Jadwiga Zarębina na Wojnarowej 1657 r. Janowi Brzechffie, prowincyałowi, św. teologii doktorowi, wyderkaf 105 złp. rocznie od kapitału 1.500 złp., z obowiązkiem odprawiania co tydzień 1 mszy św. w kaplicy św. Mikołaja u Franciszkanów za zmarłych rodziców i krewnych[3]).

— Sebastyan z Będzieszyny Marek leguje 1666 r. Franciszkanom staw ze sadzawką na przedmieściu, obok ogrodu Dunajowego; a Kasper Brzechffa na Limanowej i Starejwsi popłatę roczną 210 złp. od kapitału 3.000 złp.[4]).

— Barbara z Bukowca Kępińska 1669 r. Bernardowi Ilmanowskiemu, gwardyanowi, 300 złp.

— Paweł Pęgowski na Siekierczynie 1677 r. wyderkaf 35 złp. rocznie od sumy 500 złp., z obowiązkiem odśpiewania co sobota godzinek o Niepokalanem Poczęciu, przy ołtarzu Matki Boskiej na korytarzu kościelnym[5]).

— Stanisław Leszczyński z Kruźlowej spisał 6. listopada 1687 r. własnoręcznie testament, w którym między innemi powiada: „Proszę, aby ciało moje w kościele OO. Franciszkanów w Nowym Sądczu pochowanem było. Leguję im 2.000 złp., aby za duszę moją, małżonki i krewnych moich odprawiali co tydzień 2 msze św.[6])“.

— Franciszek Kamocki, pisarz grodzki sandecki, zapisał 1690 r. popłatę roczną 50 złp. od sumy 1000 złp. na Wronowicach[7]).

---

[1]) Act. Scab. T. 55, p. 687, 690.
[2]) Act. Castr. Inscr. T. 52, p. 1127.
[3]) Act. Castr. Inscr. T. 55, p. 1030, 1546.
[4]) Act. Castr. Inscr. T. 57, p. 1178, 1192.
[5]) Act. Castr. Inscr. T. 58, p. 679; T. 60, p. 301.
[6]) Act. Castr. Rel. T. 139, p. 1213.
[7]) Act. Castr. Inscr. T. 67, p. 493.

Niemniej hojne legata płynęły dla cudownego obrazu Oblicza Chrystusowego, czyli Przemienienia Pańskiego, o którym przy opisie kollegiaty obszerniej nadmienię.

— W czasie morowego powietrza 1600 r. Brygida Niemcowa, wezwawszy do siebie O. Kaspra Jarosławskiego, gwardyana, przeznaczyła na kaplicę Oblicza Chrystusowego 24 grzyw. 18 gr., które miała u gospodarza swego, Macieja Gąsiora [1]).

— Marcin z Zawady Zawadzki zapisał 1620 r. dwa łany pola z łąką obok stawu miejskiego, z obowiązkiem odprawiania mszy św. co piątek przed ołtarzem Przemienienia Pańskiego [2]).

— Katarzyna z Młodatycz Kamińska, wdowa po Mikołaju Kamińskim, legowała 1629 r. na ołtarz Oblicza Chrystusowego wyderkaf 35 złp. rocznie od kapitału 500 złp. na folwarku Straszowskim za rzeką Kamienicą, pod warunkiem jednak, ażeby Franciszkanie odprawiali wieczyście co tydzień jedną cichą mszę św. za dusze Mikołaja i Katarzyny Kamińskich [3]).

— Elżbieta Witowska, mieszczka sandecka, przeznaczyła 1635 r. na potrzeby odnowienia ołtarza Przemienienia Pańskiego 19 złp.[4]).

Następnego roku stanął odnowiony ołtarz. Marcin Frankowicz sprawił do obrazu srebrną wyzłacaną sukienkę, we floresy *en relief*, na której u góry przedstawione są prześlicznej roboty dwa ptaszęta, dzióbiące winogrona — u dołu zaś klęcząca postać Frankowicza w żupanie, ze złożonemi rękoma, i następującym napisem: „*Martinus Frankowicz, civis sandecensis, devotus erga imaginem hanc Salvatoris, pro extruendis hisce laminis argenteis patrimonium suum obtulit, quibus impensis maxima pars imaginis huius contecta est. Anno Domini quo et altare perfectum 1636*“.

— Konstanty Lubomirski, starosta grodowy sandecki, zapisał 1657 r. na Porębie O. Ferdynandowi Żeromskiemu, bakałarzowi św. teologii, wyderkaf 315 złp. rocznie od kapitału 4.500 złp., z obowiązkiem odprawiania co tydzień 6 mszy św. za dusze zmarłych, nie mających zniskąd ratunku, po zejściu zaś z tego świata testatora za jego duszę i małżonki jego [5]). Zapis ten stoi niezawodnie w związku z wyzdrowieniem Lubomirskiego (1654 r.) a następnie

---

[1]) Act. Scab. T. 25, p. 875.
[2]) Act. Castr. Inscr. T. 38, p. 1274.
[3]) Act. Castr. Inscr. T. 44, p. 894.
[4]) Act. Scab. T. 55, p. 73.
[5]) Act. Castr. Inscr. T. 55, p. 1629.

z fundacyą przezeń kaplicy Przemienienia Pańskiego, o której będzie wzmianka poniżej.

— Stanisław Bernus, rajca sandecki i pisarz komory skarbowej Jego Królewskiej Mości, legował 1691 r. na roli Mogilańskich, na przedmieściu większem za bramą węgierską, wyderkaf 70 złp. rocznie od sumy 1000 złp., z obowiązkiem 1) odprawiania co piątek w wielkim poście mszy św. i odśpiewania hymnu „*Patris Sapientia*“ z wystawieniem Najśw. Sakramentu przed ołtarzem Przemienienia Pańskiego; 2) odśpiewania hymnu „*Stabat Mater*“ co sobota przed ołtarzem Matki Boskiej Niepokalanie Poczętej na korytarzu [1]).

Charakterystycznym i pełnym staropolskiego pietyzmu jest testament wielmożnej panny Zofii Wielogłowskiej:

W imię Ojca i Syna i Ducha św. Amen. Czując się bydź w chorobie niebezpiecznej, a wiedząc też o tem, żem jest śmiertelna i umierać mam. Tedy, jeżeliby mnie miał Pan Bóg wziąć z tego świata, oddaję naprzód duszę moją Panu Bogu i Stwórcy swemu, a ciało ziemi, które proszę aby było pochowane, gdzie jest pochowane ciało nieboszczki matki a dobrodziejki mojej. Za cztery lata mam zatrzymane prowizye u panów braci na Zabełczu złotych 960, których takową czynię dyspozycyę. Naprzód do kościoła farnego Nowego Sądcza oddaję zł. 400, a drugie 400 oddaję do Przemienienia albo Oblicza Pańskiego u OO. Franciszkanów konwentu Nowego Sądcza. Złotych 100 na msze św. za duszę moją jako najprędzej proszę przez miłosierdzie Boże, aby oddane były. Dziewczynie tej, która mi za żywota służyła, oddaję zł. 60. Pana córce Kunegundzie oddaję łańcuchów sześć drobnych, które są przy Jegomości panu Piotrze. Różę rubinową, która też jest u Jegomości pana Piotra, oddaję na monstrancyę do fary w Nowym Sądczu, gdyż ta wola była nieboszczki matki a dobrodziejki mojej. Tedy ja proszę Ichmościów panów braci moich, aby ją oddali. Tam też do tego kościoła farnego oddaję na obraz Najśw. Panny Różańcowej perły z krzyżykiem dyamentowym i z sześcią sztuczek rubinowych. Ostatek klejnotów puszczam na dyspozycyę i podział Ichmościów panów braci. Temuż dziewczęciu, któremum oddała i naznaczyła 60 zł., oddaję spodnicę atłasową zieloną i drugą szajową [2]) starą. Tego księdza, który ten testament pisał i Pana Boga za mnie prosi i prosić się obliguje, puszczam na dyspozycyę panów

[1]) Act. Castr. Inscr. T. 67. p. 797.
[2]) Szaja, saja — materya włoska cienka, lekka.

braci, których proszę, aby go kontentowali. Czynię tedy egzekutorem tego testamentu i woli ostatniej mojej: Jegomościa Pana Stefana Lubowieckiego, podstarościego lubowelskiego, przy Ichmościach panach braci.

Działo się na zamku w Lubowli 13. maja R. P. 1658. Jadwiga Wielogłowska, w przytomności Stefana Lubowieckiego, Stefana Wielogłowskiego i Kaspra Smieszkowicza Minoryty [1]).

Po Franciszkanach sandeckich żadna zgoła nie przechowała się kronika — snadź zgorzała w czasie ostatniego pożaru ich klasztoru 1769 r., kiedy to „w samym klasztorze wypaliły się drzwi z odrzwiami, książki zaś, obrazy, habity, pościel i bielizna w celach zakonnych w perzynę obrócone zostały [2])“, więc też bliższych szczegółów o nich niewiele podać możemy. Jest pewnem i dokumentami stwierdzonem, że Franciszkanie na dobre siedzieli w Nowym Sączu już na początku XIV. wieku, kiedy Anna, ksieni starosandecka, apeluje do papieża Klemensa V. w sprawie klątwy, rzuconej przez Baldwina, opata cysterskiego z Rudy, na proboszcza Wawrzyńca w Łącku, który swe beneficium prawnie otrzymał z nadania starosandeckich Klarysek. Odczytano tę apellacyę w kościele farnym Starego Sącza, u Minorytów i Sióstr Klarysek tamże w ich kościołach, jako też u Braci tegoż zakonu w Kamienicy (w Nowym Sączu) dnia 5. grudnia 1310 r.[3]).

Jeżeli na zebrania kapituł franciszkańskich wybierano taką miejscowość, w której znalazły się dostateczne budowle, to klasztor nowosandecki wcześnie musiał mieć obszerne lokalności, skoro podług ks. Kazimierza Biernackiego odbyła się tu kapituła już w r. 1318, na którą, oprócz Ojców z prowincyi polskiej, przybyli wizytatorowie z Węgier i Siedmiogrodu: Tomasz i Elaw. Obrano na niej prowincyałem czesko-polskim [4]): Marcina z Bolesławia, Czecha, w obecności wymienionych wizytatorów [5]).

---

[1]) Ingrossatio testamenti generosae olim Hedvigis Wielogłowska. Acta colleg. sandec. saec. XVII.

[2]) Zob. Hist. Now. Sącza t. I. str. 189.

[3]) Lecta est hec apellacio nonis decembris in Sandecz in parochia, et ibidem apud fratres Minores et sorores in ipsarum ecclesia, item apud fratres eiusdem ordinis in Camenicia an. 1310. Kod. dypl. małop. T. II. p. 220.

[4]) Od XIII. w. Franciszkanie czescy i polscy stanowili wspólną prowincyę: czesko-polską. W r. 1517 utworzono odrębną prowincyę polską, która w r. 1625 została podzieloną na rusko-litewską i polską.

[5]) Biernacki: Speculum Minorum. Cracoviae 1688, p. 245.

W lat dziesięć potem cały zakon podlegał nieporządkom, które widocznie oddziałały i na prowincyę polską. Jenerał zakonu, Michał Caesenas, razem z głównym przywódcą nominalistów, Wilhelmem Occamem [1]), bronił uporczywie zdania, jakoby Chrystus Pan i Apostołowie nie posiadali żadnej własności, i opierał się rozporządzeniom papieża Jana XXII., od którego został obłożony cenzurami kościelnemi i z godności złożony; miejsce zaś jego zajął Franciszkanin: kardynał Bertrand de Turre, biskup tuskulański, jako administrator całego zakonu z woli papieża postanowiony. Ten wezwał zakonników na kapitułę do Paryża w celu wyboru nowego jenerała, na którą zbierać się znowu zabronił Caesenas. Franciszkanie czesko-polskiej prowincyi, na wspólnej kapitule odbytej w Sączu 1328 r., obrali komisarzami: Wojciecha, gwardyana praskiego, i Bogusza, kustosza krakowskiego, polecając im, aby na kapitułę do Paryża podążyli i przyłączyli się do większości głosujących. Komisarze, przybywszy do Kolonii, dowiedzieli się i przekonali, że wszystkie prowincye słuchają raczej głosu papieża, niż złożonego jenerała, udali się do Paryża [2]). Od tego czasu nie było już kapituły jeneralnej w Nowym Sączu dopiero w r. 1642, na której obranym został prowincyałem O. Franciszek Marcinkowski, mąż wielce zasłużony, zmarły „*in odore sanctitatis*“ w Krakowie 1675 r.[3]).

Po pierwszym rozbiorze Polski i przyłączeniu Galicyi do Austryi, nastały dla Franciszkanów nowosandeckich nader przykre i upokarzające chwile. Rząd rozciągnął ścisłą kontrolę nad klasztorem i członkami jego. Sypały się raz po raz, jak z rogu obfitości, urzędowe rozporządzenia, nakazy, upomnienia, indagacye i urgensy jedne po drugich. Oto treść tych dokumentów:

1) Director Primarius Powiatu Sandeckiego (Franciszek Tschirsch von Siegstetten) zapytuje w r. 1777 konwent, dlaczego nie doniósł i nie odpowiedział w 14 dniach na rozporządzenie cesarskie — czy nie ma apteki, nawet prywatnej klasztornej? — jak się aptekarz nazywa? — i jakie ma świadectwa do tego zawodu?

2) Nowosandecki Dyrektor Dystrykcyonalny dnia 9. sierpnia 1779 r. zawiadamia konwent i podaje do wiadomości rozporządzenie cesarskie, dotyczące liczby osób w klasztorze, i żąda spisania osób zamieszkujących klasztor.

---

[1]) Wilh. Okkam, minoryta, główny przedstawiciel nominalizmu w XIV. w., uczeń Dunsa Skota. Bliższe szczegóły o nim zob. Nowodworski: Encyklop. Kościelna, t. 17, str. 213—217.

[2]) Speculum Minorum, p. 247—248.

[3]) Speculum Minorum, p. 286.

3) C. R. Director Districtus Sandecensis upomina konwent, by ściśle przestrzegał wykonanie rozporządzenia cesarskiego z dn. 20. maja 1781 r., dotyczącego ścisłego oznaczenia liczby osób, które mogą być przyjęte do klasztoru, czy to męskiego czy żeńskiego.

4) Zawiadomienie Powiatu Sandeckiego z dnia 28. maja 1781 r., by według rozporządzenia cesarskiego żaden przełożony konwentu, czy to męskiego czy żeńskiego, nie śmiał wydalić się poza granicę państwa, a nawet na kapitułę: w razie nieposłuszeństwa grozi konwentowi wielką karą. Następnie, by żaden konwent nie śmiał, bez zezwolenia cesarskiego gubernium, zamieniać dóbr ziemskich klasztornych na inne lub sprzedawać, darować etc.

5) Wezwanie Dystryktu Nowosandeckiego z 18. czerwca 1782 r., by według rozporządzenia cesarskiego podano dokładny spis skarbu kościoła, a powtóre nie wolno zakonnikom używać directorium i rubrycel, bez pozwolenia Wysokiego Gubernium.

6) C. K. Oficyum Cyrkularne Nowosandeckie z dnia 7. marca 1783 r. zawiadamia konwent co do alienacyi dóbr fundowanych w królestwie polskiem, by takowe zamieniano i ulokowano w Galicyi, również by zapisane były w c. k. urzędzie cyrkularnym.

7) Urząd w Tarnowie dnia 16. września 1783 r. żąda odpowiedzi od komisarza OO. Franciszkanów na doręczony mu nakaz Wysokiego Gubernium, by zbiegów zakonników z zakordonu nie przyjmował [1]).

Z tych dokumentów pokazuje się jasno, że Rząd szukał pilnie jakiegoś pozoru czy powodu kasaty klasztoru — i znalazł go wreszcie. Wrzekomym powodem było następujące zdarzenie:

Wojciech Wojsowicz, kościelny, skradł z kościoła franciszkańskiego 25. maja 1785 r. różne kosztowności, jako to: pozłacaną monstrancyę, srebrną puszkę do przechowywania Najśw. Sakramentu, srebrne klamry od kapy, srebrne klamerki wraz z figurkami od mszału, dwa srebrne pozłacane promienie z monstrancyi, srebra z ołtarza św. Antoniego, i dwa cynowe lichtarze. Niektóre z tych kosztowności zaniósł Wojsowicz na sprzedaż do żyda złotnika, Majera Israela, inne zaś zastawił u Jakóba Zelika, żydowskiego szkolnika, pod tym pozorem, że chce zato kupić do kościoła światła i lampek szklanych, bo mu księża nie dają potrzebnych pieniędzy na światło. Majer Israel zatrzymał wprawdzie srebra u siebie, a tymczasem dał znać o tem do magistratu.

---

[1]) Odnośne akta znajdują się w archiwum OO. Franciszkanów we Lwowie.

Uwiadomione o tem wypadku Gubernium lwowskie, zażądało natychmiast stosownego w tej sprawie wyjaśnienia od starosty sandeckiego, Franciszka Tschirsch von Siegstetten — od dziekana kollegiaty, ks. Wojciecha Mrozińskiego — i od burmistrza, Jana Tokarskiego. Ci zaś, zbadawszy rzecz całą, jednozgodnie odpowiedzieli:

*A)* Że w klasztorze franciszkańskim przebywa stale zaledwie dwóch lub trzech najwięcej księży, pomiędzy którymi ani karności, ani zgody, ani porządku nie masz. *„unter welchen weder Zucht, noch Einigkeit und Ordnung herrscht“.*

*B)* Że budynek klasztorny nie nadaje się do żadnego parafialnego użytku.

*C)* Że ksiądz gwardyan jest niedbałym w strzeżeniu kościelnych rzeczy.

*D)* Że zatem z tych powodów należy zakonników przenieść do Starego Sącza albo do jakiegoś innego klasztoru.

Na podstawie tego orzeczenia kazał Rząd w czerwcu 1785 r. przeprowadzić dokładne śledztwo i spisanie protokołu. W sierpniu tegoż roku, z polecenia ks. Jana Duvala, tarnowskiego biskupa-nominata, przeniesiono do Starego Sącza pozostałych zakonników: O. Antoniego Tomickiego, gwardyana — O. Joachima Michalskiego, prokuratora — i O. Dzięciołowskiego — tudzież dwóch braciszków: Ottona Braunera, zakrystyana, i Bonawenturę Gnutkiewicza, szafarza — klasztor zaś zamknięto [1]). Kapitały skasowanych Franciszkanów w Nowym Sączu, lokowane na różnych dobrach ziemskich od 1610—1774, wynosiły ogółem 14.986 flor. 30 kr.[2]). Rząd skonfiskował te kapitały, z ich zaś odsetek utrzymywał zakonników, przeniesionych do Starego Sącza, aż do zniesienia ich klasztoru tamże w r. 1815.

Tym sposobem zniesiono ów zakon, który od XIII. wieku strzegł w Nowym Sączu cudownego obrazu Przemienienia Pańskiego — pracował gorliwie wpośród grubego i nieokrzesanego podgórskiego ludu — a zarazem podzielał przez pięć wieków dolę i niedolę podkarpackiego grodu!

---

[1]) Der Bericht aus welchen Ursachen die Dissolvirung des Neu Sandecer Minoriten Klosters veranlasst worden. (Z aktów rządowych).

[2]) Specification sämmtlicher, dem Neu Sandecer Minoritenkloster gehörigen Capitalien, wovon die jährliche Hauptgenuss dem bestehenden Altsandecer Minoritenkloster zugeflossen hat. (Z teki Antoniego Schneidra w zbiorach Akad. Umiejęt. w Krakowie).

Wspomniana pofranciszkańska kaplica Przemienienia Pańskiego, w czystym stylu renesansowym z piękną rotundą w środku, została wystawiona przez Konstantego Lubomirskiego, hr. na Wiśniczu i Jarosławiu, podczaszego wielkiego koronnego i starostę grodowego sandeckiego, a jak powiedziano wyżej od początku XIX. stulecia służy za zbór ewangelicki [1]). Powodem tej fundacyi było następujące zdarzenie. W r. 1654 wymieniony starosta złożony był ciężką niemocą, w której nie obiecywano mu zdrowia. Z porady ks. Bernarda Ilmanowskiego, Franciszkanina, kapelana swego, ofiarował się do obrazu Przemienienia Pańskiego, i natychmiast w lektyce dworzanom swoim zanieść się kazał. Stanąwszy we drzwiach franciszkańskiej kaplicy, ślub Panu Bogu uczynił, że jeżeli go do pierwszego zdrowia przywrócić raczy, wystawi nową, wspanialszą i obszerniejszą kaplicę, ku Jego większej czci i chwale. Po uczynionym ślubie sam się nagle z lektyki porwał, wstał i bez cudzej pomocy chodzić począł. Wojny szwedzkie, przez lat kilka trwające, nie dozwoliły mu jednak na razie dopełnić przyrzeczonego ślubu. Dopiero po jego śmierci († 1663) pozostała małżonka [2]), czyniąc zadość ślubowi męża swojego, wielkim nakładem kaplicę z fundamentów wymurować kazała [3]). W r. 1850 znajdowała się jeszcze wmurowana w ścianie tej kaplicy ozdobna tarcza karteluszowa, wykuta w kamieniu, z herbem Śreniawa i napisem: *C. L. P. R. C. S. (Constantinus Lubomirski Pocillator Regni Capitaneus Sandecensis). Ad laudem et gloriam miraculosissimae faciei Jesu*

[1]) Koloniści niemieccy ewangelickiego wyznania, których sprowadził cesarz Józef II. dla podniesienia kultury rolnej wśród polskiego ludu do Galicyi, po roku 1786 sporadycznie osiedli w Sandeckiem, a już z początkiem XIX. wieku wzrośli w trójnasób. Samuel Bredetzky, superintendent lwowski, zwiedzając w r. 1808 swych współwyznawców w tych stronach, podał o nich dokładne statystyczne cyfry. Podług jego opisu w 34 miejscowościach mieszkało wtedy 182 rodzin i 1.073 dusz. Najliczniejsze osady były: w Stadłach 92, Chełmcu 79, Biczycach 77, Gołkowicach 72, Strzeszycach 65, Podrzeczu 55, Nowym Sączu na Grodzkiem 51, Dąbrówce 48, Zbikowicach 39, Biegonicach 38, Zawadzie 37, Gaju 34, Gaboniu 34, Olszance 33, Swirkli 29, Starejwsi pod Tęgoborzą 22 dusz. Zbory ewangelickie mieli, podobnie jak dzisiaj, w Nowym Sączu i Stadłach. (Reisebemerkungen über Ungarn und Galizien, II. B. 248—254. Wien 1809).

[2]) Barbara Domicela ze Szczawińskich, wojewodzianka brzeskokujawska, 1° voto Constan. Lubomirski, capit. sandec., 2° voto Nicolai a Grudno Grudziński, capit. grybov. golubov. consors.

[3]) Sikorski: Zbiór histor. i cudów obrazu Przemien. Pańskiego.

*Christi erectum MDCLXXII.* Dziś już nie widać tej tarczy herbowej, znalazłem jednak jej rysunek z powyższym napisem w bibl. Baworowskich we Lwowie.

Wnętrze tej kaplicy okrywają gipsatury w guście włoskim. Ciosowy kamień, użyty do tej budowy, pochodzi z łomów poblizkich Nowego Sącza: w Kunowie i Jamnicy. W ścianie frontowej wschodniej od strony ulicy widoczne są ślady trzech okien wspaniałych od dawna całkiem zamurowanych, dlatego ściana ta bez najmniejszej architektonicznej ozdoby monotonne i smutne sprawia wrażenie. Przed 40 laty wybito w niej drzwi wchodowe, które przedtem były od strony północnej z dawnego kościoła, jednak wcale nieodpowiedniego kształtu do stylu i całej struktury kaplicy. W r. 1891 upiększono znacznym kosztem wejście do zboru balustradą z kutego żelaza, z filarami z kamienia ciosowego na głębokich fundamentach, w nadziei postawienia kiedyś na nich pięknej i stosownej fasady i powiększenia w tę stronę całego zboru.

W przyległych budynkach, pozostałych z dawnego klasztoru, z wysoką wieżą odbudowaną w r. 1864, znajduje się 4-klasowa szkoła ludowa ewangelicka, w której nauka odbywa się w języku niemieckim, oraz mieszkanie pastora i dwóch nauczycieli. Nad bramą, wiodącą z ulicy do dawnego ogrodu klasztornego, widniał jeszcze w r. 1849 w kamieniu wykuty napis: „*Erecta anno 1672 P. R. C. S.*, tudzież herby: Drużyna i Prawdzic".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

# POSTĘPY W ASTRONOMII I FIZYCE

## OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW

### AŻ DO KOŃCA XIX. STULECIA.

(Szkic historyczno-naukowy).

(Ciąg dalszy).

### III.

Wskutek znanego z Historyi powszechnej i Etnologii ogólnej biegu dziejów rodu ludzkiego na całej wówczas znanej powierzchni ziemi przez 5.000 lat ostatnich w Starożytności i średnich wiekach około 130 generacyi przesunęło się na arenie życia, zanim nastały pod względem kultury umysłowej dwa bardzo ciekawe stulecia ery chrześciańskiej, mianowicie wiek XV. i XVI. Przez ten czas bardzo długi, różne ludy z rozmaitych stron świata w najrozmaitsze stosunki obrotowe przechodziły ze sobą — tu błogie, tam srogie — a zostając w nich dłużej, powoli się coraz więcej nawzajem cywilizowały. To też w XV. i XVI. w. rozmaite mrzonki chłopięce i najdziwaczniejsze poglądy na świat wielki i sprawy życiowe człowieka, (na jego uczucia i potrzeby, na religijne usposobienia i fikcyjne w onych dalekich czasach dążenia niby naukowe), zapełniały puste jeszcze mózgi nie tylko szerokich warstw tłumu i gawiedzi w każdym narodzie, ale także umysły władców tego świata i całej śmietanki społeczeństwa, a nawet najdojrzalsze głowy ówczesnych erudytów, w sile męzkiego wieku będących... Samych wielkich religii historycznych, mających bogate skarby św. ksiąg, znano już w tych dwóch stuleciach ośm, mianowicie:

1) Religię wedyjską, starszą i młodszą.
2) Buddaizm, północny, południowy i Gajnizm.

3) Zoroastryzm, czyli naukę Zend-Avesta-Zarathrusty.

4) Naukę Konfucyusza.

5) Tâoizm, czyli naukę Laotzego.

6) Judaizm, czyli religię hebrajską.

7) Chrześciaństwo, czyli religię Jezusa Chrystusa i

8) Mahometanizm, czyli różne religie mahometańskie.

Oprócz tych religij, książkowemi także indywidualnemi zwanych, jest jeszcze bardzo wiele innych bezksiążkowych, noszących nazwę narodowych *(National-Religionen)* dla odróżnienia ich od tamtych ośmiu wielkich... Są to same stare religie Brahmanów, Greków, Rzymian, Germanów, Słowian, Celtów... nareszcie bardzo wielu dzikich ludów, szczepów i rodów, których nauki głównie na tradycyach i zwyczajach się opierają... i teraz zwykle mytologiami zowią... Właściwie niema ani jednej religii indywidualnej w tem znaczeniu, iżby ona od jednego tylko założyciela pochodzić miała, czyli co to samo znaczy, przez jednego mistrza była utworzoną.

Religia, równie jak mowa, wszędzie jest rezultatem historycznego rozwoju i całkiem nową wymyślić religię, którąby się przyjęła i rozpowszechniła, jest rzeczą tak trudną, jak całkiem nową mowę ułożyć. Na dowód tego twierdzenia przypominam losy „Volapuku", „Ikaryi i Freilandu"... Twórcy wspomnianych 8 religii historycznych nie byli nigdy pisarzami ich ksiąg świętych.

Wyznawcy tych religii, liczbę 1000 znacznie przechodzących, wskutek rozlicznych najazdów i zawojowywań jednych ludów i szczepów przez drugie silniejsze, a potem ich wspólnej koexystencyi na zajętym do bytu wygodniejszym gruncie (co w ciągu bardzo wielu stuleci nieraz się powtarzało), nareszcie przy spokojniejszem obcowaniu ze sobą w późniejszych czasach dla potrzebnych każdemu narodowi stosunków handlowo-obrotowych, przyswajali sobie powoli nawzajem przeróżne myśli i wyobrażenia i przejmowali się najdziwaczniejszymi, nieraz wręcz przeciwnemi poglądami i pojęciami, z czego wyrobiły się znowu najrozmaitsze gmatwaniny późniejszych wyobrażeń tak w religijnym jak i naukowym kierunku. Były to marne zabytki w spuściźnie po cywilizacyi, otrzymanej od starożytnych szczepów indo-germańskich, semickich, dawnych mieszkańców Eranu (Akkadów i Sumerów), praszczurów późniejszych Persów z czasów Daryusza, Artakserxesa, tudzież mieszkańców Babilonu, Indyi wschodnich i Egiptu z czasów przed-

aleksandryjskich... Po śmierci Aleksandra W., gdy się jego uniwersalna monarchia rozpadła na mniejsze państwa i państewka, w Egipcie Aleksandrya stała się ogniskiem ruchliwego życia naukowego pod rządami Ptolomeuszów i odtąd dwa prądy starożytnej kultury szły ze Wschodu na Zachód, jeden przez Azyę wprost do Europy, a drugi z południowego wschodu przez Grecyę i północną Afrykę coraz dalej na Zachód, do Włoch, Francyi, Niemiec i dalej na Północ do Skandynawii i Anglii, a przez morze do Hiszpanii. Wszędzie też w tych krajach szerzyły się i rozchodziły na wszystkie strony t. z. tajne nauki kapłańskich Magów i kuglarskie sztuczki różnych szarlatanów, popisujących się za pieniądze przed ciekawą zawsze publicznością tłumów, tudzież alchemików, przemieniających tanie kruszce w powabne złoto i drogie kamienie, wyrabiających elixyry zdrowia i długiego życia, krople i pigułki na różne choroby, napoje miłości dla odmłodzenia starców i smarowideł na piękność i powabność.... nareszcie wróżbitów i czarnoksiężników różnego rodzaju, tłumaczących sny i przepowiadających przyszłe losy nie tylko pojedynczym osobom z różnych znaków na dłoni i na ciele ludzkim, tudzież z lotu ptaków w różnych porach dnia... ale także różne przyszłe wydarzenia jak epidemie, głody, wojny, zalewy wodne i posuchy a nawet trzęsienia ziemi, upadek różnych dynastyj, wypadki śmierci wielkich ludzi i t. d., wszystko to głównie na podstawach Astrologii, która za najwyższą naukę ludzką była uważana, stała na równi ze scholastyką Aristotelesa i w takim samem prawie była poszanowaniu, jak pisma św. teologii... Astronomia w dzisiejszem zrozumieniu, była w XV. i XVI. stuleciu tylko służebnicą do celów Astrologii. Autorami dzieł astrologicznych nie byli ludzie nieznajomi, obskurne duchy, popisujące się w nich erudycyą swoją, lecz przeciwnie najwybitniejsi ówcześni uczeni... Tak n. p. w Skandynawii żadne nazwisko XVI. stulecia ani mierzyć się nie może z Tychonem de Brahe, najwyższym zastępcą ścisłej wiedzy, tudzież z wielkim zarządcą kraju, uczonym Namiestnikiem Szlezwigu i Holsztynu, Henrykiem Rantzauem, mężem stanu pierwszorzędnym i przedstawicielem śmietanki całego społeczeństwa. A obaj byli najzagorzalszymi wyznawcami astrologicznego wróżbiarstwa. Tycho de Brahe poświęcał jemu prawie cały swój wolny czas z pełną aż do najmniejszych drobnostek w praktyce posuniętą dewocyą, jak gdyby cała jego umiejętna karyera na postępach sztuki wróżenia polegać miała, Rantzau zaś wydał dwa bardzo cenne dzieła o Astrologii, mianowicie jedno, przedsta-

wiające historyczny obraz jej dotychczasowego rozszerzenia, a drugie, wykazujące w obszernym wykładzie rozwinięcie teoryi sztuki tego wróżenia, — na 384 stronicach druku. Prócz tego jako mądry i dbały ojciec kazał dla wszystkich swoich dzieci sporządzić ich horoskopy i sam je powpisywał do osobnej księgi familijnej, która się dotychczas przechowała jako „manuskrypt“ pod napisem: *Thottsche Handschriftensammlung Nr. 287.* w wielkiej król. bibliotece w Kopenhadze. Sądząc po oprawie i starannem przechowaniu musiała ta książka, jako cenny drogoskaz niebios dla tej rodziny, w osobliwszem być poszanowaniu... W podobnej drugiej książce spisywał on także horoskopy sławnych ludzi spółczesnych, o których się dowiedział. (Obacz Nr. 248. fol. w tej samej bibliotece).

Z pomiędzy uczonych niemieckich, którzy pielęgnowali Astrologię, wymieniam sławnego Melanchtona i Keplera. Pierszy miewał prelekcye o tej nauce na Wszechnicy w Wittenberdze, Kepler zaś spisywał w kalendarzach swoich przepowiednie atmosferyczne i proroctwa historyczne według wskazówek gwiazd i do końca życia swego układał horoskopy dla swoich przyjaciół i znajomych; jeden z ostatnich dla Wallensteina. Takie prelekcye nie były żadną osobliwością Wittenbergi. Na wszechnicach w Bologni i Padwie były osobne katedry dla Astrologii systemizowane. Jak w Niemczech i w Skandynawii, istniały także we Francyi, Anglii i w innych miastach Włoch takie same katedry. Nawet Bakon Werulamski, ten wielki herold nowoczesnej metody badania natury, nie oświadczył się w r. 1623 wprost przeciw Astrologii jako zboczeniu z drogi prawidłowego myślenia, lecz żądał tylko jej zreformowania: mianowicie zwalczał dowolny sposób obliczania skutków przez planety wyrządzanych, według pojedynczych dni w tygodniu i godzin w ciągu dnia, do onego czasu w użyciu będący, nie zaprzeczał jednak możliwości, że wielkie wydarzenia na ziemi, jak potopy, bitwy, rewolucye, dżumy (morowe powietrze i rozległe epidemie), śmierć królów, wędrówki ludów, stoją w związku z gwiazdami na niebie i może dałyby się naprzód przepowiedzieć i obliczyć... Monarchowie ówcześni chętnie popierali takie przepowiadania we własnym interesie, jak Karol V. i cesarz Rudolf II., który na swój dwór ściągał zawołanych wróżbitów. W Danii król Fryderyk II. był szczodrym mecenasem Tychona de Brahe. Jego to darem i munificencyą wspaniałe obserwatoryum Uranienborg na wysepce Hveen w Sundzie powstało. Tu też astronom Brahe wypracował dla tego króla

z wdzięczności za tak hojny dar trzy najlepsze horoskopy dla 3 synów królewskich, którzy dopiero później na świat przyszli. Danina była darowi odpowiednia, najznaczniejsza, na jaką zdobyć się mógł astrolog. Każdy horoskop po mistrzowsku ułożony i na podstawie rozległych obliczeń mozolnych z niesłychaną pilnością do końca szczęśliwie został przeprowadzony.

Aksiomem niezawodnym i za niezbity uznanym przez astrologów, było następujące wnioskowanie: „Jeśli planety w biegu swoim dokoła słońca wywołują wszelkie ruchy w całym świecie „czterech żywiołów“, z których się on składa, to można wszystko, co się dzieje i dziać będzie na ziemi, z tego biegu planet w ich sferach niebieskich wyczytać, skoro się czytać umie znaki na niebie w ósmym rejonie gwiazd, na sklepieniu nieba rozsianych — co właśnie jest przywilejem i obowiązkiem astronomów jako znawców nieba i astronomii... Wróżenie z gwiazd w Europie nie pochodziło wprost ze starego Babilonu, lecz było młodszą egipską spuścizną...

Za najsmutniejszą i dla uczuć etycznej duszy najboleśniejszą skazę aberacyi umysłu ludzkiego w XV. i XVI. stuleciu uznać i głosić należy potworne czarnoksięztwo cudotwórcze, przez hierarchię katolickiego Kościoła bez miłosierdzia tępione, tudzież ślepą wiarę w Angromajniusa od starych Persów z Azyi do Europy zawleczoną i także w całym Egipcie znaną, i jego gospodarkę z czarownicami, które (jak powszechnie mniemano) wylatywały na łopatach i miotłach kominami w powietrze z dyabłami na nocne biesiady i sprośne hulanki w samotne, od własnego domu odległe ustronia. To nie mogło dla nikogo być rzeczą obojętną, a najmniej dla hierarchii kościelnej, która pod swemi rozkazami miała w różnych krajach gorliwą Inkwizycyę, a ta tępiła zbrodnicze czyny wszystkich winnych do chwili ich przyznania się torturami, a potem zazwyczaj śmiercią na płonącym stosie. Kroniki ówczesne takiemi wyrokami są przepełnione.

Aleksandrya w Egipcie była wtedy ogniskiem wszystkich głównych myśli czasu, które stąd rozchodziły się dalej i na przygotowanym do przyjęcia głupstw różnego rodzaju gruncie z łatwością się przyjmowały, i dalej prosperowały. (Obacz mój traktat o tem na innem miejscu).

Dopiero z początkiem XVII. stulecia po Nar. Chr. Pana nastała dla nauk przyrodoznawczych nowa era od czasu pojawienia się prac naukowych i odkryć Galileusza i Keplera, którego meto-

dę badania natury polecał usilnie i rozpowszechniać starał się Bakon werulamski w swojem wiekopomnem dziele: „Novum Organon“, z trafnie na niem umieszczonem godłem: „W pocie czoła chleb twój spożywać będziesz“. Lord ten uczony, około położenia fundamentów pod gmach wiedzy doświadczalnej, miał wielką zasługę przez to, że pierwszy objaśnił filozoficzne pojęcia o prawodawstwie natury, będącem podstawą umiejętności indukcyjnych, i usiłował pogodzić te pojęcia z wymogami nowszej fizyki, a przytem sprostował błędne twierdzenia Aristotelesa, dotyczące tego przedmiotu. Zabierał się on także do zreformowania filozofii tego wielkiego mędrca starożytności, lecz było to dla niego już za późno, kiedy ją Galileusz i Kepler całkiem byli porzucili... Starania jego były też i dlatego daremne, ponieważ jeszcze w XV. stuleciu Leonardo da Vinci, ten sam, którego szersza publiczność zna tylko ze strony sztuki jako wielkiego mistrza-malarza, urodzony na 112 lat przed Galileuszem, naszkicowawszy jasno ogólną metodę nabywania rzetelnej i prawdziwej wiedzy w rzeczach, dotyczących przyrody, zadał głęboki cios fizyce Aristotelesa. Uznając konieczność obserwacyi i experimentu, a tem samem wartość indukcyi, znał on też dobrze prawdziwe znaczenie dedukcyi, która należycie użyta prowadzi do świetnych zdobyczy (rezultatów), gdyż łączy ze sobą prawdy, na drodze doświadczenia poznane, i przez następne porównywanie wyników takiego połączenia z danemi (datami) przyrody — okazuje z wszelką pewnością, czy droga do wnioskowania obrana jest prawdziwą, czy nie. Co on o stosunku doświadczenia do spekulacyi wypowiedział, było na owe czasy nad podziw jenialnie pomyślane i poniekąd dobitniej wypowiedziane, niż to późniejsi filozofowie w obszernych swoich pismach (monografiach) uczynić zdołali a między nimi i lord Bakon, nie znający sam ani wartości przyrodniczych narzędzi (fizycznych, chemicznych i astronomicznych), ani też właściwego znaczenia matematyki w zastosowaniu do nauk przyrodnich, co wszystko dwa wieki naprzód przewidział jasno geniusz Leonarda, który w jednem miejscu pism swoich tak się wyraża: Mechanika jest rajem nauk matematycznych, bo w niej łatwo dostać się można do owocu matematycznej wiedzy.

Już na samej tej metodzie badania natury jasno i niedwuznacznie widać odwieczną prawdę, w dziejach rozwoju ducha ludzkiego w licznych i wielokrotnych przykładach poznaną, że każda wielka myśl nie naraz powstała i zaraz wyrosła w potężne

drzewo, tudzież żadna nauka, choćby najprzystępniejsza i w dobroczynne skutki najbardziej obfitująca, nie odrazu wyszła z głowy jednego tylko choćby najgłębszego i najgenialszego myśliciela całkiem już obrobiona do korzystnego pobierania przez mniej wprawnych prostaczków i pod każdym względem sama doskonała, jak Minerwa z głowy Jowisza wyskoczywszy, lecz częstokroć poprzedzały ją pierwej błyski i usiłowania, które zazwyczaj szły naprzód w zapomnienie i dopiero po czasie i nowych usiłowaniach późniejszego myśliciela wydobyte z pyłu tego zapomnienia lub na nowo geniuszem jego odtworzone, zajaśniały w pomyślniejszych okolicznościach światłem już więcej nie gasnącem, bo podsycanem i wzmacnianem świeżemi myślami innych potężnych myślicieli następnych. Zawsze więcej myślicieli, jeden obok drugiego, lub jeden po drugim w różnych czasem nawet bardzo od siebie dalekich epokach czasu musiało powoli i z wielką nieraz mozołą przez własne błędy i cudze złudzenia, tudzież przez próżność niedouczonych i różne inne namiętności gapiów docierać z wytrwałością do poznania najprzód prawd częściowych, poszczególnych, zanim któryś z nich w skutek swego szczęśliwszego ustroju myślowego wiedziony genialnemi pomysłami i domysłami swymi lub obcymi, a czasem tylko przypadkową intuicyą własną na nową myśl naprowadzony, nie dostał się nareszcie do sedna pewnej i niezawodnej wiedzy i nie ułożył dla jej zjawisk odpowiedniejszej teoryi.

Taki los miała nauka o rocznym biegu ziemi dokoła słońca. Już greccy filozofowie na 2000 lat przed Kopernikiem uznawali za rzecz do prawdy niepodobną, ażeby gwiazdziste niebo wraz ze słońcem obracało się dokoła ziemi i uważali obieg jej koło słońca za podstawę swoich rozumowań o ruchach ciał niebieskich niewątpliwą. Ale nauka ta za życia głównego heliocentrysty Aristarcha nie wiele miała adeptów gorliwych wyżej uzdolnionych, a po śmierci jego poszła w zapomnienie tak dalece, iż wprost przeciwne zdanie wzięło górę i sztuczny, daleko trudniejszy system Ptolomeusza, ponieważ dla zmysłu widzenia (wzroku naszego) był przystępniejszy, wyrobił sobie powoli powszechne uznanie i aż do czasów obserwacyj Tychona de Brahe, a nawet poza te czasy jeszcze utrzymywać się potrafił, pomimo, że Aristarch wyraźnie i niedwuznacznie uczył, że ziemia krąży dokoła słońca i ta nauka jego w księgach literatury greckiej zapisana w III. stuleciu przed erą chrz. (na 279 lat przed Chrystusem) — bardzo przystępnie do pojęcia ówczesnych głów była wyłożona; Kopernik zaś swoje naukowe twierdzenia o tej rzeczy w dziele swo-

jem: „*De revolutionibus orbium coelestium*“ Norimbergae 1543 wszędzie należycie umotywował, i je razem zebrane nie w formie hypotezy, lecz od razu jako pewniki naukowe z spostrzeżeń i geometrycznych konstrukcyi wydobyte, podał śmiało na piśmie do wiadomości. Rękopis tego dzieła trzymał jednak przez 30 kilka lat w biórku pod kluczem (nie chcąc się narażać na bezcelowe polemiki z niedorosłymi mu naukowo zoilami i na różne przykrości z wyższemi władzami) i dopiero czując starość i bliską śmierć, powierzył go swoim dwom bliskim przyjaciołom, Rhetikusowi i Osiandrowi, z poleceniem oddania do druku. Ci zaś, wielce ostrożni, z obawy możliwego prześladowania ze strony władzy, umieścili w przedmowie samowolny dodatek, że cała ta nauka jest tylko hypotezą, mającą bardzo wysoki stopień prawdopodobieństwa...

W klasycznem tem dziele swojem popełnił jednak Kopernik obok mniejszych pomyłek i niedokładności, dwa grube błędy: jeden, że kazał ziemi i wszystkim planetom odbywać drogi po liniach kolistych trybem wielce powikłanym, a nie (jak jest w rzeczywistości) po obwodach ellips, powstających z przecięcia prosto ustawionego stożka płaszczyzną należycie poprowadzoną, chociaż nauka ta od czasów Apolloniusza z Pergi (na 200 lat przed Chryst.) była już w świecie naukowym powszechnie znana i dotycząca książka *(de sectionibus conicis)* znachodziła się po bibliotekach włoskich, — a drugi, że przyjął słońce za ciało niebieskie, które ciągle w jednym punkcie przestrzeni światowej spoczywa, podczas gdy ono (jak dziś wiemy) nie tylko kręci się około swej osi (rotuje), lecz także bieg postępowy w tej przestrzeni i to z pokaźną chyżością około 30 kilometrów na sekundę czasu nieustannie odbywa... Mniejszych zaś pomyłek i niedokładności jest w niem też nie mało. Z tych tu tylko dwie wymienię, mianowicie *a)* że słońce (według twierdzenia dawnych astronomów i filozofów w starożytności i w średnich wiekach) żadnych plam nie ma na swej tarczy, a tymczasem znamy ich nie mało[1]): niektóre z nich są nawet bardzo rozległe, *b)* że księżyc ma gładką powierzchnię, a w dzisiejszych teleskopach widzimy na nim góry i doły...

Nie wspominam tu wszakże o tem dla pomniejszenia sławy naszego ziomka i uchybienia czci jego w czemkolwiekbądź, — którego Niemcy chcą nam dziś i tak zeskamotować (zabrać dla

[1]) Ob. Urbański. Pisma pomniejsze razem zebrane, art. Natura i odległość słońca. Lwów, 1869.

siebie) – lecz robię to dla rzetelnego naszkicowania historycznego obrazu, jak astronomia stopniowo się rozwijała wśród postępów w innych naukach i w przemyśle sporządzania instrumentów astronomicznych, teleskopów i innych narzędzi, potrzebnych do robienia obserwacyi na niebie. Kopernik posiadał wielkie talenta i niepospolitą bystrość umysłu: w młodości robił studya uniwersyteckie na wszystkich czterech fakultetach; był doktorem św. teologii i medycyny, tudzież laureatem prawa kanonicznego dla zostania kanonikiem i docentem matematyki i astronomii w Rzymie, rozstrzelił więc swoje siły duchowe zanadto dla zbierania wiadomości na różnych polach ludzkiej wiedzy, a przecież nie był trójcą w jednej swojej osobie, złożoną z takich trzech wielkich myślicieli, jak florentyński astronom, Galileo Galilei, prazki astronom Jan Kepler i angielski matematyk i fizyk Izaak Newton, w starszych swoich latach szef król. mennicy w Londynie, których prace całego niemal życia musiały się dopiero składać na to, ażeby heliocentryczny system jego dokładnie pouzupełniać i należycie spuryfikować (od usterek uwolnić), których on sam nie był już wstanie dopatrzyć, nie posiadając potrzebnych do tego narzędzi fizykalnych, technicznych i astronomicznych, ani nareszcie tych matematycznych i analityczno-geometrycznych wiadomości, jakiemi rozporządzał Newton, wynalazca rachunku infinitesymalnego *(calc. fluxionum)*... Stało się to i stać się mogło dopiero później (po śmierci Kopernika), po poprzedniem odkryciu przez Galileusza praw ruchu wahadłowego i praw wolnego spadania na ziemię ciał nie podpartych, tudzież trzech praw, znanych w mechanice nieba pod nazwą praw Keplerowskich, nareszcie prawa ogólnej grawitacyi cząstek wszelakiej materyi światowej ku sobie nawzajem, odkrytego także przez Keplera, a przez Newtona należycie uzasadnionego i ogłoszonego w dziele jego: *Principia matematica* w r. 1687.

Kopernik wykończył i tak olbrzymią pracę przerobienia systemu Ptolomeusza na swój nowy, do rzeczywistej prawdy w głównej zasadzie już bardzo zbliżony, i dokonał tego środkami, jakie posiadał, tylko dlatego, że przez całe swoje życie aż do starości (żył lat 70) nie znał, co to jest walka o byt, co są troski rodzinne i małżeńskie i miał zwykle umysł pogodny i spokojny: należał do hierarchii stanu, w którym żyje się swobodniej, miał więc dosyć wolnego czasu do zagłębiania się w rozmyślaniach nad ulubionym przedmiotem swojej fantazyi, „ruszenia ziemi z posad nieruchomych“, na których ją wiedza astronomiczna starodaw-

nych ludów od paru tysięcy lat osadziła była, a nauka Hipparcha i Ptolomeusza aleksandryjskiego od 18 wieków, umiejętnym systemem swoim jeszcze mocniej zakutą, w tym stanie mniemanej nieruchomości koniecznie dalej utrzymywać chciała. Nareszcie nie potrzebował ujadać się z niepowołanymi zoilami i tracić drogi czas w walce na pióra w polemice bezowocowej z ich głupotą, gdyż napisawszy księgę swoją zamknął ją pod klucz i (jak sam powiada) trzymał przez 34 (!) lat zamkniętą, aż do ostatnich prawie dni żywota... Takich szczęśliwych warunków do prac naukowych nie miał nawet sam Newton do 54 roku swojego żywota. Starzec Galileusz w nagrodę za swoje prace naukowe w młodości i męskim wieku, za swoje odkrycia w mechanice i astronomii, doczekał się w późnej starości najokropniejszych prześladowań, boleści i wielkiego poniżenia godności człowieka i ledwie cały z duszą w ciele wywinął się z więzienia. (Umarł 8. stycznia 1642 r. mając lat 78), a matematyk i astronom cesarski Jan Kepler przymierał z głodu z rodziną w mieszkanku na poddaszu w Pradze — (po ukończeniu astronomicznych tablic Rudolfińskich) — i musiał chodzić piechotą do cesarza Rudolfa za należącą mu się pensyą rządową, aby z dnia na dzień mógł żyć dalej, bo mu jej w Pradze nie chciano wypłacać regularnie. (Były to czasy 30-letniej wojny w Niemczech). I później aż do naszych czasów bardzo mało kto, chyba bogaty amator nauk, miał takie szczęśliwe warunki do prac naukowych, jak fraunburski kanonik, Mikołaj Kopernik.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Wojciech Urbański.

# ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

## BISKUP WŁOCŁAWSKI I KRAKOWSKI

(1496—1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

## CZĘŚĆ TRZECIA

**(1553—1560).**

(Ciąg dalszy).

Legat, którego obiecywał papież, miał przybyć do Polski nie tylko dla samych spraw kościelnych. Miał on jeszcze omówić ostatecznie kwestyę moskiewską osobiście z królem i załatwić inną niemniej ważną, która bardzo przyczynić się miała do umorzenia tamtej nie tylko na dworze rzymskim ale także rakuzkim. Była nią sprawa ponownych zaślubin króla, do których go namawiał przed jego przybyciem do Krakowa z okazyi sprawy Iwana, popieranej przez cesarza, książę Radziwiłł, radząc mu, aby szukał dla siebie żony w domu Habsburskim. Ponownego małżeństwa Zygmunta Augusta życzyli sobie wówczas wszyscy, bo chodziło o to, by dotychczas bezdzietny król zapewnił tym sposobem obydwu państwom swoim następcę tronu. Nakłaniała go do niego rok temu Stolica Apostolska [1]), nakłaniał także dawny teść, król Ferdynand, ojciec pierwszej jego żony, Elżbiety, który chciał koniecznie nawiązać z nim powtórne węzły familijne i zamierzał w tym celu ożenić go z drugą córką swoją, Katarzyną, wdową po księciu mantuańskim Franciszku III. Gonzadze, bawiącą wówczas we Wiedniu.

[1]) Script. Rer. Pol. T. I. s. 97., list Juliusza III. z lut. 1552 r., Hos. Ep. nr. 861.

Chodziło tylko o dyspenzę papiezką, ale ze względów politycznych i z powodu stosunków ścisłych, jakie łączyły Kurye rzymską z dworem wiedeńskim, o taką dyspenzę nie byłoby trudno. Zato trudniejszym był do zdobycia sam Zygmunt August. Już w ubiegłym roku starał się Ferdynand wybadać sekretnie usposobienie jego przez posła swego Zyg. Herbersteina. Ten wywiązując się zręcznie z powierzonej sobie misyi, omawiać ją począł naprzód w kołach senatorskich podczas sejmu w Piotrkowie. Jednym z pierwszych, który miał przyklasnąć myśli Ferdynanda, był Zebrzydowski [1]). On to ośmielił się pierwszy, jak sam powiada, powtórzyć Zygmuntowi Augustowi wiadomość przyniesioną przez Herbersteina i namawiać go do przyjęcia propozycyi króla rzymskiego. Wówczas jednak Zygmunt August, nie odżałowawszy jeszcze ukochanej Barbary, nie chciał wogóle mówić o małżeństwie. Po upływie niespełna roku pod tym względem się zmienił. Rada Radziwiłła, aby żenił się w Wiedniu i tym sposobem przeciął intrygi austryacko-moskiewskie, przypadła w samą porę. Król postanowił ożenić się i to ożenić się w domu habsburskim. Wysyłając do Wiednia z końcem lutego Radziwiłła w sprawie moskiewskiej, polecił mu sekretnie także wybadać, czy Ferdynand trwa jeszcze w dawnych względem niego zamiarach. Rzecz cała miała być utrzymaną czas jakiś w tajemnicy [2]), bo król nie chciał, aby doszła do wiadomości matki jego, Bony, źle usposobionej dla Austryi [3]). Niebawem przy-

[1]) Kor. Zeb. nr. 806.

[2]) Hos. Ep. nr. 1012, 1021, 1011. Dzieje Górnickiego, wyd. Tur. s. 42—46. Do dnia 24. marca nie było jeszcze nic pewnego, jak rzeczy stoją. Pisze w tym dniu St. Kostka, woj. chełmiński, do St. Hozyusza (nr. 1000): Tak o panu wojewodzie wileńskim dokąd jedzie nie wszyscy się zgadzają, jedni mniemają iż do Mynchen, drudzy do Gedelborku, trzeci do Portugaliej wyjeździć dziewoją". A przedtem jeszcze Jan Lang, poseł ks. Ferdynanda, bawiący w Krakowie, nie obcy, ale i niezupełnie świadom zamiarów króla, pisał pod dn. 10. marca: „Przed 14 dniami wyjechał z Krakowa z poleceniem od króla Mikołaj Radziwiłł... pod pozorem że ma naprzód się widzieć z naszym królem tam, gdzie będzie mógł go spotkać, a następnie udać się do Bawaryi dla proszenia o rękę siostry księcia bawarskiego dla swego króla"... „niektórzy nawet mniemają, jakoby jechać miał do Ferrary i zaślubić tamtejszą księżniczkę, spokrewnioną z królem francuskim"... v. Przezdziecki, Jag. Pol. T. V. s. LXXV.

[3]) Z jego polecenia miał Przerębski na jej indagacye w tej sprawie odpisać jej, jak donosi sam król Radziwiłłowi dnia 30. marca: „iż Twoja Mość in negotio moscico tam jechał", a nie dla jego ożenienia, v. Lachowicz, s. 50.

szły z Wiednia od Radziwiłła pocieszające wiadomości. Otrzymał je także Zebrzydowski, jako senator interesujący się bardzo sprawą małżeńską króla i znany z życzliwości dla domu rakuzkiego. „My co rychle ożenić się wolę mamy“, pisze król, zadowolony z takiego obrotu rzeczy, do Radziwiłła Rudego [1]), — „jużeśmy k'temu umysł nasz skłonili, że dziewkę króla I. M. rzymskiego, wdowę księżnę mantuańską, która tylko pięć niedziel za mężem była, w małżeństwo weźmiemy“. Zdecydowany do podjęcia starań matrymonialnych we Wiedniu, zwołał Zygmunt August dnia 8. kwietnia senatorów bawiących na sejmie krakowskim, między nimi i Zebrzydowskiego, na sekretną naradę, na której oświadczył gotowość zaślubienia Katarzyny austryackiej. Nie wszyscy senatorowie tę gotowość pochwalali, a nie pochwalili nie tyle z tego powodu, jakoby byli przeciwni domowi habsburskiemu, chociaż wielu wyznawców swobody religijnej wyrażało się, że dom ten zanadto pod względem religijnym surowy, jak raczej dlatego, że sprawę tę miał prowadzić w Wiedniu książę Radziwiłł, znany protektor protestantów na Litwie, a nie mający miru w Polsce. Ostatecznie zapadła uchwała senatu, zatwierdzająca projektowane przez króla jego małżeństwo z Katarzyną, jakoteż wybór osoby księcia Radziwiłła na prokuratora i podkanclerzego Przerębskiego na umyślnego posła, który miał decyzyę króla i uchwałę senatu osobiście zawieść do Wiednia i dokonać tamże razem z Radziwiłłem aktu zaślubin *per procuram*. Niebawem też Przerębski wybrał się w drogę [2]).

Zebrzydowski, uważający się za inicyatora i moralnego sprawcę ułożonego małżeństwa, nie posiadał się z radości wobec takiego obrotu rzeczy. Jadącemu do Wiednia Przerębskiemu wręczył trzy listy z datą 10. i 15. kwietnia, jeden do króla Ferdynanda, dwa inne do Radziwiłła i Herbersteina, w których dał wyraz uczuciom niekłamanego zadowolenia i jak zwykle podniósł zasługi położone przez siebie. Sukces króla Ferdynanda, niosący z sobą ogromne korzyści tak dla królestwa polskiego jak dla familii austryackiej, cieszy go niezmiernie, bo jak ojczyźnie swojej zawdzięcza wszystko tak Austryi ofiarowywał już od dawna wszel-

[1]) Przeźdz. Jag. Pol. T. II. s. 22/3.

[2]) Kor. Zeb. nr. 806, 807, 808. Hos. Ep. nr. 1012. Przeźdz. Jag. Pol. T. V. s. LXXVIII., list J. Langa z 6. VIII. 1553: Wielką zawiść mają do niego (t. j. do Radziwiłła) Stany królestwa pol. za to, że jemu poruczonem było traktowanie z W. Kr. M. (t. j. z Ferdynandem) o małżeństwie królowej a oni nie dopuszczeni są do spraw publicznych na dworze królewskim.

kie swoje usługi i zawsze życzył tak jednej jak drugiej wszelakiego błogosławieństwa [1]). Ofiarowuje więc nadal te usługi, obiecuje porobić wszelkie ułatwienia legatom, jacy do Polski przybędą, i przyrzeka prosić Boga, by użyczył temu małżeństwu błogosławieństwa i potomstwa. Przyznając Radziwiłłowi chętnie tytuł do zasług, jakie położył w tem dziele tak ważnem i zaszczytnem pod względem politycznym, dziękuje mu za wesołe nowiny. Nie mniej przekonany o swoich zasługach, dzieli się poufnie temi nowinami z Herbersteinem i przypomina mu sekretne rozmowy, jakie niegdyś prowadził z nim na temat zaślubin, dziś już postanowionych. Wprawdzie wielu sobie przypisuje inicyatywę pod tym względem, *nos autem nobis pulcherime conscii sumus*, boć wiele starań dołożył, aby szczęśliwy projekt króla rzymskiego uwieńczony został pomyślnym rezultatem...

Ślub rzeczywisty miał odbyć się 2. lipca w Krakowie [2]). Tymczasem podjęto starania w Rzymie o dyspenzę papieską. Uzyskaną dyspenzę miał przywieść do Krakowa zapowiedziany legat apostolski [3]). Był nim brat kardynała Bernarda de Mapheis, Marek Antoni, który wyruszył z Rzymu z końcem maja a stanął w Krakowie już 30. czerwca [4]). Ale ślub nie odbył się 2. lipca, musiał nawet być odłożonym na nieoznaczony dzień, bo król przeziębił się na polowaniu w puszczy Niepołomickiej i zachorował na silną febrę, która go powaliła na łoże. Termin odraczany z tygodnia na tydzień ustalonym został wreszcie na dniu 30. lipca [5]). W tymże

---

[1]) W „Jagiellonkach“ T. V. s. 80/1, przytoczony list królowej Katarzyny z 29. październ. 1553 r. pisany do jakiegoś duchownego — może do Zebrzydowskiego — w którym dziękuje mu królowa za wierne usługi ojcu i jej samej wyświadczone.

[2]) Hos. Ep. nr. 1012. 1021. Przeździecki, Jagiellonki Polskie. T. 2, s. 33.

[3]) Script. Rer. Pol. T. I. s. 100. Gornicki, Dzieje s. 42 i 43.

[4]) Hos. Ep. nr. 1047. Kor. Zeb. nr. 815. Uchansciana I. II. s. 31.

[5]) Hos. Ep. nr. 1053. 1060. Lachowicz, s. 52. list z 8. VI. do Radz.: „bo to już odedwu niedziel febrim tertianam satis atrocem patimur“. — List drugi z 22. VI. na str. 53 zawiera wiadomość, iż jeszcze „ab hoc febri tertiana“ król nie jest wolny; dodaje jednak: „Wszakoż folgując convalescentiae et virium solidiori recuperationi ex communi omnium astrologorum iudicio has nostras nuptias iterum longius usque ad 30. mensis iulii prorogandas duximus, ita ut trigesima mensis iulii futura serenissima coniux nostra coronaretur, vigesima autem nona iulii huc Cracoviam veniat. Ten bowiem czas jako bardzo pomyślny dla przy-

czasie odbył się już w Wiedniu prowizoryczny ślub, w którym króla zastępował książę Radziwiłł. Niebawem potem ruszyła Katarzyna z Wiednia do Polski. Wyjazd jej wyprzedzili obaj posłowie, Radziwiłł i Przerębski. W drodze powitali przyszłą królowę pod Ołumuńcem wysłańcy królewscy, kanclerz Ocieski, biskup Noskowski i wojewoda płocki, Felix Szreński. Stąd towarzyszyli ci wysłańcy wspaniałemu poczetowi jej, w którym znajdował się także rodzony jej brat, arcyksiążę Ferdynand, aż do samego Krakowa. Wjazd do Krakowa odbył się 29. lipca. Król, jakkolwiek jeszcze niezdrów, wyjechał na spotkanie przyszłej swej małżonki za mury miasta do Łobzowa, otoczony nadwornem swem rycerstwem i zbrojnymi hufcami panów świeckich i duchownych, między którymi była także chorągiew Zebrzydowskiego. Pod wieczór w samej stolicy u wrót katedry i zamku witał przyszłą królowę sam Zebrzydowski, jako biskup krakowski, w asystencyi całego duchowieństwa. W pięknej przemowie miał wielbić jej cnoty, osobliwie jej pobożność, i wyrazić powszechną z takiego gościa jak ona, radość. Dnia 30. lipca odbyły się uroczyste zaślubiny i koronacya nowej królowej. Ślub dawał i królowę wśrod mszy zwyczajnym obrządkiem koronował prymas Dzierżgowski. Do ołtarza prowadzili ją biskup Drohojowski i biskup Zebrzydowski. Nazajutrz witała ją i składała jej hołd akademia krakowska. Przemawiał w jej imieniu a w zastępstwie Zebrzydowskiego jako kanclerza *almae matris*, dr. I. Benedykt Kozmińczyk, profesor teologii. Mówił „wcale uczenie". Niebawem po hucznem i wspaniałem weselu, urozmaiconem zabawami rycerskiemi, turniejami i gonitwami, król za namową księcia Radziwiłła zabrał żonę wbrew jej chęci i woli na Litwę. Stało się to w ostatnich dniach sierpnia [1]). Zebrzydowski przez ten czas bawił jeszcze w Krakowie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Tadeusz Troskolański.

---

bycia i koronacyi wybrali wszyscy astrologowie, haec enim tempora et pro adventa et pro coronatione uxoris, opportuna universi astrologi elegerunt.

[1]) Niemcewicz. Zbiór Pamietników T. V. s. 325—345. Opisanie obrzędu ślubnego — według Orzechowskiego — Górnicki, jak wyżej. Przezdziecki. Jag. Pol. T. V. s. 66, 67 i w. n. zaw. relacyę z Krakowa arcyks. Ferdynanda i str. LXXVII—IX. zaw. listy J. Langa z dnia 5. i 6. sierpnia. Lang, późniejszy stały rezydent na dworze Ka-

tarzyny, pisze: „Królowa usiłowała prośbami króla od tej podróży odwrócić, ale nic to nie pomogło i musi milczeć wedle rady wiernych przyjaciół". Szujski tłómaczy ten wyjazd tem, że wogóle małżeństwo z nią było królowi nie miłem, było czysto politycznem. Król miał od początku niechęć do niego religijnej natury, uważał je za wzbronione mimo dyspenzy papieskiej, s. LXXXIV. — Hos. Ep. nr. 1012, 1083, 1066 i 1067, ten ostatni nr. zaw. „Hosii oratio", którą biskup warmijski witał Katarzynę w imieniu stanów pruskich. — Biblioteka Ossolińskich, R. 1828. T. III., opis według mowy Orzechowskiego w przekładzie Ossolińskiego.

# KRONIKA LITERACKA.

Dr. Stanisław Tomkowicz. *Tyniec.* — Z ryciną i planem. — W Krakowie, jako 18 tom „Biblioteki krakowskiej". Nakładem Tow. miłośników historyi i zabytków Krakowa, 1901. Str. 55 in 8°.

P. Tomkowiczowi zawdzięczamy przypomnienie społeczeństwu polskiemu i naukowe opracowanie niejednego już zabytku dawnej naszej sztuki i architektury, nie jednego pomnika naszej historycznej przeszłości. Każda taka praca to — obywatelska zasługa. Obecnie szereg tych zasług pomnożyła nowa: dr. Tomkowicz przypomniał współczesnym i opisał im starodawne opactwo tynieckie, zkąd przez długi szereg wieków szerzyło się światło religii i cywilizacyi w Polsce.

Do niedawna losy Tyńca, który miał tak piękną przeszłość ale w w. z. popadł w zupełną ruinę, zdawały się być rozstrzygnięte, a starożytny klasztor, niegdyś jedno z pierwszych w Polsce ognisk oświaty i wiary chrześciańskiej, skazany na zagładę. Obecnie jednak to smutne przeznaczenie zostało odwrócone, w lecie bowiem r. 1900 przyszły do skutku układy z Rządem austryackim, mocą których budynki klasztorne wraz z należącym do nich majątkiem, złożonym z pewnej liczby folwarków, przeszły w posiadanie księcia-biskupa krakowskiego, a jak dr. Tomkowicz pięknie powiada „dłoń, która nie dała upaść Wawelowi, potrafi też dźwignąć z ruiny Tyniec".

W tej chwili, tak decydującej dla Tyńca, tem potrzebniejszą i tem słuszniejszą było rzeczą przypomnieć dawne jego losy.

Opowiada więc dr. Tomkowicz o założeniu Tyńca, który zaczął odgrywać rolę już historyczną niejako, kiedy naród i ziemie polskie są jeszcze pogrążone w dobie przedhistorycznej, legenda bowiem dzieje jego

przedłuża gdzieś aż w IX. czy koniec VIII. wieku. Wówczas to nad górnym brzegiem Wisły, o dwanaście mniej więcej kilometrów na południowy zachód od Krakowa, na pagórku t. zw. „Podgrodzie“ lub „Grodzisko“ miał wznosić się dawny gród polskiej rodziny Starżów. Dr. Tomkowicz przytacza legendy z tym rodem i z tem miejscem związane, prostuje fałszywe opowieści, wyjaśnia wątpliwości historyczne, mówi o założeniu (w w. XI.) klasztoru na północ od dawnego grodu, na skale Tynieckiej, o osadzeniu w klasztorze Benedyktynów, o uposażeniu ich, o wpływach i potędze zakonu, o powstaniu przy klasztorze twierdzy, o losach budynków klasztornych i kościelnych. Zakon wzmógł się z czasem tak w bogactwa, że opat jego miał wszelkie prawo nazywać się panem pięciu miast i stu wsi, *quinque civitatum et centum villarum abbas*, — ale w tem bogactwie, według niektórych, leży przyczyna, że klasztor zbyt zajęty dobrami materyalnemi, gospodarstwem i zarządem majątków, tworzących jakby małe państewko z rozległą i zawiłą administracyą, zaniedbał innych wyższych zadań, nie odegrał w dziejach narodu i w dziejach cywilizacyi takiej roli, jak inne pokrewne klasztory w Polsce.

W czasie konfederacyi barskiej Tyniec jeszcze raz spełnił rolę historyczną; w r. 1771 konfederaci osadzili się w klasztorze, a sam Puławski kierował jego ufortyfikowaniem, poczem wykonali ztamtąd (w lutym r. 1772) pamiętną wycieczkę do Krakowa pod wodzą Choisiego, Viomesnila i Saillanta, i odebrali Wawel z rąk załogi rossyjskiej. — Po pierwszym rozbiorze Tyniec dostał się Austryi. Część dóbr została skonfiskowana; w r. 1805 osadzono w Tyńcu Benedyktynów z opactwa Wiblingen w Bawaryi. W r. 1809, gdy wojska ks. Józefa Poniatowskiego zwróciły Kraków Księstwu Warszawskiemu, niemieccy Benedyktyni wynieśli się cichaczem z Tyńca, zabrawszy, co się zabrać dało. Po kongresie wiedeńskim Tyniec powrócił do Austryi, poczem w r. 1817 nastąpiła ostateczna kasata majątku zakonnego a zakonnikom pozwolono rozejść się po świecie. Utworzono natomiast dyecezyę tyniecką, a biskup ks. Ziegler, dawny przeor tyniecki, zamieszkał w r. 1822 w budynku opackim. W r. 1826 musiał tę siedzibę zamienić na Bochnię a opuszczony klasztor zajęli Jezuici. W dniu 2. maja 1831 piorun uderzył w Tyniec i obrócił klasztor w perzynę; zgorzały też dachy kościoła, stopniała miedź z ich pokrycia i spadły hełmy wież, zbudowane z drzewa i metalu, wieże zaś, prowizorycznie pokryte, przybrały obecną postać przysadkowatą. Dzięki ofiarności i zabiegom hr. Wilhelma Romera z Ochodzy, powiodło się ocalić przynajmniej kościół od zupełnej ruiny, pokryć go dachem i wykonać najpotrzebniejsze przynajmniej roboty ochronne — ale mury klasztoru, który mieścił niegdyś

do 90 zakonników, nie znalazły opiekuna i cenna pamiątka przeszłości szybkim krokiem zbliża się ku całkowitemu zniszczeniu. Dziś nie łatwo już odtworzyć sobie dawną postać i świetność klasztoru a niewiadomo nawet, czy rudery obecne dałyby się odrestaurować i uczynić mieszkalnemi. — Cała nadzieja w tem, że wspomniana zmiana w posiadaniu Tyńca wpłynie na losy dawnego klasztoru.

Dr. Tomkowicz daje dokładny opis i plan ruin, opowiada o architekturze dawnych budowli, poświęca osobny ustęp dziełom sztuki, bibliotece i skarbcowi tynieckiemu, oraz dochodzi, gdzie rozprószone zabytki tych zbiorów znajdują się lub mogą się znajdować. *ab.*

---

Szymon Askenazy. *Sto lat zarządu w Królestwie Polskiem 1800—1900.* — Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga we Lwowie. Str. 68 w małej ósemce z dziesięciu wizerunkami. — Warszawa. E. Wende i Spka, 1901.

Stulecia są tylko sztucznym wytworem ludzkiej rachuby czasu, ułatwieniem w tej rachubie; same dla siebie, ściśle rzecz biorąc, nie mogą one tworzyć i nie tworzą istotnie ani zamkniętych okresów czasu ani też epok, w których pewna idea czy to polityczna, czy społeczna, czy religijna, czy humanitarna, znalazłaby urzeczywistnienie. Tytanicznych walk, prac i cierpień ludzkości, niepodobna wcisnąć w karby stulecia; tylko przypadkowo może się zdarzyć, że granice pewnej epoki i granice danego stulecia zejdą się razem, lub prawie razem.

Możnaby powiedzieć z pewnemi zastrzeżeniami, że to ostatnie ma miejsce co do losów t. zw. Królestwa polskiego, to jest tej dzielnicy dawnej Rzeczypospolitej, która po rozmaitych zmianach terytoryalnych, otrzymała swe dzisiejsze granice na kongresie wiedeńskim r. 1815. Jakkolwiek i tutaj nie można mówić o ścisłem przystawaniu granic sztucznej rachuby czasu do granic epoki w życiu wspomnianej dzielnicy polskiej, to jednak fakt że wiek XVIII. zakończył się wielką tragedyą Polski, a wiek XIX. zamknął się wprawdzie nie zmianą systemu, a zatem także nie zmianą epoki, ale przecież śmiercią naczelnika kraju, ks. Imeretyńskiego, którego rządy miały być pewnem złagodzeniem starego systemu: fakt ten pozwala uważać wiek XIX. do pewnego stopnia za odrębny okres w dziejach Królestwa polskiego.

Ten wzgląd zapewne skłonił znanego już zaszczytnie z szeregu źródłowych, samodzielnie i bystro opracowanych prac historycznych badacza dziejów naszych, dr. Szymona Askenazego, do wydania zacytowanej u góry książeczki, która zresztą wobec braku wyczerpującego i je-

dnolitego opracowania porozbiorowych dziejów Polski, nabiera znaczenia bardzo potrzebnego a bardzo pożytecznego zarazem i dobrego podręcznika. Jestto treściwie, bardzo zwięźle, bez wszelkich refleksyj i uwag — prawie jak gdyby tylko spis treści wielkiego dzieła historycznego — ale wyczerpująco i dokładnie podany zarys najważniejszych wypadków historycznych z dziejów Królestwa w ubiegłem stuleciu. Zacząwszy od stosunków w pierwszych latach XIX. wieku, to jest od czasów pruskich, przedstawia dr. Askenazy z kolei pokrótce czasy Księstwa warszawskiego, potem Królestwa kongresowego, dalej upadek tego Królestwa skutkiem wojny r. 1830—1831, namiestnictwo ks. Paskiewicza, czasy przejściowe w pierwszych latach rządów cara Aleksandra II., rządy Wielopolskiego, a potem namiestnictwo hr. Berga od r. 1863, wreszcie czasy najnowsze od r. 1880. O wypadki wojenne w latach 1811—12, 1830—31 i 1863—4 autor, — widocznie z tego powodu, że są lepiej znane, — tylko potrąca, a natomiast tem dokładniej zajmuje się rozwojem stosunków państwowo prawnych, jeżeli tak możnaby nazwać rozmaite zmiany w organizacyi politycznej, administracyjnej, prawnej i społecznej, jakim Królestwo w ubiegłym wieku podlegało.

W podręcznikach tego rodzaju najważniejszą rzeczą jest — ścisłość; o tem, że jej tu przestrzegano, daje rękojmię już nazwisko autora.

Książeczka ozdobiona jest dziesięciu rycinami przedstawiającemi Fryderyka Wilhelma III., Fryderyka Augusta Saskiego „księcia warszawskiego“, ks. Józefa Poniatowskiego, prezesa senatu Tomasza Ostrowskiego, generała Henryka Dąbrowskiego, cara Aleksandra I., Stanisława Potockiego, arcyb. Woronicza, Aleksandra Wielopolskiego, dr. Mianowskiego. Wizerunków osobistości, czynnych po r. 1863, już nie dano; a szkoda. *ab.*

---

*Almae Matri Jagellonicae, qui ab ipsa multa olim in litteris perceperant, quinque saecula feliciter peracta, hoc munusculo oblato gratulantur. Leopoli, propriis sumptibus MCM.*

Dedykacya służy zamiast tytułu: „Grono dawnych uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego złożyło ten skromny dar jako wyraz hołdu i życzeń dla Uniwersytetu z okazyi jego pięćwiekowego jubileuszu“. Są tu następujące prace: Walenty Wróbel: „*Aristotelis locus de poetica XIX. 1456 a 33—1456 b 8 explicatus et emendatus*“ (po łacinie); Wincenty Śmiałek: „Herma w Markopulo a spuścizna Simonidesa“; Stanisław Witkowski: „*De pace, quae dicitur Cimonica*“ (po łacinie); Jan Czubek: „Epigramy Marcyalisa; wybór z ks. XI. i XII.“;

Zacharyasz Dembitzer: „*Criciana*“ (po łacinie); Kazimierz Nitsch: „Próba wyjaśnienia genezy przechodzenia w narzeczu białoruskiem nieakcentowanego *e* w *a*“; Aleksander Frączkiewicz: „*De sex primis numeralibus Etruscis*“ (po łacinie); St. Siedlecki: „Schopenhauer o ideach Platona“; Ignacy Stein: „Dwie elegie Kochanowskiego“; Kazimierz Bronikowski: „Ślady wpływów francuskich humanistów w epigramach Jana Kochanowskiego“; Józef Winkowski: „Horacego Sat. I. 6.“ (przekład); Jan Rozwadowski: „Ze studyów nad nazwami rzek słowiańskich“; Józef Kallenbach: „O genezie Dziadów“.

Każda z tych prac, źródłowa i samodzielna, zasługiwałaby na osobną ocenę; poczet ich ogólny jest wyborowy.

---

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.

DYREKCYA KASY OSZCZĘDNOŚCI
MIASTA NOWEGO SĄCZA

# KORESPONDENCYA
# JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(Ciąg dalszy).

*21. marca 1861* [1]).

.... Ledwiem ukończył korrektę, zjawił się Zygmunt Sierakowski z Gutrym. Gutry spokojny i poważny człowiek. Mówiliśmy o sprawach poznańskich, a potem o Mierosławskim i A. Branickim. Uwiadomił mię, że z tym ostatnim zejść się ma dzisiaj u Jenerała Wysockiego. Po obiedzie najniespodzianiej pokazał się stary znajomy Konstanty Górski. Przyjechał on z Warszawy po wypadkach, aby zaczerpnąć rady i pomocy u emigrantów. I on radby co rychlej obaczyć się z Mierosławskim. Wsiedliśmy razem do powozu i pojechaliśmy do Maison de santè Dubois, kędy mieszka chorujący Jenerał Wysocki. Z jenerałem łatwa rada, dobroduszny, odrazu zgadzał się na żądanie krajowców, ale potrzeba skłonić do tego i Mierosławskiego. O konferencyi z Branickim i Gutrym napomknął mi tylko Wysocki ogólnie, bo nie chciał się wynurzyć przed nieznajomym Górskim. Wstąpiliśmy do Antoniego Goreckiego. Chory, ale po staremu dowcipny, prawił nam swoje anegdoty.

*28. marca 1861* [2]).

.... Nadszedł Zygmunt Sierakowski z pożegnaniem na kilka tygodni. Był rzewny, potulny i z całego serca obojgu nam przy-

[1]) Z dzienniczka B. Z. z 1861 r.
[2]) Z dzienniczka B. Z. z 1861 r.

chylny. Mówiłem z nim długo i poważnie o rzeczach krajowych. Wznowiłem zagajony ongi spór z moją żoną o niebezpieczeństwie walenrodyzmu. Niemal z płaczem tłómaczył mi się ze swego położenia i pomimo to nie broni się od pokus. Podróż jego dzisiejsza niebezpieczna. Odradzałem ją z przyciskiem, ale widocznie nadarmo. Mówił nam, że Bronisław Zaleski stanął na czele stowarzyszenia w Pińsku, Domu zleceń....

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, 28. marca 1861.*

Mamciu moja serdeczna i ukochana, świątki wielkanocne! „Chrystos Woskres!“ Ukrzyżowany nasz Pan zmartwychwstaje, aby obdarzyć wiarą i wolnością człowieka i ludzkość całą. Zaprawdę wielkie to i największe gody w chrześciaństwie. Obyczajem naszym ukraińskim całuję Mamcię moją i wszystkich mamcinych. Oczywiście, Mamcia niech rozdzieli po sprawiedliwości te pocałunki między ukochanemi w Hyères.

Z Warszawy przycichły wieści na razie. Car coś dał już, coś obiecał jeszcze, ale lud jak lód, bez słońca Łaski nie stopnieje. Trzeba się modlić o to światło i ciepło z Góry dla Polaków, dla Moskali, a tymczasem wierzyć, miłować, spodziewać się. Dotychczas Delegacya trzyma się z jaką taką godnością. Ale co potem będzie? Dużo się gromadzi materyałów zapalnych. Jedni obawiają się wspomnień wielkoczwartkowych, drudzy trzeciomajowych. Gońce z kraju pędzą a pędzą do nas po radę. Ja, duszko Mamciu, pośredniczę arystokracyi polskiej w targach z Mierosławskim. Częste są u mnie schadzki, dotąd nie udaje mi się zgoła, ci bluźnią wolności, tamten lekceważy wiarę. Podobno że przeklnę obiedwie strony i zostanę sam samiutki pod Golgotą. Oj! drogośmy tam byli kupieni! Kiedy dziś tyara papieska nie popłaca, to i cóż znaczą korony królewskie albo mitry książęce i hrabiowskie? Nie ma rady. Mamciu, przemienia się porządek rzeczy w świecie. Przeszłość runęła, niepowrotnie runęła, ale i Antychryst tuż, tuż.

Nieoszacowana, Mamciu, suplika cechów rzemieślniczych do Delegacyi Warszawskiej. Zosia wam ją poszle. Na Ukrainie zdaje się, że przyjdzie do uwłaszczenia włościan. Pani Bronisławowa D.... upoważniła brata swego K.... do zagajenia przynajmniej tej rzeczy w Rzyszczowie. Wyjechał już z mojem błogosławień-

stwem. — Przywożą tam w tym czasie i zwłoki Szewczenki, świeżo zmarłego w Petersburgu, aby je pogrzebać w ziemi rodzinnej. Małorossy radziby wywołać przy tej sposobności manifestacyę ukraińskiego ludu. Obaczymy, czy się to uda. Kijów podczas kontraktów tegorocznych był arcypatryotyczny i polski. Eustachy pisze mi dziwy o usposobieniu starych i młodych. Pod względem pieniężnym było źle. Bankructw co niemiara . . .

Całuję kolana i ręce Mamci, a razem przy Chrystos Woskres niech pocałuje Józefa, Dyzię, Dyonizego i Daryusza za mnie i za moich. Kochajmy się w Chrystusie, który zmartwychwstał i w którym zmartwychwstaniem.

*Józef Bohdan.*

*8. kwietnia 1861 r.*[1]).

..... Zaledwie dokończyłem korrekty, ktoś dzwoni. Karol Różycki, od kilku lat gość u nas niewidziany. Przywitanie było serdeczne. Rozmowa odrazu poważna, treści duchowej ogólnie religijnej. Odwróciłem jakoś ją na Szewczenkę. Czytałem wyjątki z autobiografii jego i kilka strofek z pieśni. Karol słuchał z należną uwagą. Nadszedł Seweryn Gałęzowski, zaczęliśmy rozmowę o polityce i nowinach warszawskich. Karol z wielkiem podniesieniem ducha mówił o starych grzechach szlachty, cytował fakta smutne, katowanie chłopów w majątku Pani W. P. za to, że nie chcieli pańszczyzny wedle przywileju ojca Szczęsnego Potockiego, i fakt o Głowackim, bohaterze racławickim, którego jego właściciel, pomimo że był oficerem, zmuszał do pańszczyzny i w końcu oddał w rekruty. Słuchaliśmy ze łzami w oczach i żona, która weszła podczas tej uroczystej dyskusyi. Czytał nam także wyjątki z listu jakiejś pani z kraju, właścicielki wioski na granicy pruskiej, która pisze o gniewnem usposobieniu ludu na szlachtę . . . .

## Do Pana Bronisława Zaleskiego, we Florencyi.

*Paryż, 27. kwietnia 1861 r.*

Kochany Bronisławie . . . . . Uwagi twoje o szkole ze wszech miar trafne i poważne odczytam Wysockiemu, który obie-

[1]) Z dzienniczka B. Z. z 1861 r.

cał się dziś do nas na wieczór. Wysocki czyni co może, ale jakoś połowicznie i bez energii. bo, niestety, nie posiada dość hartu w charakterze. Namawiamy go, aby porzucił lichą prywatną posadę swoją w Paryżu a przeniósł się do Cuneo i zajął się jedynie młodzieżą, za którą będzie odpowiedzialnym przed Bogiem i Ojczyzną. Wysłaliśmy stąd tymi dniami do Włoch majora Waligórskiego, bardzo zdolnego matematyka, który za młodu ongi pod carewiczem Konstantym wykładał już artyleryę w szkole aplikacyjnej warszawskiej. Nie brak więc profesorów, ale cały sęk tkwi w Dyrekcyi i jak się weźmie do niej Fijałkowski, którego nie znam zgoła? Już teraz na początek Elżanowski wypłacił ze swego depozytu dwadzieścia przeszło tysięcy, ja obiecałem cztery, a może i całą sumkę. Oprócz tego delegaci krajowi, na wyjezdnem z Paryża, zostawili Wysockiemu kilkanaście podobno tysięcy. Jest więc na razie o co zaczepić ręce, jest za co kupić kilka koni i posprawiać niezbędne rysztunki i sprzęty.

Zachody około zorganizowania komitetu spełzły na niczem. W końcu Hotel Lambert odrzucił krajowe ultimatum, zmodyfikowane nieco na korzyść demokracyi. Żal się Boże! bo jaki taki byłby ład publiczny i sprawa po staremu nie zostawałaby całkiem na falach. W braku wodza i męża stanu oczywiście musimy żyć w anarchii. Ale Opatrzność wywodzi światy i z chaosu, widocznie sama kieruje sprawą polską, ufajmy więc rozumni tylko szałem. Delegaci już rozjechali się. Bardzo się lękam, żeby ich Moskale nie uchwycili na pytki . . . . . .

. . . . . Szczęść Ci Boże, Bronisławie, na podróży! Gość jak najdłużej we Florencyi. Najulubieńsze to miasto moje we Włoszech. Rzym za poważny, a Neapol za płochy. Kiedyś w młodszych leciech marzyłem zawsze o Florencyi do poetyckich dumań i natchnień. Teraz już nie marzę, modlę się tylko o Polskę dla synów moich.

Mój kochany Bronisławie, w przejeździe do Tyrolu napisz do mnie po słówku z Medyolanu i Wenecyi. Tych miast nie znam wcale, nigdy mnie do nich nie chcieli wpuścić Austryjacy . . .

Uściskam cię i t. d.

*Bohdan.*

7. maja [1]). Wcześnie wybraliśmy się do kościoła św. Rocha na mszę żałobną za poległych braci w Warszawie 8. kwietnia, aby znaleść krzesła. O godzinie 12-ej wyszła msza, ale nie kardynalska. Kardynał Donnet nie zdobył się na tyle odwagi względem rządu. Ciżba była Polaków i Francuzów. Modliłem się w wielkiem rozrzewnieniu. Po ewangelii wszedł na ambonę Dominikanin, ksiądz Menjard. Nie taję się, że głośność jego była mi podejrzana i nie bardzo ochotnie zasiadłem do słuchania. Ale po kilku słowach wstępu postrzegłem, że to wielki mowca i co ważniejsze, mąż Boży. Słuchałem przez dwie godziny słowa natchnionego z natężeniem, jakiego nie pamiętam nigdy w życiu. Co tam było prawdy, uczucia, blasku i namaszczenia religijnego! Plan kazania, acz niemal improwizowanego, był niezmiernie mądry. Rolę Polsce wskazał w chrześciaństwie ponad wszystkie narody. Despotyzm i ducha politycznego w Europie i we Francyi ścigał z niesłychaną śmiałością. Bodaj czy mu nie zakażą kaznodziejstwa. Polacy dłużni kaznodzieji wdzięczność niezgasłą za miłość dla Ojczyzny naszej i za nieustraszoność, z jaką się wyrażał. Przyszła mi myśl, aby zaprojektować rodakom składkę na kielich lub monstrancyę do kościoła Dominikanów w Dijon, kędy przebywa O. Menjard. Byłaby to pamiątka i zarazem świadectwo wdzięczności polskiej. Żona moja wróciła pod niewymownem wrażeniem kazania, jakie pierwszy raz słyszała.

13. maja [2])... Przed 10-tą wyszedłem do Assomption na mszę żałobną za duszę Zarzyckiego, artysty-muzyka, który poległ na bruku warszawskim. Czas słotny i bardzo chmurny. Zastałem mszę zaczętą ks. Jełowickiego. Mało nas było uczestników, zaoczyłem Kaplińskiego. Po mszy zaraz, nie doczekując się na kazanie księdza Hieronima, pospiesznie wyszedłem na inną mszę w kaplicy przy ulicy Chaillot za duszę majora Zawierskiego, przy zwłokach jego. Po drodze dognali mnie poczciwy pułkownik Gawroński i poseł Karwowski. Do kaplicy wprowadził mnie stary Żeligowski. Kaplica była pełna, liczni rodacy uczcili pamięć zasłużonego emigranta, wszyscy niemal starzy moi znajomi. Po odśpiewanym kondukcie przy drzwiach, księżna Puzynina, krewna zmarłego, dziękowała nam za obecność. Na inwitacyę Żeligowskiego wsia-

[1]) Z dzienniczka B. Z. z 1861 r.
[2]) Z dzienniczka B. Z. z 1861 r.

dłem z pułkownikiem Kamieńskim do karety, i przyłączyli się do nas pułkownik Gawroński i Karwowski, pociągnęliśmy za trumną na cmentarz Montmartre, kędy w grobie polskim pochowaliśmy zacnego Zawierskiego. Wróciłem do domu na sam obiad. Po obiedzie z żoną ruszyliśmy na pogrzeb Mierzejewskiej. Przybyliśmy zawcześnie. Żona moja miała w Szkole polskiej pilną konferencyę i musiała wrócić. Zaszedłem do domu Mierzejewskiego, zastałem z Polaków tylko Wrońskiego, pannę Bystrzanowską. Konwój ruszył do kościółka St. Michel, pod jakąś złą wróżbą, bo konie po dwakroć się zatrzymywały a Mierzejewski złościł się. W kościele czekali księża Kajsiewicz i Kaczanowski. Po krótkim obrządku pociągnęliśmy za trumną na cmentarz, aż do Clichy, wioski za fortyfikacyami. Przy grobie wzruszył się nareszcie Mierzejewski, szlochał i dziękował swoim rzadkim gościom. Z pogrzebu odwiedziłem familie ubogie St. Vincent de Paul. Wróciłem do domu, nie wiedziałem, że u Józefa gości ks. Hieronim, nadeszli do mnie. Mówiliśmy dużo o Rzymie i o polityce. Ks. Hieronim opuszcza Paryż w niedzielę. W nieobecności mojej, podczas pogrzebu, był u nas Karol Różycki, przesiedział z Józefem parę godzin i miał być nader uprzejmym.

14. maja.... Zaszedłem do Gałęzowskiego, zjawił się Zygmunt Sierakowski; wrócił z Włoch. Mówił mi ważne i ciekawe rzeczy o widzeniu się swojem z Garibaldim i Cavourem . . . . . .

21. maja [1]). Ruszyliśmy z Józią na kolej żelazną du Nord. Jechaliśmy jednym wagonem z księżną Puzyniną, panią i panną Białozor, Żeligowskim starym, Oleszczyńskim; z Enghien do Montmorency z Aleksandrem Chodźką i Waleryanem Chełchowskim i jego siostrą. Po drodze dowiedziałem się o nagłej przed kilkoma dniami śmierci Tomaszewicza, ślepego literata z Wilna. Na mszy żałobnej ciżba słuchaczów polskich, siedzieliśmy z Józią w kąciku, z łaski jakiegoś doktora z kraju, który nam ustąpił miejsca swego obok żony. Za nami Teodor Morawski raczył nas uwagami swemi. Muzyka i śpiewy śliczne. Kazanie miał ks. Gabriel, stary znajomy za czasów ś. p. jenerała Mycielskiego. Kazanie wymówione z ogniem i wielką sympatyą dla Polski, a przytem i potężnym

[1]) Z dzienniczka B. Z. z 1861 r.

głosem, powszechnie się podobało, chociaż niższe było duchem i treścią od kazania ks. Menjard. Towiańszczyków zaoczyłem niemal wszystkich przy Karolu Różyckim. Przed kościołem miał mowę burmistrz miasteczka, pułkownik i stary towarzysz rodaków za wojen napoleońskich. Rozrzewnienie było wielkie i starzec mówca był wzruszony oklaskami naszemi, a zwłaszcza kiedy Polki przyszły uścisnąć mu rękę na podziękowanie. Obyczajem polskim całował je po rękach. Poszliśmy na cmentarz, po drodze mówiłem dużo z jenerałem Dębińskim o starych czasach. Zacytował kilka ciekawych anegdot z czasów Księstwa Warszawskiego. Pomodliłem się z Józią po kolei na grobach Mickiewicza, Niemcewicza, Kniaziewicza, Sienkiewicza, ks. Topolskiego i t. d. Wróciliśmy laskiem do miasta z Laskowiczem, Królikowskim i Odachowskim. Dzień prześliczny majowy. Mówiłem z Lublinerem o polityce i o potocznych rzeczach . . . . . .

*Wtorek, 28. maja 1861* [1]).

. . . Wyjechałem omnibusem do Maison de Santé Dubois. Po 13-stu leciech niewidzenia się, obaczyłem oto Lelewela obłożnie chorego i niemal dogorywającego. Zastałem go mrzącego snem, zaledwie mnie poznał, zapytywał o Józefie i t. p. Kilka słów dość wyraźnie wymówił i znowu mrzył, bodaj snem niespanym. Uprosiłem, że wypił filiżankę bulionu. Przy nim czuwał Dąbrowski i francuska garde-malade. Poszedłem w odwiedziny do Antoniego Goreckiego. Ten silniejszy i z ogromnym apetytem, ale przyklepany do krzesła, bo opuchły nogi, że chodzić niepodobna. Mało co zmienił dawny humor. Mówiliśmy o starych dziejach emigranckich i krajowych. Otóż dwóch ludzi tyle głośnych w historyi literatury polskiej dogorywają, na szczęście pod czujnem okiem i przy miłych sercach spółtułaczy. Nadjechał Seweryn Gałęzowski, opatrzył p. Joachima. Posiedzieliśmy przy łóżku chorego i potem razem i Dąbrowski z nami wróciliśmy do mieszkania Gałęzowskiego. Zastaliśmy Zygmunta Sierakowskiego i Milowicza, którzy właśnie byli u mnie. Jutro obaczę się z nimi . . . . .

. . . . . .

[1]) Z dzienniczka B. Z. z 1861 r.

1. czerwca [1])... Koło 11-ej z Józefem wyjechaliśmy powozem do Maison de Santé Dubois, kędy na katafalku spoczywają zwłoki ś. p. Lelewela. Zastaliśmy już ciżbę rodaków. Mówiłem z Karolem Różyckim, Nabielakiem, Janem Zamojskim i t. d. Odprowadziliśmy ciało do kościoła St. Vincent de Paul. Mszy słuchałem bez roztargnienia i w skupieniu ducha, pomimo szmeru zwyczajnego polskiego. Z kościoła aż na cmentarz daleki Montmartre szedłem pieszo z pułkownikiem Kamieńskim. Zabraliśmy dobry kącik przy grobie dla słuchania mowców. Ludwik Wołowski perorował po francusku z bujnością i wprawą profesorską, goręcej nieco przemówił młody rabinek francuski, ale najsympatyczniej prosty robotnik. Francuz. Uścisnąłem wracając kilku starym jak Goszczyńskiemu, K. Balińskiemu, Królikowskiemu, Olizarowskiemu, Norwidowi Ludwikowi i t. d. . . . . .

10. czerwca [2])... Po obiedzie wyjechałem do Hotelu Lambert, dla podziękowania księciu Adamowi za miły wczorajszy upominek [3]). Zastałem u niego kolegę Żarczyńskiego z A. W. Darowskim i drugim jakimś Ukraińcem. Niebawem wyszli goście. Staruszek przyjął mnie bardzo serdecznie; widocznie przybliża się dlań koniec, twarz zmieniła wyraz, nabrzękła, ściemniała a i ręka na temblaku. Czułem ściśnienie w sercu, ale usiłowałem je ukryć i owszem opowiadaniem ożywionem i wesołem dawniejszych i świeżych w Polsce wypadków, roztargnąć nieco staruszka. Nadeszła i księżna Anna, wyraźnie domyśliła się celu moich przeróżnych anegdot, bo potakiwała mi głosem i śmiechem. A i książe Adam sam się rozruchał. Nie postrzegłem się jak ubiegło mi na wizycie, wbrew konwenansom światowym, blisko półtory godziny. Pożegnaliśmy się czule, a daj Boże jeszcze się widzieć [4]).

12. czerwca [5]). Dostałem tom poezyi Szewczenki, wydrukowanych roku zeszłego w Petersburgu. Zasiadłem od rana z wielką

---

[1]) Z dzienniczka B. Z. z 1861 r.

[2]) Z dzienniczka B. Z. z 1861 r.

[3]) Książę Adam Czartoryski przysłał B. Z. „Żywot Niemcewicza“ z pochlebnym podpisem.

[4]) Książę Adam umarł 15. lipca 1861 r., t. j. miesiąc po tej wizycie.

[5]) Z dzienniczka B. Z. z 1861 r.

skwapliwością do czytania i, pomimo małoduszności kolegi piewcy ukraińskiego, pomimo przesądów dziwnych, bo pała nienawiścią do Lachów i apoteozuje rzeź humańską, pomimo wszystkich zgorszeń, poezye te napełniły me serce niewysłowioną lubością. Mniejsza, że poniewiera nami, bo był to ostatni poeta z chłopów pańszczyźnianych, którym szlachta polska dała się we znaki. Tak mi się żywo przypomniała Ukraina w duszy. A przytem jest i niepospolity poetycki talent w układzie poematów i wyrażeniach serdecznych . . . . . .

## Do Pani Zofii Zaleskiej, w Vichy.

*Paryż, 16. lipca 1861 r.*

Moja droga i najmilsza . . . . . Moskale ciągle odgrażają się rzezią, a Warszawiacy, pomimo pogróżek, nie myślą zaniechać religijnych i patryotycznych demonstracyi. Zanosi się tedy na długi niepokój w mieście. W dniu 2., 3. i 4. lipca były zaburzenia na cmentarzu powązkowskim i na Lesznie przy obrazie Matki Boskiej u Karmelitów. Policya aresztowała wiele osób, co śpiewały zwyczajne nabożne swoje suplikacye. Między innemi aresztowała jakieś dwie panie wojażerki, matkę i córkę, które potem w asystencyi żandarmów wywiozła z kraju, jedną na granicę pruską, a drugą na granicę austryacką . . . . . .

Wczoraj o 11-ej w nocy wróciłem do domu. Szczęściem, że zastałem wszystko w należytym porządku, i dzieci w głębokim śnie pogrążone. Poczciwy Józef nie odstąpił ich ani na krok cały długi wieczór, nakarmił i uśpił. Otóż jeździłem do księcia Adama, który niewątpliwie w tej chwili Bogu już ducha oddał. Zastałem lament rodziny przy łóżku konającego. Z p. Władysławem Zamojskim posiedziałem na pogadance kwadransik i opuściłem smutne zamczysko w Montfermeil. Widziałem jeszcze tam Kazię [1]) i Błotnickiego. Zadumany, puściłem się na piechotę do Gagny, stacyi drogi żelaznej, oddalonej o godzinę od zamku. Byłem pewny, że jak na innych kolejach, tak i na tej, konwoje odchodzą do Paryża co godzina lub dwie, tymczasem dowiaduję się, od 5-ej niema konwoju aż do $9^1/_2$. Tak więc, rad nie rad, musiałem się rozgościć

[1]) Pannę Plichciankę.

w nędznej mieścinie i stracić 4 godziny czasu, zakłopotany przytem o dzieci . . . . . .

Przyciskam was obiedwie do kochającego serca w niewysłowionem uczuciu tęsknoty.

Bądźcie zdrowe, duszki moje

*Bohdan.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej, w Vichy.

*Paryż, 18. lipca 1861.*

Moja najmilsza Zosieczko . . . . . U nas ciągle głucho i w gazetach galicyjskich nie wiele nowin z Warszawy. Moskale wciąż się odgrażają i nawet prowokują do zaburzeń, ale publiczność postępuje z wielką roztropnością. Nabożeństwo żałobne za ś. p. księcia Adama odbyć się ma podobno w poniedziałek. Ciało wywiozą potem do Sieniawy. Ale o tem wie lepiej Józef, który widział się wczoraj z Plichtami. Ja nigdzie a nigdzie nie wychodzę z domu . . . Nie dziw się, że pisuję sucho i krótko, bez uwag i sentymentów. Alboż ty, droga moja, nie wiesz z dawien dawna, co noszę w głębi ducha mego i w sercu? Na razie umysł mam ciągle roztargniony, to wspomnieniami młodości przy odczytywaniu starych wierszy, to nowem usposobieniem poetyckiem, które niespodzianie na starość zawitało. Nie chciałbym całkiem zmarnować dzisiejszej weny. to szkicuję choć motywa różne i myśli uwijające się po głowie, zanim (jeśli Bóg da) przed jesień zaprzęgnę się na seryo do pracy. Potrzebuję ciszy i spokoju, to może coś ważniejszego wydumam. Zosiu moja droga, nie mów głośno o mojem dobrem usposobieniu, bo może to jeszcze będą jeno poronione nadzieje. Nie gdyraj na mnie, że zacietrzewiam się tak w pustych mrzonkach, ale módl się o dobrą myśl i natchnienie dla mnie. Módlmy się, duszko, jedno za drugie . . . . .

Zosiu droga, Bóg z wami obiema, niebogi moje, tęsknię do was i kocham, kocham

Wasz

*J. Bohdan.*

## Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej, w Vichy.

*Paryż, 21. lipca 1861.*

Nisiu, siostro moja świątobliwa i najmilsza, rzadko teraz do ciebie pisuję, to znaczy się, że duch mój od niejakiegoś czasu na pokucie wielkiej siedzi. Zamiast listu, posyła ci on, duch, dzisiaj swoje onegdajsze dumanie, które doprawdy zaimprowizował, bo coś innego wcale miał na pensum w tym dniu. Sądzę, że to nie złe jest, bo improwizował w nieutulonym płaczu, jakiego dawno już nie zaznał. Czy wydrukować to zaraz na osobnym świstku dla biednej Polski? Tak czynił zawsze ś. p. Zygmunt. Albo też zachować do przyszłej edycyi P i e ś n i ?

Dyżcio, siostro moja, ucałuj ręce poczciwego twego Daryusza, i w imieniu mojem podziękuj mu najczulej za opiekę i przytulenie braterskie, jakie okazuje obydwom moim niebogom. Czuję, że ci błogo będzie w sercu przy spełnieniu tego polecenia twego brata. Bóg wam to zresztą obojgu odpłaci.

Hymn, duszko, można dać do przeczytania całemu waszemu gronku. Może trzeba coś zmienić lub dodać? Powiedźcie.

Przypadam do kolan twoich i całuję z całą miłością braterską

*Józef Bohdan.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej, w Vichy.

*Paryż. 24. lipca 1861.*

Moja najdroższa jedynaczko, wróciłem wczoraj wcześnie z Fontainebleau, to jest o 4-ej samej stanąłem w domu. Zastałem gości: Plichcinkę i starego Ordęgę, a nim zjadłem obiad, nadeszła pani Hryniewiecka. Nie było tedy czasu do napisania listu. Nie spieszyłem się też, bo wiedziałem, że Józef z Dyziem szeroko do ciebie pisali.

W Fontainebleau wysiadłem przed kościołem, bo padał rzęsisty deszcz. Ksiądz Clesse wychodził właśnie ze mszą św. Wysłuchałem jej pobożnie, w rozrzewnieniu serdecznem, i kommuniowałem, duszko, na spólną naszą intencyę. Po mszy, kroplisty deszcz nie ustawał, — poszedłem tedy na kawę i postanowiłem, oprócz na cmentarz, do nikogo a nikogo nie wstąpić. Na cmentarzu zaczęła

się ulewa, co się zwie, ale nie zważałem na nią, pielgrzymka to duchowa i rodzicielska nasza powinność, — a więc niema rady. Niepodobna było nigdzie ukleknąć: woda płynęła strumieniami. Oparty o kolumienkę, pod parasolem, przemodliłem i przedumałem dobrą godzinę w połączeniu z duszkiem naszego aniołka. Łzy słodkie, miłośne, poddania się woli Bożej obficie lały się z oczu. Nie mogłem odbyć zwyczajnych stacyi na grobach Stefcia i przyjaciół polskich i francuskich. Odmówiłem tylko trzy Zdrowaś i trzy *de Profundis* za dusze wszystkich tych naszych kochanych nieboszczyków. Obejrzałem się po Kaziowym grobku i postrzegłem, jak starannie pielęgnuje go poczciwa Adela. Zaszlochałem na głos i zmieniłem postanowienie, aby pocałować naszą kochaną ogrodniczkę, która go tak okwieciła i wycackała. Wyszedłem przez las. Po drodze marzyłem pomimo ulewy — marzyłem, że jeśli mi Bóg poszczęści w gospodarstwie drukarskiem, pierwsze tysiąc franków użyję na zakupienie małej renty dla ubogiej Francuzki, aby na stare lata miała pamiątkę po dziecku naszem, które tak bezinteresownie kochała. Jestem pewny, że Kazio nam będzie za to wdzięczny. Marzenie to zapewnie, kochana Zosiu, ale lubujmy raczej w pięknych marzeniach, niż w ladajakiej rzeczywistości.

Przechodząc pod oknami, nie godziło się nie wstąpić do świątobliwej naszej Dolowej [1]). Zastałem w domu tylko staruszkę. Dolowa wyjechała kędyś aż do Caen na 48 godzin do przyjaciółki swojej i podobno że po raz pierwszy w życiu tak daleką podróż odbywa. Staruszka w niesłychanym niepokoju o nią, płacze z tęsknoty. Hezardowstwo [2]) zastałem. Ucałowaliśmy się z Adelą serdecznie i z płaczem. Możesz sobie, kochanko, wyobrazić, jak musiałem wyglądać, kiedy Hézard stary chciał mi gwałtem wdziać swój szlafrok i pantofle. Obeszło się bez tego, ale natomiast wolałem przyjąć mały kotlecik i szklankę wina. Dowiedziałem się u nich o świeżej śmierci pani de Polignac [3]), którą mają pochować w tych dniach obok Agenora. O samej 12-ej byłem już u Naigeona, a deszcz lał i lał i nie ustał aż pod Paryżem. Do domu z biura omnibusów przyszedłem suchą nogą i w najśliczniejszą pogodę. Oto masz jak najdokładniejsze sprawozdanie z wczorajszej podróży.

---

[1]) Państwo Dole, przyjaciele w Fontainebleau.
[2]) Państwo Hézard, sąsiedzi i przyjaciele.
[3]) Księstwo Agenor de Polignac, też przyjaciele z Fontainebleau.

MIASTA NOWEGO SĄCZA



Dyzio zdaje się zdrowiusieńki. I obrzęknienie na gruczołach znacznie się zmniejszyło. Napiera się ciągle do szkoły, bo samemu w domu nudno.

Czemu ty, moja droga, zrywasz się tak ciągle z Vichy przed ukończeniem swego sezonu? Kto chce osiągnąć cel, chce i środków po temu. Tobie i Józi służą, jak sama pisałaś, miejscowe wody. To i dlaczegoż nie dokończyć należycie kuracyi? Nic zresztą nie nagli was do powrotu. Zdrowie wasze, moja serdeczna, to najważniejsza dzisiaj rzecz dla nas wszystkich. Oprócz tego zmartwisz niepotrzebnie poczciwego Daryusza, który jako lekarz wie najlepiej, czego wam potrzeba, a jako przyjaciel radby niebo wam przychylić. Rozmyśl się, moja najmilsza, i wytrwaj na miejscu całe dwadzieścia dni. Pierwszych dni sierpnia wyjedziem na wasze spotkanie całą gromadką. I będziesz tu wtedy niezbędnie potrzebną, bo zaczną się w szkole egzaminy wyższych klas.

Biedna Zaliwska skończyła swoje cierpienia na ziemi. Poczciwa Hryniewiecka kupiła wczoraj kaftanik i przychodziła do nas po jaką czarną suknię, aby przyodziać ciało. Dałem z Dyzinych 20 fr., a dziś zawiozę jej jeszcze 30, bo niema za co pochować nieboszczki. Rozbiegniem się zaraz po składkę. Niestety, pani Konstantowa [1]) wyjechała, to oprócz Janiny [2]) nikogo nie znam. Poruczę zresztą gorąco interes ks. Aleksandrowi [3]), to mniemam, że on wszystkiemu zaradzi przez swoje wpływy i znajomości.

Nic mi nie napisałaś, Zośko, jak ci się P a r a l i t y k mój spodobał? Poniosę go jutro do drukarni. Myślę u spodu wydrukować: cena 25 centymów n a d o c h ó d S z k o ł y P o l s k i e j. Hymnu bułgarskiego w Galicyi i Poznańskiem było 3 czy 4 edycye, to poproszę Walerego [4]), aby ostrzegł wydawców, że każdy coś musi dać na Szkołę Polską. Będzie to mój datek na infirmeryę twoją [5]).

Dyżcio nasz niestrudzony korespondent. Wszędzie podsłuchuje, czy nie złowi jakiej nowinki dla matki lub dla siostry. Niestety, nie zawsze dobrze dosłyszy.

---

[1]) Zapewnie Branicka.
[2]) Czetwertyńska.
[3]) Jełowicki.
[4]) Wielogłowski.
[5]) Pani Bohdanowa zajmowała się organizacyą infirmeryi, kuchni i szatni w Szkole Polskiej, do której sprowadziła zakonnice dla czuwania nad każdym z tych oddziałów.

Zdaje się, że nie mam nic już więcej do dodania. Ponawiam tylko najczulej prośbę, abyś nie przerywała kuracyi, skoro wyraźnie skuteczna dla ciebie i dla Józi. I nam, duszko, tęskno za tobą, ale dla ważnego względu zdrowia godzi się poświęcić względy drobniejsze. Całuję z całą miłością twoje oczy i obrzękłe ręce. Józkę moją całuję w czołko i błogosławię, kochanych pozdrawiam. Bóg z wami wszystkimi

*Bohdan.*

Ksiądz Szreter przyszedł i nie mam czasu już nawet przeczytać moich bazgrań.

## Do Pani Zofii Zaleskiej, w Vichy.

*Paryż, 27. lipca 1861.*

Moja najdroższa, Bóg ci zapłać za dobre słowo! . . . . . W Warszawie ulubieńcem dziś ludu jest arcybiskup Fiałkowski. Co bo zeń Pan uczynił! Najodważniejszy kapłan i patryota polski. Wojuje bez wypoczynku z Suchozanetem i Wielopolskim. Czytaliście już w gazetach, że nakazał żałobne nabożeństwa w całej dyecezyi za duszę ś. p. księcia Adama i sam celebrował w katedrze, i że lud warszawski wyprzągł konie z powozu. Otóż nie pozwolił ciągnąć karety, wołając, że to obyczaj nie chrześciański i nie polski, ale wysiadł staruszek i szedł na piechotę do pałacu, błogosławiąc na prawo i na lewo lud klęczący. Dopiero na wschodach wzięła go młodzież na ręce i zaniosła do pokojów. Przed kilkunastu dniami, po rozdaniu nagród klerykom w Akademii duchownej, arcybiskup ukląkł i sam zaintonował „Boże coś Polskę“, wobec jenerałów i urzędników moskiewskich. Nabożeństwa za księcia odbywają się po wszystkich zakątkach naszego kraju i za granicą. W Wiedniu było tłumne i arcyświetne, które urządzał podobno Adam Potocki. W Kissingen, pisze Kamieński, odbyło się takoż: młodzież polska z okolnych uniwersytetów i szlachta z wód, wracając z kościoła, pod oknami wielkiej księżny Konstantowej wyśpiewali „Boże coś Polskę“. „Głos“ zakazany i Z. Kaczkowski uwięziony za ogłoszenie „Posłania do Rodaków w całej ziemi polskiej“. Ktoś to napisał w Warszawie, i w imieniu miasta, odlitografowane w mnogich egzemplarzach krąży po kraju. Elżanowski przedrukuje w swoim Przeglądzie. Mówił mi wczoraj, że ma i lito-

grafować pieśni, które lud śpiewa. Chcemy je tu przedrukować w małym formacie, aby można było wszyć do nabożnych książek. Krąży tu testament polityczny ks. Adama. Czytał go tu nam wczoraj Ignaś Plichta i obiecał przynieść egzemplarz dla nas. Treść poczciwa. Poleca zabiegi około sprawy ks. Władysławowi i t. p. Koniec testamentu bardzo piękny i budujący.

Używajcie. Zosieczko moja, wypoczynku i kuracyi w pogodzie ducha i spokoju serca, abyś potem była rzeźwiejsza do pracy i ochotniejsza na próby, jakie Pan Bóg na nas ześle. Śpiewajmy Panu, wtorujmy za Polską dziś całą.

Ucałuj kochanych: Bóg z wami i z tobą i z Józią. Błogosławię wszystkich ze łzami

*Bohdan.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej, w Vichy.

*Paryż, 30. lipca 1861.*

Moja najdroższa Zosiu! Od piątku nie mamy od was ani słówka. Zasmuca mnie to i trocha niepokoi, że opadają do wszystkiego ręce. Bóg wie, co sobie nie marzę? Możeś chora? Dziś od rana do 1-ej wyczekuję w oknie na wasze listy. Darmo, dłużej nie można. O 3-ej mam egzamina w szkole aż do 7-ej, a więc potrzeba wcześniej do was wyprawić kartkę. Myślę, że może w godzinie obiadowej nadejdą od was listy.

My tu od kilkunastu dni chodzim w żałobie, jakby owiani wonią grobów. Ze dnia na dzień ktoś umiera, głośniejszy emigrant, to nieznany. Wczoraj po nabożeństwie za księcia Adama, zaledwie mieliśmy dość czasu na pogrzeb panny Modzelewskiej, spółukrainki. Pogrzeb zabrał dużo czasu, bo z Chaillot na Père Lachaise półtory godziny drogi.

Na obchodzie żałobnym wczoraj po ś. p. księciu Adamie ksiądz Aleksander miał mowę pochwalną, dobrze pomyślaną i dobrze napisaną, ale że ją źle czytał na ambonie, nie sprawiła więc należytego wrażenia na słuchaczów. Nie było zresztą czasu na uczenie się na pamięć. Po apologii ks. Aleksandra, przemówił jeszcze ks. Degnerry, proboszcz św. Magdaleny, alem tego nie słyszał.

Z kraju żadnych a żadnych nowin, osobliwie z naszych stron. Wiemy jak najpewniej, że w naszych prowincyach wszystkie listy otwierają na pocztach . . . . . .

Bóg z wami, moje ukochane, całuję was najczulej. Pozdrówcie i ucałujcie kochanych spólnych

*Bohdan.*

18. sierpnia [1]). Ksiądz Jełowicki doniósł o śmierci przyjaciela naszego i ongi spółmieszkańca w Fontainebleau, Franciszka Trzcińskiego [2]); śmierć ta wzruszyła mnie w głębi duszy. Modliłem się za niego w kościele i po drodze do domu. Przed obiadem żonę i dziatwę zawezwałem do pacierza za ś. p. Franciszka. Żona i Józia serdecznie płakały.

19. sierpnia. O $5^1/_2$ rano wyruszyliśmy z Józefem do omnibusów, odwożących na kolej żelazną Lyońską. Na miejscu zastaliśmy posła Karwowskiego i zaraz wsiedliśmy do wagonów. Zaczytałem zdaleka jeszcze jednego ziomka, Niedźwieckiego. Przyjechaliśmy do Fontainebleau o $8^1/_2$ i niebawem stanęliśmy przed mieszkaniem Trzcińskich. Zwłoki nieboszczyka Franciszka zastaliśmy już w trumnie. Po krótkiej rozmowie z Leopoldem Trzcińskim, synem, i Janem Leduchowskim, wyszliśmy z Józefem do miasta . . . .

Koło 11-ej zeszliśmy się znowu przy eksportacyi ciała. Francuzów była znaczna liczba i kilku nowych rodaków, jako to Korabiewicz i dwóch lub trzech nieznajomych mi. Franciszek Trzciński umarł jak najprzykładniej, po przyjęciu św. Sakramentów, przytomnie, bez trwogi i bez wszelkich boleści; umarł, zdaje się, na anewryzm. Wilią śmierci, jak zwyczajnie, chodził na targ i odprowadzał piechotą Leduchowskiego na kolej żelazną. Mszę św. odprawił w kościele ksiądz proboszcz, w assystencyi księży Claisse i Papillon. Po mszy i odśpiewanym kondukcie odprowadziliśmy ciało na cmentarz. Nad grobem przemówił po francusku Leduchowski, ale w sposób nieznaczący. Usunąłem się z pogrzebu na grób Kazia, nadszedł Józef z Karwowskim, odmówiliśmy wespół litanię do Matki Boskiej i odeszliśmy z cmentarza przez las do miasta. Na kolei przyłączył się do nas Niedźwiecki. Wróciliśmy

[1]) Z dzienniczka.

[2]) Były major wojsk polskich, poseł na sejm w 1830 r., typ szlachcica polskiego, mieszkał długo w Fontainebleau, gdzie był powszechnie szanowany i kochany. Był on wujem pani Seweryny Duchińskiej.

do domu przed 6-tą. Zastaliśmy Seweryna Gałęzowskiego. Zosia mówiła z wielkim zapałem o wizycie księdza Nowodworskiego, profesora Akademii duchownej w Warszawie, który obiecał przyjść do nas jutro rano . . . . . .

1. września [1]). Koło 11-ej ruszyłem do Assomption na mszę i na kazanie. Z ambony dowiedziałem się o śmierci ks. Borkowskiego, którego ongi znałem . . . . Poszedłem do Żeligowskich, u których mieszka Bronisław Zaleski, i zabrałem go do Poniatowskich. Byłem jakiś czas obecny ich rozmowie o Mierosławskim, o Odyńcu i t. p. . . . , wyszedłem za Sekwanę na kurs Duchińskiego. Mówił wybornie, lepiej niż kiedykolwiek, i rzeczy prawdziwe o Moskwie i Polsce. Byłem zaentuzyazmowany, rodaków było dość, a między innymi Seweryn Gałęzowski, Januszkiewicz, jenerał Konarski, Olizarowski, Budzyński i t. p. Wstąpiłem do Dyzi, aby dać sprawę z lekcyi Duchińskiego i spieszyłem na obiad do domu. Zastałem Ludwika Mierosławskiego, mówiliśmy długo i poważnie o rzeczach krajowych. Został u nas na obiedzie. Zmierzchem nadeszli jeszcze Bronisław Zaleski i Cypryan Norwid. Przenieśliśmy się do mego apartamentu, i dysputa formalna zaczęła się o przeszłości i przyszłości sprawy ojczystej. Mierosławski tłómaczył się z czynionych mu zarzutów poważniej niż ongi przed Branickim i z widocznem wzruszeniem. Bronisław nacierał śmiało i z wielkim taktem. Norwid i ja posiłkowaliśmy go z gorącem spółczuciem. Anegdota Norwida o Kościuszce, jeśli prawdziwa, wielce piękna i budująca. Kościszko przywdział sukmankę chłopską po wytrzymaniu mąk rozlicznych od szlachty i po zwycięzeniu pokus gettemańskich, z całą uroczystością religijną i t. d. Dysputa trwała do późna w nocy, śród zgiełku tłumów na ulicy i trzasków fajerwerku jarmarkowego. Rozeszli się koło 11-ej.

## Do Pani Zofii Zaleskiej, w Paryżu.

*Boulogne sur Mer, 5. września 1861.*

Moja najdroższa Zosiu, abyście co rychlej mieli o nas wieści, zasadziłem zaraz po mszy Dyonizego do stolika. Obiegliśmy

[1]) Z dzienniczka.

już znaczną część miasta i poznaliśmy nieco miejscowość. Havre weselszy, bo na wysokiem wzgórzu, a więc i morze w pełni z okien i okręta jak na dłoni. Tu musieliśmy się dopytywać po mieście, kędy do morza droga. Dyzio ze swoim guidem [1]) w ręku nie mógł sobie dać rady. Najgorzej że do kąpieli daleko, trzeba jechać omnibusem. Zzesztą wybrzeże śliczne, piasczyste.

Wczoraj na podróży byłem chory; ledwie że dojechałem do Amiens. Z Amiens wyruszyłem zdrowszy, ale nic nie jadłem.

Służąca przyszła sprzątać pokoiki nasze, a więc urywam na dziś. Jak się masz dzisiaj, duszko? Jak się mają Józef i Józia? Jak się sprawuje mój poczciwy Karol? Wczoraj ledwo nie zaszlochałem na głos, patrząc na jego głęboki smutek. Spodziewam się, że już się uspokoił. Całuję twoje czołko, i Józine i Karola i błogosławię wam z głębi serca. Józefa ściskam.

*J. B. Zaleski.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

[1]) Przewodnik.

# NAJNOWSZE PRĄDY
# W POEZYI NASZEJ

PRZEZ

**PIOTRA CHMIELOWSKIEGO.**

(Dokończenie).

## VI.

### Wyznawcy „sztuki czystej“:

*3) Indywidualiści krańcowi.*

Wspomniani dotychczas czyto zwolennicy „sztuki czystej“, czy pessymiści, czy wielbiciele Nietzschego-Zaratustry, przyznawali choć ubocznie, że istnieją jakieś obowiązki względem społeczeństwa, że wprawdzie wymagają oni dla swej indywidualności prawa jak najswobodniejszego rozwoju, lecz zgadzali się, że dla społeczeństwa tego coś zrobić potrzeba, ażeby zasłużyć na jego uznanie i miłość.

Pierwszy u nas wydrwił wszelki obowiązek Stanisław Przybyszewski, a wydrwił stanowczo i bezwzględnie na wzór „nadczłowieka“.

Szydząc urągliwie z tego filisterskiego tłumu ludzi, co poczuwają się do obowiązku życia dla innych, bohater jego „Mszy żałobnej“ powiada: „Ja jestem dla siebie jedynie! Ja jestem początkiem, ponieważ noszę w sobie cały ciąg rozwoju, i jestem końcem, ponieważ jestem jego kresowem ogniwem. Jestem sam z memi wrażeniami. Wy macie jeszcze jakiś świat zewnętrzny; ja nie mam go wcale, ja mam tylko siebie. Ja jestem Ja. Ja, wielka synteza Chrystusa i Szatana, sam siebie prowadzę na górę i na pokuszenie

się wystawiam i chcę się otumanić. Ja, synteza najpijańszego zapału i chłodno obrachowującego wyrafinowania, synteza najszczerzej wierzących chrześcian pierwotnych i szyderczo zgrzytliwych niedowiarków, mistyczny wizyoner i szatański kapłan, co poświęconemi usty najświętsze słowa i najohydniejsze bluźnierstwa równocześnie wypowiada... Nie znam nic innego poza mojem wrażeniem: nie znam przedewszystkiem żadnej przyczynowości, znam tylko następstwo kolejne moich wrażeń: czy się one logicznie rozwijają czy nie, to rzecz nie moja. Mój przedmiot siedzi po prostu na tafli izolacyjnej. Jest on ośrodkiem ciążenia, około którego byt ułudny oscyluje: patrzy przez mikroskop, lub też w miarę potrzeby, przez teleskop; i w samowładztwie mego podmiotu pozwalam sobie myśleć, że wszystko sennem jest tylko marzeniem, i że rzeczywistość to tylko szczególna forma snu, a ja dla samego siebie równie obcym jestem jak wy... Natura wyczerpuje się; zaczyna oszczędzać. Nie może już, jak dawniej, pozwalać sobie na waryacki przepych kopalnej flory i fauny, kiedy się nim jeszcze żaden duch zachwycać nie mógł. Tworzy teraz śmieszne, małe, słabe bydełko; wyczerpuje się na drobniutkie bakterye, które łaskawie zjadają jej nieudatne dzieła. Nad tą marnością, nad tą oszczędnością i filisterską dekadencyą unosi się swobodnie, bezgranicznie, marnotrawnie, nadludzko ekspansywnie, jak mgła gazowa, moja wielka arystokratyczna dusza w całej potędze swej bezpłodności [1])".

Wysłuchawszy tych bezładnych wylewów, powiecie, że to są majaczenia neurastenika, opanowanego manią wielkości. Jest tak niewątpliwie, ale sam Przybyszewski zapewni was, że neurastenia nie jest bynajmniej chorobą: że jest to raczej najnowsza i bezwzględnie konieczna faza rozwojowa, w której mózg staje się sprawniejszy, a wskutek zwiększonej wrażliwości — i wydajniejszy; co dzisiaj neurastenią nazywają, to jutro nazwą najdoskonalszem zdrowiem [2]).

Autor utożsamia się zawsze ze swymi bohaterami; ponieważ każdy przedstawiać może swoje tylko wrażenia, swoje uczucia, swoje myśli, Przybyszewski, połączywszy poglądy Kanta oraz Schopenhauera z wynikami psychologii fizyologicznej na teoryę poznania, wytworzył sobie przekonanie, że wszelka t. zw. „rzeczywistość" jest całkowitą ułudą: że istnieje naprawdę tylko jaźń świadoma,

[1]) St. Przybyszewski: Totenmesse, str. 16—18.
[2]) Tamże, str. 2.

tworząca sobie z odbieranych wrażeń i z własnej istoty świat, istniejący jedynie tylko w wyobrażeniu.

Jednostka, uświadomiona w najwyższym stopniu, staje się twórczynią całych odrębnych światów: może więc być nazwana bogiem, może się uważać za króla i władcę. Tę twórczą stronę jednostki potrzeba wciąż mieć na pamięci, jeżeli się chce zrozumieć rozmaite dziwne i dziwaczne pomysły Przybyszewskiego, które bez takiego klucza wyglądałyby jak wizye obłąkanego, prawiącego o bogatych, wspaniałych krainach, których jest rozkazodawcą.

Przytem potrzeba jeszcze i to dodać, że autor „Androginy“ utożsamia bardzo często daną jednostkę, o której mówi, z całym szeregiem genialnych jednostek, jakie w dziejach występowały, tworząc systemy religijne, hipotezy i odkrycia naukowe, arcydzieła sztuk pięknych, instytucye polityczne i społeczne. Wierzy bowiem w przechodzenie dusz czyli metempsychozę, pojętą ewolucyjnie, jako kolejne szczeble czy etapy rozwoju.

Dawniej, pod wpływem studyów fizyologicznych mówił dużo o mózgu, potem pod wpływem prądów, wynoszących na pierwsze miejsce w umysłowości ludzkiej fantazyę, zaczął bezwzględnie przeciwstawiać duszę mózgowi, wywołując tem, jakoby nowem, odkryciem uwielbienie wśród swoich zwolenników. Musimy więc teoryjkę tę poznać nieco dokładniej.

Mózg jest, według Przybyszewskiego, organem tylko rozumu analitycznego: wszystko, co można w świecie poznać za pomocą drobnostkowych badań, wszystko, co daje się zmierzyć, zważyć, obliczyć; cały, jednem słowem, obszar doświadczenia zmysłowego to jego dziedzina właściwa. Autor gardzi tą dziedziną, chociaż z niej zaczerpnął wszystko, co rozumniejszego i głębszego w jego utworach się znajduje.

Sądzi on zresztą, że mózg we właściwych sobie ciasnych granicach życia praktycznego ma swoje i uprawnienie i znaczenie, ale wara mu do dziedziny twórczej. Tu głos mieć może tylko dusza, i to „naga dusza“ t. j. oswobodzona niby od tych naleciałości, jakiemi ją okryła praca mózgu. Ścisłego określenia, co jest ta naga dusza, spodziewać się oczywiście nie możemy; wiemy tylko, iż jej moc i potęga objawia się głównie w snach i w uczuciu miłości. Stany t. zw. „nieświadome“ kryją w sobie ogromne głębie, o których mózgowi ani się nie śniło.

Dusza właściwie jedna jest tylko we wszechświecie i ukazuje się kolejno w kształtach widzialnych wśród geniuszów. „Dusza —

powiada Przybyszewski — raz po raz, nieznaną potęgą zmuszona, idzie na ziemię, wraca z powrotem na łono wieczności i znowu się ucieleśnia, bogatsza, silniejsza, więcej uświadomiona niż pierwszym razem, i tak bez końca, aż wreszcie dochodzi do świadomości całej swej potęgi, przenika najtajniejsze rzeczy, obejmuje najodleglejsze i najskrytsze związki, t. j. staje się geniuszem, odsłania się w swoim absolucie, w całym przepychu swej nagości... Stroma, przepaścista droga — to droga duszy, dla której życie ciężkim snem, a bolesnem przeczuciem jakiegoś innego życia i zaświatu, przeczuciem innych związków i innych głębi, jak te, do których biedny, biedny nasz mózg dotrzeć może [1])".

Jakimże środkiem można odkryć wszystkie owe tajnie, kryjące się w duszy? Na takie pytanie autor odpowiada: „Za pomocą nie zmysłowego, ale u c z u c i o w e g o kojarzenia wrażeń roztworzyć pragniemy nowe widnokręgi, odsłonić rzeczy tajne i dotychczas w słowa nieujęte. Metoda, jaką się n a r a z i e posługujemy, to oddawanie i odtwarzanie uczuć, myśli, wrażeń, snów, wizyi, b e z p o ś r e d n i o, jak się w duszy przejawiają, b e z l o g i c z n y c h z w i ą z k ó w, we wszystkich ich gwałtownych przeskokach i kojarzeniach. Bo poza tem, co się biednemu mózgowi mieszczaństwa śmiesznym idyotyzmem wydaje, kryje się zawsze głębia [2])".

Na to zauważyć można, że odtwarzanie uczuć, myśli, wrażeń, snów i wizyj nie jest bynajmniej nowością, robili to poeci i powieściopisarze, robili także psychologowie: nowością zatem w odpowiedzi autora będzie to tylko, iż według nowej metody czynić to należy „bez logicznych związków".

Nie sądzę, ażeby taki sposób postępowania mógł wiele rozjaśnić, żeby mógł odsłonić tajnie „nagiej duszy". Jakże się porozumieć z innymi, jeżeli się mowy swojej logicznie nie ułoży? Przypadkowe kojarzenia się wyobrażeń są u różnych jednostek różne: na ich podstawie zgoła jest niepodobne komunikowanie sobie spostrzeżeń i myśli. A zresztą czy sam Przybyszewski, posługując się tą metodą, rzucił jakiś promyk jaśniejszy na tę tak wielbioną „nagą duszę?"

Niestety, czytamy u niego same w tej mierze ogólniki, wcale zresztą nową zdobyczą nazwać się nie mogące. Oto n. p. jak opisuje znany z psychologii fakt asocyacyi utajonej (cerebracyi

[1]) St. Przybyszewski: Na drogach duszy. Kraków, 1900, str. 18, 25.

[2]) Tamże, str. 24.

bezwiednej): „Są w naszej duszy dziwnie splątane i powikłane krużganki, grobowce wspomnień życia przed życiem, podziemne kurytarze, do których nigdy jeszcze nie wnikło światło. Tylko w ciemnych nocach płonących snów tryśnie raz po raz zielony płomień, rozlegnie się dźwięk jakby najbardziej oddalone, najtajniejsze echo, błyśnie przeczucie, gdyby oblicze bladej gwiazdy w rozkipieniu ciemnych fal [1])".

Odrzuciwszy szatę przenośni, wszystkie te twierdzenia odnaleźć można w psychologii, nie posługującej się metodą pomijania logicznych związków. Nawet owe tajemnicze „grobowce wspomnień życia przed życiem" mogą być wyjaśnione jako dziedzicznie przechodzące z pokolenia na pokolenie usposobienia do przyjmowania pewnych wrażeń w ten lub inny sposób, a nawet do pojmowania zjawisk bytu pod formą przestrzeni i czasu.

Mniemania znów, wypowiedziane z naciskiem, że dusza, jak wogóle natura nie zna szczęścia, że „radosna, rozanielona dusza to dziwoląg, to koło kwadratowe, to bicz z piasku", że dusza z istoty swojej jest „ponura, groźna, bo jest bolem namiętności i szałem rozmachów, bo przeżywa ekstazy wrzących chuci i potworną trwogę wszechgłębi i bezgraniczny ból istnienia" [2]) — znajdują się u wszystkich pessymistów tak samo jak parodoks, że „postępującą drogę ewolucyi charakteryzuje coraz silniejsze napięcie bolu".

Od tych poglądów na duszę przejdźmy do zapatrywań na sztukę i jej zadanie. Jak wogóle Przybyszewski odrzuca pojęcie obowiązku, tak też sztukę zwalnia najzupełniej od wszelkich myśli o potrzebach narodowych, społecznych, gdyż te pohańbiłyby świętą sztukę. „Sztuka — są jego słowa — nie zna p r z y p a d k o w e g o rozklasyfikowania objawów duszy na dobre lub złe, nie zna ż a d n y c h z a s a d czyto moralnych czy społecznych: dla artysty... są wszelkie przejawy duszy r ó w n o m i e r n e: nie zapatruje on się na ich wartość przypadkową, nie liczy się z ich przypadkowem złem lub dobrem oddziaływaniem, czyto na człowieka lub społeczeństwo, tylko odważa je wedle p o t ę g i, z jaką się przejawiają. Sztuka nie ma żadnego celu, jest celem sama w sobie, jest a b s o l u t e m, b o j e s t o d b i c i e m a b s o l u t u — duszy [3])".

---

[1]) Tamże, str. 19.
[2]) Tamże, str. 63.
[3]) Tamże, str. 14.

Mamy tu więc przedewszystkiem Nitzscheańskie uwielbienia siły, potęgi, depcącej wszystko dla swojego kaprysu; mamy dalej odrzucenie zasad moralnych i społecznych jako p r z y p a d k o w y c h, bo tylko samowola artysty nie jest przypadkową, bo on jeden jest panem, któremu wolno pomiatać wszystkiem; mamy wreszcie pogardę dla logiki, w twierdzeniu, że sztuka jest a b s o l u t e m, bo jest o d b i c i e m a b s o l u t u, to znaczy, że odbicie mojej postaci w zwierciedle jest mną samym. Co się zaś tyczy nazwania samej duszy „absolutem“, już tego punktu osobno nie podnoszę, gdyż o bezwzględnym subjektywizmie autora, o podniesieniu uświadomionego „ja“ do znaczenia bóstwa mówiłem poprzednio.

Nigdy jeszcze u nas nie było tak brutalnego kopnięcia najwyższych ideałów, takiego cynicznego lekceważenia zasad moralnych, społecznych i narodowych, jak w tym wywodzie Przybyszewskiego.

I rzecz doprawdy dziwna i oburzająca. Zaledwie jeden lub drugi głos powstał przeciwko tym twierdzeniom, kiedy się one po raz pierwszy w druku pojawiły, — a natomiast zwolenników i chwalców tego rzeczywiście nowego programu znalazła się wśród młodzieży, a nawet wśród starszych znaczna liczba. I dlaczego? Oszołomieni byli czarodziejskim wyrazem: „sztuka“, wobec której zasady moralne, społeczne i narodowe umilknąć musiały. Zaiste, za droga zabawa! A jak niebezpieczna! A toż się znalazł jegomość, który z drwiącym uśmiechem ośmielił się pisać i drukować o „obywatelskości“ w sztuce. Naturalnie, cóż dla takiego pana znaczą sprawy narodu, jego smutki i cierpienia, jego klęski i poniżenia, gdy jemu chce się zabawić w „sztukę czystą“, która jak jest czystą, zobaczymy niebawem.

Trudno pohamować wylew goryczy, gdy się takie mniemania przypomina. Wracam jeszcze do teoryi Przybyszewskiego. Ze stanowiska indywidualisty krańcowego, nie chodzi mu o „narodowość“ twórczej jednostki, ale tylko o jej odrębność od każdej innej. Stąd strona zewnętrzna życia, którą się zajmowali artyści realizmowi hołdujący, t. j. nie tylko opis osób i ich mieszkań, ale też obraz stosunków narodowych, społecznych i towarzyskich staje się dla nowego artysty rzeczą obojętną.

„Przedstawiciel nowej sztuki — całkiem odwraca się od tego z e w n ą t r z, jako od rzeczy p r z y p a d k o w e j, zmiennej, wlania się w siebie, chwyta w swej duszy rzeczy słowem nieujęte, szuka poza złudnym obrazem t. zw. rzeczywistości, i znajduje całą

drobniuteńką sieć pobudek, wpływów i oddziaływań wzajemnych, jakie zachodzą pomiędzy całą przyrodą a człowiekiem, jednem słowem, nie da się mamić świadomości, a wszystkich przyczyn szuka poza jej obrębem[1])".

Nie podobna tu zrozumieć, jakim organem szukać będzie artysta przyczyn zjawisk, jeżeli się wyrzecze świadomości i poza jej obrębem badania swe rozpocznie. Gdyby autor zamiast wyrazu „świadomość" użył był słowa „rozum", tobyśmy jako tako myśl jego pojmowali: od dawna bowiem poeci przeciwstawiali rozumowi intuicyę, natchnienie i t. p., ale i tą drogą zdobyte prawdy muszą być uświadomione, jeżeli je chcemy innym udzielić; szukać przyczyn poza obrębem świadomości staje się zgoła niepodobieństwem.

Ale nie nastaję na to: autor, jak wiemy, gardzi logicznym związkiem myśli; zresztą można być nie tęgim teoretykiem, a przecie artystą zostać dzielnym. Przypatrzmy się więc drugiej, niewątpliwie ważniejszej stronie pracy pisarskiej Przybyszewskiego: jego powieściom i poematom, pisanym prozą, już to zwykłą, już to poetyczną.

Wiernym tu jest swemu programowi co do pomijania zewnętrznej strony stosunków życia. W jakim kraju rzecz się dzieje, zazwyczaj niewiadomo: jeżeli jest wspomniana jaka miejscowość, to nader ogólnikowo, że znajdujemy się nad morzem, w Berlinie, w wiosce, w miasteczku, rządzącem się autonomicznie i rachującem pieniądze na marki. Nazwiska czy imiona ludzi wskazują jakąś mieszaninę międzynarodową, z różnych stron Europy zgromadzoną. Nie tworzą oni związku spójnego; nie znają się nawet częstokroć, ale mimo to działają w pewnym określonym celu, powziętym przez jakąś kierującą osobistość i posiadającą pewne wspólne znamiona, chociaż mają być mniej lub więcej wybitnemi indywidualnościami. Są i takie utwory, gdzie zgoła żadnego nazwiska niema, ani też nie wiadomo, w jakim zakątku ziemi rzecz się odbywa.

Zapewne, takie lekceważenie strony zewnętrznej jest wyraźnem przeciwieństwem względem metody realistycznej, ale nowością zupełną nie jest nawet u nas. Wszak Zygmunt Krasiński napisał „Noc letnią" bez żadnego imienia własnego i bez oznaczenia miejsca i czasu zdarzeń.

---

[1]) Tamże, str. 20.

Bądź co bądź autorowi idzie o odmalowanie duszy pewnych odrębnych osobistości. Pociągają go zaś głównie trzy zagadnienia: Szatan, Sztuka i Miłość.

Przybyszewski wielbi Szatana. Według niego „Szatan był przed Bogiem, bo Bóg jest dobro; ale rzecz pierwotna, to zło, bo ból jest pierwotnym, a ból i rozpacz wytworzyły zło; zło jest odwieczne i stworzyło sobie dobro, by okazać całą swoją potęgę; Bóg jest właściwie tylko obroną od złego [1])".

„Szatan nowożytny — czytamy dalej — stwarza złe, ponieważ robić to musi i to stanowi jego rozpacz. Szatan nowożytny to potęga, która, pijanym, demonicznym popędem gnana, pędzi po świecie, sieje rozpacz i zagładę, a przez ten sam mroczny popęd zmuszoną jest zbrodnie swoje spisywać, w protokoły układać; to potęga, która nie doznaje, jak w wiekach średnich, rozpustnego zadowolenia w złem, ale w posępnem otępieniu duma nad swem przeznaczeniem, iż musi dokonywać występków [2])".

Zgodnie z tą czcią dla szatana wielbi takich, co byli wykonawcami szatańskiej woli. Dla niego wielkim jest Korneliusz Agryppa, „umysł, co nie zna żadnych praw, żadnej ojczyzny, żadnych bliźnich, duch Lucyfera, twórca rewolucyi, ojciec anarchizmu, co przenosi panowanie szatana na ziemi nad panowanie Boga w niebie [3])".

Ze współczesnych stosunków wybrał Przybyszewski grupę ludzi, których nazwał „Dziećmi szatana", i opowiedział ich czyny! Mówiąc słowami głównej osobistości powieściowej, dziećmi szatana są „wszyscy ci, którzy gnani rozpaczą i zwątpieniem, czują trwogę, wszyscy ci, których sumienie jest obciążone". Ale Gordon, podając to określenie, nie przemawia bynajmniej jako człowiek skruszony, żałujący; przeciwnie sądzi, że dopiero takie dzieci Szatana są prawdziwymi przedstawicielami życia, bo życie jest „królestwem szatana — piekłem".

Jeden z jego młodych wyznawców, trawiony gorączką, skarży się przed nim, że on mu zabrał wszystkie duchowe pociechy, któreby w chorobie balsamem być mogły. „Stałem się — powiada — kapłanem ateizmu, plułem na wszystko, co święte, niszczyłem i psułem, bo pan byłeś moim Bogiem, bo wierzyłem w pana, a teraz, kiedy mię lęk śmierci ogarnia, karmi mię pan estetyką".

---

[1]) Na drogach duszy, str. 76.
[2]) Auf den Wegen der Seele, str. 49.
[3]) Na drogach duszy, str. 81.

Ale dalsze słowa skargi zamierają na ustach biednego suchotnika, bo Gordon posiada wszechwładzę nad jego duszą wbijając ją w pychę, jak szatan pierwszych rodziców naszych, gdy im obiecywał, że zostaną bogami, jeśli spożyją owoc z drzewa wiadomości złego i dobrego.

Szalony w pretensyach swoich indywidualizm, silnie przypominający zasady Nietzschego, widnieje ze słów Gordona, odpowiadającego na skargi swego ucznia: „Ja zniszczyłem panu tylko religię małomieszczańską, drobnostkową, religię obywatela, który lęka się złodziei i morderców, ale nigdy nie zniszczyłem w panu Boga, którego ja cenię“. — „Którego Boga?“ — pyta Wroński. — „Siebie samego“, odpowiada Gordon.

Odpowiedź ta dodaje chwilowo otuchy suchotnikowi; pyta więc mistrza nieśmiało: „czyż ja jestem Bogiem?“ — na co otrzymuje szatańsko-dyplomatyczny wykręt: „Nie jeszcze; dopóki jeszcze szamotasz się z Bogiem drobnego obywatela i z Bogiem bogatego żyda, póty nie będziesz Bogiem“.

Innemi, prostszemi słowy się posługując, można wypowiedzieć treść nauki Gordona w ten sposób: Bądź silnym, nie zważaj na żadne przepisy moralności, nie miej względu na nikogo, nawet na swoich własnych rodziców, bo ich nie prosiłeś, żeby ci dali życie; miej tylko samego siebie na względzie, a zostaniesz takim przynajmniej Bogiem, jak ja, Gordon, rozporządzający wolą kilku jednostek, które nakłaniam do popełnienia czynów, poczytywanych przez „mieszczańską moralność“ za haniebne, a sam nie narażam się na nic, usuwam od siebie wszelkie podejrzenia i wszelką odpowiedzialność...

Nędzne to bóstwo Gordona — dodać muszę od siebie — nędzne panowanie nad garstką neurasteników, podniecających się ustawicznie koniakiem, pitym szklankami, winem, wlewanem w gardło butelkami, wrzątkiem herbaty, gotowej o każdej porze, i ustawicznem paleniem papierosów. Ale najnędzniejszem jest wnętrze tego „boga“ — samoluba, policzkowanego przez kochankę, nie mającego żadnych uczuć szlachetniejszych, kłamcy, oszusta i obłudnego nikczemnika, który dla pozyskania kilkunastu tysięcy marek na jakąś we mgłach spowitą propagandę niszczycielską, doprowadza zwolenników swoich do podpalenia ratusza i patrzy obojętnie na śmierć tych, których do działania popchnął, rad będąc, że świadkowie jego postępowania przed żadnym sądem ziemskim jużby przeciwko niemu wystąpić nie mogli.

Zła to książka i pod względem moralnym i pod względem estetycznym. Pod względem moralnym złą jest dlatego, że we wrażliwe umysły, skłonne zawsze do krańcowości, a nie lubiące myśleć o obowiązkach, wsącza jad rozkładowy, pobudzając do nieszanowania niczego zgoła; pod względem estetycznym złą jest dlatego, że grzeszy straszliwą monotonnością, lubo nie można bynajmniej nazwać jej nudną. W ciągu czytania jej żyje się ustawicznie w chorobliwej, denerwującej atmosferze, słyszy się mnóstwo jaskrawych paradoksów, a nie widzi się ani jednego dobrze skreślonego charakteru, gdyż nawet te dwa, o których szczegółowiej wspomniałem — Gordon i Wroński — składają się z rysów nie zawsze dobrze ze sobą ustosunkowanych, a tem mniej należycie zharmonizowanych.

A teraz co do umiłowania sztuki. Prawie wszystkie utwory Przybyszewskiego malują nam albo artystów: rzeźbiarzy, malarzy, albo utalentowane, wysubtelnione jednostki pisarskie, umiejące ciskać pojęciami z taką zręcznością, jak kuglarze jabłkami czy kulami, podrzucać je jedną ręką, chwytać drugą, rozdzielać je i łączyć we wszelkich możliwych kombinacyach, przedstawiać je ze stron najrozmaitszych, byleby tylko nie powszednich, nie wyszarzanych. Wszyscy oni są szybkobiegami, goniącymi za niezwykłemi połączeniami wyrazów, za nowem słowem, nową barwą, nowym dźwiękiem.

Wszyscy marzą o sztuce wielkiej, wspaniałej, „która szuka nowych światów, światów, leżących poza zjawiskami, po za świadomością, poza wszelką formą przejawiania się — światów tak niepochwytnie subtelnych, że wszelkie połączenia zacierają się i spływają — światów, ukrytych w jednem spojrzeniu, w jednym ruchu, w jednym przebłysku sekundy“.

Gdy się zechcemy nieco szczegółowiej o tych „światach“ poinformować, otrzymamy w odpowiedzi nie tyle transpozycyę wrażeń jednego zmysłu na drugi, ile transpozycyę wyrazów, tak szeregowanych, iżby wytwarzały kontrast najzgrzytliwszy. A więc będzie to „boleść, która stoi ponad boleścią“, będzie to „rozkosz, która zamienia się w boleść“, będą to „pojęcia, w których spływają w jedno wszystkie zmysły“, będą to „tysiące wrażeń, które ledwie dwu, trzech, najwyżej dziesięciu współczesnych umie odczuć“.

Kiedy zaczął redagować czasopismo „Życie“ w Krakowie. Przybyszewski trochę się stał pobłażliwszy, wyrozumialszy; przypuszczał, że nie co najwyżej dziesięciu, ale co najmniej ty-

siąc się znajdzie już nie tylko między wszystkimi współczesnymi, ale pomiędzy Polakami, tysiąc takich, co potrafią odczuć owe subtelne wrażenia, owe pojęcia, w których spływają w jedno wszystkie zmysły. Reszta to tłum, „potrzebujący stuleci do przeżucia jednej odrobiny myśli“, to motłoch, to „mydlarze“.

Ci artyści z góry patrzą na t. zw. naturalistów, tak samo zresztą jak na wszystkich dawniejszych twórców, choćby im było na imię Rafael, bo oni czują się od nich nieskończenie wyższymi. Czasami umieją nawet dowcipnie wydrwić słabą stronę naturalizmu, lubującego się w brudach.

W powieści n. p. „Homo sapiens“, Mikita malarz opowiada swoje spostrzenia, zrobione w Paryżu. „Poszedłem — mówi — do jednego z wielkich, do przywódcy naturalistów... Ten zarabia! No tak, pospólstwo zaczyna teraz kupować ten *cinquiéme élément*, który Napoleon odkrył w Polsce — *la bone*, i kilka badyli kartoflanych. Dawniej kupowano obrazki na paczkach z piernikami słynnego tapicera Jego Apostolskiej Mości — Rafael się nazywał, nieprawda? Tak, no — a teraz przyszedł czas na malarzy kartofli i błota. Pytam więc przywódcę, czemu właściwie malują to, co w naturze jest tysiąckroć piękniejsze i ostatecznie także nie ma tak znowu ogromnego znaczenia. Głupstwo! Treść!? Znaczenie!? Sama natura jest treścią i znaczeniem. — Ale, chyba nie kartofle? — Właśnie kartofle, to natura, reszta głupstwo! Fantazya? Fantazya? Rozumiesz pan, fantazya — śmieszne, to tylko środek pomocniczy, tylko w razie koniecznej potrzeby“.

Tak, niewątpliwie, badyle kartoflane i błoto — niezbyt to ponętne i piękne przedmioty. Ale równocześnie temu anty-naturaliście nie podobają się wspaniałe freski Stanz, bo to obrazki na paczkach z piernikami, obrazki słynnego „tapicera Jego Apostolskiej Mości?“ Więc jakiż go artysta zadowoli? Jest, jest taki! To G o y a, „wspaniały Goya, jedyny psycholog na świecie“. I dlaczego jest „wspaniałym“, dlaczego jest „jedynym psychologiem na świecie?“ Oto po prostu dlatego, że „widział tylko z w i e r z ę w człowieku, a wszyscy są zwierzętami: psami i osłami [1])“.

I tu dochodzimy do oceny moralnej tych artystów, literatów, tych ludzi wyjątkowych, co mają pojęcia, w których spływają w jedno wszystkie zmysły. Moralność to głupstwo, jak treść obrazu jest głupstwem dla naturalisty. Są tylko instynkta, które

[1]) Homo sapiens. Na rozstaju, polskie wydanie, str. 139.

zaspakajać należy swobodnie, żadnego hamulca nie znosząc. Czyż inaczej postępują zwierzęta, psy i osły?

Owi artyści, marzący o sztuce wielkiej, wspaniałej, to zwierzęta, to „bestye“ Fryderyka Nietzschego, pijące koniak, palące papierosy, to uwodziciele i gwałciciele, dla których przyjaźń, uczciwość, szlachetność są czczemi słowami. Taki literat jak Falk to potwór, mający na swoje usługi tysiące mniej lub więcej zręcznych sofizmatów. Jedyna postać uczciwsza, jaką w trzytomowym utworze „*Homo sapiens*“ (w niemieckiem wydaniu) przedstawił Przybyszewski, wypoliczkowała moralnie tę gadzinę plugawą, która przez trzy tomy na pierwszym była planie i uchodziła za wielce inteligentną, utalentowaną, wyższą osobistość.

Ale to tylko jedna krótka scena, zakończona ogólnikową jakąś wskazówką pracy dla ludzkości (*Vive l'humanité*), nie mogąca zgoła ani psychologicznie ani artystycznie zrównoważyć całego steku brutalności i nikczemności, popełnianych przez wybrańców i apostołów „wielkiej wspaniałej sztuki“. Zowiąc największym psychologiem tego, kto w człowieku widzi zwierzę tylko, jakże mogą postępować inaczej, jakże mogą wpływać na nas uszlachetniająco!

Poznamy ich jeszcze w ich miłości, w której, jak już wiemy, ma się najwyraźniej i najczyściej przejawiać „naga dusza“. Kiedy Przybyszewski mówi o miłości teoretycznie, to choć ją uważa za potęgę tragiczną, ma przecież dla niej piękne, podniosłe określenia. „Dla artysty-wybrańca — powiada on — miłość to bolesna, pełna trwogi świadomość nieznanej, strasznej siły, która dwie dusze rzuca na siebie i pragnie je zlać w jedno; to intensywne cierpienie, w którem dusza się łamie, bo czynu Nowego Testamentu, czynu tego stopienia się w jedno dokonać nie może. Dla takiego artysty miłość to niesłychana świadomość strasznej jakiejś głębi, przeczucie jakiegoś otchłannego dna w duszy, na którem życie tysiąca generacyi się przelewa, tysiące wieków ich mąk i udręczeń, ich szał rozrodczy i żądza bytu [1])“.

Tak jest w teoryi, ale w przedstawieniu powieściowem przeważa jeden tylko z wymienionych tu czynników: „szał rozrodczy“.

Z wyjątkiem poematu prozą: „Nad morzem“, rozwijającego myśl bardziej uduchowioną, że zadowolenie pragnienia, żądzy, że wychylenie czary nektaru pozbawia duszę jej siły twórczej, pozostawiając po sobie nieskończone tęsknoty i niezwalczone smutki, —

[1]) Na drogach duszy, polskie wydanie, str. 27.

wszystkie inne utwory Przybyszewskiego, czy to „Msza żałobna“, czy „*De profundis*“, czy „Dzieci szatana“, czy „*Homo sapiens*“, czy „Wigilie“, czy „Androgyne“, rozwijają się na tle raczej fizyologicznem czy patologicznem, aniżeli psychologicznem; brutalne, a niekiedy ohydne sceny mają służyć za wykładnik owych tajemniczych głębi, jakie teorya, szukająca natchnienia poza świadomością, nam obiecywała.

Nie mogę tu w tłómaczeniu podawać najjaskrawszych, najdobitniejszych w tej mierze ustępów z „Mszy żałobnej“, „*De profundis*“ i „*Homo sapiens*“, ale każdy, kto te dzieła czytał, bez trudu odszuka w pamięci obrazy, na które mógłbym się powołać [1]).

Wprawdzie autor maluje te orgie rozpasanej zmysłowości niby z obrzydzeniem, piętnując je bardzo dosadnymi, od Leona Tołstoja zapożyczonymi epitetami, ale maluje je z taką lubością, tak często, jakby myśl jego wyłącznie w sferze stosunków zmysłowo-płciowych przebywała i z nich na żaden sposób wydobyć się nie mogła.

Tragizm niemożności wchłonięcia pierwiastku żeńskiego przez mężczyznę, stanowi dla autora podkład wszystkich jego pomysłów, ale zarazem daje sposobność do kreślenia jużto w pompatycznych, nieraz naprawdę silnych zarysach i słowach, już w potoczny, realistyczny sposób sytuacyi, nazywanych drastycznemi.

Dla przykładu wezmę stosunkowo najmniej rażące sceny z „Wigilii“, ponieważ w nich mieszczą się także ulubione jego mrzonki subjektywistyczne, z najoryginalniejszej strony przedstawione.

W „Wigiliach“ wszelkie określenia miejsca i czasu, wszelkie nazwy osób byłyby zupełnie zbyteczne, gdyż tu wcale nie chodzi o zdarzenia i wypadki, co więcej, nie chodzi nawet o istoty „ograniczone czasem i przestrzenią“ t. j. o zwykłe jednostki ludzkie, lecz tylko o wrażenia i uczucia „czystej, nagiej duszy“. Autor patrzy z góry, jak już wiemy, na zwykły ludzki rozum, zasilany spostrzeżeniami, z zewnątrz napływającemi, zależny od czasu i przestrzeni, i zaczął się wpatrywać w najgłębszą głąb własnej duszy, „odwiecznej jak wszystkie światy razem, bezgranicznej jak wszech-

[1]) Z „Totenmesse“ pozwolę sobie zacytować w oryginale dwa wymowne ustępy: „Ich sehe die Natur als eine apokalyptische Apotheose des ewig ragenden Phallus, der in masslos roher Verschwendung Ströme von Samen über das All ergiesst“ (str. 70). — „Und nun kommt die scheussliche Orgie von geschlechtlicher Schweinerei, die wüste Symphonie der syphilitischen Infection“ (str. 43).

przestrzenie". Pochlebiał sobie oczywiście, że „oczy nieśmiertelne nagiej duszy" dotrą do „głębi wszechbytu".

Z niepokojem oczekujemy wyniku tego zatopienia oczu nieśmiertelnej nagiej duszy w głębi wszechistnienia. Co one dojrzą?!

Oto „z rozpryskanych fal morskich wyłoniła się biała, olbrzymia twarz. jesienny krajobraz przetworzył się w głębokie, w bezdennie głębokie oko, a w kształt krwawiącej się rany wypaliła na niej godzina zmroku mistyczne, lubieżne usta. I ze wszystkich mych obrazów wyłoniła się samica, wola wszechświatu (!), pra-łono, pani"...

Wielkie nadzieje nasze doznały jakoś zawodu. „Nieśmiertelne oczy nagiej duszy" nie dojrzały nic więcej nad to, co zwykłe ludzkie widziały od wieków, iż rozsadnicą życia wśród człowieczeństwa była i jest kobieta. Głąb wszechbytu nie rozkryła się przed nami; pozostała jak i dawniej zamkniętą i tajemniczą, bo nie wyjawiła nam samej zagadki życia, tylko środek, za pomocą którego ono się krzewi.

Zawiedzeni pod względem filozofii, zapytajmy, co nam dają „Wigilie" pod względem psychologicznym.

Bohater rozstaje się z kochanką wskutek jej zdrady. W tej chwili jest on bardzo, aż nadto zwykłym człowiekiem, nie umiejącym nie tylko rzucać błyskawicami słów, ale niezdolnym nawet do ułożenia wyrazów w jaki taki porządny ordynek. Przemawia n. p. w ten sposób: „Pocóż się mamy męczyć — no tak, widzisz, przestałaś mię kochać. Uczucia nasze są wieczne — no — a wiesz, że ja nie pierwszy i nie ostatni — he, he — trzeba ci wiedzieć, że się to często zdarza. — no. jednem słowem — nie biorę ci za złe — Bóg widzi, że ci za złe nie biorę"...

Zdaje mi się, że nawet w największem wzruszeniu człowiek ukształcony, jakim się okazuje następnie bohater, próbujący oczyma nieśmiertelnemi docierać do głębi wszechbytu, zdobyłby się na jakieś słowa rozumniejsze, uniknąłby przynajmniej takich idyotycznych wyrażeń, jak: no, no, he, he, bo widzisz i t. p., któremi w całej scenie rozstania szafuje, brutalnie obchodząc się z kochanką i wyprowadzając za drzwi, pomimo, że jest człowiekiem „niezwykle szlachetnym", jak sam głośno o tem z całą właściwą sobie skromnością kochankę zapewnia.

Ale ta właśnie trywialność wyrażeń i postępowania „jestestwa, nieograniczonego czasem i przestrzenią", należy do maniery stylo-

wej Przybyszewskiego, lubującego się w krańcowych przejściach od najpospolitszej powszedniości do napuszonego patosu.

Bo oto zaledwie kochankę wypchnął za drzwi, jako człowiek „niezwykle szlachetny“, popada w rozmyślania, w których obok przesady w formułowaniu treści, mieszczą się myśli, istotnie głębokie, nie nowe same w sobie, ale wyrażone w sposób świeży.

Zastanawia się on mianowicie, dlaczego m u s i a ł kochać tę, z którą dopiero co się rozstał. Uznawszy w niej jeden z przejawów powszechnego „pra-łona“, dochodzi do przekonania, że była ona właściwie tworem jego własnej duszy, skupiającej wszystkie swoje pragnienia, pożądania, tęsknoty, ideały w tej jednej osobie; była ona pobudką dla niego, że wszystkie jego myśli około niej się skupiły, i stąd nazywa ją swą „matką“; lecz spostrzega zarazem, iż gdyby nie jego własna dusza, toby owa osoba nie przybrała tych wspaniałych i nadzwyczajnych blasków; stąd nazywa ją także swojem „dzieckiem“.

Kochanka dla mężczyzny jest jako kształt zewnętrzny, jako pojaw, jako uosobienie siły płodności — „matką“; lecz jako dusza, jako ideał, jest własnem jego „dzieckiem“, bo „czy istnieje kobieta, której mężczyzna mógł bezgranicznie zaufać? czy istnieje kobieta, głucha na podszepty szatana“ (słowa Przybyszewskiego w książce „Na drogach duszy“ str. 70). Jako pojaw, kobieta ma właściwości „samicy“, żądnej jak najszerszego rozwinięcia swojej siły, a zatem i największej liczby hołdowników; lecz jako dusza, wytworzona przez kochającego ją mężczyznę, jest nieśmiertelną, przepaścistą tęsknotą do ideału. Uczucie mężczyzny oczyszcza się wówczas z przymieszek zmysłowości; „samica“ traci dla niego wartość; ale treść idealna, do stworzenia której w jego duszy ona stała się pobudką, nie zamiera, lecz rozwija się i potężnieje, chociaż omroczona niepozbytym smutkiem.

Rodzi się wówczas chęć wchłonięcia pierwiastku żeńskiego we własną duchową istotę i powstaje pojęcie b e z p i e r ś n e j A n d r o g y n y (mężczyzno-kobiety), w której zanikają znamiona cielesnej odrębności, ale wytwarza się odrębna duchowość, będąca dopełnieniem duchowości męskiej.

Starogrecki ten wyraz, używany niegdyś najczęściej w znaczeniu pogardliwem, staje się pod wpływem nauk przyrodniczych dla Przybyszewskiego jakimś mistycznym symbolem najwyższego udoskonalenia duchowego i ma pewnie zastąpić pojęcie „nadczłowieka“.

Nie przecząc wywodom, dotyczącym idealizowania kobiet przez mężczyzn, i przyznając im w wielu razach dużo piękna muszę jednak zrobić uwagę, że według tychże wywodów Androgyne nie może być zjednoczeniem, zespoleniem duchowości kobiecej i męskiej, lecz jest „dzieckiem“ samego mężczyzny, jest wytworem jego zdolności idealizacyjnej. Ostateczny zatem wynik rozmyślań nie posuwa nas dalej w dziedzinie przypuszczeń psychologicznych, lecz zatrzymuje na tym punkcie, z którego autor wyszedł, iż kochanka jest po części matką, a po części dzieckiem ducha mężczyzny, czyli, mówiąc słowami Mickiewicza, jest ową boską istotą,

Której na podsłonecznym nie bywało świecie,
Którą tylko na falach wyobraźnej pianki
Wydęło tchnienie zapału,
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie...

Jak zaś dalece, nawet wśród takich pojęć, u Przybyszewskiego, znajdujemy się od prawdziwie idealnego poglądu na uczucia, świadczy ustęp z „Androgyny“, pod sam koniec tego utworu umieszczony ustęp, gdzie po owych wszystkich przetworzeniach cudownych, wraca znowu „samica“, do której bohater śpiewa długo litanię, streszczającą się w tych słowach: „O całe ciało przenajsłodsze. raz jeszcze rozszalej się przenajświętszym grzechem na mem rozżarzonem ciele, zamieraj w nieludzkiej pieszczocie, rozkrzycz się w dzikim szale rozpusty, pieść się wielkiem Allelujah w ciemną otchłań, w której się pamięć zatraca, o całe ciało moje“ (str. 79).

Mamże poddawać rozbiorowi te wściekłe okrzyki zwierzęcia w człowieku, okrzyki, które posługując się uświęconymi i świętymi w chrześciaństwie wyrazami, mają charakter wstrętnie bluźnierczy. Sądzę, że samo poczucie estetyczne, nawet bez odcienia religijnego, wystarczyćby powinno za krytykę.

Przybyszewski jest umysłem rozległym, niepospolitym, włada niekiedy stylem potężnie jak mocarz słowa, lecz daje karm niezdrową, podbudzającą raczej popędy zwierzęce, aniżeli dążącą do ich uszlachetnienia. Widać, że dla niego na seryo największym psychologiem jest ten, kto w człowieku widzi tylko zwierzę, wspaniałą w swej lubieżności bestyę!...

---

Przejrzeliśmy główniejsze, najznamienniejsze objawy naszej najnowszej twórczości poetyckiej. Widzieliśmy w niej talentów nie

mało; widzieliśmy także dość znaczną liczbę takich, co szczerze i gorąco interesują się dolą swego narodu i pragną mu według sił dopomódz do wytrwania na drodze postępu ku jaśniejszemu jutru. Ale niestety, widzieliśmy i takich, co pod pokrywką szukania dróg nowych w sztuce, pod pozorem oddania się twórczej sile bez żadnego podziału, przyczyniają się do zobojętnienia umysłów na sprawy i zadania społeczno-narodowe, na obowiązki wszelkie względem ludzi, przyczyniają się do sproszkowania społeczeństwa na luzem chodzące jednostki, wmawiając w nie, że jedynym obowiązkiem jest obowiązek względem siebie samego, względem rozwinięcia swego umysłu, a głównie względem nasycenia swoich instynktów.

Nigdy jeszcze tak zuchwale a nawet bezczelnie nie występował indywidualizm rozhukany, jak w chwili obecnej. Jad wyrafinowanego sobkostwa, czci dla swojego j a, wsącza się w dusze młode i zatruwa je do gruntu.

Nie mam tak złego wyobrażenia o żywotności narodu, ażebym mniemał, iż te indywidualistyczne zapędy przyniosą szkodę dotkliwą samemu rozwojowi, zwłaszcza gdy widzę, jak wiele innych sił działa we wprost przeciwnym kierunku, dążąc do oświecenia i uświadomienia mas i do zyskania jak najrozleglejszej podstawy dla wszelkich przejawów życia narodowego.

Co więcej, twórczość indywidualistyczna nie ma w sobie nic groźnego, dopóki się przejawia w jednostkach twórczych; niech szukają dróg nowych; zastój sprowadza zgniliznę. Wówczas dopiero taka twórczość może się stać szkodliwą, gdy pociągnie za sobą całe szeregi umysłów, b i e r n i e wchłaniających głoszone przez indywidualistów maksymy, i gdy je następnie po swojemu, w sposób przesadny a zarazem płytki, zastosuje w życiu, nie chcąc i nie mogąc być „sędziami i mścicielami własnego zakonu". Wtedy twórczość taka ma znaczenie zarazy, wobec której chwytać się należy środków ochronnych, a jednym ze środków takich jest uświadomienie jej zaraźliwości, jest wskazanie jej anty-społecznych tendencyj.

W sferze myślenia abstrakcyjnego granice swobody idealnej niewątpliwie muszą być jak najrozleglejsze, gdyż tylko przez wypowiedzenie najróżnorodniejszych poglądów i mniemań możemy poznać usposobienie i charakter ogółu ukształconego, a więc z natury rzeczy uzdolnionego do kierowania sprawami powszechnemi. Upominać się o te prawa potrzeba zawsze i ciągle.

Inaczej się rzecz przedstawia, gdy przechodzimy do sfery działania, do której policzyć musimy i twórczość artystyczną. Ponieważ chodzi tu o wpływ na masy, więc o sprawy ogólne, muszą być uwzględnione prawa nie tylko indywidualne, ale i zbiorowe. Wszystkie nabytki cywilizacyjne okupione były wiekowym trudem, setkami poświęceń; zdobywano je powoli i mozolnie; burzyć je dla pierwszego lepszego kaprysu, albo też odwracać się od pracy, mającej na celu czy utrwalenie czy rozwinięcie, czy reformę tych nabytków, może tylko ten, kto w bezbrzeżnej zarozumiałości swoje myślątka, swoje ćwierć-uczucia, swoje nastroje ceni wyżej nad wytwory pracy wieków, nad radości i cierpienia narodu, nad pewne trwałe ideały prawdy, dobra czy piękna. Kto nie chce być uważanym za pasorzyta, wyzyskującego soki społeczne, kto nie jest istotnym d e k a d e n t e m pod względem myśli, uczucia i woli, ten winien przykładać się czynnie do rozwoju narodowego, a w każdym razie nie powinien zohydzać pojęcia „obowiązku“ w imię uroszczeń sobkostwa.

# RZECZ O UCZUCIACH LUDZKICH.

(Ciąg dalszy).

## VI.

### Miłość i nienawiść.

Kant stwierdził, że przeciwne sobie fizykalne siły, przyciągająca i odpychająca, zarówno są niezbędne dla istnienia materyalnego świata: gdyby pierwsza jedynie władła, skurczyłoby się wszystko i zeszłoby na matematyczny punkt, to jest stałoby się niczem; przy samowładztwie siły odpychającej, rozleciałyby się cząstki ciał nieskończenie małe, w nieskończoną dal, z nieskończoną szybkością, to jest powstałaby natychmiast próżnia, a zatem znowu nicestwo; tylko obydwóch sił fizykalnych równowaga wytwarza świat rozciągły zjawisk cielesnych. Podobna praw i dążeń dwoistość koniecznie znamionuje życie duchowe człowieka: samolubstwo odgranicza jednostkę, wytwarza jej indywidualizm, miłość zestraja w całość ze wszechświatem: sam w sobie zamknięty duch jednostki skończonej byłby niczem, skoro całą treść swojego życia, całą treść swoją duchową pojęć, wyobrażeń i uczuć z zewnętrznego świata czerpie, a nawet chcąc nienawidzić, trzeba najpierw przedmiot nienawiści poznać, a zatem intelektualnie pożądać, wiedzę o rzeczy znienawidzonej ukochać, zapragnąć jej umysłowego przywłaszczenia: samą wszechmiłością uniesiony duch, przestanie być sobą, zatonie we wszechbycie. a chcąc kochać, trzeba od siebie odróżnić rzecz ukochaną, siebie tej rzeczy przeciwstawić samolubstwem. Ponad prawem tej dwoistej konieczności może stać jedynie Bóg. któryby, wszystko ukochawszy i przeniknąwszy, był jedynie sam sobą, wiedząc, że wszystko inne w porównaniu z Nim jest niczem. Bóg, którego pojęcie niedościgłe, a dla zwyczajnego roz-

sądku pełne sprzeczności, bywa jednak religii wszelkich i wszelkich metafizycznych rozmyślań podstawą.

Już w instynktowych żądzach możemy dostrzedz dwoiste samolubstwa i miłości władanie; samolubną jest w istocie swojej chęć zachowania i rozwoju indywidualnego organizmu, samolubną miłość zmysłowa; miłością jednak dla rzeczy pożądanych, żądzą objawia się samolubstwo; upodobanie wszelkie do obcego sobie jestestwa przyjemnego, uroczego, wdzięcznego, czy jak je nazwiemy, jest miłością w istocie swojej, a jednak ma znów na celu własne zadowolenie i jest przeto skojarzone w nierozerwalny sposób ze samolubstwem; gniewy i nienawiści są objawami samolubstwa spotęgowanego aż do zaprzeczenia miłości, do żądzy uszkodzenia drugiego jestestwa; źródłem ich a sprężyną bywa jednak najczęściej miłość do rzeczy pożądanej, o którą drugi zabiega. Przy najmniej wreszcie namiętnych, intelektualnych przykrościach i uciechach widzimy miłość dla treści jestestw, zwanej prawdą, i samolubną żądzę wzmożenia własnej treści tą prawdą.

Rozkosze umysłowe zna człowiek w przeciwieństwie do zwierząt, u których poznawanie zmysłowe i kojarzenie wyobrażeń zapamiętanych bywa tylko środkiem dla dopięcia zmysłowych rozkoszy, albo dla ujścia przed zmysłową boleścią; u człowieka widzieliśmy, że poznawanie i myślenie, oddzielone częstokroć od tak zwanych praktycznych celów, stawało się osobną rozkoszą, bywa rzeczą dla siebie pożądaną. Podobnież samolubstwo, miłość i nienawiść służą zazwyczaj zwierzętom tylko do zadośćuczynienia potrzebom organizmu, albo postaci swojej *speciei* — choć się zaprzeczyć nie da, że u niektórych zwierząt, a u tych zwłaszcza, które z człowiekiem obcują, dostrzegamy zjawiska samodzielnej miłości własnej, bezinteresownej miłości dla drugich; u człowieka jednak występuje dopiero na pierwszy plan owo uczucie refleksyjne, szukające rozkoszy w samolubstwie, w miłości a nawet w nienawiści, przy którem uczucie samo, podobnie jak poznawanie samo, staje się przedmiotem wstrętu i upodobania. Dzieje się przeto, że w przeciwieństwie do upodobań i wstrętów zmysłowych mówimy o miłości i nienawiści duchowej, które, wraz z upodobaniami intelektualnemi, zaliczamy do znamion, odróżniających istotę człowieka od zwierzęcej.

Samolubstwo najzwyczajniejsze, już uświadomione i ludzkie, szuka ustawicznie zmysłowej rozkoszy, dla niej się trudzi; jak człowiekiem zawładnie, czyni go nienasyconym, niespokojnym, a uwaga, ku zmysłom i instynktom zwrócona, ustawicznie umie

wyszukiwać rzeczywiste, choćby drobne, albo urojone niedostatki, którymi umysł nęka; trapi ciągłą troską, ustawiczną obawą utraty dóbr posiadanych, środków, mających niby zapewnić wygodę a nie zapewniających nawet pokoju samolubowi. Nieustanne u kobiet kaprysy, wieczny u mężczyzn niepokój, zajęty projektami, do których wykonania nigdy nie stanie odwagi, znamionuje to samolubstwo już dla drobnostek zgryźliwe, wyradzające się często w hipochondryę, w przekonanie o urojonej chorobie; samo duszy nie nasyca, nie cieszy, rozkoszniejszym uczuciom przystępu broni.

Bywa samolubstwo intelektualne, różne od miłości nauki i sztuki tem, że wyraźnie za jedyny cel swój wzmożenie rozumu własnego stawia. Od zmysłowego szczęśliwsze, daje trwałe rozkosze a często wreszcie sprawia, że w tych umysłowych rozkoszy używaniu intelektualista samolubem być przestanie. Jeśli to nie zajdzie, jeśli prawdy i piękna dla prawdy i piękna nie ukocha, przykrzy mu się wszystko, staje się dyletantem, zajętym wyłącznie swoim dyletantyzmem, krytykującym wszystko, subtelnościami jakiemiś tylko chwilowo i to pozornie zadowolonym, szukającym umysłowej potęgi, której posiąść nie może, a popadającym wreszcie w jałowy smutek, niezadowolony ze świata i z siebie. Z tym intelektualistą bywa pokrewny człowiek czułostkowy, goniący za miłośnemi, lub litośnemi wrażeniami, dlatego jedynie, że mu rozkosz sprawiają duchową; kłamca miłości, aktor przed samym sobą, który nawet samego siebie ni okłamać ni wzruszyć nie zdoła i wreszcie traci zdolność do prawdziwych szlachetnych wzruszeń

Miłością własną nazywamy pragnienie zachowania własnej duchowej samoistności; wsparte silnem a nieugiętem postanowieniem bywa dumą, uczuciem spokojnem, przyjemnem, pozbawionem przymieszki wszelkiej nienawiści, a człowiek dumny strzeże swoich przekonań i postępuje wedle nich, bez względu na opinię drugich, albo na jakikolwiek zewnętrznych okoliczności nacisk, szukając szczęścia i znajdując zadowolenie w poczuciu własnej moralnej godności. Butą nazywamy popisywanie się pozorami dumy, butnym zaś bywa człowiek niepewny wewnętrznej swojej duchowej siły a szukający dla niej poparcia w zewnętrznych okolicznościach, albo w przypadkowych własnościach osobistych, w bogactwie, stanowisku społecznem, sile fizycznej, gotowości do odpowiedzi albo przebiegłości, zabezpieczającej powodzenie. Człowiek butny wewnętrznego pokoju nie posiada, ponieważ wartości swojej pewnym nie jest, przypuszcza, że ktoś jej ubliżyć może, bywa przeto, w przeciwieństwie do dumnego, obraźliwy. Zarozumiałością nazy-

wamy nieuzasadnione przekonanie o swojej wyższości, rodzące zazwyczaj butę, przyjemne w sobie, ale narażające na ustawiczne a przykre poniżenia i rozczarowania. Pychą nazywamy butę, pewną siebie, mającą drugich za nic — zazwyczaj nie obraźliwą już, ale zato bardziej od zarozumiałości zaślepioną a pozbawioną wszelkiej dla drugich miłości; pyszny pychą rozkoszuje, a popada koniecznie w samolubstwo, które go potem dręczy; bliźnimi gardzi, doznając przytem uczucia w istocie swej przykrego, przez zaślepienie naraża się częstokroć na zgubę, zawsze na upokorzenie, zawód, wspólny butnym, zarozumiałym i pysznym, sprawiający dotkliwą boleść przez uczucie pomniejszenia własnej urojonej wartości. Pyszałkiem zwiemy człowieka pysznego, jeśli żadne zewnętrzne powody i żadna umysłowa wyższość powstania pychy nie tłómaczą — a zatem pyszałek bywa śmiesznym, skoro dostrzeżesz, że jego usposobienie niczem nieuzasadnione a zatem niespodziane. Najwyższy stopień pychy wynosi siebie ponad ludzkość, prawa moralne, wszechbyt i ponad Boga, w które pyszny sam nieraz wierzy; taką pychę przypisują Szatanowi; bywa połączoną koniecznie z samolubstwem bezbrzeżnem i ze wszystkiemi udręczeniami samoluba, spotęgowanemi tak, że się zamieniają w piekielną duchową mękę; wiedzie do zbrodni, skoro się zbrodnia chwilowo przyjemną wyda, a że się z niepowodzeniem spotkać musi, rodzi nienawiść dręczącą dla wszystkiego i wszystkich; wyradza się częstokroć w obłąkanie, a to w manię wielkości, albo w manię prześladowczą.

Chciwość czy też łakomstwo jest żądzą nabycia i przechowania środków do zadośćuczynienia samolubnych pragnień, albo do zadowolenia buty lub pychy, a bywa w społeczeństwach nowożytnych pragnieniem pieniędzy. Ambicya bywa żądzą znaczenia osobistego, a chciwość nieraz celom ambicyi służy; gdy chce samolubstwu dogodzić, bywa chciwość zysku zazwyczaj połączona z rozrzutnością; służąc ambicyi, zamienia się łatwo w skąpstwo, którego jedynym celem nagromadzenie skarbów, dających właścicielowi poczucie potęgi, którą ma, choć jej nie używa. Wszelka chciwość bywa troską niespokojną, której nieustanne towarzyszą kłopoty, ledwo zrównoważone uciechą dopiętych zysków.

Ambicya jest żądzą znaczenia, posługującą się nieraz skąpstwem, czasem rozrzutnością. Pyszny ambitnym nie bywa, i dumnemu ambicya niespokojna obcą. Ambicya bywa większem od chciwości źródłem udręczeń, a to dlatego, ponieważ trudniej celu dopnie, trudniej nasyconą bywa, mniej pewnie na zdobytem sta-

DYREKCYA KASY OSZCZĘDNO
MIASTA NOWEGO SĄCZA.



nowisku utrzymać się może. Umiarkowaną, a przeto mniej trapiącą chciwością, bywa zapobiegliwość, usiłująca za pomocą pracy i oszczędności zapewnić człowiekowi ową majątkową niezależność, bez której życie zgodne z przekonaniem bywa zbyt trudnem, a zapobiegliwość taka, lubo od trosk nie wolna, rodzi u człowieka pewne uczucie własnej godności, z dumą pokrewne. Nazywamy szlachetną ambicyą żądzę znaczenia, spowodowaną jedynie chęcią służenia dobrej sprawie, a ambicya taka, pozbawiona udręczeń samolubstwa, bywa tylko objawem miłości tam, gdzie jest rzetelnie ofiarną. Bywa także ambicya bardziej jeszcze zgodna z istotą spokojnej a beznamiętnej duszy, a powszechnie podziwiana, której celem jedynie własne udoskonalenie.

Przeciwieństwem dumy bywa próżność, która, zwątpiwszy we własną osobistą wartość, cierpi na tem i szuka pociechy w obcej pochwale; najczęściej jawi się chełpliwością w słowie i czynie, usiłując zwrócić na siebie uwagę, a bywa, że człowiek próżny, chcąc koniecznie być głośnym, a nie mając pozoru zalet, któremiby się mógł zalecić, chełpi się dziwactwem, albo nawet występkiem, widząc, choćby w powszechnem zgorszeniu, dowód swego osobistego znaczenia, o którem zwątpił; bywa przeciwnie, że lęka się przedewszystkiem nagany i staje się tak nieśmiałym, iż popada w niedołęstwo, a bywa wtedy nieprzystępnym, i taką nieśmiałość brano u wielu za dumę, z którą nic nie ma wspólnego. Próżność czepia się zwykle przypadkowo cenionych świecideł a nie cnót istotnych, często samymi się zadowala pozorami, dba o powierzchowność, strój i modę, szuka towarzystwa możnych i gotowa najsroższe znosić upokorzenia, w niegodną zamienia się uniżoność. Wyjątkowo, zamieniona w żądzę chwały, staje się podobną do ambicyi, bywa jednak wtedy nierównie niespokojniejszą, bardziej dręczącą, żądną nie istotnego znaczenia albo zacnych czynów, tylko rozgłosu, okupionego za jakąkolwiek cenę.

Żadne wyłączne swoją osobą zajęcie człowieka ani cieszyć, ani zadowolić nie może trwale. I samolubstwo i miłość własna muszą zawsze napotkać na niedostatek i niepowodzenie: wynika to już ze skończonej istoty człowieka, będącego częścią nierównie potężniejszej od siebie wszystkości, która go zewsząd ogranicza, która mu się sprzeciwia i która go pokonać musi, ilekroć jej się przeciwstawi. Przy największem samolubnem powodzeniu jest więcej niepowodzenia, więcej udaremnionych niż spełnionych chęci; samolubstwo intelektualne bywa wiecznie upokorzone przez świadomość tego, że okres wiedzy posiadanej jest niczem w porównaniu

z niezgłębioną otchłanią wszechprawdy, bywa zawsze udręczone myślą, że wszelka wiedza ludzka jest względną tylko, że wątpić można zawsze o jej niezawodności; duma szlachetna wtedy tylko istnieje, kiedy się o niej nie myśli, próżność upokarza ustawicznie. czułostkowość sentymentalna bywa utrapieniem tylko, dopóki uczucia zupełnie się od osoby czującego w inną stronę nie obrócą, nie dając, aby się wciąż w sobie rozglądał i wciąż swoje dostrzegał niedostatki; nawet ambicya myśląca wciąż o własnem udoskonaleniu łamie się koniecznie pod skrupułów brzemieniem. Aby nie cierpieć nieustannie, trzeba się odwrócić od siebie samego i od własnej nieuleczalnej doskonałości, trzeba szukać osobistych niedostatków zapomnienia, zajmując się czemś poza sobą, czynem lub rzeczą tak szczerze, że własnej osoby powodzenie zupełnie z poprzed oczu duszy znika. Najmniej nieszczęśliwym bywa ten, który bezinteresownie zajęciu swojemu oddany, najrzadziej o sobie pomyśli.

Brak myśli o sobie cierpienie tylko zażegna, ujemny spokój daje; rozkosz przynosi dopiero miłość, byle szczera, byle nie wobec siebie samej obłudna, albo czułostkowa, na to tylko sztucznie wzbudzona, aby rozkoszne krzesić wzruszenia. Rozkosz miłości bywa większą w miarę tego, jak się kocha po prostu, bez myśli o posiadaniu miłosnej rozkoszy.

Instynktowe uczucia miłość rozniecają — do jednostki, albo do mnogiej i coraz bardziej mnogiej jednostek ilości. Zwraca się przyrodzona człowieka miłość najpierw do ludzi, do kochanka lub kochanki, do małżonka lub małżonki, do dzieci, do rodziców, wreszcie do braci, krewnych i przyjaciół; rozszerza się jednak na wszystko, co nam uczucia najbardziej przyrodzone przypomina, do ludzi obcych i nawet nieznanych, do zwierząt, roślin, do przedmiotów martwych, wreszcie nawet do jestestw urojonych, a zawsze cieszy, o ile miłością bywa. Rozkosz miłosna wzrasta, o ile się koło jestestw ukochanych rozszerza; najłatwiej, najusilniej ukochamy koło nie liczne, ciasne, wyłącznie swoje, ale z uczuć gromadnych wyłania się miłość dla coraz szerzej pojętej Ojczyzny, w której kochamy od razu mnóstwo przeszłych i przyszłych pokoleń — i każdego rodaka, o ile jest rodakiem, mnożąc tak uczuć miłosnych źródło; szerszą jeszcze jest miłość ludzkości, w której kochamy każdego bliźniego, o ile jest człowiekiem, a dobro powszechne i przyszłość ludzkości bardziej od każdego człowieka. Bywają wreszcie w życiu chwile rozkosznego uniesienia, w których wszech-

świat ukochamy cały; bywały wybrane dusze, które całe życie w takiem wszechmiłosnem trawiły uniesieniu.

Jak miłość bywa sama przez się rozkoszną, tak bywa sama przez się bolesną nienawiść, w jakiejkolwiek jawiłaby się postaci, czy bywa gniewem, czy pragnieniem zemsty, trwogą, zawiścią, czy zazdrością. Zawsze to uczucie odpychające od przedmiotu nienawiści, rozdzierające konieczną jedność ze wszechświatem, z której całą treść naszej czerpiemy istoty. Rodzi się naturalnie z pokrzywdzenia naszego samolubstwa, a wynika także z pokrzywdzenia jestestw ukochanych. Gniecie zawsze, zawsze dręczy, ale bywa z pewną słodyczą przymieszane, kiedy nienawidzimy z powodu krzywdy istot ukochanych. Gdy nienawiść, najczęściej w postaci gniewu, lub żądzy zemsty, powstaje z powodu pokrzywdzenia Ojczyzny, staje się uczuciem, w którem własna osoba niknie, a miłość dla rodaków i narodu szeroka równoważy nienawiść i równą miarą rozkosze mięsza z boleścią. Jeźli czujemy, że stała się krzywda sprawiedliwości, zamienia się nienawiść w oburzenie, uczucie gwałtowne, niespokojne, z boleścią zmięszane, w którem jednak bodaj czy nie przeważają wrażenia, mogące do siebie silne rozniecić upodobanie. Uczucie sprawiedliwości jest wyrazem równej miłości dla wielu; tyczy się często, a zwłaszcza u kobiet, tylko rodziny, albo towarzyskiego kółka, u mężczyzn mniej oświeconych tylko gminy, korporacyi albo stanu swego; ale u mężczyzn i kobiet o bardziej wykształconych uczuciach obejmuje cały naród, społeczeństwo jakieś, wszystkich współwyznawców; coraz częściej tyczy się całej ludzkości, a pragnie, aby się krzywda żadnemu z ukochanych nie stała, aby wszyscy wedle równej a niezmiennej miary i wedle zasługi udział w dobrem i złem mieli. Gdy się oburzamy, gniewamy się za to, że krzywda jednego, będąca sprawiedliwości pogwałceniem, jest zarazem krzywdą i niebezpieczeństwem dla wszystkich, i boleść, którą gniew sprawia, bywa wielkiej miłości rozkoszą zaprawiona. Wyrazem oburzenia bywa żądza zemsty za nie swoje krzywdy, domagająca się sprawiedliwości karzącej. Może czasem własna krzywda oburzenie szlachetne wzniecić, jeśli bywamy uciskani za czyn dla dobra publicznego spełniony, albo jeśli kto nas obejdzie kłamstwem lub podstępem; nic bowiem więcej od kłamstwa i zdrady nie oburza, jak chyba brutalne nadużycie przemocy wobec ofiar bezbronnych — te bowiem występki nie tylko ofiarom swoim szkodzą, stają się przykładem, mogącym cierpienie wśród społeczeństwa rozpowszechnić i w sposób najzgubniejszy spotęgować. Sądząc drugich surowo, chcemy nieraz

tylko sobie samym podchlebiać, — dajemy jednak także nieraz wyraz początkującemu oburzeniu, poczuciu sprawiedliwości, domagającej się cnoty od wszystkich dla dobra wszystkich.

Podobnież i wielu smutków bywa powodem miłość dla drugich; jej zaczątkiem bywa często smutek, widok obcej boleści. Skojarzenie wyobrażeń z uczuciami sprawia, że cudzego cierpienia poznanie, a zwłaszcza żywe wyobrażenie cudzego cierpienia osób znajomych, blizkich moralnie albo choćby tylko blizkich przestrzennie a zwłaszcza obecnych, wyradza smutek współczujący, zwany litością a rodzący miłość. Litość odczuwamy łatwiej dla jestestw, które nam się podobają, ale budzi się czasem nawet przy widoku cierpienia jestestw, dla których jesteśmy nieprzychylnie usposobieni, czasem nawet nienawiść w miłość zamienia. Przymieszka miłości sprawia, że boleść przez litość wywołana, nie jest wolną od rozkoszy, tak dalece, że osoby sentymentalne pragną litosnych wzruszeń; z drugiej strony przymieszka boleści, sprawiona przez litość, bywa tak wielką, że niektóre dusze do powszechnej zdolne miłości, litością udręczone, doszły nareszcie do przekonania, że choć tylko ujemne szczęście da się jedynie osiągnąć wszystkich uczuć przytłumieniem. Tego domagali się stoicy od swojego mędrca, i takie unicestwienie duszy jest ostatecznym celem ćwiczeń ascetycznych, poleconych przez religie Wschodniej Azyi, wyznawane bodaj czy nie przez największą część ludzkiego rodzaju.

Chrześciaństwo słusznie szuka szczęścia w spotęgowanej miłości, ale w miłości najogólniejszej znajdzie je dopiero. Miłość rodziny i przyjaciół jest szkołą dla szerszej miłości ojczyzny, albo jakiegoś ogromnego związku ludzi, jakim jest naprzykład Kościół, a przez taką szerszą miłość dochodzi się do miłości ludzkości, wszechświatu, Boga. Ciaśniejsze miłości są jedyną ascezą pewną, ćwiczeniem, wiodącem do szczęśliwości przez udoskonalenie zdolności kochania, a trudno, aby ten ukochał Ojczyznę, ludzkość albo Boga, który najpierw nie ukochał najbliższych. Miłość to ma do siebie, że osiąga cel samolubstwa, dla samolubstwa nigdy niedostępny; osobistość ludzką istotnie a skutecznie potęguje. Współczując z osobami ukochanemi, zlewasz się z niemi niejako w jedną osobę. Wzrasta przytem istota twoja duchowa, wzmaga się, a do rozkoszy, którą sprawia samo kochanie, przybywa rozkosz, wynikła z tego spotęgowania osobistości; bywa czystą, zupełną, przy miłości wzajemnej; jeśli napotkasz u osób ukochanych obojętność, niewdzięczność, niechęć a może nawet nieprzyjaźń, doznajesz silnego bolu, bo one uniemożliwiają pożądane, już może namiętnie,

spotęgowanie dusz przez zjednoczenie, a to odepchnięcie odczuwasz jako tak wielką krzywdę, że się miłość twoja często w nieprzyjaźń zamienia, i to w nieprzyjaźń mściwą, gniewną. Gdy przeciwnie miłość istoty z sobą skojarzyła, nie czujesz już litości. Gdy dostrzegasz niepowodzenia osób ukochanych, a odczuwasz je tak, jakby się ciebie tyczyły: podobnież radujesz się ich powodzeniem, jakby własnem, a przeto mnożysz boleści i radości przyczyny, wzmaga się twoje życie duchowe, a choć od pokoju pozostajesz dalekim, nie wyrzekłbyś się tych uczuć za nic w świecie, bo i w miłości i w tem osobistości spotęgowaniu tkwi rozkosz wyższa, czystsza, w miarę tego, jak miłość twoja szersze obejmuje koła. Największe nawet patryotyczne bole bywają połączone z rozkoszą, którą daje miłość wielka i szeroka: kocha wreszcie tylko całość, ideę jakby oderwaną rodziny, narodu, ludzkości, nie zraża się niewdzięcznością i nienawiścią jednostek, raduje się nawet wszelkiem cierpieniem, jakie w mocy swojej przetrwała, raduje się ofiarami, które ponosi, staje się źródłem uniesień bohatera, poświęcającego całe swoje zmysłowe szczęście, życie własne i nawet szczęście i życie swoich dla miłości Ojczyzny, ludzkości, Boga.

Pobożna dusza znajduje w miłości dla Boga najwyższe swej osobistości spotęgowanie, najpewniejszą ochronę przed smutkiem i nienawiścią. Różnie sobie różni Boga przedstawiają, jako osobistego, wszechmocnego przyjaciela, albo jako niezgłębioną potęgę metafizyczną: bywa też miłość do Boga, jakoby zabobonna i najemna, szukająca pomocy w sprawach ziemskich, rękojmi powodzenia, okupionej nabożeństwem; ale nie o takiej tu mówię miłości. Bywa najczęściej tylko pobożne miłości Bożej pragnienie, które samo już, często we łzach koi namiętności, rodząc uczucie bezsilności, ufnej w pomoc uzdrawiającą duszę. Chwilami tylko człowiek pobożny albo mędrzec miłości Bożej dozna. A bywa to miłość dwojaka: intelektualna albo mistyczna. Pierwszą jest pragnienie prawdy i piękna, zapominające o sobie, z którego niechybnie wynika pragnienie dobra, a zazwyczaj także przekonanie, że wszystko jest dobre i piękne w istocie swej, a złem lub brzydkiem wydaje się tylko nieświadomości albo samolubstwu; drugą, mistyczną miłością, zupełne zjednoczenie swojej woli z wolą wszechmocną Boga i radowanie się wszystkiem, co jest, ponieważ jest dziełem Bożem: obie miłości różnemi drogami dochodzą do jednego celu, do wielkiej radości doznanej — w przemijającej zazwyczaj chwili, w której człowiek chcąc jedynie Bożej woli spełnienia

nienia, przez chwilę jest wszechmocnym i wszystko kocha, tak jak siebie samego, tak jak woli własnej wyraz doskonały.

Miłości własnej i samolubstwu pochlebiają ze sztuk pięknych najczęściej poezya i budownictwo; miłość żywią i rozbudzają poezya i muzyka, o ile bywają patetyczne; malarstwo i rzeźba oddziaływują na uczucia, o których mowa w niniejszym rozdziale, o tyle tylko, o ile służą do przypomnienia zdarzeń, o ile stają się ilustracyą napisanych, albo nienapisanych poematów.

Jednem ze źródeł poetycznej komiki bywa wyobrażenie cudzego niedołęstwa, budzącego uśmiech życzliwy, jeśli ma swoje źródło w naiwności, a wywołującego u widza zadowolenie, połączone z pewnem szlachetnem oburzeniem, jeśli ma swoje źródło w niegodziwości lub słabości występnej charakteru. Zadowolenie, którego w tych wypadkach doznajemy, ma swoje źródło w pobudzonem poczuciu, żeśmy lepsi i rozumniejsi, albo przynajmniej nie gorsi i nie głupsi od wyobrażonych postaci, a śmiejemy się najserdeczniej ze słabości, ułomności i drobnych niepowodzeń przypisanych możnym, bohaterom a nawet bogom, doznając niemałego zadowolenia z poniżenia jestestw, któreśmy mienili być wyższemi. Dzieci i prostacy śmieją się z kalectwa, choć u wykształconych litość budzi, ale fantastyczna brzydota jestestw bajecznych, wyobrażona przez malarza lub rzeźbiarza, bawi i cieszy, wtedy zwłaszcza, jeśli nie jest treścią lecz tylko ozdobą żartobliwą dzieła sztuki — albo też czemś rzuconem od niechcenia, podobnie jak karykatura, ośmieszająca zwyczajnych ludzi.

Poezya może wynosić chwałę narodu i tem zbiorowej miłości własnej pochlebić, może szlachetne rozbudzić oburzenie, może także zyskać powodzenie, tłómacząc powszechne występki, broniąc zakorzenionych przesądów, zwalczając niewygodną cnotę, obniżając zasługi upokarzające ogół, szarpiąc tych, którzy wyższe zajmują stanowiska, złorzecząc narodowym wrogom; malarze i rzeźbiarze mogą podobnież przypominać narodowe chwały a nawet arya muzykalna miłości własnej narodowej uczyni zadość, zapał narodowy rozbudzi, przypominając słowa patryotycznych pieśni. Gmachy ogromne lub wspaniałe cieszą bezpośrednio dumę narodową lub rodzinną, świadcząc o narodu potędze, o bogactwie rodziny. Gmach obcego narodu, świeżo postawiony, choć z innych względów podziw wzbudzić może, raczej poniża widza, gdy wspaniałym bywa, o obcej świadcząc potędze. Jeśli to natomiast gmach starożytny, podziwiamy dawną wielkość, współczując z jej upadkiem, tem może także ucieszeni, że przeminęła a my trwamy.

Poezya budzi w nas współczucie dla obcych przygód i cierpień. Czyni to już skarga liryczna, ale powieść i dramat działają usilniej, zwracając najpierw naszą uwagę na przygody albo charakter sympatycznych bohaterów a utrzymując nas potem w niepewności co do ich losu; budzą przez to silną dla swoich urojonych postaci sympatyę, miłe samo w sobie potęgujące się z każdą chwilą współczucie, które z postaci urojonych przenosimy na podobne, istniejące rzeczywiście, jeśli tylko rzeczywiście dobrą prawdę ludzką nam przedstawiają, odtwarzając rzetelne uczucia, choćby wśród cudownych przygód. Może poeta pochlebiać, budząc współczucie dla osób podobnie jak my występnych, może przeciwnie budzić czysto estetyczne upodobanie, opowiadając dzieje ludzi lepszych od nas. W zwyczajnym zakresie powieści i komedyi cieszy nas zazwyczaj rozwiązaniem pomyślnem; wpierw pomnoży istotę naszą współczuciem z troskami i cierpieniami bohaterów — będących przedstawicielami niezliczonej rzeszy ludzi podobnych, a wreszcie wspólnem już powodzeniem czyni zadość naszym pragnieniom, wspólną radość budzi, skoro radość bohaterów naszą się radością wydaje. W epopei i tragedyi silniej wstrząsa duszą poeta, wyobrażając wielkie cierpienia ludzi, którzy zazwyczaj nad zwykłą wyrośli miarę. Walka, którą toczą, bywa jakby naszą walką, a gdy nareszcie ulegają losowi srogiemu, widnieje moc wyższa a sprawiedliwa, którą nazywali starożytni przeznaczeniem, którą nazywają Chrześcianie Opatrznością, moc, wobec której niczem najpotężniejsi nawet bohaterowie. Jeśli tragiczny koniec wydaje nam się zgoła nielitościwym, depcącym wszelką sprawiedliwość, przygniata nas koniec ten, do rozpaczy doprowadza, budzi zazwyczaj same wstrętne uczucia; u pokoleń jednak, przyzwyczajonych do sztuki pochlebiającej, bywa taki koniec rozpaczliwy mile powitanym przez tych, którzy w nim radzi widzą dowód braku Opatrzności, od wszystkich występków rozgrzeszający. Właściwie tragicznym bywa tylko koniec, w którym się sprawiedliwość poetyczna jawi, w którym zbrodnia bywa ukaraną, w którym szlachetny bohater nie jest jednak bez winy tłómaczącej upadek, a kończy, wyższy nad ziemskie przygody, znajdując pokój w ostatecznem nieszczęściu: taki koniec budzi uczucie grozy; czujemy nad sobą potęgę niezbadaną, którą możemy jednak czcić, uznając, że jest sprawiedliwą, że bywa, nawet karząc i gromiąc, dobroczynną, że kocha przeto i że jest godną miłości: odczuwamy dreszcze religijne, poddajemy się wszechmocnej woli i wraz z nią wyrastamy w olbrzymy. Bywa także tragicznem przeciwstawienie człowieka

bóstwu, a człowiek olbrzymieje w walce, dając nam także olbrzymiej potęgi świadomość. W takich tragedyach wyobraża poeta człowieka, walczącego z bóstwem, w imię prawa wyższego od przygodnej bóstwa wszechmocy, a zatem człowieka, walczącego z bożkiem w imię Boga, a cieszącego się w pogromie tem, że prawdziwemu służy Bogu — choć go Bogiem nie nazwie.

Także muzyka budzi uczucia patetyczne, równie potężnie jak poezya i może bardziej bezpośrednio, a gdy to czyni, bywa sztuką naśladowczą, jak dramat, malarstwo i rzeźba, μιμητική. Różnych doznając wzruszeń, wyrażamy je rozmaitemi intonacyami głosu, rozmaitym rytmem ruchów i mowy, a gdy słyszymy w muzyce te same intonacye i rytmy, wyrabiamy sobie te same uczucia, jako uczucia nieokreślonych bliżej jestestw duchowych i zarazem jako własne, przez co współczucie powszechne zrasta się rozkosznie z emocyonalnem muzyki wrażeniem, czyniąc najbardziej zmysłową sztukę, także najbardziej uduchowioną, najzdolniejszą do wywołania mistycznych zarówno wzruszeń, jak namiętnych zmysłowych chuci. Muzyka może nas długo przejąć szlachetną radością, która współczuje z doskonałem jakiemś i szczęśliwem wszechbytu życiem, a poezya w tem muzyce nie sprosta; podobnie jak poezya, choć mniej wyraźnie a przeto mniej doskonale, może nas muzyka przeprowadzić przez szereg wzruszeń patetycznych, zakończonych czyto końcową radością, czy też tragicznym spokojem, może nam wyobrazić zwycięską walkę ze złemi mocami, a w jednym i drugim wypadku bywa najdramatyczniejszą, kiedy towarzyszy słowom poety; wreszcie żadna sztuka nie zdoła potężniej wstrząsnąć grozą jak muzyka, odzywająca się chórem męskim, albo grzmotem instrumentów, żadna tak silnie mistycznych nie wyrazi wzruszeń.

Słupy, a nawet łuki dzieła budownictwa wydają nam się czasem jakby symbolem jestestw duchowych, a wtedy radujemy się ich potęgą, albo swobodą; bolejemy natomiast bez ulgi i bez nadziei rozwiązania, gdy te szczegóły architektoniczne wydają nam się przygniecone wiecznie, albo wiecznie udręczone, i do tej męki na zawsze potępione — przez co architektura tragiczną być nie może: może natomiast potęgą swoją przypominać moc bóstwa, rozkładem światła i cieniu rodzić wesoły, smutny albo mistyczny nastrój, dodający potęgi tonom pokrewnej muzyki.

Gdy patrzymy na ryciny, przerzucając karty księgi, albo gdy przebiegamy pobieżnie sale dorocznej wystawy, najsilniej wzruszą, najpowszechniej podobają się rysowane, malowane albo rzeźbione wyobrażenia zdarzeń patetycznych, przypominające wzruszenia,

doznane w życiu, albo przy poznawaniu utworów poezyi. Jeśli jednak dzieło malarstwa lub rzeźby chce być samodzielnem, a nie ilustracyą tylko, jeśli się domaga kontemplacyi i czci tej kontemplacyi ma prawo, trapi tylko, jak udręczenie wyobraźnia, skoro to znów udręczenie wieczne, bez wyzwolenia, podobne piekłu wiecznego potępienia. Tylko malowane lub rzeźbione wyobrażenie zakończenia tragicznego może nas w religijne wprawić zachwyty, przedstawiając moc ducha pokonującego cierpienie, mocą zjednoczenia z bóstwem; malarstwo i rzeźba mogą natomiast, podobnie jak muzyka, wyobrażać niezamąconą wiecznie radość, im jest tylko dane wyobrazić postacie w wiecznym pokoju błogim, wyniosłych ponad wszelkie cierpienia i troski, i kazać nam współczuć z tą Bożą, niebiańską szczęśliwością.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

DYREKCYA KASY OSZCZĘDNOŚCI
MIASTA NOWEGO SĄCZA.

# DAWNE ZABYTKI DZIEJOWE
# NOWEGO SĄCZA.

(Ciąg dalszy).

## Rozdział V.

### Kościół OO. Norbertanów, czyli Premonstratensów, pod wezwaniem św. Ducha.

Kościół szpitalny pod wezwaniem św. Ducha fundował w r. 1400 Langzidel, mieszczanin krakowski. Obszerny pergaminowy dokument, podpisany w Krakowie 3. lipca 1400 r. przez Piotra Radolińskiego, biskupa krakowskiego, świadczy między innemi rzeczami, że opatrzny i uczciwy Langzidel (Langseydel) legował na szpital św. Ducha w Nowym Sączu następujące wsi: Januszowę, Kwieciszowę, Wolfowę, Librantowę i Boguszowę[1]). Prócz tego folwark składający się z bydła, trzody i 100 owiec, z całym inwentarzem żywym i martwym i wszystkimi dochodami; jatkę rzeźniczą i dom murowany w Nowym Sączu, na miejscu którego ma być zbudowany kościół ze szpitalem. Kapelanowi szpitalnemu wyznaczył 70 grzywien rocznej pensyi i całe utrzymanie z dóbr szpitalnych. z obowiązkiem jednak głoszenia słowa bożego i opatrywania chorych św. Sakramentami, grzebania ich ciał na cmentarzu i odprawiania egzekwii za dusze zmarłych. Kościołowi darował głowę jednej z 11.000 towarzyszek św. Urszuli w kosztownym relikwiarzu, srebrny kielich, trzy wspaniałe ornaty i inne przybory potrzebne do mszy św. Zarząd majątku szpitalnego i prawo patro-

[1]) Jedna tutaj niemała nasuwa się wątpliwość i trudność. Jakim sposobem mógł Langzidel legować wymienione wsi szpitalowi, skoro je sprzedał poprzednio Kasprowi Cruegalowi, mieszczaninowi lwowskiemu, jak poświadcza wójt i ławnicy nowosandeccy osobnym dokumentem z dnia 4. marca 1389. (Akta grodz. i ziem. T. IX. p. 4. Lwów 1883). Trzeba więc chyba przypuścić, że Langzidel swoje wsi odkupił na nowo.

natu poruczył sławetnym rajcom sandeckim [1]). Zgodzili się na to chętnie sławetni rajcy i zatwierdzili akt tejże ugody 7. lipca 1401 r.

Kościół ten wraz z szpitalem dostał się niebawem OO. Norbertanom. Kiedy właściwie przybyli i osiedlili się Norbertanie w Nowym Sączu, niewiadomo wcale. To tylko pewnem, że w r. 1409 mieszkali pierwotnie przy kościele św. Mikołaja [2]), dopóki się nie przenieśli do nowego klasztoru, fundowanego przez Władysława Jagiełłę przy kościele św. Ducha.

Wiadomo z dziejów, że król Jagiełło bawił w Nowym Sączu 1409—1410, wraz z swym bratem stryjecznym Witoldem, wielkim księciem litewskim, gotując się do wojny z Krzyżakami, których potęgę niedługo potem pod Grunwaldem i Tannenbergem złamał na zawsze. Na dworze jego przebywał wówczas w charakterze spowiednika i kaznodziei Jan z Pragi, Norbertanin, mąż słynny z nauki i pobożności życia [3]). Na jego to „usilne i pobożne prośby, oraz z szczerej chęci, aby dzień sądu ostatecznego uprzedzić i zjednać sobie dobrymi uczynkami“, podpisał Jagiełło w Kaliszu 10. kwietnia 1409 r. erekcyjny dokument dla klasztoru kanoników regularnych: Premonstratensów czyli Norbertanów w Nowym Sączu. I o godność opacką dlań się wystarał. Równocześnie nadał przywilej Norbertanom pobierania corocznie 20 grzywien srebra i 20 cetnarów soli z żup bocheńskich i wielickich, z tem atoli wyraźnem zastrzeżeniem, ażeby za wszystkich członków rodziny królewskiej, tak żywych jako i umarłych, zanosili do Boga pobożne modły przy każdej mszy św. o ich duszne zbawienie [4]). Pierwszym opatem klasztoru tego był ów słynny Jan z Pragi „*Joannes Heremita de Praga, Sacrae Theologiae Doctor, Canonicus Montis Sion*“ [5]).

---

[1]) Petrus Wysz de Radolin, eppus cracoviensis, erectionem et dotationem ecclesiae et hospitalis S. Spiritus in Nova Sandecz confirmat, Cracoviae die 3. Juli an. 1400. Zob. Dodatki nr. II.

[2]) Zob. niżej rozdz. XI. o kościołach nieistniejących obecnie.

[3]) Bliższe szczegóły biograficzne o Janie z Pragi zob. w Dodatkach nr. XXI.

[4]) Vladislaus rex monasterium ordinis Praemonstratensis in Nova Sandecz erigit et donat 20 marcas totidemque centenarios salis duri. Datum et actum in Kalisz feria IV. festi Paschae A. D. 1409. Zob. Dodatki nr. III.

[5]) Strahów pod Pragą, gdzie po dziś dzień mieszkają Norbertanie. W r. 1627 przewieziono zwłoki św. Norberta († 6. czerwca 1134)

Za przyzwoleniem biskupa krakowskiego, Piotra Radolińskiego, król oddał pod zarząd Norbertanów przyległy klasztorowi kościół i szpital na 12 łóżek pod wezwaniem św. Ducha, poruczając opatowi szczególniejszą opiekę nad chorymi.

Łaskawość i hojność królewska opatrzyła niedawno zbudowany kościół w naczynia srebrne, zwłaszcza w puszkę do przechowywania Najśw. Sakramentu, drogimi kamieniami ozdobioną, a dla opata darował król infułę perłami naszywaną [1]). Fundacyę klasztoru składała wieś Dąbrówka *„villa regalis“* w pobliżu Sącza, darowana zakonowi 18. kwietnia 1410 r. Odnośny dokument darowizny królewskiej podaję tu w polskim przekładzie:

W imię Pańskie amen. Na wieczną rzeczy pamiątkę. Władysław z Bożej łaski król polski, tudzież ziem: krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, kujawskiej, Litwy książę najwyższy, a Pomorza i Rusi pan dziedziczny.

Oznajmujemy osnową niniejszego wszystkim, komu się przyda, iż dzień sądu ostatecznego dobroczynnemi dziełami uprzedzić i nagród zbawienia wiecznego za Świętych przyczyną przez jałmużnę, która, resztę cnót przewyższając, z grzechów nas obmyć i łaskę Zbawiciela przywrócić nam może, dostąpić pragnąc. Przejęci szczególnymi względami i religijnem poszanowaniem ku nowemu przez Nas na cześć Ducha Świętego i jedynastu tysięcy świętych dziewic [2]) wraz ze szpitalem pośród murów miasta Naszego Nowego Sądcza wzniesionemu i założonemu klasztorowi kanoników regularnych zakonu Premonstratensów, czyli domu ubogich. Ceniąc przytem z szczególnym zapałem bardzo wielką pobożność bogobojnych: Jana Pustelnika opata, i braci tegoż zgromadzenia, z nim w tym to nowym klasztorze mieszkających, którzy, wzgardziwszy powabami tego świata, zamknięci w tymże klasztorze chwale boskiej się oddając, całopalenia i miłe Bogu ofiary Zbawicielowi składać i czynić dobrowolnie na się przyjęli. Postanowiliśmy im, celem przypuszczenia do uczestnictwa w zasługach ich pobożności, dla dostatniejszego ich utrzymania, iżby poświęcając się chwale boskiej, tem swobodniej modlitwom oddawać się, tudzież o Nasze i Towarzyszek Naszych, Najjaśniejszych

---

z Magdeburga do opactwa strahowskiego (Mons Sion) w Pradze za rzeką, obok Hradczyna.

[1]) Antoni Kraszewski, opat norbertański w Witowie († 1758): Życie Świętych, cz. II. str. 315. Warszawa 1752, in fol.

[2]) Mowa tu o św. Urszuli i jej towarzyszkach.

Księżnych i Pań, świętej pamięci Jadwigi [1]), i teraźniejszej Królowej Polski Anny [2]), także Jadwigi [3]) najukochajszej Córki Naszej, zbawienie miłosierdzia Zbawiciela naszego z tem większą błagać mogli pobożnością, rękę szczodrobliwości królewskiej podać. Jakoż na tegoż Jana opata usilne i pokorne prośby, oraz braci zgromadzenia tego, ku utrzymaniu słabych w pomienionym szpitalu zostających, wieś naszą Dąbrowa [4]) zwaną, a w poblizkości rzeczonego miasta Naszego Nowego Sądcza leżącą, którą rycerz Nasz Paweł czyli Paszko Trestka z ręki Naszej trzymał, tak jako w miedzach i krańcach swych wzdłuż i wszerz i wokoło z dawna oddzielona i odgraniczona, ze wszystkiemi rolami, łąkami, lasami, borami, krzakami, cierniskami, dąbrowami, sośniskami, jeziorami, sadzawkami, łowami ryb, zwierzyny i ptastwa, młynami, odmiarami, wodami i wód odpływami, przynależnościami, dodatkami i przyległościami, czynszami, pożytkami i dochodami, jakkolwiekbądź zwanymi, z wszelkiem prawem, zwierzchnictwem i wolnością, z jakiemi w posiadłości Naszej zostawała: Dajemy, nadajemy, wcielamy, przywłaszczamy i zapisujemy, naznaczamy i darujemy wiecznymi czasy, którą to wieś tenże Jan opat i bracia zgromadzenia jego, tudzież następcy ich z pomienionego nowego klasztoru w Nowym Sądczu mieć, dzierżyć, wiecznymi czasy posiadać i z niej użytkować mają. Pod tym jednak warunkiem, aby przy każdej służbie bożej i mszy św. odprawie, za Nami i pomienionemi Towarzyszkami Naszemi, tudzież za rzeczoną córką Naszą, za przodkami i potomkami Naszymi, do Zbawiciela naszego z nabożeństwem modlić się, po śmierci zaś Naszej nieustannie o zbawieniu Naszem pamięć mieć mają. Dlaczego wam starostowie, wielkorządcy, burgrabiowie, ziemianie, wójtowie, rajcy, tudzież wszystkim w szczególności urzędnikom Naszym sandeckim, teraz i na przyszłość będącym, powagą naszą królewską nieodwołalnie nakazujemy, abyście wymienionych: Jana opata i braci tak klasztornych jak szpitalnych, w posiadłości wsi pomienionej żadnym sposobem niepokoić, i czy to od nich samych, czy od kmieci ich, żadnych robocizn lub poborów żądać nie ważyli się, jeżeli nieprzebłaganego

[1]) Córka Ludwika Anjou króla węgier. i pol., pierwsza małżonka Jagiełły, zmarła 17. lipca 1399 r.

[2]) Córka hrabiego Celejskiego, druga małżonka Jagiełły, zmarła 12. maja 1416 r.

[3]) Dwuletnia podówczas dziecina, urodzona 8. kwietnia 1408 r. z tejże drugiej małżonki Anny.

[4]) Dzisiejsza Dąbrówka w obrębie nowosandeckiej parafii.

gniewu Boga Wszechmogącego, Najświętszej Matki Jego, tudzież jedynastu tysięcy świętych dziewic, niemniej i Naszego uniknąć zechcecie. Na świadectwo czego pieczęć dostojeństwa Naszego u listu niniejszego zawieszona.

Działo się w Sądczu, w piątek po niedzieli trzeciej po Wielkiejnocy, Roku Pańskiego Tysiącznego Czterechsetnego Dziesiątego. W obecności następujących wielmożnych i dzielnych mężów: Krystyna sandomierskiego i Sędziwoja poznańskiego, wojewodów; Michała lubelskiego, Jana ze Szczekocin wiślickiego, Wincentego z Granowa nakielskiego, Mikołaja z Michałowa wojnickiego, Jana z Tuliszkowa kaliskiego, kasztelanów; Piotra Szafrańca, podkomorzego krakowskiego, Andrzeja z Tęczyna, podstolego krakowskiego, i Spytka z Tarnowa dziedzica, tudzież innych słynnych Nam wiernych i wiarogodnych.

Dano przez ręce Wielebnego Mikołaja, proboszcza od św. Floryana przed Krakowem, podkanclerzego koronnego wiernie nam miłego [1]).

We dwa lata potem, dnia 8. stycznia 1412 r., wcieloną została do dóbr klasztornych: Januszowa, Librantowa, Wolfowa [2]), Kwieciszowa i Boguszowa; prócz tego sołtystwo w Piątkowej, dwa ogrody w pobliżu kościoła św. Wojciecha a trzeci przed bramami miasta nad rzeką „Żeglarką“ [3]) zwaną, które rajcy sandeccy, za zgodą całego pospólstwa, darowali i odstąpili wieczyście klasztorowi, z obowiązkiem jednak utrzymywania szpitala i chorych mieszkających w nim [4]). W tym jeszcze roku 1412 obdarzył Jagiełło klasztor norbertański podwójnym przywilejem. Najprzód dnia 5. marca w Nowym Sączu nadał wsiom klasztornym prawo magdeburskie, później znów 18. sierpnia w Krakowie uwolnił je

---

[1]) Privilegium Vladislai Jagellonis regis fundatoris pro Dąbrowa. Actum in Sandecz fer. VI. proxima post dominicam Jubilate A. D. 1410. — Kopię łacińską tego dokumentu (podług oryginału pismem gockiem na pergaminie), tudzież przekład polski zob. Dodatek do Gazety Lwowskiej z r. 1852. str. 179—180. — Summar. privileg. f. 7—8.

[2]) Wieś tę pisano w XV. wieku Wolfowa, później Wolchowa, a obecnie Olchówka. Wszystkie te wsi leżą w obrębie parafii nowosandeckiej.

[3]) Niewiadomo, co pod tą nazwą rozumiano wówczas, czy Dunajec czy Kamienicę.

[4]) Incorporatio hospitalis S. Spiritus ordini Praemonstratensium. Datum in Nova Sandecz fer. VI. infra octav. Epiphaniae 1412. Zob. Dodatki, nr. IV.

od podatków i wszelkich danin [1]). Osnowa pierwszego z tych przywilejów tak brzmi w przekładzie polskim:

W imię Pańskie amen. Na wieczną rzeczy pamiątkę. Gdy między ludzkiej przyrody korzyściami nie ma nic godniejszego nad pamięć, stosowna przeto, aby czyny ludzkie pismem i świadków zapisaniem uwieczniać, by z biegiem czasu nie zaginęły. My też Władysław z Bożej łaski król polski, tudzież ziem: krakowskiej, sandomierskiej, sieradzkiej, łęczyckiej, kujawskiej, także Litwy najwyższy książę, a Pomorza i Rusi pan dziedziczny, oznajmujemy osnową pisma niniejszego wszystkim obecnym i potomnym, komu to wiedzieć należy. Jako na wielkie i usilne prośby pobożnych braci: Jana opata, tudzież klasztoru kanoników regularnych zakonu Premonstratensów, czyli domu ubogich ku czci Ducha świętego, Najśw. Maryi Panny i jedynastu tysięcy świętych panien poświęconego, w obrębie murów miasta Naszego Nowego Sądcza bogobojnych Nam miłych, aby z tem większą pobożnością chwale boskiej oddawać się, oraz dla Nas i dla małżonki Naszej swobodniej o łaskę Zbawiciela modlić się mogli. Wsi ich klasztorne: Dąbrowę, Januszowę. Librantowę, Kwieciszowę, Boguszowę, Wolfowę w ziemi krakowskiej a powiecie sandeckim leżące, tak jak je krańce i granice wzdłuż, wszerz i w okręg z dawien dawna rozgraniczają i oddzielają, przenosimy z prawa polskiego na stale im służyć mające prawo niemieckie, także średzkiem zwane. Usuwając w nich wszystkie prawa polskie, urządzenia i zwyczaje w powszechności, które toż prawo niemieckie częstokroć wikłać zwykły. Wyjmujemy nadto, uwalniamy i wyswobodzamy sołtysów. kmieci, karczmarzów, młynarzów, zagrodników i wszystkich mieszkańców wsi wymienionych od wszelkich poborów, opłat, służebności, posług i uciążliwych powinności zaprowadzonych lub zaprowadzić się mających, jakiemkolwiek nazwiskiem je oznaczają, tudzież z pod wszelkiego zwierzchnictwa i władzy wszystkich królestwa Naszego wojewodów, kasztelanów, starostów, sędziów, podsędków, rządców, którychkolwiek urzędników i woźnych ich. Aby w sprawach. czy wielkich czy małych, jako o kradzież, o krew, zabójstwo, podpalenie, kalectwo lub inne jakiekolwiek występki zbrodnicze pozywać, ani przed nimi ani kimkolwiek

[1]) Vladislaus Rex Poloniae villas monasterii ordinis Praemonstratensis in Nowa Sandecz, scilicet Dąbrowa, Januszowa, Librantowa, Boguszowa, Kwieciszowa et Wolfowa ab exactionibus et solutione census liberat. Datum Cracoviae fer. V. infra octav. Assumpt. B. V. M. 1412. Summarium privileg. f. 15—17.

z nich nie sprawiali się i win płacić nie byli obowiązani. Lecz kmiecie i mieszkańcy tylko przed sołtysem podówczas będącym, sołtys zaś przed opatem rzeczonego klasztoru, a opat przed Nami, gdy listem Naszym, pieczęcią Naszą opieczętowanym, przed osobę Majestatu Naszego powołan i pozwan będzie. Jeżeli tenże opat z klasztorem w wymiarze sprawiedliwości niedbałymi lub opieszałymi będą, wówczas nie inaczej jak tylko prawem niemieckiem, także średzkiem zwanem, na żałoby odpowiadać będą winni. W sprawach zaś zbrodniczych i gardłowych wyż wyrażonych dajemy i udzielamy rzeczonemu sołtysowi treścią niniejszego zupełną moc sądzenia, wyrokowania, karcenia, więzienia i zakazywania w obrębach i granicach wsi wymienionych, jak tego toż prawo niemieckie we wszystkich szczegółach, rozdziałach, wyrokach i zastrzeżeniach wymaga i żąda. Chcemy nadto, aby, ilekroć zdarzy się rzeczonemu opatowi z klasztorem przed starostami i urzędnikami Naszymi przedkładać i okazywać przywileje i pisma na prawa ich jakiekolwiek, nie więcej, jak po dwa grosze, od okazania listów i praw takich dawać i płacić byli obowiązani. Na świadectwo czego pieczęć Majestatu Naszego u pisma niniejszego zawieszona.

Działo się i dano w Nowym Sądczu dnia sobotniego przed niedzielą głuchą, Roku Pańskiego Tysiącznego Czterechsetnego Dwunastego. W obecności wielebnych w Chrystusie księży: Mikołaja, arcybiskupa halickiego, Wojciecha, poznańskiego biskupa; tudzież wielmożnych i dzielnych: Jana z Tarnowa krakowskiego, Sędziwoja z Ostrorogu poznańskiego, Mikołaja z Michałowa sandomierskiego, Macieja z Łabiszyna brzeskiego, Jana Ligęzy łęczyckiego, wojewodów: Michała sandomierskiego, Jana z Tuliszkowa kaliskiego, Dobka z Oleśnicy wojnickiego, kasztelanów, i wielu innych wiarogodnych.

Dano przez ręce wielebnego w Panu księdza Mikołaja [1]), świętego kościoła halickiego arcybiskupa a podkanclerzego koronnego, wiernie Nam miłego [2]).

---

[1]) Mikołaj Trąba, arcybiskup halicki, następnie gnieźnieński 1412—1422. — Na sobór w Konstancyi 1414 r. wyprawił go Władysław Jagiełło. Tam to uzyskał Mik. Trąba tak dla siebie, jak i dla swoich następców, tytuł prymasa, który w Polsce był po królu pierwszą osobą, a w czasie bezkrólewia zastępował króla i nazywał się interrex.

[2]) Vladislaus Rex Poloniae villas monasterii ordinis Praemonstratensis in Nova Sandecz de jure polonico in jus theutonicum transfert. Actum in Nova Sandecz sabbato ante dominicam Oculi 1412. — Kopię

Fundacyę Jagiełły zatwierdził papież Jan XXIII. osobnym dyplomem, wydanym w Rzymie 19. grudnia 1412 r.[1]).

W XV., XVI. i XVII. wieku przybyły jeszcze klasztorowi niektóre majątkowe nabytki. I tak w r. 1412 Mikołaj, dziedzic Juraszowej, zapisał Norbertanom „Radoszową Górę“ przy wsi Koniuszowej, z obowiązkiem odprawiania corocznie jednej mszy św. w poniedziałek wielkanocny o odpuszczenie grzechów, a po zejściu testatora z tego świata o spokój duszy jego i jego dzieci: Jakóba, Jana i Prokopa[2]). — W r. 1435 opat Bartłomiej nabył młyn w Piątkowej od Mikołaja Zawrotowicza, jak świadczy osobny akt, podpisany przez rajców sandeckich 23. kwietnia 1435 r.[3]).

W r. 1458 wybuchnął przypadkowo ogień w szpitalu św. Ducha, przez co niektóre domy mieszczańskie, a zwłaszcza kościół norbertański wiele ucierpiał. Ubolewając nad tą klęską królowa Zofia, wdowa po Jagielle i pani sandecka, na prośbę opata, Jana z Żychlina, uwalnia klasztor od opłaty jednej grzywny i siedmiu groszy, które z folwarku norbertańskiego, „Kielbasne“ zwanego, przypadały corocznie skarbowi królowej. Przywilej ten zatwierdził ponownie Kazimierz Jagiellończyk w Krakowie 31. stycznia 1460 r.[4]).

W r. 1518 powstał spór między opatem, Janem z Sącza, a rajcami miasta, którzy rościli sobie prawo do majątku szpitala św. Ducha i zarządu jego. Norbertanie wykazali się przywilejem rajców sandeckich z r. 1412, mocą którego zrzekli się sami dobrowolnie wszelkich pretensyi do majątku szpitalnego, z wyjątkiem wyboru gospodarza szpitalnego, którym bywał jeden świecki, z ich ramienia postawiony. Król Zygmunt I., łagodząc ów spór, orzekł: „Opat z klasztorem jest i będzie prawym panem i dzierżawcą wsi: Januszowej, Librantowej, Kwieciszowej i Boguszowej. On też z dochodów tych dóbr obowiązan dawać corocznie ubogim szpitalnym:

---

łacińską tego dokumentu (podług oryginału pismem gockiem na pergaminie), tudzież przekład polski zob. Dodatek do Gazety Lwowskiej z r. 1851. str. 95 i 100. — Summar. privil. f. 13—15.

[1]) Confirmatio pontificia erectionis monasterii sandecensis. Datum Romae apud. s. Petrum die 19. decemb. 1412. Zob. Dodatki nr. V.

[2]) Donatio montis Radoszowa Gora fer. IV. post fest. Paschae 1412. Summarium privileg. convent. sandec. Praemonstr. f. 17.

[3]) Jus pro molendino in Piątkowa. Datum in Nova Sandecz sabbato ipso die S. Georgii an. 1435. Summar. privileg. fol. 18—19.

[4]) Privilegium Casimiri Regis, datum Cracoviae fer. V. proxima ante fest. Purificationis B. V. M. an. 1460. Zob. Dodatki nr. VII.

5 grzywien gotówką (grzywna po 48 gr.), żyta ćwiertni 6, jęczmienia 4, grochu 1, kaszy jęczmiennej lub tatarczanej $^1/_2$, jagieł $^1/_2$, i 4 cetnary soli. Rajcy zaś mają doglądać w szpitalu dobrego zaopatrzenia ubogich i zarządu, tudzież aby dochodów nie obracano na co innego. Dwaj mężowie uzdolnieni ku temu mają dochody pobierać i nimi gospodarzyć ubogim i kalekom, a z dochodu jako i wydatku zdawać liczbę rajcom i księdzu opatowi. Spadek pośmiertny po chorych nie ma iść na księdza opata i klasztor, lecz na szpital i chorych tegoż. Opat nie ma sobie przywłaszczać pieniędzy zebranych do puszki, lecz gospodarze mają to mieć pod sobą i ubogim rozdawać na żywność. Tak samo wstępne, czyli wkupne, ma iść na kaleki. Szpital rzeczony ma też mieć wolny użytek z lasów i gajów dóbr powyższych, według obyczaju starego [1])".

Przypatrzmy się jeszcze dalszym zapisom i przywilejom na korzyść Norbertanów.

Piotr Piwniczny, rajca sandecki, legował w r. 1583 szpitalowi św. Ducha folwark za kościołem św. Wojciecha na przedmieściu, razem z ogrodem i rolami należącemi do niego. — Jan Bher, mieszczanin sandecki, darował w r. 1599 klasztorowi ogród wśród murów miejskich, przylegający do szpitala św. Ducha. — Marcin Krzysztek, mieszczanin sandecki, zapisał w r. 1633 szpitalowi św. Ducha folwarczek z rolami i sadem za krakowską bramą, za rzeką Kamienicą [2]). — Jadwiga, wdowa po Stefanie Heranth, trębaczu Jego Królewskiej Mości, przekazała w r. 1637 szpitalowi św. Ducha plac na Biskupiem. — Trybunał radomski uwolnił w r. 1628 sołtystwo norbertańskie w Piątkowej od kontrybucyi, uchwalonej na sejmie toruńskim 1626 r. Norbertanie bowiem wykazali się przywilejem Władysława Jagiełły, który w r. 1412 uwolnił ich dobra od wszelkich podatków. — Podobnie trybunał piotrkowski w r. 1651 uwolnił 7 zagród norbertańskich przy kościele św. Mikołaja za bramą węgierską i w łanach miejskich od podatków, uchwalonych na sejmiku proszowickim 1649 r. — Wreszcie w czasie morowego powietrza 1652 r. Marcin i Zofia Wojciechowscy, małżonkowie, przekazali w testamencie klasztorowi swój ogród za rzeką Kamienicą, w pobliżu starej cegielni miejskiej [3]).

---

[1]) Sententia Sigismundi Regis de hospitali. Datum Cracoviae fer. II. proxima ante fest. Nativit. B. V. M. an. 1518. Zob. Dodatki nr. IX.
[2]) Summarium privilegiorum f. 34, 108.
[3]) Summarium privileg. f. 28, 32, 108.

Od tego roku nie znajduję już żadnych przywilejów, wydanych na korzyść Norbertanów sandeckich. Zato płynęły na klasztor obfite legata i zapisy mszalne od okolicznej szlachty. Ciekawym i wielce charakterystycznym jest testament Felicyana Boczkowskiego:

W Imię Pańskie Amen. Ja niżej podpisany wiedząc, że jestem śmiertelnym, a nie znając wcale godziny śmierci, takie ostatniej mojej woli czynię rozporządzenie. Pieniędzy gotowych mam blizko 12.000, t. j. 10.000 w złocie a 1.700 monetą polską, które w ten sposób mają być rozdzielone: Na anniwersarz do kollegiaty w Łęczycy leguję 3.000 złp. za dusze moich rodziców, braci i sióstr. Na potrzeby kollegiaty w Nowym Sączu 2.000 złp., z obowiązkiem odprawiania w tymże kościele przynajmniej jednej mszy św. dwa razy do roku za moją duszę. Życzę sobie, ażeby moje zwłoki pochowano w kościele św. Ducha u Norbertanów w Sączu; na anniwersarz leguję temu kościołowi 1000 złp. Nie dbam o żaden wystawny pogrzeb. Nie jestem zatem, ażeby gości na mój pogrzeb spraszano, albo stypę czyli ucztę pogrzebową im wyprawiano; ubogim jednak, ilekolwiek ich będzie, należy dać obiad, albo każdemu z nich po złotemu. Kapłanom zaś, którzy w czasie pogrzebu msze św. za duszę moją odprawią, każdemu po 3 złp.; na ten cel przeznaczam 700 złp. Klasztorom i szpitalom tak sandeckim, jako też i innym, według upodobania egzekutorów testamentu, należy rozdać 1.600 złp. Na sprawienie odzieży dla 50 ubogich leguję 600 złp. Egzekutorami mojej ostatniej woli ustanawiam ks. kustosza, Adama Bydłoniewicza, tudzież księży wikarych, Tomasza Kurowskiego i Jędrzeja Warpasowicza.

Ten testament spisałem własnoręcznie w Nowym Sączu dnia 6. grudnia R. P. 1657. Felicyan Boczkowski [1]).

Hojne legata napotykamy przedewszystkiem pod koniec XVII. i w XVIII. wieku, przeważnie za dusze dobrodziejów zakonu, które w krótkości przytoczę. I tak:

— Jacek z Kuchar i Zofia ze Stronia Kucharscy legowali na Motkowicach 1685 r. 3.000 złp., z obowiązkiem odprawiania jednego anniwersarza co rok i jednej mszy św. co tydzień [2]).

---

[1]) Ingrossatio testamenti generosi olim Feliciani Boczkowski. Acta colleg. sandec. saec. XVII.

[2]) Actum in castro Novae Civitatis Korczyn fer. IV. post. dom. conductus Paschae A. D. 1685.

— Ksiądz opat, Kazimierz Sowiński, nabył w r. 1708 od Jacka Włockiego dworek, położony obok murów miejskich w pobliżu kościoła św. Ducha. W lat cztery potem 26. kwietnia 1712 Jan Łukaszowicz, burmistrz, Kazimierz Kuligowicz, wójt, oraz cała rada miejska jednogłośnie uwolnili ten dworek od wszelkich podatków, poborów, hyberny i podymnego, „a to dlatego, że Wielmożny Imci Ksiądz Opat nowosandecki w tak ciężkich i gwałtownych widząc nas oppressyach, był nam protektorem i wielkim dobrodziejem, że nas w każdej nieszczęśliwości ratował“ [1]). Z wdzięczności zato, tudzież za inne place otrzymane od miasta obok klasztoru, zobowiązał się ksiądz opat i jego następcy własnym kosztem naprawiać i utrzymywać w dobrym stanie mur forteczny, ciągnący się wzdłuż zabudowań norbertańskich obok rzeki Kamienicy.

— Anna z Kuczkowa Kurdwanowska zapisała na Drużkowie 1719 r. 2.000 złp. swemu synowi ks. Ludwikowi Kurdwanowskiemu, zakonnikowi norbertańskiemu w Sączu.

— Józef Ciołek z Poniatowa Poniatowski, pułkownik wojsk polskich, na Gołąbkowicach 1739 r. 3.000 złp., z obowiązkiem anniwersarza i jednej mszy św. co tydzień [2]).

— Jan z Lipia Lipski, cześnik chełmski, na folwarku podgórskim i łanach miejskich 1741 r. 6.000 złp., z obowiązkiem anniwersarza i jednej mszy św. co tydzień.

— Antoni Siemiałecki na folwarku „Bernuszowskim“ na przedmieściu większem 1743 r. 4.000 złp.

— Ignacy z Jezior Jezierski, subdelegat grodzki sandecki, na Wilkonoszy 1755 r. 3.000 złp., z obowiązkiem anniwersarza i jednej mszy św. co tydzień. — Józef ze Stadnik Stadnicki, burgrabia krakowski, na Mogilnie 1000 złp.[3]).

— Kazimierz z Zakliczyna Jordan, starosta siemichowski, na Zabawie 1758 r. 10.000 złp., z obowiązkiem anniwersarza i czterech mszy św. w tymże dniu [4]). — Katarzyna Lassocianka

[1]) Summar. privileg. f. 50—52.

[2]) W testamencie swoim z r. 1739 wyraźnie prosi, ażeby zwłoki jego pogrzebano u św. Rocha w Dąbrówce. (Acta Castr. Sandec. Rel. T. 161. p. 513). Kościółek modrzewiowy św. Rocha z pięknem malowaniem wodnem na suficie i napisem: „Vladislaus Rex Poloniae Fundator Ecclesiae Istius 1410“, istnieje po dziś dzień.

[3]) Actum in castro sandecensi fer. IV. post. dominic. conductus Paschae proxima. A. D. 1755.

[4]) Actum in castro cracoviensi fer. II. ante festum S. Michaelis Archangeli proxima. A. D. 1758.

Szczkowska, zakonnica klasztoru zwierzynieckiego a rodzona siostra opata sandeckiego, Jana Lassoty Szczkowskiego, 7.000 złp.

— Bernardyn ze Stadnik Stadnicki na Porembie Wyżnej 1759 r. 10.000 złp., z obowiązkiem anniwersarza i trzech mszy św. co tydzień, za duszę Jana Sitowskiego, plebana z Biegonic.

— Stanisław z Łętowa Łętowski, podkomorzy krakowski, na Bobowej 1761 r. 15.000 złp., z obowiązkiem anniwersarza i trzech mszy św. co tydzień, za duszę Marcina Długoszowskiego, kanonika sandeckiego [1]).

— Hrabia Pontian de Harscamp na Klęczanach i Drzykowej 1763 r. 10.000 złp.

— Ignacy z Kurdwanowa Kurdwanowski, podwojewodzy lelowski, na Wielogłowach 1772 r. 4.000 złp., z obowiązkiem anniwersarza [2]). — Aleksander Łętowski na Gorlicach zabezpieczonego długu 2.000 złp. — Kasper Krodner, pisarz grodzki sandecki, na łąkach miejskich, „Stawiska“ zwanych, zabezpieczonego długu 393 złp.

— Józef Wielogłowski na Mogilnie 1773 r. 2.000 złp. — Felix ze Stadnik Stadnicki na Łososinie 2.000 złp. — Miasto Lubowla na Spiżu zabezpieczonego długu 1.700 złp.

— Katarzyna Krajewska na Zawadzie 1774 r. 500 złp.

— Klasztor norbertański w Hradcu na Morawach [3]) 1775 r. zabezpieczonego długu 12.000 złp.

— Pan Siedlecki na Szymbarku 1778 r. zabezpieczonego długu 3.000 złp.

— Jan Wielogłowski na Świdniku 1779 r. zabezpieczonego długu 1000 złp.[4]).

Taką hojnością, iście królewską i wielkopańską, wyposażeni Norbertanie pracowali w Nowym Sączu aż do chwili kasaty klasztorów w Austryi za czasów Józefa II., zajmując się wspólną modlitwą w chórze, głoszeniem słowa bożego, słuchaniem spowiedzi

---

[1]) Actum in castro biecensi fer. VI. post dominic. invocavit quadragesimalem proxima. A. D. 1761.

[2]) Actum in castro sandecensi fer. V. post dominic. cantata proxima, videlicet die 21. mai. A. D. 1772.

[3]) Mährisch Hradischer Praemonstratenser Kloster.

[4]) Inventarium bonorum ordinis Praemonstratensis in Nova Sandecz, die 15. decembris 1781 conscriptum. — Acta von Aufhebung des Prämonstratenser Kloster zu Neu Sandez de anno 1784, 1785 et 1786, fascykuł obszerny w registraturze c. k. Starostwa w Nowym Sączu. — Summarium privileg. f. 70—93, 115—124.

i sprawowaniem wszelkich posług duchownych w szpitalu św. Ducha.

Wiele miłych wspomnień wiąże się z tym domem bożym i klasztorem przez Jagiełłę wzniesionym, który aż do roku 1786 opasany był od strony rzeki Kamienicy wysokim fortecznym murem i obronną basztą. W opactwie Norbertanów na kilka zawodów mieszkał i w ich kościele mszę św. celebrował biskup krakowski, Zbigniew Oleśnicki — raz kiedy w r. 1436 nauce Husa, szerzącej się w sandeckiej ziemi pod sztandarem Spytka z Melsztyna, silną zaporę usiłował położyć [1]) — to znów kiedy z legatem papieskim Izydorem, kardynałem i metropolitą kijowskim, wspólne nabożeństwo w farze sandeckiej 1440 r. odprawiał — wreszcie kiedy kollegiatę 1448 r. a dokoła kilka prebend zakładał. Do tego tu kościoła, jak stare podanie niesie, biegał na modlitwę św. Kazimierz, królewicz polski, kiedy w zamku sandeckim (1469—1470) pod mistrzem włoskim, Filipem Kallimachem, i Janem Długoszem, kanonikiem krakowskim, ćwiczył się w nauce i pobożności.

W grobach tego kościoła spoczywają zwłoki opatów norbertańskich, tudzież wielu znakomitszych z pomiędzy szlachty, jako to: Szczepana z Wielogłów Wielogłowskiego [2]). kasztelana bieckiego, † 20. lutego 1736, i Jana Sebastyana z Lipia Lipskiego † 1755 r. Na pomniku Szczepana Wielogłowskiego, znanego nam bliżej z konfederacyi tarnogrodzkiej, wyryto poniżej herbu Starykoń w marmurze skromny napis:

Wspomnij człecze na bliźniego
Westchnieniem za duszę jego.
Bóg ci tego nie zapomni
I o duszy twojej wspomni.
Będzie ci zapłatą za to
Da po śmierci wieczne lato.

*Fui Non Sum*

*Anno Domini 1736 Die 20. Februarii.*

[1]) A. Prochaska: Konfederacya Spytka z Melsztyna. Lwów 1887.

[2]) Oto ważniejsze daty z jego życia: W r. 1703 porucznik pospolitego ruszenia powiatu sandeckiego i czchowskiego, w 1705 poseł od szlachty małopolskiej do króla szwedzkiego, Karola XII., w r. 1706 i 1712 marszałek sejmików krakowskich, w 1713 cześnik rawski, w 1714 marszałek sejmiku proszowskiego, w 1715 organizator słynnej konfederacyi tarnogrodzkiej, w 1728 podkomorzy krakowski, mianowany kasztelanem bieckim 25. maja 1735, † 1736. Mylnie więc powiada nasz uczony biskup, Ludwik Łętowski, że w rodzinie Wielogłowskich

Na nagrobku Jana Lipskiego, ostatniego potomka senatorskiego rodu tego nazwiska, wyryty na płycie marmurowej poniżej herbu Drużyna następujący wiersz:

Z imienia swego ostatni zasypia
Snem śmiertelności, położony w grobie
Kościoła tego, przy wszelkiej ozdobie.
Cny czytelniku, niechaj cię poruszy
Miłość bliźniego, wspomnij jego duszy.
Prosi do Boga o pacierz za siebie,
Będziesz miał za to sam nagrodę w niebie.

*A. D. 1755 aetatis suae 77.*

O samych Norbertanach, ich działalności i pracach, trudno coś szczegółowo dzisiaj powiedzieć, gdyż po ich kasacie zapiski klasztorne niszczały powoli na tutejszej wilgotnej starej plebanii i już dawno zniknęły bez śladu. Z niemałym żalem i smutkiem odszukałem zaledwie dużą okładzinę z dawnej kroniki klasztornej: „*Liber Memorabilium Ordinis Praemonstratensis*“. Na szczęście ocalał jeden spory foliał oprawny [1]), zawierający akta fundacyi i wyposażenia opactwa, przywileje królewskie, pobożne zapisy i fundacye mszalne dobrodziejów zakonu, spory graniczne z lat 1550, 1554 i 1754, różne procesy majątkowe z XVII. i XVIII. wieku, dyplomy zaprowadzenia bractw religijnych, bullę Benedykta XIV. o ołtarzach uprzywilejowanych z r. 1743, wreszcie spis opatów, którzy od r. 1410—1781 stali na czele zgromadzenia [2]).

Zato w archiwum kapitulnem przy katedrze krakowskiej przechowała się dość obszerna wizyta kanoniczna księcia-biskupa krakowskiego, kardynała Jerzego Radziwiłła o Norbertanach sandeckich, rzucająca niemało światła na stan wewnętrzny tegoż klasztoru i religijne stosunki miasta pod koniec XVI. wieku. Czytamy tam:

W r. 1597 dnia 19. sierpnia zjeżdża kardynał do Nowego Sącza i zwiedza tutaj aż do 19. września następujące kościoły:

---

żadnego nie było kasztelana. (Katalog biskupów krakow. T. IV. str. 224). Szczepan Wielogłowski pozostawił znaczny majątek, więcej niż 20 wsi, między innemi: Wielogłowy, Łukowicę, Czarnypotok, Tęgoborzę, Przyszowę.

[1]) Summarium Privilegiorum, Inscriptionum, Transactionum conventui sandecensi sacri ordinis Praemonstratensis servientium. Ex authenticis depromptum et transsumptum A. D. 1766.

[2]) Szereg opatów sandeckich zob. Dodatki, nr. XXI.

1) Kollegiatę św. Małgorzaty, gdzie między innemi rzeczami znajduje w skarbcu kościelnym cztery ornaty, zakupione od Kartuzów [1]).

2) Kościół św. Ducha przy klasztorze Norbertanów ze szpitalem.

3) Kościół Najśw. Maryi Panny z klasztorem Franciszkanów. Zastaje w nim 11 ołtarzy, monstrancyę ozdobioną koroną, kamieniami i perłami z ornatu królowej Zofii; zakonników 10, z pomiędzy których O. Hieronim Carellus jest gwardyanem nowosandeckim, a O. Ludwik Drobicz gwardyanem starosandeckim.

4) Szpital miejski, tuż za murami miasta położony, z kościołem drewnianym św. Walentego, którego przełożonym jest ks. Andrzej Wargowski, pleban w Biegonicach i oficyał sandecki. Kardynał ofiaruje dla 14 ubogich tegoż szpitala na mięso przez 10 tygodni (3 razy tygodniowo: w niedziele, wtorki i czwartki) dziesięć florenów, po 10 groszy na jeden raz. Z ratusza ciż ubodzy dostają co tydzień groszy 9, zaco kupuje się sól i drzewo.

5) Kaplicę św. Mikołaja na przedmieściu większem, czyli węgierskiem.

6) Kaplicę w polu św. Wojciecha i Grzegorza, która aż do roku 1448 była kościołem parafialnym.

Kaplicy św. Krzyża za rzeką Kamienicą, tudzież kaplicy św. Heleny za Dunajcem [2]), dla powodzi nie mógł kardynał zwiedzić. W Nowym Sączu udzielił sakramentu bierzmowania w tym czasie 1.248 osobom. Stąd udał się do Klarysek w Starym Sączu, gdzie w kaplicy bł. Kunegundy włożył welon zakonny trzem kandydatkom: Magdalenie Pakoszównie, Zofii Sadowskiej i Reginie Gmachowskiej.

Wynik odbytej u Norbertanów wizyty w takiem przedstawia się świetle:

W murowanym kościele św. Ducha, którego dach zły i wymaga naprawy, znajdują się cztery ołtarze, z tych jeden w kaplicy św. Anny, wystawionej świeżo przez przeora Tomasza Romana,

---

[1]) Jest tu zapewne wzmianka o Kartuzach lechnickich z Czerwonego Klasztoru w Pieninach przy Szczawnicy, których cesarz Ferdynand zniósł w r. 1563, a dobra ich dostały się kapitule spiskiej w Lewoczy (Leutschoviae).

[2]) Obecną kaplicę (a raczej kościółek) św. Heleny, w Strugach za Dunajcem, fundowała w r. 1686 Helena Marchocka, ksieni starosandecka, jak świadczy napis na tęczy. W czasie więc wizyty kardynała Radziwiłła musiała tam istnieć inna pod tem wezwaniem kaplica.

kapłana pobożnego i dobrych obyczajów. Kardynał poświęca pięć kielichów srebrnych i pięć patyn srebrnych; monstrancyę srebrną złoconą średniej wielkości; tabernaculum srebrne; puszkę kamieniami wysadzaną; krzyż wielki srebrny, za rządów opata, Pawła z Gołczy 1586 r., z sreber kościelnych ulany; dwa małe srebrne krzyże złocone; pektorał srebrny złocony; turybularz srebrny; parę ampułek srebrnych, i pastorał opacki srebrny złocony.

Po skończeniu ceremonii święcenia wstępuje kardynał do zakrystyi, gdzie przegląda wszystko z wielką skrupulatnością aż do najdrobniejszych rzeczy. Ogląda dwadzieścia kilka przywilejów, nadanych przez fundatorów i dobrodziejów klasztoru, między którymi figurują: Władysław Jagiełło, Langzidel, mieszczanin krakowski, królowa Anna i Zofia, Kazimierz Jagiellończyk i Zygmunt I. Nie pomija też porządnie urządzonego szpitala św. Ducha, gdzie obdarza ubogich jałmużną, wysłuchuje cierpliwie skarg i zażaleń.

W klasztorze norbertańskim mieszka sześciu kapłanów[1]): Jan z Zakliczyna Jordan, opat, Tomasz Roman, przeor, Stanisław Chyczowski, Wojciech Mizgula, Bartłomiej z Sącza i Tomasz z Brzeska.

Po wizycie kanonicznej przysłał niebawem kardynał Norbertanom swoje ojcowskie uwagi i przestrogi w osobnym dekrecie, wydanym w Krakowie 27. września 1597 r. Oto ich treść:

Książki potrzebne, jak brewiarze i reguły, należy sprawić — korporały i ręczniki mają być czyste — dobra najwyżej na trzy lata można wydzierżawiać — lasów nie wycinać ani sprzedawać — klauzurę klasztorną zaprowadzić — okna na ulicę wychodzące kratami zaopatrzyć — o godzinie 24 (8 wieczór) zamykać klasztor — łazienki klasztorne i szpitalne pokryć — wodociąg i studnię naprawić — rozpoczęty dla braci dom porządnie wymurować, z refektarzem, dormitarzem, infirmaryą, karcerem, biblioteką i spiżarnią — dwie nowe bramy potrzeba dodać — nowicyat ma trwać przynajmniej rok — założyć księgę, w którejby zapisywano imiona

[1]) Liczba zakonników w klasztorze sandeckim w rozmaitych czasach różną bywała. W r. 1692 mieszkało ich 10: Teofil Kaczyński, opat — Augustyn Jurkiewicz, przeor — Piotr Kocurowski, podprzeorzy — Wawrzyniec Rzeczycki, senior — Felicyan Raszkowicz — Józef Bochyński — Adam Kurowski — Kasper Wilkowicz — Chryzostom Krzmitowski i Wacław Rylik. (Acta Castr. Inscr. T. 67. p. 1306).— Daleko więcej było ich w drugiej połowie XVIII. wieku, jak niżej zobaczymy.

braci — wszyscy mają spać w jednym dormitarzu —. milczenia przestrzegać — tonzurę, tunicelę, szkaplerz, płaszcz i kaptur większego kroju nosić — zdrowych żebraków nie przyjmować do szpitala, chyba do posług — zakupić grunt dla szpitala pod ogród warzywny i zasiew — bracia codziennie rano i wieczór niech odwiedzają chorych — ustanowić należy brata szpitalnego, a prowizorów z ramienia miejskiego.

Dla utrzymania zakonników stanęła między nimi a opatem ugoda, potwierdzona przez kardynała, następującej osnowy:

Opat sandecki, Jan z Zakliczyna Jordan, odstępuje zakonnikom na własność folwark w Dąbrówce, należący do dóbr stołowych opackich, ze wszystkiemi rolami, łąkami, sadzawkami, młynami, gajami, pasiekami, pastwiskiem, bydłem, zbiorami teraźniejszymi i zeszłorocznymi, z wyjątkiem nieco ziarna tegorocznego: prócz tego ogrody pod miastem, z wyjątkiem jednego sadu na przedmieściu węgierskiem; 8 florenów z żup bocheńskich co kwartał, i używanie młyna w Piątkowej. Z tego bracia maja żyć, odziewać się i starać o kościół. Powyższa ugoda ma walor na 3 lata, poczem, na podstawie doświadczeń zebranych, bracia albo przy umowie zostaną, albo Dąbrówkę napowrót opatowi zwrócą, i dalej z rąk jego będą utrzymywani. Opat jednak zawsze swym kosztem będzie praw klasztoru bronił i dochodził [1]).

W miarę coraz większego rozstroju wewnętrznego we wszystkich kierunkach życia publicznego za panowania Augusta III., stygła także pierwotna gorliwość Norbertanów polskich [2]) i odstępowała ich widocznie coraz więcej. Ubolewając nad tem jenerał zakonu, Brunon de Bécourt, wystosował w Prémontré pod dniem 13. lipca 1752 r. osobne pismo do Pawła Ferdynanda Waczlawica, opata w Hradcu (Hradisch) i zarazem wizytatora generalnego Czech, Austryi, Moraw, Śląska i Karyntyi, mocą którego upoważnia go do odbycia wizyty kanonicznej w klasztorze sandeckim i przyłącza tenże odtąd do prowincyi morawskiej [3]), jak się dowiadujemy o tem

[1]) Archiwum kapitulne przy katedrze krakowskiej ks. IX. in fol.

[2]) Prowincya Norbertanów polskich liczyła w połowie XVIII. w. 15 klasztorów; męskie opactwa: w Hebdowie, Witowie, Wrocławiu, Nowym Sączu, i prepozyturę w Krzyżanowicach; prepozytury żeńskie: w Strzelnie, Żukowie, Czarnowąsie, Krakowie, Zwierzyńcu, Busku, Imbramowicach, Bolesławcu, Łęczycy i Płocku. (Ks. Knapiński: Św. Norbert i jego zakon. Warszawa 1885. str. 142 i nast.).

[3]) Jus subalternum Paternitatis in Ecclesiam Sandecensem Abbatis Gradicensis. Datum Praemonstrati 13. Julii 1752. Zob. Dodatki nr. XIX.

z zapisków norbertańskich [1]). Przyłączenie to wywarło wielce korzystny wpływ na opactwo sandeckie, to też węgierski opat z Csorny i Horpacza, Augustyn Bernard Kameniczky, wizytując z polecenia opata w Hradcu klasztor sandecki 23. czerwca 1776 r., oddaje mu wielkie pochwały, że pod czujnem okiem opata, Jana Szczkowskiego, kwitnie w zakonnikach jego pierwotna gorliwość i ożywia ich potężny duch świętego patryarchy Norberta. „*Non absque singulari mentis solamine percipere licuit, in hac liliata domo sub vigilantissimo praeside, Joanne Lassota Szczkowski, eum vigere spiritum, cui divus patriarcha Norbertus illud inculpate perennet: Quia templum Dei estis vos et Spiritus Sanctus habitat in vobis* [2])".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

---

[1]) Conventus Sandecensis, Ordinis Praemonstratensis, solitarie et unice in ditionibus Sacrae Cesareo Regiae Majestatis hactenus in Galicia et Lodomeria repertus, jam ab annis 28. scilicet an. 1752 ex certis rationibus per diploma Illustrissimi Domini Brunonis Bécourt, ordinis nostri Generalis, Amplissimo Domino Paulo Ferdinando Waczlawic, Abbati Gradicensi in Moravia affiliatus et aggregatus et per eundem an. 1776 canonice visitatus, proinde ex nunc ad corpus provinciae Moraviae spectare dignoscitur et legaliter comprobatur. Actum Sandeciae 3. julii 1781.

Joannes Lassota Szczkowski, Abbas Sandecensis Ord. Praemon.
Eustachius Słowikowski, Prior.
Anselmus Pacynkowski, Subprior.
Ignatius Nemetzy, Professor Philosophiae.

[2]) Summarium singulorum privilegiorum monasterio sandecensi ordinis Praemonstratensis servientium, et a Serenissimis Regibus Poloniae clementissime collatorum, quae Suae Sacratissimae Caesareo Regiae ac Apostolicae Majestati pro clementissima confirmatione largienda (sic), in profundissima humilitate et cultu substernuntur. (Z aktów rządowych 1783 r.).

# Z TEKI MAURYCEGO KRAIŃSKIEGO.

W umieszczonem w „Przewodniku naukowo-literackim“ z r. 1900 studyum historycznem p. t. „Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859)“ podniesiona została wybitna rola obywatelska Maurycego Kraińskiego w tych smutnych czasach prostracyi politycznej kraju, kiedy pole obywatelskiej pracy było jeżeli nie zamknięte to najeżone dokoła przeszkodami i trudnościami, z któremi do walki stanąć mogły tylko osobistości wyposażone wyższą miarą energii i abnegacyi obywatelskiej a nadto świadome tej doniosłości, jaką w tym okresie wielkich reform i przekształceń w stosunkach ekonomiczno-społecznych miało już samo zapobieganie, odwracanie a przynajmniej łagodzenie ciosów, grożących krajowi od ówczesnego systemu administracyjnego.

Maurycy Kraiński należał do rzędu nielicznych osobistości tego rodzaju, stał w ich pierwszym rzędzie a ceniony wysoko przez Namiestnika Agenora hr. Gołuchowskiego był przezeń wciągany do każdej akcyi, w której znajomość prawnych stosunków, potrzeb kraju i chęć służenia jego interesom łączyć się musiały z wytrwałością i abnegacyą, nieoglądającą się na rozgłos i popularność, nie zrażającą się ani trudnościami ani widokiem bezsilności wobec nieprzyjaznych prądów i żywiołów, lecz owszem szukającą w tych trudnościach tylko podniety do dalszych wysiłań.

Wierny towarzysz hr. Gołuchowskiego we wszystkich pracach i zabiegach obywatelskich tej doby, Maurycy Kraiński oddał krajowi niespożyte usługi, włożył we wszystkie wówczas traktowane a tak ważne sprawy krajowe tyle trudu i pracy, że kto to bliżej poznać mógł ze źródeł do historyi tych czasów, musi być podziwem przejęty.

Maurycego Kraińskiego cechowała niezwykła skromność, uderzająca i godna wyniesienia w dzisiejszych czasach, kiedy wobec łatwości zdobywania rozgłosu i reklamowania prac i zasług w życiu publicznem, ta właśnie cnota jest na najcięższe próby wystawiona i niestety zbyt często im ulega. Maurycy Kraiński był w pierwszym okresie rządów hr. Agenora Gołuchowskiego uczestnikiem wszystkich ankiet i komisyi, w których rozstrzygały się najważniejsze sprawy krajowe, był uczestnikiem wybitnym, ale zawsze tak skromnym, że o nim może najmniej mówiono.

Po śmierci Maurycego Kraińskiego rodzina złożyła wszystkie pisma przez niego zebrane i uporządkowane w Bibliotece Ossolińskich [1]). Zbiór ten, obejmujący sześć fascykułów, zawiera nietylko memoryały pisane przez Maurycego Kraińskiego na wezwanie Namiestnika hr. Gołuchowskiego, Ministerstwa lub w roli referenta Wydziału stanowego, lecz nadto także prace innych współczesnych uczestników różnych ankiet i komisyi, dla sprawy pańszczyźnianej zwoływanych, wreszcie różne druki, odnoszące się do czasów, w których dokonywała się wielka reforma agrarna w kraju naszym. Zbiór ten naprowadza na domysł, że Maurycy Kraiński zamierzał napisać historyę zniesienia stosunku poddańczego w Galicyi a może nawet historyę stosunku poddańczego wogóle od czasu przyłączenia Galicyi do Austryi. Na podjęcie takiej pracy brakło czasu a potem sił. Maurycy Kraiński bowiem nie schodził z widowni publicznej aż do późnego wieku i był zawsze niezmordowanie czynnym, zwłaszcza w pierwszych latach ery konstytucyjnej, kiedy powstawał Wydział krajowy, do którego organizacyi najwięcej się przyczynił. Kiedy wreszcie usunął się z Wydziału krajowego i ze służby publicznej wogóle, aby osiąść na wsi, wiek zgrzybiały nie pozwolił wziąć się do pracy zamierzonej. Jestto strata niepowetowana, bo takiej monografii historycznej, o jakiej wyżej wspomniano, dotąd nie posiadamy, a do jej napisania nikt nie był tak kompetentny, jak Maurycy Kraiński.

Zbiór aktów, pism i druków, które ze spuścizny Maurycego Kraińskiego dostały się Bibliotece Ossolińskich, stanowi materyał pierwszorzędnego znaczenia dla każdego, kto kiedykolwiek podejmie się napisania historyi zniesienia stosunku poddańczego w Galicyi, historyi tego stosunku wogóle. Z materyału tego tylko małą cząstkę wyzyskaliśmy w poniższych szkicach, odnoszących się do spraw,

[1]) Rękopis Bibl. Ossolińskich Nr. 2.945. *(Zbiór materyałów do historyi zniesienia stosunku poddańczego w Galicyi).*

które nawet w fragmentarycznem opracowaniu stanowią całość a rzucają światło na stosunki i położenie kraju w jednym z najważniejszych okresów jego historyi od czasu przyłączenia do Austryi.

* * *

## I.

### Chwiejność przepisów prawnych o stosunku poddańczym i dowolność biurokracyi w ich zastosowywaniu.

Jakkolwiek już w dawnych czasach zachodziły różnice w rodzaju i ilości ciążących na poddanych powinności dworskich, to jednak zawsze stały w pewnym stosunku do posiadanych przez włościan gruntów. Ustawodawstwo austryackie nie miało na uwadze owego stosunku. Patenty, uchwały, dekrety, rozporządzenia i przepisy regulowały, zmniejszały, znosiły powinności bez żadnej pewnej zasady. Często stały one w sprzeczności ze sobą, niektóre chwilową tylko miały mieć prawomocność. Największą część przepisów, odnoszących się do poddaństwa, publikowano za rządów cesarza Józefa II. a we wszystkich przebijała dążność do zamierzonej przez niego radykalnej regulacyi powinności poddańczych i stosunku między dziedzicem a chłopem. Na schyłku panowania cesarza Józefa nastąpił zwrot w tym radykalizmie, ale zresztą kierunek, wytknięty ustawodawstwem w tej sprawie, nawet po dokonanych modyfikacyach utrzymał się niemal do r. 1848.

Wydane za panowania cesarza Franciszka ustawy policyć należy do kazuistyki. Chodziło najczęściej o wyjaśnienie, jak patenty cesarza Józefa mają być rozumiane i stosowane w poszczególnych wypadkach. Ztąd wywiązał się chaos w przepisach poddańczych, przez które trudno było przebić się nawet najbieglejszym prawnikom austryackim. I nie mogło być inaczej, jeżeli zważymy, że w hierarchii ówczesnych urzędów administracyjnych, w których zakres sprawy poddańcze po największej części wchodziły, zacierały się granice kompetencyjne. Często gubernium wydawało dekrety i przepisy, które obowiązywały dotąd, dopóki przy jakiej przypadkowej sposobności, dostawszy się do wiadomości kancelaryi nadwornej, nie zostały zmienione lub nawet zupełnie uchylone. Patenty, najwyższe uchwały i rezolucye przez monarchę wydane objaśniała, tłumaczyła a przytem oczywiście i naciągała kancelarya nadworna swojemi dekretami a że objaśnienia takie często by-

wały wyrazem tylko indywidualnego pojmowania rzeczy, nie było nic dziwnego w tem, jeżeli niejeden dekret kancelaryi nadwornej uchylał to, co inny powołując się na tę samą decyzyę cesarską nakazywał.

Już samo dochodzenie podstawy prawnej do oznaczenia wymiaru obowiązków poddańczych połączone było z niemałemi trudnościami a chwiejność i elastyczność wydanych w tej mierze przepisów powiększały owe trudności. Do oznaczenia należności, jakości i wymiaru powinności poddańczych służyły następujące źródła: 1) starodawne inwentarze, 2) lustracye przedsiębrane jeszcze za czasów Rzeczypospolitej; 3) inwentarze zarządzone zaraz po zajęciu Galicyi przez Austryę patentem z 22. grudnia 1772 (t. z. *Stock-Inventare*), oparte na włożonym na dziedziców obowiązku wykazania powinności poddańczych według dawnych inwentarzy lub według przestrzeganego wówczas zwyczaju; 4) inwentarze sporządzane sądownie przy sposobności detaksacyi lub zmiany właścicieli dóbr ziemskich; 5) inwentarze sporządzane lub sprawdzane przy różnych sposobnościach przez urzędy cyrkularne; 6) inwentarze spisywane w r. 1785 i 1789 dla zamierzonej przez cesarza Józefa regulacyi (tak zwane urbaryusze); 7) fassye przedkładane przez dziedziców dla opodatkowania wszystkich dochodów (w r. 1774) a potem dochodów urbaryalnych, t. j. z powinności poddańczych w szczególności (w r. 1819).

Mało było w kraju wsi, w których zgadzałyby się przynajmniej dwa dokumenta co do wymiaru należnych dziedzicom powinności, chociaż wszystkie spisywane były pod rygorem zaprzysiężenia, z zagrożeniem kary a nawet pod utratą prawa do poboru zatajonych powinności. Niezgodność ta wzmagała się w miarę, jak z biegiem czasu powstawały zmiany w wymiarze powinności poddańczych, wskutek zniesienia niektórych powinności i powstawania nowych gospodarstw inwentarzami nieobjętych (z korczunków, z osuszonych gruntów, z wydzielenia gruntów dominikalnych przez dziedziców i t. p.). Nadto moc dowodowa tych dokumentów była w wielu wypadkach wątpliwa, gdyż niewszystkie były spisywane wobec obowiązanych i zaopatrzone ich podpisami, a włościanom pozostawiono możność składania dowodu przez niezaprzysiężonych świadków, że w dawniejszych czasach odrabiali powinność mniejszą od tej, jaką inwentarze lub fassye wykazywały.

Rozporządzenia, określające ważność poszczególnych dokumentów tej kategoryi przy rozstrzyganiu sporów, były niejasne: kolidowały ze sobą, więc sprawiały urzędom trudności przy stoso-

waniu w danych wypadkach. Decyzya zależała w takim razie częstokroć od większej lub mniejszej biegłości urzędnika lub broniącego się dziedzica w naciąganiu faktów do postanowień tego lub owego rozporządzenia.

Spory, w których strony opierały się na dowodach z dokumentów, należały właściwie do kompetencyi sądowej, a tymczasem faktycznie załatwiane były przez władze administracyjne.

W rozstrzyganiu sporów władze administracyjne przestrzegały normy, że już samo posiadanie gruntu nadawało włościaninowi prawo do niejakiej własności ze wszystkiemi ze stosunku poddańczego wypływającemi, a przez szczegółowe przepisy określonemi, dobrodziejstwami. Tak niesprawiedliwa norma nietylko wytwarzała nowe źródło sporów i waśni między dworem a poddanymi, lecz nadto w nieuniknionej konsekwencyi musiała jak najzgubniej wpływać na stosunki gospodarcze. Dziedzice bowiem, widząc się zagrożonymi w prawach swoich, pozostawiali odleglejsze obszary odłogiem, aby nie wystawiać się na niebezpieczeństwo utraty własności gruntowej z mocy powyższej normy. Ale nawet i ta przezorność nie zabezpieczała dostatecznie własności dziedziców. Włościanie bowiem zwolna ale wytrwale wciskali się w ich grunta, a skoro raz weszli w takie nieprawne ale faktyczne posiadanie, już windykacya własności była trudną dla dziedzica.

Całe ustawodawstwo józefińskie i pojózefińskie o stosunkach poddańczych, pełne luk i sprzeczności co do zasad prawnych a jasne i konsekwentne tylko w dążności do wytwarzania przepaści między dworem a gminą, musiało stać się w ręku obcej a wrogiej krajowi biurokracyi istną plagą społeczną i ekonomiczną dla Galicyi. Wytwarzał się z biegiem czasu stan nieznośny rozstroju i niepewności jutra, bo każdy nowy system rządowy w sposobie wykonywania przepisów o stosunkach poddańczych, znajdował najlepsze narzędzie do uwydatnienia swoich tendencyi. W pierwszych latach XIX. stulecia stosunkowo najmniej uczuwać się dawała dziedzicom dowolność i dokuczliwość biurokracyi. bo był to okres nieustannych zawikłań wojennych, wśród których rządowi zależeć musiało na utrzymaniu wewnętrznego spokoju. Skoro jednak okres ten zamknął się wiedeńskim traktatem pokojowym, zaczęły się wichrzenia biurokracyi galicyjskiej na tle stosunków pańszczyźnianych, gdyż polityka wymagała tego, aby po klęskach wojennych lud wiejski został przywiązany do rządu rekompensatą za wszystkie uciążliwości czasów wojennych, za krew przelewaną na dalekich pobojowiskach, za zwiększone ciężary podatkowe i za utratę bydła

pociągowego w dalekich podwodach. Nagle tedy za widoczną inspiracyą biurokracyi zaczęły jak grzyby po deszczu wyłazić wszędzie różne pretensye i skargi poddanych a za niemi spadały na dziedziców z cyrkułów komisye, dochodzenia i t. p. z takiemi dotkliwemi następstwami, jak przysądzanie włościanom gruntów, które nieprawnie zabrali, ale faktycznie posiadali. wymierzanie kar w podwójnej wartości rzeczywistych lub mniemanych przekroczeń dziedziców przy wymiarze powinności poddańczych i t. p. Urzędnikowi, który załatwił wiele t. zw. spraw pregrawacyjnych na korzyść poddanych, poczytywano to za zasługę, więc każdy karyerowicz starał się o to, aby poddani dali jaknajwięcej sposobności do zdobycia takiej zasługi przez wnoszenie skarg i pretensyi przeciw dziedzicom. Na wielką skalę odbywało się to w r. 1817 z powodu zapowiedzianego przyjazdu cesarza Franciszka do Galicyi. Za staraniem gorliwych agentów po wsiach, pokątnych pisarzy, wpływały wtedy skargi na dziedziców ze wszystkich gmin oczywiście na ręce cesarza Franciszka, który też istotnie tysiące takich pism zabrał ze sobą do Wiednia. Ale i ze strony dziedziców wpływały także skargi do tronu z powodu nietaktownego i samowolnego postępowania organów administracyjnych w sprawie pańszczyźnianej. Cesarz Franciszek nie myślał o kontynuacyi radykalnej polityki Józefińskiej w sprawie pańszczyźnianej, więc może nie tyle z łaskawości dla szlachty galicyjskiej ile ze względów na spokój społeczny, którego zamącenie na jednym punkcie monarchii mogło łatwo odbić się także dotkliwie na innych uprzywilejowanych prowincyach, skłonił go do wydania w r. 1821 instrukcyi, w której w energicznych wyrazach zgromione zostało samowładne i nieoględne postępowanie niższych organów administracyjnych a szczególnie komisarzy obwodowych. Instrukcya ta surowo nakazywała, aby prawo własności dziedziców było szanowane.

Początkowo biurokracya galicyjska nie bardzo wzięła sobie do serca to upomnienie cesarskie, bo w r. 1823, kiedy cesarz Franciszek przejeżdżał przez Galicyę do Czerniowiec na spotkanie z cesarzem rossyjskim, znowu wpłynęły tysiące skarg od poddanych. Ale tym razem i dziedzice już daleko śmielej występowali ze swojemi skargami na postępowanie władz w sprawie pańszczyźnianej. Musiano zastosować zalecony przez cesarza rygor w szanowaniu praw własności dziedziców, wskutek czego niejedna gmina, polegająca na otrzymanych już niesłusznie przychylnych sobie decyzyach niższych organów administracyjnych, wystawiona została

na ciężkie przejścia, mianowicie na kary i egzekucye wojskowe w razie oporu co do dopełnienia powinności poddańczych według późniejszych w sprzecznym duchu wydanych orzeczeń wyższych instancyi. W ówczesnem ustawodawstwie austryackiem bowiem istniało co do spraw poddańczych to wyjątkowe rozporządzenie, że rekursy nie wstrzymywały doraźnej egzekucyi dekretów której bądź instancyi. Wiele w najwyższych instancyach zakończonych spraw wznawiali wówczas już i dziedzice a niezbyt rzadko zachodziły wypadki, że taką sprawę wznowioną załatwiano w duchu zupełnie przeciwnym pierwotnej decyzyi. Było to mianowicie w czasie, gdy na sąsiednim Szląsku chłopi podburzani w podobny sposób jak w Galicyi, stawiać zaczęli opór tak zuchwały, że dla wymuszenia posłuszeństwa ówczesny komisarz obwodowy książę Lobkowitz musiał ściągnąć wojsko, które z broni palnej użytek zrobiło. Zachodziły wtedy także i w Galicyi wypadki krwawej egzekucyi.

Po upadku powstania w Królestwie Polskiem w r. 1831 zawiał w Austryi, mianowicie w Galicyi, chwilowo silny prąd, dotąd w tym kraju nieznany. Szlachta polska nietylko przestała być uciskaną, lecz nawet zdawała się wchodzić w łaskę u rządu centralnego. Cesarz Franciszek wydał ogólną amnestyę dla galicyjskich uczestników powstania, zezwolił na pobyt emigrantów z Królestwa Polskiego w Galicyi i zarządził odpisanie zaległości podatkowych, a przedewszystkiem szlachtę obciążających. Ówczesny gubernator Galicyi książę Lobkowitz manifestował ten zwrot w polityce rządu wiedeńskiego tak dalece, że nawet sam pokazywał się w stroju polskim, w którym widzieć go też można na jednym z współczesnych wizerunków.

Prąd ten jednak trwał niedługo a niestety do zmiany dostarczano powodów także i z kraju. Gorętsze jednostki ze szlachty pomimo świeżego pogromu dawały się wplątać w tajne związki spiskowe, wskutek czego nastąpiły rewizye, aresztowania a w końcu wydalanie emigrantów, uważanych za główny czynnik ruchu. Nie brakło w ówczesnej emigracyi, w Galicyi przebywającej, żywiołów demagogicznych, które już wówczas zainicyowały ową nieszczęsną, później przez emigracyę polską z Paryża ze zdecydowanym planem szerzoną agitacyę, mającą na celu pozyskanie chłopa dla sprawy spiskowo-narodowej przez przyrzeczenie zniesienia pańszczyzny. Na razie agitacya ta osiągała jeden cel, nieprzewidywany może a tem mniej zamierzony przez jej inicyatorów, t. j. sprowadzała wodę na młyn tej zawistnej krajowi biurokracyi, która w podtrzy-

mywaniu i ustawicznem podsycaniu waśni pomiędzy dworem a gminą, pomiędzy dziedzicami a poddanymi widziała szczyt mądrości politycznej, najlepszy i najpewniejszy środek utrwalenia własnej i rządu powagi w Galicyi. Zaczęły się napowrót dawne praktyki biurokratyczne z wywoływaniem skarg chłopskich na dziedziców a w skargach wznawiano oczywiście wszystkie grawamina. w których poprzednio powiodło się dziedzicom uzyskać decyzye korzystne dla siebie a zgodne z prawem i słusznością. Zaczęło się także dawne odmawianie powinności poddańczych pod okiem władz, odmawiających egzekucyi a natomiast popierających wszelkie żądania ulg w wymiarze powinności poddańczych, zapomóg nadzwyczajnych i t. p. obciążeń szlachty.

Wytworzył się ostatecznie stan tak nieznośny dla szlachty, że ogół dziedziców gotów był dla wyjścia z tego stanu ponieść wszelkie ofiary. Ale chodziło tutaj o stosunek, niedający się jednostronną decyzyą ani uchylić ani zmienić. Trzeba było pierwej prosić o to, aby wolno było zreformować ten stosunek lub całkowicie uchylić, chociażby kosztem samej tylko uprawnionej strony. W r. 1844 sejm stanowy wszedł na tę drogę a na wniosek deputata Wydziału stanowego Tadeusza Wasilewskiego zapadła uchwała zawierająca prośbę do tronu w sprawie uregulowania stosunków poddańczych. Chodziło na razie o ustanowienie komisyi dla prac przygotowawczych w tej mierze, na co zgodził się cesarz najw. postanowieniem z 11. marca 1845 r. Sejm stanowy na sesyi swojej z tego roku wybrał członków zamierzonej komisyi, ale zanim ona skompletowana została delegatami rządowi zastrzeżonymi, krwawe wypadki r. 1846 zepchnęły sprawę pańszczyźnianą z wytkniętej właśnie drogi spokojnego i prawnego rozwikłania w przepaść anarchicznego zamętu.

W obwodach zachodnio-galicyjskich, szczególnie w tarnowskim, anarchiczny posiew biurokracyi na gruncie pańszczyźnianym wydał plon tak bujny, że go się sami sprawcy zlękli. Chłop uważał pańszczyznę za zniesioną *ipso facto* rzezi a ponieważ do wniosku tego doprowadzony został przez całe dotychczasowe postępowanie biurokracyi w tej sprawie, więc nie słuchał ani wezwań do odrabiania pańszczyzny, ani poważnych upomnień, popartych czasem nawet drastycznemi środkami egzekucyjnemi. Do szczytu doszła wtedy anarchia administracyjna, bo władza obwodowa skompromitowana i zaangażowana wobec chłopa wypadkami lutowemi, nie miała żadnej powagi ani prawnej ani moralnej. Z Szelą trzeba było nawet paktować, ażeby go zjednać dla zarządzeń wła-

dzy w sprawie pańszczyźnianej przynajmniej o tyle, iżby nie nadużywał swojej krwawo zdobytej a znacznej powagi u chłopstwa w kierunku wprost zachęcającym do wytrwania w uporze. Miary anarchii dopełniała dwoista rola biurokracyi, bo widocznem było, że zachęca i skłania włościan do dopełnienia powinności poddańczych nie ze szczerej intencyi osłaniania prawnych stosunków, lecz tylko pod naciskiem władzy centralnej w Wiedniu, która ze swojej strony nalegała na władze galicyjskie także nie ze szczerej troski o ciężko naruszony stan prawny w Galicyi i o los na każdym kroku uciskanej, nękanej i rujnowanej szlachty, lecz z obawy, aby ruch antipańszczyźniany nie przeniósł się do innych prowincyi austryackich a widok wynagradzania chłopów galicyjskich za krwawe wybryki przeciw dworom nie wywarł wpływu demoralizującego. Jak dalece w motywa akcyi władz galicyjskich około poskromienia ruchu antipańszczyźnianego nie wchodziła troska o los szlachty, na to dowodem ówczesne wystąpienie niektórych biurokratów. Komisarz Tobiaszek n. p., który nie był w tej mierze odosobnionym i pełnił służbę w obwodzie, niezapisanym krwawo w historyi r. 1846 (w Przemyskiem), tak się odzywał do chłopów: „Nie dam spokoju tym dumnym panom, dopóki ostatnia hrabina nie będzie służyć za kucharkę u mojej żony, dopóki dziedzic jeżdżący czterma końmi o lasce chodzić nie będzie“.

W cyrkułach galicyjskich było wtedy wiele takich Tobiaszków, niezdolnych do ocenienia społecznej strony sprawy pańszczyźnianej i wchodzących w grę interesów nietylko kraju lecz także i państwa, zaślepionych nienawiścią ku szlachcie i własnym interesem w podtrzymywaniu stanu, który co chwila dawał pretext do zyskownych komisyi po gminach i dworach.

W gubernium miano już wtedy świadomość całej grozy sytuacyi, ale źródło złego widziano nie w systemie administracyjnym, nie w postępowaniu biurokracyi, lecz w agitacyi wrogów państwa i porządku społecznego. Ówczesny gubernialny referent sprawy pańszczyźnianej, radca Eminger (późniejszy Namiestnik dolnej Austryi) tak rzecz przedstawiał w swoich relacyach do kancelaryi nadwornej w r. 1846. Na przykład przytaczamy jeden ustęp z tych relacyi:

„Ostatnie smutne wydarzenia — pisze ten referent do Wiednia — jasno wykazały, że między ludem wiejskim panuje głęboka niechęć do pańszczyzny, z którą niestety łączą się częste nadużycia. Niechęć ta wskutek ostatnich wypadków wzrosła aż do jawnego oporu. Usiłowaniom władz, popartym przez liczne wojskowe asy-

stencye, powiodło się wprawdzie na razie przywrócić posłuszeństwo gmin, ale niechęć ludności trwa dalej i obawiać się należy, że będzie ona ciągle wywoływać starcia między dziedzicami a poddanymi, spotęguje rozgoryczenie drugich a niezadowolenie pierwszych, nadweręży tem samem socyalny ustrój kraju a nawet zagrażałaby publicznemu bezpieczeństwu, zwłaszcza wobec faktu, że wrogowie porządku socyalnego nie przestają wyzyskiwać tego materyału palnego dla swoich celów przewrotnych. Taki stan rzeczy niebezpieczny dla wewnętrznego pokoju prowincyi i państwa, jest dla rządu aż nadto wystarczającym motywem, aby wziął pod rozwagę zniesienie pańszczyzny i zaprowadzenie ekwiwalentu w jej miejsce".

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

# POSTĘPY W ASTRONOMII I FIZYCE

## OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW

### AŻ DO KOŃCA XIX. STULECIA.

(Szkic historyczno-naukowy).

(Ciąg dalszy).

IV.

Po wprowadzeniu do astronomii zreformowanego systemu Kopernika, tudzież użyciu do robienia obserwacyj na niebie refraktorów i reflektorów, na początku XVII. stulecia nowo skonstruowanych i po ustawieniu na obserwatoryach astronomicznych zamiast drewnianych instrumentów obserwacyjnych i mierniczych, *lege artis technicae* sporządzonych dokładniejszych przyrządów różnego rodzaju, rozpoczęła się pod koniec XVII. i w ciągu XVIII. stulecia nowa era dla tej królewskiej nauki. Edmund Hallej przepowiedział rachunkiem powrót komety, po nim nazwanej (ob. moje Pisma pomniejsze str. 263, tudzież książeczkę „O kometach“ Poznań 1857) i robiąc w r. 1677 spostrzeżenia astronomiczne na wyspie św. Heleny był tak szczęśliwy, że mógł uważać przypadający wówczas przechód Merkurego poprzed tarczę słoneczną. Okoliczności, towarzyszące temu zdarzeniu, naprowadziły go na myśl dochodzenia paralaxy słońca z oznaczonej paralaxy Wenusa w czasie przechodu tej planety poprzed tarczę słońca, który to przechód na dzień 5. czerwca 1761 r. przepowiedział. Hallej umarł w r. 1742, a przechód Wenusa poprzed tarczę słoneczną nastąpił istotnie w r. 1761. Odtąd przez całe XIX. stulecie odkrycia na niebie i udoskonalenia fizyczno-astronomicznych teoryi postępowały naprzód szybkim krokiem. Astronom Herszel odkrył w r. 1781 Urana, a w pierwszych zaraz latach XIX. stucia odkryto cztery małe planety: Ceres, Palas, Juno, We-

sta, asteroidami czyli planetoidami nazwane, które w przestrzeni nieba pomiędzy Marsem a Jowiszem biegi swe dokoła słońca odbywają. Laplace napisał swoją „Mechanikę Nieba“ (*mecanique celeste*) — dzieło wiekopomne; astronom Encke dwutomowe dzieło pod tytułem: „Odległość słońca od ziemi“ wydrukowane w r. 1825, według którego odległość ta 20,682.000 mil geogr. ma wynosić, a Leverrier matematyk i astronom francuski odkrył pod koniec r. 1846 rachunkiem jeszcze jedną, dalej poza Uranem biegi swe dokoła słońca odbywającą planetę i oznaczył jej miejsce na niebie tak dokładnie, iż astronom Galle w Berlinie w r. 1847 po odczytaniu w gazecie doniesienia z Paryża o tem ciekawem zdarzeniu, tej samej jeszcze nocy odszukał ją po krótkiej obserwacyi. Nazwaną została Neptunem. Od r. 1846 rozpoczęło się dalsze odkrywanie tych małych planet (planetoidów), które postępowało tak szybko naprzód, iż do 1. stycznia 1868 r. znano ich już 93, a do 14. września 1898 aż 436. Przy dzisiejszej astrofotografii nieba spodziewać się można, iż liczba ich wkrótce urośnie do pięciu set. gdyż niema wątpliwości, że w tej przestrzeni świata pomiędzy Marsem a Jowiszem daleko jeszcze więcej takich brył się znajduje, kiedy najmniejsze z odkrytych mają tylko średnicę tak małą, jak n. p. odległość Sądowej Wiszni lub Gródka od Lwowa, a teleskopy z roku na rok ciągle się ulepszają i coraz mniejsze ciała niebieskie nawet z tak odległych stron, jak przez one planetoidy zajętych, do oka ludzkiego sprowadzają. Między niemi są i takie, które mają średnicę nie większą nad 15, a nawet na 12 kilometrów.

Dzisiejszy system (układ) słoneczny w przestrzeni Niebios, w ostatnich dziesiątkach lat jeszcze lepiej i dokładniej zbadany, przedstawia się oku człowieka ucywilizowanego na końcu XIX. stulecia ery chrz. w krótkim referacie, jak następuje:

Główny jego inwentarz składa się z następujących pozycyi, na których czele stoi słońce.

Ciało to niebieskie w swoim rejonie przestrzeni światowej na mocy swej miary i energii grawitacyjnej wszechpotężne, bardzo jest gorące i własnym nadzwyczaj jasnym blaskiem świeci. Do niego należy: *a)* gromada 9-ciu planet głównych, które wszystkie około centralnego ciała (słońca) biegi swe od zachodu na wschód z różnemi chyżościami odbywają i wymienione tu są w tym samym porządku, jak w przestrzeni tego systemu po sobie następują i odległość ich od słońca rośnie. Są one: Merkury, Wenus, Ziemia, Eros, Mars, Jupiter, Saturn, Uran i Neptun.

Eros jest z nich bez porównania najmniejszy a reszta ośm są to ogromne bryły różnej wielkości; *b)* wielka gromada planetoidów, dotychczas należycie ponumerowanych i do spisu tejże ostatecznie wcielonych w liczbie 445, tudzież przeszło półtora tuzina dopiero tylko prowizorycznie zanotowanych, bo nie są jeszcze dostatecznie zbadane. Mieszczą się one wszystkie z wyjątkiem Erosa, w asteroidalnym pierścieniu przestrzeni pomiędzy drogami (orbitami) Marsa i Jowisza, odbywają swe biegi dokoła słońca po drogach elliptycznych także od zachodu na wschód z różnemi chyżościami i powstały prawdopodobnie wskutek katastrofy, jakiej kiedyś może przed bilionami [1]) lat, kursująca w tej przestrzeni wielka bryła planetarna uległa, czy to przez zderzenie się z inną, która ją z boku najechała, czy może tylko wskutek przemiany w niej samej energii położenia cząstek materyi (molekułów) w energię ruchu, jak się to nieraz zdarza na ziemi przez zapalenie prochu w magazynie lub dynamitu, nitrogliceryny, bawełny strzelniczej lub czegoś innego podobnego... na składach przez iskrę elektryczną albo przez jaką inną molekularną przyczynę; *c)* gromada księżyców czyli satelitów przy niektórych wielkich planetach (głównych). Ziemia nasza ma tylko 1 księżyc bryłowaty a prócz niego t. z. światło zodjakalne, Mars 2 księżyce, Jowisz 5, Saturn 9 większych (bryłowatych) i osobno dwa „pierścienie“, Uran 4, a Neptun 1. Wszystkie, o ile wiemy, okrążają swoje (główne) planety po drogach eliptycznych w biegu normalno-kierunkowym od zachodu na wschód; *d)* mnóstwo komet, z tych 18 peryodycznych, już więcej jak raz obserwowanych i należycie obliczonych, a bardzo wiele innych naukowo jeszcze w kalendarzach astronomicznych nie zapisanych. Są to, jak powszechnie wiadomo, gwiazdy osobliwsze z głową (jądrem), obwleczoną prawie przeźroczystą osłoną i ogonem krótszym lub dłuższym, albo kilkoma takiemi świetlistemi przyczepkami, czasem prostemi, czasem rozmaicie pokrzywionemi. Niektóre, bardzo małe i niemające ogona, tylko w dobrych teleskopach są widzialne. W perihelu te ogony powiększają się kosztem głowy czyli jądra komety, która w afelu cząstokroć traci całkiem swój ogon, gubiąc po drodze w tych bardzo zimnych okolicach przestrzeni światowej z ogromnej objętości swojej nietylko zmarznięte i w najdrobniejsze prochy obrócone pary swoje, ale także w skamieniałe bryły i bryłki prze-

[1]) Do jednego przeliczenia bez przerw i przeskakiwań od 1 do 1,000.000,000.000 (biliona), potrzeba czasu 8.000 lat (!).

mienione płyny, przez co przy następnych powrotach do słońca wielkości ich jakoteż i kształty zmieniają się częstokroć do niepoznania. Nieraz nawet zupełne ich zniknięcie w przestrzeni światowej wydarza się, lub przemiana komety w rój asteroidów, jak się to stało n. p. u komety Bieli, uznanego już po roku 1852 za zgubionego, który wszakże 20 lat później (w r. 1872) pojawił się znowu, ale już tylko w postaci licznego roju gwiaździstego. — (Nie jest wszakże wykluczona możliwość, że kometa Bieli doznał w swej podróży po r. 1852 innego losu i stał się niewidzialnym, a tym czasem na dawniejszą jego orbitę trafił jakiś od dawna istniejący, ale przez astronomów dotąd nieobserwowany rój nowy i poleciał dalej po tej samej drodze, która za orbitę komety była dotąd uważaną). Z komet obliczonych wszystkie odbywają biegi dokoła słońca od zachodu na wschód po drogach eliptycznych. Widziano jednak także niejednego kometę, bieżącego po drodze para- i hyperbolicznej. Tego już za prawdziwego gońca światowego uważać by można, bo do słońca więcej nie powróci, chyba żeby go płaneta Jowisz na mocy swej ogromnej masy albo sam, albo przy pomocy Saturna i innych ciał niebieskich do odwrotu z tego zakordonowego rejonu przynaglił. — Nareszcie *e)* niezliczona ilość meteorytów, bolidów i gwiazd spadających większych i mniejszych, które w różnych kierunkach przebiegają niezmierzoną przestrzeń świata, a więc i tę jej część przez słońce i liczny jego tabor zajętą i prawdopodobnie bardzo daleko jeszcze poza afelowe krańce orbity Neptuna sięgającą.

Odkrycie księżyców Marsa, Deimosa (strachu) i Phobosa (bojaźni) z wielkiemi trudnościami przy obserwacyach było połączone, raz dlatego, że oba świecą światłem bardzo słabem (12-tej wielkości gwiazd) a potem, z powodu ich nadzwyczaj małej odległości od centralnego ciała (Marsa). Zawdzięczamy to odkrycie astronomowi Asaphowi Hall w Wasyngtonie w r. 1877 podczas perihelowei opozycyi tego planety, do obserwacyi tego rodzaju w całem XIX. stuleciu najdogodniejszej. Astronom Kosiński w Pułkowie potrafił Deimosa w r. 1896 odfotografować. Oddalenie jego od środka Marsa wynosi 6·92 a Phobosa tylko 2·77 promieni samego płanety (Marsa), mianowicie (względnie) 23.000 i 9.300 kilometrów. Od powierzchni więc Marsa Phobos tylko o 1·77, Deimos zaś o 5·92 tych promieni, czyli odnośnie pierwszy o 5900 km., a drugi 19.000 km. jest oddalony. Okrążają zaś one swoje ciało centralne w 7 h 39 m i 30 h 18 m średn. czasu słon. na ziemi. Wielkość ich średnic tylko wywnioskować można

z ich niewymiernych punkcikowych powierzchni tarcz; średnicę więc Phobosa przyjąć równą 9·4 km. a Deimosa tyko 8·1 kilometra. Musiałyby one obydwa składać się z mas bardzo czarnych, gdybyśmy chcieli daleko większe średnice u nich przyjąć. Z obiegowych ruchów tych dwóch księżyców Marsa można było także (według praw Keplera i Newtona) jego masę bardzo dokładnie oznaczyć.

Cztery księżyce Jowisza odkrył już Galileusz w r. 1610 pierwszym teleskopem swoim, piątego zaś, który jest najmniejszy i najbliższy Jowisza, dokoła którego on krąży z ogromną chyżością 11 godz. 57 min. i 23 sek., spostrzegł pierwszy raz w nocy z 9. na 10. września 1892 r. i za satellitę uznał, Barnard, astronom na strażnicy Mount Hamilton w Kalifornii, mającej najsilniejszy dziś teleskop i najkorzystniejsze warunki do obserwacyi astronomicznych.

Dziewiąty księżyc Saturna, do dziś dnia ostatni, został odkryty w Ameryce na płytach fotograficznych, exponowanych w sierpniu 1898 na filii Kembrydzkiego Instytutu, znanej górskiej stacyi Arequipa w Andach pernańskich, należycie urządzonej do poszukiwań za dalekiemi od nas satellitami wielkich planet. Profesor William Pickering, brat Edwarda C. Pickeringa, dyrektora strażnicy w Harward-College Obserwatory Cambridge (Mass), przypatrując się badawczym okiem tym płytom, spostrzegł ślady jakiegoś przedmiotu słabo świecącego blaskiem gwiazdy 15-tej wielkości, oddalonego od Saturna (circiter) 1.480" łukowych, czyli coś trochę więcej niż $^3/_4$ średnicy słonecznej w przeciętnym jej wyglądzie. Po dokładniejszem obserwowaniu wziął ten przedmiot na stropie nieba za księżyca, który Saturna w przeciągu 490 dni raz dokoła okrąża. Edward Pickering, jako dyrektor Instytutu wysłał też zaraz do Europy następujący telegram: „Do centralnej stacyi astronomicznej w Kilonii (Kiel) 18. marca 1899. *William Pickering discovers satellite Saturn, 4 photographs, period estimadet 17 months, magnitude 15. E. C. Pickering*"... (Dalszych potwierdzeń tego odkrycia podpisany nie czytał jeszcze dotąd nigdzie. Ze strażnic północnej ziemskiej półkuli dla obecnej pozycyi Saturna na niebie spodziewać się ich trudno. Będzie więc rzeczą astronomów i astrofotografów, czynnych na górskiej strażnicy w Arequipa, odkrycie to W. Pickeringa, dla którego dyrektor już nazwę „Phoebe" przeznaczył, należycie ubezpieczyć. Nazwa ta wzięta od miss Phoebe Hearst (Hirst), wielkiej przyjaciółki astronomii i dobrodziejki Harward College Obserwatory

Cambridge Mass... Pani ta, milionerka amerykańska pierwszego rzędu, ofiarowała około 250 milionów dolarów w złocie t. j. około 1.000 milionów (miliard) franków na rzecz uniwersytetu i astronomicznego obserwatoryum Harwarda w Cambridge.

Także odkrycia siódmego księżyca Hyperiona przy Saturnie astronomowie strażnicy Kembridzkiej dokonali. Bond (junior) odkrył go jeszcze w dniu 16. września 1848 a we 3 dni później, dnia 19. września t. r. razem z ojcem swoim uznali go za księżyca. Dopiero nieco później, niezawiśle od tego amerykańskiege odkrycia, pierwszy w Europie znalazł go astronom Lassel w Liwerpolu.

Dotychczas „Phoebe“, jako 9-ty księżyc Saturna nie został jeszcze zatwierdzony. Notuję to dnia 1. stycznia 1901 r., w sto lat po odkryciu pierwszej planetoidy, Cerery, która jest z nich wszystkich dziś znanych największą, ma bowiem przeszło 100 kilka mil w średnicy, i jest ze wszystkich dotychczas odkrytych najjaśniejszą, było więc też łatwo Piazzemu w Palermie spostrzedz ją za pomocą teleskopu, kiedy (jak się później przekonano), nawet bez niego, bystre oko człowieka daleko widzącego widzieć ją i obserwować może. Wszystkie znane dotychczas planetoidy, w jedno ciało razem zebrane, przedstawiałyby wielką bryłę, która wszakże z naszą ziemią ani co do wielkości masy, ani co do powierzchni równać się nie może. Średnica takiego zbiorowego ciała byłaby jeszcze 20 razy mniejsza od średnicy ziemi, powierzchnia zaś tylko tak wielka, jak powierzchnia połączonych Niemiec w cesarstwo, razem z Francyą europejską. Ciężkość, a więc i wielkość przyspieszenia u ciał spadających tam na jego powierzchnię 20 razy byłaby mniejsza, aniżeli przy powierzchni ziemi. Tam kamyk, wypuszczony z ręki, spadłby w pierwszej sekundzie tylko o 25 cm. niżej wzdłuż pionu i potrzebowałby do spadnięcia na powierzchnię jego z takiej wysokości jak wieża Eiffla w Paryżu, 36 sek. cz., podczas gdy to w Paryżu dzieje się już po upływie 7·4. Na onym planetoidzie zbiorowym postawienie takiej wieży nie tyleby zachodu i pracy kosztowało, ile ta wieża w Paryżu istotnie kosztowała, bo tam cały materyał 20 razy mniejby ważył... Masa wszystkich planetoidów razem wzięta, jest równa $^1/_{27}$ cz. masy księżyca ziemskiego. Gdy zaś masa planety Ceres tylko $^1/_{81}$ części masy tego księżyca wynosi, więc masa reszty wszystkich tych planetoidów tylko 3 razy jest większa od masy jednej Cerery. Najmniejszy czas obiegu dokoła słońca, jak n. p. „Meduzy“ wynosi około 3 lat naszych, największy, jak u „Hildy“ blisko lat 8. To

też najmniejsza odległość Meduzy od Słońca wynosi 40, a największa Hildy 80 milionów mil geograficznych. Planetoida, przez astronoma Wolfa w nocy 23. sierpnia 1892 r. za pomocą astrofotografii odkryta, ma okres syderycznego obiegu = 7·7 lat.

Niektóre planetoidy mają znaczne mimośrody, jak n. p. „Desiderata“ = 0·3080, lub „Aethra“ nawet = 0·4; Philomela zaś ma znowu orbitę jeszcze bardziej do koła zbliżoną, niż Wenus. Także nachylenia płaszczyzny ich orbit do Ekliptyki są u jednych bardzo słabe, a u innych bardzo znaczne. „Massalia“ n. p. ma tylko nachylenie 40' (minut), Pallas zaś 35°. W regule nachylenia te rosną z mimośrodami.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Wojciech Urbański.

# ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

## BISKUP WŁOCŁAWSKI I KRAKOWSKI

(1496—1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

## CZĘŚĆ TRZECIA

**(1553—1560).**

(Ciąg dalszy).

### II.

Powody, dla których Zebrzydowski w lecie 1553 r. uznał za stosowne jakiś czas bawić w Krakowie, wywołała osławiona kwestya dochodów z beneficyów rozdawanych w miesiącach apostolskich. Jak wiemy, otrzymał był po wielu staraniach koncesyę na rozdawnictwo tych beneficyów. Miał nawet już zupełnie pewną o niej wiadomość w marcu b. r.[1]). Tymczasem znowu dla niego inny powiał wiatr w Rzymie [2]). Oto doszły go wieści, że koncesyę jego jakby zniesiono, bo nadano ją na te same miesiące podkanclerzemu I. Przerębskiemu, jako proboszczowi katedry krakowskiej. Oburzony tem i zaniepokojony o swoje prawa, Zebrzydowski postanawia korzystać z pobytu w Polsce legata papiezkiego, aby przedstawić mu swoją krzywdę i obronić się przed utratą tego, co już raz był uzyskał. Porozumiawszy się osobiście z legatem, wręczył mu listy, pełne perswazyi i żalów do papieża Juliusza III. i kardynała Jakóba Putensa, który w tym czasie objął w Kuryi rzymskiej drugą tekę spraw polskich po zmarłym wiceprotektorze Polski, kardynale B. Maphensie, bracie bawiącego w Krakowie

[1]) Kor. Zeb. nr. 802.
[2]) Kor. Zeb. nr. 813, 859.

Marka Antoniego. Snadź jednak chodziło Zebrzydowskiemu o pozyskanie szczególniej samej osoby nowego wiceprotektora jako zajmującego obok protektora, którym był wówczas Al. Farnese, bardzo wpływowe stanowisko w Kuryi rzymskiej, bo jakby nie wierząc w rzetelny rezultat samego słowa, dołączył do listu dla Putensa kosztowne upominki w postaci drogich futer, które prawdopodobnie miały przeważyć w Rzymie szalę zatargu jego z Przerębskim o donatywę miesięcy na jego stronę. Umiejąc zaś stawiać interesy własne na wysokości interesów publicznych, zagroził papieżowi wprost jawnym upadkiem Kościoła, *manifesta ecclesiae ruina*, jeśli prawdą jest, że darowizna udzielona Przerębskiemu ma przedewszystkiem jego koncesyę niweczyć, *contra meam donationem valitura*... Wszak nasze usiłowania i prace powinny skupiać się przeciw wspólnym wrogom! Niech papież nie rzuca pomiędzy nich obydwu kości niezgody, bo stanie się ona przedmiotem pośmiewiska i szyderstw... Jeżeli tedy prawdą jest, że Przerębski uzyskał dla siebie jakiś mandat, uwłaczający jego koncesyi, to winien papież teraz znowu zatwierdzić ją i tak umocnić, by mogła przetrwać nienaruszona przez cały czas, dla którego została pierwej nadaną...

Legat, załatwiwszy się z misyą swoją i przyjąwszy od Zebrzydowskiego listy i dary, wyjechał niebawem po ślubie Katarzyny, w sierpniu, z Polski [1]), nie pozostawiwszy zarazem za sobą żadnego śladu jakiejkolwiek poważniejszej akcyi w sprawach Kościoła, dla których miał być również stósownie do życzeń króla i obietnic papieża tutaj wysłany. A jednak powinien był zwrócić uwagę swoją na rozpaczliwy stan Kościoła, który potrzebował gwałtownie jakiejś naprawy, jakiejś pozytywnej akcyi ze strony przedewszystkiem jego dygnitarzy, choćby z tej prostej racyi, że egzystencya ich od bytu samego Kościoła zawisła. I Zebrzydowski nie mając powodu być lepszym od innych, dawał w tym czasie podobnie jak dawniej gorszące dowody bezgranicznej obojętności dla dobra Kościoła swej dyecezyi; idąc za prądem chwili postępował tak, jak nie chciał, aby postępowali inni. Podczas pobytu swego w Krakowie, ciężar rządów dyecezyalnych składał na kapitułę, zajmował się więcej publicznemi lub swojemi osobistemi sprawami a nie zważał wcale na praktyki religijne i obrzędy kościelne innowierców, odbywane w dyecezyi krakowskiej i w samej stolicy zupełnie jawnie, nieledwie w oczach króla, bo pod samymi murami Wawelu. Zwróciło to uwagę kanclerza I. Ocieskiego i gor-

[1]) Kor. Zeb. nr. 815., Script. I. s. 100., Kor. Zeb. nr. 859.

szyło go bardzo dziwne postępowanie Zebrzydowskiego. Robił on na nim wrażenie, jakby z umysłu patrzał przez palce na ożywiony ruch protestantów: *privata namque nobis quam ecclesiae maiori curae sunt*, albowiem o dobro własne więcej dbamy niż o dobro Kościoła [1]). Twierdził, że ci co przedtem działali w pewnem rozprószeniu, dziś przeciwnie, z powodu niedbałości władz i powszechnej bezkarności usadawiają się silnie, hardo podnoszą głowy i z tyrańską dowolnością stawiają coraz to nowe dogmaty wiary... Istotnie, z powodu sukcesów, jakie osiągnęli dysydenci na sejmie piotrkowskim w r. 1552, jak niemniej z powodu milczącego zatwierdzenia na sejmie tegorocznym, krakowskim „*interim*“, mocą którego już od roku niemal stały sądy biskupie w sprawach herezyi w zawieszeniu, mógł protestantyzm rozwijać się swobodnie i działać nawet prowokująco. Kanonicy krakowscy, więcej strapieni tym stanem rzeczy od Zebrzydowskiego żalą się przed Hozyuszem, biskupem warmińskim, a niegdyś członkiem ich kapituły, na straszny ucisk, jakiego doznają od „sakramentarzy“, na wzmagające się w Krakowie z dniem każdym siły heretyków [2]), którzy już nie tylko rabują dobra kościelne ale i karkom ich zagrażają, nie chcą z nimi działać pokojowo a chełpią się głośno, że nawet króla mają po swojej stronie, *regem in suis esse partibus, gloriantur* [3]). Skargi kanoników odsłaniały rzeczywisty stan rzeczy. Katolicyzm w r. 1553 bezsprzecznie znajdował się w bardzo opłakanych warunkach. Król ciekawy nowości religijnych nie stronił wcale od wolnomyślnych propagatorów nowych idei religijnych. Właśnie w tym roku znosił się więcej niż kiedyindziej z znanym nam Fr. Lismaninem, jednym z twórców ruchu protestanckiego w Małopolsce, który w tym czasie działając pod wpływem nauk rodaka swego, herezyarchy Leliusza Socyna, reformował kościoły helweckie w duchu zasad aryańskich [4]).

Temu to Lismaninowi poruczył król zakupno rozmaitych książek teologicznych, po które go wyprawił własnym kosztem do

---

[1]) Kor. Zeb. nr. 810, 856. Hos. Ep. nr. 1006, 1028, listy Ocieskiego z 1. i 28. kwietnia, z Krakowa pisane do Hozyusza.

[2]) Hos. Ep. nr. 1093, list kan. Dr. J. Benedykta z dnia 28. X. 1553.

[3]) Hos. Ep. nr. 1113, list kan. W. Kijewskiego z dnia 24. XI. t. r.

[4]) Lubieniecki, Historia Reformationis Polonicae, Freistadii 1685, str. 40 i 41: quod usque ad nuptias cum Catharina illa Austriaca Cracoviae anno 1553 celebratas duravit.

Szwajcaryi, ojczyzny Zwinglego i Kalwina, liczących najwięcej wyznawców pomiędzy dyecezyanami Zebrzydowskiego. Stósownie do jego woli miał się Lismanin rozglądnąć także bliżej w tamtejszych stosunkach kościelnych i religijnych, tudzież złożyć mu niebawem o nich referat [1]). Kiedy Lismanin wyjeżdżał z misyą królewską za granicę, miejsce jego w Małopolsce godnie zastępował inny naczelnik protestantów, prof. Fr. Stankar, znany nam twórca Kościoła reformowanego w Pinczowie, który dwa lata temu dotknięty wyrokiem królewskim, wydanym na Oleśnickiego za wypędzenie Paulinów z Pinczowa, zbiegł był do Wielkopolski pod opiekę możnych Ostrorogów, znanych popleczników Reformacyi [2]), a teraz wrócił do dawniejszego swego patrona z zamiarem podjęcia dalszej pracy reformatorskiej [3]). Dopomagał mu w niej gorliwie ksiądz-apostata, Marcin Krowicki, wyklęty i wypędzony z dyecezyi przemyskiej przez biskupa Dziaduskiego za pojęcie żony, który osiadł w Pinczowie i tu, jak pisze o nim ksiądz Orzechowski, cierpiący wówczas za takie samo przestępstwo, *zwinglianas partes secutus, sacramentariam sectam Pinczovii Stancari instituto, docebat* [4]). Obok Krowickiego, na którego Zebrzydowski z czasem zwróci szczególniejszą uwagę, działało już wówczas po rozmaitych miejscowościach dyecezyi krakowskiej mnóstwo innych predykantów i ministrów. Trzej najznakomitsi z nich, jak ksiądz-apostata Mik. Kurowski, zwany „męczennikiem“ czystej ewangelii, kaznodzieja Grzegorz Pauli, głoszący słowo Boże w Chełmie, Pełsznicy, w Woli Justowskiej i samym Krakowie, lub Felix Kruciger ze Szczebrzeszyna, generalny superintendent zborów małopolskich, zdaniem historyków protestanckich, mieli się razem z Krowickim najwięcej przyczyniać w tym czasie do osłabienia „papizmu“ w Małopolsce [5]).

---

[1]) Tamże, s. 41, 42.

[2]) Jakób i Stanisław, pierwszy po Górce generałem W. P. † 1568. Obok Ostrorogów Andrzej Górka, kaszt. pozn. i generał W. P. † 1551. Łukasz, jego syn, woj. pozn. i generał W. P. † 1572, uchodzili za najwybitniejszych protektorów różnowierców, zwłaszcza Braci Czeskich.

[3]) Wengerski. Hist. eccl. slavon. prov. Libri Quathuor 1652, s. 75.

[4]) Lubieniecki, s. 30.

[5]) Sandius, Biblioteka Antitrinitariarum, s. 43. o Grzegorzu Paulim, s. 45. o M. Krowickim; Lubieniecki s. 29, 30. na podstawie kroniki St. Budzińskiego, towarzysza Fr. Lismanina, lub E. Otfinowskiego, autora „Heroes Christiani“, żyjącego w XVI. w.; także o Mikołaju Kurowskim — tamże.

MIASTA NOWEGO SĄCZA


Kruciger powrócił właśnie w tym roku z dobrowolnego wygnania razem ze Stankarem i osiadł w Secyminie, miasteczku Szafrańców [1]). Dzielną obronę i silną podporę w swych usiłowaniach znajdowali reformatorzy i kaznodzieje protestantcy u bogatej szlachty województwa krakowskiego, u możnych panów małopolskich i wielkopolskich, jak niemniej u wielu znakomitszych mieszczan krakowskich [2]). W Krakowie rej między nimi wodził Jan Boner, wielki prokurator zamku królewskiego, a w okolicy Mik. Oleśnicki, dziedzic sławnego Pinczowa, głównego środowiska wszelkiego ruchu akatolickiego w Małopolsce. Pod opieką i osłoną możnych patronów nowych wiar i obrządków, odbywały się częste kazania, różne uroczystości kościelne, procesye i zjazdy pobożnych obojga płci, w prywatnych i na publicznych miejscach w Krakowie i okolicy, jak w Chełmie u Maryana Chełmskiego, w Iwanowicach u wdowy po Mik. Dłuskim [3]), lub w Woli należącej do Justa Deciusza [4]).

St. Hozyusz, świadom tych stosunków dyecezyi krakowskiej, grożących zupełnym rozkładem katolicyzmu w całej Polsce, słał błagalne listy do kanclerza J. Ocieskiego i podkanclerzego J. Przerębskiego, ostrzegając ich, aby ratowali według sił swoich starą religię, przedewszystkiem zaś, aby nie pozwalali królowi obojętnieć dla niej. Ale wołania Hozyusza były daremne. Król nie uczynił żadnego kroku w obronie praw zagrożonego katolicyzmu pomimo, że wiedział i widział, co się działo wówczas w Krakowie [5]). Tylko z końcem roku opróżnione po śmierci wojewody Piotra Kmity, zmarłego w październiku t. r., ważne w Koronie starostwo krakowskie, wbrew rachubom innowierców, którzy chcieli widzieć na niem hetmana J. Tarnowskiego, kasztelana krakowskiego, starającego się o nie usilnie, nadał J. Ocieskiemu, dalekiemu

---

[1]) Wengerski, s. 75. Łukaszewicz, Dz. Kość. wyzn. helw. w M. P., Poznań 1853, s. 17.

[2]) Lubieniecki, s. 34, 35.

[3]) M. Dłuski, zmarły w 1551 r. Należał do wyznawców zwinglianizmu. Powyrzucał z kościoła obrazy świętych. Został pogrzebany według obrządku nowego, ku niesłychanemu oburzeniu Zebrzydowskiego, bawiącego się wówczas w proces z Krupką, który też groził biorącym udział w pogrzebie, zwłaszcza A. Trzecieskiemu stosem, ale napróżno: v. Lubieniecki s. 52. Wengerski s. 229.

[4]) Lubieniecki, s. 48 i 52, Wengerski 128. Kronika Zboru krakowskiego s. 8. Zbór główny powstał w Krakowie dopiero w 1557 r.

[5]) Hos. Ep. nr. 1028.

jak wiemy od faworyzowania, na wzór możnego kasztelana, szlachty opanowanej przez protestantyzm [1]). Prócz tego jeszcze pierwszy zwrócił w samej stolicy uwagę na rażące zaniedbanie świątyni katedralnej i wyraził za nie kapitule krakowskiej dwukrotne swoje najwyższe niezadowolenie [2]). Nie uszedł także uwagi Zygmunta Augusta zepsuty zegar wieżowy (!) tak stary i brzydki, że miał być wówczas przedmiotem śmiechów i kpin...

Nagana dana kanonikom miała się należeć przedewszystkiem Zebrzydowskiemu. Kapituła bowiem już dawno sama uznawała potrzebę restauracyi katedry, ofiarowała na nią przeszło 1000 fl. i prosiła biskupa, by jak najrychlej restauracyę rozpoczął. Obecnie więc poruszona uwagami króla, postanowiła jeszcze raz upomnieć się o nią Zebrzydowskiego. Było to w kwietniu t. r., kiedy Zebrzydowski po sejmie krakowskim wybrał się na objażdżkę dóbr swoich. W piśmie [3]), wystosowanem do niego, przypomniała mu swoje dobre chęci, usiłowania i ofiary złożone na rzecz restauracyi tej pierwszej świątyni w państwie, wskazywała mu gwałtowną jej potrzebę, bo mury grożą ruiną i niebezpieczeństwem życia dla pobożnych. Powiadają kanonicy, że sami rumienić się muszą wobec króla i tylu innych dostojników korony ze wstydu na widok tak zaniedbanej katedry. Proszą Zebrzydowskiego, aby zatwierdził kontrybucyę, jaką teraz właśnie uchwalili na uzupełnienie funduszu restauracyjnego, i aby natychmiast zainicyował roboty, bo inaczej gotowi są, chociaż niechętnie, wytoczyć całą sprawę przed królem i zrzucić z siebie zarzut niesłusznie im uczyniony.

Sprawa katedry dała kanonikom wyborną okazyę do poruszenia niektórych spraw dyecezyi krakowskiej, które wymagały osobistej interwencyi Zebrzydowskiego. Były to skargi poddanych dóbr biskupich, wpływające codziennie do kapituły, na ucisk i krzywdy ze strony oficyalistów Zebrzydowskiego. Donosząc o nich, kanonicy perswadują biskupowi, aby nie dozwalał krzywdzić tych ludzi, aby szanował ich prawa, swobody i zwyczaje, ile że są to prawowierni synowie Kościoła i zasługują jako tacy na to, aby sprawiedliwie z nimi postępowano. Obok skarg owych, rzucających smutne światło na niesumienną administracyę dóbr Zebrzydowskiego, polegającą widocznie na wyzyskiwaniu pracy i praw wie-

[1]) Hos. Ep. 1093, 1113. Województwo krak. otrzymał po Kmicie St. Tęczyński, wojewoda lubelski, marszałkostwo Jan Firlej.

[2]) Kor. Zeb. nr. 856.

[3]) Kor. Zeb. nr. 856. pismo z datą 28. kwietnia 1553.

śniaków i małomieszczan, z których się składał wówczas kontyngens poddanych ziemskich, podnieśli kanonicy także piekącą kwestyę stosunków religijnych. Pisali więc, że dochodziły ich wieści o coraz gwałtowniejszem krzewieniu się herezyi po całej dyecezyi i tłumaczyli, że wina spada za to przedewszystkiem na Zebrzydowskiego, jako patrona dyecezyi, który powinien się opiekować swoim Kościołem, szczególniej zaś nie opuszczać stolicy w tak ciężkich dla niej czasach... „Za złe poczytujemy to Waszej Wielebności — piszą kanonicy — żeś Wasza Wielebność tu nieobecny, że nie troszczysz się zgoła o religię, że nie karcisz heretyków, którzy nie tylko słowem ale i pismem, *et codicibus editis*, swoje błędy sprośnie rozsiewają po świecie". „Pisma ich drukują się obecnie najwięcej w Makowicach u J. Lutomirskiego. poskarbiego nadwornego". „A przecież powinieneś był, Wasza Wielebność, złożyć teraz, kiedy była po temu sposobność, religijną naradę z arcybiskupem i innymi biskupami, aby reagować przeciwko takiemu postępowaniu heretyków, przeszkadzać im, krzyżować ich zabiegi i niszczyć owoce ich pracy".

Ale apel kanoników do poczucia obowiązku Zebrzydowskiego pozostał na razie bez odpowiedzi. Jeden tylko pozostał ślad interesowania się jego sprawami kościelnemi, mianowicie list z 6. czerwca pisany w Krakowie do opata klasztoru Łysogórskiego, Ad. Kuczowskiego [1]). W liście tym gromi i strofuje opata za to, że nie utrzymuje nowicyatu, że zraża do klasztoru i zakonu mnichów. ścigając ich ekskluzyami lub innemi surowemi karami za byle jakie przestępstwa, że wreszcie sam prowadzi życie nad stan i powołanie swoje; postępowanie takie, zdaniem Zebrzydowskiego, znieśławia cały stan duchowny, grozi więc, że jeśli opat nie zmieni życia swego, to on z mocy patronatu swego rozciągnie kuratelę nad majątkami klasztoru i zredukuje jego dochody, do czego go już dawno namawiają kanonicy krakowscy. Atoli groźby Zebrzydowskiego nie wypływały z samej żarliwości religijnej lub pieczołowitości o dobro i powagę Kościoła, były to tylko pozory, którymi zasłaniał właściwy interes, jaki go łączył z klasztorami wogóle.

Wiemy już, jak postępował Zebrzydowski z klasztorami i opactwami jako biskup kujawski; wiemy, jak starał się usilnie o to, aby ograniczyć ich samorząd lub nawet znieść go zupełnie i pod-

[1]) Kor. Zeb. nr. 810.

dać zakony nieograniczonej jurysdykcyi biskupa [1]). Próby jego i usiłowania podjęte w tym kierunku po części udały mu się, po części, i to większej, stały się przedmiotem sporów i waśni wybuchłych między nim a opatami i przeorami, uwłaczających w wysokim stopniu powadze Kościoła. Obecne wystąpienie przeciw opatowi Łysogórskiemu było nacechowane temi samemi dążnościami. Dowodem tego korespondencya, jaką nawiązał z końcem 1553 r. lub na początku 1554 r. z kardynałem Jakóbem Putensem [2]). Dowiadujemy się z niej, że Zebrzydowski podjął wówczas starania w Rzymie, aby mu oddała Stolica Apostolska zupełny zarząd nad klasztorami dyecezyi krakowskiej, *(curam coenobiarum)*. Chodziło mu naturalnie przedewszystkiem o majątki klasztorne *(facultates)*. Motywował zaś swoje starania prawdopodobnie potrzebą ukrócenia samowoli opatów i mnichów, które kardynał również uznawał za konieczne. Putens życzliwie usposobiony dla tej sprawy, jak niemniej także dla samej osoby Zebrzydowskiego, pocieszał go, że może uda mu się zjednać dla niej papieża, byle tylko ułożyć zdołał wykaz statystyczny klasztorów krakowskich i wyszukać list papieża Leona X. pisany do biskupa krakowskiego, Jana Konarskiego [3]), w którym uzyskał tenże taki sam zarząd, o jaki obecnie prosi Zebrzydowski. A chociażby nawet owego listu nie znalazł, mniema, że przekona papieża o słuszności życzeń Zebrzydowskiego, bo w nich chodzi o to, by kres położyć *dissolutis monachorum moribus*, rozwięzłym obyczajom mnichów i nie dać upaść religii...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Tadeusz Troskolański.

[1]) Kor. Zeb. nr. 544 i inne, v. Cz. I. monografii o Zebrzydowskim (odbitka).

[2]) Kor. Zeb. nr. 858. List Putensa z 21. kwietnia 1554. w którym wspomina kardynał o dwóch listach Zebrzydowskiego. Ibidem, nr. 859.

[3]) Zmarł w r. 1525.

# KRONIKA LITERACKA.

Dr. Maurycy Straszewski, zw. prof. filozofii w Uniwersytecie Jagiellońskim. *Sprawa chińska w świetle filozofii dziejów i etyki*. W Krakowie. Księgarnia Spółki wydawniczej polskiej, 1901, str. 25 + 1 nl.

Nowożytna produkcya gospodarcza spowodowała wśród wszystkich prawie mocarstw silną dążność do rozszerzania swych terytoryów. Dążenia imperyalistyczne z równą siłą objawiły się w Anglii, we Francyi, w Niemczech, wreszcie w Rossyi. Ale gdy tamte państwa musiały prowadzić kosztowną i ryzykowną politykę kolonialną, Rossya nie potrzebuje szukać kolonii, ona ma przed sobą olbrzymi, jednolity, prawie czwartą część całego lądu obejmujący szmat ziemi, pełen nieprzebranych bogactw. Aby jednak módz tak olbrzymie przestrzenie opanować i należycie zużytkować, do tego potrzeba komunikacyi. Ale w miarę postępów techniki i na to znajduje się rada. Powstaje wielka i genialna myśl transsyberyjskiej kolei aż do Oceanu Spokojnego. Siłą naturalnego ciążenia, siłą swego pochodzenia i swego położenia geograficznego dążyła też Rossya powoli ale stale do zaboru Chin. Zdarzył się jednakże na tym dalekim wschodzie fakt zupełnie niespodziewany, fakt, jakiego historya ludzkości dotąd drugiego nie znała. Oto na najdalszym wschodzie znalazł się naród, który bez żadnej rewolucyi z dołu w ciągu lat 30 przebył taki rozwój, do którego przebycia dawniej i 300 lat nie byłyby wystarczyły. Narodem tym jest Japonia. Będąc jeszcze w połowie XIX. stulecia krajem barbarzyństwa i ciemnoty, od wieków w całej kulturze swojej zupełnie od Chin zależną, naraz około r. 1870 budzi się Japonia z wiekowego uśpienia, dzięki energii jednego panującego i kilku jego pomocników rozrywa pęta gnębiącego ją feudalizmu, nadaje sobie zupełnie nową prawną, społeczną i polityczną organizacyę, przejmuje

wszystkie nabytki europejskiej cywilizacyi i staje się naraz jednem z najlepiej urządzonych państw nowożytnych. Japonia, jak każde społeczeństwo nowem zaczynające żyć życiem, poczuła zaraz potrzebę rozszerzenia swojego wpływu, potrzebę działania na zewnątrz. Dla tego ruchliwego i szybko mnożącego się narodu, wyspiarskie jego siedziby musiały być za ciasne. W tych swoich dążeniach naturalną siłą rzeczy musiała zwrócić swą uwagę na Chiny. Postawiwszy raz nogę na stałym lądzie, udałoby się jej niewątpliwie wpływ swój i ducha świeżo przyswojonej sobie cywilizacyi rozszerzyć dalej, wstrząsnąć i do nowego obudzić życia tego już od dawna w wiekowym śnie drzemiącego kolosa.

Kolizya była więc nieunikniona. Rossya, mądra i ostrożna, niewybudowawszy jeszcze syberyjskich kolei, pozbawiona więc operacyjnej podstawy, nie mogła wprost na Japonię uderzyć, wysunęła więc Chiny.

Prof. Straszewski stara się wyjaśnić to współzawodnictwo ze stanowiska zasadniczego. Walka ta, to zderzenie dwóch światów. Rossya, to, mimo pewne cechy europejskie i nowożytne, czynnik zastoju. Japonia, to społeczeństwo z pomieszania różnych ras, ze szczególną jednak przewagą rasy żółtej powstałe, w twardej szkole feudalizmu wychowane, a więc do indywidualizmu skłonne, społeczeństwo od europejskiego wprawdzie zupełnie różne, bądź co bądź wszakże przedstawiające czynnik postępu i rozwoju.

W tej walce wyszłaby niewątpliwie Japonia zwycięsko i mogłaby zapewne w dużych rozmiarach zrealizować swe plany w Chinach, gdyby nie zawiść mocarstw, równo chciwych na zabory w Chinach, które nie dopuściły do wykorzystania zwycięstwa Japonii nad Chinami. Pod wpływem dążeń imperyalistycznych wszyscy zaczęli szarpać, skubać, kąsać, deptać tego drzemiącego olbrzyma, zaczęli sięgać i dobierać się do jego wnętrza. Jak kruki i sępy szarpią ciało i wnętrzności nieboszczyka, tak tu na zastygły wprawdzie ale żywy społeczny organizm zleciały się kruki i sępy, aby zasilić się i nasycić jego żywotnymi sokami. Aż nagle olbrzym począł to skubanie i zaczął otrząsać się i oganiać. Tkwiąca na dnie każdej duszy chińskiej pogarda dla obcych, zmieniła się w straszną nienawiść, która znowu tak nagle i gwałtownie wybuchnęła, że krew polała się strumieniami, a wszelka cywilizacya i chrystyanizacya Chin stała się na długie lata niemożliwą.

Na dwu przeciwległych krańcach wielkiego szmatu stałego lądu, położonego między Oceanem Spokojnym a Atlantykiem, spostrzegamy dwa odrębne cywilizacyjne typy. Pierwszym, o wiele starszym, jest typ wschodni, — typ chiński. Doszedł on do rozkwitu już przed tysiącami lat, następnie skostniał zatrzymawszy się na pierwszym stopniu wszelkiego możliwego w cywilizacyi rozwoju. Podobnie jak mowa chińska

pozostała na pierwszym stopniu rozwoju języków, tak cywilizacya chińska pozostała pod względem metod i wyników systematycznego myślenia przy praktycznym empiryzmie złożyła dowody wielkiej w myśleniu praktycznej zmyślności — i dalej nigdy się nie posunęła; w dziedzinie społecznej zastygła także na pierwszym stopniu t. j. w urządzeniach patryarchalno-rodowych. Drugim typem, o wiele młodszym, jest typ zachodni, europejski. Ten, pomimo wszystkich zboczeń, stanął już na znacznie wyższym stopniu rozwoju. W systematycznem bowiem myśleniu dochodzi do świadomego współdziałania ludzkiego umysłu z rzeczywistością, przez stosowanie umiejętnych badawczych metod, w zakresie zaś społecznym zaczyna przezwyciężać indywidualizm t. j. drugi następny stopień rozwoju po stopniu patryarchalno-rodowym i zaczyna przygotowywać się do wejścia na stopień trzeci, wolnego, społecznego, wszystkich dusz współdziałania. Pośrodku między temi, na dwu krańcach starego świata powstałymi cywilizacyjnymi typami, stoi do obu zbliżona Rossya. Ma w sobie wiele pierwiastków tak z jednego typu jak i z drugiego. Systemem rządów, skłaniających się do reakcyi i zastoju, stosunkiem religii do państwa, wreszcie organizacyą społeczną na obszarach od Dniepru aż po Ocean Spokojny, Rossya bardziej zbliżoną jest do chińskiego typu, korzysta jednak także z mnóstwa nabytków europejskiej cywilizacyi, — polskie zaś jej posiadłości tudzież oświecone i patryotyczne warstwy rossyjskiego narodu należą lub przechylają się stanowczo na stronę typu europejskiego. Który z obu wpływów ostatecznie zwycięży na tych olbrzymich przestrzeniach, to wcale nie jest rozstrzygnięte.

Autor sądzi, że z tych powszechnych zamieszek skorzysta tylko Rossya, która siłą naturalnej swej ciężkości, sama będzie się naprzód posuwać. Zbyt śmiałą wydaje mi się natomiast hipoteza, że, zamiast aby Chiny europejską przyjęły cywilizacyę, Europa stanie się w przyszłości Chinami. Rossya bowiem, zagarnąwszy Azyą i objąwszy całkowite po mongolskich dynastyach dziedzictwo, może z czasem całą opanować Europę i w nowe zmienić ją Chiny. Czy to niezbyt czarny horoskop?

Wątpliwem jest również, czy ataki mocarstw na Chiny rzeczywiście uniemożliwią cywilizacyę Chin. Sam autor przyznaje wyższość cywilizacyi europejskiej, sam autor uznaje również, że te ataki europejskie powołały olbrzyma chińskiego do nowego życia. Czyżby ten powrót do nowego życia miał się ograniczać tylko na mordowaniu Chrześcian? Zapewne, że chrystyanofobia nie minie tak rychło. Ale po negacyi nastąpić może bardzo łatwo pozytywna praca nad rekonstrukcyą ojczyzny. Przeciwnika zwalczyć najpewniej można jego własną bronią. Tą bronią jest właśnie europejska cywilizacya. Oczywiście, że dojście do tej prawdy

nie nastąpi bez konwulsyjnych drgań starej cywilizacyi. Nie wiemy też, w jakich rozmiarach nastąpi recepcya kultury europejskiej i czy ta europejska kultura w swej chińskiej formie nie wykaże zasadniczo nowego jądra. Ale jakaś recepcya nastąpi chyba w każdym razie.

Autor przecenia również, mojem zdaniem, znaczenie potęgi materyalnej, jeśli sądzi, że wobec istnienia takiej potęgi, wszelka modernizacya Rossyi nie jest możliwą. I w Rossyi i gdzieindziej okazało się niejednokrotnie, że idea jakaś, równy, choć znacznie powolniejszy może wpływ wywierać na bieg wypadków dziejowych, jak potęga materyalna.

*Raum für alle hat die Erde* — powiedział niemiecki poeta. Starczy miejsca i na europejską kulturę, starczy go i na zeuropeizowaną chińską. Są jeszcze na ziemi ogromne obszary o bujnej faunie i florze, których wyzyskanie, będzie godnem polem współzawodnictwa obu cywilizacyi.

Utrudnioną się tylko stała niewątpliwie chrystyanizacya Chin. Negacya wszelkiej miłości bliźniego, którą okazały mocarstwa europejskie, na długo utrudni wszelką pracę w tym kierunku.

*Dr. Z. Gargas.*

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".

DYREKCYA KASY OSZCZĘDNOŚCI
MIASTA NOWEGO SĄCZA.

# KORESPONDENCYA
# JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(Ciąg dalszy).

## Do Pani Zofii Zaleskiej, w Paryżu.

*Boulogne sur mer, 9. września 1861 r.*

Moja najmilsza i najserdeczniejsza Zosiu, wyglądamy ze dnia na dzień na listy od was i niepokoimy się w sercach . . . . . U nas tu wielka panuje monotonia. Żyjemy wedle zegarka i z zegarkiem w ręku, życiem prawdziwie wegetalnem i mechanicznem, jak to zwyczajnie bywa u wód. Od wczoraj używamy kąpieli morskich, punkt o godzinie 10-ej rano. Obydwa chłopcy radośnie biegną do morza i pluszczą się kwadrans ręka w rękę z nami. Po śniadaniu przechadzamy się trocha dla rozgrzania się. Potem dzieci trocha pracują. Marian powtarza fontaineblowski katechizm, który mu objaśniam, potem przepisuje kilka stronnic gramatyki polskiej. Dyzio uczy się na pamięć wierszy polskich, które potem zamiast dyktowania, przepisuje, albo wciąga do agendy swojej rozliczne przygody życia i wrażenia codzienne. Koło 4-ej wespół czytamy Pana Tadeusza. Koło 5-ej biegniem na przechadzkę. Wieczór siedzimy całą gromadką w saloniku cioci Dyzi, rozprawiamy o rzeczach świętych lub świeckich. O polityce głucho, bo nie mamy gazet, ledwie kiedy niekiedy zabłąka się do nas jakiś luźny numer „Patrie“ lub „Opinion“. Nikogo nie znamy w mieście. Przy *table d'hôte* zasiada z nami mnóstwo Anglików, ale arcyniesympatyczni a żarłoczni . . . . . .

Przyciskam was do serca i całuję

stary ojciec

*Bohdan.*

## Do Pani Zofii Zaleskiej, w Paryżu.

*Boulogne sur mer, 16. września 1861.*

Prawda, moja najdroższa Zosiu, że niema nic nowego w Boulogne. Dzień za dniem schodzi podobniusieńki jeden do drugiego. Siedzę jednak, bo widzę, że kąpiele morskie służą bardzo Dyziowi. Żebyś ty, duszko, widziała, z jaką on ochotą skacze w zimną wodę i z jakim apetytem potem zajada śniadanie, doprawdy, mało jest Anglików i nawet Angielek, aby mu w tem sprostały. Zresztą mnóstwo jeszcze osób kąpie się i my się kąpiemy. Kąpiele są dzisiaj bodaj najskuteczniejsze, bo wskróś elektryzują ciało, woda morska cieplejsza jest od zewnętrznego powietrza. Chłopcy nasi, jeśli czasem zatęsknią do domu, to znowu żal im morza. Zabawię tu do końca tygodnia, aby Dyzio wziął 14 kąpiel, a jeśli pocieplej, to i parę dni dłużej. Chłopcy przytem nie próżnują. Ów ptaszek twój, co to z ojcem na drzewie czytał Pana Tadeusza (ma się rozumieć na kłodzie drzewa), począł smakować w lekturze polskiej, i co lepsza, poczyna czuć i pojmować piękności poetyckie i moralne w swojem czytaniu. Czytamy też coraz więcej i z rozbiorem rzeczy przeczytanych.

Całuję i błogosławię wszystko troje i starego mego Józefa

wasz

*Bohdan.*

## Do Pana Józefa Zaleskiego, w Paryżu.

*Boulogne s/mer, września 1861.*

Mój drogi Józefie, dziękuję najczulej za nowiny z domu i z kraju. Siedzimy tu jak na pustyni, bez żurnalów i bez stosunków z ludźmi, tylko że żywimy się nie korzonkami wcale. Pomimo tego, smutno tu bardzo i tęskno już do domu. Nie wiem, na kiedy Daryusz zamyśla powrót swój do Paryża, ja czmychnę zapewnie stąd w przyszłym tygodniu. Dyzia jeden i jedyny poleciła ci interes, ale nie powiedziała jaki.

Duchińskiemu powiedz, aby o SS. Chleba i Borysa kołatał do księży Zmartwychwstańców. Ich to właściwie rzecz. Powinniby w ciągu roku urządzić osobne nabożeństwo na cześć tych patronów naszych. Oczywiście, przy okazyi nie omieszkam i ja z mojej strony uczcić pieśnią kniaziów Polski Dnieprowej.

Nie zapomnij, mój druhu, wywiedzić się o fotografa mego w Palais Royal, bo wielu osobom obiecałem portrety. Weź u Kossiłowskiego krajowe gazety i wynotuj co ciekawszego znajdziesz z Polski i Węgier. Królikowski przysłał mi był numer „Przeglądu Lwowskiego“, w którym była arcyważna mowa w Reichsracie naszego Smolki. Zbudowaliśmy się nią wszyscy. Zapytaj Karola, czy odebrał „Przegląd“ na powrót.

Sciskam cię najczulej i modlitwom się polecam

*Bohdan.*

13. października [1]) . . . O 10-ej wyruszyliśmy z żoną i Józią do Assomption . . . Kazanie księdza Kamińskiego nie zbudowało nas wcale. Więcej deklamacyi niż prawdziwego daru kaznodziejskiego. Za to zachwyciła nas pieśń: „Boże coś Polskę“, którą młodzież odśpiewała z ogniem. Popłakaliśmy się wszyscy. Kościółek był natłoczony, mnóstwo zwłaszcza krajowców . . .

Powróciłem na obiad do domu. Koło 3-ej zaoczyłem konno jadącego Jenerała Zamojskiego. Nadszedł z pierwszą wizytą. Był bardzo wymowny i uprzejmy. Odczytałem mu cały list X . . ., który widocznie go wzruszył. Mówiliśmy potem o kwestyach politycznych i polskich. Przybył Józef mój. Jenerał robił kompletne wyznanie wiary swojej politycznej, opowiadał, jakim sposobem wrócił do praktyki religii i t. p. Namawiał, abym wszedł do komissyi pomnika dla księcia Adama; zbyłem tę rzecz delikatnie. Siedział całe dwie godziny.

*4. listopada 1861 r.* [2]).

Dnia 4. listopada z Józefem byliśmy u Karola Różyckiego, dla powinszowania mu po staremu imienin, a nie zastawszy w domu, zostawiliśmy nasze bilety. Ja na moim dopisałem, „że pamiętałem o święcie przed Bogiem na mszy“. — Nazajutrz 5-go o 10-ej rano zapukał ktoś do drzwi. Otworzyłem i ujrzałem szanownego pułkownika z wyrazem w oczach i na twarzy arcyuroczystym. Oczywiście rozmowa zwyczajna, przyjacielska nie mogła się zawiązać. Napomknąłem o wypadkach krajowych, ale zbył mnie półsłówkami. Nastąpiło chwilowe milczenie z obojej strony. Kochany Karol

[1]) Z dzienniczka.
[2]) Z dzienniczka B. Z. na rok 1861.

podniósł się nareszcie i w sposobie niejako urzędowym zabrał głos: „Bohdanie, przyjaźń nasza stara! Modliłeś się za mnie wczoraj: otóż i ja jestem dłużny wypowiedzieć tobie, co mam w duszy z natchnienia Bożego. Od dawna stoisz zacięcie w oppozycyi przeciw Mistrzowi Towiańskiemu i tem samem szkodzisz rozwinieniu się sprawy Bożej na ziemi. Wiem, że paręset szlachty ruskiej odwróciłeś od porozumienia się ze mną i z moimi braćmi. Otoż tem postępowaniem twojem popełniasz straszny grzech; bierzesz na siebie wielką odpowiedzialność przed Bogiem i na tej ziemi i w życiu przyszłem. Daj Boże, abyś winy swoje odpokutował raczej na tem życiu doczesnem. Nie chcę bynajmniej gwałcić twoich przekonań, wierzę, iż mogą być katolickie, ale wiedz to, że Polska dawnoby już była wolną i niepodległą, gdybyś stał z nami, i t. p.“ W tem miejscu przerwałem mowę, która była obszerniejsza niż w tej nocie i wielce wymowna. — „Karolu, odrzekłem, w pokorze mojej chrześciańskiej czuję, że ostatnie twe słowa są grzeszne, a przynajmniej nieprawdziwe. Ktoż może znać wagę człowieka jednego przed Bogiem do tyla, aby mógł powiedzieć, iż zbawienie Narodu polega na nim? Chowaj mnie Boże od takiej pychy! Obłęd to wielki mistycyzmu. To prawda, żem grzeszny bardzo, ale ufam bez granic w miłosierdzie Boże, którego działanie zresztą zakryte jest przed ludźmi. O Towiańskim i o sprawie waszej wynurzyłem się już powielokrotnie i przed tobą, Karolu, i przed Seweryném Goszczyńskim i szerzej przed ś. p. Adamem i ks. Duńskim. Towiańskiemu powiedziałem wręcz, że nie skusi mnie, bo jestem prostaczkiem i trzymam się oburącz nauki jeno Kościoła. Zresztą do osoby i do nauki Towiańskiego, od początku samego uczuliśmy cudownie z Józefem, jak to wiecie, odrazę i trwogę nieprzełomną. Przed 18 laty, podczas ciężkiej choroby Józefa, nagabaliście mnie, ty, Karolu, Seweryn i Adam razem i wespołek wszyscy trzej tak drodzy sercu memu. Pamiętasz, iż nadaremnie. Oparłem się namowom kochanego ks. Duńskiego. Odtąd przez lata nie zmieniłem się w niczem. Widzi mi się, że jesteście w okropnym błędzie, ale nie sądziłem was i nie sądzę, bo nie czuję się na siłach do przedysputowania was i do nawrócenia na moją wiarę. Rzecz ta należy właściwie do świętobliwych księży a głównie do Ojca Św., Namiestnika Pańskiego w Kościele. Szlachciców ruskich nie podbudzałem przeciwko wam. Było u mnie takich panów najwięcej ze dwudziestu, otoż każdemu ze czcią i miłością powiadałem o tobie, Karolu; oczywiście, z wynurzeniem żalu, że odosobniłeś się od nas w Towiańszczyźnie i t. p.“ — „Darmo

długo dysputować, zawołał pułkownik, ale weź proszę, Bohdanie, na uwagę, com ci dziś w miłości wypowiedział".

Zabierał się do wyjścia, a więc pobiegłem po Józefa i po żonę. W pokoju Józefa jeszcze poczciwy Karol prawił swoje wobec nas trojga. Żona moja dodała: „Dla czego, Pułkowniku, zawsze jak cień między Chrystusem Panem i nami staje wasz Towiański?" Darmo i t. p. Pożegnaliśmy się chłodno, bo w duszach zasmuceni

. . . . . .

*1861.*

Dnia 6. listopada [1]), około południa, nawiedził niespodzianie J. I. Kraszewski z Moczulskim, opowiadał o Warszawie mnóstwo szczegółów z ogniem i w sposób wielce budujący. Zaprosiłem Zosię na tę naszą biesiadę. Miał zabawić w Paryżu jeszcze parę dni, obiecałem więc rewizytę.

Nazajutrz, 7. listopada, byłem w hotelu u Kraszewskiego; zastałem, oprócz Moczulskiego, Edwarda Żeligowskiego. Rozmawialiśmy z całą swobodą przyjacielską i zupełną otwartością. Kraszewski objaśniał nas o stronnictwach i ludziach warszawskich, o projektach organizacyi w kraju. Udzieliłem nawzajem uwag moich o rzeczach publicznych. Nadszedł Seweryn Gałęzowski, swobodnie dyskutowaliśmy i przy nim, ale już z innej beczki. Umówiliśmy się z Kraszewskim względem korespondencyi. Wyszedłem zadowolony i ochoczy do spólnej roboty patryotów polskich.

Dnia 23. listopada [2]) . . . . Po obiedzie przyszedł Edward Żeligowski, przyniósł świeżo w Brukselli napisaną broszurę [3]) Kraszewskiego, o której proszeni byliśmy, abyśmy wydali sąd. Zasiedliśmy do czytania, przeczytaliśmy połowę, kiedy nadszedł Artur Sienkiewicz z rękopisami poezyi swego ojca. Wyprawiłem go rychło do salonu, do mojej żony, ale już niedługo siedzieliśmy nad broszurą. Prosiłem Żeligowskiego, aby mi ją zostawił do jutra. Nazajutrz przeczytałem do końca z uwagą. W ogólności podobała mi się z treści swojej i ducha, a napisana oczywiście z ogniem

[1]) Z dzienniczka.
[2]) Z dzienniczka.
[3]) Mowa o tej broszurze w korespondencyi.

i z talentem. O południu odniosłem ją Żeligowskiemu. Opowiedzieliśmy sobie nawzajem, w czem różnimy się z autorem, zdania, co wyrzucić z broszury a co złagodzić należy. Osobno każdy posłaliśmy autorowi do Brukselli nasze uwagi. Pod koniec miesiąca odpisał nam i przysłał manuskrypt nieco poprawiony. Podjąłem się porozumienia z Królikowskim o druk.

### Do Księdza Aleksandra Jełowickiego, w Hyères.

*Paryż, 4. lutego 1862.*

Kochany księże Aleksandrze . . . . . Józef opowie najświeższe nowinki paryskie. Moja żona wzięła w opiekę swoją i pod rygor młodą emigracyę. Wielu już pomieściła po fabrykach [1]). Dzięki Bogu, składki idą dość pomyślnie. Z łaski ks. Hieronima, niedzielna kwesta przyniosła do 1.000 fr. Wielu Mierosławszczyków powróciło z Genui, niestety, 28 udało się do Konstantynopola kołatać o Polskę do Sadyka Paszy. W tem szukaniu wodza pomiędzy bezbożnikami nie wyraźnaż kara Boska i zarazem święte upomnienie? . . . . . .

Łączę i t. d.

*J. B. Zaleski.*

### Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Hyères.

*Paryż, d. 16. lutego 1862 r.*

Kochany Bronisławie, twój sąd o broszurze p. Józefa [2]) w dawniejszym liście do mnie podobał mi się bardzo — uznałem go za arcysłuszny i zdrowy. Wynurzyłem się z tem przed moim Józefem, który naonczas wybierał się już do Hyères. Chciałem, aby ci zawiózł ustne przyznanie — bo na razie byłem zakłopotany czem innem a przy tem nie domyślałem się, że wystąpisz do publicznej walki. Odczytałem wczoraj i nową twoją odpowiedź sze-

[1]) Pani Bohdanowa Zaleska przez kilka lat zajmowała się wynalezieniem zarobku młodym krajowcom, bez różnicy wyznania, opiekowała się nimi, zbierała dla nich składki, kupowała odzież i t. d. Komitet emigracyjny wystosowywał do niej nieraz podziękowania za jej uczynność dla młodzieży przyjeżdżającej z kraju.

[2]) Kraszewski.

rzej rozwiniętą co do pierwiastkowych zarzutów. Zgadzam się z nią bezwarunkowo i zupełnie tak co do ducha jak i co do sposobu zapatrywania się na rzeczy krajowe. Patryotyczny wzgląd na arkany polityczne tamował ci widocznie pisarską swobodę, ale pomimo tego napaść przeciwnika na p. Andrzeja[1]) i na duchowieństwo nasze odparłeś zwycięsko. I dalej o uwłaszczeniu, o całości Ojczyzny, o nadziejach z zewnątrz i wewnątrz i t. p. ocenił eś jak najsprawiedliwiej i najtrafniej. Niektóre uwagi, niemal takie same jak twoje, posłałem autorowi broszury w liście moim doń — oczywiście z przyciskiem większym na politykę zewnętrzną jako emigrant. W ogólności broszura twoja pomyślana głębiej, a napisana jasno i czysto co do polszczyzny, powinna wywrzeć dobry wpływ na publiczność, i bodaj na samegoż p. Józefa, który z natury swego powieściarskiego talentu nawykł nie namyślać się, ale porywczo i dorywczo sądzić o ludziach i wypadkach. Stąd to tak częste u niego powierzchowne, płytkie a nieraz i sprzeczne zdania. Słowem, brakuje broszurze dużo — dużo przymiotów i słusznieś powiedział, że nie jest ani wieszcza, ani męża stanu. Z tem wszystkiem zajęła żywo ciekawość publiczną — i dobrze się stało, że wyszła z druku. Chowaj Boże, Bronisławie, nie byłem ja wydawcą w znaczeniu właściwem, ale tylko pośrednikiem anonima z drukarnią. Tyle mojej zasługi, że potajemnie doręczyłem rękopis Królikowskiemu i cichaczem dojrzałem ostatniej korekty. I przypisek wydawcy przysłał sam p. Józef, zapewne dla zamaskowania się przed publicznością.

I z twojem pisemkiem, kochany Bronisławie, postąpię z takąż samą dyskrecyą i ostrożnością. Zaraz wczoraj zaniosłem rękopis do druku. Poleciłem przez Królikowskiego znajomemu zecerowi, aby w czasie kompozycyi drukarskiej nikomu nie pokazał manuskryptu, i aby zarazem spieszył się w pracy. Pierwszej korekty dojrzy Królikowski, a nad ostatnią ja sam pośleczę. Parę usterków wysłowienia, a raczej drobne *lapsus linguae*, już poprawiłem podczas czytania. Koszta pokryjemy ze sprzedaży pisemka. Egzemplarze wedle żądania twego rozeszlemy. Widzisz tedy, kochany Bronisławie, że interes poszedł galopem — prędzej niż listowne między nami komunikacye. Od kilku dni jestem niemal wciąż na bruku za interesami publicznemi i prywatnemi, to łacniej mi coś zrobić użytecznego niż zasiąść do pisania.

[1]) Zamojski.

P. Edwarda [1]) dawno nie widziałem. Nie wiem, w czem by się mógł z tobą różnić. Ma on osobny swój pogląd na liberalizm moskiewski — ależ o tem nie było mowy w twojem pisemku. Radbym, ażeby i on wystąpił publicznie. Słyszałem, że ktoś z ultrademokratów krajowych gotuje takoż odpowiedź p. Józefowi. Tem lepiej! bo się rzeczy dosadniej wyjaśnią, a wtedy i ja może na zamknięcie sporu dodam słówko od emigracyi a raczej od siebie.

Z kraju tyle wiemy, co jest w gazetach, które i wy czytacie. Młodzieży coraz więcej przybywa do Paryża. Z tego powodu „Dziennik Poznański“ umieścił arcyrozumny artykuł, reflektujący młodych a zarazem upominający starszych, aby powstrzymywali w kraju niefortunny ten pęd za granicę. Mierosławski wrócił. Mało spoważniał, ale wielce spokojniał. Był już u mnie dwa razy z różnemi projektami, do których atoli nie przyłożę ręki — bo chociaż lubię go prywatnie, w politycznych zdaniach jesteśmy od siebie jak na antypodach.

Cieszę się serdecznie, kochany Bronisławie, że zdrowie ci służy. Wracajcie do kraju i służcie poczciwej sprawie, bo ciężkie tam próby dziś — bodaj najcięższe na finał.

Ściskam cię po przyjacielsku. Pozdrawiam od żony i dziatwy — a kochaj nas i nie zapominaj w modlitwach

*Bohdan Zaleski.*

Zapewnie pisał ci Edward, że osnowę mu oddałem i że uciężliśmy sam na sam kilkogodzinną literacką gawędę.

## Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Hyères.

*Paryż, 10. marca 1862 r.*

Kochany Bronisławie, wyprawiłem wczoraj do ciebie pocztą cztery egzemplarze pisemka. Spółcześnie rozbiegło się gęsto i po Paryżu. Mówiłem o niem z wieloma rodakami piśmiennymi i niepiśmiennymi. Ogólnie wywiera dobry wpływ, lepszy niż sprawa. Czytelnicy, zaciekawieni o autora, przyznają mu chórem logiczniejszy i głębszy umysł, szersze pojęcie rzeczy i szczeropolską serdeczność. Kwestyę włościańską Emigracya teraz dopiero z łaski P i s e m k a poczęła dokładniej pojmować; wdzięczna przytem za

[1]) Żeligowski.

wymowną obronę duchowieństwa, tudzież manifestacyi 27. lutego, Horodelskiej i t. p. Nie widziałem żadnego Lambercisty, ale jestem pewny, że dla samej już rehabilitacyi p. Andrzeja przebaczą autorowi lekceważenie Kongresówki. Mimochodem przy kościele wręczyłem pisemko p. Janowi Zamojskiemu, który zaraz posłał do księgarni po 20 egzemplarzy. P. Jan wyjeżdża za parę dni na powiat, a więc rozpowszechni książeczkę w Hyères i na południu.

Mój drogi, najwyraźniej oto dla ciebie święci się zawód statysty i publicysty w Polsce! Zawód arcyważny i potrzebny między obałamuconą strasznie publicznością naszą. Bez zaprzeczenia masz po temu dary Boże i przymioty — duszę wierzącą, podniosłe serce, bystry rozum i rozumienie jasne sprawy ojczystej. Chowaj Boże, nie mówię tego przez pochlebstwo ale sumiennie, ku zachęceniu ciebie do rozmiłowania się w nowym zawodzie. Korzystajże bratku z dobrego usposobienia i ciszy, jakiemi cię Bóg darzy na razie, abyś coś uczynił *pro publico bono*. Przeczuwam, że dziś wydumasz coś bardzo pięknego i pożytecznego. W twoim wczorajszym liście do mnie o Bakuninie, tkwi wątek do obszernej pracy o charakterystyce duchowej Moskwy i Polski, tak potrzebnej na dobie. — Duchińskiego roboty niesklejne dotąd, pedanckie i nieraz ekscentryczne, twój zaś pogląd byłby wyższy i prawdziwszy, bo oparty na znajomości rzeczywistej politycznej Moskwy, a nie etnograficznej i kopalnej. Nikt u nas na Emigracyi takiej znajomości nie posiada — oprócz może poczciwego Żeligowskiego, który i w tym względzie dziwaczy a tem samem szermuje uwidzeniami. Weźno się na prawdę do pióra. Z listu twego o Bakuninie (jeśli pozwolisz), dam wyjątek do Przeglądu albo do dzienniczka młodej Emigracyi.

Jak ja ci, Bronisławie, zazdroszczę nieraz twego cichego ustronia. Znam ja i Hyères — ale najmilej przypomina mi się nadmorskie Endoume. Święć się wolo Boża! Przyklepany dziś do Paryża — żyję z dnia na dzień w zgiełku i w pospolitych troskach stanu emigranckiego. Radbym atoli przyczynić się w czemś ku powszechnemu dobru. Na razie usiłuję godzić zwaśnione umysły w rodzinie tułackiej. Usiłowania te zdają się pożądane, bo ze wszech stron wynurzają się jednocześnie zabiegi ku zjednoczeniu. Aż trzy komitety naraz pracują porodem. I z kraju są rozkazy ku wzajemnemu porozumieniu się w celu utworzenia w Paryżu Komissyi skarbowej. Niestety, wysłańcy niezgrabnie wzięli się do rzeczy. Zamiast od razu postawić u steru funduszów dwóch lub trzech ludzi zamożnych i specyalnych, powołali do

Komissyi dziesiątek emerytów z dwóch skrajnych stronnictw, zostawiając przytem przewagę Lambercistom, którzy wcisnęli się w całej swojej sile, bo nawet z Kalinką i Klaczką. Oczywiście demokraci pierzchnęli natychmiast na stronę — i cała rzecz znowu zostaje w zawieszeniu. Żal się Boże, tylu poczciwych zachodów. Nie wzywany, ani pytany, nie śmiem się w to mieszać. Szkoda atoli, że grube fundusze z podatków krajowych zmarnieć mogą w rękach prywatnych, zanim stanie projektowana Komissya. Dlatego przylgnąłem do zamiaru Królikowskiego i popieram go jak najmocniej. Na pozór rzecz to drobna, ale w rdzeni swej sięga daleko. Poczucie się Emigracyi do obowiązku płacenia podatku Ojczyźnie i do Izraelskiej solidarności między sobą rozproszeńców polskich, może mieć nieobrachowane następstwa ku zjednoczeniu. Już teraz widzimy rodaków, dotychczas obojętnych dla rzeczy emigranckich, podejmujących się do płacenia 300, 400 i 500 fr. rocznego podatku. Jeśli się nam uda zjednoczyć 100 lub 200 — wybierzem zaraz władzę nadzorczą z poważnych jeneralskich imion, którą, nie wątpimy, że i kraj uszanuje. Tym sposobem zaradzimy może trudnościom, jakich kraj przezwyciężyć nie jest w stanie. Onegdaj na ręce Józefa posłałem Akt Założenia. Królikowskiemu idzie głównie, abyś ty dał o nim swoje zdanie. Nie wie on twego nazwiska, ale zaimponowałeś mu pisemkiem, że całkiem zdaje się na twój sąd. Zapewnie jutro lub pojutrze będziemy tu już mieli wasze uwagi.

Na dzisiaj dość. Czekam na egzemplarze pisemka z księgarni. Poszlę natychmiast na upominek Edwardowi do Montmorency i napiszę doń z miłością. Radbym do niego pojechać, ale boję się zadrasnąć czemś epidemię jego hipokondryacką. Nie ma rady! możeby najpożyteczniej było wypowiedzieć mu w cztery oczy całą prawdę chrześciańską i oderwać od razu od szalonych interlokutorów, z którymi się zamknął na pustyni? Co ty na to? Młodzież nasza strzelała się w Szwajcaryi z Kurzyną przez trzy dni. Chwała Bogu wyszli cali i zdrowi. Za kilka dni w masie całej udają się do Genui. Mierosławski zrzekł się nad nimi zwierzchności. Wzywają teraz Wysockiego, ale waha się i negocyuje. Jutro lub pojutrze wyjdzie nowy numer ich dzienniczka. Poszlę ci razem dwa, bo zapowiedzianego dawniej nie mogłem odszukać.

Ściskam po przyjacielsku i pozdrawiam

*Bohdan.*

Od p. Jana Zamojskiego dowiecie się o drobnych nowinach emigranckich. Z kraju głucho. Ks. Feliński co dzień stawi się lepiej wobec Rządu i wobec rodaków. Ujmuje wszystkich wielką prostotą i dobroczynnością swoją.

## Do Pana Rufina Piotrowskiego, w Paryżu.

*Paryż, d 23. marca 1862 r.*

Kochany panie Rufinie, z ciekawością wyczekuję na list Bakunina. Radbym głębiej wniknąć w ducha socyalisty tyle niebezpiecznego dla całej Słowiańszczyzny. My, Polacy, szczególniej powinniśmy się mieć względem niego na baczności.

Łączę osobną jeszcze, panie Józefie, do ciebie prośbę. Bądź łaskaw, co rychlej przed terminem prekluzyjnym, przekryśl nazwisko moje na liście kandydatów do przyszłej Reprezentacyi, aby raz na zawsze uniknąć nieprzyjemnych później protestacyj publicznych. Po należnej rozwadze, z ręką na sumieniu wyznaję, że nie mogę wziąć udziału w robocie politycznej, widocznie zdaje mi się chybionej. Skoro stronnictwa nasze skrajne i mnogie luźne grona nie myślą po dziś dzień o zlaniu się w jednolite ciało, Emigracya, i po wybraniu Komitetu, będzie po staremu n i e z j e d n o c z o n ą, a tem samem bezsilną i nieznaczącą wewnątrz i na zewnątrz. Miasto pożytecznego działania, pocznie się bezcelna, bezowocna polemika, która przysporzy tylko waśni w rodzinie tułackiej. Mniemam, że na innej drodze, łacniej uda się mi spełnić obywatelskie obowiązki moje względem Ojczyzny. Zdanie to moje osobiste, osobowe. Nie przesądzam przezeń, chowaj Boże, o sposobie waszego zapatrywania się na rzeczy. I owszem, bodajbym się omylił! bodajbyście dokonali dzieła, któremu poświęcacie się z taką bezinteresowną polską gorliwością.

Ściskam i t. d.

*J. B. Zaleski.*

## Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Hyères.

*Paryż, d. 25. marca 1862.*

Kochany Bronisławie, od wielu dni nie wychodzę z domu. Niemiłosiernie jestem uciemiężony przez paryską sławną grypę.

Dla ciągłego i gwałtownego kaszlu, nie mogę niczem zająć się na seryo. Straciłem oprócz tego sen i apetyt. Jeśli taki stan zdrowia potrwa dłużej, to wyschnę na szczepę.

Pomimo antyparlamentarnego tego licha, musiałem onegdaj w niedzielę perorować na Zebraniu Stowarzyszenia podatkowego. Rzecz tedy już jest zagajona publicznie i zdaje się, że pójdzie jako tako. Dotychczas mamy już podpisanych na 3.000 fr. Akt założenia z listą pierwszych podpisanych jest w druku; z eprewami pójdę w tych dniach do Branickiego, Potockich, Platera i t. p. Statuta będziem układać powoli na zebraniach tygodniowych Wydziału; zaprosim do uczestnictwa w tem poborców okręgowych i ludzi fachowych w Emigracyi. Oczywiście twój współudział będzie jak najpożądańszy. Nie mamy atoli dotąd planu ogólnego statutów. Do Komissyi nadzorczej nad Wydziałem chcemy powołać Jenerałów Dębińskiego, Konarskiego, Wysockiego, tudzież Branickiego, Gałęzowskiego albo Wołowskiego. Przedewszystkiem wiedzieć musimy, jak przyjmą Stowarzyszenie nasze Polacy po innych miastach francuskich. W Paryżu myśl podobała się ogólnie emigrantom i krajowcom.

Tych ostatnich ciągle przybywa do nas dla załatwienia interesu dawno a niezgrabnie zagajonego. Z twoich znajomych są tutaj Gutry i Adolf Łączyński, którzy mnie często nawiedzają. Zdaje się, że rzeczy ułożą się — ale czy na długo? Komitety polityczne takoż zawiązują się na prawdę. Ledóchowskiego już stanął. Ultrademokraci wybrali doń oprócz Ledóchowskiego, Wysockiego, Czyńskiego, Chrystowskiego i Zieńkowicza. Wysocki nie przyjmie zapewnie urzędu a przeto i Komitet zostanie bez wpływu i powagi. Rufin Piotrowski ze swej strony z Komissyą tymczasową agitują nowe wybory. Żal ma do mnie, że kazałem się wykreślić z listy kandydatów. Ależ kompromis ze skrajnemi stronnictwami nie udał się. indywidua i gronka poważniejsze Emigracyi stoją wciąż na boku, a więc wlazłbym tam jak Piłat w Credo — chyba na waśń i gorszącą polemikę z partyami. Krajowcy są jednak życzliwsi Piotrowskiemu niż Ledóchowskiemu. Podobno że chcą nakłonić Czartoryszczyków do połączenia się i do wotowania wespół na Komitet. Daj Boże, aby to się im poszczęściło, bo tym sposobem Komitet miałby istotnie numeryczną większość emigrantów za sobą. Z czasem, przez adhezye osób i gron, mógłby się stać prawdziwą naszą Reprezentacyą.

O szkołę wojskową zacięta walka toczy się w Turynie. Wysłaliśmy stąd Wysockiego, który ma poparcie Napoleona i wszystkiej

młodzieży polskiej. Przy Mierosławskim zostało czterech czy pięciu dawnych uczniów, ale przybrał sobie do pomocy ks. Marcelego Lubomirskiego, który ma wpływ i znaczenie u Rządu włoskiego. Wedle tego, co powiada tu Rzyszczewski, świeżo przybyły z Turynu, Rząd włoski zamyka szkołę w Genui, a otwiera inną w Turynie, do której da własnych profesorów i oficerów. Ale między młodzieżą ledwo jest może kilku, co mogą słuchać kursów po francusku lub włosku. Czekamy niecierpliwie na listy Wysockiego i Milowicza, którzy nam rzecz objaśnią.

Piotrowski, pomimo żalu do mnie, czytał list Bakunina, na który jeszcze nie odpisał. List w ogólności serdeczny dla Rufina, ale cierpki dla sprawy. Żali się, że go Polacy wciąż podejrzywali, a nawet mieli za szpiega; pomimo tego, po kajdanach, przejeżdżając przez Kraków, jeszcze ślubował do śmierci pracować na wyswobodzenie Polski i t. p.; że Polska, jak Rossya, musi być chłopską. List pisany po francusku, a ku końcowi po moskiewsku. Rozmówię się chętnie z Edwardem, ale w rzeczy Bakunina nie ma on, zdaje się, racyi. Chorągiew nasza musi zostać na zawsze czystą i niepokalaną między chrześciany, to mniejsza o gwar tego pogaństwa. Zresztą my nie chcemy się mieszać do ich sprawy domowej, ale musimy odżegnać i odegnać złe duchy, grożące naszej Polsce.

O papierach po Wolskim dużo słyszałem. Jest tu stary publicysta, p. Franciszek Grzymała, który za młodu w nich plondrował. Pani Wolska, wdowa, jego i swego ojca zamykała w pokoju na klucz w obawie, aby nie wykradał listów. P. Franciszek powiada, że tych papierów pełniuśki był ogromny pokój. Ażaliż wszystkie dziś są w twojem posiadaniu? Wartoby je starannie przejrzeć i zachować dla potomności. Mnie się zdaje, że byłoby bezpieczniej przewieźć je w Poznańskie lub tu do nas.

Jeszcze słówko *tibi soli*. Co począć z sumką którą mamy w Credit-Foncier? Czy czekać aż zawiąże się Komitet finansowy? Czy można coś udzielić na szkołę wojskową? Z osobnej sumki, którą miałem do rozporządzenia, nie wyexpensowałem jeszcze ani połowy, chociaż udzieliłem i Kalince na druki i Duchińskiemu na patryotyczne broszury i t. p. Przed wyjazdem twoim na Litwę, musimy coś ostatecznie postanowić w tym względzie. Powiedziałem o Depczycu wielu współemigrantom — a Elżanowskiemu, Gałęzowskiemu, Piotrowskiemu pokazałem na co użyłem z luźnej sumki.

Ściskam i pozdrawiam od żony i dziatwy

*B. Z.*

## Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej, w Hyères.

*Paryż, 7. kwietnia 1862.*

Najmilsza Nisiu, z Moskalami mamy się na ostrożności. Szewirewowi i Kawelinowi daliśmy odrazu od kosza. Nie darmo zestarzeliśmy się na emigracyi, a kiedy Gagaryn, Trubeckoi i t. d. nie pociągnęli nas, to tem bardziej wstrętni nam są moskiewscy liberały i socyaliści.

Duchiński zagaił wczoraj oględnie spór z Szewirewem. Na lekcyi było kilku Moskali, ale wątpię, aby podnieśli rękawicę. Na pozór lekceważą nasze zarzuty, ale w duszy wściekają się na nie. Duchiński mówił, że już Witold chciał oderwać Ruś i Litwę od Polski, ale nie udało mu się, choć był i wielki bohater i miał cesarza niemieckiego i panów chrześciańskich za sobą. Jagiełło posłał doń tylko Zbigniewa Oleśnickiego bez wojska i pogróżek. Otóż i teraz spór o Ruś i Litwę rozstrzygnie się w sferze duchowej najpierwej.

Najsmutniejsza rzecz, że nie mamy tu moskiewskich dzienników, „Osnowy“ i „Dnia“, najgwałtowniej bijących na Polaków, i którym pod cenzurą w kraju niepodobna odpowiadać. Piszę do Kraszewskiego, że wstyd i zgroza, że my o niczem tu nie wiemy, kiedy im było tak łatwo przysyłać nam nowości moskiewskie. Obiecał mi Milowicz „Osnowę“ i artykuł M. Grabowskiego, ale książki jego są jeszcze na komorze, i on sam na bruku paryskim, a raczej na drodze żelaznej między Turynem, Madrytem i Paryżem.

Całuję ręce Nisi najczulej i pozdrawiam kochanego Daryusza

*Bohdan.*

## Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Hyères.

*Paryż, 9. kwietnia 1862.*

Kochany Bronisławie, opuszczasz tedy Francyę lada dzień. Czemuś mi smutno na tę myśl. Im dalej w lata, tem smutniej nam — kuschyłkowi, bo dnia rozdłużają się cienie bez końca na zmierzch — w duszy drgają wciąż niby rozbrzmienia nieszpornych organów. Czy się obaczym jeszcze kiedy, mój drogi, na ziemi?

A pokochałem cię jak rodzonego brata. Boleści twoje jawne i skryte, wierzaj mi, spółczułem głęboko w sercu. Marnyż i biedny ten świat nasz doczesny — Bronisławie! Ramię o ramię otarliśmy się oto mimochodem, ale słodycz przyjaźni odnajdziem dopiero kędyś — aż na rozstrzeniach wieczności. Swięć się, wolo Boża! Krzyżem Pańskim opisuję czoło twoje — wskroś jasny i czysty duchu! Błogosławię na nowe znoje i boje w przestronnej tam Golgocie!

Nie rozczulajmy się zbytnie, bracie mój! Kartkę twoją przeczytałem ze łzami w oczach. Chwilowo nastroiła mnie do rzewności, ale nie odjęła bynajmniej pogody, ni mocy wewnętrznej. Mam przeczucie, że wydobrzejesz na zdrowiu i co za tem idzie, zahartujesz się po męsku na wszelakie przygody dalszego twego życia. Od młodu bo wyhodowałeś się na piołunach.

Dobrze, mój Bronisławie, że wziąłeś do serca i na rozum socyalistowskie moskiewskie wybryki. Powstań na nie odważnie. Nieskazitelnyć duch Polski — ale młodzież nasza krewka i pochopna do chwytania nowostek. Ty tak doskonale znasz Moskali. Jestem pewien, że pisemko przeciw Bakuninowi uda ci się wyśmienicie. W liście do Rufina, nie ma nic nowego ani ważnego — i dlatego nie posłałem tobie kopii. Widziałem takoż kilka listów Bakunina do Jenerała Dębińskiego, — ale i w tych proste jeno okólniki, z oświadczeniami stałej życzliwości dla Polski. Temi dniami „Przegląd“ Elżanowskiego wydrukował dość poczciwą ale płytką odpowiedź na odezwę w „Kołokole“ — którą wyprawiłem wczoraj do Hyères pod twoim adresem. Żałuję, że nie mogę tobie posłać „Dziennika Poznańskiego“, w którym są wyjątki ze świeżo wyszłej w Lipsku broszury A. Koszelewa, p. t.: Какой исходъ для Россіи изъ нынѣшняго ея положенія? Broszura ta dobrze pomyślana i napisana z godnością i spokojem. Autor dał dowód niepospolitej odwagi cywilnej — bo pomimo tego że mieszka w Petersburgu, nie wahał się podpisać na książce, wydanej za granicą. Przewyborny rozdział z niej o Biurokracyi umieścił „Dziennik Poznański“. Arcyciekawe mają być w konkluzyi dezyderata. Oczywiście o b s z c z a j a d u m a z c a r e m — zreformować mają Rossyę i t. p.

Delegatom z kraju nie powodzi się wciąż po staremu. Podjęli bo się rzeczy niepodobnej — to jest skojarzenia w Komitecie naczelnym wszystkich przywódzców stronnictw skrajnych emigracyjnych. Pięć czy sześć już kombinacyi spełzło jedna po drugiej. Szkoda czasu i atłasu. Obawiam się, aby się nie skończyło wszystko

na wielkiem zgorszeniu — i nie daj Boże, na skompromitowaniu wielu patryotów pod rządem moskiewskim — boć delegatów zna cały Paryż po nazwisku a przez nich, jak po nici, można dojść do kłębka. Najgorzej, że ci panowie nie dają pieniędzy przywiezionych na instytucye paryskie i szkołę wojskową we Włoszech — i tem samem jątrzą niskie namiętności i jątrzą także prawdziwie głodnych. Musiał ci o całej tej sprawie opowiadać p. Jan Zamojski. Gutry wlazł niepotrzebnie w to błoto.

Wysocki wrócił onegdaj. Skończył pomyślnie rzeczy w Turynie. Mierosławski i Lubomirski na zawsze wobec Ratazzego zrzekli się zwierzchnictwa nad szkołą. Rząd obiecał koszary w Novi i 3.000 miesięcznie. Wysocki urządza stąd administracyę szkoły i wysyła Fijałkowskiego na dyrektora, a Waligórskiego i Czapskiego na profesorów. Szkoda, że Jenerał dla chleba musi mieszkać w Paryżu. Widziałem się z nim wczoraj i obaczę się dzisiaj. Wiesz podobno, że młodzież i mnie zaprosiła do opieki nad szkołą. Oczywiście opieka ta względna i podrzędna z dużymi chłopami. Przyjąłbym chętnie publiczną kontrolę nad funduszami szkoły, ale żadną miarą nie mogę być odpowiedzialnym za postępowanie pupillów naukowe, moralne i polityczne. Brzemię to leży na Wysockim i Radzie profesorskiej. Kilku kolegom moim, t. j. Ordędze. Elżanowskiemu, Milowiczowi i samemu Wysockiemu chce się komitetować, rozpisywać odezwy i t. p., co wszystko mi nie do smaku. Idę temu przeszkodzić. Największy kłopot o pieniądze. Utrzymanie stu uczniów, opłata nauczycieli i sług, kupno kilku koni dla nauki kawalerzystów i t. d. i t. d., wymagają znaczniejszych funduszów, niż daje Rząd włoski. Nie można wątpić, że patryoci z kraju nadeszlą zasiłki, ale dopiero za parę miesięcy, a tym czasem skąd wziąść na potrzeby nagłe i bieżące? Elżanowski złożone u siebie kilkanaście tysięcy już oddał Wysockiemu, który i na mnie nalega, abym zasilił kasę moim depozytem. Wymawiam się dotąd, że nie mam rozkazu od dawców. Z ręką jednak na sumieniu czuję, że depozyt mój należy się dla szkoły wojskowej, że pierwotnie na ten cel przeznaczał je kraj Mierosławskiemu. Z listu twego potakujesz nam, ale uspokój mnie ostatecznie i powiedz, czy bez skrupułów żadnych powinienem je wypłacić. Zresztą rychlej czy później obaczysz się z datkującymi krajowcami — to trzeba, abyś mnie usprawiedliwił przed nimi. Przed wyjazdem z Hyères, rzuć jeszcze do mnie słóweczko na pocztę o tym interesie nie cierpiącym zwłoki. Wątpię, abyś w Genui zastał już szkołę — ale będzie blisko stamtąd w okolicy — i godzi się ją nawiedzić. Znaj-

dziesz tam profesora Padlewskiego, znajomego zapewnie z Petersburga. Światły i porządny to oficer. Widź się takoż z młodym Szachowskim, który wielki wpływ na kolegów wywiera hartem swego charakteru i płomiennym patryotyzmem. Podczas manifestacyj warszawskich, Szachowski na Starym Mieście używał popularności Kilińskiego. Poznaj się takoż z Suzinem, urodzonym w Oremburgu, z Tatarki, i który nie dawno dowiedział się, że jest Polakiem. Jest tam Raczyński, zdolny poeta, ale niesłychanie zarozumiały, ma się za nowego Zygmunta Krasińskiego.

Zdaje się, kochany Bronisławie, że wyczerpałem już wszystkie stąd nowinki ciekawe i nieciekawe. O losach Komitetu politycznego i Komitecików partyjek naszych doniosę ci, jak żądasz, do Florencyi — a najpewniej do Meran. Spodziewam się, że z miejsca przyszlesz mi zaraz swój adres. Szkoda, że wydrukowana 1-sza lista przystępujących do Stowarzyszenia podatkowego jeszcze nie odciśniona w prasie. Zbudowałbyś się z niej i ubawił. Obok księżnej Anny, Mierosławski Ludwik, Klaczko i Kalinka, mozajka imion, które się nigdzie obok siebie nie znajdą. Jeśli mi Królikowski przyszle listę dziś wieczór, wyprawię ją natychmiast do Józefa — i może cię jeszcze dogoni w Hyères. Królikowski wierzy, że wszystkie pieniądze z kraju i emigracyi skoncentrują się w naszej kasie. Dotychczas atoli mamy jeno 8 czy 9.000 fr. O Edwardzie wieści ni słychu.

Zmęczyłem się przy stoliku — to kończę pisanie moje. Przyciskam cię, Bronisławie, do serca po bratersku. Bóg z tobą wszędzie, na podróży, w Tyrolu i w chacie litewskiej. Bóg z tobą — i opieka Maryi i Aniołów Jej do końca dni.

Twój tułaczy brat

*Bohdan.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

# RZECZ O UCZUCIACH LUDZKICH.

(Ciąg dalszy).

## VII.

### Uczucia tyczące się objawów i istoty woli.

Gdy człowiek celu jakiegoś zapragnie a rozważywszy rozumem środki, mogące doprowadzić do dopięcia tego celu, postanowi postępować w sposób rozumem wskazany, bez względu na przykrość, towarzyszącą czynnościom zamierzonym, dokonuje aktu woli, mającego umożliwić osiągnięcie ostatecznie pożądanego dobra. Dobro upragnione może być zmysłowem używaniem, albo choćby tylko nagromadzeniem środków, zapewniających możność nabycia zmysłowych rozkoszy, a wtedy wola obiera sobie często długą kolej czynności przykrych, ale wiodących do celu, jakiemi bywają najrozmaitsze fizyczne wysiłki, wystawienie ciała na szkodliwe wpływy, natężenie przy długoletniej zawodowej nauce, albo nawet podjęcie się czynów wstrętnych lub hańbiących. Może także chodzić o nabycie wiedzy, albo oglądanie rzeczy pięknych, i dopięcie takich intelektualnych rozkoszy domaga się częstokroć nie mniejszych ofiar i trudów; bywa jednak często, że trudy, podjęte dla osiągnięcia rozumowych korzyści, są ustawicznie połączone z rozumową rozkoszą i akt woli zależy w takich razach na postanowieniu, iż się zniesie przykrości, od intelektualnej pracy nierozłączne, chcąc równocześnie używać rozszerzenia wiedzy — i to przy świadomości tego, iż może zamierzone ostatecznie poznanie nie da się osiągnąć. Wtedy sama praca umysłowa wydaje się tak przyjemną, iż człowiek do niej przystępuje, lekceważąc nieuniknione rozumu utrudzenie i największe, towarzyszące przykrości zmysłowe. Rzadziej bywa jakaś rozkosz zmysłowa tak pożądana, że ją obieramy, nie

zważając na towarzyszące jej dolegliwości; częściej znajdujemy upodobanie w samem tylko gromadzeniu środków, do rozkoszy wiodących, i postanowimy te środki gromadzić, bez względu na zmysłowe i duchowe przykrości i bez nadziei jakiejkolwiek zmysłowej rozkoszy, której użycie, choćby najpóźniejsze, pozbawi nas cząstki skarbów nagromadzonych, części osiągniętego stanowiska. Trafia się wreszcie, że ktoś postanowi w sobie wydoskonalić pożądany dlań uczuciowy kierunek, i że w tym celu wystawia się na najrozmaitsze boleśne próby, rad, jeśli po tej drodze doznaje pociechy, ze wzmagającego się istotnie pożądanego uczucia.

Wolą zatem nazywamy moc duchową powzięcia rozumnych postanowień — i ludziom, a nie zwierzętom, przypisujemy wolę; przyznajemy natomiast zwierzętom zarówno z ludźmi zachcianki, popędy i chuci zmysłowe. U dzieci wyrabia się wola dopiero z czasem, równorzędnie z rozumem. Wolność woli, o ile nie jest rzeczą metafizyczną, o której tu rozprawiać nie myślę, zależy na panowaniu woli nad popędami, chuciami, zachceniami i namiętnościami; nazywa się także siłą woli. Człowiek, który kieruje się tylko zachceniami, chuciami i namiętnością, zwie się nikczemnikiem. O ile nie jest pozbawiony rozumu, miewa rozumne zamiary i postanowienia, ale odstępuje od nich przy każdej trudności i każdej pokusie, doznając przy tem zawsze przykrości, nieodłącznej od zaniechania powziętych postanowień; nikt mu ufać nie może i sam sobie nie ufa, a doznaje dotkliwego wstydu na wspomnienie swojej słabości, miewa ciągle żal do samego siebie za to, że działa wbrew przekonaniu i powinności. Słaby człowiek usiłuje wzmocnić swoją wolę, to jest usiłuje charakter w sobie wytworzyć, pożąda poprawy; usiłowania wytrwałe w tej mierze, bywają skutkiem uwieńczone, i wtedy radość sprawiają; nikczemnikiem naprawdę staje się ten, który zrozpaczał o możności nabycia silniejszej woli; taki człowiek sam siebie potępił, sam sobą gardzi.

Skojarzenia wyobrażeń i popędy pożądliwe u zwierząt bywają jedynie środkami, służącymi do zaspokojenia potrzeb zmysłowych; rozum i wola u człowieka ku temu samemu częstokroć służą celowi, a wolę wytężamy także, chcąc dogodzić rozumowym, albo uczuciowym potrzebom. Widzieliśmy jednak, że rozwój rozumu i uczucia bywa dla człowieka celem, i to samo twierdzimy o woli. Wszelkie pokonanie albo osłabienie naszej woli wzrusza nas boleśnie, cieszy nas każde woli zwycięstwo, raduje odczute woli wzmocnienie. Zabawą miłą bywa zatem umyślnie poszukanych trudności pokonywanie; rozkoszą, budzącą śmiech głośny, bywa

pokonanie przeciwnika, a pożądamy mocy narzucania naszej woli drugim, czyto zapomocą postrachu lub podstępu, czyto zapomocą milszej namowy, przykładu, przyjacielskiego wpływu. Wyższe, trwalsze nabywamy zadowolenie, ćwicząc i doskonaląc wolę: człowiek, który w sobie silny i stały wyrobi charakter, ceni sobie to duchowe męstwo bardziej od wszystkich zewnętrznych korzyści, nie wyrzekłby się go za wszystkie skarby i królestwa świata, raczej poniesie śmierć wśród męczarni, niżliby się miał pozbyć cnoty.

Miejscerzeczywistej siły woli zajmuje nieraz zaciekłość, upór, namiętna chęć zadośćuczynienia każdej żądzy, postawienia na swojem, byle na swojem postawić; najzwyczajniejszą bywa u ludzi majętnych, albo przynajmniej zupełnie niezawisłych, którzy sobie wyższego, trudniejszego zadania w życiu nie postawili; wyradza się u mężczyzn zazwyczaj w dziwactwo, u kobiet w kaprysy, choć i tu zamieniają się nieraz role płci obojga tak, że kapryśni mężczyźni, dziwaczne bywają kobiety. — Przykrzejszą jeszcze dla drugich formą namiętnej żądzy postawienia na swojem bywa despotyzm domowy głowy rodziny albo chlebodawcy, despotyzm polityczny naczelnika państwa, i najgorszy ze wszystkich despotyzm przełożonego nad drugimi sługi albo urzędnika; wspólnem wszelkiego despotyzmu znamieniem, że racyą wydanych rozkazów bywa nie dobro ogółu, albo choćby tylko własnej potęgi zmożenie, tylko kapryśna lub dziwaczna chęć postawienia na swojem, upokarzająca i obrażająca wtedy nawet, kiedy dobrodziejstwa świadczy. Despotyzmowi a nawet rządom rozumnym przeciwstawia się częstokroć upór podwładnych, przezwany osobistą godnością albo miłością wolności, a mieniący hańbą upokarzającą wdzięczność za doznane dobrodziejstwo, cnotą każdy czyn, przeciwny rozkazom władzy, dopatrujący się obywatelskiej zasługi w słowach, które przełożonym uwłaczają, w podstępach i kłamstwach, które ich w błąd wprowadzają. Gdy słabość albo błędy władzy takiego buntowniczego usposobienia zwycięstwo sprowadzą, najgorszy częstokroć wystąpi despotyzm u zwycięskich przywódców ludu, którzy niegdyś najgłośniej o wolności prawili. Wszelkie formy uporu chwilowe tylko dają zadowolenie, częściej rodzą dotkliwą boleść, objawiającą się bezsilnym albo zapamiętałym gniewem, ilekroć człowiek zaciekły na nieprzemożoną trudność napotka; rodzą u niego nieraz zapamiętałe zaślepienie tak, że się naraża, goniąc za mrzonką, na rzeczywiste nieszczęścia — albo na upokarzającą śmieszność.

Inni ludzie, mając upodobanie albo talent do pewnej czynności, ograniczają swoje chęci i szukają zwycięstw woli na ściśle ograniczonem polu, ćwicząc się póty, póki nie nabędą w obranym kierunku tak wielkiej zawodowej dzielności, że skutek ich usiłowań bywa prawie niechybnym. Zręczność, tak osiągnięta, zapewnia im bezprzecznie życiowe powodzenie, daje chleb a nawet dostatki, rozgłos a nawet sławę; ale już same nabywanie tej zręczności sprawia rozkosz, połączoną z pokonywaniem a wreszcie z zupełnem prawie unicestwieniem trudności, tak dalece, że bywają dyletanci, którzy się ćwiczą w trudnym przemysłowym, naukowym, artystycznym albo rycerskim zawodzie, nie szukając przy tem ani zarobku, ani chwały, a niepospolitą radość sprawia łatwe pokonywanie trudności dla innych niepokonanych, umożliwione przez długoletnie a wytrwałe ćwiczenie.

Kto wolę statecznie zwróci do osiągnięcia jednego celu, do spełnienia trudnego zamiaru, ten miewa często zdumiewające powodzenie, nazywa się nieraz wielkim człowiekiem, wtedy zwłaszcza, kiedy spełnienie jego zamiaru wpływa na los całej ludzkości, albo mnogich przynajmniej rzesz. Siła jego woli objawia się nie tylko w niezmordowanej wytrwałości i nieustannej pilności, ale także i może przedewszystkiem w bezwzględności, z którą do celu dąży. Wielcy ludzie bywają często kapryśnie despotyczni w rzeczach, które się nie tyczą wielkiego ich przedsięwzięcia, i okazują w tych tak zwanych prywatnych sprawach zupełny brak charakteru, zasługujący na miano nikczemności; w takich wypadkach folgują zresztą wytężonej woli, a przenoszą do spraw obojętnych dla powziętego zamiaru ową bezwzględność wobec drugich, do której zresztą przywykli, unikając tylko wśród chwilowego wczasu bezwzględności wobec siebie, bez której nie mogliby być wielkimi. Przy spełnianiu właściwego swego życiowego zadania, odmawiają sobie i wczasu i wygody, narażają się na największe przykrości, tłumią nielitościwie wszelkie chęci swoje, wyrzekają się zwyczajnego ludzkiego szczęścia, rozumowych i uczuciowych rozkoszy, a bywają wobec drugich równie i nawet bardziej nielitościwymi niż wobec siebie samych, lekceważąc ze wszystkiem obce życie i szczęście, gotowi bez zawahania się najsroższe nieszczęścia na całe sprowadzić narody. Żyją tedy wśród ustawicznego a srogiego utrapienia, które jednak znika w ich oczach wobec radości, jaką sprawia powodzenie póty, póki nagłe i nieprzewidziane losów zrządzenie nie sprowadzi dla nich tem boleśniejszej klęski, której

prawie żaden wielki człowiek uniknąć nie zdoła, jeśli się wcześnie dalszych tryumfów nie wyrzeknie.

Biegłość zawodową okupuje się szkodą, poniesioną w innych dziedzinach życia; największa napotyka na nieprzemożone trudności, bywa lada przypadkiem wniwecz obróconą. Wielki człowiek wydaje się szaleńcem, poświęcającym swoje i obce szczęście dla uparcie powziętej mrzonki a narażającym się ostatecznie na prawie nieuniknione nieszczęście. Bezrozum dziwaków, ludzi kapryśnych i despotów dla wszystkich bywa widocznym. Rozsądny człowiek nie oddaje się bez potrzeby pracy nad jednostronną biegłością i broni się przed namiętnem zamiłowaniem; nie stawia sobie trudnych do osiągnięcia celów, gwoli zadowolenia samowoli i nasycenia ambicyi; nie szuka rzeczy nadzwyczajnych, wie, że pozornie wielka pomyślność, że posiadanie bogactw, władzy lub sławy nie warte trudu, którym się te rzeczy zdobywa, jeszcze bardziej nie warte występnego nieraz przytłumienia przyrodzonych uczuć i pragnień, bez którego tych domniemanych korzyści osiągnąć nie podobna; wie, że bogactwa, władza i sława wcale od trosk i nieszczęść życia nie chronią, a przeciwnie mnożą je raczej; stawia sobie tedy granice zachcianek i pożądań, liczy się z koniecznościami życia, głową muru nie przebija, szuka miernego a stałego szczęścia; w tym celu opanowuje swoje chuci i zachcianki, pożądania poddaje pod sąd i moc rozumu i nabywa to, co wielu pogan cnotą nazywało — staje się tem, co świat porządnym człowiekiem być mieni, a cieszy się spokojnie ładem, który sprawuje we własnej duszy, zwycięstwem rozumnej woli nad wszelką żądzą, nad ślepymi popędami.

Nawet najrozsądniejszy nieszczęść i zawodów nie uniknie. Mędrzec postanowi zatem nie pożądać zgoła niczego, oprócz tego, co w jego leży mocy, i nie dbać o wypadki zewnętrzne, cieszyć się jedynie panowaniem rozumnej woli, we własnej duszy silnie utwierdzonem. W takim nastroju staje się człowiek stoikiem, samolubem górnej obojętności, a jeśli mu się uda wszelkich namiętności opętanie zupełne, czuje, że człowiek duchowy wzniósł się wolą i ponad człowieka zmysłowego i nawet sam ponad siebie, dumnej choć zimnej zażywa rozkoszy, tak silnej, że się aż we wzruszenie zmienić zdolna, doznaje uczucia wzniosłego *sublime*. To jego wyniesienie bywa jednak bezcelowo samolubne; wola, obracając się w błędnem kole, rodzi wreszcie czczość i zniechęcenie, nudzi się, słabnie, upada.

Wielki charakter, bardziej od wielkiego człowieka podziwu godny, nie uprawia jednostronnie samej tylko woli, lecz usiłuje całą duszę rozwinąć w rozkosznej pełni; nie zużywa siły woli na same tylko uczuć tłumienie, dostrzegłszy, że tak samo od niego zależy kierowanie uczuciami, dopięcie rozumowej albo uczuciowej, duchowej rozkoszy, nie szukającej nadzwyczajnych wzruszeń, umiejącej się cieszyć tem, co losy życia sprowadzą, podziwiać we wszystkiem piękność, trwać przy prawdzie, kochać zawsze równo i sprawiedliwie. Czasem obierze sobie wielki charakter cel naukowy, religijny, praktyczny, w którym urzeczywistni swoją miłość prawdy, piękna albo ludzkości, i poświęcając się dla tego celu, staje się wielkim człowiekiem, wzniosłym na prawdę, nie dbającym o powodzenie a czyniącym wszystko, co godziwie powodzenie zapewnić może, sprawiedliwym dla drugich a gotowym do wszystkich osobistych poświęceń. Częściej trwa tylko przytem, co mu się słusznem wydaje, działa zawsze tak, jak mu przekonanie i miłość nakazują, nagrodzony wśród wszystkich niepowodzeń i klęsk żywota wzniosłą rozkoszą świadomie spełnionego obowiązku, potęgującą się i dochodzącą do szczytu, ilekroć trzeba poświęcić szczęście albo dać życie dla świadectwa prawdzie, albo dla miłości narodu lub ludzkości.

Ale niestety, złudzeniem bywa zbyt często przekonanie, że życie naszej duszy, że nakłonienie naszej woli od nas samych zależne; przychodzą na nas częstokroć wcale nie największe próby, przychodzą chwile słabości, gwałtowne, subtelne, albo powtarzające się często pokusy, wobec których łamie się lub ugina wzniośle wyprężona wola; często ulegamy ze wstydem, mimo najusilniejszych postanowień przyrodzonej, osobistej skłonności, a wielki charakter boleje, gdy w małej rzeczy odstąpi od wzniosłej drogi obowiązku, upokorzony chwilowem zachcianki zwycięstwem i gotów zwątpić w rzeczywistość panowania górnej woli nad duszą. W tej ułomności ginie stoicyzm zawstydzony, a starożytni przyznawali, że prawdziwego mędrca nie masz na świecie. Nie chcąc ciągłych a boleśnych woli porażek, uciekali się tedy i uciekają najlepsi pośród ludzi na mistyczne drogi abnegacyi, w której chcą ratować górne woli panowanie, zrzekając się osobistej woli ze wszystkiem.

Asceta wyrzeka się wszystkich ziemskich nadziei i rozkoszy, poddaje się rozkazom przełożonego, którego słucha bezwzględnie, chcąc tem skuteczniej stłumić w sobie przyrodzone popędy, przymusza siebie do życia przykrego, zadaje sobie fizyczne boleści: unika wreszcie ludzi i nawet widoków natury, przytępia zmysły,

tłumi myśl, znajduje spokój grobowy, umartwia się ze wszystkiem, aż dostąpi zupełnej duchowej ciszy, ciągłej bezmyślności, którą w Azyi przezwano Nirwaną. Kwietysta przeciwnie, zdaje się ze wszystkiem na wszechmoc Bożą czy też na koleje przyrody, przekonany, że wolność woli marnem jest złudzeniem, i szuka spokoju i szczęścia w tem jedynie przekonaniu o nicestwie własnej duchowej indywidualności, puszczając przyrodzonym popędom wolne wodze, nie borykając się z nimi, nie wyrzucając sobie czynów, nad którymi, nie wierzy, aby mógł wolą władnąć; czasem żywot rozpasany kryje się pod pozorem kwietyzmu; zazwyczaj popada kwietysta w pokój bierny i cieszy się beznamiętną ciszą ducha. Pobożny wreszcie chrześcianin, nie przestając do duchowej dążyć doskonałości, ufa cudownej łasce Boga, która to sprawi, czemu ułomna człowiecza wola podołać nie zdolna, i pełen religijnych uniesień, jednoczy się z wolą Bożą i raduje się wzniosłem uczuciem, że cudownie łaską wzniósł się w nieskończoność, ponad marną ludzką naturę. Wszyscy mistycy znajdują pokój rozkoszny, zamieniający się czasem w najpotężniejsze wzruszenie, podobne do zachwytu estetycznego, w którym życie całe zwierzęce ustaje prawie; tylko że tu, w zachwycie mistycznym oczy także gasną, oddech ustaje, człowiek żywy popada jakby w letarg.

Różnymi sposobami służy sztuka uciechom woli. Człowiek, poczuwający się do jedności z rodzajem ludzkim, rad widzieć piętno ludzkiej samowoli nałożone na przyrodę; podziwia bezkształtne nawet dzieła ludzkie, byle były ogromne jak egipskie piramidy, most w Nowym Yorku, albo wieża Eiffel; cieszy się widokiem ogrodów francuskich i miast regularnych, witając dowód ludzkiej wszechmocy w geometrycznej, niemalowniczej, nudnej a kolosalnej jednostajności; gotów był niezbyt dawno w Europie zmuszać drzewa do tego, aby pozbywszy się przyrodzonych kształtów, udawały postać zwierzęcą; obcina koniom ogony, psom ogony i uszy, zapomocą dziwactw mody zmienia w Europie postać ludzką, a u ludów dzikich kaleczy samowolnie twarz, pokrywa ciało ranami, odcina sobie palce, gwałtem zmienia kształt dziecięcej głowy. Gmin gapi się z rozkoszą na sztuki akrobatów, podziwiając przedewszystkiem samowolnie przezwyciężoną trudność; wykształceni podziwiają, i to nieraz wyłącznie, w dziełach sztuki, biegłość, którą techniczne pokonano trudności; obojętnym dla wielu przedmiot obrazu, byle malarz dowcipnie wywołał złudzenie; podziwia wielu w rzeźbie przedewszystkiem kamień, udający koronkę, albo przeźroczyste tkaniny, w muzyce bajeczną biegłość w wykonaniu karkołomnych

utworów, a bywają krytycy, dla których poemat wart tyle, ile warte przezwyciężone szczęśliwie trudności, samowolnie przez sztuczną prozodyę napiętrzone.

Skoro poeta zdoła w nas jakąkolwiek obudzić sympatyę dla stworzonej przez siebie postaci, cieszymy się powodzeniem bohatera, doznając przytem uciech woli. Słuchacz epopei i czytelnik powieści chłoną z rozkoszą opowiadanie o wojennych przygodach, o ile przytem bohater bajeczne zwalcza trudności; młodzież lubi opisy podróży, nie tylko dlatego, że nasycają ciekawość a pobudzają wyobraźnię, ale także dlatego, że w takich opisach popadają podróżnicy w różne niebezpieczeństwa, z których się wydobywają zapomocą zwycięskich wysiłków woli, a zwycięstwa wytrwałej woli rozbitków cieszą głównie w opowieściach, prawiących o wyspach bezludnych. Także i komedyopisarz cieszy widzów sprytem albo śmiałością swoich postaci i cały teatr do głośnego pobudza śmiechu niespodzianem udaniem się śmiałego figla.

Poezya liryczna wprost zachęca do wytrwania przy powziętem postanowieniu, albo do zahartowania woli; może także uderzyć o mistyczne struny i pobudzając religijne uczucia, unosić ku ascezie, kwietyzmowi albo chrześciańskiej ufności w Bogu, a bywa wzniosłą w miarę tego, jak wolę sławi, choćby przeciwstawiając woli bóstwa zuchwałą wolę człowieczą. Przedmiotem tragedyi bywa odtworzenie bohaterów o tak silnej i nieugiętej woli, że nieszczęście i śmierć nie zdołają ich charakteru złamać, i taka tragedya bywa wzniosłą, zarówno z tą, która mistyczne budzi uczucia grozą nieszczęść, przez wszechmoc sprowadzonych. Wszystko, co wogóle w malarstwie i rzeźbie, w budownictwie i przyrodzie grozę budzi, bywa zarazem wzniosłem; a wzniosłym przedewszystkiem widok postaci, które nam się wydają tak doskonałemi, iż muszą być nieugięte; wzniosłą bywa nawet kolumna, nieugięcie podpierająca gmach przez długie stulecia, wydaje nam się bowiem nieugiętej woli symbolem. Muzyka grozą czasem przemawia, czasem wprost do męstwa i bohaterstwa nastraja; zawsze budząc sympatyę dla istot nieokreślonych, sympatyę powszechną, czyni nas zdolniejszymi do współczuwania z postaciami, stworzonemi przez inne sztuki, wrażliwszymi dla klęsk i zwycięstw obcej woli.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

# DAWNE ZABYTKI DZIEJOWE
# NOWEGO SĄCZA.

(Ciąg dalszy).

## Rozdział VI.

### Zniesienie Norbertanów. — OO. Jezuici.

Ostatnim opatem sandeckim był Jan Paweł Lassota Szczkowski [1]). Był to prawdziwy ojciec i opiekun klasztoru. Fundusze klasztorne swoją ojcowizną bogatą i kapitałami, zapisanymi przez różnych dobrodziejów, znacznie pomnożył. W r. 1747 odnowił cały kościół, a w lat 8 potem (1755) dźwignął z fundamentów dzwonicę, której dotąd brakowało, i zegarem bijącym zaopatrzył, jak świadczy dokument, znaleziony w gałce wieżowej 1889 r.[2]). Zakrystyę także o połowę rozszerzył, przez co jednak kościół stracił wiele na swej okazałości wskutek zamurowania 3 okien gotyckich za wielkim ołtarzem, do którego ściany właśnie przylega zakrystya. Cenną po nim pamiątką są po dziś dzień w kościele piękne odrzwia marmurowe czarne z żyłkami żółtemi, i z odpowiednim zdobnym napisem, wieńczącym jego pamięć:

[1]) Jego duży portret przechowuje się dotąd w domu jezuickim w Sączu. — Ks. Ant. Kraszewski, a za nim ks. Wład. Knapiński bałamutnie go piszą: Lassotyszczkowski.

[2]) Ad majorem Dei gloriam aedificata haec turris et perfecta A. D. 1755 die 28. augusti, sub regimine Reverendissimi Domini Joannis Pauli Lassota Szczkowski, Abbatis loci et Visitatoris Generalis, et praeterea praesentibus Patribus: Roberto Rychter, Priore, Adalberto Pankowski, Adamo Szeligowicz, Antonio Paszyński, Ambrosio Bartmanowicz, Bartholomaeo Stańkowski, Casimiro Roczek, Eustachio Słowikowski, Godefrido Kalkus, Gaspare Jastrzębski, Hermano Słowiński, Michaele Sowiński. W czasie pożaru 17. kwietnia 1894 r. spłonęła wieża a z nią powyższy dokument.

*Ultimum Ecclesiae Ornamentum posuit*
*Joannes Paulus Lassota*
*Abbas XVIII Sandecensis* [1])
*Dum ivit ad Monumentum*
*A. D. 1781 die 25 Augusti*
*Oremus pro eo.*

Zwłoki jego złożono w krypcie pod wielkim ołtarzem, obok innych zmarłych opatów. Z jego śmiercią kończy się istnienie Norbertanów sandeckich. Była to bowiem epoka rządów cesarza Józefa II. (1780—1790), i jego smutnej pamięci „józefińskiego ustawodawstwa", polegającego na tem, że biskupów, księży, seminarya, zakony, majątki i sprawy kościelne, aż do oznaczenia taksy od chrztów i pogrzebów i ilości świec, które się palić mają na ołtarzu, poddawało pod opiekę i zwierzchność władzy świeckiej, a papieżowi zostawiało tylko nominalną władzę, którą jeszcze nawet nie inaczej mógł wykonywać, jak tylko za pośrednictwem cesarskiego rządu. Skrępowany w ten sposób Kościół, nie mógł rozwinąć swej błogiej działalności. Upadły bractwa religijne, ustały wspaniałe nabożeństwa kościelne. Ograniczono się na śpiewanej przy 6 świecach sumie, krótkiem kazaniu, niedługich nieszporach i corocznej spowiedzi, słowem przestawano na formie nieomal urzędowej, nie troszcząc się o ducha i treść.

Z klasztorami było gorzej jeszcze. Duchem reformatorskim owiany Józef II. nazywał zakony, zwłaszcza kontemplacyjne czyli chórowe, próżniaczymi zakonami, zabronił przeto zakonnikom znosić się ze swymi jenerałami i papieżem, natomiast ustanowił prowincyałów zależnych od biskupa i cesarskiego rządu: zabronił przyjmować nowicyuszów przed 24 rokiem ukończonym: zabronił urządzać nowicyaty i klasztory według statutów reguły — słowem zabronił wszystkiego, co stanowiło treść życia zakonnego [2]). A w dodatku jednym zamachem pióra zniósł w swej monarchii 738 klasztorów, a pomiędzy nimi w Galicyi 68; około 50.000 osób zakonnych obojga płci rozprószył po świecie, a dobra ich ruchome i nieruchome zabrał na skarb państwa [3]).

[1]) Ta cyfra nie jest zupełnie zgodną z prawdą. Zob. w Dodatkach szereg opatów sandeckich.

[2]) Seb. Brunner: Die theologische Dienerschaft am Hofe Josephs II. Wien 1868. — Ritter: Joseph II. und seine kirchl. Reformen. Regensburg 1867. — Wendrinsky: Kaiser Josef II. Wien 1880, p. 161—162.

[3]) Holzwarth: Weltgeschichte. T. VI. 533. Mainz 1880.

W Nowym Sączu dekret kasacyjny dosięgnął najprzód OO. Norbertanów; był to bowiem bogato uposażony klasztor, a Józefowi II. chodziło przedewszystkiem o skasowanie bogatszych klasztorów i opactw. Dnia 15. grudnia 1781 r. zażądano od Norbertanów szczegółowego inwentarza wszystkich ruchomości i nieruchomości klasztornych, oraz przywilejów, wrzekomo w celu uzyskania zatwierdzenia [1]) tychże przez Józefa II. Spisali je dwaj Ojcowie: Antoni Paszyński i Kazimierz Roczek, i doręczyli Rządowi [2]). Podług tego inwentarza stan opactwa z klasztorem tak się przedstawiał w przededniu kasaty:

Kościół pod wezwaniem św. Ducha, dachówką kryty i dobrze sklepiony, wieżyczką na dachu czyli sygnaturką przyozdobiony, mieści w sobie pięć ołtarzy, a szósty w kaplicy św. Anny.

**Ołtarz wielki Matki Boskiej Pocieszenia** o czterech korynckich filarach, niebiesko lakierowanych, z wyzłoconymi kapitelami i innemi rzeźbami. Obraz Maryi w wyzłoconych ramach, na drzewie malowany, zdobi srebrna sukienka, dwie wyzłocone korony 8 kamieniami wysadzane, berło srebrne wyzłocone, wotów srebrnych na łańcuszkach 24, korali rzędów 12 z 12 rubinami, pierścionek srebrny wyzłocony, para złotych kulczyków z 12 kosztownymi rubinami i perłą, paciorków koralowych na nici powleczonych 9, i para kulczyków z czeskich kamieni. Na zasuwie obraz św. Hermana Józefa: na ołtarzu 2 okrągłe srebrne relikwiarze, mniejszych relikwiarzy wyzłoconych 4, i krzyż miedziany wyzłocony, z kamieniami błękitnymi.

**Ołtarz boczny pierwszy św. Norberta,** z obrazem na płótnie malowanym w pozłoconych ramach. Po bokach dwa korynckie filary czerwono lakierowane, z wyzłoconymi kapitelami.

**Ołtarz boczny drugi Ukrzyżowania,** z obrazem na płótnie malowanym w wyzłoconych ramach. Po bokach dwa korynckie filary czerwono lakierowane, z wyzłoconymi kapitelami. Około obrazu 6 miedzianych luster posrebrzanych, blizny na rękach i nogach srebrne, krzyż srebrny, wotów srebrnych 15, korona na głowie Chrystusa srebrna.

**Ołtarz boczny trzeci św. Urszuli,** z obrazem na płótnie malowanym w pozłoconych ramach. Po bokach dwa korynckie filary zielono lakierowane, z wyzłoconymi kapitelami.

---

[1]) Zob. na str. 65. notę 2.

[2]) Inventarium bonorum immobilium et mobilium ad Conventum Neo Sandecensem ordinis Praemonstratensis anno 1782 pertinentium.

DYREKCYA KASY OSZCZĘDN. MIASTA NOWEGO SĄCZA

**Ołtarz boczny czwarty św. Jana Nepomucena**, z obrazem na płótnie malowanym w wyzłoconych ramach. Po bokach dwa korynckie filary zielono lakierowane, z wyzłoconymi kapitelami. Około obrazu wotów srebrnych 6 i krzyżyk srebrny na piersiach.

**Ołtarz św. Anny w kaplicy brackiej** [1]), z obrazem św. Anny na drzewie malowanym w wyzłoconych ramach, na zasuwie obraz św. Jana, na płótnie malowany. Po bokach cztery korynckie filary niebiesko lakierowane z wyzłoconymi kapitelami. Na obrazie św. Anny srebrna sukienka, dwie korony srebrne wyzłocone z kamieniami, wotów srebrnych 5.

Ściany kościelne zdobią postaci 12 Apostołów, obraz Wieczerzy Pańskiej, Narodzenia Chrystusa, Sądu Ostatecznego, wielki portret Władysława Jagiełły, dwóch papieży z zakonu Norbertanów, i stacye drogi krzyżowej na płótnie w czarnych ramach. W prezbyteryum piękne stalle, ozdobione 18 obrazami z życia św. Norberta; w środku kościoła przy ścianie ambona; pod chórem 4 konfesyonały niebiesko i żółto malowane; na chórze organy i ławeczki dla śpiewaków i kapeli klasztornej.

Do kaplicy św. Anny przylega sklepiona zakrystya o dwóch oknach, zamykana żelaznemi drzwiami i żelaznemi u okien okiennicami. Przy ścianie ołtarzyk bracki św. Aniołów Stróżów [2]), z obrazem na płótnie malowanym; dwa konfesyonały i trzy obrazy Świętych.

Pomiędzy rozmaitymi aparatami kościelnymi wymienione są: Monstrancya srebrna pozłacana — 2 puszki do przechowywania

---

[1]) Arcybractwo św. Anny zostało wprowadzone do kościoła norbertańskiego w Nowym Sączu na mocy dyplomu Jana Demetriusza Solikowskiego, arcybiskupa lwowskiego († 1603 r.). Lecz ponieważ w czasie ogólnego pożaru miasta 1611 r. zgorzał ów dyplom, przeto na prośbę Jana z Zakliczyna Jordana, opata sandeckiego, wystawił nowy dyplom w Warszawie 24. marca 1615 r. Stanisław Mrozeus, kanonik warszawski i senior arcybractwa św. Anny. (Summarium privileg. f. 26—27). Miało także to bractwo swoje pobożne zapisy. Tak n. p. w r. 1633 Jerzy Kieszkowski i Stanisław Widz, starsi bracia, kwitują z odebranych 50 złp., zapisu Jana Łykawskiego. W r. 1636 Elżbieta Smolczyna zapisuje bractwu św. Anny u św. Ducha 14 złp. W r. 1637 Postrzygaczka wdowa bractwu św. Anny 5 złp.

[2]) Bractwo św. Aniołów Stróżów wprowadził tutaj 2. lipca 1631 ks. Marcin Gruszkowicz, św. teologii doktor, prowincyał OO. Paulinów, na prośbę O. Jana Cavatiusa, przeora norbertańskiego, i na życzenie Jerzego Stano, starosty grodowego sandeckiego. (Summarium privileg. f. 29—32).

Najśw. Sakramentu, srebrne wyzłocone — kielichów srebrnych wyzłoconych 11 — kluczyk do ciborium srebrny — 2 srebrne krzyże — lichtarzy srebrnych 5 — trzy srebrne lampy na łańcuszkach — dwa pastorały srebrne, jeden z nich z emaliowanym wizerunkiem św. Stanisława i św. Władysława, z wyzłoconymi promieniami i kamieniami — 4 złote łańcuchy opackie do noszenia krzyża na piersiach — 4 złote pierścienie wysadzane karniolem i topazem — ampułek srebrnych 3 pary — ciborium wyłożone srebrną blachą, a na niej kielich w promieniach złocistych — infuł opackich 6 — sandałów opackich do mszy pontyfikalnej jedwabnych, złotem i srebrem wyszywanych 12 — różnych ornatów 69 — kap 13 — lichtarzy cynowych 26 — umywalnia cynowa — 4 lustra — książek dla zakonników w stallach prezbyteryum 36 — mucetów 10 — rokietów 19. Krótko mówiąc: różnych rzeczy, do przyborów kościelnych należących, podaje inwentarz sztuk 782.

Dzwonica kościelna murowana, blachą kryta [1]); oprócz dwóch dzwonów: większego i mniejszego, mieści w sobie zegar [2]) o dwóch skazówkach i dwóch osobnych dzwonkach do bicia godzin i kwadransów.

Budynek klasztorny trójkątny, cały sklepiony, gontem pokryty. Dolny korytarz o 6 oknach; na dole spiżarnia o 2 oknach, kuchnia o 3 oknach, refektarz o 3 oknach; z niego wchód do kapitularza o jednem oknie. Górny korytarz o 12 oknach; na piętrze cel zakonnych 10, wspólnym ogrzewanych piecem, z wyjątkiem 3 cel o 2 oknach osobno opalanych. Biblioteka o 2 oknach, oratorium czyli kaplica domowa o jednem oknie — w niej ławki i obrazy Świętych.

Obok dzwonicy na zachód murowane opactwo, dziedzińcem od klasztoru przedzielone, składające się z 5 pokojów. Pierwszy

[1]) Dach ten blaszany z polecenia Rządu zrzucono w r. 1827 i zastąpiono innym, jak świadczy dokument, znaleziony w gałce miedzianej w r. 1889: „Der Kirchenthurm der Exnorbertaner Klosterkirche ist in dem Monate August 1827 neu gedeckt, und die bei Abtragung des alten Gehölzes darin vorgefundenen hier in einer blechenen Büchse vorhandenen Reliquien und Inschriften, wieder in dieselbe Büchse aufbewahrt, und in den gedachten Thurm wieder eingelegt worden. Neusandez den 22. August 1827. Bartholomaeus Janczy. parochus neosandecensis. Gadomski Kreishauptmann. Navratil Verwalter und Dominical Vorsteher der Exnorbertaner Kloster Güter".

[2]) Zegar ten kupiono w r. 1749 za 98 złp. — Widok kościoła i opactwa z r. 1782 zob. Szkic hist. str. 76.

pokój o 3 oknach zdobią opony *(peristromata)*, na ścianach porozwieszane — drugi pokój o 2 oknach — trzeci pokój o jednem oknie: podłoga w nich taflowa *(ex asseribus clotatis)* — czwarty pokoik ciemny — piąty pokój o 2 oknach gościnny. Pod opactwem podwójna piwnica: na wino i piwo; na dziedzińcu studnia, grządki kwiatów i kilka drzew.

Pomiędzy sprzętami opackimi inwentarz wymienia: Noży o srebrnych trzonkach różnej formy 14 — łyżek srebrnych większych i mniejszych 30 — srebrnych świeczników 4 — stołków zielonego koloru 12 — stołków czerwoną skórą obitych 12 — kieliszków pozłacanych 18 — flaszek pozłacanych 4 — talerzów porcelanowych 36 — talerzów cynowych 17 — dzbanów cynowych 12 — półmisków cynowych 33 — czarek do picia 63 — i dwa zegary. Cały sprzęt opacki i klasztorny składa się z 564 rozmaitych sztuk.

Od opactwa na północ stoją budynki klasztorne, jako to: stajnie[1]) na konie i woły; gorzelnia; śpichlerz[2]); wozownia, w której między innemi kareta opacka 6-konna; hospitium czyli pokoje gościnne; studnia; oficyny dla służby; piwnice na jarzyny i stolarnia. Wszystkie te budynki murowane i gontem kryte, a dokoła murem obwiedzione.

Na wschód od klasztoru i kościoła ogród, od strony rzeki Kamienicy opasany fortecznym murem; w pośrodku studnia kamieniem okrągło ocembrowana. Mur ogrodowy łączy się z murem cmentarnym zapomocą bramy murowanej, na szczycie której kamienna postać św. Norberta w naturalnej wielkości. W murze cmentarnym stacye drogi krzyżowej[3]) na ścianie w niszach malowane. Na środku cmentarza statua Matki Boskiej, liliami dokoła porosła.

Do cmentarza przytyka szpital ubogich murowany[4]), dachówką kryty, składający się z dwóch dużych izb, sieni, pokoju

[1]) Te stajnie zbudowano w r. 1751 na placu, który w r. 1714 darował magistrat ks. opatowi, Kazimierzowi Sowińskiemu. Summar. privileg. f. 54—55.

[2]) Śpichlerz stanął na miejscu drewnianego domu, który żyd sandecki „infidelis Habus", darował klasztorowi w r. 1730. Summar. privileg. f. 55—57.

[3]) Stacye drogi krzyżowej zaprowadził 14. sierpnia 1743 r. ks. Stefan Horodyński, prowincyał OO. Reformatów, na prośbę Jana Wittana, opata sandeckiego. Summarium privileg. f. 103—104.

[4]) Stał on na tem samem miejscu aż do ostatniego pożaru miasta w r. 1894, poczem rozebrano go do szczętu i postawiono nowy pię-

i podwójnej piwnicy. Mieszka w nim: Michał Szablak mający lat 73 — Tomasz Paszyński, były burmistrz, *„proconsul olim"* lat 72 — Katarzyna Tymbarska 69 — Anna Dulska 68 — Regina Polichtowa 66 — Maryanna Oraczówna 65 — Katarzyna Różańska 65 — Katarzyna Brześcianka 64 — Agnieszka Molowa 63 — i Tomasz Zdziarski sierota.

Dochody roczne pobiera klasztor:

— Z kamienicy w mieście, kupionej od Jana Górskiego 1761 r., 200 złp.

— Z domu i gruntu nad rzeką Kamienicą, darowanego klasztorowi 1652 r. przez Marcina i Zofię Wojciechowskich, 30 złp.

— Z domku wśród murów miejskich 6 złp.

— Z domku na przedmieściu, który Gwoździówką zowią, 12 złp.

— Z domu w ogrodzie przed bramą miejską 80 złp.

— Z siedmiu zagród na przedmieściu przy kościele św. Mikołaja, które trzymają Świątnicy *(Sanctuarii)*; sześciu z nich płaci rocznie po 12 złp. = 72 złp., siódmy zaś wolny od opłaty rocznej, bo w większe święta zamiata kościół, dzwoni, kościół obsługuje i wymiata kominy w klasztorze [1]).

---

trowy przy ulicy św. Ducha. Ubodzy w nim mieszkający zostają pod opieką magistratu.

[1]) O tych Świątnikach i ich obowiązkach poucza nas bliżej przywilej, potwierdzony przez czterech opatów. Oto jego osnowa:

Świętej pamięci Władysław Jagiełło, Król Polski, nadał był klasztorowi Sacri Ordinis Praemonstratensis dwóch zagrodników w przedmieściu sandeckiem, niedaleko kościoła Św. Wojciecha na usługi klasztorne, libertowawszy ich ab oneribus Reipublicae, alias od poborów i podymnego. A gdy w prędkim czasie po fundacyi klasztorek przeniesiono z przedmieścia od Św. Mikołaja inter muros do miasta, gdzie temi czasy stoi, tedy na poświętnym pierwszej lokacyi gruncie, albo ogrodzie, osadził sobie konwent pięć zagrodników, których Trybunał Piotrkowski libertowawszy od poborów i podymnych według królewskiego przywileju, ochrzcił i nazywał ich Świątnikami na posługi klasztorne i kościelne, naznaczywszy im czynsz doroczny z ogrodów po złotych pół dwanaście, i pewne posługi według czasu i potrzeby w klasztorze. A że z pewnej a mniej bacznej okazyi za czasem podniesione na wszystkich siedmiu Świątników, na każdego z osobna złp. 16, teraz gdy prawie żelazne czasy nastały, zda mi się taki czynsz bardzo ciężki przy gęstych posługach klasztornych. Zatem suplikowali usilnie, żeby mogli mieć lekszy czynsz, jak przedtem, i podróże krótsze otrzymać, które za dobrych czasów trzymali na mil 10. Uważywszy ich słuszną suplikę, i w posługach i czynszach niejaką aggrawacyą, pokazałem dowodnie Wielebnemu Zgro-

— Z mesznego (missalia) rocznie 88 złp. 24 gr.
— Z wigilii czyli nabożeństw żałobnych 87 złp. 6 gr.

---

madzeniu circumstancye czasów, nieurodzaj, w najmowaniu do ogrodów swych oracza, szczupłość gruntów, szkody niemałe od sąsiadów w ogrodach ich, nakłoniłem Wielebnych Braci na sposobny konsens do zmniejszenia im podróży i czynszu, stanowiąc im każdemu zosobna czynsz doroczny po złp. 12 currenti moneta na dzień Św. Marcina, podróż na trzy mile tylko; jeżeliby dalej podróż przypadła, to wytrącić klasztor powinien trzy mile, a inne zapłacić po groszy pol. 6. Prócz tego powinni będą pod piwo drwa rąbać; wody naciągnąć; z piwowarem piwo robić; siemię klasztorne na olej przy drzwiach klasztornych suszyć, i olej wybiwszy do klasztoru przynosić; kapustę do beczek w klasztorze czasu należytego kłaść; maj na cmentarzu i dalej na Boże Ciało rozstawiać (szpalerem drzew zielonych, zwłaszcza brzeziną wysadzać); kominy przez cały rok co miesiąc należycie wychędożyć i wycierać, latem kuchenny także co miesiąc; drzewo na Święta Bożego Narodzenia, Wielkanoc i Świątki w klasztorze rzezać; na święta uroczyste do klasztoru pójść dzwonić; w wielki tydzień grób stawiać; na przedmieściu koło sadu klasztornego tyki stawiać, kiedy je wiatr obali, albo przez starość zbutwieją; do skór i rzemienia kręcenia przychodzić, ile razy potrzeba. Także w czasie nieszczęśliwym, czego Boże uchowań, kiedyby się ogień przypadkowy kiedykolwiek w mieście pokazał, zaraz powinni wszyscy z siekierami i konwiami do klasztoru przybiegać. Przy tych klasztornych usługach obiad im powinien dać klasztor, zaś citra claustrum sami się powinni strawować; do żniwa w lecie po dwa dni robić na powabę. Stróża kolejno na posługi klasztorne dorocznie chować; tenże Świątnik, który stróża chowa, żadnych posług nie powinien czynić, ani rocznego czynszu dać w ten rok. Chałupnego nie dają, bo że sami sobie biedują i kupują, które cum scitu et consensu Conventus przedać może. A gdy się trafi, że który Świątnik żonę już do kupnej chałupy swojej wprowadzi, a bez potomstwa umiera, to na ten czas klasztor chałupę przedaje, non ultra jak za złotych 40 innemu, byle spokojnemu, w niczem nie podejrzanemu; grunt zaś sam zosobna klasztor, gdy Świątnik steriliter umiera, przedaje za złp. 60, prócz chałupy tylko sam grunt sive ogród. To zaś kupno ma służyć i powinno ad vitae tempora obiema. A to się wszystko stanowi i na piśmie się rzetelnie podaje, z jednostajnym Wielebnych Braci konwentu mego nowo sądeckiego konsensem, dla pamięci czynszujących i specyfikowane posługi odprawujących siedmiu Świątników naszych, na co dla lepszej wiary i wagi podpisujemy się przy pieczęci klasztornej.

Actum in Conventu Neo Sandecensi Sancti Spiritus Ordinis Praemonstratensis die 2. augusti 1695. Fr. Theophilus Kaczyński, Abbas Sandecensis Ordinis Praemonstratensis.

Fr. Casimirus Sowiński, Abbas Professus Sandecensis, istud privilegium confirmo, die 2 martii 1706. — Fr. Chrysostomus Staszewski, Abbas Conventus Neo Sandecensis, istud privilegium confirmo, in omnibus punctis, clausulis, nexibus, ligamentis et conditionibus, die 21 novembris 1734.

Dochód roczny z folwarków:

— Z Dąbrówki 376 złr. 12 kr.[1]).

— Z Januszowej z Brzeziem, Grabową i Kwieciszową 288 złr. 18 kr.

— Z Bobkowa 167 złr. 15 kr.

— Z Boguszowej z Naściszową i Łęgiem 162 złr. 12 kr.

— Z Librantowej 262 złr. 45 kr.

— Z Piątkowej 316 złr. 24 kr., razem z młynem na Łubince [2]).

— Z propinacyi 600 złr.

Na wszystkich folwarkach budynki gospodarskie, jako to: stajnie, stodoły, wozownie, śpichlerze, ogrody, mieszkania dla włodarzów i czeladzi, porządnie utrzymywane, bo ksiądz prowizor wszystkie folwarki pilnie objeżdżał i wszystkiego doglądał. Krów, koni, wołów, owiec, cieląt, nierogacizny, kur, gęsi, kaczek i indyków było podostatkiem. Większe obszary łąk w Dąbrówce, Piątkowej i Librantowej, mniejsze w Januszowej i Bobkowie: lasy jodłowe w Librantowej na przestrzeni 10 stajen *(stadiorum)*.

Od kapitałów 78.913 złr., roczny procent po 5 od 100, wynosił 3.945 złr.

---

Et quia privilegium semel concessum pro semper decet esse mansurum, potissimum cum charitati et justitiae sit innixum, hinc nos privilegium intro contentum per nostros Antecessores datum, integraliter, omnimode ac inviolabiliter per omnia ratum habentes approbamus, confirmamus ac plene observandum declaramus. In fidem manum nostram et sigillum apponimus.

Datum in residentia nostra abbatiali die 2 novembris 1773, praelaturae nostrae anno 27. Fr. Joannes Paulus Lassota Szczkowski, Abbas Sandecensis, Visitator Generalis Ordinis Praemonstratensis

(Privilegium a conventu datum Sanctuariis. Summarium privileg. f. 111—112).

[1]) Te pozycye w złr. i kr., jak również inne niżej przytoczone, nie pochodzą z obliczeń norbertańskich, lecz z obszernych i szczegółowych inwentarzy rządowych, po niemiecku pisanych, które miałem pod ręką i pilnie przeglądałem.

[2]) W tych wszystkich wymienionych dobrach opactwa sandeckiego było ogółem: kmieci 33, półrolników 13, chałupników 36, którzy w większej lub mniejszej ilości obowiązani byli do robocizny po folwarkach klasztornych bydłem lub pieszo. (Inwentarz dóbr konwentu sandeckiego, ich osiadłości, robocizny, podatków, danin, powinności, spisany 1770 r.). Są tam wymienieni po nazwisku wszyscy poddani, z szczegółowem określeniem ich rozmaitych powinności.

Były przytem i wydatki niemałe. Utrzymanie ubogich w szpitalu (wikt, sól, mięso w większe święta, oprócz drzewa, którego daje się podostatkiem) kosztowało rocznie 600 złp.

Włodarze *(villici)* i służba po folwarkach 200 złp.
Naprawa sprzętów folwarcznych 100 złp.
Wozy nowe i naprawa tychże 60 złp.
Inne wydatki na wozy 90 złp.
Utrzymanie budynków 80 złp.
Oficyaliści i ekonomowie z organistą 490 złp.
Utrzymanie dachów na klasztorze 80 złp.
Apteka i lekarze 100 złp.
Podatki i kwatery wojskowe 726 złp. 12 gr.
Wyżywienie zakonników 3.448 złp.
Wyżywienie służby folwarcznej 1.389 złp.
Suma wydatków rocznych 7.363 złp. 12 gr.

W klasztorze norbertańskim mieszkają:

O. Eustach Słowikowski, przeor.
„ Anzelm Pacynkowski, podprzeorzy.
„ Kazimierz Roczek, prowizor.
„ Antoni Paszyński.
„ Adam Szeligowicz.
„ Kasper Jastrzębski.
„ Bogumił Jankiewicz.
„ Jan Nep. Lewartowski.
„ Bonifacy Rzepecki.
„ Piotr Nowacki.
„ Mateusz Broniszewski.
„ Ignacy Nemetzy.
„ Alexander Leszkowski.
„ Władysław Rudnicki.
„ Fryderyk Przybyłowski.

Klerycy nowicyusze: Bogusław Osiecki — Konstanty Nożkowski — Alexy Hiściakowski — Józef Gebl — Felicyan Sadowski.

Poza domem przebywają: O. Baltazar Stanko w Wielkopolsce; O. Stefan Zalewski — O. Adryan Wydrzyński i O. Roman Miaskiewicz w Polsce; O. Wacław Kawczyński w Hradcu na Morawach.

Po przedłożeniu żądanego inwentarza, zaraz 12. stycznia 1782 r. kazał Rząd zamknąć nowicyat norbertański[1]). W marcu zaś 1784 r. skasowano zakon, a ruchomości sprzedano na licytacyi we wrześniu 1786 r.

Inwentarz żywy: bydło, konie, nierogaciznę i drób domowy po folwarkach, oszacowano na 708 fl. 45 kr.

Kosztowności kościelne: monstrancye, kielichy, puszki, relikwiarze, krzyże, lichtarze, lampy, świeczniki i t. p. oszacowano na 1.709 fl. 27 kr.

Sprzęty i meble klasztorne na 60 fl. 43 kr.

Przybory mszalne: ornaty, kapy, dalmatyki, alby, obrusy i t. p. na 468 fl. 31 kr.

Organy, dzwony i zegar wieżowy na 592 fl. 32 kr.

Różne ozdoby ołtarzowe: sukienki srebrne na dwóch obrazach, różne vota przy obrazach i t. p. na 696 fl. 21 kr.

Majątek nieruchomy: folwarki, kamienice, domy, zagrody i t. p. na 53.013 fl. 35 kr.

Kapitały norbertańskie, przez Rząd zabrane, wynosiły 92.913 fl.

Bibliotekę domową, składającą się z 1.647 dzieł rozmaitej treści, przewieziono do Lwowa i wcielono do biblioteki uniwersyteckiej, razem z grubem rękopisem a raczej książką pergaminową: „*Ordinarius Praemonstratensis ex anno 1546*“, zawierającą różne przepisy chórowe, tyczące się odprawiania mszy św. i nabożeństw kościelnych.

Ogólna zatem wartość majątku norbertańskiego, (oprócz kościoła, klasztoru, szpitala i biblioteki), razem z zabranymi kapitałami wynosiła 150.161 fl. 33 kr.

Dobra ponorbertańskie wziął Rząd najprzód w administracyę, później zaś sprzedano je na licytacyi. Librantowę, Naściszowę, Kwieciszowę z Boguszową, Grabową, Brzeziem, Bobkowem, Łęgiem i Piątkową przy licytacyi 19. listopada 1829 r. (cena wywoł. 5.542 złr. 27 kr. mon. konw.) nabył Józef Hebenstreit za 8.510 złr. m. k. Dąbrówkę przy licytacyi 20. listopada 1829 r. (cena wywoł. 7.640 złr. 7 kr. m. k.) nabył Dyonizy Wójcikowski za 9.050 złr. m. k.[2]).

---

[1]) Dla Galicyi Reskrypt kasaty klasztorów wydano 12. czerwca 1781 r., z tym dodatkiem, że do chwili wykonania zachowany być winien w najściślejszej tajemnicy, celem przeszkodzenia wywiezieniu skarbów klasztornych do Polski.

[2]) Kornel Czemeryński: O dobrach koronnych byłej Rzpltej polskiej. Lwów, 1870. str. 92—93.

Tak więc w r. 1784 zniszczono zakon norbertański, który przez lat 375 był chlubą Nowego Sącza, przewodnikiem duchownym pobożnego mieszczaństwa, opiekunem ubogich i sierót, dobroczyńcą samego magistratu w różnych publicznych potrzebach, a zawsze dobrym doradcą szlachty i okolicznego ludu.

Wydaleni dekretem kasacyjnym z domu zakonnego „Świętoduscy Księża", jak ich powszechnie nazywano w Sączu, rozprószyli się niebawem po świecie. Jedni z nich, młodsi i zdrowsi, objęli kapelanie po różnych miejscach [1]) — drugich wiekowych i spracowanych zaopatrzono pensyą — innych wreszcie przeniesiono do klasztoru w Trzcianie [2]) pod Bochnią. Po kasacie Norbertanów i skonfiskowaniu ich majątku na rzecz funduszu religijnego, zamknięto kościół i zamieniono na magazyn mąki dla wojska. W samym klasztorze osiadły Siostry Miłosierdzia, którym poruczono opiekę nad ubogimi w szpitalu św. Ducha. Filip Moscherosch von Wiesselheim, inżynier cyrkularny, który w r. 1786 zdjął szczegółowy plan kościoła i innych ponorbertańskich budynków, oznacza z wielką dokładnością celki siedmiu zakonnic (4 starszych, 2 młodszych i 1 nowicyuszki), niewiadomo jednak, jak długo tutaj przebywały. Później obrócono klasztor na biura Urzędu Kameralnego, a opactwo, obok wieży stojące, na szkołę elementarną dla chłopców. Taki stan kościoła trwał do r. 1804.

Wtenczas rząd austryacki, troskliwy o bezpieczeństwo zdrowia i życia, kazał poznosić w wielu miejscach wysokie wieże kościelne, burzył i przerabiał sklepienia świątyń. Kollegiata sandecka wydawała się także grożącą upadkiem. Z polecenia więc Rządu zabrano się do jej naprawy. Obcięto obydwie wieże, zrzucono wysoki dach gotycki, zwalono sklepienie gotyckie, a natomiast dano dach płaski, gontem kryty, zamiast sklepienia sufit, przerobiono też gotyc-

[1]) Ks. Szeligowicz objął kapelanię w Ptaszkowej — ks. Jastrzębski w Krościenku († w Nowym Sączu 21. maja 1809 r.) — ks. Jankiewicz w Drużbakach na Spiżu — ks. Lewartowski w Stankowej — ks. Rzepecki w Muszynie — ks. Nowacki w Głębowicach — ks. Broniszewski w Wielogłowach — ks. Nemetzy w Wiśniczu — ks. Leszkowski w Grybowie — ks. Rudnicki w Biesiadkach — ks. Kawczyński w Rzezawie pod Bochnią — ks. Pacynkowski w Zakliczynie, w r. 1786 otrzymał beneficium w Melsztynie, w r. 1796 przeniósł się na probostwo w Domosławicach, † 4. marca 1819.

[2]) Istniał tu z dawna klasztor kanoników regularnych (fratres ordinis de poenitentia beatorum martyrum sub regula s. Augustini). Przeora mianował klasztor św. Marka w Krakowie (stąd Markami zwani). Klasztor w Trzcianie zniesiono w r. 1816.

kie wnętrze kościoła do niepoznania, jeden tylko wielki ołtarz ocalał. Przez 14 lat (z mniejszemi lub większemi przerwami) trwała ta robota, przemieniająca stylową gotycką kollegiatę Zbigniewa Oleśnickiego w kościół bez gustu i stylu. Tymczasem gdzież odprawiać nabożeństwo parafialne? — Przypomniano sobie o kościele ponorbertańskim. Wyrzucono więc z niego worki z mąką, oczyszczono z kurzu ściany i wielki ołtarz, który na szczęście pozostał, odbito deski, zasłaniające obraz Matki Boskiej Pocieszenia, i urządzono jako tako służbę bożą. Magazyn stał się znów kościołem, ale tylko na to, aby po dokonaniu restauracyi kościoła parafialnego w r. 1822 [1]), znowu stał się nadal magazynem mąki dla wojska. Tak przeminęło lat 10.

W ciągu tego czasu zakon Jezuitów, wygnany z Rosyi dekretem cara Alexandra I. w r. 1820, znalazł dobre przyjęcie w Austryi, i oprócz kilku innych domów, jak w Starejwsi pod Brzozowem w Sanockiem i w Tarnopolu, otworzył także kollegium w Tyńcu pod Krakowem nad Wisłą, w dawnem opactwie OO. Benedyktynów, których opat za rządów polskich tytułował się „*abbas centum villarum*“. W nocy 2. maja 1831 r. piorun uderzył w klasztor tyniecki i spalił go. Jezuici znalazłszy dzielnego protektora w osobie arcyksięcia, Ferdynanda d'Este, otrzymali za jego staraniem ponorbertański kościół z klasztorem w Nowym Sączu, oraz fundusz 14.800 złr. z własnej jego szkatuły na zakupno przyległej kamienicy Dyonizego Wójcikowskiego i wybudowanie nowego gmachu, w którym dzisiaj mieści się jezuickie kollegium. W grudniu 1831 r. objęli w posiadanie ponorbertański klasztor i kościół i zabrali się z wiosną następnego roku do jego odnowienia. W ciągu lat czterech stanął kościół świeżo odmalowany, z odnowionym wielkim ołtarzem, w którym jaśniał odświeżony obraz Matki Boskiej Pocieszenia, i trzema nowymi bocznymi ołtarzami, z nową amboną, nowymi dzwonami i odrestaurowanymi porządnie organami, które jeszcze w r. 1673 OO. Benedyktyni na Tyńcu dla swej kaplicy zbudować kazali. W 10 nowych konfesyonałach zasiadali księża do słuchania spowiedzi, z ambony brzmiało słowo boże dwa razy w każdą niedzielę i święto. Niebawem w r. 1838

[1]) Że ta przebudowa kościoła farnego żółwim postępowała krokiem, świadczą zapiski w registraturze c. k. Starostwa w Nowym Sączu. Oto niektóre z nich: „Anno 1804 Neu Sandezpfarrkirche für baufällig erklärt — Anno 1808 hat der Bau begonnen — Hauptreparatur geleisten Beiträge im Jahre 1807 bis 1822“.

objęli sześcioklasowe gimnazyum [1]) w gmachu popijarskim, gdzie od r. 1855 jest teraz więzienie, a dla młodzieży zakonnej otworzyli w swem kollegium czteroletni kurs teologii. Nie zapomniano i o bractwie Najśw. Serca Jezusowego i kongregacyi Sodalisów Maryi, do której należała przeważnie młodzież szkolna.

Działalność Ojców Jezuitów nie ograniczała się na samej pracy w kościele i mozolnych zajęciach szkolnych około wychowania i kształcenia młodzieży gimnazyalnej. Od czasu do czasu wybiegało po dwóch Ojców na misye ludowe. Słynne są zwłaszcza i błogie w owoce prace apostolskie O. Karola Antoniewicza i O. Ignacego Skrockiego w dyecezyi tarnowskiej, podjęte na wyraźne życzenie arcyksięcia, Ferdynanda d'Este, w kilka tygodni po rzezi 1846 r. Od marca do października odbyli ci dwaj Ojcowie 15 ośmiodniowych misyi [2]), żądano ich jeszcze do wielu miejscowości, sam lud o to prosił; ale Rząd, po wyjeździe z Galicyi arcyksięcia Ferdynanda, wzbronił dalszych misyi. Równocześnie Ojcowie: Augustyn Lipiński, Stefan Załęski i Józef Perkowski odprawili misye w Chochołowie, Szaflarach, Poroninie, Zakopanem i Białce, gdzie gorącem i wymownem słowem uśmierzyli bunt, który gotowali tamtejsi górale przeciwko Rządowi.

Rok 1848 rozegnał Jezuitów, jak gdzieindziej, tak i w Nowym Sączu. Szkoły ich oddano pod zarząd nauczycieli świeckich, nowe ich kollegium z domem niegdyś Dyonizego Wójcikowskiego zamieniono na koszary wojskowe, a później (od r. 1855) na gimnazyum. Kościół nawet porządnie utrzymywany chciano znowu zamknąć i obrócić na jakiś magazyn. Zjawił się już komisarz cyrkularny, żądając wydania aparatów i sprzętów kościelnych, ale oparł się temu stanowczo O. Paweł Ciechanowiecki, odwołując się w tej mierze na cenzurę soboru trydenckiego, rzucającą klątwę na tych, którzy zabierają jakiekolwiek dobra kościelne [3]). Komisarz, nieprzygotowany na takie przyjęcie, wyszedł i nie wrócił więcej. Tak więc, dzięki Opatrzności Bożej, O. Ciechanowiecki

[1]) Dyrektorem gimnazyalnym był każdorazowy rektor jezuickiego kollegium, do pomocy zaś miał prefekta szkół. Dyrektorami byli: O. Samuel Rahoza, O. Mateusz Kłosowski, O. Paweł Ciechanowiecki i O. Józef Podobied. Prefektami: O. Jerzy Foerster, O. Jozafat Zaleski, O. Karol Barański, O. Franciszek Kautny, O. Józef Brown i O. Augustyn Lipiński.

[2]) Opisał je szczegółowo O. Antoniewicz w „Wspomnieniach Misyjnych". Poznań 1846 r.

[3]) Concilium Tridentinum, Sessio 22. caput 11 de Reform.

wraz z dwoma Ojcami: Józefem Podobiedem i Antonim Suszczewskim, pozostał w dawnym ponorbertańskim klasztorku i obsługiwał kościół, zachęcony do tego życzliwością ówczesnego dziekana sandeckiego, ks. prałata Franciszka Gabryelskiego z Jakóbkowic.

Reskryptem cesarza Franciszka Józefa I. z dnia 10. czerwca 1853 r. przywróceni zostali Jezuici w Austryi. Nowosandecka rezydencya liczyła odtąd pięciu lub sześciu księży i kilku braci zakonnych do posług domowych. Praca w kościele wzmogła się, ale już nie doszła do tych rozmiarów, co przed r. 1848. Nie przedsięwzięto też żadnych ważniejszych restauracyi w kościele.

Minęło od pierwszego osiedlenia się Jezuitów przeszło lat 50. Dach kościelny, jeszcze w r. 1747 przez opata Szczkowskiego nakryty, groził zawaleniem się. Za rządów więc superyora, O. Jana Ciszka, postawiono w r. 1887 dach nowy, o półtora metra niższy od dawnego, przez co kościół stracił wiele na swej zewnętrznej charakterystyce gotyckiej. Belek na wiązanie dachowe dostarczyła ze swych lasów pani Józefa Szymonowiczowa, która także w swym majątku w Sękowej pod Gorlicami nowy kościół gotycki z fundamentów dźwignęła. Zamiast dachówek pokryto dach blachą, sprowadzoną z fabryki arcyksięcia Albrechta z Cieszyna. Na dachu stanęła żgrabna sygnaturka z dwuramiennym krzyżem opackim, w którego gałce miedzianej umieszczono pergaminowy dokument odpowiedniej treści. Składki pieniężne zbierał O. Ludwik Adler, robotą ciesielską kierował brat zakonny, Józef Białobrzeski, uzdolniony w swoim zawodzie i używany do wszystkich budowli jezuickich od lat z górą 30.

Po odbudowaniu dachu przystąpiono do odnowienia samego wnętrza kościoła. Za staraniem O. Rudolfa Churaina stanęła w r. 1887 nowa ambona, a w roku następnym nowe organy, zbudowane przez braci Riegerów z Karniowa (Jägerndorf) na Śląsku. Wewnętrzne ściany kościoła, brudne i odrapane, razem z kaplicą św. Anny i korytarzem długo czekały odmalowania. Podjął się tego zadania superyor, O. Jan Kiciński, i przy pomocy brata, Franciszka Stankiewicza, dokonał go pomyślnie w r. 1890. Ogólna suma wyłożona na odnowienie całego kościoła od r. 1887—1892 wynosi 8.000 złr.

Wejdźmy teraz do środka kościoła i przypatrzmy się niektórym jego zabytkom. Nad bramą kruchty kościelnej uderza napis wykuty w kamieniu:

DYREKCYA KASY OSZ. MIASTA NOWEGO S

*Illa domus felix in qua dominatur Jesus,*
*Excubat ad tales paxque quiesque fores.*
*A. D. 1731.*

Ponieważ nawa kościelna jest w stylu renesansowym, prezbyteryum zaś w stylu gotyckim, przeto też przemalowanie kościoła, dokonane według wskazówek Władysława Łuszczkiewicza z Krakowa, przez Stanisława Bochyńskiego z Łącka, odpowiada podwójnemu stylowi. Po usunięciu wielkiego ołtarza w stylu romańskim, stanął na jego miejscu nowy ołtarz gotycki podług planu Jana Chorążego, inżyniera Kolei Państwowej, a w nim odświeżony starannie dawny obraz Pocieszenia Matki Boskiej. Na zasuwie tego ołtarza umieszczono obraz „Zesłania Ducha św.“, a po bokach postawiono dwie duże figury apostołów św. Piotra i Pawła, sprowadzone z Gröden w Tyrolu [1]). Ułożono też nową posadzkę z cementu, dano piękne dębowe balasy, otaczające wielki ołtarz, a po bokach ławki kosztownej roboty stolarskiej, pomysłu M. Lipskiego. Aktu poświęcenia nowego ołtarza dopełnił sam biskup tarnowski, Ignacy Łobos, dnia 1. sierpnia 1891 r.

Boczne ołtarze z r. 1832 pozostały niezmienione, odświeżono je tylko nieco. Zasługują na uwagę: obraz św. Ignacego Loyoli w lewym bocznym ołtarzu, penzla wiedeńskiego malarza Steinte z r. 1834: pod nim obraz Serca Jezusowego, malowany podług włoskiego oryginału, znajdującego się w kościele Jezuitów we Lwowie, daru arcyksięcia Ferdynanda d'Este. W prawym bocznym ołtarzu obraz św. Stanisława Kostki, niepośledniego penzla: pod nim obraz Serca Maryi, malowany w r. 1863 przez brata zakonnego, Kaspra Pietrzyka. W trzecim bocznym ołtarzu na prawo, godny uwagi Chrystus na krzyżu, rzeźba wykonana z niezwykłą dokładnością, podług rysunku białoruskiego Jezuity Stürmera [2]), przez Martyńskiego z Nowego Sącza w r. 1845. Zdobią też ściany kościelne inne obrazy, jako to: starodawny włoski obraz św. Hermana Józefa z zakonu Norbertanów († 1236): św. Magdaleny u stóp Chrystusa; tudzież niezupełnie autentyczny wizerunek Wła-

[1]) Robotą stolarską przy tym nowym gotyckim ołtarzu kierował brat zakonny, Stanisław Dydek: rzeźbiarską W. Łuczkiewicz z Nowego Sącza; złotniczą M. Stojakowski z Krakowa.

[2]) Brat zakonny, zwiedziwszy Anglię i Chiny, porzucił zakon w Połocku 1814 r. Słynął on jako rytownik i mistrz wyrobów rzeźbiarskich z kości słoniowej. Zostawił wiele blach gotowych pod prasę.

dysława Jagiełły, w stroju rycersko-królewskim [1]), z lewej strony obrazu orzeł polski, u spodu napis:

*Vladislaus Jagiełło*
*Fundator Ecclesiae Et Monasterii Istius*
*A. D. 1409.*

W Kaplicy św. Anny, przybudowanej w r. 1596 przez ks. Tomasza Romana, przeora norbertańskiego, znajduje się obraz tejże Świętej malowany na drzewie z końcem XVI. wieku, jedyna pamiątka istniejącego niegdyś tutaj bractwa pod temże wezwaniem. Obraz ten na drzewie przemalował gustownie w r. 1895 K. Heimroth ze Lwowa, przez co utracił swojej starożytności cechę.

Największą atoli ozdobą jezuickiego kościoła jest w wielkim ołtarzu obraz Matki Boskiej Pocieszenia, łaskami słynący, a tak mile pociągający do siebie, że patrzącemu nań trudno oczu oderwać. Obraz ten szkoły staroniemieckiej, na drzewie malowany, zdobi pozłacana metalowa sukienka, sprawiona w r. 1838 przez adwokata sandeckiego Górkę, świeżo odnowiona w pracowni Piotra Seipa w Krakowie; prócz tego piękna korona na głowie Matki Najśw. i Dzieciątka Jezus, wysadzana drogimi kamieniami, złoty łańcuch, kosztowne perły, broszka ozdobiona dyamencikami, korale i inne dziękczynne wota. Herb u spodu obrazu: trzy czarne trąby myśliwskie w polu czerwonem, z literami: Z. I. D. Z. świadczy, że jego wspaniałomyślną fundatorką w połowie XVI. wieku była Zofia Jordanówna z Zakliczyna [2]), córka Achacego Jordana, starosty sandeckiego, wydana w r. 1540 za Stanisława Wielopolskiego,

[1]) Ten duży olejny portret jest kopią z obrazu Triciusza, niegdyś umieszczonego w amfiteatrze nowodworskim w Krakowie. Jan Triciusz, mieszczanin krakowski, był malarzem nadwornym królów polskich: Jana Kazimierza i Jana Sobieskiego. (Grabowski: Dawne Zabytki Krakowa str. 163). — Napis na owym portrecie niezupełnie zgodny jest z prawdą. Kościół św. Ducha fundował Langzidel w r. 1400. Jagiełło przybudował przy nim klasztor w r. 1409 i oddał go wraz z kościołem Norbertanom.

[2]) Ten Zakliczyn leży przy Sieprawiu w pobliżu Wieliczki, i już w r. 1464 był gniazdem Jordanów, z którego się pisali. Mikołaj Jordan, kasztelan wiślicki, nabył w r. 1511 dobra melsztyńskie wraz z zamkiem od Jana Melsztyńskiego, rycerza Grobu Chrystusowego (miles sepulchri Christi), które aż do r. 1597 były własnością Jordanów. Starszy brat Mikołaja, Jan Jordan, kasztelan biecki, starosta spiski i oświecimski, wielkorządca krakowski † 1507, zostawił synów: Zygmunta, Achacego, Krzysztofa i Hermolausa.

dworzanina królewskiego, właściciela Gdowa, Klęczan, Grybowa i Stadnik.

Lud okoliczny czci ten obraz jako cudowny, prosi o zdrowie, pociechę, odwrócenie nieszczęść, albo też dziękuje za otrzymane łaski. Ta tradycyjna wiara i ufność w skuteczność opieki Maryi, w tym obrazie łaskami słynącej, datuje się od niepamiętnych czasów; obraz bowiem na wielu miejscach był podziurawiony od gwoździ, na których dawniej wisiały dziękczynne wota. W lutym 1632 r. jakiś niewyśledzony złoczyńca, ukrywszy się w kościele, ogołocił obraz Maryi z kosztownych wotów, zawieszonych tamże od różnych osób z wdzięczności za otrzymane łaski. Ks. Krzysztof Morski, administrator opactwa, z ks. Chryzostomem Proszowicem, przeorem, wnieśli z tego powodu zażalenie do sandeckiego grodu, przytaczając rejestr skradzionych rzeczy. Wymienione są tam: „Trzy rzędy korali, między którymi kilkadziesiąt paciorków bursztynowych i krzyształowych, także perły i tabliczka srebrna złocista. — Cztery agnuski [1]) srebrne bursztynowe z krajami srebrnymi złocistymi. — Noszenie [2]) srebrne, w którem w pośrodku agnusek srebrny. — Dziąg [3]) moskiewskich *plus minus* 47, między któremi agnusek złocisty srebrny. — Agnusek srebrny na łańcuchu srebrnym złocistym. — Zausznice [4]) z kamieniami i perłami, i korona perłowa [5])".

Zaprowadzone w tym kościele 28. sierpnia 1633 r. bractwo Pocieszenia [6]) spotęgowało bardziej jeszcze tę cześć Bogarodzicy, i znów z wdzięczności ku Maryi nowe płynęły ofiary. Wojciech Suchta, kowal sandecki, zapisał w r. 1638 na pozłotę ciborium, które wówczas robiono, 12 złp.[7]). Jan Obłąk, rzeźnik sandecki, czyniąc ostatnie woli swojej rozporządzenie w czasie morowego powietrza 1652 r., wyraził gorące życzenie, aby zwłoki jego pogrzebano przy kościele św. Ducha, a na pozłotę ołtarza Matki

---

[1]) Agnusek — baranek boży, wyrobiony z jakiegokolwiek materyału.

[2]) Noszenie — ozdoba zawieszona na szyi, łańcuch.

[3]) Dzięga — srebrny grosz moskiewski nakształt jaja, ze szczerego srebra.

[4]) Noszenie na uszach, kulczyki.

[5]) Acta Castr. Rel. T. 119. p. 142.

[6]) Zaprowadził je tutaj ks. Stanisław Kornicki, św. teolog. doktor, Augustyanin krakowski, za pozwoleniem swego prowincyała, O. Baltazara Motowiusza. (Z archiw. OO. Augustyanów w Krakowie).

[7]) Acta Scabin. T. 55. p. 815.

Boskiej w tymże kościele legował 50 złp.[1]). Podobną ofiarność widzimy również w XVIII. wieku. Konstancya z Witowskich Chronowska, obywatelka sandecka, zapisała w r. 1758 na roli zwanej „Witowskie“ na przedmieściu większem 320 złp., z obowiązkiem odprawiania corocznie 5 mszy św. przed ołtarzem Matki Boskiej Pocieszenia w kościele św. Ducha, za dusze zmarłych z rodziny Sowińskich, Dobrzyńskich i Witowskich[2]). W r. 1782 był ten obraz przyozdobiony srebrną sukienką, dwiema koronami, berłem, 24 srebrnemi wotami, rubinami i innemi kosztownościami, jak wyżej nadmieniłem. Niestety, dekret cesarza Józefa II., kasujący Norbertanów w Sączu 1784 r., zabrał te wszystkie wota i inne kosztowności Matce Najśw. złożone w ofierze, i przekuł na pieniądz. Upadło też wówczas kwitnące bractwo Pocieszenia Matki Boskiej, a dotąd utrzymał się jedynie odpust, który co roku obchodzi się solennie w najbliższą niedzielę po św. Augustynie. Wszelako pomimo ogólnego spustoszenia, jakiemu kościół ten po zniesieniu Norbertanów uledz musiał, pomimo usunięcia z niego wszystkich dawnych ołtarzy i sprzętów, ołtarz wielki wraz z obrazem Matki Boskiej, deskami zabitym, utrzymał się w kościele aż do przybycia OO. Jezuitów w r. 1832. Wprawdzie w r. 1820 usiłował cieśla, Marcin Cendrowicz, usunąć z ołtarza obraz Maryi, ale skaleczywszy się mocno w rękę, zaniechał dalszej roboty i odszedł do domu, mówiąc: „Dajcie pokój temu obrazowi, niech tu wisi“. W r. 1822 czyniono powtórną próbę, także nadaremnie. Snadź obrała sobie Matka Boska Pocieszenia ten uroczy zakątek Polski u podnóża Karpat na mieszkanie, ażeby stąd skarby łask swoich na blizkie i dalsze rozdawać strony.

* * *

Dnia 17. kwietnia 1894 r. nawiedził Nowy Sącz groźny pożar, który połowę prawie miasta w perzynę obrócił. Ogień pochłonął pocztę z urzędem telegraficznym, większą część rynku, ratusz, wszystkie domy ubogich, zbór protestancki, ulicę Pijarską, Zamkową (z wyjątkiem zamku), Kazimierza, Franciszkańską, Krakowską, Wązką i św. Ducha. Spłonął dach na jezuickim kościele, dopiero w r. 1887 świeżo blachą nakryty, spłonęła wieża a w niej stopiły się dzwony, spłonął młyn, popaliły się drzewa w ogrodzie i wszystkie

[1]) Acta Scab. T. 63. p. 347.
[2]) Summarium privilegiorum, f. 89.

zabudowania klasztorne wraz z przyległem gimnazyum. Na superyora owych okopciałych, mocno uszkodzonych i rozsypanych murów, powołano z Krakowa O. Stan. Załęskiego. Ciężkie były początki jego rządów w sandeckim domu. Nie było miejsca, gdzieby w nocy głowę spokojnie położyć można — wicher dął przez wypalone drzwi i okna — a do tego wskutek ulewnych deszczów przez cały czerwiec woda przeciekała przez sklepienie do kościoła i do cel zakonnych. Za staraniem ówczesnego prowincyała, O. Kaspra Szczepkowskiego, zakupiono od Rządu za 9.500 złr. spalony i zniszczony budynek gimnazyalny, w którym aż do r. 1848 mieszkali Jezuici, potem koszary wojskowe, wreszcie od r. 1855 aż do chwili pożaru mieściło się gimnazyum. Świeżo mianowany superyor zabrał się rączo i energicznie do dzieła i wykonał je zręcznie przy pomocy braci zakonnych: Józefa Białobrzeskiego, cieśli — Ignacego Żołądkiewicza, stolarza — i Józefa Morawca, murarza. W lipcu nakrył kościół dachówką, a pod koniec listopada dawny klasztor ponorbertański i młyn był już całkiem wyrestaurowany, a świeżo nabyty a właściwie odzyskany budynek gimnazyalny nakryty dachem dachówkowym. Z wczesną wiosną następnego roku rozpoczęto roboty około urządzenia wewnętrznego gimnazyalnego budynku, tak że 18. sierpnia 1895 r. kollegium sandeckie było już otwarte, acz niezupełnie wysuszone. Niebawem przeniesiono 3-letni kurs filozofii z kollegium tarnopolskiego do Nowego Sącza. Rektorat tego odnowionego i przeistoczonego z gruntu kollegium ofiarowano O. Załęskiemu, ale wymówił się od tego. Pozostał jednak i nadal w Sączu aż do lipca 1899 r., zajmując się skrzętnie pisaniem obszernej „Historyi Jezuitów w Polsce“, której 3 grube tomy wydał we Lwowie 1900—1901 r.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

# Z TEKI MAURYCEGO KRAIŃSKIEGO.

(Ciąg dalszy).

II.

## Ostatnia faza sprawy pańszczyźnianej.

Sprawa pańszczyźniana uznana została w wiedeńskich sferach rządowych za naglącą w chwili, kiedy tam przez gęstą mgłę fałszywych raportów gubernium galicyjskiego docierać zaczął bodaj słaby refleks jaskrawej prawdy o sytuacyi Galicyi, mianowicie zachodnich obwodów, po krwawych wypadkach z lutego 1846, kiedy już niemożna było dłużej łudzić się pierwotnem mniemaniem, że owe zbrojne bandy chłopskie mordujące wszystko, co z dworów pochodzi i rabujące te dwory doszczętnie, stanowią legiony północnych Tyrolczyków, odpierających tylko zamachy na ich lojalność wobec państwa i dynastyi. Samo gubernium galicyjskie nie mogło ukryć tego przed Wiedniem, że owe bandy nie poprzestają na premii rabunkowej, samodzielnie sobie wymierzonej, lecz uważają to tylko za zaliczkę należnej im wyższej nagrody, za wstęp do zniesienia pańszczyzny. Generał-gubernator galicyjski arcyksiążę Ferdynand d Este bawił już wtedy w Wiedniu, odwołany z krwawej widowni rabacyjnej z mnóstwem komplementów, z pod których jednak przebijało niezadowolenie z jego rządów. Br. Krieg mając teraz wolne ręce, jako prezydent gubernialny, przypuszczał zapewne, że powiedzie mu się kilku przykładami surowej represyi wobec gmin odmawiających krnąbrnie wszelkich świadczeń pańszczyźnianych, uśmierzyć rewoltę chłopską i stanąć wobec Wiednia jako

tryumfator. Rachuba ta zawieść musiała, bo owa rewolta była tylko dojrzałym owocem Kriegowskiego posiewu, prostem następstwem całego postępowania biurokracyi cyrkularnej, która długie lata krzewiła waśń społeczną między dworem a gminą i w przededniu wybuchu szalonych zamiarów powstańczych w instrukcyach dawanych chłopstwu niemal wystawiła rewers na całkowite zniesienie świadczeń pańszczyźnianych.

Objawem trwożliwej refleksyi wiedeńskich sfer rządowych i trafniejszego poglądu na sytuacyę, był już patent z 13. kwietnia 1846 zaprowadzający ulgi dla poddanych (zniesienie dalekich podwod i dni pomocnych z równoczesnem poddaniem zażaleń poddańczych pod bezpośrednią judykaturę administracyjną cyrkułów). W wstępie bowiem tego patentu wzywane, niemal zaklinane są gminy, aby zaniechały oporu w sprawie odrabiania pańszczyzny i spuściły się na troskliwość rządu o polepszenie ich doli. Co więcej, już w reskrypcie kancelaryi nadwornej, komunikującym ten patent, gubernium galicyjskie zostało wezwane do zwołania ankiety dla sprawy pańszczyźnianej. Przewidywano więc, że ulgi przyznane w powołanym patencie nie wystarczą na uśmierzenie rewolty chłopskiej, że trzeba pójść dalej na tej drodze, zawsze jednak tak ostrożnie, aby ustępstwa nie stanowiły niekorzystnego prejudykatu dla innych prowincyi i nie wyglądały tak, jak gdyby na rządzie wymuszone zostały. Dano to Kriegowi wyraźnie do zrozumienia a przytem odezwano się do jego ambicyi i wyrażono oczekiwanie, że odpowiedniemi dyspozycyami administracyjnemi zaradzi „kłopotliwym“ dla rządu symptomom jawnej anarchii w obwodzie Tarnowskim.

Na innem miejscu [1]) przedstawiliśmy rezultat tej ankiety, mianowicie jej uchwałę według projektu referenta Emingera i *votum separatum*, złożone przez Agenora hr. Gołuchowskiego wspólnie z Maurycym Kraińskim a zawierające szeroko zakrojony projekt uwłaszczenia za indemnizacyą, obejmującą tak pańszczyznę jak i służebności. Cały ten elaborat gubernialny ugrzązł w ociężałym centralnym organie administracyi (w kancelaryi nadwornej), a ponieważ postawa zawiedzionego w oczekiwaniach swoich włościaństwa nagliła do bezzwłocznego przyznania dalszych ustępstw, przeto wysłano do Galicyi nadzwyczajnego komisarza, Rudolfa hr. Stadiona, który miał przeprowadzić tak zwaną regulacyę pańszczy-

[1]) W dziele: *Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859).* (Rozdział I.).

zny. O całej misyi tego niefortunnego pacyfikatora i jej rezultacie pisaliśmy w powyżej przytoczonem dziele, ograniczając się jednak tylko do szczegółów potrzebnych na wypełnienie obrazu ówczesnego położenia Galicyi, jako tła historycznego dla uwydatnienia działalności Agenora hr. Gołuchowskiego. Obecnie uzupełniamy z teki Maurycego Kraińskiego te szczegóły tak, aby ten pamiętny epizod w historyi pańszczyźnianej a więc i w historyi kraju dokładniejsze przybrał kształty.

W sposób niezwykle uroczysty, prawie demonstracyjny, ogłoszono w kraju trzy okólniki gubernialne z 25. listopada 1846, wydane z mocy rozkazu „nadzwyczajnie upełniomocnionego komisarza nadwornego Rudolfa hr. Stadiona“ — tak opiewał jego tytuł urzędowy — a oparte na najwyższem postanowieniu z 12. listopada 1846. Pierwszy okólnik ogłasza przyznanie własności użytkowej na gruntach rustykalnych ich „teraźniejszym prawym posiadaczom“ i tłumaczy praktyczną doniosłość tej zmiany w ten sposób, że przepisy w patentach z 26. lipca 1784 i z 26. maja 1789 zawarte, według których poddani nie mogą ani gruntami swojemi za życia i na wypadek śmierci rozporządzać, ani bez zezwolenia dominium zaciągać długów 5 złr. przenoszących, „na przyszłość ustać mają i dozwala się poddanym wolne zarządzenie posiadłością swoją jednakże z tem wyraźnem zastrzeżeniem, iż niewolno im posiadłości tej obciążać długami po nad $^2/_3$ wartości“. Zwalnia dalej ten pierwszy okólnik poddanych opuszczających grunta od obowiązku poprzedniego dostawiania dominiom zdatnych gospodarzy na swoje miejsce a potem stanowi, co następuje: „Za to nawzajem uwolnione zostają dominia jako główni właściciele od dotychczasowej prawnie trwającej powinności dawania poddanym w razie potrzeby zapomogi w chlebie i nasieniu“. Kiedy jednak własność użytkowa dla poddanych została bezwarunkowo ogłoszona, co do owej rekompensaty dla dominiów, mówi okólnik, że „wchodzi w wykonanie dopiero w trzy lata po zaprowadzeniu ksiąg gruntowych dla posiadłości poddańczych“.

Drugi okólnik gubernialny krótko a węzłowato orzeka, że jako czas normalny dla oznaczenia prawnej własności gruntów w Galicyi (czy są rustykalne lub dominikalne), służyć ma już nie jak dawniej r. 1786 lecz r. 1820. Widocznie przewidywano, że w ten sposób mnóstwo gruntów dominikalnych znajdujących się z łaski dziedziców *(praecario modo)* w posiadaniu włościan, stanie się odrazu ich własnością użytkową, więc dla złagodzenia tak jaskrawej dowolności administracyjnej w rozporządzaniu cudzą własnością

dodano zastrzeżenie, że „w sporach o posiadanie i własność udowodnienie w drodze prawa wszelkich specyalnych stosunków prawnych nie jest wykluczone“.

Koronę całej tej reformy stanowi trzeci okólnik „o regulacyi pańszczyzny i innych powinności poddańczych“, regulacyi obmyślanej bez oglądania się na faktyczne stosunki w Galicyi, jak się zdaje wzorowane na stosunkach innej, Rudolfowi hr. Stadionowi lepiej znanej prowincyi (Morawy). Główne postanowienie tego okólnika, wypowiadającego we wstępie wyraźnie, że chodzi tutaj o „ostateczne dopełnienie zarządzeń zapewnionych najłaskawiej najwyższym patentem z 13. kwietnia 1846“, tak opiewa: „Połowa dochodu ze wszystkich posiadłości poddańczych, przez kataster prowizoryczny oznaczonego, ma po strąceniu kosztów uprawy służyć za miarę powinności dominiom odbywać się mających. Pozostającą po odtrąceniu wyrachowanej podług katastru wartości drobniejszych danin, które bez odmiany pozostać mają, resztę na pańszczyznę policzyć i tak na gruntową posiadłość włościańską podług teraźniejszej stopy podatkowej rozłożyć i podług klas każdemu posiadaczowi z osobna na powinność zapisać należy“.

Zasada ta łącznie z równocześnie ogłoszoną taryfą klas dla pańszczyzny pieszej i ciągłej nadawała reformie w oczach obywateli stosunki aktualne dobrze znających, charakter experymentu o niepojętej dowolności administracyjnej, z jednej strony wprost wyzuwającego dominia niektórych okolic z dochodu pańszczyźnianego a z drugiej strony sprowadzającego co do poddanych w wymiarze pańszczyzny rażący brak równomierności.

Poniżej znajdzie czytelnik bliższe szczegóły o ujemnych stronach tej reformy. Tutaj to tylko na razie zaznaczyć wypada, że podczas gdy szlachta od razu spostrzegła grożące jej niebezpieczeństwo, lud wiejski obałamucony uroczystem ogłoszeniem reformy i zresztą wogóle niezdolny do szybkiego zoryentowania się w praktycznej doniosłości ustanowionej taryfy pańszczyźnianej mniemał, że na prawdę doczekał się kresu wszystkich swoich dolegliwości pańszczyźnianych. To też remonstracya szlachty przybierała w oczach biurokracyi, tylko na włościana się oglądającej, charakter oporu podyktowanego jedynie względami na własne korzyści i zmierzającego ku udaremnieniu wszelkiej reformy. Takie też stanowisko zajął hr. Krieg wobec pokornej prośby szlachty, aby u Cesarza wyjednano jej pozwolenie na zjazd lub wysłanie delegacyi do tronu celem przedstawienia ujemnych stron narzuconej reformy. Prośbę tę przedstawił Krieg kanclerzowi Inzaghiemu

w tem świetle i postawił wniosek, aby szlachty pod żadnym warunkiem nie dopuszczono do zabrania głosu w sposób powyższy. Tak dalece zależało br. Kriegowi na tem, że osobnem pismem zaklinał wszechwładnego w Wiedniu szefa policyi hr. Sedlnitzkiego, aby stanął po stronie jego wniosku. Cel ten został osiągnięty, a br. Krieg uważał niejako za punkt honoru jak najrychlejsze przeprowadzenie fatalnej reformy, gdyż już w grudniu 1846 wydane zostały w gubernium obszerne, całe folianty stanowiące, instrukcye do dominiów i cyrkułów z szczegółowem określeniem sposobu, w jaki mają być potrzebne do regulacyi daty zebrane, sprawdzone i następnie w jednolite operaty ułożone.

Z komisarzami cyrkułowymi, publikującymi po wsiach Stadionowską reformę i zbierającymi daty do operatu regulacyjnego oczywiście w sposób odpowiadający duchowi tradycyi biurokratycznej, więc w sposób podsycający niechęć i waśń między dziedzicem a gromadą, ruszyła się równocześnie w całym kraju cała zgraja pokątnych pisarzy i doradców chłopskich, przedstawiających poddanym, że skoro krok za krokiem zdobywają ustępstwa ze strony rządu, to powinni wytrwać w postawie groźnych malkontentów, dopóki nie dostanie się im oczekiwana od lutego 1846 całkowita premia za lojalne postępowanie t. j. zupełne darowanie pańszczyzny, gruntów, łąk, lasów i t. d. Pod wpływem takich podżegań z jednej a dwuznacznego postępowania organów cyrkularnych z drugiej strony powstała w kraju sytuacya, wśród której szlachta obawiać się mogła nietylko ruiny majątkowej, lecz także ponowienia się wybryków samowoli chłopskiej. W kilku obwodach zachodniej i wschodniej Galicyi (Bochnia, Jasło, Sambor i Kołomyja) włościanie zamanifestowali swoje niezadowolenie z połowicznego i niesprawiedliwego, ich zdaniem, załatwienia sprawy pańszczyźnianej ordonansami Rudolfa hr. Stadiona już przy uroczystej publikacyi a także i później w sposób tak dobitny a nawet niepokojący, że gdy o tem doszły wiadomości do Wiednia, wezwano br. Kriega do zdania sprawy ze stanu rzeczy, przyczem polecono zaniechać ile możności sprawdzania operatów pańszczyźniano-regulacyjnych na miejscu przez komisarzy cyrkularnych i ograniczyć się do biurowego traktowania tej sprawy. Czy miałby to być dowód, że wreszcie w Wiedniu otworzyły się oczy centralnym organom i spostrzeżono zgubny dla porządku i spokoju społecznego skutek bezpośredniego stykania się cyrkularnych biurokratów z poddanymi? Inaczej wytłumaczyć niepodobna tego polecenia.

Br. Krieg zdał sprawę z przebiegu sprawy pańszczyźniano-regulacyjnej i z powyżej wskazanych rozruchów chłopskich w ten sposób, że sytuacya nie jest tak niepokojąca, jakby się na pozór zdawało, że wszędzie, gdzie włościanom należycie wytłumaczono dobrodziejstwa, z zamierzonej regulacyi pańszczyzny na nich spłynąć mające, zapanował spokój, że wreszcie wszędzie poddani przejęci są wdzięcznością dla rządu a sporadyczne wypadki niezadowolenia, objawionego w sposób na exces zakrawający przez obałamuconych lub niedostatecznie objaśnionych poddanych nie powtórzą się pewnie, jeżeli tylko rozpoczęte dzieło regulacyi będzie z pospiechem prowadzone i jak najrychlej wejdzie w życie.

Taki horoskop stawiał br. Krieg reformie, która należy do najprzykrzejszych epizodów w historyi zniesienia pańszczyzny i która w razie zupełnego wprowadzenia w życie przed wichrowatym r. 1848 musiałaby była niezmiernie utrudnić i tak już wielce trudne rozwikłanie stosunków poddańczych, jakie rok ów przyniósł Galicyi. Taki horoskop mógł stawiać tylko br. Krieg, któremu niechęć do szlachty zamącała trzeźwy pogląd na stosunki aktualne, taki horoskop musiał on zresztą postawić, skoro na krótki czas przed wysłaniem powyższej relacyi tak zapamiętale i jak widzieliśmy ze skutkiem zamierzonym oparł się prośbie szlachty o wyjednanie u tronu zezwolenia na jej informacyjne i doradcze tylko a nie uchwalające zebrania się we Lwowie.

Wielką, godną zapisania w historyi kraju zasługę położył wtedy Maurycy Kraiński, że zręcznie umiał wyzyskać sposobność nadarzającą się do powstrzymania fatalnej reformy w jej przyspieszonym rozpędzie ku wywołaniu rozstroju społecznego w kraju. Sposobność tę nastręczała uwaga niejako mimochodem uczyniona w reskrypcie ministeryalnym z 27. listopada 1846, komunikującym wydziałowi stanowemu decyzye cesarskie co do projektu reformy Rudolfa hr. Stadiona. Uwaga ta tak opiewała: „Za ubytek powinności pańszczyźnianych w żadnym razie skarb państwa nie przyzna wynagrodzenia. Najj. Pan zezwolił jednak, aby kwestya, czy i pod jakiemi warunkami poszczególnym dziedzicom w razie niestosunkowo znacznego uszczerbku w dotychczasowych powinnościach pańszczyźnianych wypadałoby przyznać słuszne odszkodowania ze środków krajowych, wzięta została pod rozwagę przez stany, których wnioski następnie wraz z opinią przedłożyć należy Najj. Panu".

Uwaga ta właściwie niemiała żadnego praktycznego znaczenia, gdyż najpierw miałaby wejść w praktyczne zastosowanie

dopiero po cyfrowem stwierdzeniu uszczerbku, więc po zupełnem przeprowadzeniu reformy a powtóre wobec niedostateczności funduszów krajowych, wnioski indemnizacyjne Stanów na wydatności tego źródła oparte, równały się w danym razie asygnacie na dobra — księżycowe. Ale Maurycy Kraiński, jako referent Wydziału stanowego, umiał wybornie wyzyskać sytuacyę. Zanim bowiem jeszcze zdołał br. Krieg uspokoić sfery rządowe w Wiedniu co do powyżej wspomnianych excesów chłopskich przy publikacyi reformy Stadionowskiej, wpłynął tam już memoryał Wydziału stanowego opracowany przez Maurycego Kraińskiego. Memoryał, tak co do rozmiarów jak i treści swojej możnaby nazwać poważnem studyem historyczno-prawno-społecznem o stosunkach agrarnych Galicyi od czasu wcielenia jej do monarchii austryackiej. Ze ścisłem przedstawieniem wszystkich zamysłów reformatorskich i urządzeń prawnych rządu austryackiego na tle pańszczyźnianem począwszy od cesarza Józefa, łączy się tam wyrazisty obraz sytuacyi aktualnej i dobitna krytyka najświeższego, Stadionowskiego, planu regulacyjnego. Na silnej zatem, niewzruszonej podstawie oparł Kraiński wniosek, który stanowił właściwie wznowienie raz już stanowczo, niemal szorstko uchylonej prośby szlachty, aby pozwolono jej zabrać głos w sprawie tego planu. „Po sprawiedliwości Waszej Ces. Mości — tak kończy się ten memoryał — spodziewa się najwierniejszy Wydział, że raczysz Najj. Panie w Swojej troskliwości o dobro najwierniejszych poddanych uwzględnić niejednokrotnie najłaskawiej wyrażony zamiar uszanowania praw dobrze nabytych, teraz przy przeprowadzeniu zarządzonej najw. postanowieniem z 12. listopada 1846 regulacyi pańszczyzny. Utwierdzony w tej nadziei jeszcze więcej najłaskawszą decyzyą co do kwestyi odszkodowania dziedziców ze środków krajowych oraz uwagą, że według tego co powyżej przedstawiono, majątek prywatny wielu rodzin zostałby zachwiany w razie, jeżeliby odszkodowanie za poniesione straty w powinnościach poddańczych nie nastąpiło równocześnie z ich regulacyą, ośmiela się najwierniejszy Wydział w myśl najuniżeńszej prośby dziedziców i §. 10. statutu organizacyjnego, złożyć u stóp Tronu najuniżeńszą prośbę, ażeby Wasza Ces. Mość wobec tak ważnego powodu najłaskawiej zarządzić raczył zwołanie Stanów".

Wpływ br. Kriega wówczas wystarczał jeszcze na udaremnienie wszelkich planów gremialnego traktowania sprawy pańszczyźnianej przez szlachtę. Jeżeli nie pozwolono jej zebrać się dla złożenia u stóp tronu najpokorniejszych uwag informacyjnych

o narzuconej przez Rudolfa hr. Stadiona regulacyi pańszczyzny, to oczywiście mowy nie było o zwołaniu Stanów, które miałyby daleko więcej do powiedzenia i mogłyby to uczynić w formie adresu do Cesarza. Każda sesya Stanów kończyła się takim adresem, więc niepodobnaby było nakazać odstąpienie od tego długoletnią praktyką uświęconego a w założeniu swojem arcylojalnego zwyczaju i to właśnie w rok po wypadkach lutowych 1846, kiedy głos deputatów miał szczególną doniosłość. W ówczesnym składzie Stanów nie brakło pewnie głów politycznych, z których wyszedłby był projekt adresu odsłaniającego przed tronem winę biurokracyi i jej odpowiedzialność za owe wypadki. Pierwszy Maurycy Kraiński byłby wystąpił z takim projektem.

Nie przyszło do zwołania Stanów ani do zebrania szlachty, ale snać w Wiedniu zaczęto już niedowierzać uspokajającym relacyom br. Kriega, skoro nie postąpiono według jego rady t. j. nie przyspieszono ostatecznego przeprowadzenia Stadionowskiej regulacyi pańszczyzny, lecz przeciwnie zwolniono tępo w tej mierze tak, że już nie było jej danem uszczęśliwić Galicyę. Zanim bowiem zdołano uporać się z nowemi pertraktacyami, przyszedł nowy gubernator Franciszek hr. Stadion, bynajmniej nie polegający ślepo na pomysłach swojego brata, a zanim nowy gubernator zdołał poprawić przedtem przygotowany projekt, rok 1848 położył kres wszystkim tym wysiłkom.

Nietylko nie dowierzano, jak powiedzieliśmy, w Wiedniu uspokajającym relacyom br. Kriega lecz wprost zaczęto się liczyć z grawaminami szlachty. Dnia 17. kwietnia 1847 bowiem wydane zostało najwyższe postanowienie, według którego dla projektu Stadionowskiego względnie dla tych grawaminów zwołana być miała ankieta złożona z delegatów Wydziału stanowego, „doświadczonych“ radców gubernialnych, „wypróbowanych starostów“ i delegatów prokuratoryi. „Rozumie się — tak opiewa końcowy ustęp tego najwyższego postanowienia — że wszelka publikacya rezultatów regulacyi powinności pańszczyźnianych w kołach poddańczych dotąd ma być wstrzymana, dopóki nie zapadnie najwyższa decyzya co do wniosków, które po zarządzonych obradach jak najrychlej przedłożyć należy“.

W czerwcu 1847 zebrała się ta ankieta pod przewodnictwem br. Kriega. Należeli do niej Agenor hr. Gołuchowski i Maurycy Kraiński, powołani jak rok przedtem przez br. Kriega jako delegaci czy mężowie zaufania Wydziału stanowego. Tak samo jak przed rokiem wystąpili i teraz obaj ci delegaci z *votum separatum*,

w którem ostrej ale rzeczowej krytyce poddali tak projekt Stadionowski jak i poprawki w ankiecie uchwalone. Są w tem piśmie nawet śmiałe — jak na ówczesną sytuacyę — przymówki do rządu. I tak n. p. pismo to zawiera na wstępie takie znaczące zastrzeżenie: „Ponieważ podpisani powołani zostali do obrad jako członkowie kollegium stanowego, przeto uważają za swój obowiązek przedewszystkiem złożyć oświadczenie, że nie zostali delegowani przez kollegium Wydziału stanowego a wskutek tego opinia ich nie może być uważana za wynik zapatrywań tego Wydziału. W wytkniętem bowiem postępowaniu Wydział stanowy pomijany był przy wszystkich obradach tyczących się regulacyi powinności poddańczych, więc odjęto mu tem samem sposobność poznania zapatrywań już nie samych stanów, lecz poszczególnych członków swojego kollegium". Dalszą przymówkę stanowi uwaga, że Rudolf hr. Stadion przy układaniu swojego projektu miał na myśli stosunki Morawy i nie liczył się z tem, że między Morawą a Galicyą zachodzi pod tym względem znaczna różnica. Wreszcie owa uroczysta, niemal demonstracyjna publikacya Stadionowskiego projektu w gminach, publikacya, którą potem przytaczano jako główny argument przeciw wszelkiemu zwlekaniu lub przerabianiu projektu, nazwane zostało w piśmie hr. Gołuchowskiego i Krainskiego krokiem dla nich niezrozumiałym, który „ze względu na wywołane w ten sposób niekorzystne wrażenie uważany być musi za godny ubolewania pospiech *(unliebsame Uebereilung)*".

Zaraz po objęciu urzędu gubernatora w sierpniu 1847, Franciszek hr. Stadion poznawszy sytuacyę wśród obywatelstwa w sprawie pańszczyźnianej, a mianowicie uznawszy słuszność skarg na szemat podatkowy, według którego poddani mieliby odrabiać pańszczyznę, szemat po doktrynersku założony i sprowadzający w praktyce nierównomierny rozkład powinności, postanowił chybiony projekt swojego brata ile możności przykroić do stosunków. W tym celu zwołał na konferencyę kilku starostów i radców gubernialnych a oprócz tego także właścicieli dóbr ziemskich. Obie konferencye odbywały się oddzielnie, najpierw konferencya urzędników, z której wyłonił się szereg wniosków, tyczących się więcej formy niż samej rzeczy. Wnioski te Fr. hr. Stadion wręczył powołanym do narad obywatelom ostrzegając ich jednak, że wszelkie życzenia i żądania wychodzące po za ramy głównej zasady okólnika gubernialnego z 25. listopada 1846 t. j. najwyższego postanowienia z 12. listopada tegoż roku (przyjęcie połowy dochodu ze wszystkich posiadłości poddańczych z potrąceniem kosztów uprawy

za miarę powinności poddańczych) nie mogłyby absolutnie liczyć na uwzględnienie. W skład tej ankiety obywatelskiej weszli: Stanisław Bohdan, Alexander hr. Cetner, Karol książe Jabłonowski, Jan Jaruntowski, Maurycy Kraiński, Karol i Kazimierz hr. Krasiccy, Karol br. Larisch, Antoni Mysłowski, Piotr br. Romaszkan, Leon hr. Rzewuski, Leon książę Sapieha, Władysław Skrzyński i hr. Wit. Żeleński.

Ankieta odbyła trzy posiedzenia a główną rolę w niej odgrywał Maurycy Kraiński, obrany referentem sprawy. Przekonawszy się albo raczej utwierdziwszy się w dawno już powziętem przekonaniu, że jeżeli główna zasada reformy hr. Rudolfa Stadiona ma być nietknięta, jak tego wymagał gubernator Fr. hr. Stadion, to reforma ta poprawkami podrzędnego znaczenia nie da się pogodzić z wymaganiami sprawiedliwości i słuszności tak co do dziedziców jak i co do poddanych, ankieta postanowiła imieniem szlachty wręczyć gubernatorowi własny projekt z memoryałem i prosić go, aby rzecz tę cesarzowi przedstawił. Z zadania tego wywiązał się referent Maurycy Kraiński a elaborat jego podajemy tutaj jako dokument już historyczny, odpierający najwymowniej podnoszone w rok później (1848) w sferach rządowych a nawet i obywatelskich przeciw szlachcie zarzuty, jakoby ona pragnęła udaremnić dzieło uwłaszczenia a skoro to było niemożliwem, przynajmniej przewlec tę wielkę reformę.

„Przekonani jesteśmy — tak opiewa ten dokument — że regulacya pańszczyzny okólnikiem gubernialnym z 25. listopada 1846 nakazana a przeprowadzona stosownie do pierwotnego szematu podatkowego albo z niektóremi modyfikacyami zasad w pomienionym okólniku orzeczonych, celowi przez Jego Ces. Mość najłaskawiej zamierzonemu odpowiedzieć nie może. Z jednej bowiem strony zatrzymując na dziedzicu gruntowym powinności wynikające ze związku poddańczego i władzy opiekuńczej równie jak i liczne wydatki ponoszone przez zwierzchności gruntowe w zastępstwie najwyższej państwowej władzy, zwierzchności te wystawioneby były na znaczne a przez Jego Ces. Mość niezamierzone straty. Pańszczyzna bowiem przynależy im nietylko jako odpłata za grunta w uzywaniu poddanych zostające, lecz także jako wynagrodzenie za dopiero co wymienione ciężary. Z drugiej strony utrzymanie tak szkodliwego dla obu stron związku poddańczego wraz z pańszczyzną, więcej niż kiedykolwiek znienawidzoną przez poddanych, wyglądających w chwili obecnej z gorączkowem upragnieniem reformy wszelkich istniejących stosunków, przyczy-

niłoby się tylko do spotęgowania panującego przeciw dziedzicom gruntowym a coraz zuchwalej i jawniej występującego rozjątrzenia i oporu poddanych.

Wskutek wyrażonego tutaj przekonania mamy sobie za obowiązek korzystać ze sposobności przedstawienia Jego Ces. Mości nowych wniosków w przedmiocie regulacyi stosunków poddańczych i z naszej strony przedkładamy projekt, który przestrzegając ściśle zasady wyżej powołanego okólnika cyrkularnego i uwzględniając przytem interes tak poddanych jak i gruntowego dziedzica zdołałby obok pożądanej dziedziców z poddanymi zgody przywrócić w kraju także wewnętrzne z tak błogiemi następstwami połączone bezpieczeństwo.

Tylko zupełne rozwiązanie poddańczego węzła, tylko całkowite zniesienie pańszczyzny i wszelkich inwentaryalnych powinności może naszem, niczem niezachwianem zdaniem, ukoić rozjątrzenie i nienawiść poddanych przeciw dziedzicom i między obiema stronami przyjazne zawiązać sąsiedztwo.

Jeżeli jednak ma być postawiona tama niechybnemu zniszczeniu tysiąca rodzin, jeżeli zapobiedz chcemy całkowitemu upadkowi kultury krajowej, to zniesienie pańszczyzny tylko za wynagrodzeniem dziedziców przeprowadzić można. Należałoby więc: I. Posiadaczom gruntów poddańczych nadać ich wolną własność a zarazem uwolnić zwierzchności gruntowe od wszelkich powinności bezpłatnego dostarczania poddanym środków na *fundus instructus* i *sarta tecta* oraz zapomogi w latach nieurodzaju. II. Z przeistoczeniem gruntów poddańczych na grunta wolnej, nieograniczonej własności, należałoby znieść wszelkie jakiejbądź nazwy naturalne służebności, daniny i powinności, a zarazem z ogółu dóbr gruntowej zwierzchności znieść ciężar oktawy [1]). III. W duchu zasady głównej okólnikiem cyrkularnym z 25. listopada 1846 orzeczonej, należałoby wynagrodzenie zwierzchnościom gruntowym należne wybadać i rodzaj uiszczenia w sposób wszechstronnym interesom odpowiadający oznaczyć.

W tym celu należałoby wszelkie prestacye poddańcze według fasyonowanej w r. 1820 ceny gromadami *in concreto* oznaczyć i tak osiągniętą sumę dochodów zwierzchności gruntowej porównać z kwotą przypadającą za uwolnienie dziedzica gruntowego od po-

[1]) Tak się nazywała prawna, do ósmej części wartości (ztąd nazwa) obciążająca dobra dziedziców gwarancya za ich powinności wobec poddanych.

łączonych ze związkiem poddańczym ciężarów, których ewaluacya nastąpiłaby podług zasad prawem określonych.

Przewyżkę dochodów zwierzchności gruntowej z porównania tych dwóch kwot wynikającą należałoby wynagrodzić do wysokości połowy oznaczonego w katastrze prowizorycznym czystego dochodu z gruntów poddańczych kosztem gromady a kosztem państwa co do kwoty tę połowę czystego dochodu przenoszącej. W takim układzie daniny poddanych nie odciągają się od połowy czystego dochodu z gruntu. Stosownie bowiem do naszego projektu ustają razem z pańszczyzną, kiedy przeciwnie w duchu okólnika z 26. listopada 1846 miałyby pozostać nie naruszone. W jaki sposób wynagrodzenie wypadałoby uskutecznić na koszt kraju, czy to w drodze opodatkowania, czy przez kreowanie papierów procentowych, tę kwestyę pomijamy tutaj jako przedmiot osobnej pertraktacyi podlegający.

Co do zdeterminowania wynagrodzenia należącego się dziedzicowi od poddanych wypada zachować następujące zasady: 1. Wyrachowanie odbywa się gromadami *(gemeindeweise)*. 2. Zasada główna w okólniku z 25. listopada 1846 wyrażona, ściśle ma być zachowana. 3. Za ogół wynagrodzenia na gromadę przypadającego, odpowiada cała gromada solidarnie.

Sposób, w jakieby gromada z przypadającego na nią wynagrodzenia dziedzicowi uiszczać się miała, podajemy następujący: Kwota wynagrodzenia przypadająca rocznie na gromadę, ma być uważana jako kapitał 5% i na taki kapitał wystawi gromada *in concreto* oblig. Od tego kapitału wypłaca gromada *in solidum* rocznie 5%, z czego 4% na czynsz dziedzicowi gruntu a 1% na umorzenie kapitału przypada. Z funduszu umorzenia w ten sposób powstałego, wykupywane być mają wylosowane obligacye, a tak z czasem umorzony będzie cały kapitał wynagrodzenia przypadającego od gromad całego kraju. Niezbędny przy operacyach tego rodzaju fundusz rezerwowy da się utworzyć przez zwleczenie o 2 lub 3 lata losowanie obligów. Po ukończeniu operacyi fundusz ten zwróconoby gromadom jako ich własność".

Po przedstawieniu wniosków co do postępowania przy wydawaniu, winkulowaniu i losowaniu obligów, wogóle co do finansowo-technicznej strony wykonania projektu powyższego, memoryał Maurycego Kraińskiego w ten sposób dalej objaśnia i uzasadnia przedstawione wnioski:

„Przy zaprowadzeniu przedłożonego tutaj systematu uważać należy, że z jednej strony możeby poddani napotykali trudności

w uiszczeniu się z procentów od przypadającego na nich kapitału wynagrodzenia, że z drugiej strony znana posiadaczy rustykalnych, oswobodzonych z węzła poddańczego niechęć do najmywania się choćby i po podwyższonych cenach do roboty na gruntach dworskich, niechęć niestety i dzisiaj już jawnie występująca, przyprawiłaby główną gałęź kultury krajowej o upadek, że więc ostateczności takiej należałoby zapobiedz. Sądzimy, że najskuteczniejszym do tego środkiem byłoby rozporządzenie, aby gromady *in concreto* z pewnej ilości robocizny pracą w oznaczonym czasie i podług cen oznaczonych wykonaną a to aż do wysokości procentów od kapitału wynagrodzenia przypadającego dziedzicowi gruntowemu uiszczać się były obowiązane. Rozporządzenie takie oprócz powyż dotkniętych korzyści przyniosłoby nadto pożądany środek obudzenia w włościaństwie popędu do zarobkowania i oszczędziłoby krajowi gwałtownych wstrząśnień w obiegu gotówki, nieuchronnych w razie, gdyby procenta od kapitału naraz gotówką wypłacone być miały.

Dla podźwignięcia kultury krajowej, dla uporządkowania majątkowych stosunków dziedziców gruntowych pożądanem byłoby najrychlejsze puszczenie w obieg obligów, wydanych dla właścicieli dóbr niezadłużonych. Gdyby to jednak ze względów finansowych albo może dla ustalenia potrzebnej gwarancyi obligów nie prędko nastąpić mogło, wypadałoby zapewnić ich wolny obieg przynajmniej na przyszłość zaraz po usunięciu obecnych przeszkód. Gdyby nakoniec zaprojektowane zupełne rozwiązanie węzła poddańczego dla względów stanu uskutecznić się nie dało, możnaby go nadal utrzymać, zachowując gruntowym zwierzchnościom wykonywanie sądownictwa patrymonialnego, którego koszta przy oznaczeniu sumy wynagrodzenia nie z niej strącane, ale przez poddanych w sposobie taxy lub innej jakiej do ilości dusz zastosowanej stałej opłaty zwierzchnościom gruntowym zwróconeby zostały.

W celu dokładnego utwierdzenia naszego projektu, pozostaje nam na koniec uprzedzić i zbijać zarzuty, któreby go spotkać mogły.

1. Zarzuconoby może, że uregulowanie stosunków poddańczych, tak już upragnione, w razie przeprowadzenia w sposób projektem oznaczony, wymagałoby dłuższego czasu. Gdzie jednak idzie o wyrobienie i przeprowadzenie stosunku tyczącego się tak różnorodnych interesów, gdzie idzie o dobro kraju i szczęście tylu milionów ludzi, zarzut podobny miejsca nie ma, upada zaś

zupełnie jeżeli się zważy, że zaprojektowanym sposobem regulacyę stosunków poddańczych możnaby uskutecznić w rok a najdalej w dwa lata, że więc obawa niebezpiecznych skutków z jej przeciągania, obawa oporu i burzenia się włościan ustałaby zupełnie już po roku a najdalej po dwóch latach. Natomiast wykonanie regulacyjnego okólnika bądź według pierwotnego podatkowego szematu, bądź według zaprowadzić się mających modyfikacyi musiałoby właśnie te przerażające skutki przedłużyć, zatem powiększyć jawny już teraz opór i rozjątrzenie włościan, szczególnie w tych licznych gminach, ktore nie doznają zmniejszenia prestacyi przez regulacyę okólnikiem zamierzonego.

Nie podlega bowiem żadnej wątpliwości, że poddani oczekując od spodziewanego prawa regulacyjnego zupełnej reformy dotychczowych stosunków uiszczaliby się z pozostawionej na nich okólnikiem regulacyjnym pańszczyzny i niezniesionych innych powinności z większym jeszcze niż dotąd oporem i odrazą. Zresztą w celu przyrzeczonego doraźnego ulżenia poddanym w pańszczyźnie, możnaby pewną część n. p. 25% natychmiast uchylić, co jednak przy obliczeniu wynagrodzenia należałoby uwzględnić i również natychmiast uwolnić dziedziców gruntowych od obowiązku zapomogi. W ten sposób uśmierzonoby niecierpliwość poddanych z tą jeszcze dla nich korzyścią, że z pomienionego zmniejszenia pańszczyzny wszystkim włościanom zarówno przyznanego, mieliby opłacać prowizyę dziedzicom gruntowym dopiero od dnia zamknięcia operatu regulacyjnego.

2. Zarzut, jakoby oszacowanie ciężących na dziedzicu gruntowym a z węzła poddańczego wynikających powinności dla braku ściśle określonych zasad wielu podlegało trudnościom, jest tylko pozornym. Jak bowiem zdeterminowane są te powinności i ciężary, jak utrzymanie sądownictwa, politycznej i policyjnej administracyi, poboru podatków, dostarczania poddanym opału i pastwiska, przepisami politycznemi oznaczonego, tak też wiadomo, ile oficyaliści, pełniący te powinności kosztów wymagają, jakiej wartości może być roczny opał i pastwisko. Oszacowanie zaś będzie daleko łatwiejsze, jeżeli nie z każdym poddanym osobno, lecz z całą gromadą razem przeprowadzone zostanie. Nie zaprzeczając wszakże w poszczególnych wypadkach niejakich trudności, winniśmy w celu zachęty do ich przełamania zwrócić uwagę na ogromne i najzbawienniejsze dla kraju skutki z przeprowadzenia całego projektu.

3. Zarzut, że gdy okólnikiem z 25. listopada 1846, tak uroczyście obwieszczonym, w włościaństwie tak żywe obudzono nadzieje zmniejszenia powinności, teraz może nie na czasie byłoby uchylać okólnik, tą zbijany uwagą, że, jak powszechnie wiadomo, okólnik powyższy bynajmniej nie zadowolił poddanych. Przy jego obwieszczeniu oznajmili włościanie bez ogródek, że przyrzeczone i w tem obwieszczeniu wskazane ulgi nie są dla nich dostateczne. Próżną zatem jest obawa, aby zmodyfikowanie okólnika w ten sposób, że zamiast ulżenia w powinnościach, całkowite ich zniesienie nastąpi, nie dało powodu do nowych niechęci. Przeciwnie, pewni jesteśmy, że podobna modyfikacya przyjętą będzie z najserdeczniejszą radością.

Nakoniec niech nam wolno jeszcze będzie poprzeć nasz projekt następującemi uwagami. Przedsięwzięta regulacya w duchu okólnika z 25. listopada 1846 i dołączonego podatkowego szematu pozbawiłaby wiele zwierzchności gruntowych powyżej 80% z posiadanej dotąd pańszczyzny a modyfikacye szematu zaledwieby przyniosły nieznaczne zmniejszenie tej straty. Przy oczekiwanem i nastąpić mającem w takich stosunkach zupełnem zniesieniu pozostałej jeszcze pańszczyzny, zwłaszcza jeżeliby to według zasad w innych prowincyach niedawnemi czasy podniesionych dokonane być miało, nietrudno o to, aby w wielu miejscach zaszedł ten niepodobny do wiary a przecież rzeczywisty wypadek, że zwierzchność gruntowa w zamiarze uwolnienia się od powinności względem gromady przez kompensacyę pańszczyzny pozostałej, musiałaby gromadzie tej jeszcze dopłacić albo, co na jedno wychodzi, byłaby jej winna wynagrodzenie z powodu, że pańszczyzna po regulacyi pozostała o wiele niższą miałaby wartość, aniżeli wynikająca z węzła poddańczego a okólnikiem nadal utrzymane ciężary.

Przez regulacyę pańszczyzny według szematu podatkowego opuszczonoby poddanym 27% z całorocznej dotąd w Galicyi odrabianej pańszczyzny. Dar więc Najj. Pana dla poddanych najłaskawiej przeznaczony wynosiłby 27% dziś istniejącej pańszczyzny. Przyjąwszy zaś nasz projekt z wyłuszczonemi w nim zasadami, według których pańszczyzna miałaby być całkowicie zniesiona, ulgi i korzyści dla poddanych byłyby o wiele znaczniejsze. Otrzymałby bowiem poddany grunt na wolną własność a okoliczność ta wielkiej jest wagi, gdyż z własnością zupełną zyskałby poddany do wolnej dyspozycyi daleko większy kapitał, aniżeli ze służącem mu dotąd prawem do własności użytkowej. Nie podlega przytem

wątpliwości, że wolna własność wyżej stoi w cenie od własności użytkowej, która tem mniejszą ma wartość, ile że z nią połączone zostają według okólnika z 25. listopada 1846 prestacye osobiste. Według naszego projektu poddany obowiązany jest wynagrodzić co do pańszczyzny i innych danin tylko ilość, odpowiadającą połowie czystego dochodu ze swojej gruntowej posiadłości. zatem opuszcza mu się bezpłatnie wartość pańszczyzny, połowę czystego dochodu z gruntu przynoszącej, a gdy zwykłym w kraju naszym procentem od umiarkowanej kwoty indemnizacyjnej także i kapitał umarza, przeto zyskuje tem samem 20%, które na umorzenie kapitału przeznaczono. Krótko mówiąc, poddany umarzałby kapitał indemnizacyjny kwotą, którąby dziedzicom włościwie jako roczna renta powinna być spłacana. Tem się też dzieje, że najłaskawsze zamiary Najj. Pana co do niesienia ulgi poddanym rozwiniętym tutaj projektem osiągnąć można w daleko wyższym stopniu, aniżeli przez wykonanie regulacyjnego okólnika i uniknie się przytem tak rażących nierówności, na jakie zamierzona regulacya co do strat i zysków naraża obie interesowane strony. Przemilczeć też nie godzi się, że zmniejszanie pańszczyzny bez wszelkiego wynagrodzenia, jak to zamierzono uczynić regulacyą według okólnika z 25. listopada 1846, podkopałoby zasady moralności u włościan. Wskutek takiej zmiany bowiem poddany albo przejąłby się przekonaniem, że pańszczyzna była prestacyą dziedzicowi gruntowemu nieprzynależną, a takie przekonanie w razie zmuszonego wykonywania pozostawionej po regulacyi pańszczyzny wzbudziłoby w nim podejrzenie i niechęć ku samemu rządowi, albo znowu skłoniony do uważania pańszczyzny za własność prawną gruntowego dziedzica straciłby musiał wszelkie dla cudzej własności poszanowanie.

Jedyny środek uniknienia wszystkich powyżej nadmienionych niedogodności i smutnych następstw widzimy tylko w zupełnem zniesieniu pańszczyzny i wszelkich urbaryalnych powinności za wynagrodzeniem, odpowiadającem zasadom orzeczonym przez Najj. Pana i w rozwiązaniu węzła poddańczego z jego wszystkiemi znienawidzonemi powinnościami. Powtarzamy więc jako najsilniejsze i najszczersze przekonanie nasze, że w ten tylko sposób rozjątrzenie włościan przeciwko dziedzicom gruntowym ukoić a spokój i bezpieczeństwo w prowincyi naszej na przyszłość upewnić można. Nie wiemy, czy projekt niniejszy przy wypracowaniu zapowiedzianej ustawy regulacyjnej uwzględniony będzie lub nie, uważalibyśmy jednak zawsze za wielką dla kraju korzyść, aby zarys ustawy

regulacyjnej przedłożony został Stanom krajowym na najbliższym sejmie dla wzięcia go pod obrady i osądzenia. Zgromadzeni na sejmie właściciele ziemscy znajdą zapewne w doświadczeniu swojem niejedno do tak ważnego przedmiotu objaśnienia i niejeden środek do łatwiejszego rozstrzygnięcia trudności regulacyjnego operatu. Tym sposobem zostałyby dotrzymane najłaskawsze przyrzeczenia co do regulacyi stosunków poddańczych przez Najj. Pana i jego przodków Stanom galicyjskim udzielone, zostałyby uwzględnione wszelakie stosunki, które przy wypracowaniu ustawy regulacyjnej ocenione być powinny, jeżeli ustawa ta ma wzbudzić ufność w kraju i osiągnąć zamierzone nią dobroczynne skutki".

Gubernator Fr. hr. Stadion o tyle uwzględnił ten memoryał szlachty, że powstrzymał wykonanie okólnika z 25. listopada 1846 co do szematu podatkowego, na którym oprzeć się miał nowy wymiar powinności poddańczych a swoją drogą zajął się opracowaniem nowego projektu w obrębie zasad tego okólnika.

Zupełnie bezcelowem byłoby zapuszczanie się w domysły, jaki obrót byłaby wzięła sprawa pańszczyźniana w razie, gdyby ruch marcowy z r. 1848 i wynikłe stąd hasło dobrowolnego darowania pańszczyzny nie były zniewoliły rządu do dorywczego jej zniesienia. To jednak dla ścisłości historycznej zaznaczyć wypada, że w tece Maurycego Kraińskiego znajdują się odpisy relacyi Stadionowskich i dwóch projektów patentów pańszczyźnianych, z których wynika, że we Lwowie i we Wiedniu myślano o znacznem ulżeniu warunków, pod jakiemi regulacya pańszczyzny zadekretowana została okólnikiem gubernialnym z 25. listopada 1846. W jednym projekcie patentu dzień 15. lipca 1848 oznaczono jako termin wprowadzenia w życie regulacyjnej normy pańszczyźnianej z tem postanowieniem, że dziedzicom tracącym na regulacyi więcej niż $^1/_3$ dotychczasowego dochodu z pańszczyzny, ubytek wynagrodzony zostanie ze skarbu państwa, w drugim projekcie zaś umieszczono szereg postanowień, mających umożliwić i ułatwić umowy między dziedzicami a poddanymi o wykupno pańszczyzny lub o jej zamianę na czynsze.

(Dokończenie nastąpi).

Dr. Bronisław Łoziński.

# POSTĘPY W ASTRONOMII I FIZYCE

## OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW

### AŻ DO KOŃCA XIX. STULECIA.

(Szkic historyczno-naukowy).

(Ciąg dalszy).

V.

W ostatnich 4 latach zeszłego stulecia (XIX.) odkryto małych planet, także asteroidami zwanych, przeszło 30, wszystkie niemal na drodze astrofotografii i (z jedynym wyjątkiem Erosa) wszystkie w tej samej strefie, w której orbity reszty dotychczas odkrytych leżą. Nie wszystkie jednak są już ponumerowane i nazwane, bo wiele z nich pozostaje jeszcze aż do ukończenia obliczeń ich orbit na boku ze swojemi tymczasowemi znakami, jak n. p. planety DP i DU, odkryte w Nizzy przez Charloisa, pierwsza w nocy 16. lipca 1898, druga 8. listopada t. s. r. Zwały się też zrazu: jedna DP. druga DU. Astronom Wolf, prof. w Heidelbergu, w odkrywaniu asteroidów przez astrofotogramy bardzo szczęśliwy, odkrył sam przeszło 20, lecz z nich wiele musiano wykreślić, gdy się przekonano, że nie są — jak Wolf podawał — nowymi... Planetoid Charloisa DP, zatwierdzony jako Nowy, otrzymał pod koniec roku 1898 liczbę 437, a późniejszy 1898 ED liczbę 441. Jest on z rzędu setnym z odkrytych przez tego francuskiego astronoma planetoidów. Wszystkie swoje odkrycia zawdzięcza on astrofotografii. W jednym roku 1893 odkrył 24 małych planet, które sam należycie zobserwował. Drugim takim, niezmordowanym i równie szczęśliwym poszukiwaczem asteroidów, jest dr. Palisa w Wiedniu, który do marca 1892 r. wyłącznie w drodze optycznej, bez używania astrofotografii, 83 takich ma-

łych planetek w pasie przestrzeni niebieskiej pomiędzy Marsem a Jowiszem wyszukał i oznaczył.

Z tych wszystkich licznych odkryć, szczególnie w ostatniem dziesięcioleciu — biorąc rzecz ściśle przedmiotowo — tylko dwa są nie tylko ciekawe, ale także bardzo ważne. Jedno w dniu 13. sierpnia 1898 przez Witta w Berlinie teleskopem i tego samego wieczora także przez Charloisa w Nizzie na drodze astrofotograficznej wykonane i pod tymczasowym znakiem DQ zapisane, a drugie w dniu 11. września t. s. r. przez Wolfa w Heidelbergu zrobione, które odkrytemu przedmiotowi tymczasową nazwę prowizoryczną DR przyniosło. DQ już zaraz po pierwszem odkryciu nadzwyczajnie prędki bieg okazywał, z czego słusznie wnoszono, że biegnie po elipsie wielce ekscentrycznej i właśnie w afelowej opozycyi się znachodzi. Droga przez Berbericha w Berlinie, z 18-dniowych obserwacyj obliczona, zgadzała się niemal całkiem z obliczeniami innych astronomów-rachmistrzów, a vicedyrektor strażnicy Collegii romani, Millosevich, którego obserwacye najdłuższy łuk orbity tej obejmowały, ogłosił doniesieniem swoim do wied. strażnicy dyrektora dr. Weisa, następujące elementa drogi:

Przechód przez perihelum: 29. stycznia 1894 r.; długość perihelu 120° 41·3'; długość węzła wznosząc..., 303° 27·8'; nachylenie 10° 48·6' (średni Ekw. 1898·0); większa półoś orbity 1·4545; mimośród 0·2229; czas obiegu 644·07 dni; średni dzienny ruch syderyczny 2012·22".

Ta planetoida ma więc istotnie większą półoś swej orbity nieco krótszą aniżeli Mars, wskutek czego jej obieg dokoła słońca o 22 dni jest krótszy od czasu, w którym Mars jeden swój obieg około słońca wykonuje. Półoś ta wynosi 1·4595 półosi drogi ziemskiej, podczas gdy u Marsa ta półoś liczbą 1·5237 wyraża się. Dla wielkiego mimośrodu swej orbity sięga ona w afelu daleko po za orbitę Marsa i wpada nawet w orbity niektórych bliższych słońca asteroidów, jak Agaty i Ewy. Zato w perehilu obniża się odległość jej od słońca aż do liczby 1·134 i wtedy zbliża się ona do ziemi na odległość 0·153 t. j. 3,040.000 mil geogr. czyli 22,800.000 kilometrów (w przybliżeniu).

Staranne obserwacye onej prowadzono też w Strassburgu, Wiedniu, Teramo (na górskiej strażnicy prywatnej dr. Cerullego we Włoszech) i na wielu innych miejscach, poczem uznano ją za Nową, opatrzono zwykłym znakiem (433 DQ) i nazwano Erosem. Tak długie zajmowanie się astronomów tem małem ciałem nie-

bieskiem miało na celu oznaczyć bieg jego jak najdokładniej w czasie najbliższym, kiedy się zbliży tak bardzo do ziemi, że będzie można przezeń oznaczyć parallaksę słońca, a tem samem i odległość jego od ziemi jak najdokładniej obliczyć. W tym czasie nadeszło niespodzianie z Ameryki od dyrektora astron. obserwatoryum w Cambridge (Mass) doniesienie do centralnej stacyi astron. w Kilonii, że najdokładniejsze oznaczenia miejsc tego ciała, pochodzące jeszcze z lat 1892—1896 na płytach astrofotograficznych, przechowywanych na górskiej stacyi Arequipu w Andach Peruańskich, dały się odszukać w całości, zatem obserwacye potrzebne do ścisłego obliczenia Erosa już od dawna są w ręku Dyrekcyi zakładowej, która sprawą tą energicznie się zajmuje i nawet spektrograficzne odbicia, dokumentujące jednolitość fizykalnych własności materyi tego ciała z resztą małych planet posiada w swych zbiorach. Na wezwanie dyrektora E. C. Pickeringa, Miss Fleming z nieporównaną punktualnością przejrzała i ponotowała wszystkie obserwacye w ostatnich przybliżeniach Erosa do ziemi zebrane i wykazała, że planetka ta w swoich pojawieniach się na poziomie Arequipy więcej jak 20 razy na płytach fotograficznych od r. 1892 do 1896 zaznaczyła się, a prof. Instytutu Chandler przeprowadził znowu ze swej strony na tych danych oparte obliczenia elementów jej orbity, które się nie różniły od obliczeń wyżej podanych profesora i vicedyrektora Millosevicha w Rzymie. Z tych wszystkich ze sobą zgodnych obliczeń okazało się, że przybliżenie Erosa do ziemi w grudniu b. r. (1900), mianowicie w dniach „Bożego Narodzenia“ (27—29. grudnia) będzie istotnie największe, dojdzie bowiem (okrągło) do 47 milionów kilometrów, podczas gdy Wenus najbliższa ziemi planeta i wtedy najjaśniejsza przybliża się do niej w najlepszym razie na 40, a Mars (znowu najbliższy sąsiad z drugiej strony) tylko na 57 milionów kilometrów. Erosa więc w onym krytycznym czasie będzie można w różnych miejscach na stropie Nieba obserwować z różnych miejsc na ziemi, — stosunkowo dosyć wysoko na niebie i to przez czas długi, prawie przez 2 miesiące, która to okoliczność jest bardzo wygodna do oznaczenia kąta, pod którym średnica ziemi w znanem, w jednościach promienia orbity ziemskiej wyrazić się dającym oddaleniu od ziemi przedstawia się oku naszemu. Z tego zaś da się znowu obliczyć paralaxa słońca, t. j. kąt, pod którym, patrząc ze słońca na ziemię, widziałoby się jej promień. Wyraziwszy tedy jego długość w kilometrach, można bardzo łatwo w tej samej powszechnie znanej jednostce długości ściśle

oznaczyć średnią odległość słońca od ziemi. A że ta odległość już dawno jest przyjęta za miarę wszelkich odległości od siebie ciał niebieskich, tak w systemie słonecznym jak i w całej przestrzeni światowej, więc znając ściśle paralaxę słońca ma się jedną, powszechnie znaną miarę w kilometrach wyrażoną do wszystkich pomiarów na niebie i na ziemi. I dlatego to astronomowie z taką skwapliwością starali się już od dawna przyjść w posiadanie łatwego i pewnego sposobu obliczania „paralaksy słońca“ jak najściślej.

Dotychczas planetę Wenus do tego celu używali, gdy się ona jako czarny punkcik czyli ciemna plamka na słońcu przesuwa poprzed tarczę słoneczną, t. j. kiedy rzadkie zjawisko przechodu Wenusa poprzed słońce odbywa się i trwa w najlepszym razie zaledwie parę godzin. Ostatnie takie dwa przejścia w XIX. stuleciu odbyły się w latach 1874 i 1882 a najbliższy taki przechód nastąpi dopiero w r. 2012. Jest to trudność nie mała do takiej obserwacyi doczekać, zwłaszcza gdy się uwzględni jeszcze i tę okoliczność, że właśnie pokonawszy już wszystkie trudności, przed samem nadejściem zjawiska, gdy już wszystko do podjęcia obserwacyi jest przygotowane, lada chmurka lub zamglenie nieba może łatwo udaremnić cały trudny i kosztowny zachód. Eros zaś prawie nigdy takiego zawodu powszechnego nie zrobi na długo, gdyż przez całe niemal dwa miesiące w onym czasie krytycznym w jednakiem prawie od nas oddaleniu jak Wenus, pod korzystnemi zresztą stosunkami i warunkami, będzie dla obserwacyj i obliczeń na wielu rozmaitych miejscach ziemi widomy i na wygodne badanie teleskopami, spektroskopami i astrofotograficznemi środkami wystawiony. Szczególnie astronomowie na północnej ziemskiej półkuli znajdą się w bardzo korzystnem i dogodnem położeniu przyjścia łatwym sposobem do oznaczenia tej bardzo ważnej stałej (miary) w bieżącym roku 1900, przygotowawszy się do tych obserwacyj należycie.

Druga, także ciekawa planetoida, w krótce po Erosie przez Wolfa na fotogramie odkryta DR, została najprzód przez Palisę w Wiedniu obserwowaną, który aż do 6. stycznia 1899 r. trudnił się nią starannie i ułożył prawie 4-miesięczny szereg dat obserwacyjnych, mogących jej orbitę dzisiejszą niezawodnie na przyszłość zabezpieczyć. Dał jej więc sygnaturę finalną (434 DR). Nachylenie jej orbity do ekliptyki zapowiadało się już zaraz po odkryciu jako bardzo znaczne, gdyż niezwykle prędki ruch dzienny, wynoszący 24 minut w deklinacyi, na coś podobnego wskazywał.

Ze zaś półoś jej drogi obiegowej dokoła słońca okaże się u niej daleko mniejsza, aniżeli u każdej innej z małych planet dotychczas znanych — z jedynym wyjątkiem Erosa — tego się niespodziewano. Poznał to znowu najsamprzód Berberich, który na podstawie obserwacyi, na wiedeńskiej strażnicy przeprowadzonych, ogłosił następujące obliczenie elementów orbity tej asteroidy:

| | | |
|---|---|---|
| Przejście przez perihel: 2. maja 1898 r.; | | |
| długość perihelu . . . . . | 297° 48'·1 | śred. |
| długość węzła podn. . . . . | 174° 37'·9 | Ekw. |
| Nachylenie płasz. orbity do ekl. . . . . | 22° 33'·6 | 1894 |
| Wielka półoś orbity . . . . . | | 1·9466 |
| Mimośród . . . . . | | 0·0740 |
| Średni ruch syder. dzienny . . . . . | | 1306''44 |

Czas obiegu 992 dni, czyli lat 2.716.

Na ostatnim kongresie astronomów w Budapeszcie w jesieni roku 1899, zaproponował Wolf dla niej nazwę Hungarya — na cześć stolicy Węgier, w której kongres obradował, — co też jednogłośnie przyjęto... Do tego czasu uważano Sitę (244), mającą półoś orbity = 2·1746 i czas obiegowy = 3·219 lat, za najbliższą planetoidę słońca; dziś zaś wiemy, że z pomiędzy małych planet z grupy pozamarsowych, Hungarya (434 DR), odbywa swe biegi okresowe w przestrzeni świata słonecznego w najkrótszym czasie, przynajmniej o pół roku krótszym, niż Sita i trzyma się w bliższem oddaleniu od słońca, niż ta ostatnia.

Do sukcesów, osiągniętych w badaniu głównych planet w ostatnich latach zeszłego stulecia, należy też prawdopodobne zakończenie dwu wiekowego prawie sporu pomiędzy astronomami w kwestyi oznaczenia doby rotacyi czyli czasu jednego obrotu planety Wenus dokoła swej osi. Do czasu odkrycia teleskopu w r. 1610, zjawisko to na niebie znane było tylko u naszej ziemi i jej księżyca. Później spostrzeżono je także u słońca i niektórych planet w systemie słonecznym. Fabricyusz Scheiner i Hariot obserwowali posuwanie się plam na tarczy słonecznej i na tych obserwacyach oparli swój wniosek o ruchu obrotowym (rotacyi) słońca (1610 i 1611). U Marsa Fontana (w r. 1636), u Jowisza Dominik Cassini (w r. 1665 i 1666), u Saturna W. Herszel (w r. 1794) zjawisko to obserwacyami swemi udowodnił. U Neptuna i Urana dla wielkiej ich odległości od ziemi, tudzież u Merkurego dla znacznej jego od nas odległości a małej średnicy, wielkiej zaś bliskości słońca, w którego

promieniach światła on (że tak powiem) topi się i dlatego powierzchnia jego zaledwie jest do jakich takich obserwacyi widzialną, nareszcie u Wenusa pomimo znacznego blasku planety i czasami nie tak wielkiej odległości od nas dla zbyt gęstej i grubej atmosfery, która ją ze wszech stron uporczywie osłania i oku naszemu do stałej powierzchni nawet przy użyciu najsilniejszych dziś teleskopów rzadko kiedy na małych tylko obszarach dostawać się pozwala, — obserwacye powierzchni tych globów są bardzo trudne i wskutek tego oznaczenia peryody rotacyi nie pewne. Przedmioty wybitniejsze, spostrzeżone na tarczy Wenusa jako plamy lub miejsca jaśniejsze przy równiku planety, posuwają się widocznie od W. ku O. powoli co raz dalej, znikają na jakiś czas i pokazawszy się na drugiej stronie tarczy zdążają nareszcie znowu na to samo miejsce, od którego się obserwacya rozpoczęła, z czego wnosić można, że Wenus kręci się istotnie około swej osi, lecz czas obrotu nie jest i nie może być całkiem pewny, a nawet przy każdej seryi takich obserwacyj jednaki, jeśli za przedmiot obrana plama lub osobliwsza jasność nie jest stałym przedmiotem samej powierzchni planety, lecz tylko albo prostem jakimś mamidłem optycznem, nieznanem obserwatorowi, albo miejscem zmiennem w jego grubej atmosferze, gdyż tylko stałe (nie zmieniające się) przedmioty powierzchni planety są przydatne do okazania czasu jej obrotu dokoła swej osi.

Pierwszym, który pracę badania Wenusa w tym celu przedsięwziął w r. 1606, był astronom Dominik Cassini. Po całorocznem prowadzeniu swych obserwacyi przyszedł on do przekonania, że Wenus jedną rotacyę dokoła swej osi w czasie nieco mniejszym niż nasza doba (jeden nasz dzień) wykończa, musi się jednak otwarcie przyznać, że niepodobna mu tej peryody rotacyi oznaczyć całkiem dokładnie. Nie umiał nawet powiedzieć z pewnością, czy to, co na tarczy planety spostrzegał, było rotacyą, czy może tylko libracyą, gdyż nieraz ta sama plama, którą obserwował, po upływie już 23 h jawiła się znowu o tej samej godzinie na tem samem miejscu, co przedtem, podczas gdy inna 25 dni i kilka godzin, z małemi nieregularnościami, do tego potrzebowała. Prałat Bianchini w Rzymie, wykonał w r. 1726 całe szeregi takich samych obserwacyj i przyszedł do wniosku, iż rotacya Wenusa dokoła swej osi odbywa się w 24 dniach i 8 godzinach. Jakób Cassini, syn Dominika, w spółce z Maraldim robił swe obserwacye w Paryżu i znalazł peryod obrotu Wenusa równy 23 h 22 m. William Herszel przekonał się w r. 1777, że

takie obserwacye napotykają zawsze na bardzo wielkie trudności. Wszystko, co on w swojem wielkim teleskopie widział, składało się w bardzo wielu miejscach na tarczy planety z samych mamideł wzroku, głównie z powodu nieznajomości praw oświetlenia jej powierzchni. Czy zaś tam doba wynosi 24 h, czy trochę więcej lub mniej, tego nie umie powiedzieć z pewnością. Przekonany jest wszakże o tem, że okres 24 dniowy jest bezwątpienia nieprawdopodobny. Astronom Schröter po dłuższych obserwacyach oświadczył się także za czasem krótszym = 23 h 21 m 19" sec, opierając swoje wnioski na wyglądaniu rożków Wenusa w czasach nieoświecenia całej tarczy planety. Według niego, ścisła peryoda rotacyi powinna leżeć między granicami czasu 23 h i 23 h 40 m. Na wezwanie Olbersa, wystosowane do astronomów włoskich, którzy mają niebo pogodne i zawsze posiadają na swych strażnicach dobre teleskopy, astronom rzymski De Vico robił z Palombą podobne obserwacye w trzyleciu 1839—1841. Zrobiono ich razem 11.000, z których jeden tysiąc musiano wykreślić jako nieprzydatny do uwzględnienia przy układaniu ostatecznych wniosków. Z 10.000 pozostałych wyprowadzono dwie konkluzye graniczne: a) 23 h 40 m, b) 23 h 15 m, z których znowu De Vico (robiąc rozmaite jeszcze uwzględnienia) ostatecznie peryodę jednego obrotu = 23 h 20 m 15", wywnioskował. Także Gruithuisen (1813—1847), Mädler, Vogel, Lohse (obaj ostatni w 30 lat później) poświęcali swój drogi czas temu samemu przedmiotowi bez osiągnięcia pożądanego rezultatu, aż w r. 1877 słynny astronom medyolański, Schiaparelli, zabrał się z młodemi siłami znowu do niego i w ciągu jednego roku wykonał blisko sto rysunków, z których następujące, całkiem niespodziewane wnioski wysnuł:

1) Okres czasu rotacyi Wenusa jest bardzo powolny i zdaje się co do swej długości zgadzać z czasem jednego obiegu tej planety do koła słońca. Okresy mało co różniące się od 24 godzin, są wręcz do odrzucenia. Dawne obserwacye astronoma Dominika Cassiniego z r. 1666 łatwiej są do wytłumaczenia z dłuższej peryody rotacyjnej, 225 dni wynoszącej, niż z krótkiej 24 godz.

2) Wnioski późniejszych obserwatorów są też mylne, gdyż polegają w części na mylnych obserwacyach przedmiotów na tarczy wenusowej, do tego nieprzydatnych, w części zaś na dowolnych tłumaczeniach mamideł optycznych a nie zjawisk samych tamże, których ci obserwatorowie nie znali dokładniej i brali widziadła za same rzeczy, za istotne zjawiska.

Naturalnie takie kategoryczne oświadczenia znanego już z rozgłosu astronoma, musiały w świecie uczonych wywołać silne wrażenie, mocne poruszenie i narobić nie mało senzacyi. Niektórzy astronomowie, jak: Perrotin, Terby i Trouvelot już od r. 1878 począwszy, przyłączyli się do zdania Schiaparellego, ale bardzo wielu było też innego zdania, między nimi szczególnie profesor W. Wislicenus, tudzież Niester i Loeschard. Ten ostatni bardzo energicznie wystąpił przeciw Schiaparellemu i jego hypotezie nawet z pismem wniesionem do ces. Akademii Umiejętności w Wiedniu, Niesten zaś obserwacyami swemi na strażnicy w Brukseli, które razem z Stuyvaertem na nowo przeprowadzał, także skutecznie protestował.

Za długą, 225 dniową peryodą oświadczyli się wyraźnie Cerulli, Mascari, Lowell, Antoniady i Flammarion, nareszcie Fontsere w swoich *„Nouvelles observations de Vénus, effect. 1897“* (ob. *„Astronomische Nachrichten“* T. 143. str. 357), którego rysunki masę szczegółów na powierzchni planety wykazują. Flammarion w Juvisi wątpi nawet zupełnie, czy się kiedy uda na dotychczasowej optycznej drodze badania teleskopami przyjść do ścisłego poznania peryody rotacyi Wenusa.

Za krótkim okresem 24 godzinnym oprócz wymienionych wyżej astronomów, przemawiają żywo jeszcze Leon Brenner na Lussin piccolo i Villinger w Monachium

Przed stu kilkudziesięciu laty spierano się o peryodę rotacyi 24 godzinną i 24 dniową: w XIX. stuleciu toczył się ten spór dalej o liczby 24 h, 24 d i 225 d, a właściwie z opuszczeniem średniej za całkiem nieprawdopodobną uznanej — aż do r. 1898.

Próby Villigera z kulami sztucznie oświeconemi i obserwowanemi podczas powolnej rotacyi z odległości 400 metrów ręcznemi dalekowidzami i ścisłe obserwacye Brennera i Niestena doprowadziły w końcu do konkluzyi, że w mowie będący okres rotacyjny Wenusa najprawdopodobniej 23 godz. 57 minut i 36·38 sekund czasu obejmuje.

Dla ostatecznego rozstrzygnięcia sporu w tej kwestyi podniesiono nareszcie myśl zastosowania i tu znanej w nowszej fizyce metody spektograficznej, która z wielkiem powodzeniem była już użytą do zbadania czasu rotacyi pierścienia Saturna, tudzież przy badaniu ruchu gwiazd podwójnych i bywa ciągle używaną przy badaniach ruchu gwiazd wogóle, a szczególnie ruchu w kierunku patrzenia przez teleskop, t. j. obserwowania go wzdłuż promienia wzroku *(Visionsradius)* dla mierzenia jego chyżości.

Podjął się tej pracy profesor astronomii i dyrektor obserwatoryum astron. w Pułkowie pod Petersburgiem, dr. A. Belopolski, i w zeszłym r. 1900 osiągnął bardzo ważny sukces. Przy użyciu dzisiejszych spektroskopów poprawnej konstrukcyi po kilku udałych próbach metoda spektralnej analizy okazała się bardzo przydatną do obserwowania czasu rotacyi planet i wymierzenia go u Wenusa [1]) (w przybliżeniu) dosyć dokładnie. Z otrzymanych spektogramów obliczenie ostateczne wykazało w przeciętnej liczbie peryodę = 24·7 godzinną jako czas potrzebny planecie Wenus do wykonania jednego pełnego obrotu około swej osi. Czas więc rotacyi Wenusa nie o wiele zdaje się różnić od naszej doby na ziemi, ale jak długim jest on w rzeczywistości, tego dziś jeszcze całkiem dokładnie nie wiemy — z matematyczną precyzyą na sekundy — podobnie jak bardzo wiele innych rzeczy nie tylko w astronomii, ale także w naukach wszystkich. *Homines sumus*....

Teraz możemy czasy rotacyi głównych planet, w średnim czasie astron. ułożone, podać w następującej tabliczce:

| | | | | |
|---|---|---|---|---|
| Merkury | Wenus [2]) | Ziemia | Eros [3]) | Mars |
| 87·9 dni (?) | 24·0 g. | 23 g. 56 m. | 2·5 g. według Crommelina wedł. innych 2·61 g. | 24 g. 37 m. 23 sek. |
| Jupiter | Saturn | Uran | | Neptun |
| 9 g. 55 m. | 10 g. 29 m. | ? | | ? |

Słońce, co do masy 800 razy większe, niż wszystkie ciała świata słonecznego razem wzięte, ma peryodę obrotu dokoła swej

[1]) A. Belopolski: Astronomische Nachrichten. Ein Versuch die Rotationsgeschwindigkeit des Venusaequators auf spektrographischen Wege zu bestimmen. Bd. 152.

[2]) Belopolski ma nadzieję, iż czulsze jeszcze spektografy, niż te, których on do obserwacyi swoich używał i najściślejsze obserwacye w znaczniejszej ilości wykonane, doprowadzą ostatecznie do liczby 24·0 g., w powyższej tabliczce za najpewniejszą podanej. (Czytaj też artykulik p. Józefa Rhedena w astron. Kalendarzu, wydanym na r. 1901 przez Dyrekcyę strażnicy astron. w Wiedniu).

[3]) Jeśli średnica równika erosowego jest 27 kilometrów długa, obwód tego Ekwatora wynosi 84·8 klm.; przy rotacyi więc jednostajnej, gdzie jeden obrót dokoła osi w 2 godz. i 30 min. (czyli 150 minutach) się odbywa, każdy punkt równika na powierzchni Erosa tylko o 942 centimetrów w 1" czasu posuwa się naprzód dalej w kierunku normalnym od zachodu na wschód, czyli posiada chyżość ruchu obrotowego c = 942 centimetrów = 9 metrów i 42/100,

osi = 25 dni i 4 godz., a biegnie na pozór do apeksu w konstelacyi Herkulesa z chyżością 4 mil. czyli około 30 km. w każdej sekundzie czasu, ma zaś (według zdania niektórych astronomów) posiadać rzeczywistą chyżość biegu po swej prawdopodobnej orbicie dokoła gwiazdy Alkiony w konstellacyi Plejad, równą 58 km. czyli 7·5 mil. geograficznym.

## VI.

O kometach i meteorytach, w związku z niemi będących, tudzież o rojach gwiazd spadających na innem miejscu obszernie pisałem. Tu tylko napomknę, że liczba tych osobliwszych ciał niebieskich jest bardzo wielka (może jednak nie tak przesadnie wielka, jak zdaniem Keplera, liczba ryb w morzach na ziemi). Do końca XIX. stulecia 18 komet za peryodyczne ogłoszono. Elementa ich orbit są tak dokładnie obliczone, iż każdego z nich, skoro się na niebie pojawi, zaraz po pierwszych obserwacyach poznać i bez obawy pomylenia się za gościa już znajomego powitać można. W dzisiejszych katalogach astron. i starych kronikach razem z teleskopowymi t. j. tylko w teleskopach widomemi kometami. tysiące takich ciał są zanotowane, które pojawiły się były blisko słońca, jakiś czas świeciły, potem oddaliwszy się od niego, więcej już do nas nie powróciły.

Co się zaś tyczy rojów gwiazd spadających zauważano dotąd na niebie już 32 miejsc takich, z których w pewnych czasach roku pojedyńcze meteoryty różnych tych rojów wystrzelać zdają się. Miejsca te nazwano radijantami, n. p. rój kwietniowy od 19. do 25. czynny, „Lirijadami“; roje od 9. do 14. sierpnia widywane „łzami św. Wawrzyńca“ *(Laurentiusstrom)* — (rozumie się w potocznej mowie ludu); rój z 13. do 15. listopada „Leonidami“, a z 23. listopada „Bielidami“. Niektóre z tych rojów są w bliskim związku z kometami. Liryjady są produktami rozsypania się na części komety I. z r. 1861;

---

podczas gdy w tym samym czasie (1'') na ziemi naszej każdy punkt podzwrotnikowy, oddalony od osi obrotu o promień ziemi pędzi dalej w tym samym kierunku z chyżością = 465 metrów, a zatem blisko 500 razy większą, na Jowiszu z chyżością = 13.000 metr. czyli prędkością 1.383 razy znaczniejszą, niż na Erosie.

Eros obraca się więc dokoła swej osi najprędzej pomiędzy wszystkimi planetami i do dziś dnia znanemi planetoidami.

rój św. Wawrzyńca powstał w części z komety III. r. 1862; Leonidy wyszły z komety I. r. 1866, a Bielidy z komety Biela, którego po roku 1852 już więcej ani razu nie widziano w tym stanie, jak dawniej do roku 1852, gdyż rozpadł się był na dwie części o 300.000 mil od siebie odległe a potem całkiem znikł i dopiero w r. 1872 jako rój asteroidów na nowo się pojawił.

Kometa Halleja był pierwszą gwiazdą z ogonem, której powrót do perihelu najprzód obliczono. Astronom Westphalen dokonał tego obliczenia i podał liczbę 76·3 lat na oznaczenie czasu jednego obiegu komety dokoła słońca. Potem udało się nawet jeszcze 17 takich powrotów (począwszy od r. 12 przed erą chrz. do r. 1835/6 po N. Chr.), skonstatować, w części z kronik histor. w części przez rachunkową interpolacyę w zestawieniu pojedyńczych okresów obiegowych, w długim czasie 1847 lat po sobie następujących... Bessel podczas ostatniego pojawienia się tego ciała niebieskiego w r. 1825 obserwował wyraźne pulsacye światła i rodzaj świetlistego prądowania materyi wewnątrz komety.

W średnich wiekach straszyła ona ludziska niepomiernie ogonem i całem wyglądaniem swojem, przy ostatniem zaś pojawieniu się na stropie niebieskim w r. 1835/6 była tylko kometą teleskopową, t. j. widzialną jeno w dobrych teleskopach. Po tyloletnim biegu w bardzo zimnych rejonach atelowych przestrzeni światowej i ciągłych utratach tamże pary, obracającej się ciągle w zimne prochy, a z różnych cieczy w kawały kamienne, gubiące się po drodze dla rozluźnienia się powszechnej grawitacyi ku słońcu pojedyńczych części odleglejszych i zarazem osłabienia wzajemnego przyciągania się tych ostatnich między sobą — nastąpiło w końcu w Zbiorowisku komety takie wycięczenie, takie wyczerpanie materyi, iż nietylko w tem oddaleniu afelowym ale nawet także w okolicach perihelowych nie było już możliwem widzieć dawniejsze średniowieczne straszydło gołem okiem, lecz tylko przez teleskopy.

Inne pod koniec XVIII. i wciągu XIX. stulecia bardzo ciekawe komety były:

*a)* Kometa Lexella, który w r. 1767 zbliżył się był do Jowisza tak znacznie, iż peryoda jego ubiegu do onego czasu bardzo długa, zamieniła się była na okres 6-letni; potem zaś podczas 3 powrotu do perihelu, przechodząc za blizko koło jednego z księżyców tego najpotężniejszego planety w systemie słonecznym, czas obiegu jego dokoła słońca znowu się powiększył niepomiernie. I wtedy to zbliżył się on był także do ziemi bardzo znacznie, tak

dalece, iż dzień nasz zmienić się był powinien o kilka sekund czasu, gdyby masa jego tylko $^1/_{10000}$ część masy ziemi była stanowiła. Średnica jego bez ogona miała 44.000 mil długości, ale gęstość była 20.000 razy mniejsza od gęstości powietrza w atmosferze naszej przy powierzchni ziemi, więc zbliżenie to komety żadnego widocznego wpływu na nią nie miało.

*b)* Kometa z r. 1811 w biały dzień widziany, był obserwowany przez Olbersa. Opisałem go obszernie w mojej broszurce z r. 1858, w Poznaniu wydanej, tudzież w I. tomie mego ostatniego dzieła, które przygotowałem do druku w styczniu 1901 r.

*c)* Kometa Donata z r. 1858. Świecił prawie tak jasno. jak czerwcowa gwiazda Arćtur, o której niżej będzie mowa. Jądro jego zmniejszało się bardzo prędko, gdy zdążał do perihelu; miał dwa ogony i był okazałym ciałem niebieskiem. Czas jego pełnego obiegu, z elementów orbity oznaczony, jest=2.500 lat.

*d)* Kometa z r. 1860 miał ogon 80° długi, afel 18.000 milionów, perihel zaś tylko 130.000 mil od słońca oddalony, chyżość biegu w afelu=4 metr. a w perihelu 79 mil (na sekundę) wynoszącą, — mimośród prawie=1, bieg zaś wsteczny t. j. skierowany od Wschodu na Zachód (O—W)..

*e)* Kometa Coggiasa III. z r. 1874. Wysełał z jądra swego światło spolaryzowane, którego widma były z początku wątpliwe. Czas obiegu dokoła słońca miał według obliczeń wynosić około 12.000 lat (!?)...

*f)* Kometa II. z r. 1881, gołem okiem widziany, równie jak jeszcze jeden z tego roku. Okazywał jądro gwiaździste z wachlarzowemi promieniami światła. W ciągłem widmie jego znikało chwilami widmo trzytaśmowe, które w osłonie (Coma) było jednak widome i rozciągało się aż do najbliższych części ogona...

*g)* Kometa I. z r. 1882, zbliżając się do słońca coraz mocniej świecił, a w jego widmie zwykłe taśmy znikły, podczas gdy żółta linia Na z osobliwszą jasnością występowała, która za elektryczną naturą kometarnego światła przemawiać zdaje się. We wrześniu tego roku świeciła także kom. III. (1882) podobnie jak I. (1882) gołem okiem nawet w dzień w poblizkości słońca widziany: okazywał podczas oddalania się od słońca odwrotną zmianę w swojem widmie, mianowicie linia Na, w okolicach perihelowych widziana słabła coraz więcej z oddalaniem się od niego, robiąc miejsce widmowi trzytaśmowemu. Obie te komety z r. 1882 rozwijały w perihelach swoich elektryczną świecące Na pary, wrześniowy miał także w perihelu jądrowe wcięcie i wypuszczał z siebie pewną

REKCYA KAS... OSZCZ... MIASTA KOŁO... GO SĄD...

ilość lśniących się chmurek (mgławic) i mgławych rurek, później zaś jądro jego rozpadło się całkiem na 4 części osobne... Takie skutki pociągło za sobą zbliżenie się komety tego do słońca w tej małej perihelowej odległości=0·00775 wielkiej półosi orbity, która to odległość tylko 60.000 mil geograficznych wynosiła, zatem odległość księżyca ziemskiego od ziemi zaledwie o 10.000 mil przewyższała. Astronom-rachmistrz Kreutz w r. 1888 wykazał, iż do wytłumaczenia tego rozpadnięcia się jądra komety na kilka części nie potrzeba przypuszczać żadnej eksplozyi, gdyż same już różnice w chyżości biegu pojedyńczych rozluźnionych części masy w komecie w tej blizkości słońca wystarczają zupełnie, ażeby sama grawitacya jego wykonała w komecie podobne skutki, jakie explozye w ogóle i wszędzie zawsze sprawiają. Potwierdził to samo zdanie także Berberich w Berlinie, który u komet podobne wyrzucanie rojów meteorycznych nieraz uważał, odbywające się prawie w jednakowy sposób, jak odrywanie się błota na gościńcach od kół, gdy wóz prędko się toczy po mokrym gruncie, chociaż tu inna jest tego przyczyna, niż tam; tu mocowanie się przyczepności błota do koła z siłą odśrodkową prędkiego ruchu tego koła, tam zaś wszechmocna atrakcya słońca (grawitacya wszystkich części komety rozrzuconych luźnie w ogromnej jego przestrzeni (objętości), — silniejsza u tych, które bliżej słońca się znajdują, a słabsza u dalekich i to coraz słabsza u coraz dalszych w stosunku drugich potęg liczb wzajemne odległości od słońca wyrażających...

Nie wszystkie wszakże komety, które krótko widzimy na dalekiem niebie i które mają orbity bardzo długie, są już koniecznie gońcami Wszechświata, pędzącymi od gwiazdy do gwiazdy i uciekającymi od nich w szalonym pędzie, skoro się znajdą w ich bliskości, ażeby ujść możliwego ich uścisku, a biegnącymi w afelowych stronach przestrzeni tylko z chyżością rączego konia na wyścigach (=12 metrów), albo lokomotywy w pociągach pospiesznych (= 14 metr.), lecz daleko większa ich ilość do rejonu słonecznego nie na czas przemijający się dostała, ale w nim jako stały obywatel przebywa... Ich orbity ciągną się u niektórych tak daleko, że nieraz 1.000 a nawet 100.000 lat do jednego obiegu dokoła słońca potrzebować zdają się. W tej długiej pielgrzymce wydarza się też nieraz taki wypadek, że kometa zbliży się zanadto do Jowisza lub do niego i do Saturna razem, a wtedy traci tyle ze swej chyżości obiegu naraz, iż od pewnej epoki (miejsca swej orbity) zacząwszy, czas obiegu musi się pomiejszać i nareszcie do kilku tylko lat zredu

kować; poczem zdawać się będzie, że do systemu słonecznego dostał się nowy przybłęda... Gdy wtedy orbita takiego komety, który krótki czas obiegu otrzymał płaszczyznę ekliptyki przecina i równocześnie ziemia i kometa razem zbliżą się do tego punktu przecięcia obydwu tych orbit, może się z łatwością wydarzyć fenomen obfitego spadania jasnych meteorytów *(Sternschnuppenfall)*. Wielkie listopadowe zjawisko spadania gwiazd, które 3 razy w jednym stuleciu (co 33 lat) wydarza się, oczekiwane jest przez astronomów właśnie w r. 1901, gdyż ostatnie odbyło się w r. 1866/7. Przyczyną jego jest kometa, który błąka się gdzieś daleko na krańcach przestrzeni naszego świata słonecznego i prawdopodobnie w przeciągu dwóch lat znowu do nas powróci... Tyle tu o kometach; więcej o nich na innem miejscu pisałem.

Na tem kończę rzecz o Systemie słonecznym.

## VII.

O innych słońcach do niedawna stałemi gwiazdami nazywanych, które się w przestrzeni Niebios znajdują, nieco ważniejszego wspomnę w krótkości. Stałych gwiazd bez ruchu postępowego nie zna najnowsza astronomia. Wszystko, cokolwiek jest w przestrzeni światowej, posiada ruch postępowy i to bardzo prędki. Nie wiedzieli o nim ludzie dlatego, że gwiazdy są od nas niepomiernie oddalone. Najbliższa nas gwiazda a Centauri według dzisiejszego obliczenia ma jeszcze odległość 4·6 bilionów mil geograficznych, t. j. przeszło 36,,800.000,000.000 kilometrów. a jest powszechnie wiadomą rzeczą, że i na ziemi bardziej odległe przedmioty, nawet w prędkim ruchu będące, wydają się z razu jako całkiem nieruchome, zwłaszcza wtedy, gdy nie ma w pobliskości ich ani drzew, ani chat, które jako z pewnością już nieruchomo stojące mogłyby służyć do porównania i jakiegoś sądu. Dopiero po niejakim czasie oko poznaje, że wóz jedzie, a nie stoi na miejscu, jeździec galopuje i t. d.

Pierwszym, który na własne ruchy gwiazd i powolne zmiany ich miejsca na stropie niebieskim zwrócił uwagę astronomów, był Bessel. W r. 1844 wykazał on, że obydwie główne gwiazdy w konstelacyi Wyżłów (Canis), Syryusz i Procyon, odbywają własne ruchy, które z ruchu jednostajnego po linii prostej

żadną miarą wytłumaczyć się nie dadzą, lecz dopiero z połączenia go z ruchem kolistym należycie objaśnione być mogą. Wypowiedział więc zdanie, że Syryusz obraca się około ciała słabo świecącego i w bardzo jasnych jego promieniach, — dla niewielkiej ich obu odległości od siebie — prawie niewidzialnego, czyli, że on ze swoim ciemnym Akolitem (towarzyszem) obraca się dokoła wspólnego obydwom punktu ciężkości..., tudzież, że to samo czyni także Procyon. Było to długi czas tylko postulatem teoretycznej astronomii, dopóki Clark w Bostonie w dniu 31. stycznia 1862 r. nie odkrył wyraźnie tego Akolity wielkim refraktorem własnej konstrukcyi, mającym 47 cm. otworu przy objektywie. Nie jest on wcale zupełnie ciemnym towarzyszem, bo posiada jasność światła gwiazd 9-tej wielkości i możnaby go w słabych nawet teleskopach widzieć bez trudności, gdyby niemiał najjaśniejszej na niebie gwiazdy tak blizko przy sobie. Uwagi godnym jest tu zawsze fakt, że światło głównej gwiazdy (Syryusza) 16.000 razy przewyższa jasność towarzysza, podczas gdy masy ich obu mają się do siebie, jak 2:1, t. j. Syryusz tylko dwa razy większą masę, niż jego akolit posiada; co z obliczonego oddalenia ich obu od wspólnego środka ciężkości wynika. Gdy tu znana jest także paralaksa Syryusza, można było wywnioskować, że akolit taką samą masę posiada, jak nasze Słońce, Syryusz zaś podwójną. Czas obiegu wynosi u tego ostatniego 49 lat. Nachylenie i mimośród pomniejszyły były odległość ich od siebie w najnowszych czasach tak dalece, że akolit przez kilka lat był całkiem niewidzialnym, i dopiero w jesieni 1896 roku znowu go odnaleziono. Dla wielkiej jasności Syryusza jest on nawet w silnych teleskopach tak bardzo trudnym do widzenia. Średnia jego odległość od głównej gwiazdy ma wynosić 740 milionów mil geograficznych... Także dla Procyona żądał Bessel takiego akolitę, aby ruchy jego na niebie było można wytłumaczyć należycie. Później znaleziono i to ciemne ciało przy Procyonie i obserwowano je poraz pierwszy prawie równocześnie, jak straconego z oczu towarzysza Syryuszowego odszukano. Astronom Anwers obliczył elementa jego drogi, odpowiadającej czasowi obiegu około Procyona, który to czas *circiter* (ni fallor) równy jest czterdziestu latom naszym...

Niektóre gwiazdy pędzą w przestrzeni światowej z tak wielką, prawie niepojętą chyżością, iż przyciąganie całej reszty ciał Wszechświata niebyłoby wstanie biegu ich powstrzymać. Taką gwiazdą jest Arctur, przeszło 30 bilionów mil od nas oddalony i już w dalekiej starożytności od niepamiętnych czasów znany jako gwiazda,

świecąca przy czystem powietrzu w maju i w czerwcu wieczorem aż do północy pięknem czerwonem światłem w tem samem ciągle miejscu blizko zenitu nad głowami naszemi w północnych szerokościach. Chyżość jej biegu postępowego przez niektórych obserwatorów podaną została na 70 kilometrów w jednej sek. cz., przez innych zaś aż na 300 km. (Przyczynę tak wielkiej różnicy w zdaniach podałem już na innem miejscu)...

Inna gwiazda, mająca podobnie szybki bieg postępowy, jest zapisana pod liczbą 1830 w astron. katalogach Groombridge. Jej oddalenie od ziemi, co najmniej dwa miliony razy większe, niż odległość ziemi od słońca, wynosi około 40 bilionów mil geograficznych, czyli podając to oddalenie w latach biegu światła słonecznego, które samo posiada chyżość przeszło 40.000 mil w 1" czasu) 21·7 lat naszych. Chyżość więc rzeczywista jej biegu w przestrzeni światowej nie może być mniejsza, jak 43 mil geogr. czyli 320 kilka kilometrów w 1" czasu. Z tą chyżością podróżując, możnaby dokoła ziemi pod równikiem na wysokości chmur oblecić w przeciągu dwóch minut, — podróż aż do słońca odbyć w 5 dniach, a z punktu środkowego (centrum) przestrzeni naszego systemu słonecznego dostać się do jego ostatecznych krańców dopiero po upływie mnogich lat tysiąc tysięcy czyli jednego miliona (1,000.000) lat naszych. Nie znamy w naturze siły, któraby mogła masie tej jednej gwiazdy nadać taką ogromną wielkość ruchu, ani też siły, któraby potrafiła gwiazdę tę w ruchu powstrzymać czyli (jak gwar niesie) „siłę tego ruchu zniszczyć", gdyż dziś już uczeń maturzysta wie, albo wiedzieć powinien, że siły w przyrodzie tylko się me.amorfozują, ale nie niszczą, — ni to w całości, ani częściowo według ogólnej zasady. „Zachowania siły w Naturze" (ob. Pisma pomniejsze dr. Wojciecha Urbańskiego, Lwów 1869, artyk. VII., Ekonomia świata i artyk. XIV. Zasadnicze prawa natury...

Mała nareszcie gwiazda 8-ej wielkości na południowym niebie, obserwowana przez Kapteyna w Groningen, okazuje największe dotychczas znane posuwanie sferyczne na stropie niebieskim, wynoszące rocznie 8"·7, podczas gdy u poprzedniej taki sam ruch w jednym roku 7"·05, u gwiazdy Lacaille (9352) rocznie 6"·9, u gwiazdy podwójnej 61 Łabędzia (cygni) 5"·16 wynosi. Chyżość więc własnego biegu gwiazdy Kaptejnoskiej nie może być mniejsza, jak 400 kilometr. w 1" czasu. Niektórzy astronomowie przypisują jej nawet chyżość = 500 km. Chyżości tu podane, szczególnie ostatnia, są tak wielkie, iż przy dzisiejszych

teleskopach i metodach obserwowania nieba już po dwóch deceniach będzie można pozorne posunięcie się tych gwiazd na stropie niebieskim nawet gołem okiem widzieć i rozpoznawać bez teleskopu, skoro pozycye ich dawniejsze zostaną należycie zbadane i w katalogach zapisane. Nie są one wcale niemożliwemi, gdyż praktykują się nawet w naszym świecie słonecznem. Niektóre komety pędzą dokoła słońca w okolicach perihelowych z szybkością = 60 do 100 mil geogr. podczas gdy w afelowych tylko zaledwie 8 do 14 metrów w 1" czasu przebiegają. A samo słońce nasze wraz z nami, księżycem ziemskim, planetami, kometami i całą resztą ciał niebieskich do niego należących, ma bieg pozorny w przestrzeni światowej z chyżością około 30 kilometrów w 1" czasu, a rzeczywisty ponoś nawet, jak to wyżej powiedziałem, = 58 kilometr. około gwiazdy 3-ciej wielkości, Eta 25. „Alkjone" nazwanej i do „Konstelacyi Plejad" należącej. Jest też ona według hipotezy Maedlera (1855) o 573 lat od od ziemi oddalona. Ma więc nasz świat słoneczny dosyć miejsca do bujania tędy i owędy w tak olbrzymiej przestrzeni. Średnica zaś pierścienia „Drogi mlecznej" na niebie liczy długości 7·700, mówię: siedm tysięcy siedm set lat, co w potocznej mowie znaczy, że światło słońca naszego lub każdej innej gwiazdy dość jasnej od jednego końca tej diamentralnej linii do drugiego musi biedz 7.700 lat ciągle z jednakową chyżością, okrągło 40 tysięcy mil geograficznych czyli z prędkością światłu właściwą przeszło 300.000 kilometrów w każdej sekundzie czasu, ażeby się tam dostać ostatecznie!!!

Przestrzenie całego wszechświata (Makrokosmosu) są przeto niezmiernie wielkie, niezmierzone ($\infty^3$). Przebiegają w nich w najrozmaitszych kierunkach z niepojętemi chyżościami niezmiernie wielkie jasne i ciemne bryły, większe i mniejsze od naszego słońca, od Jowisza, ziemi i jej księżyca, tudzież mnóstwo komet i rozmaitych gromad gwiazd do innych osobnych systemów wszechświata należących, nareszcie ogromna wielorakość mgławic we wszystkich stanach skupienia materyi będących. Wszystko to jest tam w nieskończenie wielkiej ilości liczbowej rozrzucone. Cały ten ogrom światów *(Weltall)* i wszystkie jego części były i są w nieustannym ruchu. Zupełnego spoczynku nie było i nie będzie. Ostatecznych przyczyn tego ruchu (biorąc rzecz tylko ściśle naukowo) nie znamy właściwie dokładnie i tylko się ich domniemywamy. Prawo natury, najogólniejsze ze wszystkich nam znanych, dopiero pod koniec XIX. stulecia wyczytano z lepszem zrozumieniem

w otwartej ciągle Księdze Przyrody, która dawniej nawet dla bystrego umysłu myślicieli z profesyi na „siedm zamków“ była zaryglowana. Racyę bytu prawa powszechnej grawitacyi materyi, poznanego jeszcze przez Keplera, a udowodnionego (1666) przez sławnego Newtona w dziele jego: „*Philosophiae naturalis principia mathematica*“ on sam, (Newton), już tylko samemu Panu Bogu przypisuje, jako „Najwyższej istocie, która ten wszechświat stworzyła, utrzymuje i nim rządzi, i to rządzi nie jako dusza tego wszechświata, lecz jako Pan jego udzielny, po nad nim stojący, Wszechmocny, Wszechmądry i Najdobrotliwszy, Opiekun odwieczny“. Wyraz matematyczny jest bardzo prosty i łatwo zrozumiały. Proporcya $P : p = \frac{M}{D2} : \frac{m}{d2}$, w której litery *M*, *m*, masy, *D*, *d*, ich odległość od siebie, *P*, *p*, wielkości dotyczących sił oznaczają, zawiera w sobie całą treść jego. Silnych potrzeba nerwów mózgu na to, ażeby śród poważnych rozmyślań nad „Infinitami“ liczb przestrzeni i czasu, tudzież nad przyczyną grawitacyi w wszechświecie i ogromnych chyżości najrozmaitszych ruchów niezliczonych ciał niebieskich nie zgubić naturalnego wątku w myśleniu o rzeczach potocznych, do poznawania średnim rozumem ludzkim łatwiejszych. Co się tyczy rzeczywistej ilości wszystkich gwiazd na całym świecie, tej ponoś ludzie nigdy się nie dowiedzą z pewnością i bez tej wiedzy także się obejdą, równie jak się obchodzą bez znajomości wielu innych rzeczy ciekawszych i dla nas potrzebniejszych. *Hodie ignoramus adhuc diversissima*, ale wyrazu: „*Ignorabimus*“ nikt z moich ust nie usłyszy, gdyż nie było nigdy mojem zadaniem ani celem życia kołysać się w obrazach samej próżnej fantazyi. Urywam przeto medytacyę taką bez żalu, bo przyjdą po mnie inni myśliciele, którzy mieć będą więcej doświadczenia swego własnego i przodków swoich, a tem samem także więcej ogólnej wiedzy, zatem w dociekaniach metafizycznych posuwać się będą mogli jeszcze dalej od nas dzisiejszych, a próżnymi, czczymi bajarzami przy kominku, nazywać ich nie będzie wolno...

Więcej o różnych innych znanych nam podwójnych i potrójnych gwiazdach, o „Mlecznej drodze“, o „Wielkich mgławicach“, z których dziś formują się nowe światy w nieskończonej przestrzeni. „*Twasta acarana*“ i o „mgławych plamach“ na niebie, naszkicowałem dawniej osobny artykulik,

który w I. tomie gotowego już do druku ostatniego dzieła mojego pod tytułem: „Wiadomości o rzeczach z Makrokosmosu. Rozprawy naukowe Dra Wojciecha Urbańskiego razem zebrane“, znajdzie swoje umieszczenie...

(Dokończenie nastąpi)

Dr. Wojciech Urbański.

# ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

## BISKUP WŁOCŁAWSKI I KRAKOWSKI

(1496—1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

## CZĘŚĆ TRZECIA

(1553—1560).

(Ciąg dalszy).

Zdaje się, że w r. 1554 sprawa administracyi klasztorów została w pewnej mierze po myśli Zebrzydowskiego załatwioną. Miało pouczyć go o tem jakieś breve papieskie, które przesłał mu z Rzymu Jerzy Ticinus [1]). Na to breve powołuje się kardynał Puteus w liście swoim z dnia 8. czerwca t. r., wyrażając zarazem dla Zebrzydowskiego szczególniejszą przyjaźń i życzliwość, na którą zawsze liczyć może.

Korzystając atoli z praw i przywilejów przyjaciela, uznał kardynał za stosowne tak w tym liście, jak w jednym z poprzednich z dnia 21. kwietnia t. r. [2]) donieść Zebrzydowskiemu, że niebardzo pocieszające dochodzą go wieści o stanie jego dyecezyi i o jego postępowaniu jako biskupa. Wybryki heretyckie grasują po tej prowincyi polskiej z ohydną, że tak powiem, swobodą, pisze Puteus w jednym; wzmaga się heretyków zuchwałość i swawola, powtarza strapiony w drugim. Wieści o tem napływają codziennie do Rzymu w wielkiej ilości, a szczególniej, dodaje: „w twoim kościele krakowskim przechodzi ta zuchwałość i swawola wszelkie granice, bo wolno w nim wszystkim żyć obyczajem heretyków, ich szaleństwa rozsiewać, książki zakazane publicznie czytywać.

[1]) Kor. Zeb. nr. 859.
[2]) Jak wyżej nr. 858 i 859.

a co najgłówniejsza, wolno po parochiach bronić i nauczać dogmatów ich z ambon“ ; prosi tedy Zebrzydowskiego, by mocą swej władzy paraliżował te praktyki : by bronił dawną religię, obrzędy i instytucye kościelne, a zwłaszcza, aby nie tracił czasu na wsi, *te interim rure agente*, aby nie zwalniał sam w gorliwości religijnej. „albowiem ciężko grzeszy przeciwko swoim obowiązkom ten przyjaciel i pasterz, który opuszcza owieczki swoje w chwili, gdy one najbardziej potrzebują jego pomocy, gdy giną!“ „Dlatego proszę Cię“ — kończy — „powróć do Krakowa, zwłaszcza, że nie ma tam króla, abyś snadź później nie szukał owieczek, gdy przepadną wszystkie...“

Bądź jak bądź jednak Zebrzydowski w tym roku 1554 nie był znowu tak zupełnie obojętnym na sprawy Kościoła i postępy różnowierstwa, jak mniemał Puteus. Przeciwnie, nawet zapisał swoje imię, wprawdzie więcej ujemnie niż dodatnio, ale trwale w dziejach polskiej Reformacyi jako jedyny w swoim rodzaju pogromca heretyków, zarazem chciwy grosza i mienia dygnitarz Kościoła i wolnomyślny wyznawca katolicyzmu, aby w następnym roku powtórzyć tę samą komedyę życia, błysnąć nad hardemi głowami różnowierców ognistym mieczem despoty — i samemu w jego ogniu spłonąć.

Do odegrania roli pogromcy w charakterze inkwizytora z górującą nad nią źle zrozumianą zasadą: *sic volo, sic iubeo* nadarzyła się Zebrzydowskiemu pierwsza sposobność w lutym czy w marcu t. r. w Lublinie podczas sejmu, który tam się odbywał od dnia 18. lutego. Sejm ten, zwołany przez króla według wyrażenia jego „*arduis et gravibus rationibus*“, szczególniej zaś dla omówienia kwestyi unii Korony z Prusami i z Litwą [1]), był powodem żywszego ruchu między protestancką szlachtą, która w przewidywaniu niezwykłych rzeczy na nowem zebraniu stanów zgromadziła się licznie w Lublinie, zamierzając demonstracyjnem sprawowaniem swoich praktyk religijnych zwrócić na swoją potęgę i liczbę uwagę urzędu [2]). Chociaż jednak sejm ten, zebrany nie-

[1]) Hos. Ep. nr. 1157. list króla do Hozyusza, dn. 30. XII. 1553, w którym król go zaprasza na sejm, vide także nr. 1163. 1193. 1197, 1200, 1216, 1223, 1264. Górnicki, Dzieje. s. 81 i 85.

[2]) Hos. Ep. nr. 1175. List kan. Dr. I. Benedykta do Hozyusza, z Krakowa dn. 16. I. 1554: Conventis ista futura in Lublini celebrabitur, ubi R. P. V. si sapit non adierit propter tumultus sacramentariorum, qui iurisdictionem nostrum culesiasticum penitus ademernat, non curantes censuras...

licznie z powodu niezwykłości miejsca, jak również zawieruszony kłótnią o starostwo krakowskie, wywołaną przez hetmana Tarnowskiego przeciwko Ocieskiemu, rozszedł się dnia 4. marca na niczem[1]), zatwierdziwszy tylko wobec posła moskiewskiego Sukina przymierze z Moskwą na przeciąg lat kilku, mimo to szlachta dopięła na nim założonego celu. Zaufana w swe siły, nie lękając się cenzur kościelnych z powodu zahamowania jurysdykcyi biskupiej, polecała swym ministrom jawnie sprawować protestanckie obrzędy religijne, publicznie głosić ewangelię w mieście i okolicy, jednem słowem zachowywała się prowokująco[2]). Bawiący w Lublinie dygnitarze kościelni nie posiadali się z oburzenia, poczęli namawiać Zebrzydowskiego, jako piastującego władzę biskupią w lubelskiem, aby wystąpił energicznie przeciwko demonstracyom protestantów; on jednak wahał się, jakby czekał odjazdu króla, który był na te demonstracye zupełnie obojętny a byłby może okazał swoje niezadowolenie, gdyby w jego obecności drażniono szlachtę zbyt energicznem użyciem tej władzy. Wyrachowanie Zebrzydowskiego nie było bez podstawy, król bowiem w tym czasie był tak samo ożywiony duchem tolerancyi względem różnowierców, jak niegdyś w Krakowie. Wprawdzie na dworze królewskim miał zaznaczyć

---

[1]) Pisze o tem dn. 5. marca król: Wczora sejm się rozjechał, wstali posłowie jako ptacy acz non defuerunt certi autores tego rozsypania sejmu, v. Listy Z. A. do Radziwiłła, wyd. Lachowicza, s. 76. Górnicki w swych dziejach przytacza mowy Tarnowskiego i Ocieskiego, tyczące się nadania starostwa krak. Charakterystyczne są słowa Tarnowskiego, wynoszącego ród swój stary nad niedawny Ocieskiego: Siła ludzi Wasza Kr. Mość pocieszysz, gdy godnym, zacnym, starożytnym ludziom wysokie dostojeństwa, urzędy, starostwa celniejsze dawać będziesz; a wiele ludzi Wasza Kr. Mość obrazisz, gdy nowe nad starożytne przełożysz... Na to nie mniej dobrze odpowiedział mu Ocieski: Gdy się obejrzym na czasy przeszłe, jako dawno świat jest, znać tych starożytnych ludzi przodek mógł bydź pasterzem, albo czem podlejszem; a tych za się nowych ludzi przodek mógł iść z królewskiego domu. Dla cnoty, dla godności pomazańcy boży do rady swej ludzi biorą, a ktokolwiek się w Polszcze urodził szlachcicem, każdy ten starożytnym szlachcicem jest, równym każdemu grafowi — Tarnowski był hrabią — a tem jeszcze coś naprzód ma, że nie jest powinien tym tam panom, którzy grafstwa dają, ale jednemu królowi polskiemu panu swemu chowa całą wiarę... Słowa te odzwierciadlają nam wybornie rozpoczynającą się w XVI. w. demokratyzacyę społeczeństwa polskiego przez gmin szlachecki z zawiązującą się równocześnie z nią oligarchią w łonie sfer magnackich.

[2]) Hos. Ep. nr. 1226, 1263.

się w drugiej połowie 1553 r. pewien zwrot ku katolicyzmowi dzięki królowej Katarzynie, zdecydowanej adherentce starego porządku rzeczy. Już nawet na widok jej wpływów cieszyli się niektórzy zelanci, jak kanonik krakowski, Łuk. Podoski, podówczas sekretarz królewski[1]), głosząc, że stanowczo na dworze królewskim nowy prąd powiał. Król już nie jest obojętny dla religii, przejrzał błędy heretyków. *ideirco pestes istae aulicae labasci jam ac decellari videntur*. Nawet podkanclerzy Przerębski się zmienił i nie zaniedbuje jak dawniej spraw religii. Zasługa to królowej Katarzyny. Za jej inicyatywą dwór chciał zatrzymać stale sławnego kaznodzieję z Krakowa, dr. Łuk. Aquilina, scholastyka krakowskiego, który na jakiś czas był przyjechał do Knyszyna, ulubionego miejsca pobytu Zygmunta Augusta, atoli rzecz ta nie doszła do skutku, bo Łukasza nie chcieli zwolnić z urzędu kaznodziei, kanonicy razem z Zebrzydowskim ze względu na brak zdolnych kaznodziei, których tak bardzo potrzeba katedrze krakowskiej. Łudzono się jednak co do samej osoby Zygmunta Augusta. Równocześnie bowiem tolerował aż nadto jeszcze kalwinizm, który znakomite robił postępy na Litwie pod opieką przyjaciela jego i głównego doradcy Mikołaja Radziwiłła Czarnego, zostającego oddawna w ścisłych stosunkach z głównym protektorem protestantyzmu w Rzptej polskiej, księciem Albrechtem Pruskim[2]). Narzekał na to postępowanie króla inny kanonik krakowski, dr. J. Benedykt z Koźminka, prof. akad. kr., wstydząc się za niego, że pozwalał księgarzom Bernardowi Wojewódce i Trzecieskiemu drukować w Brześciu litewskim z polecenia Radziwiłła przekład nowego testamentu, jak niemniej pieśni i mszy luterskich w pospolitym, wzgardzonym języku ojczystym (!!)[3]). Hozyusz, do którego się te objawy radości lub smutku zwracały, słał na odwrót słowa błagalne do Zygmunta Augusta, wzywając go do obrony prawowiernej religii, zachęcając do rozpoczęcia jej na odbywającym się właśnie

[1]) Hos. Ep. nr. 1154. List jego z Knyszyna do Hozyusza, z dn. 28. XII. 1553.

[2]) Finkel, konfesya na sejmie piotrkowskim, str. 273. Kwart. hist. R. X. Ten sam Radziwiłł, który posłował tego samego roku do Wiednia, wojewoda wileński.

[3]) Hos. Ep. nr. 1132. List jego do Hozyusza, Kraków, dn. 13. XII. 1553. Wyrażenia jego: vulgari sermone, vernaculo, protrito sermone...

sejmie lubelskim[1]); pisał także do Zebrzydowskiego, ale od niego nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Obrażony za takie lekceważenie rad swoich nie przypuszczał Hozyusz, że niebawem otrzyma wesołe wiadomości o biskupie krakowskim[2]).

Zebrzydowski bowiem idąc ostatecznie za głosem jego, jak również bawiących w Lublinie prałatów krakowskich, dr. Łukasza Aquilina i dr. Jana Benedykta, oraz archidyakona lubelskiego, dr. Bart. Sabinki, wywierających szczególniejszą na niego presyę, aby nie cierpiał zniewagi Kościoła katolickiego i karał za nią zuchwałych protestantów, odważył się po odjeździe króla na krok bardzo ryzykowny, bo pozwał, a niebawem uwięził, gwałcąc prawa koronne, trzech kapłanów apostatów, schwytanych w Kurowie, miasteczku leżącem pod Lublinem, których postanowił przemocą zmusić do odwołania głoszonych błędów heretyckich[1]). Dwóch, którzy ulegli jego groźbom, puścił na wolność, chociaż dopiero po kilku dniach, trzeciego zaś księdza Mikołaja, znanego nam pod nazwiskiem Kurowskiego, który okazał się twardym i uporniejszym, zabrał z sobą do Bożęcina, gdzie go w lochach zamkowych pomieścił, głodem morzył i zamordował![3]) Wątpić wypada, czy Hozyusz, Sabinka i prałaci krakowscy życzyli sobie takiego tragicznego zakończenia misyi apostolskiej, którą powierzyli Zebrzydowskiemu, nie mającemu do niej żadnego powołania, w każdym razie jednak radowali się, że wzniecił popłoch w szeregach różnowierców[4]). O męczeńskiej śmierci Kurowskiego opowiadał później

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1197, list jego z 12. III. 1554. Hozyusz snadź nie spodziewał się, że sejm się tak prędko rozejdzie i pisał list w mniemaniu, że się sejm jeszcze odbywa.

[2]) Hos. Ep. nr. 1224. list jego z 21. IV. t. r. do M. Kromera: de episcopo cracoviensi, quod scribis grata mihi acciderunt: agam illi gratias per litteras et si molestum est. quod meis prioribus non responderit.

[3]) Hos. Ep. nr. 1221, 1226, 1263. Aquilinus pisze: Benedicto doctore ac me urgente, Sabinka dodaje: me instigante... sacerdotes de Curow citavit et incarceravit... Ten Sabinka w 1551 r. wybierającemu się na sobór trydencki Hozyuszowi zalecił starać się tam, ut uxores sacerdotibus restituantur, permittantur... v. Hos. Ep. nr. 482. Był on także doktorem medycyny i fizykiem królewskim, o jego testamencie v. nr. 1696, przyp. 1.

[4]) Lubieniecki: Hist. Ref. Pol. s. 54 i 55. Nazywa go błędnie Marcinem, jest to ten sam, o którym pisze na str. 29, że go Otfinowski „merito martyrem nominat".

w ten sposób senior zborów małopolskich, Feliks Kruciger[1]): „Księdza Mikołaja... biskup krakowski Andrzej Zebrzydowski pojmawszy dał do ciemnice, a tam go morzył przez kilka dni, a potem odjeżdżając precz przykazał staroście swemu, aby tego księdza zamordować dał, a on t. j. biskup, gdy powróci, aby go żywym nie zastał. Po odjechaniu tedy biskupiem ten ksiądz Mikołaj, który głodem morzon był, mając biblię przy sobie i nieco masła, przymuszony wielkim głodem, pomazując ją sobie masłem, zjadł ją do ostatka — tylko deski zostały. A w tem go Pan Bóg chował przy żywocie doczesnym dosyć przez długi czas nad rozum ludzki. Tedy starosta, bacząc to, że ksiądz przy żywocie zostawa, a biskup się też ku domu przybliża, zapamiętawszy się na Pana Boga i na swe własne zbawienie, a czyniąc kwoli biskupowi i rozkazaniu jego, posłał jednego z służebników swoich, człowieka okrutnego, imieniem Jezierskiego, ku onemu księdzu Mikołajowi a rozkazał go zamordować. Ten Jezierski będąc tak dobry, jako pan jego, szedł do ciemnicy, a gdy ujrzał księdza Mikołaja siedzącego a ręce ku Panu Bogu wznoszącego z ciężkiem stękaniem a głębokiem jęczeniem, rzucił się nań jako wściekły pies, a włożywszy mu powróz na gardło, dławił go bez litości, a buławą żelazną w jego głowę bił tak długo, aż go zamordował. A tak ten mąż święty żywota swego dokonał, a koroną męczeńską od Pana Boga obdarzon; a biskup usłyszawszy tę nowinę rozweselił się i pochwalił ten uczynek haniebny, ale starosta jego bardzo potem tego żałował, służebnika swego Jezierskiego odprawił i biskupowi służbę swą wypowiedział".

Aliści Zebrzydowski nie poprzestał na tym jednym zamachu i gwałcie. Zachęcił go ten niezły początek, uwieńczony aureolą uznania, do innych podobnych popisów z swoją władzą biskupią, którą stawiał na równi z królewską. Ten sam Feliks Kruciger opowiadał także, a mówił tak samo jak poprzednio wobec wielu słuchaczy na publicznym synodzie różnowierców[2]), — „o drugim ministrze towarzyszu swoim, którego tymże obyczajem biskup krakowski więzieniem długiem trapił". Miało to być w jakiemś miasteczku, może w Bożęcinie w Kieleckiem, gdzie Zebrzydowski zwy-

[1]) Łukaszewicz. Dzieje Kość. wyzn. helw. w M. P. z rękopisu arch. Braci Cz. w Lesznie z r. 1555, str. 13 i 14. Rzecz tę opowiadał na synodzie w Koźminku r. 1555.

[2]) Łukaszewicz, jak wyżej s. 14 i s. 15 z rękopisu arch. Br. Cz. w Lesznie z r. 1555.

kle przesiadywał. Ksiądz ów zdołał jednak zrazu ujść losu Kurowskiego, bo uciekł z więzienia przy pomocy pewnego człowieka ze służby biskupiej. Zebrzydowski dowiedziawszy się o tem — „uczynił straż i szukanie w onem miasteczku, iżaliby go znaleźli, a to strażą i bramy w nocy osadził". „Ale ten dobry człowiek" — mówił dalej Kruciger — „z osobliwszej rady Bożej zachował tego księdza w tajnem miejscu aż do nocy, a gdy było o północy, szedł k'niemu się spuścić po rurach przez mur aż na dół, a rury były bardzo wysoko nad stawem, iż nie jest rzecz podobna, aby żyw zostać miał, gdyby był do wody upadł". „Wszak go Pan Bóg i tu dziwnie opatrował: a gdy już po onych rurach przeszedł i nogi sobie bardzo zranił i zdrapał, przyszedł do jednego zagrodnika ze wsi i prosił go, aby mu drogę ukazał, a jego odprowadził ku jednemu Panu, który prawdę Bożą znał". „On zagrodnik nie odmawiał mu tego, ale szedł z nim" — lecz — „spodziewając się, żeby jakie pieniądze miał, zdradą jego zabił i zamordował, ...a gdy ciało jego potem znalezione było, a ta nowina przyszła przed biskupa i przed jego księżą, oni z tego weseli byli, powiadając, że to wola Boża jest, aby heretycy mordowani byli, a że ich koniecznie Pan Bóg między krześciany cierpieć nie chce — i wzięli stąd śmiałość większą k'nam nieprzyjaciele nasi". Opowiadał też Kruciger „i inne ciężkości, których już nie mało znaszali" współwyznawcy jego od Zebrzydowskiego, także o jakimś księdzu Janie — „którego też w ciemnicy trapiono", jak niemniej o innym księdzu Krowickim, o którym niebawem mówić będziemy; co wszystko odsłania przed oczami naszemi ten fakt, że Zebrzydowski rozsierdził się w tym czasie okrutnie na heretyków, wznawiając postępowaniem swojem osławiony rok 1551.

Do tego zapewne czasu należy odnieść zabawny wypadek z pewną kobietą, w który wmięszali nazwisko jego historycy protestanccy[1]). Wypadek ten miał się zdarzyć w Krakowie, gdy Zebrzydowski rzekomo chciał reagować przeciwko wycieczkom mieszczan na kazania predykantów protestanckich do okolicznych miejscowości, jak Chełma, Woli lub Iwanowic. Rozpoczął atoli rzecz swoją bardzo niefortunnie, bo od kobiety, niejakiej Jeleniowej, żony Jana, obywatela krakowskiego. Miała to być niewiasta znana z piękności, „*forma pulcherrima*", i z cnoty czystości, dzięki której nie poszła w ślady innych kobiet pozwalających wówczas bardzo często, „*non in frequenter*", duchownym na znie-

[1]) Lubieniecki, s. 48—50.

ważanie ślubów małżeńskich. Zebrzydowski, oddany wszelakiej rozpuście, „*in omniam luxuriam solutas*“, dowiedziawszy się przez archidyakona swego, człowieka tej samej co on miary[1]), że kobieta ta mieszka blizko pałacu jego przy ulicy Brackiej, powołał ją do siebie pod pozorem, że grzeszy przeciw Kościołowi, bo z mężem swoim uczęszcza po za miasto na zgromadzenia luterskie. Powołał ją jednak bez męża, chociaż w pierwszym rzędzie on powinien był za to przed nim odpowiadać. Jeleniowa usłuchała rozkazu wszechwładnego biskupa, a pojawiwszy się przed nim w całej krasie swojej urody, miała zdobyć odrazu jego serce, pełne lubieżnych żądz: *nam vicet hauc. visamque cupit, sed non potitur cupita...*

Zobaczył ją Zebrzydowski, pożądał, lecz pożądanej — nie posiadł. Rozpięte sieci namiętności nie zdołały pochwycić łakomej zdobyczy... Pozwał ją tedy rozgniewany biskup na śledztwo, podczas którego w obecności archidyakona i licznych dworzan począł ją karcić za to, że nie korzysta z kościoła Franciszkanów, który ma pod bokiem swego mieszkania a goni ulicami za miasto na luterskie zebrania. „Wypędzę ci ja ten afekt niewczesny do sekty luterskiej“, rozumiejąc pod tą nazwą ogół heretyków, — mówił Zebrzydowski do delinkwentki z wysokości swojego tronu. „Jeśli niechcesz w domu prząść kądzieli i uczęszczać do kościoła, sprawię, że wkrótce znajdziesz się na zamku lipowieckim“. Ale nie przelękła się tej groźby śmiała kobieta. Wychowana po dworach pańskich, umiejąca posługiwać się dowcipem i żartem, w jednej chwili znalazła na nią trafną odpowiedź: „Skąd może wiedzieć —

---

[1]) Archidyakonem krakowskiem był od 8. lutego b. r. 1554 Filip Padniewski, kantor kap. kr. Wybór jego przeforsował Zebrzydowski dnia 26. stycznia t. r. po śmierci archidyakona Bart. Gątkowskiego, zm. dn. 11. t. m. — z towarzyszącą wyborowi kapitulnemu protestacyą, założoną przez dr. Mar. Kromera i podk. I. Przerębskiego, obydwu kanoników krak. mających jakieś uprzednie prawo do archidyakonatu krak., oraz pięciu innych kanoników. Wybór Padniewskiego jakkolwiek pluralitate votorum przeprowadzony, obalił inny kanonik na mocy posiadanej i pokazanej dnia 16. lutego prowizyi na archidyakonat „ex vi indultus apost. et nominationis S. Regiae Mtis in personam suam facta et concessae“. Został więc wybranym znowu ów kanonik Woj. Starożrebski dn. 22. lutego. Wybór jego również był zaprotestowany notaryalnie przez oponentów. Z czasem utrzymał się przy archidyakonacie Padniewski, późniejszy biskup krak. od śmierci Zebrzydowskiego. Niewiadomo więc, o którym archidyakonie mowa przy owem zajściu Zebrzydowskiego z Jeleniową. — Vide Hos. Ep. nr. 1175, 1224, przyp. 6. z act. actorum cap. crac.

rzekła — ktoś, kędy i dokąd ja chodzę? Wątpię, czy z pobudek religijnych oskarżyciel śledził me kroki i posądził mię o luteranizm! Jeśli jednak w ogóle zasłużyłam sobie na więzienie, to nie na lipowieckie, które tylko dla księży jest urządzone, lecz na promnickie, przeznaczone dla kobiet"... Zrozumiał Zebrzydowski ironię i dowcip, skierowany przeciwko sobie. Obecni tej scenie poczęli się podśmiechiwać, całe śledztwo przybrało charakter pustej komedyi, *„risum teneatis amici"* — miał się odezwać archidyakon a Jeleniowa korzystając z ogólnej konferencyi, skłoniła się wszystkim i z godnością wyszła... Śledztwo przerwane, kompromitacya biskupa zupełna.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dr. Tadeusz Troskolański.

# KRONIKA LITERACKA.

Dr. Tadeusz Starzewski. *W sprawie zadłużeniu mniejszej własności.* W Krakowie 1901, str. 43 + 6 nl.

Wszelka należyta organizacya kredytu włościańskiego, wymaga szczegółowego badania stanu zadłużenia. Te środki bowiem, które wystarczają przy niskiem zadłużeniu i mają za zadanie dostarczyć potrzebnego dla produkcyi rolnej kredytu, są nieodpowiednie, jeżeli to zadłużenie ponad miarę wzrosło i gdy w pierwszej linii chodzi o to, aby właścicieli uratować od zupełnego bankructwa.

Badania tego rodzaju powinny zasadę specyfikacyi, zwłaszcza zaś specyfikacyi terytoryalnej, uwzględniać w obszernych rozmiarach. Całokształt stosunków kredytowych, może się bowiem w różnych okolicach kraju przedstawiać bardzo różnie. Ze względu na stan obecnej organizacyi kredytowej, najbardziej odpowiednią jednostką taką jest powiat sądowy. Wątpię, czy możnaby nazwać badaniem ścisłem, badanie tych stosunków w kilku powiatach „typowych“. Wszak trudno określić poprzednio pojęcie danego „typu“, wszak typ ten da się wypośredniczyć z całą ścisłością dopiero po zbadaniu całości terytoryum kraju.

Dobry i pożyteczny zaczątek tej akcyi stanowi niewątpliwie praca, w nagłówku wymieniona. Przedstawia ona w pierwszym rzędzie stan obdłużenia mniejszej własności w gminach, należących do sądu powiatowego w Wadowicach a to na podstawie badań ksiąg gruntowych, zamknięć rachunkowych instytucyi finansowych, znajdujących się w powiecie, tudzież aktów sądowych, aktów Rady powiatowej, operatów katastralnych i podatkowych, wreszcie przedstawia plany reformy.

Do sądu powiatowego w Wadowicach należy 38 gmin, liczących według spisu z r. 1890 25.842 ludności i około 4.431 samodzielnych gospodarstw. Grunta włościańskie tych gmin razem z gruntami plebań-

skimi i własnością gminną, wynoszą 17.717 hektarów, z których czysty dochód katastralny jest obliczony na sumę 105.766 kor., opłacane zaś z nich roczne podatki bezpośrednie razem z dodatkami na łączną sumę 96.777 kor. 74 hal. Rzeczywista wartość tych gruntów wynosi 4,230.640 kor. jeśli się jako tę wartość przyjmie 40 razy wzięty czysty dochód katastralny.

Obdłużenie hipoteczne, ciążące na wszystkich 38 gminach przedstawia się w szczegółach jak następuje:

| | | | |
|---|---|---|---|
| *a)* wierzytelności bankowe . . . . . | 1,042.110 kor. | czyli | 60% |
| *b)* reszty ceny kupna . . . . . | 33.414 „ | „ | 2% |
| *c)* spłaty rodzeństwa . . . . . | 410.572 „ | „ | 24% |
| *d)* inne długi . . . . . | 233.504 „ | „ | 14% |
| Razem . . | 1,719.600 kor. | czyli | 100% |

Ponieważ jednak część długów hipotecznych prawdopodobnie została spłaconą a nie wykreśloną, z pożyczek zaś bankowych pewna kwota zamortyzowaną, autor potrąca przeto od powyższej cyfry 10% t. j. cyfrę 171.960 kor. co jest stosunkiem słusznym, ponieważ większa część pożyczek bankowych wskutek przeprowadzonej konwersyi, pochodzi z najbliższych czasów, zaczem spłata amortyzacyjna nie może być znaczną. W ten sposób otrzymujemy kwotę 1,547.640 kor.

Z ogólnej liczby 4.431 samodzielnych gospodarstw, 2.107 a więc 47% jest hipotecznie obciążonych a 53% wolnych od długów, w stosunku zaś do wartości wszystkich gospodarstw w sumie 4.230.640 kor., długi hipoteczne wynoszą około 37% tejże wartości.

Długi, oznaczone w zestawieniu, jako bankowe, pochodzą z pożyczek, zaciągniętych w powiatowej Kasie oszczędności w Wadowicach, w Kasie oszczędności miasta Białej i w Kasie sierocej sądu powiatowego w Wadowicach. Najkorzystniejszą dla włościan instytucyą kredytową jest Kasa sieroca sądu powiatowego. Kasa ta wypożycza fundusze małoletnich, znajdujące się w depozycie na pewne hipoteki — za skryptami — w sądzie sporządzonymi. Pożyczki te udzielane na przeciąg lat 51 za procentem $4^1/_2$ i spłatą na kapitał dalszy $^1/_2$% rocznie. Zwłaszcza ta okoliczność jest ważną, że dla każdego rolnika, biorącego pożyczkę w celach produkcyjnych, najcięższe są pierwsze lata, bo i kapitał, włożony nie zaraz da zysk i same formalności pożyczkowe są kosztowne. A jednak we wszystkich instytucyach plan umorzenia pożyczek jest taki, że spłata kapitału jest podzieloną na równe raty a procent, obliczany zawsze od reszty kapitału, wskutek czego pierwsze łączne raty kapitału i procenta są największe a dopiero następne stopniowo się zmniejszają. Natomiast w Kasie sierocej spłata kapitału razem z pro-

centami zawsze w równe raty jest ujęta, wskutek czego dłużnik doznaje znacznej ulgi.

Znacznie trudniejszem do uskutecznienia jest ustalenie cyfry pożyczek nieintabulowanych. Pożyczki nieintabulowane, a więc proste wekslowe i na skrypta zaciągnięte, pochodzą z następujących źródeł:

*a)* z powiatowej Kasy oszczędności w Wadowicach,
*b)* z katolickiego Towarzystwa rolniczo-zaliczkowego w Wadowicach,
*c)* z Towarzystwa zaliczkowego w Andrychowie,
*d)* z Towarzystwa zaliczkowego w Makowie,
*e)* z Towarzystwa zaliczkowego w Kalwaryi,
*f)* z Towarzystwa zaliczkowego w Oświęcimiu,
*g)* z Towarzystwa zaliczkowego w Zatorze.
*h)* od osób prywatnych,
*i)* z Kas gminnych i spichlerzy gminnych.

Suma obdłużenia pożyczek nieintabulowanych wynosi, pomijając pożyczki prywatne, 354.000 kor. (głównie z powiatowej Kasy oszczędności w Wadowicach). Wierzytelności te pochodzą przeważnie z weksli, a jako takie są dla włościan niekorzystne. Pożyczki wekslowe pociągają bowiem za sobą znaczne koszta, bo każdy ręczyciel za podpis każe sobie płacić, a zwyczaj ten jest tak rozpowszechnionym, że wyjątki od niego należą do rzadkości. Powtóre, z produkcyi rolniczej raz tylko w roku jest przychód, przy wekslach zaś w 3 miesiące trzeba procent i ratę kapitalną spłacić, co nieraz dla włościan, szczególnie w czasie przednowku, sprowadza sytuacyę bez wyjścia.

Na podstawie powyższych dat, dochodzi autor do ogólnej cyfry obdłużenia w kwocie 1.901.640 kor.

Stałe roczne obciążenie, spowodowane długami, przedstawia się jak następuje:

*A)* Tytułem amortyzacyi przypada rocznie do uiszczenia:

| | | |
|---|---|---|
| 1) od długów bankowych i spłat rodzeństwa . . . | 87.161 | kor. |
| 2) od innych długów hipotecznych . . . . . | 48.045 | „ |
| 3) od długów nieintabulowanych . . . . . | 70.800 | „ |
| Razem . . . | 206.006 | kor. |

*B)* Tytułem procentów przypada do zapłacenia:

| | | |
|---|---|---|
| 1) od sum hipotecznych . . . . . | 92.858 | kor. |
| 2) od innych długów . . . . . | 24.780 | „ |
| Razem . . . | 117.638 | kor. |

Łączna kwota wynosi przeto 323.644 kor. Jeżeli do tej sumy dodamy cyfrę opłacanych bezpośrednich podatków w sumie 96.772 kor. otrzymamy kwotę 420.416 kor. jako stałe roczne obciążenie ludności powiatu. Jeśli zaś do tego doliczymy jeszcze koszta utrzymania ludności w kwocie 2,066.800 kor. licząc po 400 kor. na jedną rodzinę, złożoną z pięciu osób, to dojdziemy do wniosku, że każdy morg gruntu musi przynieść czystego dochodu 80 kor. ze względu na nieużytki najczęściej nawet 120 kor., aby właściciel mógł utrzymać rodzinę, jakoteż zadosyć uczynić zaciągniętym zobowiązaniom pożyczkowym i powinnościom podatkowym. Byłoby to możliwem tylko przy bardzo postępowej kulturze rolnej, jakoteż przy bezpłatnej pracy dostarczanej przez członków rodzidziny, co wszystko w powiecie wadowickim nie ma miejsca. Wprawdzie kultura rolna zwolna postępuje, równocześnie jednak rozdrobnienie gruntów wzrasta, ilość koni i bydła znacznie się zmniejsza, a konsumcya ziemniaków się wzmaga. Również wskutek emigracyi brakuje rąk do pracy. To też z roku na rok wzrastają ciężary z obdłużenia i gdy w latach 1894—1897 sprzedano w drodze licytacyjnej 69 posiadłości, to w r. 1899 cyfra ta podniosła się do 127.

Bezsprzecznie dodatnim objawem jest tu ta okoliczność, że połowa gospodarstw jest wolną od długów hipotecznych, tudzież że nie ma lichwy. Pierwszego z tych objawów nie można jednak w zupełności kłaść na karb pomyślnego położenia ekonomicznego; przeciwnie, jest on raczej wynikiem niemożności zaciągnięcia pożyczki hipotecznej. Niemożności tej źródło leży w tem, że wskutek nadzwyczajnego rozdrobnienia gruntów, istnieje bardzo wiele gospodarstw morgowych, tudzież, że w hipotece figuruje cały szereg realności jako współwłasność, podczas gdy w rzeczywistości współwłaściciele realności fizycznie się niemi podzielili. Ani na takie morgowe posiadłości, ani też na realności, hipotecznie nie rozdzielone, żadna instytucya kredytowa nie udzieli pożyczek, odnośni więc właściciele, mogą korzystać jedynie z kredytu osobistego. Wobec tych korzystnych objawów, przeważają jednak strony ciemne. Przedewszystkiem stwierdza autor, że roczny przyrost długów jest znacznie większy, aniżeli ich spłata, tudzież, że ta spłata, odbywa się najczęściej drogą konwersyi dawnych długów na nowe. Jak interesa pożyczkowe stanowią znaczny procent wszystkich agend prawnych dowodzi ta okoliczność, że na 1.587 aktów zawartych w dwóch biurach notaryalnych, 239 przypada na skrypta dłużne, opiewające na łączną sumę 175.052 kor. To też wskutek ciągłego przyrostu długów, niektóre gminy są ponad połowę wartości gruntów zadłużone.

Przechodząc do oceny środków zaradczych bardzo słusznie zaznacza autor, że całej kwestyi zadłużenia nie można na jeden raz rozwią-

zać przez wydanie jakiejś wielkiej ustawy agrarnej, obejmującej panaceum na wszystkie chorobliwe objawy, lecz że raczej należy postępować zwolna, krok za krokiem, nadto liczyć się gruntownie z usposobieniem ogółu i baczyć na to, by zamierzona reforma, która jeszcze niedostatecznie wniknęła w serca i umysły ludności i nie da się osiągnąć bez pewnego przymusu i obligatoryjnej formy, nie wywołała zbyt wielkiego wzburzenia.

Kredyt hipoteczny powinien być długoterminowym, zwolna się amortyzującym i niewypowiedzialnym. Od udzielania pożyczek winny być wykluczone osoby prywatne i banki, zajmujące stanowisko kapitalistyczne, a natomiast powołać należy do życia z inicyatywy rolników finansowe instytucye państwowe lub krajowe, kierujące się tylko względami na dobro społeczeństwa i rolnictwa. Takiemi instytucyami w pierwszej linii powinny być u nas powiatowe Kasy oszczędności. Starać się zatem należy, aby w każdym powiecie takie Kasy powstały a następnie złączone w jeden związek krajowy, zastosowały swe czynności do potrzeb agrarnych.

Również, jeżeli Bank krajowy przez odpowiednią zmianę zakresu swego działania, względnie i statutów, tego zadania się nie podejmie, należałoby pomyśleć o powołaniu do życia Banku hipotecznego włościańskiego, którego zadaniem byłoby przeprowadzenie konwersyi istniejących długów hipotecznych, a który zarazem mógłby się zająć kwestyą zdrowej i społecznym warunkom odpowiadającej parcelacyi i kolonizacyi wewnętrznej.

Wreszcie wymienia autor jeszcze jeden postulat: wydania ustawy o włościach rentowych, co, acz w zmienionej cokolwiek formie można, jak wiadomo, uważać za fakt dokonany.

Pracę p. Starzewskiego możemy zalecić bardzo gorąco, zwłaszcza ze względu na monograficzne opracowanie stosunków kredytowych powiatu sądowego wadowickiego; choć powiat ten bowiem bynajmniej nie może być uważany za typowy, wobec istnienia rozlicznych instytucyi kredytowych i braku lichwy, z drugiej zaś strony wobec wzrastającego obdłużenia i emigracyi, to przecież badania te są uwagi godne, ze względu na ciekawe powiązanie wzajemne dotyczących stosunków społecznych. Ale, jak powiadam, wystrzegać się należy przed generalizacyą tych objawów. Tak n. p. w powiecie kolbuszowskim emigracya istnieje, a obdłużenie się zmniejsza. Nie wiemy również, czemu przypisać należy w pracy omawianej brak wszelkich dat o Kasach pożyczkowych gminnych. Czyżby obecnie tu wcale już nie istniały? Wszak jeszcze w r. 1895 było tych kas w politycznym powiecie wadowickim 4.

Liczba to nie wielka wprawdzie, zwłaszcza jeśli się porówna tę cyfrę z liczbą takichże istniejących n. p. w powiecie bocheńskim lub rzeszowskim, ale o ile w tę cyfrę wchodziły Kasy, znajdujące się w powiecie sądowym wadowickim i te Kasy należało chyba uwzględnić.

*Dr. Z. Gargas.*

---

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“

DYREKCYA KASY OSZCZĘDNOŚC
MIASTA NOWEGO SĄCZA

# KORESPONDENCYA
# JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(Ciąg dalszy).

**Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Meran (Tyrol).**

*Paryż, 20. maja 1862 r.*

Kochany Bronisławie, odebrałem listek twój z Wenecyi. Kiedy to piszę, ty zapewnie przechadzasz się już na wysokościach tyrolskich, rozpamiętając senne, rozwiewne wrażenia ze świeżej wycieczki do północnych Włoch. „Otóż cały szczęścia wątek, składa jakaś cudów chwilka, jakiś obraz, uczuć kilka, kilka z młodszych lat pamiątek!“ Spiewałem to ongi na zaraniu życia — i toż samo pomrukuję dziś w zmierzchu. Daj Boże, aby wspomnienie Florencyi jak najdłużej woniło ci w duszy, i umilało mętną dolę polską. Tyle och! bratku, naszego na ziemi. U nas w ojczyźnie inaczej. U nas „luboość w żałobie“ — „ale na pole nie chodź, gdy serce zbolało — na równinie mogiły — więcej nie zostało“. (Malczewski).

Spodziewam się Bronisławie, że powietrze w Meran i serwatka posłużą ci na zdrowie. W odosobnieniu tam i ciszy górskiej masz swobodę i pogodę, tyle pożądane do zamierzonej pracy. Niewątpię, że weźmiesz się do niej oburącz. Spełniasz obowiązek obywatelski! Pobudka to przeważna, dla której serce polskie, nawet zbolałe, ocuca się i rzeźwi. Szczęść tedy Boże! Pamiętnik twój zagraniczny wydrukuję tu *con amore* z należytą tajemnicą i wszelką dyskrecyą. Nierozszerzam się dziś nad treścią rzeczy, bo Józef poszle ci zapewnie notkę Pani z Hyères, z którą całkiem i całkiem się zgadzam w sądzie i w uczuciach.

Nowin takoż niewiele z kraju. U nas na Litwie car ułaskawił Michałowskiego, Żylińskiego, Kułakowskiego i księży Augustianów kowieńskich. W Kongresówce ks. Arcybiskup codzień występuje śmielej wobec namiestnika — wedle wczorajszego telegramu, zagroził na nowo zamknięciem kościołów, z powodu, że policyanci w nich gospodarują. Pomimo tego, ma licznych przeciwników, mianowicie między dziennikarzami. Tymi dniami odebrałem listek od p. Józefa, który gorzko się żali na niego — choć to stary on przyjaciel i sąsiad matki na Wołyniu. P. Józef [1]) gorąco kąpany — to prosiłem, aby pierwej ochłonął i sądził o arcybiskupie nie z trójnoga publicysty, ale w pokorze katolika. Na emigracyi znowu *calme plat*. Wybory na komitet za kilka dni nastąpią — ale niespodziewamy się niczego po nich — bo niema zgody między naczelnikami stronnictw, ani ochoty między ruchliwszymi do szamotania się w czczości. Delegaci rozjechali się do domów, nic tu niesprawiwszy. Stowarzyszenie podatkowe w skromnym swoim zakresie idzie dość pomyślnie. Mamy już do 300 członków i do 11.000 funduszu. Wnieśliśmy już po 1000 do szkoły batiniolskiej i do sióstr św. Kazimierza. Utrzymujemy już tedy kilku starców i kilka sierót z grosza emigranckiego. Krajowcy nie wiele się przyczyniają.

Panu Józefowi [1]) wydrukowałem drugą edycyę. Miał na 8. maja przesłać przedmowę i odpowiedź krytykom i recenzentom, ale po dziś dzień nieuiścił się ze słowa. Zapewnie posłał rękopis przez kogoś jadącego rzemiennym dyszlem. A tymczasem księgarze krajowi szturmują za egzemplarzami. Pisałem do Warszawy wczoraj i figurycznie dotknąłem kilka kwestyi najżywotniejszych, które radziłem popierać w gazecie. Niewiem, czy p. Józef wszystko zrozumie — ale jest arcydomyślny — i na dawniejsze sfinksy umiał mi trafnie odpowiedzieć.

Dzięki Bogu, Edward [2]) się trochę rozpogodził i rozruchał. Przed kilkunastoma dniami, zaszedłem do niego i nie zastałem w domu. Zrozumiał atoli moją intencyę, w parę dni potem przybiegł zapłakany, zmiękczony w sercu. Przytuliliśmy go po bratersku. Odtąd częściej nas nawiedza. Zaniechał excentrycznych narzekań i na seryo zabrać się chce do pożytecznej pracy. Wybiera się w tych czasach na przejażdżkę do Szwajcaryi. Za powrotem złączy się z przyjacielem [3]), jakimś doktorem, który bie-

[1]) Kraszewski.
[2]) Żeligowski.
[3]) Doktor Paweł Kruniewicz.

dował z wami w Odemburgu, a teraz jest w Petersburgu przy familii cesarskiej. (Zapomniałem jak się zowie). Oczywiście raduje to nas niezmiernie. Prosiłem, aby sam do ciebie napisał o swojem obecnem usposobieniu.

Zapewnie, Bronisławie kochany, zabawisz w Meran parę miesięcy. Przed wyjazdem twoim, chciałbym ci posłać drobne upominki dla księdza biskupa Wileńskiego i dla ks. proboszcza Ostrobramskiego. Upominki te będą nie ciężkie i nie kompromitujące zgoła. Przepisuję własną ręką dla każdego poezyjkę jakąś religijną z moich hymnów polskich. Niewiem, czy będzie można podpisać się i położyć dedykacyę krótką?

Na dzisiaj dość! Pojutrze mamy uroczystość doroczną w Montmorency.; Idę, aby porozumieć się w tej mierze z bracią tułaczą. Poniatowscy siedzą jeszcze w Hyères — ale lada dzień już przyjadą do Paryża. Józef krząta się około wynalezienia kwatery. Obiecał mi, że jutro do ciebie napisze i poszle notkę, o której już napomknąłem wyżej.

Nieradbym, abyś się odrywał od ważniejszej pracy dla powszedniej korespondencyi. Od czasu jednak do czasu napisz słówko, abyśmy wiedzieli o zdrowiu twojem i powodzeniu.

Od żony mojej i dziatwy łączę najserdeczniejsze pozdrowienia. Józef jutro pisze, sam uściskam i całuję po bratersku

*Bohdan.*

## Do Pani Antoniny Linowskiej, z domu Zaleskiej, w Rzyszczowie.

*Paryż, dnia 15. czerwca 1862 r.*

Najdroższa siostro, jedyna — jedyna moja, z licznego rodzeństwa! Na szerokim bożym świecie dwoje nas oto zostało i do tego rozdzielonych od siebie wodami a górami. Święć się wolo Boża! Święć się teraz i na wieki wieków! Ziemia — to padoł wygnańców bardzo, bardzo smutny, ale doczesny. Niedługo już Antosiu połączym się z sobą i z naszemi u Ojca niebieskiego, pod okiem kędyś Bogarodzicy Maryi, którą sieroty od najrańszych lat życia, mieliśmy za panią i opiekunkę naszą. Siostro ukochana! nie tęsknijmy już grzesznie za sobą — ale radujmy się owszem nadzieją w Panu! Czuwajmy na modlitwie.

Oddawna już niemamy o sobie szerszych relacyi. Starzejemy się w niewiadomości wzajemnych bied. Genusia powiernica obopólnych tęsknot naszych podobno, że i w tym roku zawita w tutejsze strony. Wyglądamy tego przyjazdu w serdecznem upragnieniu Tymczasem droga siostro, pani R. . . . . zawiezie nieco szczegółów o mnie i o moich. Zacna to, dobra i wielce życzliwa nam osoba.

Oburącz siostro przyciskam cię do braterskiego serca. Błogosławię ze łzami — w Imię Ojca i Syna i Ducha św. Dziś dzień Trójcy Przenajświętszej.

Twój miziny brat

*Józef B.*

## Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Gastein.

*Paryż, 27. czerwca 1862.*

Kochany Bronisławie, memoryał od kilku już dni jest u mnie. Zmitrężyło się trochę czasu na odszukaniu Edwarda [1]), który na nowo nam był zdziczał. Tymczasowo atoli odczytywaliśmy rękopis, pani Hyerska [2]), ja, Józef i żona moja z Rufinem [3]). Onegdaj zawitał do nas i Edward — zabrał zaraz pisemko i wczoraj odniósł.

Edward i Pani obiecali osobno napisać do ciebie o swoich wrażeniach. W ogólności wszyscyśmy się zbudowali, rozgrzali w sercach, toż jednomyślnie zawotowaliśmy na spieszne ogłoszenie drukiem. Rzecz w całości swojej stoi na wysokości sprawy, góruje nieskończenie po nad ideami bakuninowskiemi — rozumna — poważna, — a napisana wymownie, to jest żartko i z uczuciem. Mało co znajdzie się jej do zarzucenia. W rozdziałach ku końcowi chromieje myśl może nieco, tam i ówdzie wikła się, to mroczy, sposobem jednak nierażącym bardzo umysłu, bo w konkluzyi znowu strzelista, pełna i barwna polskim duchem. Gdyby nieszło nam o pospiech, wskazałbym, które części należałoby rozwinąć, a które wzmocnić. Oczywiście, dopełnić to zdołałby jeno sam autor. Jestem najmocniej przeciwny robocie mozajkowej w literaturze, wszelkim wstawkom i poprawkom cudzej ręki. Na razie memoryał powinien się

[1]) Żeligowski.
[2]) Pani Dyonizya Poniatowska.
[3]) Piotrowski.

drukować jakim jest. Tu i ówdzie odmieni się lub doda wyraz czy wyrażenie i na tem poprzestaniem. Wszystkie te względy literackie drobne są i obojętne — skoro Pisemko w całości udało się, dobre jest, piękne, i pożyteczne. Przyznam ci się, mój Bronisławie, że bałem się oppozycyi Edwarda, — otóż stało się nad moje spodziewanie. Zaentuzyazmował się bardzo i wyznaje, że najlepsza to twoja praca i bodaj najznamienitsza między polskiemi broszurami. Pozwoliłem Edwardowi na dopisek z powodu głosowania powszechnego, które chce porównać z przymusową przysięgą na wierność carowi. Obaczymy, jak się mu to uda. Ma dziś przysłać.

Druk rozpocznie się w poniedziałek 30. czerwca i nie potrwa mniemam dłużej nad 48 godzin. Jedna i druga korrekta zabiorą niewątpliwie kilka dni, a więc około 15. lipca, pisemko będzie już w ręku publiczności. Szczęść mu Boże. Pomimo tego, gdybyś co temi dniami wydumał w samotności ku dopełnieniu lub objaśnieniu broszury, — przysyłaj — a domieszczę w tekst przy korrekcie. Tytuł koniecznie trzeba dać inny, aby odrazu zastanowił uwagę. Mam kilka na myśli: np. Rokowania o Mir. Odpowiedź M. Bakuninowi na odezwę jego do przyjaciół Rossyjskich i Polskich przez Litwina. Albo M. Bakunin i odezwa jego do przyjaciół rossyjskich i polskich. Słów kilka w odpowiedzi przez Litwina. Albo Polska i Liberelizm Rossyjski i t. p. Za wspólną zgodą tutaj wybierzemy z nich — ale i ty, Bronisławie, przyszlij swoją adhezię.

Najgrubszy sęk tkwi w czemś inszem. Komu dać do tłumaczenia na francuskie? Liberały polscy nie mają zmysłu narodowego — ubiegają się za drobiazgami stylu i expressyi francuskich. Pani Hyerska [1]) podejmuje się przekładu. Ona rozumie i czuje rzecz — ale niema wprawy pisarskiej w francuskiem. Dać potem do poprawy Francuzowi, to zepsuje myśl dla frazesów. A niezbędnie jest potrzebnem, aby cudzoziemcy tak samo jasno pojęli sprawę, jak my ją pojmujemy. Dołożę wszelkich starań, aby tłumaczenie było godne oryginału — z tem wszystkiem pocierpam azaż to się nam powiedzie.

Z Kongressówki huk nowin — które nas Rusinów i Litwinów zgoła nie cieszą. Mowy Margrabiego i Krzywickiego zwiastujące reformy dla Królestwa zadowolniły tu płytkie umysły. My się jątrzym w sercach, że myśl narodowa pójdzie znowu na fale. Niech spoczywają sobie na mrowisku — ale my idźmy dalej! W Moskwie znowu poczynają sobie po fińsku przez pożary, azaliż to

[1]) Pani Poniatowska.

wedle programatu Hercenowskiej drużyny dzieje się. Moskwa, to pijany chłop na koniu. Przewala się w prawo to w lewo. Małorussy w najwyższym stopniu obłąkania. Mam pod ręką listy arcyważne, których nie śmiem powierzyć poczcie. Wrócisz do kraju pod sam początek niedobrego może końca. Ufam, że Bóg miłosierny zbawi nas — na przekor nam. — Delegaci nowi nadjechali, ale po staremu się sprawują. Nie ma z czego skręcić bicza. Biada nam! — Stowarzyszenie podatkowe, pomimo intryg i potwarzy skrajnych stronnictw, trzyma się. Temi dniami Aleksander Potocki zapisał się na 1.000 fr. Herman i Józef [1]) na 500 fr. Mamy już do 15.000 fr. Szkoła w Cuneo podobno, że będzie zamknięta. Umizg to Ratazzego do Aleksandra. Wysocki dziś wrócił z Włoch, ale dopiero wieczór z nim się obaczę.

W domu, dzięki Bogu, wszyscyśmy zdrowi. Hyerskie twoje towarzystwo zabawi tu jeszcze jakiś czas. Edward [2]) wybiera się do Szwajcaryi. — Namawiam go do kraju. Niewątpliwie wytrzeźwiałby i zmężniał. Zna stosunki i ludzi stojących dziś u steru. Tu między nami skwasi się do reszty i zmarnuje. I ty, mój drogi, skłaniaj go, aby wracał.

Józef mój podobno pisał do ciebie w tych dniach. Kochamy cię całą gromadką jak rodzonego. Żona moja z rozczuleniem przesyła pozdrowienie. Ja uściskam i całuję. Bóg z tobą, kochany nasz, — a zbolały na duszy i w ciele.

*J. B. Zaleski.*

## Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Gastein.

*Paryż, d. 20. lipca 1862 r.*

Kochany mój Bronisławie — zaniepokojeni byliśmy nieco twoim dawniejszym listem, to chwała Bogu, że w Gastein przychodzisz znowu do zdrowia. Z tem wszystkiem, szanuj się i lecz, a lecz się najuporczywiej, abyś rzeźwy i silny wrócił na pracę do Litwy. Oprócz nas troskali się bardzo o ciebie twój przyjaciel Giecewicz i bliski sąsiad, młody Prószyński. Poznałem się z nimi niedawno i obiecali do ciebie napisać. Giecewicz podobno za kilka dni wraca na Litwę — załatwiwszy interes o sukcessyę po Wo-

[1]) Potoccy.
[2]) Żeligowski.

łodkowiczu. Był tu i krewny jego, Horwat, Marszałek guberski kijowski, prosto z Petersburga, kędy z Michałem Grabowskim załatwiał sprawę o Stowarzyszenie kredytowe. Uzyskali pozwolenie dla trzech naszych gubernii niewiem dokładnie pod jakimi warunkami. Prószyński podobno zostanie tu dłuższy czas.

Druk broszury już jest na ukończeniu. Niestety, była długa przerwa — bo drukarze francuzscy są *en grevè*, a więc i polscy musieli zaniechać robotę. Sprawa z drukarzami po dziś dzień jeszcze nie jest załatwiona — wszakże obiecano mi w drukarni, że broszurę naszą odbiją choćby ukradkiem. Bądź tedy cierpliwy do czasu. Po wydrukowaniu, rozeszlę egzemplarze wedle twojej notatki, a dla ciebie może znajdę jakąś okazyę, może wyprawię przez kogoś jadącego stąd do Wiednia. Z tłumaczeniem dużo mam kłopotu. Niewiem komu ostatecznie poruczyć — z tylu ochotników nie bardzo poważnych. — Do p. Juliana kołatałem przez Januszkiewicza. Niema czasu — ale obiecał przejrzeć cudze tłumaczenie i poczynić zmiany i poprawki.

Wielce mnie uradowałeś wiadomością o starym moim Marszałku [1]). Załączam osobny listek do niego, — który zaraz chciej mu doręczyć. Z Ukrainy i Podola znowu niedobre nowiny. Chłopstwo ciągle się odgraża ku szlachcie. W kilku miejscowościach, jak u Branickich już przykre zajścia, — ale dotychczas Bóg strzegł od zbrodni.

Na razie, nie mam czasu i swobodnej głowy. Załączam egzemplarz listy stowarzyszonych, który udziel takoż Marszałkowi. Edward znowu od wielu dni niepokazał się u nas. Niewiem co się w tem święci. Niewidział się i z Giecewiczem. Z funduszu na druki, mogę jeszcze coś udzielić. I pan Józef Ignacy ma mi tu przesłać nową broszurę i pamiętniki Kilińskiego w 2 tomach. O autorstwie Sprawy sam rozgłosił przed znajomymi i obcymi — mam na to dowody.

Pozdrawiam z czułością i ściskam

*J. B. Zaleski.*

[1]) Ostrowski.

## Do Hrabiego Piotra Szembeka.

*Paryż, 24. lipca 1862 r.*

Kochany Panie Piotrze! Niestety jenerał Pelletier umarł niedawnymi czasy. Podobno, że jenerał Chłapowski zamknął mu oczy. Najsmutniejsza rzecz, że emigranci polscy niebyli nawet zawiadomieni o skonie swego starego przyjaciela.

Czytałem dziś w „Czasie“ krakowskim list jenerała, Twego dziadka, prostujący błędy i odpierający oszczerstwa jakiegoś Załuskiego, w książce, której nieczytałem. Z listu tego wieje najczystsza prawda. Żal się Boże! na stare lata wojować ze złą wiarą ludzką. Godziłoby się, aby jenerał spisał swoje pamiętniki. Tymczasem, Panie Piotrze, oświadcz mu odemnie najszczersze spółczucie i zapewnij o najgłębszem zawsze poważaniu.

Ojca takoż w imieniu mojem pozdrów najserdeczniej. Cięży mi na sercu przerwany tak dawno stosunek między nami. Ojcu by należało uczynić pierwszy krok do mnie. Bóg widzi, że kocham ich tam wszystkich w Siemianicach po staremu.

Ściskam rękę

*J. B. Zaleski.*

## Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Krakowie.

*Paryż, 29. sierpnia 1862.*

Mój drogi, czuję drżenie w sercu na myśl, że niebawem pożegnać się nam przyjdzie. Stoisz oto u Dantejskiej bramy swojej, w przedsieniu narodowego piekła. Zaczerpnijże świętego tchu w kościele Panny Maryi i od Wawelu, i z błogosławieństwem Patronów Polski i starosławnych królów naszych, wróć, mój ty wieczny tułaczu, wróć do ziemi krzyżów i mogił, na nowe bodaj próby żywota! Kreślę zdaleka nad czołem twojem znak święty krzyża i rozpoczynam od dzisiaj dozgonną modlitwę pielgrzyma na intencyę brata w ucisku. Pan ukrzyżowany użyczy ci zdrowia, pokoju i męstwa wstępującemu takoż na Golgotę. Niemam serca snuć dłużej z tego wątka. Otrzyjmyż łzy i dalej, dalej!

Książeczka poleciała już w świat na cztery wiatry za liśćmi kędyś jesieni. Niewiem jakie będą koleje losów jej, ale tu powitana była mile i życzliwie. Przekład francuski niemal gotowy, ale

zdaje się, że będzie i moskiewski. Nie mogę wdawać się w szczegóły, wierzaj atoli, że opiekuję się we wszystkiem po bratersku.

Poznałem i pokochałem wielu zacnych Litwinów; okazali braterskie spółczucie dla stowarzyszenia podatkowego i w imieniu spółziemian, uposażyli je hojnie. Za powrotem do kraju i ty, mój drogi, bądź naszym rzecznikiem przed spółziemianami. Uszanuj i pozdrów odemnie Jeleńskiego, Wagnera i Giecewicza.

Niewiem czy wypadnie mi jeszcze pisać do ciebie do Krakowa. Sądzę, że ci już pilno do domu. W przejeździe przez stolicę, widz się z Józefem Kraszewskim. Powiedz odemnie, że czekam niecierpliwie na rękopis nowej sprawy, że Pamiętników, które mi onegdaj doręczył Adolf, nie miałem jeszcze czasu przejrzeć i skonfrontować z dawniejszym drukiem. Poleć mnie jego sercu i pamięci.

. . . . Oburącz tulę cię do mego serca, Bóg z tobą. Bądź zdrów i pogodny w duszy do zbudowania ludziom jak dotąd

twój

*J. Bohdan.*

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Fontainebleau, d. 22. września 1862 r.*

Droga Mamciu, od miesiąca korrespondencya między Fontainebleau a Hyères idzie jakoś opieszalej. Z obojej strony były opóźnienia, ale chowaj Boże, niebyło w tem niczyjej winy. Mamcia sobie podróżowała szczęśliwie ponad ślicznem, błękitnem morzem prowanckiem do Marsylii, my siedzieli jak sowy na pustkowiu, gwarem tylko studentów rozweselani. Nagrodzimy to sobie, Mamciu. za powrotem do Paryża. Tam, duszko, byle wyjść tylko na ulicę, a zaraz jedną lub kilka nowinek można upolować. Tu szumią wprawdzie lasy naokoło, ale ani zaoczyć tej zwierzyny. Dni nasze mijają, a mijają, jeden do drugiego podobiusieńki. Z rana po Mszy św. i po komunii, Bohuś siedzi w norce swojej do 1-ej, 2-ej rozmarzony, a czasem i trocha rozśpiewany. Dziatwa się po kącikach niby uczy, a rzeczywiście swawoli. Zosia najpoczciwsza to z Józią oprząta dom, to kucharzuje. Dopiero po obiedzie, około 3-ej, wszyscy na swobodzie, Panie u znajomych swoich pań, a ja z chłopcami w lesie, to na skałach. Od onegdaj pojawiły się obficie rydze, to urozmaicają się nieco nasze przechadzki. Szkoda, że Mamci na-

szej niemożemy posłać garnuszka tych specyałów, z tak daleka, jak to czyniliśmy ongi Mickiewiczowi.

Otóż, duszko Mamciu, za ośm lub dziewięć dni skończą się nasze wakacye, radzi nieradzi opuścimy Fontainebleau. Skoro wrócę na zimowe moje leże, zaraz słóweczkiem zawiadomię Mamcię i poszlę co się uda na razie upolować z paryskich kaczek a może i dropia. Zastanę zapewnie już tam i ks. Piotra z podróży. Mamcia moja będzie takoż weselsza wtedy i rozdobruchana, bo Dariuszowstwo i Kostunia zawitają do Hyères i niedadzą jej myślami to smutkami psować głowy, jak się wyraża po staropolsku ex profesor mój, Jan Kochanowski.

Otóż i wszystko z Fontainebleau . . . . . Całuję ręce Mamcine. P. Dyonizego pozdrawiam najserdeczniej z prośbą o modlitwy.

*Bohdan.*

## Do Pani Konstancyi Tomaszewskiej, we Lwowie.

*Paryż, 16. grudnia 1862.*

Zacna, dobra, kochana pani Konstancyo, niech mi Józef niema za złe, że zamiast do niego, do starego kolegi sejmowego, piszę do Ciebie, wzorowej ongi spółemigrantki naszej i siostry w Chrystusie Panu. Matce rodziny należy się zawdy i wszędzie pierwszeństwo. Bóg widzi, że niemam dzisiaj ani czasu, ani usposobienia do długich sentymentalnych listów. Po kilku leciech rozłączenia, byłoby dużo do pisania, ale właśnie to dużo krępuje wolę i myśl, że opadają ręce i chce się tylko po salonowemu prawić o pogodzie i słocie. Bodaj to nasze dawne pogadanki paryskie! Wierzajcie atoli wszyscy, że was kocham całą duszą, całem sercem, że modlę się za was codzień i modlić się nieprzestanę do skonu i po skonie. Niewymownie uradowaliście mnie waszymi listami. Chciałem zaraz obszernie odpisać, niestety, nie zdarzyła się na dobie pewna okazya, a przez pocztę wynurzać się nie lubię.

Chwałaż Bogu, że żyjecie i powodzi się wam jako tako. Mnie takoż Bóg szczęści. Żona zdrowa, dzieci rosną i uczą się. Biedujemy wprawdzie, ale to już taka nasza dola emigrancka i znosim ją z rezygnacyą i godnością polską. Pan Kopczyński powie czem się na zewnątrz zajmuję, a co się na wewnątrz święci, to tajemnica między Bogiem a mną. Dumam wiele i zdaje się, że coś lepszego

wydumam od ramot moich dotychczasowych. Mam nadzieję, że zapłaczecie czytając i zarazem rozweselicie się w sercach. Przygotowuję się zresztą do kompletnej edycyi moich poezyi.

Popierajcie, proszę, na Czerwonej Rusi moje Stowarzyszenie Podatkowe. Wziąłem w opiekę sieroty, a osobliwie siwoszów, weteranów naszych, z którymi tu zestarzałem. W imieniu Polski płacimy niektórym dożywotnią emeryturę, a wielu jednorazową zapomogę. Emigracya poparła odrazu myśl patryotyczną. Kraj przyczynia się takoż potroszę, a osobliwie poczciwa Litwa. W Galicyi mam tylko księżnę Leonowę i panią Niezabitowską. Szukam kogoś we Lwowie coby miał wpływ między szlachtą, tudzież dobrą wolę i ochotę na rzecznika i poborcę miejscowego. Możebyście mi potrafili wskazać takiego białego kruka. Zresztą Pan Bóg lepszy niż pan Rymsza i nie święci garnki lepią!

Synowca Pana Adama rzadko widuję. Siedzi kamieniem w swojej szkole, po uszy w studyach. Gorący, pracowity i prawowierny, to i sam da on sobie radę na świecie. Mój Maryan takoż niezły łacinnik i matematyk . . .

. . . . Wszystko to marzenia i marności ziemskie! Całuję z czułością ręce kochanej pani Konstancyi, a pani Konstancya niech wycałuje po naszemu, po ukraińsku, Józefa swego poczciwego, pannę Julię, panię Józefę i p. Adama. Dziatkom Adamowstwa zasyłam błogosławieństwo moje, tułacza za Dunajem

Wasz wierny przyjaciel

*J. B. Zaleski.*

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej [1]), w Hyères.

*Paryż, 22. grudnia 1862 r.*

Byle dalej! byle dalej, Mamciu kochana! a z Bogiem, a w Bogu! Bo i czegoż sobie życzyć możemy po VI. krzyżyku życia. Całuję ręce Mamci-Duszki z czułością brata i syna, a Mamcia niech rozda życzenia moje i pocałowania w domu, wedle starszeństwa: życzenia i pocałowania przy świątkach wielkich i przy Nowym Roku, po którym niespodziewam się wiele dobrego.

Łaski carskie, o których pisze Józef, tyczą się zapewnie Kongresówki, boć nas Rusinów nieuważają za Polaków nietylko sam

[1]) W dopisku listu Józefa Zaleskiego.

car, ale i właśni nasi chłopomani. Dziś, Mamciu, z Nicei odebrałem gruby pakiet rękopismów o Małorossach i Chłopomańcach, przez najlepszych pisarzy Ukraińskich. Chcą, abym to drukował po francusku. Niewiem jeszcze co zrobię. Widzę, że arcysprytni a osobliwie P . . . . Zresztą zagrabione majątki Al. Potockiego, X. Branickiego, Czartoryskich, Sapiehów i t. p. mógłby zapłacić chyba Rotszyld.

*Bohdan.*

## Do Pana Stanisława Malinowskiego, Dyrektora Szkoły polskiej, w Paryżu.

*Środa (1862?)*

Szanowny Dyrektorze!

Posyłam dwa pierwsze tomy Seppa. Heleniusza jeden egzemplarz dla biblioteki szkolnej dostarczy Karol Królikowski. Co do moich poezyi niewiem dobrze czy są jeszcze egzemplarze w księgarni Polskiej? Edycya zaś poznańska całkiem tu wyczerpana, a petersburska za droga. Pomówimy o tem później.

Zmiłujcie się, kochany Dyrektorze, leczcie coprędzej malców na parchę, bo to plaga wielka na szkołę. Moi młodsi synowie siedzą w domu i próżnują. Koniecznie udać się trzeba do specyalnego lekarza. Prezes tak dawno już mi obiecał.

Pozdrawiam po koleżeńsku

*B. Zaleski.*

## Do Pana Bronisława Zalcskiego, w Rzymie.

*Paryż, 11. stycznia 1863 r.*

Kochany Bronisławie! listownie spóźniłem się z życzeniami dla ciebie, ale przed Bogiem, wierzaj mi, złożyłem je w swoim czasie. Na Nowy Rok, przy modlitwie za przyjaciół stanąłeś mi w oczach stroskany i rozstrojony dusznie, tak samo zupełnie jak później odzwierciedliłeś się w liście. Gorąco też poleciłem Cię Bogu.

Duch ducha przenika wskróś. Mój drogi, w ostatniem twojem piśmie wieje chłód i rozczarowanie, które mnie zasmuciły tem

głębiej, że nigdy podobnego stanu duszy niezaznałem w Rzymie. Domniemywam się poniekąd pobudek i spółboleję z tobą. Życie jest bojowaniem, to cierpliwość, pogoda i wnętrzny spokój stoją bodaj za najlepszą strategię. Pan z tobą. Matka Boska i Aniołowie Jej niechaj cię otaczają strażą! niech otulą i ukoją co boli w sercu. Tyle na dzisiaj życzę.

W Polsce naszej rozpoczęło się Miłośne Lato. Jubileusz tysiącoletni Chrześciaństwa i Narodowości. Stawajmyż kto żyw do chóru i wtóru. Oczyśćmy się i nastrójmy jak najświęciej w duchu i w uczuciu. Komitet Wielkopolski dość zgrabnie zagaił rzecz Godów Narodowych, idzie teraz, aby wytrwał przy programie nie drażniąc nikogo, ani wrogów, ani swoich. Radbym wziąć czynny udział w tej sprawie. Mam w sercu i w wyobraźni gotowy plan Poematu stosownego [1]) do okoliczności, będzie to bodaj ostatnia pieśń moja na tym brzegu żywota. Oczywiście śnię i snuję nadzieje duchowe i patryotyczne, ale Bogu jeno wiadomo jak mi się rzecz uda. Zresztą jest jeszcze dość czasu, bo niechcę wyrywać się przed inauguracyą Mogiły Piastowej w Kruszwicy.

Czytasz zapewnie „Czas“ krakowski, to wiesz wszystko, co się święci w biednym naszym kraju. Ucisk niewysłowiony zewnątrz i wewnątrz od cudzych i od swoich. Bóg zdaje się gotuje rychłe już przesilenie. Nie mogę się w tej rzeczy szeroko rozpisywać. . . . . .

Uściskam i pozdrawiam i t. d.

twój

*Bohdan.*

## Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Rzymie.

*Paryż, 7. lutego 1863 r.*

Mój drogi, tak samo dzisiaj, jak ty i jak wszelka żywa dusza polska, mam serce i sumienie w torturach. Cierpiemy bodaj boleśniejsze niż czyścowe katusze. Krew bratnia płynie tam, a zniskąd pomocy, ani nawet jakiej takiej otuchy. Króle i ludy obojętnie patrzą, nierade, że psowamy im pokojowy ład i kupieckie

[1]) Wigilia Godów Tysiąclecia, poemat niedokończony, przerwany przez wybuch powstania w r. 1863.

zajęcia. Spółrodacy szamoczą się wprawdzie, ale w czczości. Oczywiście, wybuch był zawczesny, z tem wszystkiem wypadł już strzał i powinność żołnierska woła w pole. Szlachta zapewnie pod grozą oręża moskiewskiego, a może pod grozą włościańskich noży nieśmie rzucić się w otchłań na stracone. Podżegacze nieszczęśliwego ruchu takoż struchleli, przycupli na bruku paryskim ze swymi przywódzcami, a tymczasem sprawa w Kongresówce dobiega bodaj swego kresu. Poznańskie, Galicya, Litwa i Ruś po dziś dzień zdają się nieruchome. Poczciwa i gorąca młodzież nasza stąd i z owąd kupkami łączy się do powstańców. Azaż rozpaczne męstwo tych bohaterów bez broni i bez kierunku podoła przeciw sile uorganizowanej potężnego caratu? Chowaj Boże atoli upadać nam na duchu. Krzepmy się i ufajmy, że Bóg nas wydźwignie i z tej toni samą swoją wszechmocą.

Niepodobno o czem inszem, ani myśleć, ani pisać... Młodzieży wielu już wyjechało lub wyjeżdza. Liberały Moskiewskie obiecują dywersyę, której niewierzę. W stanie twego zdrowia i pod zimę, trudno ci doradzać w podróż.

Ściskam od siebie i od wszystkich moich

*Bohdan.*

## Do Pana Józefa I. Kraszewskiego, w Dreźnie.

*Paryż, 10. lutego 1863 r.*

Otóż i ty, kochany panie Józefie, na tułactwie! Witam, ale witam w uczuciu boleśnem, którego bodaj na razie nie godzi się i wyjawiać na zewnątrz.

Mamy tu serca w krępach, na nieustannej torturze. Krew polska leje się tam na nowo! Oczywiście, wybuch zawczesny, walka taka nierówna, i do tego toczy się w kilku ledwie okręgach Kongresówki. Żołnierska powinność każe nam lecieć na strzał, choć może wystrzelił to szaleniec. Z tem wszystkiem szlachta wszędzie, a osobliwie na Litwie i w Prusiech pod grozą bagnetów carskich i pod grozą bratobójczych noży, aza będzie mogła podać ręce Powstaniu? Przeróżne skrupuły bojują w sumieniach starszej braci. Młodzież jednak nasza wyrusza już i bodaj niebawem za nią udadzą się i podżegacze tutejsi ruchu.

Bóg mocen z niczego stworzyć niepożytą siłę!

Ależ takie zarozumiałe zerwanie się Komitetu, bez broni, bez wodza, i wbrew ogólnemu oporowi doświadczeńszych, znamionuje najwyraźniej kuszenia Opatrzności. Ci, co jak nam pisałeś, po spowiedzi i po św. komunii, nadzy, głodni, wyruszyli w pole, zaprawdę święci są. Ofiary to miłe Bogu i na nich tylko budujem nadzieję Miłosierdzia. Słusznie atoli wyrażasz się o przywódcach „że wzięli na siebie straszną odpowiedzialność przed Bogiem i Narodem teraz i na potomne czasy".

Wieści sprzeczne i niepewne, po większej części tylko gazeciarskie, dochodzą nas tutaj. Wiemy zresztą, że niepodobieństwo, aby mogło być inaczej, dopokąd powstańcy działają kupkami rozprószeni po kraju. Na miłość Boga, kochany Panie Józefie, donoś nam w skok co dowiesz się listownie, lub od przyjezdnych z Polski. Książę Władysław [1]) otrzymał twoje pismo. Na drodze dyplomatycznej nie tuszymy dlań sukcesów, chociaż p. Władysław Zamojski pojechał dawno do Londynu. Między Francuzami niższych warstw jest dużo szczerego spółczucia dla nas, wie o tem i Rząd.

Dobrze to zrozumiecie, że okrom o sprawie, o niczem innem niepodobna dziś myśleć Polakom ani pisać, urywam więc. Jeszcze raz proszę o nowiny z kraju, tudzież polecam was łasce i opiece Boskiej w nowem waszem położeniu jako oddalonemu nagle od domu i rodziny.

Uściśnienie braterskie

*J. B. Zaleski.*

Bronisław gości w Rzymie i pomimo niezdrowia zrywa się do domu. Miałem od niego list onegdaj. Piękne w nim słówko Ojca św., który wyrzekł świeżo do młodego księdza z kraju: „Jeszczeście za słabi, żeby się wam dziś udać mogło, ale któżby ich potępił? Módlmy się wszyscy".

Edward w Genewie, a nie wiem co pocznie w dzisiejszych okolicznościach? Od Nowego Roku nie pisał do mnie. Kalinka w Rzymie takoż od jesieni. O Klaczce głuche jeno mam posłuchy, że po staremu dziwaczy. Temi dniami rząd zabrał ostatni zeszyt „Przeglądu Rzeczy Polskich". Redaktor kędyś w Poznańskiem.

[1]) Czartoryski.

## Do Pana Józefa I. Kraszewskiego, w Dreźnie.

*Paryż, d. 19. lutego 1863 r.*

U nas tu, kochany Panie Józefie, od kilku dni pomyślniejsze obiegają wieści. Na Litwie i w Kaliskiem ruch ma się wzmagać. Jeżeli powstanie tu i owdzie było przycichło, to wyniknęło z rozkazu Rządu i wedle ukartowanego planu kampanii. O ile w tem wszystkiem prawdy? trudno zgadnąć. To prawda, że sam widziałem listy z Poznańskiego, wzmiankujące o tym zakazie Komitetu. Stąd od nas codziennie po kilku i kilkunastu wyrusza w różne okolice kraju. Są posłuchy z wyższych sfer tutejszych, że życzonoby gorąco, aby jak najdłużej bój się przeciągnął. Czynią nadzieję wdania się, bodaj na razie, dyplomatycznego.

Artykuł osobiście doręczyłem księciu Władysławowi. Obiecał po przejrzeniu, jeśli będzie podobna, dać do Debatów... Lękam się, aby artykuł nie zostawił *ad acta*. Napomykam o tej drobnostce dla tego tylko, abyście mieli dokładniejsze wyobrażenie o stanie rzeczy. Okrucieństwa moskiewskie nam przebodły wskroś serca. Zwróciliśmy już na nie uwagę tutejszych publicystów. Doprawdy, żyjemy tu w niewymownej męce. Boże zbaw Polskę!

Ściskam rękę po przyjacielsku

*J. B. Zaleski.*

Rozbiegła się wczoraj wieść, że Mierosławski już w kraju. Gdzie? Niewiadomo. To niewątpliwa, że wyjechał od kilkunastu dni. Z Langiewiczem porożnił się w Genui. A więc chyba gdzieś w Kaliskiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# RZECZ O UCZUCIACH LUDZKICH.

(Ciąg dalszy).

## VIII.

### Uczucie piękna i brzydoty.

Rozpoczynając rzecz niniejszą widzieliśmy, że każdy organizm żyje dążeniem do ujawnienia pewnych kształtów i pewnych ruchów dowolnych i mimowolnych, pewnych kolei życiowych, do których należy także przekazanie postaci swojej potomstwu. Okoliczności, wśród których organizm powstaje i rozwija się, dopomagają po części osiągnięciu zamierzonego w przyrodzie celu, a po części temu przeszkadzają. Pomyślny rozwój sprawia u zwierząt i ludzi przyjemność lub rozkosz, niepomyślny przykrość lub boleść; cel zaś zamierzony nazwaliśmy ideałem, do którego ujawnienia organizm dąży i to tym porządkiem, że ujawnianie ideału postaci jest istotą każdego organizmu, prawem przyrody przez istnienie organizmu wyrażonem.

Otóż oglądanie organizmu rozwijającego się szczęśliwie i wyrażającego ideał postaci takiej, jaką w pewnej chwili rozwoju swojego być powinna, sprawia rozkosz osobną, oglądanie spaczonej postaci sprawia osobną przykrość, mogącą się nawet w boleść zamienić. Rozkosz tę i boleść — obie tylko człowiekowi właściwe i duchowe w istocie swej — nazywamy poczuciem piękna i brzydoty; pięknym nazywa się organizm, ujawniający w przybliżeniu ideał swój, brzydkim, spaczający ten ideał. Radość, której doznajemy poznając piękno, tyczy się wzbogacenia naszej wiedzy bezpośredniem poznaniem myśli stworzenia, a Platon mawiał o niej nie bez słuszności, że zachodzi tu jakby przypomnienie tego cośmy widzieli w niedoczesnej ojczyźnie naszego ducha, gdzieś

poza czasem i przestrzenią, w Bogu. Żadnemu doczesnemu doświadczeniu nie zawdzięczamy znajomości idealnej pełni form, która nigdzie nie istnieje na jestestwie poszczególnem. Gdy jednak dostrzegamy jakikolwiek przedmiot, poznajemy czy się do ideału zbliża, czy się też od niego oddala i wedle tego mienimy przedmiot pięknym lub brzydkim. Przedmiot piękny budzi w nas potężne przeczucie, rodzi jakby widzenie ideału, do którego się zbliża, choć go w zupełności nie ujawnia, i to przeczuwające widzenie krzesi w nas radość tak nieraz potężną, że się aż we wzruszenie zmienia. Podobne uczucia bywają między sobą skojarzone i wywołują przeto podobne skutki; czysto duchowe zatem uczucia zamieniają się nieraz w zmysłowe wrażenia. Oglądanie piękna zamienia się rade w kontemplacyą, przy której zresztą o wszystkiem zapominamy, w przedmiocie zatopieni; następuje tedy unieruchomienie ciała i wzroku, a przytem pewna bezwładność, objawiająca się pogodą czoła, powolnym a silnym oddechem, otworzeniem pomiernem ust; gdzie chodzi o piękno niewidome dla wzroku, zawraca się źrenica ku górze, nadając twarzy znany ekstatyczny wyraz pobożnych malowideł. Krew krąży przytem szybko, radośnie, serce bije silnie, wydaje się jakoby dusza wyrywała się z ciała, a najwyższe, oglądaniem piękna wywołane wzruszenie, zamienia się w ekstazę, przypominającą letarg, pokrewną z magnetycznym lub somnambulicznym snem. Przeciwnie poznanie rzeczy brzydkiej mąci w nas poznanie ideału, sprzeciwia się naszemu rozumowemu przeczuciu; gdy brzydota jest wielką, doznajemy wzruszeń, przypominających obrzydzenie, wzruszeń wstrętnych, zwanych odrazą. Usiłujemy oczy od przedmiotu odwrócić i nawet przy niewidomej brzydocie zamykamy oczy, marszcząc czoła; krzywimy usta, jak gdybyśmy wstrętnej zażywali potrawy, doznajemy w krtani poruszeń, przypominających wymioty, gorączkowy niepokój władnie całem ciałem.

Odrazę budzi widok bardzo anormalnej budowy ludzkiego lub nawet zwierzęcego ciała a zwłaszcza oblicza, widok kalectwa, choćby wcale nie bolesnego, choroby toczącej organizm, jakoto: raka, wilka, trądu, ran głębokich a szpecących ciało, wreszcie umarłego ulegającego rozkładowi; mniejsze zboczenia od normalnego rozwoju ciała, znowu głównie w twarzy ludzkiej, skoszlawienie organizmu, jego słabość, wydają się brzydkiemi tylko, nie budząc już odrazy. Podoba nam się widok zdrowia i siły, zachwycać nas jednak zwykły tylko wyjątkowo rozwinięte jestestwa, zwane pięknemi, a równie rzadkie, rzadsze może od odrażająco brzydkich. Nie-

prawdą jest tedy, abyśmy pięknemi nazywali jestestwa, mające kształty, do których przywykliśmy, albo okazujące przeciętną, że tak rzeknę, schematyczną budowę ciała jakiejś postaci organizmów, pięknemi wydają nam się jednostki wyjątkowe, najdoskonalsze, to jest najbliższe przeczuwanego na ich widok ideału. Jestestwa piękne podobnie jak odrażająco brzydkie zbaczają od przeciętnej budowy swojej postaci, ale zbaczają koniecznie w jednym kierunku, w kierunku nigdy przez nas w życiu zmysłowem nieoglądanego ideału — kiedy brzydkie zbaczają w kierunkach różnych, odmiennych. Jestestwa piękne wydają nam się bliskiemi tego, czem powinny być, brzydkie jak najdalszemi od tego, czem być powinny; zwykle w przyrodzie napotykane, zwyczajne, pospolite, wydają nam się mierne mi, raczej brzydkiemi jak pięknemi, a w najlepszym razie obojętnemi. Kto się o tej prawdzie przekonać chce, niech sobie przypomni rzesze pospolitych ludzi, koni, bydła, psów, niech powie czy często napotyka na poszczególne drzewo, któremby się zachwycał, o któremby orzekł, że jest piękne? W wyjątkowo pomyślnych warunkach, sprowadzonych zazwyczaj dopiero za staraniem człowieka, ogrodnika, lub hodowcy, powstają rośliny, konie, bydlęta zachwycające pięknością. Ludzie, którzy wyrastają wyjątkowo bez niedostatku i bez pracy fizycznej lub duchowej wyczerpującej dziecka siły, a na świeżem powietrzu i przy dostatecznym ruchu, bywają rośli, zdrowi i tem samem przystojni. Trzeba zazwyczaj długiego następstwa pokoleń wyrosłych w pewnych dostatkach i przy pewnej obyczajności, albo w wyjątkowo korzystnym klimacie, aby powstali ludzie piękni, nawet piękność oka, ręki, kibici, innego szczegółu w postaci ludzkiej bywa wyjątkową, a cieszymy się gdy ją oglądamy.

Nie wszystkie postacie zwierząt i roślin bywają równie piękne. Rozwojowi organicznego stworzenia wyznaczono cel jeden najwyższy, różne poboczne cele. Dzieje przyrody pouczają nas o tem, że celem rozwoju życia na planecie było powołanie istoty rozumnej, jaką jest człowiek, najdoskonalszego zarazem zwierzęcia, najrozmaitszymi obdarzonego organami. W coraz późniejszych okresach, coraz bliższe człowieka powstawały postacie, i te późniejsze piękniejszemi nam się wydają. Wymoczek i robak, najpierwotniejsze organizmy, wydają nam się tak dalekimi od doskonałości, że ich widok przejmuje nas odrazą. Brzydkiemi są jeszcze salamandry i ropuchy, najpiękniejszemi po człowieku zwierzęta ssące, których kształty, same jedne, na prawdę przedmiotem rzeźby stać się mogą. Drzewo genealogiczne organicznego stworzenia, ma

wprawdzie u szczytu swego jak dotąd ludzkość, ale rozpada się na wielkie konary klas i rodzajów organicznych, z których każdy dąży do ujawnienia podrzędnego ideału, z których każdy mieści w sobie postacie niższe, dalsze od celu, jakby przejściowe, mniej wyraźne i mniej piękne; wyższe, najdoskonalsze i najpiękniejsze, i wreszcie wyjątkowe zboczenia, sprawiające, że niektóre dziwaczne zwierząt postacie robią wstrętne kalek wrażenie. Wśród roślin grzyby pierwotne bywają brzydkie, piękniejszemi od nich rośliny jednoliścienne i nagonasienne, najpiękniejszemi dwuliścienne; wśród roślin jednoliściennych palmy i lilie, wśród dwuliściennych róże i dęby uderzają różnorodną pięknością i one są też najpóźniejszym a najwybitniejszym wyrazem rozwoju różnorodnego, wśród roślinnego królestwa. Zwierzęta, które nie są już niewyraźnemi pierwoczakami, dzielą się na trzy wielkie klasy: miękczaków, artykulatów i wertebratów; obok niepięknych ślimaków stają piękne, nautylusy na czele miękczaków, owady są najdoskonalszymi wertebratami, a między nimi nawet niedoskonałe pluskwy rodzą odrazę, najdoskonalsze i najpóźniejsze żuki i motyle własną lubo niższą jaśnieją pięknością. Rzekłem już, że pośród zwierząt kręgowych najprzedniejsze, najpóźniejsze i najdoskonalsze są zwierzęta ssące, m a m m a l i a; jakby pierwszym ich zaczątkiem i niedoskonałą próbą, dotąd w Australii głównie przechowane zwierzęta torebkowe i dziobaki — m a r s u p i a l i a i m o n o t r e m a t a; znajdziesz między nimi podobizny wszystkich prawie porządków klasy, zawsze niewyraźne i szpetne; inne znów porządki ssaków, żyjące w obcych sobie morzach, różnorodne foki i wieloryby, albo latające niby nietoperze, tak zabłądziły daleko od wspólnej myśli rozwoju klasy, że ohydne kalek robią wrażenie. Każdy porządek ssaków ma znów jakby swój ideał; postacie, które najmniej wybitnie znamiona porządku wyjawiły, wydają się szpetnemi, lub co najmniej obojętnemi jak wieprz, wielbłąd, borsuk; przeciwnie najdoskonalsze postacie, konia, jelenia, lwa lub tygrysa, okazujące wybitnie znamiona porządku, do pięknych zwierząt powszechnie zaliczane bywają, a koń hodowany przez człowieka gwoli piękności, podrzędnym, w pełni okazanym ideałem porządku swojego, wprost zachwyca. Małpa dlatego razi, mimo wielkiej zwinności swojej, ponieważ się wyraźnie niedoludkiem wydaje. Aby tu podaną prawdę w pełni uwydatnić, księgi by spisać wypadało. Kto dostateczną naukę i dobrą wiarę posiada, temu wystarczyć powinny rzucone myśli.

Takie wydarzenia o tyle wydają się pięknemi, o ile mają idealny przebieg, to jest o ile wyrażają doskonale prawo natury. Wodotrysk bywa piękny, ponieważ woda skreśla doskonałą hiperbolę i ponieważ światło rozbija się na niej w doskonały pryzmat. Najpiękniejsze są barwy niezamącone pryzmatyczne, a najpiękniejszą bywa tęcza zupełnie czysta i kreśląca zupełną ćwierć koła. Zwierciadło, czy to naturalne wodne, czy to sztuczne metaliczne, najpiękniejszem mienimy, kiedy dokładnie odbija przedmioty. Lot kuli armatniej wydaje się pięknym, ponieważ doskonałą zakreśla parabolę. Starożytni myśliciele nawet pewne bóstwo ciałom niebieskim przyznawali, twierdząc, że każde z nich ideał swojej postaci doskonale ujawnia, ponieważ postać ich wydaje się doskonałą kulą, a ruch ich jednostajny zakreśla na widnokręgu doskonałe koło, a słońcu, dawcy doskonałego światła, najwyższą przyznawali piękność. Ruchy zwierząt i ludzi o tyle bywają piękne o ile bywają rączе lub silne, to jest o ile cel swój osiągają bez spaczenia lub spóźnienia; podziwiamy zatem bieg konia, lot jaskółki lub orła, sztuki małpy albo akrobaty, rączе przemykanie się węża albo jaszczurki, taniec dziewicy, skok lwa lub tygrysa i potężne uderzenie ich łapy. Zachwyca nas głos ludzki doskonały, wyrobiony wyjątkowo śpiewnie, tak jak wyjątkowo wyrobionem bywa piękne ciało. Ruchy zwierząt albo ludzi osiągających cel swój z trudnością, głosy chrapliwe lub szepleniejące, jako niedoskonałe, wydają nam się brzydkiemi. Niepięknym jest lot ociężały indyka, albo ruch kangura, chodzącego na czworakach, brzydkim chód kulawego. Foka albo lew morski zachwycają nas rączymi ruchami, jakie wykonują wśród wody, a budzą odrazę, kiedy po ziemi niedołężnie skaczą; orzeł bujający w powietrzu jest przedmiotem podziwu, a staje się godnym politowania, kiedy usiłuje niezręcznie po równej chodzić podłodze. Także prace zwierząt, gniazda ich albo nory, podziwiamy w miarę tego jak instynkt gniezdny lepiej u nich wyrobionym bywa i przełożymy niezawodnie plaster pszczelnego wosku nad niedokładnie urobione gniazdo szerszeni.

Czyny ludzkie, albo dla siebie samych są celem, ciesząc bezpośrednio, albo też bywają środkami do celu; podobnież i dzieła ludzkie bywają narzędziami, służącemi dla wygody lub pożytku, albo też przedmiotami, których poznanie bezpośrednio przyjemność sprawia; pierwsze bywają dziełami przemysłu, drugie, o ile sprawiają bezpośrednio rozkosz duchową, nazywamy dziełami sztuki, dziełami przemysłu wtedy tylko, kiedy wyłącznie zmysły cieszą —

jak naprzykład potrawy, albo pachnidła; dzieła przemysłu artystycznego bywają mniej pięknemi dziełami sztuki, jak naprzykład kafle albo olejodruki, albo też bywają dziełami przemysłu ozdobionemi artystycznie, jako to: naczynia albo sprzęty ozdobne. Czyny mające na celu sporządzenie dzieła przemysłu albo sztuki są pracą; gdzie chodzi o stworzenie dzieła przemysłu, albo o mechaniczne rozmnożenie dzieła podrzędnego sztuki — i oczywiście tam, gdzie chodzi tylko o przemysłowe środki do wytworzenia dzieła sztuki, jak wyrób papieru, atramentu, farb, pędzli, czcionek drukarskich, o zadanie typografa i ludwisarza, praca nazywa się robotą; robotą nazywa się także praca, mająca na celu bezpośrednie zgotowanie zmysłowej rozkoszy, albo bezpośrednie usunięcie zmysłowej boleści — jak na przykład wycieranie po łaźni, albo masowanie chorego; roboty trudne, wymagające wysokiego stopnia zawodowej biegłości, połączonego z wytężeniem rozumu, nazywają się pracą umiejętną, jak na przykład praca lekarza, adwokata, inżyniera, chemika; prace wreszcie, mające na celu bezpośrednie zgotowanie rozkoszy umysłowej, nazywamy twórczością artystyczną albo naukową. Naturalnie każda praca nie nad siły bywa źródłem przyjemności zmysłowej, albo umysłowej; zaniechanie pracy długie sprowadza znużenie, nadmiar pracy, także rozumowej, sprowadza zmęczenie; rzeczy to już z poprzednich rozdziałów wiadome, a teraz mamy tylko powiedzieć, kiedy praca ludzka bywa piękną albo brzydką, kiedy pięknemi albo brzydkiemi bywają dzieła ludzkie.

Czyn ludzki bywa zmysłowo pięknym — a teraz o tej tylko zamierzam mowić piękności — jeśli jest wykonany z pewnością siebie, w sposób najrychlej dopinający celu, jeśli ujawnia przytem naturę ludzką, jako postaci organicznej, a co najmniej tej naturze się nie sprzeciwia. Sama zmysłowa piękność czynu nie jest wcale zawisłą od piękności dzieła, mającego z czynu wyniknąć, a bywa jedynie wypływem zręczności i siły ruchów, całego ciała, albo jednego organu, najczęściej ręki lub ramienia; tak dalece, że można grać naprzykład bardzo pięknie, a ruszać się przytem niezgrabnie i przeto dokonywać niepięknego zmysłowo czynu, a przeciwnie można mówić rzeczy wcale nie piękne, pięknie; a także zmysłowo piękne działanie jest istotą sztuki tancerza, rzeczą niezmiernie ważną dla aktora, tragicznego zwłaszcza, i dla mowcy. Ruchy bardzo zręczne, ale takie, przy których członki ze stawów wyskakują, albo sprzeciwiające się naturze człowieka zmysłowej, bywają brzydkie; brzydkiemi przeto bywają sztuki akrobatów, zwane łamanemi, albo też sztuki kuglarza połykającego ogień. Piękność

zmysłowa czynu wzmaga się w miarę tego, jak ujawnia przyrodzone człowieka instynkta, będące tak ważną jego zmysłowej natury częścią; podziwiamy przeto dzieci bawiące się wesoło, parę młodych kochanków, matkę pieszczącą się z dzieckiem, starców otoczonych rodziną, żołnierza ciągnącego w bój z ochotą, niewiastę krzątającą się u ogniska domowego, wieśniaków przy roli; brzydkimi wydają się natomiast, a przynajmniej zmysłowego nie budzą upodobania, mnich i mniszka, asceta, więzień i urzędnik pracą biurową od swobodnego życia oderwany, ponieważ czegoś im do pełni człowieczeństwa nie dostaje; kobieta przy szabli, mężczyzna przy kądzieli, zbyt poważny młodzieniec, trzpiotowaty albo kochliwy starzec bywają brzydkimi, ponieważ krzywią postępowaniem swojem ludzkie przyrodzenie.

Zwyczajny sposób postępowania narodu nazywa się obyczajem a obyczaj bywa piękny zmysłowo, jeśli strzeże przyrodzonych człowieka warunków, jeśli jest wyrazem instynktów ludzkich; w przeciwnym razie bywa obyczaj brzydkim. Obyczaj piękny bywa obyczajem ludzi swobodnych, żyjących gromadnie w sutym dobrobycie a bez wybrednych zbytków, uprawiających rolę i strzegących rodziny, mężczyzn ciągnących na boje, łowy i dalekie wyprawy, niewiast strzegących domu, lubujących się w stroju i w domowem gospodarstwie; silne bywają przy pięknym obyczaju przyjaźnie, na miłości oparte małżeństwa, wielką bywa starszych powaga, stałe zajęcia, niezmienne przyzwyczajenia. Inne obyczaje mogą mieć większą moralną wartość i wyższą duchową piękność, zmysłowo pięknym, epicznym bywa tylko obyczaj patryarchalny, swobodny, rycerski i rolniczy. Gdzie przemysł, handel i administracya życie ludzkie sztucznie przemieniają, gdzie się węzły przyrodzone rozluźniają, gdzie dowolne przepisy postępowanie na każdym kroku krępują a życie miejskie i biurowe człowieka od przyrody odrywa, brzydnieje obyczaj a dajemy mu miano prozaicznego, trywialnego; brzydnieje także a tym razem dziczeje obyczaj okrutny, surowy albo rozpustny, urągający z ludzkiej godności, pastwiący się nad ludzkiem życiem lub zdrowiem, pełen ucisków, albo nienaturalnych zbrodni; srogi niewolą ludu albo niewiast, pokalany ohydnemi igrzyskami lub ofiarami, skazujący ludzi na włóczęgę, rozsypkę, albo ascetyczną samotność i dobrowolne kalectwa — lub też pełen zabobonnych obrzędów, czy też rodzinnej poswarki.

Także pewne zawodowe, skomplikowane czynności ludzkie, jakoto: manewry, polowanie, proces, operacya chirurgiczna, pewne wydarzenia, jakoto: przebieg choroby, albo trzęsienie ziemi, mogą

mieć piękność swoją, widoczną tylko dla ludzi zawodowych. Operacyą chirurgiczną nazywają lekarze słusznie piękną, bez względu na to czy się udała, równie słusznie nazywają pięknym raka, choć i operacya owa i rak, u ludzi niezawodowych tylko wstręt obudzić zdolne a ciało ludzkie brzydkiem czynią. Piękność operacyi zależy na tem, że z największą precyzyą i dokładnością wykonaną została, piękność raka jest to, że doskonale ujawnia istotę postaci swojej. Słusznie twierdzili teologiczni myśliciele wieków ubiegłych, że nic niema istotnie brzydkiego, że wszystko bywa tylko brzydkiem względnie, w odniesieniu do innej rzeczy, którą szpeci; podobnież nic niema istotnie złego a wszystko bywa tylko złem względnie. Dobrocią i pięknością każdej rzeczy jest jej doskonałość, złem i brzydotą niedoskonałość; to co koszlawi, hamuje lub niszczy rozwój jestestwa, bywa dla niego złem i czyni to jestestwo brzydkiem dla podmiotów rozumnych, o ile to jestestwo poznają; samo w sobie bywa innem jestestwem, o tyle pięknem o ile się rozwija w pełni. Lew jest zły dla gazeli, którą pożera, i rozdzierając gazelę szpeci; sam jest dla siebie piękny i dobry wtedy właśnie, kiedy jest zdolen łup żywy z pewnością chwycić i pokonać; burza jest złą dla drzew, które szpecąc połamie; sama dla siebie bywa dobrą o ile jest w całej pełni, tem piękniejszą i groźniejszą bywa. Piękność jednak operacyi chirurgicznej i innych tym podobnych zawodowych a umiejętnych czynności bywa o tyle pięknością podrzędną, a przeto dla ogółu ukrytą, o ile czynności takie racyi swojego istnienia w sobie samych nie czerpią, a służą tylko jako środki do dopięcia zamiaru.

Podobnież podrzędną i względną bywa piękność dzieł przemysłu ludzkiego, będących narzędziami służącemi bezpośrednio lub pośrednie ku wygodzie człowieka i ta piękność bywa podobnież tylko widoczną dla tych, którzy przeznaczenie narzędzia znają, albo którzy przynajmniej oglądając narzędzie w chwili, w której użytem bywa, mogą dostrzec o ile wszystkie jego części, rozumnym ładem ujęte, doskonale do pewnego celu zestrojono. Bardzo już doskonałemi narzędziami ludzkiemi są lokomotywa i statek; w warsztacie pozna tylko znawca doskonałość a przeto względną tych narzędzi piękność; statek na morzu, lokomotywa w pełnym pędzie okazują jawnie rączość i siłę, dowodzącą doskonałej maszyn budowy, pięknemi wydają się tedy każdemu, a zwłaszcza statek, najdoskonalsze ze wszystkich narzędzi ludzkich, czyni prawie wrażenie organicznego jestestwa i staje się nieraz bardzo pięknym. Wszyscy prawie znamy przeznaczenie i zwyczajny układ domów

DYREKCYA KASY OSZCZĘDNOŚ
MIASTA NOWEGO SĄCZA.



i w ogóle dzieł przemysłowego budownictwa; skoro tedy gmach jakiś bywa zbudowany w sposób odpowiadający celowi, bywa pospolicie pięknym zwany, choćby nawet nie był przystrojony myślą artysty.

● piękności formalnej dzieła sztuki stanowi dokładność wykonania sprawiająca, że to dzieło jest tem, czem być zamierza, a zatem czem być powinno. Przy poezyi i wymowie chodzi przedewszystkiem o piękność języka, a zatem, raz o to aby język był w zupełności sobą, posiadając zupełną czystość i swoistość wyrażeń i zwrotów, powtóre o to aby jędrnie i dokładnie a wyraźnie myśl autora wyrażał, zamierzone wyobrażenia i uczucia u czytelnika lub słuchacza wywołał; używanie zwrotów albo wyrazów nie swojskich, rozwlekłość i niejasność bywają formalnemi utworu wadami. Gdzie użyto wiązanej mowy, domagamy się nietylko ścisłości i harmonii rytmów, ale przytem także widocznej łatwości w wierszowaniu, unikającej wszystkiego, co rozwlekłe, nienaturalne albo niejasne i nadające zdaniom za pomocą wiersza większej jeszcze jędrności i wyrazistości; kto wierszując temu zadaniu nie sprosta, szpeci swoje dzieło, skoro nie dopiął tego co zamierzył, a sama tylko formalna wiersza piękność pewną wartość utworowi nadaje, choćby treść jego nie była ani wzruszyć, ani zająć zdolna. Do formalnej poematu piękności przyczynia się także zupełne oddanie czysto epicznej, lirycznej albo dramatycznej formy a mięszane utwory bywają formalnie pośledniejszymi.

Przy rzeźbie i malarstwie zależy formalna piękność na dokładnem naśladowaniu natury o ile zostało zamierzonem, i na pewnem siebie a jednostajnem zastosowaniu obranej techniki. Każda technika w inny sposób naturę naśladować usiłuje; rzeźbiarzowi chodzi o oddanie namacalnego kształtu, malarzowi o odtworzenie barwnego obrazu, jakby na zwierciedle, a rozmaite techniczne odmiany rzeźby i malarstwa każą rozmaite strony prawdy uwydatniać, inne poświęcać; rysunek może poprzestawać na oddaniu konturów obrazu zwierciadlanego, może także oddać światłocień poświęcając tylko barwę — bywa zawsze mniej pięknem malarstwem, choć może sam w sobie wielką formalną piękność posiąść; w podobnym stosunku do posągu są płaskorzeźba, wypukłorzeźba i kamea; maszyną albo przez rękodzielnika robione podobizny dzieł sztuki, jakoto: ryciny, fotografie, odlewy, hafty nigdy całej subtelności bezpośredniego dzieła artysty mieć nie mogą, stają się brzydkiemi, kiedy usiłują tej subtelności nabyć, a są formalnie pięknemi, kiedy się do swego rękodzielnego po-

czątku jawnie przyznają; — jak naprzykład chromolitografie oddające tylko kontur i barwę bez światłocienia; przeciwnie, wszystko co pracę charakterystyczną indywidualnej ręki uwydatnia, wzmaga formalną piękność bezpośredniego dzieła artysty; usiłowania rzeźbiarza, chcącego oddać efekta malarskie — jak naprzykład perspektywę i na odwrót igraszka malarza tworzącego wypukłe na powierzchni obrazu punkta, bywają zawsze mniej udatne, mniej piękne.

Formalna piękność kompozycyi muzykalnej albo architektonicznej zawisła od ścisłego uwzględnienia praw matematycznych i fizykalnych, tudzież konwencyonalnych znamion obranego stylu i rodzaju dzieła. Omal, że nie ważniejszą bywa tu formalna piękność wykonania powierzonego rękom niesamodzielnym, a pięknem bywa to wykonanie tylko, jeśli bywa indywidualnem i pewnem: wielką pewność posiada wykonanie mechaniczne — gmachu przez zawodowych ale artystycznie niewyrobionych robotników, utworu muzycznego przez maszynę, ale brak znamion indywidualnych czyni dzieło formalnie brzydkiem, daje mu charakter nieudałego naśladowania czegoś niedoskonałego, coby chciało być dziełem sztuki, a niem być nie umie!

Piękną bywa treść obrazu albo posągu, jeśli przedstawia piękne kształty, a zatem przedewszystkiem piękność organizmów doskonałych, ideał organizmu w postaci pięknych ludzi; malarstwo może także piękną to jest doskonałą wyobrażać grę światła i cienia. Piękność poematu co do treści — o ile tu o zmysłową tylko piękność chodzi, zależy na opisie zdarzeń pięknych, a mianowicie czynów pięknych, bo wyrażających naturę ludzką nieskoszlawioną i pięknych obyczajów, a tę piękność posiada przedewszystkiem epopeja. Malarstwo i rzeźba mogą zresztą także epiczną piękność przypomnieć, a poeta pobudzi wyobraźnię do wytworzenie obrazu pięknych ludzi, zwierząt, roślin, krajobrazów. Zmysłowa piękność muzyki zależy na rytmie przypominającym piękne ruchy, i tonach przypominających miłość, cześć, albo zapał wojenny, uczucia zdrowym ludziom przyrodzone. Treścią piękności architektonicznej bywa wyłącznie ujawnienie statycznych praw materyału, z którego gmach jest wzniesiony; niepięknym bywa zatem gmach nie przyznający się do materyału, z którego został budowany.

Aby wzbudzić upodobanie ludzkie, usiłuje sztuka do przemysłu zastosowana uczynić narzędzia ładnemi, malowniczemi, albo nadobnemi mocą barwy i pomysłu, a narzędzia te stają się formalnie pięknemi w miarę tego, jak celu dopięto, nabywają war-

tości artystycznej, jeśli mają przytem znamiona niezawodne bezpośredniego, indywidualnego dzieła ręki ludziej, uwydatniając przytem odpowiednio celowi narzędzia układ i wyrażając wszystkie znamiona obranego stylu, bez chwiejności i bez przesady. Piękne dzieła ludzkie bywają zatem zazwyczaj ładne, skoro ich piękność zależy w wielkiej mierze na przystosowaniu do celu rozumnem, skoro w dodatku celem ich wyłącznym albo pobocznym bywa to, aby się podobały.

Jednak także dzieła przyrody bywają ładniejszemi w miarę tego jak się stają piękniejszemi ; to jest w miarę tego jak wyrażają w pełni ideał swojej postaci, to co wiecznie powziętym zamiarem przyrody zwać się godzi, a częstokroć także nadobność jestestwa wzrasta w miarę jego doskonałości, choć przyroda większy nierównie na ład nacisk położyła, strojąc w cudowne barwy robactwo morskie, motyle, żuki i świat roślinny, a darząc dopiero najwyższe organizmy a zatem twory najpiękniejsze, subtelnie obmyślanym ładem kształtów. W całej przyrodzie znać powzięcie wieczne i doczesne urzeczywistnianie zamiarów zgodnych z istotą i z potrzebami rozumu ludzkiego. Możemy to już w martwej dostrzec przyrodzie, w której kryształ bywa ideałem postaci wielu anorganicznych ciał skrzepłych, wszystkich prawie cieczy i jak się dziś okazuje wszystkich także gazów. Ciała te dążą do wytworzenia kryształu, skoro warunki ciepłoty sprzyjają powstaniu anorganicznych indywiduów, a wytwarzają kryształy doskonałe, jeśli znajdą okoliczności sprzyjające krystalizacyi. Taki kryształ piękny ujawnia ładne, regularne zupełnie kształty, podobne do tych, jakie pomyśli geometra, wśród rozumowego bezmiaru, a bywa w dodatku nadobnym barwą, przejrzystością i połyskiem. Roślina, dla której ogrodnik najbardziej sprzyjająae wytwarza warunki, bywa bliższą doskonałości, ujawniając całą postaci swojej piękność, a równocześnie ład wyraźniejszy i doskonalszy, konary, gałązki, liście i kwiaty układa dokoła pnia z doskonałą symetryą geometryczną, nadaje liściom, kwiatom i owocom kształty bardziej wyraziste, piękniejszą barwę i połysk, mnożąc płatki w pełnym kwiecie, ładniejszą mu nadaje postać, podczas gdy w roślinie schorzałej i nadobność i ład marnieje widocznie. To samo co o roślinach da się powiedzieć o zwierzętach bezkręgowcach, a zwierzę przez człowieka w najkorzystniejszych dla postaci swojej warunkach hodowane a przeto najdoskonalsze i najpiękniejsze bywa zarazem najłagodniejszem, jakeśmy to już omówili, prawiąc o rozkoszach intelektualnych. U najpiękniejszego

konia, to jest u konia arabskiego, występują doskonałe matematyczne i geometryczne proporcye, ujawnia się cała celowa gra muszkułów, występuje przytem wspaniały maści połysk; podobnie ujawnia się cała piękność wołu u starannie chowanych a jednak z naturą obcujących ras górskich, a chłopiec wiejski wychowany swobodnie a w dostatku, dziewczę w podobnych warunkach a w dodatku w umiarkowanym klimacie wychowane bywają, najpiękniejszymi ludźmi, zwłaszcza, jeśli dziedziczą znamiona przodków równie szczęśliwych, a budowa ich ciała odpowiada najbardziej wymaganiom matematycznego ładu, o których wspominałem, gdym w V. niniejszej pracy rozdziale mówił o rzeczach ładnych w ogóle.

Nauka nowożytna wyświeciła dzieje naszego płanety, przed początkiem ludzkiej historyi i wiemy dziś jak się płaneta rozwijał, a znając stan płanety coraz doskonalszy, możemy ze słusznością przypuszczać, że znamy stany coraz doskonalsze, bliższe zakreślonego światom ideału, a zatem piękniejsze. Otóż ziemia najpierwotniejsza przedstawiała obraz jednostajny zarazem i chaotyczny; pokryta jednostajną powierzchnią płytkiego oceanu, otulona wiecznie szarą mgłą, była widownią nieustannych wstrząśnień atmosferycznych i wybuchów wulkanicznych, a wyspy powstawały na niej i zapadały się nieustannie; powoli odłączyły się lody od wód; życie pierwsze zarysowało się w głębiach oceanów i na wyspach i lądach pierwotnych; życie to jednak było dziwnie jednostajne, ubogie w rodzaje i postacie, a same postacie roślin i zwierząt wielce niedoskonałych nie wyraźnie oddzielone, mało różne, zlewały się z sobą w sposób bezładny; barwy prawie nie było na ziemi, ciszę pustkowia przerywały niewyraźne syki i szmery. Po wiekach dopiero rozchwiały się mgły mrokiem wieczystym zasłaniające niebo, zajaśniały u góry słońce i gwiazdy, barwy i cienie wyraźne posłużyły do ładnego zjawisk odgraniczenia; pomnożyły się rodzaje i postacie jestestw żywych, na wyraźniejsze podzieliły się klasy. Ale jeszcze i w tych drugorzędnych już czasach zwierzęta kręgowe niewyraźną tworzyły całość, wśród których poczwarne nieraz stwory były płazami prawie zawsze, choć niby ptakami albo ssakami bywały, a przewaga mórz i jednostajność gorącego na całej powierzchni płanety klimatu pozbawiały ziemię owego ładu wśród rozmaitości, który dziś stanowi przedmiot wielkiego upodobania dla rozumu ludzkiego i ludzkiej wyobraźni. Dopiero w trzecim okresie życia planetarnego, oddzieliły się wyraźnie ptaki i ssaki, a dzieliły się stopniowo na coraz wyraźniej od siebie oddzielone porządki i rodziny, o coraz doskonalszych postaciach: nastał ład klimatów ko-

leją stateczną pór roku; oddzieliły się wielkie masy lądów i oceanów, a świat zwierzęcy i roślinny nadał każdej osobne, a wyraźne znamię, tym jednak porządkiem, iż najdoskonalsze twory oglądamy na wielkim lądzie wschodniej półkuli, gdy ląd Ameryki przechował odmienne, jakby starsze i mniej doskonałe organizmy, a ląd australski został, jakby pomnikiem początku trzeciorzędnych czasów, żywiąc zwierzęta najmniej doskonałe, niewyraźnie jeszcze na porządki oddzielone. Równocześnie zajaśniały na ziemi wspaniałe barwy kwiatów strojnych w płatki, ptaków i motyli, ozwały się przeróżne głosy ssaków i śpiewy latawców, dodając uroku do niezmiernej rozmaitości w wyraźnie rozczłonkowany ład ujętej. Wyraźne grupy organizmów stoją obok siebie oddzielnie, a jednak w hierarchiczny ład ujęte, ciesząc rozum jakby artystycznym rozkładem żywej przyrody, a zbadanie minionych okresów ucieszyło raz jeszcze rozum, wykazując genetyczną jedność tego co dziś różne i zupełnie oddzielne, wykazując, że przodki jestestw dzisiejszych podobne do ich kształtującego się dopiero zarodku, gdy w jaju przechodzi kolej prababczynych przemian. Wreszcie czwarty okres przyrody wydał człowieka rozumnego, który się rozrodził na osobne rasy i narody, a rodząc kolejno coraz wyższą cywilizacyę, każdej części świata jeszcze wyraźniej osobne nadał piętno.

Patrząc na rozwój organizmów w ciągu wieków równoległy rozwojowi jednostek organicznych w zarodku, oglądamy powolne ujawnianie się idei, następstwo postaci coraz bliższych ideału, coraz przeto piękniejszych, a przytem niekoniecznie nadobniejszych, ale coraz ładniejszych. Barwy pewnych muszli morskich, pewnych robaków i ślimaków są dziwnie nadobne i urocze, ład ich kształtów ani się nie da porównać z ładem postaci wyższych później zjawionych, jak gdyby dzieło przyrody miało okazać jawnie, że jej końcem nie są zmysłowe uroki, tylko własności wymagane przez rozum, właściwość ducha ludzkiego, zjawionego najpóźniej śród stworzenia. Tak bardzo jeszcze do siebie podobne roślinne i zwierzęce pierwoszczaki, mnogie po dziś dzień nieskończenie powtórzenia najpierwotniejszych i najdawniejszych jestestw, nie mają jeszcze wyraźnie określonej postaci, prawie osobnych nie mają organów, pożywiają się, oddychają i mnożą się całą istotą swoją, a o ile są zwierzętami całą istotą dostrzegają, a jeśli jaki ład rozumny u nich dostrzedz można, widnieje jedynie w chyżych nieraz ruchach celowych nalewkowych zwierzątek. W królestwie roślinnem nie przeszedł rozwój skromnego zakresu; u najwyżej rozwiniętych roślin trudno oznaczyć co jest osobnikiem, a co oso-

bników zbiorem; ilość organów bywa na roślinie nieokreśloną, a każdy niemal organ osobnem może żyć życiem, może stać się rośliną. Gdy jednak zważymy, że najpierwotniejszemi i najdawniejszemi roślinami są skrytonasienne, że po nich nastały z czasów kolei nagonasienne, jednoliścienne a najpóźniejsze i najdoskonalsze dwuliścienne, że kosaćce i storczyki pośród jednoliściennych a rodziny jaskrów, róż i roślin składanych i strączkowatych pośród dwuliściennych zjawiły się najpóźniej, aby dopiero wraz z człowiekiem zapanować pośród współczesnej nam flory, musimy stwierdzić w tym także królestwie postęp widoczny, dokonany w kierunku organicznego, rozumnego ładu. Ustrój słojów pnia, rozgałęzienie łodygi, żyłowanie i rozcięcie liścia bywają coraz ładniejsze; dość spojrzeć na suchą piramidę jodły, albo jednostajny a ubogi pień palmy i porównać je ze wspaniałą koroną dębu, albo przeciwstawić ubogie szpilki sosny i mieczowate liście traw i zbóż, ze szkieletem liścia róży, albo z tysiąckrotnie pociętym liściem szaleju, aby się przekonać o tem jak przyroda do coraz wyższego dążyła ładu. Dopiero u dwu najpóźniej powstałych klas królestwa roślinnego, u roślin jednoliściennych i dwuliściennych, powstają w zupełności wykształcone kwiaty i owoce, organa rośliny przypominające już budowę zwierzęcia symetryą, ścisłym likiem i porządkiem, rozmaitością i wzajemną zawisłością swoich części; a ostatni postęp dokonany w świecie roślinnym tyczy się ładniejszej, doskonalszej, bardziej urozmaiconej budowy kwiatu.

Najniższe organizmy zwierzęce już wyraźnie, a zwłaszcza polipowce, przypominają jeszcze bardzo ustrój roślin, od których się różnią chyba na swoją niekorzyść tem, że poszczególne na pniu wyrosłe polipy, nibyto całego organizmu kwiaty, nie mają wyraźnych organów płciowych a wykonują funkcye liścia i korzenia, oddechając i chwytając pożywienie. Mnóstwo zwierząt morskich posiada wprawdzie już symetryczną budowę, ale dostrzega jeszcze całem ciałem, otrzymawszy jedynie organa osobne dla ruchu i trawienia, a takich organizmów członek oderwany wytwarza jeszcze cały organizm nowy, osobnem dla siebie żyjąc życiem. U miękczaków, raków, pająków i owadów, które nastały później, widzimy rozróżniczkowanie i zjednostkowanie organów, jakiego u żadnej nie masz rośliny; powstają osobne organa dla dostrzegania zmysłowego, a następnie także nogi i skrzydła, komplikuje się wewnętrzna budowa, odróżniamy serce, wątrobę, śledzionę, nerki, żołądek, organa płciowe; zarysowuje się ogólny plan organizmu zwierzęcego, od którego przyroda już nie odstąpi: ustrój

staje się symetrycznym i przeto widocznie ładnym po stronie zwierzęcia zewnętrznej, przeznaczonej do tego, aby ją widziano: wewnątrz, w ukryciu, zaniechano artystycznej symetryi, zadawalniając się mniej wyraźnie ładnym, lubo zadziwiająco rozumnym układem. Budowa żuka albo motyla bywa jednak dziwnie jeszcze prostą i martwą, w porównaniu z budową kręgowego zwierzęcia i da się określić jako kościan nagi; przytem organa zbyt liczne jednemu zawsze służące celowi, niezliczone oczy, mnogie szczęki i nogi przedstawiają ład mniej wyraźny i owad wydaje się brzydkim, skoro go zechcemy porównać z wyższem zwierzęciem.

Dopiero zwierzęta kręgowe — i to późniejsze, lądowe, mają mózg, płuca, kościan wewnętrzny, mięśnie i skórę, krew wyraźną. Dla szlachetniejszych zmysłów mają już tylko po parze doskonale ustrojonych organów, a poczwórne odnoża; tworzą maszyny przedziwne, wprawiające badacza w coraz nowe osłupienie, w miarę tego jak wnika w ich subtelne wnętrze a przedstawiają na zewnątrz całość jednolitą a jednak różnorodną, cieszącą oko artysty.

Wszystkie części ich ciała tworzą całość zwartą, w której wszystko na wzajem bywa zawisłe, a utrata każdego organu bywa szkodą całego ustroju, sprowadzając częstokroć śmierć, zawsze kalectwo, lub chorobę. U najwcześniejszych z kolei, półrybich jeszcze skrzeków spójność organizmu o tyle bywa mniejszą, że ważne organa tym zwierzętom odjęte, odrastają w całości; wyższe zwierzęta są organizmami tak jednolicie zestrojonemi, że już tylko rany zabliźnić zdolne, a wreszcie u człowieka najmniejsze uszkodzenie któregokolwiek z ważniejszych organów oddziałuje na cały ustrój i często poważne, zagrażające życiu sprowadza choroby.

Dawniejsze i podobne do nich dzisiejsze, mniej wyraźne formy zwierząt bywają niekształtne; najpóźniej zjawił się wśród przyrody człowiek i ujawnił najkształtniejszą postać jaka zaludnia naszego planetę, postać o najszlachetniejszej na zewnątrz symetryi a najwyraźniej oddzielonych organach; postawa wyniosła, głowa wyraźnie oddzielona, kolista, na szyi zawieszona, twarz wyrazista, ruchoma, nos od ust odłączony, różnica rąk i nóg sprawiająca, że wszystkie organa są co najwięcej parzyste tylko, widoczne różne rąk i nóg przeznaczenie, misterna dłoni budowa, nagość, wreszcie przeźroczystość skóry, przez którą widać grę muszkułów i krążenie krwi; same u białej rasy najbardziej wyrobione znamiona, czynią z człowieka najwyższy przedmiot sztuki rzeźbiarza i malarza. Anatom i fizyolog dostrzegają podobnież najsubtelniejszą, najmądrzejszą budowę wewnętrznych organów człowieka, a zwła-

szcza jego mózgu, części ukrytych i nie posiadających zatem ani malowniczej, ani rzeźbiarskiej piękności.

Powie jednak każdy prawie, u którego zmysł piękna jest wyrobiony, każdy, który rozum swój raduje rozważaniem widomego ładu, że widok przyrody najbardziej go zachwyca, gdy ogląda jej całość, że ona bywa piękniejszą, kształtniejszą od człowieka, że w niej dopiero zadziwia subtelna mądrość układu, najwyższa mądrość, z którą wszelka rozmaitość w całość jednolitą zestrojone. A jednak, gdy się spytamy w czem ta jednolitość, ta kształtność, ten ład i ta doskonałość widocznemi bywają, w krajobrazie istotnie widzianym? Nie łatwo kto się na odpowiedź zdobędzie. Krajobrazy bywają dla zmysłów nadobne, miłe czasem tem, co przypominają, malownicze różnorodnością szczegółów i barw blaskiem, groźne czasem, albo pobudzające wyobraźnię; właśnie ładu, kształtności w nich nie masz; zazwyczaj mógłby zniknąć każdy prawie szczegół nie uwłaczając swojem jedynie zniknięciem krajobrazu piękności, inny szczegół mógłby go może korzystnie zastąpić, a rozumnego ładu, jednolitej myśli, wzajemnej zawisłości między mnogością rzeczy widzianych nie masz. Wielką bywa twoja rozkosz, gdy w piękną pogodę, pod gołem niebem, patrzysz na świat Boży przez człowieka niezamieniony w martwą ulicę, a jednak przyznasz, że ślady ludzkiej dowolności, rozsiane po równinie wsie i miasteczka, sterczące po górach zamki i kościoły, pola i sady ogrodowe, albo wspominające przeszłość ruiny zdobią nieraz krajobraz, choć zamącono niemi ład przyrody pierwotny. Wyjątkowo widzisz linie symetryczne, jednolitą w krajobrazie myśl, zdajesz sobie sprawę z tego jak powstały, dlaczego się ułożyły tak, a nie inaczej zatoka Neapolitańska, dolina Kościeliska, albo jezioro Genewskie: ale i przy takich klasycznych krajobrazach pytasz się o to, co jest dalej poza górami lub widnokręgiem, masz przed sobą fragment, nie tworzący istotnie całości.

Otóż patrząc na przyrodę podziwiasz nie tyle to, co widzisz, jak to w co wierzysz, jak to o czem jesteś przekonany. Czyś sobie z tego zdał sprawę, czy nie: czyś uczony, albo myśliciel, lub prostak, nie wątpisz, że natura jest ustrojem mądrym, nieskończenie mądrzejszym od tego co ty byś potrafił umyślić, tak dziwnie zestrajającym szczegółów nieskończoność, że myśl ludzka i ludzka nauka nigdy go wyczerpująco nie zbadają, choć mogą się wiecznie tem badaniem rozkoszować. Wierzysz tak niezłomnie, że wszechświat jest dziełem rozumu nieskończonego, na którego mdłą podobiznę twój rozum stworzono, że ile razy spotkasz niewytłóma-

czone zjawisko, uwierzysz jedynie tłómaczeniu zgodnemu z twoim rozumem i to przeświadczenie sprawia, że w nauce tylko takie hipotezy do odkryć prowadzą, które przypuszczają, iż wszystko na świecie dzieje się najprostszemi środkami, w sposób najładniejszy, najbardziej z potrzebą twego rozumu zgodny. Temu ufając przekonaniu, tej wrodzonej wierze w twórcze, wszechmocne bóstwo, rozkoszujesz się tem co przeczuwasz, co odgadujesz intuitywnie, podobnie jak możesz przeczuwać idealną doskonałość każdego rodzaju, której żadne ci jestestwo poszczególne nie okazało I mało dzieł sztuki, ujawniającej ideał jakiś przez artystę odczuty i odtworzony sprawi ci zachwyt, stający się potężnem wzruszeniem, doznany nieraz przy kontemplacyi przyrody. której ład przedziwny przeczuwasz tylko. Kto się pięknością jakąbądź raduje, czuje jakby mu się dusza z ciała wyrywała, jakby ulatywała w świat doskonalszy, idealniejszy od zmysłowego, w świat piękności duchowej, o której nam jeszcze mówić wypada.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

# DAWNE ZABYTKI DZIEJOWE
# NOWEGO SĄCZA.

(Ciąg dalszy).

## Rozdział VII.

### Kollegiata św. Małgorzaty.

Kościół św. Małgorzaty, pierwotnie drewniany, istniał już pod koniec XIII. wieku na gruncie wsi Kamienicy, kiedy Wacław, król czeski, książę krakowski i sandomierski, nadawał przywilej wójtom tejże wsi na założenie miasta Nowego Sącza. O tym jednak pierwotnym kościele przechowały się zaledwie krótkie wspominki. I tak król Wacław w przywileju, nadanym Janowi Muskacie, biskupowi krakowskiemu, w Pradze 24. marca 1303 r., wspomina wyraźnie o kościele św. Małgorzaty, jako filialnym kościoła parafialnego św. Wojciecha [1]). Dowodem istnienia tego kościoła są również najdawniejsze pieczęcie Nowego Sącza. Na pieczęci z r. 1343 przedstawiona jest św. Małgorzata siedząca na smoku, zwróconym w prawo. W prawej ręce trzyma ona chorągiew o trzech strefach, z krzyżem u góry, w lewej kościół o jednej wieży, zwrócony w prawo, na którego dachu ptak. Po prawym boku chorągwi również ptak, ale na gałązce. W otoku napis: *Sigillum Advocati Et Civium In Novo Sandecz* [2]).

W r. 1403 Jan i Alusia (Aluschia) Kulerowie, małżonkowie, sporządzili testament wobec wójta i ławników sandeckich, mocą którego legowali kościołowi św. Małgorzaty 50 grzywien (marcas) [3]).

Według dawnego zwyczaju przysługiwało rajcom prawo wybierania i obsadzania każdoczesnego zakrystyana przy kościele św.

[1]) Kod. dypl. katedry krakow. T. I. str. 145.
[2]) Piekosiński: Pieczęcie polskie, cz. I. str. 196.
[3]) Akta grodzkie i ziemskie. T. IX. str. 15. Lwów 1883.

Małgorzaty. Ale niejaki ksiądz Kasper, proboszcz sandecki, sprzeciwiał się temu stanowczo. Ta sporna sprawa oparła się o papieża Eugeniusza IV., który przyznał rajcom zupełną słuszność. Opat norbertański, ksiądz Bartłomiej, z polecenia papieża zagroził księdzu Kasprowi klątwą kościelną w r. 1433, gdyby w oznaczonym terminie nie chciał zastosować się do wyroku papieskiej bulli [1]).

Około połowy XV. wieku kościół św. Małgorzaty, szczupły rozmiarem i nadwątlony starością, groził upadkiem i oczekiwał dzielnego opiekuna, któryby mógł się zająć jego smutnym losem. Znalazł się w istocie taki dzielny opiekun, a był nim Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski, jeden z najznakomitszych mężów, jakich wydała Polska w XV. wieku. To też nie dziw, że historycy nasi z Długoszem na czele pod niebiosa wynoszą chwalebne czyny tego wielkiego księcia kościoła i męża stanu. „Zbigniew biskup, mąż niezłomnego i potężnego ducha, celujący dobrocią, słynny stałością, powinien być u Polaków na wiecznotrwałych zapisanym kartach. Był on jakoby gwiazdą jaśniejącą, nad którą niebo nasze nic nie widziało świetniejszego ani też później nie ujrzy [2])". Będąc zaledwie 20-letnim młodzieńcem, wsławił się przytomną walecznością w boju z Krzyżakami, gdzie w sławnej pod Grunwaldem bitwie 1410 r. zwalił z konia sążnistego krzyżaka, Dippolda Kiekierzyca, godzącego z kopią na życie Władysława Jagiełły [3]). Odgłos owego czynu rozszedł się po całem wojsku, po całej Polsce, odtętnił po wszystkich kronikach — sławiono go prozą i wierszami. Wdzięczny za ocalenie życia swego król Jagiełło hojnie udarował młodego Zbigniewa, i wkrótce, gdy tenże poświęcił się stanowi duchownemu, promowował go do infuły krakowskiej 1423 r. Nowy biskup przy wrodzonej wspaniałomyślności umysłu okazał również osobliwszą żarliwość w obronie wiary katolickiej, zagrożonej przez czeskich Husytów, wskutek czego otrzymał od papieża Marcina V. dwa listy pochwalne, a od Eugeniusza IV. mianowanym został kardynałem kościoła rzymskiego w r. 1439. Jako książę kościoła rozwinął i spotęgował jeszcze bardziej działalność swoją apostolską, szafując hojnie na dobroczynne zakłady i fundowanie domów Bo-

[1]) Litterae Bartholomaei, abbatis monasterii sandecensis, ordinis Praemonstratensis S. Spiritus an. 1433. (Consignatio privileg. civit. Neo Sandecz. an. 1788).

[2]) Joannis Długosz: Historia Polonica. lib. XI. p. 412; lib. XII. p. 199. wyd. Alex. Przezdziecki. Cracoviae 1878.

[3]) Rzepnicki: Vitae Praesulum Polon. T. I. p. 308. Posnaniae 1761.

żych, pośród których kollegiata sandecka niewątpliwie najcelniejsze zajmuje miejsce. Założenie jej wiąże się z jedną z najświetniejszych chwil w historyi Nowego Sącza.

W pamiętnym roku 1440 przejeżdżał tędy w miesiącu marcu metropolita kijowski, kardynał Izydor [1]), wracając z soboru florenckiego jako legat papieski do swej ojczyzny, i wioząc ze sobą listy cesarza greckiego, Jana VII. Paleologa, oraz bullę Eugeniusza IV., dotyczącą unii Rusi z kościołem rzymskim. Tutaj to przyjmował go z całą okazałością wszechwładny wówczas biskup krakowski, Zbigniew Oleśnicki. Kardynał Izydor odprawił w obecności Zbigniewa uroczyste nabożeństwo w farze sandeckiej. a potem w Krakowie, dokąd go Zbigniew był odprowadził [2]). Olśniony wspaniałością słowiańskiej liturgii Zbigniew, uznał po raz pierwszy potrzebę i powziął zamiar fundowania kollegiaty na pograniczu Węgier, a zwłaszcza w Nowym Sączu.

Na to postanowienie wpłynęły, oprócz troskliwości o rozszerzenie wiary i zbawienia dusz, także i inne bardzo ważne względy, a mianowicie: 1) Aby rozjaśnić granice biskupstwa krakowskiego wobec węgierskich krajów, a lud tameczny gruby i napół dziki *(populos orae illius rudes, agrestes et silvestres)*, pomieszany z Wołochami [3]) i schizmatykami [4]), pociągnąć ku świetniejszemu obrząd-

---

[1]) Jego piękny portret z napisem: „Isidor metropolita Russiae, ducentis nobilibus ad concilium Florentiam comitatus, vindex unionis ab Eugenio IV. cardinalis 1439, a Pio II. patriarcha Constantinopolis renuntiatus, obiit 1463“, przechowuje się w muzeum stauropigialnem we Lwowie.

[2]) Porówn. Szkic histor. Nowy Sącz, str. 27 i 61.

[3]) O osadach wołoskich w Sandeckiem posiadamy niewątpliwe historyczne dowody. I tak wsi Binczarowej nadaje Zygmunt I. przywilej w r. 1531, dla sołtystwa na prawie wołoskiem ufundowanego. To samo odnosi się do Boguszy, dla której Zygmunt I. przywilejem z r. 1545 potwierdza sprzedaż sołtystwa, określając obowiązki i daniny prawa wołoskiego, jakiem się ma rządzić „more qui in aliis villis Valachicis in vicinatu consistentibus observatur“. W przywileju Zygmunta III. z r. 1590, dla wsi Królowej ruskiej wydanego, król pozwala w tej wsi, przez osadników wołoskich osiadłej, gromadzić się nowym kolonistom, zostawiając im obowiązujące prawo wołoskie, którem się wieś rządziła. (Stadnicki: O wsiach wołoskich. Lwów 1848).

[4]) Schizmatycy, czyli Rusini podówczas jeszcze nie złączeni z Rzymem, wywędrowali z poblizkiego Spiża i osiedlili się w Sandeckiem już w XIV. i XV. w., gdzie po dziś dzień zamieszkują tamże przeszło 60 osad. (Łepkowski: Ruś Sandecka. Dodatek do Gazety Lwowskiej z r. 1855).

kowi katolickiemu *(cultiorem ritum orthodoxum)*. 2) Aby pomnożyć liczbę kapłanów i opowiadaczy słowa Bożego. 3) Aby zapobiedz raz na zawsze zatargom, jakie zachodziły częstokroć w razie opróżnienia probostwa w Nowym Sączu i Podegrodziu (których nadanie, obsadzanie i prawo patronatu przysługiwało biskupom krakowskim), wszczynanym zwykle przez tych, którzy je otrzymywali z Rzymu *(inter apostolicos impetrantes)*, z czego mnogie wyradzały się zgorszenia. 4) Aby ciężar zwiedzania dyecezyi, archidyakonowi krakowskiemu nałożony a dla wielkiej jej rozciągłości przytrudny, ulżyć, rozkładając go na innych. 5) Aby nakoniec przynieść ulgę pojedynczym tych okolic mieszkańcom i większą łatwość w wymierzaniu i osiągnieniu duchownej sprawiedliwości, kiedy dotąd dla błahych nieraz powodów musieli jako pozywający lub zapozwani udawać się stamtąd aż do Krakowa [1]).

Z tych więc tak ważnych powodów założył Zbigniew Oleśnicki w Nowym Sączu kościół św. Małgorzaty, okazałej budowy gotyckiej 1446 r., na miejscu dawnego drewnianego kościoła pod temże wezwaniem. Połączył nadto dwie parafie: nowosandecką i podegrodzką za wyraźnem przyzwoleniem ze strony tamtejszych proboszczów, t. j. Kaspra Rokembarga, sandeckiego, i Jana Wielopolskiego, podegrodzkiego, i wyniósł je dekretem z dnia 4. października 1448 r. do godności kollegiaty, czyli zgromadzenia kanoników, których też prebendami i innymi dochodami hojnie uposażył. Kollegiatę składali 4 prałaci [2]): prepozyt czyli proboszcz, archidyakon, dziekan i kustosz; 4 kanonicy, jako członkowie kapituły kościoła tegoż, i 8 wikarych. Rządom i odwiedzinom archidyakona sandeckiego podlegał w XVI. i XVII. wieku dekanat biecki, bobowski, jasielski, mielecki, nowotarski, sandecki, pilźnieński, ropczycki, strzyżowski i żmigrodzki: ogółem w XVI. w. 161, a w XVII. w. 176 parafialnych kościołów w całym archidya-

[1]) Joannis Długosz: Liber Beneficiorum. Fundatio, dotatio et erectio eccles. S. Margarethae in oppido Nova Sandecz. T. I. p. 544—574. wyd. Alexandra Przezdzieckiego. Kraków 1863. — Litterae fundationis et erectionis eccles. colleg. neosandec. per Eminentissimum et Reverendissimum Sbigneum Olesnicki Cardinalem et Eppum Cracov., in Actis Castren. Capitanealibus Sandec. anno 1609 inscriptae. Archiw. kolleg. sandec. vol. I. p. 1—10; volum. II. p. 29—38.

[2]) Pierwszymi prałatami kollegiaty sandeckiej byli: Kasper Rokembarg, proboszcz; Jan z Dąbrówki, dziekan; Jan z Wielopola, archidyakon; Piotr z Ołomuńca, kustosz.

konacie sandeckim [1]). Był on zarazem sędzią duchownym z ramienia biskupiego ustanowionym.

Proboszcz kollegiaty pobierał dziesięcinę wykupną *(decima fertonalis)* z 22 łanów plebańskich przy kościele św. Wojciecha: dziesięcinę wytyczną, czyli snopową *(decima manipularis)*, z niektórych ról w Dąbrówce, z łanów miejskich, z roli Cyzarowej, z Paszyna i Falkowej, z dwóch straganów szewskich, z trzech kramów i wszystkich ogrodów miejskich.

Archidyakon pobierał dziesięcinę z ról w Podegrodziu, Brzeznej, Rogach, Naszacowicach, Olszance, Świdniku, Łukowicy, Wygnanowicach, Skrudzinie, Stroniu i Długołęce.

Dziekan pobierał dziesięcinę wytyczną i konopną *(manipularis et canapalis)* z 22 łanów folwarku biskupiego w Kurowie, z młyna, sołtystwa i karczmy w tejże wsi. Jemu wyłącznie przysługiwało prawo mianowania i obsadzania przy kollegiacie wikarych.

Kustosz pobierał dochody z ołtarza Nawiedzenia Maryi w kollegiacie, z 8 łanów kmiecych w Kamionce, z folwarku, browaru, młyna i karczmy w tejże wsi. Do powinności poddanych księdza kustosza między innemi należały: robocizna w polu, zwożenie drzewa do Sącza, do browaru, do tracza, odbywanie straży nocnej we dworze, jeżdżenie po sól do Wieliczki i Bochni, danina 16 kapłonów rocznie: na kolędę zaś 2 gęsi, 4 par kur, zająca i kopę jaj; tyleż na Wielkanoc. Na sądy burgrabińskie zjeżdżał co roku ksiądz kustosz w mięsopusty i odbywał je osobiście w swym dworze w Kamionce, w obecności wójta i całej gromady; na tymże sądzie burgrabińskim obierano też wójta i przysiężnych [2]). Prawo mianowania i obsadzania kustosza przysługiwało rajcom sandeckim. Obowiązkiem zaś jego było pilnowanie i utrzymywanie kollegiaty, skarbca i innych rzeczy kościelnych w należytym porządku; wyręczał go w tem ksiądz podkustoszy, czyli zakrystyan, ustanowiony na prośbę rajców przez biskupa krakowskiego, Jana Lutka († 1471 r.).

---

[1]) Wyciąg z wizyty kardynała Jerzego Radziwiłła 1596—1598. Bukowski: Dzieje Reform. T. I. str. 668—673. — Mart. Szyszkowski, eppi cracov., Reformationes generales. A. D. 1621.

[2]) Inwentarz wsi Kamionki, do kustodyi sandeckiej należący, z dawnych rejestrów, inwentarzów, dekretów i zwyczajów, spisany 28. lipca 1718 r., przez ks. Tomasza Alexego Grzymałę, kustosza sandeckiego i oficyała bieckiego.

Proboszcz kollegiaty mieszkał w pięknym dworku plebańskim, przy murach fortecznych miejskich obok kościoła — dziekan w domu księży wikarych — a kustosz w domu altarzystów z południowej strony.

Kanonicy posiadali cztery prebendy z dziesięciną wytyczną w Chochorowicach, Nieszkowej, Dąbrówce i Biegonicach. Każdy prałat i kanonik kapituły sandeckiej miał przywilej noszenia w kościele mucetu ze skórek popielicznych *(almutium de vario)*, wikarzy zaś ze skórek wiewiórczych *(de pellibus aspergillinis)*. Przywilej ten skasował dopiero w czasie swej wizyty kanonicznej w r. 1763 [1]) biskup krakowski, Kajetan Sołtyk, wzamian zato pozwolił samym tylko prałatom i kanonikom używać rokiety i mantoletu. Niektórzy prałaci i kanonicy mieszkali stale na swoich probostwach w Sandeckiem. Powszechną kapitułę odbywali corocznie w lipcu około św. Małgorzaty, na której każdy obecnym być musiał, pod karą ekskomuniki i złożenia 3 grzywien do rąk proboszcza na korzyść kościoła.

Na mieszkanie dla 8 wikarych kupił Zbigniew Oleśnicki z własnej szkatuły za 150 grzywien realność, zwaną stary ratusz *(vetus praetorium)* obok kościoła. Na ich zaś utrzymanie, oprócz dochodów pogrzebowych, ślubnych, z kolędy *(columbatio)* i folwarku przedmiejskiego, wyznaczył w 25 wsiach dziesięcinę snopową i konopną, wszystko do równego między siebie działu, ten jedyny obowiązek na nich wkładając, ażeby w rocznicę jego śmierci [2]), przy biciu we wszystkie dzwony i katafalku ubranym, odprawili anniwersarz z 9 wigiliami i mszą żałobną ku zbawieniu duszy fundatora [3]).

Nieźle powodzić się musiało wikarym sandeckim, skoro dość częste zapisy i legata płynęły na ich korzyść. I tak Tomasz Strzempiński, biskup krakowski, († 1460) wyznaczył im w obec-

[1]) Biskupi krakowscy od XV. w. byli książętami siewierskimi i panami rozległych dóbr; utrzymywali nawet swoje własne wojsko. Cóż więc dziwnego, że wizyty swoje kanoniczne odbywali z wielką pompą i wystawnością. Dnia 3. lipca 1763 r., kiedy Kajetan Sołtyk zjechał na wizytę do Nowego Sącza, towarzyszyła mu liczna świta laufrów, lokajów, kuchmistrzów, pachołków i masztalerzów. Obok księcia-biskupa jechał konwoj 15 dragonów biskupich w pysznych mundurach. Samo przyjęcie i ugoszczenie biskupa kosztowało 2.000 złp., które złożyli prałaci i kanonicy kollegiaty. (Z zapisków ówczesnych kollegiaty).

[2]) Zbigniew Oleśnicki † 1. kwietnia 1455 r.

[3]) Eccles. colleg. sandec. fundatio et dotatio. Volum. II. p. 14, 37.

ności całej kapituły 14. maja 1459 dziesięcinę snopową we wsi Zawadzie, Nawojówce i Kamionce, przypadającą dotąd biskupom krakowskim, z obowiązkiem anniwersarza z 9 wigiliami w rocznicę śmierci [1]). Ks. Jakób Warzecha, wikary kollegiaty, kupił folwark „Moczygardłowski“ na przedmieściu większem od szlachcica Macieja Syly, prócz tego ogród za rzeką Kamienicą od Weroniki Smoczowej, wreszcie ogród za Dunajcem między Strugami a Chełmcem od Stanisława Prandoty, rajcy sandeckiego. Wszystko to wieczyście przekazał księżom wikarym. Darowiznę tę zatwierdził 5. maja 1508 r. Jan Konarski, biskup krakowski, a znacznie później Zygmunt I. osobnym dokumentem, wydanym w Krakowie 4. sierpnia 1542 r., w którym jednak wyraźnie zastrzegł, ażeby księża wikarzy bez przyzwolenia królewskiego nie zakładali hamrów *(officina falcium)*, czyli kuźnic sierpowych nad potokiem, wypływającym z rzeki Kamienicy. W lat siedm potem za wstawieniem się Samuela Maciejowskiego, biskupa krakowskiego, kanclerza koronnego, tudzież na mocy przywileju Zygmunta Augusta z dnia 27. kwietnia 1549 r. założyli kuźnicę sierpów w pomienionem miejscu [2]).

Znaleźli się i inni dobrodzieje kapituły mniejszej, czyli księży wikarych. Tomasz Trzecieski legował im w r. 1507 na wsi Janczowej 10 złp. popłaty rocznej od kapitału 200 złp. Dzięki tym okolicznościom, mogli księża wikarzy nawet pieniędzy pożyczać mieszczanom. I tak sławetni: Stanisław Momotek i Paweł Brzeziński, rzeźnicy sandeccy, pożyczyli 13. stycznia 1534 r. u księży wikarych w imieniu całego cechu 100 złp., zabezpieczając im tę sumę na swych jatkach z roczną popłatą 5 złp.

W drugiej połowie XVI. w. dochody wikarych zostały pomnożone znacznymi nabytkami. Ks. Grzegorz Pakosławski, kustosz kollegiaty, wyznaczył im 5 złp. popłaty rocznej od kapitału 80 grzywien na sołtystwie w Kamionce [3]), co też Zygmunt August osobnym dyplomem 24. stycznia 1556 w Warszawie zatwierdził [4]).

Stefan Batory mocą przywileju, wydanego na sejmie warszawskim 31. stycznia 1578 r., uwolnił od wszelkich ciężarów

---

[1]) Eccles. colleg. sandec. privil. et jura. vol. I. p. 10—13.

[2]) Eccles. colleg. sandec. privilegia et jura. Vol. I. p. 13—16, 19—20. Zob. Dodatki nr. VIII., XI., XII.

[3]) Ks. Grzegorz Pakosławski kupił sołtystwo w Kamionce dla kustodyi sandeckiej za 62 grzyw. od jakiegoś Marcina 1554 r. (Ex privilegiis villae Kamionka extractum).

[4]) Eccles. colleg. privil. vol. I. p. 32, 29, 20. Zob. Dodatki nr. XIII.

i danin 4 łany za rzeką Kamienicą, które Kazimierz Wielki jeszcze 2. maja 1353 r. Janowi Stojanowi, Mikołajowi, synowi Zygfryda, i Hankowi jego zięciowi, mieszczanom sandeckim, sprzedał był za 16 grzywien groszy praskich, a później przeszły na własność księży wikarych. W r. 1583 Piotr Piwniczny, rajca sandecki, zapisał im 2 ćwierci roli w łanach miejskich, a kaznodziei część blechu „Blechantel“, jak świadczy testament, zatwierdzony przez Stefana Batorego. W tymże roku Stanisław Stroski, ławnik sandecki, sprzedał księżom wikarym za 450 złp. folwark „Kurczowski“, położony między folwarkiem Wierzbięcińskim i Bartłomieja Rabrockiego za rzeką Kamienicą. Zygmunt III. zatwierdził w Krakowie 15. marca 1588 r. tę traksakcyę majątkową [1]).

Daleko jeszcze liczniejsze zapisy na korzyść księży wikarych znajduję w XVII. wieku. I tak w r. 1629 Szymon Długończyk, przedmieszczanin z Gołąbkowic, zapisał im ćwierć roli, rozciągającą się od rzeki Kamienicy aż do góry w Gołąbkowicach. Inni znów mieszczanie legowali im wyderkaf, czyli popłatę roczną, *(census reemptionalis)*, na różnych gruntach, folwarkach i domach w mieście. Między innymi Stanisław Fratrowicz zapisał im w r. 1621 wyderkaf 30 złp. rocznie od sumy 500 złp. na folwarku Juliusza Delpaczego za rzeką Kamienicą w pobliżu kościoła św. Krzyża. — Zofia Paławińska w r. 1622 na domu swoim w rynku sandeckim 7 złp. od sumy 100 złp. — Michał Szpak w r. 1629 na swej roli za rzeką Kamienicą 13 złp. od sumy 160 złp. — Jan Kitlica w r. 1640 na folwarku „Karczowskim“ Szymona Wolskiego w Gołąbkowicach 10 złp. 15 gr. od sumy 150 złp. — Ks. Stanisław Rozmusowicz w r. 1645 złp. 700. — Jadwiga Robakowa w r. 1652 na domu Kaspra Chmielowica w rynku sandeckim 10 złp. od sumy 100 złp. — Katarzyna Jaworka w r. 1653 na roli Stanisława Olszyńskiego w łanach miejskich 21 złp. od sumy 300 złp. — Ks. Daniel Januszewic w r. 1661 na roli Stanisława Rolki za rzeką Kamienicą 7 złp. od sumy 100 złp. — Tegoż roku Stanisław Rożnowski na blechu miejskim 14 złp. od sumy 200 złp., którą jeszcze w r. 1651 pożyczył był miastu *„pro necessitate flagranti totius communitatis civilis, pro expediendo curru bellico sub tempus generalis expeditionis“*. Nie podobna wyliczać owych mnogich zapisów mieszczańskich z osobna, których kapitał wynosił przeciętnie minimum 100 złp., maximum 500 złp., z prowizyą roczną mini-

[1]) Eccles. colleg. sandec. privileg. vol. I. p. 119—120, 123, 34, 21—22. Zob. Dodatki nr. XV., XVI., XVII.

mum 7 złp., maximum 30 złp. Sumarycznie tylko nadmienię, że w latach 1621—1689 ogólny kapitał księży wikarych doszedł do 5.260 złp., a prowizya roczna od niego 333 złp. Mieli się więc dobrze, bo, oprócz dochodów z dóbr nieruchomych, ciągle odprawiali msze fundacyjne, a nawet mieszczanom niekiedy pożyczali pieniędzy. Tak n. p. w r. 1644 Marcin Oleksowicz, kupiec i wójt sandecki, zaciągnął u nich 1.800 złp., zabezpieczając im ten dług na swym folwarku, położonym między folwarkiem Mateusza Kotczego a Grzegorza Wojtasza na przedmieściu większem, oraz na kamienicy małżonków Kopciów, między kamienicą Stan. Olszyńskiego i Szymona Wolskiego w rynku, z popłatą roczną 126 złp. — Podobnie w r. 1651 pożyczyli księża wikarzy 200 złp. rajcom sandeckim, „na potrzebę expedyowania wozów skarbowych w czasie pospolitego ruszenia“, zabezpieczając sobie tę sumę na dobrach miejskich [1]), względnie na blechu miejskim.

Pomimo tak licznych i bogatych zapisów trafiały się przecież zatargi o dziesięcinę między kapitułą większą, czyli kanonikami, a kapitułą mniejszą, czyli wikarymi. Tak n. p. między ks. kanonikiem, Janem Połomskim, a ks. podkustoszym, Marcinem Ćwiklińskim, oraz całą kapitułą mniejszą, powstał spór o dziesięcinę wytyczną w Dąbrówce i Bielowicach. Ks. Połomski domagał się trzech części, wikarzy zaś połowy dziesięciny. Spór ten oparł się o biskupa krakowskiego, Marcina Szyszkowskiego. Dla zbadania sprawy wydelegował on osobną komisyę w Kielcach 18. stycznia 1627 r., do której należał ks. Grzegorz Królikowski, dziekan, ks. Bartłomiej Fuzoriusz, kustosz, ks. Mikołaj Kownacki, kanonik kollegiaty, proboszcz starosandecki, i ks. Sebastyan Zagrodzki, pleban z Biegonic. Wydelegowani komisarze zjechali do Dąbrówki 18. lutego 1627 i orzekli: że połowa dziesięciny należy się ks. Połomskiemu, a druga połowa księżom wikarym. Spisany zaś akt komisarski zaopatrzyli czterema pieczęciami [2]). Nie należy jednak dziwić się temu ani tem się gorszyć, bo podobne spory o dziesięcinę toczyły się nieraz po różnych miejscach w Polsce w XVI. i XVII. wieku. Był to duch czasu i wieku, który, jak uragan, musiał przeszumieć!

Pracowicie i zbożnie upływało życie sandeckiego kleru przy Zbigniewowej kollegacie, mądremi obwarowanej prawami i przepisami. W niedziele i święta odprawiała się wystawnie suma z kazaniem polskiem i inne wotywy, którym przy większych uroczy-

[1]) Eccles. colleg. sandec. privileg. Vol. I. p. 72—74, 54—55.
[2]) Eccles. colleg. sandec. privileg. Vol. I. p. 126—128.

stościach towarzyszyła zwykle huczna orkiestra. Obok kazań polskich, miewano też niemieckie nietylko w XV., ale nawet jeszcze w XVI. wieku za panowania Zygmunta I. i Zygmunta Augusta [1]). Codziennie o pewnych godzinach wszyscy kanonicy i wikarzy zasiadali w stallach prezbyteryum do śpiewania jutrzni i innych kanonicznych pacierzy, na wzór i sposób kościoła katedralnego w Krakowie. Dostateczna ilość kapłanów zaopatrywała potrzeby duchowne rozległej parafii, w czem też zakonnicy Franciszkanie i Norbertanie, zwłaszcza w słuchaniu spowiedzi, chętnie dopomagali. Nie trudno też było utrzymać obszerny kościół kollegiacki i wszystkie rzeczy, do służby Bożej należące, we wzorowym porządku, skoro zarząd i włodarstwo woskiem, winem, olejem, ozdobami, budowlami i wszelkiemi naprawami kościoła dotyczącemi, pozostawały, według przyjętego od dawna zwyczaju, w rękach sławetnych rajców sandeckich. Dopiero w XVI. wieku, kiedy luteranizm i aryanizm rozgościły się na dobre w sandeckiej ziemi [2]), duch karności i gorliwości pierwotnej zaczął stygnąć powoli nawet pomiędzy klerem, pociągając za sobą zaniedbanie chórowych pacierzy, kazań i słuchania spowiedzi, luźność obyczajów, gorszące spory o dochody, upadek nabożeństwa, a w następstwie pobożności i cnoty parafian.

Dzielny biskup krakowski, kardynał Jerzy Radziwiłł, książę na Ołyce i Nieświeżu, pragnąc zaradzić złemu, wizytował kollegiatę od 19. sierpnia do 19. września w r. 1597 i nadał jej nowe obostrzone ustawy [3]). Zaprowadzoną przez kardynała Radziwiłła reformę, uzupełnił w r. 1608 Piotr Tylicki przez swego delegata ks. Jana Januszowskiego, archidyakona sandeckiego. Nowe i obszerne dekreta reformacyjne dla kollegiaty, w których odwołują się na poprzednie, wydali też w czasie wizyty kanonicznej biskupi krakowscy: Konstanty Szaniawski 19. czerwca 1725 i Kajetan Sołtyk 15. sierpnia 1763 r. [4]).

Kościół św. Małgorzaty należał do tych słynnych świątyń, ku którym zwracała się szczególnie hojność i ofiarność zamożnych

---

[1]) Histor. Now. Sącza. T. II. str. 20.

[2]) Histor. Now. Sącza. T. I. rozdz. VII.

[3]) Decreta Reformationis et Visitationis Cardinalis Georgii Radziwiłł an. 1597. Zob. Dodatki nr. XVIII.

[4]) Eccles. colleg. sandec. privilegia et jura. vol. I. Dekreta reformacyjne biskupa Szaniawskiego obejmują drobnem pismem str. 6 in folio. Najobszerniejsze są biskupa Sołtyka, bo mają str. 16 in folio.

mieszczan i szlachty. W jego grobach sklepionych składali zwłoki swoich umarłych krewnych, a na ołtarzach datki i zapisy na utrzymanie przybytku Boga i służby Jego. W XVI. i XVII. wieku, podobnie jak opactwo Norbertanów i klasztor Franciszkanów, tak i kollegiata opasaną była grubym dokoła murem i basztą o strzelnicach, a prócz głównej obszernej nawy, mieściła w sobie różne kaplice z ołtarzami, z których dziś nie pozostało ani śladu. O budowie i ozdobie tych kaplic nie możemy podać bliższych szczegółów, zato przechowały się dość liczne zapiski o jałmużnach na ich utrzymanie, zwłaszcza z XVII. wieku.

1) **Wielki ołtarz,** z wizerunkiem Ukrzyżowanego, miał następujące legata i zapisy:

— Adam Tabaszowski legował 1626 r. 100 złp.

— Stanisław Zawodny 1627 r. folwark z ogrodem.

— Marcin Wielogłowski 1637 r. 400 złp.

— Jerzy Czyżowicz 1639 r. popłatę roczną 4 złp. od 70 złp.

— Jędrzejowa Bigoska 1652 r. 200 złp.

— Felicyan Boczkowski 1658 r. 2.000 złp.

Prócz tego płynęły dla wielkiego ołtarza corocznie kollekty:

Od kapituły sandeckiej z anniwersarza za duszę ks. Szymona Jaroszowskiego 8 złp.

Z dwóch kamienic Bernusa i Politowicza popłatku 28 złp.

Od księży wikarych z zapisu na Rożnowie 6 złp.; z innego zaś zapisu 8 złp.

Od księży wikarych z 4 anniwersarzy rocznie 16 złp. — a od każdego innego anniwersarza dziesięciny 1 złp.

Od księży wikarych od każdej mszy 3 gr., a od każdej trycezymy od 30 złp. 3 złp.

Od grobu miejscowego w kościele 2 imperyały (talary) — a od grobu na cmentarzu 2 złp.

Podzwonnego od wielkiego dzwonu 15 gr.: z tego połowa dzwonnikom, a połowa na wino i wosk.

Od świec przy katafalku część odpadała dla wielkiego ołtarza.

Od świec przy ślubach: od bogatszych 15 gr., od uboższych 3 gr.

Jałmużna zbierana przez kościelnych, przez mniszki Kletki u Bożego grobu w Wielki Piątek, przez ubogich szpitalnych w Adwencie — wszystko to płynęło dla wielkiego ołtarza. — Pod wielkim ołtarzem i wogóle pod prezbyteryum były groby kapłańskie.

2) **Kaplica i ołtarz św. Anny,** fundacyi Wielogłowskich. Piotr, Szymon, Jan i Szczepan Wielogłowscy wyposażyli ją w latach 1646—1683 sumą 3.000 złp., zapisanych na Chomranicach, Czarnym Potoku, Wielopolu i Rogach. Prócz tego Katarzyna Wielogłowska przeznaczyła 1637 r. na altarzystę 1000 złp.

3) **Kaplica św. Jakóba Apost.,** w przedsionku kościoła, otrzymała zapisy: Od ks. Stan. Paszyńskiego, plebana w Żeleźnikowej 1606 r. 200 złp. — od Marcina Wielogłowskiego na folwarku Berowskim na altarzystę 1635 r. 700 złp. — od innego Wielogłowskiego dla kapelana tejże kaplicy 1636 r. 1000 złp. Pod temi dwiema kaplicami (św. Anny i św. Jakóba) mieściły się groby Wielogłowskich [1]).

4) **Kaplica Wniebowzięcia Maryi,** bez posagu, utrzymywana z jałmużn. Na początku XVIII. wieku umieszczono w niej obraz bracki św. Józefa. Wyposażył go w r. 1704 Alexander Przełocki kapitałem 1.500 złp., ciążącym na synagodze sandeckiej. — Wawrzyniec Zratowiński, rajca sandecki, zapisał w r. 1710 ogród, kupiony od Jasińskiego za 45 tynfów. — Józef z Jaworzyna Jaworski, dziedzic Zawadki, przeznaczył w r. 1713 ks. Janowi Połciowskiemu, kapelanowi bractwa św. Józefa, popłatę roczną 75 złp. od kapitału 1.500 złp. — Walenty Bilański w r. 1722 legował ołtarzowi św. Józefa na synagodze sandeckiej 1.200 tynfów. — Wreszcie w r. 1743 Jadwiga Jaworecka, obywatelka sandecka, 300 tynfów, rachując tynf po 36 gr.

5) **Kaplica i ołtarz św. Mikołaja,** po prawej ręce przy wejściu do kościoła. Paweł, murarz, zapisał rajcom Nowego Sącza Żeleźnikowę Większą i Mniejszą, z obowiązkiem płacenia corocznie z dochodów tychże wsi 10 grzywien kaznodziei niemieckiemu i ołtarzowi św. Mikołaja, który tenże Paweł fundował. Królowa Zofia zatwierdziła ten zapis w Krakowie 23. lipca 1453 [2]). Owe grzywny żeleźnikowskie wcielił kardynał Jerzy Radziwiłł do funduszu kaznodziejskiego i ołtarza św. Trójcy 1597 r. [3]). Wyposażyli także ten ołtarz: Agnieszka Wolińska, wdowa po Marcinie Wolińskim, rajcy sandeckim w r. 1635 i 1646 sumą 1000 złp. [4]). —

---

[1]) Generosi Wielogłowscy, capellae s. Annae dotatores, ubi etiam sepulchrum domus illorum exstat, quatenus ad eam capellam crates ferreas comparare dignentur. Acta capituli colleg. sandec. p. 67.

[2]) Zob. Dodatki nr. VI.

[3]) Zob. Dodatki nr. XVIII.

[4]) W jej testamencie z 26. lipca 1646 r. między innemi czytam: „Przytym pogrzeb ciału mojemu w kościele farnym sandeckim Małgo-

Jan Jordan, dziedzic Gołąbkowic, Chruślic i Grabowej, zapisał 1648 r. 600 złp. — Sławetny Jan Pełka 1657 r. 400 złp. na folwarku w łanach miejskich. Ołtarz ten miał przywilej na odpust 100-dniowy w dzień św. Mikołaja, z wystawieniem Najśw. Sakramentu.

6) **Kaplica i ołtarz Nawiedzenia Maryi,** zwana także kaplicą św. Elżbiety, fundowany w XV. w. przez mieszczan sandeckich, Jakóba Heinolda i Mikołaja Kramarza, utrzymywana z jałmużn.

7) **Kaplica i ołtarz św. Trójcy,** zwana także kaplicą cechu rzeźniczego, fundowany w XV. wieku przez Jakóba Heinolda i Mikołaja Kramarza, mieszczan sandeckich, miał posag na jatkach miejskich 8 grzyw. rocznie, i już w r. 1510 burmistrz i rajcy Nowego Sącza prezentowali na altarzystę tej kaplicy ks. Marcina z Kurowa, plebana tęgoborskiego [1]). Piotr Myszkowski, biskup krakowski, wcielił dochody tej kaplicy do funduszu kustosza kollegiaty 1588 r. Ołtarz ten miał także swych dobrodziejów. Katarzyna Leszczyńska, mieszczanka sandecka, zapisała temu ołtarzowi 1606 r. 100 złp. — Ks. Jan Rzepecki, pleban męciński, dziekan sandecki, 1691 r. 600 złp. — Adam Zawadzki 17[illegible]4 r. 1000 złp. Pod tą kaplicą były groby zamożnych rzeźników [2]).

8) **Kaplica św. Jana Jałmużnika,** z ołtarzem św. Stanisława. Wyposażyli go: Krzysztof Łukowicz i Anna z Fratrowiczów zapisali 1620 r. zagrodę swoją na przedmieściu większem. — Ks.

---

rzaty św., w kaplicy Mikołaja św. naznaczam. Do której kaplicy Mikołaja św., do dawnej fundacyi mojej (1635 roku) złotych piąciset, znowu funduję i oddaję wiecznemi czasy drugie złotych pięćset, a to względem tego, aby za duszę moję i małżonków (sic) moich na każdy tydzień odprawiały się dwie msze św.... Do tej kaplicy Mikołaja św. leguję spodnicę moją własną nową, tabinową czarną, aby przedawszy ją (która mnie kosztuje złotych sto), kupili do kaplicy Mikołaja św. ornat czarny jedwabny, lub atłasowy, lub adamaszkowy i antependium czarne do tegoż ołtarza. Przytym obliguję wtem potomków moich... aby w kaplicy Mikołaja św. w kościele farnym grób zasklepili od ołtarza przez wszystkę kaplicę. A jeżeli mnie też P. Bóg zachowa w dobrem zdrowiu, tedy to sama uczynić obiecuję". (Acta Scab. T. 58. a. p. 132—141).

[1]) Akta grodz. i ziem. T. IX. str. 241.

[2]) W aktach kapituły sandeckiej pod r. 1675 czytam: „Capella S. Trinitatis ob tectum pluviis pervium ruinam minatur. Et quoniam lanionum haec capella est, in qua etiam ipsi saepius sepeliuntur, tectum suo sumptu se reparaturos promiserunt".

EKCYA KASY MIASTA NOWEGO SĄCZA OSZCZĘ



Bartłomiej Fuzoriusz 1630 r. 500 złp. — Piotr Zawadzki, dziedzic Zawady, Nawojówki i Poręby, legował 1635 r. ćwierć roli na przedmieściu większem i stary blech „Blechantel“ za kościołem św. Krzyża.

9) **Kaplica i ołtarz św. Andrzeja** nad krużgankiem, fundowany w r. 1472 przez Andrzeja Trestkę h. Gryf, miał posag na dobrach miasta Dembowca 6 grzywien rocznie, za przyzwoleniem króla Kazimierza Jagiellończyka.

10) **Ołtarz Bożego Ciała,** fundowany 1523 r. przez ks. Macieja z Brzeźnicy, kustosza kollegiaty, o dwóch kapelanach, na których utrzymanie dawało miasto 16 grzyw. rocznie od kapitału 400 grzyw., zapisanych przez niego na dobrach miejskich. Kardynał Jerzy Radziwiłł wcielił te grzywny 1597 r. do funduszu wikarych, ze względu na ich obowiązek kaznodziejski. Ołtarz ten wyposażyli: Ks. Jan, pleban ze Zborowic i przełożony szpitala św. Walentego w Nowym Sączu, zapisał 1557 r. 500 złp. ołtarzowi Bożego Ciała i dla kaznodziei. — Marcin i Anna Wielogłowscy 1633 r. na folwarku Cyrulikowskim w Gołąbkowicach 200 złp. — Ewa Pułtorak 1652 r. na lampę i oliwę przed Najśw. Sakramentem 200 złp. — Stanisław Bernus, pisarz komory celnej, sprawił 1686 r. cyboryum z czerwonego marmuru [1]). — Stanisław i Kunegunda Frankowiczowie na swych dobrach Zabłotniowskich legowali 1688 r. 200 złp. Pod tym ołtarzem były groby zamożnych rodzin mieszczańskich: Olszyńskich i Wolskich [2]). — W r. 1747 umieszczono w tym ołtarzu obraz bracki Serca Jezusowego, wyposażony sumą 500 złp. przez ks. Grzegorza Sikorskiego, kanonika sandeckiego, zapisaną na synagodze sandeckiej. — W r. 1777 ks. Wojciech Mroziński, dziekan kollegiaty, i ks. Józef Filipowicz,

---

[1]) A. D. 1686 cymborium de marmore rubeo noviter eleganti modo ex pia intentione Stan. Bernus, telonii Sacrae Regiae Majestatis ac Reipublicae notarii, exstructum. Acta capituli colleg. sandec. p. 97.

[2]) A. D. 1652 fer. VI. post dominic. Oculi. Aeditui ecclesiae colleg. sandec. spectabiles: Albertus Bogdałowicz et Laurentius Szydłowski, sua qua funguntur auctoritate, suis suorumque in posterum existentium aedituorum nominibus, frustrum terrae in visceribus ecclesiae ante altare Corporis Christi ad fabricandum sepulchrum muratum emensi sunt et exdiviserunt spectabilis Stanislai Olszynski, consulis sandecensis, consortisque hodie sepeliendae et familiae Wolskich, ut primum flor. 10 pro ecclesiae piis usibus solvant. In futurum vero dum et quando aliquem in eodem sepulchro ex eorundem Olszynskich seu Wolskich familia sepelire acciderit, certum salarium pro necessitudine eiusdem ecclesiae solvere tenentur. (Acta Consul. T. 61. p. 151.).

promotor bractwa, zapozwali synagogę sandecką o zapłacenie czynszu od kapitału 2.000 złp., który ks. Jan Orzechowski dla bractwa Serca Jezusowego zapisał [1]).

---

[1]) Ten kapitał, jak zaraz zobaczymy, przeznaczony był pierwotnie dla kościoła w Męcinie, później jednak, niewiadomo z jakiego powodu, dostał się kollegiacie sandeckiej.

Oblata scripti manualis pro parte Admodum Reverendi Joannis Orzechowski, feria VI. post dominicam Oculi 1739.

My niżej na podpisach wyrażeni starsi ławnicy synagogi miasta Nowego Sądcza, swojem i całego pospólstwa imieniem, zapisujemy i zeznajemy tą obligacyą naszą w ręce Wielmożnego Imci księdza Jana Kazimierza Orzechowskiego, plebana męcińskiego, tudzież i jego następców i starszych bractwa Najsłodszego Serca Pana Jezusa. Iż my z rąk zwyż wymienionego Wielm. Imci ks. plebana męcińskiego dnia dzisiejszego rzetelnie odebrali sumę złp. 2.000, która suma zwyż napisana jest applikowana i dedykowana przez tegoż Imci ks. plebana męcińskiego, jako pierwszego tegoż bractwa fundatora i dotatora, temuż bractwu Serca P. Jezusa kościoła farnego wsi Męciny. Za tę sumę dwa tysiące złp. na dobrach naszych, t j. na całym kahale albo bóżnicy naszej, w mieście Nowym Sądczu fundowanej, solwujemy i zapisujemy one na wyderkaf albo roczną prowizyę, zapisujemy na wszelkich sumach, towarach, sklepach. domach, handlach, rzeczach ruchomych i nieruchomych, temuż Imci ks. Orzechowskiemu i jego następcom tegoż bractwa Serca P. Jezusa kościoła męcińskiego. A że na tej bóżnicy i kahale naszym sandeckim jest suma także zapisana lokowana przez Wielmożną Imci panią Franciszkę z Gawrońskich Gostkowską, chorążynę bracławską, na fundacyę lampy do tegoż kościoła męcińskiego złp. 1.300, w r. 1729 dnia 3. lutego rzeczonemu ks. plebanowi i kościołowi jego, aktami grodu sandeckiego fer. V. in crastino Purific. B. V. M. anno eodem 1739 nasza assekuracya roborowana, a w konsystorzu generalnym krakowskim an. eodem 1739 die 12. septembris. Przeto my niżej podpisani starsi z całą synagogą i pospólstwem tę sumę wyrażoną 2.000 złp. do tejże sumy wyżej specyfikowanej 1.300 złp. przyłączamy i przypisujemy i one na tychże dobrach naszych na zawsze zapisujemy. A że na tamtej sumie złp. 1.300 jest prowizya punktualna na każde święto Najśw. Panny Gromnicznej od każdego sta złp. 8, punktualnie na ten czas płacić obiecujemy, nadto dwa kamienie pięknego łoju dobrej wagi, który powinien ważyć każdy kamień funtów 26, na miejsce do Męciny przynieść obligujemy się. Prowizya zaś zapisana od tych 2.000 złp. do skarbony albo skrzynki nowo erygowanej tytułem Serca P. Jezusa w kościele męcińskim cedere debet. A gdybyśmy wyderkafu albo prowizyi obydwóch lat od 1.300 złp. jako i od 2.000 złp. nie płacili, bóżnicę naszą nowosandecką zapieczętować, nas samych i każdego z osobna na każdem miejscu, miastach, jarmarkach, cłach, drogach, karczmach, domach, kamienicach, handlach, kupiach, osobach, grabić, zabierać, aresztować, sekwestrować pozwalamy się. Co wszystko tak wszyscy, jako

11) **Ołtarz św. Jana Chrzciciela** z obrazem bł. Kunegundy, obok kaplicy św. Mikołaja, wyposażony 1543 r. przez Elżbietę Białowodzką, ksienią starosandecką, sumą 300 złp. na Chełmcu, od której kmiecie chełmieccy zobowiązali się płacić 12 złp. rocznie temuż ołtarzowi.

12) **Ołtarz św. Krzyża,** fundowany w XV. w. przez przodków Jerzego Szworcza z Krakowa i Jakóba Tharny ze Sącza, miał posag na dobrach miasta Brzegu [1]) na Śląsku, skąd przysyłano corocznie 12 grzyw. szerokich groszy praskich. W r. 1611 spłonął ów ołtarz, upadła też i jego fundacya.

13) **Ołtarz Wszystkich Świętych,** wymieniony w reformacyjnych dekretach kardynała Jerzego Radziwiłła 1597 r., tudzież Konstantego Szaniawskiego 1725 r., utrzymywany był z jałmużn [2]).

14) **Ołtarz z obrazem Zwiastowania N. M. Panny,** czyli Różańcowej, najpoważniejszy ze wszystkich, fundowany 1523 r. przez ks. Macieja z Brzeźnicy, kustosza kollegiaty, za przyzwoleniem Piotra Tomickiego, biskupa krakowskiego. Ołtarz ten uprzywilejował kardynał Jerzy Radziwiłł w r. 1597 i potwierdził ustawy bractwa różańcowego. Był on przyozdobiony różnemi wotami i kosztownościami, nie dziw przeto, że budził chciwość łakomych opryszków, którzy go okradli na dwa zawody: w r. 1654 i 1748.

W bractwie różańcowem ci, którzy z książek różaniec śpiewali, zwani byli literatami. Co kwartał w wydatkach miejskich spotykam zapisek: „Literackiemu bractwu różańca św. według zwyczaju kolędy 18 gr.“. A pod rokiem 1634 czytam: „Literatom bractwa Najśw. Panny kolędy wedle zwyczaju 1 złp. 6 gr.“. Snadź bracia literaci, oprócz różańca, i przy innych śpiewach pomagali w kościele. Liczne też płynęły ofiary do skarbony brackiej na ręce prowizorów. Z pomiędzy wielu niektóre przytoczę:

— Anna Rabrocka zapisała 1599 r. folwark na przedmieściu ołtarzowi i bractwu różańcowemu, aby zato odprawiano dwie msze przed obrazem różańcowym: w niedziele za żywych, a w piątki za zmarłych.

---

i każdy z osobna z nas, z naszymi następcami sub vadio 3.500 flor. pol. trzymać i ziścić obligujemy się.

Działo się w Nowym Sądczu dnia 5. marca R. P. 1739. (Acta Castr. Rel. T. 161. p. 192—196).

[1]) Brega, Briga, Brieg leży w obwodzie wrocławskim.

[2]) Connotatio omnium proventuum ad eccles. colleg. sandec. spectantium, die 2. octobr. 1719 facta.

— Jan Lutosławski, pisarz grodzki, legował 1620 r. 200 złp. na folwarku Wierzbięcińskim za rzeką Kamienicą.

— Paweł Użewski, złotnik sandecki, 1626 r. 150 złp.

— Barbara Małborszczanka 1627 r. dom przy węgierskiej ulicy.

— Jan i Anna Sutkowscy 1648 r. 300 złp. na domu przy ulicy szpitalnej.

— Wacław Marek 1650 r. 300 złp. na folwarku na Hamrach. Nieszczęśliwy Seweryn z Ratai Rarowski, ginąc 1650 r. z bratobójczej ręki, pisze ostatnią swą wolę: „W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! Ja Seweryn z Ratai Rarowski, niespodzianą od brata rodzonego schodząc z tego świata śmiercią, temuż Janowi Rarowskiemu, bratu memu odpuszczam i, żeby mu to nie było grzechem, Boga mego proszę i wszystkich Ichmościów Bracią, aby mu nic za ten exces nie czynili i prawem go nie karali; ale mu życzę błogosławieństwa pańskiego i miłości ludzkiej dla szczęśliwego na ziemi pożycia. Bogu tedy Twórcy mojemu oddaję duszę moją, a ciało ziemi, które żeby w kościele koszyckim, kędy i moja rodzicielka pochowana, pogrzebione było — to jest wola moja. A do tego kościoła ofiaruję na ozdobę podług upodobania tamtecznego Imci pana stryja, Joachima Rarowskiego, na co się zgodzą spólnie, 600 złp. A że jestem w różańcu świętym Najśw. Panny Bocheńskiej wpisany, i tam vota moje obróciłem i wszystkie moje powodzenia na świecie tej Najśw. Pannie skrwawionej (*sic*) dedykowałem, tedy do kościoła i klasztoru [1]) tamtego 2.000 złp. na budynek i ozdobę kaplicy Najśw. Panny patronki mojej oddaję. Do Sącza do fary do różańca świętego 200 złp., a samemu kościołowi, aby za mnie exequiae z anniwersałem odprawione były, 100 złp. odkazuję".

W r. 1654 mogło już bractwo różańcowe pożyczyć Adamowi Tabaszowskiemu 1000 złp. na wyderkaf. z rocznym popłatkiem 60 złp. — Ks. Jan Chuliński, pleban ze Siedlec, przeznaczył 1658 r. dla kapelana różańcowego 400 złp. na folwarku przedmiejskim na Hamrach *(in morforiis)*. — Kasper Kamycki w testamencie z 23. lutego 1674 r. legował do różańca Najśw. Panny w kościele kollegiaty sandeckiej na potrzeby najpilniejsze 50 złp. — na ozdobę ołtarza Panny Maryi, który jest pod nowymi organami, 100 złp. —

[1]) Jest tu mowa o klasztorze Dominikanów, którzy mieszkali w Bochni od r. 1375—1777. Porów. Barącz: Archiwum Dominikanów w Jarosławiu. Lwów 1884.

do kościoła kollegiaty na organy nowe 200 złp. — na obiad dla ubogich w dzień pogrzebu swego 100 złp. — na msze św. w dzień pogrzebu 100 czerwonych złotych.

Nie zmniejszyła się też owa hojność dla bractwa różańcowego w XVIII. wieku:

— Jan z Wojakowej Wojakowski zapisał 1708 r. ks. Marcinowi Frankowiczowi, przełożonemu bractwa rożańcowego i jego następcom, popłatę roczną 30 złp. od kapitału 500 złp. na folwarku Gorzkowskim.

— Zygmunt Stroński 1720 r. popłatę roczną 38 złp. od kapitału 380 złp. na domu żyda, Józefa Salomonowicza, przy ulicy zamkowej.

— Ks. Wojciech Mroziński, podkustoszy kollegiaty i promotor bractwa różańcowego, wniósł w r. 1748 skargę przeciwko rajcom i ławnikom Nowego Sącza, z powodu nieprawego przywłaszczania sobie ogrodu na przedmieściu większem, należącego od dawien dawna od promotora różańca św. [1]). — Tak więc ołtarz różańcowy mógł się utrzymać z własnego majątku i licznych ofiar, a altarzysta miał z czego żyć, bo msze fundacyjne odprawiał. W ogóle między rokiem 1620 — 1650 wpłynęło do skrzynki brackiej 1.222 złp.

Niektóre z tych kaplic i ołtarzy, wymienionych powyżej, istniały jeszcze w pierwszej połowie XVIII. wieku, lecz przybyły też nowe. Konstanty Szaniawski, biskup krakowski, na wyraźne żądanie kapituły sandeckiej przeznaczył w r. 1725 ks. proboszczowi: altaryę Niepok. Poczęcia, ks. dziekanowi: św. Mikołaja, ks. archidyakonowi: św. Stanisława, ks. kustoszowi: św. Trójcy; czterym zaś innym kanonikom altarye: Matki Boskiej Bolesnej, św. Anny, Wszystkich Świętych i św. Andrzeja; prócz tego ks. scholastykowi: altarę św. Józefa, a kanonikowi fundacyi Siedlisk: altaryę św. Jakóba. Te dwie ostatnie kanonie są widocznie nowsze i nieznane bliżej.

Osobne fundacye swoje mieli księża mansyonarze, którzy na wzór kościoła Maryackiego w Krakowie, obowiązani byli „*ad decantandum cursum B. V. Mariae*“, do odśpiewania codziennie godzin kanonicznych na cześć Najświęt. Maryi Panny. Pierwszą wzmiankę o mansyonarzach napotykamy już w r. 1628 [2]), Ks. Franciszek Pełka, rodem z Nowego Sącza, kanonik pułtuski, przeznaczył w r.

[1]) Summarium transactionum colleg. sandec. ab an. 1541—1783.
[2]) Porówn. Histor. Nowego Sącza t. II. str. 103.

1675 na dwóch mansyonarzy folwark swój w Gołąbkowicach i pola dziedziczne za rzeką Kamienicą, sprzedane nieco później za 3.000 złp. [1]) Na ten sam cel zapisali w r. 1707 Szymon i Anna Kurdwanowscy na Wielogłowach 1000 złp. Dowodzi to wymownie, że dawna szlachta polska, jak gdzieindziej, tak w Nowym Sączu, we czci Maryi wyprzedzić się nie dała.

Ks. Bartłomiej Fuzoriusz, kustosz kollegiaty († 1637), w myśl konstytucyi papieża Piusa IV. z r. 1564, tudzież synodu krakowskiego z r. 1621 za rządów Marcina Szyszkowskiego, zaprowadził dwóch penitencyarzów czyli spowiedników, legując na ten cel 1.500 złp. na folwarku Mateusza Kotczego na przedmieściu większem. Tę pobożną fundacyę zatwierdził 4. listopada 1639 r. Erazm Kretkowski, archidyakon krakowski, wikaryusz generalny i sekretarz królewski [2]). Jeden z penitencyarzów kapłan świecki, drugi zakonnik, Franciszkanin lub Norbertanin, mieli obowiązek siedzieć w konfesyonałach kollegiaty trzy razy na tydzień i przez cały wielki tydzień przed Wielkanocą, słuchać spowiedzi i rozgrzeszać nawet z takich grzechów, z jakich tylko biskupi absolwować mogą *(casus reservati)*. Za ten pobożny trud pobierali po 50 złp. rocznie. W zetlałych szczątkach aktów kościelnych znalazłem stałą rubrykę tychże wydatków. „Imci ks. opatowi *ex censu poenitentiariorum* 50 złp. — Ojcu gwardyanowi *pro poenitentiaria* 50 złp. — Ks. Komorowicowi [3]) *ex fundatione poenitentiariorum* 50 złp.“ [4]). Fundusz ks. Fuzoriusza wzbogacił w r. 1663 Adam Kownacki na Trzycierzu prowizyą roczną 105 złp. od sumy 1.500 złp.; a znacznie później w r. 1755 Bernard Stadnicki kapitałem 1.500 złp., lokowanych na Zawadzie, Porębie i Nawojówce.

Kaznodzieje przy kollegiacie mieli także swoje dochody. Dorota Cyrusowa przeznaczyła w r. 1469 na kaznodzieję polskiego 3 grzywny rocznie od kapitału 100 grzywien na swym folwarku, nabytym za 200 złotych węgierskich. — Rajcy sandeccy płacili kaznodziei 12 grzyw. rocznie od kapitału 500 złp., które ks. Jan,

---

[1]) Fundatio et erectio duorum mansionariorum penes eccles. colleg. sandec.

[2]) Fundatio et erectio poenitentiariorum in eccles. colleg. sandec.

[3]) Na innem miejscu czytam o nim dopisek: Stanislaus Komorowic, poenitentiarius et mansionarius neosandecensis, obiit media nocte die 15. augusti 1698.

[4]) Regestrum expensarum capituli eccles. colleg. sandec. A. D. 1696—1704.

pleban ze Zborowic, przełożony szpitala św. Walentego w Nowym Sączu, legował w r. 1557. — Ks. Zygmunt ze Stężycy, proboszcz kollegiaty, i ks. Andrzej, pleban z Kamionki, zapisali na dobrach miejskich 1571 r. 4 grzywny rocznie od kapitału 100 grzywien: 2 kaznodziei a 2 nauczycielowi szkoły sandeckiej. — Ks. Alexander Dziekoński, archidyakon kollegiaty, legował w r. 1593 *„pro reparatione ambonae“* 300 złp. na Roszkowicach. — Szymon Wolski, aptekarz sandecki, zapisał ks. Fuzoriuszowi wyderkaf *(census reemptionalis)* 70 złp. od kapitału 1000 złp., ten zaś przeznaczył go w r. 1635 na kaznodzieję. — Stanisław Foltynowicz, rajca sandecki, przekazał w r. 1667 na kaznodzieję 1000 złp.

Wspólnej kapitule sandeckiej, t. j. kanonikom i wikarym, pozostawili znaczniejsze legata: Ks. Bartłomiej Fuzoriusz 1636 r. 300 złp. — Ks. Stanisław Rozmusowicz 1645 r. 300 złp. — Ks. Szymon Jaroszowski 1653 r. 6.000 złp. — Ks. Jan Kwaśnicki 300 złp. — Ks. Grzegorz Królikowski 1660 r. 300 złp. — Ks. Andrzej Sutkowski 300 złp. — Ks. Adam Bydłoniewicz 1670 r. 500 złp. — Ks. Andrzej Ankwicz 1749 r. 3.000 złp.

Niemniej hojną dla kapituły sandeckiej była też okoliczna szlachta:

— Adam Tabaszowski na Tabaszowej 1621 r. 200 złp.

— Jacek Taranowski, cześnik sanocki, na Naściszowej 1651 r. 1000 imperyałów (talarów).

— Jerzy Marcinkowski na Marcinkowicach 1654 r. 1000 złp.

— Jadwiga Wielogłowska na Zabełczu 1658 r. 400 złp.

— Jan Ogonowski na Klęczanach 1660 r. 1000 złp.

— Franciszek Czerski na Biesnej 1680 r. 1000 złp.

— Jan i Katarzyna Jaklińscy na Jasiennej 1683 r. 1000 złp.

— Zygmunt i Kunegunda Chwalęccy na Biesnej 1688 r. 2.000 złp.

— Szymon Kurdwanowski na Jeżowie 1702 r. 1000 złp.

— Jan Stadnicki na Janczowej 1706 r. 450 złp.

— Mikołaj Gostkowski na Bobrówce 1769 r. 1000 złp.

Prócz tego rozmaite sumy, zapisane kapitule na dobrach miasta Lubowli na Spiżu, na folwarkach przedmiejskich i na synagodze sandeckiej, wynosiły 6.186 złp. W latach 1636—1769 ogólny zapis wspólnej kapituły, od którego pobierano wyderkaf,

czyli popłatę roczną, i odprawiano msze fundacyjne za dobrodziejów, doszedł do 23.236 złp. [1]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

[1]) Summarium documentorum capituli sandecensis. — Copiae libellorum actionalium venerabilis capituli sandecensis. — Wyciągi do tych rozmaitych zapisów w niniejszym rozdziale czerpałem także z aktów grodzkich i miejskich, których szczegółowo niepodobna cytować.

# Z TEKI MAURYCEGO KRAIŃSKIEGO.

(Dokończenie).

## III.

### Sprawa indemnizacyjna i serwitutowa.

Przeprowadzenie indemnizacyi było w Galicyi o wiele trudniejsze niż w każdej innej prowincyi austryackiej. Z chaotycznością ustaw, przepisów, normaliów i t. d. pańszczyźnianych z przed r. 1848 łączyła się jak wiadomo zmienna i kapryśna bo zawsze tendencyjna praktyka władz administracyjnych przy stosowaniu norm prawnych. Z chwilowemi przerwami, jak n. p. za rządów gubernatora ks. Lobkowica, tendencya ta zawsze skierowana była ku stopniowemu wyzuwaniu szlachty „administracyjnym porządkiem“ z praw na rzecz kokietowanego ludu wiejskiego. Kiedy 17. kwietnia 1848 wydany został znienacka dla samej tylko Galicyi patent znoszący powinności poddańcze, zdawało się rządowi, że w ten sposób nietylko sparalizuje akcyę patryotyczną rozwiniętą za dobrowolnem darowaniem pańszczyzny, lecz nadto rozetnie za jednym zamachem i ostatecznie cały ten gordyjski węzeł trudności, wątpliwości i sprzeczności prawnych, ekonomicznych i społecznych, jakim dotychczasowa praktyka oplatała stosunek włościan do dziedziców. Kiedy później konstytucyjny sejm wiedeński uchwalił dla całego państwa ustawą (z 7. września 1848) o całkowitem zniesieniu węzła poddańczego i uwolnieniu gruntu od ciężarów, pokazało się zaraz, że trzeba będzie wrócić znowu do galicyjskiej sprawy pańszczyźnianej, gdyż między powyższym pa-

tentem dla Galicy, a ustawą dla całego państwa wydaną zachodziły doniosłe różnice. Wyświecił je szczegółowo M. Kraiński w referacie przedstawionym w r. 1848 Towarzystwu ziemiańskiemu i wydrukowanym w organie tego towarzystwa „*Polska*“. Główną różnicę stanowiło naczelne, zasadnicze postanowienie. Według ustawy państwowej włościnin stawał się zupełnym właścicielem gruntu i pod tym względem ustawała wszelka różnica prawna między gruntami dominikalnemi i rustykalnemi, kiedy tymczasem patent galicyjski pozostawiał dziedzicom własność zwierzchnią co do gruntów rustykalnych a włościanom służyć miała tylko własność użytkowa. Dalsza ważna różnica zachodziła co do sprawy wynagrodzenia. W patencie galicyjskim powiedziano wyraźnie, że państwo wypłaci uprawnionym wynagrodzenie a w ustawie z 7. września 1848 sprawa wynagrodzenia zastrzeżona została osobnej komisyi, która miała wnioski swoje w tej mierze przedstawić parlamentowi, ale jak wiadomo nie została wcale wybrana z powodu, że sam parlament wchodził już wtedy w burzliwy, rewolucyjący okres swojej działalności. Dalsze różnice obejmują szczegóły, które nie dotykały samych podwalin reformy i mogły być przy dobrej woli w rozporządzeniu wykonawczem wyrównane bez uszczerbku dla jednej a krzywdy dla drugiej strony. Ale ów warunek — dobra wola — był w tych czasach jeżeli nie wprost niemożliwy, to co najmniej nieuchwytny. Minister Bach, któremu przypadła wielka rola przeprowadzenia najważniejszej w nowożytnych dziejach państwa i kraju, reformy agrarnej i społecznej zasklepił sie zupełnie w tradycyach dawnej biurokracyi niemiecko - galicyjskiej i wskutek tego uważał przeprowadzenie indemnizacyi niejako tylko za epilog dzieła tej biorokracyi.

Do przeprowadzenia sprawy indemnizacyjnej powoływano z krajów koronnych rzeczoznawców i zarazem mężów zaufania. Z Galicyi przedstawił namiestnik (hr. Gołuchowski) w pierwszym rzędzie oczywiście Maurycego Kraińskiego, jako swojego wiernego towarzysza w ankietach pańszczyźnianych z r. 1846—7 i niewątpliwie najlepszego w danej chwili znawcę sprawy indemnizacyjnej tak ze strony prawnej jak i ekonomicznej i społecznej. Obok M. Kraińskiego desygnował namiestnik jako rzeczoznawtów Kazimierza hr. Krasickiego i adwokata dr. Michała Tustanowskiego. Jak później zobaczymy rzeczoznawcy polscy znaleźli się w komisyi ministeryalnej w miejszości wobec prowodyrów świętojurskich, ściągniętych przez ministra Bacha jako wrzekomo najkompetentniejszych rzeczników drugiej strony interesowanej t. j. włościan.

Polscy rzeczoznawcy wystąpili wobec ministra Bacha z wielkim elaboratem, opracowanym zapewne głównie przez M. Kraińskiego. Jestto podziwu godne dzieło gruntownej znajomości rzeczy, bystrej przenikliwości w ocenieniu wszystkich ekonomicznych i społecznych akcessoryów prawnej reformy a w końcu i niepospolitej bystrości kodyfikacyjnej. Zawierał bowiem ten elaborat gotowy projekt rozporządzenia, w którym wszystkie wątpliwości były przewidziane i rozwiązane. W elaboracie swoim rzeczoznawcy polscy polscy położyli nacisk na rozwikłanie zawiłej kwestyi własności gruntów, która w Galicyi wskutek braku ksiąg gruntowych, katastra i niejasności przepisów prawnych w zakresie stosunków pomiędzy dziedzicami a poddanymi, wreszcie wskutek dowolności tak długo, praktykowanej przez władze administracyjne w sprawach pańszczyźnianych, wymagała nadzwyczaj oględnego traktowania, aby nie stała się niewyczerpanem źródłem sporów na przyszłość. Szczególnie służebnościom, których, niepodobna było traktować w Galicyi w ten sam sposób, jak w innych prowincyach już z powodu odmienności natury prawnej, rzeczoznawcy polscy poświęcili tak w uzasadnieniu swojego projektu jak i w samym projekcie baczną uwagę. Nie zapomnieli także i o arondacyi gruntów, na którą chwila przeprowadzenia indemnizacyi była najwłaściwszą porą. Krótko mówiąc, projekt rzeczoznawców polskich był tak opracowany, że gdyby rząd był go przyjął w całości lub przynajmniej w głównych zarysach, byłby Galicyi oszczędził wiele w przyszłości doznanych przykrości i szkód pod względem ekonomicznym i społecznym, byłby jej rozwój ekonomiczny o cały okres jednego pokolenia przyspieszył i ułatwił.

Ale minister Bach, wierny tradycyom biurokratycznym, spoglądał ze z góry powziętem uprzedzeniem na wszelkie elaboraty szlacheckie, Memoryał polskich rzeczoznawców nazwał „cennym materyałem“ dla przyszłych obrad nad rozporządzeniem wykonawczem, a tymczasem wywołał patent z 15. sierpnia 1849. który w sposób niejako mechaniczny nagiął patent galicyjski z 17. kwietnia 1848 do ustawy z 7. września 1848 i jednym zamachem pióra zakwestyonował albo raczej skreślił solenne przyrzeczenie uiszczenia indemnizacyi ze skarbu państwa. Tą wzmianą Bach bardzo wzbogacił swoją smutną dla Galicyi i Austryi spuściznę polityczną, stwarzając znany, długoletni, dopiero przez konstytucyjnie odrodzone państwo załatwiony spór o fundusz indemnizacyjny.

Komisya zwołana do ministerstwa rozpoczęła obrady 27. września 1849 a zamknęła je 25. października 1849. Przewodniczył

szef sekcyjny Eminger, w r. 1846 jako radca gubernialny we Lwowie referent komisyi, która dla sprawy pańszczyźnianej zwołana została przez br. Kriega a w której Maurycy Kraiński wybitną odegrał rolę, wnosząc razem z hr. Agenorem Gołuchowskim, także członkiem tej ostatniej komisyi, szczegółowo opracowany projekt indemnizacyjny. Referentem wiedeńskiej komisyi był radca sekcyjny Bayer, oczywiście biurokrata, dla którego szablon i dyrektywa „z góry“ stanowiła niewzruszoną podstawę. Jako wotanci zasiedli: radca ministeryalny Kalchberg, głośny później prezydent komisyi indemnizacyjnej we Lwowie i antagonista Agenora hr. Gołuchowskiego, któremu jako wiceprezydent Namiestnictwa podlegał a pod którym w pierwszym charakterze swoim jako samodzielny dygnitarz dołki kopał i intrygi knuł w kraju po myśli swojego mocodawcy i protektora ministra Bacha, dalej koryfeusze ruchu świętojurskiego: kanonik Michał Kuziemski, ks. Litwinowicz, wówczas jeszcze proboszcz, kanonik i radca ministeryalny w ministerstwie oświecenia ks. Grzegorz Szaszkiewicz, były poseł świeżo zamkniętego czy rozpędzonego parlamentu austryackiego. Prokopczyc, który tam już dał się poznać z poglądów swoich na sprawę pańszczyźnianą, radca ministeryalny Stroynowski z ramienia ministerstwa sprawiedliwości, wreszcie trzej polscy reprezentanci kraju Maurycy Kraiński, Kazimierz hr. Krasicki i adwokat dr. Michał Tustanowski.

Dla polskich członków komisyi od razu jasną było rzeczą, że wobec trzech świętojurców i głosującym razem z nimi Prokopczycem stanowić będą w każdej drażliwszej sprawie mniejszość, chociażby reszta członków była nawet nieuprzedzoną. Tymczasem rzecz miała się przeciwnie, bo przewodniczący już z czasów swojego pobytu we Lwowie dał się poznać jako zwolennik wszelkich pomysłów uregulowania lub zniesienia pańszczyzny, w duchu premiowania chłopów za lojalność kosztem szlachty a radcy Kolchberg i Bayer stanowili tylko odgłos Bacha, który wtedy tak w sprawie indemnizacyjnej jak w ogóle we szystkich sprawach bieżących, podejmował już śmiało tradycye starej, wrogiej naszemu krajowi biurokracyi. Nawet na radcę Stroynowskiego nie mogli liczyć polscy członkowie komisyi, bo jak późniejsze obrady wykazały, stał on w jednym szeregu z delegatami ministerstwa spraw wewnętrznych, więc przechylał się na stronę większości a jeżeli w jakiej kwestyi sformułował osobny wniosek, to zawsze tak on opiewał, że polscy członkowie przeciw niemu występować musieli,

pozostając oczywiście w mniejszości wobec sojuszu ruskich głosów z głosami biurokratów.

O przebiegu obrad komisyi znajdują się w papierach pozostałych po M. Kraińskim szczegóły autentyczne, bo odpis całego protokołu, wprawdzie tak streszczony w rzeczy a skrócony w formie, że chyba on sam mógłby był wszystko bliżej rozwinąć i odcyfrować, ale zawsze mimo to tak dokładny, że komu znaną jest bliżej sprawa pańszczyźniana i indemnizacyjna, ten z najwyższem uwielbieniem dla zasług obywatelskich M. Kraińskiego i jego towarzyszy komisyjnych wyrobi sobie jasny obraz ówczesnej sytuacyi.

Zaraz na pierwszem posiedzeniu komisyi wiedeńskiej przed rozpoczęciem obrad merytorycznych M. Kraiński z towarzyszami swoimi złożył oświadczenie, że przybyli oni na wezwanie otrzymane od rządu, ale bez mandatu ze strony kraju do zastępowania jego interesów, że zatem wyrażone przez nich poglądy mogą być uważane za opinię osobistą a nie za objaw woli i przekonań czynników interesowanych. Jeżeliby zatem w komisyi zapaść miały uchwały z mocą obowiązującą, to delegaci musieliby się zastrzedz przeciw wszelkim stąd płynącym konsekwencyom a to tem więcej, ile że w tem pierwszem zebraniu nabyto przeświadczenie, iż powołani zostali nie jako zastępcy kraju, lecz jako reprezentaci uprawnionych, skoro oprócz nich powołani zostali jeszcze czterej inni członkowie (Kuziemski, Szaszkiewicz, Litwinowicz i Prokopczyc), którzy udział brać mogą w żadnym innym charakterze jak tylko w roli zastępców strony obowiązanej. Na to zastrzeżenie przewodniczący oświadczył wprawdzie, że chodzi tylko o pozyskanie informacyi a uchwały powzięte w komisyi nie będą przesądzać o decyzyi rządowej, późniejszy przebieg sprawy jednak wykazał aż nadto dobitnie, że to zapewnienie nie było na seryo pojmowane a obawy polskich członków miały wszelką podstawę.

Nie możemy zapuszczać się w szczegóły kwestyi spornych, które wyłoniły się w obradach komisyi nad poszczególnemi postanowieniami projektu ministeryalnego a w których poprawki i dodatki Kraińskiego, oparte na gruntowej znajomości stosunków krajowych i poparte równie gruntowną znajomością prawnej strony sprawy, ze stałą aż do znużenia powtarzającą się jednostajnością upadały większością głosów wszystkich członków komisyi przeciw trzem polskim (Kraińskiego, Krasickiego i Tustanowskiego). Kto zajmie się historyą zniesienia pańszczyzny w Galicyi i późniejszej indemnizacyi, nad którą zamknęły się już całkowicie księgi rachunkowe ale nie badania ekonomiczno-historyczne. ten znajdzie w pa-

pierach pozostałych po Kraińskim a głównie w jego własnych elaboratach, między któremi jedno z pierwszych miejsc zajmuje materyał dla komisyi wiedeńskiej zgromadzony, źródło obfite informacyi i objaśnień.

Tutaj ograniczymy się tylko do podniesienia najważniejszych szczegółów a przedewszystkiem do wyrażenia podziwu dla niezwykłej skromności M. Kraińskiego, który mógł zabłysnąć w opinii kraju, gdyby był ogłosił swoje wnioski z przemówienia w komisyi wiedeńskiej w toku akcyi indemnizacyjnej i serwitutowej, a nie uczynił tego wcale. Byłoby się bowiem wtedy pokazało, że owa przykrość i krzywdy, na które wśród owej akcyi narzekała opinia kraju, M. Kraiński już wtedy nietylko dobrze odgadywał, przewidywał i obliczał, lecz także trafnemi wnioskami uchylić pragnął. Odnosi się to przedewszystkiem do nieszczęsnej sprawy służebności, którą wbrew ostrzeżeniom Kraińskiego oddzielono od sprawy indemnizacyjnej, przewleczono lata całe na szkodę społecznych stosunków i z krzywdą uprawnionych, którzy opłacać się musieli za to, co w swoim czasie poddanym z łaski *(praecario modo)* poprzyznawali a co później jako służebności zakwalifikowano. A sprawa t. z. pustek t. j. gruntów opuszczonych przez poddanych i sprawa t. z. dominikalistów, t. j. poddanych osiadłych na gruntach niewątpliwie dworskich za pewne zasługi wzajemne ale bez prawnego stworzenia węzła poddańczego! Wszystko to w załatwieniu komisyi poszło taką drogą, jak gdyby komisya ta wytknęła sobie za cel nie stworzenie sytuacyi prawnej, nie owo już przez Rzymian za główne *praeceptum iuris* wskazane: *suum cuique tribuere*, lecz przysporzenie pod osłoną formalistyki prawnej, i to formalistyki lichej, jaknajwiększych korzyści poddanym z ujmą dla prawa dziedziców. Nieszczęsna maxyma rządowa z r. 1846, maxyma, polegająca na premiowaniu poddanych za lojalność kosztem buntowniczej szlachty, odżyła w całej pełni w wiedeńskiej komisyi indemnizacyjnej. Kraiński i jego dwaj wierni towarzysze czuli się od pierwszej chwili, jak to już wyżej zaznaczyliśmy, w mniejszości zdeklarowanej, więc byli niejako bezbronni wobec powyższej maxymy. Jeżeli mimo to nie usunęli się z komisyi, lecz owszem wytrwali do końca nie pomijając żadnego postanowienia projektu, które wymagało zmiany a przytem nie zrażając się upadkiem stawianych poprawek, to poczytać im to należy niejako za akt heroizmu obywatelskiego, za abnegacyę dla obowiązku obywatelskiego, który w tych ciężkich czasach kazał im za przykładem Agenora hr. Gołuchowskiego wytrwać w pracy publicznej, chociaż na razie

nie można było myśleć o zdobyczach a całą nagrodę wytrwałości stanowiła tylko świadomość moralna, że się może powiedzie niejeden cios odwrócić od kraju lub przynajmniej złagodzić.

Protokół z obrad komisyi wiedeńskiej służył za podstawę drugiej redakcyi ministeryalnego projektu indemnizacyjnego. Wypadła ona tak, jak tego z góry oczekiwać należało, t. j. nie uwzględniono w niej przedstawień polskich członków. Była nadzieja, że namiestnik hr. Gołuchowski zjeżdżając do Wiednia w r. 1850 w czasie obrad komitetu ministeryalnego zdoła niejedno zmienić. Dla niego więc przygotował Maurycy Kraiński zachowany w jego tece egzemplarz projektu ministeryalnego, w którym przy odnośnych paragrafach sformułował ściśle wszystkie swoje uwagi, objekcye i poprawki poprzednio przez komisyę nieuwzględnione. Ale minister Bach umiał zażegnać niebezpieczeństwo osobistej interwencyi hr. Gołuchowskiego, który wtedy był dopiero na dorobku politycznym, więc z pierwszym ministrem walki na ostrze jeszcze podjąć nie mógł. Gdy później w czasie podróży cesarskiej szlachta galicyjska wniosła podanie do tronu z zażaleniem na różne ujemne strony akcyi indemnizacyjnej, hr. Gołuchowski w przychylnej konkomitacyi tego podania użalił się już śmiało na postępowanie Bacha przy układaniu rozporządzenia. „Byłem wprawdzie — pisze hr. Gołuchowski — podczas zeszłorocznej dłuższej obecności mojej w Wiedniu wezwany przez ministra spraw wewnętrznych do udziału w obradach komitetu pod jego przewodnictwem odbytych. Jednakże odbywało się już wtedy tylko drugie czytanie projektu ministeryalnego a nie chodziło o obrady nad zasadami, które już zamknięto. Oznajmiono mi, że pod tym względem sprawa jest już załatwiona. Odjęto mi tedy sposobność do objawienia zdania o tych zasadach“ [1]).

W komisyi indemnizacyjnej Kraiński nie utrzymał się ze swojemi wnioskami, na co zresztą wobec powyżej przedstawionego składu tej komisyi z góry mógł być przygotowany, ale powaga jego głosu, oparta na gruntownej znajomości prawnej i społecznej strony wszystkich kwestyi stosunku poddańczego nietylko nie ucierpiała na tem, lecz owszem właśnie po tej komisyi zdobyła sobie nawet w centralnych sferach biurokratycznych takie uznanie, że chociaż stał się niewygodnym dla tych sfer, mimo to zawsze powoływany był przez nie do objawienia opinii w spra-

[1]) Dr. B. Łoziński: *Agenor hr. Gołuchowski w pierwszym okresie rządów swoich (1846—1859).* — Lwów 1901 — str. 220.

wach, w których za zasadę przyjęto wzywanie rzeczoznawców. Z drugiej strony znowu Kraińskiego cechowała rzadka a w owych czasach podwójnie cenna dla dobra kraju wytrwałość w podejmowaniu walki o obronę jego interesów mimo zniechęcającej świadomości, że walka ta wobec z góry zakreślonego szablonu i niechęci sfer biurokratycznych nie wiedzie do zwycięstw. Pokazało się to najlepiej w sprawie serwitutowej. Gdy przyszła kolej na tę sprawę, minister Bach zwrócił się do Kraińskiego z wezwaniem, aby wypowiedział opinię swoją na 12 pytań, w piśmie ministeryalnem szczegółowo sformułowanych a tyczących się tak prawnej strony służebności jak i sposobu przeprowadzenia ich wykupna lub regulacyi.

Po odłączeniu sprawy serwitutowej od indemnizacyjnej wbrew wnioskom i przestrogom Kraińskiego i namiestnika hr. Gołuchowskiego można było już z góry przewidzieć, że w pierwszej z obu tych spraw zwycięży szablon biurokratyczny, dla wszystkich krajów koronnych przyjęty a dla Galicyi z niepowetowaną szkodą dla jej interesów ekonomicznych i społecznych nie da się wywalczyć takich zmian w tym szablonie, jakich wymagała odrębność stosunków. Mimo to wszystko Kraiński wygotował w odpowiedzi na pytanie Bacha formalne studyum, w którem z wielką ścisłością historyczną i prawną wykazał odrębną genezę i odrębny charakter prawny służebności w Galicyi i potrzebę uwzględnienia tej odrębności w szczegółowych postanowieniach wydać się mającego rozporządzenia wykonawczego oraz w postępowaniu organów powołanych do przeprowadzenia akcyi prawnej. Bach i tym razem oczywiście nie odstąpił od szablonu w duchu opinii Kraińskiego, dla którego nagrodą moralną za trudy daremne był fakt, że skoro tylko zebrał się sejm w obecnym ustroju swoim zaraz sprawa serwitutowa wypłynęła aż w sześciu wnioskach, postawionych tak przez uprawnionych (posłów włościańskich) jak i obowiązanych a zgodnych ze sobą w utyskiwaniu na dotychczasowy tok spraw i w żądaniu zmian w postępowaniu organów wykonawczych.

Dr. Bronisław Łoziński.

# POSTĘPY W ASTRONOMII I FIZYCE

## OD NAJDAWNIEJSZYCH CZASÓW

### AŻ DO KOŃCA XIX. STULECIA.

(Szkic historyczno-naukowy).

(Dokończenie).

VIII.

Co się nareszcie tyczy postępów w ostatniem stuleciu we Fizyce, uwzględniłem je należycie do r. 1869 w moich pismach, drukowanych do tego roku, jako to:

1. *Ein Problem a. d. Elektrostatik. Lemberg* 1850.

2. *Vorträge über höhere Physik, Lemberg* 1857, a w drugiem wydaniu *Theorie des Potentials, Berlin* 1864.

3. *Magnetische Beobachtungen ausgeführt in Lemberg und berechnet, Lemberg* 1858.

(Po niemiecku drukiem ogłoszone dla tego, że wykłady na lwowskim Uniwersytecie odbywały się wtedy tylko w tym języku).

4. Trzy fizyki w polskim języku, drukowane w Warszawie u Orgelbranda w latach 1867 i 1868. Te są:

*a)* Fizyka umiejętna 2 tomy (104 ark. druku).

*b)* Zasady Fizyki dla uczącej się młodzieży, tom jeden z dodatkiem z Chemii (razem 39 ark. druku).

*c)* Fizyka dla użytku w niższych gimnazyach, drugie wydanie przez wiedeńskie Minist. oświaty zatwierdzone (17. ark. druku)... (razem 160 ark. druku), nareszcie

5. Pisma pomniejsze razem zebrane. Lwów 1869.

Już artykulik I-szy w tej ostatniej książce daje pogląd na naukę o tak zwanych Imponderabiliach (nie ważkich istotach), w którym począwszy od światła i ciepła a skończywszy na

Elektryczności i Magnetyzmie już w r. 1850-tym jako docent matematycznej fizyki omówiłem dostatecznie wartość głównych hipotez w ówczesnej fizyce i moje stanowisko, które wobec nich zajmuję. Cały ten artykulik możnaby tu prawie bez zmiany powtórzyć i niebyłoby w tem anachronizmu. Nie czynię jednak tego, bo wspomniana książka znachodzi się w bibliotekach prywatnych i publicznych kraju, a może także jeszcze w handlu księgarskim... Dalsze w niej artykśły II., III., V. do VII, tudzież XII. i XIV. uzupełniają dostatecznie cały wykaz tych postępów i zarazem nazwisk uczonych fizyków, którzy się pracą swoją do tych postępów, głową i ręką przyczynili.

W moich prelekcyach na Uniwersytecie już od r. 1850 nie było ani jednego wykładu z Optyki i Termiki, osnutego na tle Newtonoskiej hypotezy Emanacyjnej czyli emisyjnej świetlika *(Lichtstoff)* i podobnej hipotezy o cieplika *(Wärmestoff)*. Nawet wydany przezemnie w r. 1851 w polskim języku dla niższego gimnazyum podręcznik fizyki, aprobowany przez Ministerstwo oświaty do wykładów, nie posługiwał się staremi hipotezami, lecz był napisany na wzór Elementarza fizyki *(Anfangsgründe d. Physik)* profesora Uniwersytetu wiedeńskiego dr. Jędrzeja Ettingshauzena na nowych zasadach w r. 1843 dla słuchaczów II-go roku filozofii ułożonego, według którego prof. August Kunzek we Lwowie fizykę na Wszechnicy od 1844 r. wykładał i tak samo prof. Weiser na technice za podkład swoich wykładów na technice używał a nawet na tych samych zasadach później swój własny podręcznik drukiem ogłosił. Wszystkie inne podręczniki fizyki tak w Austryi jak i w Niemczech Brettnera, Moznika, Hesslera... w oryginale i niektóre z nich w polskich tłumaczeniach konserwowali ciągle jeszcze dalej przestarzałe hypotezy z ich „świetlikiem“ i „cieplikiem na wzór większych dzieł o fizyce traktujących, jak Biota fizyka w oryginale ze swemi suplementami w 4 tomach i w tłumaczeniu na język niemiecki przez Fechnera, dalej Fizyki Lamego, Ganota, Pouileta, Jamina *(Cours de physique)*... i Baumgartnera *Naturlehre* w 7 edycyach od r. 1826—1885 z jednym osobnym suplementem, tudzież Pouilleta, Müllera i Jamina Wüllnera w tłumaceniu i przeróbkach... nareszcie Fizyka Külpa w 4 tomach dla wyższych szkół realnych i politechnik napisana. Nawet Wüllner, porzuciwszy fizykę Pouilleta, w swoim obszernem i starannie wydanem dziele *Lehrbuch der Experimentalphysik* (w 2-ch grubych tomach na 130 arkuszach

druku) z r. 1865 nie porzuciłbył jeszcze starych teoryi i nie zastąpił ich nowemi, do których droga podówczas od 20, a nawet już od 30 lat w licznych monografiach i pismach peryodycznych, tudzież w Pamiętnikach różnych Akademii Umiejętności była utorowana, na dzisiejsze zaś czasy od więcej niz pół wieku stoi otworem. To też dla tego szkolnego safandulstwa wykład nauki w Wüllnerze odbywał się wyłącznie w języku, zastarzałym teoryom odpowiednim, szczególnie w nauce o cieple, która cała dawnym trybem była wyłożona. Także wielki brak gruntowniejszego wykładu elementów mechaniki mocno tam czuć się dawał, a bez mechaniki wykład dzisiejszej fizyki jest bardzo niedokładny i wcale nie naukowy, albowiem mechanika jest podstawą umiejętnej fizyki, będącej w swoich teoryach właściwie mechaniką sił molekularnych. Uznał to sam Wüllner, przystępując po 5 latach do drugiego wydania swego dzieła. (Obacz *Mittheilungen der Verlagshandlung B. G. Taubner, Leipzig*, Nr. 4 1870).

Mówi on tam co następuje: „*Eine zweite Auflage hat nicht nur den Zweck, die seit der ersten neu errungenen Resultate der Wissenschaft aufzunehmen, sondern eben so sehr den, die bei der ersten Auflage weniger gelungenen Theile neu zu bearbeiten. Beide Zwecke habe ich in der 2 Auflage zu erreichen gesucht. Zunächst ist die Mechanik nicht unbeträchtlich erweitert, da ich glaube, dass man bei der Art, wie bei uns in Deutschland das Studium der Naturwissenschaften betrieben wird, die Mechanik in einem Lehrbuche der Physik nicht entbehren kann. Ich habe desshalb von der Mechanik soviel aufgenommen wie zum Verständnisse der Physik erforderlich ist*“... A nieco niżej znowu:

„*Vollständig umgearbeitet ist die Wärmelehre. Es ist offenbar an der Zeit die mechanische Wärmetheorie nicht mehr als neben der experimentellen Wärmelehre stehend zu behandeln. Ich habe dess halb versucht, sie in die Lehre von der Wärme hinein zu arbeiten...*

To zaś, co Wüllner dopiero w drugiem wydaniu swego dzieła uczynić zamyślał, ja już odrazu sześć lat pierwej w mojej Fizyce Umiejętnej i w Wyciągu z niej pod tytułem: Zasady Fizyki dla uczącej się młodzieży, dostatecznie uwzględniłem, gdzie Mechanika odpowiednio ówczesnym potrzebom fizyki bardzo dokładnie obrobiona, a Nauka o Cieple według dzisiejszego stanu mechanicznej teoryi w należycie zaokrą-

glonem zarysie jest wyłożona. (Tak pisałem już przed 30 laty... Lwów 1870).

Drugie wydanie Wüllnera nastąpiło w r. 1870 i doczekało się 5-go wydania do końca XIX. stulecia.

J. Robert Mayer, lekarz heilbroński, sformułował pierwszy w r. 1842 najwyższe prawo Natury, orzekające stateczność, czyli Jedność, a więc Zachowanie sił w przyrodzie. (Ob. art. V. w dziełku mojem: Pisma pomniejsze razem zebrane. Lwów 1869). Jest ono fundamentalną podstawą poglądów Klauzyusza na wewnątrzną budowę ciał materyalnych *(des Stoffes)*, tudzież na prawo Leibnica „o żywych siłach ruchu, i prawo grawitacyi Newtona, nareszcie na wszystkie prawa równowagi ciał stałych, ciekłych i powietrznych, zatem także i na prawa „mechanicznej teoryi ciepła".

W moich większych Fizykach z r. 1866 i 1867, pisanych w latach 1864 i 1865, powyższe trzy główne prawa Newtona, Leibnica i Roberta Mayera są wyłożone w pierwszych paragrafach Wstępu, gdzie też loiczno dydaktyczny wykład nowoczesnej metody badania natury i tworzenia systemów, tudzież znaczenie i pomoc Matematyki przy tych wywodach (dedukcyach) należycie objaśnione zostały. Dlatego też większą z nich, na 104 arkuszach wydrukowaną, nazwałem „Fizyką umiejętną", bo wypełnia warunki książki, wykładowi umiejętności Fizyki poświęconej...

Wykład zjawisk fizykalnych i praw tych zjawisk, tudzież ich tłumaczenie opiera się w niej na onej zasadzie Zachowania siły i na wymienionych wyżej prawach ogólnych, tudzież na poglądach Klauzyusza o wewnętrznym układzie materyi wciałach w ogóle, nareszcie na zasadach mechaniki, która niczem innem nie jest, jak tylko dynamiką ruchów molekularnych w ciałach stałych, cieklych i lotnych, a gdy nauka o wibracyach i undulacyach jest także tylko zastosowaniem mechaniki ogólnej do Etern, więc nauka o głosie, świetle i cieple promienistem opiera się i stoi właściwie na onem prawie fundamentalnem, które swe bezpośrednie *(directe)* zastosowanie znachodzi w cieple ciał ważkich, gdyż prawo równoważnikowe ciepła i mechanicznej pracy *(Aequivalenz von Wärme und Arbeit)*, zatem fakt przemieniania się jednego w drugie i odwrotnie tworzenia się nieograniczonej ilości ciepła z ograniczonej ilości materyi ważkiej, w ciągłym ruchu utrzymywanej, tkwi w tym prawie i z niego po-

chodzi, (co przez liczne próby — experymenta — zostało nie dwuznacznie stwierdzonem i dowiedzionem): zatem mechaniczna teorya ciepła a z nią pojmowanie go w ciałach (istotach ważnich) jako molekularnego w nich bardzo prędkiego ruchu pełne uzasadnienie naukowe już do roku 1860 znalazła. Nadszedł więc pilny czas do pomieszczenia jej także w książkach naukowych dla dojrzalszej młodzieży uniwersyteckiej przeznaczonych. Nauka o magnetyzmie i Elektryczności nie dojrzała była do r. 1865 do tej perfekcyi, co Optyka i Termika, więc musiała pozostać jeszcze do czasu w wielu rzeczach na drodze indukcyjnej, głównie experymentalnej; więc dotyczące zjawiska były i są dziś jeszcze ciągle badane przedewszystkiem eksperymentami i na drodze indukcyjnej tłumaczone, chociaż i tu już prawo Ohma, mierzenie Magnetyzmu ziemskiego według zasad Gaussa, *Elektromagnetische Massbestimmungen* Webera i wiele innych zagadnień n. p. o Rozkładzie Elektryczności na powierzchni dobrych przewodników i działanie tejże Elektr. na punkta wewnętrzne i zewnętrzne innych ciał, według obliczeń Plany, profesora w Turynie i niektórych matematyków innych narodowości jak: Dirichleta, Despeyrousa i Catalana w Paryżu (1841), Heinego w Crelle Journalu T. XXIX. i XLII, nareszcie w moich dwóch rozprawach w r. 1880 w Pamiętnikach Towarz. Nauk Ścisłych w Paryżu (T. XII.) umieszczonych. *a)* O układaniu się El. na 2 izolowanych przewodnikach kulistych... *b)* O sposobie układania się El. na izolowanym przewodniku elipsoidalnym... (Dr. W. Urbański) na drodze dedukcyjnej — przy pomocy wyższej matematyki zostało z powodzeniem rozwiązanych...

W r. 1872 pojawiło się nowe dzieło naukowe, *Reisa Lehrbuch der Physik; gemäss der neueren Anschauung und auf den neuesten Fortschritten bearbeitet v. Dr. Paul Reis...*, w którem autor zajął stanowisko bez wątpienia pierwszorzędne jako znakomity profesor i pisarz-dydaktyk, obznajominy z całą bieżąca literaturą tego przedmiotu i zarazem postanowił ułożyć książkę do nauki Fizyki, na dotychczasowych wynalazkach i najnowszych na nie poglądach i prawach opartą. Książkę tę, jak sam w przedmowie powiada, pisał on blizko trzy lata. Pierwszy zeszyt wyszedł w r. 1870 ostatni zaś i z nim całe dzieło dopiero w połowie maja 1872. Takie trudności miał do wykonania..., bo też i moja praca w l. 1864—1865 nie szła tak raźnie, jak sobie życzyłem, chociaż już w czasach mojej docentury na Uniwersytecie przez cały jeden

kurs letni mechaniczną teoryę ciepła, a przez jeden zimowy całą Optykę na wyższym rachunku opartą, a więc także i Polaryzacyę światła (przez Malusa w r. 1808 odkrytą, (prostolinyną, kolistą i eliptyczną) wykładałem i rękopisy tych prelekcyi dotąd miałem zawsze pod ręką.

Fizyka Reisa od 1872 do 1893 aż do zgonu autora w tym roku doczekała się 8 wydań. Osobno zaś w skróceniu wychodził podręcznik jego dla uczącej się młodzieży, który ma ponoś trzy wydania. Praca więc tego profesora, dbałego o szkołę i naukę przyczyniła się nie mało do tych wielkich postępów, które fizyka w ostatnich 25 latach XIX. stulecia zrobiła, tak w kierunku teoretycznym, jako też w zastosowaniach do przemysłu i w ogóle do celów praktycznego życia. Reis robiąc nowe wydania swojego dzieła miał zawsze na uwadze, że stosownie do ciągłych postępów nauki potrzeba koniecznie coś poprawić, dorobić lub dodać i czynił to z całem poświęceniem czasu i pracy umysłowej. Nawet w ósmym jeszcze wydaniu, 58 arkuszowem drobnego i ścieśnionego druku, do tego, co się w tekscie 7-mej edycyi zawierało, dodał 3 i $^3/_8$ arkusza druku z powodu umieszczenia tam 47 różnych kawałków nowej treści. O tyle też dzieło to jego lepiej jest zredagowane, niż wiele innych podobnych, które raz tylko lub parę razy ale bez takiej zapobiegliwości były wydane... Wynalazki, na które on swoje badania zwracał i za istotne postępy materyalne uważał, były zjawiska w drugiej połowie zeszłego stulecia lepiej niż przedtem zbadane lub nanowo poznane, mianowicie w dziedzinie:

1. Maszyn parowych we fabrykach i lokomocyi na lądzie i po wodach; 2. Aeronautyki (balony); 3. Daguerotypii i fotografii; 4. Galwanoplastyki (Złotnictwa); 5. Telegrafii elektrycznej; 6. Telefonii; 7. Spectroskopii (spektralnej analizy); 8. Mechaniki praktycznej i fabrykacyi różnych instrumentów astronomicznych, lekarskich, geometrycznych... 9. Wyrabiania teleskopów, mikroskopów, mikrometrów; fonografów, mikrofonów; 10. Astrofotografii... i t. d....; nareszcie 11. w dziedzinie Transformacyi wodospadów, wiatrów i w ogóle mniej rentujących się działaczów w naturze w pożyteczniejsze, jak n. p. ciepło, światło, elektryczność, i różne Dynamo-motory, a odpadków we fabrykach jako dalszych dotychczas nieużytków i marniejących płodów natury w nowe dowcipem chemików i tech-

ników stworzone i w przemyśle wielkim znaczniejsze korzyści przynoszące materyały.

## IX.

Do napisania takich dzieł, jak moje dwie fizyki z r. 1866 i 1867, tudzież Wüllnera z r. 1870 i Reisa (pierwsze wydanie z r. 1872, siódme z r. 1890, a 8-me z r. 1893) tudzież Wüllnera z r. 1890 nie można się zabierać bez rozległej i gruntownej znajomości całego przedmiotu, t. j. wszystkich zjawisk fizykalnych w przyrodzie i bez posiadania ciągle pod ręką do użytku całego zbioru książek, które dotyczącą treść we wszystkich główniejszych kierunkach monograficznie opracowaną i gruntownie wyłożoną zawierają. Znawca przedmiotu łatwo odgadnie, jakich pism peryodycznych używał Reis do napisania swoich „Lehrbuchów“ równie jak i ja do ułożenia moich obu większych książek „Fizyki Umiejętnej i Zasad Fizyki, jeśli się im bliżej przypatrzy. Były niemi:

1. Pamiętniki i pisma rozmaitych Akademii Umiejętności *(Denkschriften und Sitzungsberichte der k. k. Ak. d. Wiss. in Wien, Berlin, Turyn, Paryż)*...

2. Pamiętniki i pisma różnych Towarzystw. Nauk ścisłych matem. i przyrodniczych jak: Saskiego, Tow. *Sächsische Gesellsch. d. Wissensch.* Bd. I—VI..., Pols. Tow. w Paryżu T. I.—XII. (nakładca hr. Działyński z Kurnika), Przyjaciół nauk w Poznaniu i Krakowie i t. d....

3. Roczniki, Archiwa, Żurnale, Magazyny, *et sic porro*... jakoto; *(Poggendorffs Annalen für Physik u. Chemie* T. 1—92; *Annales de Chemie et de Physique, Gilberta Annal...); Grunnert Archiv. f. M. u. Phys. Grena Journal..., Crelle Journal f. reine und angew. Mathematik* od r. 1826 do dziś dnia wychodzący; *Liouville Journal de mathem pure et appl.* od r. 1836...; *Kröniga Journal d. Physik* od r. 1851 do 1853...; ...Paryż. *Comptes rendus* T. 1—50 i dalej... *Joule w Philosoph. Magazin vol* XV. do XXIX., tudzież: *Phil. Transactions forthe year* 1850; *Fortschritte d. Physik*, wydawane w Berlinie w l. VI. dziesiątka lat w XIX. stuleciu..., *Gauss u. Weber Resultate d. magnetischen Beobachtungen.*., nareszcie

4. Pisma monograficzne i celniejsze dzieła różnych matematyków i fizyków, jakoto: Gaussa, Wilh. Webera, Neumanów, (w Królewcu) Poissona, Cauchy'ego, Catalana w oryginale,

i tłumaczeniach niemieckich przez Fechnera i Schnuzego...; Hirna, Joulego, Klauzyusza, Thomsona i bardzo wielu innych...

Te właściwie źródłowe dzieła zawierają cały prawdziwy skarb wiedzy fizykalnej i jej postępów w minionym wieku XIX. ery chrześciańskiej. Do książek szkolnych obszerniejszych i zwykłych podręczników dla uczącej się młodzieży dostało się z nich krótko mówiąc, tylko to, co było i jest do udzielania nauki tej wiedzy łatwiejsze i do pojęcia uczniów przystępniejsze...

Do mojej „Fizyki Umiejętnej“ mam tu jeszcze zrobić następujące dwie uwagi:

1. *Habent sua fata libelli*“... Tak było też i z tą książką moją. Według umowy z nakładcą S. Orgelbrandem, sądząc po objętości rękopisu, który mu przedłożyłem, miała ona co najwięcej 80 arkuszów druku obejmować; dla złego zaś obliczenia z jego strony — z powodu mylnego drzeworytów obliczenia, które w tekście umieszczone być miały — całą treść rękopisu nawet na 100 arkuszach nie można było pomieścić. Musiałem więc na wyłączenie pewnych paragrafów z niego przystać, (bo tego żądał odemnie kategorycznie) i kazać sobie wydzielone części zwrócić dla umieszczenia ich później w osobnym tomie dodatkowym, o którym mu już przy pierwszej umowie wspomniałem był nawiasowo. Paragrafy te później mu wymieniłem z wyraźną instrukcyą, jak ma drukarnia sobie przy tem postąpić. Ale tam źle sobie postąpiono za poradą miejscowego konsulenta drukarni — i trochę dowolnie, a przynajmniej nie tak punktualnie, jak poleciłem, i okrojono mylnie §§. 146 i 147 w tomie II. Fiz. Um., które powinne były koniecznie tam zostać w texcie nienaruszonym, gdyż to, co opuszczono, zawierało właśnie drugie główne prawo Klauzyusza t. j. prawo przemiany ciepła wyższej temperatury w ciepło temperatury niższej, uzupełniające prawo pierwsze „o równoważności ciepła i pracy“. Na tych bowiem dwóch prawach opiera się dopiero cała mechaniczna teorya ciepła.. (To drugie prawo jest trudniejsze do udowodnienia i należytego pojęcia nie tak łatwe, jak pierwsze). Z nie małą też zgrozą spostrzegłem tę grubą usterkę i nie czekając na druk tomu dodatkowego napisałem osobny krótki szkic o cieple, który umieściłem w moich Pismach pomniejszych z r. 1869 w artykule II. na str. 11 do 27 dla tymczasowej naprawy popełnionego błędu (obacz), gdyż nowe dzieło „Fizyka Umiejętna“ wraz z „Zasadami Fizyki“ znajdowało się już na półkach księgarskich... Tak to sam nakładca w sku-

tek zażądanego przez wrodzone sknerstwo skrócania rękopisu dla pomniejszenia liczby arkuszów druku, deprecyonował do pewnego stopnia swój własny towar, pomniejszając w oczach niechętnych mi też może przyjaciół realne znaczenie mego dzieła, którego cenę jednak po skończeniu druku nieco podnieść niezapomniał.

2. Książka ta, w 2 tomach wydana, była mimo to do r. 1869 zawsze pierwszą książką wykładową nietylko polską (po polsku napisaną) lecz w ogóle pierwszą książką wykładową europejską, w której autor odważył się przełamać szkolarne safandulstwo w nauce fizyki, wziąwszy rozbrat ze staremi poglądami i hypotezami, które od więcej niż 100 lat bałamuciły mózgi młodych adeptów tej ważnej i arcyciekawej nauki ...a podręcznik Zasady Fizyki tak samo pierwszym podręcznikiem, z którego młodzież nasza uczyła się tegoczesnej fizyki... „Lehrbuchy Wüllnera i Reisa widocznie się spóźniły i to dosyć znacznie...

Z tej ostatniej wszakże uwagi nie wynika jeszcze wcale, ażebym moją fizykę z r. 1886 i 1867 uważał za lepszą, obszerniejszą i gruntowniejszą, niż Fizyka Reisa od I. do VIII. wydania (r. 1872—1893). Nie mam do tego najmniejszej pretensyi, gdyż już od r. 1860. począwszy, nie byłem ani profesorem fizyki experymentalnej na Uniwersytecie, ani docentem dalej matematycznej, lecz tylko wyłącznie bibliotekarzem i dyrektorem biblioteki, reorganizującej się po spaleniu w r. 1848, zatem dla obowiązków urzędu musiałem cały swój czas poświęcić tej nowej i mozolnej pracy, która kilka lat trwała i nie pozwalała mi ulubionemu od najmłodszych lat przedmiotowi matematyki i fizyki poświęcać dalej drogi ten czas tak, jak to dawniej czyniłem. Dopiero w piątym roku po zmianie zawodu mogłem się zabrać znowu do pisania książek fizykalnych, które w Warszawie w drukarni Orgelbranda w l. 1866—1868 były drukowane, a Pisma pomniejsze razem zebrane wydrukowałem we Lwowie w r. 1869... Później po r. 1870 już tylko mniejsze artykuły do „Encyklop. powszechnej Orgelbranda dostarczać mogłem i zasilać peryodyczne pisma naukowe mojemi artykułami... W r. 1892 poszedłem na pensyę, mając lat 72 i wysłużywszy przeszło 44 lat w służbie państwowej; przyszedłem więc w posiadanie czasu dla swej nauki całkiem wolnego, ale *senectus est ipsa morbus* i to *morbus insanabilis*;... doznałem tej prawdy sam na sobie, lecz nie mam znowu powodu do narzekania tak bardzo na moją naturę, kiedy dziś w 82-im r.

żywota jestem jeszcze wstanie pisać ten artykulik i mam do druku wygotowane dzieło dwutomowe, które tylko czeka na nakładcę, aby pójść pod prasę; ale do tego u nas bardzo trudno w Galicyi, bo to dzieło nie powieść, ani książka treści literackiej lub lekko historycznej, lecz same tylko traktaty razem zebrane z nauk ścisłych, przyrodniczych, choć popularnie wyłożone, każdy z nich jednak do przeczytania z należytem zrozumieniem więcej czasu, uzdolnienia i zamiłowania do głębszych refleksyi wymaga, niż się go u przeciętnego naszego inteligentnika zazwyczaj napotyka...

W obszerniejsze także opisanie postępów w nauce Magnetyzmu i Elektryczności, (względnie Galwanizmu czyli Woltaizmu), Elektromagnetyzmu i reszty działów tej dziś bardzo ważnej i ciekawej nauki wdawać się nie mogę, raz, że nie tu na to miejsce, a potem dla braku czasu, który mi do ciągłego jeszcze przeglądania rękopisu wspomionego dzieła przed oddaniem go do druku jest potrzebny... Wspomnę więc tylko w krótkości, że w tym dziale fizykalnej nauki teraz uczeni angielscy rej wodzić zdają się, począwszy od Faradaja, a kończąc na Thomsonie, Maxwellu, i na liwerpulskim profesorze Lodge.

Pisma Dra Henryka Hertza, profesora w Bonie, które znachodzą się już dawno w bibliotece uniwersytetu lwowskiego, nie koniecznie to zdanie w całości potwierdzają. Z nich wie się, że Elektryczność przez drgania eteru powstaje i falami się rozchodzi, jak światło i ciepło w przestrzeni[1]) z wielką chyżością (w drutach miedzianych miernie długich z chyżością 63.000 mil geogr. w 1" czasu), i według tych samych praw odbija się, łamie i polaryzuje, co światło białe... t. j. promienie elektr. są identyczne z promieniami, które drażnią siatkówkę naszego oka i w ogóle istot, mających oczy takie, jak nasze. O tem odkryciu młodego profesora Hertza zawiadomił stary prof, Dr. Hermann

[1]) Wiedział o tem już dawniej Wilhelm Weber, który z Karolem Fryd. Gaussem, sławnym matematykiem, astronomem i fizykiem, autorem dziełka: *Intensitas vis magneticae terrestris ad mensuram absolutam reavocatae* około nauki Magnetyzmu ziemskiego pracował i wielkie zasługi na polu Elektr. Galwanizmu i Elektromagnetyzmu położył... W r. 1857 zakupiłem był dla gabinetu fizyk. na Uniw. lwow. dwa aparaty: Galvanometr Webera i Gaussa, tudzież mały Magnetometr do mierzenia siły magn. ziemi we Lwowie za 300 talarów (które obydwa są dziś jeszcze w tym gabinecie) i robiłem próby i obliczenia, które znachodzą w książeczce, wydanej przezemnie w r. 1858 (obacz katalog w Bibliotece uniwersyteckiej pod lit. *U*).

DYREKCYA KASY OSZ... MIASTA ...EGO S...

Helmholz w grudniu 1888 r. król. Akademię Umiejętności w Berlinie i opisał przyrządy, które do tego świetnego odkrycia doprowadziły.

Maxwell ogłosił swoją elektromagnetyczną teoryę światła w r. 1865, która przed końcem r. 1888 w całości się sprawdziła, skoro Hertz za istotny podkład Elektryczności *(Wesen d. Electricität)* elektryczne drgania w eterze światowym uznał i to twierdzenie swoje należycie udowodnił (1886—1892). Dziedziny więc Optyki należą teraz do nauki o Elektryczności. która odtąd zapanowała nad wszystkiemi działami Fizyki, mającemi eter wszechświatowy za swoją podstawę. Nie ma więc już dziś ani magnetycznych, ani elektrycznych płynów nieważkich w świecie realnym i (spodziewam się) nie będzie ich już nadal w szkolnych podręcznikach, jak nie było ich u mnie już od r. 1850 do tłumaczenia zjawisk w prelekcyach lub w książkach, które odtąd popisałem...

Po odkryciu drgań elektrycznych, zrobionem jeszcze w r. 1847 na drodze analogii przez Helmholza (a nie przez W. Thomsona, jak mniema Collej w Annalach Wiedemanna), a przez Feddersena wprost experymentami udowodnionem, i użyciu ich przez Wilhelma Webera do tłumaczenia zjawisk elektromagnetycznych w swoich *Elektromagnetische Massbestimmungen* (1860) jesteśmy w posiadaniu prawdziwej istotnej *(wirklichen)* Teoryi undulacyjnej światła, która już nie jest na samej tylko analogii z głosem zbudowana, lecz opiera się na przypuszczeniu eteru, cały świat wielki (Wszechświat) zapełniającego.

## X.

O postępach w nauce o Elektryczności i Magnetyzmie we Francyi, Niemczech i w Anglii dają świadectwo następujące drukiem ogłoszone dzieła: *De la Rive*, *Traite d' Electricite*, tudzież dawniejsze pisma Poissona, począwszy od r. 1811, dalej dzieło Riessa, *Reibungs-Electricität* z r. 1873, Beera *Einleitung in die Electrostatik*, Wiedemanna *Lehre v. d. Electricität*, Faradaja *Experimental Researches in Electricity.* (w niemieckiem tłumaczeniu)... Poszły one w Anglii od lat ostatnich 30-tu raźnym krokiem naprzód. P. Thomson i W. Tait napisali o Elektryczności książkę, którą pod tytułem: *Handbuch der theoretischen Physik* dr. H. Helmholtz i G. Wertheim w r. 1871 na język nie-

miecki przełożyli... Maxwell napisał w dwóch tomach dzieło o Elektryczności, które dr. Weinstein przetłumaczył i p. t. *Lehrbuch der Electricität u. d. Magnetismus* w r. 1883 wydał. Niemcy do tego czasu ignorowali całkiem postępy fizyki w angielskiej literaturze i dopiero od czasu Maxwella po uznaniu jego zasług na tem polu t. z. szkoła angielska ich uwagę na siebie ściągnęła. Maxwell, biegły experymentator i matematyk, powiązawszy Faradaja nie metodyczne poszukiwania i spostrzeżenia, tudzież mniej naukowe jego argumentacye, z dawniejszemi hypotezami Greena, Stokesa i Thomsona i wyrzuciwszy z tego wszystko, co ze sobą sprzeczne i do zebrania w jedną całość nie przydatne, ułożył całą resztę wiadomości o polarnych agencyach w jeden naukowy system i tym sposobem utworzył w Anglii nową naukę o Elektryczności, w której główną rolę odgrywa prastary Eter wszechświatowy Heraklita z Ephezu (rozumie się), nie w swej dawnej formie staroindyjskiej, ani w Deskartoskiej sukience pomniejszych wirów światowych, które w czasach tworzenia się Kosmosu obok wielkich wirów w chaosie materyi ważkiej, rozsianej w nieskończonej przestrzeni (Twasta acarana), w grę wchodziły, czyli ściśle mówiąc, zdaniem Kartezyusza w całą tę grę wchodzić miały, lecz w zmienionem przystrojeniu europejskiem, ciągnącym się odczasów Huygensoskich i Euleroskich (1690—1746 i 1760)przez więcej jak 100 lat aż do końca XIX. stulecia)...

Eter jest więc dziś podstawą do tłumaczenia zjawisk światła, ciepła i t. z. polarnych działaczów t. j. Elektryczności we wszystkich poszczególnych jej oddziałach. Prawie wszystkie z nich bez dalszych subhypotez i sztucznych nakręcań w samej konstytucyi materyi ważkiej i ruchach eteru dostateczne uzasadnienie swoje znachodzą wskutek przyrodzonych jego własności, poznanych z praw, które niemi (temi zjawiskami) rządzą.

Do odkryć fizykalnych, w całem XIX. stuleciu bardzo raźnie naprzód postępujących staraniem i wspólną pracą wielu znanych mistrzów matematyków i badaczów przyrody, przyczepiła się w ostatnich kwinkweniach do głów młodszych adeptów nauki dawna chętka wciągnięcia także grawitacyi Newtonowskiej do zakresu teoryi eteru. ażeby z tej jednej obszernej hypotezy. według tych samych metod, przy dzisiejszem badaniu Wszechświata używanych, módz potem już wszystko sobie jednakowo tłumaczyć... Tego wszakże jeszcze dotychczas (ile wiem) nie osiągnięto. Prof. dr. Hertz, który stał może najbliżej tego wytkniętego sobie (?) celu, umarł niestety dnia 1. stycznia 1894 r. w Bonnie w bardzo

młodym wieku, a nikt inny, mający do dyspozycyi własny gabinet fizykalny dla robienia prób experymentalnych (ile mi też wiadomo) nie zabrał się dotychczas z takim sukcesem, jak on, choć z pominięciem wspomnionej zakusy do podobnej pracy całkowitego zastąpienia „Imponderabiliów“ Eterem Wszechświatowym, o czem już Euler i Kant dawno myśleli...

Najważniejszem odkryciem w dziedzinie Elektryczności i Magnetyzmu pod koniec ubiegłego stulecia — nietylko w kierunku praktycznym, ale także pod względem na teoretyczne jego znaczenie — jest wynalazek telegrafowania elektrycznego bez drutów, który okazał się być faktem niezaprzeczonym i wielokrotnie dokonanym. Należyte wytłumaczenie tego zjawiska przyczyni się też nie mało do teoretycznego zrozumienia przyczyny jego, a więc także do lepszego poznania wzajemnego związku pomiędzy atomami eteru a molekułami materyi ważkiej w ciałach naelektryzowanych.

Filozoficzne spekulacye Leonarda Eulera (Szwajcara ur. 1707 † 1783) i Em. Kanta (Niemca ur. 1724 † 1804), które miały już dawno na celu sprowadzenie Elektryczności i Magnetyzmu, a nawet Grawitacyi Newtona do jednej i tej samej powszechnej przyczyny ostatecznej, do ruchów wszechświatowego Eteru, także pomiędzy molekułami wszelakiej materyi ważkiej zawartego, a więc do utworzenia jednej ogólnej teoryi samoistnej tych wszystkich zjawisk w Naturze, poszły po ich śmierci w zapomnienie, zwłaszcza, gdy Fizyka od czasów po Newtonoskich zmieniła metodę w swych poszukiwaniach i pracach, stawiąc się prawie wyłącznie na podstawie matematyki obok experymentów, a odwróciwszy się całkiem od filozoficznego kierunku w dociekaniach rzeczy przyrodzonych i potem nastała pora badania natury experymentalno matematyczna, czyli indukcyjno dedukcyjna, wskutek ktorego odkryto w połowie XIX. stulecia prawo „przemiany sił w przyrodzie“ i zdobyto w najnowszych czasach realną podstawę do uzasadnienia nauki o jedności sił natury w całym Wszechświecie (Kosmosie)... Każdy z tych dwóch znakomitych uczonych i mistrzów w myśleniu był w swoim zawodzie wielkim myślicielem: Euler w matematyce i matematycznej analizie, zastosowanej do fizyki, Kant we filozofii, szczególnie w najgłębszych dedukcyach logicznych, lecz pierwszemu brakowało dzisiejszej metody i rutyny w experymentowaniu, a drugiemu obydwóch tych postulatów, potrzebnych do zajęcia pierwszorzędnego stanowiska pomiędzy fizykami, chociażby dawniejszej

ery, mianowicie nie umiał on wyższej analizy matematyczno-geometrycznej *(calc. different. et integr., calc. variationum et geom. analiticae)* i nie znał experymentalnej metody w praktycznem badaniu przyrody.

Nad Eulera odwagą szukania już w tenczas (w latach 1760 — 1774) wspólnego źródła wszystkich sił w przyrodzie nietylko ze zdumieniem zastanawiać się wypada, lecz ją z pełną czołobitnością admirować należy. Kant tu dopiero drugie miejsce zajmuje, podobnie też i Kosmogonia jego z kosmogonią francuzkiego mistrza Laplasa ani porównać się nie da. Dziś, jak to już na innem miejscu raz powiedziałem, jeszcze trudniej jest, być takim uczonym uniwersalnym, jak Albertus Wielki w swoim czasie lub Aristoteles w starożytności i w ciemnych wiekach średnich... W naszych czasach nie łatwo już spodkać uczonego, któryby całą wiedzę gruntownie posiadał w kilku naukach nawet powinowatych, lub choć trochę do siebie należących, jak n. p. cała niższa i wyższa matematyka wraz z analizą geometryczną i rachunkiem przemienności *(calculus Variationum)* do całej fizyki i astronomii, albo matematyka do chemii, fizyologii i psychologii...

Na zakończenie tego artykułu wypada mi jeszcze w krótkości zrobić wzmiankę o niemałem przyczynieniu się do tych postępów astronomii w XVIII. i XIX. stuleciu kilkunastu utalentowanych niewiast, które obok matematyki pielęgnowały także astronomię lub fizykę i dziś te nauki także z powodzeniem uprawiają. Kładę tu ich nazwiska z pełnem uznaniem, na jakie sobie po wieczne czasy zasłużyły..., zestawione w chronologicznym porządku swego urodzenia, począwszy od pierwszych lat XVIII. stulecia mianowicie:

1. Markiza du Chatelet ur. 1706; 2. Marya Agnesi ur. 1718; 3. Hortenzya Lapaute ur. 1723; 4. Karolina Herschel ur. 1750; 5. Mary Somerville ur. 1780; 6. Mss. Mary Mitschel ur. 1818; 7. Agnes Mary Clarke...; 8. Dr. math. Mdsell. Dorota Klumpke...; 9. Zofia Kowalewska (Sonia, Zonia) ur. 1850, 15/3 w Moskwie, córka ross. jenerała inżynieryi Krukowskiego, wnuczka astronoma i matematyka Frydr. Schuberta. Umarła 10/2 1891 r.... 10. W dawniejszych czasach pośród studentów padewskiego Uniwersytetu w XVII. stuleciu była także jako stała słuchaczka imatrykulowaną słynna z piękności Lukrecya Cornaro-Biskopia, niewiasta niezwykłego uzdolnienia naukowego. Oprócz włoskiego posiadała ona do-

kładną znajomość 6 innych języków, a w nauce astronomii, fizyki i matematyki biegłością swoją zadziwiała współczesnych uczonych. Pomnik jej z białego marmuru zdobi wejście do tej świątyni nauk; w napisie zaś na nim stoi objaśnienie, że tu ona uzyskała stopień doktora filozofii... Była też gorącą wielbicielką króla Jana III. i po zwycięzkiej odsieczy Wiednia na część bohatera znany poemat tryumfalny napisała.

Pani Chatelet tłumaczyła sławne dzieło Newtona „Principia“ na język francus. utrzymywała naukową korespondencyę z wszystkimi prawie astronomami Francyi i była zawsze skora do wspierania badań umiejętnych. Wolter nazywał ją „wielkim astronomem mężczyzną, Ampere zaś „genialnym geometrą“. Zmarła wcześnie w r. 1749 w Luneville.

Marya Agnesi w 30-tym roku żywota wydała słynne dzieło: „Instituzioni analitiche“, za które papież przysłał jej złoty medał. Uczeni przyjeżdżali do Francyi, ażeby ten istny cud świata zobaczyć i brać udział w bronieniu onych 191 tez filozoficznych (twierdzeń przez nią do dysputy wyznaczonych), które ona sama broniła. Żyła lat 81 i umarła jako zakonnica. Jeszcze większy od niej talent matematyczny, prawdziwie genialny, posiadała pani Lepaute, którą tylko jeszcze ze sławną prof. Uniw. w Sztokholmie p. Sonią (Zofią) Kowalewską na równi stawić można. Według twierdzenia franc. astronoma Clairauta bez pomocy p. Lepaute nie byłby on ukończył obliczenia drogi oczekiwanego w grudniu 1758 r. komety Halleja, przed jego pojawieniem się, chociaż we dwójkę od rana do wieczora przez 18 miesięcy najpilniej i najgorliwiej pracowali bez wytchnienia, z wyjątkiem 20 minut, na spożycie skromnego obiadu potrzebnych...

Karolina Herschel, córka hanowerskiego muzyka, a siostra astronoma Wilhelma H., który przypadkowym odkryciem planety Urana w r. 1781 zdobył sobie od razu sławę światową i został nadwornym astronomem ang. króla Jerzego z roczną pensyą około 20.000 marek (według dzisiejszej wartości grosza), przesiedliła się do niego, gdy mieszkał w Bath i był tam organistą, trudniącym się oprócz tego szlifowaniem zwierciadeł. Król darował mu w miejscowości Slough realność na wzniesienie tam strażnicy astronomicznej, którą własnym kosztem zbudować kazał i należycie urządzoną oddał mu do dyspozycyi. Astronom mógł się teraz poświęcać wyłącznie astronomicznym obserwacyom, a siostra Karolina pomagać mu przy tej pracy ochoczo według upodobania. Od r. 1782 22/8 rozpoczęła ona oddanym sobie do użytku

teleskopem szukać po niebie za kometami, lecz do końca r. 1783 nie znalazła ani jednego komety, tylko 14 mgławic. Dopiero w r. 1785 (po przybyłej ciężkiej chorobie skaleczenia się) odkryła pierwszego kometę a do r. 1797 dalszych ośm. Z tych 9-ciu przyznano jej prawo pierwszeństwa do 5-ciu, gdyż 4 były już dawniej znane. Obserwując sama niebo bardzo pilnie, dopomagała także bratu w jego czynnościach i była pierwszą kobietą w Anglii. która od Towarzystwa Royal Astron. Society otrzymała złoty medal zasługi. Także swego siostrzeńca Johna Herschla pomogła wyforytować na późniejszego astronoma. Po śmierci brata Wilhelma H powróciła w r. 1822 z małą dożywotnią pensyjką do Hanoweru, gdzie (mając lat 98) umarła w d. 9. stycznia 1848 roku...

Mary Somerville, z domu Mary Fairfax, urodz. w Szkocyi (w Jedburghu) była żoną londyjskiego lekarza Somervilla. Wzorowe jej pisma z r. 1832 i 1834 pod tytułem „Mechanika nieba“ i „O związku ze sobą fizykalnych umiejętności“ były bardzo poczytne. Kloeden przetłumaczył ostatnie dzieło na język niemiecki. Zmarła w Neapolu w r. 1872. We 2 lata po jej śmierci pojawiły się jej pisma pod tytułem: „Osobiste wspomnienia *(Errinnerungen)*...

Miss Marya Mittschell, Amerykanka, ur. 18 w Nantucket, odkryła w r. 1847 kometę, którego bieg sama obliczyła, za co złoty medal z Danii otrzymała. Oprócz obserwacyi Jowisza i Saturna, po mistrzowsku wykonanych, wsławiła się tem, że pierwsza rozpoczęła długi szereg kobiecych profesorów astronomii i dyrektorów strażnic astronomicznych w Ameryce. W miejscowości Poughkeepi pod Nowym Yorkiem otworzono uniwersytet kobiecy, na którym wyłącznie tylko niewiasty zajmują katedry jako profesorki, a na ławkach szkolnych siedzą same tylko słuchaczki. Nazwa tego uniwersytetu: „Vassar College“. W r. 1865 otwarto tam także „bardzo dobrze urządzoną strażnicę astronomiczną, której pierwszą dyrektorką właśnie pani Mittschell została, która tam do r. 1883 funkcyonowała, a potem usunęła się ze względów na zdrowie do miejscowości Linn, gdzie w r. 1889 d. 28/6 umarła...

Agnes Mary Clarke, Angielka, pochodząca z Irlandyi, najznakomitsza z pomiędzy angielskich pisarzy o Astronomii. Z licznych jej pism najwięcej rozgłosu doznały następujące książki: „Historya astronomii z XIX. stulecia“; „System nieba gwiaździstego“; „Herszelle i nowoczesna Astronomia“; nareszcie pisma: „O Wenusie i astrospektralnej Analizie“...

Najmłodszą ze wszystkich astronomek w ostatnich dwóch deceniach zeszłego stulecia jest panna Dorota dr. Klumpke. Urodzona w San Francisco przybyła już w młodym wieku do Getyngi na naukę, potem przeniosła się do Losanny, a nareszcie osiadła w Paryżu, gdzie odbywała dalsze studya i dyplom doktorski otrzymała. Już przedtem jako elewka wstąpiła do astronomicznego Obserwatoryum i tam w r. 1887 podczas kongresu odbywającego się w sprawie układania kart sklepienia niebieskiego (*Himmelskarten-Congress*) obce dukumenta tłumaczyła na język francuzki i prócz tej czynności pilnie planety i komety obserwowała. Gdy w r. 1893 za dissertacyę swoją o pierścieniach Saturna dyplom Dr. Matematyki otrzymała, Prezydent Sorbony w najpochlebniejszy sposób ją wyszczególnił. Dziś jest ona Dyrektorką bióra, w którym się płyty do kart astrofotograficznych wymierza i do użytku przysposabia.

Pani Zofia Kowalewska zaczęła na seryo w 15 roku życia oddawać się matematyce, której uczył ją stryj, bo ojciec nauce tej był zrazu przeciwnym. Po śmierci matki opuściła dom rodzicielski, udając się na dalszą naukę do Heidelbergu, a potem do Berlina, gdzie uczęszczała pilnie na wykłady Kirchhofa, Königsbergera, Helmholza i Waierstrassa, (u tego ostatniego przez 4 lata). Doktorat z filozofii złożyła w r. 1874, mając lat 24 i otrzymała dyplom doktorski na wszechnicy w Getyndze. Za mąż wyszła za paleontologa Waldemara Kowalewskiego, urodzonego w r. 1843, który odumarł ją w r. 1883 w Moskwie, mając dopiero lat 40. Po śmierci męża udała się do Sztokholmu i habilitowała tam na wszechnicy w r. 1884 na docenta matematyki. W tym samym też roku została profesorem Analizy matematycznej zamianowaną. W siedm lat później (1891 r. 10/2) zachorowała na pleurę (zapalenie opłucnej) i umarła w Sztokholmie. Zostawiła po sobie wiele doborowych rozpraw matematycznych, które w różnych pierwszorzędnych pismach peryodycznych umieszczała. (Referat biograficzny o niej pochodzi od pani profesorowej de Gylden... Obacz: Pogg. *Biogr. liter. Handwörterbuch der Geschichte d. exact. Wissensch... Ergenzb. II.* wydany w Lipsku w r. 1897. W tem dziele znachodzą się także krótkie biografie wspomnianych ośmiu astronomek [1]). W Paryżu w ostatnim czasie A. Rebiere wydał obszerne

[1]) Różni się on bardzo od autobiografii w czasopiśmie „*Deutsche Rundschau*“ w b. r. ogłoszonej, a z pisma „*Russkaja Starina*“ wyjętej.

dziełko pod tytułem: „*Les Femmes dans la Science*“, z portretami i autogramami i jest książką bardzo ciekawą. Nareszcie dyrektor prywatnego obserwatoryum „Manora“ w Lussin piccolo, Leo Brenner, w dziele swoim „*Spaziergänge durch das Himmelszelt*“ cały jeden Rozdział poświęcił temu przedmiotowi; (Ob. „*Astronomische Rundschau*“ tej Manora-Strażnicy. T. III. 1901 zeszyt 21 i 22).

W Ameryce, szczególnie północnej, na strażnicach astronomicznych są czynne przy różnych obserwacyach, tudzież obsługach astrofotograficznych i spektroskopowych całe oddziały niewiast, które swe obowiązki pełnią ze znajomością rzeczy i uznania godną punktualnością pod kierunkiem i kontrolą takich dyrektorek, jak Ms. Fleming i Mis. Wels, o których już wyżej była wzmianka. Nowe Obserwatorya astronomiczne powstają tam nawet przy gimnazyach. Niedawno gimnazyum panieńskie Wellesley College otrzymało takie Obserwatoryum, nazwane „Whitin Obserwatory“, które ufundowała zamożna Amerykanka tego samego nazwiska Miss. Whitin i zaopatrzyć kazała w najnowsze wewnętrzne urządzenia, zastosowane do ulepszeń, nauką wskazanych i sztuką nowoczesnej techniki umożliwionych. Głównem urządzeniem astronomicz. na tej strażnicy jest 12 calowy tylko refraktor Clarka... Dyrektorką astronomicznej strażnicy: „Vassar College Obserwatory“ w Ameryce przy tamecznej Wszechnicy kobiecej jest obecnie astronomka Miss. Mary Whitnej a jej asystentką w r. 1900 była Ms. Caroline Furness...

Oświeceńsze klasy ludności w Ameryce interesują się Astronomią więcej, niż gdzie indziej, a dbałość bogaczów amerykańskich o zwrost tej nauki jest niezwykła. Wielkiemi jej protektorkami okazały się po dziś dzień szczególnie dwie bogate panie: *a)* milionerka Miss. Catherine Bruce, (ur. 1816 †13/3 1900), która w ciągu swego długiego życia na cele astronomiczne w Europie i Ameryce wyłożyła w darze sumę 700.000 dolarów, (czy może tylko tyle marek (?), znając powszechnie częste i liczne humbugi amerykańskie) — najwięcej z tej kwoty (210.000 dol.) w Ameryce na potrzeby Harwarda Obserwatory, a w Europie 42.000 marek na strażnicę heidelberską, mianowicie na astrofizykalne Obserwatoryum, gdzie wielki refraktor fotograficzny jej kosztem został ustawiony. *b)* Miliarderka Mss. Phoebe Hearst (Hirst), która (jak wyżej podałem) 250 milionów dolarów t. j. cały milliard (tysiąc milionów) franków darować miała na cele naukowe i największą część tego majątku przeznaczyła na Uniwersytet

i na astronomiczne Harward Obserwatory w Cambridge do rąk Dyrektora, astronoma E. C. Pickeringa, oddawszy z tego znaczną kwotę na zakładanie potrzebnych strażnic filialnych w górach peruańskich i zaopatrywanie ich astrofotograficznemi aparatami, głównie dla szukania małych planetoidów po niebie i drobnych księżyców przy Jowiszu, Saturnie i Uranie, tudzież dla sporządzenia astrofotogramów do kompletnego katalogu gwiaździstego nieba, którego wydanie kongres astronomów w Paryżu w r. 1887 odbyty, zadecydował... O tych dwóch dobrodziejkach Astronomii wspominam tu jeszcze dlatego, że o tak szczodrych mecenasach nauki częściej to czynić warto i ponoś nie będzie nigdy tego za wiele, nawet w czasach po nas najpóźniejszych...

Bez tych ogromnych darów Pani Katarzyny Bruce i Pani Phoebe Hearst, tudzież wielkich i licznych datków i składek bogaczów amerykańskich, nareszcie większych i mniejszych ofiar innych także mecenasów świata na obserwatorya astronomiczne i różne laboratorya na nich, wiele strażnic Starego i Nowego Świata nie byłoby mogło rozwiązać tych trudnych zadań, makrokosmosu dotyczących, które one przy takiej pomocy pieniężnej w ostatnich decenjach XIX. stulecia szczęśliwie rozwiązały, lub do ich rozwiązania bardzo się przyczyniły.

W maju 1901 r.

Dr. Wojciech Urbański.

---

# UDZIAŁ ROSSYI
# W POKOJU KARŁOWICKIM

PRZEZ

**WŁODZIMIERZA LENKIEWICZA.**

[1]) Do końca XVII. wieku Rossya była prawie nieznana w Europie zachodniej i nie brała udziału w wielkich sprawach polityki europejskiej. Prócz kilkakrotnych usiłowań cesarzy niemieckich do pozyskania carów północy w sporach z Polską. prócz dążeń Stolicy Apostolskiej do wciągnięcia Rossyi do zamierzonych krucyat przeciw Niewiernym — ani wielcy książęta moskiewscy nie pragnęli oddziaływać na bieg spraw europejskich, ani też władcy europejscy nie odnosili się z żądaniem pomocy do dalekiego, barbarzyńskiego jeszcze państwa i jego samodzierzcy „pana wszech Russów“ [2]). Rossya zdobywa sobie miejsce w rządzie mocarstw europejskich nagle, w przeciągu lat kilkudziesięciu. Wpływ jej rodzi się niespodzianie, a wzmaga się tak szybko, że już w pierwszej połowie XVII. wieku państwa europejskie liczyć muszą się z jej stanowiskiem, popartem aliansami i potęgą militarną.

Stosunki, które panowały w Europie środkowej, dopomogły Rossyi do zyskania tego wpływu: upadek wewnętrzny Polski, ja-

---

[1]) Niniejszą rozprawę czytałem na seminaryum historyi austryackiej J. W. Pana prof. dr. L. Finkla, któremu za gorące zajmowanie się mą pracą, rady i uwagi najserdeczniejsze składam podziękowanie.

[2]) Obszerniej uzasadnia te poglądy Brückner A. w dziele: Geschichte Russlands bis zum Ende des XVII. Jahrhunderts Gotha 1896 I. str. 73—98.

koteż rywalizacya Prus i Austryi w Niemczech. Nadto do wzrostu Rossyi przyczyniła się niemało świadomość wielkiej potęgi, którą Piotr Wielki umiał tchnąć w „kolosa północy“, a także myśl przewodnia polityki rossyjskiej, która odtąd zdążała z całą wytrwałością i konsekwencyą do rozwiązania t. zw. kwestyi wschodniej, na swoją korzyść i do zapanowania nad upadającą Polską. Od Piotra W. dopiero zaczyna się historya Rossyi, jako państwa europejskiego, a już Katarzyna II. zbiera obfite plony z zasiewu polityki Piotrowej.

Udział Rossyi w sprawach europejskich zaznaczył się wyraźnie pierwszy raz w t. zw. Lidze Swiętej i w wojnie przeciw Turkom przy końcu XVII. wieku; po raz pierwszy bierze wtedy Rossya udział w układach mocarstw europejskich, które zakończyły tę wojnę. Jest to zatem pierwsze jej wystąpienie na wielkiej arenie politycznej Europy. Odtąd już przez cały wiek XVII., w najważniejszych negocyacyach, naprzód takich, które tyczyły się spraw Wschodu, a później i w kwestyach zachodnio-europejskich Rossya rzuca na szalę wypadków także swoje słowo, lub swoją potęgę militarną.

Wobec więc wielkiego znaczenia, jakie ma w dziejach pierwsze to wystąpienie Rossyi, warto zapytać, co za przyczyny spowodowały przypuszczenie Rossyi do Ligi Świętej, jaki był jej udział w ówczesnych wyprawach wojennych przeciw Turcyi i jak zachowała się jej dyplomacya w układach karłowickich?

Na te pytania pragniemy dać wyczerpującą, ile być może, odpowiedź, opierając się nietylko na źródłach ogłoszonych w „Pamiatnikach diplomaticzeskich snoszenij drewnej Rossii z derżawamy inostrannymi“, ale także na materyałach archiwalnych, które przechowuje cesarskie nadworne archiwum w Wiedniu.

## I.

Liga Święta. — Postanowienie zaproszenia do niej Rossyi. — Poselstwo cesarza w Moskwie. — Rossya nie przystępuje do Ligi. — Pokój Grzymultowskiego. — Dwie wyprawy Golicyna na Krym. — Car Piotr obejmuje rządy. — Zdobycie Azowa. — Dyplomatyczne stosunki Rossyi

z Francyą, Hiszpanią, Polską i Austryą. — Pierwsze przedłożenia pokojowe i udział w nich Rossyi. — Rossya przystępuje do Ligi Świętej. — Przyczyny pokojowego usposobienia.

Po odsieczy wiedeńskiej, w której potęga Osmanów złamaną została przez wojska chrześcijańskie, rozległ się w całej Europie okrzyk radości i podziwu. Zdawało się, że nadeszła chwila ostatecznego wypędzenia Turków z Europy. Zawarte jeszcze przed odsieczą (d. 31. marca 1683 r.) przymierze cesarza Leopolda z królem Polski Janem III., pod protektoratem papieża Innocentego IX., miało być rozszerzone do znaczenia wielkiej, Świętej Ligi przeciw Turkom. W tym celu miano przedewszystkiem wciągnąć do przymierza Wenecyę, która jakkolwiek dość słaba w tym czasie, była jednak jedynem państwem mogącem prowadzić na morzu wojnę z Turcyą z pomyślnym wynikiem. Wenecya nie była przeciwną temu, ponieważ stosunki jej z W. Portą od dawna pozostawiały wiele do życzenia. Po wojnie wenecko-tureckiej, w której dumna Signoria straciła Kandyę, Turcy nie wydali wszystkich jeńców weneckich, do czego zobowiązali się pokojem z r. 1670, a nadto niweczyli ciągle przywileje handlowe od wieków przyznane Wenecyi na Wschodzie, a potwierdzone świeżo w ostatnim traktacie [1]). Chętnie więc przyjęto w Wenecyi posła cesarskiego hr. Thurna, który przybył w sprawie wspólnej akcyi przeciw Turkom, a już dnia 5. marca 1684 podpisano akt Ligi Świętej, którą do dwóch miesięcy mieli zaprzysiądz przed papieżem kardynałowie: Pius za cesarza, Barberino za króla polskiego i Ottobono za Rzeczpospolitą wenecką. Akt Ligi Świętej wiązał sprzymierzonych traktatem zaczepno-odpornym, zawartym na cały czas trwania wojny przeciw Niewiernym. Wedle brzmienia 15 jego artykułów, nie było wolno, w czasie trwania przymierza, żadnemu z sprzymierzonych państw t. j., ani cesarzowi, który wchodzi do niego jako król czeski, węgierski i arcyksiążę austryacki, ani królowi polskiemu z Koroną i Wielkiem Księstwem Litewskiem, ani Rzeczypospolitej Weneckiej z wszystkiemi jej posiadłościami, zawierać oddzielnie pokoju z nieprzyjacielem, chociażby Turcya podawała najkorzystniejsze warunki. Cesarz i król polski obowiązani są działać na lądzie potężnemi wojskami, Rzeczpospolita Wenecka liczną flotą na morzu, tudzież wojskiem w Dalmacyi. Przymierze to kończy się dopiero

[1]) Zinkeisen, Geschichte des osmanischen Reiches in Europa T. IV. str. 941—1003.

z chwilą ukończenia wojny z Turcyą, ale nie może być rozciągniętem na żadną inną wojnę. Członkowie Ligi mają się wzajemnie wspierać, w razie, gdyby który z nich był zagrożony przeważną siłą nieprzyjaciół. Nad planami wojny będą sprzymierzeni co roku wspólnie naradzać się. Każdemu z nich przypadnie z poczynionych zdobyczy w udziale to, co wpierw do niego należało [1]). Jeden z Artykułów (13), który nas tutaj najwięcej obchodzi, ponieważ tyczył się wciągnięcia Rossyi do Ligi, brzmiał dosłownie: „Gdy zaś do tego przymierza mają być książęta chrześciańscy nietylko zapraszani, lecz nawet, jeśli się sami zgłoszą, przypuszczani, przeto każde z państw sprzymierzonych zobowiązuje się wedle możności zapraszać do niego przyjaznych i sprzymierzonych książąt, tak jednak, aby każda strona zgodziła się ilekroć któryś z książąt będzie miał być przypuszczonym; w szczególności zaś sprzymierzone strony dołożą wszelkich starań, aby zaprosić i przyciągnąć do tego przymierza najjaśniejszych carów Rossyi [2]).

Dlaczego tak się starano o Rossyę, skąd ów artykuł pojawił się w Lidze Swiętej — na to nie posiadamy niestety dokłanych wiadomości z aktów, ale stosunki ówczesne tłómaczą nam to w dostatecznej mierze.

Rossya sama wystąpiła ze swej biernej roli, kiedy potęga Osmańska raz jeszcze, za wezyratu obu Köprilich, święciła niezwykłe tryumfy w Węgrzech i na Kandyi, a wreszcie w Polsce, gdzie po wzięciu Kamieńca (r. 1672) Podole padło w ręce tureckie. Wtedy car moskiewski Alexy, przerażony postępami wojsk sułtańskich i butą Tatarów, ponawiających raz po raz swe inkursye, wysyła posłów do wielu państw europejskich, przedstawia im niebezpieczeństwa, które zawisły nad Europą wschodnią i za-

---

[1]) Relacye Numyuszów Apostolskich i innych osób o Polsce, Poznań, Berlin, 1864, T. II., str. 435.

[2]) „Cum autem ad hancce societatem non solum invitandi sunt Christiani Principes, sed et ultro se offerentes admittendi, ideo utraque pars se obligat pro posse, invitaturam ad eam, amicos et faederatos Principes, ita tamen, ut utriusque Partis consonus accedat assensus, quotiens aliquis Principum admittendus erit; nominatim utraque Pars Serenissimos Moschorum Czaros omni cura ad hanc societatem invitabunt, flectenque". Załuski: Epistolae historico familiares, tom I. pars II., str. 807.

klina je, by nie dozwoliły, by Polska stała się łupem Turcyi [1]). Ta dyplomatyczna misya Rossyi nie przyniosła wprawdzie żadnych rezultatów, bo też ten debiut jej nie mógł mieć powodzenia, w każdym razie jednak występuje ona teraz po raz pierwszy na szerszej arenie politycznej z inicyatywą walki przeciw Niewiernym.

W 10 lat później, w chwili zawierania Ligi Swiętej, te same mocarstwa, do których teraz zwracała się Rossya bezskutecznie, rachują na jej pomoc przeciw Turkom. Oblężenie Wiednia przez Turków 1683 r. była to chwila, nadająca się jeszcze bardziej, aniżeli zdobycie Kamieńca 1672 r. do tego, by spowodować zawarcie aliansów między Rossyą a mocarstwami Europy. To też członkowie Ligi Swiętej postanawiają wciągnąć do niej przedewszystkiem carów Wszechrossyi. W ślad za tem postanowieniem wyseła cesarz Leopold wkrótce po zawarciu Ligi swoich pełnomocnych posłów, barona Krzysztofa Zierowskiego i barona Sebastyana Blumberga do Rossyi. W pierwszej połowie maja 1684 roku przybyli posłowie cesarscy do Moskwy i zaraz rozpoczęły się narady nad sojuszem. W naradach tych brali udział ze strony cesarza wyżej wspomnieni posłowie, ze strony zaś cara kniaź Wasyl Golicyn, Piotr Szeremetiew, Michał Romodanowski i Emilian Ukraincew. Na zaproszenie posłów cesarskich do Ligi Świętej, odpowiedział Golicyn, pierwszy minister państwowy i kochanek carewny Zofii, siostry małoletnich carów Iwana i Piotra Alexiewiczów, że Rossya przystąpiłaby najchętniej do Ligi. jednakowoż trudno jej to uczynić, ponieważ rokowania o wieczny pokój z Polską nie mogą doprowadzić do żadnych rezultatów. Motywował zaś to tem, że gdyby Rossya zawarła sojusz z cesarzem i dała mu zbrojną pomoc przeciw Turkom, to tem samem pomagałaby i królowi Polskiemu, który jako członek Ligi ma wspólne interesa z cesarzem; a tego Rossya uczynić nie może. Dalej, gdyby Rossya zawarła sojusz z cesarzem, musiałaby tem samemzerwać pokój z sułtanem i chanem tatarskim i wystąpić przeciw nim zbrojno. Jeżeliby zaś taka wojna trwała przez czas dłuższy, siły Rossyi byłyby znacznie wyczerpane, a wtedy Polska korzystając z tego, mogłaby odmówić zawarcia wiecznego pokoju i roz-

[1]) Brückner l. c. p. 87. Do Szwecyi, Danii i Hollandyi pojechał Ukraińcew, do Anglii, Francyi i Hiszpanii Winius. do Wenecyi i Rzymu Meneses (poselstwo jego opisał Brückner oddzielnie w Russische Revue l. 28).

począć wojnę z carami, ci zaś nie mieliby należytej siły do obrony [1]).

Około tego obracały się narady pełnomocników. Jedna i druga strona pragnęła sojuszu, a zgodzić się nań nie można było. Cesarz potrzebował pomocy rossyjskiej dla uczynienia dywersyi w Krymie, skutkiem czego nie mogłyby hordy tatarskie połączyć się z wojskami tureckiemi. Rossya zaś wiedziała o tem dobrze, że wmieszanie się w tę sprawę będzie dla niej bardzo korzystnem i że zawarcie sojuszu z wielkim cesarzem podniesie ją w oczach całej Europy [2]). Mimo to do zgody nie przyszło. W ciągu dalszych obrad stawia Golicyn jako warunek przystąpienia do Ligi, by cesarz pogwarantował, że Polska odstąpi carowi Kijów, to znów proponuje, by cesarz, papież i Wenecya pośredniczyli w zawarciu pokoju między Rossyą a Polską. Posłowie cesarscy nie mogąc na tej drodze w żaden sposób dojść do ostatecznego porozumienia, zgodzili się na warunek, że Rossya wstrzyma się z przystąpieniem do Ligi aż do zawarcia wiecznego pokoju z Polską, tymczasem jednak poleci hetmanowi wojsk zaporoskich Iwanowi Samojłowiczowi, aby wysyłał pojedyńcze oddziały Kozaków na Krym, które miałyby pozornie same, bez pozwolenia hetmańskiego napadać na Tatarów. I na to jednak Golicyn zgodzić się nie chciał. Wobec tego, układy zarwano i posłowie cesarscy, otrzymawszy tylko zapewnienia szczerej chęci z strony Rossyi, powrócili do Wiednia.

Polska zawarła dnia 30. stycznia 1667 r. z carem Alexym rozejm w Andrussowie, mocą którego odstąpiła Rossyi Smoleńsk, Siewierzczyznę i Czernichowszczyznę i oddała Kijów na lat dwa, by Rossya mogła tem skuteczniej nadzorować ruchy kozackie. Rozejm ten zawarty był na lat 13, a obustronnie zastrzeżono sobie zawarcie w tym czasie wiecznego pokoju. Później potwierdzano warunki rozejmu kilkakrotnie, zawsze jednak z tem samem zastrzeżeniem. Rossya tymczasem po dwóch latach nie oddała Kijowa, a Polacy nie upomnieli się o to dość stanowczo [3]). W r. 1678 d.

---

[1]) Konferencye te są dokładnie opisane w Pamiatnikach diplomaticzeskich snoszenij drewnej Rossi z derżawami inostrannymi. Petersburg 1867, tom VI., str. 504—766.

[2]) Gordons Tagebuch tom II. część III. str. 6—11. Generał wojsk rossyjskich Patrick Gordon, podaje Golicynowi na jego żądanie 9 punktów przemawiających za przymierzem z cesarzem.

[3]) Jabłonowski: „Źródła dziejowe T. I." Krzysztof Grzymułtowski, wojewoda poznański. Żywot str. LXXIX.

17. sierpnia potwierdził ks. Michał Czartoryski, wojewoda wołyński, jako poseł polski, przedłużenie rozejmu andrussowskiego aż do r. 1693. Rzeczpospolita polska za zatrzymanie Kijowa przez Rossyę otrzymała 2 miliony złotych, a o przymierze przeciw Turcyi miano się układać przy ratyfikacyi tego traktatu w Polsce [1]). Sprawa jednak odwlokła się i wśród tego nadszedł rok 1683, a z nim wielka wojna z Turcyą i Liga Święta, zawarta przez cesarza, Polskę i Wenecyę w r. 1684, do której oni postanowili zaprosić, „Serenissimos Czaros Moschae. Ci wszakże, jak wiemy, odpowiadali na wszystkie proporcye, że „bez zakliuczenia wicznago miru z Polszczeju w soiusz wstupyt' ne wozmożno".

Tymczasem o ten „wicznyj mir" traktowano w Kadzyniu, miasteczku pogranicznem położonem niedaleko Andrussowa. Przy końcu roku 1683 przybyli tam posłowie polscy: Krzysztof Grzymułtowski, wojewoda poznański, Alexander Ogiński wojowoda trocki i Jan Chrapowicki, wojewoda witebski i pełnomocnicy carscy: bojaryn kniaź Michał Romodanowski, bojaryn kniaź Michał Golicyn i bojaryn Borys Buturlin. Narady jednak nad pokojem rozpoczęły się dopiero w następnym roku, ponieważ posłowie polscy nie mieli zupełnego pełnomocnictwa i musieli dopiero po nie posyłać. Zjeżdżano się wprawdzie często na wspólne narady bądź w Andrussowie, bądź w Kadzyniu, ale nie doprowadzono do żadnych rezultatów. Posłowie nie mogli zgodzić się na warunki pokoju: ze strony polskiej na odstąpienie Kijowa, z moskiewskiej zaś na udzielenie pomocy zbrojnej przeciw Turcyi. Wskutek tego dnia 12. lutego 1684 r. przerwano narady i postanowiono układy prowadzić dalej drogą pisemną. O stanowisku Rossyi w tych narodach daje nam najlepsze wyobrażenie list Grzymułtowskiego do kanclerza wielkiego koronnego Jana Wielopolskiego, w którym pisze: „Oni (t. j. pełnomocnicy rosyjscy) powiedzieli nam nie tylko w rozmowach prywatnych, ale nawet na wspólnem posiedzeniu urzędowem: W przyszłości odstąpicie nam nietylko to, co już posiadamy [2]), lecz także Witebsk i Płock i wszystko aż po rzekę Berezynę, ponieważ król francuski jest jeszcze potężniejszym jak sułtan turecki [3]). Rossya musiała zatem mieć jakąś styczność z Lu-

[2]) Tamże strona LIV.

[2]) T. j. Kijów, Smoleńsk, Siewierszczyznę i Czernichowszczyznę.

[3]) Teka Lukasa t. XXIX. rękopis Biblioteki Ossolińskich nr. 3001. List Krzysztofa Grzymułtowskiego, wojewody poznańskiego do w. kanclerza koronnego Jana Wielopolskiego z d. 14. kwietnia 1684.

dwikiem XIV. i on odwodził ją zapewne od przystąpienia do Ligi Swiętej. Dziwnem wydaje się to, że ten „rex christianissimus“, który raczej powinien był nakłaniać Rossyę do przystąpienia do Ligi, pragnie ją od tego odwieść. Lecz była to jego polityka w tym czasie. Chciał on za pomocą wojny austryacko-tureckiej odwrócić uwagę Austryi, a w każdym razie uniemożliwić jej przeszkodzenie swojej zaborczej polityce na zachodzie, swoim *iure caduco* prowadzonym reunionom. Dlatego podtrzymywał Tekelego w jego buncie przeciw cesarzowi i zachęcał Turcyę do udzielenia mu pomocy, dlatego stworzył sobie w Polsce całe stronnictwo z Morsztynem na czele, którego celem było rzucić Sobieskiego w objęcia Francyi i nie dopuścić go do zawarcia sojuszu z Austryą; dlatego wreszcie nawiązał stosunki z Rossyą, która też, jak widzieliśmy, liczy na niego i to bardzo śmiało.

Skutkiem tego postępowania Rossyi układy zerwano i nastąpiła w nich półtoraroczna przerwa, wciągu której na Węgrzech szczęście sprzyja stale cesarzowi; Polska podjęła wyprawę w celu odebrania Kamieńca i dwie kampanie na Multany i Wołoszczyznę; W Rossyi odbierają carowie pisma cesarza i papieża, w których obaj życzą im rychłego i szczęśliwego zawarcia pokoju z Polską [1]).

Królowi polskiemu Janowi III. zależało jednak wiele na zgnieceniu potęgi tureckiej. Z sprawą powszechnej wojny z Turkami łączyła się dla Polski ważna kwestya odbioru Kamieńca, który przemocą nadarmo kuszono się odzyskać, uspokojenia granic wschodnich, a może i nabycia krajów wołoskich, z czem wszystkiem znowu wiązały się dla Sobieskich pewne dynastyczne aspiracye. Przyciągnięcie zatem Rossyi do związku i wojny z Turcyą było dla Polski nie małej wagi, a wobec braku dostatecznych sił do podjęcia wypraw przeciw Turcyi, przedstawiało się jako bardzo pożądane. Dlatego też, już zaraz następnego roku postanowił Jan III. wysłać znowu poselstwo do Rossyi w skład którego wchodzą ci sami senatorowie t. j.: Krzysztof Grzymułtowski, Alexander Ogiński i Jan Chrapowicki. Przybyli oni w pierwszych dniach 1686 r. granice rossyjskie. Bojarowie rossyjscy wyjechali na ich spotkanie i towarzyszyli im do Moskwy, prowadząc drogą przepełnioną licznemi rotami wojsk. Zapytani przez posłów, co mają znaczyć te tłumy żołnierzy, odpowiadają, że jedne wojska wybie-

[1]) Pisma te podają Pamiatniki diplomaticzeskich znoszenij tom VI. str. 925—926 i 967—968.

rają się z grodów w pole, a inne znów z pola w grody wracają i dlatego taki ścisk i utrudniona podróż. Było to jednak kłamstwem, gdyż carewna Zofia chciała tylko przestraszyć posłów potęgą Rossyi [1]).

(Ciąg dalszy nastąpi).

Włodzimierz Lenkiewicz.

[1]) Ustriałow. Istoria carstwowania Pietra Wielikago tom. I. str. 155.

DYREKCYA KASY OSZCZĘDNOŚCI
MIASTA NOWEGO SĄCZA.

# ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

## BISKUP WŁOCŁAWSKI I KRAKOWSKI

(1496—1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

### CZĘŚĆ TRZECIA
### (1553—1560).

(Ciąg dalszy).

W tym samym roku 1554 dopuścił się Zebrzydowski innego, więcej niż kompromitującego, bo zbrodniczego czynu, najpospolitszej defraudacyi pieniężnej z pogwałceniem wolności osobistej ludzi stojących mu na zawadzie, która obudziła u współczesnych przykre wspomnienia o nim z czasów, gdy postępował tak samo, jako biskup włocławski [1]). Umarł był właśnie u Dominikanów w Krakowie zakonnik ich reguły Feliks, biskup Kaffy *in partibus*, niegdyś sufragan wileński. Umierając, złożył Feliks majątek swój uzbierany swego czasu na Litwie, wysokości 4.000 flr., razem z testamentem sporządzonym jeszcze pierwej, gdy cieszył się pełnem zdrowiem, w depozycie u dwóch znamienitych prałatów krakowskich, dr. Zygmunta ze Stężycy, podówczas rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego i profesora dr. Mik. Wieliczki [2]). Zebrzydowski, dowiedziawszy się o pozostałych po zmarłym pieniądzach, położył na nich areszt i zakwestyonował prawomocność testamentu Feliksa pod pretekstem, że on jako zakonnik nie miał prawa rozporządzać ostatnią swą wolą, tem mniej zapewne posiadać jakiekolwiek mie-

[1]) Część I. monografii o nim, str. 28, 29, 30, 31 (odbitka).

[2]) Hos. Ep. nr. 1252, app. nr. 66 i Archiwum komisyi i prawn. T. I. Krakow. 1895, zaw. instrukcyę dla posłów kap. krak. na synod prow. zwoł. na dzień 6. listopada 1554 — na str. 420|1, artykuł tej instrukcyi tyczący się testamentu i pieniędzy biskupa Feliksa.

nie, które też z tego powodu powinno być oddane do dyspozycyi biskupiej, *ad loci ordinarium*. Orzeczenie to Zebrzydowskiego zaniósł depozytaryuszom kanclerz jego Jan Paczyński, dziekan włocławski, spotkał się jednak z stanowczą opozycyą z ich strony. Obaj nie uznawali wywodów biskupa i nie chcieli wydać powierzonego im depozytu, Rozgniewany tym uporem Zebrzydowski postanowił użyć gwałtu, aby posiąść pożądane pieniądze. Wysłał w tym celu w czerwcu do dr. Wieliczki, u którego był depozyt złożony, wikaryusza swego Słomowskiego, jego pomocnika dr. Krokera i dwóch kanclerzy swoich Paczyńskiego i Pobianowskiego z pewną ilością detektywów, którzy bezbronnego profesora pochwyciwszy, uprowadzili do więzienia biskupiego. Tu dręczony i nękany groźbami wydał dr. Wieliczko Zebrzydowskiemu cały depozyt a nawet pod presyą przymusu stwierdził formalną przysięgą fałszywy protokół, przedłożony mu do potwierdzenia przez podstępnego biskupa. Równocześnie ukarany został za upor dr. Zygmunt ze Stężycy. Obłożył go Zebrzydowski klątwą i ekskomuniką a byłby również uwięził, gdyby nie to, że prałat ten piastował zaszczytną godność rektora Almae Matris. Dr. Wieliczko dopiero po dwóch dniach został puszczony na wolność! Gwałt ten popełniony na osobach szanownych i uczonych mężów oburzył niewymownie sfery stolicy i kraju, mieszczaństwo, duchowieństwo, szlachtę i dwór królewski. Widziano w nim jawne znieważenie kardynalnych ustaw państwa, tyczących się osobistej swobody obywateli i przywilejów Wszechnicy Jagiellońskiej, której obydwaj prałaci byli wybitnymi przedstawicielami. Podejrzywano, i słusznie, że motywami tego gwałtu była nienasycona chciwość i popędliwość biskupa, *avara cupiditas et violentia episcopi!* W obronie pokrzywdzonych postanowili stanąć przedewszystkiem kanonicy krakowscy. Złożyli w tym celu trzykrotnie dnia 16., 18. i 19. czerwca nadzwyczajne posiedzenia kapitulne [1]), na których postanowili udać się *in corpore* do pałacu biskupa, a gdyby ich biskup nie przyjął, wezwać go pisemnie do usprawiedliwienia się, piętnując jego postępek niezwykły tak, jak na to zasługiwał. Zebrzydowski przyjął kanoników na

[1]) Hos. Ep. nr. 66 app: w posiedzeniach brali udział: St. Borek, dziekan, P. Myszkowski, scholastyk, Jan Konarski, St. Górski, dr. Zygmunt ze Stężycy, dr. M. Kromer, P. Porębski, oficyał, I. Wityński, Dyonizy Secygniewski, dr. Jan Benedykt, Raf. Wargowski, St. Słomowski, wikary in spiritualibus, J. Korczbok, dr. Mik. Szadek, prałaci prałaci i kanonicy,

oficyalnej audyencyi dnia 21. t. m. W imieniu wszystkich przemówił do niego scholastyk P. Myszkowski, mówił zaś stosownie do życzeń kapituły, seryo, łagodnie i po bratersku. Gdy atoli ośmielił się z zachowaniem wprawdzie wszelkich pozorów uszanowania, obok sprawy depozytu nawiasowo wspomnieć o ucisku i łzach uciśnianych poddanych dyecezyi krakowskiej, porywczy władyka krakowski przerwał mu i oświadczył, że to wszystko — kłamstwo! Oświadczenie to wywołało spory i kłótnie. Niestropiony gniewem Zebrzydowskiego Myszkowski bronił uparcie swojego twierdzenia, kanonicy, jak jeden mąż stanęli po jego stronie a uniesiony złością dostojny delinkwent nazwał ich za to wszystkich kłamcami. Obrażeni nie pozostali mu dłużni. Czując i rozumiejąc, że bronią słusznej sprawy, odparli, że on jest znanym kłamcą, poczem rozdrażnieni i zirytowani opuścili progi pałacu jego. Posypały się teraz pisemne protestacye: kanoników przeciw biskupowi, biskupa przeciw kanonikom. Przez wzgląd jednak na przykre a nie wyjaśniane położenie [1]) obu pokrzywdzonych depozytaryuszy, profesora i rektora, jak nie mniej na niebezpieczne dla kościoła czasy, postanowili pierwsi kanonicy szukać z Zebrzydowskim zgody. Myśląc o zgodzie, pragnęli przez nią ochronić się na przyszłość przed ewentualnemi krzywdami ze strony biskupa i zamachami jego na nietykalność kościoła i praw pospolitych. Pomostem do zgody stała się zamierzona przez Porębskiego rezygnacya z przykrego i uciążliwego urządu oficyała, którą przedłożył Zebrzydowskiemu następnego dnia po audyencyi kapituły, 22. czerwca. Zebrzydowski bowiem rezygnacyi tej nie przyjął a nawet pod wpływem poufnej perswazyi ze strony Porębskiego sam okazał się skłonnym do zgody, byle tylko dokonaną była z wszelkimi względami dla jego powagi biskupiej. Kanonicy dowiedziawszy się od Porębskiego o tem usposobieniu biskupa, natychmiast wydelegowali

[1]) Hos. Ep. nr. 1252 list Porębskiego, Kraków, dnia 25. czerwca 1554. — Porębski pisze tam raz, że Zebrzydowski dr. Wieliczkam per duos dies detinuit, drugi raz, że po audyencyi kanoników u Zebrzydowskiego: scholastici dolebant, membrum Universitatis incarceratum esse,. rectorem item censuris agitatum. Sądząc jednak po dacie pierwszego posiedzenia kapituły dnia 16. czerwca w sprawie tego uwięzienia, znanej nam z notaryalnego dokumentu: de lite episcopi crac. cum episcopo suo, podanego pod nr. 66 appendixu listów Hozyusza, uwięzienie to miało miejsce w pierwszej połowie czerwca. Wydobywszy z rąk profesora depozyt, nie miał Zebrzydowski żadnego interesu przetrzymywać go w więzieniu aż do 22. czerwca.

do pałacu czterech prałatów z grona swego, którzy oficyalnie zaprosili go na posiedzenie kapituły. Zebrzydowski usłuchał wezwania i przybył. Było to tego samego dnia 22. czerwca. Z przybyciem Zebrzydowskiego rozpoczął się niezmiernie ciekawy akt wzajemnych przeprosin. Rzecznikiem kapituły był znowu Myszkowski. Zapewniał więc biskupa, że kanonicy żałują bardzo swego uniesienia, prosił go, by raczył puścić w niepamięć całe zajście, tembardziej, że oni byli i chcą być dla niego z należnem uszanowaniem i czcią. Zebrzydowski natomiast biorąc winę całego nieporozumienia na siebie, narzekając na swój temperament choleryczny, *colerica complexio*, z powodu którego łatwo unosi się gniewem, przepraszał kanoników, jeśli ich obraził jakiem zbyt porywczem słowem, zapewniał ich również o swojej miłości i przyjaźni a przedewszystkiem przyrzekł, że zastosuje się do życzenia kapituły w postępowaniu z kanonikami, klerem dyecezyi i poddanymi kościoła. Przyrzeczenie to wywołane delikatnem zastrzeżeniem Myszkowskiego, aby Zebrzydowski w myśl przepisów Kościoła sam stał na straży honoru i dobra sług i wyznawców jego, jeśli chce sobie zapewnić szacunek z ich strony, to najciekawszy moment z całej ceremonii przeprosin. Odsłania nam ono opłakany stan stosunków dyecezyi krakowskiej, sprowadzony nadużyciami Zebrzydowskiego i jego zarządu, do których się on sam wobec wszystkich urzędownie przyznaje, obiecując, że w przyszłości te nadużycia popełniane nie będą. Przyrzekał tedy Zebrzydowski, że nietylko nie będzie obrażał kanoników, stojących na drugiem po nim miejscu w Kościele, ale także nie będzie prześladował innych choćby najniższych godnością a zwłaszcza, niewinnych kapłanów; przyrzekał, że nie będzie naruszał żadnych testamentów; że nie będzie chwytał i więził nikogo, nieprzekonanego prawem, szczególniej zaś ludzi podejrzanych o herezyę, mając na myśli zapewne księży Kurowskich, a zwłaszcza księdza Mikołaja, którego los może wywołał pewne protesty i perswazye ze strony umiarkowańszych członków kapituły; przyrzekał, że nie będzie nikomu utrudniał wypłaty dziesięcin lub czynszów; że nie będzie poddanych kościelnych obciążał żadnemi nowemi pracami, ani też ciężarami i trybutami przez swoich faktorów i prefektów, których miał nawet w najbliższym czasie powołać do Krakowa i zobowiązać przysięgą służbową, że poddanych krzywdzić nie będą a dobra jego po śmierci oddawać będą w tymczasowy zarząd kapituły; w końcu obiecywał, że depozyt pozostały po zmarłym biskupie Kaffy, z powodu którego ta cała „tragedya“ narodziła się, przeznaczy jużto na zapomogi dla klasztoru Św.

Trójcy, dla konwentu Dominikanów i dla Collegium Maius wydziału artystycznego akademii krakowskiej, jużto na restauracyę katedry krakowskiej... Przyrzeczenia te i obietnice razem z aktem wzajemnych przeprosin spisane zostały nazajutrz dnia 23. czerwca i notaryalnie zatwierdzone... depozytu jednak pomimo obietnic Zebrzydowski... nie wydał...

Niebawem po tym smutnym zatargu z kapitułą skompromitowany swoją chciwością i popędliwością, jak nie mniej źle objawioną gorliwością pasterską wydalił się znowu Zebrzydowski z Krakowa i oddał się swoim przywatnym interesom majątkowym. Jeden z moralnych sprawców jego niefortunnych zamachów na księży apostatów w lubelskiem dr. Aquilinus, kaznodzieja krakowski zasmucony tym faktem, pisze dnia 1. sierpnia t. r. do Hozyusza z Wilna: „Słyszę, że teraz Zebrzydowski znowu zaniedbuje religię a dniem i nocą przemyśliwa nad pomnożeniem dochodów swoich. Jakżeż niema grozić zguba Kościołowi, jeśli dostojnicy jego zajmują się tylko doczesnemi sprawami, swojemi własnemi a nie Bożemi i Jezusa Chrystusa? Mnie samemu żal daremnej pracy mojej i gdybym mógł, złożyłbym już dawno urząd kaznodziei“ [1]). Wieści te o takiem postępowaniu Zebrzydowskiego obiegały w tym czasie zarówno dwór królewski w Wilnie jak i kuryę papieską w Rzymie, szerząc niepokój o losy dyecezyi krakowskiej w decydujących sferach kościelnych. Kardynał Puteus dbały o dobrą opinię zaprzyjaźnionego z sobą biskupa krakowskiego upominał go znowu tak samo jak w pierwszej połowie b. r., aby wracał do Krakowa i nie dawał złego przykładu swoją nieobecnością w stolicy [2]). Atoli Zebrzydowski umiał tłumaczyć te nieobecność jak zwykle jakimiś wyższymi względami i powodami, którymi zdołał przekonać życzliwego sobie kardynała a nawet wzbudzić w sercu jego współczucie dla siebie z powodu niecnych potwarzy, rzucanych na niego przez jakichś ukrytych jego wrogów. Co więcej Puteus uradowany i uspokojony przeświadczeniem, że jego przyjaciel niewinny a roztropny, chce wierzyć, że znajdzie w nim powolnego i jedynego wykonawcę swojego projektu, tyczącego się obrony zagrożonego Kościoła, który podał mu w liście dnia 6. października t r., powodowany, jak pisze, szczególniejszą troską o królestwo polskie i jego mieszkańców. Projekt ów zmierzał do

[1]) Hos. Ep. nr. 1263.
[2]) Kor. Zeb. nr. 860, 861.

tego, aby Zebrzydowski jako jeden z najwybitniejszych przedstawicieli Kościoła polskiego ukarał w porozumieniu z królem, którego miał pobudzać do żywszego interesowania się religią i zniewolić do użyczenia mu jakiejś wydatnej pomocy zapewne w formie edyktu przeciw herezyi, jednego z wodzów herezyi *primi ordinis summique nominis*, znacznego stanem i nazwiskiem, i rzucił tem postrach pomiędzy mnogich jej wyznawców. Czynem takim podjętym w obronie powagi kościoła, mogącym skupić koło siebie wszystkich towarzyszy dobrej sprawy, zdaniem Puteusa usunąłby Zebrzydowski od siebie wszelkie podejrzenia, szarpiące jego dobre imię. Gdy zaś Zebrzydowski pochwalił się przed kardynałem, że już coś podobnego robił w tym roku, bo więził i nękał apostatów, otrzymał od niego pełen pochwał list z datą 16. listopada t. r., który stał się dlań podnietą do dalszych w tym kierunku prób i wysiłków.

Dr. Tadeusz Troskolański.

DYREKCYA KASY OSZCZĘDN
MIASTA NOWEGO SĄCZA

# KORESPONDENCYA
# JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(Ciąg dalszy).

### Do Pana Józefa I. Kraszewskiego, w Dreźnie.

*Paryż, 27. lutego 1863 r.*

Kochany Panie Józefie, i na moich piersiach leży zmora, smętno i smętno w duszy na śmierć. Taki nagły i niespodziany kataklizm! i do tego w Ojczyźnie Polski płacz i zgrzytanie w słuchu, poruszające do szaleństwa. Car wszystkie serca polskie ma w garści, urągając się po szatańsku przed światem, że je zadławi. W rozumie żadnej rady, od ludzi żadnej pomocy i t. p.

Wiara sama jeno umacnia mnie, trzyma na nogach. Pan idzie, musi być już blisko. *Veni sancte spiritus.* Mąż boży, słowomocarz, wojownik i statysta z ramienia Pańskiego, mocen byłby od razu wyprowadzić nas z tego zamętu i ucisku. Niebrak w Polsce materyi k o s m i c z n e j do stworzenia czegoś okazałego. Może brak nam tylko pokory. W niebogłosy modlę się o zesłanie nam ojca czelednego, nowego jakiegoś Piasta dla ludu całego przy nowem tysiącoleciu historycznego bytu. Módlmy się wszyscy, wierzmy i czuwajmy w pogotowiu na skinienie z góry. Umrzyjmy przynajmniej z godnością dziatwy Wojciechowej. Stary i otoczony nieletnią dziatwą nie mogę się zrywać stąd, zwłaszcza w tej porze roku, krzątam się atoli około sprawy publicznej na ile mnie stać. Nie godzi się odrzucać środków ratunku ludzkiego. Agitujem duchowieństwo i lud we Francyi. W okólnikach pasterskich wielkopostnych już kilku biskupów gorąco przemówiło za nami.

Czytasz, Panie Józefie, tutejsze dzienniki, to wiem o usposobieniu dla nas wszystkich stronnictw francuskich. Subskrybcya

idzie dość pomyślnie. Komitet polski do odbierania subskrypcyi tworzy się dzisiaj. Przyjąłem w nim udział, chociaż K. N. zamieścił w nim parę indywiduów wcale niesympatycznych... Działania jednak komitetu niepolityczne a pośredniczenie jeno z dziennikarzami w interesie subskrypcyi. Radbym, aby wszystkie odcienia Polskich stronnictw miały w nim swoich reprezentantów. Trudna sprawa z ludźmi, a i nie mam z nimi styczności. Mam obowiązki różne w domu i za domem. W tej chwili np. pomimo bolu w sercu i roztargnionego umysłu sprawami w Kongresówce, muszę iść do szkoły Polskiej na kilkagodzinny egzamin z gramatyki, jeografii i historyi polskiej. I tak samo przez dziesiątek dni.

Polecam się Twemu sercu i proszę o wiadomości z kraju, jak dotąd, szczególniej z Litwy i ziem ruskich.

Wierny

*J. B. Z.*

Po co Michał Grabowski zjawił się w Warszawie? Ażaliż chce mu się urzędować na czasie? Bardzo mi przykro w duszy.

## Do Pana Józefa I. Kraszewskiego, w Dreznie.

*Paryż. 12. marca 1863 r.*

Mapy, kochany Panie Józefie, wyszły dziś do Ll... do Krakowa. Wyprawił je E. Januszkiewicz, u którego są na składzie przez Królikowskiego. Za trzy lub cztery dni powinneby stanąć na miejscu. O pieniądze nie wypada nalegać na księcia Władysława, bo na razie są inne naglejsze potrzeby. Zresztą będzie się nam coś należało od księgarzy za broszurę, za którą ani grosza dotąd nie dostałem. U nas war, gwar. Setkami wysyłamy braci w różne strony. Jak i gdzie? Niewolno mi pisać. Stan rzeczy widocznie ze dnia na dzień polepsza się. Mamy tu ajentów z różnych okolic kraju. Czynią wszędzie przygotowania do ruchu ogólniejszego. Wielkopolanie rychło poprawią się po wyprawie G. — Zadziwiła nas tu nieco dyktatura Langiewicza, ale nie wiemy czasowych okoliczności, które ją spowodowały. Oczywiście musiały być przeważne i naglące. Zaczynamy po troszę wyrozumiewać plany strategiczne naszych generałów. Między Francuzami wzmaga się zapał, wielu wyruszyło już na ochotnika. Różne względy powstrzymują nas od werbunku. Z tem wszystkiem już i dziś nie

powinno by braknąć powstańcom na zdolnych oficerach. Aby tylko zdołali się zharmonizować należycie z naczelnym wodzem. W Krakowie zbiegowisko przywódców stronnictw, i boimy się, aby nie przyszło do jawnej waśni. Podobno, że i bohater Krzywosądzki tam dziś gości. Na Wołyniu przerażenie, bodaj płonne; chłopi mają się odgrażać. Ale przedsięwzięte są zaradcze środki ze strony ..... Trudno mówić jaśniejszym sposobem, więc lepiej zamilknąć, ściskam rękę i pozdrawiam

*J. B. Zaleski.*

Mamy broń, ale nieprzezwyciężone trudności z przesyłką. W okolicy Twojej nie ma sposobu, a mamy zapas blisko.

## Do Pana Józefa I. Kraszewskiego, w Dreznie.

*Paryż, 20. marca 1863.*

Na razie, kochany Panie Józefie, rzecz co do przesyłki instrumentów [1]) jest już załatwiona w sposób najdogodniejszy i przez rozkaz z Góry. Nie wolno mi pisać o tem poszczegółowo, powiedziałem atoli komuś, do którego ten wydział pracy należy, aby na przyszłość korzystał z twojej dobrej woli i ochoty. Interpelacya w Senacie Francuskim poszła fiasco. Przewidywaliśmy dawno, że niezda się do niczego. Rząd jednak musi coś zrobić dla opinii coraz gorętszej w massach. Negociuje w Londynie i Wiedniu, ale w tajemnicy, dotąd nieprzeniknionej. Meternich lada dzień spodziewany z powrotem. Oczekujemy objaśnień prosto z obozu. Wyszło stąd niemało adhezyi do Langiewicza, od ludzi wszelkich odcieni politycznych.

Podobno, Panie Józefie, że to wczoraj i twoje jak moje imieniny. Pamiętałem o nich w modlitwie, a dziś dołączam jeszcze życzenia, aby je już obchodzić pozwolił nam Pan Bóg w Ojczyźnie...

Ściskam rękę po przyjacielsku

*J. B. Zaleski.*

## Do księdza Karola Kaczanowskiego, w Rzymie.

*Paryż, 24, marca 1863.*

Czcigodny Ojcze Karolu, z pokorą i czułością synowską, stary penitent, klękam przed tobą i całuję kapłańską rękę z prośbą

[1]) Broni.

o błogosławieństwo. Wiem od ks. Aleksandra, że zaraz po Świątkach Wielkanocnych puszczasz się na Wschód. Szczęść Boże, między Bulgarami. Pan ci oto, Ojcze, wyznacza rolę poświęcenia się i uświęcenia, na chlubę i zbudowanie chrześciańskiej braci. Serdeczny ongi wojaku. a teraz wybrany kmieciu Boży, błogosław mi i moim! W modlitwach tam i przy ofierze Mszy św. między Słowiany, wspomnij czasem i o przyjacielu młodości.

Wątpię, kochany Ojcze, abyśmy się kiedy obaczyli na ziemi. Obadwaśmy w podeszłym wieku. Godzi się atoli, abyśmy o sobie i nadal wiedzieli. Za pośrednictwem ks. Aleksandra doniosę ci od czasu do czasu o mnie i o domu moim. Nawzajem proszę, dorzuć kiedy w swobodnej chwilce słówko do mnie o zdrowiu i powodzeniu twojem na nowej sadybie. Wierzaj, drogi Ojcze, że rozradujesz tem całą moją rodzinkę.

Wieści z kraju wciąż krwawe i łzawe. Serce polskie na torturach. Rządy i ludy nie dają pomocy, a cuduśmy bodaj niegodni. Nadzieja wciąż tylko w Matce Bożej, Królowej Naszej i w Świętych Patronach Polskich, jeśli się jeszcze do nas przyznają. W Rzymie czytacie też same telegramy, co i my w Paryżu. Krąży tu jeno więcej kommentarzy do nich, dokłamywanych najczęściej na bruku. Niewarto je powtarzać. Spodziewamy się w tych dniach kogoś z obozu Waligórskiego. Dyktatura nowa pękła jak raca w powietrzu; ściemniło się tem bardziej po niej i rozszedł się nieznośny smród siarki.

Dziękuję, Ojcze, za życzenia urodzin. Pamiętam, że te gody obchodziliśmy w jednym świętym dniu i pamiętałem o tem i u stołu Pańskiego. Nie miej proszę, żalu w sercu, żem na razie nie odpisał. Żyłem wtedy pod obuchem krwawych doniesień z Polski. Omdlewałem z boleści.

Jeszcze raz, drogi Ojcze Karolu, z żoną i dziatwą proszę o błogosławieństwo i o pamięć kapłańską przed Bogiem.

Twój stary przyjaciel i syn w Chrystusie Panie

*J. B. Zaleski.*

Ojcom Hieronimowi i Piotrowi oświadcz odemnie wyrazy poważania i stałej przyjaźni. Starego Jenerała Szymanowskiego pozdrów od nas z uszanowaniem, toż kolegę Onufrego i Romana Postempskiego. Czy Bronisław Zaleski gości jeszcze w Rzymie? W tych dniach wrócić ma Józef mój z Hyères. Wybiera się na wojaczkę, a i syn mój najstarszy Maryan chce na gwałt wyruszyć

za kolegami ze szkoły. „Swięta miłości kochanej Ojczyzny“ działa na pokoleniach.

*J. B. Z.*

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, 3. kwietnia 1863 r.*

Moja droga Mamciu! Chrystos woskres! Z całowaniem. Bodaj po raz już ostatni życzyć sobie Pańskiego Alleluja na cudzej ziemi! Kto zgadnie, duszko, co Bóg dla nas gotuje w niedalekiej przyszłości? Spodziewajmy się, wbrew nawet nadzieji. Proszę, Mamciu, starym obyczajem, obyczajem naszym ukraińskim wycałować tam wszystkich spólnych ukochanych. Wy moi zawsze najrodzeńsi do końca żywota.

Z Polski od kilku dni przycichły wieści, albo krążą bałamutne, widocznie wymyślone na paryskim bruku. To tylko pewna, że okręty Pań Angielskich kilkaset emigrantów i zapas broni wysadziły szczęśliwie na brzegach Żmudzkich. W Krakowie i w Galicyi wielki ruch, ale niestety i wielka anarchia. Mierosławski i jego zwolennicy wichrzą z ukrycia po staremu jak za Langiewicza. — Komisarze Rządowi młodzi i niedoświadczeni, bezsilni są do oddziaływania przeciwko starym intrygantom. Zresztą powraca Ksawery Gałęzowski, to przywiezie rapport poszczegółowy o stanie rzeczy.

Zosia mi znowu zapadła w swój reumatyzm ciężki. Od onegdaj nie może wstać z łóżka. Po raz pierwszy to, napadła ją choroba od dwóch lat, t. j. od powrotu z Vichy, wyraźnie się zaziębiła.

Polecam się itd.

*J. Bohdan.*

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, 9. czerwca 1863 r.*

Droga Mamciu, od wielu lat święcę pobożnie dzień twoich imienin, ale tego roku pomąciło mi się jakoś w pamięci. Zamiast 9. czerwca, 6-go już przystępowałem do Stołu Pańskiego na intencyę Mamci, a była to jeno pamiątka powrotu z Kurska. Otóż

dziś jeszcze raz przy św. komunii poleciłem Mamcię swoją Opiece Bożej, z całem uczuciem synowskiego serca.

Między życzeniami wszelkich błogosławieństw niebieskich i ziemskich dla Mamci, bodaj najgorętszem jest niewinszowania już sobie świątek na cudzej ziemi. Zestarzałem się za granicą, to ze dnia na dzień tęskniej mi do Polski. Gorączkowie wyczekuję przyjaźniejszych okoliczności, aby wyruszyć do swoich. Bóg miłosierny, niewątpię, zdarzy je niebawem. Na Jego też Opatrzności zostawię tu rodzinkę moją tułaczą. I skądinąd mam osobny jeszcze obowiązek. Maryana mego owionął zapał wojenny, ma nieudaną ochotę i wolę poświęcenia życia za kraj. W tem podniosłem uczuciu zmężniał i spoważniał od razu. Wygląda na sęsata i mówi jak sęsat. Taki zdolny, ale słucha nauk półsenny, rozmarzony o bojach. Ze mną nieśmiały, ale matce i siostrze prawi niestworzone rzeczy o powołaniu młodziutkich pokoleń. Niema rady, kochana Mamciu! Obyż mi Bóg pozwolił odwieść go kędyś do powstańców i samemu obok stanąć w szeregach! Święć się Wolo Boża!

Nowin w tych czasach niewiele. Bój rozpostarł się na całej powierzchni ziemi Polskiej. Gazety podają o nim szczegóły dość dokładne. Na Ukrainie hetmanią Edmund Różycki i Aleksander Podhorski, syn Anastazego. Na Litwę pojechał stąd onegdaj nowy wódz, młody, dzielny i utalentowany. Nasz kuzynek Ciechoński niestety poległ, ale po bohatersku.

Całuję i t. d.

*B. Zaleski.*

## Do P. Bronisława Zaleskiego, w Paryżu.

*Fontainebleau, 11. września 1863.*

Kochany Bronisławie, wczoraj z pogrzebu Potockiego miałem zabiedz do ciebie, ale zabrakło czasu. Adres nasz: *rue S. Meny 112.* Obozujemy po emigrancku w ciasnych ciupach, ale używamy za to powietrza, dyszem pełnemi piersiami. Las naokoło, jak u was w Litwie. Rydzów jeszcze niewidno — ale przyjedź na wypoczynek i na pogadankę o biedach krajowych. O Litwince [1]) wieści

[1]) Mowa tu o Litwince, która była kuryerem Rządu Narodowego w Warszawie.

ni słychu. Musiała być w opałach, skoro dotąd niepisała do nas. Pisemko Karola przywieź do *Fontainebleau* — albo zachowaj u siebie do naszego powrotu.

Uściśnienie serdeczne

*J. B. Zaleski.*

## Do P. Bronisława Zaleskiego, w Paryżu.

*Fontainebleau, 16 września 1863.*

Kochany Bronisławie — jutro, to jest we czwartek, między 12-tą a 1-ą czekaj na mnie u siebie w domu. Jadę do Paryża na wezwanie Komitetu [1]), który przybrał mnie znowu na swego członka. Niewiem, co się w tem święci? Chciałbym przed sessią pomówić z tobą o stanie rzeczy publicznej. Mnie się widzi, że robota tu komitetowa, to wierutne szamotanie się w czczości. Z tem wszystkiem, w dzisiejszych okolicznościach, bodaj niegodzi się Polakowi odmawiać spółudziału w pracach patryotycznych. Rozmówimy się zresztą o tem poszczegółowo.

Ściskam, do widzenia się

*Bohdan.*

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, 7. października 1863.*

Nigdy, przenigdy, duszko Mamciu, nie godzi się skarzyć na mnie, i co byłoby gorzej, nie godzi się podejrzywać moich uczuć. Bóg widzi, że uczucia moje, jak wody w pełni, jednostajnie nurtują w swych głębokościach, jednostajnie świecą na swych wysokościach. Jak na wodach, kiedy pod niebem i na ziemi ciemno i duszno, fale układają się do równowagi w *calme plat*, w mdłą ciszę, tak i uczucia niemieją, drzemią kędyś pod sercem. A kiedyż, droga Mamciu, było ciemniej i duszniej pod niebem i na ziemi, jak w dzisiejszych czasach? Tyle krwi, tyle łez tam w Polsce, że i modlitwa nawet nie słownie ale myślnie wyrywa się ku Panu.

---

[1]) Komitet Paryski, delegowany przez Rząd Narodowy.

Z tem wszystkiem, Mamciu moja, kocham was jak kochałem. W zadumaniu mojem samotnem, widzę was i czuję zawsze obok siebie; wierzę też silnie, że i wy mnie tak samo widzicie i czujecie w spółce i jedności duchowej. Co związanem jest w duchu i prawdzie, to jest w Bogu, przetrwa, wierzajcie, świat i czas. Niech sobie śnieg prószy na głowy, my już i na tym padole płaczu spółmieszkańcami rozstrzeni Bożych.

Schodzę teraz, Mamciu, od aforystycznych ogólników do pospolitej rzeczywistości. Jeżeli rzadko pisuję, to dla tego jedynie, że wiem, że Mamcia ma o nas jak najdokładniejsze wiadomości skądinąd. Poczciwy Józef statecznie i gorliwie trzyma pióro. Widzę z jaką lubością i zajęciem zasiada codziennie do stolika. Doprawdy z osobnego daru i namaszczenia stał się on poniekąd naszym historyografem domowym. Ja roztargniony wciąż, nieprzytomny, zakłopotany rozlicznemi drobiazgami, to politycznemi, to około domu i dzieci, a do tego (trzeba się przyznać) i arcyleniwy z natury do pisania, cieszę się w duszy, że mam przed wami wyręczyciela, stokroć lepszego od siebie. Przeczuwam takoż w sercu, że Mamcia i Mamcini, rozumieją doskonale to moje wewnętrzne nastrojenie.

Ostatniemi jednak czasy, a osobliwie w *Fontainebleau* tęskno mi było do Mamci. Zosia podzielała jak najzupełniej to moje miłośne usposobienie. Miała nawet wziąść inicyatywę i pierwsza napisać, ja zaś gotowałem się do długiego *post-scriptum*. Ale niestety, bez służących, w ciasnej obozowej ciupce i z burzliwymi studentami na karku, ani podobna było wynaleźć swobodną chwilę w dniu, ani cichy kątek w domu. Wolałem od rana do wieczora wodzić czerń moją po lesie za grzybami, za bąkami i t. d., aby umęczona Matka miała choć wolną głowę na trudy i znoje emigranckiego życia. Tak mijały nam dnie i tygodnie.

Już to o Polityce ani podejmuję się pisać, duszko Mamciu. Bezbożna, bezdrożna, bezduszna, a samolubna, chytra, zmienna ze dnia na dzień, utrapia mnie srodze i rani aż do szpiku w kościach. Mamcia zresztą czyta codzień gazety jak i my. Wiadomości z kraju wiecznie mętne, smętne, zatruwają jeno myśli, że uderzam zaraz to w płacz, to w gniew i klątwy na świat i na ludzi, a to nie po Bożemu i nie po chrześciańsku. Jest atoli strona bohaterska i cudowna w Martyrologii Polskiej, którą na klęczkach radbym spisywać. Sprobuję kiedyś dla mojej Mamci.

A oprócz krwi, łez i moralnych tortur w Narodzie, co tam jeszcze i materyalnej nędzy! Za stare grzechy szlachta oto rada

i nierada zostanie ludem, w równości z chłopami. Literalnie całej Polsce, bogatym i ubogim, grozi głód. Moskwa po szatańsku grozi nam spustoszeniem i zagładą. Pan Bóg wszelako lepszy niż Pan Rymsza, a mocniejszy niż car. Ojciec święty jest już za nami, to spodziewajmy się i rychłej interwencyi z Nieba, bezpośredniej i pośredniej. Matka Boska i Święci rodacy Patronowie nasi niewątpliwie wstawiają się dziś za nami goręcej do Pana. Ale czyśmy już godni miłosierdzia? W tem tkwi sęk. Wobec ucisku i nędzy publicznej w Polsce nie godzi się nam nawet ani pomyśleć o biedach naszych emigranckich. Wszystkie moje zamiary i nadzieje literackie i nieliterackie wzięły w łeb i na długo. Łzawo patrzę na dorastającą moją dziatwę, ale nie wolno, święć się wola Boża, otrzyj łzy i dalej, dalej...

Całuję ręce Mamcine z dawną czułością

*Bohdan.*

## Do Hrabiny Maryi Stadnickiej, w Hyères.

*Paryż, 6. listopada 1863 r.*

. . . . . Przyłączam ci tu, Marylko, krótką modlitewkę do Matki Najświętszej, którą codzień odmawiamy.

„Maryo Matko, Orędowniczko, Opiekunko i Królowo nasza,
„z Jasnej Góry jaśniejąca niezliczonemi cudami i łaskami lu-
„dowi i Królestwu swemu, wyrwij nas z tego ucisku i nędzy,
„w których za grzechy nasze jęczymy, przez Najmilszego Syna
„Twojego, Pana Naszego Jezusa Chrystusa Amen".

A jeżeli się modlisz czasem po łacinie, to masz tu modlitewkę jeszcze krótszą: „*Obsecro te, Domina mea, Sancta Maria, suscipe Poloniam in manus Tuas. Amen*". Kto ją napisał i z jakiego powodu, dowiesz się zaraz.

W roku 1843-im, wyjeżdżaliśmy z Rzymu od Daryuszostwa, we dwóch z Bohdanem, na pielgrzymkę do Jerozolimy; w dzień wyjazdu naszego słuchaliśmy Mszy świętej w kościele *St. André del Frate*, przy cudownym ołtarzu Matki Najświętszej, który stanął kosztem neofity, na miejscu ołtarza św. Michała Archanioła, wskutek cudu. Żyd Ratisbonne, syn bogatego Strasburskiego bankiera, wszedł do kościoła *del Frate* z przyjacielem swym katolikiem, który miał do załatwienia interes w zakrystyi; przyjaciel

poszedł do zakrystyi, Ratisbonne został w kościele, stanął przed ołtarzem i zaczął się przypatrywać skrzydłom Archanioła, w tem raptem, nadludzkiej jasności postać, siejąca z obu rąk promieniami światła, zasłoniła patrzącemu Archanioła i zaćmiła mu wzrok, który takiego blasku chwały wytrzymać nie mógł. Zachwycony cudownym tym widokiem, Ratisbonne padł na ziemię, zalewając się łzami i sam sobie zdać sprawy nie mógł co z nim się dzieje, a tymczasem operacya Łaski wlewała w jego duszę naukę, wiedzę, wiarę, miłość i prawdę Kościoła katolickiego, i kiedy przyjaciel Jego wracający z zakrystyi spostrzegł go leżącego na ziemi i poskoczył, aby go podnieść, on się z niej podnosił już Chrześcianinem i chrztu zażądał. Tak to ta Matka nasza Przeczysta, Przebłogosławiona i Cała Promienna (w której nasza nadzieja), umie w oka mgnieniu zwolennika Mamony uczynić pokornym uczniem Chrystusowym i gorącym Kościoła Jego zakonnikiem. To jakże Jej nie kochać? Jakże się do niej nie modlić! Jak łask Jej niebłagać, kiedy to Ona łaskami sieje.

Mszę świętą odprawiał nam słynący podówczas świętością życia i uczynków Ojciec Palota z intencyą uproszenia dla nas pokory i pobożności w naszej pielgrzymce, oraz ubłagania łask Zbawiciela dla biednej naszej Ojczyzny i cierpiącego naszego Kościoła pod rządami odszczepieńców. Przy Mszy jego przystępowaliśmy do św. Komunii i ze schodzącym od Ołtarza kapłanem udaliśmy się za nim do Zakrystyi; tam uklękliśmy jeszcze raz u stóp Świętego, aby nas obu na drogę pobłogosławił. Wstając od tego błogosławieństwa, ująłem Ojca Palotę za rękę i uścisnąwszy z uszanowaniem prosiłem, aby nam dał jaką modlitewkę, którąbyśmy u Grobu Pańskiego odmawiać mogli. Święty obrócił się do lady, na której stał kałamarz z piórem i leżała książka do zapisywania odprawionych Mszy św. wziął kawałek luźnego papieru i napisał na nim po łacinie modlitewkę powyżej tu przepisaną.

Na Grobie Pańskim, i w ubiegłych 20 latach od naszej pielgrzymki, rano i wieczór codzień odmawiamy, jak najpobożniej umiemy, tę modlitewkę, i wy, kochani moi, róbcie niekiedy to samo; o czas wysłuchania nie można się z Panem Bogiem rachować, bo nie my, ale On rządzi czasem, ale ku prędszemu Jego ubłaganiu, wszyscyśmy się przykładać powinni, mając na względzie, że stąd i Bogu chwały przybędzie i nam prędszego nad nami zmiłowania, a razem uczcimy pamięć Świętego i zjednamy sobie

Rzecznika w niebie, który nam tych kilka słów z miłości w rękach naszych na ziemi zostawił. . . . . .

*Józef Zaleski.*[1])

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, d. 23. grudnia 1863.*

Łamiemy się, kochana Mamciu, opłatkiem z Wami. Przy święcie i pod błogosławieństwem Dzieciątka Bożego, rodzinka tułacka tuli się sercami do Was rodzonych, dzieli się wedle zwyczaju narodowego życzeniami przy opłatku, dzieli się zarazem i duchową nadzieją w Chrystusie Panie, że niewysłowione bole i udręczenia tegoroczne przemieni nam rychlej czy później w niewysłowioną błogość i radość. Naród nasz pokutuje i kaja się, sieje łzy i krew na ziarno, które o ile z wiary, o tyle rodzajne. Wielkie biedy i straszne zmory bez ustanku dręczące nas, to kuszące, są, Mamciu, czasowem jeno dopuszczeniem, zapowiedzią może bliskiej łaski już Pańskiej, przeminą też jak te zimowe mgły, gdy słońce z Nieba przygrzeje. Wyczekujmyż w modlitwie i cierpliwości chrześciańskiej, aż wylecą, jak lud wierzy, jaskółki z pod lodów. Mędrcy tego świata drwią z jaskółek zamrożonych, ale drwią i z wiary i z cudów. Obaczym co wiedzą pyszałkowie. Te jaskółki, Mamciu, to symbol naszych Sybirczyków, których Pan wzbudzi kiedyś, ku wiośnie. Daj Boże, o daj! W tej patryotycznej nadzieji skupiam wszystkie życzenia dla was i dla nas. Mniejsza o resztę.

Mamciu moja, stary rok kończy się klęskami publicznemi, to nie godzi się obliczać osobistych strat. Umarło mi wielu, wielu z młodych przyjaciół, a pod koniec i najstarszy druh mój humański Michał[2]). Onegdaj był u mnie ex-Minister Krzywicki, który inaugurował Michała na swojego następcę. Opowiadał budujące szczegóły walki jego moralnej, nim poświęcił się na całopalenie. Uczynił wiele dobrego, nim zagryzł się. Charakter atoli miał chwiejny, to, umarł w sam czas. Ksiądz Aleksander dla kilku przyjaciół odprawił Mszę św. za duszę Michała. Uczyńcie toż samo

[1]) Brat Bohdana.
[2]) Grabowski.

w Hyères. Niech Dyzia uprosi ks. Józefa o Mszę za intencyę starego swego znajomego z nad Taśminy.....

Dość Mamciu, i t. d.

*Bohdan.*

## Do Hrabiego Daryusza Poniatowskiego, w Hyères.

*Paryż, d. 6. lutego 1864 r.*

Kochany Daryuszu, dzięki Bogu, ochłonęliśmy nareszcie po kilkudniowem przerażeniu. Stan chorego [1]) jest uspakajający [2]). Gorączka i kaszel już niemal ustały. Kilka nocy spał wybornie, i dopiero dzisiejszej napadła go znowu bezsenność. Doktor w tej chwili co wyszedł od Józefa i upewnia, że nie ma pogorszenia. Pozwolił na posilniejsze jedzenie, na skrzydełko od kury, na kotlet barani, kieliszeczek wina itp. Oczywiście chory nasz potrzebuje wzmocnienia sił. Pod względem moralnym zostaje wciąż w podniesieniu religijnem. Język mu się rozplątał i z trudnością daje się skłonić do milczenia. Lubi opowiadać różne swoje przygody z młodszych lat. Dla tego mało kogo z gości i znajomych do niego wpuszczamy, bo tem gadaniem strasznie się nuży. Niecierpliwi się też łacno i dąsa się jak wszyscy chorzy. Ciągle dopytuje się o listy wasze i czyśmy do was pisali.

O wyjeździe do Hyères nie ma co jeszcze i myśleć. Potrzeba dużo czasu, zanim ukrzepią się siły na tak daleką podróż. Jeśli konwalescencya pójdzie pomyślnie, sam Józefa odwiozę do was rzemiennym dyszlem, bo niemiałbym serca odstępować go w takim stanie, choćby i pod czyją bądź strażą.

W tej chwili, po wypiciu rosołu, Józef nasz zasnął smacznie i jak najspokojniej. Przedonegdaj i onegdaj wyprawiliśmy dwa listy do Mamci, na które nie mamy odpowiedzi...

Sercu swemu i t. d.

Wasz

*Bohdan.*

---

[1]) Brata, Józefa Zaleskiego.

[2]) Było to pozorne tylko polepszenie, Józef Zaleski umarł 8-ego lutego.

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, d. 11. lutego 1864 r.*

Mamciu droga, jedynaczko Józefowa i moja, i wszyscy wy rodzeni Józefowi, rodzeni własni nasi w spadkobierstwie po bracie, po druhu mego tułactwa! Pokój wam, pokój w Chrystusie Panu! Telegrafowałem już wam, że ukochany nasz wrócił do Ojca, do wiekuistej swojej Ojczyzny [1]). Usnął snem sprawiedliwego, obdarowany widzeniami błogosławionych Pańskich. Używa on szczęścia świętych, jest dzisiaj patronem i orędownikiem naszym na Niebiesiech. Wiem to i czuję w głębi duszy. Błogo nam, żeśmy patrzyli na piękne, chrześciańskie skonanie. Daj nam Boże wszystkim tak umierać!

Po Bożemu nie godzi się sarkać, ale mówiąc po ludzku, ciężkie nasze sieroctwo. Święć się Wolo Boża! Miłość i boleść, toć jedno i to same uczucie, toć znamię Boże w człowieku, znamię najwyraźniejsze nieśmiertelności jego duszy. Szamoczem się jeszcze w sercach wspomnieniami naziemskiej spółki od tylu, tylu lat. W każdej chwili i na każdym kroku, brak mi druha, brak nam ojca i brata. Zosia moja w gwałtownem rozdrażnieniu uczucia miłości i boleści żadną miarą ukoić się nie może, ani dzieci utulić się w płaczu. Ja, dzięki Bogu, jako w podeszłym wieku i tem samem bliższy kresu mego, pogodniej niosę zastrzał w piersi. Minie kilka chwil, a odnajdziem się wszyscy w Bogu naszym i na wieki już wieków.

Mamciu moja duszko, pogrzeb odbył się wczoraj okazale, przy ciżbie życzliwych rodaków i pobożnych Francuzów. Szedłem za trumną tuż z trzema synami. Zosia opodal z Józią niesiona niemal przez Ignasia Plichtę. Bóg jej dodał sił. Zwłoki Józefa złożyłem tymczasowie w grobie świątobliwej Mężeńskiej, zanim je kiedyś da Bóg do Polski odwiozę i sam obok nich się położę. Blisko jest od nas cmentarz, to często będziemy mogli odwiedzać ukochanego.

---

[1]) Józef Zaleski, przybrany brat Bohdana i nieodstępny jego towarzysz podczas tułactwa, umarł 8-go lutego. Mąż rzadkich cnót, wszystko co miał rozdawał ubogim i aż do ostatniej chwili życia służył rodakom. W listach Pułkownika Karola Różyckiego, ogłoszonych w drugiej części korrespondencyi B. Z., czytelnik znajdzie opisanie pięknego czynu, dopełnionego przez Józefa Zaleskiego na początku emigracyi, świadczącego o szlachetności uczuć jego.

O szczegółach choroby, skonu i pogrzebu Józefa nie jestem w stanie pisać. Może Bóg dozwoli, że przyjadę do Hyères popłakać z Wami. Radbym także popłakać w Endoume, bośmy tam szczerze miłowali Boga i na pustyni chwalili. Kochani moi! jakaż bo śmierć Józefa? Zbudował spowiednika swego i doktora. Pobożna niewiasta, co czuwała po nocach przy ciele, czuła jakoby woń świętości, mówiła nam: *il estpredestiné.* Nigdy jej nie zdarzyło się widzieć podobnego trupa. W rzeczy samej przemienił się w skonaniu, odmłodniał o 20 lat, wypiękniał, że wszyscy odwiedzający dziwili się i chwalili Boga. Aby i was uczynić uczestnikami tego cudu, posłałem umyślnie po fotografa. Próbował po trzykrotnie nim się zadowolnił. Niewiem, jak się udało, jutro ma mi przysłać eprewy, jeśli choć cokolwiek będą podobne, nieomieszkam zaraz wyprawić do Hyères.

Zosia bardzo mi źle na zdrowiu, muszę kończyć.

Ścielę się do nóg twoich, Mamciu, z pokorą Józefową i całuję, całuję na ukojenie spólnej boleści. Całuję was tam wszystkich w Panu, przy którym gości dzisiaj nasz ukochany.

Wasz

*Józef Bohdan.*

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, 18. lutego 1864.*

Mamciu droga, wczoraj wypłakałem się i wymodliłem na grobie mojego świętobliwego druha Józefa, to lżej mi, raźniej i jaśniej w duszy..... Od chwili pogrzebu Józefa, pokoik jego zamknąłem na klucz. Papiery i książki jeszcze dotąd w nieładzie, ale je uporządkuję i spiszę na rejestr, jak ukołysze się boleść w sercu i mniej udręczać pocznie widok tych świętych pozostałości.

Muszę, Mamciu, kończyć. Wczoraj był u mnie stary Jenerał Chłapowski. Nie zastał mnie w domu, ale napisał rzewne słówko o Józefie. Biegnę mu podziękować, zanim odjedzie może gdzieś dalej. Ciągłe wizyty to rewizyty trzymają mnie jak w odurzeniu. Nie mam czasu skupić się w boleści mojej. Do Dyzi napiszę jutro lub pojutrze.....

Całuję i t. d.

*Józef Bohdan.*

...RACYA KAS... MIASTA NOWEGO SĄCZA.



## Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej, w Hyères.

*Paryż, d. 20. lutego 1864 r.*

Droga siostro Dyonizyo, dziękuję rzewnie i serdecznie za listek powonny, orzeźwiający piersi wskróś. My oboje tu. duszko, w osieroceniu po Józefie, nie osmutnieliśmy wcale i owszem czujem błogość w duszach. Pan udarował go extazą i widzeniami błogosławionych swoich, to mamy oto przyczyńcę u Ojca w Niebiesiech. Nieustanna tęsknota i płacz po nim, to hołdy ziemskie należne od jeńców śmierci wyzwolonemu już duchowi. Od chwili rozłączenia się tu naszego, myśl moja niemal ciągle gości przy Józefie, z lubością leci kędyś w rozstrzenie Boże, po śladach ukochanego, niże, liczy niby na rożaniec wspomnienia i przeczucia minionych dni. I Zosia moja tak samo żyje myślą przy nim. Wstrętne nam pospolite rozmowy i pisanie. Musem tylko, musem chrześciańskim obowiązków, przezwyciężamy się do powszedniego życia. Duchy nasze nierychło zawrócą z pogoni swojej za Józefem.

Prawda. Dyźciu, że bez Józefa nieznalibyśmy się nawzajem. Józef d a r o w a ł mnie wam, a was mnie. Niewybadane i cudowne sądy Boże! Ongi, przed laty, po klęskach Ojczyzny, na cudzej ziemi, dwaj dalecy krewni, dwaj tułacze rzucają się sobie w objęcia, bratają się na żywot. I P a n widocznie błogosławi związkowi, oczyszcza, uświęca, rok po roku przymnaża serc, że po leciech tworzy się jakoby drobna winnica, jakoby żywa pieśń chwały Bożej o wielu, wielu wrotkach. Były niepogody, słoty, mnogie niebezpieczeństwa, aleśmy je za łaską Pańską przetrwali. Józef był rdzenią i klejem między nami. Azaż dziś, po odejściu do Ojca, przestanie czuwać po dawnemu nad sierocem gronkiem? Chowaj Boże! Lecz, aby się Józef nie zaparł nas nigdy w Niebie, żyjmy jak on na ziemi. Łacnoć to poczuć, ale jak trudno dokonać. Mąż to był pokoju, cichy, cierpliwy i pokornego serca, a więc bodaj niedorównamy nigdy swemu wzorowi. Józef nasz posiadał i inne chrześciańskie cnoty dostępniejsze dla nas. Dłoń w dłoni pielęgnujmyż je w sobie, na rozkwitnienie i na owoc. Dyziu, ty dostałaś dar bujnej, samorodnej myśli. Módlmyż się za pośrednictwem Józefa, aby nas Pan nie wydał na pokuszenia, w tych osobliwie ciężkich próbach, jakie ze wszech stron godzą na Polskę. Módlmy się wszyscy nie za siebie, ale za Polskę, g ł ó w n i e z a P o l s k ę.

Dyźciu, wszystkich w około ucałuj, ubłogosław od nas, bądź węzłem i spójnią między nami na rozstrzeniach

Wasz

*Józef Bohdan.*

Dziękuję za spółczucie dla mojej Zosi. Miłująca i zbolała, bo płacze jeszcze, płacze wciąż po Józefie. Gwałtownica, ewangeliczna radaby szturmem wziąć Niebo.

## Do Księdza Jana Koźmiana, w Poznaniu.

*Paryż, 29. lutego 1864 r.*

Kochany księże Janie, wiesz zapewnie zkądinąd o sieroctwie naszem. Swiątobliwy Józef, mój nierozłączny druh, już u Boga. Śmiało mówię u Boga, bo obdarowanym był w skonaniu extazą i widzeniami błogosławionych Pańskich. Jak życiem, tak i śmiercią zostawił ludziom zbudowanie.

W domu atoli pustka i żałoba po nim. A w sercuż mojem? Pamiętasz, księże Janie, duchowną spółkę naszą od początków emigracyi, pielgrzymki do Jeruzalem, do Rzymu, rekollekcye po Trappach itp. Święć się wola Boża! Ale czuję zastrzał: *„haeret lateri laetalis arundo!“*

Wobec klęsk i nieszczęść krajowych, nie godzi się zasklepiać w osobistej boleści. Załączam parę luźnych pieśni. Dla mnie mają one wartość przekwitłych wspomnień. Jeśli upatrzysz w nich i wartość literacką, wydrukuj w Przeglądzie, a proszę cię, dopilnuj sam osobiście korekty.

Pozdrów najserdeczniej odemnie twego brata Stanisława. Od czasu do czasu napiszcie słówko nam o zdrowiu i powodzeniu waszem. Wiem dość dokładnie, księże Janie, o twoim arcyużytecznym Instytucie, o twoich troskach powszednich i walkach z piśmiennikami. Szermierz ty Boży i bodaj na żywot już cały, szermierz namaszczony.

W tych dniach wyjadę na czas jakiś do Hyères, do siostry i siostrzenic ś. p. Józefa. Kochany księże Janie, sercu twemu obudwom nam ongi tyle życzliwemu polecam się z całym domem i proszę o westchnienie czasem kapłańskie przy Mszy św. za nieboszczykami i za nami, osobliwie 8-ego każdego miesiąca...

Czy sierotka po Michale Grabowskim zawsze przy tobie, księże Janie? Jakie zdolności i usposobienie? Michał, najdawniejszy to był mój przyjaciel. Odbyło się tu nabożeństwo za jego duszę. Pan Krzywicki udzielił mi o nieboszczyku wiele ciekawych szczegółów. Czy masz stosunki z Panią Michałową? Jenerał podobno odroczył wyjazd do domu.

Od żony mojej i dziatwy łączę ukłony i pozdrowienia.

*Bohdan Zaleski.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

# RZECZ O UCZUCIACH LUDZKICH.

(Ciąg dalszy).

## IX.

### Ideał człowieka.

Tak jak piękność swoją, bardziej przyrodniczą jeszcze i zmysłową posiada patryarchalna rodzina w prostocie swojej, społeczeństwo o epicznym ustroju, rolnik i żołnierz, para młodych kochanków, matka z dzieckiem albo starzec poważny, schodzący do kresów żywota oznaczonego ludziom, a nie nękany żadną ciężką ułomnością, tak przyznajemy podobną piękność wybuchowi potężnemu zmysłowej namiętności, będącemu doskonale prawie ujawnionym ideałem zdarzenia; pięknymi są już łania spłoszona, rumak rozpasany, lew gniewny, a poeci i aktorowie zachwycają nas namiętną miłością Romea lub Kleopatry, zazdrością Otella a choćby widokiem doskonałego skąpca lub tchórza; muzycy cieszą dając odczuć w tonach wyraz miłośnych, lubieżnych, ochoczych, albo gniewliwych namiętności. Te objawy zmysłowych namiętności uzupełniają obraz człowieka zmysłowego, i cieszą o ile są pełne, w swoim rodzaju doskonałe. Jeśli jednak piękność duchowa im nie towarzyszy, jeśli chodzi o pospolitą zazdrość Skapena, o lubieżność Falstafa, tchórzostwo Papkina i łakomstwo Harpagona, albo jeśli słyszymy li zmysłowe tony operety, lub dzikiego ludowego tańca, nie uduchownionego przez artystę, mamy do czynienia z pięknością niższego gatunku, będącą przedmiotem satyrycznej komedyi, a pobudzającą do śmiechu, przeto, że człowiek z taką tylko namiętnością, choć pospolity, bywa jednak wiecznie niespodzianką niezgodną z wiecznie zagnieżdżonym w na-

szym umyśle a przeczuwanym przez nas ideałem człowieka, i przeto że człowiek taki wydaje nam się w gruncie rzeczy niedoskonałym wielce, brzydkim, niedorzecznym, niższym i godnym dumnego politowania.

Piękną naprawdę, naprawdę ludzką i duchową a zatem godną tragicznego poety staje się namiętność ludzka, niesiona przez jakąś doskonałość duchową, przez wielki rozum, wielką miłość albo potężną wolę, a tragicznym bohaterem bywa człowiek namiętny wprawdzie, ale obdarzony taką, choćby jednostronną doskonałością ducha, i tę doskonałość podziwiamy w nim przedewszystkiem, a jego namiętność nawet pięknieje, oświecona promieniami iskrzącego się już potroszę duchowego ideału.

Rozumu wielkiego potrzeba poetycznej postaci koniecznie, jeśli ma się wznieść ponad płaski poziom śmiesznej albo tylko satyrycznej komedyi, jeśli to ma być postać poetyczna, a choć ten rozum nie zjawiał się w czynach, owładniętych przez zaślepioną namiętność, albo wyrażających naiwne niedoświadczenie, wyraża się w mowie postaci poetycznych, pełnej wyobraźni, władnącej słowem, obdarzonej wyrazistością i jędrnością, której w życiu mógłby chyba zadziwiający geniusz sprostać. Gdy tej mowy nie masz, nie masz dzieła poezyi, a czem piękniejsza a zatem rozumniejsza mowa, tem doskonalszy poemat. Tłumacz koszlawiąc język psuje poemat, wspaniałą tragedyę w pospolite zamienia widowisko. Tej intelektualnej piękności dramatycznych postaci domagamy się koniecznie, ponieważ ujawniają się samą tylko mową, myśli uzmysłowieniem i ponieważ rozum bywa jedynem pierwotnem źródłem duchowego życia, skorośmy dostrzegli, że wola dopiero rozumem wyrasta ponad pożądliwość zmysłową, i skoro rzeczą oczywistą, iż miłość duchowa tem tylko od instynktowej się różni, że się na nią rozumna u człowieka wola zgodziła. Jednak samej słów mądrości na dramat nie starczy, i pięknym nie jest jeszcze człowiek inteligentny tylko, umiejący zajmująco gadać, a nic więcej. Pewien urok posiada; spodziewasz się po nim rozumnej woli i uczuć rozumnych; jak ich nie znajdziesz, odwrócisz się i gotóweś się po słuszności ze słów błyskotliwych naigrawać, zawyrokowawszy. że życie takiego człowieka, niedorzecznie niedotrzymaną obietnicą.

Większe zajęcie wzbudzi dopiero inteligencya ludzka, gdy miłości jakiejś wielkiej służy, a ten, który kochać umie, bywa ukochanym przez widza i czytelnika bohaterem dramatu, naprawdę godnym umiłowania człowiekiem. Wystarcza, jeśli rozumiejąc ko-

cha, prócz siebie kogoś i zaślepiona miłość kochanków staje się w poezyi cudnie piękną, gdy się poetycznie wyrazić umie; podziwiamy tych kochanków, jednak nie bez uśmiechu pewnego pobłażliwego politowania; wyżej już uszanujemy miłość rodzinną, a podziwiając oddamy palmę bohaterstwa tym tylko, którzy ukochali ojczyznę, albo pewną mnogość ludzi, domagającą się praw swoich; z większym jeszcze podziwem, przezwiemy świętymi tych, którzy ukochali ludzkość, Boga, wszechświat. Pięknieje nawet gniew zamieniony w zazdrość lub oburzenie, albo zapał wojenny, pięknieją rozpacz i szalona uciecha, lęki i lekkomyślna ufność w przecenione siły, gdy źródłem ich miłość bywa; ale piękną naprawdę ta miłość dopiero wtedy, kiedy samolubstwo ze wszystkiem przemógłszy doprowadza kochającego do zupełnej ofiary z samego siebie, do wyrzeczenia się wszelkiej zmysłowej pomyślności a wreszcie życia, i taka dopiero miłość pięknością swoją tragicznego tworzy bohatera.

Bez woli stałej a potężnej bohatera nie będzie; więc wola wielka w każdej poetycznej, tragicznej tkwi postaci. Ona czasem przeważa, ona sama nasz podziw wywołuje, gdy wielki człowiek i wielki samolub przed nami staje. Będzie jednak ohydnym i nienawistnym, jeśli moce swej woli zwróci jedynie ku zadośćuczynieniu zmysłowej pożądliwości, choćby rozumnie obrachowanej; aby tragicznym był, potrzebuje nietylko rozumu, bez którego miejsce woli zajmie namiętne zaślepienie upartego zwierza, ale także jakiejś miłości — choćby żądzy sławy, mocą której w późnych żyć będzie pokoleniach. Sama ta żądza nie okupi dla niego widzów współczucia — pewną go przecie pięknością ustroi.

Co się w sztuce pięknem wydaje, bywa także pięknem w rzeczywistości; podziwiamy ludzi inteligentnych, pełnych miłości, silną wolą obdarzonych. Jeśli te piękne ducha własności nie są u nich w równowadze, częściowe im się tylko dostaje uznanie, powiadamy o nich, że mają piękne strony duchowe, to znaczy jakoby piękne części ducha, pojedyńcze, piękne, duchowe własności. Inną, zupełniejszą piękność przedstawia duchowa równowaga, dla poetów mniej dostępna, nie budząca współczucia namiętnego u ludzi, witających w bohaterze własne słabości, blaskiem wielkich cnót opromienione, nie sprowadzająca tragicznych zawikłań, które budzą ciekawość i coraz nowe wywołują wrażenia. Tam nawet, gdzie ani rozum, ani uczucie, ani wola do niezwykłego nie doszły rozwoju, ale gdzie pozostają we właściwej równowadze, doznajemy przyjemności, poznając spokojną harmonię ducha, uzna-

jemy, że taki człowiek zrównoważony jest pięknym na duchu. Gdzie jedna strona duszy do nadzwyczajnej dojrzewa piękności, bywa zazwyczaj harmonia zamąconą, podobnie jak tam, gdzie rozum, albo uczucie, albo wola skoszlawiały. W drugim wypadku odwracamy się z niechęcią od duchowej ułomności, w pierwszym orzekamy, iż mamy do czynienia z postacią zajmującą, której piękność częściowa uderzy nas zrazu silniej, nie potrafi nas tak długo cieszyć, jak cnotliwa harmonia ducha, u rzeczywiście doskonałego człowieka zjawiona. Pełna piękność duchowa, w której doskonały rozum, z wielką miłością i potężną wolą złączone, rzeczą, której w rzeczywistości nie napotykamy; to ideał duchowy; a nawet poetom nie stało siły, na takiego ideału przedstawienie, podobne do prawdy. Czar estetyczny Ewangelii, piękność Ewangelii niezrównana zależy na tem, że wyprowadza po przed nas żywą postać Chrystusa, urzeczywistniającego ten duchowy ideał, w człowieku historycznie i poetycznie prawdziwym, a zatem najwyższego podziwu godnym.

Tak, jak rozróżniamy u ludzi obok zmysłowej, duchową czynów piękność, napotykamy w ciągu dziejów na obyczaje i społeczeństwa, posiadające piękność duchową obok, a najczęściej zamiast owej epicznej, instynktowej piękności społeczeństw pierwotnych — a treść dziejów takich, duchowo pięknych społeczeństw, bywa dramatyczną, tragiczną, dlatego, że żadne z nich nie doszło do wewnętrznej doskonałej równowagi, nie stało się społeczeństwem idealnem, do któregoby zapewne także epiczny pokój powrócił. U jednych narodów przemogła wszystko wola, rozwijana umyślnie, przygniatająca uczucie, niedopuszczająca wzlotów rozumu ku nauce i sztuce. Takiemi były Sparta i Rzym republikański. Także i naturalne instynkta człowieka ulegały w takich społeczeństwach uciskowi woli skierowanej ku nabyciu politycznej potęgi i nastawał obyczaj srogi o tragicznej piękności, ale pozbawiony naturalnego spokoju. W Indyach poniekąd i w średniowiecznem Chrześcijaństwie rozrosła się miłość jednostronnie, bolejąca nad cierpieniami stworzenia, albo ulatująca do Boga, zdolna do lirycznych uniesień, oddająca się dobrowolnie na cierpienie, rozmiłowana w cierpieniu, znowu tragicznie piękna, a zaprowadzająca żywot ascetyczny, klasztorny, zapoznający znaczenie przyrodzonych człowieka instynktów, sztuczny, pozbawiony epicznej piękności, obdarzony pięknością duchową. W upadającej Grecyi, w Aleksandryi Ptolomeuszów a przedewszystkiem w nowożytnej Europie, nastało panowanie rozumu wydoskonalonego dziwnie i obyczaj znów pię-

kny, o ile się tyczy życia uczonych, artystów i prawdziwie wykształconych, a znów tragiczny, bo wynoszący garstkę słabych wolą i uczuciem ponad tłum gniewny, oddający najzdolniejszych pod jarzmo zbyt mądrze pomyślanej, a jednak bezrozumnej maszyny społecznej. Takie społeczeństwa przeczuwają nieunikniony upadek jednostronnego rozkwitu, ludzie w nich nienasyceni rozumem, tęsknocie samolubnej oddani, czują się nieszczęśliwymi mimo skarbów wiedzy i sztuki, i są świadomi tego, że żyją pośród tragedyi.

Dzisiejsze zbyt mądre społeczeństwo bierze częstokroć tęsknota za powrotem do epicznej prostoty, do chłopskiego życia; w średnich wiekach wyrywano się ustawicznie z pod cnoty klasztornej, popadając w to, co za grzech miano, byle żyć naturalnie — zgodnie z przyrodzeniem zmysłowego człowieka; Spartyata i Rzymianin tłumili w sobie chęć wyswobodzenia z pod żelaznego jarzma jednostronnie rozwiniętej woli, ale ani wątpić, że tęsknota za swobodą nieraz w ich twardej odezwała się piersi, wpierw, zanim się nie odezwała głośno w wierszach poetów Augustyckiej doby. A jednak, gdy złorzeczymy cywilizacyi, czujemy na pewne, że nam się jej wyprzeć nie wolno, że piękność sielanki, albo bohaterskiego śpiewu nie równie jest niższą od tych piękności, jakiemi zajaśnieli Rzymianie, albo pobożni synowie średnich wieków, od duchowej a rozumowej piękności narodów cywilizowanych. Wiemy, żeśmy powinni dążyć do coraz większego rozumu, żeśmy powinni w sobie wskrzeszać i wzmagać miłość i hart woli, że mamy dążyć do duchowej pełni społeczeństw, choćby to miało być połączone z najsroższą poniewierką przyrodzonych instynktów człowieka. Gdybyśmy tego nie robili, wzgardzilibyśmy sobą, wiedzielibyśmy, żeśmy się stali nikczemnikami, albo zbrodniarzami, a społeczeństwo, któreby się zrzekało wiedzy, miłości, woli statecznej, aby wrócić świadomie do półsennego stanu natury, byłoby tak ohydnem, że zmysł piękna tkwiący w ludzkiej istocie, nie dopuści nigdy, aby takie poczwarne społeczeństwo powstało, aby się ktoś wyraźnie przyznał, że jego pragnie.

Podobnie wyrokujemy o człowieku i wyrokując uznajemy, że piękność duchowa jest tak nierównie wyższą od zmysłowej, iż się należy zmysłową dla duchowej, w razie potrzeby poświęcić. Człowiek piękny na ciele stanie się przedmiotem wzgardy i obrzydzenia, jeśli się okaże nikczemnikiem, a czcią pełną podziwu otoczymy upośledzonego na ciele kalekę, w którym wielki poznamy charakter. Podobnież zniknie nasze upodobanie do człowieka ży-

jącego swobodnie i zmysłowo szczęśliwie, na wsi, na swojej ziemi, wśród swojej rodziny, a oddanego męskim i rycerskim ćwiczeniom, skoro dostrzeżemy, że nie ma rozumu, serca albo woli, a nierównie przełożymy i nierównie piękniejszym uznamy samotnika, walczącego z niedostatkiem, wśród prozaicznego miasta, albo mnicha lub więźnia, jeśli to ludzie o wielkim rozumie, potężnem uczuciu, albo niezłomnej woli. Co więcej, wtedy dopiero jawi nam się w pełni piękność duchowa, wtedy nas dopiero w podziw istotny wprawia, jeśli człowiek wyrzeknie się dla niej piękności fizycznej, zdrowia, przyrodzonego szczęścia, wolności. Bohaterów Sparty i republikańskiego Rzymu podziwia młodzież z uniesieniem, gdy się dowie o tem, jak obierali sobie śmierć, jak znosili męczarnie, byle nie ugiąć woli; pięknością świętości opromienieni chrześcijańscy męczennicy, a ludzkość przyklaśnie mężowi narażającemu albo poświęcającemu życie dla naukowego badania. Starożytność klasyczna mieniła najdoskonalszym z Helenów brzydkiego na ciele Sokratesa, który śmierć przeniósł nad odstępstwo od przekonania, Azya uklękła w podziwie przed Budą, ponieważ wyparł się skarbów i królewskości, aby dzielić los nędzarzy, a ludzkość modli się do ukrzyżowanego Chrystusa. Poeci nieraz opisywali męczarnie poniesione przez niezłomnych, a chrześcijańska sztuka malarska i rzeźbiarska nowej tragicznej nabyła treści, wyobrażając mękę Pańską, albo choćby tylko jej rozpamiętywanie. Ludzkość czuje, jest przekonaną, że ciało powinno być tylko narzędziem ducha, które winno być odrzucone, skoro się tego ducha doskonałość domaga; ciało jest nam tylko środkiem, środkiem zmysłowe szczęście, celem doskonałość duchowa.

A jakośmy widzieli, rozpamiętując przedhistoryczne dzieje płanety, że rozum, który przyrodą i nami wszechmocnie władnie, rozum przez ludzkość Bogiem nazwany, dążył ku wytworzeniu piękności tej, którą my pięknością zmysłową być mienimy, tak dostrzeżemy, bacząc na dalszy tok tych płanetarnych dziejów, że ich dalszym, ostatecznym celem widocznie nie co innego, jak tylko duchowej piękności wytworzenie. Rozwój organizmów kończył się na człowieku, miał na celu wytworzenie człowieka, i współczesnego świata pięknego, któryby mógł podziwiać, którymby mógł zawładnąć. Wraz z człowiekiem zjawiły się moce duchowe, zjawił się duch doczesny, wśród ziemskiego stworzenia. Więc cała przedhistoryczna praca stworzenia, wszystkie przedludzkie ciał przemiany były jedynie przedmową do historyi ludzkiej a zatem duchowej, były tylko wytwarzaniem przybytku dla

sił duchowych. A za prawdą tego poglądu świadczy także jego piękność, bo świat cały tak niezawodnie jest wyrazem rozumu, na którego podobieństwo nasz rozum stworzony, że prawdziwemi i doświadczeniem zatwierdzonemi okazały się zawsze tylko hipotezy prostotą uderzające, mądry rzeczy układ głoszące, a wprawiające nas w podziw dla piękności swojej.

Nie chcę i nie mogę tu roztrząsać domysłów, wedle których najdawniejsza ludzkość była podobną do najdzikszych, zupełnie umysłowo upośledzonych, do żadnego postępu niezdolnych plemion dzisiejszych, pozbawionych nawet owych wyżej rozwiniętych a jednak przyrodniczych instynktów człowieka, które z niego polityczne i do religii pewnej zdolne, nadzwyczaj przebiegłe, przemyślne i niebezpieczne zwierzę czynią. Takie na duchu okaleczałe plemiona wydają się raczej wytworem zboczenia, moralnej choroby, duchowego kalectwa pewnej części ludzkości, skazanej na wymarcie. Nikt jednak o tem nie wątpi i cała historya o tem świadczy, że początkowy, tak zwany patryarchalny żywot ludzkości, mógł tylko epiczną, przyrodniczą pochwalić się pięknością, że duchowe moce pierwotnych narodów uśpione, jawiły się tylko polityczną, albo artystyczną twórczością wyjątkowych genialnych jednostek, że ogół ludów pierwotnych śnił bezwolnie, obojętnie i bezmyślnie w obieżach instynktowego obyczaju, władnącego zresztą dotąd ową większą częścią ludzkiego rodzaju, która biernie Azyą i Afrykę zamieszkuje. A przez długie wieki zboczenia od obyczaju na złe tylko wychodziły, wiodły tylko do samowoli, do ohydnej rozpusty, albo ohydnego okrucieństwa, do despotyzmu, bałwochwalstwa, wojennych albo orgiastycznych szałów, do owych abominacyi duchowych, które wreszcie niektóre zdziczałe plemiona doprowadziły do zatraty znamion człowieka. Prawdziwe duchowe życie zjawiło się dopiero na jakich tysiąc lat przed Chrystusem, u niektórych ludów białych, i cywilizacya duchowa istniała zrazu tylko na wybrzeżach Morza Śródziemnego; wyższej cywilizacyi jedynym przybytkiem były długo tylko kantony małej Grecyi, Syryi i Włoch, a tok dziejów rozszerzał nieustannie tej cywilizacyi pole, aż objęła dziś Europę, Amerykę i Australię, a sięga do dwóch pozostałych części świata. Uszanowanie dla godności człowieka, miłość bliźniego, bywały zrazu ograniczone do garstki obywateli jednej gminy, a w ciągu dziejów na całą rozszerzają się ludzkość. Religia uznająca jedynego Boga, jako źródło wszelkiej mądrości a najwyższej miłości przedmiot, wpierw tylko dla wybranych umysłów dostępna, szerzy się dopiero od lat dwu tysięcy. Nauk postęp bywa

nieustający, a jeśli Grecya wydała już przed wiekami nieprześcigłe arcydzieła sztuki, nie da się zaprzeczyć, że sztuka narodów chrześcijańskich głębszej, pełna treści, że owoce artystycznej twórczości nigdy wpierw nie były dostępne dla tak licznych rzesz, jak te, które z niemi dziś obcować mogą i umieją. Wola starożytnego bohatera i średniowiecznego świętego były niezłomne i najwyższego podziwu godne, ale coraz głębsze zbadanie tajemnic przyrody nadaje coraz skuteczniejszą siłę zbiorowej woli ludzkości. Ślepym zatem jest ten, który przeczy, że treścią dziejów coraz większy postęp, coraz większe rozpowszechnienie duchowych zdolności człowieka, a nieprzepartą jest u narodów wiara, że historya wciąż w tym kierunku rozwijać się będzie, że jej celem, jej ideałem duchowa doskonałość, będąca także ideałem każdego człowieka, celem stworzenia.

Gdy na kolej dziejów spoglądamy, dostrzegamy, że najpierw w starożytności wystąpiła w pełni siła woli, którą antyczni zasłynęli bohaterowie; że następnie rozwój uczuć religijnych i miłośnych przeważny znamionował średnie wieki, a że panowanie rozumu nastało za czasów nowożytnych tak przeważne, że aż analizą zdaje się podkopywać miłość i wolę. Niektórzy widzą w tej rozbujałości inteligencyi niebezpieczeństwo, którego cała moc wynalazków mechanicznych zrównoważyć nie zdoła; wierzymy jednak, że ludzkość temu niebezpieczeństwu nie ulegnie, że wiedza przeszedłszy przez sceptyczną analizę, przejdzie w pełni swojej do okresu twierdzącego i wierzymy, że ludzkość dążąc nieustannie do wszechwiedzy, zachowa skarby woli i uczucia, bez którychby wskazane jej przeznaczenie się nie ziściło.

Gdy wrócimy od rozpamiętywania społeczeństw i dziejów do ludzkiej jednostki, dostrzeżemy, że chcąc dojść do idealnego duchowego rozwoju, musi najpierw wyrobić w sobie charakter, wzmocnić wolę, tak, jak wolę wychowały w sobie narody klasycznej starożytności. Raz wyrobiwszy w sobie dobrą wolę możemy natychmiast osiągnąć miłość, zapewniającą już duchowe szczęście, tak jak chrześcijaństwo nasyciło tęsknoty ludzkiego rodzaju, w średnich wiekach. Dopiero miłością obdarzeni, możemy ukochać wiedzę jako cel, a nie jako środek tylko — jak to najszlachetniejsi z nowożytnych uczynili, ale celu i końca nie dopniemy nigdy w rozwoju intelektualnym. Możemy mieć wolę zupełnie doskonałą, uspokojoną w cnocie, miłość doskonałą, obejmującą wszystko w swojem duchowem źródle, Bogu; wszechwiedzy nie nabędziemy nigdy, ani w tem życiu, ani wśród nieśmiertelności, bo

wiemy, że jest rzeczy nieskończoność, o których wiedzieć mamy, że pomnożywszy wiedzę tysiąckrotnie, pozostaniemy tylko ograniczonymi duchami, znającymi nieskończenie małą cząstkę prawdy, że trzeba czasu nieskończenie długiego, abyśmy wszechwiedzę nabyć mogli, to jest, że jej nie nabędziemy nigdy. Niezłomnej, świętej woli i wszechmiłości nie widujemy w życiu, ale pojmujemy, że może się stać udziałem ducha i wiemy, że tylko wtedy duch osięgnie szczęśliwość bezpieczną, zupełną, jeśli się stanie świętym i wszechmiłośnym. Takie chyba duchy wyobrażamy sobie w niebie. Wszechwiednymi jednak nie będą a radować się będą życiem bez końca, poznając bez końca, zbliżając się zawsze do ziszczenia ideału ducha, do poznania tego, co jest wszechwiedzą, nie dochodząc nigdy do celu. To jest treścią religijnych nadziei, a szczęście ludzkie o tyle się ziszcza wśród doczesności, o ile dąży do ujawnienia ideału ducha. Rozumu, woli, uczucia upokorzenie wszelkie nieszczęściem duchowem bywa, szczęściem duchowem to, co te siły wzmaga, a gdy się spytamy na prawdę, czem sobie boleść fizyczną wytłumaczymy, zdamy sobie łacno sprawę, że ciało mienimy swojem narzędziem, za pomocą którego poznajemy, miłość okazujemy czynem, wolę swoją przeprowadzamy, i że dlatego pragniemy jego rozwoju i zadość uczynienia przyrodniczym popędom rodzaju ludzkiego.

Ideał ducha a zatem cel ostateczny, a nie dający się nigdy ujawić wszechistnieniu, jest to duch doskonały. Dzieje planety pouczają nas, że rozwijało się coraz doskonalsze zmysłowe życie, aby stać się narzędziem ducha ludzkiego, który się na ostatku z pośrodka jestestw zmysłowych wyłonił, a dzieje ludzkości i cała historya żyjących ludzi świadczą o tem, że tak ludzkość zbiorowa jak i pojedyńczy człowiek, parte mocą, stanowiącą treść ich istoty, usiłują się ustawicznie zbliżyć do ujawnienia tego ideału. Widzimy, że martwa materya przejęta tylko ślepą siłą, przypominającą żądze, zarodek nieduchowy jeszcze woli. Późniejsza roślinność, na bryle ziemnej, lub w głębiach mórz powstała, ma już jakoby jakieś głuche uczucie, objawione wrażliwością na wpływy zewnętrzne, a u niektórych roślin nawet odruchami, przypominającymi ruchy zwierzęce, podczas gdy popęd zastępujący wolę, wytwarza u rośliny rozmaite a rozumnie pomyślane kształty i służy do ich odrodzenia; później powstały w czasów kolei zwierzęta, u których wola staje się żądzą, u których nie możemy zapoznać istnienia uczuć, a w których zmysłowość i zmysłowa pamięć są zarodkiem wiedzy; a zarodki te, jakby symbole zmysłowe wiedzy, uczucia, woli

stają się coraz wyraźniejszymi, w miarę, jak później doskonalsze powstają zwierzęta. Człowiek już jako zwierzę, człowiek zmysłowy najdoskonalsze posiada zmysły i pamięć, najsilniej rozwinięte i najbardziej celowo skierowane żądze, czyli instynkta; w nim dopiero powstaje duch wraz ze świadomością siebie, z refleksyą, wytwarzającą rozum, myśl celową, wolę i moralne uczucie. Raz rozumem obdarzone jestestwo tylko siebie i sobie równych za rzeczy na prawdę istniejące uważa, do nich tylko stosuje obowiązki moralne, a to mimowolne poświadczenie ludzkie, mieniące wszystko, co duchem rozumnym nie obdarzone, także bytem podrzędnym, niezupełnym, nie domagającym się sprawiedliwości, bywa potwierdzone przez wyłaniającą się z dziejów myśl naukową, która stwierdza, że dla siebie, a zatem na prawdę istnieją tylko duchy, to jest rozumy poznające siebie i tem samem dla siebie istniejące, że wszystko nieduchowe istnieje tylko jako przedmiot poznania duchów.

Człowiek uważa siebie tedy i siebie jedynie, wśród istot zmysłowych, jako to, co poza ujawnieniem myśli ciała swego ma obowiązek ujawnić ideał ducha, ma prawo do szczęścia, które da coraz doskonalsze tego ideału ujawnienie. Sam jednak, wraz z całym wszechbytem, czuje moc, która go zmusza do szukania ideału, moc, której symbolem może być magnes przyciągający żelazo, moc rzeczywiście, niezmiennie, wiekuiście istniejącą, rozumną, kierującą nie tylko sumieniem, będącem żądzą ducha, i nietylko ludzkiemi żądzami, mającemi na celu ujawnienie najdoskonalszego organizmu, ale także wzrostem roślin i tak częstokroć tajemniczymi instynktami zwierząt i nawet ruchami martwej materyi, wśród której się jawi nam jako wieczne a rozumne prawo. Tę moc zwiemy najwyższem dobrem, do którego wszystko dąży, czego niedokładną podobizną wszelkie dobro ziemskie i niebieskie, jawiące się w zarodku wśród martwej materyi, już wyraźniejsze u roślin i u zwierząt, widne wyraźnie u rozumnego człowieka, ale i tu nieskończenie dalekie od pełni swojej. Celem wszechświata, mocą wszechistnienie poruszającą, dobrem najwyższem nie jest nic innego, jak tylko ideał ducha, a tym ideałem, któryby sam jeden nas nasycić zdołał, wszechmoc, wszechmiłość, wszechwiedza, złączone ze sobą wieczną, współistotną jednością osobistego ducha.

Takie jestestwo nazywamy Bogiem; już zmysłowy człowiek pożąda potężnego opiekuna, niewidomego Ojca, i to pożądanie mocy, którejby się i lękać i ufać można, pierwotną bywa religijności podstawą. Pragnienia duchowe potęgują tylko religijne uczu-

cie; natrafiamy na pokój i szczęście dopiero postawiwszy sobie ideał żywego Boga, któregobyśmy ukochali, któryby nas ukochał na wzajem, Boga, którego miłość jest jedynie ze wszystkiem uszczęśliwiającą wszechmiłością. Wola przychodzi w nas do ciszy radośnej, dopiero, gdy się pogodzimy w myśli i zjednoczymy z Bogiem wszechmocnym; rozum wreszcie cieszy się rodzajem wszechwiedzy w zarodku, kiedy podziwia świat w przekonaniu, iż jest nieskończenie mądrem dziełem Bożego rozumu. Rozum potrzebuje Boga, aby świat rozumieć. Wiara w Boga źródłem wszelkich naukowych dociekań, opartych na przeświadczeniu, że budowa świata, będąca dziełem rozumu, którego nasz rozum podobizną, jest zatem wyrazem praw rozumnych, dla nas zrozumiałych; przymuszeni przez naturę naszej myśli szukać pierwszą zjawisk przyczynę, pierwszy bytu podmiot, mienimy Boga tym podmiotem i tą przyczyną; jest Bóg dla rozumu stwórcą, to jest przyczyną wszechbytu, a to tworzenie wyobrażamy sobie jedynie jako pomyślenie wszechświata i jako pomyślenie w nas wrażeń i myśli, za pomocą których prawdę poznajemy. Świadomi tego, że tylko swoje znamy wyobrażenia, tem tylko możemy się obronić przed absolutnem wątpieniem, twierdzącem, jakobyśmy swój chwilowy sen za prawdę poza nami brali, iż zawierzamy prawdomowności wszechmocnego Boga. Cieszy się tedy rozum, kiedy nowy dowód istnienia Boga odkryje, ujrzawszy w nim ideał Ducha, przyczynę końcową wszechrzeczy istniejących, przeto tylko, iż dążą do ujawnienia Bożej doskonałości; cieszy się tem bardziej, że poznaje wyraźnie, że ten ostateczny istnienia cel, ten doskonały duch, jako wszechmocny, wszechwiedny, wszechmiłośny może być owym stwórcą, który świat pomyślawszy stworzył, że nim musi być, skoro nieda się pomyślić mnogość istot, mających znamiona Bóstwa. A że jestestwo doskonałe, duch doskonały, ideał ducha musi być nie tylko wszechmocnym i wszechwiednym, ale także wszechmiłośnym, musi wogóle być moralnie doskonałym, skoro sumienie, będące nieprzepartą siłą, prącą nas do tego ideału, urzeczywistnienia właśnie moralnego postępu od nas się domaga. Z tego nabywa rozum uspokojenia, że Bóg nas oszukiwać nie może, że zatem poznajemy prawdę, ze jestestwa, które nam się wydają istniejącemi, istnieją rzeczywiście, że prawa fizykalne i moralne, które się naszemu poznawaniu narzucają, prawa zdarzeń, zwane siłami i prawa kształtów, zwane postaciami, jednem słowem wszelkie *uniwersalia* bytują rzeczywiście i jestestwami władną. Ale i uczucie nasze nabywa tę wiarę w moralnie doskonałego Boga uspokojenia; nie

wątpi już w ziszczenie swoich nadziei, nie może się lękać, aby nasze pragnienia nieskończonego postępu duchowej jednostki i rzeszy duchów zwanej ludzkością, aby nasze pragnienia osobistego uczestniczenia w ziszczonej zupełnie sprawiedliwości były płonnemi, ułudnemi, skoro są konieczne, skoro przez Boga wpojone, treść samą naszego istnienia tworzą. Doświadczenie zmysłowe nie daje nam sprawiedliwości ujawnionej na ziemi, łamie życie bolesne i niedoskonałe śmiercią. Wierzymy tedy w jakąś sprawiedliwość pośmiertną, w pośmiertne ideałów duchowych urzeczywistnianie, w to, co nazywamy nieśmiertelnością duszy i królewstwem niebieskiem. Nie umiemy sobie wyobrazić, jak mają się ziścić te ducha religijne pragnienia, a skoro usiłujemy zagrobowy żywot i wiecznej sprawiedliwości dokonanie wyrazić, za pomocą pojęć ziemskich, popadamy w sprzeczność z samymi sobą. Ale wierzymy w to, skoro bez tego nie moglibyśmy wierzyć w moralnego Boga, rękojmię wszelkiego poznawania; a wierząc radujemy się oglądaniem przeczuwanej piękności duchowego świata i ta radość bywa jeszcze większą od doznanej w chwili, w której oglądamy w duchu także przeczuwaną tylko piękność zmysłowej wszechprzyrody.

(Dokończenie nastąpi).

Wojciech Dzieduszycki.

# DAWNE ZABYTKI DZIEJOWE
# NOWEGO SĄCZA.

(Ciąg dalszy).

## Rozdział VIII.

### Stan kollegiaty w XVIII. wieku.

O bogactwie sprzętów kościelnych dawnej kollegiaty sandeckiej świadczy inwentarz z r. 1726, jakim rzadko który dziś kościół poszczycić się może. Dla ciekawości miłośników przeszłości, tudzież ze względów ochrony od zniszczenia, podaję go w całej osnowie:

*Anno Domini 1726. Inwentarz kościoła kollegiackiego nowosandeckiego srebra, aparatów i różnych rzeczy kościelnych, spisany przez panów kościelnych* [1]) *natenczas: Pana Wawrzyńca Bucieja i Jana Ornatowicza.*

#### Srebro.

Monstrancya wielka staroświecka pozłocista, ważąca grzywien 68, krzyżyk z niej spadł, trzeba go naprawić.

Monstrancya druga mniejsza, nakształt słońca w promienie, wszystka pozłocista z Aniołkami. Do tej monstancyi krzyżyk krzyształowy z kamieniami czeskimi. *Item* krzyżyk maluśki, szczerozłoty, *cum ligno vitae* [2]).

Krzyż wielki złocisty, wszystek nakształt drzewa, na nim Pasya srebrna z Maryą i św. Janem.

---

[1]) Nie byli to prości słudzy kościelni, lecz prowizorowie kościoła, wybierani z pomiędzy rajców lub starszych cechowych.

[2]) Z cząstką Krzyża św., na którym Chr. Pan był ukrzyżowany.

Krzyż wszystek biały, z Ewangelistami pozłoconymi, *cum effigie Crucifixi*, z promieniami pozłoconymi, po drugiej stronie z Relikwiami, z kamieniami trzema, czwartego niedostaje.

Krzyż mniejszy wszystek biały, *cum effigie Crucifixi* i czterech Ewangelistów, ze znakami pozłoconymi.

Krzyż srebrny biały krzyształowy, *cum ligno vitae.*

Krzyż albo krucyfiks srebrny *cum sede*, wszystek biały, którego do pogrzebów zażywają.

Krzyż *in sede* obłamany, z Relikwiami bez pasyjki srebrny.

Relikwiarz nakształt skrzyneczki srebrny, ze szkłem bez Relikwii, z Bobowej kupiony.

Relikwiarz srebrny bł. Jana Kantego, z biretem na wierzchu.

Trybularz srebrny ze czterema łańcuszkami.

Łódka srebrna do kadzidła i z łyżeczką srebrną.

Miednica wielka srebrna, z nalewką wielką srebrną, pstro złocista, z herbem *Illustris Fusorii Custodis* [1]).

Lichtarzów srebrnych wielkich para, mniejszych para, jeszcze mniejszych para trzecia.

Lichtarzów stołowych srebrnych para, pstro złocistych.

Lampa wielka ze trzema łańcuszkami, z Aniołkami trzema, tę wieszają przed wielkim ołtarzem.

Lampa mniejsza z koroną, z dłuższymi łańcuszkami, którą wieszają przed *Cimboryum*, ogniwek kilka niedostaje.

Lampa najmniejsza srebrna, którą wieszają przed Najśw. Panną Różańcową.

Ampułki srebrne wielkie pozłociste, z gałeczkami okrągłemi, u spodku z miednicą srebrną.

Ampułki srebrne mniejsze, pstro złociste.

Ampułki srebrne gładkie, u których wieczka i *sedes* pozłacane, z guziczkami na wierzchu.

Ampułki srebrne wybijane białe, z wieczkami.

Ampułki srebrne białe gładkie małe, z herbami i literami.

---

[1]) Ks. Bartłom. Fuzoryusz, kustosz kollegiaty sandeckiej († 1637). Trwałą po nim pamiątką jest kościół murowany w Kamionce pod Nowym Sączem. Nad głównem wejściem w ścianie zachodniej wmurowany kamień, z barokową tarczą herbową grubo rzeźbioną, w niej kula z przepaską i krzyżem i napis: B. F. C. C. O. S. (Bartholomaeus Fusorius Custos Collegiatae Oppidi Sandecz). Laus Deo Pax Vivis Requies Aeterna Sepultis. Anno Domini 1630. (Zob. Teka grona konser. zachod. Galicyi, t. I. str. 125. Kraków 1900).

Puszka srebrna na hostye, z krzyształem na wierzchu wprawionym.

Kociołek srebrny na święconą wodę, z obłączkiem srebrnym.

Stypuła[1]) srebrna kantorowska, na której Pan Jezus stoi, miejscami pozłocista, a w środku drzewo.

Laski drewniane w cynę oprawne, na wierzchu gałki srebrne duże.

Puszka *alias pixis* srebrna wielka, z trzema Aniołkami, wybijana z koroną wkoło, wszystka pozłocista, na wierzchu krzyż ze światem.

*Pixis* albo puszka druga, srebrna mniejsza pozłocista, *cum operculo majori*, z krzyżem *cum conopeo sericeo*.

Puszka miedziana staroświecka pozłacana.

Kielichów wszystkich srebrnych nro 24, jako to: kielichów *in specie* trzy staroświeckich wielkich, z różnemi wieżyczkami, osobami, kamieniami; kielich czwarty srebrny staroświecki z Aniołkami, z różyczkami, z kamieniami, z perłami, wszystek pozłocisty z Pasyą *cum sede*.

Kielichów srebrnych dwa, wielkich parzystych sztychowanych i wybijanych, na których misterya *Passionis*, pozłociste obadwa.

Kielichów cztery jednakowych srebrnych, powierzchu Aniołkowie sztychowani z essami i różne wybijania są na nich pozłociste.

Kielichów staroświeckich sześć, trzy gładkich z wieżyczkami pod kuppą, gdzie ręką trzymają, a trzy z koronami pozłociste.

Kielich wpół złamany, na którym Jezus Marya Józef.

Kielich złamany wybijany, z Aniołkami i z sztukami, z koroną wkoło pozłocisty.

Kielichów trzy miejscem pozłacanych, wybijanych srebrnych.

Kielich mały wybijany, srebrny pstro złocisty, wybijany z Aniołkami dwoma, trzeci odleciał.

Kielich srebrny modny, miejscem gładki, a miejscem wybijany, wszystek pozłocisty, *A. D.* 1712 sprawiony.

Kielich srebrny, teraźniejszą robotą pstro złocisty, sztuczki sztychowane, z podpisem i herbem Jegomości księdza Józefa Jordana, kanonika krakowskiego, archidyakona sandeckiego († 1729).

Kielich miedziany bez kuppy, tylko *sedes* jest.

---

[1]) Z łac. stipula — laska do dawania taktu przy śpiewie na chórze (Taktstock).

Patyn wszystkich wielkich i małych nro 25.

*Vasculum* srebrne na *olea sacra*.

Puszeczka srebrna *pro Sanctissimo Sacramento ad infirmos*.

W ołtarzu Najśw. Panny Pocieszenia przed stallami *in cornu Evangelii*, sukienka srebrna miejscami wybijana, *votum* srebrne na niej auszpurską robotą, *Beatissima* wyrażona tamże, tabliczka srebrna, korona na głowie Najśw. Panny srebrna pozłocista, na głowie P. Jezusowej tylko srebrna, korali sznurków sześć i z krzyżykiem srebrnym pozłocistym, mętalik srebrny. Zasłona albo firanka kitajkowa czerwona, błękitną kitajką podszyta, z koroną srebrną szeroką.

W ołtarzu Najśw. Panny Częstochowskiej pod chórem, sukienka srebrna na obrazie, przez sławetną panią Hohorowską *A. D.* 1721 sprawiona, korali nici drobnych 3, korony dwie na głowach srebrne pozłociste, gwiazd 12, zasłona albo firanka czerwona kitajkowa z falbaną błękitną, *votum* jedno.

W kaplicy Najśw. Panny Bolesnej, na obrazie w ołtarzu korony dwie srebrne, tabliczka srebrna jedna, tabliczka mała graniasta, sukienka atłasowa zielona i cielista, zasłonki tabinowe zielone z frandzlą.

W ołtarzu i kaplicy św. Józefa sukienka srebrna na obrazie, wybijana, spodnia pozłacana, wierzchnia biała i na P. Jezusie pozłacana, korony w promienie dwie pozłociste, turkusów pięć w koronie, jednego niedostaje. Lilia srebrna pozłacana, sandały srebrne na nogach podarte, *votum* jedno srebrne i *Agnus Dei*, w srebro oprawne z obrączką jedną srebrną. Zasłonki zielone lamowe na srebrnym pręcie.

W ołtarzu Najśw. Panny Różańcowej, sukienka srebrna na obrazie, *per medium* miesiąc złocisty, *sceptrum* złociste, korony na głowach tegoż obrazu srebrne złociste, gwiazd srebrnych 12, tablic *aliae* wotów 10, maleńkie *votum* 1 na tym obrazie, krzyżyk srebrny złocisty, z jednej strony Passya, z drugiej strony insignia *Passionis* rysowane, *item* krzyżyk drugi mniejszy, na jednej stronie Passya, na drugiej stronie *effigies B. V. M.* wybijana była, niedostaje krzyżyk mniejszy srebrny, krzyżyków małych srebrnych przy koralach trzech jeden tylko, mętalik 1, pereł nici drobnych dwie. *Item* pereł drobniejszych koralami przewłóczonych nici dwie, korali różnych nici 16, manelki dwie czeskiego dyamentu. Łańcuszek szczerozłoty w ogniw kręconych nro 228, przy nim krzyżyk dyamencikami sadzony złoty, dyamenciков 7 mający. Pereł wielkich sznurków dwa środkiem drobnych, na głowie i na wło-

sach Najśw. Panny, na wstędze czarnej tamże zausznica, perłami sadzona w gruszkę, ukradziona. Firanki mienione i firanki czerwone tabinowe, także zasłonka żółta kitajkowa.

Na obrazie noszonym różańcowym sukienka srebrna, od spodku tylko nakształt tablicy, na której są *benefactores* wybici: *vir cum femina, in medio Beatissima.* Na tym obrazie tablic srebrnych siedm, ósma złocista, korali sznurów pięć, przy których bursztynowa sztuczka i krzyżyk maleńki srebrny, koron dwie srebrnych pozłocistych. Na Panu Jezusie, wśrodku kościoła na tęczy stojącym, tablic srebrnych wielkich nro 3, tabliczek małych 2, serc srebrnych nro 10, korona cierniowa srebrna 1, tablic miedzianych 2.

## Mszały w srebro oprawne.

Mszał wszystek w srebro oprawny robotą modną, klauzury jednej nie masz i antabki.

Mszał aksamitny czerwony, w srebro oprawny sztukami, *cum imaginibus sculptis Crucifixi Domini* ze dwunastą Aniołkami, bez klauzur złocisty.

Mszał czarny w capę [1]) w srebro oprawny, sztuczki na nim pomierne bez klauzur.

Mszał czerwony stary w srebro oprawny, sztuczki na nim małe bez klauzur i antabek.

Mszałów czerwonych w skórę czerwoną wyzłacaną oprawnych 2.

Mszał w czarną capę oprawny dobry.

Mszałów Rekwialnych nro 6.

## C y n a.

Krucyfiks wielki cynowy na wielki ołtarz.

Lichtarzów cynowych na wielki ołtarz sześć.

Lichtarzów cynowych różańcowych cztery.

Lichtarzów u *cimboryum* grubych i wielkich dwa.

Lichtarzów w kaplicy św. Józefa sześć i krucyfiks cynowy.

Lichtarzów u św. Trójcy na drzewie dwa cynowych.

---

[1]) Capa — skóra wielbłądowa, ośla, chropawo wyprawna, szagryn.

Lichtarzów u Niepokalanego Poczęcia dwa.

Lawatarz w zakrystyi cynowy, ważący funtów 86, sprawiony *A. D.* 1720.

Organy cynowe wielkie, restaurowane w r. 1719, z boku na wielki chór przeniesione *cum sua structura* i wtenczas wyzłocone.

Pozytywa przed wielkim ołtarzem stojąca nowa, naprzeciwko zakrystyi.

Pozytywa cynowa przed kaplicą św. Józefa stojąca.

Tablic pięć cynowych wielkich na piszczałki.

Dzbanków cynowych na kwiatki dwa.

## Spiż i mosiądz.

Lichtarz mosiężny, w którym essów [1]) ośm, który przed wielkim ołtarzem wieszają.

Lichtarz mosiężny przed ołtarzem Najśw. Panny Różańcowej, przy którym essów 12.

Lichtarz przed Cimboryum, tylko bania essu żadnego nie ma.

Dzwonów wielkich dwa, jeden nakształt Zygmunta krakowskiego, imię mu Michał; dzwon drugi mniejszy, zowie się Mikołaj [2]).

Dzwon najmniejszy zowie się Małgorzata.

Sygnaturka na kościele.

Dzwonków małych nro 15.

Lampa mosiężna przed cimboryum.

*Baptisterium* wielkie spiżowe na dwóch gradusach.

## Miedź.

Konewek miedzianych dwie zepsowane.

Kociołków do wody święconej dwa zepsowane.

Kropielnica do wody święconej w kruchcie.

Kropielniczka w zakrystyi mała nowa.

Kotły dwa, w nich bębnia [3]) reparacyi potrzebuje.

Kociołek do topienia cyny, żelazny dziurawy.

---

[1]) Ramiona lichtarza, zakrzywione i wygięte na kształt litery S.

[2]) O tych dzwonach zobacz bliższe szczegóły w rozdziale IX.

[3]) Zapewne skóra, w którą przy bębnieniu dobosz pałeczką uderza.

## Ornaty białe.

Ornat solenny lity, srebrem i złotem haftowany, z galonem złotym, ze stułą i manipularzem, podszyty kitajką [1]) różową.

Ornat drugi solenny, srebrem i złotem haftowany, ze stułą i manipularzem, z koronną wkoło złotą, kitajką nakształt atłasu [2]) ceglastą podszyty.

Ornat partyrowy [3]), z kolumną czerwoną w kwiaty srebrne i złote, z galonem złotym, ze stułą i manipularzem takowym, kitajką granatową podszyty, na nim są litery i rok 1717 wyszyty.

Ornat partyrowy, z kolumną srebrem haftowaną, z kwiatami jedwabnymi, z koronką złotą, bez stuły i manipularza, kitajką w paski podszyty złą.

Ornat lamowy [4]), jednaki wszystek z koronką złotą, ze stułą i manipularzem, płótnem czerwonem obszyty i już opłowiałem.

Ornat altembasowy [5]) tureckiej materyi, z kolumną czerwoną takiejże tureckiej materyi, z pasamonami i frandzelką [6]) czerwoną, ze stułą i manipularzem, imamusem kaparowym [7]) podszyty.

Ornat lamowy w kwiaty, z kolumną fiołkową lamową w kwiaty, z herbem haftowanym srebrem i złotem, z koroną złotą, materyą wełnianą podszyty, bez stuły i manipularza *alias agrameffon*.

Ornat lamowy stary, z kolumną czerwoną lamową na przodku łataną, z koroną marcipanową [8]), płótnem ceglastem podszyty, bez stuły i manipularza.

Ornat lamowy w złote kwiatki, z kolumną jedwabiem na białym atłasie wyszywaną, z koroną srebrną, płótnem ceglastem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat stary z altembasową kolumną czerwoną, z herbem srebrnym na blasze srebrnej wyrysowanym, nadpsowany, z pasa-

---

[1]) Materya jedwabna.

[2]) Materya jedwabna, z Persyi pochodząca.

[3]) Materya jakaś, której bliżej oznaczyć trudno.

[4]) Materya lamowa — srebrogłów, złotogłów na tle jedwabnem.

[5]) Materya jedwabna, grubo tkana ze złotem.

[6]) Pasamon z włos. passamano — strefa do bramowania; frandzla, frędzla z włos. frangia — bramowanie z nitkami wiszącemi końcem na dół.

[7]) Kolor kaparowy — ciemno zielony; znaczenia imamus objaśnić trudno.

[8]) Od łac. marci panis, panis martius, rodzaj placka cukrowanego i przyprawnego migdałami, skąd nazwa koloru marcypanowego, czyli śniadego.

monem i z frandzlą złotem przerobioną, czerwonem płótnem podszyty, bez stuły i manipularza.

Ornat atłasowy biały stary, z kolumną czerwoną w kwiatki, z pasamonami i frandzlą pstrą, płótnem czerwonem podszyty, bez stuły i manipularza.

Ornat atłasowy w kwiaty rozmaite, z pasamonami czerwonymi, ze stułą i manipularzem, płótnem ceglastem podszyty.

Ornat partyrowy stary, w kwiaty wielkie z kolumną zieloną lamową, z pasamonami i frandzlą cytrynową, płótnem czerwonem podszyty, ze stułą i manipularzem, zowie się burkatelowy [1]).

Ornat atłasowy wzorzysty [2]), z kolumną czerwoną w kwiaty rozmaite, z pasamonami pstrymi frandzlą pstrą, płótnem czerwonem podszyty, z stułą i manipularzem.

Ornat atłasowy gładki, z kolumną czerwoną atłasową, z pasamonami złotymi na przodzie łatany, ze stułą i manipularzem.

Ornat atłasowy, w kwiaty robiony różnego koloru, z kolumną białą złotymi kwiatami przerabianą, z pasamonami czerwonymi i z frandzlą opłowiałą, płótnem moskiewskiem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat atłasowy, z kwiatami różnego koloru wybijanymi, wszystek jednakowy, z pasamonami zielonymi, szychem [3]) żółtym przeszywanymi, z frandzlą jedwabną pstrą, płótnem czerwonem podszyty, ze stułą i manipularzem odmiennym.

Ornat nędzowy [4]) wzorzysty, z kolumną trochę odmienną, szychem przerabianą, bez stuły z manipularzem.

Ornat półjedwabny stary staroświecki na reparacyą.

## Dalmatyki białe.

Dalmatyki kitajkowe, różnym jedwabiem w kwiaty wyszywane, płótnem cytrynowem podszyte, z pasamonami z frandzlą czerwoną, ze stułą i manipularzem.

Dalmatyki burkatelowe, z pasamonami cytrynowymi, płótnem czerwonem podszyte.

---

[1]) Burkatela, brokatela, brukatela z włos. brocatello — materya z powłoki jedwabnej, rodzaj złotogłowu.

[2]) Wyszywany, tkany w kwiaty.

[3]) Szych — fałszywe złoto lub srebro.

[4]) Nędza — materya jedwabna szychem przerabiana.

Dalmatyki atłasowe wzorzyste, z pasamonami zielonymi i z frandzlą, płótnem ceglastem podszyte, reparacyi potrzebują.

## Ornaty czerwone.

Ornat adamaszkowy [1]) ze złotymi kwiatami, z galonem złotym i frandzlą złotą, kitajką karmazynową podszyty, ze stułami i manipularzami, takież dalmatyki i antepedium.

Ornat altembasowy złotem przerabiany, z kolumną srebrnolitą w kwiaty rozmaite, z galonem złotym z pasamonami przerabianymi i frandzlą takową, herb wyszyty na dole półtora krzyża pod kapeluszem, argamesem [2]) oliwkowym podszyty, ze stułą bez manipularza.

Ornat altembasowy staroświecki, złotem przerabiany z kolumną białą, na lamie essy aksamitne czerwone, z galonem i frandzelką złotą, kitajką czerwoną podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat takowy z kwiatami złotymi, kolumną szychową w kwiaty jedwabne ze srebrnym galonem, kitajką ceglastą podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat lamowy pstry, z kolumną szychową białą w kwiaty jedwabne, agramesem [3]) błękitnym podszyty, z galonem i koroną szychową, ze stułą i manipularzem.

Ornat lamowy w kwiaty małe wszystek jednakowy, z pasamonem i frandzlą czerwonemi złotem przerabianemi, płótnem płowem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat aksamitny [4]) wzorzysty, z kolumną białą lamową w kwiaty pstro złociste z koroną marcypanową, imamusem oliwkowym podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat złotogłowowy [5]), z kolumną Apostołów złotem wyrabianych staroświecki, z orłem na spodzie, z pasamonami i frandzlą jedwabną, płótnem podszyty, z stułą i manipularzem.

Ornat altembasowy stary, z kolumną trochę odmienną altembasową, z pasamonami pstrymi i frandzlą karmazynową, czerwonem płótnem podszyty, ze stułą i manipularzem.

---

[1]) Materya, od miasta azyatyckiego Damaszku nazwana, w różnych kolorach.

[2]) Znaczenia tej materyi oznaczyć niepodobna.

[3]) Znaczenie tej materyi niewiadome.

[4]) Materya jedwabna gładka w różnych gatunkach i kolorach.

[5]) Złotogłów — materya złotolita, ze złotych nitek.

Ornat atłasowy wszystek jednaki, szyte kwiaty na nim jednakowe z galonem szychowym, płótnem podszyty, bez stuły i manipularza.

Ornat cytrynowy w prążki czarne nakształt partyru, z kolumną błękitną partyrową w kwiatki złote, płótnem takiem cytrynowem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat adamaszkowy cielisty, z kolumną partyrową czerwoną w różne kwiatki z galonem złotym cytrynowym, płótnem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat kamkowy [1]) w kwiatki rzadko złote ceglasty, w prążki białe z koroną i z galonem srebrnym, płótnem cytrynowem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat kamkowy w kwiatki gęsto złote, w prążki czarne i złote z purpurowym galonem białym szychowym, płótnem wrocławskiem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat kamkowy pstry, z kolumną białą w kwiatki różne, z pasamonami i frandzlą błękitną, imamusem oliwkowym podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat półjedwabny, nakształt altembasu wzorzysty pstry staroświecki, galon szychowy frandzla wkoło jedwabna pstra, płótnem granatowem podszyty, bez stuły z manipularzem.

Ornat aksamitny, złotymi kwiatami przerabiany, z kolumną ceglastą opłowiałą, z galonem szychowym i frandzlą takąż, materyą zieloną turecką podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat aksamitny wzorzysty, z kolumną atłasową białą w złote kwiaty, z pasamonami i frandzlą pstrą, płótnem granatowem podszyty, ze stułą bez manipularza.

Ornat aksamitny ciemny złotem przerabiany, z kolumną kitajkową ceglastą, z pasamonami i frandzlą jedwabną pstrą, płótnem podszyty, bez stuły i manipularza.

Ornat adamaszkowy w złote wzory, z kolumną białą w kwiaty żółte, z koroną i frandzelką szychową jedwabiem przerabianą, płótnem prostem podszyty, nadpsowany, ze stułą i manipularzem.

Ornat adamaszkowy wszystek jednakowy, z pasamonami i frandzlą cytrynową, płótnem czerwonem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat adamaszkowy, podobny do pierwszego wszystek jednakowy z frandzlą i pasamonami cytrynowymi, płótnem czerwonem podszyty, ze stułą i manipularzem.

---

[1]) Kamcha — materya jedwabna turecka lub chińska.

Ornat atłasowy, z kolumną papużą atłasową, z koroną szychową z frandzlą jedwabną, płótnem płowem podszyty, z manipularzem.

Ornat adamaszkowy, z kolumną zieloną wzorzystą, z koroną i frandzlą szychową, płótnem prostem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat adamaszkowy, z kolumną tabinową[1]) białą, z herbem półtora krzyża, z pasamonami i frandzlą pstrą jedwabną, płótnem granatowem podszyty.

Ornat adamaszkowy z kolumną altembasową żółtą, wzory cieliste z koroną i frandzlą szychową, płótnem prostem podszyty, ze stułą i manipularzem.

## Dalmatyki czerwone.

Dalmatyki aksamitne wzorzyste, z frandzlą i z pasamonami włóczkowymi wpół jedwabnymi, argamesem granatowym podszyte, bez stuły i manipularza.

Dalmatyki atłasowe w kwiaty pstre wzorzyste. z pasamonami i frandzlą jedwabną pstrą, imamusem oliwkowym podszyte.

Dalmatyki atłasowe jednakie gładkie, z frandzlą i pasamonami włóczkowymi wpół jedwabnymi, i z kutasami zielonymi jedwabnymi długimi jakoby chorągwianymi, gałek 6 u każdego kutasa.

## Ornaty zielone.

Ornat złotogłowowy, jednaki wszystek z herbem Śreniawa, z frandzlą i pasamonami czerwonymi jedwabnymi srebrem przerabianymi, kwiatami niebieskimi podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat atłasowy w biały wzór, z kolumną lamową czerwoną w kwiatki, z frandzlą i pasamonami złotem przerabianymi, imamusem oliwkowym podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat atłasowy także w biały wzór, z kolumną lamową białą w różne kwiaty z czerwonymi pasamonami, płótnem oliwkowem moskiewskiem podszyty, ze stułą i manipularzem.

---

[1]) Tabin — gatunek kitajki, materya jedwabna perska.

BIBLIOTEKA MIASTA NOWEGO SĄCZA

Ornat atłasowy papuży, z kolumną cielistą kitajkową pikowaną[1]) z galonem szychowym, płótnem wrocławskiem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat atłasowy, z kolumną czerwoną atłasową, z galonem szychowym i frandzelką jedwabną, płótnem czerwonem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat adamaszkowy z kolumną białą adamaszkową, z Imieniem Jezus na piersiach, z frandzlą i pasamonami pstrymi, płótnem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat aksamitny wzorzysty stary, z kolumną szytą na krzyż z osobami wyszywanemi bez frandzelki, płótnem podszyty, bez stuły i manipularza.

Ornat adamaszkowy stary, z kolumną tercynelową[2]) w wodę cytrynową, z taśmą białą wkoło kolumny, płótnem prostem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat aksamitny, różne kolory w sobie mający, z kolumną aksamitną granatową złotem przerabianą, z galonem szychowym z frandzlą jedwabną, wytarty, płótnem prostem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat aksamitny złotem wzorkowany[3]), z kolumną lamową w kwiaty, staroświecki wytarty, z frandzlą i pasamonami pstrymi, na przodzie płótno malowane z herbami, imamusem oliwkowym podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat nędzowy, cieliste kwiaty w sobie mający, szychem przerabiany, dobry, z galonem szychowym, z frandzlą pstrą jedwabną, imamusem oliwkowym podszyty, bez stuły i manipularza.

## Dalmatyki zielone.

Dalmatyki atłasowe w biały wzór, z frandzlą i pasamonami czerwonymi, imamusem oliwkowym podszyte, ze stułą i manipularzem.

Dalmatyki adamaszkowe wzorzyste, z pasamonami czerwonymi i z frandzlą karmazynową, z kutasami czterema jedwabnymi, płótnem płowem podszyte, ze stułą i manipularzem.

---

[1]) Pikowany — przeszywany, stebnowany, cętkami nakrapiany.

[2]) Tercynela — rodzaj materyi jedwabnej. To wyrażenie w wodę oznacza tło koloru.

[3]) Wzorami przyozdobiony, upiększony.

## Ornaty fioletowe.

Ornat lamowy wzorzysty jednaki wszystek, z koroną i frandzlą złotem i jedwabiem robioną, płótnem prostem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat tabinowy w wodę, z kolumną białą lamową, z pasamonami i frandzlą jedwabną białą, płótnem czerwonem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat tabinowy brunatny, z kolumną fiołkową wzorzystą złocistą, z pasamonami i frandzlą czerwoną, płótnem czerwonem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat brunatny złotem przerabiany, z kolumną czerwoną złotem haftowaną, staroświecki, z pasamonami i frandzlą pstrą, płótnem prostem podszyty, bez stuły i manipularza.

Ornat adamaszkowy, z kolumną atłasową czerwoną, z galonem szychowym, atłasem czerwonym oblamowany, płótnem czerwonem podszyty, bez stuły i manipularza.

Ornat adamaszkowy z kolumną, na której osoby różnym jedwabiem wyszywane, taśma około kolumny a frandzla wkoło pstra włóczkowa, na przodzie zły naprawiany i kolumna odmienna, płótnem czarnem podszyty, bez stuły i manipularza.

Ornat aksamitny wzorzysty, z kolumną czerwoną aksamitną wzorzystą, galon szychowy biały przy kolumnie a wkoło atłasem oblamowany, płótnem czarnem podszyty, bez stuły i manipularza.

Ornat kitajkowy w paski, z kolumną kamkową czerwoną w paski ze złotymi kutasami, miejscem z pasamonami szychowymi białymi i złotymi, płótnem cytrynowem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat adamaszkowy ciemny stary, z kolumną fioletową atłasową wzorzystą złotem przerabianą, z pasamonami pstrymi włóczkowymi i z frandzlą, płótnem czarnem podszyty, bez stuły i manipularza.

Ornat muchajerowy [1]) w wodę, nakształt tureckiej materyi, z kolumną żółtą wzorzystą wybijaną, z pasamonami jedwabnymi ceglastymi i z frandzlą pstrą, płótnem czerwonem podszyty.

---

[1]) Muchair — materya turecka, wenecka, także niemiecka.

## Dalmatyki fioletowe.

Dalmatyki muchajerowe, woda się przez nich przebija, pasamony i frandzla włóczkowa z jedwabiem, płótnem czerwonem podszyte, ze stułą i manipularzem.

## Ornaty czarne.

Ornat złotogłowowy w kwiaty złote, z galonem złotym i frandzlą taką, wszystek jednakowy, kitajem [1]) błękitnym podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat aksamitny, z kolumną białą wzorzystą, z galonem żółtym szychowym, płótnem szarem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat aksamitny, z kolumną białą wzorzystą, z galonem żółtym szychowym, płótnem starem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat atłasowy z kwiatami złocistymi, z kolumną zieloną atłasową, także z kwiatami, pasamonami i frandzlą jedwabną cytrynową, płótnem płowem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat adamaszkowy, z ceglastą kolumną lamową, z pasamonami i frandzlą pstrą jedwabną, płótnem starem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat atłasowy, z kolumną błękitną tabinową, z pasamonami i frandzlą jedwabną, cytrynowem cienkiem płótnem podszyty.

Ornat tercynelowy w paski, z kolumną ceglastą w pąki i kwiatki, z galonem szychowym białym i z koroną szychową, płótnem wrocławskiem podszyty, kaparowy ze stułą i manipularzem.

Ornat atłasowy wzorzysty, z kolumną białą tercynelową szychem przerabianą, z pasamonami jedwabnymi pstrymi, z frandzlą jedwabną pstrą, płótnem czerwonem podszyty, bez stuły z manipularzem.

Ornat aksamitny wszystek jednakowy, wzory miejscami z pasamonami i frandzlą białą jedwabną, czarnem płótnem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat aksamitny wzorzysty, z kolumną atłasową białą wzorzystą, z pasamonami i frandzlą pstrą jedwabną, płótnem podszyty, bez stuły i manipularza.

---

[1]) Kitaj — płótno bawełniane cienkie, nankin chiński.

Ornat tercynelowy w wodę, z kolumną altembasową jabłonkową, ze złotym galonem i frandzlą szychową, płótnem granatowem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat tabinowy wszystek jednakowy, z pasamonami i frandzlą białą jedwabną, płótnem wrocławskiem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat adamaszkowy, z kolumną białą adamaszkową, z pasamonami i frandzlą jedwabną pstrą, płótnem wiśniowem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat aksamitny wzorzysty stary, z kolumną szarą lamową, z galonem szychowym starym, czarnem płótnem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat tercynelowy w kwiaty, z kolumną adamaszkową zieloną, z pasamonami zielonymi jedwabnymi, z frandzlą jedwabną pstrą, ze stułą i manipularzem.

Ornat tercynelowy takiż, z kolumną papużą atłasową, z koroną srebrną koło kolumny a wokoło frandzla pstra, płótnem wrocławskiem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat atłasowy, z kolumną białą złotem pikowaną z galonem szychowym, płótnem wrocławskiem podszyty, bez stuły i manipularza.

Ornat tercynelowy, z kolumną ceglastą albo cielistą adamaszkową, z pasamonami i frandzlą pstrą, płótnem czerwonem podszyty, ze stułą i manipularzem.

Ornat tercynelowy w wodę, na przodku wszystek jednakowy, na tyle zaś *cum effigie Crucifixi Domini,* na kolumnie z pasamonami starymi szarymi, w tyle agramesem brunatnym, a w przodzie płótnem podszyty, z manipularzem bez stuły.

Ornat stary atłasowy zły, z kolumną białą tercynelową w paski, z pasamonami błękitnymi i frandzlą jedwabną, bez stuły i manipularza.

### Dalmatyki czarne.

Dalmatyki aksamitne wytarte, z pasamonami białymi i frandzlą pstrą, z kutasami wielkimi, płótnem czarnem podszyte, bez stuły i manipularza.

### Kapy białe.

Kapa solenna biała z materyi złotolitej, z bokami srebrem i złotem w kwiaty haftowanymi, ze szczytem takowym haftowa-

nym, atłasem karmazynowym podszyta, wkoło frandzla złota, a zaś wkoło szczytu większa, haftki srebrne pod szyją dwie pary, a nad szczytem par trzy srebrnych.

Kapa atłasowa biała, różnego koloru na sobie kwiatki mająca, z bokami czerwonymi kamkowymi z galonem szychowym, szczyt czerwony, płótnem cytrynowem podszyta.

Kapa takaż atłasowa nakształt partyru, z kwiatami różnego koloru, boki czerwone kitajkowe w paski z pasamonami kitajkowymi, szczyt zielony, około niego frandzla duża srebrna, płótnem ceglastem podszyta.

Kapa biała, z tureckiej materyi jedwabiem czerwonym i złotem przerabianej, wszystka jednakowa, z pasamonami pstrymi i frandzlą, szczyt biały wszystek, na którym Najśw. Panna z Aniołami złotem wyszywana, płótnem szarem podszyta.

Kapa biała burkatelowa, z bokami zielonymi altembasowymi, ze szczytem takowym zielonym, z pasamonami jedwabnymi papużymi, z frandzlą koło szczytu, płótnem czerwonem podszyta.

Kapa biała wzorzysta półjedwabna partyrowa, z bokami podobnymi z pasamonami zielonymi, u szczytu frandzla zielona jedwabna, z kutasem wielkim i długim jedwabnym, z herbem B. F. C. S.[1]), płótnem prostem podszyta.

## Kapy czerwone.

Kapa adamaszkowa, ze złotymi kwiatami z galonem i frandzlą złotą, wszystka jednakowa, koło szczytu frandzla długa złota, z klauzurami pod szyją srebrnemi dwoma, kitajką karmazynową podszyta.

Kapa lamowa czerwona, w kwiaty złote wszystka jednakowa, z galonem złotym szerokim, koło szczytu frandzla duża złota, wkoło nie masz frandzli, kitajką ceglastą podszyta.

Kapa adamaszkowa, na dnie cielistem kwiaty różowe, boki partyrowe czerwone z kwiatami różnego koloru, ze szczytem takowym z galonem złotym, po bokach i wkoło szczytu zaś frandzla złota duża, szczyt ze trzema stęgami błękitnemi przy haftkach, kitajką ceglastą z przodku podszyta, dalej płótno ceglaste pod nią.

Kapa atłasowa, z kwiatami nakształt drzewa wyrabianymi, boki białe lamowe z kwiatami różnymi, z koroną po bokach i wkoło

[1]) Znaczy to prawdopodobnie: Bartholomaeus Fusorius Custos Sandecensis.

marcypanową, koło szczytu zaś białego korona szeroka złota i wstążki przy haftkach, pod szyją haftek para srebrnych, imamusem ceglastym podszyta.

Kapa aksamitna, z bokami altembasowymi złotem przerabianymi i ze szczytem altembasowym, pasamony koło boków a wkoło frandzelka mała, koło szczytu frandzla wielka jedwabna, spinka wielka srebrna staroświecka pozłocista pod szyją, płótnem szarem podszyta.

Kapa aksamitna wzorzysta złotem przerabiana, boki aksamitne brunatne ze złotem, pasamony koło boku a u dołu frandzla, koło szczytu frandzla wielka jedwabna czerwona opłowiała, płótnem opłowiałem podszyta.

Kapa aksamitna podobna przeszłej, z kwiatami złotymi mniejszymi wzorzysta, boki aksamitne i szczyt takowy złotem przerabiany, z pasamonami i frandzlą jedwabną, płótnem szarem i drelichem podszyta.

## Kapy zielone.

Kapa atłasowa w biały wzór, boki lamowe białe w różne kwiaty, z koroną złotą u boków i wkoło, a u szczytu białego korona i frandzla złota szeroka przy haftkach, u szczytu wstęgi różowe ze spinkami srebrnemi u szyi, imamusem oliwkowym podszyta.

Kapa atłasowa z kwiatami białymi, boki białe atłasowe w kwiaty różne, z pasamonami pstrymi i z frandzlą koło dołu, koło szczytu frandzla ceglasta długa, wstęgi zielone i czerwone przy haftkach u szczytu, przodki kitajką papużą podszyte, dalej płótno papuże i spinki pod szyją mosiężne pobielane.

Kapa altembasowa złotem przerabiana, boki czerwone altembasowe i szczyt ze złotem, także galon złoty z jedwabiem czerwonym, frandzla koło dołu i u szczytu karmazynowa jedwabna, płótnem i imamusem cytrynowym podszyta.

## Kapy fioletowe.

Kapa altembasowa granatowa złotem przerabiana, boki czerwone altembasowe, galon karmazynowy jedwabiem przerabiany, wkoło frandzelka karmazynowa ze złotem i koło szczytu, przodki

musułbasem [1]) czerwonym a dalej płótnem podszyta, haftek para srebrnych u szyi.

Kapa adamaszkowa, boki altembasowe zielone z pasamonami i frandzlą jedwabną, z kutasem długim jedwabnym u szczytu, płótnem czerwonem podszyta.

## Kapy czarne.

Kapa tercynelowa cienka pikowana, boki białe tercynelowe w różne kwiaty ze szczytem takowym, u którego frandzla karmazynowa długa, z galonem szychowym z frandzlą niebieską, płótnem cytrynowem podszyta.

Kapa tercynelowa gładka, boki adamaszkowe błękitne z galonem szychowym, koło szczytu frandzla pstra, a wkoło u spodku frandzelka błękitna jedwabna, z herbami ks. Jana Kwaśnickiego, archidyakona sandeckiego [2]), płótnem wrocławskiem podszyta.

## Antepedia białe.

Antepedium altembasowe złotem przerabiane, z frandzlą karmazynową z galonem złotym, płótnem czerwonem podszyte.

Antepedium na białym arasie [3]), wyszywane w różne kwiaty i z św. Marcinem, płótnem prostem podszyte.

Antepedium takowe wyszywane, między kwiatami koszyki z floresami wyszyte, płótnem podszyte.

Antepedium takowe trzecie, wyszywane z floresami i koszykiem kwiatami różnymi napełnionym, płótnem prostem podszyte.

Antepedium na półkamlowe [4]), wyszywane w białe kwiaty z materyi różnych, koszyki z floresami z frandzlą jedwabną niebieską; do tego antepedium listwa wkoło szajowa [5]) czerwona z takiemiż materyalnymi jedwabnymi kwiatami, płótnem prostem podszyte.

---

[1]) Musułbas — materya bawełniana turecka.

[2]) Ks. Jan Kwaśnicki, sacrae theologiae et juris utriusque doctor, praepositus voynicensis, archidiaconus sandecensis 1620—1628.

[3]) Aras, rasa, rasza — gatunek lekkiej materyi wełnianej, od miasta franc. Arras.

[4]) Kamlot, czamlot z włos. camelotto — materya z włosów kozy angolskiej, albo też i z wełny.

[5]) Szaja, saja z włos. soja — materyjka włoska cienka lekka.

Antepedium przed Różańcem adamaszkowe białe, z pasamonami pstrymi, listwa wkoło wyszywana złotem i srebrem na kitajce, płótnem prostem podszyte.

Antepedium białe, z herbami w bryty, między którymi są aksamitne granatowe brety [1]) wybijane, nadpsowane, z frandzlą karmazynową, płótnem prostem podszyte.

Antepedium takoweż drugie z herbami.

Antepedium malowane i złocone na materyi bawełnianej, płótnem podszyte.

Antepedium kamkowe w paski białe i zielone, z frandzlą karmazynową jedwabną, płótnem podszyte.

Antepedium u św. Józefa na habie [2]) białej, w kwiaty wyszywane, listwy na takiej materyi jedwabiem wyszywane z pasamonem złotym, płótnem podszyte.

Antepedium burkatelowe, z frandzlą jedwabną cytrynową, płótnem podszyte.

Antepedium partyrowe, na dnie białem ze złotymi kwiatami stare, frandzla karmazynowa jedwabna, płótnem podszyte.

Antepedium nakształt lamy z kwiatami stare, z pasamonami czerwonymi nadpsowane.

## Antepedia czerwone.

Antepedium adamaszkowe, z kwiatami złotymi, z galonem złotym, z frandzlą złotą, płótnem prostem podszyte.

Antepedium cytrynowe kitajkowe pikowane, włóczką miasto frandzli przeszywane, płótnem podszyte.

Antepedium takoweż jedwabne cytrynowe, z włóczkowem szyciem na miejscu frandzli, płótnem podszyte.

Antepedium sukienne kiernowego sukna [3]), we środku bryt bagazyi [4]) pstrej, przez środek korona wystrzygana sukienna czarna, płótnem podszyte.

Antepedium takowe drugie sukienne, jako wyżej, ze wszystkiem i z brytem.

---

[1]) Brety, bryty — strefy, listwy.

[2]) Haba — grube suknisko białe, z Turcyi pochodzące.

[3]) Kiernowe sukno z niem. Kerntuch — jędrne, gruntowne sukno.

[4]) Bagazya — materya bawełniana.

Antepedium szajowe wszystko jednakie, z frandzlą włóczkową pstrą, koronka szychowa żółta, płótnem podszyte.

Antepedium aksamitne ze złotym kwiatem, z frandzelką zieloną.

### Antepedia zielone.

Antepedium adamaszkowe, z pasamonami czerwonymi, z frandzlą czerwoną jedwabną, płótnem czarnem podszyte.

Antepedium burkatelowe cytrynowe, z frandzlą zieloną.

### Antepedia fioletowe.

Antepedium altembasowe ze złotem, z pasamonami z frandzlą karmazynową jedwabną, płótnem podszyte.

Antepedium aksamitne wzorzyste granatowe, z pasamonami zielonymi wpółjedwabnymi, z frandzlą pstrą włóczkową, czarnem płótnem podszyte.

Antepedium bombowe [1]) granatowe, z pasamonami półjedwabnymi z frandzlą włóczkową, drelichem podszyte.

### Antepedia czarne.

Antepedium szajowe stare z koroną szychową, czarnem płótnem podszyte; kiru [2]) czarnego w jednej sztuce półpięta, w drugiej półpięta. Całun [3]) sukna tuzinkowego, czarny krzyż na nim z pasamonami, frandzla wkoło.

### Obicia różne.

Obicia półjedwabnego, na dnie żółtem kwiaty czerwone, dwie sztuki, w każdej sztuce jest brytów 10, we dwóch sztukach znajduje się brytów 20.

---

[1]) Bombazyn, bomzyn z włos. bombasina — materya bawełniana lub jedwabna.

[2]) Kir, kier — sukno liche, śląskie, pospolite.

[3]) Całun — wielka deka, zszyta z sukna lub materyi, nakrycie mar.

Obicia jedwabnego, kitajkowego w cienie, dwie sztuki, ale już naprawne, po dwa bryty w jednej sztuce.

Obicie tercynelowe karmazynowe w wodę, krajem jednym floresy złote, którego jest sztuk dwie niewielkie, a brytów cztery szytych, po dwa bryty w każdej sztuce.

Obicie niciane, jedwabiem przerabiane z blaszkami, którego sztuk dwie, zażywają go do grobu, nakształt koron.

Powłoka [1]) jedna niesehurowa [2]) popielata, miejscami dziury.

Powłoka druga dłuższa, z koronkami prostemi nicianemi u końców, miejscami znajdują się dziury powypalane.

Powłoka trzecia rozdarta, z jednego końca zszywana zła.

Powłoka stara poblakowana zła, dziur w niej dużo.

Powłoka piąta stara poblakowana, jeszcze gorsza, z jednego końca rozdarta.

Listwa kitajkowa, srebrem złotem i jedwabiem wyszywana, której łokci siedm, płótnem pomarańczowem podszyta.

Zasłonków para do Pocieszenia Najśw. Panny, ceglastych kitajkowych w cienie, u których koronka szychowa prosta, miejscami nadpsowane.

Na krucyfiksie, na tęczy wiszącym, jest fartuszków cztery, pierwszy zielony tabinowy, drugi cytrynowy kitajkowy, trzeci krótszy czerwony kitajkowy, czwarty pomarańczowy kitajkowy, a na spodku rąbkowy.

Zasłona koło krucyfiksa brackiego różańcowego, czerwona bombowa, którego krucyfiksa zażywają na procesye brackie, z frandzlą jedwabną.

Zasłona druga żałobna bombowa, na post wielki albo na akt pogrzebowy służąca, do tego krucyfiksa.

Zasłona zielona koło krucyfiksa brackiego św. Józefa, szkotowa [3]) z frandzlą zieloną jedwabną, którego zażywają na procesye brackie i żałobne.

Powłoka półjedwabna w paski, z dziurami.

## Vela białe.

Velum białe atłasowe, złotem, srebrem i różnymi jedwabiami wyszywane, z osobą św. Marcina, na której perły są i korona na P. Jezusie, kitajką karmazynową podszyte, koronka wkoło złota.

---

[1]) Powłoka — poszwa, nakrycie.

[2]) Może to niesokor — łac. lagetta, roślina. Z niego pleciono koronki, z niego i pasy bywały.

[3]) Szkot, szkotowa materya — gatunek kamlotu.

Velum białe kitajkowe z Imieniem Jezus, złą kitajką podszyte.

Velum białe tabinowe złotem wkoło, i w środku Imię Jezus haftowane, niepodszyte.

Velum atłasowe przybrukane, złotem i różnymi jedwabiami haftowane, osoba Najśw. Panny w środku wyrobiona, pasamon wkoło jedwabny był przedtem, ale teraz koronka mała, kitajką ceglastą podszyte.

Velum drugie także atłasowe przybrukane, samym jedwabiem wyszywane z blaszkami okrągłemi, w środku Imię Jezus z promieniami z pasamonami wkoło, kitajką ceglastą opłowiałą podszyte.

Velum atłasowe starsze, z floresami różnymi, z koroną złotą wkoło, kitajką starą podszyte.

## Bursy białe.

Bursa lamowa z osobą św. Marcina haftowana, z perłami na infule i na pastorale z galonem, tabinem niebieskim podszyta.

Bursa atłasowa, złotem i jedwabiem haftowana, na której Najśw. Panna i z P. Jezusem, korony z pereł, wkoło korona marcypanowa, tabinem niebieskim podszyta.

Bursa wszystka srebrem haftowana, z Imieniem Jezus i z floresami złotymi jedwabnymi, z koroną marcypanową, z kitajką ceglastą.

Bursy dwie z materyi jednakowej, ze złotymi kwiatami z galonem złotym, jedna kamką niebieską, druga kamką pomarańczową podszyta.

Bursa staroświecka, na atłasie haftowana z Najśw. Panną i P. Jezusem, pod nogami miesiąc.

Bursa na atłasie haftowana staroświecka, z Najśw. Panną i Aniołami, perły koło sukienki z gwiazdami.

Bursa atłasowa, z krzyżem *et aliis insigniis Passionis Christi*, atłasem ceglastym podszyta.

Burs pięć białych starych, *in parte* wyszywanych.

## Pale białe.

Pala perłami sadzona, wyszywana *imago s. Margaretae.*

Pala *cum effigie Salvatoris*, haftowana srebrem.

Pala atłasowa, *cum Agno Dei* wyszywana.

Pala atłasowa, z Imieniem Jezus haftowanem.

Pala atłasowa, *cum imagine s. Joannis.*

Pala altembasowa, z krzyżem czerwonym.

## Vela czerwone.

Velum atłasowe, złotymi kwiatami haftowane, *cum effigie* Najśw. Panny z perłami.

Velum atłasowe, z Imieniem Jezus haftowane.

Velum z marcypanowymi kwiatami, z Imieniem Jezus w kwiecie, kitajką niebieską podszyte.

Velum adamaszkowe ze złotem, z frandzlą złotą wkoło, kitajką karmazynową podszyte.

Velum adamaszkowe, w różowe kwiaty na dnie cielistem, z koronką wkoło złotą, kitajką podszyte.

Vela inne czerwone podlejsze stare, których pięć jest *in numero.*

## Bursy czerwone i pale.

Bursa na atłasie haftowana złotem, z Najśw. Panną, perłami sadzona, i pala takaż.

Bursa adamaszkowa, złote kwiaty z galonem złotym, i z palą takąż.

Bursa lamowa równa, z koroną marcypanową, i z palą takową bez galonu.

Bursa lamowa, z weneckim galonem żółtym, i z palą takową bez galonu.

Bursa tercynelowa w prążki, z Imieniem Marya, złotem haftowana, z palą taką z krzyżem.

Bursa różowa na dnie cielistem, z galonem złotym i z palą.

Bursa aksamitna, z Najśw. Panną haftowana, z palą atłasową haftowaną.

Burs czerwonych starych podłych i lepszych jest *in numero* 10, a pal starych 8.

## Vela zielone.

Velum atłasowe, złotem i srebrem haftowane, Najśw. Panna ze św. Józefem, kitajką ceglastą podszyte, z koroną złotą wkoło.

Velum atłasowe w biały wzór, z Imieniem Jezus, z koroną wkoło.

Velum tercynelowe w wodę jednakowe.

Velum kitajkowe papuże wyszywane.

## Bursy zielone i pale.

Bursa na atłasie, haftowana srebrem i złotem, ze dwiema osobami z palą takową.

Bursa tercynelowa w wodę, z koronką złotą, z palą takową, odmienną koronkę mającą.

Bursa atłasowa, w biały wzór z pasamonami.

Burs starych trzy, a pal starych pięć.

## Vela fioletowe.

Velum atłasowe, złotem i srebrem bogato haftowane, *cum imagine Ecce Homo*, kitajką podszyte.

Velum niebieskie kitajkowe, srebrem wyszywane.

Velum tercynelowe w wodę.

Vela stare jasne i ciemne dwa.

## Bursy fioletowe i pale.

Bursa atłasowa, złotem i srebrem haftowana z palą takową *cum imagine B. V. Mariae dolorosae.*

Bursa kitajkowa z Imieniem Marya, z palą takową, na której imię Jezus.

Bursa tercynelowa w wodę, z koroną złotą, z palą jasną atłasową, z osobą haftowaną.

Bursa kamkowa z palą takową.

Burs starych trzy, a pala jedna.

## Vela czarne.

Velum bawełnicowe[1]) wyszywane.

Velum kitajkowe z koronami.

---

[1]) Bawełnica — tkanka z bawełny.

Velum bawełnicowe z Imieniem Jezus.
Welonów czarnych starych pięć.

## Bursy czarne i pale.

Bursa aksamitna wytarta haftowana, z Imieniem Jezus, z palą adamaszkową.

Burs innych trzy, pal starych sześć.

## Alby różne.

Alba sztuczkowa [1]) solenna bogata, kwiatami złotymi wyszywana, z koroną u dołu szeroką złotą i z kompanką [2]).

Alba sztuczkowa rąbkowa [3]), z koroną marcypanową, wkoło kwiaty białe wyszywane.

Alba płótna szwabskiego, z koronami niesehurowemi.
Alba sztuczkowa, z koronami białemi szerokiemi.
Alba sztuczkowa takoważ z koronami.
Alba sztuczkowa, z koronami strzępiastemi.
Alba lniana, z koronami szerokiemi grubemi.
Alba rąbkowa, z koronami grubemi.

Alb inszych prostych, z małemi koronami i niciami wyszywanemi, nro 9.

Alb wszystkich *in numero* 27.

## Tuwalnie [4]).

Tuwalnia rąbkowa, jedwabiem zielonym i złotem wyszywana, dobra.

Tuwalnia jedwabiem czerwonym i złotem wyszywana, zła.
Tuwalnia lana, z białem szyciem i jedwabiem wyszywana.
Tuwalnia lana, karmazynowym jedwabiem wyszywana.
Tuwalnia rąbkowa, złotem wyszywana.

---

[1]) Misternie zrobiona, wytworna.
[2]) Kampanka, kompanka — kutasik dzwonkowaty, galon.
[3]) Rąbek — płótno cienkie, delikatne i przezroczyste.
[4]) Tuwalnia z włos. tovaglia — ręcznik szeroki; tutaj obrus używany przy rozdawaniu Komunii św. Communicantentuch.

Tuwalnia rąbkowa, czerwonym i zielonym jedwabiem wyszywana.

Tuwalnia czarnym jedwabiem wyszywana.

## Humerały.

Humerałów lnianych z koronkami 3.
Humerałów lnianych bez koronek 2.
Humerałów z koronkami rąbkowych 3.
Humerałów bez koronek rąbkowych 3.

## Obrusy.

Obrus rąbkowy cienki sztuczkowy, jedwabiem czerwonym i złotem w kwiaty wyszywany.

Obrus lniany, niciami w kwiaty wyszywany.
Obrusów włóczką czerwoną wyszywanych 25.
Obrusów z koronami różnemi nicianemi 11.
Obrus jedwabiem błękitnym szyty.
Obrusów brunatnych 3.
Obrusów czarnych *alias* czarno wyszywanych 3.

## Pasy *(cingula)*.

Pas karmazynowy jedwabny z frandzlą.
Pasów zielonych jedwabnych nro 2.
Pasów nicianych włóczką przerabianych 6.
Pasów białych 2. — Pasów *in numero* 18.

## Korporały.

Korporał sztuczkowy, złotem haftowany, na którym są insignia Passionis, z koroną złotą wkoło.

Szyrzynka [1]) rąbkowa cienka, złotem srebrem i różnym jedwabiem wyszyta, w której korporał.

Korporał sztuczkowy, *cum insigniis Passionis* złotem wyszywanemi, z koronką złotą wkoło.

Szyrzynka jedwabnicowa [2]) złotem haftowana, w której korporał.

---

[1]) Jakiś gatunek płótna, nieznany bliżej.
[2]) Jedwabnica — bławat, materya jedwabna.

Korporał sztuczkowy, złotem wkoło wyszywany niebogaty, z koronką złotą wkoło.

Szyrzynka rąbkowa, jedwabiem ceglastym i srebrem wyszywana.

Korporał rąbkowy cienki, złotem wkoło w essy wyszywany, bez koronki.

Szyrzynka rąbkowa, jedwabiem karmazynowym i srebrem wkoło w kwiaty wyszywana.

Szyrzynka bez korporału rąbkowa, srebrem złotem i jedwabiem zielonym wyszywana.

Korporał jedwabiem białym wyszywany, *cum insigniis Passionis Domini*, z koronką.

Korporałów sztuczkowych z koronami białemi 22.

Korporał lniany z koronkami 1.

## Purifikaterze.

Puryfikaterzów wyszywanych jedwabiem 2.

Puryfikaterzów z koronkami 9.

Puryfikaterzów bez koronek 8.

## Ręczniki.

Ręczników drelichowych wielkich 2.

Ręczników drelichowych z włóczką 2.

Ręczników małych do ołtarza 7.

## Komeszki.

Komeszek dobrych para.

## Kapy różańcowe. [1])

Kap sukiennych czerwonych, do bractwa różańcowego należących 12.

Kap płóciennych 2.

Sukno na stół, którego zażywają do noszenia obrazu.

---

[1]) Ubranie, przykrycie zwierzchnie brackie, noszone na procesyach lub innych nabożeństwach.

## Kapy św. Józefa.

Kap płóciennych zielonych 14.
Dyscyplin 15.
Kobierców wszystkich 9, dobrych ale starych cztery, złych pięć.

## Poduszeczki.

Poduszka pod mszał atłasowa, srebrem i złotem haftowana.
Poduszka włóczką w kostkę przerabiana.
Poduszka włóczkowa, na której kwiat w środku.
Poduszka kitajkowymi kwiatami na białym arasie z Imieniem Marya wyszywana.
Poduszki dwie na habie, włóczką różnego koloru w kwiaty wyszywane.

## Chorągwie.

Chorągiew różańcowa nowa adamaszkowa czerwona, *cum imagine s. Dominici et Hyacinthi*, sprawiona przez ks. Jacka Wolakiewicza, kapelana różańcowego.
Chorągiew stara adamaszkowa, z białemi niciami.
Chorągiew adamaszkowa zielona, *cum imagine s. Josephi*, do bractwa św. Józefa należąca.
Chorągiewek małych złych 4.
Chorągiewek nowych, sprawionych w r. 1726, jest *in numero* cztery.

## Krzyże.

Krucyfiksów brackich, z zasłonami i z fartuszkami nro 2.
Krucyfiksów na procesyi nro 3.
Krucyfiksów małych na ołtarze 5.
Portatyl [1]) na ołtarz.

## Księgi chórowe.

Graduał wielki dobry. — Antyfonarz dobry. — Psałterzów nro 3 niedobrych. — Rituale Romanum. — Martyrologium. — Agendki dwie. — Brewiarz stary.

---

[1]) Kamień z Relikwiami, poświęcony przez biskupa, służący niezbędnie do odprawiania mszy św.

## Żelazo.

W kruchcie przed wielkimi drzwiami kraty dwie *in formam* drzwi żelazne, połowa zepsowana.

W kaplicy św. Trójcy krata żelazna i drzwi, trzech prętów nie masz.

W kaplicy Najśw. Panny Bolesnej krata dobra i z zamkiem dobrym.

Na wielki chór drzwi żelazne, z prętów żelaznych dobre, do kalkarnii drzwi żelazne.

Wchodząc na cmentarz, w bramce krata żelazna, w niej prętów 23.

W drugiej bramce krata w niej prętów 14.

Na schody idąc na chór wielki, sztaba żelazna i dwa grube żelaza u tej sztaby i krata na wierzchu.

Do kalkarnii drzwi żelazne dobre z wrzeciądzem. okiennica do kalkarnii i trzy pręty w oknie, i trzy pręty z obręczami u sklepienia.

W kaplicy św. Józefa skarbona żelazna, z zamkiem i antabą.

U grobu, w którym dzieci chowają, sworzeń jeden.

Pod cymboryum u grobu sworzeń jeden.

W bok cymboryum drzwiczki żelazne z zamkiem.

Pod krzyżem u grobu dwie obręcze.

U św. Mikołaja u grobu dwie obręcze.

U św. Anny u grobu dwie obręcze.

U grobu przed wielkim ołtarzem obręczy 4 i klamry.

Drzwi żelazne do zakrystyi, z zamkiem i wrzeciądzem.

Drzwi żelazne do skarbca, z zamkiem i ze czterema wrzeciądzami i skoblami.

Drzwi żelazne w zakrystyi, gdzie monstrancyę wielką chowają, z zamkiem i dwoma szynami.

Okiennic do zakrystyi dwie z wrzeciądzami.

We trzech oknach w zakrystyi kraty dobre trzy.

U szuflad w zakrystyi szyny dwie, któremi apparaty zamykają, i ze dwiema kłódkami.

U sklepienia w zakrystyi hak żelazny.

Lichtarzy na dedikacyę po kościele dwanaście.

Idąc na skarbiec na górę, drzwi żelazne po boku, nad kaplicę idąc.

Od starego skarbca drzwi połowa drewniane, obite blachą.

Na górze na skarbcu drzwi z prętów żelaznych.

Drzwi żelazne od św. Stanisława, dwóch prętów nie masz.
Na górze na skarbcu we trzech oknach kraty dobre.
Na kościele okiennic dwie od kustodyi.
Znowu okiennic dwie z nad karceresu, jedna zepsowana.
Na kościele ankry dwie.
Łańcuch na środku kościoła.
Przed wielkim ołtarzem u pozytywy pręty dwa.
Na wielkim chórze u pozytywy pręty dwa.

## Drzwi kościelne z zamkami.

Drzwi wielkie do kościoła, przy których zaporka żelazna i z kłódką wielką.

Drzwi u kaplicy św. Jakóba z zamkiem.

Na wielki chór drzwi z zamkiem.

U wielkich organów drzwi dwoje z zamkami, u dolnej pozytywy drzwi z zamkiem.

W kaplicy św. Józefa u szafy czworo drzwi z zamkami, *item* w murze drzwiczek dwoje z zamkami, i w ołtarzu zamek do obrazu zamykania.

U szafy różańcowej drzwi dwoje z zamkami, u szafy, w której obraz chowają, drzwi dwoje z zamkami.

Na chór do św. Józefa drzwi z zamkiem.

U Najśw. Panny Częstochowskiej w ołtarzu drzwiczki dwoiste z zamkiem, i pod ołtarzem drzwi z zamkiem.

Do obrazu różańcowego drzwi z zamkiem.

U skarbony różańcowej zamek i kłódka.

U drzwi wielkich od kustodyi kuna żelazna z kłódką.

Na chór przed wielki ołtarz drzwi z zamkiem i antabą żelazną.

W zakrystyi u spodku czworo drzwi z zamkami, u wierzchu także czworo drzwi z zamkami.

U szafy przed skarbcem drzwi z zamkiem i do skarbca.

U szafeczki, gdzie vela chowają, drzwi z zamkiem.

W kącie u szafy wielkiej drzwi z zamkiem.

W zakrystyi, gdzie monstrancyę mniejszą chowają, i po boku u drzwiczek maleńkich, gdzie *olea sacra* chowają, zameczek.

U szafy Niepokalanego Poczęcia dwoje drzwi z zamkami.

Idąc na górę na skarbiec drzwi z zamkiem, także drugie drzwi wyżej z zamkiem.

Skrzynia na skarbcu okowana z zamkiem, różne drobiazgi, w szufladach osoby (figury) stare.

Od wikaryi drzwi z zamkiem i drugie z klamką.

Drzwi do dzwonicy i drugie do wieży bez zamków [1]).

---

Niemniej świetnie przedstawia się inwentarz srebra, sporządzony w r. 1749 przez ks. Wojciecha Mrozińskiego, z okazyi wizyty kanonicznej księcia-biskupa krakowskiego, Jędrzeja Załuskiego. Niektóre tylko rzeczy przytoczę z niego:

Monstrancya wielka z 10 osóbkami w wieżyczki, cała wyzłocona, ważąca 68 grzywien.

Monstrancya mniejsza, nakształt słońca w promienie, wszystka pozłocista z 2 aniołkami.

Trzy puszki do przechowywania Najśw. Sakramentu, wewnątrz i zewnątrz wyzłocone.

Dwa naczyńka srebrne do noszenia Wiatyku i na Oleje św.

Dziesięć drogich kielichów suto złocistych, z kwiatami, perełkami i kamykami.

Kielichów zwyczajnych cało złoconych 10, patyn cało złoconych 14, patyn srebrnych na zewnątrz niezłoconych 9.

Trzy wielkie krzyże srebrne wyzłocone, z osóbkami i aniołkami.

Krzyż stołowy i mały szczerozłoty *cum ligno vitae.*

Dwa duże relikwiarze srebrne: jeden z relikwiami św. Jana Kantego, drugi nakształt skrzyneczki, z różnemi kościami Świętych

Miednica wielka srebrna z nalewką wyzłocona.

Pięć ampułek srebrnych wewnątrz wyzłoconych.

Kociołek srebrny do święconej wody.

Trybularz z łódką i łańcuszkami srebrnymi,

Sześć dużych lichtarzów srebrnych.

Dwie wielkie lampy srebrne z łańcuszkami: przed wielkim ołtarzem i przed *cimborium*, trzecia mniejsza do ołtarza różańcowego.

Stypuła kantorowska na drzewie dębowem, srebrem powleczona.

---

[1]) Cały ten inwentarz, w formie wązkiej podłużnej, oprawiony jest w pergamin, znacznie nadpsuty z jakiegoś Antyfonarza czy Psałterza, na którym wypisane są ustępy z Pisma św. charakterem XIV. wieku, z inicyałami czerwonymi.

Pięć mszałów w srebro oprawnych, z aniołkami, osóbkami i innemi srebrnemi ozdobami.

W wielkim ołtarzu na głowie Ukrzyżowanego korona cierniowa srebrna, wotów większych i mniejszych 18, i wizerunek malowany Lubomirskiego z krajami w srebrne floresy.

W ołtarzu św. Jana Kantego berło doktorskie srebrne, tudzież promienie około głowy Zbawiciela, Najśw. Panny i Jana Kantego.

W ołtarzu Matki Boskiej Różańcowej sukienka z miesiącem i berłem; dwie korony wyzłocone z 12 gwiazdami; wotów mniejszych i większych 19; krzyżyk wyzłacany, drugi mniejszy, trzeci jeszcze mniejszy; perły, korale i paciorki bursztynowe; kanaczek[1]), czyli łańcuszek perłowy, w wężyka przypięty.

Na feretronie różańcowym dwie korony wyzłocone, wotów 9, koraliki i paciorki bursztynowe.

W ołtarzu Niepokalanego Poczęcia korona wyzłocona, lilia srebrna, dwa wota, kanaczek, korale i napis literami srebrnemi: *Pulchra tota sine nota.*

W ołtarzu św. Józefa sukienka wyzłocona z koroną i srebrną lilią, dwa vota, gwiazda krzyształowa w srebrnej obwódce i łubek srebrny [2]).

W ołtarzu Matki Boskiej Bolesnej dwie korony, korale, dwa wota i perły.

Na obrazie Matki Boskiej Częstochowskiej sukienka srebrna, z dwiema wyzłoconemi koronami, gwiazd srebrnych 12 i dwa wota.

W ołtarzu św. Rozalii sukienka mosiężna na obrazie P. Jezusa, Najśw. Panny i św. Rozalii, trzy kwiaty srebrne i korale.

W ołtarzu Matki Boskiej Pocieszenia, przed stallami po stronie Ewangelii, sukienka z dwiema koronami, votum jedno kwadratowe, a drugie z pozłacanym wizerunkiem Matki Boskiej, korali nici 15[3]).

---

[1]) Kanak z turec. — ozdoba na szyi kobiet, łańcuszek z pereł, alszbant (Halsband).

[2]) Łubek — votum srebrne w formie serca, nieraz z wizerunkiem oblubieńca i oblubienicy. Dawniej w Polsce był zwyczaj, że panna młoda składała wieniec swój ślubny na ołtarzu, przed którym łączył ją z oblubieńcem św. Sakrament, a każdy wieniec spleciony był na t. z. łubku srebrnym. (Łoziński: Złotnictwo lwowskie, str. 8).

[3]) Inventarium argenti et paramentorum eccles. colleg. sandec., die 26. Julii 1749 conscriptum.

I gdzież się to wszystko podziało? Częściowej konfiskaty kosztowności kościelnych dokonano w Galicyi z rozkazu cesarza Józefa II. w r. 1788. Znacznie później za rządów cesarza Franciszka I. w r. 1810 i 1812 skarb publiczny Austryi, wyczerpany podczas wojny z Napoleonem I. w r. 1809, świecił pustkami. Do tego nowe uzbrojenia wojenne przeciwko Rosyi pożerały ogromne sumy pieniężne — zabierano przeto z kościołów monstrancye, puszki, kielichy i inne srebra kościelne i przetapiano je na pieniądze. Zabrane kosztowności fary sandeckiej oszacowano zaledwie na 1.200 złr. i wyznaczono od nich nizkie odsetki roczne.

Pomimo tylu kosztownych aparatów i sprzętów kościelnych, jak widzieliśmy powyżej, sam kościół około połowy XVIII. wieku wewnątrz i zewnątrz smutny przedstawiał widok, i domagał się rychłej reparacyi. Już Konstanty Szaniawski, biskup krakowski, w czasie swej wizyty kanonicznej w Nowym Sączu 19. czerwca 1725, zwrócił uwagę kapitule sandeckiej i wykazał konieczność odnowienia kollegiaty[1]). Rzecz jednak na razie nie przyszła do skutku. Ten obowiązek ciężył nie tylko na duchowieństwie miejscowem, lecz także na rajcach miejskich, jako opiekunach kościoła tego od najdawniejszych czasów. Ale sławetni rajcy nie tylko nie zabierali się rączo do odnowienia kościoła, ale nawet nie chcieli dostarczyć potrzebnego drzewa na belki i krokwie z miejskich lasów. Doszła o tem skarga do króla Augusta III., który z tego powodu wystosował do magistratu i wszystkiego pospólstwa sandeckiego list gromki z Warszawy, pod dniem 5. czerwca 1750 r. Czytamy w nim między innemi: „Dochodzą Nas nie bez żalu i podziwienia pewne wiadomości, jako Wierności Wasze, cobyście mieli do potrzebnej reparacyi kościoła kollegiaty tamecznej pobożnie według możności przykładać się, to jeszcze zbawienne innych zamysły i starania tamujecie, zabraniając wzwyż rzeczonemu kościołowi na belki i krokwie i inne drewniane materyały z lasów Naszych królewskich, temu miastu z dawna nadanych. Nie sądzilibyśmy nigdy, aby w państwie zupełnie katolickiem znaleść się mogła taka ku chwale Pana Boga i ozdobie Świętym jego oziębłość, i aby temu Panu, którego wszystko jest, cokolwiek jest, ręka ludzka bronić miała mizernego drzewa, które święta jego moc i opatrzność szczepiła, i wzrost mu przyzwoity

[1]) Eccles. colleg. sandec. privileg. vol. I. Decretum Reformationis Constantini Szaniawski anno 1725.

dała. Gorszyć się zaiste sąsiedzkie z Wierności Waszych miasta i miasteczka muszą, kiedy słyszą jako mniej uważnie kawałka drzewa żałujecie miejscu temu poświęconemu, na którem i przy którem kości ojców, braci i przyjaciół waszych już czekają, a za niedługo podobno i wasze czekać będą powszechnego zmartwychwstania“ [1]).

Najdobitniej jednak groźny stan kollegiaty przedstawił ksiądz kustosz w osobnem piśmie, przedłożonem kapitule sandeckiej dnia 13. lipca 1750 r. Oto jego relacya: „Nie trzeba długo żałosnem piórem opisować brzydkości spustoszenia, stojącej na miejscu świętem, t. j. w naszej kollegiacie, sama się widzieć daje. Na którą patrząc, jeżeli czyje, to nasze, tej kollegiacie obowiązane serca, wzruszyć się powinny. Wołają o podparcie nadwątlone mury, spruchniałe od starości podniebienie, co moment upadkiem i spodziewaną zgromadzonego ludu zagraża klęską; spruchniała dachówka cała wątła; dach sam na 3 łokcie zniżony i na samych wspierający się murach. rozpiera i rysuje się; większa wieża wcale już tak w wiązaniu jako i w kopule do gruntu od ustawicznego zaciekania zbutwiała [2]), że za każdym wiatrów gwałtem ostatnią straszy ruiną i upadkiem. Trzeba nad tym kościołem Jeremiaszowe ponowić żale. Azali to ten kościół pełnej ozdoby, pociecha wszystkiego podgórskiego kraju? Gdyby mogli powstać z pośród tych zimnych popiołów pobożni przodkowie nasi, pewnieby się przeraził ich umysł, pewnieby się mogli z nami umawiać: Któż nie widział z pomiędzy nas tego domu w dawnej chwale? Gdzież majestat ów dawnego kościoła, gdzie całość i okazałość jego? Zawstydzićby nas mogły niektóre pojedyńcze kościoły, że większe mają około siebie starania, aniżeli my do naszego przykładamy. Trudno na inszego spuszczać się fundatora, jeżeli my sami upadającej świątnicy Pańskiej nie podamy ręki. Od tego kościoła nasze prałackie mamy zaszczyty, on nas odróżnia od pospolitego kleru. Toż słuszna, żebyśmy się też spólnym nakładem do restauracyi jego przyłożyli. Z niemałą byłoby dla nas hańbą, gdybyśmy tego zaniedbali w te czasy, kiedy z łaski Bożej, przy spokoju w królestwie, po miastach zruinowane domy albo na nowo powstają, albo

[1]) Histor. Nowego Sącza. T. I. str. 202.

[2]) Turri ecclesiae colleg. ingruit ingens periculum ruinae campanarum, ex occasione foraminis in condignatione fornicata a fulmine ab annis ultra sexaginta... lateres in campanas defluunt. Acta Capituli ex an. 1691 p. 112.

do świeżej przychodzą reparacyi [1]); kiedy jałmużniczych zakonów klasztory piękniejszego coraz nabywają oporządzenia: sama nawet (żal wspomnieć) żydowska sandecka podnosi się bóżnica [2]), a nasza kollegiata ku ziemi nachylona, niby miejsce swojej już upatruje ruiny. Wiadomo wszystkim nam jako za dopuszczeniem Bożem przeszłych czasów pogorzała ta kollegiata ze wszystkiemi ozdobami swojemi, tak że tylko jedna przy ambonie ostała się tablica, a na niej te słowa: *scelera eorum* — złości ich [3]). A przecież pobożni współbracia poprzednicy nasi hojną ręką swoją dźwignęli ją z ruin, i do tej, którąśmy zastali, przyprowadzili pory. Jakażby to niemała była sławy naszej ujma, gdyby za czasów naszych ta fabryka do ostatniej przyjść miała ruiny. Tak daleko większa będzie przed Bogiem zasługa, przed ludźmi chwała i zbudowanie, kiedy ta świątnica, która mogła upaść, a nie upadła, ale owszem w pośrodku niebezpieczeństwa znalazła swój ratunek, a w sercach naszych współczucie i hojną pomoc... [4]) (reszta zetlała i nieczytelna).

Przedstawienie księdza kustosza pomyślny odniosło skutek, bo restauracyjne roboty, rozpoczęte już 5. październ. 1749 r. przez pana Placyda architekta, znacznie postąpiły naprzód. Przechowany rachunek z lat 1749—1752 uwidoczni nam lepiej stan całej restauracyi, która jednak zeszpeciła raczej, niż upiększyła, dawną kollegiatę Zbigniewa Oleśnickiego:

— Sprowadzenie wszystkiego drzewa z lasów nawojowskich, kamionkowskich i żeleźnikowskich, tudzież z innych lasów nowosandeckich na stragarze całego kościoła, na krokwie tak do dachu kościelnego, jako też i wieży, trzech kaplic, kośnicy, babieńca, na rusztowanie w kościele, dzwonicy, z wiezieniem i z grubszego obrobieniem, 767 tynfów sandeckich, półtoraków 10.

— Za łaty z odwiezieniem 73 tynf.

---

[1]) Ks. kustosz miał tu widocznie na myśli kościół norbertański, odnowiony w r. 1747 za staraniem ks. opata, Jana Pawła Lasoty Szczkowskiego.

[2]) Ta bóżnica, przy dzisiejszej ulicy krakowskiej, wzniesiona w r. 1746 stoi po dziś dzień. Zewnątrz jest budą bezstylową, ale wewnątrz jest piękną, z kunsztowną konstrukcyą architektoniczną.

[3]) Mowa tu o pożarze w r. 1611. Zob. Hist. Now. Sącza. T. I. str. 6—7.

[4]) Kopia listu księdza kustosza ad Concapitulares, succursum collegiatae exorantis, die 13. julii 1750.

— Za tarcice różnie skupowane z odwiezieniem 277 tynf, 4 półtor.

— Od zwożenia kamieni, cegły, na nadkładanie murów pod stragarze nowych filarów 240 tynf.

— Za dachówkę na różnych miejscach kupowaną 666 tynf. 8 półtor.

— Za wapna wierteli 480 po 1 tynfie = 480 tynf.

— Za wożenie piasku do tego wapna 120 tynf.

— Majstrowi ciesielskiemu od roboty za 2 roki 743 tynf. 4 półtor.

— Na ukończenie tabulatur sufitu 28 tynf.

Pomocnikom z siekierami do rusztowania, rozbierania dawnej tabulatury, rozbierania dachów trzech kaplic i innej ciesielskiej roboty (nie rachując tej pomocy, której bardzo mało miasto dawało) 710 tynf.

— Mularzom od murowania szkarp około kościoła, trynkowania, układania dachówki na całym kościele, jako też dzwonicy, spuszczania starego ganku kamiennego, który z wielkiem niebezpieczeństwem wisiał, muru dania pod stragarze, wybielenia dzwonicy, wraz z pomocnikami 900 tynf. 8 półtor.

— Za sztaby na ankry, szyny na kliny do ankier, na szwornie do stragarzów, szpernale łokciowe pod dachówkę do krokiew, bretnale i gwoździe na całą fabrykę i kowalom 339 tynf.

— Malarzowi *ad rationem* przyszłego malowania sufitu 210 tynf.

— Imci panu Placydowi architektowi honorarium 42 tynf.

— Wapna pozostaje do przyszłej roboty za 120 tynf.

— Na kontynuacyę dalszej fabryki 420 tynf.

— Suma wszystkiej expensy = 6.137 tynf. 10 półtoraków.

Na pokrycie tych wydatków wyłożył z własnej kieszeni hr. Pontîan de Harscamp 3.000 tynf., kanonicy kollegiaty i inni księża złożyli 2.316 tynf., pani Paszyńska wdowa 42 tynf. [1]).

Kollegiata sandecka przetrwała w świetności swojej aż do końca panowania cesarzowej Maryi Teresy. Dopiero Józef II., kasując klasztory w Nowym Sączu, nie przepuścił i kollegiacie Zbigniewa Oleśnickiego. W r. 1782 przystąpiono do jej częściowej kasaty — zniesiono najprzód cztery kanonickie prebendy: w Bie-

[1]) Specifikacya erogowanych pieniędzy na rzemieślnika przy fabryce kollegiaty nowosandeckiej, a die 5. octobr. 1749 ad diem 19. aprilis 1752 wywiedziona.

gonicach, Dąbrówce, Nieszkowej i Chochorowicach; nieco później ten sam los spotkał też inne prelatury. W chwili kasaty składali kollegiatę prałaci: Józef Bętkowski, proboszcz, Kasper Szajowski, archidyakon, Wojciech Mroziński, dziekan, i Maciej Jaszczurowski, kustosz; tudzież kanonicy: Marcin Trojnarski, Stanisław Skrudziński[1]), Józef Dzięciołowski i Tomasz Silowski, którzy aż do wymarcia mieli pozostać na swych posadach[2]). Niektórzy jednak z nich nie korzystali wcale z tej cesarskiej łaski, lecz rozjechali się niebawem w różne strony Polski, aby przepędzić spokojnie resztę dni życia swego. Równocześnie odłączono parafię w Podegrodziu od kollegiaty, a kościół św. Małgorzaty w Nowym Sączu stał się napowrót od r. 1791 kościołem farnym.

## Rozdział IX.

### Kościół św. Małgorzaty w obecnym stanie.

Przypatrzmy się teraz kościołowi św. Małgorzaty w obecnym stanie i niektórym jego zabytkom. Front kościoła zdobią dwie nierówne wieże. Większa wieża (od strony plebanii) ma wyraźne ślady gotyki, mniejsza zaś (od strony ulicy lwowskiej) renesansu XVII. wieku. Na większej wieży, zbudowenej w r. 1507, widać w kamieniu wykute herby; Orzeł polski i Pogoń, oraz nieznany herb: pochyłoległa strzała z krzyżem na jej ramieniu i monogram IHS, jakiego zakon Jezuitów za godło swoje używa. Na mniejszej wieży, wzniesionej w r. 1631, zawieszono cztery duże dzwony. Pierwszy z nich, mający obwodu 14 łokci, po Zygmuncie krakowskim największy w Polsce, pękł w czasie dzwonienia przed r. 1849. Dzwon ten z pięknymi odlewami Chrystusa i Maryi, był dziełem sztuki giserskiej Eliasza Wagnerowicza z Lublina. Napisy na nim były następujące: *Sancte Michael Archangele defende nos in praelio, ut non pereamus in tremendo judicio. Divino auxilio fudit me Elias Wagnerowicz, pixidiarius Lublinensis. In Te Do-*

[1]) In libro mortuorum eccles. veterosandec. zanotowano o nim pod dniem 18. styczn. 1784: „Admodum Rev. Dom. Stanislaus Skrudzieński, praepositus veterosandecensis, canonicus colleg. neosandecensis, dignus vir in vinea Christi et plenus virtutibus. Provisus Sacramentis a Rever. Antonio Kmietowicz, hospitatis S. Crucis praeposito et vicario. Sepultus per Illustr. et Reverendiss. Dom. Adalbertum Mrozieński, officialem decanum sandecensem, curatum Łącensem".

[2]) Specificatio sublatorum simplicium beneficiorum, alias praelaturarum et canonicatuum, eorumque proventuum an. 1782.

*mine speravi, non confundas me in aeternum. Mors est omnium rerum finis. A. D. 1617.* W r. 1867 przelano go, ale tak niezręcznie, że wkrótce potem pękł powtórnie i odłamał się. Na drugim, mało co mniejszym od poprzedniego, napis: *Joannes Nicolaus* i wiersz z Pisma świętego: *Vox clamantis in deserto, parate viam Domini, rectas facite semitas ejus. A. D. 1611.* Na trzecim dzwonie rok 1671 z napisem: *Deus homo factus est. Christus rex potens venit in pace.* Czwarty dzwon bez daty nosi napis: *Ave Maria gratia plena, Dominus Tecum, benedicta tu in mulieribus,* przeznaczony widocznie do oddzwaniania na „Anioł Pański".

Wchodzącego do kościoła uderza przedewszystkiem niepospolita jego obszerność. Dawniej był on gotycko sklepiony, z wysokim dachem, krytym dachówką. Dopiero w pierwszym i drugim dziesiątku XIX. wieku, gdy się tu i owdzie sklepienie zarysowało, Rząd austryacki, troskliwy o publiczne bezpieczeństwo, kazał je rozebrać i prostym zastąpić sufitem [1]). Zniszczono i usunięto wtedy kosztownej roboty marmurowe balasy, stojące przed wielkim ołtarzem, popsuto piękne gotyckie okna prezbyteryum i głównej nawy. Przekształcono też do niepoznania sam front kościoła, płaskorzeźbę zaś z wizerunkiem Ukrzyżowanego z r. 1507 przeniesiono z większej wieży i wmurowano na froncie mniejszej u dołu [2]). Nie przepuszczono i wieżom; z próżnej obawy, aby się nie zawaliły, zniżono je o trzecią część, co się wyraźnie od razu okazuje, spojrzawszy na ich nieproporcyonalną szerokość do wysokości. Z dawnych ołtarzy pozostał tylko wielki ołtarz z wizerunkiem Ukrzyżowanego, na trzy wysokie piętra podzielony. W r. 1890 odnowił go starannie Ks. Infułat Góralik, który też następnego roku cały kościół blachą żelazno-cynkowaną pokrył.

Pod kazalnicą widzimy pomnik czworoboczny z czerwonego marmuru. W treści pomnika: dwie figury w stroju polskim, stojące pod krzyżem Chrystusa. Wyrób ostry, mniej dokładny; wokoło napis: *Hoc sarcophago recondi voluit cineres corporis sui suorumque, honesta Sophia Poławińska, que obiit a. d. 1625 mense Julio die nona aetatis vero suae 70.*

U spodu pod rzeźbą:

*D. O. M.*

Kto tu jest, co tu leży, jeżeli chcesz wiedzieć:
Zofia Poławińska, śmiem imię powiedzieć.

[1]) Zob. powyżej na str. 78 notę 1.
[2]) Zobacz zbiór rycin na końcu.

Przyszedłszy do starości w cnoty ozdobiona,
Z wiary, sławy, postępków nigdy nie shańbiona.
Co się przedtem uczciwem życiem swem szczyciła,
W tym przecie małym grobie kości położyła.
Gdy się trafi nastąpić na kamień, gdzie leży.
Proś, żeby Pan Bóg zniszczył z duszy jej zmazę.

Naprzeciw chrzcielnica spiżowa z rokiem 1552, monogramem i tekstem z Pisma św. samemi wielkiemi literami: *Qui Crediderit Et Baptizatus Fuerit, Salvus Erit. In Nomine Patris Et Filii Et Spiritus Sancti. Ad Honorem Dei Patris Omnipotentis Et Beate Marie Semper Virginis.* Według podania miała być ulaną z armat na wojnie zdobytych. Obok chrzcielnicy pomnik z piączowskiego kamienia. Postać zmarłego wyobrażona w płaskorzeźbie leżąca; jest to pomnik Erazma Karcza, rajcy sandeckiego † 1584.

W głównej nawie kościoła znajduje się także długa marmurowa płyta, poległych w r. 1866 pod Königgrätzem oficerów i szeregowców 20 pułku; tudzież dwóch ostatnich proboszczów sandeckich: Ks. Jana Machaczka † 1882, i Wojciecha Kowalika † 1887 r.

W kaplicy Niepokalanego Poczęcia, obok drzwi, pomnik Franciszka Xawerego Riedelswalda, starosty sandeckiego † 3 czerwca 1808 r.

W kaplicy św. Jana Nepom., w ścianie po lewej stronie, nagrobek kamienny 9-letniej Maryi Miller. W treści pomnika krzyż dwuramienny, pod nim dwa klęczące Aniołki i herb z napisem: *Hier ruhet die vor der Zeit gereifte Unschuld, Maria Eleonora Josepha Miller, geboren den 16. Martius 1802, gestorben den 12. Januarius 1811.*

W tejże kaplicy, po prawej stronie w ścianie, umieszczony wielki kamień grobowy z piaskowca. W płaskorzeźbie widać zatartą [1]) już postać brodatego mieszczanina. Z zatartych liter, któremi pomnik wokoło był opisany, tyle tylko z trudnością odczytać można: *Hoc in monumento... consul. sandec. decessit XIX. septembris hora XIV. A. D. MDLXV.*

[1]) Pomnik ten był umieszczony w środku posadzki, dopiero ks. Infułat Góralik kazał go podnieść stamtąd i umieścić w ścianie 1895 r.

Obok niego widzimy płytę z czarnego marmuru, z herbem i napisem:

*D. O. M.*

Tum złożyła depozyt w lat czterdzieści biegu,
Złożywszy syny, wnuki na wieczności brzegu.
Dopłynęłam Szreniawa, posławszy przed sobą,
Trzech Drużów, Szreniawitów i córkę z ozdobą,
Niewinności anielskiej wnuczkę, z wnukiem w parze,
Z Dembieńskich i Dedyńskich schowała w tej farze.
I sama wkrótce potem, jako matki dzieci,
Tum złożona, niech prośba moja litość wznieci,
W przechodzącym człowieku, który pókiś żywy,
Westchnij Jezus Marya, bądź im miłościwy.

*Obiit Anno Domini 1737 die 31. martii.*

Pomników w kollegiacie musiało być dawniej daleko więcej, skoro w domach obok tego kościoła, znalazłem na podłogach i po dziedzińcach kamienie nagrobne, których napisy albo zupełnie zatarte, albo ledwo jedno drugie słowo na nich odczytać można. — W r. 1849 był przed ołtarzem św. Trójcy w posadzce kamień grobowy, na którym tylko tyle wyczytać można było: *Anna Pelczina conjunx moestissima hoc sarcophago recondi voluit cineres spectabilis Nicolai Pełka mariti sui, qui obiit A. D. 1597.*

Obecnie jedyną prawie, drogocenną pamiątką kościoła tego jest w bocznym ołtarzu starodawny, cudami słynący obraz Przemienienia Pańskiego[1]). Jakkolwiek pewność historyczna o początku tego cudownego obrazu znika w zamierzchłej pomroce wieków, tyle jednak na pewne o nim powiedzieć możemy, że od niepamiętnych czasów pozostawał w kościele franciszkańskim w Nowym Sączu; później znów umieszczono go w osobnej kaplicy obok tegoż kościoła, wzniesionej *ex voto* kosztem Konstantego Lubomirskiego, starosty sandeckiego, jak nadmieniłem powyżej przy opisie kościoła franciszkańskiego. W r. 1753 po pożarze kościoła i klasztoru Franciszkanów, złożony był przez czas dłuższy w kaplicy sandeckiego zamku, skąd przeniesiono go napowrót do kaplicy franciszkańskiej. Rzecz uwagi godna, że podczas solennego przeniesienia obrazu z zamku do kaplicy, nie tylko lud chrześcijański przy tym akcie przytomny rzewnie płakał, ale nawet niewierne

[1]) Widok kościoła św. Małgorzaty i obrazu Przemienienia Pańskiego zob. szkic histor. str. 64 i 66.

żydostwo, obfite łzy wylewając, wołało: „Pan nasz powraca do nas“. OO. Franciszkanie po swej kasacie w czerwcu 1785 r. chcieli go zabrać ze sobą do Starego Sącza, gdzie chwilowy (do r. 1815) dla siebie znaleźli przytułek. Temu jednak stanowczo oparło się miasto, dowodząc, że cudowny obraz Przemienienia Pańskiego łączy się ściśle z założeniem Nowego Sącza — że od niepamiętnych czasów szczególniejszą cześć od mieszkańców odbiera — że więc z powodu przeniesienia jego do Starego Sącza powstałoby wielkie pomiędzy ludem wzburzenie i narzekanie. Tymi względami spowodowany ówczesny dziekan kollegiaty, ks. Wojciech Mroziński, wniósł prośbę do konsystorza tarnowskiego o zatrzymanie obrazu. Ksiądz biskup-nominat, Dr. Jan Duvall [1]), przychylił się do jego prośby, wskutek czego obraz, w myśl rozporządzenia biskupiego, przeniesiony został cichaczem do kościoła farnego dnia 2. września 1785 r. [2]).

Licznymi cudami wsławił Pan Bóg ten starodawny obraz na drzewie malowany. Od roku 1611—1763 naliczono 18 autentycznych łask cudownych. Nawet burmistrz, rajcy i ławnicy Nowego Sącza wystawili osobny urzędowy akt o tym obrazie dnia 13. czerwca 1767 r. Papież Klemens XIII. na prośbę Franciszkanów sandeckich potwierdził w r. 1766 ustawy bractwa Przemienienia Pańskiego i wzbogacił je hojnymi odpustami. Z kasatą jednak Franciszkanów upadło to bractwo, a cześć cudownego obrazu przez czas dłuższy poszła w niepamięć, bo nawet nie miał osobnego ołtarza, lecz wisiał zapylony na ścianie kościoła farnego. Dopiero Grzegorz XVI. zaniedbaną cześć jego na nowo wskrzesił, udzielając 20. sierpnia 1845 r. odpustu zupełnego tym wszystkim, którzyby w uroczystość Przemienienia Pańskiego odwiedzili kościół farny i zwykłych dopełnili warunków. Odtąd też corocznie dzień 6. sierpnia obchodzi się uroczyście w obrębie całej parafii nowosandeckiej, przy licznym współudziale pobożnych pielgrzymów z stron bliższych i dalszych.

* * *

Dwojakie jest podanie o początku tego obrazu. Pierwsze, podług dawnych dziejów klasztoru franciszkańskiego przez ks. Fran-

[1]) Zmarł 13. grud. 1785 r. przed potwierdzeniem go przez Stolicę Apostolską.

[2]) O całej tej sprawie zatrzymania i przeniesienia obrazu znalazłem osobny akt między papierami kollegiaty.

ciszka Brzechffę, św. teologii doktora i gwardyana sandeckiego, w r. 1661 spisane, twierdzi, że obraz Przemienienia Pańskiego, przez św. Łukasza Ewangelistę na tablicy drewnianej malowany, znajdował się pierwotnie w Jeruzalem, a następnie wskutek układów między Portą Ottomańską a Moskwą, dostał się carowi moskiewskiemu [1]), ten zaś miał go darować królowi Wacławowi, który podówczas bawił na Węgrzech. Gdy posłowie z rzeczonym obrazem przyjechali w góry sandeckie i stanęli noclegiem we wsi Kamienicy, t. j. w miejscu, gdzie dziś Nowy Sącz leży, a nazajutrz do Węgier wyjeżdżać zamierzali, wóz, na którym był złożony obraz Przemienienia Pańskiego, niewidomą ręką zatrzymany, stanął jak wryty i żadnym sposobem ruszyć się z miejsca nie dał. Napróżno założono kilka par koni i kilka jarzm wołów, wóz pozostał na miejscu. Zdumieli się na ten niespodziewany wypadek posłowie. Od kogoż mieli zasięgnąć rady? Mieszkał był niedaleko tego miejsca pobożny pustelnik, trzeciego zakonu św. Franciszka, do którego też udano się po radę. Ten po krótkiej modlitwie wóz rozpakować kazał, a między innemi rzeczami znalazłszy obraz Przemienienia Pańskiego, rzekł: „Wola boska jest, aby ten obraz nie gdzieindziej, tylko na tem miejscu pozostał“. Skoro więc z wozu złożono obraz, natychmiast z łatwością konie ruszyły z miejsca, a posłowie, przyjechawszy do Węgier, opowiedzieli rzecz całą Wacławowi. Król, szanując wolę bożą, sam na to miejsce przybył, a widząc, że jest sposobne do założenia miasta, tamże Nowy Sącz założył, a nadto kościół i klasztor dla OO. Franciszkanów w r. 1297 wystawił i obraz Przemienienia Pańskiego opiece ich poruczył.

Drugie podanie, przez ks. Konstantego Malegowskiego, sekretarza zakonu franciszkańskiego, w r. 1680 spisane, powiada, że obraz ten, malowany przez św. Łukasza, darowany został przez cesarza greckiego Lwu czyli Leonowi, księciu ruskiemu [2]). Od niego dostał się później w darze jednemu pobożnemu pustelnikowi, w górach karpackich żyjącemu, który go znów klasztorowi franciszkańskiemu w Nowym Sączu podarował [3]).

---

[1]) Właściwie pierwszym carem moskiewskim ogłosił się Iwan Groźny 1552 r., przedtem byli tylko wielcy książęta, z których pierwszy, Iwan Kaleta, uzyskał ten tytuł dopiero w r. 1328.

[2]) Książę Lew, założyciel Lwowa, pochowany w Ławrowie — według innej wersyi w monasterze św. Spasa pod Starym Samborem. Szaraniewicz: Trzy opisy histor. Halicza. Lwów 1883, str. 103, 141.

[3]) Zbiór historyi, łask i cudów obrazu Przemienienia Pańskiego, przez ks. Bonawenturę Sikorskiego, gwardyana konwentu nowosądeckiego.

To drugie podanie zdaje się mieć jakąś historyczną podstawę. Lew, syn Daniela, od r. 1270—1301 książę halicki, a przedtem jeszcze za życia ojca książę przemyski, miał za żonę Konstancyę, siostrę bł. Kingi a córkę Beli IV., króla węgierskiego. Skoro więc klasztor Franciszkanów w Nowym Sączu został założony 1297 r., a Lew właśnie w tym samym czasie był księciem ruskim, przeto jest rzeczą bardzo prawdopodobną, iż mógł ów obraz Przemienienia Pańskiego, widocznie szkoły greckiej *(Vera Icon)*, otrzymać w darze czy to od cesarza greckiego, czy też od teścia swojego Beli IV., a potem komuś go darować, który go znów klasztorowi franciszkańskiemu w Nowym Sączu odstąpił.

* * *

Do odnowienia i ozdoby kościoła św. Małgorzaty w obecnym czasie przyczynił się głównie Ks. Infułat, Dr. Alojzy Góralik. Wydatki, poniżej zestawione, uwidocznią nam najlepiej jego zasługi i troskliwość o ozdobę domu Bożego:

1. W r. 1890 odnowiono wielki ołtarz kosztem 3.494 złr., i dano do niego tabernakulum z czarnego marmuru, pochodzące z dawnego kościoła Wszystkich Świętych w Krakowie, kosztem 1.100 złr.

2. W r. 1891 kościół pokryto blachą kosztem 4.631 złr., przeważnie z jego własnej kieszeni, a w mniejszej połowie ze składek.

3. W latach 1893—1894 postawiono dwa nowe ołtarze: Przemienienia Pańskiego i św. Trójcy za 3.240 złr.

4. W latach 1893—1894 postawiono nową plebanię piętrową za 19.000 złr., a obmurowanie ogrodu plebańskiego wraz z stajnią, wozownią i drewutnią za 2.790 złr.

5. W r. 1895 ułożono posadzkę w całym kościele za 1.100 złr.

6. W latach 1897—1898 przywrócono w prezbyteryum pięć okien do stylu gotyckiego, jak były pierwotnie. Wszystkie okna są z ramami żelaznemi, szkło tak zwane butelkowe. Kosztowały wszystkie razem 3.022 złr. 54 ct.; a okna w nawach bocznych kosztowały 823 złr. 17 cent.

7. W latach 1898—1899 dano wkoło kościoła kamienne cokoły nowe za 624 złr.

---

Kraków 1767. Dedykowane Floryanowi z Witeszowa Gostkowskiemu, herbu Gozdawa, stolnikowi żytomierskiemu, kawalerowi znaku pancernego, bractwa Przemienienia Pańskiego protektorowi.

8. W latach 1899—1900 ułożono na połowie cmentarza kościelnego bruk i chodnik trotuarowy za 595 złr.

To są znaczniejsze rzeczy, sprawione za jego pobytu w Nowym Sączu, które kosztują przeszło 40.000 złr. Na tę sumę dość pokaźną dała konkurencya parafialna 20.000 złr. reszta zaś po części ze składek dobrowolnych, a po części z dochodów probostwa. Oprócz tego wydano na kielichy, paramenta, lichtarze i t. p. w tym samym czasie przeszło 10.000 złr.

Ks. Infułat zamyśla niebawem przelać największy dzwon rozbity. Zebrał już na ten cel parę tysięcy koron, a koszta wyniosą co najmniej 10.000 koron. Następnie zamierza odrestaurować dwie kaplice między wieżami o sklepieniu gotyckiem. Nareszcie zrzucić prosty sufit w kościele a przywrócić sklepienie, jakie było jeszcze na początku XIX. wieku. Szczęść mu Boże w dokończeniu tak zbożnego i wspaniałego dzieła! Zegar na większej wieży kościelnej, od r. 1897 jak istnieje zegar na wieży nowego ratusza, milczy uporczywie. Mamy jednak niezłomną nadzieję, że i on po dłuższem wypoczynku pocznie rozweselać swym dźwięcznym tonem mieszkańców sandeckiego grodu.

(Dokończenie nastąpi).

Ks. Jan Sygański T. J.

# UDZIAŁ ROSSYI
# W POKOJU KARŁOWICKIM

PRZEZ

**WŁODZIMIERZA LENKIEWICZA.**

(Ciąg dalszy).

Rozpoczęły się teraz na nowo pertraktacye, których główną osią było odstąpienie Kijowa. Zrywano je i nawiązywano kilka razy. Wreszcie nie mogąc dojść do porozumienia, posłowie polscy postanowili opuścić Moskwę i byli już nawet na pożegnalnej audyencyi u carów. Wstrzymali się jednak i nawiązali raz jeszcze rokowania, które wreszcie dnia 21. kwietnia 1686 roku zostały zakończone smutnej pamięci pokojem Grzymułtowskiego.

Polska odstępuje Rosyi na wieczną własność miasto Smoleńsk wraz z miastami i okolicami położonemi od strony województw Witebskiego, Płockiego i powiatu Łucyńskiego, dalej, Dorohobuż, Krasne, Białą, wraz z ich ziemiami: miasta położone koło Rosławia, Czernichów, Nowogród Siewierski i Poczep wraz z całą Małorusią, położoną z tej strony rzeki Dniepru i miasta Niżyn, Perejesław, Baturyn, Połtawę i wszystkie inne miasta, ziemie i grody małoruskie, które były dotychczas w chwilowem tylko posiadaniu Rosyi. Prócz tego oddaje Polska Moskalom na wieczne posiadanie gród Kijów. W zamian zaś za to wszystko otrzymuje tytułem wynagrodzenia 146.000 rubli. Artykuły od 10—16 omawiają sprawę aliansu przeciw Turkom. Mocą tego aliansu obowiązani są carowie w ciągu roku 1686 wypowiedzieć wojnę Tatarom Krymskim, a następnie walczyć z nimi wszelkimi siłami, podczas gdy armia polska będzie równocześnie staczała boje z Turkami i Tatarami bia-

łogrodzkimi. Oba państwa zobowiązują się nadto, że jedno bez drugiego pokoju ani nie zawrze, ani nawet traktować o niego nie będzie [1]).

Nigdy jeszcze — pisze Zofia w swoim manifeście do ludu rosyjskiego, w którym oznajmia mu o zawarciu pokoju — za naszych przodków nie zawarła Rosya tak korzystnego i sławnego pokoju jak teraz. Ojciec i brat nasz władali Smoleńskiem, Czernichowem i małoruskim krajem tylko czasowo do ukończenia się przymierza, a święte grody Kijowa pod przysięgą na ewangelię obiecali zwrócić Polsce. Od dziś to wszystko nasze, a nasze na wieki. Nie ustąpiliśmy Polsce ani jednego grodu, ani miasta, ani miasteczka. Oprócz tego uczyniono cześć imieniu naszego carskiego wieliczestwa: Władcy nasi będą się pisać *preświtlijszymy i derżawnijszymy*, a pobożnej i prawosławnej wierze naszej zabezpieczono zupełną swobodę wyznania w Polsce. Przesławny kraj carstwa rosyjskiego rozbrzmiewa sławą po wszystkie krańce świata [2]).

Takie korzyści odniosła Rosya w tym pokoju. W zamian zaś za nie daje 146 tysięcy rubli za Kijów, obiecuje uczynić dywersyę w Krymie i wstrzymać tym sposobem ordy tatarskie od połączenia się z Turkami i nie zawierać pokoju na własną rękę.

Przypatrzmy się teraz, w jaki sposób uczyniła zadość tej obietnicy.

W maju 1687 r. wyrusza obliczana na 100.000 ludzi armia pod dowództwem kniazia Wasyla Golicyna na Krym po to, aby wkrótce nic nie zdziaławszy wrócić napowrót. Tatarzy spalili stepy ukraińskie, skutkiem czego przechodzący przez nie Golicyn, nie miał wody dla ludzi, ani też paszy dla koni. — W jaki sposób pojmował tę wyprawę sam naczelny wódz, poznamy z jego listu do Zofii, w którym donosi o swoim powrocie; „Nad rzeką Karaczakrak czekaliśmy na nieprzyjaciela przez dłuższy czas, aby go pobić, on jednakże nie pokazywał się nigdzie“ [3]). Dziwny, zaiste, sposób prowadzenia wojny.

---

[1]) Warunki te pomieszczone są w Volumina legum tom VI. str. 73—82.

[2]) Ustriałow, Istoria carstw. Pietra Wiel. T. I. str. 169. Carskija miłostiwyja gramoty po słuczaju wiecznago mira: 26. aprilia (Poln. Sobr. Zak. II. Nr. 1187), 10. junia (Akty Archeogr. Eksped. IV. Nr. 290), 29. junia (Poln. Sobr. Zak. II. Nr. 1197).

[3]) Ustriałow, Ist. carstw. Pietr. T. I. str. 199.

W dwa lata później, z początku r. 1689 przedsiębierze Golicyn nową wyprawę na Krym [1]). Nad Dnieprem koło miejscowości zwanej Zieloną Doliną napotkał on nieprzyjaciół, ci jednak po lekkiem tylko starciu z armią moskiewską, cofnęli się do Perekopu, niszcząc przed sobą wszystko, tak, że Golicynowi brakło znów paszy dla koni. Naczelny wódz rosyjski nie zważając na to, że Rosya obowiązaną jest na mocy wiecznego pokoju nie zawierać pokoju z Turkami bez porozumienia się z Polską i jej przyzwolenia, począł traktować z chanem tatarskim o pokój, żądając aby Tatarzy: Na grody ukraińskie i na Polskę nie napadali; daniny od Rosyi nie brali; wreszcie by wszystkich rosyjskich jeńców bez wymiany wydali. Tatarzy nie godzili się na te warunki, lecz chcieli zawrzeć pokój na warunkach traktatu bakczyserajskiego, przyczem wyrazili zdziwienie, że Rosya tak troszczy się o Polskę, gdy ta tymczasem zawarła już pokój z Tatarami, a poseł jej znajduje się właśnie w Perekopie. Wiadomość ta podziałała tak na Golicyna, że nie mając najmniejszego powodu, odstąpił od Perekopu i nakazał całej armii odwrót. W nagrodę za tak dzielne sprawowanie dowództwa otrzymał od carów list pochwalny i złoty medal wysadzony drogimi kamieniami [2]).

Były to jednak ostatnie już chwile panowania Zofii i Golicyna. Carewna chcąc się utrzymać na tronie, pragnęła usunąć zawadzającego jej Piotra i w tym celu wywołała bunt strzelców. Ci jednakże przeszli na stronę Piotra. Zofia została pojmaną i osadzoną w klasztorze, Golicynowie zesłani na wygnanie, a 12. sierpnia 1689 r. objął rządy Piotr wraz z niedołężnym bratem Iwanem. Wiekopomna to chwila dla Rossyi. Odtąd bowiem rozpoczyna się nowy okres w jej dziejach. Pod rządami genialnego cara wznosi się ona coraz bardziej, i w krótkim stosunkowo czasie z trzeciorzędnego, na pół azyatyckiego państwa, staje w szeregu pierwszorzędnych mocarstw europejskich.

Zaraz po wstąpieniu na tron i po ustaleniu się na nim zajmuje się Piotr reorganizacyą armii, a następnie buduje pierwszą flotę rosyjską. W roku 1695 chąc zmyć hańbę pochodów Golicyna wyrusza na Krym. Naczelne dowództwo nad armią, liczącą około 120 tysięcy ludzi obejmuje trzech generałów: Gołowin, Lefort

[1]) Obie wyprawy Golicyna opisane są szczegółowo przez biorącego w nich udział jenerała Patricka Gordona, Tagebuch t. II. (część III-a), pierwsza na str. 168—198; druga na str. 249—265.

[2]) Ustriałow l. c. T. I. str. 239 sq.

DYREKCYA KASY OSZCZĘDNOŚCI MIASTA WARSZAWY

i Gordon, a sam Piotr bierze udział w wyprawie jako „Petr Alexiewicz, bombardyr Preobrażeńskago polka“ [1]). Broń swoją zwraca przeciw Turkom, a głównym celem jego wyprawy jest zdobycie Azowa, z której to twierdzy Turcy wspomagali ciągle rozbójnicze napady Tatarów. Podszedłszy pod Azow, otacza go armia rosyjska z trzech stron i rozpoczyna oblężenie zajęciem dwu zamków, znajdujących się koło Azowa, zwanych Kalantszi. Jednakowoż zdobycie tej twierdzy bez floty i dobrze zorganizowanej artyleryi było niemożliwe, ponieważ Turcy dostawali ciągle od strony morza posiłki, zapasy amunicyi i żywności, w obozie zaś Piotra, zaczęły się zapasy żywności coraz bardziej wyczerpywać, a dostarczyć ich dla 120-tysięcznej armii nie było rzeczą łatwą. Nadto brakowało wojsku Piotra zdolnych oficerów i inżynierów, którzyby prowadzili prace oblężnicze. Skutkiem tego pozostawiwszy w obu zdobytych zameczkach silne, bo po 3.000 ludzi liczące załogi cofnął się car wraz z całą armią na leża zimowe w głąb Rosyi. Aby zaś na przyszłość wojnę przeciw Turcyi z lepszym skutkiem prowadzić, wysyła posłów do cesarza, elektora brandenburgskiego Fryderyka Stanów Hollandyi i do Wenecyi, z prośbą o przysłanie mu zdolnych oficerów i inżynierów. Państwa te, wiedząc, że są to przygotowania przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi, nie prośbie cara. Równocześnie z nadzwyczajnym wysiłkiem i pospiechem kończono budowę floty nad rzeką Woroneż. W 1696 r. stały już dwa okręty i 23 galer gotowych do Naczelnym wodzem tej floty zamianowany został Lefort, a bierze udział w wyprawie jako kapitan okrętu „Principium“ wybudowanego przez samego cara [2]). Flota ta udaje się na morze Azowskie aby z tej strony odciąć Azow zupełnie. Równocześnie staje pod murami twierdzy armia lądowa. Po zaciętej i długiej obronie ulega Azow i dostaje się w ręce Piotra. Gruzy zdobytej twierdzy ufortyfikowano natychmiast na nowo i umieszczono w niej silną załogę.

Tymczasem prowadziła Rosya dalej dyplomatyczne układy z państwami, które należały do Ligi Świętej, a także wchodziła w stosunki z zachodnią Europą.

Wkrótce po zawarciu wiecznego pokoju z Polską wysyła Rosya dwa wielkie poselstwa. Jedno, na czele którego stoi bojaryn

---

[1]) Ustriałow l. c. t. II. p. 224, 372, 413,

[2]) Sołowiew, Istoria Rossii, tom XIV. str. 1151.

Borys Piotrowicz Szeremetiew do Polski, cesarza i Wenecyi; drugie, któremu przewodzi kniaź Jakób Dołgoruki do Francyi i Hiszpanii. We Francyi przyjął Ludwik XIV. Dołgorukiego bardzo zimno. Na prośbę posła, aby przystąpił do Ligi Świętej. odpowiedział minister króla francuskiego, że uczynić tego nie może, ponieważ nie chce pomagać Austryi [1]).

Nie lepiej powiodło się Dołgorukiemu w Hiszpanii, gdzie wedle zlecenia swego rządu prosił o milion, dwa lub trzy miliony talarów na prowadzenie wojny z Turkami [2]).

Szeremetiew tymczasem przybył do Polski, aby odebrać od Jana III. przysięgę na wieczny pokój. Król polski nie spieszył się z ratyfikacyą pokoju, a jako powód robionych trudności podawał, „że Moskale nie zaparli drogi Tatarom“, (Moskale tłumaczą się, że Tatarzy ruszyli z Krymu jeszcze przed dobiciem układów z Grzymułtowskim); że carowie w czerwcu 1686 roku, wbrew postanowieniom wiecznego pokoju wysłali do Stambułu poselstwo, które sułtan bardzo dobrze przyjął [3]). Grzymułtowski w jednym z swoich listów dziwi się, że król nie chce zaprzysiądz pokoju i twierdzi, że król napisał mu, by *à tout prix* dobijał układów, a nawet gdyby nic nie zdziaławszy powracał już do kraju, ma się wrócić do Moskwy i pertraktacye na nowo rozpocząć. Radzi więc Grzymułtowski zaprzysiądz pokój, sejmu zaś, który miałby go przyjąć nie zwoływać na rok 1687. Gdyby się więc okazało, że Moskale nie dotrzymają zobowiązań w tym roku, to jeszcze zawsze sejm zwołany w roku 1688 będzie mógł pokój ratyfikować albo zwalić [4]).

Król poszedł wkrótce za tą radą, wiedział bowiem, że cofnąć się teraz już za późno, a mogłoby to zaszkodzić wspólnej sprawie chrześciańskiej. Ze łzami w oczach zaprzysięga akt pokoju dnia 19. grudnia 1686 [5]).

---

[1]) Sołowiew, Istoria Russii, tom XIV. str. 1025—6.

[2]) Sołowiew l. c. t. XIV. str. 1027.

[3]) Teka Lukasa tom XXIX. str. 92. (Rękopis Bibl. Ossol. Nr. 3001). Wiadomości tej, którą Lukas zaczerpnął z archiwum berlińskiego (a więc złożonego tamże archiwum Sobieskich) można dać zupełną wiarę. ponieważ carowie wysyłali kilkakrotnie posłów do Stambułu, jak to widać z Hammera (Geschichte des osmanischen Reiches III. str. 782), o czem polski rezydent w W. Porcie Proski, niewątpliwie donosił królowi.

[4]) Tamże.

[5]) Warunki tego pokoju potwierdzone zostały przez sejm dopiero w r. 1710. Volumina Legum t. V. str. 73—82.

Rosya zatem powinna była teraz wedle brzmienia traktatu udzielić pomocy Polsce w wojnie z Turkami, a nadto wedle danego posłom cesarskim przyrzeczenia przystąpić do zawarcia przymierza z cesarzem i Wenecyą. W tym też celu udaje się bojaryn Szeremetiew do Wiednia. Ale dotychczasowa bezczynność Rosyi i niebranie udziału w wojnie, do czego, wedle mniemania Dworu cesarskiego zobowiązaną była pokojem Grzymułtowskiego, zniechęciły cesarza do tego stopnia, że ociągał się długo z ostatecznem zawarciem przymierza, Sprawy przymierza nie załatwił ani Szeremetiew, ani też jego najbliżsi następcy [1]). Została ona, jak zobaczymy, załatwioną dopiero wtedy, kiedy Rosya dała dowody współudziału w walce z Turcyą przez zdobycie Azowa.

W r, 1688 powstają nowe zawikłania na Zachodzie, Ludwik XIV. przestraszony postępami armii cesarskiej na Węgrzech, zrywa zawarte z cesarzem przymierze z r. 1684 i rozpoczyna nową wojnę. Leopold nie mógł przeciwstawić mu silnej armii, ponieważ wszystko jego wojsko zaangażowane było na Węgrzech. Wobec tego sprzymierzeńcy cesarza w tej nowej wojnie z Francyą t. j. książęta Niemieccy, Hiszpania, Hollandya, Sabaudya i Anglia, nakłaniały go do zawarcia pokoju z Turcyą, która właśnie pod wpływem ostatnich klęsk sama o ten pokój prosiła. Warunki ofiarowane przez Turcyę, która godziła się na odstąpienie Habsburgom Bośnii, Serbii i W. Waradynu nie zadowoliły Leopolda [2]), skutkiem czego po kilkunastodniowych naradach przerwano pertraktacye. Do tych pertraktacyi dopuszczone były wszystkie państwa, należące do Ligi Świętej. Interesów Rosyi, która nie była jeszcze członkiem Ligi broniła na konferencyach wiedeńskich Polska, która między warunkami, stawianymi ze swojej strony dodała następujący punkt [3]); „Aby zaś coś podobnego w przyszłości się nie

---

[1]) Ustriałow l. c. t. I. str. 171. Statejnyj spisok posolstwa Szeremetiewa w Polsk. diłach w Hławn. Arch. str. 135.

[2]) Droysen. Gesch. d. preuss. Politik tom IV. część V. str. 61. Cesarz żądał prócz poczynionych już zdobyczy jeszcze odstąpienia mu twierdz: Jenö, Gyula, Temeszwar (Hammer l. c. III. str. 825—834).

[3]) Haus-Hof u. Staatsarchiv w Wiedniu, Turcica 1698, april nro 6. Warunki postawione przez Polskę posłom tureckim w Wiedniu d. 1. kwietnia 1689. Między innymi warunkami znajduje się tam następujący ustęp: Ne vero quid simile in posterum accidat, bonaque amicitia perturbaretur, Crimenses, qui tanta damna et Nobis et communibus amicis Moschis, qui eodem nobiscum tenentur nunc foedere, inferunt Nahaienses, Oczakovienses, Bialohradenses, Budziadzenses, Ordae

zdarzyło i przyjaźń nie została zerwaną, należy Tatarów, którzy tak wielkie szkody wyrządzają nam i naszym wspólnym przyjaciołom Moskalom, którzy równem przymierzem są z nami związani, mianowicie Nogajskich, Oczakowskich, Krymskich, Białogrodzkich, Budziackich, przesiedlić częścią za morze do Azyi, częścią za Dunaj do Francyi, Krym zaś oddać Moskalom".

Równocześnie i Rosya sama stara się o uwzględnienie jej żądań. A żądania te były wielkie: Wszystkich Tatarów należy przesiedlić z Krymu do Małej Azyi, Krym, Azow, Oczakow i wszystkie grody tureckie nad Dnieprem odstąpić Rosyi; znajdujących się w niewoli tureckiej poddanych rosyjskich, należy bez okupu uwolnić i tytułem odszkodowania zapłacić Rosyi dwa miliony rubli. W razie gdyby się Turcya zgodzić na to nie chciała, można opuścić jej to odszkodowanie [1]). Nic dziwnego, że pominięto te żądania, bo i same przez się, nawet przy najlepszym zbiegu okoliczności, największych powodzeniach armii rosyjskiej, były one zbyt wygórowane, tem bardziej zaś w stosunku do zasług poniesionych w tej wojnie.

Tymczasem z teatru wojny na Węgrzech nadchodziły niepomyślne wieści dla sprzymierzonych. Turcy pod wodzą Mustafy Köprilego, wypierali armię cesarską (r. 1690) prawie ze wszystkich zdobytych już przez cesarza pozycyi, a wreszcie wpadł znów w ich ręce Belgrad. Dopiero świetne zwycięstwo nad Turkami pod Salankemen (1691 r.) zaznaczyło pomyślny zwrot dla cesarza. — Armia wenecka zdobyła w tym czasie Malwasyę i w ten sposób cała już Morea przeszła w jej ręce.

---

Tartaricae, partim trans mare in Asiam, partim trans Danubium in Traciam transferantur. Crimea vero Moschis. Mylnem więc jest zapatrywanie Ustriałowa (Istoria carstwowania Pietra Wielikawo t. II. str. 191), że na 14 konferencyach cesarskich polskich i weneckich posłów z pełnomocnikami tureckimi, nie wspomniano o Rosyi ani słowem. Hammer (Gesch. d. osman. Reiches t. III. str. 832 i 834) wspomina wprawdzie, że Polska zażądała przesiedlenia Tatarów częścią do Azyi, częścią za Dunaj, twierdzi jednakże, że zażądała ona tego tylko dla siebie i nie wspomina wcale o Rosyi, ani też o żądaniu oddania carowi Krymu. — Polska zażądała dla siebie Kamieńca, Podola i Ukrainy a nadto, co należy podnieść, żąda po raz pierwszy, wolności wyznania i prawa budowania kościołów w państwie tureckiem dla religii chrześciańskiej.

[1]) Pam. dipl. znosz. tom VII. str. 462. — Punkta te przesłane były do rezydenta carskiego w Polsce Prokopa Woznicyna, późniejszego posła w Karłowicach, z poleceniem zakomunikowania ich dworowi polskiemu.

Właśnie teraz kól angielski Wilhelm III. podjął nowe starania o doprowadzenie do zawarcia pokoju. Polecił on pełnomocnikowi swemu u Porty Wilhelmowi Hussey, aby nawiązał na nowo rokowania. Nie przyniosło to jednak żadnych rezultatów. Wszelkie starania rozbiły się o wygórowane żądania sprzymierzonych i opór Turcyi.

(Dokończenie nastąpi).

Włodzimierz Lenkiewicz.

# ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

## BISKUP WŁOCŁAWSKI I KRAKOWSKI

(1496—1560).

### MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

### CZĘŚĆ TRZECIA
### (1553—1560).

(Ciąg dalszy).

Sprawa Reformacyi szybkiem tempem posuwająca się naprzód nie mogła. Zebrzydowskiego pozostawić długo w spokoju. Chociaż zaniedbywał obowiązki pasterskie, nie mógł być głuchym i obojętnym na to, co się koło niego działo. Obydwa obozy reformacyjne, katolicki i dysydencki, za nadto były interesowane ważnością chwili, ukrywającej w swem łonie zarzewie mającego niebawem wybuchnąć pożaru, za nadto żyły pragnieniem jakowejś zmiany i reformy, aby nastrój ich, świadczący o powszechnem napięciu umysłów, nie miał się udzielić Zebrzydowskiemu, stojącemu bądź co bądź na wyżynach ówczesnych dążeń i opinii.

Właśnie w tym czasie obydwa obozy znowu szykują się do obrony swych haseł, obmyślają ją racyonalnie, probują dawnych środków walki lub wyszukują nowe, pracują gorączkowo nad wzmocnieniem swych sił, organizują się i kreśla plany działania, mające zapewnić im zwycięztwo i rozwiązać zawikłaną kwestyę reformy, przez wszystkich odczuwanej jednakowo, chociaż rozumianej różnie. Starcie było nieuniknione a różnice i waśni religijne dały pierwsze do boju hasło.

Zygmunt August poruszając tę sprawę w połowie t. r. 1554 przed cesarzem Karolem V. w odpowiedzi na jego zachęty ojcowskie przesłane mu w tym czasie, aby trzymał się silnie wiary przodków swoich i w samym zawiązku tłumił niebezpieczny ruch

reformacyjny, szerzący niezgody religijne i niepokój w kraju, zapewniał solennie najwyższego świeckiego przedstawiciela Chrześciaństwa, że nie sprzeniewierzy się nigdy sprawie katolickiej, bo zmian żadnych tem bardziej w rzeczach religii nie lubi, jednakowoż tłumaczył zarazem z pewną rezygnacyą, że nie w jego mocy stłumić zarazę religijną, napływającą do jego dzierżaw z sąsiednich krajów germańskich; wprawdzie starał się zwalczać ją, o ile pozwalały mu na to ustawy i konstytucye królestwa jego, ale mimoto mnóstwo poddanych jego poszło już na lep zaraźliwych opinii religijnych; sądzi tedy, że tę wspólną i ogólną klęskę całego Chrześciaństwa może usunąć tylko uniwersalny sobór, do którego inicyatywę powinien dać cesarz [1]). Równocześnie przedstawiciel Kościoła polskiego, prymas Dzierżgowski, pełen obawy, aby wzbierająca fala protestantyzmu nie zalała zupełnie katolicyzmu i nie pochłonęła jego instytucyi, wyznawców a zwłaszcza duchownych, cierpiących najwięcej z powodu coraz zuchwalszych napaści różnowierców, rozesłał w czerwcu t. r. zaproszenia do biskupów i opatów polskich a nawet do warmijskiego biskupa, St. Horyusza, na synod prowincyonalny polski, który naznaczył do Piotrkowa na dzień 6. listopada, motywując zwołanie jego zwykłą na pozór okolicznością, że od ostatniego synodu z r. 1551 upłynął przewidziany w statutach Kościoła polskiego okres czasu trzech lat, w ciągu którego powinien być nowy synod zwołany [2]).

Tymczasem już w samej inicyatywie złożenia w tym czasie synodu upatrywać miało wielu biskupów i kapituł niefortunny pomysł. Sądzono, że pozytywnych rezultatów taki synod nie wyda żadnych a podjudzi z pewnością podobnie jak każdy sejm różnowierców do większych agitacyi. Obawy te i przypuszczenia nie były bez racyi. Rzeczywiście, różnowiercy jakby pociągnięci przykładem prymasa, poczęli się krzątać w tym czasie około zainicyowania takiego samego powszechnego zgromadzenia swoich współwyznawców, mając zamiar nie tylko demonstrować niem przeciw zgromadzeniu katolików, ale co ważniejsza poruszyć na niem sprawę

---

[1]) Scriptores rer. pol. T. I. s. 100 i 102, zaw. list Karola V. z kwietnia 1554 i list Zygmunta Augusta z 7. lipca t. r.

[2]) Bukowski, Dzieje Reformacyi T. II. s. 274; Eichhorn, St. Hosius B. I. s. 209—212; Hos. Ep. nr. 1352; Archiwum komisyi prawn. T. I. s. 335—6 i materyały do hist. ustawodawstwa synodal. w Polsce w w. XVI. zebrał Ulanowski, Wierzbowski, Uchanściana, T. II. 40, T. V. s. 111.

organizacyi i zjednoczenia swoich kościołów i wyznań. Atoli ruchliwi i świadomi celu a zaufani w swe siły ich przewódcy chcieli poprzednio dążenie do tej organizacyi i zjednoczenia uświadomić w ten sposób w całem społeczeństwie, aby wywalczyć mu uznanie nie tylko między swoimi, różniącymi się między sobą tak w pojmowaniu czystego słowa Bożego czyli ewangelii jak w wykonaniu rządu kościelnego, chromającego na brak form stałych, takich, jakie miał katolicyzm oparty na wielowiekowej tradycyi, ale także w sferach hierarchii katolickiej i u samego króla. Do tego celu zmierzała robota Fr. Lismanina, Felixa Krucigera, Fr. Stankara i wielu innych. Lismanin bawiący od roku za granicą, gdzie, ożeniwszy się, jawnie przerzucił się już do obozu odszczepieńców i nawiązał ścisle stosunki z rozmaitymi herezyarchami, nie zrywał wcale węzłów łączących go z Polską, utrzymywał korespondencyę z tutejszymi różnowiercami a nawet spowodował korespondencyę herezyarchów jak Konrada Gesnera, Henryka Bullingera i Jana Kalwina do króla i do znakomitszych przedstawicieli senatu i szlachty, która wywoływała szeroką dyskusyę na temat nowych religii i przysposabiała umysły do podjęcia reformy Kościoła w duchu protestanckim [1]). Felix Kruciger pracował mniej głośno ale nie mniej wytrwale nad wewnętrzną zgodą między dysydentami małopolskimi, upatrując lekarstwo dla niej w związku z kościołem Braci Czeskich z Wielkopolski [2]) a uczony profesor Stankar idąc w ślady przyjaciela Lutra, sławnego Melanchtona, przysposabiał swojemi pracami teologicznemi grunt pod przyszłą organizacyę kośbielną, dla której miał przygotowane od dwóch lat *Canones* czyli ustawy dedykowane samemu królowi, stanowiące urzędy kościelne, określające ich funkcye i zakres działania [3]). Godnych siebie naśladowców w pracy reformatorskiej i zwolenników swych doktryn religijnych, posuwających się aż do zaprzeczania bóstwa Chrystusowi, znalazł wówczas Stankar przedewszystkiem w dwóch księżach apostatach, wykształconych gruntownie na uniwersytetach niemieckich, władających wybornie w mowie i w piśmie językiem

---

[1]) Lubieniecki, s. 55.

[2]) Łukaszewski, Dzieje kośc. wyzn. helw. s. 13.

[3]) Lubieniecki s. 116/7; Łukaszewicz s. 19; Canones reformationis ecclesiarum polonicarum per Franciscum Stancarum Mantuanum conscripti..... Francofordii ad Viadrum anno 1552 i egzemplarz jedyny w bibliotece XX. Czartoryskich; Finkel, konfesya na sejmie piotrkowskim w kart. hist. R. X. 1896, str. 263—266 o Stankarze.

łacińskim i polskim, z których jeden lub drugi mógł na podstawie licznych a wpływowych stosunków, jakie mieli obaj w sferach wyższej i niższej szlachty w Małopolsce lub w Wielkopolsce, odegrać w Koronie rolę Lutra i urzeczywistnić nadzieje, pokładane przed paru laty przez protestantów polskich w księdzu Orzechowskim. Byli nimi znany nam ksiądz z dyecezyi przemyskiej, Marc. Krowicki, przyjaciel Orzechowskiego, osiadły obecnie u M. Oleśnickiego w Pinczowie, gdzie działał w duchu stankarowskiego zwinglianizmu [1]) i ksiądz St. Lutomirski, kanonik przemyski i proboszcz w Koninie i Tyszynie, należących do metropolii Dzierżgowskiego, piastujący zarazem godność sekretarza królewskiego i cieszący się razem z braćmi, Janem z Makowic, podskarbim nadwornym i Michałem, podkomorzym dobrzyńskim, znacznymi wpływami u dworu. Pierwszy zasłynął w tym czasie jako autor pisma polemicznego w rodzaju odezwy do króla i narodu polskiego, wydanej za granicą pod tytułem „Chrześciańskie a żałobliwe napomnienia“, w którem miota potwarze na kościół i wzywa króla i naród do porzucenia katolicyzmu a przejścia do wyznawców czystej ewangelii [2]); drugi ułożył wyznanie wiary, oparte głównie na reformacyi Stankara i przesłał je na piśmie królowi, panom koronnym i biskupom 24. sierpnia t. r., a nawet wystąpił z publiczną obroną tego wyznania wobec samego arcybiskupa, który mu nie odmówił dla niej swej rezydencyi na zamku łowickim [2]).

Dążenia tych ludzi, działających w duchu reformatorów obcych pochodzeniem a osiadłych w Polsce, schodziły się z ideami reformatorskiemi ojczystego reformatora, A. Frycza Modrzewskiego, który pracę swoją o kościele *De Ecclesia*, krążącą dotychczas w rękopisach między szlachtą polską, wydał właśnie w tym roku jako dalszą księgę swojego sławnego dzieła „O po-

---

[1]) Bukowski, Dzieje, T. I. s. 208—212; Ossoliński, Wiadomości hist. kryt. T. IV. s. 445 i 452.

[2]) Finkel, jak wyżej str. 267/8 na podstawie konfesyi jego z egzemplarza biblioteki XX. Czartoryskich pod. tyt.: Confessio to jest wyznanie wiary Jego Królewskiej Miłości, Panom a Radom Coronnym, Xiendzu arcybiskupowi gnieźnieńskiemu i wszem biskupom polskim przez xiendza St. Lutomirskiego podano — druk. w r. 1556 w Królewcu. — Również Przypisy s. IX—XII do dzieła o Reformacyi Lubowicza, gdzie w liście Lutomirskiego z 17. VIII. 1556 do króla pisanym a tamże podanym czytamy, że bronił jej „ante biennium“ po raz pierwszy, a drugi raz na sejmie 1555. Ossoliński, Wiadomości hist. kryt. IV. s. 455—474: O Lutomirskim.

prawie Rzptej“ i zaniepokoił nią niesłychanie hierarchię katolicką, bo dołączył do niej apologię, nadzwyczaj ciętą i ostrą, wymierzoną przeciw konfesyi St. Hozyusza, uchodzącej od słynnego synodu piotrkowskiego z r. 1551, na którym została zaprzysiężoną przez wszystkich biskupów, za *Credo* duchowieństwa polskiego [1]).

Cóż dziwnego, że wobec takiego ruchu między protestantami, ujawniającego się ogromną sumą żywotności i inicyatywy, duchowieństwo wyższe z pewną obawą oczekiwało zapowiedzianego przez prymasa synodu? Ruch ten miał istotnie wycisnąć charakterystyczne piętno na całym synodzie i wpłynąć bardzo ujemnie na usposobienie i postępowanie biskupów, jak St. Hozyusza, Dzierżgowskiego, Zebrzydowskiego i innych — po synodzie.

Kapituła krakowska, przedstawiająca w owym czasie dosyć zwartą falangę obrońców katolicyzmu, odczuwających potrzebę reformy Kościoła w obrębie jego instytucyi i zwyczajów, tem więcej chciwa walki z dysydentami, im bardziej widziała się krępowaną brakiem inicyatywy i poparcia ze strony swego biskupa, uradowana wiadomością o synodzie, podaną jej urzędownie w imieniu Zebrzydowskiego przez St. Słomowskiego, kanonika i wikaryusza krakowskiego, na sesyi 23. sierpnia, jak nie mniej faktem, że Zebrzydowski polecił jej zwołać synod dyecezyalny, zwyczajnie poprzedzający każdorazowy prowincyonalny, naznaczyła natychmiast termin tego synodu na dzień 16. października a na miejsce obrad jego kościół św. Michała, stojący na zamku krakowskim, natomiast odłożyła wybór posłów i ułożenie dla nich instrukcyi do najbliższej sesyi generalnej. Nie wiadomo nam, czy Zebrzydowski zgodził się z wyborem terminu i miejsca na synod i czy wogóle ten synod się odbył: wiemy tylko, że dnia 12. października na sesyi generalnej kapituła wybrała na posłów M. Łąckiego W. Kijewskiego, obydwu kanoników krakowskich, z jakiemś ściślejszem, niż poprzednio, bardziej ograniczonem pełnomocnictwem, a do współudziału w ułożeniu artykułów instrukcyi poselskiej wyznaczyła P. Myszkowskiego, scholastyka, St. Górskiego, kanonika, Zygmunta ze Stężycy i Marc. Kromera, obydwu doktorów praw, tudzież kanonika Raf. Wargawskiego [2]).

[1]) Hos. Ep. nr. 1329, również vide Część I. w odbitce str. 163, przyp. 1.

[2]) Vide wyżej cyt. Materyały synodal. Ulanowskiego, wyd. w Arch. kom. praw. I. s. 335/6. Instrukcya poselska na str. 417—426 z dodatkowymi artykułami z dn. 26. października na str. 426/6 — tu cytujemy ją w streszczeniu.

Instrukcya poselska, którą Łącki i Kijewski mieli powieźć ze sobą do Piotrkowa, wielce podobna do instrukcyi ułożonej niegdyś przez kapitułę na synod 1551 roku, jest wybornym, nadzwyczaj wiernym, ale nad wyraz posępnym obrazem stosunków wewnętrznych, panujących wówczas w Kościele polskim a zwłaszcza w dyecezyi krakowskiej pod rządami Zebrzydowskiego. Rozpoczynając od krytyki biskupów, powiada instrukcya, że dygnitarze ci nie wypełniają przedewszystkiem przepisów konfesyi z r. 1551, na którą wszyscy przysięgli. Nie rezydują przy swoich katedrach, nie odprawiają sami nabożeństw w wielkie uroczystości lub święta, raczej czas trawią po swoich wsiach i folwarkach, oddani gospodarstwu wiejskiemu i interesom familijnym, a kler korzysta z ich nieobecności i za ich przykładem zaniedbuje się. Za mało są nabożni i religijni, mszy nie odprawiają, nie czytają książek, nie znają prawa kanonicznego, nie restaurują kościołów i katedr... Oto katedra krakowska grozi ruiną, wymaga natychmiastowej restauracyi, fundusze kanoników na nią nie starczą a biskup naturalnie o niej nie myśli. Biskupi nie spełniają swych przyrzeczeń, kielichów złotych, obiecanych kościołom podczas swej intronizacyi nie dają, nie dają też powinnej jałmużny klasztorom, szpitalom i szkołom katedralnym, raczej wyposażają z dóbr kościelnych swoich krewnych i braci a nawet dobra te im sprzedają. Nie starają się o kaznodziei dobrych, pisarzy kancelaryjnych, doktorów, kapłanów, którzyby kontrowali ich życie biskupie. Nie modlą się w godzinach kanonicznych. Poddanych kościelnych uciskają, obarczają nowemi robotami, pędzą do robót przy zamkach swoich i pałacach, krzywdzą ich, czynsze większe na nich nakładają, dręczą karami, za co skargi płyną na biskupów do kapituł, a nawet w biskupstwie krakowskiem wielu osadników opuściło z powodu tyrańskiwa biskupa dobra i folwarki, wielu z nich ukrywa się i wałęsa po lasach z obawy przed tyrańskiwem i srogością faktorów jego. Biskupi powierzają archidyakonaty ludziom niegodnym i opieszałym, którzy po dworach panujących czas trwonią; tak samo dziekanaty i urzędy oficyałów, niekiedy nawet za pieniądze; przykładem oficyał lubelski, który urzęduje na zamku, gdzie pozwanych dworacy albo nie dopuszczają albo źle traktują; albo oficyał radomski, człowiek zły, kłamliwy i arogant, który pomimo cenzur ciążących na nim, odprawia msze święte. Biskupi oddają do użytku świeckich domy, wsie, dobra kościelne a nawet dziesięciny biskupie; braci swoich i krewnych robią starostami czyli prefektami tych dóbr a ci ufni w protekcyę biskupią uciskają poddanych.

Biskupi profanują też godność biskupią brudnym wyzyskiem i natrętnem żebractwem, pozwalają bowiem służbie swojej zbierać po wsiach między włościanami rozmaite wiktuały dla siebie i paszę dla bydła. Między świeckimi krążą na ten temat potworne bajki i plotki, ubliżające godności duchowieństwa. Nie wizytują opactw, nie reformują klasztorów żeńskich, które są siedliskami nieledwie jawnej rozpusty i słyną z lekkomyślnej gospodarki po swoich dobrach. Tak samo nie odbywają biskupi wizytacyi po dyecezyach swoich, nie mają inkwizytorów heretyckiej nieprawości, przeciwko heretykom nie występują, kościołów parafialnych przez heretyków zniszczonych nie restaurują. Ołtarze w tych kościołach poobalane, obrazy z nich powyrzucane, chrzcielnice porozbijane, a same świątynie poobracane na stajnie dla bydła. Biskupi nie dbają o konstytucye synodalne, o moralność i karność kleru parafialnego. Sami popełniają na nim bezprawia, odejmują im czynsze, zabierają fundacye ołtarzowe. Tak uczynił biskup krakowski w Siewierzu i w Kozichgłowach, szpital św. Walentego w Krakowie nie może wydobyć od niego przynależnych mu czynszów, organista w Sławkowie pozbawiony swej płacy. Organiście katedry krakowskiej inni biskupi dawali pewną roczną płacę, tunikę i lisiurkę, nowy biskup nie daje mu nic i nie chce nic dać. Również tenże biskup krakowski rozdaje plebanaty i inne beneficya swoim sługom tytułem tenuty, z których sam potem ciągnie pożytki. Biskupi nie szanują ostatniej woli zmarłych, naruszają testamenty, wstrzymują ich egzekucyę, legalnych nawet egzekutorów groźbami i terroryzmem od egzekucyi odwodzą (!). Depozyty zmarłych duchownych konfiskują a nawet zabierają gwałtem i przemocą (!). Taki właśnie zdarzył się niedawno wypadek po śmierci zakonnika Felixa, biskupa Kaffy, niegdyś sufragana wileńskiego, którego depozyt złożony u prof. dr. Wieliczki Zebrzydowski zrabował, a samego Wieliczkę za opór w wydaniu pieniędzy do więzienia zamknął, jego zaś towarzysza exkomuniką obłożył. Rzecz ta wywołała niesłychane oburzenie w całym kraju, w Krakowie i na dworze królewskim, jako objaw niesłychany popędliwości i bezgranicznej chciwości biskupa... Na sejmach występują biskupi nienależycie przygotowani do walki z świeckimi w obronie swobód kościelnych; na napaści poselkie odpowiadają milczeniem albo odpowiadają nierozważnie, nie zasięgnąwszy poprzednio opinii u innych duchownych, obecnych zwykle w wielkiej liczbie na sejmach.

W końcu biskupi nie pamiętają o akademikach krakowskich, nie fundują dla nich stypendyów, by przyspożyć uniwersytetowi

i kościołom ludzi uczonych. *Gymnasium cracoviense* pod ich opieką upada i zanika; nie służy tym naukom, dla których zostało założone. Zamiast pisarzy dobrych, autorów dawnych *solidae doctrinae* wykłada się tam młodzieży samych gramatyków i dyalektyków fantasmatów germańskich (!). Lektorowie przychodzą na lekcye nieprzygotowani, czytają bez zapału, powierzchownie uczą... Nie może być inaczej, bo doktorowie i magistrzy starsi promowują na zwykłe magisterya i bakalarstwa sługi lub synów swoich, nieuków, osobistości mało znaczące; ich nawet wprowadzają do kolegiów i pierwsze miejsca i kolegiatury im rezerwują, odsuwając od nich ludzi ze stanu szlacheckiego, zdolnych i uczonych; tych nienawidzą, szykanują, zwłaszcza gdy widzą, że błyszczą talentem lub cieszą się wzięciem i znaczeniem u szlachty (!). Tem się tłumaczy opłakany stan, w jakim znajdują się obecnie także *studia litterarum* i interesa kolegium. Szlachta pustoszy i zajmuje posiadłości i folwarki kolegium, nie płaci czynszów. Członkowie kolegium *ex humili genere nati* nie mając koligacyi i wyższych paranteli nie mogą skutecznie bronić spraw swoich i *jus gymnasii* po urzędach i wyższych władzach; nie mają też jako tacy poszanowania i powagi u szkolarzy, odmawiających im posłuszeństwa. Trzeba się starać o przywrócenie dawnej karności w szkole i o powołanie do kolegium ludzi pochodzenia szlacheckiego (!). Tacy, chociażby nie odznaczali się głęboką nauką mogą przynieść wielką korzyść kolegium samą swoją powagą i imieniem szlacheckiem *(sic!)*. Obostrzenie karności szkolnej konieczne, bo studenci prowadzą życie rozwiązłe, sprośne, hulaszcze i zawadyackie. Wyłudzają od rodziców pieniądze na nauki a pieniądze te wydają na pijatyki, hulanki, na muzy podkasane lub broń. Wszczynają bójki, nie rzadko krwawe po ulicach i gospodach miasta, wywołując przez to liczne nieporozumienia między mieszkańcami a władzami akademickiemi. Władz tych, mianowicie rektora uniwersyteckiego, rektorów i seniorów burs studenci nie słuchają. Kilkakrotnie już na seniorów burs robili krwawe zamachy. Stąd pochodzi, że nie mają żadnych podstaw moralnych, wyglądają na dzikich, nieokrzesanych, nieuków, pozbawionych wszelkiej ogłady i wychowania... *omnis bonae litteraturae ignorantes*.

Nakreśliwszy w instrukcyi ten ponury obraz stosunków kościelnych i związanych z nimi szkolnych, położywszy nacisk na to, że głównymi sprawcami takiego stanu rzeczy są biskupi a przedewszystkiem biskup krakowski, w którego ręku spoczywają losy nietylko religii ale i oświaty w całej Polsce, polecili kanonicy

w dodatkowych artykułach posłom swoim, aby domagali się na synodzie od prymasa i biskupów usilnie egzekucyi uchwał poprzednich synodów i większej opieki nad królem, na którego wpływać powinni, aby bronił Kościół przed napaściami heretyków. Mieli posłowie przynieść kapitule od wszystkich biskupów formalne na to przyrzeczenie i zobowiązanie pod karą pieniężną. W razie, gdyby nie mogli zmusić ich do owych pieniężnych zobowiązań, mieli zagrozić im w imieniu kapituły krakowskiej denuncyacyą do Rzymu. W końcu mieli sprzeciwiać się na synodzie uchwaleniu kontrybucyi, aby nie obciążać nią dóbr kościelnych, spustoszonych i zniszczonych przez heretyków, tem bardziej, że w uniwersale prymasa i w sekretnym jego liście, który mieli w tym czasie otrzymać, nie było żadnej o kontrybucyi wzmianki.

(Dokończenie nastąpi).

Dr. Tadeusz Troskolański.

# STANOWISKO PRAWNE ŻYDÓW W POLSCE

## W XV. STULECIU.

NAPISAŁ

Dr. STANISŁAW KUTRZEBA.

Chcemy tu określić stanowisko prawne żydów wobec społeczeństwa polskiego i organów jego władzy w ciągu XV. stulecia. Żydzi do dziś tworzą odrębną warstwę, różnią się od tych, wśród których żyją, nietylko rasą i religią, ale nawet nieraz — jak u nas — zewnętrznym ubiorem. Nie ma jednak już prawie nigdzie w państwach cywilizowanych przepisów prawnych, któreby sankcyonowały tę odrębność i tworzyły dla żydów — na korzyść ich, czy niekorzyść — odrębne warunki bytu. Przeciwnie było dawniej; różnice prawne, dzielące ich od reszty społeczeństwa, dopiero niezbyt dawno zostały usunięte. A trwały długo, bo przeszło lat tysiąc.

Przedział, który odgradzał żydów od reszty społeczeństwa, najsilniej zaznaczył się w wiekach średnich. A nie wyłącznie religia wpłynęła na wytworzenie się tego stanu rzeczy, jak to z reguły przyjmują. Równy wpływ na ukształtowanie się stosunków przyznać należy charakterowi ówczesnego społeczeństwa i jego ustrojowi. Mimo, iż wówczas narody Europy czuły się jedną rodziną — oczywiście tylko w głowach niewielu filozofów i teologów — odznaczały się one bardzo silną ekskluzywnością, którą stępił dopiero silniejszy rozwój wzajemnych stosunków. Kto nie należy do pewnego społeczeństwa, kto z niego nie wyrósł, jest

dla niego obcy zupełnie. Z trudem można tylko wejść w tę grupę społeczną. A komu się to nie uda, lub kto tego nie chce, ten stoi wśród tych ludzi jako natręt, nie może się odwołać do ich prawa, bo go nie nabył, nie może się bronić swojem prawem, bo ich ono wcale nie obchodzi. A żydzi, choć się gdzie nawet na stałe osiedlą, pozostają wobec tego społeczeństwa obcymi, i obcych też los dzielą.

Z pomocą dla tych jednostek, pozostawionych bez opieki prawa, przychodzi władca kraju. Nie wchodzimy, kto jest władcą w pewnej chwili, cesarz, czy książę, nie będziemy śledzić przebiegu rozwoju, który sprawia, że z czasem pojęcie opieki władcy nad żydami zmienia się tak, iż ich zaczyna się uważać za własność władców. Wystarcza dla naszego celu zaznaczyć, iż właśnie te stosunki tłómaczą, skąd się biorą t. zw. przywileje żydowskie. Obcy zawdzięczali ochronę prawną władcy. Od niego zależało, o ile chciał dać tę ochronę i jakie jej zakreślił granice. Że nie ma przywilejów, któreby obejmowały wszystkich obcych w państwie, łatwo wyjaśnić. Był to żywioł tak różnorodny, tak rozmaite mający cele, więc i tak mało solidarny, iż niepodobna było ich zaspokoić przez wytworzenie jednolitego szablonu. Żydzi przeciwnie zwykle osiedlali się większą grupą, mieli mniej więcej te same zajęcia i te same potrzeby. Solidarność dopomogła do uzyskania przywilejów.

Prócz władcy skreślał ich stanowisko drugi ważny czynnik w wiekach średnich, kościół, w uchwałach swoich soborów i synodów. Jego zadanie było jednak inne. Kościołowi szło o ochronę społeczeństwa chrześcijańskiego od żydów, ze względów religijnych i etycznych. Oba te czynniki — władza państwowa i duchowna — z reguły tu nie wchodzą sobie w drogę, przeciwnie wspierają się skutecznie. Było to możliwe bez trudności, wobec tego, iż państwo ówczesne ulega tak bardzo kościołowi, a choć nawet niekiedy przeciw niemu — a raczej z jego reprezentantami — walczy, to przecież samo obraca się w granicach pojęć i myśli, które zostały wytworzone i narzucone przez myślicieli-teologów.

Myliłby się jednak, ktoby sądził, że wszystkie te przepisy, wydane ze strony władz świeckich i kościelnych, były ściśle w szczegółach przestrzegane. Nie było tego na zachodzie, nie mogło tembardziej być u nas. Jestto zresztą los wspólny wszystkich świeckich ustaw średniowiecznych. I rzecz jasna, inaczej nawet być nie mogło. Mała znajomość pisma, trudność dostania

textów, a tembardziej takich, któreby przy odpisywaniu przez kopistów, zwykle mniej lub więcej nieumiejętnych, nie doznały przekręceń i opuszczeń — to wszystko jest przyczyną, iż przepisy prawne nie były należycie znane, a więc i stosować ich nie było można. Setki na to da się przytoczyć przykładów. Jeden z bardzo ciekawych dowodów mogą stanowić właśnie polskie przywileje żydowskie, które uległy także takiemu skorrumpowaniu, a co więcej, w tej zepsutej formie służyły za podstawę do wydawania potwierdzeń i nowych przywilejów, które błędy te zamieniały w prawne przepisy [1]). A cóż mówić w takich warunkach o interpretacyi przepisów!

Skutek był taki, iż ogólnie wiedziano wprawdzie o egzystencyi przywilejów, że nawet — ale to bardzo rzadko — dobywano je z ukrycia [2]) dla poparcia jakiegoś roszczenia, powszechnego czy prywatnego. Jednak zwykle z reguły wchodził w użycie nie ścisły przepis prawa, stwierdzony przez pismo, lecz zwyczaj prawny, który — w części oparty na przepisach przywilejów, w części wyrobiony samodzielnie — wszedł w skład wiadomości prawniczych społeczeństwa, a przynajmniej osób, mających częściej sposobność stykania się z prawem i zastosowywania go w praktyce. Faktycznie, to nie przywileje, ale ten zwyczaj określał stanowisko prawne ludności żydowskiej, urządzał jej relacye w stosunku do władzy państwowej i społeczeństwa. Na pewno nieraz zmieniał on przepisy przywilejów, stanowił podstawę dalszego rozwoju prawa.

Tak było i w Polsce w XV. stuleciu. O przywilejach wiedziano, ale z reguły rządzi prawo zwyczajowe. A ciekawi nas poznanie tego prawa z kilku względów. Z dwóch poprzednich stuleci pozostały, jako ślad istnienia u nas żydów — prócz przywilejów — ledwie nieliczne wzmianki kronikarskie. Dopiero odkąd zaczynają się nasze księgi sądowe, możemy coś więcej dowiedzieć się o żydach, jakie było ich stanowisko prawne, jaki był los przepisów, w przywilejach zawartych. Zobaczymy, iż one są i nadal podstawą ich odrębności prawnej. A gdy część postanowień wyszła z użycia, to znów inne rozwinęły się daleko pełniej, wydoskonaliły w drodze tego prawa zwyczajowego, a co ciekawsza, uległy w pewnych

---

[1]) Przykłady podaje Bloch: Die General-Privilegien der polnischen Judenschaft w Zeitschrift der hist. Gesell. f. d. Provinz Posen t. VI np. str. 86—87.

[2]) Warschauer: das Stadtbuch von Posen p. 179. Helcel: Starodawne pr. pol. pomniki, t. II. nr. 4127.

względach wpływowi stosunków, wśród których się rozwijały, przybrały formy prawa polskiego [1]).

## I.

*Opinia wobec żydów — stanowisko króla — żydzi, jako „servi camerae“ — ich obowiązki i daniny — atrybucye wojewody — ich geneza — żydzi i sąd grodzki.*

Opinia społeczeństwa wpływa na prawo, modyfikuje jego przepisy, jeśli one są przestarzałe, nie odpowiadają zmienionym zapatrywaniom. Jak patrzy ogół ludności na żydów w Polsce w okresie, który nas zajmuje? Odpowiedź nie jest zbyt łatwa. Brak wynurzeń poglądów współczesnych nie pozwala tego bliżej poznać. Przypuszczać przecież można, iż niezbyt przychylne dla żydów było usposobienie ludności, jeśli się wspomni na kilkakrotne zaburzenia, które się przeciw nim zwracały. Prócz niechęci z powodów religijnych wpływały nadto stosunki ekonomiczne. Odsunięci od przemysłu prawie zupełnie z powodu niemożliwości dostępu do cechów, nie skorzy do uprawy ziemi, której również z powodu zakazów prawnych posiąść nie mogli, zajmują się handlem choć w dość skąpej mierze, a głównie pożyczaniem na lichwę czyli procent i dzierżawą niektórych poborów króla i możnych, zwłaszcza kopalń i ceł. Z obu względów budzili do siebie niechęć wśród ludności. W ówczesnych stosunkach ekonomicznych po-

[1]) Taki temat stawił sobie Gumplowicz: Prawodawstwo polskie wobec żydów. Praca to dziś zastarzała w części, nadto uwzględnia tylko pomniki ustawodawcze. M. Schorr: Organizacya żydów w Polsce od najdawniejszych czasów aż do r. 1772. Kwartalnik hist. t. XIII. str. 482—520 i 734—775 również dotyka tych kwestyi, jednak o ile chodzi o wieki średnie, nie zna nic prócz przywilejów, i na nich wyłącznie się opiera. Dla objaśnienia dodajemy, iż przywilej Kazimierza W. bez daty, najobszerniejszy i najkorzystniejszy dla żydów uznajemy za Hubem za fałszerstwo. Obrona autentyczności jego, podjęta przez Blocha i Schorra, zdaniem naszem nie może obalić argumentów przeciw, a z treści da ich się wyszukać więcej, że tu tylko wspomnę np. o traktowaniu przez przywilej ten ksiąg sądowych, jako w pełni rozwiniętych — za Kazimierza Wielkiego!! Zaznaczam, że nie wciągnąłem w pracę źródeł prawa kościelnego, szło mi bowiem tylko o przedstawienie prawa zwyczajowego, nie przepisów ustawodawczych.

DYREKCYA KAMERALNA
MAJĄTKA NOWEGO SĄCZA

życzka była rzeczą bardzo niebezpieczną. Ciężko było zwrócić ją, bo rola nie mogła przynieść łatwo jakichś nadzwyczajnych zysków, a pieniądz wzięty od żyda, szedł z reguły na konsumcyę, nie przyczyniał się do zwrostu produkcyi, coby mogło usprawiedliwić pożyczkę i umożliwić jej spłatę. Stąd też widzimy z tych setek procesów, które żydzi prowadzą wobec sądów przeciw szlachcie, jak rzadkim był fakt zwrotu pieniędzy bez użycia środków przymusowych, jak starano się przewlekać sprawy; to zaś wobec drogości ówczesnej procedury i wysokiej stopy procentowej powodowały, iż ciężar rósł coraz bardziej, często przyprawiał dłużnika o ruinę. Już z reguły dłużnik czuje pewną niechęć do wierzyciela; tem większa ona być musiała z powodu bezwzględnego postępowania żydów. Gdyby nie sprawy żydowskie, napewno ówczesne sądy, w których oni częściej się pojawiają, np. sąd krakowski lub poznański, miałyby o czwartą część spraw mniej. A i cła wobec braku kontroli i niedokładności taryf dawały się dotkliwie czuć ludności. Nie brakło więc niechęci.

A nietylko ludność tak patrzy na żydów. Tego samego zapatrywania wyrazem są — co ważniejsza — i akty urzędowe, które zresztą są odzwierciedleniem opinii, szerzonych ogólnie także przez kościół. „Żydowskie przewiarstwo — mówią statuta warckie [1]) — chrześcijanom zawżdy jest przeciwne i nieprzyjacielne, iż nietylko na wierze albo na ciele, ale i na podeptanie imienia i na potępienie chrześcijaństwa zawżdy umysł ma“. Podobnież wyraża się i król Jagiełło [2]): „że żydzi dla wielu są obrzydli, a stosunki z nimi wszystkim chrześcijanom nienawistne, A i my ich przewiarstwa nienawidzimy“.

Odbija się to i w nomenklaturze. Każdy stan w wiekach średnich ma pewne stałe określenie, które charakteryzować mają jego stanowisko. Tak szlachcic zwie się u nas *nobilis* lub *strenuus*, mieszczanin *famatus* lub *discretus*, chłop *laboriosus*. Podobnie i żydzi; ich zwą nieraz *providi*, ale często [3]) *infideles* lub *perfidi*. Kiedy więc u innych w tych nazwaniach starano się uwydatnić przymioty stanu w stosunku do żydów kładą nacisk na odrębność

---

[1]) Według tłómaczenia kodexu Świętosława. Arch. kom. prawn. t. III. p. 304.

[2]) Liber cancellariae Ciołka. Archiv f. österr. Gesch. t. 45. część II. nr. 30.

[3]) Bardzo często w źródłach.

wiary, w wyrażeniu, które mimo woli budzi uczucie jakiejś pogardy. O zmarłych odzywano się zawsze z szacunkiem, dodawano do ich nazwiska: *bonae memoriae;* żyd nawet na to nie zasługiwał w opinii ówczesnych, po śmierci on był dla reszty [1]) „przeklętej pamięci — *damnatae memoriae*".

Lecz, choć władca uznaje [2]), że „niewierni niemieli z większej łaski weselić się, niźli boży słudzy, ani słudzy lepszego mają być położenia, niż synowie" — to przecie [3]) „lituje się z łaski nad tymi, których i prawo boskie cierpi, w obawie, że gdyby od nich odsunął swoją prawicę, chrześcijanie mogliby dla nich tak stać się nieprzyjaźni, iż alboby ich życiu mogły grozić niebezpieczeństwa, albo zmuszeniby zostali z powodu ucisku, obraz, zniewag i zelżywości do opuszczenia granic państwa". Z tego więc powodu bierze ich *sub sui regalis brachii tuicionem.*

I rzeczywiście żydzi są pod opieką króla. Przejęto w Polsce pojęcia, które wyrobiły się w stosunku do żydów na zachodzie, w Niemczech. Już w przywilejach zaznacza się to bardzo wyraźnie, że są oni własnością króla [4]), jako *servi camerae.* Władca chroni żydów dlatego, że stanowią część jego majątku. W praktyce XV. w. nie występuje to tak wyraźnie i tak często, lecz przecie z drobnych wzmianek widać, iż pojęcie to trwa dalej. W liście do żyda mówi król do niego [5]): *iudee noster.* Król nawet zastawia żydów [6]); a choć tu chodzi raczej o dochody, jakie z nich władca ciągnął, to przecież z wyrazów, jakich użyto widoczna, iż traktuje ich król jako swoją własność.

Od króla zależą ich prawa i swobody, które nadaje i zatwierdza w przywilejach. Do osiedlenia się dawniej nie potrzebowali specyalnego pozwolenia. Gnieżdżą się głównie w miastach

---

[1]) Warschauer, o. c. p. 139. Helcel, II. nr. 2044.

[2]) Statut nieszawski z r. 1454 według tłómaczenia kodeeu dzikowskiego. Archiwum komisyi prawniczej t. III. str. 115.

[3]) Liber Ciołka l. c.

[4]) Zupełnie bezpodstawnie zwalcza to zdanie co do Polski Schorr. o. c. rozdział I.

[5]) Akta gr. i z. t. XIV. nr.

[6]) Żydów starostwa Inowłocławskiego marszałkowi Jarockiemu w r. 1506: universos iudeos nostro Juniwladislaviam incolentes cum omnibus exactionibus, censibus ac proventibus pro nobis de ipsis quoquomodo proveniri solitis dedimus et donarimus damusque et donamus... per ipsum Stanislaum Jaroczky et suos successores eosdem iudeos tenendum, habendum et exactionandum. Cod. dipl. Pol. t. II. nr. 640.

dużych, gdzie większy był handel, większe zapotrzebowanie pieniędzy. Przeważna ich ilość żyje w Krakowie, Poznaniu i Lwowie. Spotykamy ich także i w mniejszych miasteczkach, ale już w liczbie drobnej tylko. Czy w XV. wieku wystarczała zgoda gminy miejskiej na to, by w niej żydzi mogli zamieszkać? Trudna odpowiedź z powodu braku źródeł. Zastanawia przecież fakt, iż posiadamy dokument, którym król pozwala dwom żydom z Ransberg, Kachemowi i Zazarowi, by się osiedlili w Krośnie na lat trzy wraz z rodzinami, ale nikt więcej [1]).

Kto zna choć trochę stosunki średniowieczne, ten dobrze wie, iż każdy przywilej musiał być dobrze okupiony, że i żydzi nie darmo je mieli zwłaszcza oni, którzy uchodzili za bogatych, bo mieli więcej gotówki, niż kto inny. Dokładniej jednak o tem wiemy bardzo mało. Stwierdzić tylko można na pewno, iż żydzi, gdziekolwiek byli osiedleni, ponosili stałe co roku ciężary na rzecz władcy. Wyraźnie to zaznacza jeden z dokumentów [2]). Również co do sposobu poboru danin możemy przypuszczać prawie napewno, iż płaciły je gminy żydowskie, jako takie, a nie poszczególne jednostki z osobna. Główny ciężar, to pieniężny czynsz roczny. We Lwowie wynosi on dla żydów przedmiejskich w r. 1475 niezbyt wiele, bo tylko 5 grzywien rocznie [3]). Wyższy jest w Krakowie, gdzie za Olbrachta dosięga sumy 100 florenów [4]); płacą go w czterech ratach na suchedni po 20 florenów, a ściąganie należy do starszych żydowskich, t. zw. *seniores iudeorum*, którzy go składają do rąk wojewody. Nie są to sumy zbyt wielkie. Zważyć zaś należy, iż żydzi, choć mieszkali w miastach, jako podlegli

---

[1]) Liber cancellariae Ciołka, część I. nr. 30 i Star. pr. p. p. t. X. nr. 170, str. 89.

[2]) Eximimus... prefatos iudeos nostros (z Krosna) ab omnibus exaccionibus, contributionibus, solutionibus, datiis et quibusvis angariis, quas ab aliis iudeis nostris in certis regni nostri civitatibus exigere consuevimus durante dumptaxat dictorum annorum libertate. Liber canc. Ciołka, część I. nr. 30. Tożsamo mowa o daninach żydów w Inowłocławiu, j. w.

[3]) Akta gr. i z. t. XV. nr. 1418.

[4]) Generosus Joannes de Buczacz pincerna noster salarium... annuum centum florenorum ungaricalium singulis annis apud... iudeos nostros Cracovienses ad quelibet quatuortempora per viginti florenos ungaricos ad tempora vite eius extrema habebit... Vobis autem senioribus prefatorum iudeorum nostrorum Cracoviensium mandamus omnino habere volentes, quatinus eidem gen. Joanni de Buczacz... ad singula quatuortempora de predicto salario respondeatis. Kod. Krak. t. II. nr. 486.

wprost królowi i niezależni od władz miejskich, nie ponosili ciężarów, które nakładano na resztę mieszkańców, a więc nie płacili szosu.

Prócz daniny w pieniądzach pociągani byli jeszcze do innych świadczeń, przynajmniej w niektórych miastach. Wiemy tylko nieco o żydach, mieszkających na przedmieściu Lwowa. Według zapiski z r. 1475 [1]):

1. Mają oni strzedz złodziei i odprowadzać ich na zamek. Skąd do tego przychodzą, na jakie przypadki rozciąga się ten obowiązek, zgoła nic się nie wie.

2. Obowiązani są do jakichś robót koło skór, czyli jak mówią do „zuranow“ *(labor cuttium)*; co to ma znaczyć, niepodobna odgadnąć [2]).

3. W razie przybycia króla, ciążą na nich jakieś obowiązki co do wozów i kuchni władcy. Miasta — także i Lwów — były obowiązane do dostarczania w tym przypadku pewnej ilości wozów i koni, pod rzeczy monarchy, dla przewiezienia ich do następnej stacyi. Zapewne tego rodzaju był i obowiązek żydów. Co zaś do kuchni, to pewnie musieli ją zaopatrywać w niektóre potrzeby, zwłaszcza może w korzenie, wówczas tak cenione, których handlem zajmowali się żydzi w dość dużej mierze.

Wreszcie płacą jakiś czynsz „na przekop“ — może więc na koszta obrony miasta.

Jak zaś dla władcy obojętną było rzeczą, kto ponosił te ciężary, widoczna z tego, iż w r. 1475 dwa odłamy lwowskich żydów, rabanie i karaimowie, zawierają zupełnie swobodnie ugodę, która reguluje ich wzajemne obowiązki w przyczynianiu się do tych ciężarów, bez żadnej ingerencyi ze strony państwa. Uważano to za sprawę wewnętrzną gminy żydowskiej, byleby tylko obowiązki, jakie na nich spoczywały, były wykonane w sposób przepisany.

---

[1]) Iudei suburbii castri Leopoliensis... dicti Cazaymowye... iudos dictos Rabany... a labore cuttium alias od sozanow et etiam quod fures non debent ducere ad castrum nec custodire eosdem et in adventu Maiestatis Regie ad currus et ad coquinas nihil habere debent perpetue et in eum emiserunt... excepto quod ipsi iudaei Rabany cum eisdem Caraymis debent simul redditus solvere super fossatam alias na przekop et censum annalem hoc est quinque marcas eciam insimul exsolvero debebunt. Akta gr. i z. t. XV. nr. 1418.

[2]) Nie możemy jednak twierdzić na pewno, że chodzi tu o ciężar państwowy.

Sądzić musimy, iż na tych świadczeniach nie ograniczały się żydowskie powinności. Obok zwykłych dochodów, stanowi w XV. w. jedno ze źródeł skarbu bardzo ważnych ściągany w razie nadzwyczajnych wypadków „pobór“. O żydach w ustawach poborowych nie ma wzmianki, co się tłómaczy samo przez się. Napewno jednak twierdzić można, że w takich razach, kiedy wybierano pobór, pociągano i ich także do podatku. Jak i ile płacili, nic zródła nie mówią.

Podlegali więc żydzi wprost królowi. Do niego odnosili się o pomoc w razie ucisku, do niego należała władza sądownicza nad nimi. Oczywiście, iż to była tylko zasada. W praktyce podlegali urzędom królewskim. Jedna z cech bardzo charakterystycznych tego stosunku jest ich zależność od wojewodów, którzy wykonują nad nimi władzę, udzielają opieki i sądzą w imieniu króla. Wojewodom te prawa przyznają przywileje, począwszy od Bolesławowskiego. A choć w późniejszych spotyka się pewne ograniczenia władzy wojewodów nad nimi na rzecz starostów, w miarę jak władza tychże rosła, przecież pierwsi przy swoich atrybucyach utrzymali się aż do końca rzeczypospolitej. Jest to objaw szczątkowy pierwotnej ich władzy, która później traci tak bardzo na praktycznem znaczeniu. Tylko też przez uwzględnienie stosunków jeszcze XIII. stulecia da się wytłómaczyć geneza tej części praw wojewodzińskich. Wtedy w każdem księstwie był jeden książę i każdy miał swego wojewodę, jednego. Wojewoda był to zastępca księcia we wszystkich sprawach, bez bliżej określonych granic władzy. Wobec tego, iż żydzi mieli podlegać wprost księciu, w imieniu księcia mógł wykonywać tę władzę nad nimi tylko jego *alter ego*, więc wojewoda. W czasie kiedy zaczęły się ziemie łączyć, wojewodowie utrzymali się jako urzędnicy ziemscy. Jako właściwi urzędnicy królewscy występują od XIV. w. starostowie. Wojewodowie odnośnie do żydów przecież zachowali swoje atrybucye. Stąd ten objaw ciekawy, iż iurysdykcyę ściśle królewską nad tą częścią ludności państwa wykonywują i nadal wojewodowie, urzędnicy *par excellence* ziemscy.

Wojewoda więc zastępuje króla. On w pierwszej linii powołany jest do obrony żydów. Tak widzimy, iż wojewoda występuje w r. 1423 ze skargą wobec sądu grodzkiego na rajców krakowskich [1]) o prześladowanie żydów, że ich *violenter detinuerunt alias*

[1]) Jan Tarnowski, wojewoda krakowski astitit terminum peremptorium contra consules civitatis Cracoviensis, quia iudeos violenter

*lapały*. Ciekawsza sprawa toczy się jeszcze wobec sądu grodzkiego we Lwowie w r. 1447 [1]). Żyd został pozwany przed jakiś inny sąd, skazany i powieszony. Wojewoda nie wdaje się w *meritum* rzeczy, ale skarży o to, że wdarto się w jego prawa, i żąda nietylko 3 grzywien [2]) za to, iż „nieuczczono“ jego urzędu, ale nadto jeszcze i okupu za głowę powieszonego żyda, który ściąga w kwocie 60 grzywien. Do niego należy pobór danin od żydów. On jest właściwie sędzią nad żydami. A wprawdzie do spraw iurysdykcyi istnieje osobny sąd żydowski, przecież to prawo żydowskie zwie się [3]) *ius domini palatini*, a księgi tego sądu [4]) *acta domini palatini*. On też mianuje sędziów, do niego odnoszą się od postanowień sędziego [5]), a nawet nieraz wprost ze skargą [6]), a sędzia, jeśli nie ma swej pieczęci, przywiesza do dokumentu odcisk sygnetu wojewody [7]). Wprost wojewoda daje żydom listy żelazne i przestrzega, by ich nikt nie naruszył [8]).

Żydzi też obowiązani są wobec niego do posłuszeństwa. Wysoka zależność żydów od króla, odbija się i na stosunku do wojewody. Bardzo ciekawy na to możemy dać przykład. W r. 1445 pozywa przez sąd żydowski lwowski wojewoda Odrowąż żyda Dawida, celnika przemyskiego, o to, że przechowywał złodziei. Wojewoda zaznacza [9]), że to „jego żyd“. Żyd przyznaje, że jest „żydem wojewody“ i mówi [10]): „nie chcę odpowiadać przeciw panu

---

detinuerunt alias lapaly, nullum ius ad eos habentes. Helcel II. nr, 1937.

[1]) .. palatinus proposuit, docens: ...iudeum ...evocavit de iure [meo] ad aliudius obmittendo ius meum qui iudeus est suspensus, [et e]go pro capite propono super cum sexaginta trium, marcarum et XVIII. gr. et pro isto quod non honoravit alias nyeveczczil meum officium, propono sicut alias marcas et trium dampni. Akta gr. i z. t. XIV. nr. 1969.

[2]) Taką sumę ma pobierać wojewoda według przywileju Kazimierza W. sfałszowanego w razie obrazy jego władzy przez żyda.

[3]) Helcel, II, nr. 1943 i 3230. Akta gr. i z. t. XIV. nr. 1289 i 1969.

[4]) Helcel, II. nr. 2138. Akta gr. i z. t. XV. nr. 2987 i 3010.

[5]) Akta gr. i z. t. XV. nr. 3020. Helcel, II. nr. 4128.

[6]) Helcel, II. nr. 3403 i 4128.

[7]) Akta gr. i z. t. XIV. nr. 140.

[8]) Ib. nr. 2760.

[9]) Tamquam contra suum iudeum, qui se recognovit esse iudeus eiusdem domini pallatini. Akta gr. i z. t. XIV. nr. 1456.

[10]) Qui iudeus contra dominum pallatinum noluit respondere, sed se tradidit in misericordiam domini pallatini, dicens, ego nolo respon-

wojewodzie, bo ja jego niewolnik, ale zdaję się na łaskę jego". Jestto sądzę najlepszy przykład, jak dalece szła ta zawisłość żydów. Bo też całą ich ochroną była opieka, jaką dawał im król, a w jego zastępstwie wojewoda, od którego też woli zależny był faktycznie stopień ich swobody.

Przecież w źródłach kwestya władzy wojewody nie występuje tak jasno, jakby się zdawać mogło z powyższego przedstawienia rzeczy. Kilka na to składa się przyczyn, a już rodzaj źródeł na to wpływa. Żadnych ksiąg sądów żydowskich z tego czasu nie znamy, gdyż się nie dochowały. To, co wiemy, opiera się na dość niewielu aktach, które wyszły z sądów żydowskich i pewnej liczbie zapisek, zaczerpniętych głównie z ksiąg grodzkich krakowskich i lwowskich, które po większej części tych spraw dotykają tylko w sposób uboczny. Nadto zaś w tych zapiskach dość niejasności z dwóch przyczyn.

Choć w wiekach średnich każdy stan ma swój sąd, a i w rodzaju sądów są znaczne różnice, przecież kompetencya sądu nie była zawsze bezwzględną. Strony mają pod tym względem dość dużą swobodę wyboru. Zwłaszcza o ile chodzi o sprawy żydowskie, to widzimy, iż żydzi stają bardzo często w sprawach, które powinnyby należeć do sądu żydowskiego, przed inny sąd, mianowicie sąd grodzki lub miejski wójtowski[1]). O ile chodzi o sprawy niesporne, zależało to od woli stron, przed który sąd zechcą się udać, oczywiście o ile to nie naruszało ważności tej czynności prawnej. Zarówno sądy grodzkie, jak miejskie sprawy takie przyjmowały i wciągały do swoich ksiąg. Jeśli zaś szło o sprawy sporne, to i w tych wypadkach sądy te z urzędu nie odrzucały ich, i za niewłaściwe uznawały się tylko w tym razie, jeśli pozwany z zarzutem niewłaściwości sądu wystąpił. Jeśli się więc strona skarzona wdała w spór, sąd taki przeprowadzał sprawę i wydawał wyrok. Co więcej, na dużą skalę spotykamy się z wypadkami, że strona interesowana, to jest żyd, zawczasu, nieraz już przy zawieraniu czynności prawnej, godzi się, by odstąpić od swego prawa *recedere a suo iure iudaico*, i poddaje się pod orzecznictwo sądu grodzkiego[2]). Nie zawsze da się stwierdzić, który z po-

dere contra dominum pallatinum, quia sum servus ipsius, sed me trado in misericordiam ipsius. Ib.

[1]) W Poznanlu są nawet specyalne dnie sądów żydowskich miejskich. Warschauer o. c. wstęp, str. 149.

[2]) Np. Helcel, II. nr. 3070, 3117. Akta gr. i z. t. XV. nr. 1468, 1761 i t. d.

wyższych wypadków zachodzi. Tłómaczy nam to przecież, skąd tak wiele spraw żydowskich rozstrzygają sądy grodzkie.

Drugi powód, który sprawiał, iż sprawy te dostawały się przed *ius castrense*, występuje jaśniej w aktach lwowskich, choć może i gdzieindziej również ten wzgląd działał. Przez czas długi w ciągu XV. stulecia dwie te godności: starosty i wojewody, znajdowały się we Lwowie w rękach tej samej osobistości. Oczywiście można było zawsze odgraniczyć, jakie akty były wypływem władzy starościńskiej, a jakie wojewodzińskiej. W praktyce ta granica się zacierała nieco. Tak sąd grodzki, jak i sąd żydowski, były obsadzane przez naczelnych dostojników, pierwszy przez starostę, drugi przez wojewodę. Jeśli starosta był wojewodą, mógł zlecić obie funkcye, a choćby jedną z nich tylko na raz pewien tej samej osobie, zwłaszcza, iż jak to poniżej zobaczymy, organizacya sądu żydowskiego była dość chwiejna. Wobec tego sąd grodzki mógł z woli starosty być równocześnie i sądem wojewodzińskim żydowskim. Nieraz widoczna nawet, iż tak rzecz brano [1]). Jeśli sąd taki częściej i przez czas dłuższy załatwiał sprawy żydowskie, wobec niezbyt wielkiej znajomości pisanych przepisów prawnych mogło się wyrobić przekonanie, że pewne sprawy żydowskie należą do sądu grodzkiego. Tem, sądzę, tłómaczyć należy, iż tak wiele spraw żydowskich przychodzi we Lwowie przed *ius fori castrensis*, że nawet spotykamy się ze wzmianką o charakterze sądu grodzkiego, jako [2]) *iudicii castrensis iudealis*. Zaznaczyć musimy, iż mimo tego obok pojawia się ciągle i zwykły sąd żydowski. — Reguła przecież zostaje, iż żyd odpowiada *coram suo iure iudaico palatinali*.

(Dokończenie nastąpi).

[1]) Akta gr. i z. t. XIV. nr. 2289, 2541, 2969 i 2976.
[2]) Akta gr. i z. t. XV. nr 2492.

DYREKCYA KASY OSZCZĘDNOŚCI
MIASTA NOWEGO SĄCZA.

# KRONIKA LITERACKA.

Gołowin. *Russlands Finanzpolitik und die Aufgaben der Zukunft.* (Przekład z rosyjskiego na niemieckie Kołosowskiego). Lipsk 1900.

Lehmann und Parvus. *Das hungernde Russland Reiseeindrücke, Beobachtungen, Untersuchungen.* Stuttgart 1900.

Ostatnimi czasy mnożą się publikacye, czy rosyjskie, czy zagraniczne, które wnikając dokładniej i głębiej, w stosunki tego kolosa gospodarczego, jakim na pozór zdaje się być Rosya, przedstawiają stosunki te w mniej korzystnem świetle, wykazują, że olbrzymie to i terytoryalnie nad miarę rozciągnięte państwo, wewnątrz jest bardzo słabem i niezorganizowanem gospodarząc. Z prac tych chcemy tu w krótkości omówić, dwie, wyżej przytoczone, gdyż zasługują na zapoznanie z niemi szerszego koła czytających. Zaznaczamy, że obie prace i przedstawione w nich stosunki nie odnoszą się do Królestwa Polskiego.

* * *

Gołowin przedstawia w pracy swej i zaznacza jaskrawo upadek gospodarczy Rosyi środkowej. „Okolice czarnoziemu naszego“ — powiada on — „ubożeją coraz bardziej“. Świetny z frontu nasz budynek gospodarczy ma bardzo mizerne oficyny. Obok niedostatku materyalnego widzi Gołowin u włościan rosyjskich — gorszy upadek duchowy. Stracili oni wszelkie zaufanie i do ziemi na której pracują i do samych siebie. Przyzwyczaiwszy się przez długi czas do kurateli nad sobą pana ziemskiego i władzy obwodowej, kurateli twardej, która jednak, w razie nędzy ratowała poddanych, czują się dzisiaj włościanie wszyscy jakby opuszczeni zupełnie, zdani na łaskę i niełaskę natury, urodzajów lub nieurodzajów i chciwych zysku handlarzy, którzy kupują od nich produkta. Zniesienie poddaństwa — jakkolwiek było aktem humanitarnym, odpowiadającym duchowi czasu, wywołało w Rosyi (tak jak w innych krajach!) takie skutki ujemne. Zniesienie to powinno było nastąpić stopniowo i powoli, przy przygotowaniu, wychowywaniu niejako równo-

czesnem chłopa do samodzielności. Tymczasem nastąpiło ono nagle a ci, którzy akt ten doniosły do skutku doprowadzili, cała ówczesna generacya, nie przeczuwali nawet, co przyszłość przyniesie. Nie przeczuwali, że z koniecznością nastąpi: przejście z gospodarki naturalnej do pieniężnej, rozszerzenie się sieci kolejowej państwa i wciągnięcie w jej zakres a tem samem w handel światowy całego obszaru czarnoziemu. Nie przeczuwali, że przyjdzie rozluźnienie węzłów familijnych, że pewna mniejszość, która potrafiła przystosować się do zmienionych stosunków obrotowych i rychło nauczyła się rozmaitych sposobów wyzysku, zbogaci się; podczas gdy znaczna większość, gros ludności włościańskiej, popadnie w bardzo przykre położenie gospodarcze, nawet w nędzę! Do tych złych warunków ekonomiczuych, dołączają się jeszcze wrodzone ludowi rosyjskiemu apatya i brak energii, które nędzę potęgują i utrwalają. Jako środek zaradzenia złemu doradza Gołowin rozpowszechnienie przemysłu, zwłaszcza rolniczego na całym obszarze czarnoziemu. Nie ma on tu na myśli wielkiego przemysłu fabrycznego po głównych miastach, do których ludność wiejska miałaby się udawać na zarobek; chce on tylko, aby ludność w mniejszych przedsiębiorstwach, powstających na wsi, mogła na wypadek nieurodzaju znaleść zaraz zarobek uboczny. Rozdawanie jałmużny i wogóle datków dobroczynnych, nawet ze strony państwa, uważa za szkodliwe, gdyż to przyzwyczaja chłopa rachować wciąż na cudzą pomoc, budzi w nim wyobrażenie, że tak czy tak zginąć z głodu mu nie dadzą i podsyca tylko wrodzone mu lenistwo. Włościanie wszyscy sądzą, że mają wprost jakieś prawo do wsparcia, do pensyi z kas państwowych! Zalecanie zaś częste, z różnych stron, jako środka zaradczego przeciw głodom, intenzywniejszej kultury ziemi, brzmi zdaniem Gołowina wprost jak — ironia!

Intenzywniejsza kultura wymaga kapitału przedewszystkiem a skąd wziąć ten kapitał!

(Dokończenie nastąpi).

*Dr. W. P.*

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“

# KORESPONDENCYA
# JÓZEFA BOHDANA ZALESKIEGO

(Ciąg dalszy).

### Do Pani Zofii Zaleskiej, w Paryżu.

*Hyères, 9. marca 1864 r.*

Moja najdroższa, jutro wieczór żegnam już kochanych Hyerskich. Pomodliliśmy się wespół i wypłakaliśmy. To czas mi do domu. Tęskno za tobą, Zośko, i za dziatwą. Przenocuję w Marsylii, aby komuniować w *Notre Dame de la Garde* i nawiedzić Endoume. Wszyscy mnie tulili, jak swego rodzonego.

Do widzenia się, moi własni, moi najukochańsi, błogosławię i całuję po kolei.

*Józef Bohdan.*

### Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Marsylia, d. 10. marca 1864 r.*

Na wytchnienie i dla roztargnienia się w nierozwiewnym smutku, siadam do stolika, aby napisać słówko do kochanej Mamci. Wracam z kilkogodzinnej pieszej pielgrzymki do *Notre Dame de la Garde* i do *Endoume*. Komuniowałem na spólną intencyę, jak ongi z naszym Józefem. Z myślami żałobnemi i wdowiem sercem obszedłem potem dawno znajomą okolicę. Jak ongi, niebo bez chmurki, dzień jasny, ciepły, prowansalski, — jak ongi, morze

lazurowe, huczące w swoje podwodne trąby. Ale w duszy inaczej, i zaszlochałem całą piersią kędyś w nieskończoność. Endoume dużo się zmieniło, zaludniło się, wypiękniało na sposób paryski, to jest zabudowało się okazałymi domami; zachowało wszakże dawny dziki pozór. Odnalazłem i naszą pustelnię, opuszczoną, w ruinie, ze spruchniałemi zielonemi okiennicami. Ukląkłem na progu i modliłem się długo, długo w nieutulonym płaczu. Zatarasowane drzwi domku, — i nie mogłem dobić się do środka. W domach okolicznych ani jednej żywej duszy. Oglądałem się, czy Józef nie wyjrzy do mnie z okna! — Rozmodlony tu, rozśpiewany, oczarowałem byłem Józefa przed laty. Co my tu o was nie śnili? Imiona kochanych: Mamcia, Nisia, do prawdy od rana do wieczora powtarzały nam fale do uszu. Wszystko minęło niepowrotnie. Święć się, Wolo Boża! a jam tułacz wieczny, ku grobowi pochylony.

Dam pokój, duszko Mamciu, pożegnanym dawno czasom. Bóg je wskrzesi w nieskończonościach. Józef mi wypatruje piękniejszą gdzieś pustelnię.

Bóg zapłać Wam wszystkim, Mamciu, za gościnne, braterskie przytulenie w Hyères. Nigdy nie zapomnę o tych kilku dniach, cośmy razem przeżyli, jakoby odmłodzeni w spólnej naszej boleści. Podziękuj, Mamciu, Dyzi, Dariuszowi; uściśnij p. Dyonizego, Kicię, Kazimierostwo.

Biorę powóz, aby objechać Prado, nowy port i różne nowości marsylskie, których nie było tu za moich młodszych lat. Wieczór pożegnam Marsylię, nie wiem na jak długo. Trzeba się śpieszyć, bo już późno t. j. po 2-ej.

Całuję ręce Twoje. Mamciu jedynaczko, a ty ucałuj kochanych i pozdrów przyjaciół i znajomych hyerskich

Wasz

*Józef Bohdan.*

Obiecałem Zygmusiowi Celińskiemu modlitewkę, a on nawzajem przyrzekł mi, że na św. Józef zmówi zawsze na moją intencyę *Zdrowaś Maryo!* Przypomnij mu ten warunek i doręcz załączony wierszyk do Anioła stróża. Wolę odrazu uiścić się z obietnicy.

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza, w Rzymie.

*Paryż, 18. marca 1864 r.*

Dostojny i kochany mój Ojcze Hieronimie, w osamotnieniu i osmutnieniu po wielkiej i nieodżałowanej stracie, serce zasklepia się, rade w boleści swojej. Boleć a miłować, toć jedno i to samo. W uczuciu tem jest jakoby okienko w nieskończoność, w rozstrzenie boże, które obiecuje nam wiara. Za mgłą ziemską, za rąbkiem łez niewiele przezeń widzim. Głosy spółczucia przyjaciół tu i bliźnich naziemskich mają w sobie coś wielce rozrzewniającego, ale pełne ukojenie jeno w Panu, który zwyciężył śmierć, a i jeńców jej dzień po dniu wyswobadza do siebie. Dla tegoć to pocieszenia kapłańskie są nam najpożądańsze. Bóg ci zapłać, Ojcze Hieronimie, za twoje! Józef i skonem jak życiem zbudował nas. Usnął w Bogu, obdarowany ekstazą i widzeniami błogosławionych Pańskich. Raduję się z całym domem świętością Józefa, ale z tem wszystkiem tkwi w piersi mojej zastrzał już nieuleczony. *Hoeret lateri letalis arundo!* Odnajdziem się bodaj rychło druh z druhem!

Wobec mąk i dolegliwości rozlicznych, jakie trapią Polskę, jak długa i szeroka, bodaj nie godzi się, Ojcze, i wspominać o boleści osobistej. W kraju tam, zawsze ten sam stan niewysłowiony cierpienia. Nadziei ratunku ni ulgi znikąd. Zaprawdę Opatrzność snowa dzieje, sama kieruje sprawami biednej ludzkości. Nigdy nieprawość i złość nie zapanują ostatecznie. Ależ i grzechy nasze muszą być mnogie i ciężkie. Pomimo strasznych klęsk i boleści narodowej, co jeszcze jest zatwardziałości w sercach młodzieży, ba i starych. Módlmy się i czuwajmy!

Aby popłakać wespół i pogwarzyć o śp. Józefie między swojemi, na rodzinie duchowej, wybiegłem, kochany Ojcze, na kilka dni do Hyères. Dzięki Bogu, kochani moi wszyscy na zdrowiu jako tako i w uspokojeniu chrześciańskiem doskonałem. Daleko mi do nich! Księża Aleksander i Józef zapoznali mnie z poczciwą rodziną Świętorzeckich. Żal się Boże, Pani Laura [1]) niepociągnie już długo, a taka młodziuchna, i miła i potrzebna biednemu mężowi i drobnej sierotce. Straszny dramat w ich rodzinie. Rodzice samego wywiezieni w Sybir za syna powstańca. Serce się ściska, patrząc na te katusze lepszej naszej szlachty. Swięć się, wola Boża! . . . . .

[1]) Świętorzecka.

Sercu i modlitwom Twoim kapłańskim polecam się w pokorze synowskiej i rozrzewnieniu niewysłowionem. Od żony i dzieci łączę ukłony i wyrazy najpowinniejszej czci

Wasz stary

*J. B. Zaleski.*

## Do Pana Bronisława Zaleskiego, w Rzymie.

*Paryż, 18. marca 1864 r.*

Mój drogi Bronisławie, przed kilkunastu dniami odebrałem Twoją poczciwą kartkę, pełną braterskiego spółczucia i pocieszenia dla nas. Bóg ci zapłać, kochany! Spółczucie ludzkie nieukoi boleści dusznej, ale rozrzewnia serce i rozpogadza umysł. Józef nasz[1]), jako żył, tak i umarł pięknie i święcie, z widzeniami Błogosławionych Pańskich. Błogo i słodko myśleć o tem, ale żyć tu bez Józefa trudno i ciężko. Druh mój nieodstępny od początku tułactwa, towarzysz pielgrzymek do Rzymu, do Jeruzalem, uczestnik w modlitwach po Trappach i po tylu a tylu pustelniach, przypomina mi się w każdej chwili i na każdem miejscu. Niedawno na widok naszego Endoume o mało, że mi serce nie pękło. A biednaż moja żona? A dziatważ nasza? Opowiem ci ustnie kiedyś dzieje tych gorzkich dni na rodzinie.

Aby popłakać wespół i pogwarzyć o ś. p. Józefie między swojemi, wybiegłem stąd na kilka dni do Hyères. Dzięki Bogu, zastałem tam wszystkich ukochanych w zdrowiu i uspokojeniu chrześciańskiem. . . . . .

. . . . . .

I nam już tęskno za Tobą, kochany Bronisławie. Wiosna tuż, tuż, to bądźmy w kupie jak jaskółki zamorskie, i te co zimują pod lodem, t. j. jak sybiraki i senegalce owe. Bóg jeno wie, co z nami będzie. Strach pomyśleć, co się dzieje w kraju. Doprawdy, lepiej tym co śpią pod lodem i po mogiłach. Wracaj, Bronisławie, do nas, serce przy sercu łacniej się ogrzejem. Szukamy nowego mieszkania, ale zastaniesz nas jeszcze na starem. Przykro mi

[1]) Zaleski.

niewypowiedzianie opuszczać mój jasny, wesoły pokój, ale dla oszczędności muszę. . . . . .

Do widzenia się i t. d.

Twój

*J. Bohdan.*

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, 23. marca 1864.*

Mamciu, najserdeczniejsza i najstarsza Zozulico moja w gniazdku hyerskiem, daj ci Boże zdrowie. Na kolanach przy Twem sercu szepczę życzenia i winszowania Wielkanocne Tobie i twoim. Rozdziel je między ukochanych. Ubył nam Józef, to w żałobie po nim palec na ustach i milczenie na długo.

Od kilku dni wziąłem się do wertowania papierów Józefowych. Serce mi pęka. Na każdym szpargale niemal czytam swoje imię z epitetem błogosławieństwa, to miłości, że w głos jęczeć muszę. Szczęściem, że żona i dzieci nie słyszą mnie przez kilka ścian. Trzeba jednak uporządkować pozostałości te.

Mało wychodzę z domu, przynajmniej podczas dnia. Wieczorem w Assomption z Zosią i Józią słuchamy budujących nauk ks. Aleksandra aż do 10-ej. Po drodze rozmawiamy zwykle z kilkoma przyjaciółmi o sprawach publicznych. Niestety dzień po dniu smutniejsze wiadomości odbieramy z kraju. Mało kto zostaje na swobodzie. I listy nawet nie całkiem są zrozumiałe. Pani Bronisławowa D..... od tygodnia już wyjechała na Ukrainę. Obiecała się z powrotem na Maj. Wyczekiwać będziem niecierpliwie na nią, bo ustnie opowie o stanie ziemi i ziemian.

Na zakończenie tej kartki, umieszczam, duszko Mamciu, dziwną anegdotę z dzisiejszego do mnie listu Nakwaskiego. W okolicach Tours, przeszło od roku zamieszkuje śliczną willę jakiś tajemniczy, melancholijny mężczyzna, około 40 lat liczący. Ma kilkoro sług francuskich, ale nikogo a nikogo nie przyjmuje. Od czasu do czasu przyjeżdża do Tours, aby u kupca tam Polaka złożyć paręset franków na rzecz jego rodaków. Pasport ma na imię M. P..... Onegdaj przyniósł 500 fr. do mego rozporządzenia. Oczywiście M. P..... jest to P....., szlachcic polski. Tego herbu dużo jest domów i rodów u nas. Są i Potoccy i Zalescy. Godzi się usza-

nować pobudki tajemniczości anonima naszego. Wolno atoli domniemywać się, że P. P.... to pokutujący potomek jakiegoś jawnogrzesznika polskiego, z tysiąca ich po rozbiorze Polski. Zdaje się, Mamciu, że będę musiał z nim się zapoznać, chociażby tylko dla podziękowania za dobrodziejstwa świadczone tułaczom.

Całuję ręce Twoje, Mamciu najmilsza. Polecam się sercu i modlitwom.

*Józef Bohdan.*

## Do Księdza Hieronima Kajsiewicza, w Rzymie.

*Paryż, 29. marca 1864 r.*

Szanowny i kochany Ojcze Hieronimie, onegdaj w sam dzień Zmartwychwstania Pańskiego, pani Dyonizya [1]) doniosła mi o zamiarze Waszym uczczenia pamięci mego Józefa nabożeństwem w Rzymie z mową dlań pochwalną. Bóg zapłać Wam, drogi Ojcze. Oczywiście potrzebujecie niektórych dat z jego życia, zwłaszcza z lat rańszych. Otóż na prędce spisałem co mi przyszło na pamięć. Są zapewnie tam niedokładności, a mianowicie opuszczenia, lecz w pospiechu nie mogło być inaczej. Części duchowej i że tak powiem mistycznej naszego pożycia nie śmiałem dotykać, bo Wam skądinąd oddawna wiadoma. Przestrach nasz wieszczy, z powodu Towiańszczyzny, wprzód nim jeszcześmy się dowiedzieli o niej, cudowny jest, bo nie sposób wytłumaczyć po ludzku. Józef opowiadał Wam tyle razy sam o tem, równie jak i o widzeniu mojem św. Pawła. Po dziś dzień nieśmiem tych przygód naszych podawać w piśmie. Stosunki Józefa i żywot na emigracyi znacie dobrze i od początku, boście z nim wszystkie te lata poniekąd przeżyli dłoń w dłoni. Rokrocznie widywaliście go w Paryżu to w Rzymie.

Szczęść Boże, Ojcze Hieronimie, ku zbudowaniu rodaków! Ja z mej strony spiszę szczegóły naszego pożycia. Bóg mi dał trzech świątobliwych przyjaciół Stefana [2]), Floriana [3]) i Józefa, którym tyle, o tyle winienem. Przez ich przyczynę będę chyba zbawiony. Dłużny jestem ich pamięci. Na stare dziś lata zamierzam zostawić

---

[1]) Poniatowska.
[2]) Witwicki.
[3]) O. Florian Topolski.

o nich pamiętnik dla moich dzieci. Praca ta od niejakiegoś czasu wielce mnie nęci; będzie mi na ochłodę i osłodę cierpkich godzin osamotnienia i sieroctwa mego.

Przez pannę Boleską, która wczoraj wróciła z Poznania, odebrałem list od ks. Jana [1]) i 50 egzemplarzy odpowiedzi na ostatnie pisemko Towiańskiego. Jeszczem jej nie przeczytał. Dam dziś parę egzemplarzy ks. Aleksandrowi dla Was do Rzymu. Ks. Jan donosi mi, że siostrę jego Przewłocką z 16-letnim synem wywieziono kędyś w głąb Rossyi i że instancye o nich Pani Cezarowej nie pomagają. Ks. Jan radby do Przeglądu swego napisać chociaż krótką wzmiankę o Józefie. Podobno, że prosił o to i Panią Dyonizyę.

Spieszno mi bardzo do ks. Aleksandra, aby depeszy swojej nie wyprawił do Nonciatury. Kończę więc najserdeczniejszem pozdrowieniem i prośbą o modlitwy za nas tu wszystkich.

Wasz w Panu brat i sługa

*J. Bohdan Zaleski.*

## Niektóre daty z Józefowego życia dla ks. Hieronima.

1. Urodził się około 1789 r. w Warszawie z Feliksa, majora wojsk Polskich i Heleny Katerlanki Zaleskich.
2. Po utracie matki w kolebce, wychowywał się przy mamce i piastunce swojej na Pradze. Pierwsze wspomnienie: straszna rzeź Suwarowa. Wspomnienie to na Emigracyi opisał wierszami i wydrukował w Dzienniku Narodowym Wrotnowskiego z r. 1841 czy 1843 r.
3. Szkoły odbywał w Lubarze u księży Bazylianów, wakacye spędzał u ojca w Piatce pod Żytomierzem.
4. W r. 1809 manowcami za wieloma pogonił ku Galicyi do powstańców. Służył w pułku Strzyżewskiego i bił się zaraz w mnogich utarczkach z Austryakami.
5. Odbył całą kampanię 1812 r. w pułku 5-tym Ułanów pod Tarnowskim.
6. W r. 1813 bił się pod Lipskiem i we wszystkich bitwach nad Renem i we Francyi.

---

[1]) Koźmian.

7. W r. 1814 ranny ciężko w nogę pod Paryżem na Montmartre w pułku Dwernickiego. Na amputacyę nogi nie pozwolił. Leczył się w szpitalu St. Louis przez wiele miesięcy.
8. Na wiosnę w r. 1819 po wyleczeniu się, wrócił do Warszawy i umieszczonym został w pułku gwardyi strzelców konnych w stopniu porucznika pod Kurnatowskim.
9. Po roku służby pod Konstantym Carewiczem za urlopem, w mundurze polskim, odwiedził rodzeństwo na Ukrainie. Wtedy zapoznał się ze mną, studentem w Humaniu w jesieni 1816 r.
10. W r. 1817 wziął dymisyę z wojska i ożenił się w Warszawie z Józefą Pilchowską, córką sędziego Apelacyi. Odtąd zamieszkał stale na Ukrainie. Doczekał się kilkorga dziatek. Gospodarował zrazu na dzierżawach, a potem zapomożony przez siostrę Felicyę Iwanowską, kupił na dziedzictwo Pietruszki, wieś pod Kijowem.
11. Odwiedzał kilkakrotnie Warszawę, to z powodu brata swego Juliana, podchorążego w gwardyi strzelców konnych, który skończył samobójstwem w r. 1824, to w zamiarze umieszczenia starszych synów swoich w korpusie kadetów Kaliskim. Był i w lecie r. 1830. Odemnie i od Maurycego Mochnackiego dowiedział się o gotującem się powstaniu Narodu. Żyliśmy już wtedy z sobą ściśle i po bratersku.
12. W końcu r. 1830 i na początku 1831 uczęszczał do Oczeretny do Wincentego Tyszkiewicza, kędy odbywały się narady nad powstaniem Ukrainy między patryotami. Józef, jako stary wojak, miał przygotować własny oddział i złączyć się z Karolem Różyckim. Z powodu bałamuctw emisaryuszów Dwernickiego, a osobliwie Chrościkowskiego nastąpiły zamieszanie i bezład. I Józefowi nie powiodło się z jego oddziałem. Rad nierad za Dwernickim schronić się musiał do Galicyi.
13. W końcu r. 1831 spotkaliśmy się we Lwowie. Uradziliśmy dzielić wespół losy tułactwa polskiego. Józef dla urządzenia interesów domowych zjechał się z żoną w Tarnopolu i przyzostał w Galicyi, ja z Worcelem udaliśmy się do Francyi. Daliśmy sobie atoli *rendez-vous* w Paryżu.
14. Wyprawa Zaliwskiego, w której ważny udział brał i Józef. Niepowodzenia, krycie się po lasach i po wsiach we dworach szlacheckich. Ucieczka za granicę.

15. Pod jesień r. 1833, zjawił się Józef w Paryżu i zamieszkał ze mną raz na zawsze. Czasy nawrócenia się, rozśpiewania mego, czystości. Bractwo Bogomodlców, do którego należeli Witwicki, Mickiewicz, Domejko, Cezar Plater, Gorecki, Józef i ja. Józef traci kilkoro dziatek, zostaje mu jeden syn Franciszek. Powrót do praktyki wiary; żarliwość religijna i pustelnie nasze w Robertsan, Molsheim, Endoume i Fontainebleau. Kilkakrotne wycieczki do Rzymu. Panie Felicya, Dyonizya itp. Pielgrzymka do Jeruzalem. Towiańszczyzna i ostrzeżenie o nim cudowne dla obydwóch na parę lat przed Pielgrzymką. Częste rekolekcye po Trappach. Zbratanie się z Ojcem Floryanem Topolskim. Józef z Witwickim swatają dla mnie Zofię.

Po ożenieniu się mojem, Józef zawsze nieodstępnym druhem i towarzyszem naszym. W r. 1848 ruszyliśmy do kraju, Józef do powstania, ja z delegacyą na sejm Pragski. Smutny zawód obudwóch. Dziesięcioletni pobyt w Fontainebleau. Józef piastunem pięciorga dzieci moich. Uświęca się dzień po dniu. Buduje Francuzów i swoich gorliwością i pobożnością w konferencyach *St. Vincent de Paul* i w bractwie Najświętszego Sakramentu. Pociechy familijne. Żeni syna z pobożną dziewicą. Rok rocznie gości przy siostrze, to przy siostrzenicach itp. Uciszenie się wielkie i święte w duchu, że staje się na prawdę mężem chrześciańskim, mężem pokoju w pełnem znaczeniu tego słowa. Raduje się z kierunku pierwszych manifestacyi warszawskich. Modli się o sposobność ofiarowania się za kraj. Powoli a nieznacznie upada na siłach, ale strzeliście zawsze rozmodlony. Choroba lekka, krótka z wycieńczenia. Konanie bezboleśne, pogodne i zgon sprawiedliwego z ekstazą i błogiemi widzeniami dnia 8. lutego 1864 r.

Część życia Józefa od nawrócenia się w ślad za mną, aż do zgonu znana jest dobrze Ojcom Zmartwychwstańcom, którzy byli przez wiele lat i spowiednikami jego duszy i powiernikami serca.

NB. Pisma Józefa, a osobliwie styl jego listów cenili wysoko Mickiewicz i Witwicki.

*J. B. Zaleski.*

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, 30. marca 1864 r.*

Droga Mamciu, czyż godzi się tyle dziękować mi za drobnostki niewarte wzmianki, bo nie mitrężą wcale zdrowia ni czasu? Doprawdy pełnię je z ochotą i lubością, a wstydzi mnie i smuci, że Mamcia się ze mną droży, kiedy ja ważniejsze usługi przyjmując, biedzę się w sercu, że nie zdołam za nie zawdzięczyć. Przez pamięć na Józefa, niech się Mamcia już w tem poprawi.

Na tęsknotę po moim druhu nie ma takoż rady. Przeżyłem z nim, duszko, najpiękniejszą część wieku, starzeliśmy razem, to zastrzał mój nigdy już nie przeboli, dopókim na ziemi. Nie zasklepiam się jednak w żalach. Codzień na Mszy św. ocieram łzy i dalej, dalej! Tyle na mnie cięży obowiązków! a najwalniejszy, zbawienia duszy! a więc nie wolno się rozkwilać ani sarkać na wyrok Opatrzności. Święć się wolo Boża! Święć się, święć teraz i na wieki wieków!

I owszem, droga Mamciu, ja lepszy dziś i pogodniejszy, bo częściej myślę o wieczności. Kwaśny mój humor poetycki utopiłem w łzach. Daj Boże, abym go opanował na zawsze, dla pokoju mego w domu i za domem! Tyle jest rzeczywistych utrapień na świecie i w Polsce naszej, że grzech wielki jątrzyć się urojonemi. Mamciu, co tam tortur rozlicznych w kraju? Moskal i Niemiec pastwią się nad nami, jakby Boga nie było na niebie. Otóż jest i cudowna interwencya tuż, tuż. Obaczą ją złośniki. I ja czytałem dużo listów z naszych stron i z Litwy. Włosy powstają na głowie na opisy pogańskich tam szkaradzieństw. Zgroza szubienic, knutów, Sybiru ogarnia cały kraj, że nikt już ani mówi o ruinie majątkowej i losie dziatek polskich. Na bruku paryskim bez liku młodzieńców, po większej części kalek, bez nóg, bez rąk i bez grosza. Zosia odnalazła jednego z protegowanych swoich przed dwoma laty, bez nogi lewej, a w prawej siedem kul. Wczoraj u księdza Aleksandra widziałem ks. Wołowskiego z Litwy, bez prawej ręki, a ma dopiero 24 lat. Serce się krwawi patrząc na tę młodzież polską. Powiadają, że w Paryżu jest do 2000. A i Drezno pełne. Wszyscy niemal naczelnicy oddziałów są za granicą. A co swarów, co gorszących procesów?

W tej chwili, Mamciu, przerwał mi pisanie Nabielak, który świeżo przybył z Galicyi. I tam bezład i ucisk niesłychany. Oddziały powstańców chronią się na Wołoszczyznę, albo dają się wy-

wozić do twierdz i do Bawaryi. W Saksonii, król sam jeden za nami, ale całe ministeryum rade by wydać Moskalom. Miałem list od księdza Jana. Siostrę jego, Przewłocką z 16-letnim synem skazano na deportacyę.

Darmo, duszko Mamciu, i pisać o tych wszystkich okropnościach. Bóg jest mocny i miłosierny, to raczej nam jęczyć w niebo a modlić się w skrusze serc

Twój

*Józef Bohdan.*

## Do Pani Dyonizyi Poniatowskiej, w Hyères.

*Paryż, 30. marca 1864.*

Droga moja, w liście Mamcinym, dorzucam słówko i do Ciebie. Spełniłem polecenie twoje dla ks. Hieronima. Co ważniejsze daty z Józefowego życia, spisałem na prędce i wysłałem do Rzymu. Mniemam, że nieopuściłem przynajmniej głównych zdarzeń w kraju i na tułactwie. Radbym, aby nabożeństwo za duszę Józefa mogło się odbyć 19. kwietnia, w rocznicę skonu Stefana Witwickiego, świątobliwego przyjaciela obudwóch nas. W pośpiechu wczoraj zapomniałem poprosić o to ks. Hieronima.

Napomknąłem Mamci o ucisku w kraju, a byłoby o czem pisać na arkuszach. Wiele osób widziałem z kraju należących do Rządu i prywatnych. Nie mogę wszystkiego powierzać na piśmie. W ogóle źle i okropnie. Mało wiary, a stąd i upadek na duchu. Bez cudu Bożego, na pokolenia grozi katastrofa.

Ks. Koźmian przysłał mi 50 egzemplarzy odezwy Tor.... z katolickim komentarzem. Mógłbym kilka broszur wyprawić do Hyères, ale obawiam się uczynić to pod Waszym adresem.

Pietraszkiewicz na seryo wraca na Ukrainę i to w pierwszych dniach kwietnia.

Całuję ręce i pozdrawiam wszystkich tam kochanych.

Wasz

*Józef Bohdan.*

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, d. 13. kwietnia 1864 r.*

Moja droga Mamciu, dawno nie mam od Ciebie ani słóweczka, to zachmurza mi się nieco w duszy. Różne dumki łażą po głowie, czy, broń Boże, nie chora, albo może czemś i obraziłem itp.? Żeś, Mamciu, smutna, tego nie trzeba ani odgadywać. Całym Narodem, wszyscy co do jednego, brodzimy dziś w ciemnej, gęstej, nierozwiewnej mgle; jak w przedsieniu czyścowem, słyszym jeno płacz i zgrzytanie zębów. Błogosławieni, którzy modlić się umieją, bo obcowaniem ze świętemi uzyszczą i pokój dla siebie i ulgę dla katowanych; nie chcę potrącać, Mamciu, w tę strunę, bo i bez tego brzmi już nam głośno a nieustannie, jak muzyka nocna komarów. Dość rzucić wzrokiem na jakąbądź gazetę, albo list z kraju.

Od wielu dni, duszko, mało wychodziłem z domu. Przeglądałem papiery po ś. p. Józefie naszym, to spakowywałem rzeczy. Mieszkańko jego i przyległy pokoik, całkiem już są uprzątnione..... Odebrałem też, kochana Mamciu, najpoczciwszy, najserdeczniejszy list od księdza Karola [1]). Odprawił żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. Józefa w Adrianopolu i obiecał wiele jeszcze Mszy św. Oto co między inszemi czułościami pisze mi o nieboszczyku: „Czytamy „w kronikach kościelnych, iż ojciec Orygiiusa, z uszanowaniem „całował piersi swego syna uśpionego, przekonanym będąc, iż Duch „święty w nich przebywał. Owoż, mój najdroższy Bohdanie, ja „jestem bez przesady w takiem samem położeniu, że lubo przez „Sakrament byłem jego Ojcem duchowym, to jednakże po każdej „jego spowiedzi, w każdym jego czynie, patrząc w jakim duchu „on to robił, byłbym gotów i pierś i ręce i nawet nogi jego „z uszanowaniem ucałować. Wierz mi, mój drogi, że w tem co mó„wię, niema żadnego pochlebstwa, lecz że szczerze, z głębi su„mienia mego, to mu świadectwo składam“. I nie sam ks. Karol, ale społem choralnie świadczą tak samo wszyscy Józefowi spowiednicy. Otóż w tem, duszko Mamciu, niewysłowiona pociecha dla nas wszystkich osieroconych i płaczących po nim. Niewątpliwie mamy swego przyczyńcę i opiekuna w Niebie.

Niewiem czy nabożeństwo po Józefie odbyło się w Rzymie. Pisałem dwa obszerne listy do ks. Hieronima. Posłałem mu szkic

[1]) Kaczanowskiego.

żywota Nieboszczyka z główniejszemi datami. Od miesiąca blisko nie mogę się doczekać odpowiedzi. Tem więcej mnie to milczenie niecierpliwi, że poleciłem zarazem ks. Hieronimowi inny ważny interes, a przytem i listy do jenerała i do Bronisława w Rzymie. Od nikogo ani słówka, a listy moje zapieczętował ks. Aleksander w zwyczajny swój pakiet, jaki dwa razy na tydzień wyprawia stąd przez Nuncyaturę Papieską. . . . . .

Wdałem się w częstą korespondencyę ze Świętorzeckim. Na moje ręce przysłano mi dla niego pieniądze. Przy każdej posyłce doń dołączam słówko, a że ciekawy, to czasem i jakąś brukową nowinkę. Zresztą przystał mi jakoś od razu do serca, i niewypowiedzianie żal mi jego żony. Biedak łudzi się jeszcze po dziś dzień, że mu wyzdrowieje. Niech Mamcia każe mu przeczytać sobie paryskie nowinki. Proszę takoż napędzić go, aby po odebraniu każdej pieniężnej odemnie przesyłki, natychmiast pisał. Boję się wciąż, czy która nie zaginęła na dalekiej drodze. Wczoraj wyprawiłem do niego nowy strachowy list.

Niecierpliwi mnie, duszko Mamciu, nieposłuszne pióro moje, które chyli się wciąż na lewo, kiedy ja chcę na prawo, i drobi literki, kiedy ja chcę stawiać duże, zastosowane do oczek mamcinych. . . . .

Całuję ręce Twoje, proszę obdzielić kochanych Hyèrskich jak zawsze pocałunkami i pozdrowieniami odemnie i od moich.

Wasz

*Józef Bohdan.*

## Do Pana Józefa I. Kraszewskiego, w Dreznie.

*Paryż, 27. kwietnia 1864 r.*

Kochany Panie Józefie, obiecałem dawniej Ruprechtowi, że na inauguracyę dziennika Waszego w Lipsku dam coś z moich rytmów. Gałęzowski pokazał mi Twój list, w którym była wzmianka o składzie redakcyi, a świeżo odebrałem i drukowany prospekt *Ojczyzny*. Sądzę, że właśnie na dobie uiszczam się ze słowa.

Proszę, Panie Józefie, załączoną poezyę wydrukuj w dwóch odcinkach, najpierwej *Rezygnacyą* i *Do spółtułaczów*, a następnie *Dumki ku nowej wiośnie*. Bądź łaskaw, dopilnuj sam korekty, aby rytmiczność moja nie kulała. Nieboszczyk Mickiewicz zawsze

był gotowym do tej usługi dla niej. Wiersza *Do spółtułaczów* można i nie drukować, ale jest w nim przeźroczysta alluzya do tytułu naszego dziennika. Zresztą, Panie Józefie, czyń z wierszem co się spodoba. Możeście uradzili, aby nie umieszczać wierszy w dzienniku, to w takim razie dzisiejszą posyłkę zachowaj u siebie. Myślę atoli, że poezya w Polsce godzi się z każdą pracą, a tem bardziej zagraniczną, kiedy w sercach tyle tęsknoty poojczystej i porodzinnej.

U nas tu ruch u góry i u dołu. Reorganizujem się, niestety po niewczasie, po tylu poronionych nadziejach, i po wyczerpaniu funduszów. Nowy komisarz Rządu krząta się żwawo w biurach, ale dopiero poznamy człowieka po uczynkach, kiedy wyjdą na jawę i na jaśnię. Osobiście nie znamy się po dziś dzień.

Jakież wieści masz, Panie Józefie, o twoim zamorskim peregrynansie? Wedle listu Domeyki dawno powinien był wrócić do Europy. Zapewnie pisał Ci Ruprecht o szlachetnym postępku z nim chilijskich rodaków i o warunku, pod jakim dostał pieniędzy na drogę.

Niech żyje Ojczyzna!

Ściskam serdecznie

*J. B. Zalcski.*

Azaż myślicie, że *Ojczyzna* zdoła się utrzymać za granicą, jako pismo codzienne? Moskale i Niemcy azaż jej niedosięgną w Lipsku? Jest wiele azaż. Ale ponad wszystkiem niech góruje służba publiczna. Każ wyprawić egzemplarz *Ojczyzny* do mnie pod adresem *Mr. Zaleski, Paris 2 Place de la Promenade aux Batignolles.* Numera, w których będą drukowane moje wiersze, jeśli łaska, przyślij dubeltowe. Porachujemy się później.

Ruprecht wciąż w Londynie. Czyby nie można sprowadzić dalszego ciągu *Encyklopedyi Powszechnej* od Orgelbranda? Mam 9 tomów i kilka luźnych zeszytów z dziesiątego.

Domowi moi kopiści bodaj niewyraźnie przepisali wiersze. Lękam się czy wyczytają zecery? Może każesz je na czysto przepisać.

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, d. 28. kwietnia 1864 r.*

Droga i kochana moja Mamciu, udało mi się szczęściem spełnić wasze polecenia. Mówię szczęściem, bo nekrolog o mało bez poprawek nie poszedł do druku. Ks. Szrejter w kopercie już zaadresowanej do Poznania przyniósł mi go, z nakazem ks. Aleksandra, że jeśli nie zastanie mnie w domu, aby list zaraz wrzucił na pocztę. Przemazałem tedy w nekrologu okresy rażące delikatność, albo kompromitujące. Nie tknąłem nigdzie zarozumiałych wyrażeń i szorstkiego wysłowienia, bo byłby to gwałt już moralny... Wogóle nekrolog poczciwy, przyjacielski, ale nierozwinięty, nieznaczący, dziennikarski. Ks. Hieronim przepisał po prostu moją notatkę dlań, przydając tu i ówdzie po szczypcie obroku duchownego. Zawsze, duszko Mamciu, zawdzięczajmy mu dobrą wolę i ochotę dla nas śród wielorakich jego zatrudnień.

Żywot ś. p. Józefa, ktoś inny musi napisać, a najpodobniej że ja sam, jeśli Bóg da po temu łaskę i właściwe natchnienie. Dnie nasze z tej samej nierozdziergnionej przędzy wiły się tyle lat na jeden kłębek. Oczywiście sęk, a raczej szkopuł mój tkwi w tem, że pisałbym zarazem i autobiografię, co mi jest arcywstrętnem w duchu. Z dawien dawna przyjaciele i znajomi nalegają, abym ogłosił *Pamiętniki*. Istotnie znałem wszystkie niemal podnioślejsze umysły i serca w Polsce z mego czasu, i opowiadam o nich ochotnie i z lubością, ale cóż potem, kiedy wrodzonego tego wstrętu do autobiografii żadną miarą przezwyciężyć w sobie nie mogę. Byłem atoli druhem, gdzie tam kochankiem kilku najświątobliwszych między spółczesnymi, jakoto: Brodzińskiego, Ojca Topolskiego, Józefa, Witwickiego, Jańskiego itp. Niezbadana w tem tajemnica Boża! Złośnika wielkiego, a przynajmniej grzeszne, zepsute, opryskliwe dziecko, piastują oto jakoby na ręku i u piersi wybrańcy Pańscy! Często płaczę po godzinach na wspomnienie ich miłości. Skąd mi ta święta łaska, za co i na co? W rozwiązaniu tych pytań leży bodaj zbawienie moje wieczne! Otóż, Mamciu droga, nieraz chwytam za pióro ku uczczeniu pamięci tych kilku wystających z tłumu ludzi i wnet czuję brzemię swej niegodności do takiej pracy. Brak mi całkiem pokory, z pod łez widzę po nad brwiami mnogie rożki pychy, próżności, fantazyi kozackiej itp. Jakież może być zbudowanie bliźnim z takiego żywotopisarza? Póki więc niewymodlę sobie daru pokory albo nie

dostanę go *gratis*, niema co ani myśleć o budującym Pamiętniku. Coraz atoli częściej, Mamciu, miewam widzenia o nim takie promienne, że tuż tuż może przyjść i natchnienie z Nieba. Bóg widzi, że nie radbym go zmarnować.

Rozgawędziłem się, Mamciu, i postrzegłem się dopiero po czasie. Dziś, duszko, skłonniejszy jestem do roztargnień niż kiedykolwiek w życiu. Przepraszam. Nowinami nie warto zamącać pokoju Wam na ustroni. Wszystkie są arcysmutne, albo gorszące; kiedy niekiedy z musu doprawdy posyłam je Świętorzeckiemu. Biedny to człowiek, zastrzał śmiertelny mu grozi, a on zamyka nań oczy. Modlę się za panią Laurę, a jeszcze bardziej za poczciwego Bolesława. Żal mi go niewypowiedzianie. . . . . .

. . . . . .

Nisi [1]) dziękuję bez końca za miłe słówko, przypominające mi dobre czasy. Pan Franciszek [2]) mieszka *rue des Fossés St. Bernard Nr. 46*. Zostawił u mnie dla Was trzy egzemplarze swego dziełka o Ariasach, które na żądanie zaraz wyprawię drogą żelazną, albo przez pocztę. Gliszczyński [3]) nie rozmarzył mnie, bo ja lepiej znam niż on Zaporożców i Czasy Kozackie. Łazarz wstanie z grobu, jak siostry jego uderzą w pokorę i zaczną dokuczać Chrystusowi Panu. Tymczasem już cuchnie, przynajmniej w literaturze polskiej.

Mamciu jedynaczko, całuję Twoje ręce itd.

Wasz Józefowy

*Bohdan.*

## Do Pana Józefa I. Kraszewskiego, w Dreznie.

*Paryż, d. 18. maja 1864 r.*

Kochany Panie Józefie, na prawo i na lewo wywiadywałem się o Twego syna, dotąd ni wieści ni słychu o nim. Jeżeli na zwyczajnym kupieckim żegluje okręcie, to niepodobna z pewnością oznaczyć czasu, kiedy przybije do przystani w Hawrze. Spółczuję Twój rodzicielski niepokój, z tem wszystkiem ku wiośnie, ocean

---

[1]) Pani Poniatowska.
[2]) Duchiński.
[3]) Gliszczyński, autor dzieła o Kozaczyźnie.

musiał się uciszyć, i raczej *le calme plat* niż burze i uragany grożą młodemu żeglarzowi.

Wydrukowane w *Ojczyźnie* wiersze moje poprawnie bardzo wyglądają. Dziękuję, Panie Józefie, z całą koleżeńską serdecznością. Dobrze, iż nie puściłeś w świat *Dumek*, istotnie zanadto ptaszęce i rozśpiewane ku wiośnie. A wiosna niestety niedopisała, wielce niemiła i w maju nawet prószy śniegiem. Zachowaj tedy *Dumki* do zieleńszych dni. Natomiast posyłam dziś parę luźnych kawałków. Zacząłem niedawno improwizować dla siebie *Upominania* i widzę, że jeśli będą po temu dni pogodne, zlepi się coś żywotnego. Twojej roztropności i doświadczeniu drukarskiemu zostawiam sąd zupełny. Kiedy i co drukować w *Ojczyźnie* albo nie drukować wcale? Z góry zgadzam się na sąd.

W ogóle *Ojczyzna* zaczyna zwracać na siebie uwagę czytelników polskich w Paryżu. Niektóre artykuły wstępne i kilka korespondencyj z kraju posiadają rzeczywiście wartość tak pod względem rozumu i znajomości rzeczy, jak i pod względem stylu. W numerze, gdzie są moje wiersze, *Premier Paris* widzi mi się twego pióra. Duch w nim podniosły, gorące serce, i sposób pisania, przypominający lepsze stronnice w powieściach Bolesławity.

Przyjmę, jeśli chcesz, kumostwo i nowego Twego dziecka. Miano *Morituri* ma coś w sobie uroczystego i arcywieszczego, niby testament całego pokolenia dla potomności. Ażali to niezawcześnie nam do testamentu?

Nowinek nie mam. Z powodu Zielonych Świąt od kilku dni jeżdżę z dziatwą moją po okolicach na majówki.

Ściskam rękę i pozdrawiam Cię, kochany Panie Józefie, po przyjacielsku

*J. B. Zaleski.*

Nie żenuj się wcale z mymi wierszami. Jeżeli w Redakcyi czynią opór, to nie drukuj. Istotnie w dzienniku politycznym, wierszowanie razi umysł i oczy. Może Wam kiedy przyszlę coś i prozą.

*J. B. Z.*

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, 19. maja 1864 r.*

Kochana Mamciu, przygnębieni jesteśmy bardzo nieznośnymi upałami, co znienacka uderzyły na Paryż. Początek maja był chło-

dny, w Polsce u nas jeszcze 10. b. m. śnieg padał, a w Piotrkowie święciła się nawet sanna. Dzisiaj tu 30 stopni gorąca w cieniu. Pomimo skwaru, Zosia biedna i ja, musieliśmy odbywać wędrówki z dziećmi po okolicach. Zielone Święta, a więc wakacye, a więc majówki u młodzieży. Radzi nieradzi wałęsaliśmy się po laskach po całych dniach, tam obiadowaliśmy i swawolili do zmierzchu. Otóż, droga Mamciu, dla tego Zosia nie odpisała zaraz na Twój poczciwy i serdeczny list. Ja, duszko, przed kilkunastu dniami pisałem do Ciebie szeroko.....

Naumyślnie, Mamciu. prawię o pogodzie i skwarach, aby nie myślić o udręczeniach, co pustoszą w sercu. Stan rzeczy w kraju opłakany i nic się nie zmienia w doli naszej nigdzie od morza do morza. Allokucya Ojca św. trysnęła balsamem na rany Narodu, ale rządy i ludy jak milczały, tak milczą. Bawią się w konferencye, to hałasują po giełdach i kramach. Pan atoli nasz musi już być gdzieś niedaleko od ziemi. Napisałem z tego tematu coś dla *Ojczyzny*. Zapewnie Świętorzecki albo Celiński odbierają dziennik lipski, to wiecie co się obecnie dzieje w kraju. Artykuły wstępne i niektóre korespondencye w *Ojczyźnie* bywają arcyrozumne i ciekawe. Zresztą ani w Krakowie dziś, ani w Poznaniu, niepodobna już swobodnie wynurzyć myśli polskiej. Tu w Paryżu przycichnął nieco gwar dawniejszy. S..... bodaj znużył się, a przynajmniej niedostarczył obiecanych pieniędzy i zniknął, zostawując na zastępcę po sobie Władzia Zamojskiego, najmłodszego syna Pana Andrzeja. Radziłem z nim raz, ale kusa rada bez finansów. W Prusach atoli jest jeszcze broń i ludzie, a naczelnicy dawni i nowi czekają na pograniczu w gotowości do tworzenia oddziałów świeżych. Przewidzieć trudno, co stąd wyniknie. Będzie tak, jak Bóg chce.

Z miejscowych emigracyjnych nowinek, najważniejsza o Kapucynach Warszawskich, którzy tu w Assomption zastępują nam X. X. Zmartwychwstańców. Spodobali się naszej braci, która tłumniej zaczęła uczęszczać na Mszę św. i na wieczorne nauki majowe O. Fidelisa. Istotnie, dobry to i wprawny kaznodzieja, bo słynął już i w Warszawie. Powszechną jednak uwagę na siebie był tu ściągnął ks. Jaździewski, ex-profesor Akademii duchownej Warszawskiej i ex-kaznodzieja u św. Jana katedralnego, którego wygnali Moskale, a ks. Arcybiskup Przyłuski naznaczył na proboszcza emigracyjnego w Londynie, dla zatargów, jakie miał z Rządem pruskim dawniej o niego, z powodu gwałtownych patryotycznych kazań po polsku i po niemiecku. Ks. Jaździewski po-

siada niewątpliwie ogromny talent mówcy i nieustraszoność prawdziwie Piastowicza z nad Gopła. Młody, piękny, uczony i zapalony jak skra, improwizować gotów był bez końca z tematu: Ojczyzna. Kochał mnie od dziecka i dla tego codzień prawie odwiedzał. Mówiłem bez ogródki słowa prawdy, które przyjmował po synowsku z pokorą i obietnicą poprawy. Pracuje w Londynie nad Historyą Kościoła w XVI. wieku, której podjął się jeszcze w Monachium, kędy się doktoryzował i kędy mu ofiarowano katedrę przy Uniwersytecie. Ciekawe rzeczy opowiadał mi o pobycie swoim w Warszawie, o stosunkach z ks. Felińskim i Wielopolskim, którzy go powołali do stolicy, i tem samem narazili na niepopularność, jak zyskał potem wziętość przytomnością swoją na ambonie śród krzyków i niechęci, że go na ręku noszono itp. Ś. p. Michał Grabowski uratował go potem od prześladowań, ale nie mógł przeszkodzić, aby żandarmami nie odtransportowano go do Poznania. Wczoraj pożegnał się z nami. W Londynie marnuje tylko czas, bo Polacy nie chodzą do kościoła pod wpływem protestantyzmu i żon Angielek. Ks. Jaźdżewski uboższym kilku rodakom powykradał córki i przywiózł tu do sióstr.

Całuję ręce itd.

*Józef Bohdan Zaleski.*

## Do Pani Felicyi Iwanowskiej, w Hyères.

*Paryż, d. 21. maja 1864 r.*

Mamciu kochana, . . . . . z nowinek dziś niewiele. Ktoś z Kamieńca stary mój znajomy, a zapewnie takoż i Mamciny, przywiózł parę garncy pierścionków i obrączek naszych pań ruskich na ofiarę Ojczyźnie. G..... pojechał wczoraj po nie do Londynu a może je i tam rozprzeda. Zjazdy obecnie odbywają się na różnych punktach Europy, wojskowe i cywilne. Za parę dni dowiemy się co postanowią. A zapomniałem też donieść Mamci, że przed miesiącem zapoznałem się i zaprzyjaźniłem z Jenerałem Krukiem. Młodziutki to, serdeczny i arcyzdolny wojak. Jako student żytomirski, znał on z widzenia Mamcię i Mamcinych kędyś na wieczornicach. Bronisław nie może się nachwalić rodziny Jenerała Bosaka. Matka, żona i siostry, zagorzałe Polki, gotowe choćby na męczeństwo. Azaż przestał Bóg czynić cuda? Czcicieli oto sobie

Pan wzbudza z kamieni. Tego rodzaju cuda widzimy niemal codziennie. Niedawno przyszedł do mnie wysoki urzędnik moskiewski i pisarz znajomy Bronisławowi z Petersburga. Niewiele umie po polsku, ale duszą i sercem patryota. Poświęcił swój zawód i wszystko, expatryował się z żoną i dzieckiem. . . . . .

Całuję ręce i t. d.

*Bohdan.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

# RZECZ O UCZUCIACH LUDZKICH.

(Dokończenie).

## X.

### Zakończenie. Wnioski merytoryczne.

Wracając w końcowem słowie do zagadnień, o których wspomniałem u wstępu niniejszej rozprawy, stwierdzam, że rozpatrzenie uczuciowej strony człowieka przyniosło nowe dla rozumu argumenta, potwierdzające rzeczywistość świata poznawanego, prawdę praw wiecznych wszechbytu, czyli świata idei *mundi intelligibilis* τοῦ νοητοῦ κόσμου, rzeczywistość Boga i wreszcie nieśmiertelność duszy i ziszczenie nadziemskiej sprawiedliwości. A rozum potrzebywał dodatkowego potwierdzenia swoich przypuszczeń. Instynktem własnym wiedziony uwierzył w to wszystko, i bez potwierdzenia domysłów, które mógł ze świadectwa uczuć wywnioskować, gdy się wszczął zastanawiać, dostrzegł, że tej wiary, tego przekonania nie mógł w pewność zamienić [1]). Wiara w nieśmiertelność duszy i sprawiedliwość nadziemską, daje się uzasadnić jedynie wiarą w opatrzność, czyli w Boga, a choć rozum nie może się oprzeć przekonaniu, że jest jakaś ukryta racya bytu, stwierdza wnet, że kiedy o niej mówi niesłusznie, niewłaściwie wyraża się za pomocą pojęć stosujących się do jestestw tutecznych; stwierdza, że Bóg nie może poznawać, jak człowiek poznaje, bo musiał by wpierw czegoś nie znać; że nie może chcieć jak człowiek chce,

[1]) Patrz moje „Roztrząsania o podstawie pewności ludzkiej“ i moją „Rzecz o wiedzy ludzkiej“.

bo musiałby czegoś nie mieć w swej mocy i że zatem żadną miarą nie może myśleć, skoro myślenie służy pożądaniu, kojarząc celowo wyobrażenia i pojęcia; a już najpewniej Bóg nie może czuć, jak człowiek czuje, gdyż każde uczucie dowodem niedostatku a zatem niemocy; boleść powstaje, gdy się ten niedostatek wzmaga, radość, kiedy ustępuje. Rozumem poznajemy, że Bóg, który by był duchem w tym sensie, w jakim zwykliśmy o duchu mówić, Bóg posiadający rozum, uczucie i wolę, byłby jestestwem skończonem, doczesnem w działaniu swojem, a zatem wcale nie Bogiem, częścią świata, potrzebującą tłómaczenia, nie Stwórcą, tylko stworzeniem, ponad którem musielibyśmy dopiero prawdziwego szukać Boga.

Rozum odróżnia prawdy wieczne od doczesnych. Wiecznych prawd najdostępniejszym przykładem prawdy matematyczne, które wiecznie są prawdą, bez względu na to, czy jakie przedmioty istnieją, na którychby się te prawdy ujawniły. Prawdą taką wieczną jest wszystko, co określa pojęcie prawdziwe, rodzaj, prawo; bytują wiecznie. A jeśli coś ma istnieć zgodnie z pojęciem wiecznem, tego pojęcia musi ujawnić własności — gdy z drugiej strony może bytować prawda wieczna, która się nigdy nie ujawni, skoro nie jest prawdą doczesną, aby jakiekolwiek jestestwo tę prawdę wieczną doczesnem istnieniem ujawniało. Od wieków odróżnia tedy filozofia świat pomyślany, rozumowy pojęć bytujących wiecznie, od świata zmysłowego, jestestw istniejących docześnie. Taka filozofia z Boga czyni pozaczasowego ducha, myślącego prawdy wieczne. Ale same pojęcia myślenia i ducha są pojęciami bytującemi wiecznie, które istnieją tylko na prawdę w jestestwach docześnie istniejących. Kto o takim Bogu mówi, mówi tedy o jestestwie doczesnem, będącem dopiero ujawnieniem prawd wiecznych i oczywiście popada w kółko błędne, czyniąc z Boga, będącego ujawnieniem prawd wiecznych, tych prawd źródło. Nie chcąc pozostać w takiej sprzeczności przeniosła filozofia Boga poza i ponad obydwa światy, doczesny i wieczny, czyli zmysłowy i rozumowy i zamieniła Go w coś, co ani nie istnieje, ani nie bytuje, coś o czem nic zgoła orzec nie można, w coś, co jest dopiero poza bytem, w coś o czem się nic ani twierdzić, ani zaprzeczyć nie da, w coś nieuchwytnego, zamieniającego się w nicość, skoro się zechcemy temu przypatrzyć. O takim Bogu niepodobna mówić, aby był pierwowzorem naszego rozumu, aby był moralnie doskonałym, nie podobna jemu zawierzyć, nie podobna jego stwierdzić. Między takim teizmem a ateizmem nie ma na prawdę różnicy; wali się

cały gmach zagrobowych nadziei, cała wiara w opatrzność, będąca jedyną rękojmią nie tylko nadziemskiej sprawiedliwości, ale także ziemskiego postępu i wreszcie wszystko co cnotę i obowiązek uświęca. Ale co więcej nie masz racyi, aby ktokolwiek wierzył w rzeczywistość zewnętrzną, odpowiadającą naszym najpowszedniejszym wyobrażeniom. Być może, że mnie się widzi tylko, jakobym pisał, jakoby stół i papier leżały przedemną, że mi się widzi tylko, jakobym już żył od pięćdziesięciu lat, jakobym był dzisiaj rano, wstał i jadł śniadanie. To wyobrażenia, które mi narzuciła moc konieczna; jak długo wierzyłem, że to prawdomowny Bóg, wierzyłem temu; już teraz nie mam racyi temu wierzyć i będąc konsekwentnym, winienem być absolutnym sceptykiem, który niczemu nie przeczy i nic nie twierdzi.

Świadectwo uczucia wyprowadza umysł z toni tego wątpienia. Ideał ducha, do którego dąży wszelkie stworzenie, istniejąc przeto, że przezeń przyciągane i pobudzane bywa, jest Bogiem żyjącym, nietylko naprawdę wszechmocnym, wszechwiednym i wszechmiłośnym, ale ze wszystkiem moralnie doskonałym. Wszelkie życie, życie wszystkich organizmów, życie planety i życie wszechświata jawi nam się jako dążenie w nieskończoność do ujawnienia Boga, sprawione nie przez bezwolne żyjące jestestwa, tylko przez Boga, a nasze życie duchowe, cel, do którego dotarło zmysłowe stworzenie, wobec którego ono schodzi na mniej istotną przemianę wyobrażeń świadomego ducha, nie jest także niczem, jak tylko dążeniem ku Bogu, wywołanem mocą Bożą. Bóg, jako cel ostateczny wszechistnienia, jawi nam się tedy tylko jako jego źródło i początek, jako Stworzyciel — jest α i ω, aby starego świętych ksiąg użyć porównania. Bóg ten jest także nieosiągnięty, on także jest poza istnieniem jako cel jego niedościgły, ponad światem wiecznych idei, jako świata tego źródło. Ale wiemy, że wobec nas jest duchem doskonałym i że świat stworzył, jako Bóg doskonały moralnie, jako ideał ducha i to nam wszystkie przywraca pewności, naukowo przyrodnicze, naukowo spekulacyjne, praktycznie powszednie i religijne, czyli metafizyczne. Stworzył nas i stworzył nam świat bytu i istnienia taki, że wszystko, co jest w tym świecie, jest rozumnem i pięknem, zgodnie z rozumem i uczuciem naszem. W tej pewności jawi nam się najwyższa piękność, iści nam się najwyższa radość.

Nikt nie zaprzeczy tego, że źródłem wierzeń religijnych przedewszystkiem uczucie, że ludzie o prawdach religijnych nie bywają przekonywani rozumowaniem, że wierzą, ponieważ są dla

nich pociechą, ponieważ im serce rozradują i że dopiero z tej wiary wynika religijne przekonanie. Ale jeśli tak jest istotnie, nawija się wnet zarzut, że przekonanie oparte na uczuciu, nie dowodzi niczego, że nieraz wierzymy w nieprawdę, ponieważ ta nieprawda wydaje nam się pożądaną, że przeto religijne przekonanie może być łatwo złudnem marzeniem. Pierwszą na to odpowiedzią to, że przekonanie ze wszystkiem zgodne z rozumem i tłómaczące jedynie zagadkę bytu w sposób zrozumiały nie jest istotnie w niczem podobne do pragnień omylnych ludzi spodziewających się powodzenia, ponieważ powodzenia pragną. Drugą odpowiedzią pytanie, skąd wypływa pewność o prawdzie świata podpadającego pod zmysły? Albo druga pewność, że inni ludzie mają ducha tak jak my, ducha świadomego, obdarzonego rozumem, wolą i uczuciami podobnemi do naszych?

Na to zapytanie odrzeczesz snadno. Doświadczenie nas uczy, że te rzeczy istnieją.

Więc godzi się spytać znowu, jakie to doświadczenie? Zmysły i pamięć zmysłowa świadczą bezpośrednio o tem, co dostrzegamy zmysłowo, albo cośmy niegdyś dostrzegli; ale nie dostrzegliśmy nigdy obcego ducha, więc nie to doświadczenie poucza nas o niewątpliwem przecie duchowem istnieniu drugich ludzi; wiem za pomocą zmysłów i pamięci zmysłowej, że leży przedemną obecnie arkusz papieru, na którym piszę i że widziałem niegdyś księżyc na nowiu, nie wiem bynajmniej w ten sposób o tem, że ten arkusz papieru istniał dziś w nocy, że istnieje obecnie księżyc; jednak jestem tak samo niezbicie o tem przekonany, jak jestem przekonany, że człowiek mi nieznany, który kiedyś te słowa przeczyta, będzie myślał, czuł, rozumiał, w sposób podobny do mojego myślenia, czucia i rozumienia. W tem przekonaniu utwierdzają mnie doświadczenia zmysłowe na zmysłowej pamięci oparte, tem jedynie, że pamiętam, iż nie myliłem się, ilekrotnie kojarzyłem myśli celowo, albo działałem celowo zgodnie z tem przekonaniem, a na mocy tego doświadczenia wzmaga się przekonanie, którego istotą jest praktyczny wyłącznie popęd do rozumnego myślenia i działania.

Ile razy prawie przypuszczałem, że ludzie tak działać będą, jakby działali, gdyby mieli wolę, uczucie i rozum podobne do moich, potwierdziło doświadczenie to moje przekonanie. Przypuszczałem, że przedmiot odnajdę tam, gdziem go zostawił i zazwyczaj przedmiot odnalazłem, bez względu na chwilę, w której go szukałem, więc jestem przekonany, że przedmioty trwają i istnieją

wtedy także, kiedy ich nie ogląda nikt z ludzi. Bywały wyjątki w tem mojem doświadczeniu: człowiek zachowywał się nierozumnie, albo bywał zgoła biernym, przedmiotu szukanego nie odnalazłem.

Doświadczyłem, że ludzie chorzy nie mają częstokroć zwyczajnego ustroju duchowego, że przedmioty wskutek pewnych zdarzeń przenoszą się z miejsca na miejsce, albo przestają istnieć. Gdy się tedy moje oczekiwanie nie spełniło, przypisywałem dziwne zachowanie się człowieka chorobliwemu stanowi, zniknięcie przedmiotu zmianie miejsca albo zniszczeniu, a ilekrotnie rzecz bliżej zbadać mogłem zmysłowo, okazało się, że moje przekonanie było słusznem; co więcej dowiedziałem się o pewnych postaciach zdarzeń, mogących sprowadzić chorobę człowieka, zniknięcie przedmiotu. Potwierdziło tedy doświadczenie zmysłowe przekonanie, które mi zresztą i tak przyświecało, i mam praktyczną pewność, że należy się zachowywać tak, jakoby wszystkie fizykalne i duchowe zmiany w przyrodzie odbywały się wedle stałych praw. Prawa te nie są ani substancyami zmysłowemi, ani podmiotami duchowymi: to prawa pomyślane, pojęcia wiecznie obowiązujące w naturze. Ale myśli owe, czyli pojęcia, czyli prawa, czyli idee wieczne istnieją, bez względu na to, czy je poznałem ja, czy je poznał jaki człowiek, obowiązują bezwzględnie, koniecznie i całe znów praktyczne a naukowem zwane badanie człowieka opiera się na przekonaniu o obowiązywaniu tych praw niezawisłem od ludzkiego poznawania. Badanie naukowe ma właśnie na celu poznanie tych praw bytujących wiecznie, zanim je poznano. Nabywam tedy przekonania, że wszechświat jest ujawnieniem myśli wiecznej, najmędrszej, myślanej wiecznie przez podmiot wieczny, który myśląc tworzy. Zawierzywszy uczuciu, uwierzyłem że Bóg, ów światów myśliciel wszystko pomyślał w sposób jak najmędrszy i jak najpiękniejszy. Doświadczenie i to przekonanie może potwierdzić, jeśli każde nowe moje badanie naukowe ma wyniki takie, jakimi by miały być, jeśli Bóg jest i jest tem w co wierzę. A badanie naukowe to potwierdza, odkrywając we wszystkiem rozumnego prawa ujawnienie. Doświadczenie potwierdzi doskonałość moralną Boga, jeśli się okaże, że kto w nią wierzy i zgodnie z tą wiarą myśli, czuje i działa, doskonali się i staje się bardziej szczęśliwym: że kto myśli, czuje i działa przeciwnie koszlawieje i cierpi, a cała treść niniejszej rozprawy to stwierdza, co do jednostek ludzkich: przyszła kiedyś praca okaże może, że to jest także prawdą, o ile o los narodów chodzi.

Na wszystko znajdziesz dowody zbijające. Nie da się dowieść, żeby cokolwiek istniało, i nie da się dowieść, aby cokolwiek nie istniało. Rozum jest jedynie wstanie analizować pojęcia i stwierdzić, że jeśli coś istniejącego pewnemu pojęciu odpowiada, muszą na tem istnieć własności tego pojęcia istotne, nie mogą się na tem ujawniać własności z tem pojęciem sprzeczne. Kiedy rozum pozato wykroczyć usiłuje, bywa marnym sofistą, nie mogącym dowieść ani istnienia, ani nieistnienia żadnej rzeczy, a mogącym jedne i drugie pozornymi przeczyć dowodami. Nie możesz rozumowo dowieść, że Boga nie ma, ale możesz zbijać wszystkie za prawdziwością wiary w Boga przemawiające dowody, tym jednym argumentem, że lubo my świat tłómaczymy sobie naturalnie Bogiem, być może, że prawda rzeczywista z naturą naszego umysłu wcale zgodną nie jest. Istnieniu praw w przyrodzie przeczą także, aby módz przeczyć Bogu, twierdząc, że my tylko dowolnie zdarzenia pod prawo przyrody poddajemy w myśli, choć tego prawa nie masz. A skoro kto prawom natury zaprzeczy, przeczy wszelkiej nauki uprawnieniu, twierdzi, że niema i być nie może, ani rozumnego myślenia, ani rozumnego działania. Można przeczyć obowiązującej mocy sumienia, wszelkiej cnocie i wszelkiemu pięknu, dowodząc, że sumienie powstało wskutek wychowania, że wychowanie samo tylko poczucie piękna i cnoty dowolnie i przypadkowo w nas wytworzyło, albo, że mamy sumienie, sąd i smak estetyczny, wskutek jakiegoś ślepego instynktu, odziedziczonego po przodkach, a powstałego przypadkiem. Znajdą się nawet zawsze ludzie, którzy ustnie tym przeczeniom uwierzą, z rozmaitych praktycznych powodów; w rzeczy samej wszyscy działać będą tak jak ludzie przekonani o prawdzie niezmiennych, rozumnych praw rządzących celowo zmysłową zarówno przyrodą i duchem ludzkim, tak zatem, jak gdyby wierzyli w Boga, a ludzkość będzie ustawicznie powracała do religijnych wierzeń i moralnych przekonań, — nie wskutek rozumowania a wskutek tego, że się bez nich obejść nie może, wskutek praktycznej potrzeby zadość uczynienia koniecznej żądzy, przemocnemu uczuciu.

Już zaprzeczenie istnienia praw wiecznych rządzących wszechistnieniem, wiedzie do absolutnego sceptycyzmu, przecząc możności rozumnego działania, oddając wszystko na łaskę nie dającego się obliczyć trafu. W tem nie masz jednak jeszcze ostatecznej granicy rozumowego sceptycyzmu. Podobnie jak prawdom religijnym i metafizycznym można zaprzeczyć każdej prawdzie potocznej. Byli filozofowie, którzy użyli rozumowej dyalektyki, aby

podać w wątpliwość istnienie świata zewnętrznego, przezywając ten świat marzeniem ducha bezistotnym, podczas gdy drudzy zaprzeczyli istnieniu ducha poznającego, twierdząc, żeśmy to pojęcie wymyślili, aby niem dowolnie skojarzyć grupę wyobrażeń, o których mówimy, iż są tego ducha wyobrażeniami. Takich filozofów zasługą to, że dowiedli, iż rozumowi samemu nie ma co zawierzać, że nie rozum sam bywa oczywistości źródłem, że może tylko stwierdzić co być nie może, a nie może żadnej dodatniej postawić prawdy, że o wszystkiem może wątpić, niczego nie może dowieść. Sami przyznawali się do tego, że praktycznie swoim rozumowaniom nie dowierzają, że owszem działając, myśląc i mówiąc dowodzą niezłomnego przekonania o prawdzie tego wszystkiego czemu przeczą.

Uczucie, praktyczna potrzeba życia i rozwijania się w kierunku zmysłowego najpierw a potem i nadewszystko duchowego ideału, zmusza nas do uznania, że istniejemy sami duchowo, że poznajemy prawdę, że jest świat zmysłowy, umożliwiający nasze praktyczne działanie, że wszechbyt ulega prawom rozumnym i dąży do ujawnienia ideałów pięknych, że są duchy w ludziach, które możemy ukochać i nienawidzić i że jest Bóg — jakkolwiek Go nazwiemy — najwyższy cel naszych pożądań, przyczyna i cel naszego duchowego i cielesnego życia. Nie bez pożytku zbadaliśmy świat uczucia; przekonaliśmy się bowiem, że poznajemy, bo poznawać musimy, tak jak kamień musi ciężyć ku ziemi: bo nie poznawanie, podobnie jak brak miłości zwróconej ku poznanej prawdzie i brak woli jest przeciwne naszej naturze, a przeto boleśne, gdy przeciwnie poznawanie, ukochanie i rozumne pożądanie prawdy bywa rozkosznem. Do żadnej oczywistości nie doprowadzi samo rozumowanie; poznajemy oczywistość tem najpierw, że czujemy, iż coś jest prawdą, i w tym sensie bywa uczucie pierwszem i nieprzezwyciężonem źródłem poznania. Żadnem dowodzeniem nie przekonasz mnie o tem, że nie ma ciał, że inni ludzie nie myślą i nie czują a są tylko widzeniami, że sam nie istnieję jako jestestwo osobiste. Będę ci potakiwał, nie będę tobie nigdy wierzył, a innego powodu przekonania swego nie podam, nad ten, że czuję, iż coś prawdą oczywistą.

KONIEC.

Wojciech Dzieduszycki.

# DAWNE ZABYTKI DZIEJOWE
# NOWEGO SĄCZA.

(Dokończenie).

## Rozdział X.

### Kościół OO. Pijarów pod wezwaniem św. Józefa Kalasantego. — Kapliczka św. Marka.

Kościół OO. Pijarów w stronie południowo-zachodniej dawnego obwarowanego grodu, jest ze wszystkich w Nowym Sączu najpóźniejszym. Początek jego fundacyi zrobił ks. Szymon Jaroszowski, proboszcz kollegiaty sandeckiej [1]), przeznaczając w swym testamencie 1653 r. Klaryskom starosandeckim 7.200 złp. „dla ich nowego klasztoru w Nowym Sączu“ [2]), którego budowę rozpo-

[1]) Jak widać z różnych zapisków, był proboszczem kollegiaty 1629—1653.

[2]) O pobożności i hojności ks. Jaroszowskiego świadczy najlepiej jego testament: „In nomine Sanctissimae Trinitatis Patris et Filii et Spiritus Sancti Amen. Ja Szymon Jaroszowski, proboszcz sandecki, jeżeliby mnie Pan Bóg w tym czasie wziął z tego świata przez śmierć, na tej karcie zostawuję ostatnią wolę moją takową. Naprzód wyznawam przed Panem Bogiem i oświadczam się, iż jakom się urodził tak chcę umierać w wierze świętej katolickiej i rzymskiej, i aczkolwiek znam na się grzechy ciężkie, jednak mam zupełną nadzieję w miłosierdziu Boskiem, w zasługach śmierci i męki Pana a Zbawiciela mojego, w przyczynie Przenajśw. Panny Bogarodzicy Maryi i Wszystkich Swiętych Bożych, zaczem umieram z nadzieją dostąpienia żywota wiecznego. Życzyłbym, aby kości moje były pochowane w kościele kollegiackim w Sączu, rzeczy zaś moich rozporządzenie takowe czynię...“ Z ogólnego kapitału swego 15.970 złp. przekazał kollegiacie sandeckiej 6.000 złp.,

częły niedługo potem. W aktach bowiem ławniczych pod rokiem 1670 znajduję już wyraźną wzmiankę o kościele niedokończonym na Biskupiem w Nowym Sączu [1]). Jednakowoż został dopiero wykończonym ostatecznie po roku 1733, w którym OO. Pijarzy, otrzymawszy mury dawno rozpoczętego a niedokończonego kościoła, należącego do Klarysek w Starym Sączu, na miejscu dawnego dworu biskupów krakowskich, przybudowali tutaj swoje dwupiętrowe kollegium [2]), najwytworniejsze z pomiędzy budowli pijarskich w Polsce [3]). Za przyzwoleniem biskupa krakowskiego, Konstantego Szaniawskiego, stanęła dn. 2. maja 1732 r. między O. Ambrożym Wąsowiczem, prowincyałem polskich Pijarów, a Teresą Stadnicką, ksienią starosandecką, następująca prawomocna ugoda: „Klaryski starosandeckie posiadają na Biskupiem w Nowym Sączu mury od dawna rozpoczętego a niedokończonego klasztoru, w pobliżu rzeki Dunajca. Ponieważ jednak rzeczonych murów wcale nie potrzebują, ani z nich żadnego pożytku nie mają, przeto odstępują je razem z przyległym ogrodem i placem OO. Pijarom z wdzięczności za różne duchowne przysługi“ [4]). Po tej ugodzie zabrali się niebawem Pijarzy do budowy swego kollegium i wykończenia kościoła — a dzięki ofiarności okolicznej szlachty, szybko roboty postępowały naprzód. W r. 1735 posiadali już folwark [5]), a w dwa lata niespełna potem wypłacili za te nabyte mury Klaryskom 3.000 złp., jak świadczy osobny akt, oblatowany w grodzie sandeckim:

Zeznaję tym skryptem, żem odebrała od Imci księdza Cypryana od św. Wawrzyńca, exprowincyała i rektora natenczas podolinieckiego, sumy należącej za klasztorek nowosandecki: trzy

---

Klaryskom w Starym Sączu na budowę nowego klasztoru w Nowym Sączu 7.200 złp., resztę szpitalom, ubogim, klasztorom i kościołom, krewnym zaś swoim najbliższym 872 złp. (Ingrossatio testamenti Reverendi olim Simonis Jaroszowski praepositi neosandecensis. Acta colleg. sandec. saec. XVII.).

[1]) Act. Scab. T. 64. p. 402.

[2]) Erectio collegii Clericorum regularium pauperum Matris Dei Piarum Scholarum in regia civitate Neo Sandecz an. 1733. M. S. w bibl. Jagiellońskiej w Krakowie nr. 2386, p. 95.

[3]) Sobieszczański: Wiadom. histor. o sztuk. piękn. w dawnej Polsce. T. II. str. 95. Warszawa 1849.

[4]) Act. Castr. Protocol. Rel. nr. 206. p. 136.

[5]) W r. 1735 zapłacił Nowy Sącz hyberny z folwarków i pól mieszczańskich 3.896 złp. W tym spisie figuruje także folwark Scholarum Piarum.

tysiące złotych polskich, z których niniejszem, jako się zadość stało konwentowi starosandeckiemu, zatwierdzamy i własną podpisuję się ręką. Teresa Stadnicka, ksieni starosandecka z całem zgromadzeniem konwentu naszego starosandeckiego. Roku Pańskiego 1737 dnia 6. lutego [1]).

Wkrótce znaleźli się i inni dobrodzieje pijarskiego kollegium. Andrzej z Krzeczonowa Gadomski darował i wysłał Dunajcem 1736 r. na budowę tegoż kollegium 47 belek, które jednak, niewiadomo dlaczego, zagrabili dla siebie rajcy sandeccy. Z tego powodu ks. Konstanty Kozłowski, rektor pijarski, wniósł skargę do Stanisława Lubomirskiego, starosty grodowego, ten zaś pod dniem 4. październ. 1736 r. wydał osobny dekret, mocą którego przykazał Jakóbowi Wojsowi, burmistrzowi, i Janowi Paszyńskiemu, wójtowi, ażeby pod karą banicyi zwrócili Pijarom zagrabione belki [2]). Zaraz następnego roku 1737 Szymon z Żeliszewa Żeliszewski przekazał Pijarom swą kamienicę w Nowym Sączu przy ulicy młyńskiej, z przyległymi budynkami i gruntem, Wólki zwanym [3]). W tymże roku Andrzej z Witowic Czerny-Szwarcenberg, stolnik wołyński, legował temuż zgromadzeniu na Czarnym Potoku 1000 złp.[4]).

W późniejszych latach XVIII. stulecia wzbogaconem zostało kollegium pijarskie jeszcze kilku hojnymi legatami szlachty z okolic Nowego Sącza: I tak zapisał im:

— Pan Zawadzki z Łęki 1740 r. flor. 250.
— Jan Stadnicki z Miłkowej 1749 r. flor. 250.
— Pani Kossecka z Porąbki 1766 r. flor. 750.
— Tadeusz Grądzki ze Starejwsi 1767 r. flor. 250.
— Piotr Stadnicki z Ciężkowic 1769 r. flor. 250.
— Pani Potocka z Krasnego 1770 r. flor. 500.

Hojność ta nie ustała i po wcieleniu Galicyi do Austryi, jak tego dowodzą dalsze darowizny:

— Dług ciężący na synagodze nowosandeckiej 1774 r. flor. 250.
— Michał Wolski z Rzuchowej 1775 r. flor. 1.500.
— Józef Stadnicki z Tęgoborzy 1778 r. flor. 2.250.

---

[1]) Act. Castr. Rel. T. 159. p. 1011.
[2]) Act. Castr. Decretor. T. 291. p. 308.
[3]) Act. Castr. Rel. T. 159. p. 1081.
[4]) Fascicul. Copiar. Rel. 28. nr. 80.

— Kazimierz Stojowski z Korzennej 1779 r. flor. 250.
— Jakób Piekarski z Siennej 1780 r. flor. 700.
— Felix Stadnicki z Łososiny 1781 r. flor. 1000 [1]).

Kościół pijarski jest niewielki (około 20 metr. długi, a 9 m. szeroki), prostej budowy, z dachem szczytowym, lecz ze sklepieniem beczkowem, małemi bardzo oknami i stosunkowo wcale nizki. Są jednak widoczne ślady, że dawniej znacznie był wyższym i tylko wskutek podwyższenia nasypem poziomu przyległego placu, podniesiono o przeszło dwa metry i podłogę w kościele. Pamiątek historycznych lub sztuki nie ma żadnych. Obecnie w jednej połowie od strony południowej służy za kaplicę dla więźniów, z drugiej zaś, trochę mniejszej, zrobiono kuchnię i spiżarnię dla nich.

Niegdyś wejście do kościoła prowadziło przez kruchtę, białą blachą krytą, od strony wschodniej. W kościele samym znajdowały się tylko trzy ołtarze, cztery konfesyonały i ambona. Wielki ołtarz, pięknie wyzłacany, z dwoma Aniołkami po bokach, mieścił w sobie obraz św. Józefa Kalasantego, założyciela zakonu Pijarów († 1648). W pierwszym bocznym ołtarzu był obraz Matki Boskiej, w drugim zaś obraz św. Kajetana. Ściany kościelne okrywały piękne malowidła, przedstawiające życie Kalasantego w siedmiu obrazach. Do grania w czasie nabożeństw służyła pozytywa; dwa dzwony, ważące sześć cetnarów, wisiały w osobnych murowanych słupach w pobliżu kościoła [2]).

Po zniesieniu Norbertanów i Franciszkanów w Nowym Sączu przez cesarza Józefa II., przyszła kolej i na Pijarów. Zakon ich skasowano w styczniu 1786 r. W chwili kasaty mieszkało w kollegium pijarskiem pięciu kapłanów: Wawrzyniec Kraszkiewicz, superior, urodzony w Rzeszowie — Jerzy Melchior, vicesuperior, ur. w Częstochowie — Szczepan Dzierzgowski [3]), bibliotekarz, ur. w Pstrągowej — Damascen Bystrzycki, kaznodzieja, ur. w Starym Sączu — Jerzy Światłowski, wikary, ur. w Podolińcu. Prócz tego dwóch braci do posług domowych: Jerzy Siczyński, ur. w Brzozowej, i Filip Urbański, ur. w Gołąbkowicach [4]).

---

[1]) Consignation aller Capitalien des Neu Sandecer abolirten Piaristen Klosters, im Jahre 1786 conscribirt.

[2]) Kirchen Inventur über die bei dem Sandecer Piaristen Kloster vorgefundenen Pretiosen und Apparamenten.

[3]) Zmarł w Nowym Sączu 24. sierpnia 1787 r.

[4]) Verzeichniss des in der Kreisstadt Sandec aufgehobenen Piaristen Klosters.

Kapitały pijarskie, przez Rząd zabrane, wynosiły 9.180 fl. 57 kr.; wszystkie zaś ruchomości i nieruchomości skonfiskowane, jako to: sprzęty domowe, kosztowności i aparaty kościelne, budynki klasztorne, oszacowano na 4.509 fl. 26 kr. [1]). Budynki klasztorne, skonfiskowane przez Rząd, obrócono na inne cele, mianowicie na magazyn wojskowy, a później na umieszczenie urzędu cyrkularnego. Książki popijarskie, przeważnie treści teologicznej, kaznodziejskiej i ascetycznej, plątają się po dziś dzień na strychu więziennym, wystawione na pastwę szczurów i mysz.

Gdy w r. 1818 otwarto w Nowym Sączu 6-klasowe gimnazyum, umieszczono je na pierwszem i drugiem piętrze popijarskiego gmachu, w dolnych zaś lokalnościach pozostał urząd cyrkularny. W r. 1838 oddał Rząd to gimnazyum pod kierownictwo OO. Jezuitów, którzy je utrzymywali aż do lipca 1848 r., poczem objęli je napowrót profesorowie świeccy i pozostawało tutaj aż do roku 1855. W przeciągu tego czasu dawny kościół pijarski służył za kancelarye registratury. W r. 1855 przeniesiono gimnazyum do kollegium jezuickiego, zajętego przez Rząd, dawny zaś klasztor pijarski przemieniono na więzienie, które po dziś dzień tam pozostaje, przyczem jednak wszystkie okna do połowy przeszło zamurowano i zaopatrzono kratami.

Cały ten budynek klasztorny nosi na sobie piętno i ślady różnych przebudowań, z których pierwotnego kształtu odgadnąć trudno. Samo jednak sklepienie we wszystkich izbach, tak na dole jak na obydwóch piętrach, zachowało swój niezmienny charakter stylowy. Starzy mieszkańcy opowiadają, że tam, gdzie dzisiejszy ogród więzienny, znajdują się wielkie piwnice [2]), i pokazują w narożniku od strony południowej drzwi zamurowane, o których podanie, iż stamtąd prowadzi chodnik podziemny do Starego Sącza.

O Pijarach sandeckich dla braku obfitszych źródeł z czasów polskich mało co da się powiedzieć. Sam nawet ks. Tadeusz Chromecki Pijar, autor obszernej historycznej rozprawy o Pijarach w Polsce, zaledwie krótką wzmiankę zamieścił o ich osiedleniu się w Nowym Sączu [3]). Pewną jest tylko rzeczą, że w Nowym

---

[1]) Haupt Inventur über das bewegliche und unbewegliche Vermögen in dem aufgehobenen Neu Sandecer Piaristen Kloster vorgefundenen.

[2]) Są to zapewne resztki z dawnego dworu biskupów krakowskich, sterczącego jeszcze na tem miejscu 1608 r. Zob. wyżej str. 29.

[3]) Nowodworski: Encyklopedya kościel. T. 19. str. 319.

Sączu nie mieli liceum, jak niektórzy błędnie utrzymywali, lecz tylko swoją rezydencyę, składającą się z kilku księży i braci do posług domowych. Akademia krakowska miała swoją kolonię w Nowym Sączu i nie pozwoliła Pijarom szkół otworzyć. Owszem Pijarzy złożyli wyraźną deklaracyę, podpisaną przez prowincyała, O. Ambrożego Wąsowicza, w Warszawie 6. sierp. 1732 r., i przez generała zakonu, O. Józefa od św. Franciszka, w Rzymie 23. maja 1733 r., że żadnej szkoły nie otworzą, ani wewnątrz ani zewnątrz miasta *(neque intra neque extra civitatem)*, któraby w czemkolwiek uwłaczała, czy to szkole parafialnej sandeckiej, czy też przywilejom Akademii krakowskiej — i to pod karą zburzenia tejże szkoły i zapłacenia Akademii 10.000 złotych węgierskich *„et praeter demolitionem sub vadio decem millium aureorum hungaricalium“* [1]).

Z pomiędzy Pijarów sandeckich pracowali na polu piśmiennictwa i literatury łacińskiej:

— Ks. Atanazy Doński, urodz. w Podolińcu 1680 r., † w Nowym Sączu 1. marca 1751.

— Ks. Justyn Zgórski, urodz. w województwie krakowskiem 1678, superior sandecki, † we Lwowie 26. kwiet. 1756.

— Ks. Piotr Krasuski, ur. w Krasuszach w Łukowskiem 1718, superior sandecki, † w Nowym Sączu 19. listop. 1765.

— Ks. Antoni Chojnacki, ur. w Kaliszu 1709, superior sandecki, potem rektor w Warężu, † 28. kwiet. 1775.

— Ks. Bazyli Grochowski, ur. w Niedźwiadnej na Mazowszu 1722, superior sandecki, potem rektor chełmski, † w Krakowie 1795 [2]).

Zniesienie klasztorów, fundowanych pobożną ręką przodków, wywołało w kraju powszechne niezadowolenie, które znachodziło wyraz swój w listach, zapiskach pamiętnikowych, a wkońcu w wierszykach, które w odpisach krążyły po szlacheckich domach, a za

[1]) Act. Castr. Rel. T. 157. p. 1635—1640. „Non aperiendarum unquam scholarum a nobis docendarum in civitate Neosandecensi, juxta privilegia almae Academiae, cum omnibus clausulis acceptamus, approbamus. Datum Romae in aedibus nostris Scholarum Piarum apud sanctum Pantaleonem die 23. maji 1733. Josephus a sancto Francisco, Clericorum Regularium Praepositus Generalis“.

[2]) Simon Bielski: Vita et scripta quorundam e congreg. cler. regul. Scholarum Piarum. Varsaviae 1812. Na str. 34, 36, 90 i 114 wymienione są ich dzieła i rozprawy łacińskie.

pośrednictwem raptularzy dochowały się aż do naszych czasów. W jednym z nich spotykamy następujący dwuwiersz łaciński:

Tollendos toleras, toleranda Austria tollis,
Sic tollens tollendos, intoleranda facis [1]).

**Kapliczka św. Marka.** Do ciekawych zabytków miasta należy kapliczka św. Marka, na skręcie do Przystanku kolei żelaznej, wymurowana w r. 1771 na tem miejscu, gdzie z tytułu „miejskiego prawa miecza“ tracono publicznie winowajców za rządów polskich. W jej ołtarzyku jest prosta rzeźba „Upadek Chrystusa pod krzyżem“, umieszczona dawniej na węgierskiej bramie, pamiętna z tego, że w czasie pożaru baszty węgierskiej 1712 r., w ogniu będąc, nie zgorzała. Jest też do tego miejsca przywiązane podanie, że w czasie najazdu Szwedów 1655 r. Jerzy Lubomirski, marszałek wielki koronny i starosta spiski, przebrany za chłopa wszedł do miasta, mieszczan podburzył do wyrznięcia Szwedów, których wtedy 500 (?!) poległo, a ciała ich w miejscu tej kapliczki pogrzebiono. Tu także miano ściąć i zagrzebać 12 żydów kahalnych i rabina, oskarżonego o morderstwo chrześcijańskiego dziecka. W r. 1761 ścięto na tem miejscu żyda, Józefa Bobowskiego, który zamordował okrutnie chrześcijańskie dziecko, a krew z niego do bańki wytoczył [2]). Tu wreszcie 21. kwietnia 1761 r. ścięto dwóch żydów za męczenie dwóch chrześcijan, jak świadczy list ks. Józefa Bętkowskiego, proboszcza kollegiaty sandeckiej, pisany z Dębna 29. sierp. 1761 [3]). Z tego powodu lud ma wielkie nabożeństwo do tej kapliczki i każdego tygodnia w dni targowe: wtorki i piątki mnóstwo zapala świec.

## Rozdział XI.

### Kościoły nieistniejące obecnie.

Na schyłku XVIII. wieku istniały jeszcze w Nowym Sączu następujące kościoły, o których jednak zaledwie szczupłe zapiski przechowały się w dawnych aktach sandeckich.

[1]) Wł. Łoziński: Galiciana. Lwów 1872. str. 81.

[2]) Act. in castro sandec. in terminis seu judiciis fer. VI. post fest. s. Viti et Modesti mart. A. D. 1761.

[3]) List ten znalazłem pomiędzy starymi papierami kollegiaty.

1) **Kościół św. Wojciecha** na dzisiejszem przedmieściu Grodzkiem, gdzie jest obecnie grunt plebański, był jednym z najdawniejszych kościołów w temże mieście. Starodawne podanie niesie, że na tem miejscu w polu św. Wojciech, biskup praski, mszę św. odprawił, kiedy za czasów Bolesława Chrobrego z Węgier do Polski pielgrzymował [1]). Jest to oczywiście legenda, która, jak każda inna, nie może mieć historycznego znaczenia.

Wacław, król czeski, książe krakowski i sandomierski, zamieniając z Janem Muskatą, biskupem krakowskim, wieś Kamienicę, gdzie dziś Nowy Sącz leży, za zamek w Bieczu z przyległemi dobrami, wyraźnie zastrzegł w dokumencie, wydanym w Pradze 24. marca 1303 r., że prawo patronatu kościoła św. Wojciecha i kościoła filialnego św. Małgorzaty w Nowym Sączu przysługuje i nadal biskupom krakowskim [2]).

Mikołaj i Jerzy, wójtowie Nowego Sącza, zamierzali wybudować młyn dla wygody miasta. Lecz pleban ówczesny od św. Wojciecha, niejaki ksiądz Wroblin (Wroblinus), sprzeciwiał się temu dlatego, ponieważ sam własny posiadał młyn. Wdał się w ten spór Jan Grot, biskup krakowski, i za przyzwoleniem królowej Jadwigi, pani sandeckiej, stanęła transakcya zamiany między plebanem od św. Wojciecha a wójtami miasta 6. lipca 1337 r. Pleban darował miastu młyn, a wzamian za to odstąpiono mu trzy sukiennice *(pannicidarum camerae)*, dwa stragany szewskie *(bancae sutoriae)*, jatkę rzeźniczą *(macellum carnificum)* i kram *(camera institoria)*, należące do miasta z wszelkiem prawem i pożytkiem — z tem jednak uwzględnieniem, że w pomienionym młynie wolno będzie plebanowi, jego następcom i wikarym mleć

---

[1]) Długosz: Histor. pol. T. I. p. 147 pod rokiem 994 pisze, że św. Wojciech, opuściwszy powtórnie Pragę, do Rzymu powrócił, a stamtąd, uzyskawszy uwolnienie od obowiązków biskupich, z Gaudentym i innymi duchownymi udał się do Węgier do króla Gejzy, skąd w r. 995 przybył do Polski. Mimo to ani Jan Kanapariusz, najstarszy biograf św. Wojciecha, ani też Monumenta Germaniae T. IV. p. 574—616, ani wreszcie Monumenta Poloniae T. II. i IV. nie wyjaśniły dotąd, jaką właściwie drogą św. Wojciech przybył do Polski.

[2]) Kod. dypl. katedr. krakow. T. I. str. 145; Monum. Poloniae. T. III. p. 208. — „In campo eiusdem ville locavit dictus rex civitatem, que nuncupatur Sandecz nova, prefato episcopo Joanni pro se et suis successoribus jus patronatus utriusque ecclesie sancti Adalberti et sancte Margarethe specialiter reservando, sicut patet in litteris dicti regis Venczeslai, que sunt in thesauro dicti cracoviensis episcopi".

bezpłatnie zboże na chleb dla domowników plebańskich i browaru, wedle potrzeby. Ugodę tę potwierdził ponownie Zygmunt I. w Krakowie 13. września 1535 r. [1]).

Aż do roku 1448, t. j. do chwili wybudowania kollegiaty przez Zbigniewa Oleśnickiego, był on kościołem parafialnym; od tej doby stał się podrzędnym, jak wszystkie przedmiejskie kościoły, utrzymywanym ofiarnością wiernych. Wspomina o nim lustracya z r. 1564, tudzież wizyta kardynała Jerzego Radziwiłła z r. 1597. Jan Rolka z Kurowa zapisał w r. 1600 temu kościołowi dwie krowy i płótna konopnego 75 łokci [2]). Wojciech Cholewicz, rajca sandecki i opiekun kościoła św. Wojciecha, zaprzepaścił gdzieś przeszło 100 złp. z pieniędzy pogrzebowych, legowanych do kościoła św. Wojciecha. Wymawiał się Cholewicz, że te pieniądze obrócił na sprawienie organów do tegoż kościoła, których jednak dotąd nie widać. Z tego powodu ks. Grzegorz Kraśnicki, senior wikarych, *artium et philosophiae baccalaureus*, wytoczył skargę przeciwko niemu przed ks. Stanisławem Woiskim, kustoszem kollegiaty i proboszczem grybowskim, jako sędzią duchownym. Ks. Wolski, w obecności dwóch księży proboszczów: Wojciecha Konradzkiego z Żeleźnikowej i Andrzeja Mogilańskiego z Kamionki, nakazał Cholewiczowi pod ekskomuniką 9. październ. 1674, ażeby w przeciągu miesiąca przedłożył rejestr wydatków, a na przyszłość nie ważył się bez zezwolenia księdza seniora pieniędzmi pogrzebowymi szafować, ani żadnych nowości wprowadzać [3]). Rejestr z lat 1677—1742 wymienia szczegółowo dochody i wydatki tegoż kościoła — oraz wszystkie nabożeństwa, śluby i pogrzeby. Podług inwentarza, przedłożonego Kajetanowi Sołtykowi, biskupowi krakowskiemu, w czasie jego wizyty w Nowym Sączu 1763 r., był ten kościół otoczony drewnianym parkanem i ocieniony wieńcem wiekowych lip; miał trzy ołtarze, sześć okien i dwoje drzwi.

2) **Kościół św. Ducha** ze szpitalem na przedmieściu Nowego Sącza, obok drogi wiodącej do Starego Sącza, założył Mikołaj Kizling, mieszczanin sandecki, na mocy przywileju Kazimierza Wielkiego, wydanego w Sączu 29. październ. 1360 [4]). O jego istnie-

---

[1]) Eccles. colleg. sandec. privileg. jura et officia. Volum. I. p. 23—26. Zob. Dodatki nr. X.

[2]) Acta Scab T. 25. p. 801.

[3]) Eccles. colleg. sandec. privil. et jura. vol. I. p. 128—129.

[4]) Privilegium Casimiri Regis, cuidam Nicolao Kizling civi sandecensi collatum, super liberam locationem hospitatis in honorem S.

niu zaledwie kodeks dyplomatyczny małopolski przechował nam krótkie wspomnienie. Ksiądz Piotr, pleban wojnicki i rektor tegoż szpitala, zrezygnował dobrowolnie z urzędu swego. Rajcy Nowego Sącza, na mocy przysługującego im prawa patronatu, poruczyli urząd rektora w opróżnionym szpitalu plebanowi miejscowemu, księdzu Wisławowi, a biskup krakowski, Zawisza z Kurozwęk, zatwierdził ten wybór w Wojniczu 23. maja 1381 r. [1]). W trzy lata potem powstał jakiś spór między Piotrem z Opola, rektorem szpitala św. Ducha a Swemanem z Wojnicza. Rzecz oparła się aż o Rzym. Wskutek czego Ryszard de Silvestris, doktor dekretów i kapelan papieża Urbana VI., przykazał Swemanowi osobnym aktem, wydanym w Neapolu 28. marca 1384 r., ażeby żadnych dalszych nie podejmował kroków, dopóki spór nie zostanie rozstrzygnięty przez Stolicę św. [2]).

Z końcem XIV. wieku przeniesiono ten przedmiejski szpital do miasta. Niebawem w r. 1400 Langzidel, mieszczanin krakowski, założył nowy kościół ze szpitalem św. Ducha wśród murów fortecznych Nowego Sącza, przy którym 1410 r. osiedli Norbertanie, a od r. 1832 mieszkają Jezuici.

3) **Kościół św. Mikołaja** stał na przedmieściu większem, czyli węgierskiem *extra muros sandecenses*, obok dzisiejszego starego cmentarza. Rok jego założenia niewiadomy wcale, tyle tylko pewnem, że już w r. 1409 mieszkali przy nim chwilowo Norbertanie, dopóki się nie przenieśli do nowego klasztoru, fundowanego przez Władysława Jagiełłę przy kościele św. Ducha [3]). I o tym kościele nader szczupłe posiadamy zapiski. Sebastyan Żmijowski, rzeźnik sandecki, legował w r. 1645 na altarzystę kościoła św. Mikołaja popłatę roczną 35 złp. od kapitału 500 złp. [4]). Zofia Bochenkowa w testamencie z r. 1655 „prosiła i żądała, aby ciało jej pochowano w kościele św. Mikołaja, gdzie też dziatki jej od-

---

Spiritus extra civitatem Sandecensem, in crastino festi S. Simonis et Judae Apostolorum, in Sandecz 1360. (Consignatio privilegiorum an. 1788).

[1]) Zavissa episc. cracov. Wislao rectori ecclesiae parochialis Sandecensis, munus rectoris nosocomii Sandecensis confert, an. 1381 die 23. maji in Wojnicz. (Kod. dypl. małop. T. III. p. 418.

[2]) Kod. dypl. małop. T. III. p. 435.

[3]) Summarium privilegior. convent. sandec. ordinis Praemonstratensis. p. 111. in fol.

[4]) Acta Scab. T. 58. a. p. 8.

poczywają, do którego kościoła ze zboża teraźniejszego 12 flor. oddała“ [1]). Jan Storczysta, były kościelny farny, za okradzenie kościoła św. Mikołaja, został skazany na spalenie na stosie, jako świętokradca w r. 1666. Należała też do tego kościoła osobna zagroda przy ulicy drwalskiej.

W r. 1742 spłonął ten kościół z niewiadomego powodu. W trzy lata potem (1745) Adam Dulski, rajca sandecki, przekazał księżom wikarym: Migaczewskiemu i Pokręckiemu na odbudowanie tegoż kościoła 17 grzywien, które mu pan Stefan Kownacki tytułem wynagrodzenia był winien [2]). Niewiadomo jednak, czy został odbudowany; to tylko pewnem, że do r. 1781 grzebano umarłych na cmentarzu św. Mikołaja.

4) **Kościół św. Krzyża** na przedmieściu mniejszem za rzeką Kamienicą, opodal drogi do Grybowa wiodącej, odległej sięga starożytności. Już w latach 1499 i 1535 wspominają akta miejskie o kościele św. Krzyża *extra muros civitatis*, obok folwarku Barbary Kowalowej [3]). W niedzielę zapustną 1607 r. niejaki Stanisław Rajski zadał, bez najmniejszego powodu, trzy śmiertelne cięcia w głowę Marcinowi Kotlarskiemu, w domu sławetnego Matyasza Zawistowskiego, mieszczanina sandeckiego. Wskutek otrzymanych ran wkrótce Kotlarski ducha wyzionął, pochowany na cmentarzu przy kościele św. Krzyża [4]). W czasie morowego powietrza 1622 r. Melchior Broda, przedmieszczanin, zapisał ćwierć pola księżom wikarym na poprawę tegoż kościoła [5]). Podobnie w r. 1652 *peste*

---

[1]) Act. Scab. T. 65. p. 205.

[2]) Summarium transaction. colleg. sandec. ab an. 1541—1783. p. 38, 112.

[3]) Act. Scab. T. 78. p. 1156.

[4]) Act. Castr. Rel. T. 110. p. 1743.

[5]) Testamentum olim providi Melchioris Broda, in quo continetur quadra agri venerabilibus vicariis pro reparatione ecclesiae S. Crucis legata: „Przed burmistrzem natenczas będącym, sławetnym Sebastyanem Irzykowicem i Tomaszem Rychlikowicem, rajcą, ubrawszy się w suknie zwyczajne do chodzenia i wyszedłszy do sądu opatrzny Melchior Broda, bacząc się bydź chorym na ciele, jednak zdrowym na umyśle i dobrze się na to naradziwszy i namyśliwszy, taki testament dóbr swych ruchomych i nieruchomych, który niby ostatnią wolę oznajmił. Wyznawszy naprzód wiarę katolicką powszechną, w której się ochrzcił, w niej będąc ugruntowany umrzeć powinien. Duszę swą grzeszną w miłosierdzie Pańskie wrzuca, ufając mocno, iż na zbawienną drogę będzie obrócona, a ciało do pokrycia ziemią u kościoła Świętego Krzyża tu w pobliżu prosi. Tę wolę potem swoją oznajmił, iż żona w tym fol-

*grassante* Grzegorz Saytha legował delię lazurową z guzikami srebrnymi i żupan taki sam z guzikami srebrnymi, na poprawę kościoła św. Krzyża [1]). Na planie miasta z r. 1783, nakreślonym jakąś niewprawną ręką, widzimy na froncie tego kościoła wcale pokaźną dzwonicę.

Podczas wojen napoleońskich (1809—1813) obrócono go na prochownię; potem stał opustoszały, wreszcie około r. 1830 rozebrano go doszczętnie. Józef Łepkowski, zwiedzając Nowy Sącz w r. 1849, odszukał w skarbcu farnym pięknego odlewu dzwonki, złożone tam po zburzeniu kościoła św. Krzyża [2]).

5) **Kościół św. Walentego** ze szpitalem za bramą węgierską na przedmieściu większem *trans portam hungaricalem in suburbio majori*, gdzie dziś ogród miejski. Szpital ten, zwany pospolicie szpitalem trędowatych, powstał pod koniec XV. wieku, jak świadczą niektóre współczesne zapiski. I tak testament Hieronima Korcepetra z r. 1490 wymienia ogród z domkiem, gdzie obecnie trędowaci mieszkają *ubi protunc leprosi degunt*. Później znów w r. 1499 Małgorzata Klocowa zapisuje trędowatym za murami miasta ćwierć pola. Niejaki Grabiec leguje 1510 r. ogród trędowatym w szpitalu za murami, a Stanisław rymarz dwie grzywny [3]). Czy zaś i w późniejszych wiekach mieszkali trędowaci w tymże szpitalu, niewiadomo wcale, tę jednak nazwę *hospitale leprosorum* spotykam w aktach miejskich jeszcze 1580 a nawet 1643 r.

O samym kościele św. Walentego najdawniejszą wzmiankę napotykam dopiero w pierwszej połowie XVI. wieku. Stanisław Pieniążek, dziedziczny wójt grybowski, zapisał w r. 1541 księdzu Wojciechowi Czyrzyczce, przełożonemu szpitala i kościoła św. Walentego, popłatę roczną 12 grzywien od kapitału 400 złp. na wójtostwie grybowskiem. Stanisław Lubomirski, spiski i sandomierski starosta, objąwszy starostwo grybowskie razem z należącem doń wójtostwem, nie wypłacał szpitalowi rocznego czynszu, wskutek czego ks. Stan. Paszyński, przełożony szpitala, zapozwał go w r.

---

warku, który kupili od pana Delpaczego i dzieci po śmierci jego tylko mają mieć dożywocie, a wszystko dziedzictwo oddaje na kościoła Świętego Krzyża poprawę..." Actum in suburbio civitatis regiae Novae Sandecz feria quinta post festum Sancti Francisci proxima Anno Domini 1622. (Eccles. colleg. privil. et jura. vol. I. p. 122),

[1]) Act. Scab. T. 63. p. 374.
[2]) Bibliot. Warszaw. z r. 1850. T. III. str. 451.
[3]) Act. Scab. T. 78. p. 117.

1626 do sądu ziemskiego w Czchowie [1]). W ciągu XVII. wieku dość częste zapisy płynęły na ubogich w szpitalu św. Walentego. I tak Stanisław z Ruszczy Branicki 1602 r. przekazał 50 złp. na Wielopolu [2]). Ks. Stan. Paszyński, *ecclesiae sancti Valentini praepositus*, poświadcza 1633 r., że otrzymał 50 złp., przeznaczonych na kościół św. Walentego w testamencie Błażeja Piotrowskiego, mieszczanina sandeckiego, z rąk Wojciecha Grabickiego, egzekutora testamentu [3]). Walenty i Elżbieta Smolkowie, małżonkowie, darowali szpitalowi swój folwark w r. 1637. Marcin Wielogłowski 1645 r. popłatę roczną 40 złp. od kapitału 700 złp.[4]). Baltazar Grodzicki, żebrak szpitalny, legował w testamencie 1647 r. szpitalowi połowę domu swego drewnianego z ogródkiem, leżącego przy ulicy różanej między domem Wojciecha Grzebieniarza i Stanisława Ptaśnika, krawca [5]).

W czasie najazdu Szwedów 1655 r. *tempore sueticae incursionis* został spalony kościół ze szpitalem św. Walentego. Odtąd długo nikt nie pomyślał o jego podźwignieniu z ruin, dopiero około r. 1678 ks. Wojciech Wittewski, podkustoszy kollegiaty i pleban mystkowski, przejęty chwałą Bożą i czcią św. Walentego, wystawił nowy kościół swym własnym kosztem pod wezwaniem tegoż świętego [6]).

W r. 1737 ks. Jan Ligasiński, podkustoszy kollegiaty, wniósł skargę przeciwko ks. Konstantemu Kozłowskiemu, rektorowi pijarskiemu, że sobie przywłaszcza grunt, należący do kościoła św. Walentego [7]). Do tego szpitala należał folwark, tak zwany Reczkowski, i trzy ćwierci pola w łanach miejskich. W r. 1793 istniał jeszcze ten szpital. Józef Łepkowski w r. 1849 oglądał w skarbcu farnym dzwonek z zburzonego kościoła św. Walentego, z napisem: *Ad honorem S. Valentini in suburbio sandecensi Andreas Kriomski Neosandecensis 1678 donavit* [8]).

Patronami i opiekunami tych wszystkich kościołów byli rajcy sandeccy. Kajetan Sołtyk, biskup krakowski, w czasie swej wizyty zastał w dobrym stanie przedmiejskie kościoły i zakazał ich

[1]) Summar. transactionum colleg. sandec. p. 57, 158.
[2]) Act. Castr. Inscr. T. 27. p. 1307.
[3]) Act. Scab. T. 54. p. 134—135.
[4]) Acta Castr. Inscr. T. 52. p. 1077.
[5]) Summarium transact. p. 11.
[6]) Act. Castr. Rel. T. 142. p. 817—818.
[7]) Summarium transactionum p. 96.
[8]) Bibliot. Warszaw. z r. 1850 T. III. str. 451.

burzyć. Równocześnie jednak dekretem z 15. sierp. 1763 r. zabronił w nich odprawiać uroczystych nabożeństw; pozwolił tylko w tytularne święta odśpiewać mszę św., lecz bez kazania i wystawienia Najśw. Sakramentu. Przy tych wszystkich kościołach chowano umarłych aż do r. 1784 [1]).

Kościoły te, zdobiące niegdyś przedmieścia podkarpackiego warownego grodu, już dawno runęły, mało kto z mieszkańców dzisiejszych wie o ich istnieniu, a tem mniej o miejscu, na którem stały. Tak samo w długim szeregu lat wyginęły przez wojny i morowe zarazy owe rodziny patrycyuszowskie, które swą zapobiegliwością, oszczędnością i pracą podtrzymywały przez całe stulecia świetność swego rodzinnego grodu. Badacz zaś i miłośnik przeszłości napróżno szuka dziś w kilku po nich pozostałych domach, które w rynku lub przyległych ulicach jeszcze się oparły zniszczeniu i przechowały niezatarte ślady swej odwiecznej budowy, zabytków dawnej świetności lub pamiątek dziejowych, aby nimi wzbogacić swą historyczną pracę. Jedynymi zabytkami, które wszelkie minione przetrwały burze, pozostały tylko dwa kościoły: św. Ducha i św. Małgorzaty. Ich też opisowi poświęciliśmy wyżej obszerniejsze wspomnienie.

KONIEC.

Ks. Jan Sygański T. J.

[1]) Matrica vel consignatio sepultorum in insigni colleg. sandec. an. 1777—1784.

# UDZIAŁ ROSSYI
# W POKOJU KARŁOWICKIM

PRZEZ

**WŁODZIMIERZA LENKIEWICZA.**

(Dokończenie).

Warunki pokoju przedłożone teraz przez Rosyę, są bardzo zmodyfikowane. 1. Wszystkich jeńców moskiewskich lub kozackich, znajdujących się w Turcyi lub na Krymie należy oswobodzić bez okupu, w zamian za co wypuszczeni będą ne wolność Tatarzy krymscy i białogrodzcy znajdujący się w niewoli rosyjskiej. 2. Daniny płaconej dotychczas Tatarom przez Rosyę nie żądać. 3. Aby Tatarzy nie napadali na posiadłości cara. 4. Kupcom dozwolić swobodny przejazd. 5. Pokój ten zatwierdzą sułtan i chan tatarski [1]).

Stanowisko Rosyi w tych początkowych naradach pokojowych nie miało silnych podstaw. Żądania jej w pierwszych naradach przedkładała tylko polska, w drugich poparł je nawet cesarz [2]), mimo to jednak car nie mógł spodziewać się silniejszego poparcia swych pretensyi, ponieważ dotychczas nie był członkiem Ligi Świętej, nie był związany przymierzem z cesarzem i Wenecyą. Należało więc przedewszystkiem starać się o zawarcie tego przymierza. Tymczasem zabiegi Rosyi o to, rozpoczęte, jak widzie-

[1]) Pam. dipl. znosz. t. VII. str. 901 sq. Punkta te zostały przesłane pełnomocnikowi rosyjskiemu w Warszawie, który miał je przedłożyć królowi polskiemu, przez tego zaś miały być odesłane do rezydenta cesarskiego.

[2]) Hammer, Gesch. d. Osman. Reichs t. III. str. 854.

liśmy, jeszcze w r. 1687, nie doprowadziły do żadnych pomyślnych rezultatów. Cesarz zrobił pierwszy krok do ściślejszego połączenia się z Rosyą przez wysłanie Blumberga i Zierowskiego (1684 r.), pokładał bowiem nadzieję w jej pomoc, która miała w znacznej mierze przyczynić się do pokonania Turków. Dwie wyprawy Golicyna na Krym nie ziściły tej nadziei, to też było powodem, że Leopold w następnych latach nie bardzo pragnął przymierza z Rosyą. Przez lat dziesięć starała się Rosya o nie napróżno, a dopiero zwycięstwa Piotra pod Azowem usposobiły cesarza pomyślniej dla tej sprawy. Skutkiem tego stanął dopiero dnia 2. lutego roku 1697 sojusz, między Austryą a Wenecyą z jednej, a Rosyą z drugiej strony [1]). Pełnomocny poseł cara Kuźma

[1]) Akta poselstwa Nefymonowa jako też sam traktat znajdują się w Pam. dipl. snosz. t. VIII. str. 44—462. — Ponieważ warunki tego przymierza stały się podstawą udziału Rosyi w pokoju Karłowickim i Woznicyn powoływał się na nie wielokrotnie, podajemy tekst traktatu w przekładzie prawie dosłownym.

W imię przenajświętszej i nierozdzielnej Trójcy, Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Kiedy najjaśniejszemu i najpotężniejszemu cesarzowi i Panu Leopoldowi cesarzowi Rzymskiemu (pełny tytuł) najjaśniejszy i najpotężniejszy car i wielki kniaź Piotr Alexiewicz (pełny tytuł), pragnąc pokoju chrześciańskiego, zaproponował ten sojusz przeciw nieprzyjaciołom Świętego Krzyża . . . . . pełnomocnicy obu cesarzy ustanowili następujące warunki przymierza.

I.

Ponieważ najważniejszym celem tego przymierza jest, aby strony łączące się dla korzyści całego chrześciaństwa walczyły przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi t. j. Turkom i Tatarom, to na mocy tego przymierza, każdy ze sprzymierzonych obowiązuje się, że wszystkie swoje wojska i całą siłę jaką posiada przygotuje jak najprędzej do złamania i zniszczenia w przyszłej wojnie sił nieprzyjacielskich i w tym samym celu będzie się starał uczynić wszystko co będzie mógł; a temi siłami walczyć będzie z wspólnym nieprzyjacielem na lądzie i na morzu.

II.

Dobrą i pożądaną rzeczą jest, aby wyżej wymienione strony, na mocy tego przymierza, o swoich planach wojennych przeciw wspólnemu nieprzyjacielowi powiadamiały się i były obowiązane, nie tylko donosić sobie o tem wzajemnie, lecz również dołączać do tego swoje rady i pomysły, aby w czasie przystąpienia do zawarcia pokoju, każdy ze sprzymierzonych otrzymał od nieprzyjaciela należne mu, za wspólną zgodą wszystkich oznaczone zadosyćuczynienie.

Nefymonow doprowadził to dzieło do skutku. Sprzymierzone państwa obowiązują się, mocą tego sojuszu, wszelkiemi siłami swojemi

III.

Na mocy tego traktatu nie wolno żadnemu z sprzymierzonych, bez powiadomienia o tem sprzymierzonych traktować o pokój z wspólnym nieprzyjacielem, ani go zawierać; jeżeliby jednak jednemu z sprzymierzonych zaproponowano korzystne warunki pokoju, to wolno mu traktować o nie, jednakże tylko pod warunkiem, że o przedłożeniu ich powiadomi bez zwłoki innych sprzymierzonych i że będzie obowiązany w naradach tych objąć ich wszystkich i donosić im od czasu do czasu o wszystkiem co działać będzie.

IV.

Jeżeliby zaś wspólny nieprzyjaciel przemożnemi siłami napadł na państwa, królestwa, lub posiadłości jednego z sprzymierzonych, zobowiązują się inni dopomagać mu wszystkiemi swojemi wojskami do wyparcia wroga i wszelkim sposobem usilnie starać się oswobodzić go od napadu tego nieprzyjaciela.

V.

Przymierze to na wyżej wymienionych warunkach trwać będzie lat 3, począwszy od dnia podpisania tego traktatu; a jeszcze przed ukończeniem tych 3 lat, wolno będzie sprzymierzonym starać się o przedłużenie tego przymierza, o ile tego będą wymagały okoliczności i dalsze prowadzenie wojny; a jeśli przymierze to za wspólną zgodą sprzymierzonych kiedyś ukończy się, to mimo to będą między tymiż sprzymierzonymi nadal przyjazne stosunki.

VI.

Prócz tego postanowiono, że skutkiem tego przymierza z Jego Carską Mością, nie należy odnawiać Świętego przymierza zawartego wpierw między Jego Cesarską Mością, Królestwem Polskiem i Rzecząpospolitą Wenecką i że ono na mocy tego nowego przymierza nie traci swej siły, lecz ma być w całej pełni zachowywane.

VII.

Również Jego Carska Mość zastrzega się z swej strony przeciw mniemaniu, jakoby przez ten nowy sojusz, uczynił jakiś uszczerbek pokojowi zawartemu przez Jego Carską Mość z Najjaśniejszym Królem i Rzecząpospolitą Polską; lecz ma on być utwierdzony w dawnej swej sile i mocy. Wyżej wymienieni pełnomocnicy obiecują, że sojusz ten będzie przestrzegany i spełniany (sobliuden i ispołnen) przez ich najjaśniejszych i najpotężniejszych władców we wszystkich jego punktach i zobowiązaniach.

ścigać wojska tureckie na lądzie i na morzu, a o powodzeniu swej broni, jakoteż o planach na przyszłość mają w jak najkrótszym czasie wzajemnie się powiadamiać. Żadnemu ze sprzymierzonych nie wolno oddzielnie zawierać pokoju, lecz tylko za wspólną wszystkich zgodą. W razie jeżeliby nieprzyjaciel znacznemi siłami, uderzył na jedno z sprzymierzonych państw, obowiązane są inne wedle możności, natychmiast z pomocą mu pospieszyć. Dopiero więc z chwilą zawarcia tego przymierza, przystąpiła Rosya do Ligi Świętej [1]). Dotychczas była sprzymierzoną tylko z Polską, nie miała zatem praw członka Ligi, cesarz mógł w swych przedłożeniach i pertraktacyach pokojowych pomijać ją zupełnie, ponieważ nie był wobec niej do niczego zobowiązany. Teraz stała się sprzymierzeńcem wszystkich członków Ligi Świętej i na tej podstawie została dopuszczoną do udziału w pokoju karłowickim.

Tymczasem wypadki, które prawie równocześnie z powyższym sojuszem rozegrały się tak na zachodzie Europy jak i na polach walk z Turkami — uczyniły warunki układu przewidujące dalszą wojnę z Turcyą bezprzedmiotowymi. Eugeniusz ks. Sabaudzki zadaje dnia 11. września tego samego 1697 roku wojskom tureckim olbrzymią klęskę pod Zentą, a w 19 dni później zawiera Ludwik XIV. z sprzymierzonemi przeciw sobie państwami pokój w Ryzwiku, który wywarł także bardzo ważny wpływ na sprawę wschodnią. Teraz bowiem nastąpił stanowczy zwrot ku pokojowi.

Wielki wezyr turecki Hussein Köprili wraz z całą partyą pokojową pracował od dawna usilnie nad tem, aby wojowniczo usposobionego sułtana Mustafę II. nakłonić do pokoju. Do innych powodów tej polityki przybywał teraz nowy, bardzo doniosłego znaczenia, który nakazywał najszybsze nawiązanie układów z sprzymierzonemi przeciw Porcie potęgami.. Pokój w Ryzwiku dawał cesarzowi możność wyprowadzenia wszystkich swoich sił przeciw Turcyi, a tem samem możność posuwania się naprzód w i tak już olbrzymich zdobyczach. Z drugiej strony Rosya po zdobyciu Azowa uzupełniała i wzmacniała szybko swoją flotę i łatwo mogła

[1]) Dowodem tego niezbitym jest punkt VI. przymierza Rosyi z cesarzem i Wenecyą, gdzie cesarz zastrzega się, że skutkiem tego przymierza Liga Święta nie traci swej siły, co nie byłoby zupełnie potrzebnem, gdyby Rosya była już należała do Ligi. Mylnem więc jest zdanie Ustriałowa, Sołowijewa, Zinkeisena, Brücknera i innych, którzy twierdzą, że Rosya przystąpiła do Ligi bądź przez zawarcie pokoju Grzymułtowskiego, bądź też wkrótce potem przez przymierze z cesarzem.

zająć cały Krym. W takim razie flota turecka musiałaby stawiać opór zarówno rosyjskiej jak i weneckiej flocie, na to zaś była z pewnością za słabą. Nadto zachodziła obawa, że poddani tureccy greckiego obrządku zechcą lada chwila poddać się carowi, jako władcy wyznającemu wspólny z nimi obrządek. Dodajmy do tego wyniszczenie skarbu i wojska przez długoletnią wojnę, a będziemy mieli obraz faktów, które wywarły stanowczy wpływ na pokojowe usposobienie Turcyi [1]).

Ale także cesarz, główny przeciwnik Turcyi, musiał również skłaniać się do zawarcia pokoju. Wprawdzie armia jego była zwycięską i pod swoim genialnym wodzem Eugeniuszem Sabaudzkim mogła spodziewać się, że i dalej będzie święcić tryumfy, jednakowoż skarb państwa był już wyczerpany piętnaście lat trwającą wojną, która wymagała tylu wysiłków. A nadto, co ważniejsza, wyłoniła się teraz nowa, dla cesarza bardzo ważna kwestya, t. j. kwestya sukcesyi hiszpańskiej. Ludwik XIV. zawarł wprawdzie pokój w Ryzwiku, ale zawarł go właśnie dla tego, by zyskać czas na przygotowanie się do wojny o tę sukcesyę hiszpańską. Należało więc i cesarzowi sposobić się do tej walki, a tem samem pożądanem było zawarcie pokoju z Turcyą.

Wenecya zadłużona ponad miarę nie mogła być w zasadzie przeciwną pokojowi, zwłaszcza, że poczyniła już zdobycze, które pragnęła zachować [2]).

Polska, gdzie tymczasem umarł Jan III., a na tronie zasiadł August II. elektor saski, nie bardzo wprawdzie była mu chętną, ponieważ nie odebrała Turkom tego o co jej głównie chodziło, t. j. Kamieńca i Podola, lecz nie pozostawało jej nic innego, jak starać się drogą układów odzyskać te straty, tem bardziej, że na prowadzenie wojny z Turcyą na własną rękę, ważyć się nie mogła.

Właściwie jedna Rosya była teraz niechętną zawarciu pokoju. Car zdobył dotychczas tylko Azow i kilka drobnych fortów nad Dnieprem. Piotr marzył o dalszych zdobyczach, które właśnie teraz mógł poczynić, kiedy już rozporządzał silną armią i własną flotą, a mianowicie marzył o zdobyciu twierdzy Kercz i przedkładał już nawet angielskiemu inżynierowi Perry'emu plany zrobienia

---

[1]) Zinkeisen: Gesch. d. osm. Reiches t. V. str. 201.

[2]) Daru: Histoire de Venise. Paris 1819 t. IV. str. 661, 662.

w niej punktu zbornego całej floty rosyjskiej [1]). Tymczasem właśnie teraz skłaniały się inne mocarstwa do zaniechania wojny. Ale chociaż nie było mu to na rękę, musiał przystąpić do akcyi pokojowej, gdyż w przeciwnym razie byłby zniewolony wziąć cały ciężar prowadzenia dalszej wojny na swoje tylko barki.

## II.

Pośrednictwo Anglii i Holandyi w sprawie zawarcia pokoju. — Lord Pagett proponuje cesarzowi zawarcie pokoju na zasadzie uti possidetis. — Pierwsza konferencya na dworze cesarskim nad tą propozycyą. — Kinsky powiadamia Rosyę o niej. — Pominięcie Rosyi w tych przedłożeniach i starania dworu cesarskiego o uwzględnienie jej żądań.

Długie starania króla angielskiego Wilhelma III. o doprowadzenie do skutku pokoju między Ligą Świętą a Turcyą, dotychczas nadaremne, zbliżały się wreszcie do pomyślnego rezultatu. Pełnomocnik Anglii na dworze tureckim lord Wilhelm Pagett i pełnomocnik Hollandyi Jakób Colyer podwoili starania, aby nakłonić Portę do przyjęcia pośrednictwa ich rządów w tej sprawie, co też Turcya chętnie teraz przyjęła.

W pierwszych dniach 1698 roku wysyła lord Pagett do Udalryka Kinskiego, wielkiego kanclerza królestwa czeskiego list, w którym donosi mu [2]), że Turcya jest obecnie skłonną do zawarcia pokoju z sprzymierzonemi przeciw niej państwami i w tym celu postawiła już nawet pewne propozycye pokojowe, ale zastrzegła sobie, aby one zostały wysłane najpierw królowi angielskiemu, a dopiero za jego pośrednictwem przedłożone będą cesarzowi, przez tego ostatniego zaś sprzymierzonym z nim państwom. Jako punkt wyjścia w mającym się zawrzeć pokoju, będzie służyć zasada *uti possidetis ita porro possideatis* [3]).

---

[1]) Brückner: Peter der Grosse, str. 345; Reproduction solcher Gespräche bei Perry, deutsche Ausgabe S. 218–219.

[2]) Haus- Hof- u. Staatsarchiv. Turcica 1898. März. Treść tego listu znajduje się w liście Karola Juliusza Sedlnitzkiego, rezydenta cesarskiego w Warszawie, do Kinskiego. Sedlnitzky donosi w tym liście Kinskiemu, że spełnił dane mu przez kanclerza polecenie, powiadomienia o całej sprawie Polski i Rosyi.

[3]) O propozycyach Porty dowiadujemy się z protokołu konferencyi na dworze austryackim, który to protokół znajduje się w archiwum

Na naradzie zwołanej przez Kińskiego wkrótce po otrzymaniu tej wiadomości, przyjęto w zasadzie tę propozycyę pokojową, a nadto zastanawiano się nad tem, czy o treści listu Pagetta należy donieść sprzymierzonym państwom, czyli też nie podawać jej do ich wiadomości. Postanowiono w końcu, ponieważ w sprawie pokoju nie ma jeszcze nic pewnego, nie powiadamiać sprzymierzonych wcale o propozycyi Pagetta, chyba, jeżeliby sami o to pytali, a w takim razie udzielić wiadomości zarówno Polsce i Wenecyi jakoteż Rosyi, ponieważ jest ona związana z cesarzem takiem samem przymierzem jak inni i zatajanie przed nią spraw wspólnych mogłoby być połączone z niebezpieczeństwem [1]).

Ale już niebawem kanclerz austryacki uznał, że należy zawiadomić o propozycyach angielskich sprzymierzone państwa i wydał dnia 2. marca odpowiednie polecenie rezydentowi cesarskiemu w Warszawie Karolowi Juliuszowi Sedlnitzkiemu, który też przedłożył je dworowi polskiemu i rezydującemu tam ministrowi rosyjskiemu Alexemu Nikitinowi, z tem wszakże nadmienieniem, że propozycye te, aż do nadejścia autentycznych warunków pokoju od króla Angielskiego, nie mają prawie żadnej wartości, przyczem upewniał, że zostaną one natychmiast po nadejściu do Wiednia zakomunikowane wszystkim sprzymierzonym, których rady zasięgnie cesarz jak należy w tym wypadku postąpić. Przy tej sposobności starał się Sedlnitzky, w rozmowie z Nikitinem wybadać go, jakie będzie stanowisko cara w sprawie pokojowej i doszedł do

---

nadw. wiedeńskiem w dziale Turcica 1698. Propozycye te pomieszczone są również w tłumaczeniu rosyjskiem w Pam. dipl. snosz. t. VIII. str. 1281, 1282.

[1]) Haus- Hof- u. Staats-Archiv Turcica 1698. Z protokołu konferencyi z dnia . . . . . 1698 z powodu listu Pagetta proponującego pośrednictwo Anglii. Ad 5. Hatt zwar eine Stim vormeindt, man sollte denen Allyrten zumahlen Pohlen und Venedig, von dem enthalt des Pagettischen Briefes nachricht geben und Sie beide Foederatos consultiren, ob alsogleich oder wan hiervon an Moskau Parte zugeben seyn mochte? Dagegen seien die Majora dahin ausgefallen, dass weil bey diesem Werck annoch nichts zeitliges vorhanden, rathsamer währe hievon Ihnen gesambten Allyrten keine Nachricht zu geben und wan ja was hievon an Pohlen und Venedig zubringen währe,
so mit E. K. Mayestät in gleicher Verbündnüss wie die
nicht ohne gefahr verhalten worden könte, dahero
worden, da Sie Allyrten hiernach fragen solten, Ihnen davon kein Mysterium zu machen, wohl aber die Nachricht des Milord
eine zur Zeit ganz unzeitlige Sach

przekonania, o czem zaraz doniósł Kińskiemu, że Rosya nie będzie teraz chętną zawarciu pokoju. Podczas gdy dawniej Rosya uznawała zasługi armii cesarskiej w wojnie z Turcyą i liczyła na nie, teraz chwalił się Nikitin, że zbrojenia cara na lądzie i na morzu wystarczą nawet do zdobycia Konstantynopola. Wobec tego zdaje się, dodaje Sedlnitzky, że oni będą chcieli osiągnąć większe korzyści za pomocą własnej potęgi, należy zatem oczekiwać, że Turcya z tego powodu popadnie w wielkie kłopoty i obawę i że skutkiem tego prawdopodobnie będzie bardzo pragnęła zawarcia pokoju [1]).

Tymczasem w połowie kwietnia nadeszły warunki angielskie do Wiednia. Za podstawę układów miano przyjąć zasadę: *Uti possidetis, ita porro possideatis* jako to proponowano jeszcze w r. 1693 [2]). Ale Turcya nie chciała się wówczas zgodzić na przyjęcie tej zasady. Ponieważ jednak w tym roku Rosya nie była jeszcze sprzymierzoną z cesarzem, a więc nie należała także do Ligi Świętej, nie było więc o niej żadnej wzmianki w tych propozycyach. Wskutek tego w chwili rozpoczęcia narad pokojowych, w pierwszych propozycyach, nie dodała do artykułów pokojowych, warunków tyczących się Rosyi, ani Turcya ani też Anglia, jakoby im o przystąpieniu jej do Ligi nic nie było wiadomem. Ze strony

---

[1]) Haus- Hof- u. Staatsarchiv Turcica 1898 März. Z listu Sedlnitzkiego do Kinskiego z dnia 25. marca 1698 . . . . . Woraus fast so viel mir scheint, dass man sich ihrerseits nunmehro auf die eigene macht undt experient auch andere Vortheile verlassen thun und ist wohl zuerwarten, dass die Porten dessentwegen wirklich in grosse aprehension undt Forcht gesezet undt Vermuthlich hiedurch hauptsächlich zur dem Friedens Gedanke obligiret wirdt.

[1]) Dowiadujemy się o tem z wypisu z listu Pagetta do Kinskiego z dnia 23. stycznia 1698, umieszczonego w Pam. dipl. snosz. t. VIII. str. 1342—1345: Въ 25. день прошлаго былъ я на розговорехъ долгихъ и пріятливыхъ съ везиремъ, и между иными я ему говорилъ, что онъ уже освѣдомился королю моему государю прежде сего приносшу чресъ мене посредствіе мира между сим государствомъ и онымъ Нѣмецкимъ, и что я зѣло удивился ни единаго воспріявъ отвіта на предложеніе, данное на писмѣ въ 1693 году. Везирь вопрошая мене: естьли я еще хощу воспріять отвітъ на сіе предложеніе? я ему сказалъ, что такъ, толко, чтобъ оный отвѣтъ давъ былъ на писмѣ . . . . . Въ 29. день господинъ Маврокордатъ пришелъ ко мнѣ въ домъ и говорилъ мнѣ, что везирь хощетъ дать отвѣтъ на мое предложеніе подъ основаніемъ онаго реченнаго (t. j. z r. 1693), яко владѣете, стяжете и црочая.

Anglii mogło to być zapomnieniem, ponieważ król angielski pozostawał w ścisłych stosunkach z carem [1]).

Inaczej zapatrywał się na tę sprawę dwór austryacki. Na konferencyi odbytej dnia 15. kwietnia rozważano także i to pominięcie Rosyi w przedłożeniach pokojowych i postanowiono, że, chociaż cesarz na mocy zawartego przymierza nie jest tak dalece zobowiązany względem Moskwy jak względem Polski i Wenecyi, to jednak należy donieść jej o wszystkich propozycyach, które nadeszły z Anglii, a zarazem wyrazić życzenie Pagettowi, aby przyczynił się do ułatwienia układów rossyjsko-tureckich [2]).

Wskutek tego odniósł się Kinsky z usilną prośbą do Pagetta, aby starał się usunąć tę wielką przeszkodę, która powstała z ominięcia Rosyi w propozycyach Porty [3]).

Turcya, która nie chciała przyjąć do prowadzonych negocyacyj z Ligą, Rosyi, odpowiadała na te propozycye, że dalekie oddalenie Rosyi przyczyni się nie mało do przewleczenia układów, utrudni bowiem szybkie doprowadzenie do skutku pokoju [4]).

---

[1]) Dowodem tego protokół z konferencyi wiedeńskiej z dnia 15. kwietnia, na której Kaunitz postawił wniosek, aby zwrócić się przez umyślnego kuryera do Wilhelma III., by tenże „vermög bei den Tzar habenden grossen Credits“ starał się nakłonić cara do pokoju. Na marginesie zaś protokołu sam Leopold dopisał: „....dahero mir gefallen lasse, dass ohne verzug ein Courier in Englandt geschickt werde, und durch den König von Englandt den Tzars reproesentiret, Er zu dem Frieden zu disponiren gesuchet werde“. Widać więc, że obaj monarchowie, car Piotr i Wilhelm pozostawali w przyjaznych stosunkach. H. H. u. Staatsarchiv Turcica 1898 April.

[2]) Ibidem.... Hat man ex religione foederis zu seyn befunden, dass nit allein an Moscau von dem, was aus England kommen, parte zugeben, sondern auch dem Englischen Gesandten Paget und hierinfals die behörige Vermittlung bei der ottomanischen Pforte zu facilitiren, zuzuschreiben und solche Moscovitische bewandtnus ihm Paget zu entdecken seye. Jest to ustęp z protokołu tej konferencyi. Na marginesie tego protokołu dopisał Leopold własnoręcznie, że życzy sobie „dass man mit Moscau und Pohlen nit contra Foedus handle“.

[3]) Kinsky pisze do Pagetta pod datą 24. kwietnia 1698. .....L'empechement qui vient de l'omission des Moscovites dans la proposition de la Port' est grand et je prevois, que V. E. trouvera de la peine pour y remedier, cependant l'obligation de l'alliance contractée Nous oblige à procurer, qu'il s'en fasse mention et cela se pouvant obtenir des Turcs la difficulté de s'accomoder et accorder la, dessus sera beaucoup amoindrie.

[4]) Alexander Maurocordato, wielki tłómacz turecki, pisze dnia 7. maja 1698 do Pagetta i Coliera: ....E dico che l'evidente distanza con

## III.

Car Piotr w Wiedniu. — Uchwała dworu cesarskiego w kwestyi postępowania z nim. — Konferencya cara z Kinskim. — Warunki pokoju stawiane przez Piotra. — Odpowiedź cesarza. — Car w Polsce.

W czasie tych układów car Piotr bawił poza granicami swego państwa. Odbywał on pierwszą swoją wielką podróż po Europie zachodniej. Planem tej podróży objęty był także Wiedeń, gdzie car przybył dnia 16 czerwca 1698 roku, to jest w czasie, kiedy sprawa pokoju była już na najlepszej drodze. Z carem razem przybyli do Wiednia jego przyboczni ministrowie: generał Franciszek Lefort, namiestnik sybirski Teodor Alexiewicz Gołowin i namiestnik bolchowski Prokop Bogdanowicz Woznicyn. Tworzyli oni wielkie poselstwo cara do mocarstw zachodnio-europejskich, Piotr zaś sam podróżował *incognito*, jako jeden z dworzan tego poselstwa.

Car mógł teraz właśnie, prawie, że w przeddzień kongresu, porozumieć się z dworem wiedeńskim, na którym zastanawiano się obecnie, jakie zająć stanowisko i jak przyjąć niezwykłego gościa. Sprawa pokoju stała tu oczywiście w pierwszym rzędzie na porządku obrad. Ale dopiero na konferencyi, odbytej w obecności posła weneckiego dnia 23. czerwca postanowiono, aby *quo ad substantiam* pokoju, nie inaczej zachować się wobec Rosyi jak wobec Polski. Nie była to decyzya dostateczna. Cesarz Leopold dopisał też własnoręcznie na protokole konferencyi, że należy szybko w tej materyi ułożyć jakąś instrukcyę, aby mógł dać ją deputacyi wyznaczonej do układów, skoro car, jak spodziewać się należy, napierać będzie osobiście na ostateczne zdecydowanie sprawy [1]).

---

la Moscovia apporta la necessità di longhezze et intervalli di tempo, e l'istesso puotra essere anaggionata dalle presenti dissensioni di Polonia, onde per rimovere gliostacoli, quando sopra gli affari di pace della polonica e della Moscovia si trovassero ò con articoli, ò con altre forme, maniere convenienti alla loro inclusione alla pace á tempo determinato dalle parti sarebber' accettate dalla Felice Porta e questo Servirà per ulteriore dichiaratione con che mi affermo Dell' Ecc. Haus- Hof. u. Staatsarchiv Turcica 1698 Mai p. 11.

[1]) Protokół konferencyi z dnia 23 czerwca 1698 w Haus - Hof und Staatsarchiv Turcica v. Juli 1698. Na boku dopisał sam Leopold własnoręcznie: Ich thue dieses guttachten in allem (ustęp odnoszący się do innych spraw). Und weilen den Tzar nunmehro alhir

W istocie car wkrótce po swojem przybyciu do Wiednia wysyła pismo do Kinskiego z zapytaniem, jakie są plany cesarza, czy chce on prowadzić dalej wojnę z Turkami, czyli też zawrzeć z nimi pokój, a jeżeli decyduje się na zawarcie pokoju, to pod jakimi ma on stanąć warunkami; a wreszcie jakie są przedłożenia samej Turcyi w kwestyi zadowolnienia cesarza i jego sprzymierzeńców [1]).

Nad odpowiedzią carowi, zastanawiano się na konferencyi z dnia 30 czerwca i postanowiono donieść jemu, albo raczej jego ministrom przybocznym, przez najwyższego kanclerza Kinskiego, kiedy będą na posłuchaniu u cesarza, to samo, co zakomunikowanem będzie także dworowi polskiemu. Miało to się stać dopiero po odprawieniu sekretarza posła angielskiego Pagetta, aby carowi przedstawić sprawę jako już zdecydowaną, a to z tego powodu, aby Moskale nie odrzucili którego z warunków przysłanych przez Pagetta, opierając się na tem, że sekretarz posła angielskiego znajduje się jeszcze we Wiedniu, co mogłoby odwlec odesłanie tego sekretarza. Można było spodziewać się tego tem bardziej, że także król polski odwoływał się do porozumienia się z carem, który mógł znowu żądać odwołania się do króla Polski, skutkiem czego musianoby sekretarza jeszcze dłużej w Wiedniu zatrzymać, co naraziłoby pośredników na wiele przykrości, całą zaś sprawę pokoju na niebezpieczeństwo cofnięcia się Turcyi od układów [2]).

Tak też istotnie uczyniono. Już 3 lipca, zatem w przeddzień wizyty u cara, pisał Kinsky, niewątpliwie przez tego sekretarza do Pagetta, że zawiadomi go za kilka dni o negocyacyach z carem i zapewniał, że cesarz godzi się na owo *uti possidetis*. Gdyby Turcy je przyjęli, nie uważałby nawet za konieczne czynić tego przedmiotem obrad kongresu. Dodawał w końcu, że cesarz pragnąc, aby wszystkie warunki były dokładnie w szczegółach określone,

---

ist, und scheinet derselbe werde das negotium urgiren wollen, alss solle diese Deputation so baldt es seyn kan deliberiren. wie mit selbiger zu tractiren und in dieser materia mit Ihm umbzugehen seye? damit sodan der jenige, den Ich deputiren werde, mit den Tzar selbsten oder mit dessen Gesandtschaft, dieser völligen Deputation das mehrerer abhandeln möge.

[1]) Punkta te znajdują się w Haus-Hof- u. Staatsarchiv Turcica von Juli 1698, również w Ustriałowa: Istoria carstwowania Pietra W. t. III. str. 127.

[2]) Ulterior conferentia circa pacem cum Turcis 30. Juni 1698. H. H. u. Staatsarchiv l. c.

dołożył wspólną deklaracyę, celem ułatwienia dojścia pokoju do skutku, ażeby na kongresie układano i godzono się także na zasadzie ewakuacyi (t. j. krajów) burzenia (t. j. twierdz) lub zamiany [1]).

Dopiero tedy po odesłaniu sekretarza Pagetta dnia 4 lipca, udaje się Kinsky osobiście do cara i donosi mu, że cesarz na nalegania pośredników t. j. króla angielskiego i Stanów Holandyi, zamierza zawrzeć pokój na warunkach, któreby obowiązywały także sprzymierzonych z nim t. j. *uti possidetis ita porro possideatis*. Cesarz nie zawrze — zapewniał kanclerz cara — pokoju, któryby nie obejmował sprzymierzonych, na dowód czego przedkłada kopie rozmaitych pism, świadczących, że dwór wiedeński przestrzegał zawsze interesów państw z nim sprzymierzonych, a w szczególności interesów Rosyi [2]).

Piotr wysłuchał przedstawienia Kinskiego, ale odpowiedź na nie obiecał dać pisemnie. Dodał wszakże, że pragnie uzupełnić ją później także ustnemi uwagami i w tym celu zaprasza Kinskiego do siebie na dzień 5 lipca o godzinie 11 rano [3]).

W tym też dniu, w którym Kinsky zjawił się w oznaczonym czasie u cara przystąpiono do układów pokojowych [4]). Na samym wstępie zauważył car, że nie wątpi, iż cesarz ma ważne powody, dla których skłania się ku pokojowi, powinien był jednak o tem swojem pokojowem usposobieniu uwiadomić wiernych swoich

---

[1]) L. c. List Kinskiego do Pagelta z dnia 3 lipca 1698.

[1]) W Haus-Hof u. Statsarchiv wiedeńskiem w dziele Turcica Juli 1698 znajduje się następujący spis tych dokumentów: 1) Extrait Milord Pagets Schreiben dtto 23 Jan. 1698, 2) Copiae litterarum Supremi Vesirii ad Regem Angliae, 3) Interpretatio scripti continentis puncta pacis, 4) Copiae litter. Regis Angliae ad Suam Mttem Caesam dtto 12/3 98, 5) Copiae litter. Statuum Generalium ad S. M. Caesam dtto 31/3 98, 6) Copiae litter. Suae Excellae Kinsky ad Pagett 24 april 1898 scripturam ostensibilium, 7) Litterae Suae Mttis Caesae ad Tzarum dtto 23 april., 8) Konwolut aktów zawierający: 1) Litter. Pagatt et Coliers ad S. Exam (Kinsky) dtto 19 May; 2) Risposta del G. Vesirio; 3) Declaratio Maurocordati dtto 7 mai; 4) Plenipotentia pro Sua Exa ad subscribendam declarationem dtto 23 Junii; 5) Plenipotentia pro legato Veneto dtto 17 Junii; 6) Declaratio in Turciam facienda.

[1]) W H. H. u. Staatsarchiv, Turcica Juli 1608 znajduje się bardzo dokładna relacya samego Kinskiego o tej konferencyi z carem.

[1]) Tamże.

sprzymierzeńców — w szczególności cara — aby oni mogli zastosować się do nowego położenia rzeczy [1]).

Kinsky odpowiedział na to, że cesarz zawsze, skoro tylko jakaś wieść z Turcyi nadeszła, nie zaniedbywał donieść jej natychmiast sprzymierzonym, a zarówno i carowi, jak świadczą przedłożone pisma [2]), tak samo czynić to będzie i w przyszłości. Nie można zaś robić zarzutu cesarzowi z tego, że car nie otrzymał pisma, wysłanego pod datą 25 kwietnia do rezydenta jego w Warszawie. Po tem oświadczeniu kanclerza przystąpił car do samych układów. Z propozycyi pokojowej wielkiego wezyra — rzekł on — widać, że Turcy dają cesarzowi żądane przez niego *uti possidetis*, a skoro on się tem zadowolni, nie można spodziewać się niczego innego na korzyść sprzymierzonych. Cara kosztowało wiele milionów uzbrojenie floty, nie może on zatem zgodzić się teraz na propozycye tureckie, lecz jest zmuszony prosić cesarza, aby tak długo zwlekał z zawarciem pokoju, dopóki on i król polski nie poczynią większych zdobyczy i nie będą mogli również przystać na zasadę *uti possidetis*. Cesarz ma racyę, że ogląda się na sukcesyę hiszpańską i pragnie otrzymać ją dla siebie; ponieważ jednak niepewną jest rzeczą, jak długo Bóg Wszechmogący utrzyma jeszcze przy życiu króla hiszpańskiego, car sądzi, że z powodu rzeczy przyszłych nie należy zaprzepaszczać teraźniejszych, lecz siłą broni powiększać zdobycze. Nie należy obawiać się Turków, ponieważ nie mogą oni w obecnej sytuacyi wtargnąć do dziedzicznych krajów cesarskich z większą potęgą. Stracili zaś oni tak wiele, że nie dotrzymają warunków pokoju, lecz chwycą za broń, kiedy cesarz będzie walczyć z Francyą o sukcesyę hiszpańską, a może nawet skutkiem tej walki będzie osłabionym. Wtedy będzie o wiele trudniej sprzymierzonym obecnie z cesarzem dopomódz mu, co ułatwi nieprzyjacielowi powetowanie strat, tem bardziej, że granice cesarskie na Węgrzech nie są należycie umocnione.

---

[1]) Dziwnem jest to twierdzenie wobec tego, że car był o wszystkiem uwiadomiony. Dowód na to znajduje się w relacyi Sedlnitzkiego z dnia 4 sierpnia 1698 (H. H. u. Staatsarchiv.), w której nadesłał on kartkę pisaną po polsku, a otrzymaną od rezydenta carskiego w Polsce. „Maia dwudziestego trzeciego po nowemu, z Amsterdama pisali Posły cara IMci, że list Cesarza IMci oznajmujący o pokoju Tureckim y pszy nim copij z inszych listów doszli do nich tegoż Maia 21“.

[2]) Mowa tu o wyżej wyliczonych pismach, które Kinsky przedłożył carowi dnia 4 lipca.

„Po wysłuchaniu tego wszystkiego, pisze Kinsky w relacyi złożonej cesarzowi z rozmowy z carem, ponieważ respekt nie dozwalał zapuszczać się w szczegóły, oznajmiłem grzecznie, że nie zaniedbam o wszystkiem tem zdać sprawę Waszej Cesarskiej Mości, musiałem jednak zaraz zaznaczyć, że z tem wszystkiem należy także oglądać się i na to, co się już stało, albo jeszcze w przyszłości się stanie". Następnie przeszedł Kinsky po kolei podniesione przez cara zarzuty: Sprzymierzeni nie mogą uskarzać się na cesarza, ponieważ dotychczas nic nie uczyniono stanowczego dla pokoju, a zaproponowane przez Turków *uti possidetis* nie jest jeszcze wcale oficyalnie przyjęte przez cesarza i jego sprzymierzonych, gdyby zaś przyjętem nie zostało, nie będzie też mowy o kongresie pokojowym. W razie zaś przyjęcia tych propozycyi, cesarz nic lepszego nie może zrobić, jak oddać sprawę do załatwienia kongresowi, ponieważ w ten sposób zadowolni Niemcy, Hiszpanię, Anglię, Holandyę, a nawet cały świat chrześciański, który żąda pewnego i zaszczytnego pokoju. Wojna turecka prowadzona już przez lat piętnaście, jeszcze zanim car do niej przystąpił kosztowała cesarza bardzo wiele milionów.

Jego Cesarska Mość i Rzeczpospolita wenecka, umawiając się o *uti possidetis*, stawiali dotychczas zawsze i we wszystkiem na równi i innych sprzymierzonych t. j. Cara i Polskę i żądali dla nich przyznania poczynionych zdobyczy, na co Turcy mogliby się zgodzić tylko w obecnem położeniu rzeczy. Może zaś car poczynił w tym czasie znaczne zdobycze na Turkach, tak samo jak na Tatarach o czem powszechnie wiadomo. W takim razie możnaby już z góry cieszyć się na ich utrzymanie przez owo *uti possidetis*.

Należy dalej uwzględnić i to, że chociażby nawet kongres miał dojść do skutku, nie można samych stypulacyj uważać już za zawarcie pokoju, ponieważ wprzód musi być *uti possidetis* ułożone i przyjęte, poczem dopiero nastąpi w praktyce uregulowanie i wyraźne określenie granic — a to wszystko zajmie wiele jeszcze czasu. Jeżeliby więc car mógł teraz zrobić użytek z swej broni, miałby na to dość czasu. Ale raczy zważyć, że wynik każdej wojny jest wątpliwy i zamiast spodziewanych korzyści, czasem szkodę i ruinę przynosi. Znając zaś propozycyę zaszczytnego i korzystnego pokoju, należy obawiać się odpowiedzialności za daremnie przelaną krew ludzką. O zgubnych skutkach pokoju, mówić jeszcze zawcześnie, ponieważ warunki jego są nieznane i dopiero na kongresie pokaże się, czy będzie on korzystny.

W każdym razie, gdyby z pomocą Bożą można dojść do zawarcia pokoju, każdemu z sprzymierzonych danoby sposobność zabezpieczyć sobie dostatecznymi środkami posiadanie tego co zdobył.

Wysłuchawszy tej przemowy zażądał car jeszcze raz, aby mu Kinsky wymienił tych sprzymierzonych, którzy przedewszystkiem nalegają na zawarcie pokoju. Kinsky odpowiedział, że głównymi inicyatorami tej sprawy są: państwo Rzymskie, Hiszpania, Anglia, Holandya, a nawet cały świat chrześciański. Na to zauważył car, że cesarz przekonał się o wierności i stałości Anglii i Holandyi w ostatniej wojnie z Francyą, w której oni opuścili go i do zawarcia pokoju przynaglili i że na nich nie można liczyć, jako na takich, którzy dbają tylko o korzyści swego handlu, reszta zaś, a zwłaszcza to, co przyniosłoby korzyść i innym sprzymierzonym, nic ich nie obchodzi. Poczem prosił jeszcze Kinskiego, aby o tem wszystkiem doniósł cesarzowi i wręczył mu warunki, na jakich mógłby zgodzić się na zawarcie pokoju, przyczem zaznaczył, że nie da się w nich prawie nic zmienić.

W akcie tym, wielkiej doniosłości w przebiegu układów pokojowych car Piotr, podziękowawszy cesarzowi za szczerą życzliwość, a szczególnie za zmuszenie Turcyi do uwzględnienia Rosyi w przedłożeniach pokojowych, wyraża życzenie, aby z pomocą Bożą zawarty pokój przyniósł korzyść i bezpieczeństwo całemu światu chrześciańskiemu przez położenie pewnych i stałych podstaw pokojowych, tak, aby nieprzyjaciel wzmocniwszy się później, przy dogodnej sposobności nie mógł wyrządzić szkody Jego Cesarskiej Mości lub innym sprzymierzonym. Z tego powodu jest rzeczą stanowczo konieczną, aby obok innych wojennych zdobyczy nieprzyjaciele odstąpili carowi twierdzę Kercz. Turcy bowiem mając tak blisko nieprzyjaciela, nie będą mogli ani z carem, ani z cesarzem rozpoczynać wojny. W przeciwnym razie pokój nie będzie nigdy trwałym, ponieważ właśnie tam mieszkający Tatarzy, których niestałość jest dobrze znaną, będą nawet w czasie pokoju napadać na sprzymierzonych, a przedewszystkiem z powodu niewielkiego oddalenia, na kraje cara i je pustoszyć, wskutek czego zamiast korzyści, car będzie musiał utrzymywać ustawicznie wojsko w pogotowiu. Gdyby więc nieprzyjaciel nie chciał dać carowi twierdzy Kercz, to cesarz raczy wraz z innymi sprzymierzonymi prowadzić wojnę, wedle brzmienia obowiązującego aliansu, jeszcze przez dwa lata, a przynajmniej przez rok t. j. do 1701 roku. Car ma nadzieję, że w ciągu tego czasu przy pomocy wojsk jego i innych sprzymierzonych będzie można odnieść o wiele większe

korzyści nad nieprzyjacielem. Wtedy zaś pokój będzie mógł stanąć nie mniej łatwo jak obecnie, a sprzymierzeni otrzymają zupełne zadośćuczynienie [1]).

Przebieg tych narad i przedstawione przez cara warunki są najlepszym dowodem tego, o czem już wyżej mówiliśmy, że Piotr zamierzał teraz prowadzić wojnę dalej i spodziewał się po niej znacznych dla Rosyi korzyści. Stawiając bowiem żądanie, by Turcya odstąpiła mu prócz zdobytego już Azowa i małych grodów naddnieprzańskich twierdzę Kercz, jeden z największych portów Morza Czarnego, dający mu nieograniczoną władzę nad cieśniną Azowską, a zatem poniekąd i nad morzem Azowskiem, obalał *uti possidetis* główną niejako zasadę układów pokojowych, do których, dodajmy, zaledwie że zgodzono się przypuścić Rosyę. Nie można też było spodziewać się, ażeby W. Porta, chociaż pokonana, przy grożących w Europie zawikłaniach, w przededniu wojny sukcesyjnej hiszpańskiej zgodziła się na takie warunki, lub ażeby medyatorowie chcieli nakłaniać ją do ich przyjęcia.

Tak też zapatrywał się na to kanclerz Kinsky, kierownik polityki austryackiej i dlatego przedkładając cesarzowi sprawozdanie z konferencyi z carem, proponował, ażeby dać Piotrowi odpowiedź wymijającą, nie wdając się w żadne szczegóły i nie wiążąc się niczem do uczynienia zadość żądaniom rosyjskim. Cesarz wyrazi swą wdzięczność carowi za jego serdeczne uczucia, przyzna mu, że tak myśl zawarcia pokoju, jak i dalsze prowadzenie wojny mają swoje *pro* i *contra* wymagają gruntownego namysłu; zapewni go wreszcie, że nie uczyni nic, bez poufnego zakomunikowania sprzymierzonym, owszem postępować będzie ściśle wedle brzmienia warunków przymierza [2]).

Odpowiedź dana carowi zredagowaną była w tym samym duchu, tylko jeszcze bardziej stanowczo. Przemawia ona za polityką pokojową, co się zaś tyczy żądania Kerczu, wynika z niej jasno, że cesarz nie będzie popierał tego warunku Rosyi.

Odesłaną została ona carowi dnia 7 lipca. Cesarz zapewnia na wstępie Piotra o swej życzliwości. Następnie oświadcza się za zawarciem pokoju, ponieważ żadna potęga świata nie mogłaby długo i z jednakową gorliwością prowadzić tak kosztownej wojny,

---

[1]) Warunki pokoju przedłożone przez cara dnia 5 lipca 1698. H. H. u. Staatsarchiv Turcica Juli 1698.

[2]) H. H. u. Staatsarchiv. Konferencya Kińskiego z carem.

a cesarz obok Rzeczypospolitej weneckiej dźwigał prawie cały jej ciężar przez lat 15 na swoich barkach. Leopold uznaje, że car ma wiele ważnych przyczyn do żądania twierdzy Kercz, przewiduje jednak wielkie i niepokonane trudności, jakie ta sprawa nastręczy. Sprzeciwia się to bowiem z jednej strony zaproponowanej zasadzie pokoju, t. j. *uti possidetis*, z drugiej zaś strony Turcy nie zwykli oddawać drogą pokojową swoich posiadłości. Ponieważ jednakże do zawarcia pokoju nie przyjdzie tak rychło, car więc mając w pogotowiu wojsko mógłby jeszcze zdobyć tę twierdzę, w którym to razie cesarz starałby się o odstąpienie jej Rosyi. Zresztą obowiązuje się Leopold tylko do ściśłego wypełniania warunków przymierza [1]).

Na tem skończyły się narady z carem. W Rosyi wybuchł właśnie bunt strzelców, skutkiem czego Piotr musiał spiesznie wracać do kraju. W powrocie przejeżdżał przez kraje Polski, gdzie też w Rawie Ruskiej zjechał się z Augustem II, królem Polski.

Cesarz Leopold, któremu wiele zależało na tem, by dowiedzieć się, co ci obaj monarchowie postanowią w sprawie pokoju, poleca pełnomocnikowi swemu na dworze polskim, Karolowi Sedlnickiemu, aby starał się wybadać, jakie zamiary ma car i Polska w sprawie pokoju i na co po wspólnej naradzie zdecydują się [2]).

Odpowiadając na to polecenie, zaznacza Sedlnitzky [3]), że zdaniem jego, gdyby car z królem Polski wzięli się za ręce, to cesarz miałby wiele trudności w doprowadzeniu dzieła pokoju do skutku. Jednakże połączenie się tych dwóch monarchów, jak się

---

[1]) Ibidem l. c. Copia resolutionis Caesareae ad propositionem Legati Moscovitici die 7 Julii tradita.

[2]) H. H. und Staatsarchiv l. c. Pismo Leopolda I. do hr. Sedlnickiego rezydenta cesarskiego w Warszawie z dnia 20. lipca 1698: ...„Demnach wir nöthig zu sein erachten, dir dasjenige zu deiner Nachricht und direction, zu zuschicken, was durch den Gr. Kinsky mit Tzarn in Moscau, wegen dess mit den Türkhen obhandenen Friedens gehandelt worden; so hast solches alles hierbey zu empfangen und ist zugleich unser gnädigster Befehl, weilen zu vermuthen, dass gedachten Tzaren Mtt, in dero Durchreise zu Warschau, von diesem negotio ebenfals mit des Königs in Polen Mte und der Republikh, sich vornehmen werden, dass du auf alles genau acht haben, und sowohl des Tzarn, als auch der Pohlen, hierbey führendes absehen zuerforschen trachten, und was vor allem, ohne Zeit Verlusst gehorsambst berichten solst; wir zu deiner dexterität was gnädigst vorsehen, und mit kayserlichen Gnaden dir wolgewogen verbleiben. *Leopold.*

[3]) Ibidem, Relacya Sedlnickiego z dnia 4 sierpnia 1698.

spodziewa pełnomocnik cesarza, nie dojdzie do skutku, ponieważ Polacy nie chcą ratyfikować na sejmie pokoju Grzymuttowskiego, lecz owszem pragną odstąpione tym pokojem kraje, choćby wojną, Rosyi odebrać. Z tego też powodu wątpi Sedlnitzky, czy nastąpi zjazd tych obu monarchów, ponieważ zapewne, car, pomimo własnoręcznego zapewnienia, w obecnych okolicznościach nie zechce tego uczynić.

Pełnomocnik cesarza jednakże mylił się zupełnie w swoich przypuszczeniach. Car Piotr zjechał się z królem Augustem w Rawie ruskiej, gdzie w ciągu trzydniowego wspólnego pobytu (od 31 lipca do 3 sierpnia 1698 r.), zawarli obaj monarchowie tajne przymierze przeciw Szwecyi [1]). Wywierało to stanowczy wpływ na stanowisko ich w układach o pokój z Turcyą, ponieważ zajęci wojną północną musieli dążyć do bezwarunkowego zawarcia pokoju z W. Portą.

## IV.

Prokop Bogdanowicz Woznicyn pełnomocny poseł rosyjski w Wiedniu. — Charakterystyka. — Pierwsza konferencya z ministrami cesarskimi, dążenia Rosyi do zerwania układów. — Woznicyn decyduje się udać na kongres. — Narady z legatem polskim. — Z posłem weneckim. — Z ministrami cesarskimi. — Charakterystyka działalności Woznicyna w Wiedniu.

Po wyjeździe cara z Wiednia, objął z jego polecenia dalsze prowadzenie układów, Prokop Bogdanowicz Woznicyn, wielki i pełnomocny poseł rosyjski [2]).

---

[1]) Ustriałow: Ist. carstw. Petra Wielikago tom III, str. 185, 186. — Кабинет, дѣла Отд. I кн. 63. Помѣта на докладѣ: „По сему реестру Его Величество слушалъ и что надлежало правилъ въ 28 день генваря 1723 въ Преображенском". Реестръ начинает ся статьею: о первом свиданіи съ королем Полским в Равѣ.

[2]) Plenipotencya dana Woznicynowi brzmi: Podajemy do publicznej wiadomości i tem pismem stwierdzamy, że gdy między nami i naszymi sprzymierzonymi z jednej, a Portą Ottomańską z drugiej strony, w celu traktowania pokoju jest droga otwarta, ponieważ nie chcemy usuwać się od tego, dajemy i pozwalamy Jaśnie Wielmożnemu wielkiemu posłowi, tajnemu naszemu radcy i namiestnikowi Bolchowskiemu, Prokopowi Bogdanowiczowi Woznicynowi, pełną i absolutną władzę i moc na ustanowionym kongresie podpisać i pieczęć przyłożyć, dobry

Woznicyn, człowiek dumny i gwałtowny, dbający bardzo o honory i zaszczyty, należące mu się jako wielkiemu posłowi, nie sprawował sam zbyt zaszczytnie swego poselstwa. Brakło mu w znacznej mierze cywilizacyi zachodnio-europejskiej, znać w nim było syna dzikiej prawie jeszcze północy. Na pełnomocników innych państw napada na każdym kroku gwałtownie bez względu na to, czy ma racyę czy nie. Pośrednictwo posłów angielskiego i holandzkiego i zasadę pokoju *uti possidetis*, raz uznaje, to znów w tej samej prawie chwili wypiera się tego, twierdząc, że nie ma na to upoważnienia od cara. Słowami wyrzeka się pośredników, a skoro tylko potrzebuje czego, nie waha się zwrócić do nich z prośbą. Na posiedzeniach i konferencyach z Turkami trzyma się ostro i dumnie, a w swej zakulisowej korespondencyi z nimi zniża się nawet do pokornej prośby. Karol Ruzzini, pełnomocny poseł Wenecyi na kongresie karłowickim pisze o nim: Dumnyj sowietnik ambasador moskiewski w swojem prezentowaniu się i w sposobie obejścia się miał coś grubiańskiego z niecywilizowanego charakteru swego narodu. Obcując z Turkami okazywał pewną wyższość i jakby lekceważenie. Krótko odpowiadał na długie wywody Maurocordaty i to zdawało się, że tylko ze względu na ceremoniał zwraca na niego uwagę. To jednak nie uczyniło go szczęśliwszym w jego negocyacyach, owszem musiał je zakończyć nie bardzo korzystnymi warunkami [1]).

---

i dla nas korzystny pokój z Portą Ottomańską i o wszystkie nasze korzyści i zyski, zarówno z pełnomocnymi posłami naszych sprzymierzonych traktować, co nawzajem będzie również danem i od ministrów Porty — obiecując naszym Carskiego majestatu słowem, że wszystko to co wyżej wspomniany pełnomocny Nasz Poseł ustanowi i na co zgodzi się, chcemy i będziemy powinni stale i nienaruszenie zachowywać, co stwierdzamy mocą tego pisma naszą pieczęcią przypieczętowanego. Dan w dworze naszym w wielkiem mieście Moskwie roku od stworzenia światu 7206 miesiąca czerwca 19 dnia. Panowania naszego roku 16. (Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 3 i 4; H. H. Staatsarchiv Turcica November II Hälfte nr. 35.

[1]) Fontes rerum austriacarum tom XXVII: Die relationen der Botschafter Wenedigs über Deutschland und Oesterreich im XVII Jahrhundert. II tom str. 378: Dumno Bolchia Ambasciator Moscouita nella prezenza, et anco nel maneggio teneua qualche cosa di rozzo, e del genio non polito della Natione. Spiegaua co'Turchi una cert'aria di superiorità e quasi di sprezzo. Breuemente rispondena à prolissi discorsi del Cordato; e questo per il rispetto del Rito, pareua tenessere uerso di lui alcun'attentione. Ciò però non lo rese più felice ne' suoi negotiati,

KASA ... TOWARZYSTWA ...

Cesarscy pełnomocnicy uskarzali się ciągle na niego. W swych relacyach do cesarza nazywali oni postępowanie Woznicyna nieustałem, nieformalnem, grubiańskiem, jego zaś samego człowiekiem niespokojnym, o wstrętnym humorze, a nawet potworem [1]).

Tem samem więc i jako polityk nie mógł być Woznicyn bardzo odpowiednim do prowadzenia tak ważnych negocyacyj. Zobaczymy, że w ciągu całego czasu, w którym funkcyonuje jako pełnomocnik rosyjski, nie uzyskał prawie ani jednej większej korzyści dla siebie, chociaż stawiał ustawicznie żądania. W drobnych sprawach ustępowano mu, w ważniejszych natomiast musiał on ustąpić. Najlepsze świadectwo jednak daje Woznicynowi sam ten fakt, że nie zdołał zakończyć pomyślnie pertraktacyi karłowickich i zawarł tylko zawieszenie broni na lat dwa, podczas gdy inni pełnomocnicy zawarli korzystne dla swych władców pokoje.

Po wyjeździe cara, upełnomocniony do dalszego prowadzenia układów pokojowych, notyfikując to Kinskiemu (dnia 4. sierpnia), prosił go Woznicyn o zawiadomienie wszystkich ministrów cesarskich, biorących udział w naradach, o jego misyi, a nadto, aby przed rozpoczęciem narad dopuszczony był do audyencyi u cesarza, narady zaś, aby były wyznaczone już na najbliższy dzień. Do tak sformułowanych żądań dodawał jeszcze zuchwale, aby przysyłano po niego cesarską karetę, a po jego dworzan kilka powozów senatorskich, by przyjmowano go w wielkiej sali audyencyonalnej, a urzędnicy cesarskiej kancelaryi witali go u karety,

---

quanet'anzi douè terminarli con estraordinarij, e forse non proficui espedienti".

[1]) W relacyi do cesarza z dnia 8 listopada piszą Oettingen i Schlick: ...Nichts destoweniger so ereingnen sich doch fast täglich mit dem hier anwesenden Moscovitischen gesandten neu und darley Aufstöss, dass die Sache in die Länge nit wirdt also dauern können, immasen dieser Mann in seinem thuen ganz Unbeständig und Unformblich procediret...

W relacyi zaś z dnia 12 listopada piszą mi między innemi: „...Nebst dem ist er aufs neue mit villen Grobheiten, auch auf den Competenc Stritt gekomben..."

W dyaryuszu zaś pisanym przez jednego z sekretarzy poselstwa austryackiego znajdujemy pod datą 10 listopada następujące zdanie odnoszące się do Woznicyana: „Die guthen Wörther halten wenig, und dörfte man mit kurzem zusagen, dieser mann, sey in ein unbäudiges Thier metamorphosirt", a dalej pod datą 23 listopada: Es bleibet halt darbey dass dieser unthirr leichter auszumannen als zu corrigiren ist". H. H. Statsarchiv Turcica.

ministrowie zaś oczekiwali w drzwiach komnaty, przeznaczonej do narad [1]).

Po wymianie jeszcze kilku pism, przyznano mu wprawdzie żądane honory wielkiego posła, ale cesarz nie udzielił mu na teraz audyencyi, zasłaniając się tem, że także i inni posłowie jej nie otrzymali [2]). Pierwszą zaś konferencyę naznaczono na dzień 9. sierpnia [3]). Komunikujący to Woznicynowi Kinsky przesłał mu zarazem list Pagetta i Coliera z dnia 24 lipca, kredytywę posłów tureckich na kongres i warunki Wielkiej Porty. Pośrednicy donosili, że Turcy chcieliby jak najprędzej przystąpić do narad nad pokojem i w tym celu proszą już o oznaczenie miejsca na zjazd. Spodziewają się oni, że wspólna zasada pokoju t. j. *uti possidetis* będzie bez sporów przez wszystkich przyjęta, o czem przekonywują się także z ostatniego pisma Kinskiego z dnia 4 lipca [4]).

Udzielając tych pism, Dwór austryacki chciał zapewne wpłynąć na posła carskiego, aby tenże nie robił dalszych trudności i przyjął rzecz jako skończoną, nie dającą się odmienić. Ale Woznicyn nie myślał ustępować ze stanowiska zajętego przez cara. Na pierwszej konferencyi z ministrami cesarskimi, wielkim kanclerzem Kinskim, podkanclerzem Kaunitzem i prezydentem rady wojennej Starenbergiem całkiem otwarcie odsłonił właściwe zamiary swego pana. W przemowie swej niedwuznacznie dał do poznania, co i wyżej przytoczone pełnomocnictwo stwierdza, że car dążył do dalszego prowadzenia wojny, a jeżeliby to okazało się niemożebnem i pokój musiał stanąć, pragnął wytargować na nim większe korzyści, niż mu przyznawali sprzymierzeni, a przedewszystkiem nie odstąpić od żądania twierdzy Kercz. Woznicyn zapewniał wprawdzie na konferencyi [5]) o miłości braterskiej cara ku cesarzowi, ale zarazem wskazywał zasługi Rosyi w wojnie z Turcyą. Wspominał zwycięstwa nad Turkami i Tatarami, które cesarzowi przyniosły wielkie korzyści, przyczem nie zapomniał również

---

[1]) Pam. dipl. znosz. I. IX, str. 15 i 16: List Woznicyna do Kinskiego z temi żądaniami.

[2]) Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 17 i sq.

[3]) Ibidem, str. 28.

[4]) Ibidem, str. 30, 33, 36. Turcy podają za podstawę pokoju „uti possidetis“, zastrzegając sobie przy tem prawo żądania rozmaitych demolicyi i ewakuacyi.

[5]) Dokładny protokół tej konferencyi znajduje się w Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 42—47.

wspomnieć o usługach, jakie car oddał cesarzowi w czasie ostatniej elekcyi króla w Polsce [1]). Trzymając się litery przymierza — mówił on — car ma zamiar dla chwały Bożej, dla wspólnej korzyści całego chrześciańskiego świata, a przedewszystkiem dla zadowolnienia swoich sprzymierzonych, prowadzić dalej wojnę przeciw Turcyi na lądzie i na morzu wszelkiemi swojemi siłami. W tym celu wybudował wielkim kosztem flotę i sprowadził do niej wodzów i kapitanów z obcych krajów, w tym celu gromadzi wojsko lądowe, a wielka jego armia ma w przyszłym 1699 roku wyruszyć przeciw Turkom i Tatarom. Tymczasem zaś staczają oddziały rosyjskie ciągłe utarczki z nieprzyjacielem pod Kazykermenem, Azowem i w innych miejscach". Tłómacząc zaś wedle swoich życzeń pisma cesarza — mówił dalej — jakoby cesarz zapewniał cara, że to Turcy pragną pokoju i chcą wysłać posłów na zjazd, cesarz zaś sam nie ma najmniejszej chęci zawrzeć pokoju, ale przecież prosi cara, aby wysłał swoich pełnomocników na kongres. Car nie chce opuszczać żadnej sposobności zawarcia korzystnego i chlubnego pokoju, prosi jednak cesarza i wszystkich sprzymierzonych, aby ten pokój za wspólną zgodą i z uwagą na korzyści wszystkich był zawarty. Jeżeliby zaś Turcya nie zadowolniła któregoś z sprzymierzonych, to lepiej będzie prowadzić wojnę dalej, aby zmusić nieprzyjaciela do spełnienia wszystkich żądań. Poseł cara powoływał się dalej na punkt drugi zawartego w roku 1697 przymierza z cesarzem: „aby w razie zawierania pokoju każdy z sprzymierzonych otrzymał od nieprzyjaciół należne korzyści, za wspólnem porozumieniem oznaczone", i punkt trzeci: „aby żaden z sprzymierzonych na własną rękę pokoju nie zawierał" i twierdził, że w kwestyi przedłożenia pokojowego ze strony Turcyi, powinni się wszyscy sprzymierzeni wspólnie naradzać, powinni wiedzieć, jakiego zadośćuczynienia żąda każdy z nich od Turcyi i powinni się w tej sprawie nawzajem wspierać. Tymczasem tak nie jest. Jeżeliby więc każdy z posłów miał jechać na zjazd nie wiedząc o wymaganiach drugiego, to będzie to przeciwne przymierzu i nie przyniesie korzyści sprawie pokoju, ponieważ w tym wypadku posłowie nie będą mogli wspólnie postępować, a tem

[1]) Po śmierci Sobieskiego kandydowali o koronę polską Elektor Saski Fryderyk August, za którym był cesarz i kandydat francuski ks. Ludwik de Conti, którego popierała Turcya. Rosya oświadczyła się za elektorem saskim i przysłała mu nawet armię swoją w pomoc.

samem nie doprowadzą dzieła pokoju do skutku, ku powszechnemu zadowoleniu.

Z całego przedstawienia rzeczy przez posła rosyjskiego wynikało to jedno niewątpliwie, że pragnął on już w Wiedniu, uzyskać zapewnienie spełnienia żądań cara, albo też układów, któreby przewlokły dojście kongresu do skutku, a tem samem dały Piotrowi więcej czasu do rozwinięcia operacyj wojennych. Wprost przeciwnem było, jak wiemy, stanowisko cesarza i Wenecyi. Zwłaszcza cesarz pragnął jak najrychlejszego zawarcia pokoju, a dyplomacya austryacka musiała dążyć do usunięcia przeszkód, które Rosya stawiała teraz uparcie kongresowi. Zgodne z tem stanowisko zajął Kinsky na konferencyi. Odpowiedział zatem krótko na wywody Woznicyna, że porozumiewanie się posłów przed kongresem jest zupełnie niepotrzebne na nim bowiem będzie mógł każdy stawiać swe żądania. Na to powołał się Woznicyn znów na wspomniane punkta przymierza, skutkiem czego Kinsky wyjaśnił mu, że sprzymierzeni mają już wspólną zasadę pokoju t. j. *uti possidetis*. Jeżeliby zaś który z nich pragnął otrzymać coś ponad to, będzie mógł starać się o to na zjeździe, tem bardziej, że ta zasada *uti possidetis* jest poniekąd bramą i główną podstawą pokoju. Nie trafiło to do przekonania Woznicynowi, ponieważ, jak mówił, Turcy przedłożyli *uti possidetis* jako zasadę pokoju, idąc tylko za wolą cesarza, a nie za wspólną zgodą sprzymierzonych. Dla cara nie ma ta zasada żadnej wartości i on nie może zawrzeć pokoju z Turcyą, na tem tylko jednem słowie polegając Dlatego byłoby pożądaną rzeczą, aby dla zawarcia korzystnego pokoju z nieprzyjacielem, uchwalić już na dworze wiedeńskim, w jaki sposób należy przystąpić do tej sprawy, tak aby wszyscy sprzymierzeni otrzymali należytą satysfakcyę. Bez tego — oświadcza Woźnicyn — on nie może jechać na kongres. Sprawa cesarza z Turkami jest wprawdzie jasna i krótka; Turcy dają to, czego cesarz żąda, on jednakże mógłby mieć wielkie trudności w zawarciu pokoju.

Poseł rosyjski więc, stawiał kwestyę niejako na ostrzu miecza: Rosya żąda albo uwzględnienia jej pretensyi, albo też nie przystąpi do kongresu. Uwzględnienie zaś warunków rosyjskich przez cesarza musiałoby z natury rzeczy dzieło kongresowe znacznie opóźnić. Nie mogli się zatem zgodzić na nie ministrowie cesarscy. Oświadczyli więc Woznicynowi, że cesarz przecież skłonił Turków do uwzględnienia Rosyi w przedłożeniach pokojowych, jeżeliby zaś car cofnął się teraz, kiedy pokój jest już prawie zdecydowany i tureccy pełnomocnicy jadą na kongres, to ominąłby

najlepszą sposobność przysporzenia Rosyi wielkich korzyści, tem bardziej, że król polski i Wenecya oznajmili już cesarzowi, że wyślą posłów swoich na zjazd.

Była w tem poniekąd groźba, że wszyscy sprzymierzeni zawrą pokój z Turcyą, chociażby Rosya do niego nie przystąpiła. Woznicyn mimo to stał uparcie przy wymienionych żądaniach, ale i cesarscy nie byli też skłonni do ustępstw. Cesarz, mówili oni, ani nie ma obowiązku dowiadywać się, czego każdy z sprzymierzonych żąda, ani też nie można naradzać się nad tem na jego dworze, ponieważ on sam nie układa się z sprzymierzonymi o jakieś korzyści dla siebie, a nie może też w ich imieniu stawiać warunków, jest to bowiem obowiązkiem pełnomocników sprzymierzonych mocarstw starać się o pozyskanie od Turków największych ustępstw. Trudno określić już dziś wszystkie żądania, a cesarz nawet wysłał swoją armię na granicę węgierską i jeżeli do rozpoczęcia kongresu zdobędzie jeszcze co na Turkach, będzie żądał tego od nich przy zawieraniu pokoju. To samo może uczynić także i car rosyjski i inne państwa.

Po tych wzajemnych enuncyacyach było już jasnem obu stronom, że pierwsza konferencya nie doprowadzi do porozumienia. Woznicyn ani na krok nie ustąpił, ministrowie cesarscy nadaremnie wysilali się w argumentach. Wreszcie poseł rosyjski zażądał doniesienia o tem samemu cesarzowi i w tym celu przedłożył wszystkie te swoje żądania na piśmie. Ale odpowiedź, którą odebrał już dnia 14. sierpnia nie różniła się niczem od tej, jaką dali mu na naradzie ministrowie. Cesarz wzywał posła carskiego, aby razem z cesarskimi pełnomocnikami udał się na kongres, którego otwarcie naznaczono na dzień 15. października [1]).

Mimo ciągłych zapowiedzi, że bez naradzenia się nad wspólnymi wszystkich warunkami pokoju, na zjazd nie pojedzie, gotował się Woznicyn do podróży [2]). Co więc mogło skłonić go do zmiany swego postępowania? Jak widzieliśmy car Piotr ułożył się z królem Augustem II. w dniach między 31. lipca a 3. sierpnia o przymierze przeciw Szwecyi. Zmieniało to jego stanowisko w naradach nad pokojem z Turcyą, ponieważ nie mógł on teraz starać

[1]) Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 72.

[2]) Pam. dipl. znosz. IX, str. 67. Oznajmił on o tem Kinskiemu przez wysłannika, którego przysłał kanclerz austryacki d. 14 sierpnia, aby raz jeszcze donieść posłowi, że Turcy pragną zawarcia pokoju i w tym celu wysyłają swoich pełnomocników na kongres.

się o zerwanie lub odwleczenie traktatu pokojowego, gdyż był właśnie w przededniu wojny z królem szwedzkim. Zdaje się nie ulegać najmniejszej wątpliwości, że o tajnym układzie z królem polskim w pierwszym rzędzie powiadomionym został Woznicyn z poleceniem, aby teraz starał się o zawarcie pokoju z Wielką Portą. To zapewne wpłynęło na zmianę w jego postępowaniu, dlatego też gotuje się do podróży na kongres [1]).

Ale równocześnie z temi pertraktacyami naradza się Woznicyn nad sprawą pokoju z legatem polskim Gomolińskim [2]). Polska nie mogła również zgodzić się na przedłożoną zasadę pokoju, ponieważ gdyby ona była ściśle przeprowadzoną, nie odzyskaliby Polacy Podola z Kamieńcem, a zatem nie dopięliby głównego celu swego udziału w wojnach tureckich, zarówno podczas odsieczy wiedeńskiej, jak i w latach następnych, kiedy należąc do Ligi Świętej przez dywersyę nad Dniestrem powstrzymywała Tatarów od dania pomocy Turkom w Węgrzech. Ministrowie cesarscy odpowiadali na przedstawienia Gomolińskiego, że Polska sama sobie winna, ponieważ w ciągu kilkunastu lat nie zdołała odebrać Turkom ich zdobyczy w ziemiach polskich. Polacy, zamiast prowadzić skutecznie wojnę z nieprzyjacielem, kłócili się między sobą, zrywali sejmy i przymierzyli się z Francyą. Nie pomagali dostatecznie cesarzowi, a nieraz cieszyli się nawet skrycie, kiedy wojska jego poniosły przypadkiem klęskę. Najlepszy zaś dowód nieżyczliwości dali podczas ostatniej elekcyi, chcąc na tronie osadzić tego, za którym przemawiała Turcya.

Wobec tego Gomoliński musiał tak samo jak Woznicyn dążyć do obalenia zasady *uti possidetis*, a tem samem szukać po-

---

[1]) Nie posiadamy korespondencyi Piotra W. z Woznicynem, nie jest to jednak rzeczą prawdopodobną, aby o tak ważnym dla polityki rosyjskiej fakcie, jakim było zawarcie przymierza przeciw Szwecyi, nie został pełnomocny poseł cara natychmiast powiadomionym, zwłaszcza, że teraz należało starać się koniecznie o zawarcie pokoju z Turcyą, gdyż do prowadzenia wojny na dwie strony car nie miał dostatecznych sił. — Wiadomość o traktacie z Augustem wysłana 3 sierpnia z Rawy Ruskiej nie potrzebowała więcej czasu na dostanie się do Wiednia jak 10 do 11 dni. Otrzymał ją więc Woznicyn 13 lub 14 sierpnia i dla tego wbrew uprzednim zapowiedziom zdecydował się wziąść udział w kongresie.

[2]) Gomoliński był u Woznicyna poraz pierwszy dnia 9 sierpnia (Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 39) po raz drugi 11 sierpnia (Tamże str. 58).

parcia u posła rosyjskiego. Woznicyn nie odmówił pomocy przedstawicielowi Polski, ale jak pojmował ten wspólny interes, okazał na poufnej konferencyi z Kinskim, na którą udał się w dzień po otrzymaniu odpowiedzi od cesarza.

Na drugiej tej konferencyi prosił Woznicyn kanclerza, aby, skoro już cesarz nie chce pozwolić na uprzednie porozumienie się co do warunków pokoju, polecił przynajmniej pełnomocnikom swoim, by oni popierali na kongresie we wszystkiem sprawę cara. Radził się też wtedy kanclerza, jak ma postępować z Polską, której legat żalił się przed nim na cesarza i namawiał go do wspólnej opozycyi do czego on jednak nakłonić się nie da. Zapytywał w końcu, kto będzie reprezentował cesarza na kongresie i czy poseł polski będzie tam obecny. Kinsky dał wymijającą odpowiedź na te zapytania: nie wymienił pełnomocników cesarskich, natomiast zapewnił, że poseł polski będzie na pewno obecny na kongresie, ale uda się tam nie przez Wiedeń, lecz inną drogą. W kwestyi postępowania z legatem polskim, zostawia Kinsky decyzyę samemu Woznicynowi [1]).

Poseł cara jednakże nie dowierzał Kinskiemu. Zaraz następnego dnia udaje się do Kaunitza i zadaje mu te same pytania co kanclerzowi, a nadto, zapewne w celu dowiedzenia się, o ile postąpiły już zobowiązania cesarza wobec W. Porty, żali się, że jak go słuchy dochodzą, cesarz zawarł już z Turkami zawieszenie broni i zaprzestał kroków wojennych przeciw nim [2]). Byłoby to przeciwnem interesom wszystkich sprzymierzonych, mówił Woznicyn, a w szczególności cara, który właśnie teraz prowadzi wojnę z Turkami, a ci w razie zawarcia zawieszenia broni z cesarzem, skierują wszystkie swoje siły przeciw carowi. Przy tej sposobności Woznicyn, zawsze dbały o swoje wygody i o honory wielkiego posła, dopominał się, aby zapewniono mu w drodze podwody i żywność i aby na miejscu kongresu miał do dyspozysyi karety, konie i t. d. Ale Kaunitz potwierdził tylko w zupełności to, co powiedział dzień przedtem wielki kanclerz, do którego decyzyi odsyłał także w innych sprawach posła rosyjskiego, który widział, że tą drogą nic nie wskóra [3]). Należało więc poprzeć swoje żądania w inny sposób. Sposobność do tego nastręczyła się wkrótce.

---

[1]) Szczegółowe opisanie tej konferencyi znajduje się w Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 76—82.

[2]) Ibidem str. 84.

[3]) Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 82—87.

Dnia 22. sierpnia przyniosła Woznicynowi poczta z Rosyi wiadomość, że hetman kozacki połączył się z wojskami rosyjskiemi, które ruszyły przeciw Tatarom [1]).

Nie omieszkał pochwalić się tem Woznicyn i posłał natychmiast tę wiadomość Kinskiemu, Kaunitzowi i posłowi weneckiemu Karolowi Ruzziniemu, przyczem z naciskiem podniósł, jak to car spełnia ściśle warunki przymierza.

Równocześnie porozumiał się Woznicyn z pełnomocnym posłem weneckim w Wiedniu Karolem Ruzzinin, który dnia 25. sierpnia przybył sam do posła rosyjskiego i wręczył mu list Doży do cara, z prośbą o odesłanie go do Moskwy. Skorzystał z tego Woznicyn i wystąpił z swymi zarzutami przeciw zawarciu pokoju. Jeżeli Wenecyanie mieli zamiar zawrzeć pokój z Turkami = mówił pełnomocnik cara — to należało zawiadomić o tem cara wpierw, albowiem on wiedząc o tem, byłby nie czynił tak wielkich wydatków na dalsze prowadzenie wojny. Wenecya zawarła sojusz z Rosyą na lat 3, a prowadziła wojnę tylko rok jeden, obecny rok minął na przesyłkach w sprawie pokoju, o przyszłym zaś nie ma i co wspominać. Wojska zaś cara walczą ciągle z nieprzyjacielem i zwracają ordy tatarskie na siebie, nie pozwalając im tem samem łączyć się z wojskami tureckiemi. Tak zagadnięty Ruzzini zasłaniał się tem, że Signorya zarówno jak i car nie otrzymała autentycznej wiadomości o pokoju. Wenecya, zapewniał on, będzie zawsze wdzięczną carowi za zwycięstwa odniesione nad nieprzyjacielem i stale przestrzegać będzie jego interesów. Flota wenecka i teraz znajduje się niedaleko cieśniny dardanelskiej, aby rozpocząć na nowo walkę z nieprzyjacielem. O przyszłym kongresie mowy nie było [2]). Dopiero dnia 3. września udaje się Woznicyn sam do Ruzziniego i narzeka na postępowanie cesarza w sprawie pokoju, a również i na to, że kongres ma się odbyć daleko na Węgrzech, a nie gdzieś bliżej Wiednia, coby było o wiele lepiej [3]). Car wolałby — mówił on — aby tego pokoju wcale teraz nie zawierano; cesarz wraz z swoimi sprzymierzonymi wzywał cara przez lat 15 do sojuszu przeciw Turkom; car zawarł wreszcie ten sojusz choć na krótki czas,

---

[1]) Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 88.

[2]) Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 92—94.

[3]) Cesarz proponował z swej strony na miejsce kongresu Belgrad lub Piotrowaradyn. Turcy zgodzili się po dłuższem ociąganiu się na ten ostatni.

rozpoczął natychmiast wojnę i odebrał, temu wspólnemu wszystkich chrześcian nieprzyjacielowi, wiele znacznych grodów; przygotowuje się i teraz do wielkiej wyprawy na lądzie i na morzu, łoży na nią wiele milionów, sprowadził z Anglii i Holandyi setki ludzi celem zorganizowania floty i ponosi wielkie koszta na jej wybudowanie. Postępowanie zaś sprzymierzonych jest zupełnie inne. Układają się oni tymczasem o pokój, o czem carowi nawet znać nie dano. Nie było mu wiadomem, kiedy to dzieło rozpoczynali, kiedy zaczęły się narady z nieprzyjacielem, kiedy wysyłano pośredniczących posłów do Turcyi. Zawiadomiono go o tem dopiero, kiedy dzieło było prawie na ukończeniu, kiedy już ustanowili główną zasadę pokoju. A przecież jeśliby car był wiedział o tym zamiarze sprzymierzonych, nie byłby czynił, ani tak wielkich wydatków, ani tak wielkich przygotowań przeciw nieprzyjacielowi. Za wszystkie jego starania o pomyślny obrót wspólnej sprawy, nie tylko nie podziękowano carowi, ale nie obmyślono w tym pokoju Rosyi nawet należącego się jej zadośćuczynienia“ [1]).

---

[1]) Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 113, 114, „Є. Цар. Велва желаніе есть, хотя бъ и во все того миру не было, понеже Цар. Вел—ва Цес. Вел—во съ союзники своими въ союзъ противъ бусурманъ призывали лѣтъ съ пятнатцать; и В. Г—рь Є. Цар. Вел—во, въ тотъ союзъ вступилъ хотя на краткіе лѣта, и зачалъ войну сильную въ скоромъ времяни, и нѣсколько у того всѣхъ христіянъ непріятеля знатныхъ городовъ отбралъ и къ будущему походу великое изготовленіе, со многими его государской казнѣ міліонами, какъ моремъ, так и сухимъ путемъ, чинитъ, и нѣсколько сотъ началнихъ и работныхъ торскихъ людей, въ Англіи, і въ Голандіи, въ службу наняты и къ Москвѣ высланы....: но союзные государи не такъ поступаютъ. Его Цар. Вел—во болшую войну велъ и нынѣ ведетъ, а они въ то время мира искали и уже и къ концу приводятъ, но тотъ миръ крѣпокъ ли и пожиточенъли будетъ? о томъ достоитъ имъ разудить. И когда они союзные то дѣло сочиняли, и съ непріятелемъ пересылки имѣли и посредственныхъ пословъ къ Туркомъ посылали, о томъ В. Г—рю, Е. Цар. Вел—ву, не обвѣстили, только уже совершя и яко бы основаніе мира положа тогда обявили; а естли бъ Е. Цар. Вел—во вѣдалъ такое союзныхъ намѣреніе, тобъ въ такіе великіе убытки не вступалъ и такова приготовленія на непріятеля не чинилъ. И за тѣ Е. Цар. Вел—ва войскъ, а наипаче самаго Е. Цар. Вел—ва, труды нимало что союзные возблагодарили, но вмѣсто всякаго благодаренія оставляютъ въ семъ настоящемъ миру Е. Цар. Вел—ва страну неудовольствовану, а сами въ своихъ запросѣхъ всѣ уже удовольствованны“.

Było to, jak widzimy, powtarzanie tych samych skarg i argumentów, które Woznicyn przedkładał na konferencyach sierpniowych. Ale też odpowiedź Ruzziniego brzmiała tak samo, jak cesarskich ministrów. Porozumienie między Dworem wiedeńskim a Wenecyą było już dokonane. Ruzzini odpowiedział, że pełnomocnikowi cara zapewne także wiadomo, że cesarz, Rzeczpospolita wenecka i król Polski, prowadzą wojnę już przez lat 15 i że w niej stracili wiele setek milionów i wielu ludzi, skutkiem czego teraz wszyscy bardzo pożądają zaszczytnego i korzystnego pokoju. Doża wenecki i rzeczpospolita błogosławią cara za pomyślne prowadzenie wojny, a szczególnie za jego osobiste trudy i będą starać się wywdzięczyć mu się za to wszędzie, gdzie tylko będą mogli. Pokój zawartym jeszcze nie jest, warunki jego będą ułożone dopiero na kongresie, tam zaś, obiecuje Ruzzini, będzie poseł wenecki zawsze pomagać posłowi cara do spełnienia jego żądań, aby car otrzymał należne sobie zadośćuczynienie [1]). Temi obietnicami położył Ruzzini kres dalszym nagabywaniom posła carskiego.

Jak wiemy, Woznicyn zdecydowany był wziąść udział w kongresie pokojowym, chodziło mu teraz jeszcze tylko o to, by zyskać jak najsilniejsze poparcie sprawy cara. W tym też celu pisze dnia 27. sierpnia do Kinskiego [2]): „Chociaż ja wedle rozkazu Jego Carskiej Mości gorliwie domagałem się i żądałem, abyśmy, my wszystkich sprzymierzonych władców posłowie i ministrowie, wedle obowiązku nałożonego na nas przez przymierze, znosili się między sobą i powzięli stałą decyzyę co do wspólnej zgody w traktatach z Turkami na przyszłym kongresie, aby w ten sposób uczynić zadość warunkom zawartego przymierza, gdzie napisano, aby w razie zawierania pokoju każdy z sprzymierzonych otrzymał należne mu zadośćuczynienie, naznaczone za wspólną wszystkich zgodą — następnie, aby wszyscy razem, wspólnie przystąpili do tych narad, i chociaż to moje żądanie nie zostało wypełnionem, to jednak Jego Carska Mość, mój najłaskawszy Pan, został upewniony przez Jego Cesarską Mość, a ja przez panów Ministrów, że to wszystko zostanie wypełnionem na zjeździe z Turkami, gdzie będą obecni posłowie wszystkich sprzymierzonych, a nadto, że Jego Cesarska Mość nie zawrze pokoju jeśli nie będzie widzieć, że Turcy dają Jego Carskiej Mości taką satysfakcyę, jakiej on żąda.

---

[1]) Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 114, 115.

[2]) List Woznicyna do Kinskiego z dnia 27 sierpnia 1698. H. H. und Staatsarchiv. Turcica August 1698.

Z tego powodu ja przyjąwszy to zabezpieczenie, zmuszony jestem udać się i być obecnym na tym kongresie, żywiąc tę nadzieję, że to wszystko ze strony Jego Cesarskiej Mości z pewnością zostanie wypełnionem".

W dalszym ciągu prosi Woznicyn, aby cesarz wyznaczył mu komisarza i przewodnika, którzyby towarzyszyli mu w drodze na zjazd i starali się o wszystkie jego wygody [1]).

Zanim jeszcze otrzymał odpowiedź na tę prośbę, Kinsky nadesłał mu dnia 31. sierpnia list pisany przez kanclerza do pośredników, który właśnie miał sekretarz posła angielskiego odnieść do Turcyi. Z niego dopiero dowiedział się Woznicyn, że car zgadza się na zasadę *uti possidetis*. Wiadomość ta zaniepokoiła go bardzo, boć przecież, on, wielki i pełnomocny poseł cara nie wiedział nic o tej zgodzie. Natychmiast więc, tego samego dnia jeszcze udaje się do wielkiego kanclerza z prośbą o wyjaśnienie mu tej sprawy. Kinsky odpowiedział spokojnie, że warunek *uti possidetis* postawił cesarz zarówno dla siebie jak i dla cara na podstawie własnoręcznych pism Piotra, który na doniesienie cesarza, że

---

[1]) Prosi również o konie i wozy i o całe utrzymanie, tak dla niego samego jak i dla całego jego otoczenia. „A jeśliby kto sądził — pisze dalej — że ja sam powinien jestem troszczyć się o to wszystko, jak to robią posłowie innych sprzymierzonych, ponieważ to jest zjazd na konferencyą a nie poselstwo, to ja na to odpowiadam, że byłoby to przeciwne dawnym zwyczajem, obserwowanym jeszcze całkowicie między Ich Mościami Carami rosyjskimi, a cesarzami Rzymskimi, kórych nie mogę zmieniać, nie chcąc wprowadzać żadnej nowości, bez rozkazu Jego Carskiej Mości; chociaż to jest zjazd na konferencyę, to jednak będzie on się odbywać w kraju Jego Cesarskiej Mości, albo przy granicach tego kraju. Z tego powodu ja ze względu na dawne zwyczaje powinienem być zaopatrywanym w wszystko, kosztem Jego Cesarskiej Mości. Jako przykład tego może posłużyć to, że wszystkim Jego Cesarskiej Mości posłom i legatom, biskupom i księżom, nietylko tym, którzy bywają wysyłani dla załatwienia spraw wspólnych obu Ich Wysokich Mości, ale także i tym, którzy przyjeżdżają za swoimi interesami, a nawet ku wielkiej szkodzie Jego Carskiej Mości udają się do Persyi abo Kitaju, daje Jego Carska Mość w swoim kraju, na drogę morską, okręty, na lądową, konie i wozy, a nadto żywność, komisarzy, przewodników i t. d. Jeżeliby zaś zdarzyło się, żeby taki zjazd na konferencyę był niedaleko granic państwa Jego Carskiej Mości, a posłom Jego Cesarskiej Mości wypadałaby droga przez kraj rosyjski, danoby im wtedy, niewątpliwie, wszystko coby było potrzebne bez żadnej pretensyi. Na koniec usilnie proszę, aby ta moja prośba była przedstawiona Jego Cesarskiej Mości, abym ja otrzymał odpowiedź bez zwłoki".

w pokoju będzie sprawa jego w równej mierze uwzględniona, jak sprawa cesarza, w pierwszem swem piśmie podziękował cesarzowi serdecznie za to, a następnie w drugiem piśmie gorąco prosił, aby cesarz postąpił wedle wyżej wspomnianej obietnicy. To też cesarz uczynił. Na udowodnienie zaś tego pokazywał Kinsky Woznicynowi wypiski z tych pism cara. Wielki i pełnomocny poseł wiedząc o tem, że takie pisma były z Moskwy do cesarza wysłane rzekł do Kinskiego: Chociaż tak w pismach Jego Carskiej Mości do Jego Cesarskiej Mości pisano, to uczyniono to wtedy, w ówczesnych okolicznościach, a obecnie nie należało tej zasady w imieniu wszystkich sprzymierzonych utwierdzać, bez porozumienia się z wysokim władcą, Jego Carską Mością, a należało upewnić się wpierw o zamiarach Jego Carskiej Mości [1]).

Że te pisma cara nie miały tego celu, jaki wmówił w nie Kinsky, to nie ulega najmniejszej wątpliwości. Car pisał je, bądź to nie spodziewając się i nie myśląc o możliwości takiej interpretacyi, bądź też były one pisane przed rozwinięciem się sprawy pokojowej, a zatem chodziło Piotrowi na razie o zapewnienia, że nie zostanie pominiętym przy zawieraniu pokoju. Dowodem tego najlepszym, jest pobyt cara w Wiedniu i stawiane tam żądania.

Pomimo protestacyi Woznicyna pismo to zostało wysłane do pośredników, a poseł cara, chcąc i ich ująć sobie, poleca sekretarzowi Pagetta, który właśnie z tym listem wyjeżdżał z Wiednia, aby oznajmił pośrednikóm, że car jest im bardzo wdzięczny za trudy podjęte około zawarcia pokoju, a nadto żyjąc w braterskiej miłości z królem Anglii i Stanami Zjednoczonej Holandyi polega bardzo na ich życzliwości i spodziewa się, że oni będą się starali pomyślnie załatwić jego interesa w tym pokoju [2]).

Dowiedziawszy się dnia 3. września, że pełnomocnikami cesarza zamianowani zostali Wolfgang hr. Oettingen, prezydent nadwornej cesarskiej rady i jenerał, baron Leopold v. Schlick, udał się do Oettingena z prośbą o popieranie go na kongresie. Pełnomocnik cesarski przyrzekł mu wszelkie możliwe poparcie, przyczem

---

[1]) Pism tych cara nie mogliśmy odszukać nigdzie. W Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 106 znajdujemy tylko wzmiankę o nich, którą właśnie wykorzystaliśmy, tłómacząc koniec jej dosłownie. Pewnem jest to, że Woznicyn nie zaprotestował przeciw treści listu Kinskiego dość silnie i że został on wysłany. Będzie to jeszcze później w Karłowicach przyczyną nieporozumień między Woznicynem a posłami cesarskiemi.

[2]) Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 109, 110.

pokazał posłowi rosyjskiemu plan miejsca przyszłego kongresu. Woznicyn korzystając ze sposobności, prosi go zaraz o wyznaczenie mu namiotu w miejscu, jakie mu się z prawa należy, w każdym razie nie niższem od tego, jakie zajmie poseł polski [1]). To samo przedkładał Kinskiemu dowodząc, że posłowi rosyjskiemu należy się poczesniejsze miejsce, ponieważ car jest wielkim i potężnym monarchą [2]). Rosya, a więc i jej poseł dbali zawsze o tytuły i honory. Było to nieraz źródłem nieporozumień, które wywiązały się także w Karłowicach.

W przeddzień wyjazdu zawiadomił Woznicyn Kinskiego o swojem postanowieniu wybrania się w podróż, a równocześnie prosił go o doniesienie co przyniósł sekretarz Pagetta, który, jak słyszał już od dni kilku bawi w Wiedniu [3]). Kinsky uczynił zadość prośbie i zawiadomił go, że Turcy proszą, aby pełnomocnicy sprzymierzonych jak najprędzej zjechali do Piotro-Waradynu, by można otworzyć kongres. Jest to ostatnie pismo, jakie otrzymał Woznicyn z kancelaryi cesarskiej, na tem też kończy się jego działalność w Wiedniu.

Jak widzieliśmy, nie była ona świetną. Woznicyn stawiał rozmaite pretensye ministrom cesarskim, ale uwzględniane były one o tyle tylko, o ile nie odnosiły się do warunków pokoju. W tej sprawie nie otrzymał nic, z wyjątkiem obietnic poparcia na kongresie, nie postąpił ani krokiem naprzód, owszem cofnął się wstecz, ponieważ Kinsky pomimo jego protestacyi donosi pośrednikom, że car przyjmuje zasadę pokoju *uti possidetis*. Wszystkie jego dążenia rozbijały się o opór cesarskich ministrów. Cesarz nie mógł pozwolić na porozumiewanie się i ustanawianie warunków pokoju na jego dworze, ponieważ w takim razie byłby on zależnym od wszystkich sprzymierzonych, musiałby przyznać im korzyści takie, na których odstąpienie Turcy nigdyby się nie zgodzili. Doprowadziłoby to więc do zerwania układów z Turcyą i do rozpoczęcia z nią dalszej wojny, a na to cesarz zezwolić nie mógł. Dlatego postępowanie dyplomacyi austryackiej w Wiedniu, zasadzało się na pewnej presyi, jaką wywierano na sprzymierzonych. Cesarz musiał zawrzeć pokój, tem samem więc muszą go zawrzeć i sprzymierzeni z nim. Każdy z sprzymierzonych siłą faktów powinien był przystąpić do traktatu pokojowego, albo w prze-

[1]) Pam. dipl. znosz. t. IX, str. 127.

[2]) Ibidem, taż strona.

[3]) Ibidem, str. 129—130, List Woznicyna do Kinskiego.

ciwnym razie prowadzić dalszą wojnę z Turcyą tylko własnemi siłami, a na to żaden z nich nie miał dostatecznych środków.

Widzieliśmy w jaki sposób poradził sobie Kinsky z przyjęciem przez Rosyę zasady pokoju *uti possidetis*. Car nie godził się na nią, jak to sam osobiście powiedział Kinskiemu, a i później powtarzał przez usta Woznicyna, ponieważ, zdaniem jego, nie dawała mu ona dostatecznej gwarancyi trwałego pokoju, a przecież wielki kanclerz donosi pośrednikom, nie zważając na opozycyę posła rosyjskiego, że car przyjmuje ją i godzi się na zawarcie pokoju na niej.

Prócz tej pressyi wywieranej przez dwór austryacki, był jeszcze inny powód, pomijając traktat w Rawie, dla którego Rosya musiała przystąpić do zawarcia pokoju. Cesarz i Wenecya porozumieli się szybko i postępowali zgodnie. Gdyby więc Rosya nie chciała przystąpić do traktowania o pokój, to pozostałaby jej nadzieja tylko na pomoc Polski, tymczasem Kinsky przedkładał Woznicynowi pisma króla polskiego, w których godzi się on na zawarcie pokoju. Rosya tedy pozostałaby sama w wojnie z Turcyą, a na to porywać się nie mogła.

Wobec takich stosunków najlepszą dla Woznicyna była tylko jedna droga, to jest iść ręka w rękę z pełnomocnikami cesarskimi, którzy mieli największy wpływ na przebieg narad. W ten sposób mógł był poseł cara uzyskać dla swego monarchy, możliwie największe korzyści.

Wielki i pełnomocny poseł cara wybrał jednakże inną drogę. Przypatrzmy się postępowaniu jego na kongresie karłowickim.

## V.

Podróż do Piotro-Waradynu — Woznicyn i Małachowski. — Przygotowania do kongresu. — Instrukcya cara. — Tajne układy Woznicyna z Maurocordatą. — Spór o miejsce. — Woznicyn nie chce uznać pośredników i zasady pokoju. — Spór o kompetencyę. — Przedłożenia pokojowe Rosyi. — Dalsze tajne układy z Maurocordatą. — Woznicyn godzi się z Małachowskim.

Dnia 30. września wyjechał Woznicyn z Wiednia na okrętach cesarskich, aby korytem Dunaju dopłynąć do miejsca zbornego wszystkich pełnomocników t. j. do twierdzy Futak, położonej

tuż przed Piotro-Waradynem. Po czterodniowej podróży [1]) stanął w Budzie, gdzie zjechał się z pełnomocnikami cesarskimi i polskim, wojewodą poznańskim, Stanisławem Małachowskim, który wkrótce po przybyciu odwiedził go i wręczył mu pismo cara, polecające, aby z doręczycielem jego, pełnomocnym posłem króla polskiego, żył w zgodzie, naradzał się z nim i wspierał go w sprawach pokoju [2]). Przy oddaniu tego polecenia zaznaczył Małachowski, że traktowanie o pokój jest wspólnym i nierozdzielnym interesem Polski i Rosyi, dlatego obaj posłowie powinni w tej sprawie zgodnie postępować [3]), o czem Woznicyn ze swej strony zapewnił posła polskiego. Związek ten był wykonaniem rozkazu monarchów, skojarzonych, jak wiemy, sojuszem zawartym w Rawie Ruskiej, a Woznicyn donosił carowi w piśmie z dnia 27. września, że będzie jego usilnem staraniem, wypełnić ściśle dane mu polecenie, chociaż, dodaje, poseł polski stara się głównie i wszystkiemi siłami, tylko o swoje sprawy. „Z rozmowy z tym posłem wyrozumiałem, pisze dalej, że Polacy chętnie przystąpią do zawarcia pokoju, jeżeli tylko Turcy odstąpią im Kamieniec i Podole, mają zaś zapewnienie cesarza, że sułtan turecki zwróci im tę twierdzę, o czem ja również słyszałem od ministrów cesarskich i od legata polskiego [4]). Cesarscy zaś znoszą się z Turkami przez swoich pośredników, bez uwiadamiania o tem sprzymierzonych i zdaje się, że załatwili już wszystkie swoje sprawy i na zjazd przyjadą tylko w celu podpisania pokoju, a wtedy my będziemy zmuszeni zawrzeć pokój w jak najkrótszym czasie. A można to wnioskować z tego, że oni ustanowili zasadę pokoju i podpisali ją, nie zważając na

---

[1]) Podróż Woznicyna z Wiednia do Piotro-Waradynu, opisana jest w relacyi jego do cara znajdującej się w Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 133—141.

[2]) Pam dipl. snosz. t. IX. str. 136. Pismo to zostawił zapewne car w czasie pobytu swego w Rawie ruskiej.

[3]) Małachowski: Compedyum legationis ad tractandam pacem z Portą Ottomańską str. 10.

[4]) Jeżeli zważymy jak wielkie trudności miał Małachowski, ze strony Turków (którzy w przedłożeniu pokojowem proponowali demolicyę Kamieńca) w tej właśnie sprawie odstąpienia Kamieńca i Podola, to musimy powątpiewać o prawdziwości tych słów Woznicyna, tem bardziej, że nie ma nigdzie wzmianki o tem, by posłowie cesarscy coś podobnego donosili Woznicynowi. Gomoliński zaś, nie tylko że tego nie mówił, ale owszem uskarzał się ciągle przed Woznicynem, że Polska nie może zadowolnić się „uti possidetis“, w takim bowiem razie nie otrzymałaby Kamieńca i Podola.

zawarty sojusz bez porozumienia się z sprzymierzonymi, dalej, że znoszą się z nieprzyjacielem przez pośredników, również bez porozumienia, a wreszcie, że listów, które sami piszą lub otrzymują nie pokazują, przedkładają tylko wypiski z nich“ [1]). Widać z tej relacyi, że Woznicyn nie był ożywiony najlepszemi nadziejami i spodziewał się, że zawarcie pokoju nastręczy mu wiele trudności.

Pierwszym czynem posła rosyjskiego po przyjeździe do Piotro-Waradynu [2]) było gwałtem przeprowadzone zajęcie mieszkania dla siebie, pomimo, że już przedtem były przygotowane kwatery dla wszystkich posłów [3]). Następnie przez dni kilka upomina się, ale napróżno, o dopuszczenie go do przedwstępnych narad. Posłowie cesarscy donoszą mu o wszystkiem, jednakowoż przedkładają już gotowe postanowienia, nie pytając się o jego zdanie [4]).

Właśnie teraz oznaczono miejsce, na którem miały się odbywać narady. Ponieważ nie życzono sobie, aby one odbywały się na terytoryum należącem do którejkolwiek strony, dlatego ogłoszono kawał ziemi około Karłowic za neutralny i tam miały stanąć namioty wszystkich pełnomocników. Z strony cesarskiej występują: Wolfgang hr. Oettingen i Leopold br. v. Schlick; Wenecyę zastępuje Karol Ruzzini, Polskę Stanisław Małachowski, interesów Rosyi zaś miał bronić Prokop Bogdanowicz Woznicyn. W imieniu Turcyi działali: Reiss-effendi, Mohamed Rami i wielki tłumacz państwa Ottomańskiego Alexander Maurocordato. Potęgi pośredniczące zastępują: Anglię — lord Wilhelm Pagett; Holandyę — Jakób Colier.

Poseł rosyjski obok poleceń, aby postępował zgodnie z posłem polskim, otrzymał także i inną instrukcyę wprost od swego pana. W liście z dnia 31. sierpnia 1698 r. poleca Piotr Woznicynowi, aby porozumiał się sam z Turkami i obok układów prowadzonych otwarcie, starał się w tajnych naradach nakłonić Turków do zawarcia z Rosyą oddzielnie od innych sprzymierzonych, pokoju lub zawieszenia broni [5]).

---

[1]) Pam. dipl, snosz. t. IX. str. 137.

[2]) Woznicyn nie zatrzymał się w Futaku, jak to był powinien, lecz udał się wprost do Piotro-Waradynu.

[3]) H. H, u. Staatsarchiv. Wspomniany wyżej Dyaryusz z dnia 15. października 1698.

[4]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 141—151.

[5]) Nie posiadamy wprawdzie tego pisma, natomiast jednak w często cytowanych Pamiatnikach diplomaticzeskich snoszenij t. IX. str. 163

Idąc za rozkazem cara, postanowił Woznicyn porozumieć się wprost z pełnomocnikami tureckimi, a zadanie to miał o tyle ułatwione, że Mourocordatę znał już od dawna. Do niego więc wysyła dnia 20. października list, przypomina mu się jako dawny znajomy i prosi, aby jeszcze przed rozpoczęciem narad, mogli porozumieć się w niektórych sprawach [1]). Było to wedle brzmienia traktatów niedozwolonem, ponieważ pełnomocnikom nie wolno było znosić się z Turkami inaczej, jak tylko przez pośredników. Ale Woznicyn nie wiele sobie z tego robił. Ponieważ Maurocordato, dla którego może to znoszenie się wprost posła carskiego z pełnomocnikami Turcyi było niespodzianką, nie zaraz odpowiedział na żądanie Woznicyna, udał się tenże już 25. t. m. po raz drugi do pełnomocnika tureckiego, pisząc, że już pięć dni czeka na decyzyę w sprawie wspólnego porozumiewania się jeszcze przed otwarciem zjazdu i prosi go o jak najszybszą odpowiedź. Otrzymał ją też jeszcze tego samego dnia. Maurocordato imieniem swojem i Reiss-Effendiego zgodził się na tajne porozumiewanie się z posłem cara i obiecywał zatrzymać to w tajemnicy [2]). Skutkiem tej odpowiedzi żądał Woznicyn, aby pełnomocnicy tureccy podali mu zamiary W. Porty wobec Rosyi [3]), a 28. października otrzymał odpowiedź, że Turcy pragną sprawę tę załatwić jak najpomyślniej [4]).

Otrzymawszy takie zapewnienie, już w dwa dni później wysłał Woznicyn do Maurocordaty swego sekretarza doktora Piotra Poznikowa i polecił powiedzieć mu, że, jak on uważa, narady nad pokojem już z samego początku napotykają na wielkie trudności [5]),

znajduje się relacya Woznicyna do cara z dnia 25 października, z której możemy poznać treść listu cara. Woznicyn dziękuje carowi za jego własnoręczne pismo z dnia 31. sierpnia. Z pisma tego wyrozumiał on wszystko, co się odnosi do sprawy pokoju i będzie się starał wszelkimi sposobami wypełnić rozkazy; a do nich już odezwał się, aby postępować z sobą po przyjacielsku i porozumiewać się przez swoich zaufanych, no co właśnie oczekuje odpowiedzi. — Nie może tu być mowa o kim innym tylko o Turkach, bo właśnie kilka dni przedtem wysłał Woznicyn pierwszy list do Maurocordaty i teraz oczekiwał odpowiedzi. Z tego więc i z dalszego postępowania Woznicyna, możemy odgadnąć treść w mowie będącego listu cara.

[1]) Pam. dipl. snosz t. IX. str, 150.

[2]) Ibidem t IX. str. 165 i 166.

[3]) Ibidem, taż strona.

[4]) Pam dipl. snosz. t. IX. str. 167.

[5]) Woznicyn nie mógł tego twierdzić, ponieważ obrady nad pokojem nie były jeszcze rozpoczęte. Pierwsza konferencya posłów cesarskich z pełnomocnikami tureckimi odbyła się dopiero 13. listopada.

a te będą i dalej trwały, ponieważ każdy żąda należytej dla siebie satysfakcyi, skutkiem czego, zdaje się, wspomniane narady nie zakończą się pomyślnie: „Dlatego ja, mając daną sobie władzę chcę postępować tak, aby doprowadzić to dzieło do prędszego zakończenia, chociaż będzie to ze stratą innych. każdy jednakże powinien patrzeć tylko na swoją własną korzyść. Z tego powodu ja, dla odnowienia i umocnienia przyjacielskich stosunków między Jego Carską Mością a Jego Sułtańską Mością i w nadziei wiecznego pokoju, przedkładam dobrą i rzetelną radę: Niemcy i Polacy poróżnili nas między sobą i we wszystkiem okłamali, my chciejmy zapłacić im za to i zawrzyjmy między sobą zawieszenie broni, choćby nie na długo, a tymczasem, za pośrednictwem chana krymskiego, albo przez posłów, zawrzemy pokój, o który układać się nie jest tu odpowiednie miejsce, a nadto w tej sprawie wiele wyłoniłoby się teraz trudności. Pośrednicy pisali, że pragniecie bardziej zawieszenia broni, aniżeli pokoju. Przez te lata zawieszenia broni, nie zawieralibyście pokoju z Niemcami, Polakami i Wenecyanami i należałoby nam obustronnie starać się najpierw o pokój między nami i dopominać się u Niemców i Polaków o swoje krzywdy wojną. Jego Carska Mość będzie zarówno z Wami myśleć o tem, jak zemścić się nad nimi za ich kłamstwa. A to Wam wiadomo, że skoro Jego Carska Mość odstąpi od przyjaźni i przymierza z Niemcami i Polską, natenczas czy to wojną, czy pokojem co zechcecie odbierzecie od nich. Na znak przyjaźni, jaką żywi ku Wam, rozkazał Jego Carska Mość, z chwilą wysłania mnie na zjazd, cofnąć się wojskom swoim walczącym przeciw Turkom, do swoich krajów. Jeżeliby zaś w ciągu tych lat zawieszenia broni, wyłoniły się takie trudności, że nie możnaby było zawrzeć pokoju, to wtedy wolno Wam będzie zawrzeć pokój z Niemcami i Polską. O tem zapewne Wy sami dobrze wiecie, dlaczego Niemcy pragną pokoju, a pośrednicy wstawiają się za nimi: po pierwsze brak im wszystkiego, osłabli i zadłużyli się i chcą odpocząć i wzmocnić zdobyte twierdze; po drugie z chwilą śmierci króla hiszpańskiego, król francuski rozpocznie wojnę z cesarzem o sukcesyę hiszpańską; pośrednicy zaś t. j. Anglia i Holandya starają się o ten pokój, mając na względzie nie Wasze, lecz swoje interesa, a mianowicie, aby nie dopuścić króla francuskiego do korony hiszpańskiej, ponieważ obiecał im, że ich zupełnie zniszczy“ [1]).

[1]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 180, 181.

Taką to propozycyę posłał Turkom dumnyj diak, wielki i pełnomocny poseł cara, związanego z Polską wiecznym pokojem, a z Niemcami i Wenecyą przymierzem na lat trzy, o które to przymierze car Wszechrosyi starał się przez lat prawie 10 i o którego wypełnianie we wszystkich punktach dopominał się na każdym kroku. W ten sposób pojmowała Rosya wykonywanie warunków przymierza. Szczere te jednak jej zamiary względem swoich sprzymierzonych, rozbiły się o to, że pełnomocnicy tureccy nie godzili się na propozycye Woznicyna. Poznikow przyniósł odpowiedź Maurocordaty tej treści, że Turcy godzą się wprawdzie na zawarcie zawieszenia broni z Rosyą, ale nie zawierać pokoju z innemi mocarstwami, żadną miarą nie mogą, ponieważ Porta Ottomańska zawsze dotrzymuje swego słowa; a Turcy dali nie tylko słowo cesarzowi i sprzymierzonym z nim, ale podpisali się już na zasadę pokoju. Korzystając jednak z tego działania Rosyi na własną rękę i chcąc zapewne podtrzymać rozterkę między sprzymierzonymi, Maurocordato donosi równocześnie Woznicynowi, że pośrednicy i posłowie cesarscy są niechętni sprawie cara i chcą traktatami tak pokierować, aby przedewszystkiem oni odnieśli korzyści; Turcya jednakże, uważa cara za wielkiego i potężnego monarchę i dlatego zrobi wszystko, co będzie możliwe dla jego korzyści [1]). Po otrzymaniu tej odpowiedzi Woznicyn robi jeszcze jedno usiłowanie pozyskania tureckich posłów dla osobnego traktatu z Rosyą. Prosi mianowicie aby Turcy, jeżeli już nie chcą łamać danego cesarzowi słowa, zawarli z Rosyą zawieszenie broni na rok lub półtora na przyjętej już zasadzie *uti possidetis*, a później dopiero naradzać się będą nad zawarciem pokoju na tej samej zasadzie. W ciągu trwania zawieszenia broni, nie będzie wolno atakować Rosyi, ani tureckim, ani krymskim, oczakowskim, białogrodzkim i wszystkim inym wojskom, należącym pod władzę sułtana; ze swej zaś strony car zapewnia to samo Turcyi. Obie strony mają mieć na lądzie i na morzu wolne prawo handlu, cło zaś od towarów pobierać tylko w zwyczajnej swej wysokości. Te warunki zawieszenia broni powinny być zatwierdzone przed wszystkimi innymi traktatami i zupełnie oddzielnie. W ten sposób bowiem sprawa między Rosyą a Turcyą zostanie szybko i pomyślnie załatwioną, a poseł rosyjski nie będzie już dopomagał innym sprzymierzonym do zawarcia pokoju. Oni zaś poznawszy, że ubył im już główny i potężny sprzymierzeniec staną się skłonniejszymi do

[1]) Pam, dipl. snosz. t. IX. str. 181, 182.

ustępstw na korzyść Turcyi. „Również i dlatego, mówił Woznicyn przez Poznikowa, dobrze byłoby osobno wzmocnić się, aby Niemcy i inni sprzymierzeni nie przypisywali sobie tego, że oni nas pogodzili i abyśmy my i wy nie byli ślepymi, by wszystkiego od nich żądać“ [1]).

Ale Maurocordato nie dał się schwycić w pułapkę Woznicynowi: godził się wprawdzie w zasadzie na zawieszenie broni z carem, lecz na dłuższy czas, zastrzegał się tylko, że osobiście porozumieć się z posłem może tylko w obecności pośredników. Turcya pragnie przedewszystkiem ukończenia wojny, zawrze zatem z wszystkimi sprzymierzonymi zawieszenie broni, jeżeli jednak będą oni prosili o pokój, to Wielka Porta zgodzi się na to o tyle, o ile będzie on dla niej korzystniejszym [2]).

Turcy zatem nie chcieli zawierać zawieszenia broni lub pokoju z Rosyą potajemnie poza plecami pośredników i innych posłów pełnomocnych, tem bardziej, że korzyści, jakie mogli, zdaniem Woznicyna, z tego odnieść, były wątpliwej wartości. Nie można było bowiem na seryo myśleć, że skutkiem wycofania się z wspólnych układów posła rosyjskiego, inne państwa sprzymierzone poczynią jakiekolwiek ustępstwa Turkom.

Tymczasem, równocześnie z tymi tajnymi naradami brał Woznicyn żywy udział w przygotowaniach kongresu.

Dnia 20. października wywiązał się pierwszy konflikt między Woznicynem a Małachowskim, spowodowany tem, że Małachowski, dowiedziawszy się, że poseł cara chce zająć na kongresie miejsce poczesniejsze, jak on, powiedział mu, przez jego sekretarza, że nie powinien się wywyższać nad niego, lecz co najwięcej iść na równi z nim i wychwalając swego króla, wyraził się, że kniaź moskiewski nie jest właściwie carem, tylko wielkim księciem i dopiero niedawno przyjął tytuł cara, a nadto w ogólności wyrażał się o carze lekceważąco. Oburzyło to Woznicyna. Do większych jednakże nieporozumień nie przyszło, ponieważ Małachowski odwołał te obelgi i przeprosił posła rosyjskiego [3]). Nie zatarło to jednak niechęci Woznicyna do posła polskiego i aby przynajmniej w ten sposób zemścić się, powiadamiając dnia 21. października Oettingena i Schlicka, że wojska rosyjskie odniosły niedawno zwycięstwo nad Tatarami i Turkami, donosi im także, co do niego

[1]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 184, 185.
[2]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 186.
[3]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 151.

nie należało, że w tym samym czasie wojska polskie poniosły od tychże nieprzyjaciół klęskę [1]).

Równocześnie z tem doniesieniem prosi Woznicyn posłów cesarskich o powiadomienie go, jak postępują sprawy wspólne. W odpowiedzi na to zawiadamia go Oettingen, że posłowie sprzymierzonych przenoszą się wkrótce do Karłowic, a tego samego dnia jeszcze, wysyłając swoich ludzi do Karłowic, aby wybrali odpowiednie miejsce pod namioty posłów cesarskich, poleca im zawiadomić o tem Woznicyna, ten zaś prosi przewodniczącego nimi, aby zajął dla niego miejsce po prawej ręce posłów cesarskich [2]). Teraz wywiązał się spór o miejsca. Na prośbę Woznicyna, aby mu wyznaczyli miejsce na namioty po prawej swojej stronie [3]), odpowiedzieli posłowie cesarscy, że oni miejsc wyznaczać nie mogą, a w ślad zatem polecili swoim inżynierom, aby nie wyznaczali pierwszego, drugiego, trzeciego lub czwartego miejsca, lecz wybrawszy je dla posłów cesarskich, pozostawili innym posłom wolną rękę w wyborze [4]). Mimo to jednak nie obeszło się bez nieporozumień. Małachowski zajął dla siebie miejsce po prawej stronie posłów cesarskich, Woznicyn jednak, spędziwszy gwałtem jego ludzi, wystawił tam swoje namioty [5]). Z tego powodu nowy spór między oboma pełnomocnikami, który jednak wkrótce został załagodzony, ponieważ posłowie tureccy i pośrednicy zażądali tego całego pola dla siebie, musieli więc wszyscy pełnomocnicy cofnąć się ku Piotro-Waradynowi. Małachowski oznajmił teraz, że nie wysiądzie z okrętów, póki nie otrzyma należnej satysfakcyi za doznaną obrazę [6]), skutkiem czego postanowili posłowie cesarscy, aby w przyszłym obozie on pierwszy obierał miejsce. Lecz i teraz zostało mu ono odebranem przez posła weneckiego. Skutkiem tego rozłożył on swój namiot przed namiotem Ruzziniego i nie chciał ztamtąd ustąpić. Woznicyn namawiał Ruzziniego, aby zmusił siłą posła polskiego do ustąpienia i ofiarowywał nawet w tym celu pomoc wszystkich swoich ludzi, poseł wenecki jednak nie godził

[1]) Ibidem str. 154.
[2]) Ibidem str. 155.
[3]) Ibidem str. 159.
[4]) H. H. und Staatsarchiv Turcica 1698 October. Relacya Oettingena i Schlicka z dnia 25. października 1698.
[5]) Całe to zajście dokładnie opisane jest w Małachowskiego: Compendium legationis str. 12.
[6]) Ibidem str. 13.

się na tę propozycyę [1]). Sprawa ta załatwioną została dopiero dnia 1. listopada w ten sposób, że pełnomocnicy państw sprzymierzonych podpisali deklaracyę, że nie uważają żadnego miejsca ani za pierwsze, ani za ostatnie. Woznicyn tylko jeden nie chciał tej deklaracyi podpisać, a motywował to tem, że jest on w niej wymieniony poniżej posła polskiego [2]). Jeszcze przed tem jednak wywołuje nowe nieporozumienie. Przed rozpoczęciem narad, musieli pełnomocnicy wszystkich państw, wymieniać swe pełnomocnictwa na ręce pośredników. Woznicyn jednakże nie chciał tego uczynić. Oettingen i Schlick w relacyi do cesarza z dnia 30. października, jako powód jego postępowania podają to, że czuje się obrażonym na pośredników, ponieważ ci, gdy on, natychmiast po ich przybyciu, posłał do nich prośbę o pozwolenie złożenia im wizyty, odroczyli najpierw swoją odpowiedź do dnia następnego, a wreszcie całkiem jej nie dali. To uraziło Woznicyna tak, że nie chciał uznać ich za pośredników, a tem samem nie przedłożył swego pełnomocnictwa [3]). To jednakże mogło przyczynić się znacznie do odwleczenia układów, a co więcej mogło spowodować rozdwojenie między sprzymierzonymi. Posłowie cesarscy nie mogli dopuścić do tego, żądają więc, aby poseł cara oświadczył pisemnie, że godzi się na pośrednictwo posłów angielskiego i holandzkiego i że przyjmuje jako główną podstawę pokoju zasadę *uti possidetis, ita porro possideatis* [4]).

Woznicyn nie chciał dać takiej deklaracyi, twierdząc, że car nie został zupełnie uwiadomiony o pośrednictwie Anglii i Holandyi i nie wie, za czyją wolą pełnomocnicy tych państw na kongres przybyli, ponieważ tak w postanowieniach przymierza, jakoteż i na wspólnych konferencyach sprzymierzonych, nie było o nich żadnej wzmianki [5]). Poseł cara nie może więc ich uznać, tembardziej, że, jak się wyraził, ani oni jego nie przyjęli za syna, ani on ich za rodziców [6]). Dodaje jednak, że co się tyczy jego osoby,

---

[1]) Dyaryusz z dnia 26. października 1698. (H. H. St. archiv l. c.),

[2]) Pam. dipl. snosz. IX. str. 202.

[3]) Relacya Oettingena i Schlicka z dnia 30. października 1698.

[4]) Ibidem.

[5]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 171, 172. Woznicyn wiedział przecież o pośrednikach, kiedy, jak widzieliśmy jeszcze z Wiednia stara się o ich względy.

[6]) Dyaryusz z dnia 26. października 1698.

to on sądzi, że pośrednicy w swej wspaniałomyślności, nie ustaną w staraniach o dobro całego chrześciaństwa [1]). Zasada *uti possidetis* jest korzystną, jeżeli tylko powiększoną będzie o te żądania, które car przedłożył w Wiedniu, t. j. jeżeli Turcy odstąpią carowi twierdzę Kercz, co zostało mu przyrzeczonem w ostatniej rezolucyi cesarza [2]). Woznicyn minął się z prawdą, ponieważ cesarz podobnego przyrzeczenia nie dał i dać nie mógł. Oettingen i Schlick starali się wszelkimi sposobami nakłonić posła rosyjskiego do dania tej deklaracyi, jednakże nadaremnie. Tymczasem następnego dnia t. j. 30. października rano odesłał im Woznicyn zupełnie niespodzianie swoje pełnomocnictwo, a tem samem uznał także pośredników i zasądę *uti possidetis* [3]).

Mimo to jednak z całego postępowania Woznicyna jawnem było, że on nie zadowolni się tylko zasadą *uti possidetis*, z drugiej zaś strony pełnomocnicy cesarscy wiedzieli, że Turcy nie zechcą odstąpić Rosyi nic ponad to, co już utracili, obawiali się więc, że Woznicyn, jeżeli będzie stać stale przy swoich żądaniach, albo odłączy się i zawrze pokój oddzielnie, albo nawet zupełnie usunie się od traktatu. Prosili więc cesarza o instrukcyę, co mają w takim wypadku czynić [4]). Leopold odpowiedział, że względem Rosyi nie jest on, na podstawie zawartego przymierza tak zobowiązanym, jak względem Polski. Ze swojej strony uczynił cesarz już dość, że donosił o wszystkiem wczas carowi i pomaga do zawarcia pokoju na warunkach, przyjętych za wspólną zgodą sprzymierzonych. „Z Moskalem więc — pisze Leopold — będzie można łatwiej dać sobie radę, jeżeli mu się przedstawi to, co wyżej powiedziane“ [5]).

---

[1]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 172.

[2]) W relacyi do Leopolda z dnia 30. października piszą posłowie cesarscy: „Der Moscovitische Gesandte hat seine Vollmacht aber zu extradiren geweigert, auch vorhers schon bey der von Uns in corpore Empfangenen visita in zimlich harte, undt grosssprechende anzüglichkeiten widder die Unterbrechung dess noch nit experirten foederis ausgefahren ist, unter andren mit demo, dass Seine Czarische Mayestätt ohne überkombung der sogenandten Vestung Kertz (welche dass Sie in letzterer von Euer Kayserlichen Mayestätt ertheilten resolution Ihmo schriftlich zugesagt worden sey. Er behaupten will)“..... H. H. u. Staatsarchiw l. c.

[3]) Ibidem.

[4]) Ibidem.

[5]) Instrukcya Leopolda dla Oettingena i Schlicka z dnia 8. listopada 1698. H. H. u. Staatsarchiv Turcica November 1698.

Ukrytą więc groźbą, że więcej dla Rosyi nic się nie uczyni, chciano zmusić Woznicyna do większej uległości. On zaś tymczasem widząc, że nie ma znikąd poparcia, starał się nawiązać na nowo przyjazne stosunki z Małachowskim. Jednakże Schlick, pisząc pod datą 30. października do Kinskiego, że „koty i szczury prędzej by się pogodziły, aniżeli ci dwaj panowie“ [1]), miał zupełną racyę. Bo wprawdzie Woznicyn dwukrotnie t. j. 29. t. m. i 31. posyłał do Małachowskiego z propozycyą zgody i oznajmiał mu się równocześnie z wizytą, a nawet pierwszy raz był już zaledwie o kilkadziesiąt kroków od jego namiotów oddalonym i tam oczekiwał odpowiedzi, mimo to jednak zgoda do skutku nie doszła. Małachowski odpowiedział w sposób obelżywy dla cara i jego posła i na tem rozbiły się starania o zgodę [2]).

Gdy Woznicyn odesłał swe pełnomocnictwo posłom cesarskim, zdawało się, że teraz nastąpi już zgodne działanie wszystkich pełnomocników, a obrady pójdą pomyślniejszym torem. Lecz zaraz następnego dnia, gdy Oettingen oznajmił posłowi cara, że stanowczem życzeniem Porty jest, aby przedłożenia wszystkich pełnomocników w sprawie pokoju oddawane były na piśmie pośrednikom, a ci dopiero będą je przedkładać Turkom, Woznicyn zajął znów opozycyjne stanowisko i nie chciał absolutnie zgodzić się na to [3]). W swych relacyach do cara skarży on się zawsze na postępowanie posłów cesarskich, jak i na Turków, którzy (pisze on) „we wszystkiem polegają na pośrednikach i przez nich wszystkie sprawy załatwiają“. „Wobec tego trudną rzeczą będzie załatwić pomyślnie sprawy Rosyi, tem bardziej, że cesarscy obmawiają mnie przed Turkami, jakobym ja był przeciwny pokojowi [4]).

Ponieważ pełnomocnikom cesarskim, zależało na szybkiem przystąpieniu do narad i chcieli już zakończyć te przedwstępne pertraktacye, tak długo już ciągnące się, zażądali oni od pełnomocników innych państw, aby przedłożyli swe propozycye pokojowe, nad któremi miały się odbywać narady. Woznicyn obiecał wprawdzie przysłać swoje przedłożenia, nie uczynił tego jednak,

[1]) Je passe au Moscovite: pisze Schlick, Chats et rats s'acorderont plutôt que ces deux Messieurs, (Woznicyn i Małachowski) des quels nous ne savons gueres aprehender des complots. (H. H. u. Staatsarchiv Turcica October 1698).

[2]) Małachowski: Compendium str. 19; Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 175.

[3]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 191 sq.

[4]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 196, 197.

lecz udał się osobiście do Oettingena i oznajmił mu, że swoje przedłożenia pokojowe ma przy sobie, nie doręczy ich jednak posłom cesarskim, ponieważ, wedle jego zdania, powinien był on przed napisaniem tych warunków widzieś się z posłami tureckimi i wpierw porozumieć się z nimi co do ich treści. Nie pomogły perswazye Oettingena, że trudno przecież zmusić Turków do osobistego porozumiewania się z pełnomocnikami, skoro oni tego absolutnie sobie nie życzą. Poskutkowała dopiero groźba, że jeżeli poseł nie przedłoży swoich warunków, natenczas zostanie usuniętym od narad nad sprawą pokoju, a cesarz nie bierze za to odpowiedzialności na siebie [1]).

To dopiero zmusiło Woznicyna do oddania swoich przedłożeń pokojowych. Uznając pośrednictwo Anglii i Holandyi proponuje poseł rosyjski zawarcie pokoju na zasadzie *uti possidetis ita porro possideatis*. Ponieważ jednak Tatarzy krymscy, oczakowscy, białogrodzcy i inne hordy podległe władzy Sułtana, wbrew istniejącemu pokojowi wiele ciężkich szkód wyrządzili carowi, który aby pomścić na nich te szkody i spustoszenia musiał rozpocząć bardzo kosztowną wojnę, dlatego w nagrodę za to, a nadto, by na przyszłość mogła Rosya łatwiej powstrzymywać te swawolne napady, żąda car, by Turcy odstąpili mu twierdzę Kercz, położoną na półwyspie krymskim, przy zatoce morza Azowskiego. Ponad to Turcy zobowiążą się ukrócić i powstrzymywać te napady wojsk sułtańskich na Rosyę, która z swej strony zapewni to samo W. Porcie. Jeńcy zostaną obustronnie bez okupu uwolnieni. Obu stronom przysługiwać będzie wolne prawo handlu i przewozu towarów na ich terytoryach. Cło zaś ma być opłacane wedle dawnych zwyczajów i tylko w miejscach sprzedaży towaru. Paragraf siódmy i ósmy, omawia kwestye religijne. Grób Zbawiciela w Jerozolimie ma pozostać w rękach patryarchy greckiego. Wszyscy wyznawcy obrządku greckiego, mają mieć w krajach należących pod władzę Sułtana wolność wyznania i mają być wolni od wszystkich ciężarów, zbytnich danin i nie dawno nałożonych podatków i nie mogą być zmuszani do płacenia ich. Traktat ten zaprzysięgną obaj monarchowie w obecności posłów w tym celu na ich dwory wysłanych. Pełnomocnicy obu stron gwarantują imieniem swych władców, stałe i zupełne wypełnianie warunków tego pokoju [2]).

---

[1]) Całe to zajście opisane jest dokładnie w Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 201—203.

[2]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 204—208.

Trudno było przypuścić, że Turcya zgodzi się na te warunki, zwłaszcza zaś na najważniejszą pretensyę cara t. j. na odstąpienie twierdzy Kercz, której znowu car żądał, aby, jak twierdził, ubezpieczyć się od napadów tatarskich, a właściwie, aby zawładnąć Morzem Azowskiem i mieć dostęp do Morza Czarnego.

Zanim rozpoczęły się narady nad warunkami rosyjskimi, Woznicyn ciągle jeszcze stał uparcie na swojem stanowisku na przekór opinii wszystkich pełnomocników państw sprzymierzonych i pośredników. Posłowie cesarscy przysłali mu dnia 6. listopada postanowienia pośredników, mające na celu zabezpieczenie spokoju i porządku w naradach [1]). Woznicyn pismo to odebrał i kazał je przetłumaczyć; a gdy następnego dnia przysłał Oettingen z prośbą o podpisanie i odesłanie postanowień pośrednikom, ponieważ tak uczynili inni posłowie, odpowiedział, że on nie przyjechał tu prowadzić narady z pośrednikami lub z kimś innym, lecz z Turkami i dlatego nie podpisze tych punktów. Tak też zrobił i odesłał je Oettingenowi bez podpisu [2]).

Równocześnie prowadzi poseł cara dalej swoje tajne narady z Maurocordatą. Wysełа znowu do niego dnia 7. listopada Poznikowa z propozycyą oddzielnego zawarcia zawieszenia broni na zasadzie *uti possidetis*. Gdyby zaś, dodawał, Turcy chcieli, aby car przystąpił do pokoju wspólnie z wszystkimi sprzymierzonymi, Rosya nie uczyni tego bez odstąpienia jej twierdzy Kercz, tak samo, jak Polska nie zawrze pokoju bez uzyskania Kamieńca, Podola i ziemi Wołoskiej. Przy tej sposobności Woznicyn, znowu zręcznie wsuwa radę, ażeby Turcy nie ulegali zbyt daleko idącym żądaniom Niemców i innych sprzymierzonych [3]).

Maurocordato jednak i teraz nie dał się zawikłać w te sprawę, która mogła łatwo zerwać pertraktacye pokojowe, w razie gdyby tajne zawieszenie broni zawarte z Rosyą wyszło na jaw, a nawet obecnie już nie przystawał na dwuletnie zawieszenie broni, które, jak wiemy, sam dawniej poddawał posłowi rosyjskiemu [4]). Prawdopodobnie pragnął on tylko przewlekać tajne narady z posłem cara, bo w danym wypadku mogło mu się to przydać, na seryo jednak nie myślał o propozycyach Woznicyna. Zaznaczając, że na kongresie chodzi o zawarcie pokoju z wszystkimi członkami Ligi Świętej,

[1]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 210—212.
[2]) Ibidem str. 213.
[3]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 212.
[4]) Ibidem. Taż strona.

poseł turecki dodaje w swojej odpowiedzi, że jeżeliby miało z Rosyą dojść do zawarcia tylko zawieszenia broni, to należałoby raczej zawrzeć je na lat 20, a co najmniej na 15, aniżeli na tak krótki czas. jak to proponuje Woznicyn. Na to odparł Poznikow, że obecne zawieszenie broni będzie tylko przedsionkiem niejako do przyszłego pokoju, który należałoby zawrzeć w jak najkrótszym czasie. Wobec tego obiecał Maurocordato porozumieć się co do tej kwestyi z Reis-Efendim i dopiero na podstawie tej wspólnej narady dać decydującą odpowiedź posłowi rosyjskiemu. Teraz nastąpiła kilkudniowa przerwa w tajnych układach Woznicyna z Maurocordatą. Lecz już dnia 14. listopada podejmuje je wielki tłumacz turecki na nowo. Zażądawszy bowiem od Woznicyna przysłania jego sekretarza, poleca Poznikowowi zapewnić posła, że Turcy nie wyrzekają się zawieszenia broni z Rosyą, pragną tylko, by dało ono jakąś podstawę przyszłemu wiecznemu pokojowi, a chociaż podstawa pokoju t. j. *uti possidetis* już jest, to jednak zachodzą tu jeszcze rozmaite trudności jak n. p. ewakuacya i demolicya niektórych miast i wiele innych, nad czem powinien się poseł cara zastanowić. Woznicyn jednak ani słyszeć o tem nie chciał [1]). On pragnął zawieszenia broni, ale na warunkach podanych przez siebie, a z postępowania Turków widocznem było, że oni nawet nie myślą o tem.

W tych przykrych stosunkach zabłysła Woznicynowi nowa nadzieja t. j. nadzieja wspólnego postępowania z Polską, teraz bowiem właśnie, doszło wreszcie do porozumienia między oboma pełnomocnikami. Pierwszy krok ku temu zrobił poseł polski, wysyłając do Woznicyna swego sekretarza z zapewnieniem życzliwości i prośbą o porozumiewanie się w wspólnych sprawach. Wnet też nastąpiła pożądana zgoda.

## VI.

Obrady kongresu. — Dalsze spory o kompetencyę. — Pełnomocnicy cesarscy a Woznicyn. — Pierwsza konferencya Woznicyna z Turkami. — Woznicyn stara się nadaremnie o poparcie sprzymierzonych. — Druga i trzecia konferencya. — Woznicyn proponuje zawieszenie broni, — Ostatnie próby zawarcia pokoju. — Zawieszenie broni.

Tak stały interesa Rosyi w chwili, kiedy zdecydowano się wreszcie na przystąpienie do właściwych narad. Wedle postano-

[1]) Relacya Woznicyna do cara z d. 15. listop. 1698. (Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 247—248.

wienia posłów cesarskich, pełnomocników tureckich i pośredników, narady te miały odbywać się w następujący sposób. Obok pomieszkania pośredników rozbito wielki namiot, w którym pełnomocnicy wszystkich stron mieli schodzić się na narady w obecności pośredników. Przez pierwsze dwa dni mieli naradzać się posłowie cesarscy, następnie poseł polski, wenecki, a wreszcie jako czwarty z rzędu poseł rosyjski; następnie znowu posłowie cesarscy dwa dni i tak dalej, aż do ukończenia obrad. Pełnomocnicy członków Ligi Świętej mają przedkładać swoje żądania pośrednikom, a ci dopiero przedłożą je Turkom [1]). Regulamin ten obrad sprzeciwiał się, jak wiemy, żądaniom Woznicyna, którego cała działalność zdążała do bezpośrednich, a nawet tajemnych, za plecami innych państw prowadzonych, układów z W. Portą. To też zaprotestował on przeciw tym uchwałom. Nie podobało mu się najpierw to, że miał prowadzić swoje narady, jako ostatni, a potem, że miał je prowadzić przez pośredników. Pełnomocnicy cesarscy tłómaczyli że taki porządek obrad uchwalono dla tego, by sprawy swoje załatwiali pierwej ci, którzy wcześniej przystąpili do przymierza z cesarzem. Osobistego zaś porozumiewania się nie życzą sobie pełnomocnicy sułtana i żądają stanowczo, aby wszelkie narady odbywały się przez pośredników. Woznicyn odparł znowu, że bez względu na to, kto pierwej zawarł przymierze z cesarzem, należy się jego władcy należna cześć i poważanie. Poseł cara nie pojmuje dlaczego ma on wbrew istniejącym zwyczajom, traktować przez pośredników a nie osobiście, tem bardziej, że nie jest upoważniony przez cara do uznania posłów, angielskiego i holandzkiego za pośredników, uważa ich tylko za dobrych druhów i przyjaciół. Poleconych sobie spraw, nie może oddać nikomu do załatwienia bez wyraźnego rozkazu cara, skutkiem tego więc absolutnie nie godzi się na ten sposób prowadzenia narad nad sprawą pokoju [2]).

Woznicyn wytoczył ostatni argument przeciw coraz bardziej zacieśniającym się układom — t. j. brak upoważnienia do negocyacyj przez ręce pośredników, których przecież dziełem było doprowadzenie tych układów do skutku. Nie zwracał uwagi na to, że już przez sam przyjazd do Karłowic uznał niejako akcyę kon-

[1]) Oettingen powiadomił o tem Woznicyna dnia 10. listopada. Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 235.

[2]) Pam. dipl. snosz. str. 235 i 236.

gresu, że postępowanie jego czyniło wrażenie niekonsekwencyi i niestałości. To też posłowie cesarscy w każdej relacyi charakteryzując działanie Woznicyna, nie szczędzili mu ostrej krytyki. „Przydarzają się, piszą Oettingen i Schlick pod datą 8. listopada [1]), prawie codziennie z obecnym tutaj posłem moskiewskim, nowe a takie utarczki, że na dłuższy przeciąg czasu rzecz w ten sposób trwać nie może, zwłaszcza, że człowiek ten w swojem działaniu, całkiem niestale i nieformalnie postępuje: jednego dnia pośrednictwo uznaje i do wszystkiego chce się zastosować co za dobre uznamy, drugiego zaś dnia nowe spory o kompetencyą podejmuje, nie poddaje się żadnej racyi, nie uznaje żadnego pośrednictwa, lecz z Turkami w własnej nawet osobie rokuje, wszystkie przez nas i innych uchwalone zarządzenia obala, albo grozi, używając wielu nieznośnych przytyków, że pójdzie sobie precz, tak, że zmuszeni byliśmy rzecz tę odkryć w zaufaniu pośrednikom, którzy wszakże po kilkakroć nas zapewnili, że Turcy twardo przy tem obstawać będą, żeby z nikim nie układać się tylko z Waszą Cesarską Mością i Jego przedstawicielami. Dlatego postanowiliśmy mimo wszystko utrzymać go czasowo dobremi słowami, nie przerywać jednak dzieła ani porządku obrad, i tak dalej wyczekiwać, czy też czas i przekonanie, iż w ten sposób nic nie zyskuje, nie potrafią naprawić wstrętnego jego humoru". „Cośmy już donieśli o uporze posła Moskiewskiego, piszą w następnej relacyi [2]), to jesteśmy zmuszeni i tym razem potwierdzić, zwłaszcza, że wyżej wspomniany poseł był przed kilku dniami znowu u nas i pomimo najoględniejszych środków, którymi staraliśmy się przywieść go do rozsądku, stanowczo przy tem obstawał, że nie może uznać ani pośredników, ani pośrednictwa, lecz chce osobiście traktować z Turkami i zażądał od nas paszportu, z którym mógłby jednego z swoich ludzi wysłać do poselstwa tureckiego. My jednak usprawiedliwiliśmy się, że takiego paszportu nie możemy wydać dalej, jak do pośredników. Poczem on z wielu grubiaństwami, zszedł na nowo na spór o kompetencyą i oznajmił, że nigdy nie zgodzi się na inny porządek rzeczy, jak tylko, żeby on prowadził swoje narady zaraz po posłach Waszej Cesarskiej Mości a przed wszystkimi innymi sprzymierzonymi. Dodał zaś do tego jeszcze żądanie, abyśmy my naszym wpływem nakłonili posła polskiego,

[1]) Relacya Oettingena i Schlicka do cesarza z dnia 8. listopada 1698 H. H. und Staatsarchiv Turcica November 1698.

[2]) Relacya z dnia 12. listopada 1698. Ibidem.

by tenże mu ustąpił, albo rozegrał z nim tę sprawę. Odpowiedzieliśmy na to, że nie mamy władzy rozstrzygać sprawy pierwszeństwa jednego lub drugiego, poczem odszedł wreszcie od nas z wielką niechęcią i wylaniem, już przedtem opisanych grubiaństw, tak, że nie jesteśmy wolnymi od dawniejszej troski, że z tym niespokojnym człowiekiem może jeszcze nastąpi separacya.

Dyplomacya austryacka znalazła się więc w trudnem położeniu. Uporu posła rosyjskiego przełamać nie można było, a z drugiej strony zawarcie ostatecznego pokoju, jeżeli miał on położyć kres dalszym wojnom na Wschodzie, wymagało koniecznie przystąpienia Rosyi, ponieważ stała się ona obecnie przez wystawienie floty i reorganizacyę armii, jednem z potężniejszych państw Wschodu. Z tego powodu udawali się pełnomocnicy cesarscy do Wiednia z prośbą o nową instrukcyę w tej sprawie. Na dworze wiedeńskim uważano naonczas, doprowadzenie zupełnego pokoju do skutku za konieczne. W odpowiedzi zatem na te relacye pełnomocnicy austryaccy otrzymali pismo Leopolda z dnia 19. listopada [1]), w którem cesarz poleca im, aby wszelkimi siłami starali się, pozyskawszy posłów polskiego i weneckiego, by miejsca święte nie przeszły, wedle żądania cara, w ręce patryarchy greckiego, lecz bezwarunkowo pozostały nadal w posiadaniu duchownych katolickich. „Chociaż zaś chętnie widzimy, że wy w kwestyi twierdzy Kercz, oddajecie Rosyi wszystkie poważne przysługi, to jednak powinniście baczyć na to, abyście, jeżeli na uzyskanie tego, jak to się zdaje, nie będzie żadnej nadziei, w tej sprawie zanadto nie angażowali się, lecz raczej zrobili uwagę posłowi moskiewskiemu, że My wraz z Polską i Wenecyą, ostatecznie uczynimy zadość naszym zobowiązaniom, jeżeli w tym pokoju uzyskamy dla Rosyi należną satysfakcyę, oznaczoną za wspólnem porozumieniem się sprzymierzonych". Ponieważ cesarz nie żąda od Turków niczego więcej prócz poczynionych zdobyczy, nie widzi więc racyi do zmuszenia W. Porty, by względem Rosyi odstąpiła od zasady *uti possidetis*, oddając carowi to, czego nie zdobył. Poseł moskiewski powinien dobrze zastanowić się nad tem, jakie niebezpieczeństwo może ściągnąć na swego władcę i jego kraj, jeżeli wszyscy inni sprzymierzeni zawrą pokój, a Rosya sama pozostanie w nieprzyjaznych stosunkach z Portą. Później bowiem, Rosya odosobniona

[1]) Odpowiedź Leopolda Oettingenowi i Schlickowi z dnia 19. listopada na ich relacye z dnia 5. 8. i 12. listopada 1698. H. H. und Staatsarchiv Turcica November 1698.

nie uzyska od Turków nawet tego, co jej dziś skutkiem poparcia innych sprzymierzonych, ofiarują. Należy więc koniecznie znaleść jakiś sposób na to, aby ułożone między Moskwą a Portą warunki, były na tym kongresie uznane za obowiązujące i równocześnie *salva substantia* należy dalsze formalności odłożyć na inną porę. „Macie więc wedle tego, pisze cesarz, do tej remonstrancyi dodać, że My ze szczególnej braterskiej miłości i przyjaźni, jakie żywimy do cara w Moskwie, najłaskawiej wam poleciliśmy, przedstawić to jemu, posłowi, aby się także i nad tem zastanowił, że w każdym razie on sam będzie odpowiadał za wszystko złe. Jeżeliby jednak mimo to wszystko poseł moskiewski trwał w swoim uporze i nie chciał przez was, albo w waszej obecności układać się z Turkami, lecz chciałby czynić to z nimi sam na sam, *tête à tête*, to nie sprzeciwiając się temu więcej, macie pozwolić na to i tylko uważać, by nie działo się to z Naszą szkodą".

Byle więc tylko doprowadzić do wspólnego zawarcia pokoju, godzi się cesarz nie tylko na popieranie żądań Rosyi przekraczających *uti possidetis*, lecz pozwala nawet na bezpośrednie traktowanie Woznicyna z pełnomocnikami tureckimi.

Zanim jednakże odpowiedź ta nadeszła, pełnomocnicy cesarscy i pośrednicy zmienili poprzednią uchwałę, tyczącą się porządku i sposobu obrad, o tyle, że postanowili, aby Turcy i pośrednicy, dowolnie wyznaczali każdemu z pełnomocników dzień obrad, które jednakże zawsze miały się odbywać w obecności pośredników [1]), a z drugiej strony i Woznicyn widział już, że musi ustąpić. Zawiodło go to, na co najwięcej liczył t. j. tajne układy z pełnomocnikami tureckimi, a pełnomocnicy cesarscy, jak widzieliśmy, postanowili czekać, aż poseł rosyjski przekonany, że uporem nic nie wskóra, nie zmieni swego postępowania. Żali się on też na swoje położenie przed carem, pisząc w relacyi z dnia 15. listopada: „Jeżeli pomoc Boża czego nie zdziała, to trudno będzie pomyślnie zakończyć swoje dzieła przy pomocy cesarskich, którzy zostawili nas na koniec" [2]). Udaje się on wprawdzie d. 16. listopada raz jeszcze do pełnomocników cesarskich, aby wyrzucać im, że nie postępują z nim szczerze i po przyjacielsku i nie pozwalają na naradzanie się z samymi Turkami [3]), jednakowoż już na-

[1]) H. H. u. Staatsarchiv Turcica November 1698. Relacya Oettingena i Schlicka z d. 17. list. 1698.

[2]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 248.

[3]) Ibidem str. 252.

stępnego dnia udaje się z prośbą do pośredników, aby wspólnie z Turkami naznaczyli mu dzień zjazdu [1]).

Pierwsza konferencya Woznicyna z Turkami odbyła się dnia 19. listopada [2]). Poseł moskiewski przedstawiał swoje żądania wedle punktów przesłanych pełnomocnikom cesarskim. Tutaj jednak czekała Woznicyna niespodzianka. Rosya, jak wiemy nie chciała nawet zgodzić się na zasadę *uti possidetis* i żądała prócz miejsc zdobytych twierdzy Kercz. Posłowie tureccy natomiast, może umyślnie, aby osłabić pretensye Rosyi, podnoszą żądania, aby car zwrócił im Azow, motywując to tem, że kiedy przed 50 laty swawolne kupy wojsk rosyjskich zajęły były tę twierdzę, car dragnąc zgody i przyjaźni z sułtanem, oddał mu ją. To samo może i dziś uczynić, tem bardziej, że twierdza ta nie jest mu zupełnie potrzebną. Żądają dalej, aby wojska rosyjskie opuściły i oddały w posiadanie Turkom, twierdze położone nad Dnieprem, jak Kazykermen, Tawan i inne. Z oburzeniem odparł Woznicyn te żądania. O oddaniu Azowa i ewakuacyi twierdz naddnieprzańskich, mówił, ani mowy być nie może, a Turcy niechaj nawet nie myślą o tem. Car chce zawrzeć pokój na zasadzie *uti possidetis* z dodaniem do niej warunków, któreby mu przyniosły korzyść, a nie stratę. Turcy znowu twierdzili, że w razie oddania Azowa, Tatarzy nie mieliby nigdy spokoju od swawolnych kup kozackich, na co zapytał Woznicyn, czy przemawiają oni także w imieniu chana tatarskiego, a gdy otrzymał odpowiedź, że sprawa chana ma być tutaj wspólnie traktowaną, zażądał, jako nagrodę za liczne krzywdy, jakie chan tatarski wyrządził Rosyi, oddania carowi w wieczne posiadanie twierdzy Kercz. „Zdumieli na to żądanie Turcy, pisze Woznicyn [3]), i poglądając jeden na drugiego przez dłuższy czas milczeli“. Zdumieli oni rzeczywiście, ale też szyderczo zapytali, czy przypadkiem poseł cara nie pomylił się i mając inną twierdzę na myśli nie nazwał jej Kerczem. Chan krymski, mówią, jest tylko podwładnym sułtana, a kraj w którym rządzi należy do Turcyi, więc on nie może nim rozporządzać, a zresztą przez żądanie twierdzy Kercz odstępuje poseł rosyjski od zasady *uti possidetis*. Woznicyn odrzekł im na to, że od zasady *uti possidetis* wcale nie odstępuje, ponieważ jest ona ustanowioną tylko dla Turcyi, a nie

[1]) Ibidem taż strona.

[2]) Dokładny protokół tej konferencyi znajduje się w Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 254—261.

[3]) Protokół konferencyi l. c. str. 258.

dla chana krymskiego. Chan chociaż jest tylko namiestnikiem Turcyi, może oddać Rosyi tę twierdzę, ponieważ dawniej odstępowali Tatarzy rozmaite miasta jak Sybir, Kazań, Złotą Ordę, Astrahan, mogą więc i teraz to uczynić. Na uwagę zaś Turków, że miasta te były zdobyte bronią, odpowiada poseł, że jeśli car nie otrzyma twierdzy Kercz w pokoju, to nie pozostanie mu nic innego jak tylko zdobyć ją orężem. Na tem zakończono tę pierwszą konferencyę w sposób wcale nie pokojowy.

Woznicyn przekonał się, że nie będzie miał łatwej sprawy z Turkami i że cała jego zakulisowa polityka nie przyniosła najmniejszej korzyści. Nie tylko, że nie zyskał on nic, ale nawet Turcy nie chcą mu przyznać tego, co już uważał za pewne i co Rosya już posiadała, a żądają zwrotu Azowa i ewakuacyi Kazykermenu i Tawanu. Poznał więc poseł rosyjski, że tą drogą nie uzyska korzystnych warunków dla Rosyi, apeluje zatem do posłów wszystkich sprzymierzonych, aby oni, wedle postanowień Ligi Świętej, starali się o wyjednanie ich dla cara. Gdyby nie ustępowali w niczem Turkom — mówił Woznicyn, teraz gotów do wspólnej akcyi — i stali niewzruszenie przy swych żądaniach, zmusiliby Portę niezawodnie do ustępstw na korzyść wszystkich sprzymierzonych [1]). Ale i tu spotyka go zawód. Posłowie obiecują wprawdzie ująć się za interesem Rosyi, ale równocześnie żądają, aby poseł jej odstąpił od wygórowanych pretensyj, dodają jednak zarazem, że trudno będzie zawrzeć pokój z Turcyą bez ewakuacyi twierdz naddnieprzańskich. Traktaty wszystkich sprzymierzonych są już na ukończeniu, łatwo więc może stać się, że car sam pozostanie w wojnie z Turkami, tem goręcej więc powinien poseł moskiewski starać się o doprowadzenie do zawarcia pokoju [2]).

W ten sposób żądania Porty zostały poparte także przez sprzymierzonych, a dodana groźba stawiała posła rosyjskiego w bardzo trudnem położeniu. Mimo to także i na drugiej konferencyi z Turkami, która odbyła się d. 22. listopada nie postąpiono ani krokiem naprzód. Woznicyn oświadczył wprawdzie, że przyjmuje zasadę *uti possidetis* [3]), jednakowoż sprawa utknęła na ewa-

[1]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 261.

[2]) Ibidem str. 261, 262.

[3]) H. H. u. Staatsarchiv l. c. z relacyi Oettingena i Schlicka do cesarza z dnia 22. listopada 1698: „Der Moscovitische so heut in der anderten conferenz gewesen, hat sich erklärt, dass fundamentum pacis

kuacyi twierdz naddnieprzańskich. Turcy powoływali się [1]) na list Kińskiego, w którym wielki kanclerz zawiadomił pośredników, że wszyscy sprzymierzeni godzą się na *uti possidetis*, a nadto na ewakuacyę i demolicyę niektórych miejsc, o ileby to okazało się koniecznem. Woznicyn odparł na to, że Kinski nie miał prawa stawiać takich warunków bez porozumienia się z carem, który nigdyby się na to nie zgodził i zgodzić nie może. Gdy jednakowoż wszystkie jego wywody nie odniosły pożądanego skutku i Turcy od swych żądań odstąpić nie chcieli, zaproponował znowu, aby na razie zawrzeć tylko zawieszenie broni na krótki czas, w ciągu którego należałoby omówić warunki pokoju. Kiedy zaś Turcy i na to nie przystawali, zażądał Woznicyn, by, jeśli już koniecznie ma być mowa o ewakuacyi, mówiono równocześnie o ewakuacyi Oczakowa i Białogrodu, a nadto o przesiedleniu wszystkich Tatarów za Dunaj [2]). Turków oburzyło to tak dalece, że zerwali układy z Woznicynem i chcieli odtąd traktować tylko z pośrednikami [3]). Wobec tego pośrednicy naznaczyli następny dzień na konferencyę z posłem cara.

Tymczasem Woznicyn udał się do posłów cesarskich, aby upomnieć się o wspomniany na konferencyi list Kinskiego i wywołać z tego powodu awanturę. Pełnomocnicy cesarscy przyjęli rzecz chłodniej, obiecali porozumieć się w tej kwestyi z pośrednikami, ponieważ wedle ich zdania Turcy tłumaczą sobie mylnie list kanclerza. Rozgniewany Woznicyn zażądał, aby posłowie cesarscy nie zawarli pokoju, póki Turcy nie oddadzą carowi należnych korzyści. Nie odniosło to jednak żadnego skutku [4]).

Tak samo i narada z pośrednikami nie doprowadziła do żadnych rezultatów, prócz tego, że teraz coraz bardziej zaczyna wy-

---

„Uti possidetis“ anzunehmen, doch von keiner Evacuation Demolition oder permutation nicht dass geringste anzuhören“.

[1]) Protokół tej konferencyi znajduje się w Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 262—266.

[2]) ....и просить во испражненіе Очакова, Бѣлогорода и всѣх тамошнихъ Татаръ вывесть за Дунай. (Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 266).

[3]) И послы турскіе сердитуя молчали, а послѣ говорили посредникомъ: намъ де съ нимъ болши нѣчего дѣлать, изволте вы съ нимъ говорить, и вму то постановленіе протолковать. (Ibidem taż strona).

[4]) Ibidem str. 267—268. i Dyaryusz zjazdu z dnia 23. listopada 1698 H. H. u. Staatsarchiv Turcica 1698.

łaniać się myśl zawarcia zawieszenia broni na pewien czas [1]). Woznicyn widząc, że nie zdoła przeprowadzić warunków pokoju wedle życzeń cara, powraca coraz usilniej do zawarcia zawieszenia broni, co (jak wiemy) w razie nie dojścia do skutku korzystnego pokoju, miało go chwilowo zastąpić [2]). Znowu więc nawiązuje rokowania z posłami tureckimi. którzy godzą się na ponowne rozpoczęcie narad z posłem rosyjskim. Skutkiem tego odbyła się dnia 2. grudnia trzecia konferencya Woznicyna z posłami tureckimi. Zanim jeszcze do niej doszło, starał się Woznicyn wszelkimi siłami o doprowadzenie do jakichś pozytywnych rezultatów. Prosi wszystkich sprzymierzonych, aby nakłonili Turków do ustępstw: posyła nawet do Maurocordaty z prośbą, aby on po przyjaźni doniósł mu, czy Turcy pragną pokoju z carem czy nie? Maurocordato klnie się, że sułtan pragnie pokoju i dlatego ustępuje już Azow, natomiast jednakże twierdz naddnieprzańskich żadną miarą odstąpić nie może [3]). Mimo to wszystko jednak do upragnionej zgody także i na tym trzecim zjeździe nie przyszło [4]). Sprawa rozbiła się znów o twierdze naddnieprzańskie. Car nie godzi się na ich wydanie, ponieważ mają one mu służyć do powstrzymywania napadów tatarskich, Turcy znowu, nie chcą odstąpić od tego żądania, ponieważ, gdyby one pozostały w rękach cara, nie mieliby Tatarzy żadnej obrony przed napadami kozackimi, Tatarów zaś obiecują powstrzymać od napadów na kraje cara Na tę jednak obietnicę liczyć nie można było, ponieważ Turcy obiecywali to zarówno Rosyi jak i Polsce przy każdorazowem zawieraniu pokoju, a nigdy nie dotrzymali. Sprawy pokojowej nie pchnęło na pomyślniejsze tory nawet i to, że Woznicyn odstąpił teraz od żądania twierdzy Kercz [5]). Turcy nie uważali tego za żadne ustępstwo ze strony Rosyi, ponieważ był to prezent z tego, czego Rosya nie posiadała. Wobec uporu więc obu stron nie było nadziei na zawarcie pokoju. Nawet Woznicyn ostatecznie przekonał się, że dalsze nalegania i rokowania o zawarcie pokoju nie doprowadzą do rezultatu, przedłożył więc dnia 8. grudnia warunki zawieszenia

[1]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 272—3.
[2]) Ibidem str. 293—294.
[3]) Ibidem str. 294.
[4]) Ibidem str. 295—299. Protokół tej konferencyi.
[5]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 298; Relacya Oettingena i Schlicka z dnia 2. grudnia 1698 H. H. u. Staatsarchiv l. c.

broni, na ręce pośredników, aby oni przesłali je pełnomocnikom tureckim [1]).

Zawieszenie broni ma być zawarte na zasadzie *uti possidetis ita possidete* [2]). Czas trwania zawieszenia broni został w przedłożeniach Woznicyna wypuszczony, ponieważ miał być oznaczony za wspólnem porozumieniem. — Po ukończeniu zawieszenia broni mogą je obaj monarchowie przedłużyć nadal na tej samej zasadzie. Sułtan obowiązuje się powstrzymać napady wszelkich sobie podwładnych wojsk na kraje cara, który z swej strony przyrzeka to samo Turkom. Do ustanowienia granic brak posłowi rosyjskiemu instrukcyi, dlatego też traktować o to będą posłowie wysłani w celu ratyfikacyi tego zawieszenia broni. Jeńcy mają być obustronnie drogą wymiany uwolnieni. Kupcy będą mieli wolny przejazd i prawo handlu w obu krajach, cło zaś ma być opłacane wedle starych zwyczajów i to tylko w miejscach zbytu. Grób Święty Zbawiciela, ma pozostać w posiadaniu patryarchy greckiego. Sułtan gwarantuje narodom obrządku greckiego wolność wyznania i budowania kościołów. Traktat ten ma być ratyfikowany przez obu monarchów. Pełnomocnicy obu stron gwarantują imieniem swych władców, ścisłe wypełnianie warunków tego zawieszenia broni.

Punkta te rozesłał Woznicyn również do pełnomocników wszystkich sprzymierzonych.

Posłowie cesarscy dopisali zaraz do nich następującą klausulę do artykułu trzeciego. „Wydaje nam się, że należy dodać do artykułu trzeciego: Tak jednakże, iż warunki jakiekolwiek na

---

[1]) Relacya Oettingena i Schlicka do cesarza z dnia 9. grudnia 1698 r. (H. H. u. Staatsarchiv Turcica Dezember. I. Hälfte 1698. Sonsten beharrt auch der Moscovitische noch bey dem, vas des von Ihmo angesuchten Armistitii halber Euer Kayserlichen M-tt wir schon öffters allergehorsambst benachrichtet haben. Woran nun so weniger gezweifelt werden kann, alss nach jungst auf etliche Täge genombener bedenkhzeit er seine letzte declaration (die Er Uns jedoch zuvor communiciren lassen) lauth hiebey kombende copia A) denen Mediatoribus umb solche denen Türkischen Plenipotentiariis zu behändigen gestern schriftlichen übergeben, undt mithin Euer Keyserlichen Mayestätt von Einem so beschwärlichen impegno entlediget hat; Worzu unseres orths weiter nichts alss die sub B) hier angefügte clausulam zu besserer Sicherheit mit einzurukhen angerathen worden.

[2]) Ibidem. Warunki te są sub A) dołączone do tej relacyi; znajdują się również i w Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 311, 312.

wyżej wspomnianej zasadzie pokoju Najjaśniejszemu Cesarzowi Rzymskiemu, niemnie ji najdostojniejszym i najpotężniejszym, królowi i Rzeczypospolitej polskiej, jakoteż Weneckiej Rzeczypospolitej wspólne i pożyteczne, rozumieć należy jako przez Świetną Portę Ottomańską przyznane lub przyznać się mające także i na korzyść Jego Carskiej Mości i że nie można inaczej uczynić lub cokolwiek z jakiekolwiekbądź strony im (warunkom) ująć, lecz ze wspomnianemi poprzednio potęgami także Jego Carska Mość w tym samym zawsze pokoju i na tym samym fundamencie, po utwierdzeniu sojuszu pokojowego jest objęta“ [1]).

Tymczasem Woznicyn próbował raz jeszcze doprowadzić traktat o pokój do skutku. Dnia 10. grudnia schodzi się z Maurocordatą u pośredników, przedstawia mu znowu sprawę pokoju i prosi, by Turcy odstąpili od żądania ewakuacyi twierdz naddnieprzańskich. Maurocordato jednak nie chciał o tem ani słyszeć, zaproponował natomiast Woznicynowi, aby, ponieważ nie mogą zgodzić się na warunki pokoju, zawarli zawieszenie broni na krótki czas.

Jak wiemy myśl zawarcia takiego zawieszenia broni pierwszy poruszył sam Woznicyn i w tajnych naradach z Maurocordatą i na trzeciej konferencyi z Turkami i wreszcie przez przedłożenie wyżej wyszczególnionych warunków. Tymczasem teraz, na propozycyę Maurocordaty odpowiada, że on tego uczynić nie może, ponieważ jakby to wyglądało, gdyby on zawarł tylko zawieszenie broni a inni sprzymierzeni pokój; dodaje nadto, że jeśli on nie zawrze pokoju, to i inni pełnomocnicy nie podpiszą traktatow [2]).

---

[3]) Ibidem: Klausula ta brzmi dosłownie: „Addendum videtur ad finem articuli tertii. Ita tamen ut conditiones qualesumque ex supra repetito fundamento pacis Augustis. Romanorum Imperatori, nec non Sereniss. et Potentiss. Regi et Reipublicae Poloniae uti et Venetorum Reipublicae communes et proficua in Beneficium suae Tzareae M-tis quoque concessa aut adhuc comedenda a Fulpida Porta Ottomanica, intelligantur neque secus fieri aut quidquem ab ipsis ulla ex parte imminui pollit, sed cum ante memoratis Potentiis sua quoque Tzarea M-tas in eadem semper pace et super eodem fundamento stabilita pacis societate Comprehendatur“.

[2]) Protokół z tych narad z Maurocordatą znajduje się w Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 316—318; „И онъ ему сповѣщалъ пространно, что имъ безъ тѣхъ городковъ отніодь мирится не восможно, и чтобъ онъ, то уже отложа, говорилъ съ нимъ объ маломъ перемирье или о армистициумъ то есть о уніятіи на нѣкоторое время

Roześmiał się na to twierdzenie Maurocordato i zapewnił go, że nie ma co liczyć na pomoc sprzymierzonych, ponieważ oni prawie że już pokończyli swoje obrady nad pokojem, a nadto sami oznajmili tureckim pełnomocnikom, że zawrą pokój i bez cara, ponieważ on nie przyjął i nie przyjmuje ustanowionej przez cesarza i pośredników zasady pokoju. Na to odpowiedział Woznicyn, że wobec tego, jeżeli Turcy nie zgodzą się na warunki pokoju, nie pozostanie Rosyi nic innego, jak prowadzić wojnę dalej, na własną rękę [1]).

W ten sposób sprawa pokoju między Rosyą a Turcyą została już prawie zupełnie zerwaną. Woznicyn jednak nie tracił jeszcze nadziei załatwienia jej w jakikolwiekbądź sposób. Raz jeszcze stara się on o poparcie sprzymierzonych. Udaje się zaraz z prośbą do Ruzziniego, aby nie podpisywał swego pokoju, jeśli car nie dostanie należytego zadośćuczynienia od Turków. Poseł wenecki jednak zbył tę prośbę milczeniem [2]). Nie lepiej powiodło mu się z Małachowskim, który tego samego dnia zawiadomił go, że narady nad pokojem Polski z Turcyą już pomyślnie zakończył. Turcy odstąpili Polsce Kamieniec i znieśli haracz płacony dotychczas chanowi tatarskiemu. Na żądanie Woznicyna, aby Małachowski nie podpisał traktatu, dopóki Rosya nie zawrze pokoju, jak również i na groźbę, że w przeciwnym razie car zawrze jakibądź pokój z Turcyą, a strat wynikłych z tego będzie dochodził na Polsce, odpowiedział poseł polski dobitnem zapewnieniem, że z niecierpliwością oczekuje podpisania pokoju [3]). Na nic nie przydało się powoływanie się Woznicyna na wieczny pokój z Polską i jego punkt 12, opiewający, że ani królowi polskiemu, ani carowi nie wolno na własną rękę zawierać pokoju z Turkami, lecz tylko za wspólną zgodą i naradą. Małachowski odpowiedział, że, jeśliby

---

оружіа. И великой и полномочной посол ъсказалъ что ему то убыточно учинить, для того, что онъ сдѣласть мирокъ, а другіе союзные за тѣмъ учинятъ цѣлой миръ: а какъ онъ того миру не сдѣлаетъ, такъ и другіе не помирятся".

[1]) „Є. Цар. Вел-во . . . . . естлибъ за какими трудностьми того миру нинѣ и не будетъ . . . . . то по крайнему снисхожденію нѣсть страха въ немъ, при помощи Божіей, и одинъ въ войнѣ пребыти намѣренъ. (Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 319).

[2]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 321.

[3]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 322.

posła rosyjskiego nie było na kongresie, wtedy punkt ten obowiązywałby Polskę, obecnie jednak Polacy nie są nim zupełnie krępowani. Wstrzymywać się dłużej od podpisania traktatu nie można, ponieważ Polska dalszej wojny z Turkami prowadzić nie jest wstanie, tem bardziej, że nawet wobec zbliżającej się zimy, nie ma czasu przygotować się do niej [1]).

Nie lepszą odpowiedź otrzymał pełnomocnik cara od posłów cesarskich, do których zwrócił się również z tą samą prośbą. „Cesarz. odpowiedzieli oni, prowadził wojnę przez lat 16 z wielkimi kosztami, a dalej prowadzić jej, nie widzi potrzeby [2]).

Nie pozostawało więc Woznicynowi nic innego, jak samemu starać się usilnie o zawarcie bądź pokoju, bądź zawieszenia broni, a to tem bardziej, że traktaty innych pełnomocników były prawie na ukończeniu. Główne warunki pokoju cesarza z W. Portą ustanowione były jeszcze przy końcu listopada, a obecnie zastanawiano się tylko nad rzeczami mniejszej wagi, bądź też pełnomocnicy cesarscy, popierali żądania sprzymierzonych, a przedewszystkiem Wenecyi. Polska, jak donosił Małachowski, załatwiła już również swoje sprawy pomyślnie. Pozostawała tylko Wenecya i Rosya. Ae za plecami Wenecyi stali pełnomocnicy cesarscy, którzy popierali jej żądania, Rosya zaś, jak widzieliśmy, pozostawioną była samej sobie. Pełnomocnicy sprzymierzonych odmawiali Woznicynowi poparcia, chcąc tym sposobem zmusić go do odstąpienia od swoich wygórowanych żądań. Zawiedziony tedy w swoich nadziejach poseł cara, wysyła jeszcze tego samego dnia Piotra Poznikowa do Maurocordaty z zapytaniem, czy Turcy chcą jeszcze naradzać się z nim nad sprawą pokoju, czy nie?. Maurocordato odpowiedział, że W. Porta nie może absolutnie przystąpić do zawarcia pokoju, jeżeli nie będą jej odstąpione twierdze naddnieprzańskie, dlatego zaproponował on na ostatnim zjeździe, wedle dawniejszego żądania posła moskiewskiego, zawarcie zawieszenia broni na pewien czas, do czego tylko z trudnością udało mu się nakłonić Reis-Efendiego. Radzi więc, aby Woznicyn. nie tracąc czasu przystąpił do zawarcia tego zawieszenia broni [3]).

Wobec tego chwyta się Woznicyn jeszcze nowego sposobu, aby przynajmniej zyskać na czasie, w ciągu którego mógłby otrzy-

[3]) Ibidem str. 331.
[2]) Ibidem str. 330.
[3]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 333.

mać nową instrukcyę od cara; prosi więc pełnomocników cesarskich, by postępując w myśl warunków zawartego przymierza nie podpisywali pokoju, póki Turcy nie dadzą należytej satysfakcyi carowi, i aby co do tego porozumieli się z cesarzem, on zaś tymczasem odniesie się do cara z prośbą o instrukcyę, jak ma w tej kwestyi ostatecznie postąpić. Ponieważ jednak odpowiedzi od cara nie może dostać pierwej jak do 10 tygodni, dlatego prosi usilnie o tak długą zwłokę w podpisaniu traktatów [1]).

Dnia 15. grudnia rozesłał Woznicyn pisma podobnej treści do posłów polskiego i weneckiego. Ale i na tą propozycyę odpowiedzieli posłowie cesarscy odmownie, dodając, że oni starali się ile mogli o doprowadzenie do skutku pokoju między carem a Turcyą. Wszelkie ich starania oparły się jednakże o to, że Turcy żądają zwrotu twierdz naddnieprzańskich, Woznicyn zaś odstąpić ich nie może, nie mając do tego upoważnienia od cara; dalsze więc mieszanie się w tę sprawę nie doprowadziłoby również do niczego. Radzą tedy posłowi starać się o jak najprędsze załatwienie swej sprawy [2]).

Nie lepszą odpowiedź dał Woznicynowi Małachowski. Przedewszystkiem wyrzuca mu poseł polski jego nieszczere postępowanie z nim w ciągu całego kongresu. Nie chciał on nigdy iść ręka w rękę z pełnomocnikiem Rzeczypospolitej, a przecież wspólnemi siłami, mogliby byli więcej zdziałać dla korzyści swych władców i poseł cara nie byłby się znalazł w tak przykrej sytuacyi jak teraz. Wstrzymywać się z podpisaniem traktatu jeszcze przez 10 tygodni Małachowski nie chce, radzi natomiast, aby, ponieważ zgoda doszła do skutku na wszystkich punktach z wyjątkiem tych twierdz naddnieprzańskich, pozostawić rozstrzygnięcie tej sprawy, osobnym do tego wyznaczonym posłom, a tymczasem pokój zawrzeć [3]).

Poseł wenecki sam miał jeszcze trudności w doprowadzeniu swego dzieła do skutku i narady jego miały potrwać jeszcze przez pewien czas, spodziewał się więc, że do tego czasu, Woznicyn załatwi swoje sprawy i dał mu odpowiedź tej treści [4]).

---

[1]) Ibidem str. 334.

[2]) H. H. u. Staatsarchiv l. c. List pełnomocników cesarskich do Woznicyna z dnia 15. grudnia 1698.

[3]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 345.

[4]) Ibidem str. 348.

Znowu więc po bezskutecznej próbie pozyskania dla siebie sprzymierzonych zwraca się pełnomocnik cara do Maurocordaty, z prośbą podjęcia sprawy swego władcy na nowo. Teraz godzi się on już nawet na zawieszenie broni, jeżeli na najbliższym zjeździe z Turkami, o który prosi nie będzie można porozumieć się co do warunków pokoju [1]). Równocześnie przedkłada pełnomocnikom tureckim swoje punkta zawieszenia broni: „Między Wysokimi Władcami naszymi, Jego Carską Mością i Jego Sułtańską Wysokością, zarówno jak i między ich państwami i poddanymi, będzie od dziś przyjaźń i pokój na podstawie zawieszenia broni, począwszy od zawarcia tegoż przez lat dwa t. j. do miesiąca stycznia 1701 roku od narodzenia Chrystusa, w którym to czasie, ani Jego Sułtańska Mość ani Chan krymski, ani inne pod ich władzą będące ordy nie będą napadać na grody, kraje i poddanych Jego Carskiej Mości, ani też nie będą im nic złego czynić; a jeżeliby jakie z tych ord okazały się nieposłusznemi i wbrew temu postanowieniu postępowały, nie będzie się ich bronić, ani ujmować się za niemi, lecz będą bez miłosierdzia karani więzieniem i śmiercią. Jego Carska Mość da takie same zapewnienie Jego Sułtańskiej Mości, że ani on sam, ani jego poddani nie będą napadać na kraje i poddanych Jego Sułtańskiej Mości, ani też nie będą im żadnych krzywd wyrządzać. W ciągu tych lat zawieszenia broni będą obaj Wielcy Władcy przez posłów swoich naradzać się nad tem, aby zawrzeć wieczny pokój, albo zawieszenie broni na dłuższy czas i dołożą wszelkich starań do pomyślnego załatwienia tej sprawy. Do pokoju tego przystąpi na mocy pozwolenia obu Wielkich Władców i Chan krymski. My pełnomocni posłowie obu stron zobowiązujemy się, że to wszystko będzie dotrzymywane silnie i nie-

[1]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 349, 350; Pełnomocnicy cesarscy donoszą o tem Leopoldowi w relacyi z dnia 20. grudnia 1698. H. H. u. Staatsarchiv Turcica l. c. Jako przyczynę tego, podają oni to, że Woznicyn dowiedział się o zawarciu pokoju między Polską a Turcyą „der polnische Gesandte hat seinen Tractat zu Ende gebracht. Bey dem Moscoviter hat das gleich einige Unruhe erwecket, und ungeachtet dess vorhero so schlecht bezeugten Lusts ihmo aufs neue gantz eifrig gemacht. Nie wydaje się to prawdopodobnem, ponieważ raczej pomyślne zakończenie narad pełnomocników cesarskich, mogło zaniepokoić w wysokim stopniu Woznicyna, oni bowiem gdyby chcieli, mogli skutecznie poprzeć posła rosyjskiego, a na to poparcie z ich strony nie można było już wcale liczyć z chwilą, kiedy traktat ich pokojowy był zawarty.

naruszenie i na to w imieniu naszych Władców i swojem własnem, przysięgamy na naszą świętą wiarę i własne podpisy i pieczęcie kładziemy [1]).

Z taką propozycyą wysłał Woznicyn Poznikowa, polecając mu, aby, zanim uda się do Maurocordaty, był u pośredników i prosił ich o naznaczenie dnia narad z Turkami, a nadto, aby oni zezwolili Poznikowowi udać się wprost do Maurocordaty [2]).

Woznicyn doszedł zatem do przekonania, że dawniej praktykowaną metodą t. j. lekceważeniem sobie pośredników niczego nie osiągnie.

Maurocordato przyjął warunki zawieszenia broni i w odpowiedzi przesłał swoje przedłożenia, w zasadzie nie różniące się od rosyjskich, z dodatkiem tylko, że przymierze to zawarto przez pośredników, że posłowie cara wyznaczeni do traktowania o pokój mają przybyć do Konstantynopola [3]). Pośrednicy zaś naznaczyli konferencyę pełnomocników obu stron na dzień 20. grudnia. Konferencya ta jednak nie zakończyła całego dzieła. Dwukrotnie o mało co nie zerwana przez drażniące postępowanie Pagetta z Woznicynem [4]) rozbiła się ostatecznie o to, że Turcy żądali koniecznie dopisania do propozycyi zawieszenia broni przedłożonej przez Woznicyna dwóch warunków, a mianowicie, że car będzie obowiązany wysłać posłów w celu naradzania się nad pokojem do Konstantynopola, a nadto, że nie będzie mu wolno w czasie trwania tego zawieszenia broni, żadnych twierdz budować, ani naprawiać [5]).

---

[1]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 350, 351.

[2]) „....и чтобъ они господа посредники исходайствовали ему великому и полномочному послу съ турскими посли съѣздъ, на которомъ бы имѣлъ еще съ ними поговорить — а восьдѣла нами къ лутчему состоянію придутъ, а отъ себя бъ позволили ему поѣхать къ турскому послу къ Маврокордату, а къ его старому знакомцу, въ приватномъ его дѣлѣ. (Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 350).

[3]) Warunki te i list Maurokordaty Pam. dipl. snosz. t. IX. str 352—354.

[4]) Relacya z tej konferencyi do cara p. Pam. dipl. snosz. str. 361—365. Na str. 363 pisze Woznicyn: „многой пустилъ свой ядъ аглинской посолъ“.

[5]) Ibidem: Poseł angielski zaproponował: „да и то де надобно нынѣ постановить, чтобъ Е. Цар. Вел-у, вновъ городоъ не дѣлать, и никакихъ крѣпостей не обновлять и не починивать..... Турскіе послы наче всего ухватились за обновленіе і за строеніе крѣпостей,

Na to Woznicyn zgodzić się nie chciał, a gdy i Turcy nie byli skłonni do ustępstw, uchwalono porozumieć się w tej kwestyi drogą pisemną. W ślad za tem wysyła Woznicyn dnia 22. grudnia nową swoją propozycyę zawieszenia broni, nie różniącą się jednakże wcale od poprzedniej[1]). Turcy przyjęli ją, z tą jednak uwagą, że należało dopisać do niej jeszcze i te dwa wyżej wspomniane warunki i obiecali przysłać swoje przedłożenia w tej sprawie[2]).

Jak wiele zależało teraz posłowi cara na pomyślnem załatwieniu swej sprawy, dowodzi to, że on, który niedawno temu, stawiał ciągle trudności wszystkim, zarówno Turkom jak i pośrednikom, teraz, kiedy do trzech dni nie otrzymał obiecanego przedłożenia tureckiego wysyła następujący list do Maurocordaty: ...„Dochodzą mię słuchy, że Wy macie jeszcze jakieś żądania, proszę, bądź tak łaskaw donieść mi o tem jak najprędzej. Ja bardzo pragnę widzieć już koniec tego dzieła, ponieważ dalej ledwie mogę tutaj żyć“ [3]).

Maurocordato godził się na zawarcie zawieszenia broni, a poprzednie swoje żądania zmodyfikował w ten sposób, że żądał, by carowi nie wolno było na granicy tylko, budować lub naprawiać twierdze, i ażeby teraz ustanowiono czy o pokój ma się traktować w Konstantynopolu czy na Krymie, dodawał tylko, by w warunkach zawieszenia broni wspomniane było, że zostało ono zawarte przy pośrednictwie Anglii i Holandyi[4]). Woznicyn nie godził się na to, a wreszcie Turcy ustąpili. Dnia 28. grudnia 1698 r. pełnomocnicy tureccy przysyłają Woznicynowi swoje warunki zawieszenia broni, w których odstępują od podanych wprzód żądań, pozostawiając tylko jedno t. j. punkt odnoszący się do pośredni-

---

чтобъ тому не быть и конечнобъ о томъ въ договоръ написать и о посылкѣ въ Царгородъ пословъ“.

[1]) Nowa ta propozycya znajduje się w Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 368—370.

[2]) Ibidem str. 371.

[3]) „....Слышу, что еще нѣчего потребуете, прошу, изволь то написать безъ тоего отягченія, и хотя съ секретарем своимъ, или съ кымъ, ко мнѣ прислать. Я по премногу желаю видѣти въ семъ дѣлѣ опредѣленія, понеже болши одва тогу здѣсь жити. (Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 372).

[4]) Pam. dipl. snosz. t. IX. str. 379.

ctwa [1]). Wtedy także i Woznicyn przyjmuje je z małą tylko formalną zmianą, t. j. aby lata w tym dokumencie liczone były od narodzenia Chrystusa, a nie wedle rachuby tureckiej, wedle której wypadał wówczas rok 1110, co też Turcy przyjęli, poczem nastąpiła wymiana traktatów na ręce pośredników.

Zawieszenie broni między Rosyą a Turcyą, zawarte za pośrednictwem króla angielskiego i Stanów zjednoczonej Holandyi trwać będzie przez lat dwa, począwszy od dnia 25. grudnia 1698 roku. W ciągu tych dwóch lat mają się obaj władcy starać o zawarcie wiecznego pokoju, albo zawieszenia broni na dowolną ilość lat. Wszelkie kroki nieprzyjacielskie między Rosyą i Turcyą ustaną zupełnie, a chan krymski na mocy swego poddaństwa pod władzę sułtana przyłączy się zarówno do tego zawieszenia broni jak i do przyszłego pokoju. Pełnomocnicy obu stron gwarantują imieniem swoich władców ścisłe i stałe zachowywanie tego zawieszenia broni [2]).

Po wymianie tych warunków oczekiwał już Woznicyn spokojnie podpisania ich, które nastąpiło dopiero dnia 24. stycznia 1699, tak długo bowiem przeciągnęły się traktaty o pokój między Wenecyą a Turcyą. Pełnomocnicy innych państw podpisali swe traktaty o dwa dni później, a to z tego powodu, ponieważ oni zawierali pokój, Rosya zaś tylko zawieszenie broni [2]).

Epilog tej sprawy rozegrał się dopiero w półtora roku później, kiedy dumnyj diak, pełnomocny poseł cara, Emilian Ignatiew Ukraińcew, w pierwszych dniach lipca 1700 r. podpisał traktat pokojowy między Turcą a Rosyą.

Dnia 7. września 1699 r. zjawił się po raz pierwszy pod murami Konstantynopola wojenny okręt rosyjski, wiozący Ukraińcewa. Układy o pokój rozpoczęły się zaraz, a trwały prawie cały rok. I znów teraz główną przeszkodą w zawarciu pokoju były twierdze naddnieprzańskie, których car nie chciał ustąpić Turcyi. Po długich naradach i sporach, ustąpił wreszcie Ukraińcew od żądania tych twierdz, po czem zawarto pokój na lat 30, mocą którego Azow wraz z wszystkimi grodami należącymi do niego i kawałem ziemi, jaki jest wstanie objechać jeden człowiek konno w ciągu 10 godzin przechodzi w wieczne posiadanie Rosyi. Grody naddnieprzańskie Tawan, Kazykermen, Nysterkermen i Sahyn-

[1]) Ibidem str. 381, 383—386.
[2]) Ibidem.

kermen zostały zburzone i zaorane, a miejsca, na których stały, oddał car Turcyi. Dalsze warunki gwarantują bezpieczeństwo przed napadami tatarskimi z jednej a kozackimi z drugiej strony, wolność wyznania religii greckiej w kraju sułtana i obustronne bezpieczeństwo handlu [1]).

Włodzimierz Lenkiewicz.

[1]) Ustriałow: Istoria Carstwowania Piotra Wielikago, tom III. str. 359—361 i 378—383.

# ANDRZEJ RADWAN ZEBRZYDOWSKI

## BISKUP WŁOCŁAWSKI I KRAKOWSKI

(1496—1560).

MONOGRAFIA HISTORYCZNA.

### CZĘŚĆ TRZECIA
### (1553—1560).

(Ciąg dalszy).

Prócz kapituły krakowskiej także inne kapituły wygotowały odpowiednie memoryały na synod i wyprawiły z nimi swych posłów [1]). Również król wysłał do Piotrkowa delegata swego w osobie St. Tarnowskiego, wkładając w jego usta gorące słowa zachęty dla duchowieństwa, aby obmyśliło na synodzie środki, mające utrwalić religię katolicką i wykorzenić herezye [2]). Aliści owe słowa zachęty poparte jeszcze obietnicą, że król nie uchyli się od użyczenia pomocy swojej przyszłym usiłowaniom duchowieństwa, osłabiała niestety prośba o dobrowolny zasiłek, *subsidium charitativum*, którym duchowni uzupełniali w nadzwyczajnych a groźnych okazyach potrzeby państwa [3]).

Tymczasem synód nie dopisał i pokrzyżował tak rachuby króla, jak plany tej partyi duchowieństwa, która za przykładem kapituły Zebrzydowskiego za wiele sobie po nim obiecywała. W dniu oznaczonym 6 listopada prócz samego prymasa, z biskupów polskich przybył tylko biskup krakowski, Zebrzydowski i pło-

[1]) Wierzbowski, Uchańsciana T. II. nr. 27 s. 40. De tractandis in futuro synodo prov. (Płock 9. IX. 1554 r.).

[2]) Uchańsciana T. IV. nr. 14. Instructio ad synodum... data St. Tarnowski, capitaneo siradensi i T. V. str. 106.

[3]) Uchańsciana T. IV. nr. 12 i nr. 13.

cki, Noskowski [1]). Obok nich pojawił się także uproszony przez prymasa biskup warmijski, St. Hozyusz, jedyna ucieczka jego i całego episkopatu Rzptej polskiej. Nie brakło wprawdzie delegatów kapitulnych, między którymi pierwsi byli krakowscy, ale brakło tych, którzy główne mieli głosy w synodzie, bez których po prostu nie było synodu. Usprawiedliwili oni swą nieobecność częścią przez listy, częścią przez posłów, ale bądź co bądź nie zdołali nimi obalić smutnego faktu, że okazali tą swoją nieobecnością niesłychane lekceważenie dla poważnego zebrania kościelnego i wystawili je na pośmiewisko protestantów [2]). Hozyusza widok takiego zebrania, tego *synodus vel non synodus*, napawał niewysłowioną goryczą i smutkiem Nie miał słów oburzenia na opieszałość i apatyę dygnitarzy Kościoła polskiego [3]). Mimo braku kompletu rozpoczął prymas synodalne obrady podług zapowiedzi dn. 6. listopada. Wnet jednak, bo już 8. listopada po uchwaleniu para pomniejszych ustaw, gdy już zgasła ostatnia nadzieja, że biskupi zjadą się liczniej do Piotrkowa, na wniosek Zebrzydowskiego odroczył synod formalnym; aktem recesu z dnia tego. do czerwca następnego roku, wypowiadając w nim podobnie jak Hozyusz swój żal głęboki, że tak mało się znalazło między nimi takich, którychby wspólna potrzeba i pożar ogarniający kraj cały wzruszyły [4]).

Atoli synod ten jakkolwiek nieudały nie pozostał bez wpływu na dalsze losy Kościoła. Pominąwszy to, że Hozyusz bez wątpienia nie omieszkał korzystać z osobistego zetknięcia się z dwoma najwybitniejszymi przedstawicielami Kościoła polskiego, Dzierżgowskim i Zebrzydowskim, aby ich zachęcić do wznowienia procesów o herezyę, którymi zaczynają niebawem nękać szlachtę, upamiętnił się synod także dwoma projektami, tyczącymi się sanacyi Kościoła, powstałymi pod wpływem obawy przed wzrastającą potęgą innowierców, z których jednego autorem był Hozyusz, drugiego Zebrzydowski. Pierwszy widząc rażący brak sił żywotnych w samym

[1]) Hos. Ep. appendix nr. 67.

[2]) Hos. Ep. Appendix. nr. 67.

[3]) Hos. Ep. nr. 1293, nr. 1336.

[4]) Wężyk, Constitutiones synodales ed. 1630. Coacti sumus coepto desistere... Bukowski, Dzieje Ref. T. 11. 274—278, akt recesu z d. 8. XI. 54. podany in extenso, wyjęty z aktów kapituły krak., do których akt ten złożyli delegaci kapitulni Łącki i Kijewski d. 4. I. 1555 r. wraz z relacyą o niedoszłym synodzie.

episkopacie polskim do podjęcia skutecznej pracy około podniesienia z upadku Kościoła i religii proponował, aby biskupi polscy udali się z prośbą do Stolicy Apostolskiej o przysłanie do Polski nuncyusza, któryby prezydował na przyszłym synodzie. Hozyusz wymieniał nawet nazwisko owego męża, co się zdaniem jego najbardziej miał nadawać do takiej misyi, wychwalał go w poufnych rozmowach z Zebrzydowskim. — Był nim biskup Werony, Alojzy Lippomano [1]). Synod przyjął projekt Hozyusza a prymas w recesie swoim wyraźnie zapowiedział, że taki nuncyusz zaproszony zostanie na prezydenta przyszłego synodu. Natomiast Zebrzydowski idąc za głosem swego prawdziwego przekonania, postawił projekt, aby na przyszły synod dopuszczeni byli celem wzajemnego porozumienia się w rzeczach religii także innowiercy [2]). Projekt biskupa krakowskiego, nie nowy zwłaszcza w ustach jego, lecz po raz pierwszy na zgromadzeniu synodalnem wniesiony, wywołał stanowczy protest ze strony Hozyusza. Wpływała na to nie tylko ta okoliczność, ze Hozyusz był przeciwny z zasady wszelkiemu brataniu się z heretykami, ale bez wątpienia i ta, że właśnie świeżo na synodzie doszła go wiadomość o wspomnianej wyżej książce Modrzewskiego *De Ecclesia*, krytykującej w nielitościwy sposób jego konfesyę w apologiach wydrukowanych przy niej [3]). Gdyby synod wspólny z heretykami doszedł do skutku, mówił później Hozyusz, przyszedłby bronić swych zasad taki Modrzewski, ów *auctor libri pestilentis*, i sądziłby jego, biskupa, zamiast zgodzić się na sąd biskupi nad sobą. Czyż można pozwolić na dysputy o rzeczach, które przez cały świat chrześciański przyjęte i uznane zostały? Przenigdy [4]). Projekt Zebrzydowskiego wydał się Hozyuszowi tem niebezpieczniejszym, że chciał on, aby przyszła

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1603: ea omnia, quae nobis de eo Petrcoviae D-tio V. R. narrabat, vera esse cognovi, pisze Zebrzydowski o Lippomanie do Hozyusza w kwietniu 1556. W Piotrkowie zaś po owym synodzie listop. Hozyusz później nie był... Także nr. 1381 list prymasa do Hozyusza: S-mum Pontificem in locum R. Dui Episcopi Iustinopolitani, quem oratorem ad nostrum regnum paulo ante designaverat, R. D. Episcopum Veronennem ex sententia D-nis V. R. totiusque Synodi nostrae iam suffecisse...

[2]) Hos. Ep. nr. 1336.

[3]) Hos. Ep. nr. 1329. Przyniósł ją proboszcz łowicki, a tak przeraziła Hozyusza, że zrazu nie chciał wierzyć, aby była prawdziwą.— Tamże.

[4]) Hos. Ep. nr. 1330.

narada z innowiercami odbyła się w czasie sejmu. Mimo protestu Hozyusza projekt ten utrzymał się, chociaż mocno zmodyfikowany, bo za zgodą wszystkich uchwalono „na przyszły synod zaprosić wszystkich schizmatyków królestwa, jeśli tylko na to papież pozwoli, celem poinformowania o własnych błędach heretyckich“ [1]). O przebiegu dysputy nad wnioskiem Zebrzydowskiego i zakończeniu samego synodu pisał później Hozyusz do Kromera, kanonika krakowskiego, w ten sposób: „Że synod odroczony został, zdaje mi się, stało się dobrze. To wasz biskup był autorem prorogacyi. On również wypowiedział sentencyę, aby podczas sejmu koronnego, który w tym czasie będzie zwołany, zwołani byli wszyscy, których obchodzą rzeczy nowe, na wspólne zebranie, *collatio*, bo może na niem uda się ich sprowadzić na dobrą drogę. Ja po nim zapytany o zdanie, rzekłem: Podoba mi się ta rada, lecz nie pochwalam tego, aby zebranie owo urządzić podczas sejmu. O religii bowiem nie na sejmie lecz na synodzie rozprawiać się zwykło... Raczej więc niech zawezwani będą na synod, jednakże nie do współudziału w jego obradach, tylko dla pouczenia się w rzeczach wiary w pojednawczym duchu miłości. Aby zaś takie zebranie miało tem większe znaczenie, należy — powiedziałem — prosić papieża, by przysłał na ten czas do Polski nuncyusza swego. Zgodzono się na moje zdanie. Cieszyło mię to, bo bałem się, by synod taki nie przeistoczył się w sobór narodowy, do którego zmierzano swego czasu w ten sam sposób w Gdańsku (1552?)“ [2]). Hozyusz zadowolony ze zwycięstwa i z pokrzyżowania planów wolnomyślnego biskupa krakowskiego ofiarował się nawet zredagować w imieniu synodu pismo do papieża z prośbą o nuncyusza i wziąć na siebie ciężar poselstwa do Wilna w towarzystwie biskupa płockiego, aby zapewne i króla uwiadomić o zapadłych uchwałach synodu i prosić go o interwencyę w Rzymie [3]).

Prócz owych uchwał co do przyszłego synodu i uproszenia dla Polski nuncyusza powzięli zgromadzeni w Piotrkowie biskupi i prałaci na wyraźne żądanie deputatów kapitulnych jednomyślną uchwałę, że na przyszłym synodzie obowiązani są być obecni wszyscy osobiście, biskupi i opaci, pod karą exkomuniki i denun-

[1]) Hos. Ep. app. nr. 67.

[2]) Hos. Ep. nr. 1336.

[3]) Hos. Ep. nr. 1336, app. nr. 67. Z Piotrkowa wrócił Hozyusz do domu chory na oczy i zaniechał poselstwa, które miał odbyć w Wilnie.

cyacyi do Stolicy Apostolskiej, którą to karę dla opatów lub innych dygnitarzy kościelnych rozszerzy się aż do złożenia ich z piastowanych przez nich urzędów i dostojeństw. Uchwałę tę pomieścił prymas tak w recesie synodu, jak i w piśmie przeznaczonem dla papieża i na tem, nie otwierając zadnej zgoła dyskusyi nad sprawami religii, synod zamknął [1]).

Zygmunt August uwiadomiony o wyniku obrad synodu napisał jeszcze w listopadzie t. r. list do papieża Juliusza III. z prośbą o legata dla Polski, nadmieniając, że przybycie jego byłoby pożądane w pierwszej połowie następnego roku ze względu na termin lipcowy (!) przyszłego synodu, na którym będzie miał obowiązek nietylko być obecny, ale co więcej zająć stanowisko przodujące w roli rozjemcy, „pacyfikatora“, zwaśnionych partyi religijnych. Stosownie bowiem do życzenia najpierwszych dostojników Kościoła polskiego mają wziąć udział w przyszłym synodzie także pierwszorzędni przedstawiciele różnowierstwa i ma być z nimi sprawa religii po bratersku omówioną. Porozumienia takiego zdaniem króla potrzeba koniecznie, bo zamięszanie w kraju z powodu religii ogromne. Nie wina tu jego, złemu starał się zapobiegać według sił swoich. Wierny zasadom dawnej wiary chrześciańskiej bronił jej wszelkimi środkami dozwolonymi prawem w Królestwie polskiem. Pisał też niejednokrotnie z przepełnionem boleścią sercem do Rzymu o grożącem Polsce niebezpieczeństwie religijnem ze strony sąsiedniej Germanii, słał nawet w tej sprawie do papieża umyślnego oratora swego, robił co mógł, obecnie chwycił się ostatniej deski ratunku, którą mu ofiarowała powszechna opinia wyższego duchowieństwa Korony, zgodził się na synod różnowierczo-katolicki, któremu papież przysłaniem swego legata powinien dodać powagi i nią uświęcić upragnioną zgodę [2]).

Rzecz zapowiadała się dobrze dla różnowierców. Mogli chwilowo być dumni z owoców pracy swojej, skoro już doszło do tego, że i biskupi i król sami zamierzali zbliżyć się do nich i szukać z nimi porozumienia i zgody, skoro także najświeższy synod, budujący słabe pomosty do owej zgody, świecący pustkami, żebrzący przeciw nim pomocy aż w Rzymie, odsłonił ich oczu nowy obraz zniedołężenia hierarchii katolickiej, jej deprawacyi i dezorganizacyi. Widok tego obrazu zwiększa i potęguje ich energię. Na synod

[1]) Bukowski, Dzieje T. II. s. 278, (akt recesu synodu.) Hos. Ep. app. 67.

[2]) Uchańsciana T. IV. nr. 15.

piotrkowski odpowiadają dnia 25. listopada t. r. kontrsynodem w Słomnikach, leżących w dyecezyi krakowskiej, zamierzając na nim usunąć chaos wyobrażeń w rzeczach wiary i religii, będący u nich główną dotychczas zaporą do jednolitej organizacyi kościelnej, upragnionej przez wielu, któraby się dała przeciwstawić Kościołowi katolickiemu [1]). W tem dziele organizacyi miał teraz główną rolę odegrać Fr. Stankar. Kanony jego wydane w tłómaczeniu polskiem przywiózł do Słomnik Hier. Filipowski, dziedzic Chręcic i przedłożył je zgromadzonym tamże bardzo licznie ministrom, panom i szlachcie, jako gotową „reformacyę“, objaśniając zarazem, że co się tyczy konfesyi samej, Stankar radził przyjąć augsburską. O przebiegu narad w tym czasie i na tym synodzie nad ułożeniem owej reformacyi i konfesyi t. j. rządu kościelnego i wyznania wiary zachowały się charakterystyczne świadectwa w słowach samego Filipowskiego i protokołu synodu [2]). Filipowski powiada: ...„Iż około tego u nas od dawnego czasu było nie małe staranie, jakobyśmy między sobą niejaką reformacyę uczynili a porządek postanowili, gdyżeśmy baczyli, iż w papiestwie wszystko zepsowano, a grzechy wielkiemi a rozmaitemi błędy zaplugawiono, i szukaliśmy, gdziebychmy mogli najbliższy prawdziwej nauki kościół albo lud naleść, chcąc się do niego przyłączyć, a gdyżechmy się nie mogli dopytać, musieliśmy się sami w to wdać, a rozumiawszy, iż nie będzie to inaczej mogło być jedno tak, abyśmy jednego przedniego między sobą mieli. Wszakżeśmy tej rzeczy nie wiedzieli jak przed siebie wziąść, ależ Pan Bóg duchem swym świętym raczył sposobić, iż doktor Stankarus, mąż iście dobry a bogobojny, który też nie mało cierpiał dla ewanielii świętej..... widząc wielkie rozerwanie urzędy i różności na wszystkie strony, rozmowę miewał z nami, iżeby było potrzeba niejakiej reformacyi a rządu, a będąc żądan od Pana Ostroroga, aby napisał reformacyę, napisał ją, a potem się z nią do mnie dostał; a ujrzawszy ją, z pilnościąm w niej czytał, która mi się bardzo podobała. Potem na moją żądość w Małej Polsce zamieszkał o mie-

[1]) Liubowicz, Istor. Ref. Przypiski zaw. wyciągi z Rkp. Jak. Sylviusa o synodach protestanckich. Nr. 2. Przedmiot obrad synodu: de reformatione eccl. vera legitima atque christiana.

[2]) Łukaszewicz, Dz. kośc. wyzn. helw. s. 19 i Finkel: Konfesya w Kw. hist. s. 262: z aktów synodal. wyjęta mowa Filipowskiego na synodzie w Koźminku 1555 r. Protokół synodu słomn. w Liubowiczu — jak wyżej.

siąc albo więcej. A tamże (t. j. w Słomnikach) się wszyscy kapłani i my gospodarowie, którzyśmy byli żądościwi reformy, zeszli a zgromadzili, i tameśmy tę reformacyę Stankarową od początku aż do końca czytali, wziąwszy też przed się i inne dwie, anglicką i kolońską, z nicheśmy, co się nam widziało najlepszego, z pismy św. się zgadzającego, wybrali a wzięli... ...Potychmyśmy się Stankara pytali, którą bychmy confessyę mieli przyjąć, żeby nam nie było potrzeba innej pisać. I radził nam, abychmy żadnej innej nie przyjmowali jak ci Augspurską...“ Przebieg narad na synodzie nad reformacyą wypadł pomyślnie dla Stankara. Wprawdzie, powiada protokół, nie godziło się tam na tę reformacyę wielu z powodu imienia Stankara, ponieważ przedtem za sprawą kanoników został proskrybowany z kraju. Co stało się nie dla tego, że jej nie aprobowano, lecz aby uniknąć skandalu: obawiali się bowiem z powodu hańbienia sekty Stankara, aby kościół ich nie otrzymał nazwę od imienia tego dobrego męża. Jego wszakże reformacyę w spełnianiu obrzędów kościelnych przyjęli wszyscy ministrowie za zgodą całego Kościoła [1]).

W ciągu narad — zalecali także niektórzy z braci — powiada dalej protokół — Kościół Braci Czeskich czyli Waldeusów, zauważano też, że ich reformacya jest ze wszech miar religijną, tak w nauce jak w obrzędach i dyscyplinie kościelnej; postanowiono więc zwiedzić ich kościoły w Wielkopolsce“. Postanowienie to pociągnęło za sobą poważne następstwa w przyszłości. Stankar bowiem chwilowo zwycięzki ale za nadto radykalny miał niebawem ustąpić miejsca Braciom Czeskim, których reformacya i konfesya więcej przemówiła Małopolanom do przekonania. Tymczasem jednak nie mając innego wyboru, odkładając sprawę właściwej konfesyi na później, zorganizowali się na teraz podług kanonów Stankara przynajmniej zebrani w Słomnikach różnowiercy i mianowali już tamże, jak pisze o tem do Hozyusza d. 6. stycznia 1555 r. jeden z kanoników krakowskich, St. Górski, samego Stankara papieżem, innych towarzyszy swoich biskupami, innych archidyakonami i presbiterami nowego kościoła [2]). Rząd ten stworzony

[1]) Tłumaczenie Finkla, s. 266.

[2]) Hos. Ep. nr. 1317. Tenże sam Górski dodaje, że „luteranie“ owi przywieźli byli do Słomnik wóz pełny książek, które kazali wydrukować dla organizacyi swej sekty. Pomiędzy temi książkami zapewne były przedewszystkiem dzieła Stankara, De Mediatore, De Trinitate, De Sacramentis, które miał Stankar razem z kanonami nadesłać

w Słomnikach, jakikolwiek on był, podniósł jednak jeszcze więcej znaczenie i urok apostazyi tak w oczach samych zwolenników nowych wiar jak prawych wyznawców katolicyzmu. Pisze Górski, że teraz bardzo wielu mieszczan idzie za głosem „luteranów“ i przyłącza się do nich. Rzeczywiście ruch między dysydentami w samym Krakowie i w jego okolicach miał w tym czasie przybrać imponujące rozmiary i rozszerzać się z żywiołową siłą po całej Rzptej polskiej. Zbory urządzane w miejscowościach leżących pod Krakowem w Woli Justowskiej, Chełmie lub Iwanowicach ściągały jeszcze więcej niż dawniej na nabożeństwa i kazania znaczną liczbę mieszkańców Krakowa, którzy według słów kroniki Zboru krakowskiego, założonego w trzy lata później, całemi „kupami“ przybywali tamże, lekceważąc sobie zniewagi i pogróżki, jakich im po drodze z namowy duchowieństwa katolickiego nie szczędzono. Największą frekwencyą cieszyły się kazania Grzegorza Paulego z Brzezin, ministra zboru w Woli Justowskiej, później w samym Krakowie, który już wówczas kazał także i tutaj pod bramą Mikołajską w ogrodzie Bonera [1]). Na kazania jego i innych predykantów zjeżdżała się do Krakowa nawet okoliczna szlachta, tembardziej, że obywatele krakowscy jak Justus Decius lub Jan Boner, prokurator zamku krakowskiego, chętnie użyczali gościny w swych kamienicach wyznawcom „czystej ewangelii“. Bywali u nich St. Myszkowski, H. Filipowski, Stadnicki, Zborowski i wielu innych. Równocześnie F. Kruciger, superintendent wszystkich zborów małopolskich, krzątający się nieustannie około zaprowadzenia w nich jednolitej liturgii i obrządków, nawiązał w myśl postanowień synodu w Słamnikach stosunki z Braćmi Czeskimi z Wielkopolski. Pragnął połączyć z ich kościołem przynajmniej kalwinów małopolskich na zasadach jakiejś wspólnej konfesyi. Zjednany przez niego Jan Ostroróg, główny protektor Braci Czeskich, wyprawił niebawem do Małopolski na wspólne kollokwium religijne Jerzego

---

tam z Łańcuta, gdzie u Stadnickich przebywał. Nie zyskały jednego uznania tego co kanony, bo zostały za radą Stadnickiego spalone pod pozorem, że były w nich słowa uzurpujące władzę królewską, jak ordinamus, decernimus, statuimus, chociaż Filipowski na ich wydanie sto dukatów wyłożył. Tych wyrażeń używał Stankar w kanonach. Skoro więc spalono dziełka zamykające jego naukę, widoczna, nauka ta jego a więc i konfesya nie została przyjętą. O dziełkach jego vide Łukaszewicz, Dz. kośc. wyzn. helw. str. 240—243. Także Lubieniecki s. 116/7.

[1]) Lubieniecki s. 48, Wengerski, Kronika Zboru krak. s. 8. Ossoliński, Wiad. hist. kryt. T. IV. s. 484.

Izraela i Jana Rokitę. Kollokwium to odbyło się w Chręcicach u Filipowskiego 24. marca 1555 r. Po niem odbyło się podobne drugie w Gołuchowie u Raf. Leszczyńskiego w Wielkopolsce dnia 28. marca t. r. Z małopolan przybyli na nie Kruciger, Witrelinus i Prażmowski. Na jednem i na drugiem omawiano konfesyę augsburską czyli właściwą protestancką, opartą na zasadach Lutra i konfesyę helwecką, opartą na systemach Kalwina i Zwinglego, do których najwięcej skłaniał się Stankar, Kruciger i inni małopolscy sekciarze. Ale obydwa kollokwia nie doprowadziły do żadnego rezultatu [1]). Tymczasem czego nie zdziałały poufne zebrania i synody, tego dokonać miała reakcya, jaką wywołało w sferach katolickich wyzywające postępowanie dysydentów, nacechowane w tym czasie większą niż kiedykolwiek przedtem dążnością prowokacyjną względem katolicyzmu w zamiarze zadania mu ostatniego śmiertelnego ciosu.

Największe działy się nadużycia w Krakowie i w jego okolicy. Korzystano z nieobecności i obojętności Zebrzydowskiego, który w tym czasie według słów St. Górskiego wypowiedzianych w cytowanym powyżej liście jego znowu bawił się w objażdżki dóbr swoich, łapił wieśniaków i gromadził pieniądze, pozostawiając owczarnię swoją na pastwę losu [2]). Pewien kupiec krakowski Jan de Watt, siostrzeniec Hozyusza, scharakteryzował w połowie grudnia 1554 r. w ten sposób ówczesne stosunki panujące w stolicy i w kraju: Wir werden hie nicht lang sicher sein, hie im Land ist weder Ordnung noch Einigkeit, schlagen an ander todt wie das vieh; Gott erbarm's, dass ich diese Zeit erlebt hab" ). Grozę położenia zwiększała obawa przed najazdem Turków, którzy w owym czasie grasowali po Węgrzech. Powiada Górski [3]), że Kraków nie wytrzymałby zadnego oblężenia, bo zamek i mury miasta były w bardzo złym stanie a na jakąkolwiek naprawę ich nie byłoby czasu, gdyby Turcy chcieli skorzystać z bliskiego oddalenia swego od Krakowa, nie wynoszącego więcej nad dwa dni drogi. Na domiar złego poczęła się szerzyć na Kazimierzu, przedmieściu Krakowa, między żydowstwem zaraza morowa, zawleczona tutaj po jesieni przez przybyszów z Węgier i Czech, która szerząc popłoch w sferach wyższego mieszczaństwa i szlachty okolicznej zmuszała do omijania stolicy także osobistości znakomitsze urzędem, między

[1]) Wengerski s. 75 i 127/8.
[2]) Hos. Ep. nr. 1317.
[3]) Hos. Ep. nr. 1304, przypis.

niemi i Zebrzydowskiego, w których ręku spoczywała władza utrzymania spokoju, porządku i ładu w mieście [1]). Jeśli taki zamęt panował w samej stolicy państwa i najprzedniejszego biskupstwa Małopolski, cóż się dziać mogło w innych miejscowościach, pozbawionych stale opieki wyższych władz duchownych i świeckich? Waśń religijna mogła tam zbierać obfite plony ze swego posiewu. W lutym poczynającego się roku 1555 między innymi ekscesami zdarzył się jeden, który urągał wręcz wszelkiej świętości haseł i godeł wiary ogólno-chrześciańskich. Oto kilku ze szlachty wpadłszy do kościoła w Wiślicy oderwali od muru krzyż Chrystusa Pana a zabrawszy go z sobą włóczyli nim wokoło miasta, bili go i znieważali, poczem oparłszy go o ścianę ratusza kulami poprzebijali i do rowu wrzucili. Nie poprzestając na tem, napadli na dom wikaryuszów, powyrządzali rozmaite szkody koło domostwa a do zabarykadowanych w pomieszkaniu księży strzelali przez okna i wzywali ich w obelżywy sposób, aby wyszli z domu. Kapituła krakowska dowiedziawszy się o tem, zgorszona bezczelnością i zuchwałością zbrodni, podała ją natychmiast do wiadomości Zebrzydowskiego [2]).

Ta sama waśń religijna toczyła naród i w innych prowincyach państwa, będąc źródłem rozlicznych nadużyć i nieporządków. Innowiercy przyczynę złego widzieli „w papiestwie“, katolicy w herezyi. Słyszeliśmy już zdanie Filipowskiego jednego z wybitnych agitatorów protestantyzmu w Małopolsce o powodach tej waśni religijnej. Tłumaczy on ją „grzechami wielkimi a rozmaitymi błędami, którymi papiestwo zaplugawiano“ i upadkiem z przyczyny tychże wiary „w prawdziwość nauki“ przez jego Kościół głoszonej. Natomiast St. Dąbrowski, kanonik gnieznieński i kanclerz prymasa, donosząc Hozyuszowi listem z dnia 31. marca t. r., że w Wielkopolsce rzadki jest dom szlachecki, któryby nie był zarażony herezyą „luteranów“, powiada dalej: „Dziwne i niesłychane od wieków teraz w Polsce dzieją się rzeczy i tak wielką jest zuchwałość sromoty a żadna poprawa. Wszystko wolno każdemu bezkarnie, co mu się żywnie podoba. Każdy snadnie mógłby obecnie Polskę nazwać raczej zbiornikiem wszelkiej sromoty niźli Rzecząpospolitą... Jeśliby ta swywola miała trwać dalej, wolałbym żyć zamiast w Polsce w Turcyi, gdzie sprawiedliwość łatwiej bywa

[1]) Lachowicz, Listy Zyg. Aug. — list z 8. stycznia 1555 s. 83, także Hos. Ep. nr. 1317.

[2]) Z aktów kap. krak. Bukowski, Dzieje T. II. s. 287, przyp. 1.

każdemu wymierzaną. Piszę to nie bez ciężkiej goryczy duszy na widok ucisku, jakiego doznają słabsi, mnisi, kler niższy i t. p. [1]). Jeszcze większy zamęt w kraju wywołała elektryzująca wiadomość, że król naglony zewsząd, aby wejrzał w sprawy Korony, rozpisał na dzień 22. kwietnia sejm walny do Piotrkowa. Wiadomość ta tem bardziej rozgorączkowała umysły szlachty i podnieciła do walki, że zapowiedziany sejm miał się zająć głównie właśnie usunięciem waśni religijnej jako zasadniczej przyczyny wszelkiego złego w Rzptej. W instrukcyi bowiem danej posłom na sejmiki powiatowe powiedział król, że chcąc powołać do życia dawne prawa i statuty, chcąc usunąć wszystko, co utrudnia rzetelną, opartą na nich, administracyę Rzptej, trzeba przedewszystkiem zwalczyć klęskę, jaką jest dla kraju nienawiść wyznaniowa. Z powodu tej nienawiści, z powodu tylu sekt religijnych, które napełniają królestwo, wzrasta z dniem każdym niesłychana swywola, posuwająca się do profanacyi świątyń, pogardy praw i urzędów. Stąd tyle codziennych przykładów zdziczenia, grabieży, morderstw, krzywoprzysięstw i innych mnogich zbrodni, przodkom naszym nieznanych. Zbrodnie one ściągają na kraj oczywisty gniew Boży. Wszak tyle usiłowań podejmowanych w tym czasie dla dobra publicznego spełzło na niczem, tyle narad było daremnych. Wróży tedy król Rzptej niechybny upadek, jeśli zawczasu niezgody i waśnie wewnętrzne nie będą stłumione [2]).

Zapowiedź sejmu, który miał pracować nad zgodą religijną w imię porządku i dobra publicznego, przyspieszyła wybuch walki, pożądanej przez innowierców. Biskupi i prałaci, prowokowani przez nich, poczynają się teraz bronić z całą siłą instynktu samozachowawczego czując, że chwila obecna ma decydować o ich przyszłej egzystencyi. Własna obrona była konieczną, bo pomoc, na którą oczekiwali z Rzymu, była jeszcze daleką [3]). Do walki zachęcał ich także Hozyusz. Zalecał im w tajemnicy bronić się jakimiś bardzo surowymi i radykalnymi środkami, skoro później

[1]) Hos. Ep. nr. 1382. Także w list. Piotra Canisiusa, jezuity z Wiednia do Kromera zawierający opinię Kromera o magnatach polskich, zaniedbujących opiekę nad kościołem, gorszych dla niego od rzeczywistych wrogów. Hos. Ep. App. 70 z 15. stycznia 1555 r.

[2]) Z Metryki koronnej w przypisach V. do Zakrzewskiego: Powstanie i wzrost Reformacyi w Polsce s. 253.

[3]) Hos. Ep. nr. 1352 list prymasa z 21. II. 1555 do Hozyusza: Non dum ad illas litteras de synodo futura neque a Sede Apostolica neque o. R. Duo Cardinali Puteo responsum habeo.

w obawie przed zdradą i kompromitacyą publiczną, której najwięcej lękał się ze strony Zebrzydowskiego, prosił Kromera, aby list, w którym o nich pisał do Zebrzydowskiego, skonfiskował [1]). Hozyusz wprawdzie miał w tym czasie także osobiste powody, dla których pchał biskupów Korony do walki z heretykami. Oto z początkiem t. r. był już w posiadaniu jednego egzemplarza wspomnianego wyżej dzieła o poprawie Rzptej uczonego statysty i teologa Modrzewskiego. Przysłał mu go Kromer. Wstęp do tego dzieła traktujący o legatach, którzy mieli być na sobor trydencki posłami, jak nie mniej owe apologie przeciwko jego konfesyi, zamieszczone przy księdze o kościele, na które najwięcej był ciekawy, tak oburzyły wyniosłego dygnitarza Kościoła, jako przechodzące zdaniem jego wszelkie granice przyzwoitości autorskiej i bezczelności heretyckiej, że nie chciał wogóle jechać na synod lub na sejm do Piotrkowa, gdzieby się musiał spotkać z nienawistnym sobie autorem, i wolał do walki z nim i z jego zwolennikami. których liczył na miliony, podjudzić biskupów polskich [2]). Jakżeż cieszył się teraz, że w listopadzie z. r. nie zgodził się na synod różnowierczo-katolicki proponowany przez Zebrzydowskiego [3]). Kto wie, jakby wypadł rezultat osobistej dysputy z Modrzewskim, skoro niektórzy biskupi jak Drohojowski i Uchański ganili pospołu z nim jego konfesyę katolicką“? Precz więc z dysputami, ogniem i mieczem należy tępić herezyę! Wychodząc z tego przekonania wywiera Hozyusz po przeczytaniu książki Modrzewskiego silną presyę na prymasa, aby nie pezwalał rozpowszechniać się w Polsce podobnym bezbożnym i buntowniczym książkom. Z wezwaniem tem odniósł się prymas do Zebrzydowskiego. Prosił go stosownie do uwagi Hozyusza, aby zakazał księgarzom krakowskim rozprzedawać książkę Modrzewskiego a drukarzom tamtejszym takie książki jak jego drukować [5]). Na przychylną decyzyę Zebrzydowskiego

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1410.

[2]) Hos. Ep. nr. 1330.

[3]) Hos. Ep. nr. 1352. Dzieło Modrzewskiego, o którem mowa, drukowane w Bazylei. Pod nr. 1410 w liście z 28. maja 1555 w liście do Kromera pisze Hozyusz: Fricii libellum legi, quod licet Cracoviae quidvis typis excudere, probare non possum; przyp. 7. Wydawcy nie wiedzą o jakiej to książce Modrzewskiego mowa, bo żadna w tym czasie nie wyszła. A może tu mowa „de dyalogo tertio de utraque specie eucharistiae, który miał być napisany w tym czasie — w czerwcu? Pod nr. 1441 w liście z 26. lipca 1555 prymas uspokaja Hozyusza, że pisał do Zebrzydowskiego, aby nie pozwalał drukować w Krakowie

w tym kierunku wpływał także sam Hozyusz. W liście z 23. stycznia t. r. objaśnia go, że zdaniem jego nie pojawiło się dotąd w druku nic bardziej szkodliwego i bardziej odpowiedniego do rozniecenia pożaru nienawiści świeckich przeciw duchownym nad książkę Modrzewskiego. „Daje nam bowiem“ — pisze Hozyusz — „bardzo honorowe tytuły“. „Jesteśmy nazywani personatami strupieszałymi, próżniakami, pasibrzuchami, którzy najmniej dbają o religię. Cenzurę pism radby złożyć w czyjekolwiek inne ręce, byle nie w nasze, dowodząc, że wogóle i my biskupi powinniśmy być sądzeni przez świeckich. Nie oszczędza Modrzewski i stanu rycerskiego i króla samego, pisze tak zjadliwie, jakby pisał satyrę. Usiłuje także zbijać naszą konfesyę chrześciańską, ale argumenta jego są błahe, stara się przedewszystkiem usunąć wszystko, co katolickie, i zastąpić je swoimi pomysłami, które jednak trzeba będzie obalić w przyszłem wydaniu konfesyi, bo nie wątpię, że książka jego będzie czytaną nie tylko przez samego Kromera...“ Kończy Hozyusz prośbą o zdanie Zebrzydowskiego w kwestyi zamierzonej konfutacyi i o jego interwencyę, aby *liber hic tam virulentus* nie rozchodził się po świecie, czego tembardziej obawiać się należy, że dzieło to dedykowane jest królowi i łatwo może się dostać na jego dwór [1]). Obawy Hozyusza się spełniły. Dzieło jego antagonisty było rozchwytywane i czytane przez wielu [2]). Zebrzydowski wiedząc o tem, odradził zapewne Hozyuszowi bawić się w nowe przeciw niemu konfutacye, jako rzeczy bezcelowe, bo w lutym Hozyusz zaniechał tej pierwotnej myśli swojej, chociaż wcale nie przestał jeszcze zwracać uwagę biskupów na książkę Modrzewskiego jako na produkt bardzo szkodliwy dla sprawy Kościoła i zachęcać ich przy tej okazyi do walki z herezyą. W liście z 28. lutego przypomina prymasowi, że Modrzewskiemu zabronił synod piotrkowski 1551 r. drukować tę książkę, że on. Hozyusz, potępił ją w konfutacyi załączonej do swojej konfesyi; jeśli więc Modrzewski mimo to ośmielił się ją podać do druku a nadto zaopatrzyć w apologie zjadliwe przeciwko jego konfesyi uznanej przez synod, to obraził nie tylko jego, ale także powagę całego synodu i episkopatu. Biskupów wyzywa przy tej okazyi głupcami, bałwanami, idyotami, którzy tylko z imienia i mienia są biskupami. Pragnie

książek podejrzanych; obiecywał też, że będzie prosił króla, aby mandatami swymi zakazał wydawać i sprzedawać takie książki.

[1]) Hos. Ep. nr. 1329.

[2]) Hos. Ep. nr. 1352.

im odjąć wszelką władzę sądowniczą, nawet sądy o wierze świeckim oddaje. Wyraża Hozyusz obawę, aby wobec tego na przyszłym synodzie nie zechciano dyskutować nad tem, do kogo sąd w rzeczach wiary należy, czy do biskupów czy do świeckich, tembardziej, że już raz przecież — na sejmie 1552 r. — jurysdykcyę biskupów i prymasa prawie jakby zniesiono. Takie pomiatanie godnością i władzą biskupią powinno bezwarunkowo być ukarane. Zaiste bowiem jak długo Polska wyznaje chrześciaństwo, nie był nigdy stan Kościoła tak opłakany a biskupi w takiej pogardzie i ponizeniu. Pierwej nawet monarchowie otaczali ich szacunkiem, lękali się ich cenzur; dzisiaj oni sami tak małoduszni, że własnego cienia się boją... Zapomnieliśmy, woła Hozyusz, jaką godność piastujemy. Czas już, żebyśmy ze snu powstali i użyli swej władzy... Wasza Wys. Przewielebność jako prymas Królestwa musi pierwszy rozpocząć"... [1]).

Atoli nie potrzebował Hozyusz tracić zbyt wiele słów, aby przekonać biskupów o potrzebie obrony. Przerażający widok rozszalałych żywiołów nienawiści religijnej i stanowej na odbywających się właśnie szlacheckich sejmikach wyborczych zniewalał ich samych do podjęcia walki z szlachtą wrogo usposobioną dla Kościoła, katolicyzmu i jego kleru. Nie umiejąc jednakże a zarazem nie mogąc walczyć w tej chwili po kapłańsku i po apostolsku, dobrym przykładem, miłością i czystem słowem Bożem, chwycili się steoretypowego środka obrony, zalecanego im przez Hozyusza i poddawanego z Rzymu w listach do Zebrzydowskiego przez kardynała Puteusa, środka gwałtu i przemocy z towarzyszącymi im dla pozoru pozwami i procesami o herezyę. A więc biskup poznański, A. Czarnkowski potępia w tym czasie pewnych mieszczan poznańskich i wypędza ich z miasta ku wielkiemu oburzeniu „wszego pospólstwa i szlachty znacznej" [2]). Tak samo wypędza z biskupstwa swego, b. przem. Jan Dziaduski „wielu kapłanów, którzy szczere słowo Boże przepowiadając, opuszczali ceremonie papiezkie" [2]). Również Zebrzydowski pozywa i potępia zaocznie apostatę, znanego nam x. Mik. Krowickiego i szuka okazyi, gdzieby go mógł schwytać i praktykowanym na księdzu Kurowskim sposobem zanękać w więzieniu; prócz tego nosi się z myślą złożenia w kwietniu sądu duchownego nad sprawcami gwałtu

[1]) Hos. Ep. nr. 1355 tłum. częścią autor, częścią Bukowski T. II. s. 282.

[2]) Lubomirski, Dzienniki sejm. kor. s. 7.

publicznego, dokonanego w lutym w Wiślicy i poleca w tym celu niektórym członkom kapituły krakowskiej owych sprawców wyśledzić [1]). Po nad wszystkimi biskupami góruje prymas, bo wespół z Dziaduskim i Drohojowskim ośmiela się wystąpić przeciwko najniebezpieczniejszemu apostacie, którego dotychczas ze względu na jego wysokie koligacye i znaczne stosunki między wyższą szlachtą władze kościelne omijały. Był nim wspomniany powyżej ksiądz St. Lutomirski. Naprzód Dziaduski exkomunikował go, odebrał mu kanonię i pisma jego spalił. Było to z początkiem lutego t. r. [2]). Po biskupie przemyskim wezwał go przed sąd swój do Włocławka na termin 4. kwietnia wespół z innymi ministrami jak Andrz. Prażmowskim [3]) i Marc. Śleśnickim. biskup włocławski Drohojowski. Na sąd ten wzywał Drohojowski także niektórych prałatów krakowskich, będących zarazem członkami jego kapituły, jak Myszkowskiego, Drzewieckiego, Kijewskiego i Warzawskiego; ci jednak wymówili się od udziału tłómacząc się brakiem czasu z powodu sejmików i śledztwa w sprawie wiślickiej, tudzież i tem, że wogóle sąd nad Lutomirskim niepotrzebny, bo właśnie wytoczył mu proces sam prymas, nie wiedzący jeszcze nic o tem, że już go Dziaduski ogłosił heretykiem.

Termin rozprawy był z początku naznaczony na dzień 30. marca, potem na prośby braci i przyjaciół Lutomirskiego przeniesiony na dzień 5. kwietnia. Lutomirski miał się stawić w Gnieźnie, a jak zapewniali sędziwego prymasa owi bracia jego i przyjaciele gotów był ukorzyć się przed nim i przyznać się do błędów swoich. Dzierżgowski i jego kanclerz Dąbrowski nie bardzo wierząc owym przyrzeczeniom grozili. że w razie nie dotrzymania terminu bez względu na jego ród wysoki będzie proklamowany heretykiem. Podejrzywali nie bez przyczyny w udanej pokorze i prośbie o odroczenie terminu jakieś nieczyste zamiary. Istotnie Lutomirskiemu i towarzyszom chodziło o zyskanie na czasie. Czekano ukończenia wyborów poselskich, aby módz z całą swobodą i brawurą urządzić przeciwko jurysdykcyi naczelnika Kościoła i prymasa Królestwa demonstracyę, którąby w przededniu sejmu na-

[1]) Bukowski T. II. s. 287, przyp. 1.

[2]) Tamże s. 283 z aktów konsyst. przem. XV. i Dzienniki s. 6. „wszytki beneficia jego pobrał".

[3]) Hos. Ep. nr. 1356, 1382, 1365. W 1382 nrze czytamy: Eadem sententia damnabitur Andreas (Prażmowski) Capitanei Radziejoviensis [Raf. Leszczyńskiego] praedicator.

brała tem większego znaczenia i rozgłosu [1]). W dzień więc oznaczony zjawił się Lutomirski w Gnieznie, ale zjawił się otoczony tłumem zbrojnej szlachty, mając w zanadrzu swoje wyznanie wiary, znane prymasowi z tamtego roku, gotów ponownie choćby gwałtem bronić swoich przekonań religijnych. Tymczasem prymas nie wdając się z nim w żadne dysputy, ogłosił go heretykiem i banitą [2]). Wpłynęła na to zapewne i ta okoliczność [1]), że w tych dniach doszła go wiadomość o wydaniu takiego samego wyroku na niego przez Dziaduskiego [3]).

W tymże czasie Zebrzydowski dostał już w moc swoją księdza Krowickiego, który się jednak „cudem" z rąk jego wydobył. Było to w Pinczowie u Oleśnickiego. Niejaki Mazowiecki posłany tam przez Zebrzydowskiego z 20 drabami i wozem drabiniastym napełnionym sianem miał go schwytać podstępnie. Pozostawiwszy za miastem drabów owych i wóz, udał się na zamek pod nieobecność Oleśnickiego i zawiązał znajomość z Krowickim. Krowicki nie domyślając się podstępu i zdrady, dał się Mazowieckiemu wywabić z zamku w odwiedziny do jednego z ministrów Alex. Witrelina. W drodze napadli na idących „służebnicy" biskupa, pochwycili Krowickiego, związali go i włożywszy na wóz twarzą na dół pod siano uwieźli [4]). Aż owo — opowiadali na sejmie posłowie — z trafunku pan Oleśnicki z gościny jadąc, podkał się z nimi i nie nadziewając się nic takowego przeminął je. I odesławszy służebniki do domu na zamek, sam się jeno z myśliwczem zabawił, z ptaki, i przypatrując poznawał, iż słudzy byli biskupi, przyprawnie i kwapliwie jechali. Napadło mu na myśl, by mu snadź czego w miasteczku nie pobroili. Usłyszał k'temu z prędka w miasteczku szmer ludzki i począł gonić ony sługi biskupie. Z miasteczka też już do iney szlachty, którzy blisko społem byli, dano

[1]) Hos. Ep. nr. 1382.

[2]) Wengerski s. 412 i 413 podaje, że wyrok prymasa został wydany zaocznie w Łowiczu: Lutomirski, generosa et nobili natus stirpe, sacerdos olim pontificius, Koninensis Tusinensisque plebanus vulgo dictus, ab archiepiscopo gnesnensi de haeresi Lovicium citatus; verum sacris bibliis et magna propinquorum caterva stipatus cum venisset, ad archiepiscopum non admissus... Dzienniki s. 6. posłowie na sejmie rzecz tę przedstawiają tak, jakby sąd się odbywał. Pomięszali jednak ów termin rozprawy z 5. kwietnia z dysputą odbytą w Łowiczu 24. sierpnia 1554 r.

[3]) Hos. Ep. nr. 1382.

[4]) Lubieniecki s. 62 i 63. Wengerski s. 230 i 231.

znać o tym gwałcie i pojmaniu Krowickiego i każdy jako mógł bieżeli za onemi sługami, między ktoremi zacny szlachcic Baltazar Łukowski naprzód z nimi się podkawszy, obaczywał, gdzie był Krowicki i w wóz naglądał, bo słudzy biskupi, rzekomo ślad tracąc, trochę opodal za wozem jechali. Z któremi się też zjechawszy, pytał, przeczby ten gwałt uczynili. I tak się z nimi zabawił, aż ina szlachta nadbiegła, które oni słudzy biskupi obaczywszy odbieżeli wozu, a owi do wozu przyskoczywszy, szukali i naleźli Krowickiego skrępowanego. Wzięli i z wozem i z wozniki biskupiemi, a tak Krowickięgo wybawili [1]).

Te procesy, wyroki zaoczne i gwałty jawne, popełnione w przededniu sejmu na wybitniejszych protestantach w obronie powagi biskupiej, miały ten rezultat, że szlachta postanawia już teraz nie tylko obalić tę powagę biskupią tak srodze dającą się jej we znaki, ale co więcej, sam Kościół katolicki, pod którego osłoną dygnitarze jego takich się dopuszczali bezprawi. Wynik wyborów sejmikowych dawał jej nadzieję zupełnego zwycięztwa na sejmie. Tak w Wielkopolsce jak w Małopolsce zostali wybrani na posłów najznakomitsi różnowiercy, *omnes primi heresiarchae* [2]). Sejmiki małopolskie nie mało kosztowały zdrowia i pracy Zebrzydowskiego. Słał nawet skargi w tym czasie na szlachtę sheretyczałą aż do Rzymu, do kardynała Puteusza i do papieża [3]). A prymas biorący udział w sejmikach wielkopolskich, wyrozumiał z przebiegu ich i z konspiracyi prowadzonych na nich przez innowierców, że przyszły sejm nie będzie obradował jak zwykle nad sprawami i potrzebami Rzptej, lecz przeprowadzi podług myśli wrogów Kościoła *novas sanctiones de religione christiano* [4]). I bezwątpienia już wówczas, a tembardziej pod wrażeniem powyżej opisanych procesów i gwałtów, musiała szlachta, jeśli na seryo myślała o uzyskaniu na sejmie owej sankcyi dla nowej religii, porozumieć się między sobą co do wyboru konfesyi czyli wyznania wiary, jako katechetycznego

---

[1]) Dzienniki s. 7. rażące miejsca w interpunkcyi i ortografii zmieniono.

[2]) Hos. Ep. nr. 1365. list Seb. Żydowskiego, sufragana gnieźn. do Hozyusza: „Omnes insigniores familiae huius Poloniae Maioris varios sequuntur errores et ad comitia maiora lecti sunt omnes primi heresiarchae“.

[3]) Kor. Zeb nr. 862. Sed venio jam ad litteras tuos, in quibus quod de labefactata passim religione ab equestris ordinis viris ad me Summum Pontificemque scribis.

[4]) Hos. Ep. nr. 1381.

symbolu jedności kościelnej. Szczególniejsze prześladowanie, jakiego doznaje ze strony biskupów Lutomirski, zwraca właśnie uwagę jej na jego konfesyę, tembardziej, że była ona niedawno przedmiotem dyskusyi nie tylko między biskupami, ale także u panów koronnych i króla. Nie mniej osoba i imię Lutomirskiego mogły snadnie napawać ją otuchą, że król i senat przychyli się do przekonań religijnych człowieka, który miał za sobą jak niegdyś Orzechowski — niemal cały naród. Sama zaś jego konfesya, chociaż tchnęła duchem niepopularnych doktryn Stankara. miała jednak tę dobrą stronę, że była właściwie konglomeratem rozmaitych wyznań, augsburskiego, helweckiego i wirtemberskiego, mających mnóstwo wyznawców w masie szlacheckiej, z których ostatnie miało nawet ogromne poparcie u głównego opiekuna protestantyzmu w Polsce księcia Albrechta Pruskiego, że więc mogła uchodzić jako taka za sumę przekonań religijnych całej szlachty [1]).

Taki przebieg i rezultat sejmików napawał złemi przeczuciami partyę katolicką z królem i biskupami na czele. Król w liście do przyjaciela swego Radziwiłła tak o tem pisze: Przypatrując się temu, jako ty, powiatowe sejmiki w Koronie naszej przeszli, mała abo żadna nadzieja być nie może jakiego dobrego a potrzebnego postanowienia. Że też ledwie *non ducimur poenitentia* naszej tej podobno próżnej drogi....[2]) Tak samo biskupi koronni, między nimi Zebrzydowski, byli pewni prawie, że sejm sprowadzi na kraj nawałnice i burze, przed któremi trzeba się koniecznie już teraz zabezpieczyć. W tym celu Zebrzydowski przysposabiał się sam jak umiał do przyszłej kampanii przeciwko wrogom Kościoła a zarazem wzywał Hozyusza, aby przybył na sejm i osobiście wspierał biskupów *in tanto religionis cursu fluctibusque*. Wpływał nawet na prymasa. aby zwabił biskupa warmijskiego do Piotrkowa, twierdził bowiem, że Hozyusz znany powszechnie z swojej wiedzy i rozumu, *singulari cruditione*, potrafi wesprzeć skutecznie usiłowania ich podjęte dla obrony religii.[3]) Prymas zmartwiony rezultatem wyborów sejmikowych, poszedł chętnie za głosem Zebrzydowskiego, chociaż poprzednio ulegając natarczywym prośbom Hozyusza, gotów był wstawić się za nim do króla, aby go zwolnił od udziału w sej-

[1]) Finkel, Konfessya na sejmie piotrkowskim, Kwart. hist. R. X. s. 267, 268, 271, 272. Konfesyę wirtemberską ułożył Jan Brenz, a przełożył na język łaciński Vergerius.

[2]) Lachowicz, Listy — list z 2. kwietnia 1555, s. 85.

[3]) Hos. Ep. nr. 1412.

mie, na który go wezwał pospołu z innymi panami ziem pruskich [1]). Obecnie odwołując tę gotowość swoją, błaga Hozyusza, aby koniecznie przyjechał na sejm koło 12. maja, tembardziej, że spodziewa się w tym czasie lub z końcem sejmu przybycia nuncyusza apostolskiego na zapowiedziany synod. Tłumaczył mu, że obecność jego doda mu siły i mocy, że spełni przez nią rzecz godną swej osoby i stanu duchownego, bo będzie z nim i z innymi biskupami nie tylko radził o sprawach katolicyzmu, nie tylko będzie bronił swobód tego stanu, ale takre będzie chronił ich przed możliwą koniecznością wyrzeczenia się na żądanie szlachty samej wiary katolickiej. Aby tem pewniej namówić Hozyusza do przybycia na sejm, donosi mu prymas razem z sufraganem swoim Seb. Zydowskim, że papież wzruszony prośbami jego i synodu listopadowego, przeznaczył na nuncyusza dla Polski, stósownie do propozycyi Hozyusza, Alojzego Lippomana, biskupa Werony, chociaż już był poprzednio nadał tę godność Tomaszowi Stelli, biskupowi justynopolitańskiemu [2]).

Atoli Hozyusz proszony przez biskupów i wzywany przez króla, chociaż nie wymawiał się od udziału w synodzie, jednak nie chciał żadną miarą przyjechać na sejm. Na wiadomość, że sejm ma się odbyć w tym samym czasie i w tem samem miejscu, co synod, groził nawet, że w ogóle nie przybędzie na synod, jeśli nie będzie przeniesiony na inną porę [3]). Chodziło mu bardzo o to, aby *synodus a comitiis regni sit libera*, aby nie krępowała obrad jego zebrana na sejmie różnowiercza szlachta [4]). Także jak wiemy, nie życzył sobie niemiłego spotkania w Piotrkowie z Modrzewskim, a bezwątpienia i z podkanclerzym Przerębskim, któremu w tym czasie zrobił ciężki zarzut, jakoby sprzyjał heretykom i groził nawet publicznem oskarżeniem na synodzie w obecności nuncyusza, za co naturalnie ściągnął na siebie ze strony obrażonego Przerębskiego gniew i oburzenie [5]).

---

[1]) Hos. Ep. nr. 1374, 1381. Naturalnie otrzymał Hozyusz także instrukcyę królew., która go pouczała, ex quibus de causis conventus indictus sit.

[2]) Hos. Ep. 1381. 1365.

[3]) Hos. Ep. nr. 1391.

[4]) Hos. Ep. nr. 1352.

[5]) Hos. Ep. nr. 1374, 1356, 1330. Poszło o jakąś sprawę z miastem Elbląg.

Tymczasem rzeczy się tak ułożyły, że synód zapowiedziany nie odbył się wcale. Doszła bowiem z końcem kwietnia do Polski wiadomość, że umarł był 23. marca papież Juliusz III., a następca jego, sędziwy Marceli II., chociaż Lippomana potwierdził w nadanej mu przez niego godności, nie zdołał go jednak na czas oznaczony wyprawić do Polski. Wprawdzie kardynał Puteus, wiele obiecujący sobie na równi z wielu innymi dygnitarzami Kościoła, po dobrotliwym i ożywionym najlepszymi zamiarami i planami przyszłej reformy — Marcelim, zapewniał naszego Zebrzydowskiego, że rychło wyprawi Lippomana, bo współczuje bardzo z Królestwem polskiem, dotkniętem klęską zarazy religijnej, i prosił już naprzód zaprzyjaźnionego z sobą biskupa, aby nuncyuszowi ułatwił razem z królem i innymi prałatami Kościoła polskiego bardzo trudne zadanie, jakiego się w imieniu Stolicy Apostolskiej podejmuje[1]), ale znowuż nadzieje i obietnice musiały spełznąć na niczem, bo Marceli II. po 22 dniach pontyfikatu, 30. kwietnia umarł, i wyjazd Lippomana musiał być z tego powodu odroczony. Wybór nowego papieża, mającego zatwierdzić jego nuncyaturę, dokonany został dopiero 23. maja, a padł na osobę surowego kardynała, Jana Piotra Caraffy, który przybrał imię Pawła IV.[2]) Prymas na wiadomość o zaszłych zmianach na Stolicy Apostolskiej, nie spieszył się wcale z zwołaniem synodu, a Hozyusz, korzystając z tego, skwapliwie doradzał, aby go zwołać najwcześniej koło 16. października i to pod tym tylko warunkiem, jeżeli na termin ten przybędzie nuncyusz, nie wierząc, aby synod bez niego przyniósł jakiekolwiek korzyści[3]).

Równocześnie innowiercy, na korzyść których w tym czasie szlachta toczyła już zacięty bój na sejmie piotrkowskim, postanowili jakby pod wpływem wiadomości, że biskupom była przyrzeczona pomoc z Rzymu w osobie Lippomana, nie bardzo dobrze — jak zobaczymy — w ich opinii zapisanego, postarać się i dla siebie o jakąś pomoc z zagranicy, któraby zrównoważyła siłę, jaką przedstawiał dla katolików nuncyusz. Na razie, na synodzie, odbytym w Pińczowie 1. maja, zdecydowali się powołać do Polski znanego nam Fr. Lismanina, bawiącego w Szwajcaryi, i wysłali w tym celu listy do niego z podpisami zebranej na synodzie szlachty i ministrów, wzywające go do powrotu z zagranicy. Listy te miał

[1]) Kor. Zeb. nr. 862, Hos. Ep. nr. 1398 i przypisy, app. nr. 73.
[2]) Ranke, Hist. pap. i papiezt. T. III. Warsz. 1873, s. 46—48.
[3]) Hos. Ep. nr. 1398.

zabrać ze sobą przyjaciel jego, St. Budziński, który właśnie wiózł do Szwajcaryi odpowiedź Zygmunta Augusta dla Gesnera, Kalwina i Ballingera na ich zeszłoroczne listy[1]). Zebrzydowski, zajęty podówczas na sejmie, na wiadomość o synodzie innowierców, odbywającym się w Pinczowie, wysłał tam legata swego z pocztem 30 zbrojnych, nakazując mu albo synod rozpędzić, albo przynajmniej pochwycić kilku ministrów i skłonić szlachtę do rozwiązania ich konwentu. Tymczasem Oleśnicki uwiadomiony o przybyciu owego legata, wcześnie zamknął dostęp do kościoła, gdzie odbywały się narady, ministrów ukrył w klasztorze, a legatowi zezwolił przedłożyć życzenia Zebrzydowskiego w obec siebie i szlachty obecnej na cmentarzu, w asystencyi tylko trzech czy czterech towarzyszy. Legat nie czując się dość silnym do użycia przemocy i gwałtu, oświadczył pokornie możnemu dziedzicowi Pinczowa, że biskup żąda na podstawie mandatu królewskiego, zabraniającego zebrań „ewangelikom“, aby synod się rozszedł. Ale mandat ów okazał się ku niesłychanemu oburzeniu szlachty, sfingowanym dokumentem, noszącym fałszywy podpis podkanclerzego Przerębskiego. Fałszywość jego potwierdził umyślnie w tym celu sprowadzony notaryusz. Wobec tego legat, zmuszony przy tej okazyi wysłuchać liczne skargi na biskupów za to, że niepokoją zjazdy ewangelików, chociaż sami sobie także urządzają zebrania i z nich przesyłają papieżowi sprawozdania, zdradzające sekretne sprawy państwa, niekiedy bardzo wielkie, — opuścił czemprędzej Pińczów, wioząc Zebrzydowskiemu do Piotrkowa niewesołe nowiny[2]).

(Dokończenie części trzeciej).

Dr. Tadeusz Troskolański.

---

[1]) Lubieniecki, s. 57 i 58.
[2]) Lubieniecki, s. 58. Wengerski s. 230.

# STANOWISKO PRAWNE ŻYDÓW W POLSCE

## W XV. STULECIU.

NAPISAŁ

Dr. STANISŁAW KUTRZEBA.

(Dokończenie).

## II.

*Sąd żydowski — skład jego w Krakowie i we Lwowie — kwestya świadków w procesach między żydami i chrześcianami — przysięga żydowska.*

Jako sąd kompetentny dla żydów występuje sąd żydowski, *iudicium iudaicum* lub *iudicium iudeorum* zwany. Jak poprzednio już mówiliśmy, jest to sąd wojewodziński, *iudicium iudaicum palatinense.*

Trzy tylko dotąd znamy takie sądy żydowskie, które zostały zorganizowane, w Krakowie, Lwowie i Bełzie. Wobec tego, iż jurysdykcya nad żydami była w rękach wojewody, sąd taki istnieje jeden na całe województwo. Czy było ich więcej, niż te trzy? Sądzić możemy, że tak. Zwłaszcza na pewno spodziewać się tego można przynajmniej co do Poznania, w którym ludność żydowska była bardzo liczna. Wobec tego, iż akta tego sądu z XV. w. nie są ogłoszone, nic dokładniejszego pod tym względem obecnie nie da się powiedzieć. Nasze wiadomości ograniczają się więc głównie do Krakowa i Lwowa [1]).

[1]) Co do Bełza, wiemy tylko o istnieniu tamże sądu żydowskiego. Akta gr. i z. t. XV. nr. 2987 i 3010.

Już przywilej Bolesława Pobożnego z r. 1264 przewiduje, że wojewoda nie sam będzie sądził, lecz przez sędziego. Jednak aż do wieku XV. niema żadnych co do tego wiadomości. Żydów nie było wielu. Sprawy między żydami mieli prawo załatwiać ich starsi, *seniores iudeorum* [1]). Na pewno zaś rozciągali oni za zgodą stron swoją władzę i na inne sprawy, tak, iż wogóle nie wiele miał z nimi wojewoda do czynienia. Dopiero też w XV. w. pojawia się, naprzód w Krakowie, osobny zastępca wojewody, który wyręcza go w załatwieniu sądowych spraw żydowskich.

Jest to Jerzy, notaryusz królewski, który w r. 1412 wystawia akt prawny [2]), jako *iudex protunc iudeorum Cracoviensium*. Raz go się tylko spotyka, tak iż nie możemy stwierdzić, czy jest on tylko sędzią, wyznaczonym do tej jednej sprawy, czy też jest to jego stałe zajęcie. Drugi z rzędu znany sędzia żydowski, to Pełka Bidliński, który piastuje ten urząd przynajmniej przez kilka miesięcy w r. 1418 [3]). Trzeci Jan Koczyński znów jest tylko wyznaczony do pewnej sprawy [4]) *ad hoc specialiter deputatus* (r. 1436). Ale za to już czwarty z rzędu, Jan Chamiec z Dobranowic [5]), zostaje na urzędzie sędziego żydowskiego lat przynajmniej dziesięć, od r. 1459 do 1469. Po r. 1469 już tylko jednego znamy sędziego żydowskiego, malarza Jana Goraja [6]).

Ale rozwój sądu żydowskiego na tem się nie zatrzymał. Obok sędziego potrzebny był pisarz do wygotowywania aktów. Początkowo wyręczano się zapewne pisarzem z sądu ziemskiego lub grodzkiego. Od r. 1446 spotykamy [7]) już specyalnych „pisarzy żydowskich“. Zaś w r. 1469 występuje po raz pierwszy podsędek żydowski [8]). W ten sposób powstaje cała organizacya sądu żydow-

---

[1]) Ciekawy akt z r. 1527, wydany przez wojewodę krakowskiego, a tej kwestyi tyczący, drukujemy w dodatkach jako nr. 2.

[2]) Kod. Univ. Jag. t. I. nr. 53.

[3]) Terrestria Biecensia t. II. p. 156 (w archiwum krajowem w Krakowie), Helcel t. II. nr. 1571, 1576 i 1578a.

[4]) Kod. Un. Jag. t. I. nr. 96.

[5]) Castrensia Cracoviensia t. XX. p. 239 (w archiwum krajowem w Krakowie), Kod. Un. Jag. t. II. nr. 223; Bobrzyński i Smolka: Jan Długosz, reg. nr. 305; Chmiel: Dokumenty nr. 20.

[6]) Kod. Krak. t. II. nr. 349, dok. z r. 1494.

[7]) Castr. Crac. t. XII. p. 712 (r. 1446, Jan), ib. t. XX. p. 301 (r. 1459, Mikołaj Uliński), Kod. Un. Jag. t. II. nr. 223 (r. 1469, Jan).

[8]) Kod. Un. Jag. t. II. nr. 223 (r. 1469, Jan), Castr. Crac. XXXIX. p. 668 (r. 1497, Stanisław Cichy z Krakowa).

skiego, złożona z sędziego, podsędka i notaryusza. Taki skład miały zwykłe sądy ziemskie. A choć może nie było potrzeby wprowadzania całego tego urządzenia do sądu żydowskiego, który przecież miał znacznie szczuplejszy zakres działania, analogie jednak doprowadzono prawie do końca. Jest to jeden z ciekawych objawów wpływu organizacyi innego czynnika, objawów bardzo częstych w wiekach średnich, kiedy w czasie kształcenia się instytucyi, kopiowano je bardzo wiernie z wzorów, na których je opierano. Powyższy objaw o tyle ciekawszy, iż wzór wzięto z instytucyi polskiej. Wprowadzenie do sądu obok sędziego podsędka stanowi wyłączną cechę sądów polskich.

Wojewoda, prócz spraw żydowskich, miał jeszcze inną iurysdykcyę Z tego powodu ma swego sędziego i notaryusza. Zdarza się, że taki sędzia lub notaryusz jest równocześnie sędzią[1]), względnie notaryuszem żydowskim. Czy to było regułą, przynajmniej później, sprawdzić się nie da. Ponieważ agenda sądów żydowskich niezbyt była wielka, łączą się nieraz urzędy podsędka i pisarza żydowskiego w jednej osobie [2]).

Prócz Krakowa znamy jeszcze sędziów żydowskich lwowskich. W Bełzie był sąd, o tem wiemy, lecz jak zorganizowany, brak wszelkich wskazówek. We Lwowie po raz pierwszy pojawiają się sędziowie w r. 1440. Znamy ich dwóch: jeden zwie się Iwan Durdz ze Stupnicy [3]), drugi Stefan Bydłowski [4]). Noszą oni obaj tytuł: *iudex iudeorum specialiter deputatus.* Widoczna więc, że nie ma jeszcze stałej organizacyi, i że wojewoda tylko w razie potrzeby, od czasu do czasu, wyznacza jako swego zastępcę sędziego, do rozpatrzenia pewnej tylko sprawy. Bydłowski w braku własnej przywiesza do aktu pieczęć wojewody [5]). Przed lub w roku 1445 występuje jako sędzia żydowski, Włoch [6]), Krzysztof de Sancto

[1]) p. Federowicz.

[2]) Kod. Un. Jag. t. II. nr. 223.

[3]) Akta gr. i z. t. XIV. nr. 141.

[4]) Ib. nr. 142. Wobec tego, że akty obu są niedatowane, niepodobna stwierdzić, jak oni po sobie następują.

[5]) Ib.

[6]) Chodzi o list dni Bystram de Lopyenyk et Cristofori de Sancto Romulo, iudicum iudeorum et castri. Wątpię, by obaj byli równocześnie sędziami żydowskimi. Wobec tego, że Bystram był sędzią grodzkim, a Krzysztof nim nie mógł być, jako obcy i nieszlachcic, sądzę, że on piastował godność sędziego żydowskiego.

Romulo. Dopiero Mikołaj ze Stradowa występuje częściej jako sędzia żydowski [1]). Widoczna, iż był stale do tego wyznaczony. W r. 1447 przecież znów jest tylko sędzia *specialiter deputatus*, Stanisław z Trok [2]). Później o sędziach żydowskich nic nie wiemy. Możemy jednak na pewno twierdzić, że byli. Jak widzimy, we Lwowie sąd nie występuje w całej pełni. Sędziów po raz pierwszy spotykamy znacznie później, niż w Krakowie, a i to po większej części są oni wyznaczani do pewnych spraw tylko, nie piastują zaś tego urzędu stale. Osobnych podsędków i notaryuszów żydowskich wcale niema.

Sądy żydowskie prowadzą też swoje księgi. Wzmianki o nich spotykamy w Krakowie już w r. 1424 [3]), we Lwowie w r. 1447 [4]), (choć nieraz wpisy ze sądów żydowskich spotykają się i później w księgach grodzkich), w Bełzie w r. 1500 [5]).

Ciekawiśmy poznać, co to za ludzie ci sędziowie żydowscy. Przedewszystkiem zarówno sędziowie jak pisarz nie są żydami nigdy. Udział żydów ogranicza się do tego, że do sądu żydowskiego dostarczają oni assessorów, którymi zwykle są starsi żydowscy, *seniores iudeorum*. Liczba assessorów bardzo jest różna, od dwóch do sześciu, niekiedy wcale nie są wspominani. Udział ich zresztą zdaje się nie miał większego znaczenia.

Mianowanie sędziów żydowskich, i to tak sędziów, którzy są *specialiter deputati*, jak i stałych, należy wyłącznie do wojewody. Jeźli nie jest sędzia żydem, to znów nie potrzebuje być szlachcicem. W Krakowie dostaje tę godność jeszcze pod koniec XV. w. mieszczanin, malarz Goraj. We Lwowie Iwan Dzurdz, i to — jak widać z imienia — Rusin. Krzysztof de Sancto Romulo nie tylko jest mieszczaninem, ale do tego nawet nie Polakiem. Stradowski był pisarzem wojewody.

Jak więc widzimy, nie jest to wcale godność wybitna. Obsada jej zależy w zupełności od woli wojewody. Od niego zawisło, czy wyznaczać będzie tylko chwilowych zastępców, czy też stałych. Może nawet godność tę swobodnie napowrót odebrać.

---

[1]) Ib.
[2]) Ib. nr. 1891.
[3]) Helcel II. nr. 1982, 2076, 2138 i 4192.
[4]) Akta gr. i z. t. XIV. nr. 1891, t. XV. nr. 2129, 2130.
[5]) Ib. t. XV. nr. 2987 i 3010.

We Lwowie sąd zasiada przed szkołą [1]). Był to widać zwyczaj ogólny, przepis ten bowiem spotykamy już w przywileju Bolesławowskim.

Specyalnością pewną był udział w procesie „szkolnika“. Żydów przez niego się przed sąd pozywa — inaczej pozew uważa się za nieważny [2]). On też składa wobec sądu zeznania o czynnościach procesowych stron, które odbywały się poza obrębem sądu, n. p. o złożeniu przysięgi [3]). Odpowiadają więc te funkcye w części obowiązkom, które spełniał w sądzie polskim woźny [4]).

Oczywiście istnienie sądu żydowskiego nie wyklucza możności, by żyd stawał i wobec innych sądów. Sąd żydowski jest właściwy tylko dla pewnych spraw. Podstawę do rozstrzygnięcia, kiedy sprawa przed ten sąd należy, stanowi wogóle uznana, zwłaszcza w wiekach średnich, zasada *actor sequitur forum rei.* Wobec tego sąd żydowski był kompetentny w tych sprawach, w których żyd występował jako pozwany. Jeźli więc pozwano go przed sąd inny, zwłaszcza grodzki, co się nieraz zdarza, wtedy ma on prawo odwołać się do swego sądu [5]), *ad suum ius iudaicum.* Musi to jednak uczynić, nim się wda w spór, a nadto może to zrobić tylko wtedy, jeźli się już zawczasu nie zrzekł tego prawa, co się zdarza, jak mówiliśmy, bardzo często.

Procesy, w których występują żydzi, i to zarówno, czy proces toczy się wobec sądu żydowskiego, czy innego, odznaczają się dwiema właściwościami, a to:

1. Co do składu świadków, jeźli dowód prowadzi się przez świadków;

2. co do przysięgi, jeźli ją składają żydzi.

Dowód przez świadków unormowany jest częściowo już w przywilejach żydowskich. Odróżnić musimy wypadek, gdy na żydzie ciąży dowód a gdy go przeprowadza chrześcijanin. Pierwszy wypadek nie jest dokładnie określony w przywilejach. Sta-

---

[1]) Ib. t. XIV. nr. 3598.

[2]) Me non debite citavit secundum ius meum, non schkolnykem. Ib. t. XIV. nr. 2110.

[3]) Ib. t. XV. nr. 2270, 2271.

[4]) Na równi z nim stawia go przywilej sfałszowany Kazimierza W. §. 11.

[5]) Helcel II. nr. 1919, 1943, 2044, 3230, 4127, 4128 i 4353. Akta gr. i z. t. XIV. nr. 3559 (nolite nos ultra ius nostrum alias mymo prawo iudeorum iudicare), nr. 2969, 2976, t. XV. nr. 2987.

nowią one jedynie, iż żyd nie potrzebuje dawać świadków, że więc wystarcza tylko jego przysięga, w czterech wypadkach [1]):

1. w razie, jeźli żyd broni się, że zastawu nie dostał od powoda;

2. jeźli się broni, że pożyczka na zastaw była wyższa, niż to twierdzi powód;

3. jeźli żądaniu zwrotu zastawu nie czyni zadość, twierdząc, że zastaw utracił w sposób od jego woli niezależny, a więc np. z powodu skradzenia mu przedmiotu lub spalenia się zastawu;

4. jeźli twierdzi, iż nie wiedział, że przedmiot zastawu pochodził z kradzieży lub rabunku.

Jakie prawidła mają zastosowanie w innych wypadkach, nic przywileje nie mówią.

Inaczej regulują przywileje sprawę dowodu chrześcijanina przeciw żydowi. Jeden tylko znają wypadek, w którym wystarcza przysięga chrześcijanina za dowód zupełny, mianowicie w razie, jeźli żyd żąda zwrotu pożyczki po zwróceniu przedmiotu zastawu, twierdząc, iż zastaw tylko wygodził swemu dłużnikowi, a tenże temu przeczy [2]). We wszystkich innych wypadkach dowód musi chrześcijanin przeciw żydowi prowadzić dwoma świadkami [3]), z których jeden ma być chrześcijaninem, a drugi żydem. Tak stanowi przywilej Bolesławowski. Potwierdzenie Kazimierza W. z r. 1367 wprowadza tę zmianę, iż jeźli chodzi o zbrodnię, dowód prowadzi się przez dwóch chrześcijan i dwóch żydów [4]).

Jak więc widzimy, przepisy te co do dowodu postanowione są na korzyść żydów, mają ich zabezpieczyć od nadużyć w razie plemiennej niechęci.

W praktyce te przepisy nieco inaczej się przedstawiają. Z reguły w razie, jeźli żyd ma prowadzić dowód, wystarcza jego przysięga. Widzimy jednak, iż niekiedy jest inaczej. Tak znamy przypadek, iż żyd się oczyszcza z zarzutu *metquartus*, tj. z 3 współprzysiężnikami, także żydami [5]). Pod koniec wieku, w Krakowie, w sprawie o sumę bardzo dużą, ze strony żydowskiej żąda sąd sześciu świadków, w połowie chrześcijan, w połowie żydów [6]).

---

[1]) Przyw. z r. 1264 §. 2, 3, 6 i 7.
[2]) §. 4.
[3]) §. 1.
[4]) §. 1.
[5]) Helcel II. nr. 1925.
[6]) Ib. II. nr. 4351.

We Lwowie każą żydowi raz dowód przeprowadzać *more iudaico* chrześcijanami [1]). Widzimy więc, że praktyka odbiega od przepisów. Sposób, w jaki przeprowadzają chrześcijanie dowód przeciw żydom, zostaje zastosowany naodwrót i do żydów. Nie ma to więc być jednostronny przywilej, ale równorzędna obrona interesów obu stron. Przecież reguła przeważa, że w zasadzie wystarcza sama przysięga żyda.

Za to w wypadkach, w których dowód przeprowadza chrześcijanin, zasady, uznanej przez przywileje, trzymają się sądy bardzo ściśle, żądając zawsze świadków chrześcijan i żydów. Tak świadczą przeciw żydom w kilku znanych wypadkach:

1. chrześcijanin i żyd [2]),
2. dwóch chrześcijan lub rusinów i żyd [3]),
3. 2 chrześcijan i dwóch żydów [4]),
4. 2 chrześcijan i siedmiu żydów [5]).

Widzimy z tego, że głównie chodzi o to, by chrześcijanin jako świadków postawił także żydów. Więcej niż jednego dawano, jeźli można wnosić z danych tak nielicznych, w wypadkach ważniejszych, gdy np. szło o większą sumę pieniędzy, nie tylko gdy sprawa toczyła się o zbrodnię.

Na podstawie więc przywilejów wyrobiła się ogólna zasada, która weszła w życie. Streścić ją łatwo: chrześcijanin przeciw żydowi musi dowodzić także żydami. Przeprowadzenie tej zasady było jednak w praktyce chwiejne, zależało wiele od zapatrywania sądu.

Drugą kwestyę stanowi sposób składania przysięgi. Ponieważ miała ona — jak ma i do dziś — charakter religijny, konieczną było rzeczą uwzględniać religię tego, który miał składać przysięgę. Uznawało to prawo polskie w pełni, zarówno co do Rusinów, jak co do żydów.

Już Bolesławowski przywilej zastrzega żydom, iż będą przysięgali według swego żydowskiego zwyczaju [6]). Przeprowadza on co do przysięgi różnicę ze względu na ważność sprawy, tj. war-

---

[1]) Akta gr. i z. t. XIV. nr. 1406.
[2]) Akta gr. i z. t. XIV. nr. 3559.
[3]) Ib. t. XIV. nr. 3565 i t. XV. nr. 3019.
[4]) Ib. t. XIV. nr. 1546.
[5]) Ib. t. XIV. nr. 2760.
[6]) §. 19.

tość przedmiotu, o który chodzi. W razie, jeźli chodzi o przedmiot poniżej 50 grzywien srebra, przysięgę ma składać żyd przed drzwiami szkoły, która służyła wówczas i za dom modlitwy. Z potwierdzeń Kazimierzowskich dowiadujemy się, iż składa się tę przysięgę na t. zw. *rotula* lub *rota*, po polsku *colcze*, tj. na zawiasy drzwi [1]). W razie gdy szło o sumę większą, niż 50 grzywien, przysięga była uroczystszą, na *rodale* tj. torę. Jak wiemy z niemieckich źródeł, odbywało się to w ten sposób, iż otwierano torę tj. pięcioksiąg Mojżesza na stronie, na której było wypisanych dziesięć przykazań, i żyd przysięgał, położywszy palce na wiersz drugiego przykazania [2]).

Przepisy te wytrwale się utrzymują w Polsce przez cały wiek XV. Zarówno w Krakowie, jak we Lwowie składa się przysięgę [3]) według żydowskiego zwyczaju, tj. „na dziesięć przykazań i prawo Mojżesza". Rota w Krakowie brzmi [4]): „Tak niech mnie wspomaga Bóg i dziesięć przykazań i prawo Mojżesza we Lwowie [5]): „Tak niech mnie Bóg żywy wspiera i prawo Mojżesza i dziesięć przykazań". Zarówno w Krakowie [6]) (r. 1423), jak we Lwowie [7]) (r. 1500) utrzymuje się przysięga na kolce, a we Lwowie wyraźnie nawet zaznaczony jest przepis, iż to się stosuje w sprawach o przedmiot wartości poniżej 50 grzywien.

Żydzi więc cieszyli się pod tym względem zupełną swobodą, a przepisy zachowały swoją moc bez zmiany przez czas kilku stuleci, wszedłszy do składu żydowskiego prawa zwyczajowego.

## III.

Tyle naszych wiadomości o prawie zwyczajowem, które normowało prawne stanowisko żydów w wiekach średnich. Niewiele

---

[1]) p. zwłaszcza przywilej sfałszowany, §. 1.

[2]) Bloch o. c. str. 91 i 149.

[3]) Iuxta sui iuris consuetudinem super decem precepta et legem Moysi. Helcel II. nr. 1922. — More iudaico... super x precepta et legem Moysi. Ib. nr. 1925. — Super x precepta. Ib. nr. 2222 i 2296.

[4]) Ita deus adiuvat et decem precepta dei et lex Moysi. Ib. nr. 1935.

[5]) Sic me deus vivus adiuvat et lex Moysi et decem precepta. Akta gr. i z. t. XIV. nr. 3565.

[6]) iuramentum in ratulo sinagoge hostii. Helcel II. nr. 1935.

[7]) Ma iurare ad rotam alias okoly... hoc ideo quia iudeus debet iurare ad rotam alias okolcza, quia iudei non debent iurare ad eandem portam okolcza nisi pro re que se extendit ad 50 marc. Akta gr. i z. t. XV. nr. 3020.

ich, wystarczają przecie, by zaznaczyć, jak się ukształtowały stosunki, jaką obronę prawną dawało żydom ówczesne prawo. Widzimy, iż dążnością jego było zapewnić im posiadanie swobód, które były potrzebne do życia i rozwoju. Zabezpieczało ich ono skutecznie, a nieraz dawało, np. co do świadectwa i świadków, stanowisko nieco korzystniejsze, niż je miała strona przeciwna.

## DODATKI.

### I.

*R. 1392. Bonifacy IX. poleca oficyałowi krakowskiemu zbadać skargę Klemensa z Kurowa przeciw żydowi Lewkowi o lichwę.*

Bonifacius episcopus servus servorum dei dilecto filio... officiali Cracoviensi salutem et apostolicam benedictionem. Conquestus est nobis Clemens de Curow miles cracoviensis diocesis, quod Lewco Jordanis iudeus, in civitate cracoviensi moram trahens, multa extorsit et adhuc extorquere nititur ab eo per usurariam pravitatem. Ideoque discretioni tue per apostolica scripta mandamus, quatinus, si est ita, dictum Iudeum, ut sua sorte contentus sic extorta restituat conquerenti et ab usurarum exactione desistat, monitione premissa per subtractionem communionis fidelium appellatione remota compellas, testes autem, qui fuerint nominati, si se gratia, odio vel timore subtraxerint, per censuram ecclesiasticam appellatione cessante compellas veritati testimonium perhibere. Datum Rome apud sanctum Petrum VIII. kal. maii pontificatus nostri anno tertio. *(24. aprilis 1392).*

Oryginał w klasztorze krakowskich OO. Dominikanów, dobrze zachowany. Pieczęci brak. Na zakładce: G. Gregorii, na odwrotnej zaś stronie dokumentu: Fr. Swancko, niżej: pro domino Clemente de Curow.

### II.

*R. 1527. Dekret wojewody krakowskiego co do sądownictwa spraw między żydami.*

Andreas de Thanczin palatinus Cracoviensis capitaneus Chelmensis Belzensis Crasznostawyensis et Rathnensis. Universis et

singulis harum noticiam habituris. Notum facio presentibus quia cum per M. R. dominum clementissimum promotus sum ad palatinatum Cracoviensem et unum quemque volens in iure suo conservare, qui iurisdiccioni palatinatus nostri subest, et signanter iudeos in Cazimiria degentes, et iurisdiccioni palatinatus mei existentes eosdem iuxta eorum iura et privilegia que habent eis concessa conservo et ut vicesgerens meus non iudicaret eos et causas eorum cum quibuscunque hominibus et personis exortas et habitas absque senioribus eorundem iudeorum per me iam electis et deputatis. Et quicumque eorundem iudeorum a domino vicesregente meo seu de iudicio eorum ad me appellare voluerit, ut sibi admitteretur libere causam coram me prosequi et attentare et ut pene omnes in unum conscriberentur in regestrum nec exigerentur ab eis seu eorum quocumque absque speciali commissione et mandato meo. Item iudeus cum iudeo seu iudea habens causam et aliquam actionem non coram iudicio sed coram doctoribus et senioribus secundum iura et privilegia eorum iustificari unus alteri debet, pene eciam tales inter ipsos iudeos evenientes similiter conscribende sunt nec exigende absque speciali commissione mea. Item ut non per sigillum sed citacione litterali ipsi iudei citarentur. Item in obedientes et culpabiles non aliunde nisi in platea eorum punirentur et incarcerarentur, exceptis casibus qui casus alias correctiones indigeret. Datum in Proschowycze feria tercia post dominicam iudica (9. apr.) anno domini millesimo quingentesimo vigesimo septimo.

Actum in castro Cracoviensi feria sexta post festum s. Stanislai in mayo pontificis prox. (10. maii) 1527.

Z kopii, zamieszczonej w księdze sądów komisarskich, niepag. Archiwum aktów grodzkich i ziemskich w Krakowie.

# KRONIKA LITERACKA.

(Dokończenie).

Druga z prac wyżej przytoczonych „Głodna Rossya“, jak ją zatytułowali autorowie, jest bardzo ciekawa. Czuć w niej na każdym kroku, że są to spostrzeżenia zdejmowane z natury, wrażenia osobistego zetknięcia się ze skutkami strasznej klęski.

Autorowie dla napisania tej pracy przejechali osobiście przez „głodną Rossyę“, zrobiwszy z jakie 8000 kilometrów. Zatrzymywali się w licznych miejscowościach, zwiedzali wsie, chodząc z chaty do chaty, wypytywali chłopów, badali stan ich zdrowia. Prócz tego i po miastach i na prowincyi przesłuchiwali ludzi najróżnorodniejszych zawodów: dziennikarzy, naczelników i członków ziemstw, urzędników wyższych i niższych, lekarzy, duchownych, kupców, żebraków, siostry miłosierdzia, właścicieli dóbr ziemskich, nawet uczonych. I oto co powiadają w rozdziale końcowym (str. 515 i n.):

„To, cośmy widzieli w naszej podróży, to więcej, niż niezmierne tłumy chłopów ginących z głodu, to cały potężny obszar ziemi w stanie rozkładu gospodarczego, upadku, zniszczenia i opustoszenia; to kraj, który w oczach swoich mieszkańców zmienia się w pustynię, ludność, która zginie, jeżeli nie wywędruje gdzieindziej, lub stosunki te się nie zmienią. Widzieliśmy jałowe pola, równiny ogołocone z lasów, glebę spieczoną od słońca, wyschnięte potoki, potężne rozpadliny ziemi, której wszelką wilgoć odjęto, i całe chmury lotnego piasku, które wiatr pędzi na pola, aby na nich wszelkie kiełki wygubić!“...

Oto opis okolicy między Wołgą a Kamą, znajdującej się w pasmie czarnoziemu rosyjskiego, które to pasmo głody najwięcej nawiedzają. W r. 1891 panował nieurodzaj i głód w Rosyi w 25 guberniach, a między temi była tylko jedna, nie należąca do pasma czarnoziemu, wszystkie inne należałyby do tradycyonalnego spichrza zbożowego Rosyi. W r. 1898 objęła klęska głodowa wyłącznie obszar czarnoziemu. Na 40,107.961 desiatyn tegoż obszaru było 16,161.250 dotkniętych nieurodzajem, a w samej gubernii Samarskiej połowa całej ludności tej gubernii cierpiała głód!

Trzeba sobie tylko uprzytomnić, ile poza temi cyframi kryje się wsi, domostw, ludzi, bydła, całego inwentarza, aby zrozumieć rozmiar klęski! „Ludność — powiadają autorowie w jednym ze swych niezliczonych opisów — pozostała bez chleba, bez kartofli, bez jakichkolwiek jarzyn i... bez nadziei. Z rozpaczy wielu chłopów sprzedaje potajemnie swe kawałki ziemi i ucieka do innych części państwa. Wskutek ogólnego wyniszczenia szerzą się choroby, występki i śmiertelność, zwiększa się liczba dzieci urodzonych nieżywo, pojawia się tyfus i szkorbut. Gdy się zbliżamy do wsi, zwłaszcza wieczorem, przejmuje nas mimowolnie trwoga. Chaty do połowy zawiane śniegiem, czernieją jak ciemne masy, bez światła, bez najmniejszego znaku życia. Z kominów nie wznosi się dym, psy nie biegają ujadając, bo — już w jesieni poginęły z głodu. Jedziemy jak przez cmentarz. Wstępujemy do izby i cóż dostrzegamy z przerażeniem! Powietrze sine, mdłe, zatęchłe, twarze ludzi woskowo-żółte, pozapadane z głodu, oczy jak w gorączce, słychać kwilenie dzieci, stękanie chorych i czuć wstrętny odór. I tak z domu do domu, z jednej wsi do drugiej!... Klęska rozszerza się, przybiera charakter epidemiczny, a panika ogarnia ludność całych gubernii. Nawet drogi, gościńce, pustoszeją i zalega je cisza grobowa. „W pobliżu wsi“, brzmi dalszy opis dra Lehmanna i Parwusa — widzimy jałowe pastwiska. Przedtem pasły się na nich liczne konie, krowy, widać było ogromne szare stada owiec: teraz dostrzega się zaledwo parę szkap chudych jak szkielet i dwie lub trzy krowy, na których sierści przy kościach widać ropiące się rany, bo leżały ostatniemi czasy bez ruchu w oborze. Ani śladu owiec lub jakiegoś przychowku w bydle!...

Chłop zdemoralizowany klęską, cały w łachach, zaspany i osłabły. Jeszcze do ostatniej chwili próbował nieudolnem narzędziem poruszyć ciężką glebę: teraz leży w ciemnej izbie na pryczy, w budzie, poraniony, bo zapadł na szkorbut. „A ten szkorbut głodowy“ — powiada jeden z lekarzy rosyjskich, którego autorowie cytują, dr. Kudriawcow — „zupełnie się różni od szkorbutu, który panuje po okrętach lub więzieniach“. Każdy doświadczony lekarz miał już do czynienia

z najróżniejszemi chorobami; nerwy jego są stępione. Gdy widzi jednak chorego na szkorbut głodowy, wycieńczonego i bez sił, z zapuchniętemi nogami, z ciałem okrytem strasznemi ranami, mimowoli popada w przerażenie. Dlaczego?

Dlatego, bo wie, że przyczyną tego wszystkiego jest — głód. Szkorbut głodowy nie występuje nagle, przygotowuje go długi okres zupełnego fizycznego wycieńczenia. W latach głodowych 1898 i 1899 w samej gubernii Samarskiej było wedle dat, podanych przez biuro sanitarne gubernii: 23.000 chorych na szkorbut; wedle dat „Czerwonego Krzyża", stojącego pod protektoratem carowej, 29.000 takich chorych, a jak daleko postąpiło wynędznienie całych mas ludności rossyjskiej, najlepszym dowodem na to rezolucya, powzięta przez VII kongres lekarzy rossyjskich w Kazaniu, w maju r. 1899. „Kongres — brzmi ta rezolucya — uważa za swój obowiązek wskazać na to, że nieurodzaje, powtarzające się systematycznie w pewnych częściach Rossyi, wywołują nieskończoną ilość ostrych i chronicznych chorób, podkopują na czas dłuższy siłę i zdrowie ludności włościańskiej, która żywiąc się niedostatecznie, staje się tem samem mniej odporną na złe warunki sanitarne i mniej zdolną do pracy. Śmiertelność między ludnością tą zwiększa się do tego stopnia, że w wielu miejscach przewyższa cyfrę urodzin i powoduje zmniejszanie się ludności — a organa sanitarne i towarzystwa dobroczynności są wobec rozmiarów klęski bezsilne". Dlatego też kongres wzywa przy końcu swej rezolucyi rząd do zwalczania wszelkimi możliwymi środkami i jak najenergiczniej klęski głodowej, która coraz się utrwala. Bo w tem leży nowy tragizm tej klęski, że skutkami swemi sięga ona dalej w przyszłość!... Rok nieurodzaju i głodu minął wreszcie, chłop, który go przebył i przeżył, zabierze się z wiosną do dalszej walki o byt, do obrabiania roli i zasiewów. Lecz cóż się dzieje. Przebyta klęska głodowa obłożyła go nowymi ciężarami: podatków nie miał z czego zapłacić, musiał pozaciągać nowe długi na życie; pod naciskiem tych długów i ciężarów nie może utrzymać się gospodarstwo, porzuca ziemię i ucieka. Porty i miasta handlowe Rossyi przepełnione są masami włościan, szukających zarobku i roboty jakiejkolwiek. Mnóstwo żebraków ciągnie gościńcami, a tysiące i tysiące ludzi bez chleba zwraca się do Syberyi, w nadziei, że tam warunki życia będą łatwiejsze!... Lecz tam spotyka ich tylko rozczarowanie i po krótkim pobycie, nieudałych wysiłkach muszą wracać napowrót. Słusznie dopatruje Petersburski „*Herold*" [1]) przyczyny tych nieudałych osie-

[1]) Zeitschrift für Socialwissenschaft Wolfa 1901 str. 475 i 476.

dleń się w Syberyi w tem, że chłop rossyjski za różowo przedstawia sobie tamtejsze warunki życia, które są tymczasem ciężkie i nie może się do nich nagiąć, przystosować. Ucieka z Rossyi, opanowany jedną tylko myślą: wyzwolenia się z głodu, z ucisku podatkowego i długów. Zebrał trochę gotówki na drogę, przecenia jej znaczenie ekonomiczne (siłę zakupna), przecenia też swe siły w walce z trudnymi warunkami bytu. Całe przesiedlenie odbywa się u większej części ludności z lekkomyślnością karygodną. Chłopi ciągną w drogę do nowej ojczyzny, bez żadnych środków materyalnych, bez narzędzi, nie mają nawet tyle, by za przybyciem na miejsce kupić sobie konia, bo sądzą, że tam wszystko łatwo dostaną. Oczywiście, że tak ekonomicznie słabi koloniści nie mogą utrzymać się w Syberyi, w warunkach daleko trudniejszych niż w Rossyi. Ziemia w Syberyi jest ciężka, wymaga więc daleko głębszego obrobienia, a zarasta chwastem daleko prędzej. I narzędzia rolnicze i konie muszą być daleko lepsze niż w Rossyi. Przytem w syberyjskich guberniach stepowych niema wcale lasów, zbudowanie więc domu dosyć jest drogie: cena domu wynosi 400—500 rubli [1]).

W Czeljabińsku mieście, przez które przeciąga z 80% udających się na Syberyę w zamiarze osiedlenia się, zebrano daty co do stosunków majątkowych wychodźców. W roku 1896 mianowicie stwierdzono, że 19% wychodźców nie posiadało wcale ziemi, że 3% miało ponad 10 desiatyn i ci uchodzili za „najbogatszych“; że 9 do 10% wychodźców miało od 6 do 10 desiatyn w posiadaniu, inni zaś jeszcze mniej. Wynika stąd, że przynajmniej połowa wychodźców do Syberyi była całkiem biedna. Nic dziwnego, że biedacy ci, uciekający przed nieurodzajami, ciężarami publicznymi i wogóle złymi stosunkami gospodarczymi z Rossyi do Syberyi, jeszcze prędzej, o ile tam nie zginą, wracają napowrót!...

Przedstawiwszy tak klęskę głodową, srożącą się peryodycznie w Rossyi, i jej rozmiary, rozpatrują następnie autorowie pracy, o której mówimy, przyczyny właściwe tej klęski. I tu różnią się nieco od Gołowina.

Gołowin dopatrywał, jak widzieliśmy, przyczyny nieurodzajów i głodów w warunkach gospodarczych, za szybko zmienionych, w nieumiejętności chłopa rossyjskiego przystosowania się do warunków nowych (samoistności gospodarczej, wyrobienia się gospodarki pieniężnej t targu światowego) a wreszcie w apatyi, wrodzonej temu chłopu. Dr. Leh-

[1]) Tę trudność kolonizacyi Syberyi podnoszą ostatnimi czasy często pisma fachowe ekonomiczne niemieckie.

mann i Parwus nie małą winę zwalają też na rząd rossyjski i tegoż politykę skarbową.

Na zniesienie poddaństwa zapatrują się oni podobnie jak Gołowin: zniesienie to zbyt nagłe, zdaniem ich, nie posłużyło ani chłopom ani panom. Nawet ci właściciele ziemscy, którzy dostali wysoką indemnizacyę, przyzwyczaiwszy się do dawnej tradycyonalnej gospodarki naturalnej, nie umieli włożyć się w intenzywniejszą, więcej kapitalistyczną. Skończyło się więc po większej części na wypuszczaniu chłopom ziemi w dzierżawę, przyczem dzierżawca własnym inwentarzem i narzędziami obrabiał grunta, zbierał plon, a zato pewną część plonu zatrzymywał dla sibie. Zwalniało to pana od troski o gospodarstwo, ale chłop nie umiał przystąpić do racyonalniejszej, intenzywniejszej kultury, wogóle nieprzyzwyczajony do samoistnego gospodarowania nie umiał się wśród coraz trudniejszych warunków utrzymać.

Tymczasem ludność zaczęła coraz wzrastać, pojawiło się na targach zboże zagraniczne, ceny obniżyły się, chłop powinien był więc więcej i lepiej produkować, aby wystąpić na targach wewnętrznych państwowych jako sprzedawca zboża, współubiegać się z producentami obcymi a także z produkcyą swego dawnego pana.

To też starał się on z jednej strony jak najwięcej z ziemi wydobyć, prowadził nawet gospodarstwo rabunkowe (str. 531), z drugiej zdawało mu się, że ziemi samej ma za mało. Brał więc grunta w dzierżawę za połowę plonu od dawnych swych panów, kupował nowe, a przytem wszystkiem zapożyczał się u kupców-kapitalistów. Naturalnie widząc jego złe położenie ekonomiczne korzystali z tego i panowie, potrzebujący coraz większych dochodów, i kupcy-kapitaliści. Pierwsi podwyższali chłopu coraz czynsze dzierżawne, drudzy — procenta. Do tego dołączyły się i coraz większe ciężary publiczne.

Rząd opodatkowywał coraz więcej włościan, surowo egzekwował podatki, co przy solidarnej odpowiedzialności podatkowej członków gminy doprowadzało wnet chłopów do ruiny.

Tak więc — według dra Lehmanna i Parvusa — obok zbyt nagłego usamowolnienia włościanina rossyjskiego, braku wychowania go ekonomicznego, wrodzonej mu apatyi, wyrobienia się targu międzynarodowego i zniżki cen zbożowych, główną przyczyną ruiny jego, związanych z tem nieurodzajów i klęsk głodowych, byłoby przeciążenie go zobowiązaniami prywatnemi i ciężarami publicznymi. Wypowiadają autorowie to dobitnie mówiąc, że chłop rossyjski „musi i żywić pana swego i wzbogacać kupca i utrzymywać państwo i budować jego koleje“ (str. 531). Ciężarom, a zwłaszcza podatkom

państwowym tudzież wykazaniu ich związku z klęskami głodowemi poświęcują nawet osobny rozdział p. t. „Klęska głodowa i opodatkowanie chłopów“ (str. 446—462) i twierdzą, że chłop rossyjski przynajmniej dwa razy tak wysoko jest opodatkowany jak rolnik bawarski (str. 447). Modyfikuje jednak te swoje tezy, twierdząc na str. 460, że byłoby przesadą w ucisku podatkowym dopatrywać pierwotnej przyczyny ruiny chłopa rossyjskiego. Owszem zubożał on już przedtem, nie był w stanie płacić podatków i dopiero gromadzące się zaległości doprowadziły go do ostatecznej nędzy.

Wskutek tej modyfikacyi, nacisk, położony na nadmierne opodatkowanie, jako główną przyczynę nędzy chłopskiej, traci na znaczeniu; widać, że działały przedtem już nieudolność chłopa, utrudnione warunki ekonomiczne i t. d. Lecz w takim razie dlaczego autorowie tak podkreślili podatki jako przyczynę złego, posuwając się aż do twierdzenia, że chłop „utrzymuje całe państwo“, że wyśrubowane w górę podatki powodują coraz to nowe i nowe głody, z koniecznością prawa społecznego (str. 462) i t. d. Jest to sprzecznością !... Wadą całej pracy pp. Lehmanna i Parvusa jest, że nie jest ona dosyć jasną i przejrzystą, nie jest systematyczną. Zawiera tylko bardzo ciekawy materyał faktyczny, odnoszący się do klęsk głodowych.

Przedewszystkiem wynika z dat przytoczonych przez dr. Lehmanna i Parvusa, że obszar, który ulega systematycznie nieurodzajom w ciągu lat ostatnich, to obszar, który z reguły wykazywał dawniej nadwyżkę w produkcyi zboża, przechodzącą potrzeby miejscowej ludności; to właściwy szmat czarnoziemu, spichrz Rossyi. Z 16 gubernii, które dotknęła pierwsza wielka klęska głodowa w r. 1891, tylko jedna: Niżno-Nowogrodzka była gubernią, wykazującą z reguły niedobór zboża.

Następnie okazuje się, że na tym obszarze czarnoziemu i obecnych nieurodzajów, grunta wielkich właścicieli ziemskich daleko mniej uległy nieurodzajom, niż grunta włościan. Porównując daty zbiorów żyta z 5go dziesiątka lat dopiero ubiegłego stulecia, ze zbiorami z 8-go dziesiątka lat, widzimy na gruntach pańskich powiększenie rezultatu żniw o jakie 13%, na grnntach chłopskich zmniejszenie tego rezultatu o więcej niż 17%! Skutkiem tego też nieurodzaje są klęską, nawiedzającą systematycznie tylko grunta chłopskie. Przyczyny tego dopatrują się autorowie omawianej przez nas pracy w tem, że wielcy właściciele ziemscy lepiej zakonserwowali swą ziemię, nie wyniszczyli tak lasów, mniejszą część ziemi brali pod uprawę, zostawiając znaczny ugór, gdy chłopi, siląc się na wyprodukowanie jak największej ilości zboża, grunta swe wyniszczyli.

Wreszcie można stwierdzić na podstawie materyału, dostarczonego przez autorów, że lata nieurodzajów i głodów występują grupami t. z że po złym roku nie następuje zaraz dobry, ale klęska jeszcze się ciągnie przez rok, dwa lub trzy lata nawet, naturalnie łagodniejąc.

I tak mniej niż połowę zbioru wykazywało w r. 1889 8 gubernii, w roku 1890 2 gubernie, w r. 1891 było takich gubernii aż 13, w r. 1892 tylko 6. Występują więc najpierw 4 lata nieurodzajne, co prawda rok czwarty (1892) wykazuje już polepszenie. Rok 1893 jest ogólnie dobrym na całym obszarze czarnoziemu. Ale już w r. 1895 zaczyna się nawrót do nieurodzajów i jedna gubernia wykazuje tylko 75 do 100% regularnego zbioru. W r. 1896 taki procent wykazuje aż 5 gubernii, a 3 wykazują jeszcze niższy procent: zaledwo 50—75% zwykłego zbioru. Lata 1897 i 1898 zamieniają się wreszcie w zupełnie nieurodzajne. Przyczynę tego łatwo zrozumieć, w złym roku, w roku nieurodzaju, ludność nim dotknięta nie jest w stanie wyżywić swego inwentarza: koni, bydła. Inwentarz topnieje, sprzedaje się go, lub ginie, a w następnym roku trudno bez dostatecznego inwentarza ziemię dobrze obrobić, i daje ona też mniejszy plon. Wielka klęska głodowa z r. 1891 zabrała chłopom rossyjskim z dziesięciu gubernii, najwięcej tą klęską dotkniętych, przeszło milion koni t. j. prawie piątą część ich inwentarza. Oczywiście strata ta nie rozłożyła się równomiernie. Zagród chłopskich całkiem bez koni było w latach 1888—1891: 618.000, w r. 1893, po klęsce głodowej z r. 1891, aż 818.000, liczba zagród takich wzrosła więc wskutek strat koni o 32%! Zagród z jednym koniem było jeszcze latach 1888—1891 753.000, w r. 1893 wzrosła ich liczba na 867.000 t. j. o 15%. Wreszcie zagród z dwoma lub więcej końmi w inwentarzu było w latach 1889—1891 1,253.000. Tymczasem po klęsce głodowej z r. 1893 liczba ich zmalała na 1,004.000 więc o 22%! Wobec pierwotnych i ciężkich narzędzi rolniczych, używanych w Rossyi przez chłopów, jest zaprząg dwukonny koniecznym, aby ziemię należycie obrobić. Otóż wedle cyfr dopieroco przytoczonych skutek klęski głodowej z r. 1891 w 10 guberniach nią dotkniętych, był ten poprostu, że równo ćwierć miliona gospodarstw chłopskich wyszło z kategoryi gospodarstw, posiadających przynajmniej dwa konie t. zn. stało się niezdolnemi do należytego obrobienia ziemi!... Z tej klęski nie podniósł się dotąd włościanin rossyjski!... Głody, występujące systematycznie, muszą wywoływać usiłowania zapobieżenia im, tak oficyalne jak i prywatne. I otóż te usiłowania przedstawiają także dr. Lehman i Parvus dosyć obszernie, poddając je jednak surowej krytyce.

Już od r. 1834 ma chłop rossyjski ustawowo przyznane prawo do wsparcia na wypadek klęski głodowej. Wedle przepisów odnośnych mają być udzielone krótko-terminowe (1—3-letnie) zaliczki w zbożu lub w pieniądzach. Udzielane być mają przedewszystkiem z zapasów gminnych; w drugim rzędzie, gdy te zapasy nie starczą, z zgromadzonych w tym celu funduszów rezerwowych, reprezentacyi powiatowych i gubernialnych (ziemstw); jeżeli zaś i te zapasy zawiodą, następuje udzielanie zaliczek przez Skarb państwa. Cały system przepisów, odnoszących się do tych wsparć, wywołał jednak w praktyce liczne sprzeczności tylko, dał powód do nadużyć czynowników, szykan i maltretowań chłopów....

Zapasy w zbożu gmin od długiego czasu już nie istnieją: tak samo fundusze zasiłkowe ziemstw figurują tylko fikcyjnie w rachunkach. Ziemstwa same są wciąż zadłużone u rządu i to głównie z powodu udzielenia chłopom wsparć przy nieurodzajach, a przytem dochody ich, oparte na opłatach chłopów, w razie nieurodzaju maleją zaraz. Ziemstwa więc nie mogą z reguły udzielić zaliczek i apelują do rządu. Organa rządowe wzbraniają się przedewszystkiem uznać, że zaszedł nieurodzaj. Raz dlatego, że obowiązkiem organów tych jest czuwać, aby wszędzie panował ład i porządek, a pojawienie się nieurodzaju jest już dowodem, że nie wszystko jest w porządku!... Powtóre dlatego, że organa te wiedzą, iż w razie nieurodzaju i głodu trzeba będzie wstrzymać nieco i złagodzić ściąganie podatków, a tymczasem i w tym kierunku winne one wykazać jak największą energię i jak najdonioślejsze rezultaty!... Wreszcie po długich pisaninach z powiatu do powiatu, z gubernii do gubernii, sporach między jednemi władzami a drugiemi, klęska głodowa zostaje oficyalnie uznaną.

Lecz teraz powstają nowe konflikty i spory: prowadzą je różne ziemstwa między sobą i ziemstwa z centralnym rządem w Petersburgu. Chodzi o wielkość wsparć i zakupno potrzebnych ilości zboża. Ziemstwom, reprezentowanym z reguły przez wszelkich właścicieli ziemskich, chodzi o to, by zakupywać zboże w samym obszarze dotkniętym klęską. Rząd sprzeciwia się temu, podnosząc, że ceny zboża w tym obszarze są właśnie wyższe i nie będzie można dostać potrzebnej ilości zboża. Na to znowu ziemstwa odpowiadają słusznie, że zboże zakupywane gdzieindziej, poza obszarem dotkniętym właśnie klęską głodową, będzie znów droższe, z powodu kosztów transportu, że przybędzie później, a tu chodzi głównie o rychłą i jak najrychlejszą pomoc, zwłaszcza ze względu na nowe zasiewy; wreszcie, że może się zdarzyć — i zdarza się to rzeczywiście — że zboże z powodu złych komunikacyi wcale nie przybędzie na miejsce swego przeznaczenia i t. d. Dodajmy do tych sporów

spór między Ministeryum skarbu a Ministeryum spraw wewnętrznych w Petersburgu — pierwsze chce o ile można sumę wsparcia obciąć — a zrozumiemy, że cała akcya rządowa, mająca zaradzić nieurodzajom i głodowi, chybia w końcu swego celu. Kosztuje ona rząd bardzo dużo, a dla chłopa znaczy tyle, co kropla wody dla spragnionego: przychodzi zwykle za późno, nie może więc oddziaływać na przyszłe zasiewy i staje się dla chłopa nowym ciężarem, który będzie on ponosił przez parę lat następnych, bo wszystko: pieniądze czy zboże dawane są jako zaliczka!... Rząd nareszcie chce też odbić za nadmierne wydatki, wynikłe z udzielonych wsparć, i w latach następnych musi z większą energią prowadzić egzekucye podatkowe. Jest to więc błędne koło: pomoc udzielona chłopu odbija się w końcu na nim samym!...

Akcya prywatna zaś przeciw klęskom głodowym, a zwłaszcza akcya czerwonego Krzyża, ma na celu nie podniesienie przyszłe bytu ekonomicznego włościan, lecz tylko zapobieżenie chwilowym następstwom głodu. Polega więc na urządzeniu piekarń, tanich i bezpłatnych kuchni, szpitali; na rozsyłaniu w miejsca dotkniętę głodem lekarzy, studentów medycyny, sióstr miłosierdzia i t. d. Lecz i ta akcya, wobec ogromu klęski a małych środków, jest bardzo niedostateczną....

* * *

Książka Dr. Lehmanna i Parvusa, chociaż nie ma, jak widzieliśmy, charakteru naukowego, nie jest dosyć systematyczną i przejrzystą, a miejscami zawiera nawet sprzeczne ze sobą wywody, może zainteresować żywo każdego, komu nie są obojętne zjawiska i przełomy gospodarczo-społeczne chwili obecnej. Obfite, a bardzo starannie, nawet artystycznie wykończone fototypie, zwiększają interes, jaki budzi książka.

*Dr. W. P.*

KONIEC TOMU I ROCZNIKA DWUDZIESTEGO DZIEWIĄTEGO.

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ".